TERRY GOODKIND

PIERWSZE PRAWO MAGII

Tom l serii „Miecz Prawdy”

Podziękowania

Chcę podziękować kilku szczególnym osobom:

Mojemu ojcu, Leo, który nigdy nie zapędzał mnie do lektur, lecz sam wiele czytał, przez co rozbudził moją ciekawość i zaraził mnie tą pasją.

Moim dobrym przyjaciółkom, Racheli Kahlandt i Glorii Avner, za to że podjęły trud przeczytania pierwszej wersji tej książki i poczyniły wiele wnikliwych uwag, oraz za to że wierzyły we mnie wówczas, kiedy tego najbardziej potrzebowałem.

Mojemu agentowi, Russellowi Galenowi, za to że odważnie przyjął miecz i urzeczywistnił moje marzenia.

Wydawcy, Jamesowi Frenkelowi, nie tylko za wyjątkowy talent edytorski, porady i poprawki do tej książki, lecz również za niezmiennie dobry humor i cierpliwość, jakie wykazywał, ucząc mnie rzemiosła pisarskiego.

Wszystkim dobrym ludziom z wydawnictwa Tor za ich entuzjazm i ciężką pracę.

I wreszcie dwojgu bardzo szczególnym ludziom, Richardowi i Kahlan, za to że mnie wybrali, bym opowiedział ich historię. Ich smutki i zwycięstwa poruszyły moje serce. Już nigdy nie będę taki jak przedtem.

Rozdział pierwszy

To było jakieś dziwaczne pnącze. Ciemne, pstre liście jakby przycupnęły na łodydze, ciasno oplatającej gładki pień żywicznej jodły. Ze skaleczonej kory drzewa wolniutko sączył się sok, dramatycznie sterczały suche konary - zupełnie jakby jodła usiłowała dobyć głosu i przeszyć jękiem chłodne, wilgotne powietrze poranka. Z łodygi pnącza tu i tam sterczały strąki, zupełnie jakby się rozglądało niespokojnie, czy nie ma jakichś świadków jego sprawek.

To zapach najpierw przyciągnął uwagę chłopaka, osobliwa woń, jakby rozkładu czegoś, co i dawniej niezbyt przyjemnie pachniało. Richard przeczesał włosy palcami, gdy na chwilę oderwał się od ponurych myśli, i wtedy też dostrzegł owo dziwaczne pnącze. Rozejrzał się wokół, szukając następnych, lecz ich nie znalazł. Wszystko inne wyglądało jak zwykle. Klony górnego lasu Ven, nakrapiane purpurą, dumnie prezentowały nowe szaty na lekkim wietrzyku. Noce były coraz chłodniejsze, więc kuzyni z dolnych Lasów Hartlandzkich pewno wkrótce pójdą w ich ślady i zmienią wygląd. Dęby zdobiła jeszcze ciemna zieleń - one ostatnie poddawały się zmianom pór roku.

Richard większość życia spędził w lesie, znał więc wszystkie rośliny - jeśli nie ich nazwę, to przynajmniej wygląd. Już kiedy był mały, Zedd zabierał go na poszukiwania specjalnych ziół. Pokazał chłopcu, jakich roślin szukać, gdzie rosną i dlaczego właśnie tam, uczył go nazw wszystkiego, co widzieli. Wiele razy po prostu rozmawiali. Starzec traktował chłopca jak równego sobie: nie tylko opowiadał, ale i sam pytał. Zedd rozbudził w Richardzie pragnienie zdobywania wiedzy, uczenia się.

Takie pnącze Richard widział przedtem tylko raz, a i to nie w lesie. Znalazł kawałek tej rośliny w błękitnym glinianym dzbanie w domu ojca, w dzbanie, który sam zrobił, kiedy był niedorostkiem. Ojciec Richarda był kupcem i często podróżował, poszukując egzotycznych i rzadkich towarów. Odwiedzało go wielu zamożnych współobywateli, ciekawych tego, co przywoził. Wyglądało na to, że woli szukać, niż znajdować; zawsze się chętnie rozstawał ze swoją ostatnia zdobyczą, bo wówczas mógł wyruszyć na poszukiwanie nowej.

Richard od najmłodszych lat lubił spędzać czas z Zeddem, kiedy ojca nie było w domu. Starszy o parę lat Michael, brat Richarda, nie interesował się ani lasami, ani naukami Zedda; wolał spędzać czas z bogaczami i innymi ważnymi ludźmi. Richard odszedł na swoje jakieś pięć lat temu, lecz często przebywał w domu ojca, natomiast Michael był stale zajęty i miał mało czasu na takie odwiedziny. Kiedy ojciec

wyjeżdżał, zostawiał Richardowi wieści w błękitnym dzbanie: najnowsze wiadomości, ploteczki, znaleziska.

Kiedy trzy tygodnie temu Michael powiedział Richardowi, że ich ojca zamordowano, ten natychmiast poszedł do ich dawnego wspólnego domu, choć starszy brat twierdził, że to zbyteczne, że nie ma tam czego szukać. Już dawno minęły czasy, kiedy robił to, co mu polecił starszy brat. Sąsiedzi chcieli oszczędzić Richarda i nie pokazali mu ciała ojca. Zobaczył jednak zaschnięte plamy i rozbryzgi krwi na deskach podłogi. Ludzie milkli, kiedy się do nich zbliżał; ich współczucie tylko wzmagało ból. A przecież i tak słyszał, jak szeptem przekazują sobie niesamowite opowieści z pogranicza.

O magii.

Mały domek ojca Richarda wyglądał, jakby się w nim rozszalała burza. Niewiele rzeczy ocalało. Błękitny dzban wciąż stał na półce i to właśnie w nim Richard znalazł kawałek pnącza. Miał go teraz w kieszeni. Nie mógł się jednak domyślić, co ojciec chciał mu w ten sposób przekazać.

Chłopaka ogarnął smutek i przygnębienie; pozostał mu jeszcze brat, lecz mimo to czuł się samotny i opuszczony. Dorosłość nie ocaliła go przed poczuciem osierocenia i dominującej samotności; już raz doświadczył czegoś takiego - kiedy zmarła matka. Ojca często nie było, niekiedy całymi tygodniami, lecz Richard wiedział, że jest i że wróci. Tym razem miał już nie wrócić, nigdy.

Michael nie chciał, żeby młodszy brat brał udział w poszukiwaniach zabójcy ich ojca. Mówił, że już się tym zajęli najlepsi tropiciele i że Richard powinien się trzymać z dala od całej sprawy, dla swego własnego dobra. Chłopak więc nie pokazał mu owego kawałka pnącza i co dnia chodził po lesie, szukając tajemniczej rośliny. Przez trzy tygodnie przemierzał szlaki Lasów Hartlandzkich - nie pominął ani jednej ścieżki, zbadał nawet te, o których wiedziało niewielu - lecz nie znalazł liany.

W końcu, wbrew rozsądkowi, Richard uległ podszeptom wkradającym się w jego myśli i znalazł się w górnym lesie Ven, w pobliżu granicy. Dręczyło go przeczucie, że jednak wie, dlaczego zamordowano ojca. Owe tajemnicze głosy przekomarzały się z Richardem, dręczyły go myślami tuż na granicy świadomości, a potem wyśmiewały się z niego, że nie zdołał owych myśli pochwycić. Chłopak tłumaczył sobie, że to nie są żadne głosy, lecz ból i smutek po śmierci ojca. Uważał, że jeżeli tylko znajdzie tajemnicze pnącze, to tym samym zyska i odpowiedź. Teraz je wreszcie znalazł... - i dalej nie wiedział, co myśleć. Głosy już z niego nie kpiły, teraz

dumały nad czymś. Richard zdawał sobie sprawę, że to wytwór jego własnego umysłu, że nie powinien uważać ich za coś odrębnego. Zedd go tego nauczył.

Chłopak spojrzał na umierającą jodłę. Znów pomyślał o śmierci ojca. Pnącze tam było. Teraz zabijało drzewo; to jakieś paskudztwo. Ojcu już nie mógł pomóc, lecz nie miał zamiaru pozwolić, by liana spowodowała kolejną śmierć. Mocno uchwycił łodygę i szarpnął, odrywając wąsy od pnia drzewa.

Wówczas pnącze ugryzło Richarda.

Jeden ze strąków odskoczył i uderzył w lewą dłoń chłopca, który ze zdumienia i bólu uskoczył. Obejrzał małą rankę - w rozcięciu skóry tkwił kolec. A więc wszystko jasne. Owo pnącze to nic dobrego. Richard sięgnął po nóż, chcąc wydłubać kolec, lecz noża nie było. Zdziwił się, potem zrozumiał, co się stało, i zbeształ sam siebie za to, że - pogrążony w żalu i smutku - zapomniał zabrać nóż. Spróbował wyciągnąć kolec paznokciami. Lecz ów, jak żywy, wbił się jeszcze głębiej. Chłopak przeciągnął po ranie paznokciem kciuka, lecz i to nie pomogło. Im bardziej drapał, tym głębiej wchodził kolec. Szarpnął ranę, aż poczuł falę mdłości, więc przestał. Sącząca się krew przykryła kolec.

Richard rozejrzał się wokół, dostrzegł purpurowoczerwone, już jesienne liście niewielkiej kaliny, dźwigającej mnóstwo ciemnoniebieskich owoców. U stóp drzewka, w zakolu korzenia, rosło ziele, którego szukał. Ostrożnie zerwał roślinkę i wycisnął na ranę gęsty, lepki sok. Z wdzięcznością pomyślał o starym Zeddzie - to on go nauczył, jakie rośliny przyspieszają gojenie się ran. Miękkie, kędzierzawe liście roślinki zawsze przypominały Richardowi starego przyjaciela. Sok ziela złagodził ból, ale chłopak wciąż się martwił, że nie zdołał wyrwać kolca. Czuł, jak wbija się głębiej i głębiej. Przykucnął, wygrzebał w ziemi jamkę, włożył w nią łodyżkę ziela i obetkał mchem - teraz znowu mogło się ukorzenić.

Las nagle ucichł. Richard spojrzał w górę i aż drgnął - ponad ziemią przemykał jakiś cień. Coś szumiało i świstało. To był przerażająco olbrzymi cień. Ptaki wyfrunęły spod osłoniętych drzew i rozpierzchły się na wszystkie strony, krzycząc przeraźliwie. Chłopak patrzył w górę, poprzez złotą i zieloną kopułę liści; starał się wypatrzyć, co rzucało ów straszliwy cień. Przez chwilę widział coś wielkiego. Wielkiego i czerwonego. Nie miał pojęcia, co to mogło być, przypomniał sobie za to opowieści o dziwach z pogranicza i zdrętwiał.

Pnącze to na pewno jakieś diabelstwo, pomyślał, a to coś w powietrzu to kolejne paskudztwo. Przypomniał sobie powiedzonko, że kłopoty chodzą trójkami, i

uznał, że nie ma ochoty na spotkanie z tym trzecim. Odpędził strachy i ruszył biegiem. To tylko takie gadanie przesądnych ludzi, pocieszył się. Zastanawiał się, co też to mogło być, to coś dużego i czerwonego. Nie znał niczego, co by latało i było aż tak wielkie. Może to była chmura albo gra światła? Nie mógł się jednak oszukiwać i przyznał, że to wcale nie była chmura. Biegł, zerkając niekiedy w górę - może jeszcze raz dojrzy to tajemnicze coś? Kierował się ku ścieżce okrążającej wzgórze. Wiedział, że po drugiej stronie teren opada i że tam nic nie zasłoni mu nieba. Wilgotne po nocnym deszczu gałązki smagały go po twarzy, przeskakiwał powalone drzewa i małe potoczki o kamienistym dnie. Kolczaste krzewy czepiały się nogawek. Plamy słonecznego światła kusiły do spojrzenia w górę, ale nieba nie było widać. Richard oddychał szybko, nierówno, zimny pot spływał mu po twarzy, serce waliło mocno. Zbiegał po zboczu, wreszcie wydostał się spomiędzy drzew na ścieżkę, niemal upadł, zbyt gwałtownie hamując. Spojrzał na niebo - hen, daleko, dostrzegł to dziwne „coś”, zbyt daleko, żeby poznać, co to takiego, wydało mu się jednak, że miało skrzydła. Zmrużył oczy, patrząc w jaskrawy błękit nieba; starał się dostrzec, czy istotnie były tam jakieś skrzydła. Dziwo zniknęło za wzgórzem. Chłopak nawet nie był pewny, czy naprawdę było czerwone.

Zasapany Richard osunął się koło granitowego głazu, machinalnie obłamywał suche gałązki jakiejś samosiejki i patrzył na leżące poniżej jezioro Trunt. Może powinien wrócić i opowiedzieć Michaelowi o tym, co się wydarzyło, o pnączu i o tym czerwonym stworze w powietrzu. Wiedział, że brat wyśmiałby opowieść o czerwonym dziwie. Sam się śmiał z takich historyjek. Nie, Michael tylko by się na niego rozzłościł, że podszedł tak blisko granicy, że nie posłuchał jego nakazów i wmieszał się w poszukiwanie mordercy ojca. Wiedział, że brat się o niego troszczy, inaczej by tak nie gderał. Teraz był już dorosły i nie musiał słuchać poleceń starszego brata, ale wciąż był narażony na jego wymówki.

Chłopak ułamał kolejną gałązkę i rzucił na skałę. Uznał, że nie powinien się czuć dotknięty. W końcu Michael wszystkich pouczał, nawet ojca. Odsunął na bok pretensje do brata - dziś był wielki dzień Michaela. Dzisiaj miał zostać Pierwszym Rajcą. Teraz będzie odpowiedzialny nie tylko za Hartland, ale za wszystkie miasta i miasteczka Westlandu, a nawet i za wieśniaków.

Będzie odpowiedzialny za wszystko i za wszystkich. Michael zasługiwał na pomoc Richarda, potrzebował jego wsparcia... Przecież i on stracił ojca.

Tego popołudnia w domu Michaela odbędzie się wielka uroczystość. Zjadą się

znamienici goście, z najdalszych krańców Westlandu. Richard też się powinien tam zjawić. Będzie mnóstwo pysznego jedzenia. Chłopak dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny.

Richard siedział i odpoczywał, a przy okazji rozmyślał i obserwował przeciwległy brzeg jeziora Trunt. Z tej wysokości wyraźnie widział poprzez przejrzystą wodę kamieniste dno i zielone wodorosty, otaczające głębsze wyrwy. Skrajem jeziora wił się Szlak Sokolników, czasami kryjąc się wśród drzew, czasem dobrze widoczny. Chłopak wiele razy wędrował tym odcinkiem szlaku. Wiosną ścieżka nad jeziorem była wilgotna i błotnista, potem wysychała. Południowe i pomocne partie szlaku, biegnącego przez wyżej położone obszary lasów Ven, znajdowały się niepokojąco blisko granicy. Toteż większość podróżników unikała Szlaku Sokolników i wolała ścieżki Lasów Hartlandzkich. Richard był leśnym przewodnikiem i często eskortował podróżnych na owych szlakach. Byli to przeważnie rozmaici dostojnicy i nie tyle chodziło im o wskazanie właściwego kierunku, ile o zapewnienie odpowiedniej oprawy.

Chłopak dostrzegł coś kątem oka. Jakiś ruch. Wpatrzył się uważnie w punkcik na najdalszym krańcu jeziora. Potem ów punkt znalazł się bliżej, ścieżka biegła wśród rzadko rosnących drzew i okazało się, że to jakiś wędrowiec. Pewno Chase, przyjaciel Richarda. Kto niby miałby tędy iść, jeśli nie graniczny strażnik? Chłopak zeskoczył ze skałki, odrzucił na bok gałązki i postąpił kilka kroków. Tamta postać pojawiła się na odkrytym odcinku ścieżki. To nie był Chase, lecz jakaś kobieta. Kobieta w eleganckiej szacie. Cóż u licha robiła kobieta - i to tak ubrana - w lesie Ven? Richard patrzył, jak wędrowała brzegiem jeziora, to kryjąc się wśród drzew, to wychodząc na otwartą przestrzeń. Ani się nie spieszyła, ani nie ociągała. Szła równym krokiem wytrawnego podróżnika. Jasne, po prostu tędy przechodziła, przecież nikt nie mieszkał w pobliżu jeziora Trunt.

Znów coś przyciągnęło uwagę Richarda - uważnie zlustrował cienie lasu. Za kobietą szły inne postacie. Trzech... Nie, czterech mężczyzn w płaszczach z kapturami; szli za nią, lecz w pewnej odległości. Kryli się za drzewami i skałkami. Patrzyli. Czekali. Pokonywali kolejny odcinek. Richard się wyprostował, obserwował uważnie, zaciekawiony.

Podkradali się ku niej.

Natychmiast zrozumiał, że to właśnie jest trzeci kłopot.

Rozdział drugi

Richard przez chwilę stał nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co robić. Kiedy się upewni, że oni naprawdę polują na tę kobietę, może już być za późno na przeciwdziałanie. To w końcu jednak nie jego sprawa. Nawet nie miał przy sobie noża. Jeden nieuzbrojony chłopak przeciwko czterem mężczyznom? Patrzył, jak kobieta wędrowała ścieżką. Patrzył, jak tamci się za nią skradali.

Co ją czekało?

Chłopak przykucnął, napiął mięśnie. Serce biło mu mocno, próbował ustalić plan działania. Poranne słońce ogrzewało twarz Richarda, oddychał szybko, trochę wystraszony. Wiedział, że gdzieś tam, przed kobietą, jest skrót Szlaku Sokolników. Pospiesznie usiłował sobie przypomnieć, gdzie to właściwie jest. Główny szlak, po jej lewej ręce, biegł wokół jeziora i wspinał się na wzgórze, docierając do miejsca, w którym akurat stał. Jeżeli kobieta pozostanie na głównym szlaku, to mógłby tu na nią zaczekać i powiedzieć jej o tamtych mężczyznach. I co wtedy? Zresztą to i tak za długo by trwało, mogli jej wcześniej dopaść. Richard powziął pewien plan. Zerwał się na nogi i pobiegł w dół szlaku. Jeżeli zdąży, zanim tamci ją zaatakują i zanim ona minie skrót, to wówczas poprowadzi ją prawym odgałęzieniem. Wiodło poza lasy, na otwarte, nagie zbocza gór, oddalało się od granicy i kierowało ku miastu Hartland, ku bezpieczeństwu. Może zdoła zatrzeć ślady i tamci mężczyźni się nie zorientują, że zbiegowie wybrali odgałęzienie szlaku. Będzie im się zdawało, że kobieta dalej wędruje głównym szlakiem; jeśli zmyli ich choć na chwilę, to doprowadzi ją w bezpieczne miejsce.

Richard wciąż jeszcze był zmęczony, więc z trudem oddychał, lecz biegł najszybciej jak mógł. Szlak wkrótce skręcił pomiędzy drzewa - przynajmniej tamci nie zauważą biegnącego chłopaka. Gnał, przecinając smugi słonecznego blasku. Dywan z sosnowych igieł tłumił kroki. Zaczął wypatrywać odgałęzienia ścieżki. Nie wiedział, jaką trasę już przebiegł, i nie pamiętał, gdzie dokładnie był ten skrót. To mała ścieżyna, łatwo ją ominąć. Richard biegł i przy każdym zakręcie się łudził, że to już owo odgałęzienie. Zastanawiał się, co też powie owej kobiecie, kiedy się z nią zrówna. Może będzie myślała, że i on ją ściga? Może się go wystraszy? Może mu nie uwierzy? Czy będzie miał dość czasu, żeby ją przekonać, by z nim poszła, wytłumaczyć, że chce jej pomóc?

Chłopak wbiegł na szczyt małego wzniesienia, ale i tu nie dostrzegł skrótu. Gnał więc dalej, ciężko dysząc. Jeżeli nie dotrze do odgałęzienia przed kobietą, to

tamci ich dopadną, jeśli nie zdołają uciec przed pogonią - będą musieli walczyć. On zaś był zbyt zmęczony i żeby uciekać, i żeby walczyć. Przyspieszył. Pot spływał mu po plecach, koszula lepiła się do skóry. Wysiłek sprawił, że chłód poranka przemienił się w duszący skwar. Richard biegł tak prędko, że rozmywały się kontury drzew rosnących po bokach ścieżki.

Wreszcie chłopak dotarł do skrótu, tuż przed ostrym skrętem w prawo; niemal go przegapił. Szybko sprawdził, czy kobieta już tu dotarła i skręciła w węższą dróżkę. Nie znalazł żadnych śladów. Odetchnął z ulgą. Usiadł na piętach, starając się uspokoić oddech. Pierwsza część planu się powiodła. Wyprzedził nieznajomą i pierwszy dotarł do skrótu. Teraz tylko musi ją przekonać, żeby mu zaufała, zanim będzie za późno. Przycisnął prawą dłoń do bolącego miejsca w boku; zaczął się zastanawiać, czy nie wyjdzie na głupca. A jeśli dziewczyna po prostu droczy się z braćmi? Ależby się z niego śmiali!

Richard spojrzał na rankę na grzbiecie dłoni. Była zaczerwieniona i boleśnie pulsowała. Przypomniał sobie owego latającego stwora. Pomyślał, że dziewczyna szła pewnym krokiem wędrowca zdążającego do określonego celu; to nie był spacerek dla zabawy. Poza tym to była kobieta, a nie dziewczyna. No i ów strach, który go ogarnął, kiedy zobaczył tamtych czterech. Czterej mężczyźni ostrożnie się skradający za kobietą to trzeci dziw, który się mu przydarzył tego ranka. Trzeci kłopot. Nie, Richard potrząsnął głową, to nie jest zabawa, dobrze to wiedział. To nie zabawa. Oni ją osaczali.

Chłopak uniósł się nieco, pochylił, ścisnął kolana dłońmi i kilka razy głęboko odetchnął. Dopiero potem się wyprostował. Wciąż był bardzo zgrzany.

Zza zakrętu ścieżki wyszła młoda kobieta. Richard na moment wstrzymał oddech. Miała wspaniałe, gęste, długie, kasztanowe włosy. Była niemal tak wysoka jak on i chyba w tym samym wieku. Jeszcze nigdy nie widział takiej szaty: biała, z kwadratowym wycięciem przy szyi, z niewielką skórzaną sakiewką przy pasku. Uszyta z delikatnej, gładkiej, niemal połyskującej tkaniny, pozbawiona koronek i falbanek, wzorów. Łagodnie otulała kształtną postać. Strój elegancki w swojej prostocie. Kobieta przystanęła i szata ułożyła się we wdzięczne fałdy.

Richard podszedł do nieznajomej, lecz zatrzymał się parę kroków przed nią; nie chciał, żeby się poczuła zagrożona. Stała spokojnie, opuściwszy ręce wzdłuż boków. Brwi miała wygięte jak skrzydła lecącego sokoła. Zielone oczy bez lęku patrzyły w oczy chłopaka. Niemal się w nich zatracił. Wydawało mu się, że znają od

zawsze, że zawsze stanowiła część jego „Ja”, że pragnie tego, co i ona. Zielone oczy trzymały go na uwięzi równie pewnie jak krzepka dłoń; zdawały się czytać w duszy Richarda, szukać odpowiedzi na jakieś pytanie. Jestem tutaj po to, żeby ci pomóc, pomyślał. To było jego najgorętsze pragnienie.

Zielone oczy uwolniły chłopaka. Dostrzegł w nich coś, co go jeszcze bardziej urzekło. Mądrość. Inteligencję. Prawość i uczciwość. Richarda ogarnęły spokój i poczucie bezpieczeństwa. W jego umyśle błysnęło ostrzeżenie, przypomniał sobie, po co się tu znalazł.

- Byłem tam - wskazał w kierunku wzgórza - i zobaczyłem cię.

Spojrzała w tamtą stronę. On też - i zdał sobie sprawę, że wskazał na plątaninę pni drzew. Wzgórza nie było stąd widać. Richard opuścił rękę; jak mógł o tym zapomnieć! Znów spojrzała mu w oczy, czekała.

- Byłem na wzgórzu, ponad jeziorem - podjął cichym głosem Richard. - Zobaczyłem, jak idziesz ścieżką wzdłuż brzegu. A za tobą kilku mężczyzn.

- Ilu? - spytała, patrząc mu w oczy i nie zdradzając żadnych emocji.

- Czterech - odparł, choć zdziwiło go to pytanie.

Zbladła.

Odwróciła głowę, uważnie się przyjrzała gęstwinie za swoimi plecami i znów spojrzała chłopakowi w oczy.

- Postanowiłeś mi pomóc? - zapytała.

Tylko bladość pięknej twarzy zdradzała jej uczucia.

- Tak - odpowiedział, zanim zdążył się zastanowić.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? - złagodniała.

- Za tamtym zakrętem jest niewielka ścieżka. Jeżeli nią pójdziemy, a oni zostaną na tej, to im uciekniemy.

- Co, jeżeli pójdą za nami?

- Zatrę nasze ślady. - Próbował jej dodać otuchy, przekonać ją. - Nie pójdą za nami. Słuchaj, nie ma czasu na...

- A jeśli pójdą? - przerwała mu. - Co wtedy zrobisz?

- Czy są bardzo niebezpieczni? - Uważnie obserwował jej twarz.

- Bardzo.

Ton jej głosu sprawił, że Richard aż wstrzymał oddech. W oczach dziewczyny zamigotało przerażenie.

- Hmm, to wąziutka ścieżka - powiedział, przeczesując włosy palcami. -

Przynajmniej nas nie okrążą.

- Masz jakąś broń?

Potrząsnął przecząco głową. Był wściekły na siebie za to, że zostawił nóż w domu.

- Więc się pospieszmy.

Kiedy już podjęli decyzję, umilkli, nie chcąc, żeby tamci ich usłyszeli. Richard pospiesznie zatarł ślady i dał znak dziewczynie, żeby szła pierwsza - chciał się znaleźć pomiędzy nią a tamtymi mężczyznami. Usłuchała bez wahania. Szła szybko, fałdy szaty kołysały się w rytm jej kroków. Młode iglaki lasu Ven tłoczyły się po obu stronach dróżki, dwie zielone ściany wytyczały wąski i ciemny szlak. Wędrowcy nie widzieli, co się dzieje po obu stronach traktu. Richard niekiedy się oglądał, lecz to niewiele dawało. Przynajmniej był pewny, że nikogo nie ma tuż za nimi. Dziewczyna szła szybko, nie musiał jej popędzać.

Po pewnym czasie grunt zaczął się wznosić, stał się kamienisty, drzewa się przerzedziły. Dróżka wiła się brzegiem głębokich, mrocznych zapadlisk, przecinała zasłane suchymi liśćmi parowy. Przesuszone liście szeleściły i podlatywały, kiedy tamtędy przechodzili. Sosny i świerki ustąpiły miejsca drzewom liściastym, przeważnie brzozom. Wysokie pnie kołysały się i na ziemi tańczyły plamy słonecznego blasku. Czarne plamki na białych pniach brzóz wyglądały jak oczy - tysiące oczu obserwowało dwoje wędrowców; tysiące obojętnych oczu, a nie żądnych łupów ślepi, była to więc spokojna i cicha okolica.

Teraz trakt biegł u podnóża granitowej skały. Richard położył palec na wargach, dając tym znak, że powinni stąpać bardzo ostrożnie i cicho, żeby ich nie zdradził żaden dźwięk. Ilekroć zakrakał kruk, niosło się to echem wśród wzgórz. Chłopak dobrze znał to miejsce: kształt skały sprawiał, że każdy odgłos niósł się całymi milami. Wskazał na porośnięte mchem okrągłe kamienie i gestami dał dziewczynie do zrozumienia, że powinni iść właśnie po nich, aby nie zatrzeszczała jakaś sucha gałązka, ukryta pod dywanem liści. Nieznajoma skinęła potakująco głową, uniosła nieco szatę i weszła na kamienie. Richard dotknął ramienia dziewczyny, wykonał nową pantomimę: ma iść ostrożnie, bo mech jest śliski. Uśmiechnęła się doń, znów potakująco skinęła głową i szybko poszła naprzód. Ów nieoczekiwany uśmiech dodał chłopakowi otuchy, złagodził jego niepokój. Richard uważnie stąpał z kamienia na kamień. Pozwolił sobie mieć nadzieję, że ucieczka się powiedzie.

Dróżka pięła się pod górę, drzewa jeszcze bardziej się przerzedzały. Skaliste podłoże mało gdzie pozwalało zapuścić korzenie. Już wkrótce rosły wyłącznie w szczelinach skał, zdeformowane, pokrzywione i niskie, żeby wiatr nie mógł ich wyrwać z cieniutkiego spłachetka ziemi.

Wędrowcy wyszli z lasu na skalne stopnie. Trakt nie był tu zbyt wyraźny. Dziewczyna często się odwracała ku Richardowi, a on wskazywał jej drogę gestem ręki lub kiwnięciem głowy. Ciekawy był, jak też brzmi jej imię, lecz milczał, bojąc się, że usłyszą ich owi czterej mężczyźni. Ścieżka była stroma i trudna, ale nie zwolnili ani na chwilę. Nieznajoma szła pewnie i szybko. Chłopak dopiero teraz zauważył, że miała wygodne buty z miękkiej skóry - buty doświadczonego wędrowca.

Wyszli spomiędzy drzew już ponad godzinę temu i ciągle wspinali się ku słońcu. Kierowali się na wschód, dopiero potem trakt skręcił ku zachodowi. Jeżeli tamci wciąż ich śledzili, to musieli teraz patrzeć prosto w słońce, żeby dostrzec uciekinierów. Richard i dziewczyna szli pochyleni, skuleni, by trudniej było ich wypatrzyć. Chłopak często spoglądał za siebie, czy nie widać pogoni. Nad jeziorem Trunt dobrze się maskowali, ale tu nie mieli takich możliwości. Nikogo nie dostrzegał, więc nabrał otuchy. Nikt za nimi nie szedł, tamci prawdopodobnie zostali na Szlaku Sokolników, całe mile stąd. Im bardziej się oddalali od granicy i zbliżali do miasta, tym Richard czuł się pewniej. Jego plan się powiódł.

Pogoni nie było widać i chłopak chętnie zatrzymałby się na krótki odpoczynek, bo skaleczona dłoń bardzo go bolała, lecz nic nie wskazywało na to, że i nieznajoma chciałaby odpocząć. Szła pospiesznie, jakby pogoń następowała im na pięty. Richard przypomniał sobie, jaką miała przerażoną minę, kiedy spytał, czy tamci są niebezpieczni, i porzucił wszelką myśl o odpoczynku.

Mijały godziny i dzień stawał się bardzo ciepły, jak na tę porę roku. Niebo było lśniące i błękitne, płynęły po nim nieliczne, małe, białe obłoczki. Jedna z chmurek przybrała kształt węża, który głowę miał opuszczoną ku ziemi, a ogon uniesiony ku górze. Richard przypomniał sobie, że już wcześniej widział tę chmurkę; a może to było wczoraj? Powinien o tym powiedzieć Zeddowi, kiedy znów go zobaczy. Zedd potrafił czytać z kształtów chmur. Jeżeli chłopak zapomni mu opowiedzieć o owej chmurce, to będzie musiał wysłuchać długiej tyrady o doniosłym znaczeniu obłoków. Starzec na pewno obserwował tę chmurkę i dumał, czy też Richard zwróci na nią uwagę, czy nie.

Dróżka zawiodła wędrowców na stromy południowy stok Urwistego Wierchu.

Przecinała skalistą stromiznę mniej więcej w połowie jej wysokości. Roztaczał się stąd wspaniały widok na południową partię lasu Ven, a po lewej, niemalże już za stokiem góry, można było dostrzec wysokie i poszarpane szczyty granicy, otulone mgłą i chmurami. Richard zauważył brunatne, obumierające drzewa, odcinające się od ściany zielem. Im bliżej granicy, tym więcej było takich drzew. To sprawka pnącza, pomyślał.

Dwoje uciekinierów spieszyło skalnym traktem. Byli na otwartej przestrzeni, pozbawieni możliwości ukrycia się - każdy mógł ich łatwo dostrzec, lecz za owym zboczem Urwistego Wierchu ścieżka powinna opadać ku Lasom Hartlandzkim i ku miastu. Nawet jeżeli czterej mężczyźni spostrzegli swoją pomyłkę i podążyli za nimi, to i tak zbiegowie będą bezpieczni.

Zbliżali się do przeciwległego krańca stoku. Ścieżka stawała się coraz szersza, mogli iść obok siebie. Richard nie odrywał prawej dłoni od skalnej ściany, dodawało mu to pewności, spokojniej patrzył na głazy leżące kilkaset stóp niżej. Odwrócił się - nikt za nimi nie szedł.

Nieznajoma zatrzymała się w pół kroku, szata zafalowała wokół jej nóg.

Dróżka przed nimi jeszcze przed sekundą była pusta, teraz stali tam dwaj mężczyźni. Richard był wyższy niż większość ludzi, lecz ci dwaj byli wyżsi od niego. Kaptury ciemnozielonych płaszczy osłaniały ich twarze, ale ów strój nie zdołał zamaskować potężnego umięśnienia ciał. Chłopak się zastanawiał, jakim cudem zdołali ich wyprzedzić.

Richard i nieznajoma odwrócili się, gotowi uciekać. Ze skały opadły dwie liny i pozostali dwaj mężczyźni zsunęli się po nich na ścieżkę. Zablokowali jedyną drogę ucieczki. Byli równie potężni jak tamci. Pod płaszczami mieli cały arsenał broni, która zalśniła w słońcu.

Chłopak odwrócił się ku pierwszej dwójce. Odrzucili kaptury. Mieli gęste jasne włosy i masywne karki, wyraziste urodziwe twarze.

- Możesz odejść, chłopcze. Nas interesuje tylko ona.

Głos mówiącego był głęboki, niemal przyjacielski, lecz brzmiało w nim wyraźne ostrzeżenie i groźba. Zdjął skórzane rękawice i zatknął je za pas, nawet nie raczył spojrzeć na Richarda. Najwyraźniej uważał, że chłopak to żaden przeciwnik. Chyba był dowódcą, bo tamci trzej milczeli, kiedy mówił.

Richard jeszcze nigdy nie był w takiej sytuacji. Zawsze postępował tak, żeby uniknąć kłopotów. Nigdy nie tracił opanowania i zwykle udawało mu się ułagodzić

oponenta. Jeżeli owa taktyka zawiodła, miał dość siły, by zakończyć zwadę, zanim komuś się stała krzywda, w razie potrzeby zaś potrafił po prostu odejść. Teraz wiedział, że ci mężczyźni nie są zainteresowani pertraktacjami i widział, że się go ani trochę nie boją. Szkoda, że nie może sobie pójść. Chłopak spojrzał w zielone oczy nieznajomej - dumna kobieta bez słów błagała go o pomoc. Pochylił się ku niej i rzekł zdecydowanym tonem:

- Nie zostawię cię.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się wyraźna ulga. Leciutko skinęła głową i dotknęła ramienia chłopca.

- Stój pomiędzy nimi. Nie pozwól, by wszyscy czterej ruszyli na mnie jednocześnie - szepnęła. - I nie dotykaj mnie, kiedy zaatakują. - Mocniej zacisnęła dłoń i wpatrzyła się w oczy chłopaka, szukając potwierdzenia, że zrozumiał jej zalecenia. Richard nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale kiwnął potakująco głową. - Oby dobre duchy były z nami - dodała nieznajoma. Opuściła ręce i odwróciła się ku mężczyznom w tyle ścieżki. Na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

- Idź swoją drogą, chłopcze - powiedział twardszym głosem dowódca czwórki. - Więcej tego nie powtórzę.

Richard przełknął ślinę. Postarał się, żeby jego głos zabrzmiał pewnie, choć serce mu waliło jak szalone.

- Obydwoje pójdziemy.

- Nie tym razem - zimno odparł przywódca i wyciągnął zakrzywiony nóż. Jego towarzysz wyszarpnął krótki miecz z pochwy przymocowanej do pleców.

Z obrzydliwym uśmieszkiem przejechał nim po swoim umięśnionym przedramieniu, barwiąc ostrze czerwienią krwi. Richard usłyszał, jak szczęknęła broń, której dobyli mężczyźni stojący za nim. Zdrętwiał ze strachu. To wszystko działo się zbyt szybko. On i dziewczyna nie mieli żadnej szansy. Najmniejszej.

Przez chwilę nikt się nie poruszał. Richard drgnął, słysząc bitewny okrzyk mężczyzn, gotowych zginąć w walce. Zaatakowali gwałtownie. Towarzysz przywódcy uniósł wysoko swój krótki miecz i runął na chłopaka. Jeden z tamtych dopadł nieznajomej.

I wtedy, zanim napastnik uderzył na Richarda, zadrżało powietrze, jakby uderzył milczący grom. Chłopak poczuł ostry ból. Pył uniósł się w górę i rozchodził kręgiem.

Człowiek z mieczem także poczuł ból i spojrzał na kobietę. Richard

wykorzystał to, oparł się o skalną ścianę i z całej siły uderzył stopami w pierś nadbiegającego przeciwnika. Tamten spadł ze szlaku. Z oczami szeroko rozwartymi ze zdumienia, wciąż ściskając w dłoni miecz, runął na znajdujące się w dole głazy.

Chłopak ze zdziwieniem ujrzał, że jeden z tamtych mężczyzn również spada, z rozdartą i zakrwawioną piersią. Nie zdążył się nad tym zastanowić, bo przywódca uniósł nóż i zaatakował dziewczynę. W pędzie uderzył pięścią w pierś Richarda. Cios sprawił, że chłopak poleciał na skalną ścianę i uderzył w nią głową. Starał się nie zemdleć i myślał tylko o tym, żeby powstrzymać tamtego, zanim dosięgnie dziewczyny. O dziwo, znalazł w sobie dość sił, aby złapać przeciwnika za krzepki nadgarstek i okręcić ku sobie. Teraz nóż celował w Richarda. Ostrze lśniło w słońcu. W błękitnych oczach obcego płonęło bezlitosne pragnienie mordu. Chłopak przeraził się, jak nigdy przedtem.

Zdał sobie sprawę, że grozi mu śmierć.

Nagle, jakby znikąd, pojawił się czwarty mężczyzna i wbił krótki, pokryty skrzepłą krwią miecz w brzuch swojego dowódcy. Atak był tak gwałtowny, że obaj spadli z urwiska. Wściekły wrzask owego napastnika ucichł dopiero wtedy, kiedy obydwaj uderzyli o głazy u stóp góry.

Osłupiały ze zdumienia Richard patrzył w ślad za nimi. Potem z ociąganiem odwrócił się ku nieznajomej - bał się, że ujrzy ją leżącą bez życia. Tymczasem siedziała na ziemi, wsparta o skalną ścianę, wyczerpana, lecz nie ranna. Jakby nieobecna, zapatrzona w coś odległego. Wszystko rozegrało się tak szybko, że Richard nie pojmował, co i jak się stało. Teraz on i kobieta byli sami, dokoła panowała cisza.

Chłopak przysiadł obok nieznajomej, na rozgrzanej słońcem skale. Głowa bolała go przeraźliwie; to skutek zderzenia z kamiennym urwiskiem. Wiedział, że kobiecie nic się nie stało, nie zadawał więc zbędnych pytań. Oboje byli zbyt znużeni, żeby rozmawiać. Nieznajoma spostrzegła krew na swojej dłoni i wytarła ją o skałę, już upstrzoną czerwonymi plamami. Richard o mało nie zwymiotował. Nie mógł uwierzyć, że żyją. To było zbyt nieprawdopodobne. I co to za bezgłośny grzmot? Czemu poczuł wówczas taki ból w całym ciele? Nigdy przedtem nie doświadczył czegoś takiego. Aż się otrząsnął na samo wspomnienie. Cokolwiek to było, ona miała z tym coś wspólnego i ocaliła mu życie. Wydarzyło się coś niesamowitego i Richard wcale nie był pewny, czy chce wiedzieć, co to właściwie było.

Nieznajoma, oparłszy głowę o skalną ścianę, spojrzała na chłopaka.

- Nawet nie wiem, jak ci na imię. Już przedtem chciałam zapytać, ale bałam się mówić. - Wskazała urwisko. - Bardzo się ich bałam... Nie chciałam, żeby nas znaleźli.

Richard pomyślał, że może jest bliska płaczu. Ale nie, nie była. To raczej on chętnie by się rozpłakał. Skinieniem głowy potwierdził, że i on chciał uniknąć spotkania z czterema mężczyznami. Potem rzekł:

- Nazywam się Richard Cypher.

Zielone oczy uważnie go obserwowały; lekki wiaterek zwiał pasemka włosów na twarz kobiety. Uśmiechnęła się.

- Niewielu jest takich, którzy stanęliby u mego boku - powiedziała i chłopak uznał, że głos jest równie atrakcyjny jak postać i że harmonizuje z błyskiem inteligencji w oczach nieznajomej. - Jesteś niezwykłym człowiekiem, Richardzie Cypher.

Richard, ku swemu niezadowoleniu, poczuł, że się rumieni. Patrzyła w przeciwną stronę, odgarniając z twarzy kosmyk włosów i udała, że nie dostrzega rumieńców chłopca.

- Jestem... - chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Odwróciła się ku Richardowi. - Mam na imię Kahlan. Z rodziny Amnell.

Długo patrzył jej w oczy.

- Ty także jesteś niezwykłą osobą, Kahlan Amnell. Niewielu by walczyło tak jak ty.

Nie zarumieniła się, lecz obdarzyła go jeszcze jednym uśmiechem. To był dziwny, specyficzny uśmiech. Wargi kryły biel zębów, jak przy wymianie tajemnic. W oczach dziewczyny zatańczyły iskierki. Uśmiech zaufania i wspólnoty.

Richard dotknął bolesnego guza z tyłu głowy, obejrzał palce. Nie były poplamione krwią, a przysiągłby, że powinien krwawić. Znów spojrzał na kobietę, po raz kolejny się zastanawiał, co też ona zrobiła i jak tego dokonała. Najpierw był ten bezgłośny grom, a potem on strącił z urwiska jednego z napastników; jeden z tamtych dwóch (tych bliżej kobiety) zabił swego towarzysza zamiast niej, po czym uśmiercił dowódcę i samego siebie.

- I cóż, Kahlan, przyjaciółko, czy mi powiesz, jak to się stało, że to my żyjemy, a tamci czterej nie?

- Mówisz serio? - zdziwiła się.

- O co ci chodzi?

- Nazwałeś mnie przyjaciółką - odparła z wahaniem.

- Pewnie. - Richard wzruszył ramionami. - Sama dopiero co powiedziałaś, że stanąłem u twego boku. Tak postępuje przyjaciel, czyż nie? - Uśmiechnął się do niej.

- Sama nie wiem. - Kahlan odwróciła głowę, dotknęła rękawa swojej szaty. - Nigdy przedtem nie miałam przyjaciela. Z wyjątkiem mojej siostry...

Chłopak wyczuł w jej głosie ból.

- Teraz więc masz - rzekł ochoczo. - W końcu parę chwil temu przeżyliśmy razem straszliwą przygodę. Pomogliśmy sobie nawzajem i wyszliśmy z tego cało.

Kahlan przytaknęła. Richard popatrzył na Ven, na lasy, w których czuł się jak w domu. Zieleń pyszniła się w blasku słońca. Spojrzał w lewo, na brązowe plamy - to umierające drzewa, stojące wśród zdrowych pobratymców. Kiedy rankiem znalazł Owo pnącze, które go ukąsiło, nie miał pojęcia, że dostało się tu od granicy, przenosząc się lasem. Rzadko chodził do Ven, w pobliże granicy. Starsi omijali ją o całe mile. Niektórzy podchodzili bliżej, jeśli podróżowali Szlakiem Sokolników lub podczas polowań, lecz każdy uważał, by się nie znaleźć zbyt blisko. Granica oznaczała śmierć. Mówiono, że wejście w pas graniczny to nie tylko śmierć, ale i narażanie duszy. Strażnicy nie zaniedbywali niczego, by trzymać ludzi z daleka.

- A co z resztą? - Zerknął na Kahlan z ukosa. - Że przeżyliśmy. Jak to się stało?

- Sądzę, że chroniły nas dobre duchy. - Nie spojrzała mu w oczy. Richard oczywiście w to nie uwierzył. Bardzo chciał znać odpowiedź na swoje pytanie, lecz nie miał zwyczaju zmuszać innych do zdradzenia tego, co woleli zataić. Ojciec nauczył go, że każdy ma prawo do swoich tajemnic. Kahlan sama mu wszystko powie, jeśli i kiedy zechce; nie będzie jej do tego zmuszać.

Każdy ma swoje sekrety. Richard też miał. Tkwiły jak zadra w jego myślach (wraz z morderstwem ojca i wydarzeniami tego poranka).

- Przyjaciele nie muszą sobie mówić tego, co chcą zachować w tajemnicy, Kahlan. I dalej pozostają przyjaciółmi - oznajmił Richard, chcąc ją uspokoić.

Nie spojrzała nań, lecz skinęła potakująco.

Chłopak wstał. Głowa go bolała, dłoń też i dopiero teraz poczuł, jak dokucza mu ślad po uderzeniu pięścią. Na domiar wszystkiego poczuł głód. Michael! Zapomniał o przyjęciu u brata! Spojrzał na słońce i już wiedział, że się spóźni. Miał nadzieję, że zdąży chociaż na mowę Michaela. Zabierze ze sobą Kahlan, opowie wszystko bratu i uzyska dla niej ochronę. Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Richard nie cofnął ręki. Kahlan spojrzała mu w oczy i przyjęła pomoc.

- Żaden przyjaciel nie podał ci nigdy dłoni? - Uśmiechnął się chłopak.

- Nie. - Kobieta odwróciła oczy.

Richard dostrzegł jej zmieszanie i zmienił temat.

- Kiedy ostatnio jadłaś?

- Dwa dni temu - odparła obojętnie.

- To musisz być o wiele bardziej głodna niż ja. - Uniósł brwi ze zdumieniem. - Zabiorę cię do mojego brata - dodał, patrząc w dół urwiska. - Musi się dowiedzieć o tych ciałach. Czy wiesz, kim byli ci mężczyźni, Kahlan? Zielone oczy patrzyły twardo.

- To bojówka. Są... Są zabójcami. Wysyła się ich, by zabili... - Ugryzła się w język. - Mordują ludzi - poprawiła się. Jej twarz znów była spokojna i poważna, jak wtedy, kiedy się spotkali. - Uważam, że im mniej ludzi będzie o mnie wiedzieć, tym będę bezpieczniejsza.

Richard był wstrząśnięty. Nigdy przedtem nie słyszał o czymś takim. Przeczesał włosy palcami, próbując to przemyśleć. Znów zawirowały ciemne, mroczne myśli. Z jakiegoś powodu bał się tego, co Kahlan mogła powiedzieć, lecz musiał zapytać.

- Skąd przyszła bojówka, Kahlan? - Patrzył stanowczo w jej oczy i ufał, że tym razem odpowie.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w twarz Richarda.

- Musieli mnie śledzić już w Midlandach i przez granicę.

Richard zdrętwiał, poczuł mróz, wstrząsnęły nim dreszcze. Obudził się w nim głęboko ukryty gniew, niespokojnie poruszyły się sekretne myśli.

Ona na pewno kłamie. Nikt nie może przekroczyć granicy.

Nikt.

Nikt nie może przejść do Midlandów ani się stamtąd zjawić. Granica odcięła owe ziemie, jeszcze zanim on, Richard, się urodził.

Midlandy były krainą magii.

Rozdział trzeci

Dom Michaela, solidna budowla z białego kamienia, wznosił się w pewnym oddaleniu od drogi. Fantazyjnie powyginane dachy, kryte łupkowymi dachówkami, zbiegały się u szczytu ze wzmocnionego ołowiem szkła. Świetlik znajdował się nad głównym holem. Wielkie białe dęby ocieniały dróżkę wiodącą do domu, chroniąc ją przed jaskrawym popołudniowym słońcem. Biegła poprzez rozległe łąki i docierała do ukwieconych ogrodów. Richard wiedział, że kwiaty wyhodowano w cieplarniach specjalnie na tę okazję - przecież była już późna jesień!

Wystrojeni goście przechadzali się wśród łąk i po ogrodach. Richard poczuł się nieswojo. Na pewno fatalnie się prezentował w swoim brudnym, przepoconym ubraniu, ale nie chciał tracić czasu na pójście do własnego domu i przebranie się. Poza tym był akurat w ponurym nastroju i mało go obchodziło to, jak wygląda. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Za to Kahlan świetnie tu pasowała, strojna w swoją dziwną, elegancką szatę. Wcale nie było widać, że i ona dopiero co wyszła z lasów. Na Urwistym Wierchu polało się tyle krwi, a szata dziewczyny była czysta, dziwił się Richard. Jakoś uniknęła poplamienia krwią, kiedy tamci się nawzajem zabijali.

Chłopak bardzo się zdenerwował, usłyszawszy, że przybyła z Midlandów, poprzez granicę, Kahlan więc już o tym nie mówiła. Musiał to sobie przemyśleć, powolutku się z tym oswoić. Za to wypytywała go o Westland, o mieszkających tu ludzi, o jego dom. Richard opowiedział jej o swojej chatce w lesie, o tym, że woli mieszkać z dala od miasta, że jest przewodnikiem w Lasach Hartlandzkich.

- Masz w domu palenisko? - spytała Kahlan.

- Tak.

- Korzystasz z niego?

- Tak, wciąż coś gotuję. Dlaczego?

- Po prostu zapomniałam posiedzieć przed ogniem - odparła, wzruszając ramionami i odwracając wzrok.

Tyle się już tego dnia wydarzyło, myślał chłopak, że dobrze mieć z kim pogadać, nawet jeśli ten ktoś nie zdradza swoich sekretów, choć stale o nich napomyka.

- Zaproszenie, sir? - rozległ się czyjś bas z cienia przy wejściu.

Zaproszenie? Richard się odwrócił, chcąc zobaczyć, kto go tak wita i ujrzał psotny uśmieszek. Też się uśmiechnął. To był Chase, jego przyjaciel, strażnik

graniczny. Przywitali się serdecznie.

Chase był wielkim mężczyzną, gładko wygolonym, o jasnobrązowych, siwiejących na skroniach włosach. Gęste brwi ocieniały uważne, piwne oczy, które zawsze wszystko widziały, strzelając na boki, nawet podczas rozmowy. Toteż ludzie często mieli wrażenie - całkowicie mylne! - że nie zwraca uwagi na to, co mówią. Richard świetnie wiedział, jaki jego przyjaciel potrafi być szybki w razie potrzeby. Chase miał u pasa parę noży i bojową maczugę, znad prawego ramienia sterczała mu rękojeść krótkiego miecza, na lewym zawiesił łuk i kołczan ze strzałami o kolczastych, metalowych grotach.

- Wyglądasz, jakbyś zamierzał wywalczyć swoją działkę poczęstunku - zażartował Richard.

- Nie jestem tutaj jako gość. - Chase przestał się uśmiechać i spojrzał na Kahlan.

Zakłopotany chłopak ujął ramię dziewczyny i przyciągnął ją bliżej. Podeszła spokojnie, bez lęku.

- To moja przyjaciółka, Kahlan, Chase. - Richard uśmiechnął się do niej. - A to Dell Brandstone. Wszyscy mówią do niego Chase. Jest moim starym przyjacielem. Przy nim nic nam nie grozi. - Odwrócił się do tamtego. - Możesz jej zaufać.

Kahlan przyjrzała się wielkiemu mężczyźnie, uśmiechnęła się doń i skinęła przyjaźnie głową. Odwzajemnił się jej. Wystarczyło mu słowo Richarda, uznał sprawę za wyjaśnioną. Uważnie obserwował tłum, zatrzymując wzrok na niektórych osobach, sprawdzał, kto się zbytnio zainteresował ich trójką. Odsunął tamtych dwoje na bok, w cień, nie chcąc, by stali na zalanych słońcem stopniach.

- Twój brat zwołał wszystkich granicznych strażników. - Chase przerwał i rozejrzał się wkoło. - Mamy być jego ochroną.

- Co takiego?! To bez sensu! - zdumiał się Richard. - Ma przecież gwardzistów i wojsko. Po co mu jeszcze graniczni strażnicy?

- Właśnie. - Chase położył dłoń na rękojeści noża, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji (jak zwykle zresztą). - Może po prostu chce nas mieć w pobliżu, żeby zaimponować. Ludzie się boją strażników. Kiedy zamordowano twojego ojca, niemal się przeniosłeś do lasów; nie twierdzę, że na twoim miejscu nie postąpiłbym tak samo. Chciałem tylko powiedzieć, że cię tutaj nie było. A działy się dziwne rzeczy, Richardzie. Jakieś osoby przychodziły nocą i nocą odchodziły. Michael nazywa ich „zaangażowanymi obywatelami”. Opowiada też jakieś banialuki o spisku przeciwko

rządowi. Strażnicy są wszędzie naokoło.

Richard się rozejrzał, ale nie dostrzegł żadnego strażnika. Wiedział jednak, że to o niczym nie świadczy. Jeżeli strażnik graniczny chce pozostać w ukryciu, to go nie dostrzeżesz, choćby ci nadepnął na odcisk.

- Moi chłopcy tu są, mówię ci. - Chase bębnił palcami po rękojeści noża i patrzył, jak chłopak uważnie się rozgląda.

- A skąd wiesz, że Michael nie ma racji? Przecież zamordowano ojca Pierwszego Rajcy i w ogóle.

- Sam wiesz, że znam wszystkie grzeszki Westlandu. - Chase skrzywił się z niesmakiem i oburzeniem. - Nie ma żadnego spisku. Przynajmniej coś by się tu działo, gdyby był, miałbym jakąś rozrywkę, a tak jestem tylko dla ozdoby. Michael zapowiedział, że mam się rzucać w oczy. - Spoważniał. - A co do zamordowania twego ojca... Cóż, George Cypher i ja znaliśmy się na długo przedtem, zanim przyszedłeś na świat, jeszcze zanim ustanowiono granicę. Jestem dumny z tego, że był moim przyjacielem. - W oczach Chase’a zapłonął gniew. - Wykręciłem kilka paluszków - rzucił i przenosząc ciężar ciała na drugą nogę, uważnie obserwował otoczenie. - Mocno wykręciłem. Tak, że ich właściciele wydaliby nawet własną matkę, gdyby ona to zrobiła. Nikt o niczym nie wiedział, a możesz mi wierzyć na słowo, że z radością by mi wszystko opowiedzieli. Byle tylko zakończyć naszą konwersację! Po raz pierwszy mi się zdarzyło, że ścigam kogoś, a nie mogę złapać najlżejszego śladu. - Skrzyżował ręce i przyjrzał się Richardowi z uśmiechem. - Hmm, jeśli już mowa o grzeszkach, to gdzie się włóczyłeś? Wyglądasz jak jeden z tych moich typków.

- Byliśmy w górnym Ven - odparł chłopak, spojrzawszy najpierw na Kahlan. Ściszył głos i dodał: - Napadło na nas czterech mężczyzn.

- Znam ich? - Chase uniósł brew.

Richard przecząco potrząsnął głową.

- I gdzież oni teraz są? - spytał strażnik, marszcząc brwi.

- Znasz szlak przez Urwisty Wierch?

- Jasne.

- Leżą na skałach pod urwiskiem. Musimy pogadać.

- Rzucę tam okiem. - Chase opuścił ręce, przyjrzał się uważnie Richardowi i Kahlan. Znów zmarszczył brwi. - Jak tego dokonaliście?

Tamtych dwoje wymieniło spojrzenia i chłopak odparł niewinnie:

- Chyba chroniły nas dobre duchy.

- Ach tak... - Chase przyjrzał się im podejrzliwie. - Cóż, lepiej teraz nie mówić o tym Michaelowi. Coś mi się zdaje, że on nie wierzy w dobre duchy. - Uważnie obserwował twarze obydwojga. - Możecie się zatrzymać u mnie, jeśli chcecie. Będziecie w miarę bezpieczni.

Richard pomyślał o dzieciach Chase'a. Nie chciał ich narażać, lecz uznał, że to nie pora i nie miejsce na dyskusję, więc po prostu się zgodził.

- Lepiej wejdziemy do środka. Michael pewno sądzi, że już nie przyjdę.

- Jeszcze jedno - powstrzymał go Chase. - Zedd chce cię zobaczyć. Coś go ostatnio gryzie. Mówił, że to naprawdę ważne.

Richard zerknął przez ramię i zobaczył tę samą wężowatą chmurkę.

- Coś mi się wydaje, że i ja powinienem się z nim zobaczyć - stwierdził i odwrócił się, by odejść.

- Co robiłeś w górnym Ven, Richardzie? - spytał Chase, łypiąc groźnie.

Każdy ugiąłby się pod tym spojrzeniem, lecz nie Richard.

- To samo, co ty. Szukałem śladu.

- I co, znalazłeś? - Tamten złagodniał, niemal znów się uśmiechnął.

Chłopak skinął głową i uniósł czerwoną, obolałą lewą dłoń.

- Tak. I to kąsający.

Richard i Kahlan wmieszali się w tłum gości wchodzących do domu. Po białych marmurowych stopniach weszli wraz z innymi do głównego holu. Marmurowe ściany i kolumny lśniły w promieniach słońca, wpadających przez świetlik w dachu. Chłopak zawsze wolał przytulność drewna, lecz Michael uważał, że z drewna każdy sam może zrobić, co zechce, a żeby mieć marmury, trzeba wynająć ludzi mieszkających w drewnianych domach i oni wykonają dla ciebie robotę. Richard przypomniał sobie, że kiedy żyła jeszcze ich matka, wtedy on i Michael bawili się razem, budując z patyczków domy i forty. Brat mu wówczas pomagał. Tak by chciał, żeby i teraz mu pomógł.

Witali go ludzie, których znał, a Richard odwzajemniał się krótkim uściskiem dłoni lub sztywnym uśmieszkiem. Kahlan była tu obca, lecz swobodnie się czuła wśród tych ważniaków. Chłopak pojął, że i ona musi być kimś ważnym. W końcu mordercy nie polują na pierwszego lepszego.

Richardowi trudno się było uśmiechać do wszystkich. Jeżeli pogłoski o tym, co idzie od granicy, są prawdziwe, to Westland jest w niebezpieczeństwie. Wieśniacy

z obrzeży Hartlandu i tak już się bali wychodzić nocą z domów. Opowiadali mu historie o częściowo zjedzonych ludziach. Uspokajał ich, że owi biedacy pewno zmarli naturalną śmiercią, a dzikie zwierzęta znalazły ciała. Odpowiadali, że to dzieło bestii spadającej z nieba. On zaś uznał, że to bajdy przesądnych prostaczków.

I sądził tak aż do dziś.

Richard czuł się przeraźliwie samotny, choć wokół było mnóstwo ludzi. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Nie wiedział, do kogo się zwrócić. Tylko przy Kahlan lepiej się czuł, choć jednocześnie go przerażała. Walka na urwisku wytrąciła go z równowagi. Chciał wraz z dziewczyną odejść z domu brata. Zedd wiedziałby, co robić. Mieszkał w Midlandach, zanim się pojawiła granica, ale nigdy nie opowiadał o tych czasach. I jeszcze to dziwaczne uczucie, że to wszystko ma coś wspólnego ze śmiercią jego, Richarda, ojca, a owa śmierć jakoś się łączy z sekretami, które ojciec powierzył tylko jemu.

- Tak mi przykro, Richardzie. - Kahlan położyła dłoń na ramieniu chłopaka. - Nie wiedziałam... Nie wiedziałam o twoim ojcu. Współczuję ci.

- Dzięki.

Niebezpieczeństwa minionego dnia sprawiły, że Richard niemal o tym zapomniał, dopiero słowa Chase’a... Niemal zapomniał. Zaczekał, aż minie ich kobieta w niebieskiej jedwabnej sukni, ozdobionej koronkowymi mankietami i takimże kołnierzem. Patrzył w podłogę - nie miał ochoty odwzajemniać ewentualnego uśmiechu.

- To się wydarzyło przed trzema tygodniami - dodał i opowiedział Kahlan, co się stało.

- Ogromnie ci współczuję, Richardzie. Może wolałbyś zostać sam?

- Nie, nie, w porządku. - Zmusił się do uśmiechu. - Już wystarczająco długo byłem sam. Dobrze jest mieć przyjaciela, z którym można pogadać.

Kahlan uśmiechnęła się do niego i skinęła głową. Richard zastanawiał się, gdzie jest Michael. Dziwne, że się jeszcze nie pokazał. Nie czuł głodu, ale pamiętał, że dziewczyna nie jadła od dwóch dni. Wspaniale się kontroluje, myślał Richard, przecież tyle tu pyszności. Zachęcające aromaty sprawiły, że i jemu pociekła ślinka. Pochylił się ku dziewczynie.

- Głodna?

- O, tak.

Poprowadził ją do długiego stołu zastawionego rozmaitymi potrawami. Stały

tam półmiski dymiących mięs i kiełbasek, misy gorących ziemniaków, talerze z różnymi suszonymi rybami, tace z pieczonymi na ruszcie rybami, kurczakami i indykami, całe mnóstwo warzyw; wazy z kapuśniakiem, zupą cebulową i zupą korzenną, półmiski z chlebem, serami, owocami i ciastkami, no i oczywiście beczułki wina i piwa. Służące dbały o to, by potraw nie ubywało. Kahlan przyjrzała im się.

- Niektóre z nich mają długie włosy. U was tak wolno?

- Tak. - Zdumiony Richard rozejrzał się wokół. - Każdy nosi taką fryzurę, jaką chce. Popatrz. - Pochylił się ku niej i dyskretnie wskazał grupkę kobiet. - To radne. Jedne mają długie włosy, inne krótkie. Jak im się podoba. - Zerknął na Kahlan. - Czyżby ktoś ci powiedział, żebyś ścięła włosy?

- Nie. Nikt mnie nigdy o to nie prosił. Po prostu tam, skąd pochodzę, długość włosów kobiety mówi o jej społecznym statusie.

- To znaczy, że jesteś kimś wysoko postawionym? - Uśmiechem złagodził szorstkość pytania. - Bo masz takie piękne, długie włosy.

- Niektórzy tak sądzą - odparła ze smutnym uśmiechem. - Myślałam, że dzisiejszy poranek czegoś cię nauczył. Możemy być tylko tym, czym jesteśmy, niczym więcej i niczym mniej.

- No cóż, kopnij mnie, jeżeli spytam o coś, co przyjaciel powinien przemilczeć.

Uśmiechnęła się doń jak na Urwistym Wierchu. Odwzajemnił uśmiech. Wypatrzył swoją ulubioną potrawę: żeberka w korzennym sosie. Nałożył trochę na talerz i podał dziewczynie.

- Spróbuj najpierw tego. To moje ulubione danie.

- Z jakiego stworzenia pochodzi to mięso? - Trzymała talerz w wyciągniętej ręce i przyglądała mu się podejrzliwie.

- To wieprzowina - odparł nieco zdumiony chłopak. - No wiesz, ze świni. Spróbuj, to najsmaczniejsze z tych dań.

Kahlan odetchnęła z ulgą i zjadła mięso. Richard nałożył sobie hojnie ulubionej potrawy i pałaszował z apetytem, rozkoszując się każdym kęsem.

- Teraz to. - Nałożył Kahlan i sobie kiełbasek.

- Z czego je zrobiono? - znów się zaniepokoiła.

- Z wołowiny i wieprzowiny, plus jakieś przyprawy. Nie wiem dokładnie jakie. Dlaczego pytasz? Czyżbyś nie jadała niektórych potraw?

- Tylko niektórych - odparła wymijająco. - Czy mógłbyś mi podać zupy

korzennej?

Richard nalał zupy do delikatnej białej miseczki ze złocistą obwódką i przyniósł Kahlan. Ujęła miseczkę w dłonie i spróbowała.

- Pyszna, zupełnie jakbym ją sama przyrządziła - stwierdziła z uśmiechem. - Coś mi się wydaje, że nasze krainy nie różnią się aż tak, jak się tego obawiasz. - Wypiła resztę zupy.

Richard, ucieszony słowami dziewczyny, wziął kromkę chleba i obłożył ją mięsem kurczaka; podał kanapkę Kahlan. Wzięła ją i odeszła od stołu, zajadając po drodze. Richard odstawił pustą Miseczkę i podążył za dziewczyną, wymieniając z tym i owym ścisk dłoni. Ludzie, z którymi się witał, zerkali krytycznie na jego strój. Kahlan zatrzymała się w pobliżu kolumny i odwróciła ku Richardowi.

- Czy mógłbyś mi przynieść kawałek sera?

- Oczywiście. Jakiego?

- Obojętnie - odparła, obserwując ciżbę.

Chłopak przecisnął się przez tłum do stołu z żywnością i wziął dwa kawałki sera. Jeden z nich pogryzał w drodze powrotnej, drugi podał dziewczynie. Wzięła ser, lecz wcale go nie zjadła. Opuściła rękę wzdłuż boku i upuściła ów kawałek sera na podłogę, jakby zapominając, że go trzyma w dłoni.

- Wolałabyś inny?

- Nienawidzę sera - powiedziała dziwnym tonem, patrząc na coś za plecami chłopaka.

- To po co o niego prosiłaś - zirytował się Richard.

- Nie odwracaj ode mnie oczu. - Znów spojrzała na chłopaka. - W głębi pokoju, za tobą, stoją dwaj mężczyźni. Obserwowali nas. Chciałam się przekonać, czy patrzą na mnie, czy na ciebie. Nie spuszczali cię z oka, kiedy szedłeś po ser i kiedy wracałeś. Na mnie w ogóle nie zwrócili uwagi. To ciebie obserwują.

Richard położył dłonie na ramionach dziewczyny i okręcił ją dookoła; zamienili się miejscami. Popatrzył nad głowami gości w najdalszy kąt komnaty.

- To tylko dwaj pomocnicy Michaela. Znają mnie. Pewno się zastanawiają, gdzie się podziewałem i czemu się nie przebrałem. - Spojrzał dziewczynie w oczy i dodał cichutko: - Wszystko w porządku, Kahlan. Uspokój się. Ludzie, którzy cię napadli rankiem, nie żyją. Jesteś bezpieczna.

- Mogą się pojawić następni. - Potrząsnęła głową. - Nie powinnam z tobą zostać. Nie chcę cię znów narażać na niebezpieczeństwo. Jesteś moim przyjacielem.

- Druga bojówka cię już nie wyśledzi, nie tu, w Hartlandzie. To niemożliwe. - Sporo wiedział o tropieniu, był więc przekonany, że mówi prawdę.

Kahlan ujęła go za kołnierz i przyciągnęła twarz chłopaka do swojej. W zielonych oczach błysnął gniew. Szepnęła chrapliwie:

- Kiedy opuszczałam mój rodzinny kraj, pięciu czarodziei rzuciło specjalne uroki, żeby nikt nie wiedział, dokąd się udaję, i nie mógł za mną iść. Potem się zabili, aby nie można ich było zmusić do wydania całej sprawy! - Zacisnęła gniewnie zęby, w oczach pojawiły się łzy. Drżała.

Czarodzieje! Richard zesztywniał. Potem odzyskał oddech, łagodnie zdjął rękę Kahlan ze swojego kołnierza i przytrzymał w dłoniach. Ledwo dosłyszalnie szepnął:

- Tak mi przykro. Współczuję ci.

- Strasznie się boję, Richardzie! - Dziewczyna znów drżała. - Nawet nie wiesz, co by się ze mną stało, gdybyś mi wtedy nie pomógł. Śmierć to najlepsze, co mogłoby mnie spotkać. Nic nie wiesz o tych ludziach. - Trzęsła się coraz bardziej, nie mogąc opanować przerażenia.

Richard dostał gęsiej skórki. Przesunął Kahlan za kolumnę, by nikt ich nie widział.

- Tak mi przykro. Przecież w ogóle nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Ty przynajmniej choć trochę się w tym orientujesz, a ja nic a nic. Też się boję. Dziś na urwisku... Jeszcze nigdy nie byłem tak przerażony. I naprawdę niewiele zrobiłem, by nas ocalić. - Wiedział, że dziewczyna bardzo potrzebuje pocieszenia.

- Zrobiłeś to, co trzeba - odparła z trudem. - Akurat tyle, by nas ocalić. Może ci się wydawać, że niewiele uczyniłeś, lecz właśnie swoim wtrąceniem się zmieniłeś sytuację na naszą korzyść. Gdybyś mi nie pomógł... Nie chciałabym, żebyś przeze mnie wpadł w tarapaty.

- Nic mi nie będzie. - Richard mocniej ścisnął dłoń dziewczyny. - Mam przyjaciela, nazywa się Zedd. Może on nam powie, co powinniśmy zrobić. Jest trochę dziwny, ale to najmądrzejszy człowiek, jakiego znam. Jeśli w ogóle ktoś mógłby nam doradzić, to na pewno Zedd. Skoro wszędzie mogą cię wyśledzić, to nie masz dokąd uciec. I tak by cię znaleźli. Chodź ze mną do Zedda. Pójdziemy do mnie, kiedy tylko Michael wygłosi tę swoją mowę. Posiedzisz sobie przed ogniem, a rankiem zaprowadzę cię do Zedda. - Uśmiechnął się i skinął w stronę okna. - Spójrz tam.

Popatrzyła. Za wysokim, koliście sklepionym oknem stał Chase. Strażnik granicy zerknął przez ramię i uśmiechnął się do Kahlan. I znów uważnie obserwował

otoczenie.

- Dla Chase'a taka bojówka to kaszka z mlekiem. Rozprawiłby się z nią gładko, opowiadając jednocześnie historyjkę o prawdziwych kłopotach. Strzeże cię, od kiedy mu opowiedzieliśmy o tamtych mężczyznach.

Na ustach Kahlan pojawił się słaby uśmiech, lecz zaraz znikł.

- Jest jeszcze coś, Richardzie. Myślałam, że w Westlandzie będę bezpieczna. I powinnam być. Przedostałam się przez granicę tylko dzięki pomocy magii. - Wciąż drżała, lecz powoli odzyskiwała samokontrolę. Czerpała siły od chłopaka. - Nie wiem, jak im się udało przedostać tu za mną. To się nie powinno stać. Mieli w ogóle nie wiedzieć, że opuściłam Midlandy. Coś się musiało zmienić.

- Jutro się nad tym zastanowimy. Na razie jesteś bezpieczna. Poza tym i tak będą potrzebowali kilku dni, żeby tu dotrzeć, nieprawdaż? Zdążymy coś wymyślić.

- Dzięki ci, Richardzie Cypherze. - Skłoniła głowę. - Mój przyjacielu. Wiedz jednak, że odejdę, gdyby moja obecność miała sprowadzić na ciebie nieszczęście. - Cofnęła dłoń i otarła oczy. - Wciąż jestem głodna. Może jeszcze coś zjemy?

- Jasne. A co byś chciała? - Richard uśmiechnął się.

- Kolejną porcyjkę twojego ulubionego przysmaku?

Wrócili do stołu i zajadali, czekając na Michaela. Richard był w o wiele lepszym nastroju, bo choć czegoś się dowiedział i sprawił, że Kahlan czuła się bezpieczniej. Znajdzie rozwiązanie jej problemów i dowie się, co też się właściwie dzieje z granicą. Dowie się, o co chodzi, choćby nawet wieści nie były zbyt przyjemne.

Tłum zaszemrał, wszystkie głowy zwróciły się ku odległemu krańcowi pokoju. Pojawił się Michael. Richard ujął dłoń Kahlan i poprowadził dziewczynę bliżej brata.

Michael wszedł na podwyższenie i chłopak dopiero teraz zrozumiał, dlaczego brat tak późno się zjawił. Czekał, żeby słońce oświetliło tę część holu, by mógł stanąć w pełnym blasku i chwale. Starszy brat był nie tylko niższy, ale grubszy i nie tak umięśniony jak Richard. Niesforna czupryna lśniła w słonecznych promieniach. Nad górną wargą pysznił się wąsik. Ubrany był w luźne białe spodnie i białą tunikę z rękawami bez mankietów, przepasaną złocistym pasem. Michael lśnił w słonecznym blasku, roztaczał chłodny przepych, zupełnie jak jego marmury. Jaśniał na ciemniejszym tle.

Richard uniósł rękę, by przyciągnąć uwagę brata. Michael zauważył go i uśmiechnął się do niego, przez chwilę patrzył mu w oczy, potem przeniósł spojrzenie

na tłum gości i zaczai przemowę.

- Panie i panowie, dzisiaj przyjąłem stanowisko Pierwszego Rajcy Westlandu. - Zabrzmiały okrzyki. Michael słuchał przez chwilę, potem wyrzucił ręce w górę, prosząc o ciszę; zaczekał, aż wszyscy umilkli. - Wybrali mnie wszyscy rajcy Westlandu, żebym przewodził w tych trudnych czasach, bo mam odwagę i wizję wprowadzenia zmian. Zbyt długo patrzyliśmy w przeszłość, zamiast się zwrócić ku przyszłości. Zbyt długo opędzaliśmy się od dawnych strachów, głusi na zew nowego! Zbyt długo słuchaliśmy tych, którzy parli do wojny, i lekceważyliśmy tych, którzy wybraliby pokój!

Tłum oszalał. Richard osłupiał. O czym ten Michael gada? Jaka wojna? Niby z kim mieliby walczyć?!

Michael znów uniósł rękę i podjął, nie czekając tym razem na ciszę:

- Nie będę się bezczynnie przyglądał, jak owi zdrajcy prowadzą kraj do zguby! - Poczerwieniał z gniewu.

Tłum zaryczał, uniosły się zaciśnięte gniewnie pięści, wykrzykiwano imię Michaela. Richard i Kahlan spojrzeli po sobie.

- Zaangażowani, świadomi obywatele ustalili tożsamość owych tchórzy i zdrajców. I właśnie teraz, kiedy, chronieni przez strażników granicy, zebraliśmy się tutaj, by wytyczyć nową drogę postępowania, nowe cele, wojsko izoluje owych konspiratorów, spiskujących przeciwko władzy. A nie są to wcale pospolici przestępcy, lecz ludzie szacowni i wysoko postawieni!

Rozległy się pomruki. Richard był zdumiony. Czyżby to jednak była prawda? Spisek? Michael nie rzucałby słów na wiatr. Ludzie wysoko postawieni. To dlatego Chase o niczym nie wiedział.

Michael stał w blasku słońca, czekając, aż zapanuje cisza. Potem podjął już cichym, pełnym żaru głosem:

- Ale to już przeszłość. Teraz pójdziemy nową drogą. Wybrano mnie na Pierwszego Rajcę także dlatego, że jestem hartlandczykiem i całe dotychczasowe życie spędziłem w cieniu granicy. Cieniu, który padał na życie nas wszystkich. Tak było w przeszłości. Lecz blask nowych dni odpędza precz mrok nocy i pokazuje nam, że owe lęki to wytwory naszych własnych umysłów. Musimy patrzeć w przyszłość, bo nadejdzie dzień, kiedy granica zniknie. Nic przecież nie trwa wiecznie, nieprawdaż? Gdy ów dzień wreszcie nadejdzie, powinniśmy wyciągnąć rękę na zgodę, a nie potrząsać dłonią zbrojną w miecz, jak by to nam niektórzy doradzali. I co

doprowadziłoby do wojny, do niepotrzebnej śmierci wielu ludzi. Czyż mamy marnować siły i środki, sposobiąc się do walki z tymi, od których tak długo oddzielała nas granica? Z przodkami wielu z nas? Czyż mamy zadać gwałt naszym siostrom i braciom tylko dlatego, że ich nie znamy? Cóż by to było za marnotrawstwo! Wszelkie dostępne środki należy przeznaczyć na zaspokojenie pilnych potrzeb współobywateli. A kiedy nadejdzie czas - być może nie stanie się to za naszego życia, lecz ów czas na pewno nadejdzie - powinniśmy być gotowi na powitanie naszych dawno nie widzianych braci i sióstr. Musimy zjednoczyć nie tylko te dwa kraje, ale wszystkie trzy! Bo pewnego dnia zniknie również granica między Midlandami i D'Hara, tak jak przedtem rozwiała się granica pomiędzy Midlandami i Westlandem i wszystkie trzy krainy znów się zespolą w jedną! Żyjemy więc, oczekując dnia, kiedy ogarnie nas radość zjednoczenia! Niech działanie na rzecz połączenia zacznie się już dzisiaj, właśnie tu, w Hartlandzie! To dlatego postanowiłem powstrzymać tych, którzy wpędziliby nas w wojnę z naszymi braćmi i siostrami odzyskanymi po zniknięciu granic. Nie znaczy to jednak, że nie potrzebujemy wojska. Nigdy nie wiadomo, jakie przeszkody czekają nas na owej drodze do pokojowego istnienia, lecz jedno jest jasne: nie ma potrzeby sztucznie ich stwarzać! - Michael wyrzucił w górę rękę. - To my jesteśmy przyszłością! Waszym obowiązkiem, obowiązkiem rajców Westlandu, jest ponieść owo posłanie przez kraj. Zanieście dobrym ludziom posłanie pokoju. Dostrzegą szczerość w waszych sercach. Wspomóżcie mnie, proszę. Chcę, by wasze dzieci i wnuki odniosły korzyści z tego, co teraz tu postanowimy. Wybierzmy drogę pokoju, a kiedy nadejdzie czas, przyszłe pokolenia skorzystają na tym i będą nas za to błogosławić. - Michael pochylił głowę, zwinięte w pięści dłonie przyciskał do piersi. Stał w snopie promieni słonecznych.

Nikt się nie odezwał, tak ich poruszyła jego przemowa. Mężczyźni mieli łzy w oczach, kobiety płakały. Wszyscy wpatrywali się w Michaela stojącego nieruchomo jak kamienny posąg.

Richard był zdumiony. Jeszcze nigdy nie słyszał, by starszy brat przemawiał tak przekonująco i elokwentnie. Wszystko to brzmiało całkiem sensownie. W końcu on sam, Richard Cypher, przyszedł tutaj z kobietą spoza granicy, z Midlandów, z kobietą, która stała się jego przyjaciółką. Lecz tamci czterej chcieli go zabić. Nie, nie całkiem tak, pomyślał, to ją chcieli zabić, zaś on tylko wszedł im w drogę. Przecież obiecali, że puszczą go wolno, a on postanowił zostać i walczyć. Zawsze dotąd bał się tych spoza granicy, lecz teraz się zaprzyjaźnił z kimś stamtąd, dokładnie tak, jak

mówił Michael. Chłopak zaczął postrzegać brata w innym świetle. Słowa Michaela poruszyły tych wszystkich ludzi jak nigdy przedtem. Starszy brat orędował za pokojem i przyjaźnią z innymi ludami. Cóż się w tym mogło kryć złego?

Dlaczego on, Richard, czuł się tak nieswojo?

- Przejdźmy teraz do innych spraw - podjął Michael. - Do nieszczęść, które dotknęły naszych współobywateli. Martwiliśmy się o granice, które nie wyrządziły nikomu zła, a w tym samym czasie wielu naszych krewnych, przyjaciół czy sąsiadów cierpiało i zmarło. Tragiczne to i niepotrzebne śmierci, śmierci w ogniu. Tak, właśnie tak. W ogniu.

Rozległy się zdumione pomruki. Michael zaczął tracić kontakt z tłumem. Wydawało się, że liczy się z czymś takim. Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, pozwalając, by rosło zdumienie i zmieszanie, a potem nagle dramatycznym gestem wskazał kogoś.

Wskazał Richarda.

- Oto on! - krzyknął, a setki oczu spojrzało na Richarda. - Tam stoi mój ukochany brat! - Ów brat chętnie by się zapadł pod ziemię. - Mój ukochany brat i ja - tu Michael łupnął się z rozmachem w pierś - również przeżyliśmy tragedię: utraciliśmy w ogniu matkę! Ogień zabrał nam matkę, kiedy jeszcze byliśmy mali i musieliśmy dorastać bez niej, pozbawieni jej troskliwej opieki, miłości i porad. Zabrał ją nie jakiś wyimaginowany wróg spoza granicy, lecz ogień! Nie było jej przy nas, kiedy się skaleczyliśmy, nie pocieszała nas, gdy płakaliśmy w nocy. Owa tragedia wcale nie musiała się wydarzyć. Świadomość tego boli najbardziej. - Po twarzy Michaela płynęły łzy, lśniące w słonecznych promieniach. - Przepraszam was, przyjaciele, zechciejcie mi wybaczyć. - Otarł łzy chusteczką. - To wszystko przez to, że dzisiejszego ranka dowiedziałem się o kolejnej tragedii: młodzi rodzice zginęli w ogniu, osierocając córeczkę. Przypomniałem sobie własny ból i tragedię i nie mogłem zmilczeć.

Każdy z obecnych znów był po stronie Michaela. Ludzie płakali. Jakaś kobieta objęła odrętwiałego Richarda i szepnęła, jak bardzo mu współczuje.

- Zastanawiam się, ilu z was doświadczyło tego bólu, który co dnia dręczył mego brata i mnie. Niech podniosą rękę ci, których najbliżsi zginęli w ogniu lub zostali poparzeni - wezwał Michael.

Tu i tam uniosły się w górę ręce.

- Oto cierpienie wśród nas, przyjaciele - rzekł ochryple Pierwszy Rajca,

rozrzucając szeroko ramiona. - Wcale nie musimy szukać dalej niż w tej komnacie.

Dawno przeżyty koszmar znów ścisnął Richardowi gardło. Jakiś człowiek podejrzewał, że ich ojciec go oszukał, wściekł się i zrzucił lampkę ze stołu; obaj bracia spali w sypialni na tyłach domu. Ów mężczyzna wywlókł ich ojca, bijąc go przy tym, a matka wyniosła obu synków. Potem pobiegła z powrotem, żeby coś uratować z pożaru - nigdy się nie dowiedzieli, po co wróciła - i spłonęła żywcem. Obcy mężczyzna oprzytomniał, słysząc jej krzyki. On i ojciec próbowali ją ratować, lecz było za późno, już nic nie mogli zaradzić. Sprawca całego nieszczęścia uciekł z płaczem, przerażony tym, co uczynił, i pełen poczucia winy. Oto, do czego prowadzi utrata panowania nad sobą, powtarzał im tysiące razy ojciec. Michael zlekceważył słowa ojca, uznał je za banał, Richard za to wziął je sobie do serca. Zaczął się lękać skutków swojego gniewu i odpędzał od siebie owo uczucie, ilekroć się pojawiało.

Michael był w błędzie. To nie ogień zabił ich matkę, ale gniew. Starszy brat opuścił bezwładnie ręce, zwiesił głowę i odezwał się cicho:

- Jak możemy uchronić nasze rodźmy przed ogniem, przyjaciele? - Smutno potrząsnął głową. - Nie wiem. Nie wiem. Mam jednak zamiar utworzyć komisję, która się zajmie owym problemem, i wzywam wszystkich światłych, zaangażowanych obywateli żeby przedstawili swoje sugestie. Moje drzwi zawsze stoją tworem dla takich ludzi. Wspólnie na pewno coś wymyślimy. Wspólnie zaradzimy wszelkim kłopotom. A teraz, drodzy przyjaciele, zechciejcie mi wybaczyć i pozwólcie, bym pocieszył mojego brata. Na pewno się zdumiał, że publicznie opowiadam o naszej tragedii. Muszę go za to przeprosić.

Michael zeskoczył z podwyższenia, a tłum się rozstąpił, aby go przepuścić. Kiedy szedł wśród gości, dotknęło go kilka rąk. Udał, że tego nie zauważył.

Richard patrzył, jak brat idzie ku niemu. Tłum się odsunął. Jedynie Kahlan została u jego boku, palcami delikatnie muskając ramię chłopaka. Goście wrócili do stołu z poczęstunkiem, rozmawiali z ożywieniem, zapomnieli o Richardzie. On zaś stał dumnie wyprostowany i próbował odpędzić gniew.

Uśmiechnięty Michael klepnął brata w ramię.

- Wspaniała przemowa! - pogratulował sam sobie. - Co o tym sądzisz, bracie?

- Po co opowiedziałeś o jej śmierci? - Richard uparcie patrzył w marmurową podłogę. - Musiałeś wszystkim o tym powiedzieć? Musiałeś wykorzystać pamięć naszej matki?

- Wiem, że to cię zabolało. - Michael otoczył brata ramieniem. - Przepraszam,

że cię zraniłem. Uczyniłem to dla dobra sprawy. Widziałeś łzy w ich oczach? Zapoczątkowałem tu coś, co poprowadzi nas ku lepszemu życiu i sprawi, że Westland urośnie w siłę. Wierzę w to, co mówiłem. Z radością powinniśmy czekać na to, co niesie nam przyszłość... Z radością, nie ze strachem.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o granicach?

- Wszystko się zmienia, Richardzie. Muszę być przewidujący. - Uśmiech zniknął z twarzy Michaela. - To właśnie miałem na myśli. Granice nie będą trwały wiecznie. I chyba nigdy tego nie zakładano. Powinniśmy się oswoić z tą myślą, przygotować na ich zniknięcie.

- Czego się dowiedziałeś w sprawie śmierci ojca? - Richard zmienił temat. - Czy tropiciele coś wykryli?

- Dorośnij wreszcie, Richardzie. - Michael cofnął ramię. - George był starym głupcem. Zawsze zbierał rzeczy, które wcale do niego nie należały. Pewno natknął się na coś, co należało do niewłaściwej osoby. Do kogoś porywczego, zbrojnego w wielki nóż.

- To nieprawda! I świetnie o tym wiesz! - Richard nie znosił, gdy Michael nazywał ojca „George". - Nigdy w życiu niczego nie ukradł!

- Jeżeli bierzesz rzecz należącą do kogoś dawno zmarłego, to wcale nie znaczy, że masz do niej prawo. Ktoś inny na pewno chce ją mieć z powrotem.

- Skąd o tym wiesz? Czego się dowiedziałeś?

- Niczego! To po prostu zdrowy rozsądek. Cały dom był zdemolowany! Ktoś czegoś szukał. Niczego nie znaleźli. George nie chciał im powiedzieć, gdzie to ukrył, więc go zabili. Tak musiało być. Tropiciele nie znaleźli żadnych śladów.

- Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, kto to zrobił. - Michael się rozzłościł. - Lepiej się naucz z tym żyć.

Richard odetchnął głęboko. Może i tak było: ktoś czegoś szukał. Nie powinien się złościć na brata, dlatego że ten nie potrafi wykryć, kto to był. Michael na pewno bardzo się starał. Lecz jak mogło nie być żadnych śladów?

- Wybacz, Michaelu. Pewno masz rację. - Nagle coś sobie przypomniał. - A więc to nie miało nic wspólnego z owym spiskiem? To nie ci ludzie, którzy próbowali dotrzeć do ciebie?

- Nie, nie i nie. - Michael machnął ręką. - Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Tą drugą sprawą już się zajęto. Nie martw się o mnie. Nic mi nie zagraża, wszystko w porządku.

Richard skinął głową. Na twarzy starszego brata odmalowała się irytacja.

- Cóż to, braciszku? Czemu się pojawiłeś w takim stanie? Nie mogłeś się przebrać? Przecież od tygodni wiedziałeś o tym przyjęciu!

Zanim Richard zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Kahlan. Chłopak całkiem zapomniał, że stoi obok niego.

- Wybacz, proszę, swemu bratu, to nie jego wina. Miał mnie przeprowadzić do Hartlandu i dlatego się spóźnił. Błagam, nie oceniaj go źle, to wszystko przeze mnie!

- Kim jesteś? - spytał Michael, zmierzywszy ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jestem Kahlan Amnell - odparła, prostując się dumnie.

Uśmiechnął się i lekko skłonił głowę.

- A więc nie jesteś towarzyszką mojego brata. Skąd przybywasz?

- To niewielkie miasteczko, daleko stąd. Jestem pewna, że o nim nie słyszałeś.

Michael nie próbował wymusić odpowiedzi, za to spojrzał na Richarda.

- Zostaniesz na noc?

- Nie. Muszę iść do Zedda. Szukał mnie.

- Mógłbyś sobie znaleźć lepszych przyjaciół. - Uśmiech znikł z twarzy starszego brata. - Towarzystwo tego zgryźliwego starucha na pewno nie wyjdzie ci na dobre - oznajmił i zwrócił się, Kahlan: - Za to ty, moja droga, będziesz dziś moim gościem.

- Mam inne plany - odparła wymijająco.

Michael położył dłonie na jej pośladkach i mocno przycisnął biodra dziewczyny do swoich. Wparł nogę pomiędzy jej uda.

- Więc je zmień. - Uśmiech miał mroźny jak zimowa noc.

- Zabierz swoje ręce - wycedziła twardym, groźnym tonem.

Mierzyli się oczami.

Richard osłupiał. Nie mógł uwierzyć w to, co widział.

- Michael! Przestań!

Lecz tamtych dwoje zignorowało chłopaka, mocując się wzrokiem. Bezradnie stał z boku. Czuł, że nie chcą, żeby się wtrącał. Mimo to gotów był zareagować.

- Niezła jesteś - szepnął Michael. - Mógłbym się w tobie zakochać.

- Nawet nie wiesz, co mówisz. - Kahlan oddychała z trudem, lecz głos miała spokojny, opanowany. - A teraz zabierz ręce.

Nie usłuchał, położyła więc palec wskazujący u podstawy szyi Michaela. Patrzyli na siebie gniewnie, a dziewczyna wolniutko przesuwała paznokieć w dół,

rozcinając skórę. Zaczęła się sączyć krew. Po chwili w oczach mężczyzny pojawił się wyraz bólu. Michael puścił Kahlan i chwiejnie się cofnął o krok.

Dziewczyna wypadła z domu.

Richard rzucił bratu wściekłe spojrzenie (nie zdołał się powstrzymać) i pospieszył za nią.

Rozdział czwarty

Richard pobiegł alejką za Kahlan. Dziewczyna szła szybko, oświetlona słońcem późnego popołudnia. Kiedy dotarła do drzewa, zatrzymała się i czekała na niego. Po raz drugi tego dnia otarła z dłoni krew. Odwróciła się, gdy dotknął jej ramienia, na spokojnej twarzy nie malowały się żadne emocje.

- Tak mi przykro, Kahlan...

Nie przepraszaj - przerwała mu. - Twemu bratu chodziło o ciebie, nie o mnie.

- O mnie?

- Jest o ciebie zazdrosny. - Złagodniała. - Michael nie jest głupcem, Richardzie. Wiedział, że byłam z tobą, i był zazdrosny.

Richard ujął dłoń Kahlan i poprowadził dziewczynę alejką, byle dalej od domu brata. Był na niego wściekły i jednocześnie się tego wstydził. Miał uczucie, że zawiódł ojca.

- To go nie usprawiedliwia. Jest Pierwszym Rajcą i ma to, o czym tylko można zamarzyć. Żałuję, że go nie powstrzymałem.

- Nie chciałam, byś to zrobił. Sama musiałam położyć temu kres. On pragnie wszystkiego, co twoje. Gdybyś go powstrzymał, uznałby, że musi mnie zdobyć. A tak, przestałam go interesować. Nawiasem mówiąc, zranił cię znacznie bardziej, opowiadając o waszej matce. Czy chciałbyś, żebym wówczas wystąpiła w twojej obronie?

Richard opuścił oczy. Odpędził gniew.

- Nie, nie chciałbym. To nie twoja sprawa.

Mijali coraz skromniejsze, coraz gęściej pobudowane, lecz zawsze czyściutkie i dobrze utrzymane domki. Tu i tam dokonywano przed zimą drobnych napraw, korzystając ze sprzyjającej pogody. Powietrze było przejrzyste i rześkie, suche, co zapowiadało chłodną noc, noc akurat na ogień z brzozowych szczap, pachnący, lecz niedający za dużo ciepła. Dziedzińce za białymi ogrodzeniami ustąpiły miejsca ogródkom przed małymi, oddalonymi od drogi domkami. Richard zerwał liść ze zwieszającej się nad dróżką gałęzi dębu.

- Sporo wiesz o ludziach. Jesteś bardzo spostrzegawcza, natychmiast się orientujesz, czemu postępują tak, a nie inaczej.

- Po prostu zgaduję. - Kahlan wzruszyła ramionami.

- Czy to dlatego cię ścigają? - Chłopak darł liść na kawałeczki. Poczekała, aż na nią spojrzy, i dopiero wtedy odpowiedziała.

- Ścigają mnie, bo się boją prawdy. Ty się jej nie obawiasz i to jeden z powodów, dla których ci ufam.

Richard się uśmiechnął. Spodobała mu się odpowiedź dziewczyny, choć nie całkiem ją zrozumiał.

- O mało co mnie nie kopnęłaś w kostkę, prawda?

- Taaak. - Uśmiechnęła się szeroko, spoważniała i znów się uśmiechnęła. - Wybacz, Richardzie, lecz na razie musisz mi zaufać. Im więcej byś wiedział, tym większe niebezpieczeństwo by ci groziło. Przyjaźń mimo to?

- Jasne. - Chłopak odrzucił resztki liścia. - Ale kiedyś wszystko mi opowiesz?

- Jeśli tylko będę mogła, to na pewno. Obiecuję.

- Wspaniale! - rzekł radośnie. - W końcu jestem Poszukiwaczem prawdy. Kahlan zatrzymała się nagle, złapała Richarda za ramię i okręciła ku sobie.

Oczy miała szeroko rozwarte.

- Dlaczego to powiedziałeś?

- Co? Że jestem Poszukiwaczem prawdy? To Zedd mnie tak zawsze nazywa. Mówi, że w każdym wypadku pragnę poznać istotę sprawy, i dlatego nazywa mnie Poszukiwaczem prawdy. Bo co? - zdziwił się chłopak, a oczy mu się zwęziły.

- Nieważne - odparła Kahlan i poszła dalej.

Richard wyczuł, że poruszył drażliwy temat. I, jak zwykle, zapragnął się wszystkiego dowiedzieć. Polują na nią, bo się boją prawdy, myślał, ona zaś się zdenerwowała, kiedy nazwał siebie Poszukiwaczem prawdy. Pewno dlatego tak zareagowała, bo się o niego bała.

- Możesz mi przynajmniej powiedzieć, kim oni są? Ci, którzy ci? ścigają? Kahlan szła obok niego bez słowa, patrząc prosto przed siebie. Richard nie wiedział, czy odpowie na jego pytanie, lecz w końcu to uczyniła.

- To zwolennicy wielkiego nikczemnika. Ów niegodziwiec to Rahl Posępny. Nie pytaj więcej, proszę. Nie chcę o nim myśleć.

Rahl Posępny. Przynajmniej znam jego imię, pomyślał Richard.

Słońce późnego popołudnia skryło się za wzgórza Lasów Hartlandzkich, powietrze ochładzało się powoli, a Kahlan i Richard wędrowali poprzez łagodne wzniesienia, porośnięte lasem liściastym. Milczeli. Chłopak i tak nie miał ochoty na rozmowę, ręka go bolała i w głowie mu się kręciło; kąpiel i wygodne, ciepłe łóżko - oto, czego pragnął. Lepiej oddam jej łóżko, pomyślał, a sam się prześpię w ulubionym, skrzypiącym fotelu. Też będzie wygodnie. Dzień był długi, męczący,

wszystko go bolało.

Gdy dotarli do brzozowego zagajnika, skierował dziewczynę na szlak, który przebiegał w pobliżu jego domu. Richard patrzył, jak szła przed nim, rozrywa - jąć przegradzające ścieżkę pajęczyny i zdejmując porozrywane niteczki z twarzy i rąk. Chłopak nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do domu. Zabierze nóż i inne rzeczy, o których przedtem zapomniał, i jeszcze coś, coś bardzo ważnego, co dał mu ojciec.

Ojciec uczynił go strażnikiem tajemnicy, opiekunem sekretnej księgi. Dał mu także coś, co miało udowodnić prawdziwemu właścicielowi księgi, iż nie została skradziona, lecz ocalona i bezpiecznie przechowywana: trójgraniasty, szeroki na trzy palce ząb. Richard nanizał go na skórzany rzemyk, żeby zawsze nosić na szyi, lecz bezmyślnie zostawił w domu, tak jak i nóż. Bardzo pragnął znów mieć przy sobie ów ząb - bez niego ojciec mógłby zostać uznany za złodzieja, tak jak to powiedział Michael.

Wyżej, za obszarem nagiej skały, świerki wypierały dęby, brzozy i klony. Zniknęło zielone poszycie lasu, ziemię pokrywał brązowy kobierzec z igieł. Richard ujął rękaw szaty Kahlan i pociągnął dziewczynę do tyłu.

- Ja pójdę przodem.

Popatrzyła nań i usłuchała bez słowa. Przez następne pół godziny zmniejszyli tempo. Richard uważnie obserwował ziemię i każdą gałązkę w pobliżu ścieżki. Zatrzymał się u stóp grani, ostatniej przed jego domem; przysiedli przy kępie paproci.

- Co cię niepokoi?

- Może to nic takiego - odszepnął - lecz ktoś szedł szlakiem tego popołudnia. - Podniósł spłaszczoną sosnową szyszkę, przyjrzał się jej i odrzucił.

- Skąd wiesz?

- Pajęczyny. - Chłopak popatrzył w górę stoku. - Na ścieżce nie ma żadnych pajęczyn. Ktoś szedł tędy i je porozrywał. Pająki nie miały czasu ich naprawić.

- Czy jeszcze ktoś mieszka na krańcu szlaku?

- Nie, nikt. To mógł być po prostu jakiś wędrowiec. Lecz ten trakt nie jest zbyt często używany.

Kahlan ze zdumieniem zmarszczyła brwi.

- Kiedy szłam przodem, było tu mnóstwo pajęczyn. Wciąż je musiałam zdejmować z twarzy i z rąk.

- Właśnie o tym mówię - szepnął Richard. - Tamtą ścieżką nikt dzisiaj nie szedł. Za to tutaj nie ma żadnych pajęczyn. - Jak to możliwe?

- Nie wiem. - Potrząsnął głową. - Albo ktoś nadszedł z lasów za ta skalną płaszczyzną i poszedł w górę szlaku; to trudna wędrówka - spojrzał dziewczynie w oczy - albo spadli tu z nieba. Mój dom jest za wzgórzem. Bądźmy ostrożni.

Poszli w górę zbocza, uważnie obserwując las. Richard chciałby pobiec w odwrotnym kierunku, uciec stąd, lecz nie mógł. Nie ucieknie bez zęba, który dostał od ojca, bez dowodu, że jest strażnikiem, nie złodziejem.

Dotarli na wierzchołek wzgórza i przycupnęli przy wielkiej sośnie. Popatrzyli na dom. Okna były wybite, zawsze zamknięte drzwi stały otworem. Wokół walały się rzeczy Richarda.

Chłopak wstał.

- Został splądrowany, jak dom mojego ojca.

Kahlan złapała chłopaka za koszulę i pociągnęła w dół.

- Richardzie! - szepnęła gniewnie. - Twój ojciec też mógł wrócić do domu i ujrzeć to samo co ty teraz. Może pobiegł, tak jak ty chciałeś to uczynić. A oni tam na niego czekali.

Oczywiście miała rację. Richard przeczesał palcami włosy, zamyślił się. Znów spojrzał na dom. Tylna ściana była zwrócona ku lasom, frontowa - ku polanie. To jedyne drzwi. Każdy by się spodziewał, że wbiegnie właśnie tędy. Tu czekaliby, gdyby byli w środku.

- Tam, w domu, jest coś, co muszę mieć - szepnął. - Bez tego nie odejdę. Zakradniemy się od tyłu, wezmę to i odejdziemy stąd.

Wolałby, żeby Kahlan z nim nie szła, ale nie chciał jej zostawić samej na ścieżce. Weszli w las, z daleka omijając dom, przedarli się przez splątane zarośla. W końcu dotarli do miejsca, skąd Richard mógł dotrzeć na tyły domostwa. Dał dziewczynie znak, żeby zaczekała. Bardzo jej się to nie podobało, lecz nie ustąpił. Jeśli ktoś jest wewnątrz, to przynajmniej jej nie dostanie.

Kahlan została pod świerkiem. Chłopak ostrożnie ruszył w stronę domu, starał się stąpać wyłącznie po igliwiu, omijając zeschłe liście. Wreszcie zobaczył okno sypialni i zamarł, nasłuchując. Wokół panowała cisza. Podchodził wolniutko, serce mu waliło. Coś się poruszyło na ziemi. Obok stopy chłopaka pełzł wąż. Zatrzymał się i poczekał, aż gad zniknie.

Dotarł do wysmaganej deszczem tylnej ściany domu, oparł dłoń na drewnianej ramie okna i ostrożnie zajrzał do środka. Prawie cała szyba została wybita, w sypialni panował straszliwy bałagan. Poszarpano pościel. Podarto cenne księgi, a ich karty

walały się po podłodze. Drzwi do frontowego pokoju były uchylone, lecz Richard nie mógł dostrzec, co się za nimi kryje. Same się zawsze uchylały akurat tyle, chyba że podłożył klin. Chłopak wsunął głowę przez okno i spojrzał na łóżko.

Tuż pod oknem stał stelaż, na nim, tak jak je zostawił, leżał plecak i rzemyk z zębem. Sięgnął po nie ostrożnie.

Coś zaskrzypiało we frontowym pokoju, znajomy dźwięk. Richard zdrętwiał ze strachu. Tak skrzypiał jego fotel. Nigdy nie mógł się zdobyć na naprawę, wydawało mu się bowiem, że to część osobowości mebla. Cofnął się bezszelestnie. Nie ma wątpliwości - ktoś jest we frontowym pokoju, siedzi w fotelu i czeka na Richarda.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i spojrzał w prawo. Na próchniejącym pniaku, przyglądając mu się, siedziała wiewiórka. Tylko nie zacznij mnie przepędzać ze swego terytorium, błagał ją w myślach. Zwierzątko spoglądało na niego długą chwilę, potem przeskoczyło na drzewo i zniknęło.

Richard odetchnął i znów zajrzał przez okno. Drzwi były tak samo uchylone. Sięgnął pospiesznie po plecak i rzemyk z zębem, z obawą nasłuchując szmerów z tamtego pokoju. Nóż leżał na małym stoliku przy łóżku. Nie dosięgnie go, trudno. Ostrożnie wyciągnął plecak, uważając, by nim nie uderzyć w resztki szyby.

Dzierżąc zdobycz, wracał szybko i bezszelestnie tą samą trasą, którą tu przyszedł, z trudem się powstrzymując, by nie biec. Często się oglądał za siebie, sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie. Zawiesił rzemyk na szyi, ząb wsunął pod koszulę. Zawsze dbał o to, żeby nikt go nie widział; mógł nań patrzeć tylko opiekun sekretnej księgi.

Kahlan czekała tam, gdzie ją zostawił. Widząc Richarda, poderwała się. Chłopak położył palec na ustach, nakazując jej milczenie. Zarzucił plecak na lewe ramię, prawą ręką pociągnął dziewczynę za sobą. Poszli inną trasą, poprzez lasy, i wrócili na szlak powyżej jego domu. Przegradzające ścieżkę pajęczyny lśniły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Wędrowcy odetchnęli z ulgą - nikt tędy nie szedł. Owa dróżka była dłuższa i trudniejsza, lecz wiodła tam, dokąd Richard zdążał - do Zedda.

Dom starca był zbyt daleko, żeby zdołali tam dotrzeć przed zapadnięciem nocy, a szlak wystarczająco zdradziecki, by uniemożliwić im podróż w ciemnościach. Mimo to Richard chciał jak najdalej odejść od swojej chatki i tego kogoś, kto w niej czatował. Muszą iść, dopóki nie zapadnie zmrok.

Chłopak się zastanawiał, czy napastnik czający się w jego domu zabił też jego

ojca. Obie chaty zostały splądrowane w identyczny sposób. Czy czekali nań tak samo jak na ojca? Czy to była ta sama osoba? Richard wolałby stawić czoło temu komuś albo przynajmniej go zobaczyć, lecz tajemniczy wewnętrzny impuls nakazywał mu odejść jak najdalej. Upomniał sam siebie. Zbytnio puszczał wodze fantazji. Jasne, coś go ostrzegło przed niebezpieczeństwem, nakazało się wycofać. Już raz dzisiaj cudem uszedł z życiem. Drugi raz nie należało kusić szczęścia, to byłaby zbyt wielka bezczelność. Lepiej więc się wycofać. Żałował jednak, że nie zobaczył tej osoby, że się nie przekonał, czy ma jakiś związek ze śmiercią ojca. Czemu by ktoś miał przewrócić do góry nogami jego, Richarda, dom, zupełnie tak samo jak dom jego ojca? I co, gdyby się okazało, że to ta sama osoba? Chłopak pragnął się dowiedzieć, kto mu zabił ojca. Za wszelką cenę.

Richardowi nie pozwolono zobaczyć ciała, lecz chciał przynajmniej wiedzieć, jak zginął. Chase mu powiedział, bardzo oględnie. Ojcu chłopaka rozcięto brzuch, wnętrzności rozrzucono po całej podłodze. Jak ktoś mógł uczynić coś takiego? I dlaczego to zrobił? Richard poczuł falę mdłości, zawroty głowy. Przełknął z trudem ślinę.

- I co? - głos Kahlan przedarł się przez myśl chłopaka.

- Co? Co „i co”?

- Czy masz to, po co poszedłeś?

- Tak.

- A co to takiego?

- Po co wróciłem? Po plecak. Musiałem wziąć mój plecak. Odwróciła się ku niemu, podparła się pod boki, twarz miała gniewną.

- Czyżbyś sądził, Richardzie Cypher, że ci uwierzę, iż narażałeś życie po to, żeby odzyskać plecak?!

- Jeszcze trochę, Kahlan, a zasłużysz na kopniaka w kostkę. Dziewczyna przechyliła głowę na bok, spojrzała z ukosa na Richarda, ale się opanowała.

- W porządku, przyjacielu - rzekła łagodnie. - W porządku. Richard mógłby przysiąc, że Kahlan przywykła uzyskiwać odpowiedzi na swoje pytania.

Ściemniało się coraz bardziej, świat ogarniała szarość i chłopak zaczął się zastanawiać, gdzie by tu spędzić noc. Wiedział, że wzdłuż szlaku rośnie kilka sosen-strażniczek, sam wiele razy z nich korzystał. Tuż przed sobą, na skraju polany, ujrzeli akurat jedną z nich. Wysokie, górujące nad innymi drzewo odcinało się ciemną sylwetką na tle blaknącego różu nieba.

Zawieszony na rzemyku ząb nie dawał Richardowi spokoju. Chłopakowi ciążyły tajemnice. Że też ojciec musiał z niego uczynić opiekuna sekretnej księgi. Natrętnie powróciła myśl, która odpędzał w swoim splądrowanym domu. Książki wyglądały tak jakby je podarto w ataku wściekłości. Może dlatego, że żadną z nich nie była tajemną księgą? A co, jeżeli właśnie owej księgi szukali? Nie, to niemożliwe. O sekretnej księdze wiedział zawsze tylko jej prawowity właściciel.

I ojciec... On, Richard... I stwór, do którego należał ząb. To wszystko było zbyt zagmatwane, żeby teraz o tym myśleć.

Strach, wywołany tym, co się wydarzyło na Urwistym Wierchu, i tym, co się czaiło w domu, podkopał siły Richarda. Chłopak szedł z trudem, stopy mu ciążyły. Jeszcze tylko te zarośla i polana... Przystanął, żeby zgnieść muchę na szyi.

Kahlan w ostatnim momencie pochwyciła pięść chłopaka. Drugą ręką zasłoniła mu usta.

Zesztywniał.

Patrząc mu w oczy, potrząsnęła głową i puściła jego rękę, lecz nie cofnęła dłoni z jego ust. Chłopak widział, jakim przerażeniem napawa Kahlan myśl, że mógłby się odezwać. Dziewczyna pochyliła go ku ziemi, a on zasygnalizował, że będzie jej całkowicie posłuszny. Oczy Kahlan więziły go równie mocno jak dłonie. Przesunęła twarz tak blisko, że Richard poczuł ciepło oddechu.

- Rób dokładnie to, co powiem - szepnęła ledwo dosłyszalnie. Chłopak nawet się nie ośmielił mrugnąć powiekami. - Bez względu na to, co by się działo, nie ruszaj się albo zginiemy. - Zamilkła. Ostrożnie potaknął. - Nie odpędzaj much, bo zginiemy. - Znów zamilkła, a on znów przytaknął.

Dała mu wzrokiem znak, by spojrzał na polanę. Richard powoli uniósł głowę, tylko na tyle, żeby widzieć. Niczego tam nie było. Kahlan wciąż zasłaniała mu usta. Usłyszał pochrząkiwanie, jakby odyńca.

Wtem zobaczył stwora.

Cofnął się odruchowo. Dziewczyna mocniej zacisnęła dłoń na jego ustach.

Słabnące wieczorne światło odbiło się w dwóch jarzących się zielonych ślepiach, które spojrzały ku nim poprzez polanę. Stwór stał na dwóch nogach, jak człowiek. Był o głowę wyższy od Richarda i ze trzy razy cięższy. Muchy kąsały szyję chłopaka, lecz starał się nie zwracać na to uwagi.

Odwrócił głowę i spojrzał w oczy Kahlan. Dziewczyna nie patrzyła na bestię; wiedziała, co czeka na przeciwległym krańcu polany. Obserwowała chłopaka, chcąc

mieć pewność, że nie zrobi nic, co zdradziłoby ich obecność. Richard ponownie skinął głową, dając znak, że rozumie. Dopiero wtedy cofnęła dłoń z jego ust, położyła na ręce chłopaka i przycisnęła ją do ziemi. Kahlan leżała nieruchomo na miękkim mchu, po jej szyi płynęły strużki krwi, ale nie odpędzała much. Chłopak czuł ich ukłucia na swojej skórze lecz też nie reagował. Rozległy się nowe pomruki, więc ostrożnie spojrzeli.

Warcząca bestia z zadziwiającą szybkością runęła ku środkowi polany, biegnąc dziwnym, posuwistym krokiem. Jarzące się ślepia wypatrywały czegoś, a długi ogon kołysał się powoli. Nasłuchując, pochyliła na bok głowę i nastawiła krótkie, krągłe uszy. Wielkie cielsko porastała sierść, tylko pierś i brzuch pokryte były lśniącą, gładką, różowawą skórą, pod którą grały potężne mięśnie. Dokoła pozbawionych sierści, nasmarowanych czymś miejsc unosiły się chmary much. Bestia podrzuciła łeb, otwarła pyski zasyczała w chłodne nocne powietrze. Richard widział, jak jej oddech zamienia się w parę wśród zębów tak długich jak jego palce.

Chłopak skoncentrował się na bólu zadawanym przez kąsające muchy, żeby nie krzyczeć z przerażenia. Nie mogli odpełznąć, nie mogli uciec. Bestia stała za blisko i była zbyt szybka.

Na prawo od nich, tuż przy ziemi, rozległ się wrzask. Richard zadrżał. Stwór natychmiast runął wprost ku nim. Kahlan wpiła palce w nadgarstek chłopaka i ani drgnęła. On sam zdrętwiał z przerażenia.

Królik wyskoczył ze swojej kryjówki, uszy miał oblepione muchami, wrzasnął jeszcze raz. Stwór złapał biedaka i rozdarł na pół. Jedną z połówek natychmiast połknął. Stał tuż obok nich i szarpał wnętrzności zwierzątka. Rozmazał krzepnącą krew na różowej skórze brzucha i piersi. Wszystkie muchy, nawet te, które kąsały Richarda i Kahlan, zleciały się na ucztę. Stwór ujął tylne łapki królika, rozdarł resztę jego ciałka i połknął. Znów pochylił głowę na bok, nasłuchując. Leżeli u stóp bestii, wstrzymując oddech. Richard miał ochotę krzyczeć.

Nagle stwór rozpostarł szerokie, cienkie, błoniaste skrzydła. Richard wyraźnie widział, jak pulsują w nich żyły. Potem potwór ostatni raz rozejrzał się dookoła i odbiegł kawałek ku środkowi polany. Wyprostował się, dwa razy podskoczył i odleciał w stronę granicy. Muchy zniknęły wraz z nim.

Kahlan i Richard przetoczyli się na plecy, oddychając z trudem, wyczerpani dopiero co przeżytym przerażeniem. Chłopak Przypomniał sobie wieśniaków, którzy mu opowiadali o stworach spadających z nieba i zjadających ludzi. Nie wierzył w te

historyjki. Aż do teraz.

Coś w plecaku uwierało go w plecy. W końcu miał tego dość, przekręcił się na bok i podparł na łokciu. Cały był zlany potem, lodowatym w chłodnym wieczornym powietrzu. Kahlan dalej leżała na plecach z zamkniętymi oczami i szybko oddychała. Włosy dziewczyny rozsypały się na ziemi, kilka pasemek przylgnęło do twarzy. Ona też była spocona, a krople potu na jej szyi były podbarwione czerwienią. Richarda ogarnął smutek i współczucie dla dziewczyny. Z pewnością przeżyła wiele takich okropnych chwil. Tak by chciał, żeby nie musiała stawić czoła potworom które zbyt dobrze znała.

- Co to było, Kahlan?

Usiadła, odetchnęła głęboko i spojrzała na chłopaka. Odgarnęła z twarzy pasemka włosów, założyła je za ucho. Bujna grzywa spływała jej na ramiona.

- Chimera długoogoniasta. - Zdjęła je dna z much z koszuli chłopaka. Owad musiał się zaplątać w fałdę ubrania i Richard go zgniótł, przewracając się na plecy. - To gończa mucha. Chimery używają ich do polowań. Muchy wypłaszają zdobycz, a one ją łapią. Rozsmarowują na sobie trochę krwi, dla much. Ależ mieliśmy szczęście. - Dziewczyna trzymała gończą muchę tuż przed nosem Richarda. - Chimery długoogoniaste są głupie. Gdyby to była krótkoogoniasta, już byśmy nie żyli. One są większe i odrobinę sprytniejsze. - Zawiesiła głos. - Liczą swoje muchy.

Richard był przerażony, wyczerpany, skonfundowany i obolały. Chciał, żeby ten koszmar już się skończył. Rozpaczliwie jęknął i opadł na plecy, nie dbając o to, co też w plecaku tak go uwiera.

- Jestem twoim przyjacielem, Kahlan. Nie naciskałem cię zbytnio, kiedy nie chciałaś mi powiedzieć, po ataku tamtych czterech, co się właściwie dzieje. - Zamknął oczy, nie mogąc znieść jej badawczego spojrzenia. - Lecz teraz polują i na mnie. Z tego, co wiem, może to być ta sama osoba, która zabiła mojego ojca. To już nie chodzi tylko o ciebie, ja też nie mogę wrócić do domu. Uważam, że mam prawo wiedzieć, o co chodzi. Jestem twoim przyjacielem, a nie wrogiem. Kiedy byłem mały, dostałem gorączki i o mało nie umarłem. Zedd znalazł jakiś korzeń, który mnie ocalił. Dopiero dziś byłem równie bliski śmierci, jak wtedy. Trzy razy o mało mnie nie dopadła. Co ja...

Położyła mu palce na wargach, żeby zamilkł.

- Masz rację. Odpowiem na twoje pytania. Ale nie na te, które mnie dotyczą. Tego na razie nie mogę uczynić.

Richard usiadł i spojrzał na nią. Drżała z zimna. Zsunął plecak z ramion, wyjął koc i otulił dziewczynę.

- Obiecałeś mi ogień. - Zaszczekała zębami. - Zamierzasz dotrzymać obietnicy?

Roześmiał się i wstał.

Rozdział piąty

Richard uniósł zwisające konary drzewa.

- Oto i ona - oznajmił. - Przyjaciółka podróżnych.

Wewnątrz było ciemno. Kahlan rozsunęła gałęzie, by mógł skrzesać ogień przy słabej poświacie księżyca. Chmury przepływały przed tarczą miesiąca, oddechy wędrowców zamieniały się w parę. Richard zatrzymywał się tutaj już wiele razy, kiedy szedł do Zedda lub od niego wracał. Zbudował małe kamienne palenisko, zgromadził zapas suchego drewna i przygotował posłanie z siana. Nie miał przy sobie noża, ucieszył się więc, że wówczas nie zapomniał o podpałce. Wkrótce ogień zapłonął i rozjaśnił przestrzeń osłoniętą konarami sosny.

Chłopak nie mógł się wyprostować nawet tuż obok pnia drzewa. Obwisłe konary były pokryte igłami dopiero przy końcach, przez co przy pniu tworzył się jakby komin. Czubki najniższych gałęzi niemal dotykały ziemi. Sosna była odporna na ogień, jeśli się uważało, oczywiście. Dym z ogniska ulatywał „kominem” wokół pnia. Igły były tak gęste, że w środku pozostawało sucho nawet w czasie porządnej ulewy. Richard przeczekał tu wiele deszczy. Podczas swoich podróży po Hartlandzie lubił przebywać w tych małych, lecz przytulnych schronieniach. Teraz zaś był szczególnie rad z przytuliska, które oferowała sosna-strażniczka. W lesie żyły rośliny i zwierzęta, przed którymi czuł respekt, lecz dotąd, do spotkania z długoogoniasta chimerą, nie czuł lęku przed żadnym z nich.

Kahlan usiadła przed ogniem. Wciąż drżała; zrobiła sobie kaptur z koca, którym ją Richard otulił.

- Nigdy przedtem nie słyszałam o sosnach-strażniczkach. Zazwyczaj nie nocuję w lesie w trakcie podróży, lecz sądzę, że to cudowne miejsce na odpoczynek i sen.

Wyglądało na to, że jest bardziej zmęczona niż on.

- Kiedy ostatnio spałaś?

- Chyba ze dwa dni temu. Wszystko mi się miesza.

Chłopak był zdumiony, że mimo to jeszcze nie zasnęła. Ledwo mógł za nią nadążyć, kiedy uciekali przed bojówką. To strach dodawał jej sił, pomyślał.

- Dlaczego tak dawno?

- Niezbyt mądrze byłoby zasypiać w pobliżu granicy.

Kahlan obserwowała płomienie, grzejąc się w ich cieple. Odblask ognia oświetlał twarz dziewczyny. Puściła koc i przysunęła dłonie ku ognisku, żeby się

ogrzać. Richard zadrżał, rozmyślając, co też jest na owym terenie i co by się stało, gdyby ktoś tam zasnął.

- Głodna? Przytaknęła.

Chłopak sięgnął do plecaka, wyjął kociołek i poszedł po wodę do strumienia, który minęli, idąc tutaj. Powietrze rozbrzmiewające odgłosami nocy było tak zimne, iż miał wrażenie, że to cieniutki lód, który się złamie, jeśli on, Richard, będzie nieostrożny. Kolejny raz naurągał sam sobie, że nie zabrał ciepłego okrycia. Wspomnienie o tym, co czatowało nań w domu, sprawiło, że się jeszcze bardziej trząsł. Na widok każdego owada drętwiał z przerażenia, że to gończa mucha, a potem oddychał z ulgą, iż to tylko ćma, świerszcz lub jakaś sieciarka. Cienie pojawiały się i znikały, chmury przepływały przez tarczę księżyca. Chłopak nie mógł się powstrzymać, by co chwilę nie zerkać na niebo. Gwiazdy mrugały, lekkie obłoczki płynęły po nieboskłonie. Jeden z nich tkwił nieruchomo.

Richard wrócił, przemarznięty do szpiku kości, i ustawił kociołek z wodą nad ogniem. Chciał usiąść naprzeciw Kahlan, lecz zmienił zdanie i usiadł obok niej. Tylko dlatego, że był taki przemarznięty, tłumaczył sam sobie. Usłyszała, jak szczęka zębami, i otuliła go połową koca. Siedział bez ruchu, czując, jak się weń sączy ciepło rozgrzanej jej ciałem tkaniny.

- Nigdy nie widziałem takiego stwora jak ta chimera. Midlandy muszą być okropną krainą.

- Jest w Midlandach wiele niebezpieczeństw - uśmiechnęła się z zadumą - lecz również mnóstwo cudownych i magicznych rzeczy. To wspaniała, zadziwiająca kraina. Chimery nie są z Midlandów, ale z D’Hary.

- Z D’Hary! Spoza drugiej granicy! - Chłopak zdumiał się.

D’Hara. Przedtem jedynie starzy ludzie wymieniali tę nazwę ostrożnym szeptem lub w złorzeczeniach. Dopiero Michael wypowiedział ją głośno w swojej dzisiejszej przemowie. Kahlan dalej patrzyła w ogień.

- Richardzie... - zawahała się, jakby przerażona tym, co za chwilę powie - ... Druga granica już nie istnieje. Od wiosny nie ma granicy pomiędzy Midlandami, a D’Hara.

Chłopak był wstrząśnięty - mroczna D’Hara znalazła się niepokojąco, przerażająco blisko. Usilnie próbował poukładać sobie w głowie to, czego się dowiadywał.

- Może mój brat jest lepszym prorokiem, niż przypuszcza.

- Może - odparła wymijająco.

- Ale nie zrobiłby kariery jako prorok, gdyby przepowiadał to, ci się już wydarzyło. - Chłopak zerknął z ukosa na Kahlan.

Dziewczyna bawiła się pasemkiem włosów. Uśmiechnęła się, kiedy to powiedział.

- Jak tylko cię ujrzałam, od razu pomyślałam, że nie jesteś głupcem. - W zielonych oczach zatańczyły iskierki. - Dzięki za to, że potwierdziłeś tę opinię.

- Michael jest na takim stanowisku, że wie to, o czym inni nie mają pojęcia. Może usiłuje przygotować ludzi, oswoić ich z tą możliwością, żeby nie przeżyli szoku, kiedy się w końcu o wszystkim dowiedzą.

Starszy brat zawsze twierdził, że wiedza to potęga, podstawa władzy i że należy się nią posługiwać bardzo ostrożnie, „bez zbytniej rozrzutności”. Kiedy został rajcą, zachęcał ludzi, żeby wszelkie wieści przynosili najpierw jemu. Wysłuchiwał nawet historyjek rolników i nagradzał ich, jeżeli okazywały się prawdziwe.

Woda w kociołku zaczęła wrzeć. Richard się nachylił, zaczepił palce o rzemień i przyciągnął plecak, a potem poprawił koc. Pogrzebał w plecaku, znalazł woreczek z suszonymi jarzynami i wsypał trochę do kociołka. Wyjął z kieszeni cztery kiełbaski owinięte w serwetkę, podzielił je na mniejsze kawałki i dorzucił do wrzątku.

- Skąd je wziąłeś? - zapytała z udanym zdziwieniem Kahlan. - Ukradłeś z przyjęcia własnego brata? - dorzuciła z przyganą.

- Prawdziwy człowiek lasu zawsze planuje naprzód - pouczył ją, oblizując palce. - I stara się przewidzieć, skąd weźmie prowiant na kolejny posiłek.

- Michael by tego nie pochwalił.

- A ja nie pochwalam jego zachowania. - Richard wiedział, że dziewczyna ma swoje zdanie na temat Michaela. - Nie próbuję usprawiedliwić jego postępowania, Kahlan. Po śmierci matki stał się twardy i zamknięty w sobie. Wiem jednak, że obchodzą go ludzie i ich sprawy. Muszą, jeśli chce być dobrym rajcą. Pewno żyje w stałym napięciu. Ja bym na pewno nie chciał takiej odpowiedzialności. Lecz Michael pragnął właśnie tego, zawsze chciał być kimś ważnym. I dopiął swego: został Pierwszym Rajcą. Powinien być zadowolony, a wydaje się jeszcze mniej tolerancyjny niż przedtem. Wciąż jest zajęty, bez przerwy wydaje jakieś polecenia. A ostatnio ciągle ma zły humor. Co prawda osiągnął to, czego pragnął, lecz chyba się okazało, że to nie to, czego się spodziewał. Chciałbym, żeby bardziej przypominał siebie sprzed lat.

- Przynajmniej wykazałeś się refleksem i świsnąłeś najlepsze kiełbaski. - Dziewczyna uśmiechnęła się.

Rozładowała tym napięcie. Obydwoje się roześmiali.

- Nic nie rozumiem, Kahlan; chodzi mi o granicę, oczywiście. Nigdy nie wiedziałem, co to właściwie takiego, no, może tyle, że ma rozdzielać kraje i zapewniać pokój. Aha, i każdy wie, że ten, kto przekroczy granicę, nie powróci stamtąd żywy. Chase i pozostali strażnicy dbają o to, żeby ludzie tam nie chodzili, dla ich własnego dobra.

- Nie uczy się młodych historii trzech krain?

- Nie. Zawsze mnie to dziwiło, bo chciałem wiedzieć, lecz nikt nigdy nie mówił zbyt wiele na ten temat. Ludzie uważają mnie za dziwaka, bo chcę wszystko wiedzieć i zadaję mnóstwo pytań. Starsi stają się wtedy podejrzliwi i mówią, że to było tak dawno, iż niewiele pamiętają, lub znajdują inną wymówkę. Tylko ojciec i Zedd powiedzieli mi, że mieszkali w Midlandach, zanim ustanowiono granicę. Tuż przed tym przenieśli się do Westlandu. I spotkali się tutaj, zanim się urodziłem. Opowiadali, że przed ustanowieniem granic działy się straszliwe rzeczy, toczyły się walki. Twierdzili, że powinienem wiedzieć tylko tyle, iż były to okropne czasy, o których najlepiej zapomnieć. Zwłaszcza Zedd przy tym obstawał, jakby odpychał od siebie najtragiczniejsze przeżycia.

Kahlan ułamała kawałek suchego patyka, wrzuciła w płomienie - zapłonął bursztynowo.

- To długa historia. Lecz jeśli chcesz, to opowiem choć trochę. - Popatrzyła na Richarda, a on skinął potakująco.

- Dawno temu, zanim narodzili się nasi rodzice - zaczęła dziewczyna - D’Hara była konfederacją królestw, tak jak i Midlandy. Panis Rahl był najbezwzględniejszym władcą D’Hary. Odznaczał się przeraźliwym skąpstwem. Gdy tylko wstąpił na tron, zaczął sobie podporządkowywać całą D’Hare, królestwo po królestwie, czasem nawet nie czekał, aż wyschnie atrament na traktacie pokojowym. W końcu został jedynym władcą, lecz to tylko zaostrzyło jego apetyt i wkrótce zwrócił uwagę na kraje znane teraz jako Midlandy. Midlandy to luźna konfederacja wolnych krain, z których każda rządzi się swoimi prawami; wolnych, tylko dopóki żyją ze sobą w zgodzie.

Kiedy Panis Rahl podbił całą D’Hare, mieszkańcy Midlandów zorientowali się w jego zakusach i postanowili, że z nimi nie pójdzie mu tak łatwo. Wiedzieli, że podpisanie traktatu pokojowego z Panisem Rahlem to jak podpisanie zaproszenia do

inwazji. Zadecydowali, że będą bronić swojej wolności, i zjednoczyli się we wspólnej obronie, tworząc Radę Midlandów. Nie wszystkim krainom się to podobało, lecz ich władcy rozumieli, że jeśli się nie zjednoczą, to padną jeden po drugim. Panis Rahl rzucił przeciwko nim całą potęgę D'Hary. Przez wiele lat szalała wojna. - Kahlan znów odłamała kawałek patyka i wrzuciła do ognia. - Zatrzymano zwycięski marsz jego wojska, więc Panis Rahl uciekł się do magii. Bo magia jest także w D'Harze, nie tylko w Midlandach. W tamtych czasach wszędzie była magia. Nie było granic, nie było poodgradzanych krain. Tak czy owak, Panis Rahl bezlitośnie wykorzystywał magię przeciwko wolnym ludziom. Był absolutnie bezwzględny.

- Co to była za magia? Co on czynił? - wtrącił się Richard.

- Posługiwał się podstępami, zsyłał choroby i gorączki. Lecz najgorsi ze wszystkiego byli ludzie cienie.

- Ludzie cienie? Cóż to takiego?

- Po prostu cienie. Nie mieli określonego kształtu ani materialnej postaci, w naszym rozumieniu nie byli nawet żywi. To były istoty stworzone przez magię. - Wyciągnęła rękę i przeciągnęła nią kilkakrotnie przed sobą i chłopakiem. - Mogli nagle nadpłynąć ponad polem czy poprzez las. Oręż był wobec nich całkiem bezsilny. Miecze i strzały przechodziły przez nich na wylot jak przez dym. Nie można się było przed nimi schować, wszędzie cię wypatrzyli. Jeden z nich podpływał do człowieka i dotykał go. Ciała ludzi po takim dotknięciu puchły i pękały. Nikt tego nie przeżył. Ginęły tak całe bataliony wojska. - Cofnęła rękę pod koc. - Kiedy Panis Rahl zaczął tak nikczemnie się posługiwać magią, do Midlandczyków przyłączył się potężny i szlachetny czarodziej.

- A jak się nazywał ów potężny i szlachetny czarodziej?

- To część opowieści. Musisz zaczekać, aż do tego dojdę. Richard wrzucił do zupy trochę przypraw i uważnie słuchał dalszego ciągu historii.

- Tysiące ludzi zginęło w walkach, lecz magia zabiła o wiele więcej. To były mroczne czasy. Potężny czarodziej zdołał zneutralizować magię Rahla i wojska najeźdźcy zostały wypędzone do D'Hary.

- Jak ów potężny i szlachetny czarodziej poradził sobie z ludźmi cieniami? - dopytywał się Richard, dorzucając do ogniska drewna brzozy.

- Zaczarował rogi bojowe wojska. Kiedy się pojawiali ludzie cienie, nasi żołnierze dęli w rogi i magia rozwiewała tamtych, jak wiatr unosi dym. Szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Wojny spustoszyły kraje. Uznano, że

wyprawa do D’Hary, by zniszczyć Panisa Rahla i jego siły, byłaby zbyt kosztowna. Należało jednak uczynić coś, co by go powstrzymało od ponowienia prób podboju, wiedziano bowiem, że znów zechce na nich napaść. Niektórzy bardziej się bali magii niż hord z D’Hary i już nigdy nie chcieli mieć z nią do czynienia. Pragnęli mieszkać w krainie, w której nie będzie magii. To dla tych ludzi odgrodzono Westland. I tak powstały trzy krainy. Granice utworzono z pomocą magii, lecz one same nie są magiczne - przerwała i odwróciła głowę.

- Czym więc są?

Nie widział jej twarzy, lecz wyczuł, że na chwilę zamknęła oczy. Wzięła od niego łyżkę i spróbowała zupy, choć ta się jeszcze nie ugotowała. Potem spojrzała na Richarda, jakby pytając, czy naprawdę chce wiedzieć. Czekał na odpowiedź. Kahlan wpatrywała się w płomienie.

- Granice to fragmenty zaświatów, dominium zmarłych. Przywołano je do naszego świata za pomocą magii, żeby rozdzieliły trzy krainy. Są jak kurtyny zaciągnięte w naszym świecie. Pęknięcia w królestwie życia.

- Czyli że jeśli wchodzisz w strefę granicy, to jakbyś wpadał do innego świata? Do zaświatów?

- Nie. - Kahlan potrząsnęła głową. - Nasz świat wciąż tam jest. A jednocześnie w tym samym miejscu, o w tym samym czasie, są tam zaświaty. Na przebycie granicy potrzeba dwóch dni. Kiedy idziesz przez strefę graniczną, idziesz jednocześnie przez zaświaty. To jałowe pustkowie. Dotknięcie zaświatów to dotknięcie śmierci. Dlatego nikt nie może przekroczyć granicy. Kiedy wchodzisz w strefę granicy, wchodzisz w krainy śmierci. A stamtąd nikt nie może powrócić.

- Więc jak się to tobie udało?

- Z pomocą magii - odparła zapatrzona w ogień dziewczyna. - Zaklęcie stworzyło granice, więc czarodzieje uznali, że czary przeprowadzą mnie bezpiecznie na drugą stronę. Z wielkim trudem rzucili odpowiednie uroki. Mieli do czynienia z niebezpieczeństwami, których w pełni nie rozumieli. To nie byli ci sami czarodzieje, którzy ustanowili granice, mieli więc wątpliwości, czy ich zaklęcia nie zawiodą. Nikt z nas nie wiedział, czego należy oczekiwać - mówiła Kahlan cichym, jakby odległym głosem. - Przeszłam tamtędy, lecz obawiam się, że nigdy nie zdołam całkowicie opuścić owej strefy.

Richard siedział jak zaczarowany. Przerażała go myśl, że dziewczyna musiała się zmierzyć z czymś takim, że przebyła część zaświatów, część świata zmarłych -

choćby i z pomocą magii. To było nieprawdopodobne, nie do pomyślenia. Spojrzały nań pełne strachu oczy, oczy, które widziały to, czego nikt przed nimi nie widział.

- Powiedz mi, co tam widziałaś - szepnął.

Kahlan poszarzała, odwróciła oczy ku ognisku. Trzasnęło brzozowe drewienko i dziewczyna drgnęła. Usta jej się trzęsły, oczy miała pełne łez, lśniących w blasku ognia, lecz nie widziała tańczących przed nią płomieni.

- Początkowo to było tak - zaczęła cichym głosem - jakby się weszło w smugi zimnego ognia, które widać nocą na północnej stronie nieba. - Oddychała z trudem. - Wewnątrz panuje absolutna ciemność. - Oczy miała szeroko otwarte, wilgotne, jęknęła. - Tam... Ktoś... Był... Przy mnie.

Odwróciła się ku chłopakowi, zdezorientowana, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Richard przeraził się, widząc w jej oczach ból, ból spowodowany jego pytaniami. Kahlan zakryła usta dłonią, łzy spływały po jej policzkach. Zamknęła oczy i wydała cichy, żałosny okrzyk. Richarda przeszył zimny dreszcz.

- Moja... Matka. - Dziewczyna załkała. - Nie widziałam jej od tylu lat... I.. Moja zmarła siostra... Dennee... Jestem taka samotna... I przerażona... - Łkała, z trudem łapiąc powietrze.

Chłopak poczuł, że ją traci, że ciągną ją ku sobie upiory, które widziała w zaświatach. Przerażony straszliwie, położył dłonie na ramionach Kahlan i odwrócił ją ku sobie.

- Spójrz na mnie, Kahlan! Spójrz na mnie!

- Dennee - wykrztusiła, dysząc ciężko i próbując się wyswobodzić.

- Kahlan!

- Jestem taka samotna... I tak się boję...

- Jestem przy tobie, Kahlan! Spójrz na mnie!

Łkała konwulsyjnie, z trudem łapiąc powietrze. Otworzyła oczy, ale nie widziała Richarda, ciągle patrzyła w tamten świat.

- Wcale nie jesteś sama! Ja jestem przy tobie! Nie zostawię cię!

- Jestem taka samotna! - zawodziła.

Richard zaczął potrząsać dziewczyną, chciał ją zmusić, by słuchała tego, co do niej mówi. Skórę miała zbielałą i lodowatą. Walczyła o każdy oddech.

- Jestem przy tobie! Nie jesteś sama! - Zdesperowany, potrząsnął nią jeszcze raz. Na próżno.

Richard starał się opanować narastającą panikę; postanowił uczynić to, czego

się niegdyś nauczył. Kiedyś, w przeszłości, nauczył się kontrolować strach. To dawało moc. Uczyni to teraz. Może zdoła przekazać Kahlan choć część swojej siły. Zamknął oczy, odpędził strach, powstrzymał panikę, poszukał w sobie spokoju. Skoncentrował umysł na wewnętrznym źródle siły. Wyciszył myśli, zablokował niepokoje i zamęt, skupił się na mocy płynącej z uzyskanego spokoju. Nie pozwoli, by zaświaty dostały Kahlan.

- Kahlan - powiedział spokojnym, opanowanym głosem. - Pozwól sobie pomóc. Nie jesteś sama. Jestem przy tobie. Pozwól sobie pomóc. Weź moją siłę.

Zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny. Czuł, jak drży, wstrząsana łkaniem, jak walczy o każdy haust powietrza. Wyobraził sobie, że przekazuje jej swoją siłę poprzez dłonie. Wyobraził sobie, że sięga do umysłu Kahlan, przesyca go swoją siłą i ściąga dziewczynę z powrotem, wydzierając ją mrokom. Stał się iskierką światła i życia, migocącą w ciemnościach, przywołującą Kahlan do jego świata, do niego.

- Jestem tutaj, Kahlan. Nie opuszczę cię. Nie jesteś sama. Jestem twoim przyjacielem. Zaufaj mi. - Łagodnie ścisnął ramiona dziewczyny. - Wróć do mnie. Wróć, proszę.

Richard wyobraził sobie ciepły, biały blask. Miał nadzieję, że to pomoże. O, dobre duchy, modlił się, błagam was, sprawcie, by je zobaczyła. By jej pomogły, żeby mogła wykorzystać moją siłę.

- Richard? - zawołała dziewczyna, jakby go szukała. Znów zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Jestem tutaj. Nie opuszczę cię. Wróć do mnie.

Oddech Kahlan wrócił do normy. Wzrok zogniskował się na twarzy chłopaka. Poznała go i na jej twarzy odmalowała się ulga; płakała cicho. Uczepiła się chłopaka, jakby był skałą ratującą ją przed utonięciem. Przytulił ją mocno, pozwolił się wypłakać na swoim ramieniu i cały czas pocieszał, że już wszystko w porządku. Tak się bał, że ją straci w zaświatach, że nie zamierzał wypuścić dziewczyny z objęć. Sięgnął po koc i otulił Kahlan najlepiej, jak zdołał. Ciało miała coraz cieplejsze - znak, że była już bezpieczna. Richard był wstrząśnięty tym, że zaświaty z taką łatwością wciągnęły jaz powrotem. Nawet nie podejrzewał, że coś takiego mogło się wydarzyć. Przecież wcale tam długo nie przebywała. Nie miał pojęcia, jak właściwie zdołał ją stamtąd wyciągnąć, lecz wiedział, że uczynił to niemal w ostatniej chwili.

Czerwonawy blask ogniska rozświetlał przestrzeń pod sosnowymi konarami, która znów się stała bezpieczną przystanią. Richard wiedział, że to złudzenie. Tulił

Kahlan i kołysał ją łagodnie, gładził włosy dziewczyny. Ze sposobu, w jaki się do niego tuliła, odgadł, że od dawna nikt jej tak nie pocieszał.

Chłopak nie miał pojęcia o magii i czarodziejach, lecz rozumiał, że nikt nie wysłałby Kahlan poprzez granicę, poprzez zaświaty bez ważnego powodu.

Dziewczyna wyswobodziła się z jego objęć i usiadła, nieco zakłopotana.

- Przepraszam. Nie powinnam była cię objąć. Ja...

- W porządku, Kahlan. To jeden z obowiązków przyjaciela: pozwolić się wypłakać na swoim ramieniu. Przytaknęła, lecz nie uniosła głowy. Richard czuł, że na niego patrzy, kiedy zdejmował z ognia kociołek z zupą, by trochę przestygła. Dołożył drew do ogniska; snop iskier poszedł w górę wraz z dymem.

- Jak to zrobiłeś? - spytała cicho.

- Co?

- Jak to jest, że zadajesz pytania, które wypełniają moje myśli obrazami i zmuszają mnie, bym odpowiedziała nawet wtedy, kiedy nie mam takiego zamiaru?

- Zedd też mnie o to pyta - odparł nieco zmieszany chłopak. - To chyba jakaś wrodzona zdolność. Czasami mi się wydaje, że to przekleństwo, a nie dar. - Odwrócił się od ogniska i popatrzył na dziewczynę. - Przepraszam, Kahlan, za to że spytałem, co tam widziałaś. To było głupie i bezmyślne. Czasem ciekawość bierze u mnie górę nad rozsądkiem. Tak mi przykro, że cię naraziłem na ból. Wciągnęło cię z powrotem w zaświaty, choć to nie powinno się zdarzyć, prawda?

- Nie, nie powinno. Kiedy pomyślałam o tym, co tam widziałam, miałam takie wrażenie, jakby ktoś tylko na to czekał, żeby mnie wciągnąć z powrotem. Pewnie bym się tam zagubiła, gdyby cię przy mnie nie było. Zobaczyłam światełko w ciemnościach. Uczyniłeś coś, co mnie tu z powrotem ściągnęło.

Richard wziął łyżkę, zamyślił się.

- Może wystarczyło, że nie byłaś sama.

- Może.

- Mam tylko jedną łyżkę. Jakoś sobie poradzimy. - Nabrał zupy, chuchnął na łyżkę i spróbował. - No, nie jest to moje najsmaczniejsze danie, ale lepszy rydz niż nic.

Kahlan się uśmiechnęła; właśnie o to mu chodziło. Podał jej łyżkę.

- Jeśli mam ci ocalić życie, pomóc uciec przed następną bojówką, to musisz mi powiedzieć, o co chodzi. I coś mi się wydaje, że nie mamy zbyt wiele czasu.

- Rozumiem. Dobrze.

Chłopak poczekał, aż jego towarzyszka zje trochę zupy, a potem zapytał:

- A co się wydarzyło, kiedy już ustanowiono granice? Co z tym potężnym czarodziejem?

Dziewczyna wyłowiła kawałek kiełbaski i oddała łyżkę Richardowi.

- Zanim ustanowiono granice, wydarzyło się jeszcze coś. Kiedy ów czarodziej trzymał w szachu złą magię, Panis Rahl dokonał okrutnej zemsty. Wysłał z D'Hary bojówkę... Zabili żonę i córkę czarodzieja.

- Jak czarodziej odpłacił Rahlowi?

- Neutralizował jego magię i trzymał go w D'Harze dopóty dopóki nie wyłoniła się granica. Jak tylko powstała owa strefa wysłał przez nią kulę czarodziejskiego ognia, żeby dotknęła śmierci i miała moc obu światów. Od tej pory granice rozdzielały trzy krainy.

Richard nigdy nie słyszał o czarodziejskim ogniu, ale nie zażądał dodatkowych wyjaśnień.

- Co się stało z Panisem Rahlem?

- No cóż, nikt tego dokładnie nie wie, bo przecież były już granice. Ale nikt by się z nim nie zamienił na losy.

Chłopak oddał jej łyżkę. Jadła, a on próbował sobie wyobrazić słuszny gniew czarodzieja. Potem łyżka wróciła do niego, a Kahlan podjęła opowieść.

- Początkowo wszystko szło dobrze, lecz potem rada Midlandów co i raz podejmowała działania, które potężny czarodziej uznał za niewłaściwe. Miały one coś wspólnego z magią. Wykrył, że rada złamała ustalenia dotyczące kontrolowania magicznej mocy. Próbował im wytłumaczyć, że ich zachłanność i niecne postępki doprowadzą do okropności gorszych niż te, które niesie ze sobą wojna. Uznali jednak, że lepiej niż on wiedzą, jak się posługiwać magią. Przywłaszczyli sobie prawo mianowania na bardzo ważne stanowiska. Wściekł się i powiedział im, że tylko czarodziej może znaleźć właściwą osobę i że tylko on powinien dokonywać nominacji. Ów potężny czarodziej wyszkolił innych czarodziei, lecz - zaślepieni chciwością - stanęli po stronie rady. Rozwścieczyło go to. Mówił, że jego żona i córka zginęły nadaremnie. Oznajmił odstępcom, że ukarze ich najgorzej jak można: zostawi ich, by ponieśli konsekwencje swoich czynów.

Richard się uśmiechnął. Coś takiego mógłby powiedzieć Zedd.

- Powiedział, że skoro tak świetnie wiedzą, co robić, to on nie jest im już potrzebny - ciągnęła Kahlan. - Nie chciał im już pomagać i zniknął. Ale zanim

odszedł, rzucił magiczną plecionkę...

- Co to takiego?

- To specjalne zaklęcie. Sprawiło, że wszyscy zapomnieli, jak się nazywa i jak wygląda. Nikt nie potrafi go rozpoznać.

Zatopiona w myślach dziewczyna zamilkła i dorzuciła gałąź do ognia. Richard jadł zupę, czekając, aż jego towarzyszka podejmie opowieść.

- U progu ostatniej zimy zaczęło się poruszenie.

- Jakie poruszenie? - zapytał Richard, odsuwając łyżkę od ust.

- Wrzawa na temat Rahla Posępnego. Zaczęło się zupełnie nagle. Ludzie w większych miastach sławili jego imię, nazywali go Ojczulkiem Rahlem, twierdzili, że to największy miłośnik pokoju, jaki się kiedykolwiek pojawił. Było to zadziwiające, bo przecież jest on synem Panisa Rahla i mieszka w D’Harze, po drugiej stronie granicy. Skąd więc się o nim dowiedzieli? - Kahlan zawiesiła głos, chcąc podkreślić znaczenie ostatnich słów. - Potem przez granicę zaczęły się przedostawać chimery. Zabiły mnóstwo ludzi, dopóki ci nie pojęli, że nocą lepiej zostawać w domu.

- Jak im się udaje przekroczyć granicę?

- Granice słabną, zanikają, ale nikt o tym nie wie. Najpierw zanika górna strefa, więc chimery swobodnie przelatują tam i z powrotem. Wiosną zanikła granica pomiędzy Midlandami a D’Hara. Wówczas Ludowa Armia Pokoju, armia Rahla Posępnego, wkroczyła do większych miast. Midlandczycy, zamiast walczyć, rzucali żołnierzom kwiaty. Ludzi, którzy nie rzucali kwiatów, wieszano.

- Wojsko ich nie zabijało? - spytał zdumiony Richard.

- Nie, nie wojsko. - Kahlan spojrzała nań twardo. - Zabijali ci, którzy rzucali kwiaty. Twierdzili, że czynią to, bo tamci stanowią zagrożenie dla pokoju. Ludowa Armia Pokoju nie musiała kiwnąć palcem. Powszechna opinia głosiła, że Rahl Posępny jest zdeklarowanym zwolennikiem pokoju, skoro jego wojska nie zabijają odszczepieńców. Po pewnym czasie armia się wmieszała i zapobiegła dalszym morderstwom. Odszczepieńców już nie zabijano, lecz wysyłano ich do Szkół Objawienia, w których uczono ich, jak wielki i potężny jest Ojczulek Rahl, i jaki zeń wielbiciel pokoju.

- I nauczyli się, jak wielki i potężny jest Rahl Posępny?

- Neofici są zawsze największymi fanatykami. Większość z nich po prostu siedziała sobie całymi dniami i sławiła jego imię.

- Więc Midlandy się nie broniły?

- Rahl Posępny stanął przed radą i poprosił, by się z nim związali traktatem pokoju. Tych, którzy go posłuchali, ogłoszono orędownikami zgody. Ci, którzy byli temu przeciwni, zostali okrzyknięci zdrajcami i Rahl Posępny osobiście, natychmiast, dokonał ich egzekucji.

- Jak.

Kahlan uniosła rękę, uciszając chłopaka, i zamknęła oczy.

- Rahl Posępny nosi u pasa zakrzywiony nóż. Posługuje się nim z wielką przyjemnością. Nie proś mnie, Richardzie, błagam, żebym ci opowiedziała, co uczynił owym ludziom. To ponad moje siły.

- Zamierzałem zapytać, jak czarodzieje zareagowali na to wszystko.

- Aha. No cóż. Zaczęły im się powoli otwierać oczy. Potem Rahl zakazał wszelkiej magii i oznajmił, że każdy, kto się posługuj czarami, jest rebeliantem. Musisz wiedzieć, że w Midlandach magia jest przyrodzoną cechą wielu ludzi, wielu istot. To tak jakby ktoś orzekł, że jesteś zbrodniarzem, bo masz dwie ręce i dwie nogi, i że musisz je sobie odciąć. Następnie zakazał ognia.

- Ognia? Dlaczego?

- Rahl Posępny nie objaśnia swoich rozkazów. Ogniem posługują się czarodzieje. A przecież nie budzą w nim lęku. Rahl ma większą moc, niż kiedykolwiek miał jego ojciec, większą niż którykolwiek czarodziej. Jego stronnicy wynaleźli, oczywiście, całe mnóstwo powodów takiego zarządzenia. Główną przyczyną miało być to, że ogniem się posłużono przeciwko ojcu Rahla Posępnego, toteż ogień jest wyrazem braku szacunku wobec dynastii Rahlów.

- Teraz rozumiem, dlaczego chciałaś posiedzieć przed ogniem!

- Jeżeli w Midlandach rozpalisz ogień nie tam, gdzie trzeba, bez przyzwolenia Rahla Posępnego lub jego zwolenników, to grozi ci śmierć. - Pogrzebała patykiem w pyle. - Może się tak stać i w Westlandzie. Wygląda na to, że i twój brat zamierza zakazać ognia. Może...

- Nasza matka spłonęła w ogniu - przerwał jej Richard żarliwie. - Tylko dlatego Michael tak reaguje na wszystko, co się wiąże z ogniem. To jedyny powód. I nigdy nie powiedział ani słowa o zakazie; po prostu nie chce, żeby ktoś spłonął tak jak ona, i pragnąłby temu zapobiec. Nie ma nic złego w tym, że nie chciałby dopuścić do podobnych tragedii.

- Ale nic go nie obchodziło, że rani ciebie. - Kahlan spojrzała na chłopaka spod uniesionych brwi.

Richard odetchnął głęboko, odpędził gniew.

- Wiem, że tak wyglądało, lecz ty go nie rozumiesz. To tylko taka jego maniera. Wiem, że wcale nie chciał mnie zranić. - Podciągnął kolana i otoczył je ramionami. - Po śmierci matki Michael spędzał coraz więcej czasu ze swoimi przyjaciółmi. Zaprzyjaźniał się z każdym, kogo uznał za ważną osobę. Niektórzy z nich byli aroganccy i nadęci. Tacy się ojcu nie podobali i powiedział o tym Michaelowi. Sprzeczali się o to. Pewnego razu ojciec wrócił do domu z wazą ozdobioną figurkami, tańczącymi ludzikami wyrzeźbionymi na obrzeżach. Był z niej ogromnie dumny. Mówił, że to stara rzecz i że dostanie za nią sztukę złota. Michael orzekł, że on by więcej wyciągnął. Posprzeczali się, lecz w końcu ojciec ustąpił i pozwolił mu sprzedać wazę. Michael wrócił po pewnym czasie i rzucił na stół cztery sztuki złota. Ojciec patrzył na nie i patrzył. Wreszcie spokojnie oznajmił, że waza nie była warta aż tyle i chciał wiedzieć, co Michael powiedział ludziom. Brat odparł, że powiedział im to, co chcieli usłyszeć. Ojciec sięgnął po monety, lecz Michael zakrył je dłonią. Wziął trzy i rzekł, że tylko jedna jest dla ojca, bo przecież tyle chciał uzyskać. Potem dorzucił: „Oto korzyść z moich przyjaciół, Georgie". Wtedy po raz pierwszy nazwał ojca „Georgie". Tata już nigdy nie dał mu niczego do sprzedania. A wiesz, co Michael zrobił z tymi pieniędzmi? Spłacił większość rodzinnych długów; zrobił to, jak tylko ojciec wyruszył w następną podróż. Nic sobie nie kupił. Czasem brat jest niedelikatny, szorstki, tak jak dzisiaj, kiedy to opowiedział wszystkim o naszej matce i wskazał na mnie. Ale wiem... Wiem, że ma na względzie dobro nas wszystkich. Nie chce, żeby ktokolwiek cierpiał przez ogień. Żeby ktoś musiał przeżyć to, co my. Po prostu usiłuje zrobić to, co będzie najkorzystniejsze dla wszystkich.

Kahlan nie podniosła oczu. Jeszcze raz rozgarnęła patykiem pył, potem wrzuciła suszkę w płomienie.

- Przepraszam, Richardzie. Nie powinnam być taka podejrzliwa. Rozumiem, jak boli utrata matki. Na pewno masz rację. - Dopiero teraz spojrzała na chłopaka. - Wybaczysz mi?

- Oczywiście. - Richard uśmiechnął się i skinął głową. - Gdybym przeszedł przez to, co ty, też bym był taki podejrzliwy. Przepraszam, że się tak uniosłem. Jeśli mi to wybaczysz, to pozwolę ci zjeść resztę zupy.

Dziewczyna z uśmiechem kiwnęła głową, podał jej więc kociołek. Bardzo chciał usłyszeć dalszy ciąg opowieści Kahlan, lecz pozwolił jej spokojnie jeść przez chwilę. Potem zapytał:

- A więc wojska D'Hary zajęły całe Midlandy?

- Midlandy to wielki kraj. Ludowa Armia Pokoju okupuje tylko kilka większych miast. Ludność licznych rejonów mojego kraju nie honoruje owego sojusznika. Rahl właściwie się tym nie przejmuje. Uważa, że to drobnostka. Ma inne problemy. Czarodzieje wykryli, że Rahlowi Posępnemu chodzi o magię, przed którą wielki czarodziej ostrzegał radę, o magię, którą zaprzepaścili przez swoją chciwość. Jeżeli Rahl zdobędzie ową moc, zostanie władcą wszystkich i wszystkiego, i to bez walki. Pięciu spośród czarodziei uznało, że byli w błędzie, że rację miał ów potężny mag. Zapragnęli uzyskać jego przebaczenie i ocalić Midlandy i Westland przed tym, co czekałoby te kraje, gdyby Rahl Posępny posiadł upragnioną przez siebie moc. Lecz nie tylko oni poszukują potężnego maga. Rahl też nań poluje.

- Powiedziałaś: pięciu czarodziei. Ilu ich jest?

- Było ich siedmiu: potężny mag i sześciu uczniów. Mag zniknął, a jeden z pozostałych sprzedał swe usługi królowej, postępując haniebnie. - Kahlan zamilkła na moment. - Jak ci już mówiłam, tych pięciu nie żyje. Przeszukali całe Midlandy, ale nie znaleźli potężnego czarodzieja. Nie ma go w Midlandach.

- Uznali więc, że musi być w Westlandzie?

- Tak. - Dziewczyna upuściła łyżkę do pustego kociołka. - I on tutaj jest.

- Sądzili, że powstrzyma Rahla Posępnego, choć im się to nie udało? - Coś złego się kryło w tej historii i Richard wcale nie był pewny, czy chce usłyszeć dalszy ciąg.

- Nie - odparła po chwili dziewczyna. - On też nie ma takiej mocy, by się przeciwstawić Rahlowi. Chcieli... Chcieli, żeby uczynił to, co mogłoby nas wszystkich ocalić przed nadciągającym złem, to, co tylko on może uczynić: żeby dokonał właściwego wyboru.

Bardzo ostrożnie dobierała słowa i chłopak się zorientował, że krąży wokół tajemnic, o które nie powinien pytać. Uszanował owe sekrety i spytał o co innego:

- Dlaczego zatem sami go nie poszukają i nie poproszą, żeby to zrobił?

- Bo się obawiali, że odmówi, a nie mieli dość mocy, żeby go zmusić.

- Pięciu czarodziei nie poradziłoby sobie z jednym?!

- Byli jego uczniami! - Kahlan smutnie potrząsnęła głową. - Ludźmi, którzy chcieli zostać czarodziejami. Nie mieli wrodzonego daru. On zaś urodził się z ojca czarodzieja i matki czarodziejki. Ma wrodzoną, a nie tylko wyuczoną moc. Uczniowie nigdy by mu nie dorównali. Nie zdołaliby go zmusić, aby zrobił to, co chcieli. -

Umilkła.

- A... - zaczął Richard i zawiesił głos. Milczeniem zasugerował jej swoje pytanie oraz to, że chciałby uzyskać odpowiedź.

- A więc wysłali mnie, bo mam taką moc - szepnęła po chwili.

Płomienie trzeszczały i połyskiwały. Richard wyczuł napięcie Kahlan, wiedział, że powiedziała mu wszystko, co mogła; milczał więc, chcąc, żeby dziewczyna poczuła się bezpiecznie. Położył dłoń na jej ręce, a ona przykryła ją swoją dłonią.

- Jak rozpoznasz owego czarodzieja?

- Wiem tylko, że muszę go odnaleźć i to szybko, inaczej wszyscy jesteśmy zgubieni.

- Zedd nam pomoże - orzekł Richard po chwili namysłu. - On umie czytać z chmur. I odnajdować zaginionych.

- To brzmi jak magia. - Kahlan zerknęła nań podejrzliwie. - A w Westlandzie podobno nie ma żadnej magii.

- Zedd zawsze twierdzi, że nie ma w tym nic magicznego i że każdy się może tego nauczyć. Stara się i mnie tego nauczyć. Kpi ze mnie, ilekroć powiem, że się zanosi na deszcz. Robi wielkie oczy i mówi: „Magia! Musisz, mój chłopcze, mieć magiczne zdolności żeby czytać z chmur i przepowiadać przyszłość!”

Kahlan się roześmiała. Ucieszyło to chłopaka. Nie chciał jej dociekliwie wypytywać, choć w opowieści było wiele niedopowiedzeń; całe mnóstwo spraw przemilczała. Przynajmniej wiedział o wiele więcej niż przedtem. Najważniejsze to odnaleźć czarodzieja i odejść stąd. Tropem dziewczyny może pójść kolejna bojówka. Poszliby na zachód, a ów czarodziej zrobiłby w tym czasie to, co do niego należało.

Dziewczyna odpięła sakiewkę przy pasie i coś z niej wyjęła. Rozplatała sznurek, rozwinęła ceratkę spowijającą jakąś brązową maść i zanurzyła w tym palec.

- To wspomoże gojenie ranek po ukąszeniu much. Odwróć głowę. Mazidło złagodziło kłucie i swędzenie. Richard rozpoznał zapachy pewnych ziół, z których było zrobione. Zedd nauczył go sporządzania podobnej maści, ale z leczeni, znieczulającej większe rany. Kiedy Kahlan natarła ślady ukąszeń na swojej szyi, chłopak wyciągnął ku niej obolałą, zaczerwienioną dłoń.

- I na to połóż maść.

- Co ci się stało, Richardzie?!

- Rankiem ukłuł mnie jakiś kolec.

- Jeszcze nie widziałam, żeby kolec spowodował taką ranę - powiedziała dziewczyna, ostrożnie nakładając maść na skaleczone miejsce.

- To był spory kolec. Do rana się wygoi.

Maść wcale nie stłumiła bólu w takim stopniu, jak się Richard spodziewał, ale ukrył to przed Kahlan, bo nie chciał jej martwić. Jego rana to pestka w porównaniu z kłopotami dziewczyny. Obserwował, jak zawija maść i z powrotem chowa zawiniątko w sakiewce. Rozmyślała nad czymś, marszcząc czoło.

- Boisz się magii, Richardzie?

- Zawsze mnie fascynowała - odparł po namyśle. - Ciekawiła i pociągała. Teraz wiem, że jest magia, której się należy obawiać. Ale myślę, że z nią jest tak jak z ludźmi: jednych lepiej omijać z daleka, innych dobrze jest poznać.

Kahlan się uśmiechnęła, najwyraźniej zadowolona z odpowiedzi.

- Muszę coś zrobić, Richardzie, zanim pójdę spać. Chodzi o magiczną istotę. Pozwolę ci ją zobaczyć, jeżeli się nie wystraszysz. To rzadka okazja. Niewielu ją widziało lub zobaczy. Lecz musisz mi obiecać, że pójdziemy na mały spacer, kiedy cię o to poproszę, i że nie będziesz o nic pytał po powrocie. Jestem bardzo zmęczona i potrzebuję snu.

- Obiecuję - rzekł chłopak, zaszczycony zaufaniem.

Dziewczyna znów otwarła sakiewkę i wyciągnęła niewielką, pękatą buteleczkę ze szklanym korkiem, ozdobioną srebrnymi i błękitnymi spiralami. W buteleczce zamknięty był blask.

- To nocny ognik. Nazywa się Shar. Owe istoty można zobaczyć jedynie nocą, a w dzień nie. Shar należy do magii, która mi pomogła przebyć granicę: była moją przewodniczką. Zgubiłabym się bez jej pomocy... - Łzy zalśniły w oczach dziewczyny, lecz głos miała pewny i spokojny. - Ona umrze tej nocy. Nie może dłużej żyć z dala od domu i swoich siostrzyc, a nie ma sił, żeby znów przebyć granicę. Shar poświęciła życie, żeby mi pomóc, bowiem gdyby Rahl Posępny zwyciężył, to zginęłoby i jej plemię.

Kahlan wyjęła korek i ustawiła buteleczkę na dłoni. Z naczyńka wydobywał się maleńki ogień i zatrzepotał w chłodnym, mrocznym powietrzu, rzucając na wszystko srebrzysty blask. Płomyczek zawisł pomiędzy dziewczyną a Richardem. Zdumiony chłopak gapił się na niego z otwartymi ustami.

- Dobry wieczór, Richardzie Cypher - powiedział cichutki głosik.

- Dobry wieczór, Shar - szepnął.

- Dzięki ci za to, że pomogłeś dzisiaj Kahlan. Czyniąc to, wspomogłeś również moje plemię. Gdybyś kiedyś potrzebował pomocy nocnych ogników, wymów po prostu moje imię, a na pewno ci pomogę, bo żaden wróg go nie zna.

- Dzięki, Shar. Wiedz jednak, że Midlandy to ostatnie z miejsc, do których chciałbym się udać. Pomogę Kahlan odszukać czarodzieja, a potem odejdziemy na zachód, żeby uciec przed tymi, którzy chcieliby nas zabić.

Shar przez chwilę migotała, jakby rozmyślając nad słowami chłopaka. Jej srebrzysty blask przyjaźnie ogrzewał twarz Richarda.

- Więc uczyń tak, skoro uważasz to za słuszne - powiedziała Shar i chłopak poczuł ulgę. Ognik wirował przez chwilę, potem znów znieruchomiał. - Lecz wiedz, że Rahl Posępny ściga was obydwoje. I nie spocznie. Nie zrezygnuje. Jeżeli uciekniecie, to was znajdzie. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Nie obronicie się przed nim. Zabije was. Wkrótce.

Richardowi tak zaschło w ustach, że z trudem przełknął ślinę Chimera jest szybka, pomyślał, raz dwa będzie po wszystkim.

- Czy moglibyśmy jakoś przed nim uciec, Shar? - spytał.

Ognik znów zawirował, krótkimi błyskami oświetlając to twarz chłopaka, to gałęzie sosny-strażniczki.

- Możesz się od niego odwrócić plecami, lecz nie spuszczaj go z oczu. Inaczej was zabije. A on to lubi - oznajmiła Shar.

- Więc... Nie możemy nic zrobić? - Richard zasmucił się. Shar zawirowała i zatrzymała się tym razem bliżej chłopaka.

- Lepiej postawiłeś pytanie, Richardzie Cypher. Odpowiedź znajdziesz w sobie. Musisz jej szukać. Musisz znaleźć, bo inaczej on zabije was obydwoje. Wkrótce.

- Kiedy? - spytał twardo, nie mógł się powstrzymać: nie przepuści okazji, by się dowiedzieć czegoś, czego by się mógł trzymać, czegoś konkretnego.

Nocny ognik ponownie zawirował, odsunął się od Richarda.

- Pierwszego dnia zimy, Richardzie Cypher. Kiedy słońce jest na niebie. O ile Rahl nie zabije was wcześniej i o ile go nie powstrzymacie, to pierwszego dnia zimy, kiedy słońce jest na niebie, zginie całe moje plemię. Umrzecie obydwoje. A on się tym uraduje.

Richard spróbował określić najlepszy sposób wypytywania wirującej kropelki światła.

- Kahlan próbuje uratować twoje siostrzyce, Shar. Chcę jej w tym pomóc. Poświęciłaś dla niej swoje życie. Powiedziałaś, że jeśli my umrzemy, to wszyscy zginą. Czy możesz nam powiedzieć coś, co by nam pomogło w walce z Rahlem Posępnym?

Ognik zawirował i okrążył wnętrze szałasu utworzonego przez sosnowe gałęzie.

- Już ci przecież powiedziałam. Odpowiedź jest w tobie. Znajdź ją lub umrzecie. Przepraszam, Richardzie Cypher. Chcę pomóc. Nie znam odpowiedzi. Ona jest w tobie. Przepraszam, przepraszam.

Chłopak skinął głową, przeczesując palcami włosy. Nie wiedział, kto był bardziej zawiedziony - on czy Shar. Obejrzał się - Kahlan siedziała spokojnie i obserwowała nocny ognik. Shar wirowała i czekała.

- W porządku. Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego Rahl chce mnie zabić? Bo pomagam Kahlan czy też z jakiegoś innego powodu?

- Inny powód? Sekrety? - Shar znalazła się bliżej.

- Co! - Richard aż się poderwał na równe nogi, lecz ogienek utrzymywał się na wysokości jego twarzy.

- Nie wiem czemu. Przepraszam. Tylko że chce zabić.

- Jak się nazywa czarodziej?

- Dobre pytanie, Richardzie Cypher. Przykro mi. Nie wiem.

Chłopak usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Shar wirowała, rzucając krótkie błyski światła, i wolniutko okrążała głowę Richarda. Rozumiał, że próbuje go pocieszyć i że jej koniec jest już bliski. Umierała, lecz próbowała go pocieszyć. Usiłował przełknąć to, co zatykało mu gardło, żeby się móc do niej odezwać.

- Dziękuję ci, Shar, za to że pomogłaś Kahlan. To jej zasługa, że jeszcze żyję, choć podobno moje życie ma się tak prędko zakończyć, bo rankiem mnie uchroniła przed popełnieniem szaleństwa. Moje życie stało się lepsze, od kiedy ją poznałem. Serdeczne dzięki, Shar, że przeprowadziłaś bezpiecznie moją przyjaciółkę przez granicę. - Łzy zamgliły Richardowi wzrok.

Shar popłynęła ku chłopakowi i dotknęła jego czoła. Miał wrażenie, że głosik ognika rozbrzmiewa bezpośrednio w jego umyśle

- Przykro mi, Richardzie Cypher. Nie znam odpowiedzi, które by was mogły ocalić. Gdybym je znała, to uwierz mi, skwapliwie bym ich udzieliła. Wiem, że jest w tobie dobro. Wierzę w ciebie, I wiem, że masz w sobie to, co potrzebne, aby

zwyciężyć. Niejeden raz zwątpisz w siebie. Lecz się nie poddawaj. Przypomnij sobie w takich razach, że wierzę w ciebie, że jestem pewna, iż wypełnisz swoją powinność. Jesteś kimś niezwykłym, Richardzie Cypher. Uwierz w siebie. I chroń Kahlan.

Chłopak uświadomił sobie, że ma zamknięte oczy. Łzy płynęły mu po policzkach, a gardło miał ściśnięte.

- W pobliżu nie ma chimer. Zostaw mnie teraz z Kahlan, proszę. Zbliża się mój czas.

- Żegnaj, Shar. To zaszczyt dla mnie, że mogłem cię poznać. I odszedł, nie spojrzawszy na żadną z nich.

Kiedy Richard zniknął, Shar podpłynęła ku Kahlan i powiedziała, używając jej tytułu:

- Mój czas wkrótce przeminie, Matko Spowiedniczko. Dlaczego mu nie powiedziałaś, kim jesteś?

Przygarbiona dziewczyna siedziała przy ognisku, złożyła ręce na podołku i wpatrywała się w płomienie.

- Nie mogę, Shar. Jeszcze nie teraz.

- To się nie godzi, Spowiedniczko Kahlan. Richard Cypher jest twoim przyjacielem.

Łzy zalały twarz dziewczyny.

- Nie rozumiesz? Właśnie dlatego nie mogę mu powiedzieć. Jeśli się dowie, już nie będzie moim przyjacielem, już się nie będzie o mnie troszczył. Nie wiesz, co to znaczy być Matką Spowiedniczką, wiedzieć, że wszyscy się ciebie boją. On patrzy mi w oczy, Shar. Niewielu się na to kiedykolwiek ośmieliło. Nikt nigdy nie patrzył na mnie tak jak on. Jego spojrzenie sprawia, że czuję się bezpieczna, że moje serce się uśmiecha.

- Inni mogą mu powiedzieć, zanim ty to zrobisz, Spowiedniczko Kahlan. A to byłoby gorsze.

- Powiem mu, zanim to się stanie. - Dziewczyna spojrzała na ognik zapłakanymi oczami.

- Uprawiasz niebezpieczną grę, Spowiedniczko Kahlan - ostrzegła ją Sahr. - On się może w tobie zakochać. Jeśli dopiero wtedy mu powiesz, to niewybaczalnie go zranisz.

- Nie dopuszczę do tego.

- Wybierzesz go?

- Nie!

Na krzyk Kahlan ognik odpłynął w tył, by po chwili znów wrócić przed twarz dziewczyny.

- Jesteś ostatnia ze swego rodu, Spowiedniczko Kahlan. Rahl Posępny zabił wszystkich pozostałych. Nawet twoją siostrę, Dennee. Teraz ty jesteś Matką Spowiedniczką. Musisz wybrać partnera.

- Nie mogłabym tego zrobić komuś, kto mnie obchodzi. Żadna Spowiedniczką by nie mogła. - Dziewczyna zaszlochała.

- Przykro mi, Matko Spowiedniczko. To ty musisz wybrać.

Kahlan podciągnęła nogi, splotła je ramionami i wsparła czoło o kolana. Szloch wstrząsał jej ramionami, a gęste włosy spłynęły na plecy. Shar okrążyła powoli głowę dziewczyny, rzucając błyski srebrzystego blasku, pocieszała swoją towarzyszkę. Krążyła tak dopóty, dopóki Kahlan nie przestała płakać. Wówczas Shar znów zawisła przed twarzą dziewczyny.

- Ciężko być Matką Spowiedniczką. Przykro.

- Ciężko - przyznała Kahlan.

- Dużo na barkach.

- Dużo - potwierdziła dziewczyna.

Nocny ognik osiadł na ramieniu Kahlan i trwał tam spokojnie, a ona obserwowała ognisko. Po pewnym czasie Shar znów zawisła przed twarzą dziewczyny.

- Chcę zostać z tobą dłużej. Przyjemnie. Chcę zostać z Richardem Cypherem. Zadaje dobre pytania. Ale już nie mam sił. Umieram, przykro.

- Przyrzekam ci, Shar, że jeśli to będzie konieczne, poświęcę życie, by powstrzymać Rahla Posępnego. Żeby ocalić i twój ród, i wszystkich pozostałych.

- Wierzę ci, Spowiedniczko Kahlan. Pomóż Richardowi. - Shar Podpłynęła bliżej. - Proszę. Zanim umrę. Dotkniesz mnie?

Dziewczyna odsuwała się coraz dalej, aż dotknęła plecami pnia sosny.

- Nie... Proszę... Nie - błagała, potrząsając głową. - Nie proś mnie o to. - Znów miała oczy pełne łez. Przycisnęła do ust drżące dłonie, starając się powstrzymać łkanie.

Shar zbliżyła się do niej.

- Proszę, Matko Spowiedniczko. Jestem tak boleśnie samotna z dala od swoich. Już nigdy z nimi nie będę. To tak boli. Odchodzę. Proszę, użyj swojej mocy.

Dotknij mnie i daj mi słodką śmierć Pozwól, bym umarła, smakując miłość. Poświęciłam życie, żeby ci pomóc. O nic więcej cię nie proszę. Zgadzasz się?

Shar świeciła coraz słabiej. Kahlan, płacząc, zasłoniła usta lewą dłonią. W końcu wyciągnęła prawą rękę i drżącymi palcami dotknęła Shar.

Rozległ się stłumiony grom. Gwałtowny wstrząs powietrza uderzył w sosnę-strażniczkę, spadł deszcz zeschłych igieł, niektóre spadły w ognisko i spłonęły. Słabiutki srebrzysty płomyczek Shar zajaśniał różem, zyskując na intensywności.

- Dzięki, Kahlan. Żegnaj, najdroższa - powiedział cichutko głosik. Iskierka życia zbladła i zgasła.

Kiedy rozległ się ów cichy grom, Richard odczekał jeszcze chwilę, a potem wrócił do ogniska. Kahlan siedziała wpatrzona w płomienie, oplotła ramionami kolana, wsparła na nich policzek.

- Shar? - spytał chłopak.

- Odeszła - odparła dalekim głosem.

Skinął głową, ujął rękę dziewczyny, zaprowadził ją do posłania z suchej trawy i ułożył. Posłuchała go bez oporów, w milczeniu. Otulił ją kocem i przyrzucił go sianem, żeby nie zmarzła w nocy, po czym sam zakopał się w sianie w pobliżu Kahlan. Ułożyła się na boku, wsparła plecami o chłopaka, jak dziecko szukające ochrony przed nadciągającym niebezpieczeństwem. I on czuł, że coś nadciąga. Coś ku nim idzie. Coś śmiertelnie niebezpiecznego.

Dziewczyna wkrótce zasnęła. Richard powinien był marznąć, lecz nie czuł chłodu. Ręka mu pulsowała. Trawiła go gorączka. Leżał i rozmyślał o owym bezdźwięcznym gromie. Zastanawiał się, jakim sposobem Kahlan nakłoni potężnego czarodzieja, żeby uczynił to, czego ona oczekuje. Zaniepokoiło go to, ale zasnął, zanim zdążył się porządnie wystraszyć.

Rozdział szósty

Następnego dnia, koło południa, Richard musiał przyznać, że rana po ukłuciu przez pnącze wywołała gorączkę. Nie miał apetytu. Raz było mu przeraźliwie gorąco i tak się pocił, że ubranie przyklejało się do skóry, a zaraz potem trząsł się z zimna. Głowa go bolała do tego stopnia, że aż miał mdłości. Sam nic na to nie poradzi, musi poprosić o pomoc Zedda. Dom starego był już niedaleko, chłopak uznał więc, że się nie poskarży Kahlan. Spał źle, śniły mu się jakieś dziwy. Nie wiedział, czy to skutek gorączki, czy tego, czego się dowiedział. Najbardziej dręczyły go słowa Shar: znajdź odpowiedź lub umrzesz.

Niebo było zasnute chmurami, chłodny, szarawy blask zapowiadał nadejście zimy. Duże, gęsto rosnące drzewa osłaniały dróżkę przed chłodnym wiatrem, czyniąc z niej spokojne, zaciszne, przepojone zapachem żywicy schronienie przed tchnieniem zimy.

Przekroczyli strumyczek w pobliżu bobrzego stawku i natrafili na dzikie kwiaty: złociste i jasnobłękitne, kwitły w niewielkiej kotlince. Kahlan się zatrzymała, żeby ich nazbierać. Znalazła kawałek drewna o łódkowatym wygięciu i zaczęła w nim układać kwiatki. Richard pomyślał, że dziewczyna na pewno jest głodna. Odszukał znaną mu, rosnącą w pobliżu jabłoń i napełnił plecak owocami. Idąc do Zedda, dobrze było przynieść coś do jedzenia. Chłopak skończył zbieranie, oparł się o pień i czekał na Kahlan, dumając, co też ona robi. Kiedy dziewczyna była wreszcie zadowolona ze swego dzieła, uniosła skraj sukni i klęknąwszy nad potoczkiem, puściła na wodę łódkę z kwiatami. Potem Przysiadła na piętach i patrzyła, jak odpływa. W końcu obejrzała się, zobaczyła wspartego o pień Richarda, podniosła się i podeszła do niego.

- To ofiara dla duchów naszych matek - wyjaśniła. - Prośba, by nam pomogły w odszukaniu czarodzieja i żeby nas chroniły. - Spojrzała na twarz chłopaka i zaniepokoiła się. - Co ci jest, Richardzie?

- Nic - odparł i podał jej jabłko. - Zjedz, proszę. Odepchnęła jego dłoń, drugą ręką chwyciła za gardło. Jej oczy zapłonęły gniewem.

- Czemu to zrobiłeś?!

Richard zdrętwiał, wstrząśnięty. Coś mu powiedziało, żeby ani drgnął.

- Nie lubisz jabłek? No to przepraszam, znajdę ci coś innego do jedzenia.

Gniew w oczach dziewczyny przygasł, pojawiło się w nich niedowierzanie.

- Jak je nazwałeś?

- Jabłka - odparł, wciąż stojąc bez ruchu. - Nie wiesz, co to takiego? Są

smaczne, mówię ci. A myślałaś, że co to jest?

- I jesz te... Te jabłka? - Odrobinę poluzowała chwyt.

- Pewnie, często.

Kahlan, zażenowana, puściła gardło chłopaka i zasłoniła dłonią usta. Oczy miała szeroko otwarte.

- Przepraszam cię, Richardzie. Nie miałam pojęcia, że to jesz. Każdy czerwony owoc to w Midlandach śmiertelna trucizna. Myślałam, że chcesz mnie otruć.

Chłopak się roześmiał, rozładowując napięcie. Zawtórowała mu, mówiąc jednocześnie, że to wcale nie jest zabawne. Ugryzł kęs, by jej pokazać, że nie kłamie, i podał dziewczynie drugi owoc. Wzięła jabłko, lecz długo mu się przyglądała, zanim ugryzła.

- Mmmm, to rzeczywiście pyszne - powiedziała, a następnie ściągnęła brwi i dotknęła czoła chłopaka. - Wiedziałam, że coś nie tak. Pali cię gorączka.

- Wiem. Ale tylko Zedd może coś na to zaradzić. Już prawie doszliśmy. Przeszli kawałek ścieżką i ujrzeli przysadzisty domek Zedda. Deska oparta o pokryty płatami darni dach służyła za schodnię staremu kocurowi właściciela; zwierzak zręczniej się wdrapywał na górę, niż schodził. Białe, koronkowe firanki zdobiły okna, na zewnętrznych parapetach stały skrzynki z kwiatami, zeschłymi teraz i zmarniałymi, bo minął już ich sezon. Ściany z bali poszarzały ze starości, ale drzwi wejściowe pomalowano jaskrawym błękitem. Domek jakby się próbował wtopić w okoliczne łąki, żeby go nikt nie zauważył. Nie była to okazała budowla, lecz miała sporą werandę, biegnącą wzdłuż całej ściany frontowej.

Zeddowy „fotel rozmyślań” stał pusty. To w nim zasiadał starzec, kiedy dumał nad sprawami, które wzbudziły jego zainteresowanie. Kiedyś tkwił tak calutkie trzy dni, zastanawiając się, dlaczego ludzie wciąż się sprzeczają, ile jest gwiazd na niebie.

Jemu było to obojętne. Uznał, że to trywialna kwestia, i próbował dociec, czemu ludzie poświęcają temu tak wiele czasu. W końcu wstał i oznajmił, że czynią tak dlatego, że każdy może się upierać przy swoim i nie można udowodnić, iż jest w błędzie, bo nikt nie zna prawdziwej liczby. Ci głupcy, przedstawiając swoje wyliczenia, nie muszą się obawiać, że ktoś im udowodni błąd. Rozwiązawszy ów palący problem, ku swemu zadowoleniu, Zedd wszedł do domu i przez trzy godziny łapczywie zajadał.

Richard zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Uśmiechnął się do Kahlan.

- Założę się, że wiem, gdzie jest. Siedzi na swojej „chmurnej skałce”, obserwując najostatniejsze skupienie obłoków.

- Chmurna skałka? - zdziwiła się dziewczyna.

- To jego ulubione miejsce do obserwacji i czytania z chmur. Nie pytaj dlaczego. Jak tylko zobaczy jakiś ciekawy obłok, to zawsze, od kiedy go znam, biegnie na tę skałkę i z niej go obserwuje. - Richard zżył się z tym od dziecka, więc nie uważał tego zachowania za osobliwe; ot, po prostu jeden ze zwyczajów Zedda.

Poszli przez wysokie trawy otaczających dom łąk, a potem wspięli się na szczyt nagiego pagórka. Zedd stał na płaskim kamieniu, odwrócony ku nim zgiętymi w łuk plecami. Wyrzucił ramiona szeroko w górę, a jego siwe włosy spływały z odchylonej w tył głowy.

Był kompletnie nagi.

Richard wywrócił oczami, Kahlan odwróciła wzrok. Bladawa skóra zwisała luźno na licznych wystających kościach, co sprawiło, że starzec wyglądał równie krucho jak przesuszona gałązka. Lecz chłopak wiedział, że to tylko pozory. Pośladki Zedda pozbawione były nawet odrobinki mięśni, więc i tu skóra zwisała smętnie.

- Wiedziałem, że nadchodzisz, Richardzie - oznajmił Zedd, unosząc ku niebu kościsty palec. Głos miał bardzo cienki.

Za plecami starca leżały proste, pozbawione ozdób szaty. Chłopak pochylił się i podniósł je, a Kahlan odwróciła się z uśmiechem, żeby uniknąć niestosownych widoków.

- Mamy towarzystwo, Zedd. Ubierz się.

- Jak myślisz, skąd wiedziałem, że się zbliżasz? - Starzec wciąż stał bez ruchu.

- Na pewno ma to coś wspólnego z chmurką, która towarzyszy mi od paru dni. Pomogę ci się ubrać.

- Dni! Kurczę! - Zedd okręcił się ku chłopakowi, wymachując ze zdenerwowania ramionami. - Ta chmura trzy tygodnie szła twoim śladem, Richardzie! Od dnia, kiedy zabito twojego ojca! Nie widziałem cię od śmierci George’a. Gdzie się podziewałeś? Wszędzie cię szukałem. Łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż ciebie, gdy zechcesz pozostać w ukryciu!

- Byłem zajęty. Unieś ramiona, pomogę ci włożyć ubranie... Chłopak narzucił szatę na wyciągnięte ramiona starca, osłaniając jego kościste ciało, po czym pomógł wsunąć głowę w rozcięcie.

- Zajęty! Zbyt zajęty, żeby choć raz tu zajrzeć?! Niech to szlag Richardzie, czy

wiesz, skąd jest ten obłok? - Zedd zmarszczył czoło, oczy miał skupione, szeroko otwarte.

- Nie przeklinaj - pouczył go chłopak. - Powiedziałbym, że ta chmurka jest z D'Hary.

- D'Hara! - wykrzyknął starzec, wyrzucając w górę ręce. - Tak! Znakomicie, chłopcze! Powiedz mi, jak na to wpadłeś. Wywnioskowałeś to z jej budowy?

Gęstości? - Zedd nerwowo poprawiał szatę, niezadowolony z tego, jak się układają fałdy.

- Ani z jednego, ani z drugiego. Wywnioskowałem to na podstawie różnych innych informacji. Już ci mówiłem, Zedd, że mamy towarzystwo.

- Tak, tak. Usłyszałem już za pierwszym razem. - Starzec machnął ręką. - Różne inne informacje, powiadasz. - Przesunął palcami po gładkim podbródku; orzechowe oczy zalśniły. - Też dobrze. Naprawdę świetnie! A czy te informacje cię pouczyły, że to kiepska sprawa? Jasne, że tak - odpowiedział na własne pytanie. - Czemu się tak pocisz? - Dotknął chudymi palcami czoła Richarda. - Masz gorączkę - oznajmił. - Przyniosłeś coś do jedzenia?

Chłopak już miał w dłoni jabłko. Wiedział, że Zedd będzie głodny. Stary zawsze był głodny. Teraz chciwie wbił zęby w soczysty owoc.

- Wysłuchaj mnie, Zedd, proszę. Mam kłopoty i potrzebuję twojej pomocy.

Starzec położył kościste palce na głowie chłopaka, kciukiem uniósł mu powiekę. Pochylił się ku przodowi, przysunął twarz do twarzy Richarda i uważnie spojrzał w jego oko. Potem powtórzył cały manewr z drugim okiem.

- Zawsze słucham tego, co mówisz, Richardzie. - Ujął przegub chłopaka i badał puls. - Zgadzam się całkowicie, że masz kłopoty. Za trzy, no, może cztery godziny stracisz przytomność.

Richard zapomniał języka w gębie, a Kahlan wyglądała na przerażoną. Zedd znał się na gorączkach i jego orzeczenia zawsze się sprawdzały. Chłopak ledwo stał na nogach, rano zbudziły go dreszcze; wiedział, że jego stan się pogarsza.

- Mógłbyś mi jakoś pomóc?

- Być może, ale to zależy od tego, co spowodowało twoją chorobę. Wykaż wreszcie trochę ogłady i przedstaw mnie swojej dziewczynie.

- To Kahlan Amnell, moja przyjaciółka...

- Ooo, czyżbym się mylił? - Zedd spojrzał bacznie w oczy Richardowi. - Nie jest dziewczyną? - zachichotał. Podszedł do Kahlan ukłonił się zamaszyście, ujął dłoń

dziewczyny i delikatnie ucałował, po czym rzekł: - Zeddicus Zu’l Zorander, twój uniżony sługa młoda damo. Wyprostował się i spojrzał w twarz Kahlan. Ich oczy się spotkały i uśmiech zniknął z ust Zedda. Starzec rozwarł szeroko oczy, na jego licach odmalował się gniew. Gwałtownie puścił dłoń dziewczyny, jakby się zmieniła w jadowitego węża i okręcił się ku Richardowi. - Co robisz w towarzystwie tej istoty, Richardzie!

Kahlan pozostała spokojna i opanowana, ale chłopak zdębiał.

- Ależ, Zedd... - wyjąkał.

- Dotknęła cię?!

- No cóż, ja... - dukał Richard, usiłując sobie przypomnieć, ile razy go dotykała, lecz starzec mu przerwał.

- Nie, jasne, że nie. Poznaję, że nie. Czy wiesz, Richardzie, kim ona jest? - obrócił się ku dziewczynie. - To...

Lodowaty gniew w oczach Kahlan zmroził Zedda.

- Doskonale wiem, kim jest - powiedział chłopak spokojnym, opanowanym głosem. - Jest moją przyjaciółką. Przyjaciółką, która wczoraj uratowała mnie przed śmiercią, jaka spotkała mojego ojca, a która nie pozwoliła, bym skończył w paszczy chimery.

Twarz dziewczyny złagodniała. Zedd patrzył na nią przez chwilę, potem przeniósł wzrok na Richarda.

- Kahlan jest moją przyjaciółką, Zedd - dorzucił chłopak. - Obydwoje jesteśmy w tarapatach i musimy sobie nawzajem pomagać.

Starzec milczał, badawczo spoglądając w oczy Richarda.

- Faktycznie jesteście w tarapatach.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Zedd. Mamy mało czasu. - Starzec sprawiał wrażenie, jakby nie zamierzał się w to wtrącać, lecz Richard mówił dalej, obserwując jego oczy: - Kiedy ją wczoraj spotkałem, atakowała ją bojówka. Pewnie wkrótce się pojawi następna. - Wreszcie ujrzał to, na co czekał: gniew w oczach starca zmienił się we współczucie.

Zedd popatrzył na Kahlan, jakby ją ujrzał po raz pierwszy. Patrzyli tak na siebie dłuższą chwilę. Na wspomnienie bojówki na twarzy dziewczyny odmalowała się udręka. Starzec podszedł do Kahlan i otoczył ją opiekuńczo chudymi ramionami. Przytuliła się doń z wdzięcznością, kryjąc twarz w jego szacie, by zataić

- Już wszystko dobrze, kochanie, już jesteś bezpieczna - powiedział miękko

Zedd. - Chodźmy do domu. Opowiesz mi o swoich kłopotach, a potem się zajmiemy gorączką Richarda. Dziewczyna kiwnęła głową wtuloną w ramię starca. Potem odsunęła się od niego i powiedziała:

- Zeddicus Zu'l Zorander. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

- Pewnie, że nie słyszałaś, kochanie, pewnie, że nie słyszałaś. - Uśmiechnął się szeroko, aż mu się pomarszczyły zapadnięte policzki. - A tak nawiasem mówiąc, umiesz gotować? - Otoczył Kahlan ramieniem i ruszył w dół stoku pagórka. - Głodny jestem a od lat nie jadłem porządnej gotowanej potrawy. - Obejrzał się i rzucił: - Chodź, Richardzie, póki jeszcze możesz sam iść.

- Jeżeli zaradzisz gorączce Richarda, to ci ugotuję wielki garnek zupy korzennej - obiecała Kahlan.

- Korzenna polewka! - zapiał Zedd. - Od lat nie jadłem dobrze przyrządzonej korzennej polewki. Richardowi w ogóle się nie udaje.

Chłopak szedł chwiejnie za nimi. Napięcie emocjonalne dodatkowo uszczupliło jego siły. Przerażało go lekceważenie, z jakim Zedd traktował jego gorączkę. Wiedział, że starzec się tak zachowuje, bo nie chce go wystraszyć. Czuł, jak pulsuje zraniona ręka.

Zedd był z Midlandów, więc chłopak wspomniał o bojówce, żeby wzbudzić współczucie starego przyjaciela. Teraz z ulgą, choć i z lekkim zdumieniem, patrzył, jak tamtych dwoje się przyjaźnie do siebie odnosi. Chłopak dotknął zawieszonego na szyi zęba, chcąc sobie dodać pewności. Bardzo go niepokoiło to, czego się dowiedział.

Przy tylnym narożniku domu stał stół - Zedd lubił tutaj jadać przy dobrej pogodzie. Dzięki temu mógł jednocześnie i posilać się, i zerkać na chmury. Starzec usadowił oboje młodych na ławce, a sam wszedł do domu i przyniósł stamtąd marchewki, jagody, ser i sok jabłkowy. Ułożył to wszystko na wypolerowanym przez lata używania drewnianym blacie stołu i usiadł naprzeciw Richarda i Kahlan. Podał chłopakowi kubek z czymś brązowym i gęstym, pachnącym migdałkami, i przykazał wypić to powoli

- Opowiedz mi, co się stało - polecił, patrząc Richardowi w oczy.

Ten opowiedział wszystko po kolei: jak go ukłuło pnącze, jak zobaczył na niebie dziwne „coś", wreszcie, jak nad jeziorem Trunt wypatrzył Kahlan i śledzących ją czterech mężczyzn. Nie pominął żadnego z zapamiętanych szczegółów. Wiedział, że Zedd chce znać najdrobniejsze fakty, nawet te najmniej ważne. Od czasu do czasu

Richard milkł i pociągał łyk mikstury... Kahlan zjadła trochę marchewek i jagód, napiła się soku jabłkowego, ale odsunęła talerz z serem. Potakiwała i podrzucała szczegóły, które wyleciały chłopakowi z pamięci. Richard przemilczał tylko jedno: opowieść Kahlan o trzech krajach i o Rahlu Posępnym, opanowującym Midlandy. Uznał, że lepiej będzie, jeśli dziewczyna sama o tym opowie. Potem Zedd wrócił do początku historii i koniecznie chciał wiedzieć, co Richard robił w wysokim Ven. - Kiedy poszedłem do domu ojca po jego śmierci, zajrzałem do „dzbanka wiadomości”. Ów dzbanek był jedną z niewielu ocalałych rzeczy. W środku znalazłem kawałek pnącza. I przez ostatnie trzy tygodnie szukałem tej rośliny, próbowałem się domyślić, co oznaczała ta ostatnia wieść od ojca. W końcu znalazłem owo pnącze, a ono mnie ukłuło. - Rad był, że zakończył opowieść, bo mówił z coraz większym trudem. Zedd odgryzł kęs marchewki, podumał i zapytał:

- Jak wyglądało to pnącze?

- Ono... Chwileczkę, wciąż je mam w kieszeni. - Richard wyjął fragmencik rośliny i położył na stole.

- Wielkie nieba - szepnął Zedd. - To wężowa liana!

Zimny dreszcz przeszył Richarda. Wyczytał tę nazwę w tajemnej księdze. Ze wszystkich sił starał się mieć nadzieję, że to nie oznacza tego, czego się obawiał.

- Dobra nowina, wiem teraz, jaki korzeń uleczy twoją gorączkę - oznajmił Zedd, odchylając się w tył. - Zła, że muszę go najpierw znaleźć.

Potem starzec poprosił Kahlan, by opowiedziała swoją historię, lecz żeby się zanadto nie rozwodziła, bo on, Zedd, ma wiele do zrobienia, a czas nagli. Richard przypomniał sobie, co mu opowiadała w namiocie z gałęzi sosny-strażniczki i ciekaw był, jak dziewczyna to skróci.

- Rahl Posępny, syn Panisa Rahla, rości sobie prawo do trzech szkatuł Ordena - powiedziała zwięźle Kahlan. - Przybyłam tu w poszukiwaniu potężnego czarodzieja.

Richard był jak rażony piorunem.

W jego myślach rozjarzył się werset z tajemnej Księgi Opisania Mroków, księgi, której się nauczył na pamięć na polecenie ojca, zanim ją zniszczyli: I rozpleni się wężowa liana, jeżeli ktoś sięgnie po szkatuły Ordena. Najgorsze koszmary Richarda, najgorsze zmory wszystkich istot stawały się rzeczywistością.

Rozdział siódmy

Richard, obolały i otumaniony gorączką, opuścił głowę na stół. Jęczał. Jego umysł zmagał się z pojęciem i zaakceptowaniem tego, co Kahlan powiedziała Zeddowi, ze spełnianiem się przepowiedni z tajemnej Księgi Opisania Mroków. Zedd natychmiast się znalazł przy chłopaku, podniósł go i przywołał Kahlan, żeby mu pomogła zaprowadzić chorego do domu. Richard szedł z trudem; choć go podtrzymywali, miał wrażenie, że ziemia mu się kołysze pod stopami. Ułożyli go na łóżku i okryli. Słyszał, że o czymś rozmawiają, lecz zupełnie nie rozumiał sensu ich słów, Ciemność wchłonęła umysł chłopaka, a potem zjawiło się światło. To się wznosił ku jasności, to opadał ku mrokom. Zastanawiał się, kim jest, i co się właściwie dzieje. Płynął czas; pokój wirował, kołysał się i chwiał. Richard trzymał się łóżka, żeby nie spaść. Od czasu do czasu wiedział, gdzie jest, i desperacko próbował utrzymać tę świadomość... I znów się zapadał w ciemność.

Chłopak ponownie odzyskał świadomość, zdając sobie sprawę, że upłynął jakiś czas, ale nie miał pojęcia, jak długi. Była już noc? A może tylko zasunięto zasłony. Ktoś kładł mu na czoło chłodny, wilgotny okład. Matka odgarniała mu włosy. Dotknięcie jej dłoni koiło, przynosiło ulgę. Niemal widział jej twarz. Była tak dobra, zawsze tak się o niego troszczyła. Aż do śmierci. Chciało mu się płakać. Matka nie żyła. A przecież gładziła jego włosy To nie mogła być ona, to na pewno ktoś inny. Lecz kto? Wtem przypomniał sobie. To Kahlan. Wymówił imię dziewczyny.

- Jestem przy tobie - powiedziała, głaszcząc go po głowie. Richard nagle przypomniał sobie wszystko: śmierć ojca, lianę, która go ukłuła, Kahlan, czterech mężczyzn na Urwistym Wierchu, przemowę brata; to, że ktoś czatował nań w domu, chimerę, nocny ognik mówiący, że powinien znaleźć odpowiedź, bo inaczej zginie, słowa dziewczyny, że gra toczy się o trzy szkatuły Ordena, i swoją tajemnicę - Księgę Opisania Mroków... Pamiętał teraz, jak ojciec zaprowadził go w sekretne miejsce w lesie i opowiedział, jak niegdyś ocalił Księgę Opisania Mroków przed bestią, która miała jej strzec do powrotu swego pana. Jak zabrał ową księgę ze sobą do Westlandu, żeby nie wpadła w zachłanne łapy tego, kogo strażnik księgi nie podejrzewał o zdradę. Ojciec twierdził, że dopóki wolumin ten będzie istniał, dopóty grozić będzie niebezpieczeństwo, lecz nie mógł zniszczyć zawartej w nim wiedzy - nie miał do tego prawa. Księga należała do swego strażnika i powinna bezpiecznie doczekać jego powrotu. Był na to tylko jeden sposób: trzeba się było nauczyć na pamięć wszystkiego, co tam spisano, a potem spalić księgę. Na powiernika ojciec wybrał

Richarda. Miał swoje powody, nie wybierając Michaela, lecz młodszego syna. Nikt nie mógł się dowiedzieć o księdze, nawet Michael; tylko strażnik księgi, wyłącznie on jeden. Ojciec mówił, że Richard może nigdy nie odnaleźć owego strażnika - wtedy powinien przekazać jej treść swojemu dziecku, a ono z kolei swojemu i tak dalej i dalej, tak długo, jak będzie trzeba. Nie powiedział, kto jest strażnikiem księgi, bo sam tego nie wiedział. Richard pytał, jak go wobec tego rozpozna, lecz ojciec rzekł, że syn sam powinien znaleźć na to odpowiedź, i jeszcze raz podkreślił, że nie wolno mu o tym mówić nikomu, jedynie prawowitemu opiekunowi. Nawet bratu Michaelowi czy najlepszemu przyjacielowi, Zeddowi.

Richard przysiągł to na swoje życie.

Ojciec już nigdy nie zajrzał do księgi, czynił to wyłącznie on, Richard. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, chyba że był na jednej ze swoich wypraw, ojciec szedł z nim w owo tajemne miejsce w głębi lasu i patrzył, jak młodszy syn czyta księgę, ucząc się jej treści. Michael zazwyczaj przebywał ze swoimi przyjaciółmi, zresztą nawet gdy był w domu, i tak nie chadzał do lasu. Poza tym Richard często odwiedzał Zedda, także wtedy, gdy ojciec nie podróżował, więc nikt się nie dziwił częstym wyprawom do lasu.

Co jakiś czas chłopak spisywał to, czego się nauczył na pamięć, i porównywał te zapiski z księgą. Ojciec zawsze palił takie notatki. Co dzień przepraszał syna, że złożył na jego barki takie brzemię, i prosił go o wybaczenie po każdej wyprawie do lasu.

Richard nigdy nie miał ojcu za złe, że kazał mu się nauczyć owej księgi; czuł się zaszczycony zaufaniem, które mu okazano. Setki razy spisał z pamięci całą księgę, zanim uznał, że nie zapomni ani słówka. Wyczytał przecież, że opuszczenie choć jednego słowa może sprowadzić nieszczęście. Gdy zapewnił ojca, że zapamiętał absolutnie wszystko, odłożyli księgę do skalnej skrytki i nie zaglądali tam przez trzy lata. Po upływie owego czasu poszli w to miejsce pewnego jesiennego dnia i ojciec rzekł, że jeżeli Richard napisze z pamięci księgę bez jednej pomyłki, to będą mogli spalić wolumin. Chłopak spisał wszystko od początku do końca. Nie popełnił najmniejszego błędu. Rozpalili więc ognisko dając doń o wiele więcej drewna, niż było trzeba. Ojciec wręczył mu księgę i rzekł, aby ją wrzucił w płomienie, jeśli istotnie jest pewien, że niczego nie zapomni. Richard stał z Księgą Opisania Mroków w dłoni, przesuwając palcami po skórzanej oprawie. Oto coś, od czego może zależeć los ojca, los każdej istoty; stawał się depozytariuszem, mężem zaufania. Poczuł na

swoich barkach to brzemię. Wrzucił księgę w ogień. Już nie był dzieckiem.

Płomienie wiły się wokół woluminu, pieszczotliwie obejmując i pochłaniając go. Wirowały jakieś barwy i kształty, rozległ się grzmiący ryk. W niebo strzeliły dziwaczne płomieniste bestie. Szarpał nimi wiatr. Ognisko wchłaniało zeschłe liście i gałązki, żar był coraz większy. Pojawiały się zjawy i wyciągały ramiona, a wiatr unosił w dal ich głosy. Ojciec i syn stali jak zaklęci w kamień, nie mogli się poruszyć ani odwrócić oczu od tego widoku. Żar zmienił się w lodowato zimny wicher, który zaparł im oddech i sprawił, że zadrżeli. Potem ziąb zniknął i ogień przekształcił się w oślepiające światło, jakby stali w pełnym blasku słońca. Nagle wszystko się skończyło. Zapanowała cisza. Ognisko zgasło. W chłodne jesienne powietrze ze sczerniałego drewna unosiły się wstęgi dymu. Księga przestała istnieć.

Richard zrozumiał to, co widzi: był świadkiem magii.

Czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu chłopaka. Otworzył oczy: to Kahlan. Siedziała w fotelu przysuniętym do łóżka, oświetlona wpadającym przez otwarte drzwi blaskiem ognia. Stare kocisko Zedda spało na kolanach dziewczyny.

- Gdzie Zedd? - zapytał sennie.

- Szuka korzeni, żeby cię wyleczyć - uspokoiła go. - Już od dawna jest ciemno, ale mówił, żeby się nie przejmować, gdyby długo nie wracał. Powiedział też, że możesz się na przemian budzić i zasypiać, lecz że bezpiecznie dotrwasz do jego powrotu. Dzięki miksturze, którą wypiłeś.

Richard spojrzał na nią i - po raz pierwszy, od kiedy się spotkali - zdał sobie sprawę, że to najpiękniejsza z kobiet, które widział. Miał ochotę dotknąć bujnych włosów dziewczyny, lecz nie uczynił tego. Zadowolił się tym, że była przy nim, że położyła mu dłoń na ramieniu, że nie był sam.

- Jak się czujesz? - spytała łagodnym, miękkim głosem, a Richard nie mógł pojąć, czemu Zedd tak się jej wystraszył.

- Wolałbym walczyć z następną bojówką niż z wężową lianą. Uśmiechnęła się doń owym specjalnym uśmiechem, jak tam, na Wierchu, i otarła mu czoło kawałkiem płótna. Przytrzymał jej dłoń, a Kahlan spojrzała mu w oczy.

- Zedd od wielu lat jest moim przyjacielem. Jest dla mnie jak drugi ojciec. Obiecaj, że nie uczynisz niczego, co by go zraniło. Nie zniósłbym tego.

- Też go lubię - zapewniła chłopaka. - I to bardzo. To dobry człowiek, jak sam powiedziałeś. Nie mam zamiaru go zranić. Chcę tylko, żeby mi pomógł odszukać czarodzieja.

- Obiecaj mi. - Silniej ścisnął nadgarstek dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze, Richardzie. Pomoże nam. Przypomniał sobie, jak zacisnęła palce na jego gardle, wyraz jej oczu, gdy poczęstował ją jabłkiem.

- Obiecaj - powtórzył z uporem.

- Poczyniłam już wiele obietnic, także wobec tych, którzy poświęcili swoje życie. Odpowiadam za życie innych. Wielu, wielu innych.

- Obiecaj.

- Przykro mi, Richardzie, nie mogę. - Dotknęła wolną dłonią policzka chłopaka.

Puścił jej rękę, odwrócił się i zamknął oczy, a ona cofnęła dłoń z jego policzka. Richard pomyślał o księdze, ojej doniosłym znaczeniu i pojął, jaki jest samolubny. Chciałby nakłonić Kahlan, żeby oszczędziła Zedda, który i tak zginąłby wraz z nimi? Skazałby innych na śmierć lub niewolę po to, żeby jego przyjaciel żył parę miesięcy dłużej? Wydałby wyrok i na nią? Chłopak zawstydził się własnej głupoty. Nie miał prawa prosić o taką obietnicę. Nie mogła mu jej udzielić. Ucieszył się, że Kahlan go nie okłamała. Wiedział jednakże, iż choć Zedd wypytywał o kłopoty, w jakich się znaleźli, to wcale nie znaczyło, że pomoże w sprawach spoza granicy.

- Ta gorączka mnie ogłupia, Kahlan, Wybacz mi, proszę. Nigdy nie spotkałem kogoś tak dzielnego jak ty. Wiem, że próbujesz ocalić nas wszystkich. Zedd nam pomoże, dopilnuję tego. Obiecaj mi tylko, że poczekasz, aż się lepiej poczuję. Że pozwolisz mi go przekonać.

- To ci mogę obiecać. - Dziewczyna lekko ścisnęła ramię Richarda. - Wiem, że się niepokoisz o przyjaciela. Przykro by mi było, gdybyś się o niego nie zatroszczył. Wcale się głupio nie zachowałeś. Odpoczywaj teraz.

Chłopak się starał nie zamykać oczu, bo wówczas wszystko zaczynało niepowstrzymanie wirować. Jednak rozmowa bardzo go osłabiła, wkrótce więc znów zapadł w ciemność. Jego myśli Ponownie rozpłynęły się w pustce. Od czasu do czasu na poły stamtąd powracał i wtedy błądził w niespokojnych snach. Innym razem błąkał się w miejscach pozbawionych nawet złud.

Kot się zbudził i nastawił uszu. Richard spał. Coś, co tylko on dosłyszał, spędziło kocura z kolan Kahlan i zwabiło do drzwi Usiadł tam i czekał. Dziewczyna też czekała. Zwierzak nie na stroszył sierści, więc siedziała spokojnie przy chłopaku. Z zewnątrz dał się słyszeć cienki głos:

- Kocie? Kocie! Gdzie się podziewasz? Zostań tam sobie, jeśli chcesz. - Skrzypnęły otwierane drzwi. - A, tu jesteś. - Kocur wybiegł na zewnątrz. - Rób, jak uważasz - zawołał za nim Zedd i zapytał: - Jak Richard?

Kahlan zaczekała, aż starzec wejdzie do pokoju, i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Budził się kilka razy, lecz teraz śpi. Znalazłeś ów korzeń?

- Inaczej bym nie wrócił. Czy mówił coś, kiedy się budził?

- Tyle tylko, że się o ciebie martwi! - Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

- I nie bez powodu - mruknął pod nosem Zedd, wychodząc z pokoju.

Siedząc przy stole, oskrobał korzenie, pokroił je w cienkie talarki, które wsypał do kociołka, zalał odrobiną wody i zawiesił nad ogniem. Dorzucił do ognia obierki i dwa kawałki drewna, podszedł do szafki i wyjął z niej kilka różnej wielkości słoików, Wybrał jeden z nich, potem drugi, odsypując z każdego do czarnego kamiennego moździerza trochę proszku o odmiennym kolorze. Ucierał białym tłuczkiem czerwienie, błękity, złocistości, brązy i zielenie, aż całość przybrała barwę wysuszonego szlamu. Oblizał czubek palca i dotknął mieszaniny. Przytknął palec do języka, posmakował, uniósł brew i namyślił się. W końcu się uśmiechnął i z zadowoleniem pokiwał głową. Wsypał mieszankę do kociołka i dobrze wymieszał całą zawartość łyżką, którą zdjął z haczyka przy palenisku. Mieszał powoli, patrząc, jak mikstura bulgoce. Mieszał tak i patrzył niemal dwie godziny. Wreszcie uznał, że gotowe, i przeniósł kociołek na stół, do ostygnięcia. Wyjął miseczkę i kawałek płótna, a po chwili zawołał Kahlan, żeby mu pomogła. Przybiegła natychmiast. Pokazał jej, jak ma trzymać nad naczyńkiem płótno, przez które cedził miksturę.

- Teraz skręć parę razy ściereczkę, żeby wycisnąć resztki płynu wraz z zawartością. - Uniósł brew, bo dziewczyna popatrzyła nań ze zdumieniem. - Te resztki to trucizna. Richard powinien się lada moment przebudzić. Wtedy damy mu do wypicia płyn. Wyciskaj, a ja sprawdzę, jak on się czuje.

Starzec wszedł do pokoju i pochylił się nad chłopakiem, który leżał bez przytomności. Obejrzał się - odwrócona tyłem Kahlan wyciskała płótno. Pochylił się i przyłożył środkowy palec do czoła Richarda, a ten natychmiast otworzył oczy.

- Kahlan, skarbie! - zawołał Zedd. - Mamy szczęście, bo akurat się zbudził. Przynieś miseczkę. - Zedd? Nic ci się nie stało? Wszystko w porządku? - dopytywał się mrugając oczami.

- W jak najlepszym porządku.

Dziewczyna przyniosła miseczkę z wywarem, starając się nie uronić po drodze ani kropli. Zedd pomógł Richardowi usiąść. Chłopak potulnie wypił lek i starzec ułożył go na poduszkach.

- To sprowadzi na ciebie sen i zwalczy gorączkę. Kiedy się obudzisz, będziesz zdrowy, masz na to moje słowo, więc odpoczywaj spokojnie i o nic się nie martw.

- Dziękuję, Zedd... - wymamrotał zasypiający chłopak. Starzec wyszedł i po chwili wrócił z cynowym talerzykiem. Kazał dziewczynie usiąść w fotelu.

- Cierń ma mniej sił niż wywar z korzenia - wyjaśnił. - Wyjdzie z ciała Richarda. - Ustawił talerzyk pod dłonią chłopaka i przysiadł na skraju łóżka.

Słychać było tylko głęboki oddech Richarda i potrzaskiwanie ognia w drugim pokoju. Zedd odezwał się pierwszy:

- Spowiedniczka nie powinna podróżować sama, kochanie, to dla niej niebezpieczne. Gdzie twój czarodziej?

- Mój czarodziej sprzedał swoje usługi królowej.

- Sprzeniewierzył się swoim obowiązkom wobec Spowiedniczek? - warknął z dezaprobatą starzec. - Jak brzmi jego imię?!

- Giller.

- Giller - powtórzył gorzko i nachylił się ku dziewczynie. - A dlaczego nie poszedł z tobą inny czarodziej?

- Ponieważ wszyscy zadali sobie śmierć - odparła twardo. - Lecz zanim zmarli, rzucili zaklęcie, dzięki któremu bezpiecznie przebyłam granicę, prowadzona przez nocny ognik.

Zedd się poderwał, słysząc te wieści; na jego twarzy malowały się niepokój i smutek.

Dziewczyna spytała:

- Znałeś tych czarodziei?

- Tak, o tak. Długo mieszkałem w Midlandach.

- Znałeś również największego czarodzieja? Starzec się uśmiechnął, poprawił szatę i ponownie usiadł przy Richardzie.

- Ależ jesteś uparta, kochanie. Tak, znałem niegdyś tego starego czarodzieja. Lecz wątpię, czy chciałby pomóc, gdybyś go odnalazła. Raczej nie byłby skłonny pomagać Midlandom.

Kahlan pochyliła się, ujmując dłonie Zedda.

- Wielu ludzi potępia Wysoką Radę Midlandów i jej zachłanność -

powiedziała cichym, pełnym napięcia głosem. - Nie pochwalali tego, co się działo, ale to prości ludzie i nie mieli nic do powiedzenia. Mają jedno pragnienie: żyć w pokoju. Rahl Posępny zabrał zgromadzone na zimę zapasy żywności i dał je swoim wojskom. A żołnierze je marnotrawią, pozwalają, by gniły lub odsprzedają ludności. Już panuje głód, a zima niesie śmiertelne zagrożenie. Zakazano palić ogień. Ludzie marzną. Rahl głosi, że to wszystko przez owego wielkiego czarodzieja, bo się nie zgłasza, żeby stanąć przed sądem jako wróg ludu. Że to ów czarodziej sprowadził na ludzi takie nieszczęścia i jego należy za to ganić. Nie tłumaczy, dlaczego tak uważa, lecz wielu wierzy jego słowom. Sporo ludzi wierzy we wszystko, co Rahl mówi, choć przecież widzą, że to nieprawda. Czarodzieje żyli w stałym zagrożeniu, nie wolno im było posługiwać się magią. Zdawali sobie sprawę, że wcześniej czy później Rahl będzie chciał ich wykorzystać przeciw ludowi. W przeszłości popełnili mnóstwo błędów, zawiedli swojego nauczyciela, lecz zapamiętali najważniejszą z jego nauk: powinni być obrońcami ludzi, chronić ich przed złem i nie krzywdzić pod żadnym pozorem. Oddali życie, żeby powstrzymać Rahla Posępnego. Uważam, że ich nauczyciel może być z nich dumny.

Chodzi jednak nie tylko o Midlandy. Zniknęła granica pomiędzy Midlandami a D’Hara, wkrótce zniknie ta, która oddziela Westland i Midlandy. Lud Westlandu doświadczy tego, czego się najbardziej obawia: magii. Straszliwej, przerażającej magii, której istnienia nawet nie podejrzewa.

Zedd nie okazywał żadnych emocji, słuchał bez słowa. Nie cofnął swoich rąk z dłoni Kahlan.

- Wielki czarodziej mógłby zlekceważyć wszystko, co powiedziałam - ciągnęła dziewczyna - lecz to, że Rahl Posępny chce zdobyć trzy szkatuły Ordena, zmienia całą sprawę. Jeżeli mu się powiedzie, to pierwszy dzień zimy będzie dla wszystkich ostatnim dniem swobody. Dla czarodzieja też. Rahl już go poszukuje, bo pragnie zemsty. Wielu straciło życie, nie potrafili bowiem podać imienia czarodzieja. Jeśli Rahl otworzy właściwą szkatułę, zyska absolutną władzę nad wszystkimi żywymi istotami i czarodziej wpadnie w jego ręce. Teraz może się ukrywać w Westlandzie, jeśli taka jego wola, ale to się skończy pierwszego dnia zimy Wówczas Rahl Posępny dopadnie go.

- Bojówki Rahla Posępnego zabiły wszystkie pozostałe Spowiedniczki, Zeddzie. - Twarz Kahlan wyrażała smutek i gorycz. - Znalazłam moją siostrę zaraz potem, jak z nią skończyli. Skonała w moich ramionach. Zostałam tylko ja.

Czarodzieje wiedzieli; że ich mistrz będzie chciał pomóc, więc wysłali mnie. Jeżeli ów czarodziej będzie tak zaślepiony, że nie pojmie, iż pomagając nam, ratuje sam siebie, to muszę użyć mojej mocy i nakłonić go siłą, by nam pomógł.

- A cóż taki zasuszony stary czarodziej zdziała przeciwko mocy tego Rahla Posępnego? - zapytał Zedd, unosząc brwi. Teraz on trzymał dłonie dziewczyny w swoich.

- Powinien wyznaczyć Poszukiwacza.

- Co takiego! - Starzec skoczył na równe nogi. - Nie wiesz, co mówisz, kochanie.

- Jak to? - Kahlan zmieszała się.

- Poszukiwacze sami się ujawniają. Czarodziej po prostu ich wówczas rozpoznaje i, by tak rzec, uprawomocnia.

- Nie rozumiem. Myślałam, że to czarodziej wybiera właściwą osobę.

- Hmm, jest w tym trochę prawdy. - Zedd potarł podbródek. - Widzisz, prawdziwy Poszukiwacz, taki, który potrafi odnaleźć prawdę, musi okazać, że jest odpowiednią osobą. Czarodziej nie może tak po prostu wskazać na kogoś i rzec: „Oto Miecz Prawdy, będziesz Poszukiwaczem". On właściwie nie ma tu nic do powiedzenia. Poszukiwacza prawdy nie można wyszkolić. Dana osoba po prostu musi być Poszukiwaczem i udowodnić to swoim postępowaniem. Zaś czarodziej powinien takiego kogoś obserwować całymi latami, żeby nie popełnić błędu. Poszukiwacz wcale nie musi być najbystrzejszy, lecz powinien być właściwą osobą. Musi być obdarzony odpowiednimi cechami charakteru. Bardzo rzadko spotyka się urodzonego Poszukiwacza. Taki człowiek jest gwarantem równowagi sił. Rada zamierzała obdarzyć owym stanowiskiem któregoś z najgorliwszych służalców. Wiele osób miało na to chrapkę, Poszukiwacz był bowiem osobą znaczącą, i wpływową. Wysoka Rada nie rozumiała, że to osoba Poszukiwacza nadaje znaczenie stanowisku, a nie odwrotnie. - Starzec nachylił się ku dziewczynie. - Ty się urodziłaś w czasach, kiedy Rada już sobie przywłaszczyła prawo mianowania i pewnie widziałaś Poszukiwacza, lecz wówczas byli to tylko pozoranci, nigdy nie spotkałaś prawdziwego - mówił Zedd cichym, pełnym pasji głosem. - Ja widziałem. Widziałem, jak zadrżał król, któremu zadał jedno proste pytanie. Kiedy prawdziwy Poszukiwacz dobywa Miecza Prawdy... Słuszny gniew wywiera niezwykłe wrażenie. Sprawia, że prawi ludzie drżą z radości, a winowajcy trzęsą się Ze strachu. - Uśmiech zniknął z twarzy starca. - Lecz ludzie Rzadko wierzą w prawdę, czasem wręcz nie chcą jej widzieć, toteż Poszukiwacz

znajduje się w bardzo trudnym i niebezpiecznym położeniu. Jest przeszkodą dla tych, którzy chcieliby obalić Prawowitą władzę. Ściąga na siebie wiele gromów. Najczęściej Jest zdany na własne siły i szybko ginie.

- Dobrze to znam - wtrąciła Kahlan.

- Wątpię, czy nawet prawdziwy Poszukiwacz mógłby się długo przeciwstawiać Rahlowi. A co potem?

- Musimy spróbować, Zeddzie. - Dziewczyna znów ujęła dłonie starca. - To nasza jedyna szansa. Tylko to nam pozostało.

- Przecież ten, kogo znajdzie czarodziej, nie będzie znał Mii landów. - Zedd odsunął się od Kahlan. - Nie miałby żadnej szansy. To byłby wyrok śmierci.

- Także dlatego mnie tu wysłano. Mam być jego przewodniczką, trwać przy nim, chronić go, w razie potrzeby ofiarować swoje życie. Znam niemal całe Midlandy. Spowiedniczki od dziecka uczą się języków. Muszą, bo nigdy nie wiadomo, dokąd zostaną wezwane. Mówię wszystkimi głównymi językami i większością pomniejszych. I na nas sypią się gromy. Gdyby było nas łatwo zabić, to Rahl nie wysyłałby bojówek. Wielu z tych mężczyzn zginęło, nie wykonawszy zadania. Potrafię chronić Poszukiwacza, a w razie potrzeby oddam za niego życie.

- Narażałabyś, kochanie, nie tylko życie Poszukiwacza, ale i swoje.

- I tak na mnie polują. Jeżeli masz lepszy pomysł, to go zdradź. Richard jęknął, zanim Zedd zdążył odpowiedzieć. Starzec popatrzył na chłopaka i wstał.

- Zaczyna się.

Kahlan stanęła przy starcu. On zaś uniósł rękę Richarda i trzymał skaleczoną dłoń nad cynowym talerzykiem. Krople krwi sączyły się powoli i głucho stukały o naczynie. Cierń wysunął się z ciała i pacnął w krew. Kahlan wyciągnęła rękę, ale Zedd złapał ją za nadgarstek.

- Uważaj, kochanie. Stracił żywiciela, więc będzie chciał znaleźć nowego. Dziewczyna cofnęła rękę, a starzec przyłożył do talerzyka swój kościsty palec, w pewnej odległości od ciernia. Ów zaraz się zaczął wić w stronę palca, rysując krwawy ślad. Zedd zakończył pokaz i podał naczynie Kahlan.

- Trzymaj talerzyk od spodu, kochanie - polecił. - Zanieś do paleniska, włóż w ogień dnem do góry i tak zostaw.

Kahlan wykonała polecenie starca, a on w tym czasie oczyścił ranę i posmarował maścią. Potem przytrzymał w powietrzu dłoń Richarda, a dziewczyna ją obandażowała. Zedd obserwował jej ręce.

- Czemu mu nie powiedziałaś, że jesteś Spowiedniczką? - w głosie starego pobrzmiewała twarda nuta.

- Żeby nie zareagował tak jak ty, kiedy mnie rozpoznałeś - odparła tym samym tonem, po czym jednak złagodniała. - Tak jakoś się stało, że się zaprzyjaźniliśmy. To dla mnie nowe przeżycie, nie miałam takich doświadczeń, za to mam wprawę w byciu Spowiedniczką. Przez całe życie widziałam ludzi reagujących tak jak ty. Powiem mu, kiedy będę stąd odchodzić z Poszukiwaczem. Zanim to nastąpi, ogromnie bym chciała dalej się z nim przyjaźnić. Czy to zbyt wygórowane pragnienie - zakosztować przyjaźni? I tak owa przyjaźń się zakończy w chwili, kiedy się dowie, kim jestem.

Zamilkła. Zedd delikatnie uniósł pochyloną głowę dziewczyny i uśmiechnął się do niej.

- Idiotycznie zareagowałem, kiedy cię rozpoznałem, to prawda. Przede wszystkim dlatego, że się nie spodziewałem zobaczyć Spowiedniczki. Sądziłem, że już nigdy nie spotkam żadnej z was. Opuściłem Midlandy, żeby się uwolnić od magii. A ty wtargnęłaś w moją samotność. Przepraszam za swoje zachowanie i za to, że przeze mnie poczułaś się niepożądanym gościem. Mam nadzieje, że ci to wynagrodziłem. Żywię wielki szacunek dla Spowiedniczek, nawet nie wiesz jak wielki. Jesteś porządną dziewczyną i z radością goszczę cię w moim domu.

Kahlan długo patrzyła w oczy starca, a potem rzekła:

- Dziękuję ci, Zeddicusie Zu’l Zorandrze.

Wyraz twarzy Zedda nagle się zmienił; starzec wyglądał teraz groźniej niż Kahlan przy ich pierwszym spotkaniu. Dziewczyna zesztywniała z przerażenia.

- Wiem jedno, Matko Spowiedniczko - szepnął Zedd morderczym tonem. - Ten chłopak od dawna jest moim przyjacielem. Jeżeli go tkniesz swoją mocą lub jeśli go wybierzesz, to odpowiesz mi za to. A na pewno nie byłabyś z tego zadowolona. Rozumiesz?

- Tak - wykrztusiła z trudem dziewczyna.

- To dobrze. - Gniew zniknął z twarzy starego, który cofnął palec spod brody Kahlan i chciał się odwrócić ku Richardowi.

Dziewczyna odetchnęła. Nie chciała się dać zastraszyć, złapała ramię Zedda i odwróciła go ku sobie.

- Nigdy bym mu czegoś takiego nie zrobiła, Zeddzie. I to nie ze względu na to, co przed chwilą powiedziałeś, lecz dlatego że mi na nim zależy. Chcę, żebyś to zrozumiał.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Szelmowski, rozbrajający uśmieszek powrócił na usta starego.

- To i lepiej, kochanie, to i lepiej.

Kahlan się odprężyła, zadowolona, że go przekonała. Uścisnęli się.

- Ani razu o czymś nie wspomniałaś. Nie poprosiłaś, żebym ci pomógł odnaleźć czarodzieja.

- I teraz tego nie uczynię. Richard obawia się tego, co mogłabym zrobić, gdybyś odmówił. Obiecałam, że pozwolę, by on pierwszy cię o to poprosił. Dałam mu słowo.

- Hmm, ciekawe, ciekawe. - Zedd podparł policzek kościstym palcem, a potem konspiracyjnie położył dłoń na ramieniu Kahlan i zmienił temat. - A wiesz, skarbie, że z ciebie byłby całkiem niezły Poszukiwacz.

- Ze mnie? Czy kobieta może być Poszukiwaczem?

- Jasne. - Starzec uniósł brew. - Niektórzy z najlepszych Poszukiwaczy byli kobietami.

- I tak już mam ciężką pracę. - Zmarszczyła brwi. - Niepotrzebna mi druga.

- Może i masz rację - zachichotał Zedd, a oczy mu błyszczały. - No, skarbie, już późno. Połóż się w moim łóżku, w tamtym pokoju, i śpij spokojnie. Ja posiedzę przy Richardzie.

- Nie! - Kahlan potrząsnęła głową i klapnęła na fotel. - Nie zostawię go. Zedd wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. - Zaszedł dziewczynę od tyłu i poklepał uspokajająco po ramieniu. - Jak sobie życzysz - powtórzył. Położył środkowe palce na policzkach Kahlan, zataczając niewielkie kółeczka. Dziewczyna jęknęła i zamknęła oczy. - Śpij, kochanie - szepnął starzec. - Śpij.

Dziewczyna się pochyliła, złożyła na skraju łóżka Richarda skrzyżowane ramiona i wsparła o nie głowę. Spała głęboko. Otuliwszy ją troskliwie kocem, Zedd poszedł do frontowego pokoju, otworzył szeroko drzwi i spojrzał w noc.

- Kocie! Wracaj, jesteś mi potrzebny! - Kocisko przybiegło i zaczęło się ocierać o nogi starca. - Idź i pośpij na kolanach dziewczyny. Nie pozwól, żeby zmarzła.

Kocur podreptał do sypialni, a starzec wyszedł w zimną noc.

Zedd szedł wąską ścieżką wśród wysokich traw, wiatr targał jego szatą. Księżyc rozświetlał cienkie chmury, rozjaśniał mroki na dróżce; starzec szedł tędy

tysiące razy.

- Nic nie przychodzi łatwo - mruczał do siebie Zedd.

Zatrzymał się w pobliżu drzew i nasłuchiwał. Wpatrywał się w mroki, obserwował chwiejące się na wietrze gałęzie, badał wonie powietrza. Szukał intruza. Mucha ukłuła starca w szyję. Zgniótł ją gniewnie, wziął w palce i obejrzał.

- O kurczę, gończa mucha. Powinienem się domyślić.

Coś wyskoczyło spod pobliskiego krzaka i runęło w kierunku Zedda. Coś skrzydlatego, porośniętego sierścią., szczerzącego kły Starzec wsparł dłonie na biodrach i spokojnie czekał. Stwór był tuż, tuż - wówczas Zedd uniósł dłoń i napastnik (chimera krótkoogoniasta) zatrzymał się jak wryty. Bestia była sporo od niego wyższa, w pełni wyrośnięta i o wiele niebezpieczniejsza niż chimera długoogoniasta. Warczała teraz i mrugała ślepiami, potężne mięśnie grały pod skórą, kiedy się starała wyrwać temu czemuś, co ją trzymało, i dopaść starca. Była wściekła, że go jeszcze nie zabiła. Zedd kiwnął palcem, dając znak, żeby stwór się pochylił. Ten wściekle zasapał, lecz usłuchał. Starzec wbił mu w podbródek kościsty paluch.

- Jak się nazywasz? - syknął.

Stwór dwa razy mruknął i wydał głęboki gardłowy dźwięk. Zedd kiwnął głową.

- Zapamiętam. Wolisz żyć czy umrzeć? - Bestia chciała się cofnąć, lecz nie zdołała. - Dobrze, więc zrób dokładnie to, co powiem. Od strony D’Hary nadciąga tu bojówka. Wytrop ich i zabij. Potem wróć tam, skąd przybyłaś. Zrób to, a daruję ci życie. Lecz zapamiętam, jak się nazywasz, i jeżeli zostawisz ich przy życiu lub wrócisz tutaj, to cię zabiję i nakarmię tobą twoje muchy. Przyjmujesz moje warunki?

Chimera mruknęła potakująco.

- Doskonale. Znikaj. - Zedd cofnął palec z podbródka bestii.

Stwór cofnął się chwiejnie, tratując trawę i rozpaczliwie bijąc skrzydłami. Wreszcie wzleciał w powietrze. Zedd patrzył, jak kołował, wypatrując bojówki. Leciał na wschód. Zdawało się, że zataczał coraz mniejsze koła, w końcu starzec stracił go z oczu. I dopiero wtedy ruszył dalej, na szczyt wzgórza.

Stanął obok swego kamienia, wyciągnął w jego kierunku kościsty palec i zaczął wykonywać takie ruchy, jakby coś mieszał. Ciężki głaz trząsł się i dygotał, próbował zawirować. Jego powierzchnię pokryły rysy pęknięć. Zaczął mięknąć. W końcu stał się na tyle płynny, by kołować zgodnie z ruchem palca starego. Zedd stopniowo przyspieszał tempo wirowania, aż z płynnej skały strzeliło światło.

Przybierało na sile. Wirowały w nim kolory i iskierki, w centrum świetlistego snopa pojawiły się i zniknęły jakieś kształty. Blask był coraz intensywniejszy. Zdawało się, że zapali otaczające go powietrze. Rozległ się głuchy ryk, jakby ze szczeliny wydobywał się orkan. Wonie jesieni ustąpiły klarowności zimy, potem zapachniało wiosną, kwiatami lata i znów Jesienią. Czysty, jasny blask przegnał barwy i iskierki. Głaz nagle się zestalił i Zedd wstąpił na niego, w ów blask. Jaskrawość przeszła w słabą poświatę, snop światła zawirował jak dym. Przed starcem stały dwie zjawy, cienie cieni. Niewyraźne, płynne kształty... A przecież je rozpoznał i serce zabiło mu mocniej.

- Co cię kłopocze, synu? - zapytał głuchy, daleki głos matki. - Dlaczego przywołałeś nas poprzez te wszystkie lata?

Wyciągnęła do niego ramiona. Zedd uczynił to samo, lecz nie mógł jej dotknąć.

- Martwię się tym, co usłyszałem od Matki Spowiedniczki.

- Powiedziała prawdę.

Zamknął oczy i skinął głową. Obydwoje opuścili ramiona.

- A więc to prawda, że spośród wszystkich moich uczniów przeżył tylko Giller.

- Tylko ty jeden możesz chronić Matkę Spowiedniczkę. - Zjawa matki podpłynęła ku Zeddowi. - Musisz wyznaczyć Poszukiwacza.

- To skutki działań Wysokiej Rady - upierał się starzec, marszcząc brwi. - Chcesz, żebym pomógł? Już raz odrzucili moje rady. Niech żyją i umierają wedle swojej woli.

- Czemu się gniewasz na swoich uczniów, synu? - spytała zjawa ojca, podpływając bliżej.

- Bo się sprzeniewierzyli swojemu obowiązkowi - warknął Zedd. - Obowiązkowi wspomagania swego ludu.

- Rozumiem. Czy postąpili inaczej, niż ty teraz czynisz?

- Ofiarowałem swoją pomoc, lecz ją odrzucono - odburknął, zaciskając pięści.

- A gdyby się tak nie stało? Czy wówczas tak łatwo pozwoliłbyś zrealizować ich plany owym ślepym, szalonym i zachłannym? Nie pomógłbyś tym, którym pomóc należy? Uważasz, że w przeciwieństwie do swoich uczniów postępujesz słusznie, lecz wyniki są te same. Oni w końcu uznali swój błąd i postąpili tak, jak należało; tak, jak ich uczyłeś. Bierz przykład ze swoich uczniów, synu.

- Zeddicusie - odezwała się matka. - Dopuściłbyś do śmierci Richarda i innych niewinnych istot? Wyznacz Poszukiwacza.

- Jest jeszcze za młody.

- Może nie mieć szansy dorosnąć. - Zjawa matki potrząsnęła głową, uśmiechając się łagodnie.

- Jeszcze nie przebył ostatecznej próby.

- Rahl Posępny ściga Richarda. Wysłał ową chmurę, żeby go tropiła. Włożył do dzbanka kawałek wężowej liany. Spodziewał się, że chłopak będzie jej szukał i że owo pnącze go ukłuje. Liana nie miała zabić, lecz sprowadzić gorączkę i sen, by Richard spał, aż Rahl będzie mógł po niego przyjść. Przecież obserwowałeś tego chłopca, miałeś nadzieję, że się okaże właściwą osobą.

- Teraz to już na nic. - Opuściwszy głowę na piersi, Zedd zamknął oczy. - Rahl Posępny ma trzy szkatuły Ordena.

- Nie - wtrącił się ojciec. - Ma tylko dwie. Wciąż szuka trzeciej.

- Co takiego! - Zedd gwałtownie otworzył oczy, poderwał głowę. - Nie ma wszystkich?

- Nie ma - odparła matka. - Lecz wkrótce je zdobędzie.

- A księga? Pewno już ma Księgę Opisania Mroków?

- Nie - Szuka jej. Zeddicus dumał przez chwilę.

- Więc istnieje szansa - szepnął wreszcie i spytał głośniej: - Cóż za głupiec ujawnia szkatuły Ordena, zanim zdobędzie wszystkie i księgę na dodatek?

Twarz matki zlodowaciała.

- To niebezpieczny człowiek. Odwiedza zaświaty. - Zedd zdrętwiał, wstrzymał oddech, a zjawa matki przeszywała go wzrokiem - To dlatego mógł przekroczyć granicę i zdobyć pierwszą szkatułę. To dlatego od strony zaświatów mógł zapoczątkować proces zanikania granic. Rozkazuje tam niektórym, a ich liczba rośnie z każdym jego pobytem. Ostrzegam cię, że jeżeli się zdecydujesz pomóc, to nie przechodź granicą ani nie wysyłaj tamtędy Poszukiwacza. Rahl się tego spodziewa, tego oczekuje. Dopadnie cię, jeśli tam wejdziesz. Matka Spowiedniczka zdołała przejść, bo Rahl się nie spodziewał, że skorzysta z tej drogi. Drugi raz nie popełni takiego błędu.

- Więc jak się przedostaniemy do Midlandów? Nie zdołam pomoc, jeżeli się tam nie dostanę - zmartwił się Zedd.

- Tego nie wiemy, przykro nam. Sądzimy, że musi istnieć jakiś sposób, lecz go

nie znamy. Musisz wyznaczyć Poszukiwacza. Jeżeli jest właściwą osobą, to rozwiąże ów problem.

Zjawy rodziców zaczęły lśnić i zanikać.

- Nie odchodźcie! Odpowiedzcie na moje pytania! Nie zostawiajcie mnie!

- Żałujemy, lecz nic nie możemy poradzić. Jesteśmy wzywani z powrotem.

- Czemu Rahl Posępny ściga Richarda? Pomóżcie mi, proszę.

- Nie wiemy - odparł słaby i odległy głos ojca. - Sam musisz znaleźć odpowiedź. Dobrze cię wyszkoliliśmy. Masz większe zdolności niż my. Wykorzystaj to, czego cię nauczono, i to, co ci podpowiadają uczucia. Kochamy cię, synu. Nie będziemy mogli przyjść do ciebie, dopóki ta sprawa nie zostanie tak czy inaczej rozwiązana, żeby nie rozedrzeć zasłony pomiędzy światami.

Zjawa matki ucałowała dłoń i wyciągnęła ją do syna, a Zedd odwzajemnił ów gest. Rodzice zniknęli.

Zeddicus Zu'l Zorander, potężny i czcigodny czarodziej, stał samotnie na głazie czarowników, który dostał od ojca, i patrzył w noc, rozmyślając.

- Nic nie jest łatwe i proste - szepnął.

Rozdział ósmy

Richard otworzył oczy. Ciepły blask stojącego w zenicie słońca zalewał pokój, a z kuchni dolatywały wspaniałe aromaty korzennej polewki. Był w chacie Zedda, w swoim pokoju. Chłopak spojrzał na dobrze znane sęki w drewnianych ścianach; zawsze sobie wyobrażał, że to twarze. Drzwi do frontowego pokoju były zamknięte. W pobliżu łóżka stał pusty fotel. Richard usiadł, zsunął przykrycie i przekonał się, że wciąż ma na sobie brudne ubranie. Sięgnął do zawieszonego na rzemyku zęba - bezpiecznie tkwił na swoim miejscu, za koszulą. Przez uchylone okno wpadało świeże powietrze i śmiech Kahlan. Pewno Zedd opowiada swoje historyjki, pomyślał chłopak. Przyjrzał się swojej lewej dłoni - była obandażowana, lecz nie poczuł bólu, gdy poruszył palcami. Głowa też przestała boleć. W gruncie rzeczy czuł się wspaniale. I był głodny. Głodny, brudny, w podartym ubraniu, lecz w znakomitym nastroju.

Na środku pokoju czekała na chłopaka balia pełna wody, mydło i ręczniki. Na krześle leżało czyste ubranie. Balia zapraszała do kąpieli. Richard zanurzył dłoń - woda była ciepła. Zedd musiał wiedzieć, kiedy się zbudzę, pomyślał. Wcale go to nie zdziwiło, bo dobrze znał starego.

Chłopak rozebrał się i zanurzył w ciepłej wodzie. Mydło pachniało równie zachęcająco jak polewka. Lubił się długo moczyć w kąpieli, ale tym razem za bardzo chciał dołączyć do tamtych dwojga. Rozwinął bandaż i zdumiał się, że rana aż tak się wygoiła przez noc.

Kiedy Richard wyszedł z domu, Kahlan i Zedd siedzieli przy stole i czekali na niego. Zauważył, że dziewczyna wyprała swoją suknię i że też właśnie się wykąpała. Umyte włosy lśniły w słońcu. W zielonych oczach tańczyły iskierki. Na Richarda czekała spora miseczka polewki, ser i świeży chleb.

- Nie przypuszczałem, że będę spał aż do południa - powiedział chłopak. Tamci się roześmieli, więc spojrzał na nich podejrzliwie. Kahlan spoważniała.

- To już drugie południe, Richardzie.

- Tak, pierwsze twardo przespałeś - dorzucił Zedd. - Jak się czujesz? Jak twoja ręka?

- Wyśmienicie. Dzięki, Zedd, że mnie poratowałeś. Dziękuję wam obojgu. - Chłopak zacisnął i rozprostował palce, demonstrując poprawę stanu dłoni. - Z ręką o wiele lepiej, choć trochę swędzi.

- Matka zawsze mówiła, że jeżeli swędzi, to znak, że się goi - odezwała się

dziewczyna.

- Moja też tak mówiła. - Uśmiechnął się do niej Richard. Wyłowił kawałek kartofla i grzyba i spróbował. - Prawie tak smaczne jak moje - oznajmił z powagą.

Kahlan siedziała bokiem na ławce, twarzą ku niemu, łokieć wspierała o stół, policzek oparła na dłoni. Uśmiechnęła się przebiegle do chłopaka.

- Zedd mówi co innego.

Richard łypnął z wyrzutem na starego, a ów niewinnie popatrzył w niebo.

- Taaak? Przypomnę mu to, kiedy będzie mnie znowu błagał, żebym ugotował taką polewkę.

- Z tego, co tu widziałam - dziewczyna ściszyła głos, lecz nie na tyle, żeby Zedd jej nie dosłyszał - sądzę, że zjadłby każde paskudztwo, byle je ktoś dla niego przyrządził.

- Ooo, coraz lepiej go znasz - roześmiał się chłopak.

- Ona potrafiłaby przyrządzić pyszności z byle czego - wtrącił Zedd, unosząc w górę kościsty palec; przecież nie mógł pozwolić, by mieli ostatnie słowo. - Powinieneś się od niej uczyć.

Richard odłamał kawałek chleba i zanurzył w polewce. Wiedział, że żarty mają rozładować napięcie, że obydwoje czekają, aż się posili. Kahlan dała słowo, że poczeka, by on pierwszy poprosił Zedda o pomoc. Najwyraźniej dotrzymała obietnicy. A starzec zawsze udawał nieświadome niewiniątko i czekał, aż się go o coś zapyta, żeby mógł ocenić, co pytający już wie. Chłopak postanowił, że dzisiaj nie pozwoli na takie gierki. To była zupełnie inna sprawa.

- Jednak jest w niej coś, co mi się nie podoba - oznajmił groźnie starzec. Kęs utkwił chłopakowi w gardle. Przełknął z trudem i milczał, nie patrząc na żadne z nich; czekał, co będzie dalej.

- Ona nie lubi sera! Nie sądziłem, że kiedykolwiek zaufasz komuś, kto nie lubi sera. To wbrew naturze. Richard odetchnął. Zedd po prostu, jak to nazywał, igra z jego myślami. Stary przyjaciel miał prawdziwy talent do zaskakiwania chłopaka i ogromnie go to bawiło. Teraz też siedział z niewinnym uśmieszkiem na wargach. Richard także się uśmiechnął na przekór samemu sobie. Spałaszował ze smakiem polewkę. Potem Zedd zjadł kawałek sera, podkreślając swoje upodobanie a Kahlan - kawałeczek chleba. Chleb był pyszny. Dziewczyna z zadowoleniem przyjęła pochwałę Richarda. Posiłek się kończył, czas było powrócić do poważniejszych spraw.

- Pojawiła się następna bojówka? - spytał chłopak.

- Nie. Obawiam się tego, ale Zedd czytał dla mnie w chmurach i powiedział, że mają jakieś kłopoty, bo zniknęli.

- To prawda? - Zerknął z ukosa na starego.

- Prawdziwe jak szczere złoto.

Zedd zawsze tak mówił, żeby mu poprawić humor i żeby chłopak wiedział, iż stary przyjaciel jest z nim zupełnie szczery. Richard był ogromnie ciekaw, w jakie to tarapaty wpadli kolejni zabójcy.

Chłopak, czy chciał tego, czy nie, zmienił panujący nastrój. Wyczuwał niecierpliwość Kahlan i Zedda. Czekając, dziewczyna usiadła prosto i położyła ręce na kolanach. Richard się bał, że jeśli nie rozegra właściwie całej sprawy, to Kahlan zrobi to, po co tu przyszła, a on nie będzie miał na to żadnego wpływu. Skończył jeść i odsunął miseczkę; napotkał wzrok Zedda. Starzec już nie był wesolutki, ale nie dawał poznać, co myśli. Czekał. Teraz kolej na Richarda, i już się nie będzie mógł wycofać.

- Zedd, przyjacielu - zaczął - potrzebna jest twoja pomoc, żeby powstrzymać Rahla Posępnego.

- Wiem. Chcecie, żebym wam odnalazł czarodzieja.

- Nie, to już nie będzie konieczne. Już go znalazłem. - Poczuł pytający wzrok Kahlan, lecz nie oderwał oczu od Zedda. - To ty jesteś owym potężnym czarodziejem.

Dziewczyna chciała wstać. Richard, nie spuszczając starca z oka, chwycił ją za ramię i zmusił, żeby usiadła. Zedd nie okazał żadnej emocji.

- Dlaczego tak sądzisz, Richardzie? - spytał spokojnym, opanowanym głosem.

Chłopak wziął głęboki oddech, a wypuszczając powoli powietrze z płuc, położył dłonie na stole i splótł palce.

- Kiedy Kahlan opowiedziała mi dzieje trzech krain - zaczął wpatrzony w swoje dłonie - dowiedziałem się, że postępowanie Rady sprawiło, iż czarodziej uznał, że jego żona i córka nadaremnie zginęły z rąk bojówki. Wybrał więc dla rajców najgorszą karę: zostawił ich, by ponieśli konsekwencje swoich uczynków Brzmiało to tak, jakby opowiadała o tobie, ale nie miałem całkowitej pewności. Musiałem wykryć prawdę. Kiedy pierwszy raz ujrzałeś Kahlan, rozgniewałeś się, że aż tu przybyła z Midlandów. Powiedziałem ci wówczas, że zaatakowała ją bojówka. Obserwowałem twoje oczy. Ich wyraz mnie przekonał, że miałem rację. Tak patrzeć mógł tylko ktoś, komu tamci zabili najbliższych. A potem zupełnie inaczej traktowałeś Kahlan. Takie

współczucie mógł okazać wyłącznie ten, kto sam doświadczył podobnego okropieństwa. Wciąż jednak nie dowierzałem swojemu instynktowi. Czekałem.

- Największy błąd popełniłeś, mówiąc jej, że tu jest bezpieczna. - Chłopak podniósł głowę i spojrzał Zeddowi w oczy. - Nie skłamałbyś, zwłaszcza w takiej sprawie. Wiedziałeś, czym jest bojówka. Jakże starzec mógłby kogoś obronić przed mordercami, gdyby się nie uciekł do pomocy magii? Zwykły starzec by tego nie potrafił, lecz stary czarodziej - tak. Sam powiedziałeś, że nigdzie nie można wypatrzyć następnej bojówki. Wpadli ponoć w jakieś tarapaty. Coś mi się wydaje, że się nimi zajął pewien czarodziej. Dotrzymałeś słowa. Jak zawsze. - Richard umilkł na moment i podjął łagodniejszym tonem: - Zawsze wiedziałem, że jesteś kimś więcej, niż się przyznajesz, że jesteś wyjątkowym człowiekiem. Byłem dumny z tego, że zaszczyciłeś mnie swoją przyjaźnią. Wiedziałem, że zrobisz wszystko, żeby mnie ocalić, gdyby coś zagrażało mojemu życiu. Ja zrobiłbym to samo dla ciebie. Powierzam ci swoje życie, jest w twoich rękach.

Wolałby nie wpędzać starego przyjaciela w taką pułapkę, lecz nie miał wyboru: niebezpieczeństwo groziło wszystkim żywym istotom.

Zedd wsparł dłonie na stole, pochylił się do przodu.

- Jeszcze nigdy nie byłem z ciebie taki dumny, Richardzie - rzekł. - Znakomicie się spisałeś. - Wstał, podszedł do chłopaka i serdecznie się uściskali. - I jeszcze nigdy nie było mi ciebie tak żal. - Przytulił go mocniej. - Usiądź. Zaraz wrócę. Mam coś dla ciebie. Siedźcie tu i czekajcie na mnie.

Starzec sprzątnął ze stołu i zaniósł naczynia do domu.

Kahlan patrzyła na niego z zatroskaniem. Richard sądził, że będzie szczęśliwa, gdy odnajdzie czarodzieja, lecz była bardziej wystraszona niźli przedtem. Wszystko układało się inaczej, niż tego oczekiwał.

Ukazał się Zedd, niosąc jakiś długi przedmiot. Kahlan poderwała się z ławki. Richard uświadomił sobie, że starzec zaciska dłoń na pochwie miecza. Dziewczyna zagrodziła drogę Zeddowi i chwyciła go za szatę.

- Nie czyń tego - prosiła desperacko.

- To nie moja decyzja.

- Proszę, Zedd, wyznacz kogoś innego, nie Richarda.

- Kahlan! Ostrzegałem cię przecież. Mówiłem, że sam się ujawni. Zginiemy, jeśli wyznaczę kogoś innego zamiast właściwej osoby. Mów, jeśli znasz inną możliwość!

Starzec odsunął dziewczynę, podszedł do stołu i rzucił chłopakowi miecz. Richard podskoczył. Spojrzał w oczy pochylonego nad stołem Zedda.

- To należy do ciebie - powiedział czarodziej, a Kahlan odwróciła się do nich tyłem.

Chłopak popatrzył na miecz. Srebrzystą pochwę zdobiły złote faliste linie. Stalowa plecionka gardy lśniła groźnie. Wokół rękojeści misternie wił się srebrzysty prążek. Przepleciona zeń złocista nić tworzyła słowo PRAWDA. To na pewno miecz króla, pomyślał Richard. Nigdy nie widział tak wspaniałego oręża.

Chłopak powoli wstał. Zedd ujął tylny koniec pochwy, skierował ku Richardowi rękojeść miecza.

- Dobądź go.

Richard, jak w transie, zacisnął palce na rękojeści miecza i wysunął go z pochwy. Ostrze zadźwięczało metalicznie. Nigdy nie słyszałem, żeby miecz tak dźwięczał, pomyślał chłopak. Zacisnął dłoń na rękojeści. Wyczuł, jak w ciało wpija mu się, umieszczone po obu stronach uchwytu, słowo PRAWDA. O dziwo, miecz był jak wykuty dla niego i świetnie wyważony. Pewna część „ja” Richarda nareszcie znalazła dopełnienie.

Chłopak poczuł, jak budzi się w nim gniew, jak szuka, w czyją stronę go skierować. Dał o sobie znać ukryty za koszulą ząb.

Gniew Richarda się wzmagał i budził ukrytą w mieczu moc, swoje bliźniacze odczucie. Do tej pory uczucia chłopaka stanowiły odrębną całość. Teraz czuł się tak, jakby ożywało ich lustrzane odbicie. Przerażająca zjawa. Jego gniew czerpał siły z mocy płynącej z miecza i zarazem ją wzmagał. Bliźniacze odczucia kłębiły się w Richardzie. Chłopak miał wrażenie, że jest bezradnym widzem, którym powodują przemożne potęgi. To było przerażające i jednocześnie pociągające. Straszliwy gniew i oszałamiające obietnice. Wspaniałe, niesamowite emocje splatały się i stapiały z gniewem. Richard z całych sił starał się opanować szarpiącą nim furię. Był bliski paniki. Bliski zatracenia się.

Zeddicus Zu’l Zorander odchylił w tył głowę, uniósł rozpostarte ramiona i zawołał ku niebu:

- Ostrzegam żywych i umarłych!!! Poszukiwacz prawdy podjął obowiązek!!! Błękitne niebiosa odpowiedziały gromem, który wstrząsną’ ziemią i potoczył się ku granicy.

Kahlan padła na kolana przed Richardem, nisko pochyliła głowę, splotła ręce

za plecami. - Ślubuję, iż będę chronić Poszukiwacza nawet za cenę życia!

Zedd ukląkł obok dziewczyny, skłonił głowę i powtórzył za nią:

- Ślubuję, iż będę chronić Poszukiwacza nawet za cenę życia!

Richard stał przed nimi, zaciskając dłoń na rękojeści Miecza Prawdy. Oczy miał szeroko rozwarte ze zdumienia.

- Kim, na wszystkich bogów, jest Poszukiwacz, Zeddzie? - wyszeptał.

Rozdział dziewiąty

Zedd wstał z trudem, poprawił szaty i wyciągnął dłoń do wpatrzonej w ziemię Kahlan. Dziewczyna również się podniosła. Minę miała strapioną. Starzec patrzył na nią bacznie, lecz dała znak, że nic jej nie jest, więc odwrócił się ku chłopakowi.

- Kim jest Poszukiwacz? Dobre pierwsze pytanie w twojej nowej roli, ale trudno na nie zwięźle i szybko odpowiedzieć.

Richard spojrzał na lśniący miecz w swojej dłoni. Wcale nie był pewny, czy chce mieć z nim do czynienia. Wsunął klingę do pochwy, rad, że uwolni się od kłębowiska niesamowitych uczuć, i ujął oręż w obie dłonie.

- Nigdy wcześniej tego nie widziałem, Zeddzie. Gdzie go ukrywałeś?

- W domu, w szafce. - Starzec uśmiechnął się dumnie.

- Tam nie ma nic oprócz naczyń, rondli i tych twoich proszków. - Chłopak spojrzał nań z niedowierzaniem.

- Nie w tej szafce - odparł Zedd, ściszając głos, jakby nie chciał, żeby ktoś ich podsłuchał - ale w moim sekretarzyku czarodzieja!

- Nigdy nie widziałem żadnej innej szafki - upierał się gniewnie chłopak.

- Do licha! Richardzie! I wcale nie miałeś zobaczyć! Przecież to czarodziejski mebel! Jest niewidzialny! Richardowi zrobiło się głupio.

- A jak długo masz ten miecz?

- Bo ja wiem, coś ze dwanaście lat. - Zedd niedbale machnął ręką, jakby odpędzał owo pytanie.

- Skąd go wziąłeś?

- Wyznaczanie Poszukiwacza należy do czarodzieja - rzekł twardo starzec. - Wysoka Rada przywłaszczyła sobie tę powinność. Wcale im nie zależało na odszukaniu właściwego człowieka. Mianowali tego, kto im był akurat potrzebny, albo tego, który więcej oferował. Miecz należy do Poszukiwacza przez całe jego życie lub przez czas, na który dana osoba decyduje się być Poszukiwaczem. W trakcie czekania na nowego Poszukiwacza Miecz Prawdy należy do czarodziei. Konkretnie mówiąc, do mnie, wyznaczenie Poszukiwacza jest bowiem moją powinnością. Gość, który miał go ostatni... - Zedd spojrzał w niebo, jakby tam szukał odpowiedniego słowa - wdał się w aferę z wiedźmą. Był zajęty czymś innym, wróciłem więc do Midlandów i odebrałem to, co moje. Teraz należy do ciebie.

Richard czuł się tak, jakby go wciągano w coś bez jego woli. Spojrzał na Kahlan. Znów miała nieprzeniknioną minę.

- To po to tu przyszłaś? Do tego chciałaś nakłonić czarodzieja?

- Tak, Richardzie, chciałam, żeby czarodziej wyznaczył Poszukiwacza. Lecz nie wiedziałam, że to ty nim będziesz.

Chłopak miał wrażenie, że się znalazł w pułapce. Patrzył to na Zedda, to na dziewczynę.

- Myślicie, że nas wszystkich ocalę. Tak właśnie sądzicie: że powstrzymam Rahla Posępnego. Mam zrobić coś, czego nie potrafi dokonać czarodziej?!

Strach rósł w Richardzie, ściskał go za gardło. Zedd podszedł do chłopaka i objął go pocieszająco.

- Spójrz w niebo, Richardzie. I powiedz mi, co widzisz.

Chłopak usłuchał i zobaczył wężowatą chmurkę. Nie musiał odpowiadać; starzec wbił kościste palce w jego ramię.

- Chodź. Usiądziemy i powiem ci to, co musisz wiedzieć. Potem sam zadecydujesz, co powinieneś czynić. Chodź.

Drugim ramieniem Zedd objął Kahlan i poprowadził obydwoje ku stojącemu przed domem stołowi. Starzec usiadł naprzeciwko młodych. Richard położył miecz na stole, pomiędzy sobą a czarodziejem, na znak, że ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła.

- Istnieje magia - zaczął Zedd - starożytna i niebezpieczna, niesłychanie potężna magia. Zaczerpnięto jaz ziemi, z samej istoty życia, i uwięziono w trzech pojemnikach zwanych szkatułami Ordena. Jest uśpiona, dopóki ktoś owych szkatuł nie otworzy, nie włączy ich do gry, jak to się zwykło mówić. A nie jest to wcale proste. Musi to być osoba o wielkiej wiedzy, zdobytej podczas długich studiów, i posiadająca znaczną moc. Gdy taka osoba zdobędzie choć jedną szkatułę, to może rościć sobie prawo do magii Ordena. Ma rok na otwarcie pierwszej szkatuły, liczony od chwili podjęcia takiej decyzji, lecz ów ktoś musi mieć wszystkie szkatuły, zanim otworzy choć jedną. Otwarcie jednej nic nie da, trzeba mieć wszystkie trzy. Jeżeli owa osoba nie zdobędzie wszystkich trzech i nie otworzy jednej w wyznaczonym czasie, to owa magia odbierze jej życie. Nie ma odwrotu. Rahl Posępny musi otworzyć jedną ze szkatuł lub umrze. Jego rok upływa pierwszego dnia zimy.

Na twarzy Zedda malowała się determinacja. Pochylił się lekko ku przodowi.

- Każda szkatuła kryje inną moc - podjął - uwalnianą, gdy ktoś otworzy wieko. Jeśli Rahl otworzy właściwą szkatułę, to zdobędzie magię Ordena, władzę nad życiem, władzę nad tym, co ożywione i co umarłe. Będzie miał niekwestionowaną

władzę i moc. Całkowitą władze nad wszystkimi ludźmi. Będzie mój zabić każdego, kto mu się nie spodoba, zabić myślą, w wybrany przez siebie sposób, bez względu na to, gdzie ten nieszczęśnik się znajduje.

- To jakaś straszliwie diabelska magia - wtrącił Richard. Zedd odchylił się w tył, zdjął dłonie ze stołu. Potrząsnął głową.

- Nie, wcale nie. Magia Ordena to moc życia. Po prostu istnieje, jak wszystkie inne moce. To posiadacz decyduje, jak ją wykorzysta. Magię Ordena można zastosować do leczenia chorych, do łagodzenia konfliktów, do osiągania dobrych zbiorów. Wszystko zależy od tego, kto z niej korzysta. Sama moc nie jest ani dobra, ani zła - po prostu istnieje. To człowiek decyduje, co z nią zrobi. Chyba wszyscy wiemy, jaki użytek zrobi z niej Rahl Posępny.

Zedd, jak to miał w zwyczaju, zamilkł na chwilę, żeby Richard mógł przemyśleć to, co usłyszał. Na szczupłym obliczu starca malowała się determinacja. Kahlan też była zdecydowana w pełni uświadomić chłopakowi złowieszczość tego, o czym mówił Zedd. Richard, oczywiście, wcale nie musiał się niczego domyślać, bo wszystko wiedział z Księgi Opisania Mroków. Księga nie pozostawiała żadnych złudzeń, niczego nie pomijała. Toteż chłopak świetnie wiedział, że Zedd ledwo napomknął o kataklizmie, jaki nastąpi, jeśli Rahl Posępny otworzy właściwą szkatułę. Wiedział też, co się stanie, jeśli zostanie otwarta któraś z pozostałych szkatuł, lecz nie mógł zdradzić nieoczekiwanej wiedzy, toteż zapytał:

- A jeśli Rahl otworzy którąś z pozostałych szkatuł? Zedd oczekiwał tego pytania. Znów się pochylił w przód.

- Jeśli otworzy nie tę szkatułę, zginie. Magia się o niego upomni. Umrze w mgnieniu oka, ot tak. - Starzec pstryknął palcami. - Zniknie zagrożenie. Będziemy bezpieczni. - Nachylił się jeszcze bardziej i twardo spojrzał na Richarda. - Otworzy drugą z niewłaściwych szkatuł, a wszystko: każdy owad, człowiek, każde źdźbło trawy i każde drzewo, wszystko, co żyje - spopieli się. Zniknie wszelkie życie. Magia Ordena to bliźniacza siostrzyca życia. Wszystko, co żyje, nosi w sobie ziarno śmierci, więc i owa magia łączy się nie tylko z życiem, ale i ze śmiercią.

Starzec wyprostował się sztywno, zdruzgotany własną opowieścią o zagrażających niebezpieczeństwach. Richard już to wszystko wiedział, jednak słowa starca poraziły i jego. To, co usłyszał, wydawało się bardziej realne od przeczytanego i wyuczonego na pamięć tekstu. Kiedy czytał księgę i uczył się jej, wszystko mu się wydawało takie abstrakcyjne, hipotetyczne, jakby się nigdy nie miało wydarzyć. On,

Richard, miał tylko przechować ową wiedzę w pamięci do powrotu prawowitego właściciela księgi, Teraz chciałby się podzielić z Zeddem tym, co wie, lecz wiązała go przysięga złożona ojcu. Nakazywała całkowite milczenie i zakazywała wypytywania o to, co i tak wiedział, żeby nikt nie podejrzewał, że zna księgę.

- Skąd Rahl będzie wiedział, którą szkatułę ma otworzyć?

Czarodziej poprawił rękawy szaty i zapatrzył się w swoje oparte o stół dłonie. Powiedział:

Ten, kto sięga po szkatuły Ordena, zdobywa zarazem pewną zastrzeżoną informację. Być może podaje ona, którą szkatułę otworzyć.

Hmm, to miało sens. Księgę znał tylko jej prawowity strażnik i jak się okazało - ten, kto sięga po szkatuły Ordena. Księga o tym nie wspominała, lecz to się wydawało logiczne. Richard doznał szoku: Rahl Posępny ścigał go z powodu księgi! Chłopak ledwo słyszał to, co Zedd teraz mówił.

- Rahl jednak uczynił coś niezwykłego, coś, czego nikt nie oczekiwał. Ujawnił swoje roszczenia, zanim zdobył wszystkie trzy szkatuły.

Słowa czarodzieja natychmiast pobudziły uwagę Richarda.

- Więc albo jest głupi, albo bardzo pewny siebie.

- Pewny siebie - odparł starzec. - Dwa ważne powody skłoniły mnie do opuszczenia Midlandów. Po pierwsze to, że Wysoka Rada przywłaszczyła sobie prawo wyznaczania Poszukiwacza. Po drugie to, że nie przykładali należytej wagi do szkatuł Ordena. Wszyscy uznali, że to tylko legenda i że ten stary głupiec, czyli ja, wmawia im, że to prawda. Nie chcieli zważać na moje ostrzeżenia. - Zedd huknął pięścią w stół, aż Kahlan podskoczyła. - Wyśmiali mnie! - zagrzmiał, a okolona siwymi włosami twarz poczerwieniała z gniewu. - Chciałem, żeby szkatuły przechowywano oddzielnie, jedną daleko od drugiej, pod osłoną zaklęć; tak ukryte i schowane, żeby już nikt ich nie odnalazł. Rada zaś chciała je dać na przechowanie różnym ważnym personom. Jako trofea, którymi można się szczycić. Jako zapłatę za łaski i obietnice. To, oczywiście, wydawało szkatuły na łup zachłannych łapsk. Nie mam pojęcia, co się działo ze szkatułami Ordena przez te wszystkie lata. Rahl ma co najmniej jedną z nich, lecz nie wszystkie trzy. Przynajmniej jeszcze do tej pory nie ma trzech. - Oczy Zedda pałały. - Rozumiesz, Richardzie? Wcale nie musimy wyruszyć przeciwko Rahlowi Posępnemu. Wystarczy, że odnajdziemy jedną ze szkatuł, zanim on to zdąży uczynić.

- I uchronić ją przed nim, co się może okazać o wiele trudniejsze niż

odszukanie - powiedział dobitnie chłopak. Wtem coś mu przyszło na myśl. - Czy jedna ze szkatuł może być w Westlandzie, Zeddzie?

- Mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Nigdy ci nie mówiłem, że jestem czarodziejem, Richardzie - podjął z wahaniem starzec - bo o to nie pytałeś, więc w tej sprawie cię nie okłamywałem. Skłamałem tylko raz. Powiedziałem, że się tu zjawiłem, zanim powstały granice. W rzeczywistości nie mogłem tego uczynić. Żeby Westland był istotnie wolny od magii, nie mógł tu przebywać żaden czarodziej, dopóki nie powstaną granice. Potem już mógł się zjawić. Musiałem więc zostać w Midlandach, aż to się dokonało, i dopiero wówczas mogłem tutaj przejść.

- Każdy ma swoje małe tajemnice. Nie zazdroszczę ci twoich. Do czego zmierzasz?

- Do tego, że żadna ze szkatuł nie mogła się tu znaleźć, zanim powstały granice, bo zawarta w nich magia nie pozwoliłaby na powstanie owego rozdzielającego pasa. Wszystkie trzy były w Midlandach, ja nie przeniosłem żadnej z nich, z tego wynika więc, że wciąż tam muszą być.

Richard rozważał słowa starca i czuł, jak gaśnie w nim ostatnia iskierka nadziei. Wrócił do bliższych spraw.

- Wciąż jeszcze mi nie powiedziałeś, kim jest Poszukiwacz. I co to ma ze mną wspólnego.

- Poszukiwacz odpowiada tylko przed samym sobą, sam stanowi prawo. Miecz Prawdy należy do niego i to on decyduje, kiedy się nim posłużyć. Może zażądać od każdego, aby ten odpowiedział za swoje uczynki. - Zedd uniósł dłoń, powstrzymując pytania i wątpliwości Richarda. - Wiem, że to niejasne. Trudno to wytłumaczyć, jak każdą inną moc zresztą. Już ci mówiłem, że to, czym jest sama moc, zależy od osoby, która się nią posługuje. I dlatego tak niezmiernie istotne jest znalezienie odpowiedniej osoby, osoby, która mądrze i odpowiedzialnie posłuży się ową potęgą. Poszukiwacz, Richardzie, zajmuje się dokładnie tym, co implikuje to słowo: szuka. Szuka odpowiedzi. Sam decyduje, w jakich sprawach. Jeśli jest odpowiednią osobą, to się zajmie rozwiązywaniem kwestii mogących przynieść korzyść innym, a nie tylko jemu. Poszukiwacz powinien mieć swobodę prowadzenia własnych dociekań, podróżowania dokąd zechce, zadawania pytań i uzyskiwania informacji, znajdowania odpowiedzi na interesujące go pytania oraz, jeżeli tak trzeba,

czynienia tego, co konieczne.

- Czyżbyś mi próbował powiedzieć, że Poszukiwacz jest zabójcą?! - niemal krzyknął Richard.

- Nie okłamię cię, Richardzie. Zdarzało się, że tak właśnie było. Twarz chłopaka spurpurowiała.

- Nie będę mordercą!!!

- Już mówiłem, że to Poszukiwacz decyduje, kim jest. - Zedd wzruszył ramionami. - Z założenia jest sługą i wykonawcą Sprawiedliwości. Nic więcej nie wiem, bo nigdy nie byłem Poszukiwaczem. Nie mam pojęcia, co się dzieje w ich umysłach, wiem jedynie, kto jest właściwą osobą. - Starzec znów podciągnął rękawy i bacznie obserwował Richarda. - To nie ja wybieram Poszukiwacza, mój chłopcze. Prawdziwy Poszukiwacz sam się ujawnia. A ja wówczas wskazuję właściwą osobę. Od lat byłeś Poszukiwaczem, choć o tym nie wiedziałeś. Obserwowałem cię i dobrze to widziałem. Zawsze szukasz prawdy. A co niby robiłeś w wysokim Ven? Starałeś się dowiedzieć, co to za liana i skąd się wzięła oraz kto zabił twojego ojca. Mogłeś to pozostawić innym, mającym lepsze kwalifikacje (i pewnie tak by się stało), ale to byłoby wbrew twojej naturze, naturze Poszukiwacza. Oni nie zostawiają Spraw innym, sami chcą je rozwiązać. Kiedy Kahlan powiedziała, że szuka czarodzieja, który zginął, zanim przyszła na świat, musiałeś odkryć, o kogo chodzi, i znalazłeś go.

- Lecz tylko dlatego...

- To nie ma znaczenia - przerwał mu Zedd. - Ważne jest tylko jedno: uczyniłeś to. Uratowałem cię dzięki korzeniowi, który znalazłem. Jakie to ma znaczenie, że z łatwością go odnalazłem? Żadnego. Czy byłbyś bardziej żywy, gdyby znalezienie korzenia przyszło mi z wielką trudnością? Nie. Znalazłem go i żyjesz. Tylko to się liczy. Tak samo jest z Poszukiwaczem. Nie ma znaczenia, jak znajduje odpowiedź, ważne jest, że to czyni. Nie ma żadnych prawideł, już to mówiłem. Jest wiele spraw, które musisz rozwiązać. Nie wiem, jak to zrobisz, i nic mnie to nie obchodzi, ważne jest, byś to uczynił. Jeżeli powiesz: „O, to pestka!”, to tym lepiej, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

- Jakie sprawy? - spłoszył się chłopak. Zedd uśmiechnął się, oczy mu zabłysły.

- Mam pewien plan, ale najpierw musisz znaleźć sposób przedostania się na drugą stronę granicy.

- Co takiego! - Chłopak podrapał się po głowie, pomrukując coś pod nosem. Spojrzał na starca. - Jesteś czarodziejem i maczałeś palce w ustanowieniu granicy.

Dopiero co mówiłeś, że się przez nią przeprawiłeś, żeby odzyskać miecz. Kahlan przeszła przez granicę z pomocą czarodziei. Ja nic nie wiem o tej tam granicy! Skoro oczekujesz ode mnie odpowiedzi, oto i ona: Jesteś czarodziejem, Zedd, więc przenieś nas przez granicę!

- Nie. - Starzec potrząsnął głową. - Powiedziałem „na drugą stronę granicy", a nie „poprzez granicę". Wiem, jak przez nią przejść, lecz nie można tego zrobić. Rahl tylko na to czeka. Zabije nas, gdy wejdziemy w tę strefę. Jeśli będziemy mieć szczęście, Musimy się dostać na drugą stronę, nie przechodząc przez te tereny. To zasadnicza różnica.

- Przykro mi, Zedd, ale to niemożliwe. Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Jak to rozwiązać. Granica to zaświaty. Skoro nie możemy przez nią przejść, to jesteśmy tu uwięzieni. Granica jest przecież po to, by szczelnie oddzielać krainy. - Richard czuł się bezradny. Liczyli na niego, a on nie potrafił rozwiązać tej kwestii.

- Zbyt pospiesznie się ganisz - powiedział łagodnie Zedd. - A co będzie, gdy przyjdzie do radzenia sobie z trudniejszymi sprawami?

Richard wiedział, o czym starzec napomyka, lecz zmilczał, bo to go jeszcze bardziej pogrążało. Czarodziej uniósł brew i czekał. Chłopak uparcie milczał, patrzył w stół i stukał kciukiem o drewniany blat.

- Myśl o rozwiązaniu, a nie o problemie. Postępujesz dokładnie odwrotnie. Koncentrujesz się na tym, dlaczego jest to niemożliwe. Nie myślisz o rozwiązaniu.

Chłopak wiedział, że Zedd ma rację, lecz dręczyło go coś jeszcze.

- Chyba nie mogę zostać Poszukiwaczem. Nic nie wiem o Midlandach.

- Czasem łatwiej podjąć decyzję, jeśli się nie jest obarczonym wiedzą o przeszłości - odparł zagadkowo czarodziej.

- Nie znam tamtych stron. Zgubię się.

- Nie, nie zgubisz się. - Kahlan położyła dłoń na ramieniu chłopaka. - Znam Midlandy lepiej niż ktokolwiek. Wiem, gdzie jest bezpiecznie, a gdzie nie. Będę twoją przewodniczką. Nie zgubisz się. To ci mogę obiecać.

Richard spojrzał w zielone oczy dziewczyny i znów opuścił wzrok na stół. Mógł ją zawieść i to sprawiło mu przykrość. Wcale nie sądził, że dziewczyna i Zedd słusznie pokładają w nim taką wiarę. Nie miał pojęcia o Midlandach i o magii, nie wiedział ani jak odszukać te szkatuły, ani jak powstrzymać Rahla Posępnego. Nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia! A na początek miał ich przenieść na drugą stronę granicy!

- Wiem, Richardzie, iż uważasz, że źle czynię, obarczając cię taką odpowiedzialnością, lecz to nie ja cię wybrałem. To ty sam dałeś się poznać jako Poszukiwacz. Ja to tylko, by tak rzec, uprawomocniłem. Jestem czarodziejem od bardzo dawna, więc możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że potrafię rozpoznać właściwą osobę - Zedd sięgnął ponad stołem, ponad mieczem i położył dłoń na ręce chłopaka. Oczy miał smutne. - Rahl Posępny cię ściga. Osobiście. Jest tylko jeden powód: dzięki informacjom, które uzyskał, wie, że jesteś Poszukiwaczem, i szuka cię, bo chce wyeliminować zagrożenie.

Richard aż mrugnął ze zdumienia. Może Zedd ma rację. Może dlatego Rahl go szuka. A może nie. Starzec nic nie wiedział o księdze. Chłopakowi się zdawało, że kłębiące się myśli rozsadzą mu głowę, nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał i zaczął chodzić, zastanawiając się nad tym wszystkim, Zedd skrzyżował ramiona na piersi. Kahlan wsparła łokieć o stół. Obydwoje w milczeniu obserwowali Richarda.

Ognik powiedział: znajdź odpowiedź albo zginiesz, dumał chłopak. Wcale nie mówił, że mam zostać jakimś Poszukiwaczem. Przecież mogę znaleźć odpowiedź na swój własny sposób, jak zawsze. I bez miecza odgadłem, kto jest czarodziejem - to wcale nie było takie trudne. Co jest złego w przyjęciu miecza? Co w tym niewłaściwego? Przecież to głupota, odrzucać każde wsparcie. Przecież to Poszukiwacz decyduje, do czego posłuży miecz: czemu by więc nie użyć go w słusznej sprawie? Wcale nie musi zostać mordercą albo kimś w tym rodzaju. Posłuży się mieczem, by im pomóc. Tylko w tym celu, w żadnym innym. Lecz Richard wiedział, czemu nie chciał przyjąć miecza. Nie odpowiadało mu to, czego doznał, wyciągając go z pochwy. Dobrze leżał mu w dłoni i to chłopaka zaniepokoiło. Obudził w nim gniew, przerażający gniew i sprawił, że Richard doświadczył czegoś, czego dotąd nie znał. Najbardziej go niepokoiło, że to wszystko wydawało się zupełnie słuszne, całkowicie usprawiedliwione. A chłopak nie chciał uważać gniewu za usprawiedliwiony, nie chciał tracić nad nim kontroli. Gniew był godny potępienia. Tego nauczył Richarda ojciec. Gniew zabił mu matkę. Zamknął swój gniew w określonym miejscu umysłu i nigdy tam nie zaglądał. Nie, o nie; zrobi to na swój sposób, bez miecza. Nie potrzebuje go i wywoływanej przez niego udręki. Richard popatrzył na Zedda, który siedział z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwował go; słoneczny blask uwypuklał głębokie zmarszczki na jego twarzy. Znajome rysy wydawały się nieco odmienione. Wydawał się bardziej stanowczy i nieugięty - jak przystało na czarodzieja. Spojrzeli sobie w oczy. Chłopak Podjął decyzję. Odmówi

przyjacielowi. Zostanie przy nich i pomoże. Przecież i jego życie od tego zależało. Ale nie będzie Poszukiwaczem. Zanim zdążył powiedzieć choć słowo, odezwał się Zedd:

- Powiedz Richardowi, Kahlan, jak Rahl Posępny przesłuchuje ludzi - głos miał cichy, spokojny. Nie spojrzał na dziewczynę lecz wpatrywał się w oczy chłopaka.

- Proszę, Zedd - szepnęła ledwie dosłyszalnie Kahlan.

- Powiedz mu - nalegał. - Powiedz mu, do czego służy Rahlowi ów zakrzywiony nóż, który nosi u pasa.

Richard oderwał oczy od oczu starca, spojrzał na pobladłą twarz dziewczyny. Po chwili spojrzała na niego smutnymi, zielonymi oczami i dała znak, by podszedł do niej. Zamarł na moment, a potem podszedł i ujął jej dłoń. Pociągnęła go ku sobie, Usiadł twarzą ku niej i czekał, choć się lękał tego, co usłyszy.

Kahlan przysunęła się, założyła za ucho krnąbrne pasemko włosów. Patrzyła na prawą rękę Richarda, którą ujęła w dłonie, przesuwając po niej kciukami. Palce miała miękkie, delikatne. Dłoń chłopaka wydawała się wielka w jej drobnych rączkach. Odezwała się cichym głosem, nie patrząc na Richarda.

- Rahl Posępny praktykuje starożytną magię zwaną antropomancją. Odczytuje odpowiedzi z wnętrzności żywych ludzi.

Chłopak poczuł, jak rozpala się w nim gniew.

- Uzyskuje co najwyżej „tak” lub „nie” na jedno pytanie, niekiedy jakieś imię - ciągnęła dziewczyna. - To jego ulubiona metoda przesłuchań i nie rezygnuje z niej. Przepraszani cię, Richardzie. Wybacz, że ci to powiedziałam.

Richard przypomniał sobie dobroć i życzliwość ojca, jego śmiech, miłość, przyjaźń, czas, który spędzali wspólnie przy tajemnej księdze. Tysiące drobnych wspomnień przemknęło przez umysł chłopaka, powodując udrękę i ból. Obrazy i dźwięki przeżytych chwil zblakły i rozwiały się. Znów ujrzał krwawe plamy na podłodze, pobladłe twarze ludzi, którzy znaleźli ojca, poczuł ból i przerażenie, które były jego udziałem. Przypomniał sobie opowieść Chase’a. Nie próbował odpędzić tych wspomnień, wprost przeciwnie - przywoływał je, szukał ich. Rozpamiętywał każdy szczegół, dręczył się tym. Zapłonął w nim ból i wzmagał się coraz bardziej. Chłopak wyobraził sobie odrażającą postać Rahla Posępnego, z rękami ociekającymi purpurową krwią. Rahl stał nad ciałem ojca Richarda i trzymał w dłoni połyskujące czerwonawo ostrze. Przypatrywał się owej wizji, uzupełniał ją, wypalał w pamięci. Aż

stała się kompletna. Zdobył odpowiedź. Wiedział, co się wydarzyło. Jak umarł ojciec. Do tej pory poszukiwał wyłącznie tego - odpowiedzi. Nigdy, w całym swoim dotychczasowym życiu, nie wyszedł poza to pragnienie, nigdy nie chodziło mu o nic innego.

Teraz, w jednej straszliwej chwili, wszystko się zmieniło. Runęły bariery blokujące gniew, zniknęła samokontrola. Płomienna furia zmiotła to, co dały lata racjonalnego myślenia. Palące promienie zaćmiły jasność umysłu. Richard sięgnął po Miecz Prawdy, zacisnął palce na pochwie. Zaciskał je mocniej i mocniej, aż zbielały mu kłykcie. Z całej siły zaciął zęby. Oddychał ciężko, urywanie. Nie widział tego, co go otaczało. Miecz odpowiedział płomieniem gniewu, lecz tym razem nie z własnej woli, a na wezwanie Poszukiwacza.

Chłopak przeżywał męki, wiedząc, co przydarzyło się ojcu, lecz owa wiedza wymuszała rozwiązanie. Pragnął tego, o czym kiedyś nawet by sobie nie pozwolił pomyśleć. Żądza zemsty zmiotła wszelkie inne odczucia.

W tym momencie Richard pragnął jednego, marzył o jednym, obchodziło go tylko jedno: zabić Rahla Posępnego. Nic innego nie miało znaczenia.

Oderwał jedną dłoń od pochwy miecza i zacisnął ją na rękojeści, by dobyć broń. Dłoń Zedda powstrzymała rękę mściciela. Rozwścieczony przeszkodą Poszukiwacz wbił wzrok w starca.

- Richardzie - przemówił łagodnie Zedd. - Uspokój się, Richardzie. Poszukiwacz gniewnie patrzył w oczy tamtego, mięśnie grały mu pod skórą.

Coś w jego umyśle ostrzegało, próbowało przejąć kontrolę. Zignorował ostrzeżenie. Pochylił się ponad stołem ku czarodziejowi, zgrzytnął zębami.

- Przyjmuję obowiązki Poszukiwacza - oznajmił.

- Uspokój się, Richardzie - powtórzył Zedd. - Już dobrze. Odpręż się. Usiądź.

Rzeczywistość wtargnęła do umysłu chłopaka. Odrobinę powściągnął pragnienie uśmiercenia Rahla, lecz nie płomienną furie. Zniknęły wszelkie bariery, które tamowały gniew. Znów postrzegał otaczający go świat, lecz patrzył na niego innymi oczami. Oczami, które zawsze miał, lecz bał się przez nie spojrzeć: oczami Poszukiwacza.

Richard zdał sobie sprawę, że stoi. Nie wiedział, że wstał. Usiadł przy Kahlan, puścił miecz. Jakaś cząstka jego umysłu odzyskała kontrolę nad gniewem. Lecz nie w takim stopniu, jak Przedtem. Nie odpędziła gniewu, nie otoczyła barierami - uciszyła tylko, aby był w pogotowiu, gdy będzie potrzebny. Wróciło coś z dawnego „ja”

chłopaka, uspokajało go, przywracało normalny oddech, zdolność jasnego myślenia. Po raz pierwszy Richard nie wstydził się swojego wybuchu gniewu, czuł się wyzwolony i oczyszczony. Siedział spokojnie, rozluźniał się powoli. Spojrzał na opanowaną, pełną spokoju twarz Zedda, okoloną białymi jak mleko włosami. Starzec obserwował uważnie Richarda a teraz obdarzył go leciutkim uśmiechem.

- Gratuluję - powiedział. - Właśnie zdałeś ostatni egzamin na Poszukiwacza.

- Co masz na myśli? - Richard zmieszał się. - Przecież już mnie ogłosiłeś Poszukiwaczem.

Zedd z wolna potrząsnął głową.

- Przecież mówiłem. Czyżbyś nie słuchał? Poszukiwacz sam się ogłasza. Zanim mogłeś nim zostać, musiałeś przejść ostateczną próbę. Udowodnić mi, że potrafisz się posługiwać całym swoim umysłem. Blokowałeś swój gniew. Musiałem się przekonać, czy potrafisz go uwolnić i przywołać. Widziałem przedtem, jak ogarnia cię gniew, lecz zawsze go odpędzałeś, nie pozwalałeś mu wybuchnąć. Poszukiwacz, który by tłumił swój gniew, byłby bezradny. Bo to właśnie moc gniewu pcha go do zwycięstwa. Pozbawiony owej mocy odrzuciłbyś miecz, a ja bym ci na to pozwolił, bo nie miałbyś tego, co niezbędne Poszukiwaczowi. Ale to już nie ma znaczenia. Udowodniłeś, że już nie jesteś niewolnikiem dawnych lęków. Muszę cię jednak przestrzec. Ważne jest, byś potrafił wykorzystać swój gniew, lecz równie znaczące jest to, byś go umiał powściągnąć. Zawsze to potrafiłeś. Nie zatrać tego teraz. Mądrze decyduj, którą drogę obrać. Niekiedy uwolnienie gniewu jest gorszym błędem niż powściągnięcie go.

Richard przytaknął z powagą. Rozmyślał o tym, co czuł, trzymając miecz, kiedy targał nim gniew, jak czerpał z niego dodatkową moc; o wyzwalającym, oczyszczającym poddaniu się owemu żywiołowemu uczuciu, płynącemu z miecza i płonącemu w głębi jego, Richarda, umysłu.

- Miecz jest magiczny - powiedział wymijająco. - Czułem to.

- Owszem. Lecz magia to takie samo narzędzie jak każde inne, Richardzie. Kiedy ostrzysz nóż, to po prostu go przygotowujesz do wypełnienia jakiegoś zadania. To samo z magią. Wyostrza zamiary. - Oczy starca były jasne, uważne. - Niektórzy ludzie bardziej się boją zginąć od zaklęć niż od noża, zupełnie jakby byli mniej nieżywi, gdy zabije ich namacalny przedmiot, a nie coś niewidzialnego. Rozważ i zapamiętaj moje słowa. Śmierć to śmierć. Lecz strach przed magią może być potężną bronią Pamiętaj o tym.

Richard przytaknął. Słońce późnego popołudnia ogrzewało mu twarz, kątem oka widział ową chmurę. Rahl też pewno na nią patrzył. Chłopak przypomniał sobie tamtego mężczyznę z Urwistego Wierchu, który zaciął się do krwi mieczem, zanim zaatakował. Przypomniał sobie wyraz oczu tego człowieka. Wówczas tego nie rozumiał, dopiero teraz. Teraz i on, Richard, pałał żądzą.

Jesienny wiaterek kołysał liśćmi pobliskich drzew, połyskujących pierwszymi plamami złota i czerwiem. Nadchodziła zima, jej pierwszy dzień był już blisko. Chłopak myślał, jak przeprawi ich na drugą stronę granicy. Trzeba znaleźć jedną ze szkatuł Ordena, a dopiero potem odszukać Rahla Posępnego.

- Koniec z gierkami, Zedd. Teraz jestem Poszukiwaczem. Już nie będzie żadnych prób, prawda?

- Najprawdziwsza prawda jest jak szczere złoto.

- Marnujemy czas. Jestem pewny, że Rahl nie trwoni swojego. Trzymam cię za słowo - powiedział Richard do Kahlan - że będziesz moją przewodniczką w Midlandach.

Uśmiechnęła się, widząc jego niecierpliwość, i kiwnęła głową potakująco. Chłopak spojrzał na Zedda.

- No, czarodzieju, zademonstruj mi magię.

Rozdział dziesiąty

Zedd uśmiechnął się szelmowsko. Podał Richardowi pendent, wykonany z dobrze wyprawionej, giętkiej skóry. Złotosrebrna sprzączka harmonizowała z pochwą miecza. Pendent trzeba było trochę popuścić, ostatni Poszukiwacz był niższy od Richarda. Chłopak przełożył go przez prawe ramię, dopasował z pomocą Zedda i przymocował do niego Miecz Prawdy.

Starzec zaprowadził młodych na skraj łąki, gdzie już sięgały długie, cienkie gałęzie pobliskich drzew. Rosły tam dwa małe skalne klony, jeden gruby jak ręka Richarda, drugi cienki jak ramię Kahlan.

- Wyciągnij miecz - powiedział Zedd do chłopaka. Rozległ się charakterystyczny, metaliczny brzęk klingi wyciąganej z pochwy. - Teraz ci zademonstruję najważniejszą właściwość miecza, lecz wpierw ustąp na krótko z funkcji Poszukiwacza i pozwól, bym na ten czas wyznaczył Kahlan.

- Wcale nie chcę być Poszukiwaczem. - Dziewczyna popatrzyła podejrzliwie na czarodzieja.

- To tylko na chwilę, skarbie, żebym mógł mu to zademonstrować.

Dał znak Richardowi, żeby podał miecz Kahlan. Zawahała się, potem oburącz ujęła oręż. Był za ciężki. Opuściła go w dół i wsparła czubek o darń. Zedd wykonał skomplikowane gesty nad głową dziewczyny.

- Kahlan Amnell, wyznaczam cię na Poszukiwacza.

Dziewczyna zerknęła na niego podejrzliwie. Starzec uniósł jej głowę. Oczy miał skupione i uważne. Przysunął twarz do twarzy Kahlan i mówił cicho:

- Kiedy opuściłem Midlandy z tym mieczem, Rahl Posępny magicznym sposobem umieścił tu większe drzewko. Żeby mnie naznaczyć, żeby móc przyjść po mnie, kiedy zechce. I zabić mnie Ten sam Rahl Posępny, który polecił zabić Dennee. - Rysy Kahlan stwardniały. - Ten sam Rahl Posępny, który ściga cię po to, żeby zamordować jak twoją siostrę. - W oczach dziewczyny zapłonęła nienawiść. Zacisnęła zęby, uniosła Miecz Prawdy, Zedd się cofnął. - Drzewo jest twoje. Musisz go powstrzymać.

Ostrze świsnęło w jesiennym powietrzu z taką mocą i szybkością, że Richard ledwo wierzył własnym oczom. Przecięło pieniek większego drzewka - posypały się drzazgi, rozległ się taki trzask, jakby ktoś jednocześnie złamał tysiące gałązek.

Drzewo zawisło w powietrzu, a potem runęło na ziemię. Chłopak dobrze wiedział, że musiałby z dziesięć razy uderzyć siekierą, żeby je ściąć. Zedd wyjął

miecz z rąk Kahlan, a ona opadła na kolana, przysiadła na piętach i z jękiem ukryła twarz w dłoniach. Richard natychmiast był przy niej.

- Co się stało, Kahlan?

- Nic, nic mi nie jest. - Oparła się na ramieniu chłopaka i wstała. Była bardzo blada, lecz zdołała się uśmiechnąć. - Rezygnuję z funkcji Poszukiwacza.

- Co jest, Zedd?! - Richard okręcił się ku starcowi. - Rahl wcale tu tego drzewka nie umieścił. Sam widziałem, jak je podlewałeś i pielęgnowałeś. To tyje tutaj posadziłeś, ku pamięci swojej żony i córki!!

- Teraz ty, Richardzie. Oto twój miecz. Znów jesteś Poszukiwaczem. Spróbuj, chłopcze, ściąć mniejsze drzewko, a potem wszystko wytłumaczę.

Zirytowany chłopak chwycił oburącz rękojeść, poczuł falę gniewu. Zamachnął się potężnie na mniejsze drzewko. Ostrze świsnęło, lecz nie dotknęło pnia, zatrzymało się tuż przed nim, jakby powietrze nagle zgęstniało i je powstrzymało. Richard aż się cofnął ze zdumienia. Popatrzył na miecz i znów się zamachnął. I tym razem nic. Drzewko stało sobie spokojnie. Chłopak łypnął wściekle na Zedda, który skrzyżował ramiona na piersi i podstępnie się uśmiechał. Richard wsunął miecz do pochwy.

- No to powiedz, w czym rzecz.

- Zauważyłeś, jak łatwo Kahlan ścięła tamto drzewko? - zapytał niewinnie starzec. Richard zmarszczył się gniewnie, więc Zedd wyjaśnił z uśmiechem: - Nawet gdyby pień był z żelaza, to ostrze i tak by go przecięło. Zaś ty jesteś o wiele silniejszy od dziewczyny, a nawet nie zadrasnąłeś mniejszego drzewka.

- Owszem, zauważyłem to.

- I co ty na to? - z kpiącym zakłopotaniem spytał Zedd.

Chłopak od razu się uspokoił. Zedd często go tak prowokował do samodzielnego szukania odpowiedzi.

- Powiedziałbym, że to ma coś wspólnego z intencjami. Ona sądziła, że owo drzewo to zło, ja tak nie myślałem.

- Znakomicie, chłopcze!

- Nie rozumiem, Zedd - odezwała się Kahlan. - Zniszczyła, drzewko, które wcale nie było złe. Było całkiem niewinne.

- Po to był ów pokaz, kochanie. Realność nie ma znaczenia percepcja jest wszystkim. Liczy się to, co myślisz. Uznasz, że coś jest wrogiem, i zniszczysz to, choćby i wrogie nie było. Magia interpretuje twój punkt widzenia. Nie pozwoli ci zranić tego, kto według ciebie jest niewinny, lecz zniszczy każdego, kogo uznasz za

wroga. Decyduje to, w co wierzysz.

- To znaczy, że się nie wolno pomylić - rzekł z wolna Richard. - A co, jeśli się nie ma pewności?

- Lepiej ją mieć, chłopcze - odparł starzec, unosząc brew - bo inaczej można wpaść w niezłe tarapaty. Magia potrafi wyczytać w twoim umyśle to, czego nie jesteś świadom. I mógłbyś zabić przyjaciela, a oszczędzić wroga.

Chłopak zadumał się nad tym, co usłyszał; machinalnie postukiwał palcami po rękojeści miecza. Patrzył na złociste błyski zachodzącego słońca, lśniące wśród drzew. Wężowata chmurka zabarwiła się czerwienią, przechodzącą w głęboką purpurę. To w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, uznał Richard. Świetnie wiedział, kogo chce dopaść i kto jest wrogiem. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- I jeszcze jedna sprawa. Ważniejsza - odezwał się czarodziej. - Kiedy dobędziesz miecz na wroga, musisz potem za to zapłacić. Prawda, skarbie? - Spojrzał na Kahlan. Przytaknęła i spuściła oczy. - Im potężniejszy wróg, tym wyższa cena. Żałuję, Kahlan, że cię naraziłem na taki szok, lecz to najważniejsza lekcja, jaką Richard musiał przyswoić.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego leciutko, na znak, że rozumie. Starzec znów spojrzał na chłopaka.

- Obaj wiemy, że czasami trzeba zabić, że to czasem nieuniknione i sprawiedliwe. I wiem, że nie muszę ci tłumaczyć, iż nawet wtedy zabójstwo jest potwornością. Będziesz musiał żyć ze świadomością, że je popełniłeś. Jest nieodwracalne, tego postępku nie można naprawić. Płacisz za to cenę, zabójstwo osłabia cię i pomniejsza.

Richard kiwnął głową. Wciąż go dręczyło, że zabił tamtego mężczyznę na Urwistym Wierchu. Nie, żeby żałował swego uczynku - nie miał innego wyboru, lecz nadal widział twarz tamtego, ześlizgującego się w przepaść człowieka.

- Inaczej jest, gdy zabijesz magicznym Mieczem Prawdy - podjął czarodziej. - Magia wypełniła twoją wolę i odbiera swoją zapłatę. Nie istnieje czyste dobro ani czyste zło, a przede wszystkim w człowieku. I najlepsi z nas mają na sumieniu niegodziwe myśli czy uczynki, i w najgorszych drzemie jakaś cnota. Przeciwnik nie popełnia niecnych uczynków dla nich samych. Zawsze ma jakiś powód, który w jego oczach stanowi usprawiedliwienie. Mój kot zjada myszy. Czyż to go czyni złym? Ja tak nie uważam, mój kot też nie, lecz myszy na pewno mają odmienne zdanie. Każdy zabójca sądzi, że ofiara zasługiwała na śmierć. Wiem, Richardzie, że nie zechcesz w

to uwierzyć, lecz musisz mnie wysłuchać. Rahl Posępny czyni to, co czyni, ponieważ uważa, że postępuje słusznie, tak jak w swoim mniemaniu również ty czynisz słusznie. W tym jesteście do siebie podobni. Chcesz się na nim zemścić, bo zabił twojego ojca, a on na mnie, bo ja zabiłem jego ojca. Dla ciebie on jest wcielonym złem, on zaś uważa, że to ty jesteś niegodziwcem. Wszystko zależy od punktu widzenia. Zwycięzca uzna, że miał rację. Pokonany pomyśli, że się mylił. Tak samo jak z magią Ordena: ona po prostu jest Jeden wybór, jedno jej zastosowanie wyłącza inne.

- Tacy sami?! - rozsierdził się Richard. - Czyś ty całkiem oszalał?! Jak możesz tak mówić! Jego zżera żądza władzy! Zniszczyłby świat, żeby zdobyć władzę! Ja nie chcę władzy, chcę, by mnie zostawiono w spokoju! Zamordował mojego ojca! Wypruł mu wnętrzności! Próbuje zabić nas wszystkich! Jak możesz twierdzić, że jesteśmy podobni?! Według ciebie on nawet nie jest groźny!

- Czyś ty w ogóle słuchał, co do ciebie mówiłem?! Powiedziałem, że obydwaj sądzicie, iż macie rację! To zaś czyni go bardziej niebezpiecznym, niż możesz sobie wyobrazić, bo jest całkiem odmienny od ciebie. Rahl Posępny uwielbia wykrwawiać ludzi na śmierć. Łaknie ich bólu. Ty znasz miarę w tym, co według ciebie słuszne, on nie. Ze wszystkich sił, za wszelką cenę chce zmusić Wszystkich do posłuszeństwa, tych zaś, którzy mu nie czapkują, uważa za wrogów. Z czystym sumieniem własnoręcznie wypruł trzewia twojemu ojcu. Z czystym sumieniem i z przyjemnością, bo jego wypaczone poczucie sprawiedliwości dało mu do tego prawo. To sprawia, że Rahl tak się różni od ciebie, Richardzie. Dlatego jest taki niebezpieczny. - Starzec wskazał na Kahlan. - Nie widziałeś, co uczyniła mieczem? Że zrobiła coś, czego ty nie zdołałeś? Hmm?

- Głębokie przekonanie - powiedział już spokojniej chłopak. - Mogła tego dokonać, bo święcie wierzyła, że ma rację.

Zedd uniósł kościsty palec.

- Otóż to! Przekonanie o słuszności sprawia, że groźby stają się jeszcze nie - bezpieczniejsze, groźniejsze. - Następne słowa czarodziej wyskandował, stukając palcem w pierś Richarda: - Groźne... Jak... Ostry... Miecz.

Chłopak wsunął kciuk za pendent i odetchnął głęboko. Czuł się tak, jakby stał na grząskim gruncie, ale zbyt długo znał Zedda, żeby odrzucić słowa starca tylko dlatego, iż trudno je było pojąć. On sam jednak wolał prostotę wypowiedzi.

- Więc według ciebie nie tylko jego postępki czynią Rahla niebezpiecznym,

ale i to, że uważa je za usprawiedliwione?

- Pozwól, że ujmę to inaczej. - Czarodziej wzruszył ramionami. - Kogo byś się bardziej bał: ważącego dwieście funtów mężczyzny, który chce ci ukraść bochenek chleba i wie, że to zły uczynek, czy stufuntowej kobiety, która jest przekonana - błędnie, ale jednak święcie przekonana - że porwałeś jej dziecko?

- Uciekałbym przed kobietą - odparł Richard, krzyżując ręce na piersi. - Nie dałaby za wygraną. Nie chciałaby słuchać żadnych tłumaczeń. Byłaby zdolna do wszystkiego.

- I taki jest Rahl Posępny. Niezachwianie wierzy, że ma rację, przez co jest tym bardziej niebezpieczny.

Chłopak odwzajemnił zawzięte spojrzenie Zedda.

- Ja mam słuszność.

- Myszy też sądzą, że mają rację - czarodziej złagodniał - a kot i tak je zjada. Próbuję cię czegoś nauczyć, Richardzie. Nie chcę, żebyś wpadł w łapska Rahla.

- Wcale mi się to nie podoba - westchnął chłopak, opuszczając ręce. - Nie rozumiem. Nieraz słyszałem, jak mówisz, że nie jest to łatwe i proste. Święta racja. Pouczające są twoje słowa, Zeddzie, ale nie przestraszą mnie i nie odwiodą od uczynienia tego, co muszę i co uważam za słuszne. A teraz wykrztuś wreszcie, co to za „zaplata” za użycie Miecza Sprawiedliwości?

- Zobaczysz tkwiące w tobie zło, wszystkie swoje wady i słabe strony, to, czego nikt nie chce w sobie dostrzec, czy nawet przyznać, że coś takiego w nim tkwi. Jednocześnie ujrzysz dobro w człowieku, którego zabiłeś, i doznasz wyrzutów sumienia, że to uczyniłeś. - Zedd ze smutkiem potrząsnął głową. - Uwierz mi, Richardzie, ból zrodzi się nie tylko w tobie, spotęguje go magia miecza. Nie lekceważ tego. To realne doznanie, kara i dla ciała, i dla ducha. Widziałeś, jak Kahlan cierpiała, bo zabiła drzewko. Gdyby uśmierciła człowieka, męka byłaby jeszcze dotkliwsza. To dlatego gniew jest tak ważny. Bo jest jedyną osłoną, jedyną tarczą chroniącą przed bólem. Im silniejszy przeciwnik, tym dotkliwszy ból. Lecz im większy gniew, tym lepszą stanowi tarczę. Chroni cię przed wątpieniem w słuszność tego, co uczyniłeś. W niektórych wypadkach w ogóle znosi ból. To dlatego mówiłem Kahlan te straszne słowa, które ją zraniły i wprawiły w gniew, żeby ją chronić, gdy posłuży się mieczem. Czy teraz rozumiesz, czemu bym ci nie pozwolił przyjąć miecza, gdybyś nie potrafił uwolnić swego gniewu? Nic by cię wówczas nie chroniło przed magią i zniszczyłaby cię.

Słowa czarodzieja i wyraz cierpienia w oczach Kahlan trochę wystraszyły chłopaka, ale go nie odwiodły od powziętego postanowienia. Popatrzył na góry granicy. Zachodzące słońce barwiło je na jasnoróżowo. Spoza nich, od wschodu, nadchodziła ciemność. Szły ku nim mroki. On, Richard, musiał znaleźć sposób przedostania się na drugą stronę granicy, w owe mroki. Miecz mu się tam przyda i to jest ważne. Stawka jest poważna.

Wszystko w życiu ma swoją cenę, zapłacę i tę, skoro trzeba, pomyślał Richard.

Stary przyjaciel położył dłonie na ramionach chłopaka i twardo spojrzał mu w oczy.

- Teraz muszę ci powiedzieć coś, co ci się na pewno nie spodoba - Kościste palce Zedda wpiły się w ramiona Richarda. - Nie możesz użyć Miecza Prawdy przeciwko Rahlowi Posępnemu.

- Co takiego?!

- Rahl ma zbyt wielką moc. - Starzec potrząsnął chłopakiem. - Przez ów rok poszukiwania chroni go magia Ordena. Jeżeli dobędziesz na niego miecza, umrzesz, zanim ostrze go dosięgnie. - To szaleństwo! Jakieś wariactwo! Najpierw chcesz, żebym został Poszukiwaczem i przyjął miecz, a zaraz potem mówisz, że się nie będę mógł nim posłużyć! - wściekał się Richard. Czuł się oszukany.

- To dotyczy tylko Rahla! To nie ja wymyśliłem magię, Richardzie, ja tylko wiem, jak ona działa. Rahl Posępny też to wie. Może będzie chciał cię sprowokować, żebyś podniósł na niego miecz. Wie, że to by cię zabiło. Zwycięży, jeżeli poddasz się porywowi gniewu i sięgniesz po miecz. Zginiesz, a on zdobędzie szkatuły.

- Zgadzam się z Richardem, Zeddzie - odezwała się Kahlan. I ona poczuła zawód i rozczarowanie. - Teraz nie ma szansy. Skoro nie może użyć najpotężniejszego oręża, to...

- Nie! - przerwał jej czarodziej i stuknął kłykciami o głowę chłopaka. - To jest najpotężniejszy oręż Poszukiwacza. - Wbił kościsty palec w pierś Richarda. - I to.

Milczeli przez chwilę.

- To Poszukiwacz jest orężem - rzekł z emfazą Zedd. - Miecz to tylko narzędzie. Możesz znaleźć inny sposób. Musisz znaleźć.

Richard pomyślał, że właściwie powinien być zaniepokojony, rozgniewany, rozczarowany i przygnębiony - lecz nie był. Uleciały pierwsze porywcze i nieskoordynowane pomysły, inaczej patrzył na sprawę. Czuł osobliwy spokój i

determinację.

- Przykro mi, chłopcze. Chciałbym odmienić tę magię, ale...

- W porządku, przyjacielu. - Chłopak położył dłoń na ramieniu Zedda. - Masz rację. Musimy powstrzymać Rahla. Tylko ten cel jest ważny. Powinienem poznać prawdę, żeby zwyciężyć, wiec mi ją ukazałeś. Teraz muszę ją właściwie wykorzystać. Jeżeli zdobędziemy jedną ze szkatuł, to Rahla dosięgnie sprawiedliwość. Wcale nie muszę przy tym być. Wystarczy, bym wiedział że się dokonało. Powiedziałem, iż nie zostanę zabójcą, i podtrzymuję to. Miecz jest bezcenny, lecz sam powiedziałeś, że to tylko narzędzie, i tak też będę go traktował. Zaklęta w nim magia nie jest celem sama w sobie, nie może nade mną zapanować. Stale muszę o tym pamiętać, bo inaczej byłbym tylko fałszywym Poszukiwaczem.

Zedd poklepał przyjaźnie ramię Richarda.

- Wspaniale wszystko pojąłeś, chłopcze. - Starzec uśmiechnął się szeroko. - Doskonale wybrałem Poszukiwacza. Jestem z siebie dumny.

Kahlan i chłopak zachichotali radośnie, słysząc te autopochwały. Potem dziewczyna posmutniała.

- Tak mi przykro, Zedd, że ścięłam drzewko poświęcone pamięci twojej żony. Ogromnie żałuję, że to zrobiłam.

- Nie dręcz się tym, kochanie, nie trzeba. Przecież pamięć o niej nam pomogła. Dzięki niej Poszukiwacz poznał prawdę. To najwspanialszy hołd dla mojej żony.

Richard nie słuchał, o czym rozmawiają. Patrzył ku wschodowi na masywne pasmo gór i próbował znaleźć rozwiązanie. Jak się przedostać na drugą stronę, nie wchodząc w graniczną strefę? Jak? A jeśli to się okaże niemożliwe? Jeżeli tu ugrzęzną, a Rahl bez przeszkód poszuka szkatuł? Czy są nieodwołalnie skazani na śmierć? Gdybyż tak było więcej czasu i mniej ograniczeń! Chłopak skarcił się za marnowanie czasu na gdybanie. Jeżeli wiedziałby, co trzeba zrobić, to na pewno by wymyślił jak. Dręczyło go podświadome przeczucie, że można to zrobić, że wie jak. Na pewno jest sposób; musi być. Gdybyż tylko wiedział, że to możliwe...

Noc wokół nich budziła się do życia, zaczynała rozbrzmiewać dźwiękami. Żaby rechotały w stawach i strumykach, nocne ptaki pohukiwały wśród gałęzi drzew, owady grały w trawach. Z odległych wzgórz doleciało wycie wilków, ponure i żałośliwe, odbiło się echem od łańcucha gór. Jakoś się im udało przebyć góry, przekroczyć nieznane.

Góry są jak granica, myślał Richard. Nie możesz przez nie przeniknąć, lecz

możesz je przekroczyć. Tylko trzeba znaleźć przejście. Przejście. Czy to możliwe? Czyżby było jakieś przejście?

Chłopak doznał nagłego olśnienia.

Księga.

Obrócił się ku nim, podekscytowany. Zdziwił się. Kahlan i Zedd stali spokojnie, obserwując go, jakby czekali na wyrok.

- Czy pomogłeś komukolwiek przebyć granicę, Zeddzie?

- Niby komu?

- Wszystko jedno! Tak lub nie!

- Nie. Nikomu.

- Czy ktoś poza czarodziejem może posłać kogoś przez granicę?

- To może uczynić wyłącznie czarodziej - oznajmił patetycznie Zedd. - I Rahl Posępny, rzecz jasna.

- Od tego zależy nasze życie, Zeddzie. - Richard zmarszczył się. - Przysięgnij. Nigdy, przenigdy nie wysyłałeś nikogo przez granicę. Prawda?

- Najprawdziwsza prawda, prawdziwa jak szczere złoto. Bo co? Co ci wpadło do głowy? Znalazłeś sposób?

Zatopiony w myślach chłopak zignorował to pytanie. Znów popatrzył na góry. Racja - istniało przejście przez granicę! Jego Ojciec je odkrył i korzystał z niego! Tylko w ten sposób Księga Opisania Mroków mogła się znaleźć w Westlandzie. Ojciec nie mógł jej ze sobą zabrać, kiedy szedł tutaj przed ustanowieniem granic, i nie mógł jej znaleźć w Westlandzie; to była magiczna księga. Gdyby magia znalazła się tu wcześniej, to strefa graniczna by nie powstała. Dopiero po jej ustanowieniu można było przenieść do Westlandu magiczne przedmioty. Ojciec znalazł przejście, poszedł do Midlandów i przyniósł tu księgę. Richard był i wstrząśnięty, i podekscytowany. Dokonał tego jego ojciec! Przebył granicę! Chłopaka rozpierała radość. Już wiedział, że jest droga przez granicę, że można ją przekroczyć. Jeszcze tylko trzeba znaleźć owo przejście, ale na to przyjdzie czas. Ważne, że ono istnieje.

- Chodźmy na kolację - powiedział Richard do tamtych dwojga.

- Nastawiłam gulasz, jeszcze zanim się zbudziłeś. Jest też świeży chleb.

- Wielkie nieba! - zakrzyknął Zedd, unosząc chude ramiona. - Dobrze, że ktoś sobie wreszcie przypomniał o kolacji!

Richard leciutko się uśmiechnął i oznajmił:

- A jak już zjemy, to się przyszykujemy do drogi. Zadecydujemy, co nam

będzie potrzebne, co udźwigniemy, zabierzemy to wszystko i zapakujemy. Musimy się porządnie wyspać. Wstaniemy o świcie.

Chłopak skończył krótką przemowę i ruszył ku domowi. Ciepły Poblask ognia, widoczny przez szyby, obiecywał ciepło i światło.

- Dokąd to wyruszamy, mój chłopcze? - spytał Zedd.

- Do Midlandów! - odkrzyknął Richard.

Wygłodniały czarodziej pałaszował drugą miseczkę gulaszu Zjadł całkiem sporo, zanim nasycił się na tyle, by zapytać:

- Więc jednak coś wymyśliłeś? Naprawdę jest sposób na przekroczenie granicy?

- Tak.

- Jesteś pewny? Jak to możliwe? Jak przebyć granicę, nie wkraczając w nią? Richard uśmiechnął się i zamieszał swój gulasz.

- Nie musisz się zmoczyć, żeby przejść przez rzekę.

Światło lampy zamigotało na zdumionych twarzach tamtych dwojga. Kahlan rzuciła kotu kawałeczek mięsa; kocisko siedziało w pobliżu, czekając na takie prezenciki. Zedd zjadł kolejną kromkę chleba i zapytał:

- Skąd wiesz, że przejście istnieje?

- Istnieje. I to powinno wam wystarczyć. Starzec zjadł kilka łyżek gulaszu.

- Richardzie - rzekł z miną niewiniątka. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Nie mamy przed sobą sekretów. Możesz nam powiedzieć.

Chłopak popatrzył najpierw w jedną szeroko otwartą parę oczu, potem w drugą i roześmiał się głośno.

- To już obcy więcej mi o sobie opowiedzieli niż wy!

Słysząc tę odprawę, Kahlan i Zedd cofnęli się nieco, spojrzeli po sobie, ale żadne się nie ośmieliło powtórzyć pytania.

Jedli i naradzali się, co powinni ze sobą zabrać, ile mają do roboty w tak krótkim czasie oraz co jest najważniejsze. Richard spytał Kahlan, czy często podróżowała po Midlandach. Odparła, że to było jej stałe zajęcie.

- I zawsze tak się ubierałaś?

- Tak. - Zawahała się. - Ludzie mnie rozpoznają po tym stroju. Nie nocuję pod gołym niebem. Gdziekolwiek się znajdę, oferują mi strawę i nocleg, i wszystko, czego potrzebuję.

Richard był ciekaw dlaczego. Nie dopytywał się jednak, choć domyślał się, że

nie jest to szata, którą można kupić w pierwszym lepszym sklepie.

- Hmm, skoro nas poszukują, to lepiej byłoby, żeby ludzie cię nie rozpoznawali. Sądzę, że powinniśmy unikać siedzib ludzkich i trzymać się lasów. - Dziewczyna i Zedd przytaknęli. - Znajdziemy ci jakiś strój podróżny. U Zedda nie ma nic, co by na ciebie pasowało; zajmiemy się tym po drodze. Na razie dostaniesz mój płaszcz z kapturem, przynajmniej już nie zmarzniesz.

- To świetnie. - Kahlan uśmiechnęła się. - Już dość marznięcia. Poza tym suknia nie jest najlepszym strojem do podróży po lasach, możesz mi wierzyć.

Dziewczyna pierwsza skończyła jeść i postawiła na podłodze swoją na wpół opróżnioną miseczkę dla kota. Kocisko okazało się równie łakome jak Zedd i zaczęło jeść, zanim miseczka dotknęła podłogi.

Omawiali każdą rzecz, którą chcieli zabrać, i zastanawiali się, jak sobie poradzą bez tego, co musieli zostawić. Nie mieli pojęcia, jak długo będą poza domem, lecz pewne było, że Westland to duży kraj, a Midlandy - jeszcze większy. Richard chciał, żeby wrócili do jego domu, bo często wyruszał w długie trasy i miał odpowiedni prowiant, jednak byłoby to zbyt ryzykowne. Lepiej się zaopatrzyć gdzie indziej lub obyć bez pewnych rzeczy, niż wracać do tego, co tam czekało. Chłopak jeszcze nie wiedział, gdzie przekroczą granicę, lecz się tym nie przejmował. Miał czas do rana, żeby się nad tym zastanowić. Ważne, że jest przejście.

Kocur podniósł głowę. Przebył połowę drogi ku drzwiom, stanął, wygiął grzbiet i nastroszył sierść. Zauważyli to i umilkli. W oknie widać było blask ognia, i to nie tego z paleniska. Płonął na zewnątrz.

- Czuję woń palącej się smoły - odezwała się Kahlan.

Wszyscy troje natychmiast się zerwali na równe nogi. Richard pochwycił zawieszony na krześle miecz i podszedł do okna zobaczyć, co się tam dzieje. Zedd nie tracił na to czasu, wraz z Kahlan wypadli z domu. Chłopak dostrzegł migotanie pochodni i pospieszył, za tamtymi.

Tłumek około pięćdziesięciu mężczyzn stał w bujnej trawie przed domkiem. Niektórzy trzymali pochodnie, lecz większość dzierżyła jakąś broń: topory, widły, kosy, trzonki siekier. Odziani byli w zwykłe robocze ubrania. Richard rozpoznał wiele twarzy, twarzy dobrych, ciężko pracujących ojców rodzin. Lecz tej nocy wcale nie wyglądali na dobrych ludzi. Byli ponurzy i rozgniewani. Zedd stał na ganku z rękami wspartymi na biodrach i uśmiechał się do niespodziewanych gości. Błyski pochodni rzucały różowawe refleksy na białe włosy starca.

- O co chodzi, chłopcy? - spytał Zedd.

Pomruczeli między sobą i kilku wystąpiło parę kroków w przód. Richard rozpoznał jednego z nich, Johna, który przemówił w imieniu wszystkich.

- Źle się dzieje. Źle się dzieje przez magię. I to wszystko twoja sprawka, staruchu! Jesteś wiedźmą!

- Wiedźmą?! - zdumiał się Zedd. - Wiedźmą?!

- Tak właśnie rzekłem: wiedźmą - nie ustępował John. Popatrzył na Kahlan i Richarda. - Do was nic nie mamy. Chodzi nam tylko o starucha. Odejdźcie albo spotka was to samo co jego.

Chłopak nie mógł uwierzyć, że to mówi ktoś, kogo znał.

Kahlan energicznie ruszyła naprzód, zakołysały się fałdy jej szaty. Dziewczyna stanęła przed Zeddem. Wsparła się pięściami pod boki.

- Odejdźcie stąd - rzuciła groźnym tonem. - Odejdźcie, zanim zaczniecie żałować, żeście tu przyszli.

Tamci spojrzeli po sobie. Jedni głupio zachichotali, inni wymienili szeptem niegrzeczne uwagi, jeszcze inni rechotali. Kahlan nawet nie drgnęła. Stała twardo przed starcem i wpatrywała się w napastników. Przestali się śmiać.

- No - zadrwił John. - Mamy dwie wiedźmy do zabawy.

Jego towarzysze wrzasnęli radośnie i potrząsnęli swoją zaimprowizowaną bronią. Okrągła, grubo ciosana twarz Johna uśmiechnęła się wyzywająco.

Richard niespiesznie wysunął się przed Kahlan i Zedda, zmuszając ich przy tym, żeby się cofnęli. Odezwał się spokojnym, przyjacielskim tonem:

- Jak Sara, Johnie? Jakiś czas was nie widziałem. - Tamten nie odpowiedział; chłopak przesunął wzrok po innych twarzach. - Znam wielu z was, wiem, że jesteście przyzwoitymi ludźmi. To nie w waszym stylu. - Znów spojrzał na Johna. - Zabierz swoich ludzi i rozejdźcie się do domów, do rodzin. Co ty na to, Johnie?

- Ten staruch jest wiedźmą! - John wskazał trzonkiem siekiery na Zedda. - Skończymy z nim! - Wskazał na Kahlan. - Iz nią też! Odejdź, Richardzie, jeśli nie chcesz skończyć tak jak oni.

Tłumek wrzaskliwie wyraził poparcie dla swego prowodyra. Płonące pochodnie trzeszczały i skwierczały, cuchnęło palącą się smołą i potem. Hałastra uświadomiła sobie, że Richard nie ma zamiaru odejść, i zaczęła się zbliżać ku gankowi.

Zalśnił wydobyty miecz. Metaliczny dźwięk sprawił, że mężczyźni cofnęli się

o krok. John był purpurowy z gniewu. Szczęk ucichł, słychać było tylko skwierczenie pochodni. Rozległy się pomruki, że Richard trzyma stronę wiedźm.

John zaatakował chłopaka styliskiem siekiery. Miecz świsnął i z głośnym trzaskiem odciął oręż napastnika. Dwa cale od zaciśniętej pięści. Odcięty kawałek drewna poleciał w mrok i głucho łupnął o ziemię. John zamarł z jedną stopą wspartą o ganek. Czubek Miecza Prawdy kłuł go w pulchny podbródek. Ostrze lśniło w świetle pochodni. Richard, powstrzymując pasję, powoli pochylił się i uniósł czubkiem miecza twarz tamtego. Ledwie dosłyszalnym, śmiertelnie lodowatym tonem rzekł:

- Jeszcze krok, Johnie, a twoja głowa poleci w ślad za styliskiem. - Przerażony napastnik wstrzymał oddech i ani drgnął. - Cofnij się - syknął chłopak.

Tamten usłuchał, lecz odzyskał werwę, jak tylko się znalazł wśród swoich.

- Nie powstrzymasz nas, Richardzie. Jesteśmy tu, żeby bronić naszych rodzin.

- Przed czym bronić!!! - ryknął Richard. Wskazał mieczem jednego z pozostałych mężczyzn. - Frank! Czy to aby nie Zedd wyleczył twoją żonę, kiedy chorowała?! - Skierował miecz na następnego. - A ty, Bili? Czyś nie wypytywał Zedda o to, kiedy spadną deszcze, żebyś spokojnie mógł zebrać plony? - Znów pokazał na swego napastnika. - No a ty, Johnie? Kiedy twoja córeczka zgubiła się w lesie, czy to nie Zedd przez całą noc czytał w chmurach, a potem sam poszedł do lasu, odszukał ją i zdrową i całą przyprowadził tobie i Sarze?! - John i paru innych spojrzało w ziemię; chłopak gniewnie wsunął miecz do pochwy. - Zedd pomógł większości z was. Leczył wasze choroby, odnajdywał zaginionych najbliższych i z własnej woli dzielił się z wami tym, co miał.

- Tylko wiedźma mogła to wszystko zrobić! - wrzasnął ktoś z tyłu.

- Nigdy nie skrzywdził żadnego z was! - Richard chodził tam i z powrotem po ganku, patrząc na mężczyzn. - Nigdy nikogo nie skrzywdził! Pomagał większości z was! Czemu chcecie wyrządzić krzywdę przyjacielowi?!

Napastnicy zmieszali się na chwilę, lecz potem odzyskali kontenans.

- Większość z tego, co zrobił, to magia! - krzyknął John. - Wiedźmowa magia! Dopóki on tu jest, żadna z naszych rodzin nie będzie bezpieczna!

Zedd pociągnął chłopaka w tył, zanim ten zdążył odpowiedzieć. Richard odwrócił się i spojrzał na uśmiechniętą twarz starca. Zedd się nic a nic nie przejął. Raczej świetnie się bawił.

- Wspaniali byliście obydwoje - szepnął. - Naprawdę wspaniali! Ale może byś tak mi przekazał pałeczkę? - Uniósł brew i odwrócił się ku napastnikom. - Dobry

wieczór, panowie. Miło mi was widzieć. - Niektórzy z mężczyzn odwzajemnili pozdrowienie, inni machinalnie się ukłonili. - Czy, zanim mnie wyprawicie na tamten świat, pozwolicie w swojej łaskawości porozmawiać z tymi oto przyjaciółmi?

Tamci przyzwalająco kiwnęli głowami i starzec odciągnął Kahlan i Richarda w tył, ku domowi. Nachylił się ku nim i rzekł: - Demonstracja siły, przyjaciele. - Dotknął palcem noska Kahlan - Za słabo. - Przeniósł palec na nos Richarda. - Za mocno. - Dotknął własnego nosa i z błyskiem w oku rzekł: - W sam raz. - Przytknął dłoń do policzka dziewczyny. - Gdybym ci na to pozwolił, kochanie, to tej nocy trzeba byłoby kopać groby. Byłyby wśród nich i nasze. Niemniej jednak postąpiłaś bardzo szlachetnie. Dziękuję, że wystąpiłaś w mojej obronie. - Położył rękę na ramieniu Richarda. - Gdybym zaś pozwolił działać tobie, to grobów byłoby o wiele więcej. I tylko my byśmy je kopali. Jestem już za stary, żeby kopać tyle jam w ziemi, no i mamy do załatwienia ważniejsze sprawy. Lecz i ty postąpiłeś szlachetnie i honorowo. - Poklepał chłopaka po ramieniu. - Pozwólcie jednak, że sam się tym zajmę. Nie chodzi o to, co mówicie do tych ludzi. Ważne, czy was słuchają. Musicie przyciągnąć ich uwagę, zanim zaczną was słuchać. - Uniósł brew i popatrzył na młodych. - Obserwujcie i uczcie się. Usłyszycie moje słowa, lecz nie podziałają na was.

Cofnął palce z podbródka Richarda i Kahlan i ruszył ku tamtym, uśmiechając się i machając ręką.

- Panowie. O, jak się ma twoja córeczka, Johnie?

- Dobrze - burknął zapytany. - Ale jedna z moich krów urodziła dwugłowe cielę.

- Naprawdę? Jak myślisz, czemu tak się stało?

- Bo jesteś wiedźmą! - odpalił John.

- I znowu to powiedziałeś. - Zedd z zakłopotaniem potrząsnął głową. - Nie pojmuję. Czy zamierzacie mnie wyprawić w zaświaty, panowie, bo sądzicie, że znam magię, czy też po prostu zamierzacie mnie poniżyć, nazywając kobietą?

Tamci się zmieszali.

- Nie rozumiemy, o czym mówisz - odezwał się w końcu któryś z nich.

- Ależ to bardzo proste. Dziewczyny są wiedźmami. Zaś chłopcy to magicy lub czarownicy. Pojęliście? Jeżeli mnie nazywacie wiedźmą, to tak, jakbyście mnie uważali za kobietę. Jeśli zaś rozumiecie przez to, że jestem magikiem lub czarownikiem... No cóż, to także obelga. Więc co wybierzecie? Dziewczyna czy

magik?

Napastnicy naradzali się przez chwilę, a w końcu John odezwał się gniewnie:

- Uważamy, że jesteś magikiem, czarownikiem i chcemy cię za to obedrzeć ze skóry.

- No, no, no. - Zedd w zamyśleniu skubał dolną wargę. - No cóż, nie miałem pojęcia, że jesteście tacy odważni, panowie. Naprawdę odważni.

- Jak to? - zapytał John.

- A jak myślisz, do czego jest zdolny czarownik? - Starzec wzruszył ramionami.

Napastnicy znów się zaczęli naradzać. Potem wykrzykiwali swoje sugestie:

- Może sprawić, że będą się rodzić dwugłowe cielaki, sprowadzić deszcz, odnaleźć zaginionych ludzi, powodować poronienia lub rodzenie martwych dzieci, odbierać siły mocnym mężczyznom i sprawiać, że porzucą ich żony.

Widać uznali, że to mało, bo dodali następne pomysły:

- Może zapalić wodę, zmienić zdrowych ludzi w kaleki, przemienić człowieka w ropuchę, zabić spojrzeniem, przywołać demony i w ogóle może zrobić, co zechce.

Zedd czekał, aż skończą, a potem wyciągnął ku nim ramiona.

- Sami widzicie. Dobrze powiedziałem, że jesteście najdzielniejszymi ze znanych mi ludzi! Pomyślcie tylko: zbrojni w widły i stylista siekier ruszyliście na czarownika obdarzonego aż taką mocą! No, no, no, ależ dzielni! - przeciągnął ostatnie słowa i z zadziwieniem potrząsnął głową.

Tłum zaczął się niepokoić.

Jednostajnym tonem, przeciągając słowa, Zedd opowiadał, co też mógłby zrobić czarownik. Omawiał działania frywolne i przerażające, nie darował słuchaczom żadnego szczegółu. Mężczyźni stali jak sparaliżowani i słuchali w skupieniu. Richard i Kahlan też słuchali, znudzeni, i przestępowali z nogi na nogę. Napastnicy Wpatrywali się w starca z szeroko otwartymi oczami. Stali nieruchomo, milczeli; tylko ich pochodnie migotały i skwierczały.

Zmienił się nastrój tłumu. Zniknął gniew. Pojawił się strach. Odmienił się również głos czarodzieja: już nie był uprzejmy i grzeczny, lecz twardy i groźny.

- I co, waszym zdaniem, powinno się teraz stać?

- Myślimy, że powinieneś nas puścić, nie czyniąc nam żadnej krzywdy - odpowiedzieli śmielsi słabym głosem, inni potakująco kiwnęli głowami.

- Nie. - Czarodziej pogroził im długim, kościstym palcem. - Ja tak nie sądzę.

Przyszliście tutaj, żeby mnie zabić. Życie jest moim najcenniejszym skarbem, a wy chcieliście mi je odebrać. Nie mogę tego puścić płazem.

Tłum zadrżał z przerażenia. Zedd poszedł na skraj ganku, a tamci cofnęli się o krok.

- Wyście chcieli odebrać mi życie, a ja za karę odbiorę wam... Nie, nie wasze życie... Lecz to, co jest dla was najcenniejsze, najdroższe, najwartościowsze! - Dramatycznym gestem wyrzucił w górę rękę, a napastnicy wstrzymali oddech. - Dokonało się - oznajmił czarodziej.

Richard i Kahlan, podpierający dotąd ścianę domu, wyprostowali się teraz, zaciekawieni.

Przez chwilę nikt się nie poruszył, potem ktoś z tłumu wsunął rękę do kieszeni i sprawdził.

- Moje złoto! Zniknęło!

- Nie, nie, nie. - Zedd przewrócił oczami. - Mówiłem: to, Co najcenniejsze, najważniejsze. To, co cenicie ponad wszystko.

Zamarli na moment, skonfundowani. Potem na kilku twarzach odmalowała się panika. Któryś wsunął rękę do kieszeni i sprawdził. Wytrzeszczył przerażone oczy, jęknął i zemdlał. Najbliżej stojący zaraz się od niego odsunęli. Coraz to inni wkładali ręce do kieszeni i sprawdzali ostrożnie. Rozległy się jęki i zawodzenia, spanikowani mężczyźni łapali się za krocze. Zedd uśmiechnął się z satysfakcją. W tłumie napastników rozpętało się pandemonium. Podskakiwali, płakali, czepiali się jedni drugich, biegali w kółko, błagali o pomoc, rzucali się na ziemię i łkali.

- Idźcie stąd, ludzie! Odejdźcie! - zaryczał Zedd.

Odwrócił się ku Kahlan i Richardowi, uśmiechnął łotrzykowsko i mrugnął do nich.

- Błagamy cię, Zedd! - wołało parę głosów. - Nie zostawiaj nas tak! Pomóż nam, błagamy!

Zedd odczekał trochę i odwrócił się ku nim.

- O co chodzi? Czyżbyście uważali, że byłem zbyt surowy? - zapytał z szyderczym zdumieniem i powagą. Potwierdzili. - A czemuż to tak sądzicie? Nauczyliście się czegoś?

- Tak! - wrzasnął John. - Teraz wiem, że Richard miał rację. Byłeś naszym przyjacielem. Nigdy nie skrzywdziłeś żadnego z nas. - Reszta potwierdziła to krzykliwie. - Tylko nam pomagałeś. Głupio się zachowaliśmy. Prosimy cię o

wybaczenie. Wiemy, że jest tak, jak mówił Richard, to on miał rację, a nie my. Magia wcale nie zrobiła cię złym. Pozostań naszym przyjacielem, Zedd, prosimy cię! Nie zostawiaj nas tak! - Pozostali się przyłączyli do błagań.

- Hmm - starzec namyślał się, skubiąc dolną wargę - hmm, chyba mogę przywrócić poprzedni stan rzeczy. - Tamci przysunęli się bliżej. - Lecz tylko wtedy, gdy przyjmiecie moje warunki. Uważam, że są sprawiedliwe. - Ukarani gotowi byli zgodzić się na wszystko. - Dobrze więc. Jeżeli powiecie każdemu, kto będzie twierdził inaczej, że magia nikogo nie czyni złym, że liczą się czyny osób znających czary; jeśli po powrocie do domu opowiecie rodzinom, iż o mało dziś nie popełniliście straszliwej pomyłki, i wyjaśnicie, dlaczego się myliliście, to odzyskacie to, coście utracili. Zgoda?

Jednomyślnie potaknęli.

- To uczciwe - powiedział John. - Dzięki, Zedd. Napastnicy odwrócili się i chcieli pospiesznie odejść.

- Jeszcze coś, panowie - rzucił obserwujący ich czarownik. Zamarli. - Pozbierajcie z ziemi swoje narzędzia. Jestem starym człowiekiem, łatwo mógłbym na któreś nastąpić i skaleczyć się.

Wykonali polecenie, zerkając podejrzliwie na Zedda. Odeszli parę kroków, a potem umknęli galopem.

Kahlan i Richard stanęli po bokach Zedda. Starzec wsparł się pod boki i patrzył za uciekającymi.

- Idioci - mruknął do siebie.

Było ciemno, jedynie poblask ognia, padający z frontowego okna rozjaśniał trochę mroki. Chłopak ledwo widział twarz starego przyjaciela, raczej wyczuł, że starzec się nie uśmiecha.

- Oto rezultat jątrzących podszeptów, przyjaciele - stwierdził czarodziej.

- Czy ty naprawdę... - spytała Kahlan, odwracając oczy. - Czy naprawdę zabrałeś im męskość?

- To by dopiero były czary! - zachichotał Zedd. - Obawiam się, że to powyżej moich możliwości. Nie, kochanie, nie zabrałem. Po prostu sprawiłem, że tak myśleli. Przekonałem ich, że to prawda, a ich umysły dokończyły dzieła.

- Sztuczka? - Richard spojrzał na Zedda. - To była tylko sztuczka? A ja myślałem, że naprawdę czarowałeś. - Chłopak miał rozczarowaną minę.

- Jeśli dobrze wykonasz sztuczkę, to czasami odnosi lepszy skutek niż magia. -

Wzruszył ramionami starzec. - Powiedziałbym nawet, że dobra sztuczka to prawdziwa magia.

- Ale to i tak była tylko sztuczka.

- Efekty, chłopcze. - Zedd znacząco uniósł palec. - To one się liczą. Gdybyś działał po swojemu, to straciliby głowy.

- Coś mi się wydaje - uśmiechnął się Richard - że niektórzy z nich woleliby to niż twoją karę.

Starzec zachichotał, a chłopak spytał:

- Więc tego nas chciałeś nauczyć? Że sztuczki są równie skuteczne jak magia?

- Tak, lecz nie tylko. Jak mówiłem, był to efekt podstępnych działań, efekt jątrzenia Rahla Posępnego. Lecz dzisiaj popełnił błąd: chciał zakończyć robotę niewystarczającymi siłami. Czyniąc tak, dajesz nieprzyjacielowi drugą szansę. To lekcja, której chciałem wam udzielić. Zapamiętajcie, bo możecie nie zyskać drugiej szansy, kiedy się dopełnią losy.

- To czemu tak postąpił? - Richard zmarszczył się. - Nie wiem. - Starzec wzruszył ramionami. - Może dlatego, że jeszcze nie ma zbyt wielkiej władzy w tej krainie, lecz wówczas nie powinien próbować, bo to nas tylko ostrzegło.

Ruszyli ku domowi. Mieli jeszcze sporo roboty, zanim będą mogli zasnąć. Chłopak zaczął sobie przepowiadać w myślach listę spraw lecz nagle coś go zaniepokoiło. I zrozumiał w jednym krótkim przebłysku. Okręcił się ku starcowi i chwycił go za szatę.

- Musimy stąd uciekać! Natychmiast!

- Co takiego?

- Rahl Posępny nie jest głupi! Chciał, żebyśmy się poczuli i bezpieczni. Wiedział, że jesteśmy na tyle sprytni, żeby sobie poradzić z tymi ludźmi. Chciał, żeby się nam udało, żebyśmy potem sobie usiedli i cieszyli się tym, a w tym czasie on by po nas przyszedł. Nie boi się ciebie; sam mówiłeś, że jest potężniejszy od czarodzieja. Nie obawia się ani miecza, ani Kahlan. Właśnie tu zdąża! Planował dopaść nas jednocześnie, wszystkich troje za jednym zamachem i to tego wieczoru! To nie była pomyłka, lecz zaplanowane działanie. Dopiero co mówiłeś, że czasami sztuczka daje lepsze efekty niż magia. I on tak postąpił: wykonał sztuczkę, żeby nas zwieść!

- Richard ma rację, Zeddzie. - Kahlan pobladła nagle. - Tak właśnie myśli Rahl, to jego charakterystyczna cecha. Lubi zrobić to, czego się nie spodziewasz. Musimy natychmiast stąd odejść.

- Niech to licho! Ależ ze mnie stary głupiec! Macie rację. Powinniśmy zaraz odejść, ale nie mogę zostawić swojej skałki.

I Zedd ruszył przed siebie, omijając dom.

- Nie ma na to czasu!

Starzec nie słuchał. Wbiegł na szczyt wzgórza, w mrok. Pęd rozwiewał jego białe włosy i szaty. Kahlan i Richard weszli do domu. Próbowano uśpić ich podejrzliwość.

Jak mogłem nie doceniać Rahla, zastanawiał się chłopak. Porwał plecak z kąta przy palenisku i pobiegł do swojego pokoju Sprawdził, czy ząb wisi za koszulą, i wrócił z podróżnym płaszczem. Zarzucił go na ramiona Kahlan i pospiesznie się rozejrzał wokół, czy jeszcze coś mógłby pochwycić. Nie mieli czasu na zastanawianie się. Najcenniejsze było ich życie. Chwycił dziewczynę za rękę i skoczył ku drzwiom. Przed domem, w wysokiej trawie, już czekał na nich ciężko dyszący Zedd.

- Co ze skałką? - zapytał Richard. Starzec ani by jej nie podniósł, ani, tym bardziej, nie mógł dźwigać.

- Jest w mojej kieszeni - odparł czarodziej z uśmiechem.

Chłopak nie miał czasu się nad tym zastanowić. Nagle znalazł się przy nich kot; świadom napięcia i pośpiechu ocierał się o ich nogi. Zedd podniósł zwierzaka.

- Nie mogę cię tu zostawić, kocie. Nadciągają kłopoty. - I starzec wpakował kocura do Richardowego plecaka.

Chłopaka coś niepokoiło. Rozejrzał się wokół. Lustrował ciemność, wypatrując czegoś ukrytego, obcego. Nie dostrzegł niczego lecz czuł obserwujące ich oczy.

- Co się stało? - Kahlan zauważyła, jak się rozglądał.

Nic nie widział, a mimo to czuł spojrzenie jakichś oczu. Uznał, że to tylko strach.

- Nic, nic. Chodźmy.

Richard poprowadził ich przez rzadko zadrzewiony obszar, tak mu znajomy, że mógł tam chodzić z zawiązanymi oczami, do ścieżki którą wybrał, i skręcił na południe. Szli szybko, w milczeniu, tylko Zedd od czasu do czasu pomrukiwał, jakim to jest starym głupcem. W końcu Kahlan powiedziała starcowi, że niepotrzebnie aż tak się oskarża. Przecież wszyscy troje dali się nabrać, każde ponosi część winy. Najważniejsze, że się zorientowali i zdołali uciec.

To był łatwy szlak, szeroki jak droga, szli więc obok siebie - Richard w

środku, Zedd po jego lewej ręce, a Kahlan po prawej, Kocur wysunął głowę z plecaka i rozglądał się dokoła. Bardzo lubił tak podróżować, kiedy był małym kociakiem. Księżyc oświetlał im drogę. Richard widział parę sosen-strażniczek, odcinających się na tle nieba, lecz wiedział, że się nie mogą zatrzymywać. Musieli odejść jak najdalej. Noc była zimna, ale szybki marsz rozgrzał chłopaka. Kahlan otuliła się płaszczem.

Zedd zatrzymał ich po około półgodzinie. Sięgnął do kieszeni i wyjął garstkę jakiegoś proszku. Rzucił go w tył, na ścieżkę, którą przyszli. Srebrne iskierki strzeliły z ręki czarodzieja i uleciały w mrok. Dzwoniąc cichutko, zniknęły za zakrętem.

- Co to było? - Richard cofnął się szlakiem.

- Odrobina magicznego pyłu. Pokryje nasze ślady i Rahl się nie dowie, gdzie jesteśmy.

- Przecież śledzi nas jego chmurka.

- Tak, ale to mu daje tylko ogólne wskazówki. Nie wyciągnie z tego wiele, jeżeli się nie zatrzymamy. Wytropi cię tylko wtedy, gdy utkniesz w jednym miejscu, jak w moim domu.

Szli południe. Szlak prowadził ich wśród słodko pachnących sosen, potem poprzez wzgórze. Usłyszeli nagle jakiś grzmiący głos. Odwrócili się i spojrzeli ze szczytu wzniesienia. W oddali za połacią mrocznego lasu, strzelała w niebo olbrzymia kolumna ognia. Czerwień i złoto mknęły w czerń.

- To mój dom. Jest tam Rahl Posępny. - Zedd uśmiechnął się - Chyba się rozzłościł.

- Tak mi przykro. - Kahlan dotknęła ramienia starca.

- Niepotrzebnie, skarbie. To przecież tylko stary dom. A mogliśmy to być my.

Ruszyli dalej. Dziewczyna spytała Richarda:

- Wiesz, dokąd idziemy?

Chłopak uświadomił sobie nagle, że owszem, wie.

- Tak, wiem - odparł i uśmiechnął się zadowolony, że powiedział prawdę. Trzy postacie weszły na ciemny szlak, w cienie nocy.

Z góry patrzyły na to głodnymi zielonymi ślepiami dwie wielkie uskrzydlone bestie. Zanurkowały cichym lotem. Złożyły skrzydła i spadły jak kamienie na plecy ofiar.

Rozdział jedenasty

To kot ocalił Richarda. Wrzasnął z przerażenia i wskoczył chłopakowi na głowę. Ten pochylił się, dzięki czemu chimera nie spadła nań całym ciężarem. I tak jej pazury rozorały mu boleśnie plecy i wgniotły w pylistą ścieżkę. Stracił oddech. Zanim zdążył ponownie zaczerpnąć powietrza, bestia wskoczyła mu na plecy - teraz nie mógł ani oddychać, ani dobyć miecza. Atak drugiego stwora zepchnął Zedda ze ścieżki, pomiędzy drzewa, i potwór ruszył za starcem, tratując zarośla.

Richard przygotował się na przyjęcie uderzenia szponów. Zanim potwór zaczął szarpać chłopaka, Kahlan zepchnęła na niego kamienie. Przeleciały nad głową bestii, nie czyniąc jej żadnej szkody, lecz na chwile odwróciły uwagę chimery od Richarda Stwór ryknął przeraźliwie, wciąż przytrzymując chłopaka pazurami jak kot mysz. Młodzian bezskutecznie próbował się wyrwać, dusząc się z braku powietrza. Muchy kłuły go w szyję. Sięgnął w tył i wyrwał kłęby sierści, starając się zepchnąć mocarną łapę ze swoich pleców. Rozmiary owej łapy świadczyły, że musiała należeć do chimery krótkoogoniastej, potwora o wiele większego niż długoogoniasta, którą widział wcześniej. Miecz boleśnie się wbijał chłopakowi w brzuch. Nie mógł go dosięgnąć. Miał wrażenie, że krew rozsadzi mu żyły. Zaczynał tracić przytomność. Coraz słabiej docierały doń ryki i wrzaski bestii.

Kahlan, zrzucając głazy, znalazła się zbyt blisko stwora. Błyskawicznie sięgnął łapą i złapał dziewczynę za włosy. Przechylił się przy tym nieco, więc Richard zdołał zaczerpnąć powietrza ale nie dał rady się wyrwać. Kahlan krzyknęła.

Z ciemności wyłonił się nagle kocur i zębami oraz pazurami zaatakował pysk bestii, celując w ślepia. Stwór nie puścił dziewczyny, lecz oderwał drugą łapę od Richarda i zamierzył się na kota. Chłopak przetoczył się w bok, zerwał na nogi i dobył miecza. Dziewczyna znów krzyknęła. Richard uderzył wściekle, odcinając trzymającą ją łapę. Kahlan była wolna. Zraniona bestia zaskowyczała i uderzyła chłopaka z taką siłą, że wyleciał w powietrze i spadł na plecy. Richard usiadł. Świat wokół niego zataczał się i wirował. Miecza nie było, poleciał gdzieś w zarośla. Bestia stała na środku ścieżki, skowycząc z bólu i wściekłości, krew buchała z kikuta odciętej łapy. Zielone ślepia nerwowo wypatrywały nienawistnika, który spowodował to cierpienie. Spoczęły na Richardzie. Kahlan nigdzie nie było.

Po prawej, wśród drzew, zabłysło nagle białe, oślepiające światło które rozjaśniło wszystko wokół. Huk eksplozji boleśnie uderzył w uszy chłopaka, wstrząs posłał go na pień drzewa, a bestię zbił z nóg. Pomiędzy drzewami ukazały się kłęby

płomieni, poleciały wielkie drzazgi i odpryski.

Richard szukał miecza. Potwór zaryczał i poderwał się na łapska. Na pół oślepiony wybuchem chłopak desperacko, prawie po omacku, szukał miecza. Widział szarżującego potwora. Zapłonął gniewem. Poczuł, że i w mieczu rozpala się gniew. Magia zaklęta w orężu odpowiadała na wezwanie swego władcy. Chłopak przywołał miecz, żądał i rozkazywał, by ten się ujawnił. Miecz był po drugiej stronie ścieżki. Richard wiedział dokładnie, w którym miejscu miecz leży, jakby go widział, jakby dotknął. Ruszył poprzez ścieżkę. Był w połowie drogi, gdy bestia tak mocno go kopnęła, że aż poleciał w przód. Każdy oddech wywoływał nieznośny ból w lewym boku. Nie miał pojęcia, gdzie jest ścieżka. Gończe muchy odbijały się z impetem od twarzy Richarda. Nie mógł odzyskać orientacji. Lecz świetnie wiedział, gdzie jest Miecz Prawdy.

Rzucił się do niego.

Dotknął miecza. Przez moment mu się zdawało, że widzi Zedda. Potem bestia dopadła Richarda. Uniosła go prawą łapą i owinęła ciepłymi, odrażającymi skrzydłami, przyciskając do swego cielska. Ból w lewym boku sprawił, że chłopak krzyknął. Płonące zielone ślepia wpiły się w oczy Richarda, kłapnęły zębiska - oto, co go czeka. Rozwarła się olbrzymia paszcza, buchnął smrodliwy dech, a biedak ujrzał ciemną gardziel. Ociekające śliną kły stwora lśniły w świetle księżyca.

Richard z całej siły kopnął w kikut pozostały po lewej łapie. Potwór odrzucił łeb w tył, zawył z bólu i upuścił chłopaka.

Zedd ukazał się na ścieżce, ze dwanaście jardów za plecami potwora. Richard, na kolanach, sięgnął po miecz. Starzec wyrzucił przed siebie obie ręce, rozstawiając szeroko palce. Strzeliły z nich płomienie i z gwizdem pomknęły ku chimerze. Ogień narastał i kłębił się, oświetlając wszystko po drodze i zwijając się w błękitną i złotą kulę, zwiększającą swoją objętość, jęczącą jak żywa istota. Ognista kula z głuchym pogłosem uderzyła w plecy bestii, a błękitne i złote płomienie w okamgnieniu oblały stwora przepalając go na wskroś. Muchy się spopieliły. Ogień skwierczał i trzeszczał, pożerał bestię. Chimera zniknęła w błękitnym żarze Ogień zawirował i również znikł. W powietrzu unosił się gęstawy dym i fetor spalonej sierści. Noc znów była spokojna i cicha.

Richard, wyczerpany i obolały, upadł na ziemię. Piach i żwir wbiły się w rany na plecach chłopaka, połamane żebra z lewej strony nieznośnie bolały przy każdym oddechu. Chciał tylko leżeć spokojnie, nic więcej. Wciąż trzymał w dłoni rękojeść

miecza. Pozwolił, by moc oręża przepływała przezeń, dodając mu sił. By gniew miecza znieczulił doznawany ból.

Kot lizał twarz chłopaka swoim szorstkim językiem i ocierał łepek o jego policzek.

- Dzięki, kocie - wykrztusił Richard.

Zjawili się Kahlan i Zedd. Pochylili się nad chłopakiem, ujęli pod ręce, żeby mu pomóc wstać.

- Nie! Zostawcie! Tylko mi sprawiacie ból! Sam wstanę!

- Co się stało? - zapytał Zedd.

- Bestia mnie kopnęła w lewy bok. I teraz boli.

- Pozwól, że zbadam. - Starzec pochylił się nad Richardem i ostrożnie dotknął jego żeber. Chłopak się skrzywił z bólu.

- Żadne nie przebiło skóry. Nie jest źle.

Richard starał się nie śmiać, bo - i słusznie! - podejrzewał, że sprawi mu to jeszcze większy ból.

- Ale tym razem to nie była żadna sztuczka, Zeddzie. To była prawdziwa magia.

- Tak, tym razem to była prawdziwa magia - potwierdził czarodziej. - Lecz i Rahl Posępny mógł to dojrzeć, jeżeli patrzył. Musimy stąd odejść. Leż spokojnie, sprawdzę, czy zdołam coś zaradzić.

Kahlan uklękła po prawej stronie Richarda i położyła dłoń na ręce trzymającej miecz. Kiedy ich dłonie się zetknęły, chłopak poczuł nagły przybór płynącej z miecza fali mocy. Zaskoczyło go to, niemal zaparło dech. Wyczuł, że magia go przed czymś ostrzega, że próbuje go chronić.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Nic nie wyczuła.

Zedd położył dłoń na żebrach chłopaka, przytknął palec drugiej ręki do jego podbródka i przemówił spokojnym, łagodnym, uspokajającym tonem. Richard, słuchając go, wyrzucił z myśli reakcję miecza na dotknięcie jego dłoni przez Kahlan.

Stary przyjaciel mówił mu, że ma uszkodzone trzy żebra i że on, Zedd, zaklina je teraz specjalnymi zaklęciami, które je wzmocnią i ochronią, dopóki się nie wygoją. Starzec wciąż mówił owym szczególnym tonem, opowiadając, że ból się zmniejszy, lecz zupełnie ustanie dopiero wówczas, gdy żebra się zrosną. Mówił wiele więcej, lecz znaczenie tych słów zdawało się mgliste i niezbyt ważne. Kiedy wreszcie czarodziej umilkł, Richard miał wrażenie, jakby się budził ze snu.

Chłopak usiadł. Ból ogromnie zelżał. Richard podziękował Zeddowi i wstał. Odłożył miecz i podniósł kota. Jeszcze raz podziękował zwierzakowi. Podał go Kahlan, a sam poszukał plecaka. Znalazł go w pobliżu ścieżki, tam gdzie ów upadł w ferworze walki. Richard zarzucił plecak na ramiona. Rzemienie wywoływały ból, ale o to będzie się martwił, kiedy dotrą do celu. Ukradkiem zdjął z szyi rzemyk z zębem i wsunął go do kieszeni.

Richard zapytał Kahlan i Zedda, czy nie są przypadkiem ranni. Starzec wydawał się dotknięty tym pytaniem. Dumnie odparł, że wcale nie jest taki kruchy, jakby się zdawało. Kahlan powiedziała, że dzięki Richardowi nic jej się nie stało.

On zaś oświadczył, że nie chciałby z nią stawać do zawodów w rzucaniu kamieniami. Uśmiechnęła się do niego szeroko i wsadziła kota do plecaka. Richard patrzył, jak dziewczyna podnosi płaszcz i otula się nim; ciekaw był, czemu miecz tak zareagował, kiedy dotknęła jego dłoni.

- Lepiej stąd odejdźmy - napomniał ich Zedd.

Przeszli około mili, gdy natrafili na miejsce, w którym ten szlak krzyżował się z węższymi ścieżkami. Richard poprowadził ich jedną z nich. Czarodziej znów rozsypał trochę magicznego pyłu, żeby zatrzeć ślady. Nowy szlak był wąski, więc musieli iść gęsiego. Badawczo zerkali na niebo. Richard trzymał dłoń na rękojeści miecza, choć nie było mu z tym wygodnie.

Świecił księżyc. Cienie kołysanych wiatrem gałęzi tańczyły na ciężkich dębowych drzwiach z żelaznymi okuciami. Kahlan i Zedd nie chcieli przełazić przez ostro zakończone ogrodzenie, więc Richard poszedł sam. Akurat miał zastukać w drzwi, kiedy wielka łapa chwyciła go za włosy, a na szyi poczuł ostrze noża. Zamarł.

- Chase? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Richard! - Łapsko puściło włosy chłopaka. - Czemu się skradasz po nocy! Dobrze wiesz, czym grozi takie węszenie wokół mojego domu!

- Wcale nie węszyłem. Po prostu nie chciałem wszystkich pobudzić.

- Cały jesteś zakrwawiony. To tylko twoja krew?

- Przeważnie, niestety. Otwórz bramę, Chase. Kahlan i Zedd czekają. Potrzebujemy cię.

Chase, klnąc i pomrukując za każdym razem, kiedy nadepnął bosą stopą na jakąś gałązkę lub żołądź, poszedł otworzyć bramę, a potem zapędził ich do domu.

Emma Brandstone, żona Chase’a, była miłą, przyjazną kobietą; uśmiech zawsze rozjaśniał jej twarz. Stanowiła dokładne przeciwieństwo męża. Emma byłaby

niepocieszona, gdyby kogoś zawstydziła lub wystraszyła, Chase natomiast uważał dzień za stracony, jeżeli czegoś takiego nie uczynił. Pod jednym tylko względem przypominała męża - nigdy nic jej nie zaskoczyło ani nie wzburzyło. Także i teraz, późno w nocy, odziana w biały nocny strój, ze spiętymi z tyłu głowy siwymi włosami, spokojnie i niewzruszenie przygotowywała herbatę, podczas gdy reszta towarzystwa sadowiła się za stołem. Uśmiechnęła się, jakby odwiedziny pokrwawionych gości, i to o tak późnej porze, były czymś absolutnie zwyczajnym. I czasem istotnie były. Wszak miała Chase'a za męża!

Richard zawiesił plecak na oparciu krzesła, wyjął kota i podał Kahlan. Położyła zwierzaka na kolanach i zaczęła głaskać. Mruczał z zadowolenia. Zedd usiadł przy chłopaku. Chase włożył koszulę, zapalił lampy zawieszone na ciężkich dębowych belkach. Sam ściął drzewa, ociosał i zamocował owe belki. Na jednej z nich wyciął imiona dzieci. Za krzesłem gospodarza widniał kominek zbudowany z kamieni, które zebrał podczas wieloletnich wędrówek. Każdy z nich miał charakterystyczny kształt, barwę i teksturę. Chase mógł opowiedzieć chętnemu słuchaczowi, skąd pochodził każdy kamień i z jakim trudem je zdobył. Na środku solidnego sosnowego stołu stała prosta drewniana misa pełna jabłek.

Emma zabrała misę z jabłkami, postawiła imbryk z herbatą i dzbanek miodu, po czym rozdała kubki. Poleciła Richardowi, żeby zdjął koszulę i tak ustawił krzesło, by mogła mu opatrzyć rany; nie było to dla niej nowe zajęcie. Ciepła woda, mydło i szczotka - Emma szorowała plecy chłopaka tak spokojnie, jakby czyściła kociołek. Richard czasem przygryzał wargę, wstrzymywał oddech i mrużył oczy. Wtedy przepraszała, że mu sprawia ból, wyjaśniając, że musi usunąć cały brud i kurz, żeby potem nie cierpiał jeszcze bardziej. Wreszcie oczyściła plecy chłopaka, osuszyła je ręcznikiem i natarła maścią, a Chase przyniósł mu czystą koszulę. Chłopak założył ją z prawdziwą przyjemnością - choć trochę go chroniła przed dalszymi działaniami Emmy.

- Czy ktoś z was chciałby coś zjeść? - spytała z uśmiechem Emma.

- Gdyby to nie... - ożywił się Zedd. Kahlan i Richard zmiażdżyli go wzrokiem; od razu oklapł: - Nie, nie, dziękujemy bardzo.

Emma stanęła za krzesłem Chase'a i czule gładziła czuprynę męża. On aż się skręcał, zażenowany i wściekły na tak publiczne okazywanie uczuć. W końcu pochylił się, żeby nalać herbaty, i dzięki temu zakończył ową pieszczotę. Popchnął dzbanek z miodem ku chłopakowi.

- Od kiedy cię znam, Richardzie, miałeś wspaniały talent unikania kłopotów. Coś go jednak ostatnio tracisz.

Zanim Richard zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pokoju pojawiła się Lee, jedna z córek Emmy i Chase’a, trąc piąstkami zaspane oczy. Ojciec łypnął na nią gniewnie; nadąsała się. - Jesteś najbrzydszym dzieciakiem, jakiego kiedykolwiek widziałem - westchnął Chase.

Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie. Podbiegła do ojca, otoczyła ramionami jego nogi i położyła mu głowę na kolanach. Pogładził ją po niej.

- Wracaj do łóżeczka, mała.

- Chwileczkę - wtrącił się Zedd. - Podejdź do mnie, Lee. - Usłuchała. - Moje kocisko się skarżyło, że u mnie nie ma żadnych dzieci, które by się z nim bawiły. - Lee zerknęła na kolana Kahlan. - Czy znasz jakieś dzieci, które mój kot by mógł odwiedzić?

- Mógłby zostać u nas, Zeddzie! Z nami by się bawił!

- Naprawdę? To niech tu trochę pobędzie.

- No dobrze, Lee - wtrąciła Emma - a teraz do łóżeczka.

- Czy mogę cię o coś poprosić, Emmo? - odezwał się Richard. - Mogłabyś pożyczyć Kahlan jakiś podróżny strój?

Emma przyjrzała się dziewczynie.

- Hmm, moje ubranie będzie na nią za wąskie w ramionach i za krótkie... Ale powinny się nadać rzeczy starszych córek. - Uśmiechnęła się do Kahlan i wyciągnęła do niej rękę: - Chodź, kochanie, poszukamy czegoś.

Dziewczyna podała kota Lee i ujęła drugą rączkę dziecka.

- Mam nadzieję, że kot nie sprawi ci kłopotu. Będzie chciał spać w twoim łóżeczku.

- To wspaniale - odparła szczerze mała.

Wyszły wszystkie trzy, a Emma domyślnie zamknęła drzwi.

- No i? - mruknął Chase, łyknąwszy herbaty.

- Pamiętasz ten spisek, o którym mówił mój brat? Jest jeszcze gorzej, niż mu się wydaje.

- Ach tak - rzucił wymijająco Chase.

Richard wyjął z pochwy Miecz Prawdy i położył na stole. Klinga zalśniła. Chase pochylił się do przodu, oparł łokcie o stół i uniósł miecz czubkami palców. Przetoczył oręż na dłonie, dokładnie obejrzał, przesunął palce po słowie PRAWDA

na rękojeści, po klindze, zbadał jej ostrość. Okazał jedynie niewielkie zainteresowanie.

- Miecze często mają imię - oznajmił - lecz zwykle jest ono wyryte na ostrzu. Jeszcze nigdy nie spotkałem imienia umieszczonego na rękojeści. - Umilkł, czekając na odzew.

- Już widziałeś ten miecz, Chase - strofował go Richard. - Wiesz co to jest.

- Owszem, widziałem. Ale nigdy z tak bliska. - Podniósł na chłopaka pociemniałe, baczne oczy. - Skąd go masz, Richardzie?

- Dał mi go potężny i szlachetny czarodziej. - Chłopak odwzajemnił spojrzenie.

Chase zmarszczył czoło. Łypnął na Zedda.

- Co ty masz z tym wspólnego?

- To ja mu go dałem - odparł starzec z uśmieszkiem. Chase odchylił się do tyłu, z wolna potrząsając głową.

- Chwała dobrym duchom - wyszeptał. - Prawdziwy Poszukiwacz. Nareszcie.

- Mamy mało czasu - powiedział Richard. - Muszę się dowiedzieć różnych rzeczy o granicy.

Chase westchnął, wstał i podszedł do komina. Oparł dłoń o obramowanie i zapatrzył się w ogień. Stukał palcami o szorstkie drewno, jakby chciał stamtąd wydobyć słowa. Czekali, aż się odezwie.

- Czy wiesz, Richardzie, na czym polega moja praca?

- Pilnujesz, żeby ludzie, dla swego własnego dobra, nie wchodzili w granicę - odparł chłopak, wzruszając ramionami.

Chase potrząsnął głową.

- A wiesz, jak się pozbyć wilków?

- Polując na nie.

Strażnik granic ponownie potrząsnął głową.

- Pozbyłbyś się zaledwie kilku, nowe urodziłyby się i w rezultacie miałbyś ich tyle samo. Jeżeli naprawdę chcesz się pozbyć wilków, to polujesz na ich pożywienie: łapiesz króliki, że tak to ujmę. To łatwiejsze. Jeśli jest mniej żywności, to się rodzi mniej szczeniąt. W rezultacie masz mniej wilków. I na tym polega moja praca. Poluję na króliki.

Richard poczuł dreszcz strachu.

- Większość ludzi nie rozumie, po co jest granica - podjął Chase - ani nie

pojmuje sensu naszej pracy. Sądzą, że narzucamy jakieś głupie prawa. Wielu, przeważnie starszych ludzi, boi się granicy. Inni myślą, że wiedzą lepiej, i podchodzą blisko, żeby kłusować. Ci się nie boją granicy, więc się staramy, żeby się obawiali strażników. To nas uważają za prawdziwe zagrożenie i staramy się, by tak pozostawało. Boją się nas i to ich trzyma z dala od granicy. Jeszcze inni traktują to jak grę: przemkną się czy nie. Wcale nie staramy się wszystkich wyłapać. Zależy nam na tym by wystraszyć jak najwięcej ludzi, żeby wilki z granicy miały najmniej królików. Chronimy ludzi, ale nie w ten sposób, że zabraniamy im tam wchodzić. Każdy głupiec, który to uczyni, jest stracony, nie zdołamy mu pomóc. Naszym zadaniem jest utrzymywanie większości obywateli z dala od granicy i dbanie, by nic z niej się nie wydostało i nie opanowało kraju. Wszyscy strażnicy widzieli, co stamtąd wyłazi. My rozumiemy, inni nie. Ostatnio wydostaje się stamtąd coraz więcej i więcej stworów. Rada twojego brata może nas opłacać, ale nie ma o niczym pojęcia. Nie podlegamy ani rajcom, ani żadnemu prawu. Mamy jedną powinność: chronić ludzi przed tym, co przychodzi z mroków. Jesteśmy samorządni i samodzielni. Rozkazy wykonujemy tylko wówczas gdy nie kolidują z naszą pracą. Takie pozorne posłuszeństwo usposabia przyjaźnie władzę. Jednak w razie zagrożenia będziemy się kierować własnymi regułami. - Chase zamilkł na chwilę, usiadł przy stole i oparł łokcie o blat. - Posłuchalibyśmy rozkazów tylko jednej osoby - podjął - bo nasza sprawa jest częścią tamtej, większej, ważniejszej. Tą osobą jest prawdziwy Poszukiwacz. - Wziął miecz w dłonie i podał Richardowi, patrząc mu w oczy. - Ofiarowuję swe życie i lojalną służbę Poszukiwaczowi.

- Dziękuję, Chase - odparł wzruszony chłopak. Popatrzył na czarodzieja, a potem znów na strażnika. - Teraz opowiemy ci, co się właściwie dzieje, a potem ja wam powiem, o co mi chodzi.

Zedd i Richard opowiedzieli, co się wydarzyło. Chłopak chciał, żeby Chase wszystko wiedział, żeby zrozumiał, że nie czas na połowiczne działania, że muszą zwyciężyć lub zginąć i że to Rahl Posępny postawił przed nimi taki wybór. Chase patrzył to na jednego to na drugiego. Świetnie rozumiał wagę wydarzeń, spochmurniał, słysząc o magii Ordena. Nie musieli go przekonywać; prawdo - podobnie widział więcej, niż oni zobaczą kiedykolwiek. Pytał niewiele, słuchał uważnie.

Ogromnie mu się spodobała nauczka, jaką Zedd dał napastnikom. Aż się popłakał ze śmiechu.

Otworzyły się drzwi - Kahlan i Emma wróciły do pokoju. Dziewczyna była ubrana w strój podróżny: ciemnozielone spodnie, podtrzymywane szerokim pasem, brązową koszulę, ciemny płaszcz; miała też plecak. Zachowała swoje buty i sakiewkę u pasa. Była gotowa do życia w lesie. Jednak jej włosy, twarz, i postawa świadczyły, że nie była prostą wieśniaczką.

- Moja przewodniczka. - Richard przedstawił ją strażnikowi. Chase uniósł brew.

Emma dojrzała miecz. Po jej minie Richard poznał, iż zrozumiała. Znów stanęła za mężem, lecz tym razem nie gładziła go po włosach. Po prostu położyła mu dłoń na ramieniu, chciała być przy nim. Wiedziała, co się święci. Chłopak wsunął miecz do pochwy i dokończył opowieść o wydarzeniach wieczoru. Kahlan usiadła przy nim. Skończył i przez parę chwil siedzieli w milczeniu.

- Jak ci mogę pomóc, Richardzie? - zapytał w końcu Chase

- Powiedz mi, gdzie jest przejście - powiedział twardo chłopak.

- Jakie przejście? - Chase zjeżył się.

- Przez granicę, oczywiście. Wiem, że istnieje, lecz nie wiem, gdzie się znajduje, a nie mam czasu na szukanie. - Richard nie miał ochoty i czasu na stare gierki. Poczuł, jak budzi się w nim gniew.

- Kto ci o tym powiedział?

- Odpowiedz na pytanie, Chase!

- Pod jednym warunkiem. - Strażnik uśmiechnął się. - Ja was tam zaprowadzę.

Richard pomyślał o dzieciach przyjaciela. Chase był przyzwyczajony do niebezpieczeństw, ale tym razem to było coś zupełnie innego.

- To nie jest wcale konieczne - odparł.

- Dla mnie tak. - Strażnik zmierzył chłopaka taksującym spojrzeniem. - To bardzo niebezpieczne miejsce. Nie macie pojęcia, w co się pakujecie. Nie wyślę was tam samopas. Poza tym granica to moja sprawa. Jeśli chcecie, bym odpowiedział na twoje pytanie, to mnie ze sobą zabierzcie.

Richard zastanawiał się przez chwilę, a oni czekali na jego decyzję. Chase nie żartował, czasu mieli bardzo mało. Chłopak nie miał wyboru.

- To dla nas zaszczyt, Chase, że będziesz nam towarzyszył.

- Doskonale. - Strażnik plasnął dłonią o stół. - Przejście nazywane jest Królewską Bramą. Znajduje się za paskudną mieściną, za Southayen. Cztery, pięć dni konnej jazdy Szlakiem Sokolników. Ponieważ się spieszycie, więc musimy wybrać tę

drogę. Za kilka godzin świt. Prześpijcie się, a ja i Emma przygotujemy wszystko do drogi.

Rozdział dwunasty

Ledwo zdążyli zasnąć, a już Emma ich obudziła i sprowadziła na śniadanie. Inni domownicy spali, słońce jeszcze nie wzeszło, lecz pianie kogutów już zapowiadało nadchodzący świt. Smakowite zapachy sprawiły, że Richard poczuł głód. Emma z uśmiechem, choć nie tak promiennym jak poprzedniego wieczoru, podała gościom obfite śniadanie. Powiedziała, że Chase zjadł wcześniej i że teraz przygotowuje konie do drogi. Richard zawsze uważał, że Kahlan bardzo ponętnie wygląda w tej swojej niezwykłej szacie, teraz zaś uznał, że strój podróżny w niczym nie umniejsza powabów dziewczyny. Kahlan i Emma rozmawiały o dzieciach, Zedd wychwalał posiłek, a chłopak dumał nad tym, co ich czekało.

W drzwiach ukazał się Chase, przesłaniając na chwilę światło wstającego dnia. Kahlan zadrżała na jego widok. Ubrany był w kolczugę włożoną na brązową skórzaną bluzę, grube czarne spodnie, buty i płaszcz. Czarne rękawice zatknął za szeroki czarny pas, spięty szeroką srebrną klamrą, na której widniał emblemat strażników granicy. Obwieszony był bronią, która wystarczyłaby do uzbrojenia kompanii wojska. Zwykły mężczyzna wyglądałby głupio w takim stroju, natomiast Chase robił piorunujące i groźne wrażenie. Był ucieleśnieniem zagrożenia, śmiertelnego zagrożenia. Strażnik zwykle przybierał jedną z dwóch póz: pozorny, gapowaty brak zainteresowania tym, co się dzieje, lub natychmiastowa gotowość do udziału w krwawej masakrze. Tym razem wybrał tę drugą.

- Upieczone kurczaki - odezwała się Emma, wręczając Zeddowi zawiniątko.

Starzec uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w czoło. Kahlan serdecznie uściskała żonę Chase’a i obiecała jej, że odda pożyczoną odzież. Richard również uściskał Emmę.

- Uważaj na siebie - szepnęła mu na ucho.

Na koniec ucałowała na pożegnanie męża, co ów przyjął z łaskawością.

Chase podał Kahlan długi nóż i zalecił, żeby go zawsze miała przy sobie. Richard spytał, czy i on mógłby dostać nóż, bo swój zostawił w domu. Strażnik sprawnie odszukał nóż wśród broni którą był obwieszony, odpiął go i podał chłopakowi.

- Sądzisz, że to wszystko naprawdę nam się przyda? - zapytała dziewczyna, patrząc na arsenał strażnika.

- Gdybym tylko coś z tego zostawił, to na pewno by się okazało przydatne. - Chase uśmiechnął się do niej krzywo.

Bez pośpiechu pojechali przez Lasy Hartlandzkie - Chase na czele, potem Zedd, Kahlan i na końcu Richard. Był jasny, chłodny jesienny poranek. Na niebie zakołował jastrząb: ostrzegawczy znak u początku podróży. Richard pomyślał, że ów znak jest zupełnie zbędny. W późniejszych godzinach ranka wyjechali z Doliny Hartlandzkiej w górny las Ven i opodal jeziora Trunt dotarli do Szlaku Sokolników. Skierowali się na południe, a wężowata chmurka podążała w ślad za nimi. Richard się cieszył, że odciąga szpiegowski obłok od domu Chase'a, od dzieci przyjaciela. Niezbyt mu się za to podobało, że muszą dotrzeć aż tak daleko na południe, by przekroczyć granicę: liczyła się każda chwila. Lecz Chase stwierdził, że nic nie wie o istnieniu innego przejścia.

Drzewa liściaste ustępowały miejsca starym sosnom. Ich pnie okalały trakt jak ściany kanionu. Gałęzie pojawiały się bardzo, ale to bardzo wysoko. Richard czuł się malutki w głębokim cieniu starych, dostojnych drzew. Chłopak wiele podróżował, lubił to. Mijali znajome mu miejsca, lecz to nie była taka sama włóczęga jak poprzednie. Zdążali tam, gdzie Richard jeszcze nigdy nie był. W niebezpieczne okolice. Chase był zaniepokojony i ostrzegał ich. To zupełnie wystarczyło, żeby ostudzić zapał chłopaka, bo Chase nie miał zwyczaju martwić się na zapas. Po prawdzie to Richard często uważał, że przyjaciel jest zbyt nieostrożny.

Chłopak obserwował towarzyszy podróży: Chase - czarna zjawa na koniu, uzbrojony po zęby, budzący postrach tak wśród tych, których chronił, jak wśród tych, których ścigał (ale, o dziwo, nie wśród dzieci); chudy, patykowaty czarodziej Zedd, skromny, pogodny, siwowłosy, zadowolony, że wiezie tylko zawiniątko z pieczonymi kurczakami, a jednocześnie władający magicznym ogniem i prawdopodobnie jeszcze innymi czarami; Kahlan - odważna, zdecydowana, władająca jakąś tajemną mocą, wysłana, by zmusić czarodzieja do wyznaczenia Poszukiwacza. Wszyscy troje byli jego przyjaciółmi, a przecież każde z nich budziło w nim niepokój. Zastanawiał się, które z nich było najgroźniejsze. Niby to podążali za nim ślepo, a przecież wiedli go za sobą. Każde z nich przysięgło, że odda życie w obronie Poszukiwacza. Lecz żadne z nich - czy to w pojedynkę, czy razem - nie dorównywało mocą Rahlowi Posępnemu. Wszystko wskazywało na to, że nie mają szansy.

Zedd już zajadał kurczaki i od czasu do czasu odrzucał jakąś kosteczkę. W końcu zdecydował się poczęstować pozostałych. Chase odmówił, bo nieustannie obserwował otoczenie traktu, zwłaszcza lewe pobrzeże, od strony granicy, i nie zamierzał się rozpraszać. Kahlan i Richard przyjęli poczęstunek. Kurczaków

wystarczyło i dla nich, pomimo obaw chłopaka. Trakt stał się szerszy, toteż młodzieniec jechał obok Kahlan.

Ponieważ dzień był ciepły, dziewczyna odrzuciła płaszcz. Uśmiechnęła się do Richarda owym specjalnym uśmiechem, przeznaczonym wyłącznie dla niego.

- Czy czarodziej mógłby coś zaradzić na tę chmurkę, Zeddzie? - spytał nagle chłopak.

Starzec łypnął na obłok, a potem na pytającego.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Pewno tak, ale zaczekałbym jeszcze trochę, aż się bardziej oddalimy od rodziny Chase'a. Nie chciałbym ich narażać.

Późnym popołudniem napotkali starsze małżeństwo, znanych Chase'owi ludzi lasu. Zatrzymali się i strażnik porozmawiał z owymi ludźmi. Siedział spokojnie na swoim wierzchowcu, skórzane odzienie potrzaskiwało przy każdym jego ruchu, a tamci powtarzali mu opowieści o tym, co się wydostaje ze strefy granicy. Chase okazywał im wielki respekt - jak większość ludzi zresztą - lecz oni najwyraźniej i tak się go bali. Powiedział im, że właśnie się zajmuje całą sprawą, i poradził, żeby nie wychodzili nocą z domu.

Zatrzymali się na nocleg długo po zapadnięciu zmroku, a wyruszyli, ledwo świt zaróżowił niebo ponad górami granicy. Richard i Kahlan ziewali, jadąc. Las się przerzedził, pojawiały się łąki, zielone i słodko pachnące. Szlak wiódł ich teraz przez pagórkowaty teren, oddalając się przejściowo od granicznych gór. Od czasu do czasu mijali niewielkie farmy i widok Chase'a płoszył ich mieszkańców.

Richard rzadko się zapuszczał tak daleko na południe, więc słabo znał te strony. Bacznie się rozglądał, zapamiętując charakterystyczne punkty okolicy. Zjedli zimny posiłek, wygrzewając się w promieniach słońca. Trakt wiódł ich teraz w stronę granicy, a późnym popołudniem znaleźli się tak blisko, że zaczęli napotykać szare trupy drzew, uśmierconych przez wężową lianę. Słońce z trudem rozjaśniało mroki gęstego lasu. Chase bardzo uważnie obserwował wszystko dokoła. Parę razy zsiadł z konia i jakiś czas poruszał się pieszo, wypatrując śladów w pyle szlaku.

Przecięli płynący od granicy strumień, którego błotniste i zimne wody toczyły się niemrawo. Chase zatrzymał się i bacznie wpatrzył w mrok. Reszta wędrowców czekała, aż zakończy tę obserwację; popatrywali to na siebie, to ku granicy. Richard rozpoznał unoszącą się w powietrzu woń liany. Strażnik poprowadził ich trochę dalej, zsiadł z konia i przysiadł, badając grunt. Po chwili wyprostował się, podał Zeddowi wodze swojego konia i polecił im, by czekali. Patrzyli, jak znika wśród drzew. Koń

Kahlan otrząsał się z much i szczypał trawę. Wrócił Chase, wciągnął rękawice i wziął od czarodzieja wodze.

- Jedźcie dalej. Nie zatrzymujcie się i nie czekajcie na mnie Trzymajcie się szlaku - polecił.

- O co chodzi? Co znalazłeś? - zapytał Richard.

- Wilki się pożywiały - odparł strażnik, spojrzawszy posępnie na chłopaka. - Zakopię to, co zostawiły, a potem pojadę pomiędzy granicą a wami. Muszę coś sprawdzić. Pamiętajcie, co mówiłem. Nie zatrzymujcie się. Nie popędzajcie koni, ale utrzymujcie dobre tempo i bacznie się rozglądajcie. I żebyście się nie ważyli zawracać i szukać mnie, gdyby wam się wydawało, że za długo nie wracam. Wiem, co robię, a wy i tak byście mnie nie znaleźli. Wrócę do was, jak tylko będę mógł. Jedźcie cały czas i nie zbaczajcie ze szlaku. - Wsiadł na konia i ponaglił go do biegu. - Nie zatrzymujcie się! - ryknął do nich przez ramię.

Zniknął pośród drzew, dobywając krótkiego, przewieszonego przez ramię miecza. Richard to dostrzegł i domyślił się, że strażnik nie powiedział im prawdy. Nie będzie niczego zakopywać Chłopakowi wcale się nie podobało, że musiał puścić przyjaciela samego, lecz świetnie wiedział, iż ten robi to, co jest niezbędne, aby ich ochronić. Musi zaufać osądowi starego przyjaciela.

- Słyszeliście, co powiedział - odezwał się Poszukiwacz. - W drogę. Jechali przez przygraniczne lasy. Skałki stawały się coraz większe, dróżka wiła się pomiędzy nimi. Drzewa rosły tak gęsto, że słońce prawie tu nie docierało, trakt biegł jak w tunelu. Las napierał na nich. Jechali, bacznie obserwując mroki po lewej stronie. Gałęzie zwieszały się nad dróżką i jeźdźcy musieli się nisko pochylać. Richard nie miał pojęcia, jak też Chase w swoim rynsztunku przebija się poprzez taką gęstwę.

Trakt znów się rozszerzył i chłopak podjechał do Kahlan, ustawiając konia pomiędzy nią a granicą. Trzymał wodze lewą dłonią, by prawą móc w każdej chwili dobyć miecza. Dziewczyna otuliła się szczelnie płaszczem, lecz Richard mimo to dostrzegł że trzyma dłoń tuż przy rękojeści noża.

Z lewej dało się słyszeć odległe wycie, przypominające głosy watahy wilków. Lecz to nie były wilki. To było coś z obszaru granicy.

Gwałtownie odwrócili głowy w stronę, skąd dochodził ów głos. Konie były przerażone, chciały się zerwać do biegu. Musieli je powstrzymywać, pozwolić tylko na trucht. Richard rozumiał, co czują konie. Chętnie by im pozwolił ruszyć galopem, lecz Chase stanowczo tego zabronił. Musiał mieć po temu ważki powód, więc

powstrzymywali konie. W wycie wmieszały się mrożące krew w żyłach wrzaski. Chłopak poczuł, jak mu się jeżą włosy na karku, z coraz większym trudem powstrzymywał konia. W owych wrzaskach brzmiała desperacka, dzika wola zabijania. Podróżnicy jechali kłusem niemal godzinę, a głosy z lasu ciągnęły za nimi trop w trop. Nie mieli wyboru - mogli tylko jechać naprzód, nasłuchując wycia granicznych bestii.

W końcu Richard już nie mógł tego znieść. Zatrzymał konia i zwrócił się ku lasowi. Gdzieś tam był Chase, samotnie stawiający czoło bestiom. Nie mógł pozwolić, by przyjaciel sam się z nimi zmagał. Powinien mu pomóc.

- Musimy jechać naprzód, Richardzie - odezwał się Zedd.

- Może ma kłopoty. Nie możemy pozwolić, żeby sam się z tym zmagał.

- To jego praca, pozwól mu ją wykonać.

- Wcale nie! Już nie jest strażnikiem granicy, musi nas bezpiecznie przeprawić na drugą stronę!

Czarodziej podjechał do chłopaka i przemówił do niego łagodnie:

- Chase wykonuje swoją robotę, Richardzie. Przysiągł, że odda życie w twojej obronie. I właśnie cię chroni, stara się zapewnić ci bezpieczną drogę do przejścia. Wbij to sobie do głowy. Twoja misja jest ważniejsza niż życie pojedynczego człowieka. Chase to rozumie. Dlatego zabronił jechać za sobą.

- Czyżbyś oczekiwał, że poświęcę życie przyjaciela - zdumiał się chłopak - jeśli mógłbym zapobiec jego śmierci?

Wycia rozlegały się coraz bliżej.

- Oczekuję, że nie pozwolisz, by zginął nadaremnie! Richard wpatrywał się w starca.

- A może byśmy mu pomogli?

- A może nie.

Konie tańczyły w miejscu.

- Zedd ma rację - wtrąciła się Kahlan. - Pójście za Chase’em wcale nie byłoby odważnym postępkiem, za to pójście dalej, choć chcesz pomóc strażnikowi - tak.

Richard wiedział, że obydwoje mają rację, lecz za nic nie chciał tego przyznać. Popatrzył gniewnie na dziewczynę.

- Możesz się pewnego dnia znaleźć w jego sytuacji! I co byś mi wówczas zalecała?!

- Żebyś szedł dalej i się nie zatrzymywał - odparła spokojnie.

Łypnął na nią wściekle, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wrzaski zbliżyły się jeszcze bardziej. Twarz dziewczyny nie zdradzała żadnych emocji.

- Chase stale to robi, Richardzie. Nic mu się nie stanie - uspokajał chłopaka Zedd. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby miał niezłą rozrywkę. Później będzie miał o czym opowiadać Znasz go przecież. Część opowiastki może nawet będzie zgodna z prawdą.

Richard był wściekły i na nich, i na siebie. Kopnął konia w bok i wyprowadził go na czoło; nie miał ochoty na dalsze rozmowy Pozwolili, by zatonął we własnych myślach, żeby jechał przodem. Złościło go, że Kahlan uważa, iż mógłby ją zostawić na pastwę losu. Przecież nie była strażnikiem granicy. Wcale mu się nie podobało, że ocalenie mogło oznaczać wydanie przyjaciół na śmierć. To nie miałoby żadnego sensu. Nie chciał, żeby to miało sens.

Chłopak próbował nie zwracać uwagi na wrzaski i wycia dobiegające z lasu. Po pewnym czasie owe odgłosy zostały daleko z tyłu. Zdawało się, że w lasach nie ma śladu życia - nie było żadnych ptaków, królików czy nawet myszy. Nic, tylko powykręcane drzewa, jeżyny i ciernie. Nasłuchiwał uważnie, czy tamci dwoje jadą za nim. Nie chciał się odwracać i patrzeć, nie chciał ich widzieć. Po chwili zdał sobie sprawę, że wycia umilkły. Ciekaw był, czy to dobry znak, czy nie.

Richard chciał powiedzieć Zeddowi i Kahlan, że jest mu przykro, że ich przeprasza, że się po prostu bał o przyjaciela, lecz nie mógł się odezwać. Czuł się bez - radny. Nic się Chase’owi nie stanie, przekonywał sam siebie. Przecież był przywódcą strażników granicy, a nie jakimś wariatem, na pewno się nie wda w nic takiego, z czym by sobie nie mógł poradzić. Zresztą, czy jest w ogóle coś takiego, z czym by sobie Chase nie poradził? Jak ja zawiadomię Emmę, gdyby coś się jednak stało jej mężowi, dumał chłopak. Zbytnio puszczał wodze imaginacji. Chase jest bezpieczny. Nie do pokonania. Złościłby się, że Richard dopuszcza do siebie takie myśli, że w niego wątpi.

Czy Chase powróci przed nocą? Czy powinni się zatrzymać na nocleg, jeżeli nie wróci? Nie. Przecież powiedział, żeby się nie zatrzymywali. Powinni jechać i jechać przed siebie, nawet i całą noc, dopóki się do nich nie przyłączy. Chłopak miał wrażenie, że góry zwieszają się ponad nimi, gotowe runąć. Jeszcze nigdy nie był tak blisko granicy.

Richard wciąż się martwił o przyjaciela, lecz uspokajał się powoli, przestawał się złościć na tamtych. Obejrzał się i spojrzał na Kahlan.

Uśmiechnęła się do niego, więc odwzajemnił uśmiech od razu poczuł się lepiej. Zastanawiał się, jak też wyglądały te lasy, zanim umarło tyle drzew. To musiała być piękna okolica - zielona, zaciszna, bezpieczna. Może jego ojciec tędy szedł ku granicy i potem wracał z księgą? Czy wszystkie drzewa przy tamtej granicy uschły, zanim zniknęła? Może powinni poczekać, aż i ta zniknie, i dopiero potem przejść na drugą stronę? Może wcale nie musieli aż tak zbaczać z trasy na południe, z trasy ku Królewskiej Bramie. Czemuż jednak sądzi, że idąc na południe, zbaczają, z trasy? Nie miał pojęcia, dokąd się udać w Midlandach, więc z jakiego powodu to jedno miejsce wydawało mu się lepsze niż drugie? Szkatuła mogła być równie dobrze na południu, jak i na północy krainy.

Lasy mroczniały. Richard od paru godzin nie widział słońca, lecz nie miał wątpliwości, że właśnie zachodziło. Nie podobała mu się perspektywa nocnej jazdy przez te lasy, ale myśl o spaniu tutaj była jeszcze gorsza. Sprawdził, czy tamtych dwoje nie zostało zbytnio w tyle.

W ciszy wieczoru dał się słyszeć szmer płynącej wody; narastał stopniowo i wkrótce dotarli do niewielkiej rzeki, nad którą przerzucono drewniany most. Już mieli wjechać, kiedy Richard się zatrzymał. Coś go zaniepokoiło. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Ostrożnie sprowadził konie po spadzistym brzegu i obejrzał most od spodu. Wsporniki zamocowano do żelaznych pierścieni, osadzonych w granitowych blokadach. Ktoś wymontował sworznie.

- Ktoś się dobrał do mostu. Teraz wytrzyma ciężar człowieka, lecz nie konia. Chyba będziemy musieli się zamoczyć.

- Wcale nie mam zamiaru moknąć - nachmurzył się Zedd.

- To może masz jakiś lepszy pomysł? - zainteresował się chłopak

- Tak - odparł czarodziej. - Wy się przeprawicie na drugą stronę a ja podtrzymam most. - Richard spojrzał nań podejrzliwie, jakby się bał, że stary przyjaciel stracił zmysły. - Idźcie - ponaglił ich Zedd. - Wszystko będzie dobrze.

Starzec wyprostował się w siodle, rozłożył ręce na boki, wnętrzem dłoni ku górze, odchylił głowę w tył, odetchnął głęboko i zamknął oczy. Kahlan i Richard ostrożnie i z ociąganiem przejechali przez most. Na drugim brzegu zawrócili konie i patrzyli na Zedda. Koń czarodzieja jak na znak ruszył z miejsca, starzec zaś ani nie zmienił pozy, ani nie otworzył oczu. Dołączył do dwojga towarzyszy i dopiero wówczas opuścił ręce i otworzył oczy. Młodzi nie spuszczali z niego oka.

- Może się pomyliłem - odezwał się w końcu Richard. - Może most

utrzymałby konia z jeźdźcem.

- Może. - Zedd się uśmiechnął. Pstryknął palcami, nawet się za siebie nie oglądając: most runął z hukiem, belki jęknęły, jak by je ktoś rozdzierał, i spłynęły z prądem. - A może nie. Nie mogłem tego tak zostawić. Ktoś inny mógłby ucierpieć.

- Pewnego dnia musimy sobie długo i poważnie porozmawiać mój przyjacielu - oznajmił chłopak, potrząsając głową.

Richard zawrócił konia i ruszyli w dalszą drogę. Zedd popatrzył na Kahlan i wzruszył ramionami. Dziewczyna uśmiechnęła się i mrugnęła do niego, a potem pojechała za chłopakiem.

Wędrowcy jechali posępnym traktem, bacznie obserwując las Richard się zastanawiał, co też Zedd może jeszcze uczynić. Chłopak pozwolił, by jego koń sam wybierał drogę w zapadającej ciemności. Ciekaw był, jak szeroko rozciąga się ów martwy obszar, czy trakt ich z niego wyprowadzi. W miarę jak zapadała noc, okolica budziła się do życia. Słychać było osobliwe pokrzykiwania i szuranie. Koń chłopaka rżał niekiedy, jakby widział to, czego nie dostrzegał jego pan. Richard uspokajająco poklepywał po szyi swego wierzchowca i wypatrywał chimer na niebie. Prawdę mówiąc, usiłował wypatrywać, bo nie mógł dostrzec ani skrawka nieba. Tym razem bestie tak by ich nie zaskoczyły - musiałyby się przebić przez plątaninę suchych pni i konarów, a trudno by im było zrobić to cicho i dyskretnie.

Poza tym stwory z lasu mogły stanowić większe zagrożenie niż chimery. Richard nic o nich przecież nie wiedział... I wolałby się nie dowiadywać. Czuł, jak wali mu serce. Jechali tak około godziny, gdy chłopak usłyszał, jak coś się zbliża przez zarośla po lewej stronie traktu. Trzeszczały łamane gałęzie. Richard puścił konia galopem i sprawdził, czy Kahlan i Zedd jadą za nim. Nie zdołają umknąć przed tym czymś. Najwyraźniej przetnie im drogę. Może to Chase, pomyślał chłopak. A może nie.

Richard dobył Miecza Prawdy, pochylił się w siodle i ponaglił konia do jeszcze szybszego biegu. Rumak pomknął traktem. Chłopak nie miał pojęcia, czy tamci dwoje nadążają za nim, w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Skupił myśl na tym, żeby zdołać dostrzec to, co się ku nim zbliżało w ciemnościach. Budził się w nim gniew. Zacisnął zęby i pędził przed siebie, żeby zabić, gdy będzie trzeba.

Grzmot końskich kopyt zagłuszał odgłosy z lasu, lecz Richard wiedział, że owo „coś” tam jest, że się zbliża. Wreszcie zobaczył czarny kształt, ledwo widoczny na tle drzew. Postać wypadła na trakt dobre dwanaście jardów w przodzie. Chłopak

uniósł miecz i runął na nią, tworząc w myślach obraz tego, co powinien uczynić. Postać czekała nań nieruchomo.

W ostatniej chwili Richard się zorientował, że to Chase. Przyjaciel trwał nieruchomo, wyciągając rękę, by go powstrzymać W garści miał maczugę.

- Miło stwierdzić, że jesteś taki czujny i szybki - stwierdził strażnik granicy.

- Ale mnie wystraszyłeś, Chase!

- I ty nie pozostałeś mi dłużny! - odciął się tamten i dodał, bo akurat dołączyli do nich Kahlan i Zedd: - Jedźcie tuż za mną. Ty na końcu, Richardzie, i nie chowaj miecza.

Chase zawrócił konia i ruszył galopem, reszta za nim. Richard nie wiedział, czy coś ich ściga, czy nie. Zachowanie przyjaciela nie zapowiadało bliskiej walki, a jednak mówił, żeby nie chować miecza. Chłopak rzucał przez ramię czujne spojrzenia na trakt za nimi. Wszyscy czworo pochylali głowy, na wypadek gdyby zwieszały się nisko jakieś gałęzie. Niebezpiecznie było galopować w takich ciemnościach, lecz Chase o tym wiedział.

Dotarli do rozwidlenia szlaku, pierwszego tego dnia, i strażnik granicy bez wahania skręcił w prawo od strefy granicznej. Wkrótce wyjechali z lasu, a w księżycowej poświacie zobaczyli pagórkowatą przestrzeń, porośniętą z rzadka drzewami. Po chwili Chase zwolnił, koń przeszedł w stęp. Richard schował miecz do pochwy i podjechał do przyjaciół.

- Co się właściwie działo? - spytał.

- Stwory z granicy idą naszym tropem - odparł Chase, przyczepiając maczugę do pasa. - Kiedy wyszły po ciebie z granicy, byłem na miejscu i popsułem im apetyt. Niektóre zawróciły. Reszta idzie twoim śladem, ale w strefie granicznej, a tam nie mogę im zaszkodzić. Dlatego nie chciałem, żebyście za szybko jechali. Nie mógłbym wam dotrzymać kroku w tych chaszczach, a te stwory mogłyby mnie wyprzedzić i dopaść was. Zboczyłem od granicy, bo chcę, żeby nas w nocy nie zwęszyły. Zbyt niebezpiecznie jest pozostawać nocą za blisko granicy. Rozbijemy obóz na jednym z tych wzgórz. - Popatrzył na Richarda. - Nawiasem łowiąc, dlaczego się przedtem zatrzymałeś? Przecież poleciłem, żebyś tego nie robił.

- Słyszałem wycie i martwiłem się o ciebie. Chciałem ci przyjść z pomocą. Kahlan i Zedd mnie powstrzymali. - Chłopak oczekiwał, że Chase się rozzłości, ale nie uczynił tego.

- Dzięki. Ale więcej tego nie rób. O mało was nie dopadły, kiedy tam staliście

i naradzaliście się. Zedd i Kahlan mieli rację. Nie sprzeczaj się z nimi następnym razem, Richardzie. Chłopak poczuł, jak go palą uszy. Wiedział, że mają rację, a mimo to dręczyło go, że nie wspomógł przyjaciela.

- Powiedziałeś, Chase, że kogoś dopadły? - odezwała się Kahlan.

- Tak - odparł z kamienną twarzą. - Jednego z moich ludzi. Nie wiem którego. - Odwrócił się i pojechał traktem.

Obóz rozbili na wysokim wzgórzu, żeby nikt ich nie mógł skrycie podejść. Chase i Zedd zajęli się końmi, a Richard i Kahlan rozpalili ognisko, wypakowali chleb, ser i suszone owoce i zaczęli przygotowywać strawę. Nazbierali suchego drewna. Richard powiedział dziewczynie, że tworzą dobrą ekipę. Uśmiechnęła się i odwróciła od niego. Ujął jej ramię i obrócił ku sobie.

- Gdybyś to ty była w lesie, Kahlan, poszedłbym za tobą - powiedział, nadając swoim słowom specjalne znaczenie.

Dziewczyna uważnie spojrzała mu w oczy.

- Nie mów tak, Richardzie, proszę - odparła. Łagodnie wyswobodziła ramię i poszła do obozowiska.

Nadeszli Chase i Zedd. Chłopak dostrzegł, że pochwa przewieszona przez ramię przyjaciela jest pusta, zniknął krótki miecz Brakowało również jednego bojowego topora i kilku długich noży Jednak arsenał strażnika wcale na tym nie ucierpiał. Maczuga, zaczepiona u pasa, była pokryta krwią, rękawice były przesiąknięte krwią, cała postać Chase’a była zbryzgana krwią. Strażnik bez słowa wyjął nóż, wydłubał trzycalowy żółtawy ząb spomiędzy ostrzy maczugi i rzucił w ciemność. Potem oczyścił z krwi twarz i ręce i usiadł z pozostałymi przy ognisku.

- Co to za stwory nas ścigały, Chase? - zapytał Richard, dorzucając do ogniska. - Jak cokolwiek może wyjść z granicy i wrócić z powrotem?

Strażnik wziął bochenek chleba i oderwał niemal jedną trzecią. Spojrzał chłopakowi w oczy.

- Nazywają je sercowymi psami. Są prawie dwa razy większe od wilków, mają potężny baryłko waty tułów i płaskie łby z paszczą pełną zębisk. Dzikie i zajadłe. Nie wiem, jakiej są maści. Polują tylko w nocy - przynajmniej do tej pory. Zresztą i tak w lesie było za ciemno, no i byłem, jak by to rzec, trochę zajęty. Jeszcze nigdy nie widziałem ich tyle naraz.

- Czemu je nazywają sercowymi psami? Chase żuł kęs chleba. Oczy mu zmroczniały.

- Są różne wersje. Te stwory mają duże, krągłe uszy i świetny słuch. Niektórzy twierdzą, że odnajdują człowieka, słysząc uderzenia jego serca. - Richard rozwarł szeroko oczy, a Chase odgryzł kolejny kęs chleba. - Inni natomiast wywodzą tę nazw? z ich sposobu zabijania. Rzucają się do piersi ofiary. Większość drapieżników mierzy w gardziel ofiary, lecz nie sercowe psy. One się rzucają do serca, a zębiska mają na tyle potężne, że osiągi swój cel. I to właśnie serce zjadają na samym początku. Jeśli jest ich więcej niż jeden, to się o nie biją.

Zedd przygotował sobie miseczkę strawy i podał chochlę Kahlan. Richard powoli tracił apetyt, ale musiał pytać dalej.

- A co ty o tym myślisz?

- Hmm, nigdy się spokojnie nie czaiłem przy granicy, żeby sprawdzić, czy istotnie usłyszą bicie mojego serca. - Chase wzruszył ramionami.

Strażnik odgryzł kolejny kęs chleba i popatrzył na swoją pierś. Zdjął kolczugę - była rozdarta w dwóch miejscach, a wśród pogiętych ogniw tkwiły odłamki żółtawych zębisk. Skórzana bluza pod kolczugą przesiąkła krwią psów.

- Ten, który to zrobił, ma w piersi odłamek mojego krótkiego miecza - oznajmił strażnik. - Siedziałem wówczas na koniu - dodał. Uniósł brew i spytał Richarda: - Zadowolony z odpowiedzi?

Chłopaka przeszył dreszcz, lecz go to nie powstrzymało przed zadaniem kolejnego pytania.

- A jak się wydostają z granicy i potem do niej wracają? Chase przyjął od Kahlan miseczkę ze strawą, po czym odparł:

- Mają coś wspólnego z magią granicy, powstały wraz z nią. Można by rzec, iż są granicznymi psami łańcuchowymi. Mogą bez przeszkód łazić tam i z powrotem. Są jednak „przywiązane” do granicy i nie mogą odejść zbyt daleko. Ale granica zanika, więc psy się zapuszczają wciąż dalej i dalej, przez to Szlak Sokolników staje się coraz niebezpieczniejszy, lecz musieliśmy jechać tędy, bo inaczej podróż trwałaby dobry tydzień dłużej. Teraz wjechaliśmy na skrót, który jako jedyny oddala się od granicy, zanim nas doprowadzi do Southaven. Wiedziałem, że muszę was dopaść, zanim miniecie ten trakt, albo będziemy skazani na spędzenie nocy w lasach, z nimi. Jutro, jak już będzie bezpieczniej przy świetle dnia, pokażę wam granicę. Zobaczycie, jak słabnie.

Richard skinął głową i każde z nich zatopiło się we własnych myślach.

- Są brązowe - odezwała się Kahlan. Spojrzeli na dziewczynę: siedziała

wpatrzona w ogień. - Sercowe psy są brązowe, mają krótką sierść, jak na grzbiecie jelenia. Rozeszły się po całych Midlandach, kiedy zanikła druga granica. Pozbawione celu istnienia, rozkojarzone i oszalałe, pojawiają się nawet za dnia. Trzej mężczyźni siedzieli nieruchomo, rozważając słowa Kahlan.

- Fantastycznie - szepnął w końcu Richard. - A co Midlandy mają jeszcze gorszego niż sercowe psy?

To właściwie nie miało być pytanie, raczej oznaka rozpaczy i frustracji. Trzeszczały płonące drwa, ciepło płynące od ognia ogrzewało twarze wędrowców.

- Rahla Posępnego - szepnęła zapatrzona w dal Kahlan.

Rozdział trzynasty

Richard usadowił się z dala od obozowiska, owinął się ciasno płaszczem, oparł o skałę i patrzył ku granicy. Wiał lodowaty wiaterek. Chase przydzielił mu pierwszą wartę, potem miał czuwać Zedd, a na końcu strażnik. Kahlan protestowała, że ją z tego wyłączono, ale w końcu ustąpiła.

Księżycowa poświata oświetlała przestrzeń pomiędzy ich wzgórzem a granicą. Chłopak widział łagodnie zarysowane wzgórza, nieliczne drzewa, niewielkie strumyki. Całkiem sympatyczna okolica, zwłaszcza jeżeli brać pod uwagę bliskość ponurych granicznych lasów. Pewno i owe lasy były miłym miejscem, zanim Rahl Posępny włączył do gry szkatuły Ordena i zaczął niszczyć granicę. Chase twierdził, że sercowe psy nie zapędzają się aż tu, lecz Richard wolałby widzieć, jak się zbliżają, gdyby przyjaciel jednak się mylił. Przesunął dłonią po rękojeści miecza, wodził palcami po literach słowa PRAWDA i obserwował niebo; nie chciał, żeby chimery znów ich zaskoczyły. Cieszył się, że ma pierwszą wartę, bo wcale mu się nie chciało spać. Był zmęczony, lecz nie śpiący. Mimo to ziewnął.

Za splątaną gęstwą lasu, na skraju mroku, wznosiły się grzbiety gór, będących częścią granicy. Jakież to stwory patrzą z tamtej czerni, zastanawiał się Richard. Chase mówił, że góry obniżają się ku południowi i w ogóle znikają tam, dokąd oni zdążają

Znienacka pojawiła się Kahlan. Podeszła cicho w ciemnościach, otulona płaszczem, i usiadła tuż przy chłopaku. Milczała, po prostu siedziała obok. Luźne pasemka jedwabistych włosów dziewczyny muskały policzek Richarda. Rękojeść jej noża uwierała go w bok, lecz nie protestował, bojąc się, że się odsunie. Nie chciał tego.

- Tamci śpią? - spytał cicho. Przytaknęła. - Skąd wiesz? - Uśmiechnął się. - Zedd śpi z otwartymi oczami.

- Wszyscy czarodzieje tak śpią. - Odwzajemniła uśmiech.

- Naprawdę? A ja myślałem, że to tylko Zeddowy zwyczaj. - Wpatrzył się w dolinę, sprawdzając, czy nic się tam nie porusza. Czuł wzrok dziewczyny. Obejrzał się na nią. - Nie chce ci się spać? - Była tak blisko, że mógł mówić najcichszym szeptem.

Kahlan wzruszyła ramionami. Lekki wiaterek zwiał jej na kosmyki włosów. Odgarnęła je. Spojrzała Richardowi w oczy.

- Chciałam ci powiedzieć, ze przepraszam.

Chłopak pragnął, żeby oparła głowę na jego ramieniu, lecz nie zrobiła tego.

- Za co?

- Za to, że powiedziałam, że nie chciałabym, byś ruszył mi na pomoc. Nie chcę, żebyś sądził, iż nie doceniam twojej przyjaźni, bo bardzo ją sobie cenię. Po prostu nasza misja jest ważniejsza niż ktokolwiek.

Richard wiedział, że Kahlan - tak jak i on wówczas - nadaje słowom głębszy sens. Popatrzył w oczy dziewczyny, poczuł na twarzy jej oddech.

- Czy masz kogoś, Kahlan? - Bał się, że zrani mu serce, lecz musiał spytać. - Kogoś, kto czeka na ciebie w domu? Ukochanego?

Wytrzymał długie spojrzenie zielonych oczu. Nie uciekały w bok, lecz wypełniły się łzami. Tak by chciał ją przytulić i ucałować. Uniosła dłoń i delikatnie pogładziła policzek Richarda. Przełknęła ślinę.

- To nie takie proste, Richardzie.

- A właśnie, że tak. Masz albo nie masz i już.

- Mam zobowiązania.

Przez chwilę się zdawało, że coś powie, że zdradzi swój sekret.

Tak pięknie wyglądała w blasku księżyca. I nie było to tylko powierzchowne piękno - tkwiło też w jej duszy, w głębi jej jestestwa. Podobała mu się jej odwaga, inteligencja, dowcip, ów uśmiech przeznaczony tylko dla niego. Zabiłby nawet i smoka (o ile takie stwory naprawdę istniały), byle zobaczyć ów uśmiech. Richard był pewny, że nie zechce już nikogo innego, tylko jej. Raczej spędzi resztę życia samotnie. Nie będzie żadnej innej.

Tak bardzo pragnął ją przytulić. Ucałować miękkie usta. Lecz - o dziwo - czuł to samo, co przed wkroczeniem na ów most. Coś go ostrzegało, powstrzymywało, a owo ostrzeżenie było silniejsze niż ochota pocałowania dziewczyny. Coś mu mówiło, że jeżeli ją pocałuje, to przekroczy o jeden most za dużo. Pamiętał, jak ostrzegała go magia zaklęta w mieczu, gdy Kahlan dotknęła jego dłoni. Nie pomylił się co do mostu, więc i teraz się powstrzymał i nie objął dziewczyny. Opuściła oczy.

- Chase mówił, że czekają nas dwa ciężkie dni. Lepiej się trochę prześpię - powiedziała.

Chłopak wiedział, że nie ma dostępu do jej myśli. Że nie może Kahlan przynaglać. Sama musiała się z tym uporać.

- Wobec mnie też masz zobowiązania - rzucił. Zmarszczyła pytająco brwi, więc się uśmiechnął. - Obiecałaś, że będziesz mój, przewodniczką. Nie zamierzam cię

zwolnić z obietnicy.

Odwzajemniła uśmiech i kiwnęła głową, zbyt bliska łez, by się odezwać. Pocałowała czubek palca i dotknęła policzka Richarda potem zniknęła w mroku nocy.

Chłopak siedział w ciemnościach i usiłował się pozbyć dławiącego ucisku w gardle. Jeszcze długo czuł na policzku dotknięcie palca Kahlan, czuł jej pocałunek.

Noc była tak spokojna, iż Richardowi się zdawało, że tylko on na całym świecie nie śpi. Gwiazdy migotały jak magiczny pyl Zedda. Księżyc milcząco patrzył na chłopaka. Nawet wilki nie zawodziły tej nocy. Przygniatające poczucie osamotnienia. Niemal chciał, żeby coś ich zaatakowało, bo miałby ku czemu odwrócić myśli. Wyciągnął miecz i połą płaszcza wypolerował i tak błyszczącą klingę. To jego miecz, może się nim posługiwać wedle swojej woli - tak mu powiedział Zedd. Czy Kahlan tego chce, czy nie, podniesie ów miecz w jej obronie. Ścigano ją. Cokolwiek sięgnie po dziewczynę, najpierw napotka jego miecz.

Wspomnienie o prześladowcach dziewczyny, o bojówkach i Rahlu Posępnym obudziło gniew Richarda. Chciał, żeby się tu zjawili - raz na zawsze położyłby kres zagrożeniu. Marzył o tym Serce zaczęło mu walić. Mocno zacisnął zęby.

Richard uświadomił sobie nagle, że to gniew miecza rozbudza jego gniew. Ostrze nie tkwiło w pochwie i sama myśl o grożącym Kahlan niebezpieczeństwie wystarczyła, by obudzić gniew oręża i jego, Richarda. Zdumiał się, że owo uczucie tak łatwo się weń wsączyło; tak spokojnie, gładko, niezauważalnie. Zwykła percepcja, tak nazwał to Zedd. Co też magia miecza dostrzegła w nim, w Richardzie?

Chłopak wsunął miecz do pochwy, odpędził gniew. Obserwował okolicę i niebo i znów ogarniał go smutek. Wstał i trochę pochodził, żeby rozprostować nogi, potem znowu usiadł i opar się o skałkę, niepocieszony.

Na jakąś godzinę przed końcem swojej warty Richard usłyszał znajome kroki. Zjawił się Zedd, bez płaszcza, trzymając w dłoniach po kawałku sera.

- Co ty tu robisz? Jeszcze nie kolej na ciebie.

- Pomyślałem, że może cię ucieszy towarzystwo starego przyjaciela. Przyniosłem ci kawałek sera.

- Nie, dziękuję. To znaczy za ser, rzecz jasna. Chętnie skorzystam z towarzystwa przyjaciela.

Zedd usiadł obok chłopaka, podciągnął kościste kolana i otulił je szatą.

- W czym problem?

- Kahlan, chyba. - Richard wzruszył ramionami, a starzec nic nie powiedział. -

To o niej najpierw myślę, kiedy się budzę, i o niej, kiedy zasypiam. Jeszcze nigdy tak nie było. Jeszcze nigdy nie byłem taki samotny, Zeddzie.

- Rozumiem... - Czarodziej położył ser na skałce.

- Wiem, że mnie lubi, ale mam wrażenie, że mnie trzyma na odległość. Powiedziałem jej, kiedy rozbijaliśmy obóz, że przybiegłbym na pomoc, gdyby była na miejscu Chase'a. Przyszła tu do mnie. Powiedziała, że wcale by nie chciała, żebym biegł jej pomagać, ale miała coś więcej na myśli niż to, że nie chce, żebym za nią latał, ot co

- Dobra dziewczyna - szepnął Zedd.

- Co?

- Powiedziałem, że poczciwa z niej dziewczyna. Wszyscy ją lubimy. Lecz ona nie jest prostą dziewczyną, Richardzie. Ma swoje obowiązki.

- Co masz na myśli? - Chłopak się zmarszczył.

- Sama ci to musi powiedzieć. Sądziłem, że już to zrobiła. - Starzec objął Richarda. - Może cię pocieszy świadomość, że jeśli zamilczała, to dlatego, że bardziej jej na tobie zależy, niż powinno. Boi się, że straci twoją przyjaźń.

- Ty znasz jej sekrety, Chase także. Poznaję to po jego oczach. Tylko ja jeden nic nie wiem. Próbowała mi to powiedzieć wieczorem, ale się nie przemogła. Nie musi się martwić o moją przyjaźń. Wcale jej nie straci.

- To wspaniała dziewczyna, Richardzie, ale to nie jest ktoś dla ciebie. Nie mogłaby tak wybrać.

- Dlaczego?

Zedd strząsnął coś z rękawa i odparł, unikając oczu Richarda:

- Przyrzekłem, że pozwolę, by to ona ci o tym powiedziała. Teraz zaś po prostu musisz mi uwierzyć: nie może być dla ciebie kim chciałbyś, żeby była. Znajdź sobie inną dziewczynę. Pełno ich wszędzie. Połowa ludzi to dziewczyny, chłopcze; jest w czym wybierać. Znajdź inną..

Richard otoczył kolana ramionami i popatrzył w dal.

- Niech ci będzie - mruknął.

Zedd łypnął na niego ze zdumieniem, potem się uśmiechnął i poklepał młodego przyjaciela po plecach.

- Ale pod jednym warunkiem - dodał chłopak, obserwując graniczne lasy. - Szczerze i otwarcie odpowiesz mi na jedno pytani Jeżeli powiesz „tak", to postąpię, jak mi radzisz.

- Tylko jedno pytanie? Tylko jedno? - zaniepokoił się Zedd skubiąc dolną wargę.

- Jedno.

Starzec namyślał się długą chwilę.

- No dobrze. Jedno pytanie.

- Gdyby ktoś, zanim poślubiłeś swoją żonę... No dobrze, uprośćmy to jeszcze, żeby ułatwić ci odpowiedź. Gdyby ktoś, komu byś ufał, przyjaciel, ktoś kochany jak ojciec... Gdyby taki ktoś ci doradził, żebyś sobie poszukał innej, to co byś zrobił? Posłuchałbyś go?

- O kurczę. - Zedd odwrócił oczy i głęboko zaczerpnął powietrza. - A powinienem już zmądrzeć na tyle, żeby się nie pozwolić wypytywać Poszukiwaczowi! - Wziął ser i odgryzł kawałeczek.

- Też tak myślę.

Starzec odrzucił ser w mroki.

- Ale to nie zmienia faktów, Richardzie! Między wami nic nie może być. Nic z tego nie wyjdzie. I nie mówię tego, żeby cię zranić. Kocham cię jak syna. Gdybym mógł zmienić świat, to bym to zrobił. Przykro mi to mówić i chciałbym, by tak nie było, lecz nic z tego nie będzie. Kahlan to wie i tylko ją zranisz, jeśli będziesz się upierał. A tego byś przecież nie chciał.

- Sam powiedziałeś, że jestem Poszukiwaczem - odrzekł spokojnie chłopak. - Musi być jakiś sposób i znajdę go.

- Chciałbym, żeby tak było, chłopcze. - Zedd ze smutkiem potrząsnął głową. - Ale to niemożliwe.

- To co mam robić? - Richardowi głos się załamał. Czarodziej objął chłopaka kościstymi ramionami i mocno przytulił. Richard czuł się wprost okropnie.

- Po prostu bądź jej przyjacielem, chłopcze. Ona tego bardzo potrzebuje. Lecz nie możesz być nikim więcej. Richard kiwnął głową.

Po paru minutach Poszukiwacz odsunął czarodzieja i popatrzył nań podejrzliwie.

- Po co tu przyszedłeś?

- Żeby posiedzieć u boku przyjaciela.

- Przyszedłeś tu jako czarodziej. - Richard potrząsnął głową. Żeby z dala od innych doradzić Poszukiwaczowi. Mów, o co chodzi?

- No dobrze. Przyszedłem tu jako czarodziej, żeby powiedzieć

Poszukiwaczowi, iż omal nie popełnił dziś poważnej pomyłki.

Richard cofnął dłonie z ramion Zedda, lecz wciąż patrzył mu w oczy.

- Wiem o tym. Poszukiwacz nie może się wystawiać na niebezpieczeństwo, jeżeli tym samym naraża innych.

- A jednak chciałeś to zrobić.

- Wyznaczyłeś mnie na Poszukiwacza na dobre i na złe, z moimi wadami i zaletami. Jestem nowicjuszem w tym fachu. Trudno mi patrzeć na przyjaciela w potrzebie i nie wspomóc go. Jednak już wiem, że nie będę sobie mógł na to pozwolić. Uznajmy że mnie skarciłeś.

- Nawet to dobrze poszło. - Zedd się uśmiechnął, lecz po chwili spoważniał. - Ale chodzi o coś więcej, niż się dziś wydarzyło, Richardzie. Musisz zrozumieć, że możesz się stać - jako Poszukiwacz - przyczyną śmierci niewinnych ludzi. I jeżeli masz powstrzymać Ranią, to nie będziesz mógł ich wspomóc. Żołnierz na polu bitwy wie, że może dostać w plecy, jeśli się pochyli, żeby podnieść przyjaciela; wie, że jeżeli ma zwyciężyć, to powinien walczyć dalej, głuchy na wołania o pomoc. Ty też musisz posiąść ową umiejętność - to może być jedyna droga do zwycięstwa. Powinieneś się utwierdzić w owej powinności, zakarbować to sobie porządnie w pamięci. To walka o przetrwanie i wołać o pomoc będą nie żołnierze, a niewinni ludzie. Rahl Posępny zabije każdego, byle tylko zwyciężyć. Jego stronnicy też. Może się zdarzyć, że i ty będziesz do tego zmuszony. To agresor ustanawia prawa, czy ci się to podoba, czy nie. Musisz się do nich stosować lub zginiesz.

- Jak może ktokolwiek walczyć po jego stronie? Rahl Posępny chce każdego zdominować, zapanować nad wszystkim. Jak mogliby dlań walczyć?

Czarodziej oparł się o skałkę i zapatrzył poza wzgórza, jakby widział więcej niż chłopak. Powiedział ze smutkiem:

- Wielu ludziom odpowiadają rządy silnej ręki, Richardzie. Tylko wtedy dobrze im się żyje, tylko wtedy prosperują. Tacy zachłanni egoiści nie mogą patrzeć na wolnych ludzi, uważają ich za zagrożenie. Potrzebny im jest przywódca, który przytnie zbyt wysokie drzewo, żeby słońce dotarło do poszycia, że tak to obrazowo ujmę. Uważają, że żadna roślina nie powinna wyrastać ponad najniższe i zasłaniać im światło. Prędzej wybiorą jakąś „wiodącą” latarnię (bez względu na to, jakie ją zasila paliwo), niż sami zapalą świecę. Niektórzy z nich sądzą, że Rahl Posępny będzie dla nich łaskawy, gdy zwycięży, że ich szczodrze wynagrodzi za usługi, więc są równie bezlitośni jak on, by zaskarbić sobie jego łaski. Inni natomiast nie są w stanie dostrzec

prawdy i walczą w obronie kłamstw, którymi ich karmią. Jeszcze inni dostrzegają w blasku owej gwiazdy przewodniej, że są zakuci w kajdany, lecz wówczas jest już za późno. - Zedd westchnął i wygładził rękawy szaty. - Zawsze były wojny, Richardzie. A każda wojna to mordercza walka pomiędzy wrogami. Mimo to żadna armia nie wyruszyła w bój, sądząc, że Stwórca stoi po stronie przeciwnika.

- To nie ma najmniejszego sensu. - Chłopak potrząsnął głową.

- Jestem pewny, iż stronnicy Rahla uważają nas za krwiożercze, zdolne do wszystkiego potwory. Przecież wciąż im opowiadano, jacy to jesteśmy brutalni i bezlitośni. Za to o Rahlu Posępnym wiedzą tylko tyle, ile on sam zechciał im o sobie powiedzieć. - Czarodziej zmarszczył brwi, a jego rozumne oczy błysnęły ostro. - Może to i przewrotna logika, lecz przez to ani mniej zdradziecka czy mniej niebezpieczna. Zwolennicy Rahla mają nas po prostu zmiażdżyć, nie muszą się nad niczym zastanawiać. Lecz ty powinieneś ruszyć głową, jeżeli chcesz zwyciężyć mocniejszego przeciwnika.

- To mi zostawia niewielkie możliwości manewru. - Richard przeczesał włosy palcami. - Mogę się stać przyczyną śmierci niewinnych ludzi, a nie mogę zabić Rahla Posępnego.

- Nie. - Zedd spojrzał nań znacząco. - Nigdy nie powiedziałem, że nie możesz zabić Rahla Posępnego. Mówiłem, że nie możesz go zabić mieczem.

Chłopak spojrzał bacznie na starego przyjaciela. Ledwo widział jego twarz w nikłej księżycowej poświacie. Wciąż był w ponurym nastroju, lecz zaczynał myśleć i o innych sprawach.

- Czy byłeś do tego zmuszony, Zeddzie? - spytał spokojnie. - Czy musiałeś pozwolić, by ginęli niewinni?

Zedd zadumał się, minę miał zawziętą i srogą.

- Podczas ostatniej wojny, no i teraz. Kahlan mi powiedziała, że Rahl zabija ludzi, żeby z nich wydusić moje imię. Nikt nie może mu go zdradzić, lecz on nie przestaje zabijać, bo się łudzi, że w końcu je pozna. Mógłbym się wydać w jego ręce i powstrzymać dalsze zabójstwa, ale wówczas nie byłbym w stanie dopomóc w pokonaniu Rahla, przez co stałbym się powodem śmierci jeszcze większej liczby ludzi. To trudny i bolesny wybór: pozwolić, by niektórzy zmarli straszną śmiercią, czy skazać na takową wielu, wielu innych.

- Tak mi przykro, przyjacielu. - Richard jeszcze mocniej otulił się płaszczem. Noc była zimna i czuł wewnętrzny chłód. Przeniósł wzrok na spokojną okolicę, potem

z powrotem na Zedda. - Poznałem nocnego ognika, Shar, zanim zmarła. Ofiarowała swoje życie, żeby Kahlan mogła się tu przedostać i ocalić wielu innych. Więc i Kahlan dźwiga to samo brzemię, co i ty.

- O, tak - odparł łagodnie czarodziej. - Serce mi się ściska z żalu, kiedy pomyślę, co widziały oczy tej dziewczyny. I co mogą zobaczyć twoje, chłopcze.

- Przy tym wszystkim moje zmartwienie staje się małe i błahe. - Ale wcale nie mniej bolesne - powiedział współczująco starzec. Chłopak znów przepatrzył okolicę. - Jeszcze jedna sprawa, Zeddzie. Zanim dotarliśmy do twojego domu, ofiarowałem Kahlan jabłko.

- Dałeś czerwony owoc komuś z Midlandów? - zaśmiał się zaskoczony czarodziej. - To równoznaczne z wystawieniem się na śmierć, mój chłopcze. Każdy czerwony owoc to w Midlandach śmiertelna trucizna.

- Teraz też to wiem, lecz wówczas nie miałem o tym pojęcia.

- I co powiedziała? - Zedd pochylił się ku chłopakowi i uniósł brew.

- Nie ma znaczenia, co powiedziała - zerknął na niego spod oka Richard - lecz to, co zrobiła. Chwyciła mnie za gardło. Przez chwilę czytałem w jej oczach, że ma zamiar mnie zabić. Nie wiem, w jaki sposób, ale na pewno chciała mnie zabić. Wahała się na tyle długo, że się zdążyłem wytłumaczyć. Chodzi o to, że jest moją przyjaciółką i wiele razy ocaliła mi życie, lecz w tamtej chwili była gotowa mnie uśmiercić. - Chłopak zamilkł na moment. - To o czymś takim mówiłeś, prawda?

Starzec odetchnął i skinął głową.

- Tak. Czy potrafiłbyś mnie zabić, Richardzie, gdybyś podejrzewał, tylko podejrzewał, że jestem zdrajcą i że nasza sprawa przepadłaby, gdybym nim naprawdę był? Gdybyś nie miał ani czasu, ani możliwości, by odkryć prawdę, lecz tylko i wyłącznie był przekonany o mojej winie? Czy potrafiłbyś mnie wówczas zabić, chłopcze? Czy podniósłbyś na mnie miecz? - Zedd wbił w Osłupiałego Richarda gorejące oczy.

- Ja... Nie wiem... - wykrztusił wreszcie chłopak.

- Więc lepiej wiedz albo nie masz po co stawać przeciwko Rahl owi. Zabraknie ci woli, aby żyć i zwyciężać. Może się zdarzyć że będziesz musiał w jednej chwili podjąć taką decyzję. Kahlan wie o tym, wie, co ją czeka, gdy zawiedzie. Ona już się zdecydowała.

- Lecz mimo to zawahała się. Z tego, co powiedziałeś, wynikałoby, że popełniła błąd. Mogłem ją pokonać. Lub ona mogła mnie zabić, zanim bym ją

pokonał. - Chłopak się zmarszczył. - I mogła się mylić.

- Nie schlebiaj sobie, Richardzie. - Zedd z wolna potrząsnął głową. - Trzymała rękę na twoim gardle. Nie zdołałbyś jej ubiec. Kontrolowała całą sytuację i mogła ci pozwolić na wyjaśnienia. Nie popełniła żadnego błędu.

Trochę to wstrząsnęło chłopakiem, ale nie chciał tak łatwo ustąpić.

- Ty byś nie mógł, nie potrafiłbyś nas zdradzić, ja zaś nie potrafiłbym jej zranić. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- O to, że powinieneś zdecydowanie zadziałać, gdybym jednak was zdradził. Musisz mieć siłę mnie zabić, gdyby to się okazało konieczne. O to, że Kahlan - wiedząc, iż jesteś jej przyjacielem i nie skrzywdzisz jej - była przygotowana na taki czyn. I zabiłaby cię, gdybyś jej prędko nie przekonał o swojej niewinności.

Richard milczał przez chwilę, obserwując starego przyjaciela.

- Gdybyś myślał, że zagrażam naszej sprawie, że nie ma innego wyjścia, to mógłbyś... No, wiesz?

- W okamgnieniu - odparł Zedd bez cienia emocji.

Przeraziło to chłopaka, lecz rozumiał, co czarodziej chciał mu Przekazać: tylko całkowite oddanie sprawie mogło im przynieść zwycięstwo. Rahl na pewno nie okazałby litości, gdyby przegrali, Zginęliby. Taka była prawda.

- Dalej chcesz być Poszukiwaczem? - spytał Zedd.

- Tak - odparł zapatrzony przed siebie chłopak.

- Wystraszony?

- Jeszcze jak.

- To dobrze. - Czarodziej poklepał go po kolanie. - Boja też. Martwiłbym się, gdybyś się nie bał.

Poszukiwacz spojrzał lodowato na czarodzieja.

- Zamierzam sprawić, by i Rahl Posępny się bał.

- Będzie z ciebie świetny Poszukiwacz, chłopcze. - Zedd się uśmiechnął i kiwnął głową. - Nie trać wiary.

Richard wzdrygnął się wewnętrznie na myśl, że Kahlan go mogła zabić za to tylko, że dał jej jabłko. Zmarszczył brwi.

- Dlaczego w Midlandach każdy czerwony owoc jest śmiertelną trucizną, Zeddzie? To nienormalne.

- Bo dzieci uwielbiają czerwone owoce, chłopcze. - Czarodziej ze smutkiem potrząsnął głową.

- To bezsensowne.

Zedd spuścił oczy, postukał kościstym palcem w ziemię.

- To się wydarzyło w czasie ostatniej wojny, mniej więcej o tej porze roku. Plony były już zebrane. Znalazłem gotowy czar. Zaklęcie, sporządzone dawno temu przez magów. Coś jak szkatuły Ordena. To była śmiertelna magia, związana z kolorem. Można było rzucić tylko jeden czar. Nie bardzo wiedziałem, jak się tym posługiwano, lecz rozumiałem, jakie to niebezpieczne... - Starzec głęboko odetchnął. - Panis Rahl położył na tym łapę i odkrył, jak się tym posłużyć. Wiedział, że dzieci przepadają za owocami, a chciał nam sprawić wielki ból. Więc wykorzystał tę magię, by zatruć wszelkie czerwone owoce. To podobne do jadu wężowej liany. Działa powoli. Trochę potrwało, zanim się zorientowaliśmy, co powoduje gorączkę i śmierć. Panis Rahl specjalnie wybrał to, co na pewno zjadały dzieci, a nie tylko dorośli... - Starzec mówił ledwo dosłyszalnym szeptem, zapatrzony w noc. - mnóstwo ludzi zmarło. Mnóstwo dzieci.

- Jak to zdobył, skoro ty znalazłeś ów czar? - zdumiał się Richard. Wyraz twarzy Zedda mógłby zmrozić słoneczny letni dzień.

- Miałem ucznia, młodzieńca, którego szkoliłem. Pewnego dnia zastałem go, jak majstrował przy czymś, co go nie powinno było obchodzić. Nabrałem podejrzeń. Czułem, że coś jest nie tak, lecz bardzo go lubiłem i dlatego nie zareagowałem od razu. Postanowiłem to przemyśleć nocą. Rankiem się okazało, że zniknął, a wraz z nim ów czar, który znalazłem. Szpiegował dla Panisa Rahla. Gdybym zareagował od razu, tak jak powinienem, i zabił go, ci ludzie by żyli, żyłyby wszystkie te dzieci.

- Skąd mogłeś wiedzieć - wykrztusił Richard. Bał się, że starzec wybuchnie lub odejdzie, lecz on tylko wzruszył ramionami.

- Ucz się na moim błędzie, chłopcze. Wówczas te zgony nie pójdą na marne. Może dzięki nim ocalisz innych przed skutkami zwycięstwa Rahla Posępnego.

Richard rozcierał ramiona, żeby się choć trochę rozgrzać.

- Czemu w Westlandzie czerwone owoce nie są trujące?

- Każda magia ma swoje granice. Ta zadziałała na pewnym obszarze od miejsca, w którym rzucono czar, akurat na terenie Midlandów. Granice by nie powstały, gdyby sięgała aż tu.

Chłopak namyślił się przez chwilę i wreszcie spytał:

- A nie można jakoś temu zaradzić? Sprawić, żeby czerwone owoce już nie były trujące?

Zedd się uśmiechnął. Richarda to i ucieszyło, i zdziwiło.

- Myślisz jak czarodziej, chłopcze. Jak odczynić czary. - Zapatrzył się w noc, zmarszczył brwi. - Może i jest sposób odczynienia czaru. Powinienem to zbadać i sprawdzić, co się da zrobić. Obiecuję, że się tym zajmę, kiedy pokonamy Rahla Posępnego.

- Wspaniale. - Richard ciaśniej się otulił płaszczem. - Każdy powinien móc zjeść jabłko, jeśli ma na nie apetyt. A zwłaszcza dzieci. - Popatrzył na starca. - Przyrzekam, że zapamiętam twoje nauki, Zeddzie. Nie zawiodę cię. Nie pozwolę, by zapomniano o tych, którzy zginęli.

Czarodziej się uśmiechnął i klepnął go przyjaźnie w plecy.

Dwaj przyjaciele siedzieli w milczeniu, odczuwając spokój nocy i wzajemne zrozumienie i rozmyślając o tym, co ich czeka. Richard dumał nad tym, co trzeba uczynić, o Panisie Rahlu i o Rahlu Posępnym. O tym, że wszystko wydaje się zupełnie beznadziejne i rozpaczliwe. Myśl o rozwiązaniu, a nie o problemie, napomniał się; jesteś Poszukiwaczem.

- Chcę, czarodzieju, żebyś coś uczynił. Sądzę, że już czas, żebyś zniknął. Rahl śledził nas dostatecznie długo. Możesz coś zrobić z tą chmurką?

- A wiesz, chyba masz rację. Dobrze byłoby wiedzieć, jak ona jest przywiązana do ciebie. Mógłbym ją wówczas odczepić, ale nie potrafię tego rozgryźć. Zastosuję inny sposób. - Potarł w zadumie swój ostry podbródek. - Czy było pochmurno lub padało kiedy zaczęła cię śledzić?

Richard spróbował sobie przypomnieć. Przez większość owych dni był jak otumaniony po śmierci ojca. Zdawało się, że to tak dawno temu.

- Zanim znalazłem wężową lianę, to owszem, padało w Ven, lecz kiedy tam dotarłem, już się wypogodziło. Nie, na pewno wtedy nie padało. I nie przypominam sobie, żeby było pochmurno od zabójstwa ojca. Co najwyżej parę cienkich, wysoko płynących obłoków. Jakie to ma znaczenie?

- A takie, że chyba zdołam oszukać chmurkę, nawet jeśli nie uda mi się jej odczepić od ciebie. I że skoro niebo było czyste, jest to sprawka Rahla. Rozproszył inne chmury, żeby ta jedna mogła cię bez przeszkód znaleźć. Proste i efektywne.

- Jak zdołał odsunąć tamte chmury?

- Rzucił specjalny czar na tę jedną, żeby odpychała pozostałe, i jakoś ją z tobą sczepił.

- Więc czemu nie rzucisz mocniejszego czaru, żeby przyciągała inne chmury;

zgubi się, zanim Rahl się zorientuje, i nie odnajdzie jej, żeby odczynić twoje czary. Jeżeli się posłuży silniejszym zaklęciem, żeby je rozpędzić i odnaleźć tę jedną - a nie będzie przecież wiedział, co zrobiłeś - to ten jego mocniejszy, odpychający czar mógłby zerwać ową więź.

Zedd spojrzał nań z niedowierzaniem, oczy mu zabłysły.

- Kurczę, Richardzie, to świetny pomysł! Byłbyś wspaniałym czarodziejem, chłopcze!

- O nie, piękne dzięki. Już mam jedno przeraźliwe zajęcie.

Zedd cofnął się nieco i zmarszczył, lecz nic nie powiedział. Wsunął kościstą rękę w fałdy szaty i wyjął kamień, po czym położył go przed nimi na ziemi. Wstał i zaczął zataczać dłonią koła nad owym kamieniem, a on nagle się rozrósł w sporą skałkę.

- Przecież to twój „chmurny" kamień, Zeddzie!

- Prawdę mówiąc, chłopcze, to skałka czarodzieja. Dał mi ją mój ojciec, dawno, dawno temu.

Palec czarodzieja kołował szybciej i szybciej, aż trysnęło światło, zawirowały iskierki i barwy. Starzec wciąż mieszał ów blask.

Nie było słychać żadnych dźwięków, czuli jedynie woń wiosennego deszczu. W końcu czarodziej poczuł się usatysfakcjonowany.

- Stań na skałce, chłopcze.

Richard niepewnie wstąpił w blask. Poczuł mrowienie i ciepło, jakby leżał nago w promieniach letniego słońca tuż po kąpieli. Rozkoszował się ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa. Powoli wyciągnął w przód ramiona, odchylił w tył głowę, zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Czuł się cudownie, jakby się unosił w wodzie, lecz to nie była woda, lecz światło. Ogarnęła go radość. Jego umysł złączył się ze wszystkim, co go otaczało. Chłopak odczuwał jedność z drzewami, trawą, owadami i ptakami, wszystkimi zwierzętami, z wodą i nawet z powietrzem; był częścią całości. Zrozumiał, jak wszystko się łączy i zazębia, jak jest słaby i jednocześnie potężny. Patrzył na świat oczami wszystkich stworzeń. To było wstrząsające, cudowne przeżycie. Wniknął w przelatującego ptaka i spojrzał na świat jego oczami. Polował wraz z nim, głodny i niecierpliwy, obserwował ognisko i śpiących ludzi.

Chłopak pozwolił, by jego świadomość się rozproszyła. Stał się każdą istotą - czuł ich pragnienia, strach, radość, rozumiał potrzeby. Potem pozwolił, by wszystko

odpłynęło w nicość, i stał sam jeden w pustce, sam w całym wszechświecie, jedyna żywa istota, jedyna istność. Pozwolił, by przeniknęło go światło, blask, który przyniósł tych, którzy przed nim się posługiwali czarodziejskim głazem: Zedd, jego ojciec i poprzedzający ich czarodzieje, sprzed tysięcy lat, sprzed niepoliczalnych lat, wszyscy. Przepływali przez niego, współistnieli z nim, a ów cud sprawił, że łzy popłynęły z oczu Richarda.

Zedd wyciągnął rękę, sypnął magicznym proszkiem - ów zawirował wokół Richarda. Iskierki zebrały się na piersi chłopaka. Z brzękiem kryształowych dzwoneczków magiczny pył uniósł się w niebo, coraz wyżej i wyżej, aż dotarł do chmurki. Wniknął w nią i rozjaśnił kolorami. Horyzont rozbłysnął błyskawicami, zygzakiem ognia.

Nagle błyskawice zgasły, blask chmurki zniknął, światło na powrót się skryło w czarodziejskiej skałce. Wszystko ucichło. Richard znów był sobą, stał na zwykłym głazie. Popatrzył, zdumiony, na uśmiechniętą twarz Zedda.

- Teraz już wiem, Zeddzie, czemu wciąż stałeś na tej skałce - szepnął.- Nigdy jeszcze nie doświadczyłem czegoś takiego. Nie wiedziałem.

- Masz wrodzony talent, chłopcze. - Uśmiechnął się chytrze starzec - Wyciągnąłeś ręce dokładnie tak, jak trzeba, właściwie odchyliłeś głowę, nawet plecy wygiąłeś poprawnie. Sam wiedziałeś, jak się zachować. Masz zadatki na świetnego czarodzieja radował się Zedd. - A teraz sobie wyobraź, co byś czuł bez szat

- To ma jakieś znaczenie? - zdziwił się chłopak.

- Oczywiście. Szaty przeszkadzają w doznaniach. Pewnego dnia pozwolę ci spróbować.

- Czemu mnie do tego skłoniłeś, Zeddzie? To wcale nie było konieczne. Sam to mogłeś zrobić.

- Jak się teraz czujesz?

- Sam nie wiem. Odmieniony. Odprężony. Jaśniej myślę Ani się nie przeceniam, ani nie deprecjonuję.

- I dlatego dałem ci tego zakosztować, przyjacielu. Bardzo tego potrzebowałeś. Miałeś ciężką noc. Nie mam wpływu na twoje problemy, lecz mogę sprawić, że się lepiej poczujesz.

- Dzięki, Zeddzie.

- Idź się przespać, teraz moja warta - mruknął starzec. - Gdybyś czasem zmienił zdanie i zdecydował się zostać czarodziejem, to z dumą wprowadzę cię do

bractwa. - Wyciągnął dłoń i z ciemności wrócił do niego kawałek sera, który przedtem wyrzucił.

Rozdział czternasty

Chase zatrzymał konia.

- O, tutaj, to odpowiednie miejsce.

Sprowadził ich ze szlaku pomiędzy od dawna uschnięte świerki. Na szarosrebrnych szkieletach drzew zachowały się tylko nieliczne gałęzie, tu i tam widniały kępki zielonego mchu. Miękki grunt zaścielały gnijące szczątki dawnych władców lasu. Szerokie, płaskie liście brunatnego bagiennego zielska, splątane przez minione burze, wyglądały jak kłębowisko martwych węży. Konie ostrożnie stąpały poprzez ową plątaninę. W gorącym, ciężkim od wilgoci powietrzu unosiła się woń zgnilizny. Wędrowcom towarzyszyła chmurka moskitów - jedynych żywych istot w całej okolicy, osądził Richard. Większość drzew leżała na ziemi, ale niewiele było tu światła, bo niebo zasnuwała gruba warstwa niskich chmur. Wśród resztki stojących jeszcze uschniętych drzew snuły się pasma mgły, więc srebrzyste czubki świerków były wilgotne i gładkie.

Chase jechał pierwszy, potem Zedd, za nim Kahlan. Richard zamykał kawalkadę, czuwając nad nimi. Widoczność sięgała jedynie kilkuset stóp. Chase wydawał się spokojny, lecz chłopak bacznie się rozglądał dokoła - coś mogło się podkraść zbyt blisko, zanim by to zauważyli. Wszyscy się opędzali od moskitów i - z wyjątkiem Zedda - otulali płaszczami. Starzec wzgardził płaszczem; pogryzał pozostałości lunchu i rozglądał się wokół, jakby był na wycieczce krajoznawczej. Richard miał wspaniały zmysł orientacyjny, mimo to się cieszył, że to Chase ich prowadzi. Całe trzęsawisko wyglądało podobnie, monotonnie, a chłopak z doświadczenia wiedział, jak łatwo zbłądzić w takiej okolicy.

Od seansu na czarodziejskiej skałce odpowiedzialność mniej ciążyła Richardowi. Postrzegał ją teraz także jako nieodłączną część uczestnictwa w słusznej sprawie. Nie pomniejszał grożącego niebezpieczeństwa, lecz silniej czuł potrzebę przyczynienia się do pokonania Rahla. Swój udział w sprawie traktował jako szansę wspomożenia tych, którzy nie mieli możliwości walki z Rahlem Posępnym. Miał świadomość, że już się nie może wycofać - byłby to kres i jego samego, i wielu innych.

Chłopak obserwował Kahlan. Kołysała się lekko w rytm kroków konia. Tak by ją pragnął zaprowadzić do znanych sobie miejsc w Lasach Hartlandzkich, miejsc pięknych, spokojnych, daleko w górach, pokazać dziewczynie wodospad i znajdującą się za nim jaskinię; zjeść z nią lunch nad spokojnym leśnym jeziorkiem, zabrać do

miasta i kupić coś ładnego. Zabrać ją tam, gdzie byłaby bezpieczna. Chciał, żeby się mogła uśmiechnąć i nie martwić o to, czy wrogowie nadchodzą. Wydarzenia ostatniej nocy wykazały, że pragnienie bycia z Kahlan jest mrzonką.

- To tutaj. - Chase uniósł rękę, zatrzymując jeźdźców.

Richard rozejrzał się wokół. Wciąż byli na bezkresnym, obumarłym, wysuszonym trzęsawisku. Nie dostrzegł żadnej granicy. Cała okolica wyglądała tak samo. Przywiązali konie do zwalonego pnia i poszli piechotą za strażnikiem.

- Granica - oznajmił Chase, wyciągając przed siebie ramię, Nic nie widzę - odezwał się chłopak.

- Patrz. - Chase uśmiechnął się.

Strażnik ruszył przed siebie, powoli i spokojnie. Z wolna formowała się wokół niego zielonkawa poświata, początkowo ledwie dostrzegalna. Z każdym jego krokiem nasilała się i stawała coraz jaskrawsza, po dalszych dwudziestu krokach przemieniła się w taflę zielonego światła, najsilniejszego przy Chasie, przygasającego na jakieś dziesięć stóp od niego na boki i w górę, taflę światła rozrastającą się z każdym krokiem. Wyglądało to jak zielone szkło, pofalowane i zniekształcone, lecz Richard dostrzegał przez nie obumarłe drzewa. Chase zatrzymał się i zawrócił - szedł ku nim, a zielona poświata słabła i w końcu zanikła. Chłopak zawsze sądził, że granica to coś w rodzaju muru, coś, co widać.

- To jest granica? - spytał, nieco zawiedziony.

- A czego byś chciał? Popatrz na to.

Chase pochylił się, podnosił po kolei gałęzie i sprawdzał ich wytrzymałość. Większość spróchniała i łatwo się łamała. W końcu znalazł odpowiednią, długą na jakieś dwanaście stóp. Wrócił z nią w zieloną poświatę, do miejsca, w którym się zmieniała w taflę blasku. Uchwycił gałąź za grubszy koniec i wepchnął resztę w „mur”. Po sześciu stopach czubek patyka zniknął, strażnik dalej pchał gałąź i wreszcie trzymał w ręce coś, co wyglądało na sześciostopowy patyczek, a nie dwunastostopową gałąź. Richard był zaskoczony - widział to, co było poza taflą światła, ale nie mógł dostrzec drugiego końca gałęzi. To było nieprawdopodobne.

Gałąź w ręce strażnika podskoczyła gwałtownie. Nie rozległ się żaden dźwięk. Chase cofnął się i wrócił do pozostałych. Pokazał im odłamany koniec ośmiostopowego teraz kija. Mokry od śliny.

- Sercowe psy. - Chase wyszczerzył zęby.

Zedd wydawał się znudzony. Kahlan wcale to nie rozbawiło. Richard osłupiał.

Tylko on jeden zareagował na pokaz strażnika, więc Chase pociągnął go za sobą.

- Chodź, pokażę ci, jak to jest. - Ujął chłopaka mocno pod ramię i ostrzegł: - Nie spiesz się, idź powoli, powiem ci, kiedy dotrzemy w odpowiednie miejsce. Nie puszczaj mojego ramienia.

Wolno ruszyli naprzód. Pojawił się zielony blask. Stawał się intensywniejszy z każdym ich krokiem, lecz był odmienny od tego, który Richard obserwował przedtem wokół przyjaciela. Wtedy blask się rozciągał na oba boki od strażnika i ponad nim - teraz był wszędzie dokoła. Rozległo się brzęczenie jakby tysiąca trzmieli. W miarę jak wchodzili w głąb, ów dźwięk się stawał głębszy, lecz nie głośniejszy. Również i zielone światło nabierało mocy, a las wokół mroczniał, jakby zapadała noc. Potem nagle przed nimi pojawiła się zielona tafla - zewsząd otaczała ich zielona poświata. Richard z trudem dostrzegał las, obejrzał się i nie zobaczył ani Zedda, ani Kahlan.

- Teraz ostrożnie - ostrzegł Chase.

Dotarli do ściany zielonego blasku. Richard czuł, jak napiera na jego ciało. Wtem wszystko ściemniało, jakby się znalazł w nocy w jaskini, zielona poświata otoczyła i jego, i strażnika. Chłopak mocniej ujął ramię przyjaciela. Fale brzęczenia uderzały o jego pierś Jeszcze krok... I zielona ściana gwałtownie się zmieniła.

- Zaszliśmy dostatecznie daleko - orzekł Chase, a jego głos odbił się echem.

Zielona ściana nabrała mrocznej przejrzystości, Richard miał wrażenie, że patrzy w głębokie jezioro w czarnym, gęstym lesie. Chase stał nieruchomo i obserwował chłopaka.

Po drugiej stronie tafli poruszały się jakieś kształty.

Atramentowoczarne zarysy falowały w mroku po drugiej stronie ściany - unoszące się w głębinach duchy.

Zmarli, umarli w swojej dziedzinie. Coś poruszyło się szybciej, bliżej nich.

- Psy - powiedział Chase.

Richard poczuł osobliwą tęsknotę. Tęsknotę za mrokiem. Zdał sobie sprawę, że owo brzęczenie to nie jakiś tam dźwięk, a głosy.

Głosy szepcące jego imię.

Wołały go tysiące odległych głosów. Napływało coraz więcej czarnych kształtów - wołały go, wyciągały do niego ramiona.

Richard poczuł nagle niespodziewane ukłucie osamotnienia. Doznał uczucia osamotnienia i pustki swojego życia, każdego życia. Po co miał się narażać na ból, skoro czekali, by go powitać? I już nigdy nie będzie sam. Czarne kształty podpłynęły

bliżej, nawołując go. Zaczął dostrzegać twarze. Zupełnie jakby patrzył poprzez mętną wodę. Zbliżyli się jeszcze bardziej. Gorąco zapragnął wejść pomiędzy nich. Być tam razem z nimi.

I wówczas zobaczył ojca. Serce Richarda załomotało.

Ojciec zawołał do niego żałosnym, ponurym głosem. Wyciągnął ramiona, desperacko starając się objąć syna. Był tuż za świetlną ścianą. Serce chłopaka zamierało z tęsknoty i żalu. Od tak dawna nie widział ojca. Rozpaczał za nim, pragnął się do niego przytulić. Już nigdy nie musiałby się bać. Tylko dotrzeć do ojca. I już będzie bezpieczny. Bezpieczny. Zawsze.

Richard próbował dotrzeć do ojca, chciał doń pójść, przedostać się przez ścianę. Ale coś go trzymało za ramię. Szarpnął się, zirytowany. Ktoś go nie chciał puścić do ojca. Wrzasnął, żeby ten ktoś go puścił. Głos miał głuchy, pusty.

Potem zaczęto go odciągać, odciągać od ojca.

Wybuchnął gniewem. Ktoś ciągnął go w tył. Rozwścieczony Richard złapał za miecz. Wielka łapa spadła na jego dłoń. Krzycząc z gniewu, próbował się uwolnić, szarpał się wściekle, chciał strącić dłoń tamtego, lecz przeciwnik był silniejszy, trzymał go w krzepkim uścisku i odciągał od ojca. Chłopak walczył, ale tamten wygrywał.

Ciemność nagle zniknęła, pojawiła się zielona ściana. To Chase ciągnął go w tył, byle dalej od mroków, poprzez zielony blask. Znienacka pojawił się ich świat. Martwe, wyschnięte mokradła.

Richard zdrętwiał z przerażenia. Uświadomił sobie, co chciał uczynić. Chase puścił zaciśniętą na rękojeści miecza dłoń chłopaka. Roztrzęsiony Richard wsparł się o ramię przyjaciela, z trudem łapiąc oddech. Wyszli z zielonej poświaty. Chłopak poczuł ulgę.

- W porządku? - Chase spojrzał mu badawczo w oczy.

Richard kiwnął głową, jeszcze nie mógł mówić. Widok ojca na nowo rozbudził przerażający żal i smutek. Chłopak wytężał wszystkie siły, by oddychać, by się utrzymać na nogach. Bolało go gardło. Zdał sobie sprawę, że się dusi.

Ogarnęło go przerażenie. Tak mało brakowało, żeby przeszedł przez ścianę, wkroczył w strefę śmierci. Nie był zupełnie przygotowany na to, co się wydarzyło. Już by nie żył, gdyby nie Chase. On, Richard, chciał wejść w zaświaty. Miał uczucie, że sam siebie nie znał. Dlaczego chciał tam przejść, poddać się? Czemu był taki słaby? Lekkomyślny?

Głowa chłopaka pulsowała bolesnymi myślami. Nie potrafił odpędzić od siebie wspomnienia ojcowskiej twarzy, tego, jak ojciec wyciągał do niego ramiona, jak tęsknił za nim, jak go desperacko nawoływał. Aż do bólu pragnął być przy nim. Tak niewiele brakowało. Wizja tkwiła w umyśle Richarda i nie chciała zniknąć. Nie chciał, żeby zniknęła, pragnął wrócić. Czuł, jak go ciągnie z powrotem, choć się temu opierał.

Na skraju zielonej poświaty czekała na nich Kahlan. Objęła opiekuńczo Richarda, odciągnęła od strażnika. Wolną ręką odwróciła głowę chłopaka, zmusiła go, by na nią spojrzał.

- Posłuchaj mnie, Richardzie. Myśl o czymś innym. Skup się. Musisz pomyśleć o czymś innym. Chcę, żebyś sobie przypomniał wszystkie odgałęzienia każdego szlaku w Hartlandzie. Możesz to dla mnie uczynić? Błagam. Zrób to zaraz. Przypomnij to sobie

Richard skinął głową i zaczął sobie przypominać.

Dziewczyna z wściekłością obróciła się ku strażnikowi i z całej siły uderzyła go w twarz.

- Ty draniu! - wrzasnęła. - Dlaczego mu to zrobiłeś! - Znów go spoliczkowała z całych sił, włosy opadły jej na twarz. Chase nie próbował jej powstrzymać. - Specjalnie to zrobiłeś! Jak mogłeś! - Zamierzyła się trzeci raz, lecz złapał ją za nadgarstek.

- Chcesz, żebym ci odpowiedział, czy wolisz mnie bić?

Wyrwała dłoń, piorunując strażnika spojrzeniem. Ciężko dyszała. Kosmyki włosów opadły jej na policzki.

- Przeprawa przez Królewską Bramę to nie zabawka. Droga nie wiedzie prosto, lecz wije się i zawraca. Miejscami jest bardzo wąska i dwie ściany granicy niemal się stykają. Chwilka nieuwagi i przepadłaś. Ty przebyłaś granicę, Zedd też, więc rozumiecie. Granicy nie widać, dopóki się w nią nie wejdzie; wtedy dopiero wiesz, gdzie się znajduje. Ja to wiem, bo spędziłem tu całe moje życie. Teraz, kiedy zanika, jest jeszcze bardziej niebezpieczna, bo łatwiej w nią wejść. Gdyby cię coś zaatakowało na ścieżce, Richard mógłby się dostać do zaświatów, wcale o tym nie wiedząc. - To żadne tłumaczenie! Powinieneś był go ostrzec! - Żadne z moich dzieci nie czuło respektu przed ogniem, dopóki się nie sparzyło. Same dobre rady nie wystarczą, lepiej jest tego doświadczyć na własnej skórze. Gdyby Richard nie zapoznał się z tym, zanim wejdziemy w Królewską Bramę, mógłby nie dotrzeć na

drugą stronę. Tak, wziąłem go tam celowo. Żeby go z tym zapoznać. Żeby go ocalić.

- Mogłeś go ostrzec!

- Nie. - Chase potrząsnął głową. - On musiał to zobaczyć.

- Wystarczy! - odezwał się Richard. Znów mógł jasno myśleć. Popatrzyli nań.

- Kiedyż nadejdzie taki dzień, w którym żadne z was śmiertelnie mnie nie wystraszy! Wiem, wiem, macie na względzie tylko moje dobro. Teraz mamy poważniejsze zmartwienia na głowie. Skąd wiesz, Chase, że granica zanika? Co się zmieniło?

- Ściana się zmieniła. Przedtem nie mogłeś dojrzeć ciemności poprzez zieleń. Nie widziałeś tego, co jest po drugiej stronie.

- Chase ma rację - poparł go Zedd. - Widziałem to nawet stąd.

- Kiedy zaniknie? - spytał Richard czarodzieja.

- Trudno powiedzieć. - Starzec wzruszył ramionami.

- No to zgaduj! - odpalił chłopak. - Powiedz choć w przybliżeniu.

- To potrwa co najmniej dwa tygodnie. Lecz nie dłużej niż sześć, siedem.

- Możesz ją wzmocnić zaklęciami? - zapytał chłopak po chwili namysłu.

- Nie mam takiej mocy.

- Czy Rahl wie o Królewskiej Bramie, Chase?

- Skąd mam to wiedzieć?

- Czy ktoś chodził tym szlakiem?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Wątpię, by znał - wtrącił się Zedd. - Rahl może przebywać w zaświatach, nie potrzebuje przejścia. Teraz niszczy granice, po co miałby się przejmować jakąś ścieżyną.

- Przejmowanie się to nie to samo co posiadanie wiedzy - oświadczył Richard. - Nie powinniśmy tu stać. Obawiam się, że Rahl się dowie, dokąd idziemy.

- O co ci chodzi? - Kahlan odgarnęła włosy z twarzy.

- Myślisz, że przedtem widziałaś swoją matkę i siostrę? - Chłopak spojrzał na nią współczująco.

- Tak sądzę. Jesteś innego zdania?

- Nie wydaje mi się, żeby to był mój ojciec. - Chłopak popatrzył na czarodzieja. - Co o tym myślisz?

- Pojęcia nie mam. Nikt nie zna zaświatów aż tak dobrze.

- Rahl Posępny zna - rzekł gorzko chłopak. - Nie wydaje mi się, żeby mój

ojciec chciał mnie tam wciągnąć. Za to Rahl na pewno chciałby. Dlatego też, na przekór temu, co widziały moje oczy, twierdzę, że bardziej prawdopodobne jest, że to uczniowie Rahla chcieli mnie zwabić w zaświaty. Mówiłeś, że nie możemy wejść w granicę, bo tam na nas czekają i złapią nas. I myślę, że to właśnie widziałem - stronników Rahla w zaświatach. Dobrze wiedzą, gdzie dotknąłem ściany. Jeżeli mam rację, to Rahl wkrótce się dowie, gdzie jesteśmy. Nie mam ochoty tu czekać, żeby się przekonać, czy mam rację, czy nie.

- Słusznie, Richardzie - odezwał się Chase. - I tak musimy dotrzeć przed nocą do Skow Swamp, zanim sercowe psy wyj da z granicy. To jedyne bezpieczne miejsce przed Southaven. Do Southaven dotrzemy przed jutrzejszą nocą i wtedy psy już nam nie będą zagrażać. Prześpimy się i pójdziemy do zaprzyjaźnionej ze mną Adie, kościanej babki. Mieszka w pobliżu przejścia. Będziemy potrzebowali jej pomocy. Ale dziś musimy dotrzeć do bagniska, to nasza jedyna szansa ocalenia.

Richard miał zapytać, kto to taki kościana babka i po co im jej pomoc przy przekraczaniu granicy, gdy nagle w powietrzu zmaterializował się ciemny mglisty kształt i uderzył w strażnika z taką siłą, że ten przeleciał ponad kilkoma powalonymi drzewami. Potem to coś z piorunującą szybkością owinęło się - jak rzemień - wokół nóg Kahlan i zwaliło ją na ziemię. Dziewczyna krzyknęła: „Richard”, a on się pochylił i złapał ją za nadgarstek. Kahlan w ten sam sposób wczepiła się w jego rękę. „Coś” ciągnęło ich ku granicy.

Z palców Zedda strzelił ogień i przemknął ponad głowami młodych, a potem zniknął. Wystrzeliła następna macka i wyrzuciła starca w powietrze. Richard zaczepił stopę o gałąź leżącego na ziemi pnia. Lecz drewno było spróchniałe i pękło. Chłopak próbował wbić obcasy w ziemię, lecz buty się ślizgały po wilgotnym bagiennym zielsku. W końcu jakoś mu się to udało, niestety, nie miał tyle siły, by powstrzymać ściąganie ich obojga ku granicy. Musiał mieć wolne ręce.

- Obejmij mnie w pasie! - wrzasnął.

Kahlan szarpnęła się w przód i wykonała polecenie. Czarna macka zafalowała i mocniej uchwyciła nogi dziewczyny, która aż krzyknęła z bólu. Richard wyszarpnął miecz, rozległ się charakterystyczny stalowy brzęk.

Wokół młodych zaczęła się pojawiać zielona poświata.

Chłopak zapłonął gniewem. Strach już minął. Coś próbowało pojmać Kahlan. Zielone światło stawało się jaskrawe. Richard nie mógł dosięgnąć ciągnącej ich macki. Kahlan mocno obejmowała go w pasie, jej nogi były zbyt daleko, a macka -

jeszcze dalej.

- Puść mnie, Kahlan!

Lecz dziewczyna za bardzo się bała, by usłuchać. Trzymała się mocno, rozpaczliwie. Pojawiła się zielona tafla. Narastało buczenie.

- Puść mnie!!! - wrzasnął ile tchu w piersi.

Spróbował oderwać ręce Kahlan od siebie, poluzować chwyt. Drzewa bagniska zaczynały niknąć w mroku. Richard czuł napór zielonej ściany. Skąd w Kahlan tyle siły? Wleczony plecami po ziemi usiłował rozerwać splecione ze sobą dłonie dziewczyny ale mu się nie udawało. Mógłby ich uratować, gdyby zdołał wstać.

- Kahlan! Puść mnie albo zginiemy! Nie pozwolę, żeby cię dostali! Zaufaj mi! Puść! - Nie wiedział, czy mówi prawdę, lecz był przekonany, że to jedyna szansa ratunku.

Kahlan uniosła wykrzywioną bólem twarz. Krzyknęła i puściła Richarda.

W okamgnieniu poderwał się na nogi. Tuż przed nim zmaterializowała się czarna ściana. Sięgnął poń ojciec. Richard pozwolił zapłonąć gniewowi i pchnął gwałtownie. Ostrze przeniknęło barierę, spadło na postać, która na pewno nie była ojcem chłopaka. Ciemny kształt zaskomlał i rozpadł się.

Stopy dziewczyny dotykały mrocznej przegrody, czarna macka ciągnęła z całych sił. Richard uniósł miecz. Ogarnęła go mordercza pasja.

- Nie, Richardzie! To moja siostra!

Chłopak wiedział, że to tylko pozór, jak w wypadku jego ojca. Całkowicie podporządkował się ogarniającej go pasji i ciął tak mocno, jak tylko zdołał. Ostrze znów przeszło poprzez mroczną ścianę i spadło na odrażającą postać, która wciągała Kahlan. Zamigotało, rozległy się jęki i zawodzenia. Macka zniknęła z nóg dziewczyny. Kahlan leżała bezwładnie na ziemi.

Richard nawet nie popatrzył, co się dzieje za przegrodą, schylił się, objął dziewczynę w pasie i jednym ruchem poderwał z ziemi. Trzymał ją mocno, miecz skierował na mroczną barierę i wycofywał się z granicy. Wypatrywał kolejnego agresora. Wyszli z zielonego światła.

Chłopak zatrzymał się dopiero przy koniach. Wtedy puścił Kahlan, a ona odwróciła się ku niemu i mocno go objęła, drżąc z dopiero co przeżytej grozy i bólu. Richard z trudem powściągał furię, która mu nakazywała wrócić tam i zaatakować ich. Wiedział, że powinien odłożyć miecz - wtedy by się łatwiej uspokoił - lecz nie ośmielił się tego uczynić.

- Gdzie są tamci? - spytała z przerażeniem Kahlan. - Musimy ich znaleźć. Odskoczyła od Richarda i chciała biec z powrotem. Złapał ją za rękę, niemal zwalając z nóg.

- Zostań tu! - wrzasnął z przesadnym gniewem i zmusił dziewczynę, żeby usiadła.

Chłopak znalazł nieprzytomnego Zedda. Pochylił się ku starcowi, a wówczas coś przemknęło mu nad głową. Znów zapłonął gniewem. Obrócił się i ciął mieczem czarny kształt. Odcięta część rozwiała się w powietrzu, a reszta z jękiem uciekła ku granicy. Richard podniósł Zedda i przerzucił przez ramię jak worek ziarna; zaniósł do Kahlan i ostrożnie złożył obok dziewczyny. Położyła głowę czarodzieja na swoich kolanach, sprawdziła, czy nie ma ran. Chłopak pobiegł z powrotem. Biegł schylony, ale spodziewany atak nie nastąpił. A szkoda, bo tęsknił za walką. Chase leżał, częściowo przywalony jakąś kłodą. Richard złapał go za kolczugę i wyciągnął. Z głębokiego rozcięcia na głowie strażnika sączyła się krew, w ranie tkwiły jakieś paprochy. Co teraz zrobić, myślał chłopak. Nie da rady podnieść przyjaciela jedną ręką, a wolał nie odkładać miecza. Na pewno nie zawoła Kahlan na pomoc, lepiej, żeby została tam, gdzie jest w miarę bezpieczna. Uchwycił mocno skórzaną bluzę strażnika i zaczął go ciągnąć. Oślizgłe bagienne zielsko ułatwiało zadanie, ale i tak było mu ciężko, bo musiał ominąć parę powalonych drzew. O dziwo, nic ich nie zaatakowało. Może zraniłem albo zabiłem to coś, pomyślał Richard. Czy można zabić coś, co już jest martwe? W mieczu tkwiła magia. Chłopak nie miał pojęcia, jakie są możliwości owego magicznego oręża i czy te stwory w granicy naprawdę zginęły. W końcu dotarł do Kahlan. Czarodziej ciągle był nieprzytomny.

- Co teraz zrobimy? - spytała dziewczyna, zwracając ku Richardowi pobladłą twarz.

- Nie możemy tu zostać - odparł, rozglądając się wokół - i nie możemy ich tu zostawić. Załadujmy ich na konie i jedźmy stąd. Zajmiemy się ich obrażeniami, kiedy tylko odjedziemy na bezpieczną odległość.

Warstwa chmur była grubsza niż przedtem, mgła pokrywała wszystko wilgotnym, połyskującym całunem. Chłopak rozejrzał się bacznie dokoła, potem odłożył miecz i z łatwością podniósł Zedda na grzbiet jego konia. Z Chase’em poszło trudniej - był wielki, a i jego broń sporo ważyła. Krew sączyła się z rany na skroni i zlepiała włosy strażnika. Kiedy zawisł na grzbiecie konia, rana zaczęła bardziej krwawić. Richard uznał, że nie może tego tak zostawić. Pospiesznie wyjął z plecaka

kawałek płótna i liść ziela. Zmiął liść, żeby sączył się uzdrawiający sok, i przyłożył do rany, a Kahlan owinęła głowę strażnika. Płótno natychmiast nasiąkło krwią, lecz chłopak wiedział, że sok ziela wkrótce powstrzyma krwawienie.

Pomógł dziewczynie dosiąść konia. Przysiągłby, że nogi bardziej ją bolały, niż się do tego przyznawała. Podał jej wodze konia czarodzieja. W końcu sam się znalazł w siodle i ujął cugle konia strażnika. Wiedział, że mogą mieć kłopoty ze znalezieniem szlaku. Mgła gęstniała, widoczność była coraz gorsza. Wydawało się, że zewsząd obserwują ich duchy. Richard nie wiedział, czy to on ma jechać przodem, czy Kahlan, jak najlepiej chronić dziewczynę, jechał więc obok niej. Posuwali się wolno, bo Zedd i Chale nie byli przywiązani do koni i mogli się łatwo zsunąć. Wymarłe świerkowisko wyglądało dokładnie tak samo we wszystkich kierunkach. Musieli omijać powalone pnie. Richard wypluwał moskity, które z uporem wciskały mu się do ust.

Całe niebo było mroczne, stalowoszare, nie można się było orientować według słońca. Richard po chwili zwątpił, czy jadą we właściwym kierunku - może już dotarli do traktu? Orientował się według stojących jeszcze drzew i miał nadzieję, że się posuwają po prostej. Wiedział, że powinien wyznaczać kierunek według co najmniej trzech drzew, lecz we mgle nie widział na taką odległość. A może krążą w kółko? A jeśli nawet jadą prosto, to gdzie jest szlak?

- Jesteś pewien, że jedziemy we właściwą stronę? - spytała Kahlan. - Wszystko wygląda tak samo.

- Nie, nie jestem. Ale przynajmniej nie weszliśmy w granicę, Może powinniśmy się zatrzymać i zająć rannymi?

- Nie możemy. Zaświaty mogą być tuż, tuż. Kahlan rozejrzała się z obawą. Richard pomyślał, że mógłby ją zostawić z rannymi i poszukać traktu, ale odpędził ów pomysł - bał się, że ją zgubi i już nie odnajdzie. Musieli się trzymać razem. Zastanawiał się, co też zrobią, jeżeli nie odnajdą drogi przed zapadnięciem ciemności. Jak się obronią przed sercowymi psami? Nawet miecz by nie pomógł przeciwko większej liczbie tych stworów. Chase powiedział, że muszą dotrzeć na bagna przed nocą. Ale nie mówił dlaczego, ani w czym to pomoże. Brunatne bagienne zielska rozciągały się wokół jak bezkresne morze, wszędzie leżały powalone drzewa.

Po lewej pojawił się dąb, potem następne, niektóre miały ciemnozielone liście, lśniły wilgocią mgły. Nie tędy tu przyjechali. Richard odbił nieco w prawo, jadąc skrajem obumarłego mokradła - miał nadzieję, że doprowadzi ich do szlaku.

Z chaszczy wśród dębów obserwowały ich jakieś cienie. Chłopak przekonywał

sam siebie, że to tylko jego wyobraźnia sprawia, iż owe cienie zdają się mieć oczy. Nie było wiatru, nic się nie poruszało, panowała kompletna cisza. Richard był na siebie zły za to, że się zgubił, choć nie było to takie trudne w owej monotonnej okolicy. To niewybaczalne, jaki z niego przewodnik.

W końcu dojrzał trakt i odetchnął z ulgą. Szybko zsiedli z koni i obejrzeli rannych. Stan Zedda się nie zmieniał, za to rana strażnika przestała krwawić. Chłopak nie miał pojęcia, jak im obu pomóc. Nie wiedział, czy są nieprzytomni od uderzenia o ziemię, czy też jest to efekt działania jakiejś granicznej magii. Kahlan też tego nie wiedziała.

- Co powinniśmy zrobić? - spytała chłopaka. Spróbował zrobić dobrą minę do złej gry.

- Chase mówił, że musimy dotrzeć na bagniska albo psy nas dopadną. Więc nie możemy tu zostać i czekać, aż oni odzyskają przytomność. Według mnie mamy dwie możliwości: zostawić ich tutaj albo zabrać. Na pewno ich tu nie zostawię. Przywiążmy ich do koni, żeby się nie zsunęli, i jedźmy na te bagna.

Kahlan przystała na to. Prędko przywiązali przyjaciół do wierzchowców. Richard zmienił strażnikowi opatrunek, trochę oczyścił ranę. Mgła przechodziła w lekki deszczyk. Chłopak wyciągnął z plecaka koce, odwinął z ceraty. Przykryli Zedda i Chase’a kocem, potem ceratą, żeby nie zmokli, i zamocowali owe okrycia.

Kiedy skończyli, Kahlan nagle mocno objęła Richarda i odsunęła się, zanim zdążył odwzajemnić uścisk.

- Dziękuję, że mnie uratowałeś - powiedziała miękko. - Granica mnie przeraża. - Zerknęła nań z zakłopotaniem. - Kopnę cię w kostkę, jeśli powiesz choć słówko, jak to ci zabraniałam iść za tobą. - I uśmiechnęła się do chłopaka.

- Nie pisnę ani słówka. Przyrzekam.

Odwzajemnił uśmiech i naciągnął jej kaptur na głowę, żeby nie zmokła. Potem sam nasunął kaptur i ruszyli traktem.

Lasy były puste. Krople deszczu kapały z gęstwy ponad głowami jeźdźców. Gałęzie sterczały wokół szlaku jak pazury sięgają po ludzi i konie. Wierzchowce szły ostrożnie środkiem traktu, nastawiały uszy, jakby nasłuchiwały mroków. Zarośla po obu stronach były tak gęste, że nawet w razie potrzeby nie mogliby zjechać pomiędzy drzewa. Kahlan ciaśniej otuliła się płaszczem. Musieli albo jechać naprzód, albo zawrócić. Lecz droga powrotna była nie do pomyślenia, nie mogli się cofnąć. Jechali przed siebie całe popołudnie i cały wieczór.

Dzień się kończył, a oni wciąż jeszcze nie dotarli do bagnisk. I nie wiedzieli, ile jeszcze drogi przed nimi. Z gęstwiny dało się słyszeć wycie. Wstrzymali oddech.

Nadchodziły sercowe psy.

Rozdział piętnasty

Nie musieli podrywać koni do biegu. Pomknęły traktem tak szybko, jak tylko mogły, a jeźdźcy wcale ich nie powstrzymywali. Wycie sercowych psów spełniało rolę bata i ostrogi. Podkowy koni rozbryzgiwały wodę i błoto, strugi deszczu spływały po okryciach ludzi i skórze zwierząt, a bryzgi błota plamiły nogi i brzuchy wierzchowców. Na wycie psów konie odpowiadały przeraźliwym rżeniem.

Richard puścił Kahlan przodem, chcąc się znaleźć pomiędzy nią a ich prześladowcami. Głosy sercowych psów były jeszcze dalekie, lecz chłopak wiedział - po kierunku, z którego dobiegały - że stwory zachodzą ich z lewej strony i chcą ich wyprzedzić. Gdyby mogli zboczyć w prawo i oddalić się od granicy, to może zdołaliby ujść prześladowcom, lecz lasy były gęste, nie do przebycia. Nie mogli ryzykować nawet wtedy, gdyby się pojawiło jakieś przerzedzenie - to by oznaczało pewną śmierć. Musieli się trzymać traktu i dotrzeć do bagnisk, zanim psy ich dopadną. Richard nie wiedział, jak daleko są owe bagna, ani co zrobią, kiedy wreszcie tam dotrą. Po prostu musieli się tam dostać i już.

Barwy dnia przechodziły w ponurą szarość, zbliżała się noc. Krople deszczu padały na twarz chłopaka, mieszały się z potem i spływały po szyi. Richard patrzył, jak ciała przyjaciół podskakują na koniach; oby tylko się nie zsunęły, oby tylko nie byli poważnie poranieni, oby jak najszybciej odzyskali przytomność, myślał. Taka szaleńcza jazda na pewno dobrze nie wpłynie na ich stan. Kahlan nie odwracała się i nie patrzyła w tył. Wypatrywała drogi.

Trakt wił się, omijając rosnące z dala od innych dęby i sterczące głazy. Coraz rzadziej pojawiały się obumarłe drzewa. Liście dębów, jesionów i klonów przesłaniały niebo, ocieniały trakt. Wycia psów zbliżały się, lecz szlak zaczął opadać w stronę podmokłego cedrowego lasu. Dobry znak, pomyślał Richard, cedry często rosną tam, gdzie grunt jest mokry.

Koń Kahlan zniknął za krawędzią uskoku. Chłopak dotarł na szczyt ostrego obniżenia i znów ją zobaczył - zjeżdżała do niecki. Splątane szczyty drzew pokrywały całą przestrzeń widoczną we mgle i słabym świetle. Wreszcie dotarli do Skow Swamp. Richard ruszył za dziewczyną. Czuł woń wilgoci i zgnilizny. W gęstwinie rozległy się pohukiwania i poświstywania. Wycie sercowych psów dochodziło z tyłu, wydawało się bliższe. Zdrewniałe pnącza zwisały ze śliskich, pokręconych pni drzew, stojących w wodzie na pazurzastych korzeniach, a mniejsze, ulistnione liany wiły się dokoła wszystkiego, co mogło je utrzymać. Rośliny rosły jedne na drugich, starając

się odnieść przewagę. Wszędzie było widać stojące rozlewiska ciemnej wody - wciskała się pod kępy krzaków, opływając skupiska wspartych na korzeniach drzew. Na powierzchni rozlewisk unosiły się płaty rzęsy. Gęstwa roślinności stłumiła odgłos końskich kopyt, słychać było tylko miejscowe dźwięki i głosy.

Droga się zwęziła - nad czarną wodą biegła tylko wąziutka ścieżka. Trzeba było powściągnąć konie, uważać, żeby nie złamały nogi na sterczących korzeniach. Richard zauważył, że powierzchnia wody falowała leniwie, jakby coś się poruszało pod powierzchnią, kiedy przechodził koń Kahlan. Psy dotarły na szczyt zapadliska. Dziewczyna odwróciła się, słysząc wycie prześladowców. Jeżeli zostaną na trakcie, to psy lada moment ich dopadną. Richard rozejrzał się i dobył miecza. Nad mętną wodą rozległ się charakterystyczny brzęk. Kahlan zatrzymała się i spojrzała na chłopaka.

- Tam. - Wskazał mieczem. - Tamta wysepka. Chyba jest sucha. Może sercowe psy nie potrafią pływać.

Nic innego nie mógł wymyślić. Chase powiedział, że na bagnach ujdą psom, ale nie zdradził jak. Kahlan skręciła w prawo, ciągnąc za sobą Zeddowego konia. Richard ruszył w ślad za nią, prowadząc konia strażnika. Obserwował trakt, widząc jakiś ruch poprzez luki wśród drzew. Rozlewisko miało błotniste dno, było głębokie na jakieś trzy, cztery stopy. Koń Kahlan brnął ku wysepce, znacząc szlak oderwanymi od dna wodorostami.

Potem chłopak zobaczył węże.

Ciemne ciała wiły się w wodzie, tuż pod powierzchnią, zbliżały się ku nim zewsząd. Niektóre unosiły głowy i wysuwały czerwone języki. Ciemne brunatne ciała pokrywały miedziane cętki, prawie niewidoczne w mrocznej wodzie, i płynęły, niemal nie poruszając powierzchni rozlewiska. Richard nigdy przedtem nie widział tak wielkich węży. Kahlan patrzyła na wysepkę i jeszcze ich nie zauważyła. Suchy ląd był za daleko. Nie zdążą uciec wężom.

Richard się obejrzał, sprawdzał, czy nie zdołaliby się cofnąć. W miejscu, w którym zboczyli z traktu, widać było węszące i warczące sercowe psy. Wielkie czarne bestie opuściły nisko łby i dreptały w przód i w tył - chciały wejść do wody i dopaść zdobycz, lecz nie mogły się na to zdecydować i tylko wyły.

Chłopak zanurzył w wodzie czubek miecza, gotów ciąć pierwszego węża, który podpłynie zbyt blisko. Wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy tylko miecz dotknął wody, węże znienacka zawróciły i odpłynęły najszybciej jak mogły. Odstraszyła je magia klingi. Richard nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało, lecz bardzo był z tego

rad.

Brodzili wśród potężnych pni stojących w bagnie drzew. Każde z nich odgarniało liany i kaskady mchów. Kiedy woda stawała się płytsza, miecz już się w niej nie zanurzał i węże natychmiast powróciły. Chłopak pochylił się niżej, klinga dotknęła wody i węże odpłynęły. Wolały nie mieć z nią do czynienia. Co będzie, gdy dotrą do suchego lądu, zastanawiał się Richard. Czy węże pójdą tam za nami? Czy i na lądzie powstrzyma je magia miecza? Mogły się okazać równie groźne jak sercowe psy.

Koń Kahlan wydostał się na wysepkę. W najwyższym punkcie rosło kilka topól, na przeciwległym skraju trochę cedrów, lecz większość suchego spłachetka porastały trzciny i nieliczne kosaćce. Richard wyjął miecz z wody, ciekaw, co się wydarzy. Węże ruszyły ku niemu. Wydostał się na wysepkę - wówczas jedne od razu odpłynęły, zaś inne kręciły się przy brzegu, żaden jednak nie wypełznął na ląd.

Richard ułożył Zedda i Chase’a na ziemi pod topolami. Wyciągnął brezent i rozpiął pomiędzy drzewami, tworząc jako takie schronienie. Wszystko i tak było wilgotne, lecz - ponieważ nie było wiatru - ów zaimprowizowany dach nieźle chronił przed deszczem. Nie mogli rozpalić ogniska, bo nie mieli suchego drewna. Na szczęście noc nie była chłodna. W ciemnościach rechotały żaby. Richard zamocował świece w kawałku drewna, żeby mieli choć trochę światła.

Najpierw obejrzeli Zedda. Nie znaleźli żadnej rany ni urazu, a mimo to czarodziej dalej był nieprzytomny. Chase też.

Kahlan pogładziła czoło starca.

- Oczy czarodzieja nie powinny być zamknięte. Nie wiem, co robić.

- Ja też nie - odparł Richard. - Dobrze, że żaden nie ma gorączki. Może w Southaven jest jakiś uzdrawiacz. Zrobię nosze i konie je pociągną. Lepiej, żeby nie podróżowali tak jak dziś.

Kahlan przykryła obu nieprzytomnych mężczyzn dodatkowym kocem, a potem usiedli wraz z chłopakiem przy zaimprowizowanym świeczniku i słuchali szumu deszczu. Na trakcie, w mroku pośród drzew jarzyły się żółte ślepia. Albo tkwiły w miejscu, albo przesuwały się tam i z powrotem. Czasem rozlegały się gniewne skamlenia i skowyty. Wędrowcy obserwowali swoich prześladowców, patrzyli na sercowe psy ponad czarną wodą rozlewiska.

- Ciekawe, dlaczego nie idą za nami - odezwała się Kahlan.

- Chyba się boją węży - odparł Richard, zerknąwszy na nią spod oka.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, uderzając głową o płócienny dach i pospiesznie się rozejrzała wokół.

- Węży? Jakich węży? Nie lubię węży! - spłoszyła się.

- Dużych wodnych węży - poinformował ją chłopak. - Odpłynęły kiedy zanurzyłem w wodzie czubek miecza. Nie mamy się czego obawiać, nie wyszły za nami na brzeg. Uważam, że jesteśmy tutaj bezpieczni.

Kahlan bacznie się rozejrzała, szczelniej otuliła płaszczem i usiadła, tym razem bliżej chłopaka.

- Trzeba mi było o nich powiedzieć - parsknęła.

- Nie miałem pojęcia, że tu są, dopóki ich nie zobaczyłem. Psy były wtedy tuż za nami, więc i tak nie mielibyśmy wyboru. No i nie chciałem cię straszyć.

Nie powiedziała ani słówka. Richard wyciągnął z zawiniątka kiełbaskę i ostatni już bochenek chleba. Podzielił chleb na pół, pokroił wędlinę w plastry. Podał Kahlan. Każde z nich nałapało deszczówki do miseczki. Jedli w milczeniu, słuchając szumu deszczu i wypatrując ewentualnego zagrożenia.

- Czy widziałeś w granicy moją siostrę, Richardzie?

- Nie. Cokolwiek to było, w moich oczach nie przypominało ludzkiej postaci i sądzę, że to coś, co jako pierwsze ciąłem mieczem, nie przypominało ci mojego ojca.- Kiedy potwierdziła, że istotnie nie, dodał: - Według mnie one przyjmują wygląd osoby, którą się chce ujrzeć, żeby omamić patrzącego.

- Pewnie masz rację - westchnęła Kahlan. Zjadła kawałek kiełbaski i stwierdziła: - I dobrze, że masz rację. Nie chciałabym trwać w przekonaniu, że musieliśmy im zadać ból.

Potaknął i przyjrzał się dziewczynie. Zmoczone deszczem włosy przykleiły się jej do policzka.

- Ale jest coś, co mnie zadziwia. Kiedy ten stwór z granicy zaatakował Chase’a, trafił go za pierwszym razem. Zedda też uderzył bez trudności i pochwycił ciebie. Za to mnie nie trafił, kiedy ich obu szukałem, i już więcej nie próbował atakować. - Zauważyłam to. Przeleciał w pewnej odległości od ciebie. Zupełnie tak, jakby nie widział, gdzie jesteś. Nas troje trafił bez żadnego trudu, za to ciebie nie mógł dosięgnąć.

- Może to sprawa miecza - odezwał się po chwili Richard.

- Nieważne. Grunt, że tak się stało.

Richard wcale nie był przekonany, że to zasługa miecza. Węże owszem, bały

się i odpłynęły, kiedy zanurzył czubek klingi w wodzie. Stwór w granicy nie okazał strachu; wyglądało raczej że nie może we mnie wcelować, myślał chłopak. I jeszcze coś go zastanawiało. Nie poczuł żadnego bólu, kiedy przeciął mieczem granicznego stwora, który przypominał jego ojca. A Zedd mówił że za zabójstwo mieczem trzeba zapłacić i że odcierpi to, co uczynił. Może nic nie odczuł, bo ów stwór i tak był już martwy? A może to wszystko się działo tylko w wyobraźni, a nie w rzeczywistości? Nie, to niemożliwe - stwór był na tyle realny, że powalił jego przyjaciół. Zachwiało się przekonanie chłopaka, że to nie był jego ojciec.

Posilali się w milczeniu, a Richard rozmyślał, co może uczynić dla Zedda i Chase’a, i wyszło mu, że nic. Starzec miał ze sobą jakieś leki, lecz tylko on jeden wiedział, jak je stosować. Może powaliła ich magia z granicy? Zedd też władał magią, lecz tylko on jeden mógł się nią posłużyć.

Richard wyjął jabłko, podzielił na ćwiartki, usunął pestki i podał połowę owocu Kahlan. Dziewczyna przysunęła się bliżej i oparła głowę na ramieniu towarzysza, chrupiąc jabłko.

- Zmęczona?

Przytaknęła, a potem się uśmiechnęła.

- I obolała w miejscach, których się nie nazywa w towarzystwie. Co wiesz o Southaven?

- Słyszałem, jak mówili o nim przewodnicy przechodzący przez Hartland. Z ich słów wynika, że jest to miasto złodziei i nieudaczników.

- Hmm, to raczej nie wskazuje, iż mogliby mieć uzdrowiciela... I co wtedy zrobimy?

- Nie mam pojęcia. Ale na pewno im się poprawi i wy dobrzeją.

- A jeżeli nie?

Richard odsunął od ust kawałek jabłka i zapytał:

- O co ci chodzi, Kahlan? Co mi próbujesz powiedzieć?

- Że może będziemy musieli ich zostawić i iść dalej bez nich.

- Nie możemy - odparł zdecydowanie. - Potrzebujemy obu. Pamiętasz, jak Zedd dał mi miecz? Powiedział wtedy, że chce żebym nas troje przeprawił na drugą stronę granicy, że ma plan. Ale mi nie powiedział, co to za plan... - Popatrzył na psy kręcące się poza rozlewiskiem. - Obaj są nam potrzebni.

Kahlan skubnęła skórkę cząstki jabłka.

- Co będzie, jeśli umrą tej nocy? Co wówczas zrobimy? Będziemy musieli iść

dalej.

Richard wyczuł, że patrzy nań, lecz nie odwzajemnił spojrzenia. Rozumiał, że dziewczyna pragnie powstrzymać Rahla. On również tego chciał. I nie pozwoli, by coś im w tym przeszkodziło. Jeśli będzie trzeba, to zostawi gdzieś obu przyjaciół, ale sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Wiedział, że Kahlan próbuje się przekonać czy on, Richard, ma dostateczną motywację i determinacje. Dziewczyna zbyt się zaangażowała w swoją misję, zbyt wiele straciła przez Rahla, on zresztą także. Chciała być pewna, że chłopak się nie załamie, nie zrezygnuje, że poprowadzi wyprawę.

Płomyczki świec łagodnie oświetlały twarz Kahlan. Ich odbicia tańczyły w zielonych oczach. Chłopak wiedział, że dziewczynie nie sprawia przyjemności mówienie mu takich rzeczy.

- Jestem Poszukiwaczem, Kahlan, i pojmuję doniosłość tej misji. Uczynię wszystko, żeby powstrzymać Rahla Posępnego. Wszystko. Możesz być tego pewna. Lecz nie poświęcę zbyt łatwo życia moich przyjaciół. Nie szukajmy sobie nowych zmartwień, bo i tak imamy ich dość.

Krople deszczu spływały z drzew i z pluskiem spadały w wodę, budząc echa w ciemnościach. Kahlan położyła dłoń na ramieniu chłopaka, jakby chciała powiedzieć, że przeprasza. Wiedział, że nie ma za co przepraszać, po prostu próbowała spojrzeć prawdzie w oczy. Chciał ją uspokoić, dodać jej pewności.

- Jeśli się im nie poprawi - powiedział, patrząc Kahlan w oczy - i jeżeli znajdziemy dla nich bezpieczne schronienie u kogoś godnego zaufania, to ich tam zostawimy i pójdziemy dalej sami.

- O to mi właśnie chodziło.

- Wiem - odparł i skończył jeść jabłko. - Prześpij się teraz, a ja popilnuję.

- Nie mogłabym zasnąć - skinęła głową ku sercowym psom - kiedy się tak na nas gapią. I z tymi wszystkimi wężami wokół.

- To może mi pomożesz zrobić nosze? - Richard się uśmiechnął - A rankiem moglibyśmy wyruszyć, kiedy tylko znikną sercowe psy.

Kahlan odwzajemniła uśmiech i wstała. Chłopak wziął groźnie wyglądający bojowy topór strażnika i przekonał się, że równie dobrze przecina drzewo jak ciało i kości. Chase'owi na pewno by się nie podobało, że tak profanuje jego bojowy oręż. Richard uśmiechnął się do siebie. Ujrzał w wyobraźni niezadowoloną minę przyjaciela. Chase, rzecz jasna, upiększy całą historię za każdym razem, gdy ją będzie

opowiadał. Bo dla strażnika historyjka bez upiększeń była równie mało apetyczna jak przesuszona pieczeń.

Obu przyjaciołom musi się polepszyć, powiedział sobie Richard. Musi i już. Nie zniósłby, gdyby umarli.

Robota zajęła Richardowi i Kahlan parę godzin. Dziewczyna bała się węży, więc się trzymała blisko niego, a psy cały czas ich obserwowały. Chłopak się zastanawiał, czy aby nie ustrzelić któregoś z łuku Chase'a, lecz się rozmyślił; przyjaciel złościłby się, że marnotrawi cenne strzały. Psy nie mogły do nich dotrzeć, a poza tym i tak znikną o świcie.

Zakończyli pracę i obejrzeli nieprzytomnych przyjaciół. Potem usiedli przy świecach. Richard wiedział, że Kahlan jest zmęczona - i jemu straszliwie kleiły się oczy - lecz wciąż się nie chciała położyć i przespać. Oparł więc dziewczynę o siebie i prawie natychmiast zasnęła. Spała niespokojnie, na pewno dręczyły ją złe sny. Zaczęła się rzucać i jęczeć, więc ją obudził. Oddychała szybko, niemal płakała.

- Koszmary? - Uspokajająco musnął palcami włosy dziewczyny. Przytaknęła.

- Śnił mi się ten stwór z granicy, który oplótł macką moje nogi. Śniłam, że to był wielki wąż.

Richard objął ją i mocno przytulił. Nie protestowała, tylko podkuliła nogi, oplotła je ramionami i wtuliła się w chłopaka. Bał się, że usłyszy, jak mu wali serce. Nawet jeśli tak było, to nic nie powiedziała i wkrótce znów zasnęła. Słuchał jej oddechu, szumu deszczu, głosów żab. Tym razem spała spokojnie. Richard zacisnął palce na zawieszonym na rzemyku zębie, osłoniętym koszulą. Obserwował sercowe psy. A one jego.

Kahlan obudziła się tuż przed świtem, kiedy jeszcze było ciemno. Richard był tak zmęczony, że aż mu pękała z bólu głowa. Dziewczyna nalegała, żeby się położył i przespał. Nie chciał, wolałby wciąż ją tulić, lecz był zbyt zmęczony, żeby się sprzeczać.

Obudziła go łagodnie, kiedy wstał świt. Słabe, szarawe światło przesączało się poprzez ciemną zieleń bagiennej roślinności i przez gęstą mgłę, przez co świat wydawał się mały i ciasny. Woda była aż gęsta od roślinnych szczątków, czasem coś się poruszało tuż pod powierzchnią. Z płatków rzęsy śledziły ich nieruchome czarne oczy.

- Sercowe psy odeszły - powiedziała Kahlan. Już nie była taka zmoknięta.

- Kiedy? - zapytał, rozcierając zdrętwiałe ręce.

- Ze dwadzieścia, trzydzieści minut temu. Odbiegły pospiesznie, kiedy się zaczęło rozjaśniać.

Dziewczyna podała mu kubek gorącej herbaty. Spojrzał pytająco.

- Trzymałam ją nad świeczką, aż się zagrzała. - Uśmiechnęła się.

Chłopaka zdumiała inwencja Kahlan. Dziewczyna podzieliła się z nim suszonym owocem. Richard zauważył, że topór bojowy leżał u jej nóg, i pomyślał, że świetnie wie, jak trzymać wartę.

Dalej mżyło. Osobliwe ptaki nawoływały się ostrymi, wysokimi głosami wśród bagiennej roślinności. Owady unosiły się tuż nad powierzchnią wody, czasem rozlegał się jakiś plusk.

- Jak tam Zedd i Chase? - spytał chłopak.

- Zedd słabiej oddycha - odparła z ociąganiem.

Richard poderwał się i sprawdził. Zdawało się, że starzec ledwo żyje. Twarz miał szarą i zapadniętą. Richard przyłożył ucho do piersi Zedda - serce biło normalnie, lecz oddychał wolniej, był wilgotny i zimny.

- Psy już nam nie zagrażają,. Jedźmy więc i spróbujmy znaleźć dla nich jakąś pomoc - powiedział chłopak.

Richard wiedział, że Kahlan się boi węży - sam też się ich bał i powiedział jej to - lecz wiedział również, że dziewczyna nie pozwoli, by ów strach jej przeszkodził w misji. Zaufała słowom chłopaka, że węże nie podpłyną do miecza, i spokojnie przebyła rozlewisko. Pokonali tę trasę dwa razy: raz z Zeddem i strażnikiem, drugi - z drewnianymi noszami, które konie mogły ciągnąć tylko na suchym lądzie.

Przyczepili żerdki do koni, lecz nie mogli jeszcze położyć rannych na noszach - pełno tu było sterczących korzeni. Musieli zaczekać, aż wyjdą z bagnisk.

Po pewnym czasie dotarli do lepszej drogi. Zatrzymali się i ułożyli nieprzytomnych przyjaciół na noszach, po czym przykryli kocami i ceratą. Richard z zadowoleniem stwierdził, że owe „pojazdy” nie opóźniają tempa podróży, gdyż gładko się ślizgają po błocie. Zjedli, nie zsiadając z koni. Przystanęli tylko po to, żeby sprawdzić stan Zedda i Chase’a. Cały czas padało.

Przed nocą dotarli do Southaven. Miasteczko to było bezładną zbieraniną domków i budyneczków, pokrzywionych i w opłakanym stanie, które przycupnęły pośród buków i dębów, jakby się chciały odwrócić od drogi, od ciekawych i dociekliwych spojrzeń. Wyglądały, jakby ich nigdy nie malowano. Na niektórych widać było blaszane łaty, pobrzękujące w strugach deszczu. W centrum owej

zbieraniny znajdował się sklep, a tuż obok stał dwupiętrowy budynek. Niezdarnie sporządzony szyld głosił, że jest to gospoda, ale nie zdradzał jej nazwy. Żółte światło lamp padające z dolnego rzędu okien gospody tworzyło jedyną barwną plamę, odcinającą się od szarości dnia i budynku. Pod ścianą leżały sterty odpadków, zwały śmieci leżały również przy sąsiednim domu.

- Trzymaj się blisko mnie - polecił Richard dziewczynie, kiedy zsiadali z koni. - Ci faceci są niebezpieczni.

- Miałam już do czynienia z takimi jak oni - odparła z krzywym uśmieszkiem.

Chłopak był ciekaw, co to niby oznacza, ale nie zapytał.

Młodzi wędrowcy weszli do gospody. Rozmowy umilkły, a wszyscy spojrzeli na nowo przybyłych. Wnętrze wyglądało tak, jak się Richard spodziewał. Lampy naftowe oświetlały pomieszczenie wypełnione gryzącym fajkowym dymem. Stoły porozstawiano zupełnie bezładnie, czasem były to po prostu deski ułożone na beczkach. Nie było tu ani jednego krzesła, tylko ławy. Po lewej widać było jakieś zamknięte drzwi, pewnie prowadziły do kuchni. Po prawej, w mroku, znajdowały się pozbawione poręczy schody, wiodące ku pokojom gościnnym. Na podłodze pełno było czarnych plam i porozlewanego płynu.

Goście to doborowa zbieranina traperów, podróżników i zabijaków. Wielu miało brody. Większość odznaczała się wysokim wzrostem. Sala zionęła piwem, dymem i potem.

Kahlan stała dumnie wyprostowana u boku Richarda; nie należała do tych, które łatwo onieśmielić. Chłopak pomyślał, że może powinna. Pasowała tu jak kwiatek do kożucha. Sprawiała, że sala wyglądała jeszcze gorzej. Dziewczyna odrzuciła kaptur, a bywalcy wyszczerzyli się promiennie, ujawniając połamane i brakujące zęby. Łapczywe spojrzenia zadawały kłam owym uśmiechom. Richard żałował, że Chase jest nieprzytomny. Czuł, że szykują się kłopoty.

Do nowo przybyłych podszedł jakiś grubas. Ubrany był w koszulę bez rękawów i opasany fartuchem, który prawdopodobnie nigdy nie był biały. Światło lamp odbijało się w wierzchołku wygolonej głowy, a kręcone bujne owłosienie grubych łap śmiało mogło konkurować z jego brodą. Wytarł dłonie w jakąś brudną szmatę i strzepnął ją przez ramię.

- Czym mogę służyć? - zapytał oschle. Przesuwał wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi i czekał na odpowiedź.

- Czy jest w mieście uzdrowiciel? - spytał Richard, tonem głosu i spojrzeniem

dając znak, że nie szuka zaczepki.

- Nie - odparł właściciel, spojrzawszy na Kahlan, a potem na chłopaka. Richard zauważył, że - w przeciwieństwie do swoich gości - nie gapił się nachalnie na dziewczynę. Wyczytał z tego coś znaczącego.

- Więc będzie nam potrzebny pokój - chłopak ściszył głos. - Na zewnątrz mamy dwóch rannych przyjaciół.

- Niepotrzebne mi żadne kłopoty - odparł właściciel, wyjmując wykałaczkę z ust, i założył ręce.

- Ja też ich nie szukam - rzucił z pogróżką Richard.

Grubas obejrzał chłopaka od stóp do głów, zatrzymał spojrzenie na mieczu. Nie rozprostował rąk, oszacował go.

- Ile pokoi byście chcieli? Dość tu tłoczno.

- Jeden zupełnie wystarczy.

W centrum sali podniósł się jakiś mężczyzna. Łypnął świńskimi blisko osadzonymi oczkami spod grzywy rudych włosów. Brodę miał zmoczoną piwem. Przez ramię miał przerzuconą wilczą skórę. Trzymał dłoń na rękojeści długiego miecza.

- Ale luks dziwkę podłapałeś, mały - odezwał się rudzielec. - Chyba się nie obrazisz, jeśli przyjdziemy do was i skorzystamy z okazji, co?

Richard spojrzał gniewnie na typa. Wiedział, że to zaczepka do krwawej bójki. Wolno, wolniutko przesunął dłoń ku rękojeści miecza. Zawrzał gniewem, jeszcze zanim palce dosięgły gardy. Dziś będzie musiał zabić. I to wielu mężczyzn.

Chłopak zacisnął palce na rękojeści, aż mu zbielały knykcie. Kahlan pociągnęła go za prawy rękaw. Cicho wymówiła imię chłopaka, kładąc nacisk na ostatnie głoski - jak matka, kiedy go ostrzegała, żeby się trzymał z dala od czegoś. Zerknął z ukosa na dziewczynę. Uśmiechnęła się słodziutko do rudzielca.

- Tym razem jest inaczej, stary - powiedziała niskim, gardłowym tonem. - Dziś mam wolne. I to ja go wzięłam na noc. - Z impetem klepnęła Richarda w siedzenie. Chłopak osłupiał ze zdumienia, a Kahlan, patrząc na rudego, oblizała górną wargę. - Jeśli nie dostanę tego, co mi się za moją forsę należy, to ciebie pierwszego zawołam. - Uśmiechnęła się pożądliwie.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Richard ze wszystkich sił powściągał chęć dobycia miecza. Czekał, jak to się dalej potoczy. Kahlan się uśmiechała do tych typów tak, że chłopak jeszcze bardziej się wściekał.

W oczkach rudzielca widać było intensywną pracę myśli: zabić tamtego, czy może nie. Nikt się nie poruszył. Wreszcie rudy wyszczerzył promiennie zęby i ryknął głośnym śmiechem. Reszta towarzystwa pokrzykiwała, gwizdała i też się śmiała. Niedoszły napastnik usiadł i mężczyźni powrócili do swoich rozmów, przestali zwracać uwagę na Richarda i Kahlan. Chłopak odetchnął. Właściciel gospody podprowadził ich ku schodom i uśmiechnął się do Kahlan z uznaniem.

- Dzięki, mała. Dobrze, że szybciej myślisz, niż działa twój przyjaciel. Ten lokal pewnie ci się wydaje byle jaki, ale to moja własność i cieszę się, że zapobiegłaś zdemolowaniu go.

- Nie ma za co - odparła dziewczyna. - Znajdzie się dla nas jakiś pokój? Grubas znów wetknął wykałaczkę w kącik ust.

- Owszem, na górze, w końcu korytarza, po prawej. Można zaryglować drzwi.

- Na dworze zostało dwóch naszych przyjaciół - odezwał się Richard. - Przydałaby mi się pomoc w przetransportowaniu ich tutaj.

- Nie byłoby dobrze, gdyby tamci - właściciel skinął głową ku sali pełnej mężczyzn - się zorientowali, że ciągnięcie ze sobą rannych. Idźcie na górę, jak się tego spodziewają. Mój syn jest w kuchni. Wniesiemy waszych przyjaciół tylnymi schodami tak że nikt ich nie zobaczy. - Richardowi nie bardzo się spodobał ów pomysł. - Okaż choć trochę zaufania, przyjacielu - szepnął mu grubas - bo inaczej tylko zaszkodzisz rannym druhom. Aha, mam na imię Bili.

Chłopak spojrzał na Kahlan, ale nic nie wyczytał z jej twarzy. Przeniósł wzrok na właściciela gospody - twardy i uparty, ale raczej nie podstępny. No i chodziło o życie przyjaciół. Richard postarał się, by w jego głosie nie zabrzmiała groźba.

- W porządku, Bili. Zrobimy tak, jak nam radzisz.

Bili uśmiechnął się i kiwnął głową, przesunął wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

Richard i Kahlan poszli do wynajętego pokoju. Sufit był zbyt niski. Ściana naprzeciwko wąskiego łóżka nosiła liczne ślady celnych splunięć. W przeciwległym kącie stały stolik o trzech nogach i niewielka ławka. Naftowa lampa umieszczona na blacie stolika dawała niewiele światła. Pokój nie miał okien, był ponury i nieprzytulny, cuchnął. Richard chodził tam i z powrotem po pokoju, a Kahlan przysiadła na łóżku i, z nieco niepewną miną, obserwowała chłopaka. W końcu podszedł do niej.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

- Liczy się wynik, Richardzie. Mógłbyś stracić życie, gdybym ci pozwoliła zareagować tak, jak zamierzałeś. I za co?

- Ale oni myślą...

- Obchodzi cię, co oni myślą?

- Nie... Ale... - Poczuł, jak się czerwieni.

- Przysięgałam, że będę chronić życie Poszukiwacza nawet kosztem własnego. Uczynię to, co niezbędne, aby cię chronić. - Spojrzała nań znacząco, unosząc brew. - Wszystko.

Poirytowany chłopak głowił się, jakby tu powiedzieć Kahlan, że jest wściekły, ale tak to powiedzieć, by nie uznała, że to na nią się wścieka. O mało co nie popełnił szaleńczego czynu. Jeszcze jedno złośliwe, obraźliwe słowo rudego i...

Richard wciąż czuł przemożną chęć zniszczenia przeciwnika. Trudno mu było zrozumieć, jak miecz potrafi zmienić opanowanie i racjonalność w żądze mordu, jeszcze trudniej - wytłumaczyć to dziewczynie. Spojrzenie jej zielonych oczu uspokajało, wyciszając gniew.

- Nie rozpraszaj się, Richardzie.

- O co ci chodzi?

- Rahl Posępny. To o nim powinieneś myśleć i stale pamiętać. Ci na dole nie mają dla nas najmniejszego znaczenia. Musimy po prostu przejść mimo nich. Tylko tyle. Nie poświęcaj im ani jednej myśli. Szkoda zachodu. Zachowaj moc i energię na naszą misję.

Chłopak odetchnął i skinął głową.

- Masz rację. Przepraszam. Dzielnie się zachowałaś. Ale i tak mi się to nie podoba.

Objęła go, przytuliła i złożyła głowę na jego piersi. Ktoś lekko zastukał do drzwi. Richard upewnił się, że to Bili, i dopiero wtedy otworzył. Karczmarz z synem wnieśli Chase’a i ostrożnie położyli na podłodze. Kiedy chudy młodzian zobaczył Kahlan, natychmiast się w niej zakochał. Richard doskonale go rozumiał, lecz nie był z tego zadowolony.

- To mój syn, Randy. - Bili wskazał kciukiem chudzielca.

Randy gapił się z zachwytem na dziewczynę. Karczmarz odwrócił się ku Richardowi, ocierając krople deszczu z czubka łysiny przerzuconą przez ramię ścierką. Wciąż ssał wykałaczkę.

- Nie powiedziałeś, że ten przyjaciel to Dell Brandstone.

- Czy to coś złego? - zjeżył się chłopak.

- Nie dla mnie. - Bili się uśmiechnął. - Miewaliśmy ze sobą na pieńku, ale to porządny chłop. Nie mam przez niego żadnych kłopotów. Ale ci na dole chętnie by go rozdarli na strzępy, gdyby się dowiedzieli, że tu jest.

- Spróbowaliby - poprawił go Richard.

- Pójdziemy po tamtego - rzekł Bili, uśmiechnąwszy się leciutko. Kiedy wyszli, Richard podał Kahlan dwie srebrne monety.

- Daj jedną chłopcu, kiedy wrócą, i poproś, żeby zabrał konie do stajni i zajął się nimi. Powiedz, że dasz mu drugą, jeżeli będzie przy nich czuwał nocą i osiodła je nam o świcie.

- Skąd wiesz, że usłucha?

- Nie martw się, usłucha. - Richard się roześmiał. - Po prostu się uśmiechnij.

Wrócił Bili, dźwigając w krzepkich ramionach Zedda. Za nim wszedł Randy z większością pakunków. Karczmarz delikatnie ułożył starca obok strażnika. Potem spojrzał na Richarda i polecił synowi:

- Przynieś pani miednicę, Randy, i dzban wody. I ręcznik. Czysty ręcznik. Pewno chciałaby się umyć.

Randy wyszedł tanecznym krokiem, uśmiechając się do siebie. Bili obserwował syna, a potem bacznie spojrzał na Richarda. Wyjął z ust wykałaczkę i rzekł:

- Ci dwaj nie są w najlepszym stanie. Nie spytam, co im się stało, bo bystrzak by mi nie powiedział, a sądzę, że ty jesteś bystrzakiem. Nie mamy tu żadnego uzdrowiciela, lecz jest ktoś kto chyba będzie mógł im pomóc: kobieta o imieniu Adie. Nazywają ją kościaną babką. Większość się jej boi. Ta banda z dołu za nic by się nie zbliżyła do jej domu.

Richard pamiętał, że Chase mówił, iż Adie jest jego przyjaciółką. Zmarszczył brwi i spytał:

- Dlaczego?

Bili popatrzył na Kahlan, potem znów na chłopaka i zmrużył oczy.

- Bo są przesądni. Uważają, że może rzucić zły urok, no i mieszka w pobliżu granicy. Opowiadają, że ci, których ona nie lubi, mrą jak muchy. Nie twierdzę, że to prawda, powtarzam ich słowa. Ja tam w to nie wierzę. Uważam, że wszystko sobie zmyślili. Ona nie jest uzdrawiaczką, lecz znam ludzi, którym pomogła. Nie wiem, czy zdoła coś zrobić dla waszych przyjaciół. Oby mogła im pomóc, bo inaczej długo nie

pociągną.

- Jak do niej trafić? - spytał Richard, przeczesując włosy palcami.

- Skręcicie w lewo traktem przed stajniami. To cztery godziny jazdy.

- Czemu nam pomagasz? - zaciekawił się chłopak.

- Powiedzmy, że pomagam strażnikowi. - Bili się uśmiechnął, krzyżując na piersi muskularne ramiona. - Trzyma w szachu niektórych gości, a poza tym dzięki strażnikom mam niezły dochód, i tu, i w moim sklepie obok. Jeśli z tego wyjdzie, to nie zapomnij mu powiedzieć, że to ja pomogłem mu ocalić życie. - Zachichotał. - Ale się wkurzy!

Richard też się uśmiechnął. Wiedział, co Bili ma na myśli. Chase nie cierpiał, jak ktoś mu pomagał. Bili faktycznie znał strażnika.

- Na pewno mu powiem, że to ty mu ocaliłeś życie. - Karczmarz przybrał zachwyconą minę, słysząc te słowa. - Skoro kościana babka mieszka sama, i to przy granicy, a ja mam ją prosić o pomoc, to chyba dobrze byłoby coś jej zawieźć. Mógłbyś mi coś przygotować?

- Jasne. Jestem oficjalnym dostawcą, a Hartland zwraca mi koszty. Ta złodziejska Rada większość oczywiście odbiera podatkami. Jeśli to sprawa urzędowa, wpiszę wszystko w księgi i władza zapłaci.

- Tak, to sprawa urzędowa.

Wrócił Randy z miednicą, dzbanem wody i ręcznikami. Kahlan dała mu srebrną monetę i poprosiła, żeby się zajął końmi. Spojrzał pytająco na ojca. Bili kiwnął głową.

- Tylko powiedz, który koń jest twój, a ja już się nim troskliwie zajmę. - Randy uśmiechnął się promiennie.

- Wszystkie są moje. - Kahlan odwzajemniła uśmiech. - Zaopiekuj się wszystkimi. Od tego zależy moje życie.

- Możesz na mnie liczyć - odparł z poważną miną. Nie wiedział, co zrobić z rękami, więc w końcu wepchnął je do kieszeni. - Nikomu nie pozwolę do nich podejść. - Ruszył ku drzwiom, po czym dodał: - I chcę, żebyś wiedziała, że ani trochę nie wierzę w to, co ci tam na dole o tobie gadają. Powiem im to.

Kahlan nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Dzięki. Ale nie narażaj się z mojego powodu. Nie zaczynaj z mmi. I nie wspominaj, że ze mną rozmawiałeś - to ich tylko rozzuchwali.

Randy się uśmiechnął, kiwnął głową i wyszedł. Bili przewrócił oczami i

potrząsnął łysą głową. Powiedział z uśmiechem do dziewczyny:

- Może byś tu została i wyszła za mojego chłopaka? Przydałaby mu się taka małżonka.

W oczach Kahlan mignął ból i przerażenie. Usiadła na łóżku i patrzyła w podłogę.

- Tylko żartowałem, dziewczyno - rzekł przepraszająco Bili i zwrócił się do Richarda: - Przyniosę wam kolację. Gotowane kartofle i mięso.

- Mięso? - spytał podejrzliwie chłopak.

- Nie martw się. - Bili zachichotał. - Tym na dole nie ośmieliłbym się podać zepsutego mięsiwa. Urwaliby mi głowę. Wyszedł i po kilku minutach znów się pojawił z dwoma parującymi półmiskami.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Richard.

- Nie ma za co. - Bili uniósł brew. - Wszystko wpiszę do księgi rachunkowej. Przyniosę ci ją rankiem, żebyś to podpisał. Czy ktoś w Hartlandzie zna twój podpis?

- Tak myślę. - Richard się uśmiechnął. - Nazywam się Richard Cypher. Mój brat jest Pierwszym Rajcą. - Ooo, jak mi przykro - spłoszył się nagle Bili. - Oczywiście nie dlatego, że twój brat jest Pierwszym Rajcą! Przykro mi, że nic o tym nie wiedziałem. Gdybym wiedział, dałbym lepszy pokój. Możesz się zatrzymać w moim domu. To żaden pałac, ale o wiele wygodniejszy niż to tutaj. Zaraz przeniosę rzeczy...

- Nie trzeba, Bili. - Chłopak podszedł do grubasa i uspokajająco położył mu rękę na ramieniu. Karczmarz już nie był tak pewny siebie. - To mój brat jest Pierwszym Rajcą, nie ja. Pokój jest w sam raz. Wszystko jest tak, jak trzeba.

- Na pewno? Wszystko? Nie przyślesz tu żołnierzy?

- Ogromnie nam pomogłeś, naprawdę. Nie mam nic wspólnego z żołnierzami.

- Przecież podróżujesz z naczelnikiem straży granicznej - rzekł podejrzliwie Bili.

- To mój przyjaciel. - Richard uśmiechnął się ciepło. - I to od wielu lat. Starzec też. Obaj są moimi przyjaciółmi.

- Hmm, skoro tak - rozjaśnił się Bili - to może bym dopisał do rachunku parę dodatkowych pokoi? I tak nie będą wiedzieć, że mieszkaliście w jednym.

- Nie, to się nie godzi. - Chłopak z uśmiechem poklepał ramię grubasa. - Nie podpisałbym się pod tym.

Bili odetchnął i wyszczerzył się promiennie.

- Jesteś więc przyjacielem Chase'a. - Kiwnął głową. - Teraz ci wierzę. Nigdy, przenigdy mi nie pozwolił niczego dopisywać do rachunków!

Richard wsunął mu w dłoń kilka srebrnych monet.

- To się jak najbardziej godzi. Doceniam to, co dla nas robisz. I byłbym wdzięczny, gdybyś dziś rozcieńczył piwo. Pijani mężczyźni zbyt łatwo umierają. - Bili uśmiechnął się porozumiewawczo, a chłopak dodał: - Masz niebezpiecznych gości.

Karczmarz uważnie spojrzał w oczy Richarda, zerknął na Kahlan i znów na chłopaka.

- Dzisiaj na pewno - przyznał.

- Zabiję każdego, kto się ośmieli wejść przez te drzwi - rzekł twardo Richard.

Bill obserwował go dłuższą chwilę, potem rzekł:

- Zobaczę, co się da zrobić, żeby temu zapobiec. Choćbym musiał kilku stuknąć głowami. - Ruszył ku drzwiom. - Jedzcie, zanim wystygnie. I dbaj o swoją damę, ma głowę nie od parady. - Popatrzył na dziewczynę i mrugnął. - i jeszcze na dokładkę ładną buzię.

- Jeszcze jedno, Bili. Granica zanika. Za parę tygodni zniknie zupełnie. Uważaj na siebie.

Bili głęboko zaczerpnął powietrza. Położył dłoń na klamce i długo patrzył chłopakowi w oczy.

- Coś mi się zdaje, że Rada mianowała Pierwszym Rajcą nie tego brata, co trzeba. Nie powinni być rajcami, bo się boją właściwie postępować. Przyjdę po was rano, kiedy już wzejdzie słońce i będzie bezpiecznie.

Wyszedł. Richard i Kahlan usiedli na niewielkiej ławie i zjedli kolacje. Pokój był na tyłach gospody, a wesoła kompania przebywali we frontowej sali, więc nie przeszkadzała im tak, jak się chłopak tego obawiał. Słyszeli tylko mocno stłumiony szum. Jedzenie było o wiele smaczniejsze, niż się Richard spodziewał - może dlatego, że doskwierał mu głód. Łóżko kusiło, bo był przeraźliwie zmęczony. Kahlan to zauważyła. - Ostatniej nocy spałeś tylko dwie godziny. Teraz ja będę czuwać jako pierwsza. Jeśli ci z dołu tu przyjdą, to i tak dopiero później, kiedy nabiorą odwagi. O ile w ogóle przyjdą. Lepiej, żebyś był wypoczęty, jeśli się pojawią.

- Łatwiej zabijać ludzi, jeżeli się jest wypoczętym? - palnął i natychmiast pożałował, że to powiedział. Wcale nie chciał być taki szorstki. Zauważył, że ściska widelec jak miecz.

- Przepraszam, Richardzie. Nie to miałam na myśli. Po prostu nie chciałabym, żeby cię zranili. Nie zdołasz się obronić, jeśli będziesz taki zmęczony. Boję się o ciebie. - Popychała widelcem ziemniak po obwodzie talerza. Szepnęła ledwie dosłyszalnie: - Tak mi przykro, że cię w to wmieszałam. Nie chcę, żebyś musiał zabijać ludzi. Nie chcę, żebyś musiał zabijać tych na dole. Dlatego to zrobiłam, abyś nie musiał pozbawić ich życia. Popatrzył na nią, lecz nie oderwała oczu od talerza. Serce mu się ścisnęło, kiedy zobaczył jej ściągniętą bólem twarz. Łobuzersko trącił dziewczynę ramieniem.

- Za nic bym nie przepuścił tej wędrówki. Dzięki temu jestem z moją przyjaciółką. - Uśmiechnął się do zerkającej nań spod oka Kahlan.

Odwzajemniła uśmiech i położyła głowę na ramieniu chłopaka. Potem zjadła ziemniak. Jej uśmiech dodał Richardowi sił.

- Dlaczego mi kazałeś poprosić chłopca, żeby dbał o konie?

- Sama mówiłaś, że liczą się przede wszystkim efekty. Biedny dzieciak kocha się w tobie na zabój. Ponieważ to ty go poprosiłaś, będzie strzegł koni lepiej niż my sami. - Popatrzyła nań z niedowierzaniem. - Właśnie tak działasz na mężczyzn - zapewnił ją.

Uśmiech dziewczyny trochę zblaknął, mina zrobiła się niewyraźna. Richard wyczuł, że za bardzo się przybliżył do jej tajemnic, więc już nic nie dodał. Skończyli jeść. Kahlan podeszła do miednicy z wodą, zamoczyła róg ręcznika i pochyliła się nad Zeddem. Delikatnie obmyła twarz starca i spojrzała na Richarda.

- Nie pogorszyło mu się, jest w tym samym stanie co przedtem. Pozwól mi mieć pierwszą wartę, Richardzie, proszę. A ty się trochę prześpij.

Kiwnął potakująco głową, zwinął się w kłębek na łóżku i niemal natychmiast zasnął. Zbudziła go wczesnym rankiem. Teraz Kahlan zasnęła, a chłopak obmył twarz zimną wodą, starając się dobrze wybudzić. Potem usiadł na ławie, oparł się o ścianę i czekał na ewentualne kłopoty. Ssał kawałek suszonego owocu, żeby się pozbyć przykrego smaku.

Na godzinę przed świtem ktoś nagląco zastukał w drzwi.

- Richard? - zawołał stłumiony głos. - To ja, Bili. Odrygluj drzwi. Zaczyna się.

Rozdział szesnasty

Richard odryglował drzwi. Kahlan wyskoczyła z łóżka, przecierając zaspane oczy. Wyciągnęła nóż. Do pokoju wślizgnął się zasapany Bili i plecami zatrzasnął drzwi. Krople potu rosiły czoło karczmarza.

- O co chodzi? Co się stało? - dopytywał się Richard.

Było całkiem spokojnie. - Bili przełknął ślinę, starając się uspokoić oddech. - Potem się zjawili jacyś dwaj faceci. Wyskoczyli jak spod ziemi. Wysocy, o potężnych karkach, jasnowłosi. Przystojni. Uzbrojeni po zęby. Tacy, którym lepiej nie patrzeć w oczy. - Odetchnął głęboko kilka razy.

Richard i Kahlan wymienili spojrzenia. Nie mieli wątpliwości, kim są owi mężczyźni. Najwyraźniej czarodziej nie wpędził bojówki w wystarczająco poważne tarapaty.

- Dwaj? - zapytał chłopak. - Jesteś pewien, że nie ma ich więcej?

Widziałem, jak wchodzili ci dwaj, a to zupełnie wystarczyło. - Szeroko otwarte oczy Billa popatrzyły spod krzaczastych brwi. - Jeden był nieźle poharatany: ręka na temblaku, głębokie ślady pazurów na drugim ramieniu. Wcale mu to nie przeszkadzało. Zaczęli wypytywać o kobietę i bardzo to przypominało twoją panią. Choć nie nosi białej szaty, o której mówili. Ruszyli ku schodom i wtedy wybuchła awantura o to, co który z nią zrobi. Wasz rudowłosy przyjaciel skoczył do tego z temblakiem i podciął mu gardło od ucha do ucha. Drugi facet w okamgnieniu powalił sporo moich gości. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Potem znienacka zniknął. Jakby się rozpłynął w powietrzu. Wszędzie pełno krwi. Teraz reszta się kłóci, który pierwszy... - Zerknął na Kahlan i nie dokończył. Otarł czoło ręką. - Randy podprowadza konie pod tylne wyjście. Musicie uciec. Jedźcie do Adie. Słońce wzejdzie za godzinę, psy pojawią się za dwie, więc nic się wam nie stanie. Jedźcie, nie zwlekając.

Richard złapał nogi Chase’a, Bill ujął ramiona strażnika. Kazał Kahlan zaryglować drzwi i zebrać pakunki. Zanieśli Chase’a bocznymi schodami w ciemność i deszcz. W kałużach odbijało się światło lamp i rzucało żółtawe odblaski na mokre, ciemne sylwetki koni. Zatroskany Randy przytrzymywał wierzchowce. Ułożyli strażnika na noszach i najciszej jak mogli pobiegli z powrotem na górę.

Bill wziął Zedda na ręce, a Richard i Kahlan narzucili płaszcze i pochwycili pakunki. Potem zbiegli ze schodów. O mało nie wpadli na rozciągniętego na ziemi Randy’ego. Richard w ostatniej chwili zauważył czającego się rudzielca. Cofnął się

gwałtownie, unikając ciosu długim nożem. Rudy padł w błoto. Rozwścieczony, poderwał się szybko na kolana i zdrętwiał, widząc tuż przed swoim nosem czubek miecza. Zabrzęczała stal. Mężczyzna podniósł na nich czarne, ziejące nienawiścią oczy. Z włosów ściekało mu błoto i woda. Richard obrócił miecz w dłoni i spuścił płazem na głowę tamtego. Rudzielec padł bezwładnie.

Bili układał Zedda na noszach, a Kahlan odwróciła Randy'ego na plecy. Jedno oko miał spuchnięte i zamknięte. Krople deszczu zabębniły o twarz chłopca. Jęknął. Popatrzył jednym okiem na dziewczynę i uśmiechnął się promiennie. Uścisnęła go z radości, że nic mu się nie stało, i pomogła mu wstać.

- Zaskoczył mnie - usprawiedliwiał się Randy. - Tak mi przykro.

- Dzielny z ciebie młodzian. Nie masz za co przepraszać. Dzięki, że nam pomogłeś. - Odwróciła się ku Billowi. - I tobie też dziękuję.

Karczmarz uśmiechnął się i skinął głową. Pospiesznie okryli nieprzytomnych przyjaciół kocami i ceratami, po czym załadowali bagaż. Bili powiedział im, że dostawa dla Adie była na koniu strażnika. Richard i Kahlan dosiedli wierzchowców. Dziewczyna wsunęła Randy'emu srebrną monetę.

- To ta druga, obiecana - powiedziała. Wziął monetę i uśmiechnął się.

Richard pochylił się w siodle, serdecznie uścisnął dłoń chłopca i podziękował mu, a potem gniewnie wycelował w Billa palcem.

- Ej, ty tam! Chcę, żebyś to wszystko wpisał do swoich ksiąg rachunkowych. Wszystkie szkody, stracony czas i doznane kłopoty, usługi grabarza też. I dodaj godziwe honorarium za ocalenie nam życia. Jeśli Rada nie chciałaby tego uznać, to im powiedz, że uratowałeś życie brata Pierwszego Rajcy i że Richard Cypher oznajmił: „Jeżeli nie zapłacą, to osobiście zetnie głowę tego, kto za to odpowiada, i zatknie ją na pice przed domem swego brata!"

Bili potakująco skinął głową i zaśmiał się tak tubalnie, że zagłuszył szum deszczu. Richard odchylił się w tył, powstrzymując tańczącego w miejscu konia. Wskazał na leżącego w błocie rudzielca. Był wściekły.

- Nie zabiłem go tylko dlatego, że on uśmiercił kogoś gorszego od siebie i tym samym nieświadomie ocalił Kahlan życie. Jednakowoż popełnił morderstwo, zamierzał popełnić kolejne oraz miał dokonać gwałtu. Najlepiej powieś go, zanim się ocknie.

- Zrobione! - rzekł twardo Bili.

- I pamiętaj, co mówiłem o granicy. Czekają nas kłopoty. Uważaj na siebie.

Karczmarz otoczył syna ramieniem i popatrzył Richardowi w oczy.

- Nie zapomnimy. - Uśmiechnął się leciutko i dodał: - Sława Poszukiwaczowi.

Richard spojrzał nań ze zdumieniem, a potem się uśmiechnął. To trochę ostudziło jego gniew.

- Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że nie jesteś przebiegły. Jakże się myliłem!

Wędrowcy nasunęli kaptury i ruszyli w deszcz, ku domostwu kościanej babki.

Strugi deszczu wkrótce przesłoniły światła Southaven i jechali po omacku. Konie Chase'a ostrożnie szły traktem, zła pogoda im nie przeszkadzała, bo strażnicy przygotowali je do pracy w takich warunkach. Zdawało się, że świt nigdy nie nadejdzie. Richard czuł, że słońce już wzeszło ponad chmurami, a świat wciąż trwał w półmroku, zawieszony pomiędzy nocą a dniem. Zimny deszcz ostudził gniew chłopaka.

Kahlan i Richard wiedzieli, że czwarty mężczyzna z bojówki jest na swobodzie, więc bacznie wypatrywali, czy się gdzieś nie czai. Spodziewali się, że prędzej czy później spróbuje ich dopaść. Nie wiedzieli, kiedy to nastąpi, i to ich dręczyło. Chłopak dodatkowo gryzł się tym, co usłyszał od Billa: że Chase i Zedd długo nie pociągną. Co zrobi, jeżeli owa kobieta, Adie, nie zdoła im pomóc? Jeśli ona nie potrafi ich wyleczyć, to obaj przyjaciele umrą. Richard nie mógł sobie wyobrazić świata bez Zedda. Bez jego sztuczek, pomocy i pociechy świat byłby pusty i martwy. Chłopaka aż ściskało w gardle, kiedy o tym myślał. Zedd na pewno by mu poradził, żeby się tak nie przejmował tym, co się może zdarzyć, a poświęcał więcej uwagi temu, co akurat się dzieje. Lecz i to było dość beznadziejne. Ojca zamordowano. Rahl Posępny lada moment zdobędzie wszystkie trzy szkatuły. Dwaj najważniejsi przyjaciele byli o włos od śmierci. No i był na szlaku sam z kobietą, na której mu bardzo zależało, a o której nie wolno mu było nawet marzyć. Ona zaś nie zdradzała mu swoich tajemnic.

Richard niemalże czuł walkę, która się toczyła w umyśle Kahlan. Czasem, kiedy stawał się jej zbyt bliski, widział w zielonych oczach strach i ból. Wkrótce dotrą do Midlandów; tamtejsi ludzie wiedzą, kim ona jest. Wolałby, żeby mu sama o tym powiedziała, nie chciałby się tego dowiedzieć od obcych. Jeśli nie powie w najbliższym czasie, to będzie ją musiał o to poprosić. Będzie musiał, czy mu się to podoba, czy nie.

Chłopak tak się zamyślił, że nawet nie zauważył, iż jadą już niemal cztery

godziny. Las sycił się deszczem. Drzewa stały we mgle, ciemne i stłoczone, ich pnie porastał soczysty i bujny mech. Rósł nie tylko na korze drzew, ale i na ziemi, u ich stóp, zielony i gąbczasty. Porosty na skałach, zmoczone deszczem, lśniły jaskrawą żółcią i rdzawą czerwienią. Tu i tam woda spływała traktem, tworzyły się strumyki. Tyczki Zeddowych noszy rozchlapywały wodę, przesuwając się po kamieniach i korzeniach, a głowa starca aż podskakiwała, kiedy podłoże stawało się zbyt nierówne. Stopy niemal dotykały płynącej traktem wody.

Richard wyczuł woń palącego się drewna. Brzozowego drewna. Spostrzegł, że coś się zmieniło dokoła nich. Niby wszystko wyglądało tak samo jak od czterech godzin, a jednak zaszła jakaś uchwytna zmiana. Deszcz spokojnie spływał na las, jakby oddając mu cześć. Chłopak miał wrażenie, że się znalazł w uświęconej okolicy. Poczuł się jak intruz zakłócający spokój nieprzeliczonych wieków. Chciał się odezwać do Kahlan, lecz rozmowa byłaby profanacją tych miejsc. Zrozumiał, czemu mężczyźni z gospody woleli się tu nie pojawiać: sama ich obecność skalałaby to święte miejsce.

Wędrowcy dotarli wreszcie do domostwa tak wtopionego w otoczenie, że niemal niewidocznego. Smużka dymu unosiła się z komina w mgliste powietrze. Drewniane ściany były spłowiałe i wiekowe. Miały tę samą barwę co okoliczne drzewa. Zdawało się, że dom wyrasta z podłoża lasu, że drzewa otaczają go opiekuńczo. Paprocie porastały dach. Mniejszy, ukośny daszek osłaniał drzwi i ganek, który mógł pomieścić co najwyżej dwie, trzy osoby. Richard dostrzegł dwa okna - jedno we frontowej ścianie, z czterema szybkami, a drugie w tylnej. Żadne nie miało zasłon.

Rosnąca przed starym domostwem kępa paproci chwiała się w spływających z drzew strumyczkach deszczu. Zwykle przykurzone, bladozielone pióropusze paproci nabrały dzięki wilgoci soczystej barwy. Okalały wąziutką ścieżkę.

Na owej ścieżce, w samym środku kępy paproci, stała wysoka kobieta. Była wyższa od Kahlan, lecz nie dorównywała wzrostem Richardowi. Ubrana była w prosty strój z brązowego, grubo tkanego płótna; wokół wycięcia widniały czerwone i żółte ozdoby. Miała wspaniałe, proste włosy, przycięte równo na wysokości uszu, przedzielone przedziałkiem biegnącym przez środek głowy ciemne pasma włosów przeplatały się z siwymi. Wiek nie zniszczył pięknych rysów twarzy. Kobieta wspierała się na kuli. Miała tylko jedną stopę. Richard zatrzymał konie tuż przed nią. Miała zupełnie białe oczy.

- Ja Adie. Wy kto? - spytała szorstkim, gardłowym, chrapliwym głosem. Ów głos sprawił, że Richarda przeszył dreszcz.

- Czworo przyjaciół - odparł z szacunkiem chłopak. I czekał na odpowiedź w strugach deszczu.

Na twarzy kobiety pojawiły się cieniutkie zmarszczki. Wyjęła kule spod pachy i wsparła o nią obie chude dłonie, przenosząc na nie ciężar ciała. Wąskie usta uśmiechnęły się leciutko.

- Jeden przyjaciel - wychrypiała. - Troje niebezpiecznych ludzi. Zdecyduję, czy oni przyjaciel. - Lekko skinęła głową.

Richard i Kahlan zerknęli na siebie. Chłopak stał się czujny. Nieswojo się czuł na koniu, jakby nie okazywał Adie należytego szacunku, przemawiając do niej z wysokości wierzchowca. Zsiadł. Kahlan poszła w jego ślady. Richard stanął przed swoim koniem, nie wypuszczając cugli z dłoni, a dziewczyna znalazła się u jego boku.

- Jestem Richard Cypher. A to moja przyjaciółka, Kahlan Amnell. Kobieta uważnie wpatrywała się swoimi białymi oczami w twarz Richarda..

Nie miał pojęcia, czy ona w ogóle coś widzi, a jeśli tak - to jakim cudem. Teraz zwróciła się ku Kahlan i powiedziała coś do niej w języku, którego nie rozumiał. Dziewczyna spojrzała w oczy Adie i lekko skłoniła głowę. To było powitanie. Powitanie pełne respektu. Richard nie usłyszał ani słowa „Kahlan", ani słowa „Amnell".. Włosy mu się zjeżyły na karku.

Kahlan została powitana stosownie do swej rangi.

Już na tyle długo przebywał z dziewczyną, by z jej postawy - wyprostowane plecy, uniesiona głowa - poznać, iż ma się na baczności. I to bardzo. Gdyby była kotką, to wygięłaby plecy w łuk i nastroszyła sierść. Obie kobiety stały naprzeciwko siebie, ich wiek się teraz nie liczył. Oceniały się według wartości, których on, Richard, nie znał. Ta kobieta, Adie, mogła im zaszkodzić, a wtedy miecz nic by im nie pomógł.

Adie znów spojrzała na chłopaka.

- Wyraź swoją prośbę, Richardzie Cypher.

- Potrzebujemy twojej pomocy.

- Prawda. - Skinęła głową.

- Dwaj nasi przyjaciele zostali zranieni. Jeden z nich, Dell Brandstone, mówił mi, że jest i twoim przyjacielem.

- Prawda - chrypnęła Adie.

- Pewien człowiek z Southaven powiedział nam, że możesz pomóc. Jako rewanż za twoją pomoc przywieźliśmy ci trochę zapasów. Pomyśleliśmy, że uczciwie będzie coś ci ofiarować.

Adie pochyliła się nieco.

- Kłamstwo! - Stuknęła kulą o ziemię. Richard i Kahlan aż podskoczyli. Chłopak nie wiedział, co powiedzieć. Adie czekała.

- To prawda. Zapasy dla ciebie są, o, tam. - Wskazał konia strażnika. - Sądziliśmy, że należy...

- Kłamstwo! - Znów stuknęła kulą.

Richard skrzyżował ramiona, zaczynając tracić cierpliwość. Jego przyjaciele umierali, a oni tu się bawią w jakieś słowne gierki.

- Co jest kłamstwem? - spytał.

- „My” - kłamstwo. - Ponownie stuknęła kulą. - To ty pomyślałeś, żeby coś przywieźć. To ty zdecydowałeś. Nie ty i Kahlan, Ty. „My” - kłamstwo. „Ja” - prawda.

Chłopak rozplótł ramiona i swobodnie je opuścił.

- A co to za różnica? „Ja”, „my” - co za różnica?

- Jedno kłamstwo i jedna prawda. - Adie wpatrzyła się w chłopaka. - Czyż może być większa różnica?

Richard znów skrzyżował ramiona i zmarszczył brwi.

- Ależ Chase musi się napocić, kiedy ci opowiada swoje przygody.

- Prawda. - Kobieta uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Nachyliła się ku niemu i zapraszająco skinęła dłonią. - Wnieś swoich przyjaciół do środka.

Odwróciła się, włożyła kulę pod pachę i ruszyła ku domowi. Richard i Kahlan spojrzeli na siebie, potem podeszli do strażnika i zdjęli zeń koce. Dziewczyna chwyciła go za kostki, Richard miał dźwigać cięższą połowę. Wtargali Chase’a do chaty i chłopak natychmiast pojął, czemu nazywają Adie kościaną babką.

Od ciemnych ścian jaskrawo odbijała biel wszelkiego rodzaju kości. Pokrywały wszystkie ściany. Na jednej zamocowano półki pełne czaszek. Czaszek należących do nieznanych Richardowi bestii. Większość wyglądała przerażająco: w szczękach tkwiły długie, zakrzywione zębiska. Przynajmniej żadna z nich nie należała do człowieka, pomyślał chłopak. Niektóre kości nanizano na sznurki, tworząc z nich naszyjniki. Inne, przystrojone piórami i barwnymi koralikami, obrysowano koliście kredą. W kącie piętrzył się stos luźnych kości. Te na ścianach były starannie

wyeksponowane. Na gzymsie kominka leżało żebro grube jak ramię Richarda, mierzące tyle centymetrów, ile on miał wzrostu. Ktoś wyciął na nim symbole zupełnie chłopakowi nieznane. Dokoła było takie mnóstwo zbielałych części szkieletu, że Richard miał wrażenie, jakby się znalazł w brzuchu jakiejś martwej bestii.

Ułożyli Chase'a, a Richard uważnie się wszystkiemu przypatrywał. Wszyscy troje ociekali deszczem, gdy Adie stanęła nad strażnikiem. Była równie sucha jak kości w jej chacie. Stała w deszczu, a mimo to była sucha. Chłopak ponownie rozważył słuszność zjawienia się tutaj. Nie przyjechałby tu, gdyby mu Chase nie powiedział, że on i Adie są przyjaciółmi. Spojrzał na Kahlan. - Pójdę po Zedda. - Było to raczej pytanie niż stwierdzenie. - A ja zajmę się pakunkami - zaproponowała dziewczyna, zerknąwszy na Adie.

Richard ostrożnie ułożył Zedda u stóp kościanej babki. Wraz z Kahlan wnieśli pakunki i położyli je na stole. Potem stanęli obok swoich przyjaciół, przed Adie. Obydwoje zerkali na kości. Kobieta się im przypatrywała. - Kot to? - wskazała na Zedda.

- Zeddicus Zu'l Zorander. Mój przyjaciel - odparł chłopak.

- Czarodziej! - prychnęła Adie.

- Mój przyjaciel! - ryknął rozwścieczony Richard. Kobieta spokojnie patrzyła w rozeźlone oczy chłopaka. Zedd umrze, jeśli nie uzyska pomocy, a Richard nie miał zamiaru do tego dopuścić. Adie pochyliła się i położyła pomarszczoną dłoń na brzuchu chłopaka. Zdziwił się, lecz stał spokojnie, a ona zataczała ręką powolne kółka, jakby próbując coś wyczuć. W końcu cofnęła dłoń i wsparła ją o tę na kuli. Uśmiechnęła się.

- Słuszny gniew prawdziwego Poszukiwacza. Dobrze. - Popatrzyła na Kahlan. - Nie musisz się niczego obawiać z jego strony, dziecko. To gniew prawdy. Gniew groźny i słuszny. Uczciwi nie muszą się go obawiać. Gniew zęba. - Wsparła się na kuli, podeszła do dziewczyny i powtórzyła osobliwe nacieranie. Potem znów oparła się na kuli i skinęła głową. Popatrzyła na Richarda. - Ma w sobie żar. I w niej płonie gniew. Lecz to gniew języka. Powinieneś się go obawiać. Wszyscy powinni się go lękać. Będzie niebezpieczny, jeżeli go spuści z łańcucha.

- Nie lubię zagadek. - Chłopak zerknął chytrze na Adie. - łatwo je niewłaściwie zrozumieć. Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, to powiedz.

- Powiedz - przedrzeźniała go, zmrużywszy oczy - co jest silniejsze, zęby czy język?

- Zęby, oczywiście. - Richard głęboko zaczerpnął powietrza - Dlatego wybieram język.

- Czasem twój język klepie bez ładu i składu - parsknęła gniewnie kobieta. - Uspokój go - poleciła sucho.

Zakłopotany i zmieszany Richard zamilkł. Adie uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Rozumiesz?

- Nie. - Chłopak zmarszczył się.

- Gniew zęba to moc bezpośredniego kontaktu. Gwałtowność przemoc przy zetknięciu się. Walka. Magia Miecza Prawdy to magia gniewu zęba. Rozdzieranie. Szarpanie. Gniew języka nie potrzebuje bezpośredniego kontaktu, lecz jest równie potężny. Uderza równie szybko.

- Niezbyt dobrze rozumiem, co masz na myśli - powiedział Richard. Adie wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia chłopaka. Umysł Richarda wypełnił się nagle obrazami: znów widział to, co się działo ubiegłej nocy. Mężczyźni w gospodzie. Stał przed nimi z Kahlan, a oni byli gotowi rzucić się na nich. Zaciskał dłoń na rękojeści Miecza Prawdy, gotów odpowiedzieć gwałtem na gwałt, wiedząc, że tylko rozlew krwi położy temu kres. Potem ujrzał Kahlan mówiącą do tej tłuszczy, powstrzymującą ich słowami, przesuwającą językiem po wargach, mówiącą bez słów. Gasiła ich gniew, wytrącała im broń z ręki na odległość. Czyniła to, czego nie uczyniłby miecz. Richard zaczął rozumieć, co Adie miała na myśli. Kahlan chwyciła rękę kobiety i odsunęła od ramienia Richarda. W oczach dziewczyny błyszczała groźba.

- Przysięgłam, że będę chronić życia Poszukiwacza. Nie wiem, co czynisz. Wybacz, jeżeli zareagowałam zbyt gwałtownie. Nie chciałabym ci uchybić, lecz nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym zawiodła. Stawka jest olbrzymia.

- Rozumiem, dziecko. - Adie spojrzała na dłoń ściskającą jej rękę. - Przepraszam, że cię tak niepotrzebnie zaalarmowałam.

Kahlan jeszcze przez chwilę przytrzymała rękę Adie, a potem ją puściła. Kobieta znów wsparła obie dłonie na kuli. Spojrzała na Richarda.

- Zęby i język działają wspólnie. To samo dotyczy magii. Ty rozkazujesz magii miecza, magii zęba. Daje ci to również magię języka. Magia języka działa, bo wspierasz ją mieczem. - Obróciła głowę ku Kahlan. - Masz je obie, dziecko. Magię zęba i języka. Korzystasz z obu, wzmacniają się wzajemnie.

- A jaka jest magia czarodzieja? - spytał Richard. Adie spojrzała nań,

zastanowiła się nad pytaniem.

- Jest wiele rodzajów magii. Ząb i język to tylko dwa z nich. Czarodzieje znają całą magię, z wyjątkiem tej z zaświatów. - Popatrzyła na Zedda. - To bardzo niebezpieczny człowiek. - Zawsze był dla mnie dobry i wyrozumiały. To szlachetny i łagodny człowiek.

- Prawda. Ale i niebezpieczny. Richard puścił to mimo uszu.

- A Rahl Posępny? - spytał. - Słyszałaś o nim? Jaką magią się posługuje?

- O tak, słyszałam - syknęła Adie, mrużąc oczy. - Może stosować i tę magię, którą stosuje każdy czarodziej, i tę, której oni nie znają.. Rahl Posępny może korzystać z magii zaświatów.

Richard poczuł lodowaty dreszcz. Już chciał zapytać, jakie czary zna Adie, ale się powstrzymał. Kobieta znów zwróciła się ku Kahlan.

- Wiedz, dziecko, że jesteś obdarzona prawdziwą magią języka. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. To straszliwa siła i źle będzie, jeśli nad nią nie zapanujesz.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Kahlan zmarszczyła brwi.

- Prawda. - Adie kiwnęła głową. - Prawda. - Łagodnie położyła rękę na ramieniu dziewczyny, przyciągając ją bliżej. - Twoja matka zmarła, zanim się stałaś kobietą, zanim osiągnęłaś wiek odpowiedni do takich nauk.

- Czy ty mogłabyś mnie czegoś o tym nauczyć?

- Niestety nie. Przykro mi. Nie rozumiem, jak to działa. Tylko twoja matka mogła cię nauczyć, gdybyś doszła do odpowiednich lat. Nie mogła tego zrobić i nauka stracona. Lecz moc nadal jest. Pamiętaj, nie nauczono cię, jak się ową mocą posługiwać, ale to nie znaczy, że ona się nie może ujawnić.

- Znałaś moją matkę? - szepnęła boleśnie Kahlan.

Twarz kobiety złagodniała. Z wolna skinęła głową. - Pamiętam twoje nazwisko. Pamiętam jej zielone oczy; nie tak łatwo je zapomnieć. Ty masz jej oczy. Znałam ją, kiedy cię nosiła pod sercem.

Łza spłynęła po policzku Kahlan. Dziewczyna wyszeptała:

- Moja matka nosiła naszyjnik z malutką kością. Dała mi go, kiedy byłam dzieckiem. Zawsze go nosiłam, dopóki... Aż Dennee, dziewczyna, którą nazywałam siostrą... Kiedy umarła, włożyłam go jej do grobu. Bardzo się jej zawsze podobał. To ty dałaś ów naszyjnik mojej matce, prawda?

- Tak, dziecko - potwierdziła Adie. Zamknęła oczy. - Dałam go jej, żeby chronił jej nienarodzoną córkę, strzegł jej, by wyrosła na kobietę silną jak matka.

Widzę, że tak się stało.

Kahlan objęła kobietę.

- Dziękuję, Adie - powiedziała ze łzami. - Dziękuję, że pomogłaś matce. Adie zdjęła jedną rękę z kuli i gładziła ze współczuciem plecy dziewczyny. Po chwili Kahlan cofnęła się i otarła oczy.

Richard dostrzegł nadarzającą się okazję i twardo ją wykorzystał.

- Adie - powiedział łagodnie. - Pomogłaś Kahlan, zanim się narodziła. Pomóż jej i teraz. Chodzi o jej życie i o życie wielu innych ludzi. Rahl Posępny ściga i ją, i mnie. Potrzebne nam wsparcie tych dwóch mężczyzn. Pomóż im, proszę. Pomóż, Kahlan.

Adie uśmiechnęła się do niego. Kiwnęła głową.

- Czarodziej dobrze wybrał Poszukiwacza. Masz szczęście, że cierpliwość nie jest niezbędna do tej funkcji. Uspokój się. Nie kazałabym ich wnosić do środka, gdybym nie miała zamiaru im pomóc.

- Hmm, może nie zauważyłaś, że Zedd jest w bardzo złym stanie. Prawie wcale nie oddycha.

Białe oczy kobiety spojrzały nań z ostatkiem cierpliwości.

- Powiedz no mi - wychrypiała - znasz sekret Kahlan, ten, który tak przed tobą ukrywa?

Richard milczał i starał się zachować nieprzeniknioną minę. Adie spojrzała na Kahlan.

- A czy ty, dziecko, znasz tajemnicę, którą on przed tobą skrywa? - Dziewczyna nie odpowiedziała. - Czy znasz sekret, który czarodziej ukrywa przed tobą? - spytała kobieta Richarda. - Nie. A czy czarodziej zna sekret, który ty przed nim taisz? Też nie. Troje ślepych ludzi. Wygląda na to, że widzę lepiej niż wy.

Jakież to sekrety ukrywa przede mną Zedd? - zastanawiał się Richard. Uniósł brew i zapytał:

- Które z tych sekretów znasz, Adie?

- Tylko jej. - Wycelowała w Kahlan chudy palec.

Richard odetchnął, ale starał się tego nie okazywać. Był bliski paniki.

- Każdy ma swoje tajemnice i może je dla siebie zachować, jeśli uważa, że to konieczne.

- Prawda, Richardzie Cypher. - Uśmiech Adie pojaśniał.

- A co z tymi dwoma?

- Wiesz, jak ich uleczyć?

- Nie. Gdybym wiedział, to już bym to zrobił.

- Wybaczam ci twoją niecierpliwość. Masz prawo bać się o życie przyjaciół. Nie mam ci tego za złe. Bądź spokojny, otrzymują pomoc, od kiedy ich tu wniosłeś.

- Naprawdę? - Chłopak spojrzał na nią niepewnie. Potaknęła.

- Powaliły ich bestie z zaświatów. Potrzebują czasu, by się obudzić. Może i dni. Nie wiem ile. Ale się odwadniają. Brak wody może spowodować śmierć, więc trzeba ich rozbudzić na tyle, żeby pili, albo umrą. Czarodziej oddycha tak powoli nie dlatego, że mu gorzej. Czarodzieje w ten sposób oszczędzają siły, gdy wpadną w tarapaty: wchodzą w głębszy sen. Muszę ich zbudzić na tyle, by pili. Nie będziesz mógł z nimi rozmawiać, a oni cię nie rozpoznają; nie wystrasz się tego. Przynieś z kąta wiadro wody.

Richard przyniósł wodę i pomógł Adie usiąść na podłodze, przy głowach Zedda i Chase’a. Kobieta skłoniła Kahlan, żeby usiadła przy niej, i poprosiła Richarda, by jej podał z półki kościany przyrząd.

W skład owego urządzenia wchodziła chyba ludzka kość udowa. Całość była ciemnobrązowa i najprawdopodobniej bardzo stara. Cała kość była pokryta symbolami, które chłopak widział po raz pierwszy. Do jednego z jej końców, po obu stronach główki, przymocowano wierzchołki dwóch czaszek. Obcięto je tak, że tworzyły półkule, i pokryto wysuszoną skórą. W centrum każdej ze skór widniało zaciągnięcie, wyglądające jak pępek, dookoła zaś sterczały pęczki sztywnych, czarnych włosów, związane sznurkami koralików (takich jak te, które okalały wycięcie w sukni Adie). Owe kawałki czaszek mogły być ludzkiego pochodzenia. Coś w nich grzechotało. Richard z uszanowaniem wręczył Adie kościane urządzenie i spytał:

- Co tak grzechocze?

- Wyschnięte oczy - odparła, nie spojrzawszy na chłopaka.

Adie potrząsała kościaną grzechotką nad głowami Zedda i Chase’a, mamrocząc przy tym jakąś inkantację w tym samym dziwacznym języku, w którym powitała Kahlan. Dziewczyna siedziała obok niej, głowę miała spuszczoną. Richard stał trochę z boku i przyglądał się.

Po jakichś dziesięciu, piętnastu minutach Adie dała mu znak, żeby podszedł. Zedd nagle usiadł i otworzył oczy. Richard zorientował się, że ma go napoić. Kobieta ciągle śpiewała. Zanurzył chochlę w wodzie, zaczerpnął trochę i przysunął Zeddowi

do ust.

Czarodziej wypił łapczywie. Richard był poruszony tym, że starzec usiadł i otworzył oczy. Nic to, że nie mógł mówić i że nie wiedział:, gdzie jest. Zedd wypił połowę wody z kubełka. Kiedy skończył, położył się i zamknął oczy. Chase wypił resztę wody.

Adie oddała Richardowi kościaną grzechotkę i poprosiła, by ją odłożył na półkę. Potem poleciła mu przynieść stertę kości z kąta pokoju i rozmieścić po połowie wokół ciał obu mężczyzn. Mówiła mi, jak ma położyć poszczególne kości, tak by tworzyły wzór, który tylko ona jedna widziała i pojmowała. Na koniec ułożył koła z żeber tak, by punkt centralny wypadał na piersi każdego z leżących. Adie pochwaliła Richarda, że tak sprawnie wszystko wykonał, lecz on wcale nie był ucieszony z tej pochwały, bo to przecież sama Adie prowadziła jego rękę. Kobieta spojrzała nań swoimi białymi oczami.

- Umiesz gotować?

Chłopak przypomniał sobie, jak to Kahlan stwierdziła, że jego polewka korzenna była niemal taka jak jej i że ich krainy nie wiele się od siebie różnią. Adie pochodziła z Midlandów, może smakowałoby jej coś z rodzinnych stron. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Będę zaszczycony, mogąc ci ugotować korzenną polewę.

- Cudownie! - Aż złożyła ręce z zachwytu. - Od lat nie jadłam prawdziwej korzennej polewki.

Richard zasiadł więc za stołem, kroił warzywa i mieszał przyprawy. Przez ponad godzinę pracował z zapałem, obserwując przy tym obie kobiety. Siedziały na podłodze i rozmawiały w owym dziwacznym języku. Rozmawiają o rodzinnym kraju, myślał uszczęśliwiony. Był w dobrym nastroju - ktoś się wreszcie zajął Zeddem i Chase’em. Ktoś, kto wiedział, w czym rzecz. Skończył przygotowania i postawił polewkę na ogniu. Nie chciał przeszkadzać obu kobietom - dobrze im się rozmawiało - więc spytał Adie, czy mógłby jej naciąć drew na opał. Bardzo jej się ów pomysł spodobał.

Chłopak wyszedł z domu, zsunął z szyi rzemyk z zębem i schował do kieszeni, potem zdjął koszulę i rozwiesił ją na ganku, żeby wyschła. Poszedł na tyły domostwa, gdzie miało leżeć drewno. Miecz zabrał ze sobą. Kładł dłużyce na pieńku i ciął na odpowiednie kawałki. W większości było to drewno brzozy, którą starej kobiecie najłatwiej było ściąć. Wyłowił kawałek drewna klonowego - znakomite na ogień, ale

bardzo twarde i trudne do cięcia. Pobliskie lasy były gęste i mroczne, ale nie emanowało z nich zagrożenie. Wprost przeciwnie - zapraszały, spowijały, tchnęły bezpieczeństwem. Lecz gdzieś tam wciąż się czaił ostatni mężczyzna z bojówki ścigającej Kahlan.

Richard wspomniał brata, Michaela; miał nadzieję, że nic mu nie zagraża. Michael nie miał pojęcia, co porabia młodszy brat, i pewnie się zastanawiał, gdzie się podziewa. Może się o niego martwił. Chłopak zamierzał zajść do brata w drodze od Zedda, ale nie było na to czasu. Rahl omal ich nie dopadł. Dobrze by było przesłać Michaelowi wiadomość. Kiedy granica zaniknie, Pierwszy Rajca znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

W końcu chłopak miał dość przycinania dłużyc i zaczął rozszczepiać klocki na kawałki. Praca fizyczna, praca mięśni dobrze Richardowi zrobiła, pozwoliła odpocząć od niewesołych myśli. Deszcz chłodził ciało chłopaka, ułatwiając pracę. Richard czasem sobie wyobrażał, że drewno, w które mierzy siekierką, to głowa Rahla Posępnego, innym razem - że to chimera, a kiedy kawałek drewna był wyjątkowo twardy - że to głowa rudzielca z gospody.

Przyszła Kahlan i zapytała chłopaka, czy już może przyjść jeść. Richard nawet nie zauważył, że się zaczęło ściemniać. Dziewczyna wróciła do domu, a on poszedł do studni i wylał na siebie wiadro zimnej wody, spłukując pot. Kahlan i Adie zajęły jedyne dwa krzesła, więc Richard przyniósł sobie pieniek. Dziewczyna postawiła przed nim miseczkę polewki i podała mu łyżkę.

- Ofiarowałeś mi wspaniały podarunek, Richardzie - odezwała się Adie.

- Co masz na myśli? - zapytał chłopak, dmuchając na łyżkę polewki, żeby ją schłodzić.

Popatrzyła nań białymi oczami.

Pozwoliłeś mi porozmawiać z Kahlan w ojczystym języku. Nawet nie wiesz, jakami to sprawiło radość. Od wielu, wielu lat nie mówiłam tym językiem. Jesteś bardzo spostrzegawczy. Jesteś prawdziwym Poszukiwaczem.

- I ty ofiarowałaś mi wspaniały dar. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Życie moich przyjaciół. Dziękuję ci, Adie.

- A twoja polewka jest przepyszna - dodała Adie z nutką zdumienia w głosie.

- Tak - Kahlan mrugnęła do chłopaka. - Jest równie dobra jak ta, którą ja gotuję.

- Kahlan opowiedziała mi o Rahlu Posępnym i o zanikaniu granicy - dorzuciła

kobieta. - To wiele wyjaśnia. Powiedziała mi również, że wiesz o przejściu i chcesz się dostać do Midlandów. Teraz musisz zadecydować, co zrobisz - zakończyła i zaczerpnęła polewki.

- To znaczy?

- Trzeba ich co dnia budzić, żeby się napili i zjedli kleiku. Będą spali przez wiele dni: z pięć, może i dziesięć. Musisz postanowić, jako Poszukiwacz, co uczynisz - czy zaczekasz tu na nich, czy też pójdziesz dalej. Sam musisz podjąć decyzję, nie możemy ci w tym pomóc.

- Jeśli odejdę, to cała robota spadnie na ciebie.

- Tak. Lecz to i tak łatwiejsze niż szukanie szkatuł i powstrzymanie Rahla Posępnego. - Adie zjadła trochę polewki, obserwując przy tym chłopaka.

Richard mieszał łyżką w swojej polewce. Wszyscy troje milczeli. Popatrzył na Kahlan, ale nic nie wyczytał z jej twarzy. Wiedział, że dziewczyna nie chce wpływać na jego decyzję. Znów wpatrzył się w polewkę.

- Każdy upływający dzień przybliża Rahla do ostatniej szkatuły - rzekł na koniec spokojnym głosem Richard. - Zedd mi mówił, że ma jakiś plan. To wcale nie znaczy, iż jest to dobry plan. A gdy się Zedd wreszcie zbudzi, to możemy nie mieć czasu na realizację jego planu. Mogłoby się zdarzyć, że przegramy, zanim zaczniemy grę. - Spojrzał w zielone oczy Kahlan. - Nie możemy czekać. Nie możemy ryzykować, stawka jest zbyt wielka. Musimy wyruszyć bez niego. - Dziewczyna uśmiechnęła się do niego uspokajająco. - No i wcale nie zamierzałem zabierać ze sobą Chase'a. Mam dlań ważniejszą robotę.

Adie położyła swoją zniszczoną dłoń na ręce chłopaka; ciepłą i miękką dłoń.

- Nie jest łatwo dokonać wyboru. Niełatwo być Poszukiwaczem. A to, co przed wami, jest gorsze niż najczarniejsze strachy.

- Przynajmniej wciąż mam swoją przewodniczkę. - Chłopak zmusił się do uśmiechu.

Znów siedzieli w milczeniu, rozmyślając o tym, co musiało być zrobione.

- Powinniście się porządnie wyspać tej nocy - odezwała się Adie. - Potrzebujecie tego. Po kolacji powiem wam to, co musicie wiedzieć, żeby przejść na drugą stronę. - Popatrzyła to na jedno, to na drugie i dodała jeszcze bardziej chrypliwym głosem: - I opowiem wam, jak straciłam stopę.

Rozdział siedemnasty

Richard postawił lampę na stole, tuż przy ścianie, i zapalił ją drzazgą, z paleniska. Od okna słychać było szum deszczu i głosy nocnych stworzeń. Znajome szczebioty i wołania niewielkich zwierząt - kojące, przyjazne, domowe dźwięki. Dom. Ostatnia noc w rodzinnym kraju, potem przejdzie do Midlandów. Jak ojciec. Chłopak uśmiechnął się do siebie: cóż za ironia losu. Ojciec przyniósł z Midlandów Księgę Opisania Mroków, a on ją tam znów zanosi. Usiadł na pieńku i powiedział do Adie:

- Jak znajdziemy to przejście?

Kobieta odchyliła się w krześle i zamaszyście machnęła ręką.

- Już znaleźliście. Jesteście w przejściu. A przynajmniej u jego początku.

- Co powinniśmy wiedzieć, żeby je przebyć?

- To jakby tunel przez zaświaty, lecz nadal ziemia zmarłych. Wy jesteście żywi. A bestie polują na to, co żywe, o ile jest dostatecznie duże.

Richard spojrzał na kamienną twarz Kahlan, potem znów na Adie.

- Jakie bestie?

- To kości bestii. - Kobieta wskazała długim, chudym palcem na każdą ze ścian. - Stwory z zaświatów dosięgły waszych przyjaciół. Kości przeciwdziałają ich mocy. To dlatego mówiłam, że wasi przyjaciele zyskali pomoc, jak tylko się tu znaleźli. Kości wyciągają z nich magiczną truciznę, odpędzają sen śmierci. Kości trzymają zło z dala od tego miejsca. Bestie nie mogą mnie znaleźć, bo wyczuwają zło kości i ono je oślepia, myli. Sądzą, że jestem jedną z nich.

- A gdybyśmy tak wzięli kilka kości? Ochroniłyby nas? - zainteresował się chłopak.

- Znakomicie. - Adie uśmiechnęła się. - Właśnie to musicie zrobić. W kościach martwych stworów tkwi magia, która was ochroni. Lecz jest jeszcze coś. Słuchajcie uważnie.

Richard splótł palce i kiwnął głową.

- Nie możecie zabrać ze sobą koni, trakt jest dla nich za wąski. Nie wolno wam zboczyć z traktu, to ogromnie niebezpieczne. I nie możecie tam spać. Przeprawa zajmie jeden dzień, jedną noc i większość następnego dnia.

- Dlaczego nie możemy się zatrzymać i przespać? - spytał chłopak.

- Bo są tam jeszcze inne stwory, oprócz bestii. - Adie popatrzyła na nich białymi oczami. - I dopadną was, jeśli się zatrzymacie na dłużej...

- Stwory? - odezwała się Kahlan.

- Tak. - Adie skinęła głową. - Często wchodzę w przejście Jeżeli będziecie ostrożni, nic się wam nie powinno stać. Lecz jeśli nie zachowacie ostrożności, to one was dopadną - w jej ochrypłym głosie zabrzmiała gorycz. - Stałam się zbyt pewna siebie. Pewnego dnia szłam długo i bardzo się zmęczyłam. Sądziłam, że znam wszelkie niebezpieczeństwa, że nic mi się nie stanie. Usiadłam pod drzewem i zdrzemnęłam się. Tylko na parę minut. - Położyła dłoń na nodze i lekko ją masowała. - Szponiak przyczepił mi się do kostki, kiedy spałam.

- Szponiak? Co to takiego? - zapytała Kahlan. Adie patrzyła na nią w milczeniu, a potem rzekła:

- Szponiak to takie zwierzę, które ma na grzbiecie pancerz. Skraj owego pancerza otaczają ostre kolce. Stwór ten ma wiele łap, a każda jest zakończona ostrymi, zakrzywionymi pazurami. Ma też gębę jak pijawka, ale z mnóstwem zębów. Owija się dokoła zdobyczy, na wierzchu jest tylko pancerz. Wbija pazury głęboko w ciało i przywiera tak mocno, że nie można go oderwać, i przysysa się, pijąc twoją krew i wciąż mocniej wbijając pazury.

Kahlan uspokajająco położyła dłoń na ramieniu Adie. Światło lampy nadawało białym oczom kobiety pomarańczowy odcień Richard mocno napiął mięśnie i trwał bez ruchu.

- Miałam ze sobą siekierę - podjęła Adie. Kahlan zamknęła oczy i spuściła głowę. - Próbowałam zabić szponiaka, oderwać go od siebie. Wiedziałam, że jeśli mi się to nie uda, to wyssie ze mnie całą życiodajną krew. Jego pancerz był za twardy dla siekiery. Byłam wściekła na siebie. Szponiak to najpowolniejszy stwór przejścia, ale i tak jest szybszy niż śpiący głupiec. - Popatrzyła Richardowi w oczy. - Tylko jedno mogło mi ocalić życie. Ból stawał się nie do zniesienia. Zęby szponiaka drapały kość. Obwiązałam mocno udo kawałkiem płótna i położyłam łydkę na kłodzie. Siekierą odrąbałam kostkę i stopę.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Richard powoli oderwał wzrok od Adie i przeniósł na Kahlan. W zielonych oczach był smutek i żal, współczucie dla starej kobiety - odbicie jego własnych uczuć. Jakiegoż zdecydowania i samozaparcia trzeba, żeby odrąbać własną stopę, pomyślał. Zrobiło mu się niedobrze. Adie uśmiechnęła się smutno. Jedną ręką ujęła dłoń Richarda, drugą - Kahlan, trzymając je w mocnym uścisku.

- Nie po to wam opowiedziałam tę historię, żebyście się nade mną litowali,

lecz po to, byście nie padli łupem jakiegoś stwora, kiedy już będziecie w przejściu. Pewność siebie może być niebezpieczna. Strach niekiedy gwarantuje bezpieczeństwo.

- Będziemy więc bardzo bezpieczni - stwierdził Richard.

- To dobrze. - Adie nie przestała się uśmiechać i kiwnęła głową - I jeszcze jedno. Jest takie miejsce, prawie w połowie szlaku, gdzie obie ściany granicy niemal się dotykają. Nazywa się to Przesmyk. Kiedy zobaczycie skałę wielkości mego domu, pękniętą na pół, to znaczy, że doszliście do Przesmyku. Musicie przejść przez skałę. Nie obchodźcie jej wkoło, choćby nie wiem co, bo zginiecie. Potem musicie przejść pomiędzy ścianami granicy. To najniebezpieczniejszy odcinek przejścia. - Mocniej ścisnęła dłoń Richarda, położyła rękę na ramieniu Kahlan, patrząc to na jedno to na drugie. - Będą was nawoływać z granicy. Będą chcieć, żebyście do nich przyszli.

- Kto? - spytała dziewczyna.

- Martwi. - Adie nachyliła się ku niej. - Ktoś, kogo znałaś, kiedy żył. Twoja matka.

- Czy to naprawdę oni? - Kahlan przygryzła wargę.

- Nie wiem, dziecko. - Kobieta potrząsnęła głową. - Ale nie wierzę, żeby to byli naprawdę oni.

- Ja też w to nie wierzę - wtrącił Richard, bardziej po to, by dodać sobie kontenansu.

- I dobrze - chrypnęła Adie. - Myśl tak dalej. To pomoże oprzeć się wołaniom. Będzie cię kusić, żeby do nich pójść. Zginiesz, jeśli to zrobisz. I pamiętajcie, w Przesmyku tym bardziej nie należy zbaczać ze ścieżki. Krok lub dwa w jedną lub drugą stronę - i już po was. Tak blisko są ściany granicy. Nie będziecie mogli się cofnąć.

- Granica zanika, Adie. Zedd zdążył mi powiedzieć, że widzi zmianę. Chase mówił, że kiedyś nie można było tam zajrzeć i że teraz wychodzą stamtąd zaświatowe stwory. Sądzisz, że przeprawa przez Przesmyk jest nadal bezpieczna?

- Bezpieczna? Wcale nie twierdziłam, że jest bezpieczna, bo nigdy nie była. Wielu próbowało tamtędy przejść: gnała ich żądza zysku, lecz zabrakło im siły woli, i nigdy się nie pojawili z drugiej strony. - Nachyliła się ku chłopakowi. - Przejście będzie trwało równie długo jak granica. Nie zbaczajcie ze szlaku. Stale miejcie w pamięci cel wyprawy. Wspomagajcie się w razie potrzeby, a na pewno się przedostaniecie na drugą stronę. Adie badawczo patrzyła na Richarda. On zaś spojrzał w zielone oczy Kahlan. Zastanawiał się, czy obydwoje zdołają się oprzeć

nawoływaniom z granicy. Dobrze pamiętał, jak pragnął wejść w graniczną strefę, jak tęsknił, by się tam znaleźć. W Przesmyku ściany granicy będą tuż, tuż. Wiedział, jak bardzo Kahlan się boi zaświatów, i miała po temu powody - już raz tam była. On sam też się zbytnio nie palił, by się znaleźć blisko ścian granicy.

- Mówiłaś, że Przesmyk jest w połowie przejścia - odezwał się zamyślony chłopak. - Czy nie dotrzemy tam w nocy? Jak zdołamy dostrzec ścieżkę?

Adie wstała, wsparłszy się na ramieniu Kahlan, i oparła się na kuli, polecając im, by za nią poszli. Powoli podeszła do półek. Wzięła skórzany woreczek. Poluzowała rzemyki i wysypała coś na dłoń.

- Wyciągnij rękę - rzekła do Richarda.

Usłuchał, Nakryła jego dłoń swoją, wyczuł coś gładkiego. Kobieta wyszeptała parę słów w swoim ojczystym języku.

- Powiedziałam, że daję ci to z własnej woli.

W dłoni chłopaka spoczywał kamyk wielkości jajka kuropatwy - gładki, wypolerowany i tak czarny, że miało się wrażenie, iż pochłania światło. Richard nawet nie widział wyraźnie powierzchni owego kamyka - jedynie błyszczącą warstewkę, pod którą ziała czarna próżnia.

- To nocny kamień - chrypnęła Adie.

- Co mam z nim zrobić?

Kobieta zawahała się, zerknęła w okno.

- Wyjmij nocny kamień, gdy będzie ciemno i gdy się znajdziesz w takiej potrzebie, a da ci światło, przy którym dojrzysz drogę. Ów kamyk działa tylko dla swego właściciela, i to wyłącznie wtedy, gdy poprzedni oddał go z własnej woli. Powiem czarodziejowi, że go masz. On go potrafi odszukać, więc przy okazji znajdzie i ciebie.

- To bardzo cenna rzecz, Adie. Nie mogę go przyjąć.

- Wartość zależy od okoliczności. Woda jest cenniejsza niż złoto dla kogoś, kto umiera z pragnienia. Dla tego, kto tonie, woda nie ma żadnej wartości, jest źródłem kłopotów. Teraz to ty jesteś w wielkiej potrzebie. A ja pragnę, żeby powstrzymano Rahla Posępnego. Weź nocny kamień. Kiedyś mi go oddasz.

Richard skinął głową, schował kamyk do skórzanego woreczka, który wsunął do kieszeni. Adie ponownie sięgnęła na półkę, wzięła naszyjnik i pokazała Kahlan. Po obu stronach małej okrągłej kostki znajdowały się czerwone i żółte paciorki. Dziewczynie pojaśniały oczy i otworzyła usta ze zdumienia.

- Taki sam jak naszyjnik mojej matki - ucieszyła się.

Dziewczyna uniosła bujne ciemne włosy i Adie założyła jej naszyjnik. Kahlan dotknęła go i uśmiechnęła się. - Ukryje cię przed stworami z przejścia, a kiedyś, gdy będziesz nosić swoją córkę, ochroni ją i sprawi, że wyrośnie równie silna jak ty.

Kahlan objęła starą kobietę i mocno ją przytuliła. Kiedy się rozdzieliły, dziewczyna miała zmartwioną minę i powiedziała coś w języku, którego Richard nie rozumiał. Adie tylko się uśmiechnęła i współczująco poklepała po ramieniu.

- Zaśnijcie teraz.

- A ja? Nie dasz mi kości, by mnie ukryła przed stworami?

Kobieta spojrzała bacznie w oczy Richarda, potem przeniosła spojrzenie na jego pierś. Powoli wyciągnęła rękę. Dotknęła koszuli chłopaka i schowanego tam zęba. Cofnęła dłoń i znów spojrzała chłopakowi w oczy. Skądś wiedziała, że ma ów ząb. Richard wstrzymał oddech.

- Nie potrzebujesz kości, hartlandczyku. Bestie nie mogą cię zobaczyć.

Ojciec mówił Richardowi, że księgi strzegła szatańska bestia. To ów ząb sprawił, że stwory z granicy nie mogły mnie dostrzec, choć świetnie widziały pozostałych, pomyślał chłopak. Gdyby nie ząb, i leżałbym bez przytomności, jak Zedd i Chase, a Kahlan byłaby teraz w zaświatach, dumał, starając się zachować kamienną twarz. Adie pojęła, w czym rzecz, i milczała. Kahlan nie miała pojęcia, o co idzie, ale nie zapytała.

- Teraz spać - zarządziła Adie.

Kahlan nie chciała zajmować Adie łóżka. Obydwoje z Richardem rozłożyli swoje posłania w pobliżu paleniska, a stara kobieta poszła do swojej sypialni. Chłopak pamiętał, że Kahlan lubi przebywać przy ogniu, więc dołożył parę szczap w płomienie. Potem posiedział trochę przy Zeddzie i strażniku, gładząc siwe włosy starca, i nasłuchiwał jego oddechu. Bardzo niechętnie zostawiał obu przyjaciół. Bał się tego, co czekało na niego i na dziewczynę. Zastanawiał się, czy Zedd się domyślał, gdzie należy szukać trzeciej szkatuły. Tak by chciał wiedzieć, jakie plany miał stary czarodziej. Może chciał wypróbować na Rahlu Posępnym jakąś czarodziejską sztuczkę?

Kahlan siedziała na podłodze, przy ogniu, i obserwowała Richarda.. Wreszcie przyszedł na swoje posłanie. Wtedy się położyła i zakryła kocem. Dom tchnął ciszą i bezpieczeństwem. Na zewnątrz wciąż padał deszcz. Przyjemnie było się wyciągnąć w pobliżu ognia. Chłopak był bardzo zmęczony. Podparł głowę na dłoni i obrócił się ku

Kahlan. Patrzyła w sufit, obracając w palcach kostkę z naszyjnika. Jej piersi to unosiły się, to opadały w rytm oddechu.

- Tak mi przykro, Richardzie, że musimy ich tu zostawić - szepnęła zapatrzona w sufit dziewczyna.

- Wiem - odszepnął. - I ja tego żałuję.

- Ale nie chciałabym, żebyś uważał, iż cię do tego zmusiłam. No wiesz... Tym, co mówiłam na bagnach.

- Nie, wcale tak nie uważam. To była po prostu jedyna słuszna decyzja. Każdy dzień zbliża nas do zimy. Czekanie, aż się ockną, mogłoby się źle skończyć - w tym czasie Rahl zdobyłby wszystkie szkatuły. I wszyscy byśmy zginęli. Prawda to prawda i tyle. Nie mogę się na ciebie złościć, że to powiedziałaś.

Ogień trzeszczał i syczał, a Richard patrzył na twarz dziewczyny, na jej spływające na podłogę włosy. Widział, jak żyłka na szyi Kahlan pulsuje rytmem jej serca. To najpiękniejsza szyja, jaką w życiu widziałem, myślał. Czasami Kahlan była tak piękna, że ledwie śmiał na nią spojrzeć, a jednocześnie nie mógł wtedy oderwać od niej oczu. Wciąż się bawiła naszyjnikiem.

- Kahlan? - Spojrzała nań. - Co odpowiedziałaś Adie, kiedy mówiła, że naszyjnik będzie chronił ciebie, a pewnego dnia i twoje dziecko?

Patrzyła nań długo, a potem odparła:

- Podziękowałam jej i dodałam, iż nie sądzę, abym żyła wystarczająco długo, by się doczekać dziecka.

- Dlaczego tak powiedziałaś? - spytał, czując zimny dreszcz.

- Richardzie - odparła spokojnie, uważnie obserwując jego twarz. - Richardzie, w moim rodzinnym kraju dzieją się straszne rzeczy, nawet sobie nie wyobrażasz, jak ginęli lepsi ode mnie, którzy im się próbowali przeciwstawić. Nie twierdzę, że i my przegramy, lecz nie sądzę, bym dożyła chwili, kiedy to się rozstrzygnie.

Choć tego nie powiedziała, Richard przeczuwał, iż nie wierzy, że i on dożyje tej chwili. Nie chciała wzbudzać w nim strachu, ale sądziła, że i on zginie w tych zmaganiach. To dlatego nie chciała, żeby Zedd dał mu Miecz Prawdy, żeby go ogłosił Poszukiwaczem. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Kahlan była przekonana, że wiedzie ich obydwoje na pewną śmierć. Może i ma rację, dumał chłopak. W końcu lepiej niż ja wie, przeciwko czemu wystąpiliśmy. Pewnie jest przerażona powrotem do Midlandów. Ale i tak nie mieliby się gdzie skryć. Nocny ognik mówił, że ucieczka to pewna śmierć. Richard ucałował czubki palców i dotknął kostki w naszyjniku.

Spojrzał w łagodne oczy dziewczyny.

- Dokładam moją przysięgę do ochronnej mocy kostki - szepnął. - Będę teraz strzegł ciebie, a w przyszłości każdego twojego dziecka. Nie zamieniłbym ani jednego spędzonego z tobą dnia na bezpieczne życie w niewoli. Z własnej woli przyjąłem funkcję Poszukiwacza. A jeśli Rahl Posępny chce wpędzić w szaleństwo cały świat, to zginiemy z mieczem w dłoni, a nie ze skrzydłami w łańcuchach. Nie poddamy się, nie będzie im łatwo nas zabić. Zapłacą wysoką cenę. Będziemy walczyć do ostatniego tchu, a ginąc, zadamy mu ranę, która się nigdy nie zagoi i w końcu sprowadzi nań śmierć...

Dziewczyna uśmiechnęła się, uśmiech zagościł także w jej oczach.

- Gdyby Rahl Posępny znał cię taka jak ja, to pożegnałby się ze snem. Dziękuję dobrym duchom, iż Poszukiwacz nie ma powodu by mnie ścigać słusznym gniewem. - Położyła ramię pod głowę i dodała: - Potrafisz mi dodać ducha, Richardzie Cypher, i to nawet wtedy, kiedy mówisz o mojej śmierci.

- Po to właśnie są przyjaciele. - Uśmiechnął się.

Kahlan zamknęła oczy, a Richard patrzył na nią, dopóki nie zmorzył go sen. Ostatnie przed zaśnięciem myśli poświęcił dziewczynie.

Ranek wstawał wilgotny i ponury, ale przestało padać. Kahlan uścisnęła Adie na pożegnanie. Richard patrzył w białe oczy kobiety.

- Musze ci powierzyć ważne zadanie. Przekaż Chase’owi posłanie od Poszukiwacza. Powiedz mu, że ma wrócić do Hartlandu i ostrzec Pierwszego Rajcę, że granica wkrótce zaniknie. Niech powie Michaelowi, żeby zebrał wojsko do obrony Westlandu przed siłami Rahla. Muszą być gotowi do walki z inwazją każdego rodzaju. Nie mogą dopuścić, żeby Westland padł, tak jak Midlandy.

Każdy oddział, który wkroczy na nasze tereny, powinien być uznany za oddział najeźdźców. Niech powie Michaelowi, że to Rahl zabił naszego ojca i że ci, którzy nadejdą, nie przyjdą w pokoju. Jesteśmy w stanie wojny, a ja się już włączyłem do walki. Jeśli mój brat lub wojsko zlekceważą moje ostrzeżenie, to Chase powinien porzucić służbę dla władz i zebrać wszystkich strażników granicznych, by stawili czoło wojskom Rahla. Midlandy zajęli bez oporu. Może stracą ducha walki, jeśli zaczną przelewać krew w Westlandzie. Powiedz mu, żeby nie okazywali wrogom litości, by nie brali jeńców. Ciężko mi wydawać takie rozkazy, ale tak walczy Rahl i albo posłużymy się jego metodami, albo zginiemy. Jeżeli Westland mimo to padnie, niech strażnicy każą wrogom drogo, straszliwie drogo okupić zwycięstwo. Kiedy już

Chase zbierze wojsko i strażników, to może się przyłączyć do mnie, jeśli zechce. Przede wszystkim nie możemy dopuścić, żeby Rahl zdobył wszystkie trzy szkatuły. - Richard popatrzył w ziemię. - Niech powie mojemu bratu, że go kocham i tęsknię za nim. - Podniósł oczy i przyjrzał się Adie. - Zapamiętasz moje słowa?

- Nie zapomnę, choćbym chciała. Przekażę strażnikowi twoje słowa. A co mam powiedzieć czarodziejowi?

- Iż żałuję, że nie mogliśmy na niego zaczekać - uśmiechnął się Richard - ale wiem, że to zrozumie. Znajdzie nas dzięki nocnemu kamieniowi, kiedy już odzyska siły. Mam nadzieję, że do tej pory znajdę jedną ze szkatuł.

- Niech moc będzie z tobą, Poszukiwaczu - wychrypiała Adie - Iz tobą, dziecko. Nadchodzą ciężkie czasy.

Rozdział osiemnasty

Trakt był na tyle szeroki, że mogli wędrować ramię przy ramieniu. Ciemne i gęste chmury skrywały niebo, lecz nie padało. Obydwoje otulili się szczelnie płaszczami. Brązowe, wilgotne sosnowe igły zaścielały ścieżkę. Wśród wielkich drzew nie było zbyt wiele chaszczy, wędrowcy więc mogli ogarnąć wzrokiem sporą przestrzeń. Rosło tam za to dużo paproci, a tu i ówdzie leżały, jakby śpiąc, obumarłe drzewa. Wiewiórki skrzeczały do wędrowców a ptaki śpiewały w gałęziach.

Richard odłamał gałązkę z małej sosenki i odrywał igiełki, jedna po drugiej.

- Adie jest kimś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka - oznajmił.

- Jest czarodziejką - odparła Kahlan, rzuciwszy nań okiem.

- Naprawdę? - spytał ze zdumieniem. - A kim właściwie jest czarodziejka?

- Jest kimś więcej niż my, lecz nie dorównuje czarodziejowi.

Chłopak powąchał balsamiczne igły i wyrzucił je. Może i jest kimś więcej niż ja, pomyślał, ale niż Kahlan? Pamiętał minę Adie, kiedy dziewczyna złapała ją za rękę. Kobieta się wówczas wystraszyła. I pamiętał minę Zedda, kiedy po raz pierwszy zobaczył Kahlan. Jakąż to mocą włada dziewczyna, że budzi strach i w czarodziejce, i w czarodzieju? Co uczyniła, że powstał ów cichy grzmot, grom bez dźwięku? Zrobiła to dwa razy - najpierw z bojówką, potem z Shar, nocnym ognikiem. A po cichym gromie - cierpienie i smutek. Czarodziejka potężniejsza niż Kahlan? Hmm.

- Czemu mieszka w przejściu?

- Miała już dość ludzi przychodzących do niej po uroki i zioła. Chciała być sama, mieć czas na zajęcie się tym, czym się zwykle zajmują czarodziejki, „wyższymi celami", jak to nazywa.

- Myślisz, że będzie bezpieczna, gdy granica zaniknie?

- Mam nadzieję. Lubię ją.

- Ja też. - Chłopak uśmiechnął się.

Czasem ścieżka pięła się ostro w górę, innym razem zwężała na skalistych stokach i na granicach - tak że musieli iść gęsiego Richard szedł wtedy z tyłu: żeby stale mieć Kahlan na oku i pilnować, czy nie zboczy ze szlaku. Niekiedy musiał wskazywać drogę - ułatwiało mu to doświadczenie przewodnika, innym razem trakt był wyraźnie widoczny. Las był gęsty. Drzewa wyra stały ze szczelin w skałach, sterczących z liściastej ściółki. Wśród pni snuły się pasma mgły. Korzenie, widoczne w pęknięciach ułatwiały wspinaczkę po stromych odcinkach szlaku. Richarda zaczęły boleć nogi, zmęczone schodzeniem ze stromizn.

Chłopak się zastanawiał, co też zrobią, kiedy już dotrą do Midlandów. Liczył na to, że Zedd zdradzi mu swój plan, kiedy tylko przebędą ów szlak, a teraz nie było ani Zedda, ani planu. Trochę to głupie, tak przeć na oślep do Midlandów, myślał. A jak już się tam znajdą, to co wtedy? Zatrzymać się tam i rozejrzeć, zgadnąć, gdzie jest szkatułka, i ruszyć po nią? To niezbyt dobry plan. Nie mieli czasu na włóczenie się bez celu, w nadziei, że na coś w końcu natrafią. Nikt tam nań nie będzie czekać, nikt mu nie powie, dokąd ma iść.

Dotarli do stromej skały. Trakt wiódł środkiem ściany. Chłopak przyjrzał się okolicy. Łatwiej byłoby obejść dokoła, niż się wspinać, lecz zrezygnował z pozornie łatwiejszej drogi. Bał się, że mogliby niebacznie wejść w granicę. Trakt na pewno nie biegnie tędy bez powodu. Poszedł pierwszy, ujął dłoń Kahlan i pomagał dziewczynie się wspinać.

Szli, a Richard wciąż rozmyślał nad całą ta sprawą. Ktoś musiał schować jedną ze szkatuł, inaczej Rani by ją już odnalazł. Skoro Rahl nie potrafi jej odszukać, to jak on, Richard, zdoła tego dokonać? Nie znał nikogo w Midlandach i nie miał pojęcia, gdzie szukać. Ktoś jednak wie, gdzie jest ostatnia szkatuła, i tego się musieli dowiedzieć. Nie powinni szukać szkatuły, lecz kogoś, kto im powie, gdzie ona jest. Magia, pomyślał nagle chłopak. Midlandy to kraina magii. Może ktoś, kto zna czary, powie im, gdzie jest szkatuła. Muszę znaleźć kogoś, kto zna właściwe zaklęcie. Adie, choć go nigdy wcześniej nie widziała, mogła o nim wiele powiedzieć. Musi więc być ktoś, kto wskaże umiejscowienie szkatuły, choć jej nie widział. Należy odnaleźć taką osobę i przekonać, by im zdradziła kryjówkę ostatniej szkatuły. Jeżeli ktoś ukrywa tę swoją wiedzę przed Rahlem Posępnym, to z radością pomoże go powstrzymać? Coś zbyt wiele w tym pragnień i nadziei, uznał chłopak.

Za to jedno wiedział na pewno, jeśli nawet Rahl zdobędzie wszystkie szkatuły, to bez księgi nie będzie miał pojęcia, która jest która. Richard recytował w myślach Księgę Opisania Mroków, w nadziei, że znajdzie tam sposób na powstrzymanie Rahla. Skoro była to swego rodzaju instrukcja obsługi szkatuł, to powinna także zawierać formułkę „unieczynnienia” ich. Nie znalazł jednak w księdze niczego takiego. Niewielki, końcowy fragment tekstu wyjaśniał właściwości magii każdej ze szkatuł, mówił, jak ustalić, która jest która, i jak otworzyć tę wybraną. Było to napisane jasno i precyzyjnie, bardzo zrozumiale. Większość księgi zawierała jednak wskazówki, jak sobie radzić w nieprzewidzianych okolicznościach, jak pokonywać przeciwności, przeszkody w osiągnięciu celu. Tekst zaczynał się od tego, jak

sprawdzić prawdziwość instrukcji.

Gdyby zdołał wywołać którąś z tych przeciwności, dumał Richard, to koniec z Rahlem - przecież nie ma księgi, która by mu pomogła. Ale na większość spraw nie miał, niestety, najmniejszego wpływu. Chodziło tu o ustawienie słońca i chmur w dniu otwarcia. Całych partii tekstu w ogóle nie rozumiał. Mówiły o sprawach zupełnie mu nieznanych. Myśl o rozwiązaniu, a nie o problemie, napominał się Richard. Jeszcze raz przepowiedz sobie tekst księgi. Oczyścił umysł z natrętnych myśli i zaczął od początku:

Jedynie Spowiedniczka może zweryfikować prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiadane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy szkatuły...

Późnym popołudniem wędrowcy byli już mocno zziajani i spoceni. Natknęli się na niewielki strumyk i Kahlan zmoczyła w wodzie kawałek płótna, którym otarła twarz. Richard uznał, że to świetny pomysł. Dotarli do następnej rzeczułki, więc przystanął, by pójść w ślady dziewczyny. Woda była czysta i płytka, dno pokrywały krągłe kamienie. Chłopak przykucnął na płaskiej skałce i zanurzył płótno w strumyku.

Podniósł się - i wtedy dostrzegł cień. Zamarł.

Coś było w lesie, stało na wpół ukryte za pniem drzewa. Nie istota, nie człowiek, choć tej wielkości, lecz bez wyraźnego kształtu. Wyglądało to jak zawieszony w powietrzu cień, cień jakiejś osoby. Trwało bez ruchu. Richard zamrugał powiekami, zmrużył oczy, sprawdzając, czy istotnie widzi to coś. Może to tylko gra świateł, cień drzewa, który wziął za coś więcej.

Kahlan spokojnie szła traktem. Richard dopędził ją i położył dłoń na plecach dziewczyny, tuż pod plecakiem - popychał jaw przód, tak by nie przystanęła. Pochylił się ponad ramieniem Kahlan i szepnął jej do ucha:

- Popatrz w lewo, między drzewa. I powiedz mi, co widzisz.

Dalej trzymał dłoń na plecach dziewczyny i nie pozwalał jej przystanąć. Odwróciła głowę i spojrzała między drzewa. Odsunęła włosy, żeby nie zasłaniały widoku, i patrzyła uważnie. Na koniec zobaczyła owo coś.

- Co to jest? - szepnęła.

- Nie wiem - odparł z lekkim zdziwieniem. - Myślałem, że może ty mi powiesz.

Kahlan potrząsnęła przecząco głową. Cień trwał nieruchomo. Może to tylko gra świateł i cień, przekonywał się Richard. Ale wiedział, że to nieprawda.

- Może to jedna z tych bestii, o których opowiadała nam Adie. I nie widzi nas - rzekł bez przekonania.

- Bestie mają kości. - Dziewczyna zerknęła nań spod oka.

Miała oczywiście rację, lecz on się łudził, że przystanie na te hipotezę. Szli pospiesznie traktem, a cień stale trwał w tym samym miejscu i wkrótce już go nie było widać. Richard odetchnął. Jednak i kościany naszyjnik Kahlan, i jego ząb spełniły swe zadanie - ukryły ich. Posilili się w marszu: chleb, marchewki i wędzone mięso. Posiłek nie sprawił im przyjemności. Cały czas wpatrywali się w głąb lasu. Przez cały dzień nie spadła ani kropla deszczu, a mimo to wszystko było wilgotne, tu i tam woda ściekała z drzew. Gdzieniegdzie skały pokrywał śliski szlam, musieli wtedy uważać, żeby się nie poślizgnąć. Uważnie obserwowali otaczający ścieżkę las, wypatrując oznak niebezpieczeństwa. Niczego nie dostrzegli. I to właśnie zaczęło niepokoić Richarda. Nie było tu wiewiórek, wiewiórek naziemnych, ptaków, w ogóle żadnych zwierząt. Było zbyt spokojnie. Dzień gasi. Wkrótce dotrą do Przesmyku. I tym też się chłopak martwił. Niechętnie myślał o tym, że znów zobaczy stwory z granicy. Przerażało go to, iż ponownie ujrzy ojca. Kulił się wewnętrznie na wspomnienie słów Adie, że owe stwory z granicy będą ich nawoływać. Dobrze pamiętał, jak kuszące były te wołania. Musi się temu oprzeć. Musi się uzbroić przeciwko tym kuszeniom. Tamtej nocy pod sosną-strażniczką Kahlan o mało co nie została wciągnięta w zaświaty. A kiedy byli tam z Zeddem i Chase’em, znów coś próbowało ją wciągnąć. Bał się, że kość nie zdoła ochronie dziewczyny, bo są za blisko granicy.

Trakt biegł teraz równo, prosto, stał się szerszy, więc mogli iść obok siebie. Całodzienny marsz bardzo zmęczył Richarda, a mi nie jeszcze noc i następny dzień, zanim będą mogli odpocząć. Niezbyt mu się podobał pomysł mijania Przesmyku nocą, kiedy byli tak wyczerpani, lecz Adie nalegała, żeby się nie zatrzymywali. Nie mógł kwestionować zaleceń kogoś, kto tak dobrze znał przejście, i wiedział, że opowieść o szponiaku i tak by mu nie pozwoliła zasnąć.

Kahlan popatrzyła na las po obu stronach ścieżki, potem odwróciła głowę. Zatrzymała się nagle i chwyciła ramię Richarda. Niecałe dziesięć jardów za nim stał cień.

Stał bez ruchu, jak tamten. Poprzez mglistą sylwetkę widzieli las Kahlan mocno trzymała ramię chłopaka. Poszli dalej, trochę bokiem, obserwując cień. Minęli zakręt, stracili stwora z oczu. Przyspieszyli.

- Pamiętasz, jak mi opowiadałaś o ludziach cieniach, nasyłanych przez Rahla Posępnego? Może to są ludzie cienie?

- Nie wiem - odparła zaniepokojona. - Nigdy żadnego nie widziałam. Wykorzystywał ich podczas ostatniej wojny, zanim się urodziłam. Ale wszystkie opowieści mówiły to samo: że płynęli w powietrzu. Nigdy nikt nie wspominał, że mogli stać tak nieruchomo.

- Może to z powodu kości. Może wiedzą, że tu jesteśmy, ale nie mogą nas znaleźć, więc stoją i szukają.

Dziewczyna ciaśniej się owinęła płaszczem, najwyraźniej przestraszona taką możliwością, lecz nic nie powiedziała. Zapadła noc. Szli tuż obok siebie, zatopieni w niewesołych myślach. Przy ścieżce stał następny cień. Kahlan mocniej ścisnęła ramię Richarda.. Powoli, spokojnie przeszli obok, nie spuszczając cienia z oczu. Nie drgnął. Chłopak był bliski paniki, lecz wiedział, że musi zachować zimną krew; muszę zostać na szlaku, muszę jasno myśleć. A może cienie próbują ich skłonić do ucieczki? Chcą, żeby zboczyli z traktu i weszli w zaświaty? Szli przed siebie, rozglądając się na wszystkie strony. Gałąź musnęła twarz patrzącej w przeciwną stronę dziewczyny. Kahlan podskoczyła z przerażenia, potrąciła chłopaka. Przeprosiła. Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

Krople deszczu i mgły balansowały na igłach sosen, lekki wiaterek kołysał czasem gałęziami i woda spływała na ziemię. Mrok był coraz większy i wędrowcy nie widzieli, czy otaczają ich stwory cienie, czy to tylko ciemne pnie drzew. Dwukrotnie nie mieli wątpliwości - cienie tkwiły tuż przy trakcie. Trwały nieruchomo, jakby patrząc, choć nie miały oczu. Nie poszły za nimi.

- Co to zrobimy, jeśli nas zaatakują?

Palce Kahlan boleśnie wpijały się w ramię chłopaka, więc je odgiął i wziął ją za rękę. Uścisnęła lekko dłoń Richarda i uśmiechnęła się doń przepraszająco.

- Miecz je powstrzyma, jeżeli zaatakują.

- Skąd wiesz?

- Powstrzymał stwory z granicy.

Wyglądało na to, że odpowiedź ją usatysfakcjonowała. Richard też chciałby w to wierzyć. Las stał cichy i spokojny, a chłopak słyszał tylko cichutkie skrobanie, którego nie mógł rozpoznać. To nie był żaden ze zwykłych odgłosów nocy. Tuż przy nich chwiały się kołysane wiatrem gałęzie i serce Richarda przyspieszało rytm.

- Nie pozwól, żeby cię dotknęli, Richardzie - odezwała się cicho Kahlan. -

Jeśli to ludzie cienie, to ich dotknięcie powoduje śmierć. A nawet jeżeli nimi nie są, to i tak nie wiemy, co by się wtedy stało. Nie mogą nas dotknąć.

Uspokajająco ścisnął dłoń dziewczyny.

Richard oparł się pokusie dobycia miecza. Może i magia oręża byłaby skuteczna przeciwko cieniom. Posłuży się nim, jeżeli nie będzie miał innego wyboru, lecz teraz instynkt mu podpowiadał, by zostawić miecz w pochwie.

Mrok stawał się coraz głębszy. Pnie drzew wyglądały w ciemnościach jak czarne kolumny. Richard miał wrażenie, że dokoła jest pełno obserwujących ich oczu. Trakt biegł teraz stokiem wzgórza, po lewej wznosiły się czarne skały. Deszczowy strumyczek spływał skalną ścianą. Chłopak słyszał, jak woda szemrze, kapie, chlapie. Po prawej pojawiło się urwisko. Kiedy się znów obejrzeli, na ścieżce stały trzy cienie, ledwie widoczne w mroku. Wciąż szli naprzód. Richard ponownie usłyszał ów cichutki drapiący odgłos dobiegający z lasu po obu stronach traktu. Nie znał tego dźwięku. Bardziej czuł, niż widział, że cienie są i za nimi, i po obu stronach ścieżki. Niektóre stały tak blisko, że mógł je odróżnić od pni drzew. Tylko trakt przed nimi pozostawał wolny.

- Może byś wyjął nocny kamień, Richardzie? - szepnęła Kahlan. - Ledwie widzę ścieżkę.

Mocno trzymała dłoń chłopaka. A on się wahał.

- Zrobię to tylko wtedy, gdy się nie będziemy mogli bez niego obejść. Boję się, co by się mogło wówczas wydarzyć.

- Co masz na myśli?

- Hmm, te cienie jeszcze nas nie atakują. Może to z powodu kości, a może nas nie widzą. - Zamilkł na moment. - Lecz jeśli dostrzegą blask nocnego kamienia?

Kahlan przygryzła wargę. Z trudem dostrzegali ścieżkę, wijącą się wśród pni i głazów, poprzez skały i korzenie, przecinającą stok. Ciche drapanie było coraz bliżej, wszędzie dokoła. To brzmiało jak... Jak skrobanie szponów o skałę, pomyślał Richard.

Przed nimi stały dwa cienie, tuż przy ścieżce. Kahlan przytuliła się do chłopaka i wstrzymała oddech. Ukryła twarz na jego ramieniu, kiedy się z nimi zrównali. Richard objął ją mocno. Rozumiał, co czuje. I on był przerażony. Serce mu waliło. Miał wrażenie, że z każdym krokiem coraz głębiej się pogrążają. Obejrzał się, ale było zbyt ciemno i nie widział, czy cienie stoją na ścieżce.

Nagle tuż przed nimi wyrósł atramentowoczarny ogrom. Olbrzymi głaz,

pęknięty w połowie.

Przesmyk.

Oparli się plecami o głaz, w owym pęknięciu. Było tak ciemno, że nie widzieli ani ścieżki, ani czy nie ma tu cieni. Nie mogli przejść przez Przesmyk bez blasku nocnego kamienia; to by było zbyt niebezpieczne. Jeden krok za dużo - i po nich. Zewsząd dobiegało drapanie. Richard wyjął z kieszeni skórzany mieszek. Poluzował rzemyk i wysypał kamień na dłoń.

Ciepły blask rozświetlił noc, rozjaśnił okoliczny las, obudził tajemnicze cienie. Chłopak uniósł kamień w górę, żeby lepiej widzieć.

Kahlan z jękiem wciągnęła powietrze.

W ciepłym złocistym blasku wyraźnie zobaczyli mur cieni, setki cieni zbitych razem. Tworzyły półkole, jakieś dwadzieścia stóp za nimi, może i bliżej. Ziemię pokrywały dziesiątki dziwacznych, kulistych stworzeń - na pierwszy rzut oka wyglądały jak kamienie. Lecz to nie były kamienie. Okrywały je szare pancerze, a z dolnego brzegu owej zbroi sterczały ostre szpikulce.

Szponiaki.

To stąd ów dziwny dźwięk - ich szpony drapały skałę. Sunęły do przodu, kołysząc się na boki. Powoli, lecz zdecydowanie. Niektóre były ledwie o parę stóp.

Teraz poruszyły się i cienie, po raz pierwszy, kołysały się, płynęły, zaciskały koło.

Kahlan stała jak skamieniała, oczy miała szeroko rozwarte, przywarła plecami do głazu. Richard złapał ją za bluzę i wciągnął w szczelinę. Skalne ściany były wilgotne i oślizgłe. Niemal się ze sobą stykały. Chłopak miał wrażenie, że serce podchodzi mu do gardła. Nie lubił ciasnoty. Wciąż trzymał w górze nocny kamień, oświetlając zbliżające się cienie. Szponiaki wpełzały w szczelinę.

Słyszał szybki oddech Kahlan. Szli i szli, ramionami dotykając skał po obu stronach ścieżki. Zimna, mulista woda lała się im na grzbiet. Całkiem przemokli. W pewnym miejscu musieli przykucnąć i przecisnąć się pod skalnym nawisem. Na dnie, w wilgoci leżały rozkładające się leśne szczątki. Cuchnęło. Wciąż szli. W końcu dotarli do wylotu rozpadliny. Cienie się wtedy zatrzymały. Lecz szponiaki nie.

Richard kopnął stwora, który podpełzł za blisko - poturlał się po liściach i gałązkach wyściełających rozpadlinę i upadł na grzbiet. Leżał, szarpiąc pazurami powietrze, sycząc, wijąc się, aż opadł na łapy. Wtedy uniósł się na pazurzastych łapach i zawarczał, a potem znów ruszył w ich kierunku.

Wędrowcy odwrócili się i pospiesznie ruszyli traktem. Richard oświetlał drogę nocnym kamieniem.

Kahlan aż się zachłysnęła.

Ciepły blask oświetlał stok, którym powinno biec przejście. A przed nimi, jak sięgnąć okiem, rozciągało się rumowisko. Wymieszane ze sobą głazy, pnie drzew, kawały drewna, błoto. Zbocze niedawno się obsunęło.

Ścieżka Przesmyku została zniszczona.

Zrobili krok poza skałę, żeby lepiej widzieć.

Błysnęło zielone światło granicy. Natychmiast się cofnęli.

- Richardzie...

Kahlan wczepiła się w ramię chłopaka. Szponiaki były tuż przy nich. Cienie wpływały w szczelinę.

Rozdział dziewiętnasty

Migotliwe światło pochodni osadzonych w ozdobnych złotych uchwytach odbijało się od gładkich, różowych, marmurowych ścian ogromnej, wysoko sklepionej krypty. Woń palącej się smoły mieszała się w nieruchomym powietrzu z aromatem róż. Białe róże - każdego ranka zmieniane na świeże - i to od trzech dziesiątków lat, stały w pięćdziesięciu siedmiu złotych wazach, umocowanych poniżej każdego z pięćdziesięciu siedmiu uchwytów na pochodnie; po jednym na każdy rok życia zmarłego. Podłoga była z białego marmuru, żeby ani jeden opadły biały płatek róży nie mącił harmonii, nim zdążył uschnąć. Liczny personel dbał o to, by natychmiast wymienić wypalone pochodnie i uprzątać z podłogi płatki róż. Ów personel był bardzo uważny i oddany swej pracy. Najmniejsze zaniedbanie karano natychmiastowym obcięciem głowy. Straże obserwowały grób dzień i noc, czuwając, żeby płonęły wszystkie pochodnie, żeby kwiaty były świeże i żeby żaden płatek róży nie mącił zbyt długo gładzi podłogi. No i oczywiście w razie potrzeby dokonywali egzekucji.

Personel rekrutowano z pobliskich okolic D'Hary. Prawo stanowiło, że jest to bardzo zaszczytna służba. Ów honor wiązał się z obietnicą szybkiej śmierci w razie skazania. W D'Harze ogromnie się obawiano powolnej śmierci, a właśnie taka była najczęstsza. Nowo zatrudnionym obcinano języki, żeby nie złorzeczyli zmarłemu królowi.

Mistrz odwiedzał wieczorami grób, o ile był akurat w domu, w Pałacu Ludu. Żaden strażnik, żaden służący nie miał wtedy prawa wstępu do krypty. Popołudnia poprzedzające taką wizytę były bardzo pracowite: wszystkie pochodnie zastępowano nowymi i potrząsano delikatnie setkami białych róż, sprawdzając, czy płatki mocno się trzymają. Zgasła pochodnia lub opadające płatki (nawet jeden!) oznaczały natychmiastową egzekucję.

Trumna znajdowała się w samym środku olbrzymiego pomieszczenia; osadzono ją na niskim wsporniku, tak że sprawiała wrażenie unoszącej się w powietrzu. Okrywające ją zło to lśniło w blasku pochodni. Na bokach trumny wyryto dziwne symbole Wyryto je również w granitowych ścianach, pod uchwytami pochodni i złotymi wazami - ojciec pokazywał synowi instrukcje w starożytnym języku, jak wejść w zaświaty i wrócić z powrotem. Język ów poza synem rozumiała jedynie garstka ludzi i żaden z nich, oprócz Rahla Posępnego, nie mieszkał w D'Harze. Ci z jej mieszkańców, którzy znali ów język, już dawno zostali zabici.

Wkrótce umrą i tamci.

Odesłano strażników i służących z krypty. Mistrz przybył do grobu swego ojca. Wartę trzymali dwaj żołnierze z jego osobistej gwardii; stali po obu bokach masywnych, wymyślnie rzeźbionych i wypolerowanych drzwi. Odziani byli w uniformy ze skóry i metalowej siatki, pozbawione rękawów, podkreślające ich krzepkie sylwetki i potężne mięśnie. Tuż powyżej łokcia mieli obręcze nabijane ostro zakończonymi kolcami, przeznaczonymi do rozdzierania przeciwników w walce wręcz.

Rahl Posępny muskał delikatnymi palcami symbole wyrzeźbione na trumnie ojca. Odziany był w nieskazitelnie białą szatę, ozdobioną jedynie dwoma wąskimi pasami złocistego haftu - wokół wycięcia i pionowo na przodzie stroju. Nie nosił żadnej biżuterii, tylko zakrzywiony sztylet w złotej pochwie pokrytej symbolami odpędzającymi duchy. Szkielet ów wisiał u pasa uplecionego ze złotych nici. Delikatne, proste jasne włosy sięgały niemal do ramion. Błękitne oczy były piękne aż do bólu. Wspaniale harmonizowały z idealnymi rysami twarzy.

Przez łoże władcy przewinęło się wiele kobiet. Jedne szły tam ochoczo, bo był uderzająco przystojny i miał władzę. Inne - bo miał władzę, a jego uroda ich nie obchodziła. Ich motywy nie miały dlań żadnego znaczenia. Jeśli okazywały się na tyle niemądre, że odstręczały je blizny, to dostarczały mu uciech, których nie były w stanie przewidzieć.

Rahl Posępny, tak jak przedtem jego ojciec, uważał, że kobiety to tylko naczynia dla nasienia mężczyzny, pożywka, na której ono się rozwija, niezasługująca na poważanie i szacunek. Rahl Posępny, tak jak i jego ojciec, nie miał żony. Jego własna matka była po prostu tą, która pierwsza poczęła za sprawą cudownego nasienia władcy, i kiedy wypełniła swój obowiązek, została oddalona, jak się należało spodziewać. Nie wiedział, czy ma rodzeństwo, nie miało to zresztą żadnego znaczenia - był pierworodny i wszystko przypadało jemu. To on urodził się z darem i to jemu ojciec przekazał wiedzę. Gdyby miał przyrodnich braci i siostry, byliby tylko zielskiem, które należałoby wyplenić.

Rahl Posępny przesuwał palce po rzeźbionych znakach i wypowiadał w myślach słowa. Rytuał powinien być ściśle przestrzegany lecz Rahl się nie bał, że popełni jakiś błąd. Instrukcje wryły mu się w pamięć. Cieszył go dreszcz towarzyszący przejściu, zawieszeniu pomiędzy życiem a śmiercią. Rozkoszował się wyprawami do zaświatów, rozkazywaniem zmarłym. Niecierpliwie czekał na kolejne

przejście.

Dały się słyszeć czyjeś kroki. Rahl Posępny nie zareagował, lecz jego strażnicy dobyli mieczy. Nikt nie miał prawa wchodzić do krypty, kiedy przebywał tam władca. Zobaczyli, kto nadchodzi, i schowali miecze. Nikt inny tylko Demmin Nass, rzecz jasna.

Demmin Nass, prawa ręka Rahla, błyskawica mrocznych myśli władcy, był równie wysoki jak jego podwładni. Wszedł do krypty, nie zwracając uwagi na strażników; światło pochodni uwydatniło jego mięśnie. Pierś miał równie gładką jak młodzi chłopcy do których żywił słabość. Za to twarz była poznaczona bliznami po ospie. Jasne włosy, dość mocno kręcone, sterczały pęczkami. Pasmo czarnych włosów biegło od środka prawej brwi i okalało głowę. Dzięki temu łatwo go było rozpoznać, i to z dala - fakt bardzo cenny dla tych, którzy woleli wiedzieć, gdzie jest.

Rahl Posępny był pochłonięty odczytywaniem znaków i nie obejrzał się ani wtedy, kiedy gwardziści dobyli mieczy, ani wtedy gdy je schowali. Strażnicy, choć przerażający, byli właściwie zbędni; stanowili po prostu widomą oznakę jego pozycji. Miał dość mocy, by sobie poradzić z każdym zagrożeniem. Demmin Nass spokojnie czekał, aż władca skończy. Rahl odwrócił się wreszcie ku niemu, zafalowała biała szata i jasne włosy. Demmin z szacunkiem schylił głowę.

- Lordzie Rahlu - rzekł niskim, ochrypniętym głosem. Głowę wciąż trzymał pochyloną.

- Jakże miło znów cię widzieć, Demminie, stary przyjacielu - odezwał się Rahl spokojnym, czystym, niemal miękkim tonem.

Demmin Nass wyprostował się, zmarszczył z niesmakiem.

- Królowa Milena przysyła listę swoich żądań, panie.

Rahl Posępny patrzył poprzez swego dowódcę, jakby ów był przezroczysty. Wolno polizał koniuszki trzech pierwszych palców prawej dłoni, a potem ostrożnie, uważnie dotknął nimi ust i brwi.

- Przyprowadziłeś mi chłopca? - spytał wyczekująco.

- Tak, panie. Oczekuje cię w Ogrodzie Życia.

- No dobrze. - Na przystojnej twarzy Rahla pojawił się uśmieszek - To dobrze. Nie jest aby za stary? Wciąż jest chłopcem?

- Tak panie, wciąż jest chłopcem. - Demmin odwrócił wzrok od błękitnych oczu władcy.

- Jesteś pewien, Demminie? - Rahl uśmiechnął się szerzej. - Sam zdjąłeś mu

spodnie i sprawdziłeś?

- Tak, panie. - Demmin przestąpił z nogi na nogę.

- Nie dotknąłeś go? - Oczy Rahla badały twarz tamtego, a uśmieszek zniknął. - Musi być czysty.

- Nie, panie! - Nass znów spojrzał w oczy Rahla. - Jakżebym mógł tknąć twego ducha-przewodnika! Zakazałeś tego!

Rahl Posępny znów polizał koniuszki palców i wygładził brwi. Postąpił krok ku dowódcy.

- Wiem, że tego pragnąłeś, Demminie. Ciężko ci było? Patrzeć i nie móc dotknąć? - Kpiący uśmieszek znów się pojawił i zniknął. - Miałem już przez ciebie kłopoty.

- Przecież się tym zająłem - zaprotestował Demmin, lecz niezbyt zdecydowanie. - Za morderstwo owego chłopca aresztowałem tego handlarza, Brophy'ego.

- Tak - parsknął Rahl - a on, żeby dowieść swojej niewinności, stanął przed Spowiedniczką.

- Jakżeż mogłem przewidzieć, że się na to zdobędzie? - Demmin skrzywił się. - Któż by się spodziewał, że jakiś człowiek zrobi to z własnej woli?

- Powinieneś być ostrożniejszy, bardziej przewidujący. Powinieneś wziąć pod uwagę Spowiedniczki. Aha, skończyłeś już z nimi?

- Została tylko jedna - powiedział Demmin. - Zawiodła bojówka, którą wysłałem za Kahlan, Matką Spowiedniczką. Musiałem wysłać następną.

- To Spowiedniczką Kahlan wysłuchała owego handlarza, Brophy'ego - zmarszczył się Rahl - i uznała, że jest niewinny?

Demmin Nass potaknął z wolna, gniew wykrzywił mu twarz.

- Ktoś jej musiał pomóc, inaczej moi ludzie daliby sobie z nią radę. Rahl obserwował go w milczeniu. W końcu Nass znów się odezwał:

- To tylko drobnostka, panie, niegodna tego, byś sobie nią zaprzątał myśli. Rahl Posępny uniósł brew.

- To ja decyduję, co jest godne mej uwagi, a co nie - rzekł miękko, niemal łaskawie.

- Naturalnie, panie. Racz mi wybaczyć. - Dowódca nie potrzebował gniewu w głosie władcy, by się zorientować, że wkroczył na niebezpieczny teren.

Rahl znów polizał palce i potarł nimi wargi. Ostro spojrzał w oczy tamtego.

- I tak się dowiem, Demminie, czy tknąłeś chłopca. Kropla potu spłynęła z czoła w oko Nassa. Mrugał powiekami, próbując się jej pozbyć.

- Z radością oddam ci moje życie, panie - szepnął ochryple. - Przysięgam, że nie tknąłem twego ducha-przewodnika.

Rahl Posępny wpatrywał się weń przez chwilę, a potem skinął głową.

- Już mówiłem, że i tak się dowiem. I wiesz, co cię czeka, jeżeli mnie okłamałeś. Nie mogę pozwolić, by ktokolwiek mnie okłamywał. To przestępstwo i grzech.

- A co z listą królowej Mileny, panie? - Demmin starał się zmienić temat.

- Powiedz jej - wzruszył ramionami Rahl - że się zgadzam na wszystko w zamian za szkatułę.

- Ależ, panie, nawet nie widziałeś tej listy - zdumiał się Demmin.

- Szkoda na to i mego czasu i uwagi - odparł niewinnie Rahl.

- Nie rozumiem, panie, czemu grasz z królową w tę grę. - Nass przestąpił z nogi na nogę, zatrzeszczał jego skórzany strój. - To upokarzające, przyjmować czyjąś listę żądań! Bez trudu zdołamy rozdeptać tę tłustą ropuchę! Rzeknij tylko słowo, a przedstawię jej twoje żądania, panie. I gorzko pożałuje, że się przed tobą nie ukorzyła z własnej woli.

Rahl się uśmiechnął, kiedy badał wzrokiem dziobatą twarz swego wiernego sługi.

- Ona ma czarodzieja, Demminie - szepnął.

- Wiem. - Nass zacisnął pięści. - Gillera. Jedno twoje słowo, panie, a przyniosę ci jego głowę.

- Jak myślisz, Demminie, dlaczego królowa Milena ma na swoim dworze czarodzieja? - Tamten tylko wzruszył ramionami, więc Rahl sam odpowiedział na swoje pytanie: - By strzegł szkatuły, oczywiście. A łudzi się, że przy okazji chroni i ją. Jeżeli zabijemy albo ją, albo czarodzieja, to może się okazać, że rzucił czary na szkatułę, i będziemy musieli poświęcić wiele czasu, żeby ją odnaleźć. Po cóż więc zbytnio się spieszyć? Najlepiej na razie iść z królową ręka w rękę. A jeśli przysporzy mi kłopotów, to się rozprawię i z nią, i z czarodziejem. - Rahl obchodził dokoła trumnę ojca, przesuwając palcami po rzeźbionych znakach; nie odrywał od Demmina swych błękitnych oczu. - A kiedy już zdobędę ostatnią szkatułę, to żądania królowej nie będą miały najmniejszego znaczenia. - Podszedł do wielkoluda i stanął tuż przed nim. - No i jest jeszcze jeden powód, przyjacielu.

- Jeszcze inny powód? - Demmin przechylił głowę na bok. Rahl Posępny skinął głową, nachylił się bliżej i ściszył głos:

- Kiedy zabijasz swoich chłopczyków, Demminie, przed... Czy po?

Nass odchylił się od swego pana, wsunął kciuk za pas. Odchrząknął. W końcu odparł:

- Po.

- Dlaczego po? Czemu nie przed? - dopytywał się z ciekawością Rahl. Demmin unikał oczu władcy, patrzył w podłogę, przestępował z nogi na nogę.

Rahl był tuż przy nim, patrzył i czekał. Nass odezwał się wreszcie, tak cicho, żeby gwardziści nie dosłyszeli:

- Lubię, jak się wiją.

Na twarz Rahla wypełzł uśmieszek.

- I to właśnie jest ów inny powód, przyjacielu. Mnie również sprawia to większą przyjemność, kiedy się wiją, że pozostaniemy przy tym terminie. Chcę się napawać jej drgawkami, zanim ją zabiję. - Znów oblizał koniuszki palców i potarł nimi wargi.

- Oznajmię królowej Milenie, że Ojczulek Rahl łaskawie przystał na jej warunki. - Na ospowatej twarzy Nassa pojawił się porozumiewawczy uśmieszek.

- Znakomicie, przyjacielu. - Rahl Posępny położył dłoń na muskularnym ramieniu tamtego. - A teraz pokaż, jakiegoż to chłopaczka mi sprowadziłeś.

Ruszyli ku drzwiom, obaj uśmiechnięci, lecz Rahl zatrzymał się nagle, zanim dotarli do wyjścia. Obrócił się gwałtownie, aż zawirowała biała szata.

- Co to był za dźwięk? - zapytał.

Słychać było jedynie syk palących się pochodni, poza tym krypta milczała jak zmarły król. Demmin i gwardziści rozglądali się uważnie wokół.

- Tam! - wskazał Rahl.

Pozostali spojrzeli w tamtą stronę. Na podłodze leżał jeden jedyny biały płatek róży. Rahl Posępny poczerwieniał, oczy mu pałały. Zacisnął pięści tak mocno, że aż zbielały kłykcie, w oczach miał łzy wściekłości. Furia pozbawiła go głosu. Opanował się, wyciągnął rękę w kierunku leżącego na zimnej marmurowej podłodze białego płatka. Ten uniósł się w powietrze, jak poderwany wiatrem, i osiadł na dłoni Rahla. Władca polizał płatek i przykleił do czoła jednego z gwardzistów.

Muskularny żołnierz zachował kamienną twarz. Wiedział, czego żąda władca. Krótko skinął głową, odwrócił się i wyszedł, do bywając miecza.

Rahl Posępny wyprostował się sztywno, pogładził dłońmi włosy i szaty. Odetchnął głęboko, odpędził gniew. Zmarszczył brwi, a jego błękitne oczy spojrzały na Demmina, który stał spokojnie obok.

- Tylko jednego od nich wymagam. Żeby dbali o grób mojego ojca. Zaspokajam ich potrzeby: dostają żywność i odzienie, dba się o nich. To takie niewygórowane żądanie. - Przybrał urażoną minę. - Skąd ta drwiąca opieszałość i niedbalstwo? - Spojrzał na grób ojca i z powrotem na twarz dowódcy. - Czyżbym był dla nich zbyt surowy, Demminie?

- Za mało surowy. - W twardych oczach Nassa błysnął gniew. - Gdybyś nie był tak litościwy i nie dał im szybkiej śmierci, to może inni skwapliwiej spełnialiby twoje słuszne, z serca płynące życzenia. Ja nie byłbym taki łagodny.

Rahl Posępny zapatrzył się w przestrzeń, skinął z roztargnieniem głową. Po chwili ponownie głęboko odetchnął i wyszedł z krypty. Demmin szedł u boku władcy, a gwardzista towarzyszył im w odpowiedniej odległości. Szli długimi granitowymi korytarzami, które oświetlały pochodnie, wspinali się po spiralnych schodach z białego kamienia - i znów maszerowali korytarzami o wąskich oknach, wypuszczających blask w mroki. Kamień czuć było wilgocią i stęchlizną. Powietrze odzyskało świeżość dopiero kilka poziomów wyżej. Wazy pełne świeżych kwiatów stały na stolikach z polerowanego drewna; woń kwiecia unosiła się w pomieszczeniach.

Dotarli do dwuskrzydłowych drzwi, zdobnych w płaskorzeźby i lasów; dołączył do nich drugi gwardzista, zakończywszy swe zadanie. Demmin pociągnął za metalowe pierścienie i ciężkie drzwi otworzyły się bezszelestnie. Za nimi znajdował się pokój o ścianach wyłożonych ciemną dębową boazerią. Drewno lśniło w świetle świec i lamp rozmieszczonych na masywnych stołach. Dwie ściany zajmowały książki. Olbrzymi kominek ogrzewał tę wysoką na dwa piętra komnatę. Rahl zatrzymał się na chwilę, zajrzał do starej księgi, oprawionej w skórę, umieszczonej na specjalnym wsporniku. Potem ruszył wraz z Demminem poprzez labirynt komnat, w większości wyłożonych takimi samymi boazeriami. Nieliczne były tynkowane i ozdobione freskami ukazującymi krajobrazy D’Hary, lasy i pola, dzieci i różne gry. Gwardziści szli za nimi, bacznie wszystko obserwowali, czujni i milczący - cienie władcy.

W murowanym kominku trzaskały palące się drwa i tylko blask ognia rozświetlał jedną z mniejszych komnat, do której właśnie weszli. Na ścianach wisiały

trofea z polowań - głowy najrozmaitszych zwierząt. Sterczące rogi połyskiwały w blasku ognia. Rahl Posępny zatrzymał się nagle, ogień różowił jego szaty.

- Znów - szepnął.

Demmin też się zatrzymał i teraz patrzył pytająco na władcę.

- Znów idzie do granicy, do zaświatów. - Ponownie oblizał palce i potarł nimi brwi i wargi. Patrzył nieruchomo przed siebie.

- Kto? - spytał Demmin.

- Matka Spowiedniczka, Kahlan. Wiesz, pomaga jej czarodziej.

- Giller jest z królową - upierał się Nass - a nie z Matką Spowiedniczka.

- Nie Giller - szepnął z dziwnym uśmiechem Rahl. - Stary. Ten, którego poszukuję. Ten, który zabił mojego ojca. Ona go znalazła.

Demmin aż osłupiał ze zdumienia. Rahl odwrócił się i poszedł ku oknu w głębi komnaty. Zaokrąglone u góry, zrobione z małych szybek, mierzyło dwa razy tyle co władca. Zakrzywiony sztylet, wiszący u pasa Rahla, połyskiwał w blasku płomieni. Władca splótł dłonie za plecami i patrzył w noc, na mroczny krajobraz, na to, czego nikt oprócz niego nie mógł dostrzec. Znów obrócił się ku Demminowi, jasne włosy omiatały ramiona.

- To w tym celu poszła do Westlandu, wiesz. Nie po to, żeby umknąć przed bojówką, jak błędnie sądziłeś, lecz po to, by odnaleźć wielkiego czarodzieja. - W błękitnych oczach zatańczyły iskierki. - Zrobiła mi wielką przysługę, przyjacielu: wypłoszyła go z kryjówki. Dobrze się stało, że się przemknęła przez zaświaty. Los naprawdę nam sprzyja. Rozumiesz teraz, Demminie, dlaczego zawsze powtarzam, żebyś się tak nie zamartwiał? Zwycięstwo jest moim przeznaczeniem, wszystko w końcu idzie po mojej myśli, sprzyja moim celom.

- Jednej bojówce się nie udało. - Nass zmarszczył się. - Ale to wcale nie oznacza, że Kahlan znalazła czarodzieja. I przedtem zdarzały się niepowodzenia.

Rahl wolniutko oblizał koniuszki palców. Podszedł bliżej do dowódcy.

- Stary obwołał Poszukiwacza - szepnął.

- Jesteś tego pewny? - spytał zaskoczony Demmin. Władca skinął głową.

- Stary czarodziej przysiągł, że im już nigdy nie pomoże. Nikt go nie widział od wielu, wielu lat. Nikt nie potrafił podać jego imienia, i to nawet wtedy, gdy od tego zależało życie takiego człowieka. A teraz Spowiedniczka udaje się do Westlandu, bojówka znika i Poszukiwacz zostaje obwołany. - Rahl uśmiechnął się do siebie. - Musiała go dotknąć, żeby nakłonić do pomagania im. Wyobraź sobie tylko, jak się

zdziwił, kiedy ją zobaczył! - Uśmiech zniknął, władca zacisnął pięści. - Niemal ich dostałem. Wszystkich troje. Ale zajęły mnie inne sprawy i wymknęli mi się. Na razie. - Zamyślił się na chwilę, a potem oznajmił: - Druga bojówka też zawiedzie. Nie spodziewają się konfrontacji z czarodziejem.

- No to wyślę trzecią bojówkę i powiem im o czarodzieju - obiecał Demmin.

- Nie. - Rahl lizał koniuszki palców i zastanawiał się. - Jeszcze nie teraz. Zaczekamy, co się stanie. A nuż Spowiedniczka znów mnie wspomoże. - Zamilkł na chwilę, potem zapytał: - Ponętna jest ta Matka Spowiedniczka?

- Nigdy jej nie widziałem - parsknął gniewnie Demmin - ale niektórzy moi ludzie widzieli. Bili się o to, który będzie w bojówce, która ją weźmie.

- Nie wysyłaj następnych. - Rahl uśmiechnął się. - Już najwyższy czas, żebym miał dziedzica. - Pokiwał w zamyśleniu głową oznajmiając: - Sam się nią zajmę.

- Zginie, jeśli znów spróbuje przejść przez granicę - ostrzegł Demmin.

- Może jest za sprytna, żeby ponownie próbować. - Rahl wzruszył ramionami. - Już niejeden raz dowiodła, że jest bystra. Tak czy tak będzie moja. - Spojrzał na Demmina. - I dla mnie będzie się wić i skręcać.

- Dwoje z nich to potencjalne zagrożenie: czarodziej i Matka Spowiedniczka. Mogą nam przysporzyć kłopotów. Spowiedniczki podważają słowo Rahla, są źródłem fermentu i strapień. Uważam, że powinniśmy zrealizować twój pierwotny zamysł i zabić ją. - Za bardzo się przejmujesz, Demminie. - Władca machnął ręką - Jak mówisz, Spowiedniczki są źródłem tarapatów i irytacji, ale nic poza tym. Sam ją zabiję, jeśli się okaże zbyt kłopotliwa, ale dopiero wtedy, gdy mi urodzi syna. Syn Spowiedniczki. Czarodziej nie może mnie dosięgnąć, tak jak dosięgną! mojego ojca. Zobaczę, jak się skręca, i potem go zabiję. Powoli, bez pośpiechu.

- A Poszukiwacz? - Twarz Nassa stężała z lęku.

- To najmniejszy problem. - Rahl wzruszył ramionami.

- Nie muszę ci chyba przypominać, panie, że zbliża się zima.

- Królowa ma ostatnią szkatułę. - Władca uniósł brew, płomienie z kominka odbiły się w jego oczach. - Wkrótce więc ją dostanę. Nie ma powodu do obaw.

- A księga? - Demmin przybliżył swą ponurą twarz. - Poszukam syna Cyphera po mojej podróży do zaświatów. - Rahl głęboko zaczerpnął powietrza. - Nie martw się tym, przyjacielu. Los jest po naszej stronie.

Władca odwrócił się i odszedł. Demmin poszedł za nim, a gwardziści z tyłu, jak cienie.

Ogród Życia mieścił się w olbrzymim pomieszczeniu w samym centrum Pałacu Ludu. Okna w stropie, wysoko ponad głową, dostarczały światła bujnej roślinności. Tej nocy sączył się przez nie blask księżyca. Zewnętrzny krąg stanowiły rabaty kwiatów, wśród których wiły się alejki. Dalej rosły niewielkie drzewa, po niskich murkach pięły się pnącza, dobrze dobrane i utrzymane rośliny dopełniały pejzażu. Całość przypominała ogród pod gołym niebem. Było to przepiękne miejsce. Miejsce spokoju.

Pośrodku przepastnego pomieszczenia znajdowała się kolista łąka. Na trawie leżał trójkątny biały kamień, na którym umieszczono granitową płytę. Płyta była gładka, jedynie w pobliżu głównej krawędzi wyryto rowki, prowadzące do małego zagłębienia w rogu. Podtrzymywały ją dwa niewysokie, żłobkowane wsporniki. Za płytą, w pobliżu paleniska, stała wypolerowana kamienna bryła. Na niej zaś ustawiono starożytną żelazną, misę, której boki zdobiły podobizny bestii, służących równocześnie jako podpórki krągłego dna. Żelazną, także półkolistą pokrywę ozdabiała tylko jedna figura: podobizna Shingi, stwora z zaświatów. Swinga stał na tylnych łapach, służąc za uchwyt. Na środku łąki widniał krąg białego piasku czarodziei, okolony płonącymi pochodniami. Na białym piasku wyrysowano geometryczne symbole.

Pośrodku piaszczystego kręgu tkwił chłopiec, zakopany pionowo aż po szyję.

Rahl Posępny zbliżał się powoli, ręce splótł za plecami. Demmin czekał przed trawiastym kręgiem, przed drzewami. Władca stanął na granicy trawy i piasku, popatrzył na chłopca. Uśmiechnął się.

- Jak się nazywasz, synu?

Chłopcu zadrżały usta. Spojrzał na Rahla, potem przeniósł wzrok na stojącego za drzewami wielkoluda. W oczach miał strach. Rahl odwrócił się ku dowódcy.

- Odejdź, proszę, i zabierz ze sobą moich gwardzistów. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Demmin pochylił głowę i odszedł, gwardziści za nim. Rahl znów popatrzył na chłopca, potem usiadł na trawie. Poprawił szatę i uśmiechnął się do małego.

- Teraz lepiej?

Chłopiec skinął głową, lecz usta dalej mu drżały.

- Boisz się tego wielkoluda? - Mały przytaknął. - Skrzywdził cię? Dotykał cię tam, gdzie nie powinien?

Chłopiec przecząco potrząsnął głową. We wpatrzonych w Rahla oczach widać

było i gniew, i strach. Mrówka wpełzła na szyję zakopanego dziecka.

- Jak się nazywasz? - spytał ponownie Rahl, lecz chłopiec nie odpowiedział. Władca bacznie spojrzał w jego piwne oczy. - Wiesz, kim jestem?

- Rahl Posępny - odparł słabym głosikiem.

- Ojczulek Rahl - poprawił władca pobłażliwie. Mały patrzył nań nieruchomym wzrokiem.

- Chcę do domu.

Mrówka wpełzła na jego brodę.

- To całkiem zrozumiałe. - W głosie Rahla zabrzmiało współczucie. - Nie uczynię ci nic złego, uwierz mi. Jesteś tutaj tylko po to, żeby mi pomóc w bardzo ważnym obrzędzie. Będziesz reprezentował, jako gość honorowy, siłę i niewinność młodości. Wybrałem ciebie, bo opowiadano mi, jaki z ciebie wspaniały chłopiec. Wszyscy wyrażali się o tobie z najwyższym uznaniem. Mówili mi, że jesteś bystry i silny. Mówili prawdę?

Chłopiec wahał się przez chwilę, odwrócił zawstydzone oczy.

- Hmm, chyba tak - odparł i znów spojrzał na Rahla. - Ale tęskno mi za mamą i chcę do domu. - Mrówka chodziła wokół policzka.

Rahl Posępny popatrzył nań z zadumą i kiwnął głową.

- Rozumiem. Ja też tęsknię za matką. Była taką wspaniałą kobietą i bardzo ją kochałem. Troszczyła się o mnie. Kiedy wykonałem ku jej zadowoleniu jakąś trudną robotę, szykowała dla mnie smakołyki, co tylko zechciałem.

- Moja mama też tak robi. - Chłopiec szerzej otworzył oczy.

- Dobrze nam było ze sobą, ojcu i matce, i mnie. Ogromnie się kochaliśmy i wspaniale się bawiliśmy. Matka tak radośnie się śmiała. Kiedy ojciec za bardzo się przechwalał, kpiła z niego, aż wszyscy troje płakaliśmy ze śmiechu.

Chłopcu pojaśniały oczy, leciutko się uśmiechnął.

- Czemu za nią tęsknisz? Odeszła?

- Nie - westchnął Rahl. - I ona, i ojciec zmarli parę lat temu. Obydwoje byli już starzy. Spędzili razem wspaniałe lata, a ja wciąż za nimi tęsknię, wciąż mi ich brak. Dlatego rozumiem, jak tęsknisz za rodzicami.

Chłopiec potaknął. Już mu nie drżały usta. Mrówka wędrowała grzbietem nosa. Marszczył twarz, próbując ją strząsnąć.

- Spędzimy teraz czas tak miło i przyjemnie, jak zdołamy, i wrócisz do rodziców prędzej, niż się spodziewasz.

Mały znów przytaknął.

- Mam na imię Carl.

- Cieszę się, że cię poznałem, Carl. - Rahl uśmiechnął się i ostrożnie zdjął mrówkę z twarzy chłopca.

- Dzięki - powiedział z ulgą Carl.

- Po to tutaj jestem, żeby się z tobą zaprzyjaźnić i pomagać ci, ile zdołam.

- Skoro jesteś moim przyjacielem, to wykop mnie i puść do domu, co? - W piwnych oczach zalśniły łzy.

- Już wkrótce, synku, już wkrótce. Chciałbym to uczynić natychmiast, lecz lud oczekuje, że go ochronię przed złoczyńcami, zabójcami i muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby pomóc mojemu ludowi. I ty będziesz miał swój udział w owej pomocy. Będziesz ważnym ogniwem ceremonii, dzięki której ocalimy twoją matkę i ojca przed tymi, którzy by ich zabili. Nie chciałbyś, żeby twojej mamie stało się coś złego, prawda? Pragnąłbyś ją przed tym uchronić, czyż nie?

Pochodnie migotały i posykiwały. Carl się zastanawiał.

- Pewnie. Ale chcę do domu. - Znów mu się trzęsły usta.

Rahl Posępny uspokajająco pogłaskał chłopca po głowie, prze czesał mu włosy palcami.

- Wiem to, wiem, ale spróbuj być dzielny. Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził, przyrzekam. Będę cię strzegł. - Uśmiechnął się ciepło do Carla. - Jesteś głodny? Chciałbyś coś zjeść?

Mały przecząco potrząsnął głową.

- No dobrze. Już późno, zostawię cię teraz, żebyś wypoczął. - Władca wstał, rozprostował szaty, otrzepując je z trawy.

- Ojczulku Rahlu?

- Tak, Carl? - Władca się zatrzymał i popatrzył na chłopca.

- Boję się być tu sam. - Po policzku malca spłynęła łza. - Mógłbyś ze mną zostać?

Władca przybrał krzepiącą minę.

- Oczywiście, synku. - Ponownie usiadł na trawie. - Tak długo, jak zechcesz, nawet całą noc.

Rozdział dwudziesty

Wszędzie dokoła jaśniał zielony poblask. Ostrożnie szli poprzez osuwisko na stoku wzgórza, przeczołgiwali się pod powalonymi pniami drzew lub wdrapywali się na nie, odrzucając na bok rozmaite szczątki. Z trudem wyszukiwali drogę, a zielone opalizujące ściany granicy były tuż, tuż, po obu stronach. Wokół panował gęsty mrok, ledwie rozjaśniany niesamowitą poświatą sprawiającą, iż mieli wrażenie, że są w jaskini.

Richard i Kahlan jednocześnie podjęli tę samą decyzję. Nie mieli zresztą żadnego wyboru; nie mogli zawrócić i nie mogli zostać na rozszczepionej skale - przecież szły na nich i szponiaki, i stwory cienie - musieli więc ruszyć naprzód, w Przesmyk.

Richard schował nocny kamień: nie ułatwiał trzymania się ścieżki, bo żadnej ścieżki nie było, za to utrudniał rozpoznanie, gdzie zielony poblask granicy stawał się zieloną graniczną ścianą. Chłopak nie włożył kamienia do woreczka, po prostu wsunął go w kieszeń, żeby móc szybko wydobyć w razie potrzeby.

- Niech ściany granicy wskażą nam drogę - powiedział i jego spokojny głos odbił się echem w mrokach. - Idź powoli. Jeśli jedna ściana zmrocznieje, zbocz nieco ku drugiej. Dzięki temu zostaniemy pomiędzy obiema ścianami i przebędziemy przejście.

Kahlan nie wahała się ani chwili; szponiaki i cienie to pewna śmierć. Ujęła dłoń Richarda i weszli w zielonkawy poblask. Ramię przy ramieniu wstąpili na niewidoczny szlak. Serce chłopaka biło mocno; starał się nie myśleć o tym, co właśnie czynili - o tym, że idą na oślep pomiędzy ścianami granicy. Wiedział, jak wygląda granica - był tam z Chase’em i potem jeszcze raz, kiedy mroczny stwór próbował wciągnąć Kahlan. Wiedział, że nie będą mieć powrotu, jeśli wejdą w ciemną ścianę, za to mieli choć cień szansy, jeśli uda im się pozostać w zielonej poświacie.

Kahlan się zatrzymała. Popchnęła Richarda w prawo. Była tuż przy ścianie. Potem ściana pojawiła się po prawej stronie Richarda. Korygowali trasę i wolniutko posuwali się do przodu, stwierdziwszy, że jeśli pójdą powoli i ostrożnie, to zostaną na cieniusieńkiej linii życia, otoczonej z obu stron włościami umarłych. Wieloletnie doświadczenie przewodnika nie przydawało się na nic. Richard w końcu przestał wypatrywać śladów traktu i zaczął wyczuwać napór obu ścian, kierować się owym naporem. To była powolna wędrówka. Nie widzieli najmniejszego odcinka traktu ani stoku, po którym szli, a jedynie wąziutkie pasmo fosforyzującej zielonej poświaty,

niewielki fragmencik świata żywych otoczony bezbrzeżnym oceanem mroków i śmierci.

Buty Richarda grzęzły w błocie, przepełniał go strach. Musieli pokonywać każdą przeszkodę, żadnej nie mogli obejść; ściany granicy wyznaczały trasę. Czasami wdrapywali się na powalone drzewa, innym razem na głazy, niekiedy przekraczali zapadliska, z których wychodzili, czepiając się wystających korzeni. Pomagali sobie w całkowitym milczeniu, dodając jedno drugiemu otuchy uściśnięciem dłoni. Krok, dwa w jedną czy drugą stronę - i już wyrastała ściana mroku. Ciemna ściana pojawiała się również przy każdym skręcie traktu, niekiedy parę razy, zanim wypatrzyli kolejną prostą. Najszybciej, jak mogli, cofali się w takich wypadkach przed ścianą ciemności i za każdym razem chłopak czuł lodowate ukłucie strachu.

Richarda coraz bardziej bolały ramiona. Napięcie sprawiało, że odruchowo napinał mięśnie i płytko oddychał. Rozluźnił się, zaczerpnął głęboko powietrza, zwiesił swobodnie ręce i potrząsnął nimi kilka razy, a potem znów ujął dłoń Kahlan. Uśmiechnął się do dziewczyny skąpanej w niesamowitej zielonkawej poświacie. Odwzajemniła uśmiech, lecz i tak dostrzegł w jej oczach przerażenie. Całe szczęście, pomyślał, że kości odstraszają mroczne stwory i bestie i że nic się nie pojawia za ścianami, kiedy przypadkiem zbyt blisko podchodzimy.

Chłopak czuł, jak z każdym krokiem wycieka zeń wola życia, jak coś ją wysysa. Czas stał się abstrakcją, zatracił konkretne znaczenie. Może byli w Przesmyku parę godzin, a może parę dni - nie wiedział. Pragnął tylko spokoju; żeby to się wreszcie skończyło, żeby znów był bezpieczny. Ostrożnie wyszukiwali ścieżkę: stałe napięcie sprawiało, że strach powszechniał.

Jakiś ruch przykuł uwagę Richarda. Chłopak obejrzał się. Cienie - każdy otoczony zieloną poświatą - płynęły za nimi traktem, jeden za drugim, unosząc się tuż nad ziemią, podlatywały wyżej nad powalonymi pniami. Były blisko. Obydwoje stanęli jak sparaliżowani i patrzyli. Cienie się nie zatrzymały.

- Prowadź - szepnął Richard. - I nie puszczaj mojej dłoni. Będę miał na nie oko.

Koszulka Kahlan była mokra od potu, jego też, choć noc wcale nie była ciepła. Dziewczyna skinęła głową i ruszyła. Richard szedł tyłem tuż za nią, przerażony, nie spuszczając oka z cieni, Kahlan szła najszybciej jak mogła. Kilka razy musiała się zatrzymać i zmienić kierunek - kierowała chłopaka pociągnięciami ręki. Jeszcze raz się zatrzymała, w końcu poszła w prawo - kiedy niewidoczna ścieżka ostro skręciła w

dół stoku. Schodzenie tyłem było bardzo trudne. Richard ostrożnie stawiał stopy, uważając, żeby nie upaść. Rządek cieni płynął ścieżką. Chłopak nie popędzał Kahlan, bo nie chciał, żeby zmyliła drogę, lecz cienie wciąż się zbliżały. Jeszcze kilka minut i dopadną ich. Znów napiął mięśnie, zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Zastanawiał się, czy go wyciągnąć z pochwy, bo nie wiedział, czy to im pomoże, czy raczej zaszkodzi.. Nawet gdyby miecz okazał się skuteczny przeciwko cieniom, to i tak walka w Przesmyku byłaby zbyt ryzykowna. Posłużę się Mieczem Prawdy tylko w ostateczności, jeśli cienie zanadto się zbliżą, zdecydował Richard.

Wydawało się, że cienie mają coraz wyraźniejsze rysy twarzy. Richard bezskutecznie starał się sobie przypomnieć, czy i przedtem miały jakieś twarze. Mocniej ścisnął rękojeść miecza. Ciepła dłoń Kahlan spoczywała w jego dłoni. Oblicza cieni, widoczne w zielonkawej poświacie, były łagodne i smutne. Patrzyły nań życzliwie i błagalnie. Wypukłe litery słowa PRAWDA coraz mocniej wpijały się w zaciśnięte palce chłopaka. Gniew miecza sączył się weń, szukał jego gniewu, lecz znalazł jedynie strach i zamęt, więc odpłynął. Cienie już się nie zbliżały - szły sobie za nimi, dotrzymując im w mrokach towarzystwa. O dziwo, ich obecność jakby łagodziła strach i napięcie Richarda. Ich szepty uspokajały go. Usiłował odróżnić słowa, rozluźnił dłoń zaciśniętą na rękojeści miecza.

Łagodne uśmiechy dodały mu otuchy, uśpiły niepokój i ostrożność, zachęciły do uważniejszego wsłuchania się w szepty. Zielona poświata wokół cieni migotała kojąco. Chłopak pragnął odpoczynku, spokoju, towarzystwa cieni. Jego umysł dryfował tak jak one - gładko, cicho, łagodnie, Richard rozmyślał o swoim ojcu, tęsknił za nim. Wspominał ich wspólnie spędzone radosne lata, miłość, opiekę, wspólne przeżycia, czasy, kiedy był bezpieczny, kiedy nic mu nie zagrażało, nic go nie przerażało, gdy nie miał żadnych trosk i zmartwień. Pragnął powrotu owych czasów. Uświadomił sobie, że cienie to właśnie szepczą: że mogłoby być, jak wówczas. Chciałyby mu dopomóc w powrocie w tamte miejsca i to wszystko.

Ostrzegawcze światełka zapaliły się w głębi umysłu Richarda, lecz zagasły. Dłoń chłopaka ześlizgnęła się z rękojeści miecza.

Ze też się mogłem tak mylić, dumał Richard. Jakże byłem ślepy, że tego wcześniej nie pojąłem. Cienie wcale nie chcą mnie skrzywdzić, lecz pomóc w osiągnięciu spokoju, którego tak pragnę, myślał. Ofiarowały mu to, czego najbardziej pragnął. Chciały go ocalić przed samotnością. Richard uśmiechnął się tęsknie i smutno. Czemuż tego wcześniej nie dostrzegł? Jak mógł być aż tak ślepy? Szepty

płynęły ku niemu jak słodka muzyka, koiły jego obawy, łagodnie rozjaśniały ciemne zakamarki umysłu. Zatrzymał się, żeby pozostać w zasięgu kojących, czarodziejskich szeptów, w zasięgu owej słodkiej muzyki.

Jakaś zimna ręka irytująco szarpnęła jego dłonią, więc Richard ją puścił. Zniknęła i już go nie niepokoiła.

Cienie podpłynęły bliżej. Chłopak czekał na nie, patrzył w ich łagodne twarze, słuchał kojącego szeptu. Posłyszał swoje imię i aż zadrżał z radości. Powitał je serdecznie, a one otoczyły go przyjaznym koliskiem, coraz ciaśniejszym, i wyciągały do niego ręce. Ich dłonie sięgały ku twarzy chłopaka, jakby chciały ją dotknąć, pogłaskać. Spoglądał kolejno w ich oblicza, patrzył w oczy swoim wybawcom, a oni odwzajemniali spojrzenie i szeptali wspaniałe obietnice.

Jakaś dłoń niemal się otarła o twarz Richarda i wydało mu się, że poczuł rozdzierający ból. Ów cień szeptał, że gdy chłopak się do nich przyłączy, to już nigdy nie dozna bólu. Richard chciał się odezwać, zadać cieniom wiele pytań - lecz nagle uznał, że to bezcelowe i mało ważne. Powinien się oddać w opiekę cieniom, a wszystko będzie dobrze. Chciał tego.

Chłopak odwrócił się, poszukał wzrokiem Kahlan, chciał ją ze sobą zabrać, podzielić z nią spokój i ukojenie. Powróciły wspomnienia o dziewczynie, choć szepty namawiały go, by nie zwracał uwagi na owe myśli. Przeszukiwał wzrokiem stok pokryty ciemnym rumowiskiem. Niebo zaczynało się rozjaśniać, zbliżał się świt. Na tle różowiejącego nieba widniały czarne cienie drzew, koniec stolcu był tuż, tuż. Richard nigdzie nie widział Kahlan. Cienie nawoływały go, szepcząc natarczywie. Wspomnienia dziewczyny płynęły w myślach Poszukiwacza. Znienacka pojawił się płomień strachu i wypalił szepty w jego umyśle.

- Kahlan! - wrzasnął Richard. Odpowiedź nie nadeszła.

Czarne, martwe ręce wyciągnęły się po chłopaka. Twarze cieni chwiały się jak opary nad wrzącymi truciznami. Ochrypłe głosy wołały jego imię. Cofnął się, byle dalej od nich.

- Kahlan! - krzyknął ponownie.

Sięgały po niego dłonie, a te niby - dotknięcia wywoływały przeraźliwy ból. Richard znów się cofnął, ale tym razem za jego plecami wyrosła czarna ściana. Cienie próbowały go tam wepchnąć. Rozglądał się za Kahlan. Tym razem ból całkiem go otrzeźwił. Chłopak zdał sobie sprawę z tego, gdzie jest i co się dzieje, i przeraził się.

Potem zapłonął gniewem.

Wyszarpnął miecz - i gniew oręża połączył się z jego furią. Richard zaatakował cienie. Te, które ciął mieczem, rozpływały się, wirując jak dym na wietrze, i niknęły ze skowytem. Miał nowych przeciwników. Uderzał raz po raz, lecz nadchodziły i nadchodziły, jakby ich była nieskończona liczba. Richard ciął jedne cienie, a wówczas te z drugiej strony sięgały po niego i czuł palący ból, dopóki się ku nim nie odwrócił. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby w końcu zdołały go dotknąć - czy tylko poczułby ból, czy też natychmiast by umarł. Odsunął się od ściany mroku, ścinając przy tym cienie. Postąpił jeszcze krok, tnąc je z wściekłością.

Richard stał i niszczył cienie, w miarę jak napływały. Bolały go ręce i plecy, serce łomotało. Pot zalewał twarz. Chłopak był wyczerpany. Musiał utrzymać pozycję, bo nie było dokąd uciekać, lecz zdawał sobie sprawę, że nie wytrzyma tego bez końca. Wrzaski i skowyty wypełniały noc, a cienie ochoczo szły pod miecz. Cała ich grupka rzuciła się w przód, zmuszając chłopaka, żeby się cofnął, zanim na nie uderzy. Czarna ściana znów wyrosłą za plecami Richarda. Sięgnęły po niego mroczne stwory z tamtego świata, krzycząc przerażająco. Nie mógł się odsunąć od ściany - atakowało go zbyt wiele cieni. Mógł tylko trwać w miejscu. Bolesne dotknięcia, dotknięcia rąk cieni wyczerpywały go coraz bardziej. Wiedział, że przepchną go przez ścianę do zaświatów, jeżeli uderzą szybko i licznie. Walczył mechanicznie bez końca.

Gniew przeradzał się w panikę. Mięśnie ręki dzierżącej miecz płonęły z bólu. Richardowi się zdawało, że cienie chcą go zmęczyć liczebnością. Czuł, że słusznie się powstrzymywał przed użyciem miecza, bo to by im tylko zaszkodziło. Lecz teraz nie miał wyboru. Musiał dobyć miecza, żeby ich ocalić.

Przecież nie ma nas, pomyślał nagle chłopak. Kahlan zniknęła. Był tylko on. Pracował nieprzerwanie mieczem i dumał, czy z dziewczyną było podobnie, czy i ją oczarowały szepty cieni, czy cienie jej dotknęły i zmusiły do przejścia przez ścianę. Przecież Kahlan nie miała miecza. To on, Richard, przyrzekł, że będzie jej bronić. Ponownie zapłonął gniewem. Kahlan w mocy cieni, wepchnięta w zaświaty! Furia chłopaka zlała się w jedno z magicznym gniewem Miecza Prawdy. Z nową siłą uderzył na cienie. Płomienna nienawiść sprawiła, że ciął je szybciej, niż napływały. Ruszył więc ku nim. Skowyty agonii zlały się w jeden wielogłosowy wrzask bólu. Richard parł wściekle naprzód, a myśl o tym, co zrobiły Kahlan, budziła w nim furię.

Chłopak początkowo nie zauważył, że cienie przestały go atakować i tylko się unosiły w powietrzu. Schodził ścieżką pomiędzy ścianami granicy i ścinał te, które napotykał. Najpierw nie uciekały przed mieczem, potem zaczęły się przesuwać jak

pasemka dymu. Wpływały w ściany granicy, tracąc w nich owa zielonkawą poświatę, i zmieniały się w mroczne stwory z tamtej strony. Richard zatrzymał się w końcu, zdyszany i obolały.

Oto czym były - nie ludzie cienie, lecz stwory spoza granicznej ściany, stwory wychodzące stamtąd i porywające ludzi, tak jak chciały porwać i jego.

Jak porwały Kahlan.

Chłopak poczuł rozpacz i ból, łzy napłynęły mu do oczu.

- Kahlan - szepnął w chłodne powietrze poranka.

Serce ściskało mu się z bólu. Zniknęła i to przez niego, bo zawiódł, bo przestał być czujny, nie bronił jej, zostawił na pastwę cieni. Dlaczego to się stało tak szybko? Tak łatwo? Przecież Adie go ostrzegała, mówiła, że go będą nawoływać. Czemu nie był bardziej ostrożny? Dlaczego nie poświęcił więcej uwagi ostrzeżeniom starej kobiety? Wciąż i wciąż wyobrażał sobie strach i panikę Kahlan, zaniepokojenie, że jego przy niej nie ma, błaganie, żeby jej pomógł. Jej ból. Jej śmierć. Płakał i desperacko pragnął cofnąć czas, by móc postąpić inaczej: zignorować szepty cieni, nie puścić dłoni dziewczyny, ocalić Kahlan. Łzy płynęły po twarzy Richarda, a on wlókł miecz po ziemi, zbyt zmęczony, by go wsunąć do pochwy. Szedł na oślep. Kończył się skalny rumosz, zielona poświata zbladła i zniknęła - chłopak wszedł do lasu, na trakt.

Ktoś szepnął jego imię, jakiś męski głos. Richard się zatrzymał i odwrócił.

W poświacie granicy stał jego ojciec.

- Pozwól sobie pomóc, synku - szepnął.

Richard patrzył nań twardym wzrokiem. Wstawał świt i zatapiał wszystko w wilgotnawej, szarawej poświacie. Jedyną barwną plamę stanowiła zielonkawa otoczka wokół cienia ojca, wyciągającego do niego ręce.

- Nie możesz mi pomóc - szepnął ochryple Richard.

- Owszem, mogę. Ona jest z nami. Teraz jest bezpieczna.

- Bezpieczna? - Chłopak postąpił krok ku ojcu.

- Tak, bezpieczna. Chodź, zabiorę cię do niej.

Richard postąpił jeszcze kilka kroków, wlokąc za sobą miecz. Łzy spływały mu po policzkach. Oddychał z trudem.

- Naprawdę możesz mnie do niej zaprowadzić?

- Tak, synku - szepnął łagodnie ojciec. - Chodź. Ona na ciebie czeka. Zaprowadzę cię do niej.

- I zostanę z nią? Na zawsze? - Chłopak mechanicznie szedł ku ojcu.

- Na zawsze - zapewnił znajomy głos.

Richard ponownie wszedł w zieloną poświatę, ku ojcu, który się do niego ciepło uśmiechał. Zbliżył się do cienia, uniósł Miecz Prawdy i wbił ojcu w serce. Ten patrzył nań ze zdumieniem.

- Ileż jeszcze razy będę musiał zabić twój cień, drogi ojcze? - spytał chłopak poprzez łzy.

Ojciec jedynie zamigotał i rozpłynął się w mglistym powietrzu

Gniew ustąpił miejsca gorzkiej satysfakcji. I to już było poza nim. Richard zawrócił na ścieżkę. Łzy płynęły mu z oczu, mieszały się z potem i kurzem na policzkach. Ocierał ją rękawem, gardło miał ściśnięte. Wszedł znów na trakt, a obojętny las zamknął się nad nim.

Richard wsunął miecz do pochwy. Zauważył, że przez materiał kieszeni przesącza się blask nocnego kamienia - wciąż było na tyle ciemno, że kamień lśnił. Chłopak przystanął, wyjął gładki kamień i schował do skórzanego woreczka, gasząc żółtawe światełko. Szedł przed siebie z ponurą, zaciętą miną, dotykając schowanego za koszulą zęba. Ciążyła mu samotność, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Stracił wszystkich przyjaciół. Wiedział, że jego własne życie już do niego nie należy. Musiał wypełnić swoje zadanie, swoją misję. Był Poszukiwaczem. Niczym więcej. I niczym mniej. Pionkiem w cudzych rękach, a nie wolnym i niezależnym człowiekiem. Narzędziem, jak jego miecz, mającym ocalić innych, by wiedli życie, które dostrzegł w krótkim przebłysku.

Nie różnił się od ciemnych stworów granicy. Siewca śmierci. Posłaniec śmierci.

Richard dokładnie wiedział, komu przyniesie śmierć.

* *

Władca siedział na trawie przed śpiącym chłopcem, skrzyżował nogi, oparł ręce na kolanach, wnętrzem dłoni ku górze, i z uśmiechem rozmyślał o tym, co się przydarzyło w granicy Spowiedniczce Kahlan. Barwne płatki kwiatów lśniły w promieniach wschodzącego słońca, wpadających przez okna w stropie. Rahl powoli uniósł prawą dłoń ku wargom, oblizał koniuszki palców i przygładził brwi, potem znów ułożył rękę w poprzedniej pozycji. Rozmyślania o tym, co uczyni Matce Spowiedniczce, sprawiły, że szybciej oddychał. Uspokoił oddech, zwrócił myśl ku najbliższej sprawie. Poruszył palcami, a Carl otworzył oczy.

- Dzień dobry, synku. Miło cię znów widzieć - powiedział Rahl swoim najprzyjemniejszym tonem. Wciąż się uśmiechał, choć z zupełnie innego powodu.

Jasne światło sprawiło, że Carl zamrugał i przymrużył oczy

- Dzień dobry - jęknął. Potem spojrzał dokoła i dodał: - Ojczulku Rahlu.

- Znakomicie spałeś - zapewnił małego władca.

- Byłeś tutaj? Całą noc?

- Calutką. Tak jak ci obiecałem. Nie okłamałbym cię, Carlu.

- Dzięki. - Chłopiec się uśmiechnął i, zawstydzony, opuścił oczy. - To głupie, że się tak bałem.

- Wcale nie uważam, że to było głupie. Cieszę się, że mogłem tu zostać i uspokoić cię.

- Mój tata zawsze mówi, że jestem głuptas, gdy się boję ciemności.

- W mroku są stwory, które cię mogą dopaść - rzekł z powagą Rahl. - Mądrze czynisz, bojąc się ich i strzegąc przed nimi. Twój ojciec dobrze by zrobił, słuchając cię i ucząc się od ciebie.

- Naprawdę? - Oczy Carla pojaśniały. Władca potaknął. - Hmm, i ja zawsze tak myślałem.

- Jeśli kogoś naprawdę kochasz, to wysłuchasz, co ma do powiedzenia.

- A mój tata stale mówi, żebym tak nie młócił językiem.

- Ogromnie mnie to dziwi. - Rahl z dezaprobatą potrząsnął głową. - Sądziłem, że bardzo cię kochają.

- No pewnie. Tak czy owak, najczęściej.

- Na pewno masz rację. W końcu powinieneś to wiedzieć lepiej niż ja. Długie, jasne włosy władcy lśniły w porannym słońcu, biała szata jaśniała.

Czekał. Dłuższą chwilę panowała cisza.

- Ale wciąż mi mówią, co mam robić, i już mi się to znudziło.

- Chyba już osiągnąłeś wiek, w którym powinieneś sam wybierać i decydować. - Brwi Rahla powędrowały w górę. - Taki wspaniały chłopak jak ty, niemal mężczyzna... A oni ci mówią, co masz robić - dodał, jakby do siebie i potrząsnął głową. Zapytać niby to nie mogąc uwierzyć w słowa Carla: - Masz na myśli, że cię traktują jak małe dziecko?

Mały energicznie przytaknął, potem uznał, że należy to trochę skorygować.

- Ale przeważnie są dla mnie bardzo dobrzy.

- Miło to słyszeć. - Rahl nieco podejrzliwie pokiwał głową. - To dla mnie

wielka ulga.

- O jednym cię mogę zapewnić - dorzucił Carl, patrząc w słoneczny blask. - Moi starzy będą wściekli jak diabli, że tak długo byłem poza domem.

- Złoszczą się, kiedy późno wracasz?

- Jasne. Kiedyś się bawiłem z kolegą i późno wróciłem, i mama naprawdę się rozzłościła. Tata przyłożył mi pasem. Za to, że ich tak zmartwiłem, powiedział.

- Pasem? Twój ojciec zbił się pasem? - Rahl Posępny opuścił głowę, potem wstał i obrócił plecami do chłopca. - Przykro mi, Carl, nie miałem o tym pojęcia.

- To tylko dlatego, że mnie kochają - powiedział pospiesznie mały. - Tak mówili, że mnie kochają i martwią się, gdy długo nie wracam. - Rahl dalej stał tyłem. Carl zmarszczył brwi. - Według ciebie to nie znaczy, że się o mnie martwili?

Władca polizał czubki palców i musnął nimi brwi i wargi, potem odwrócił się ku chłopcu i znów usiadł naprzeciwko zaniepokojonej buzi małego.

- Carlu... - Mówił tak cicho, że malec musiał wytężać słuch. - Czy masz psa, Carlu?

- Pewnie. Nazywa się Tinker. Jest wspaniała. Mam ją od szczeniaka.

- Tinker. - Przeciągnął figlarnie Rahl. - A czy ona się kiedy zgubiła lub uciekła?

Carl marszczył brwi, przypominając sobie.

- O, tak, parę razy, gdy była mała. Ale wracała następnego dnia.

- Martwiłeś się, kiedy jej nie było? Kiedy zniknęła?

- No pewnie.

- Dlaczego?

- Bo ją kocham.

- Rozumiem. A co robiłeś, kiedy Tinker wracała?

- Brałem ją na ręce i mocno tuliłem.

- Nie biłeś pasem?

- Nie!

- Dlaczego?

- Bo ją kocham!

- Ale się martwiłeś?

- Tak.

- Więc tuliłeś Tinker, kiedy wracała, ponieważ ją kochasz i martwiłeś się o nią.

- Tak.

Rahl odchylił się lekko w tył, w błękitnych oczach malowało się skupienie.

- Rozumiem. A co, według ciebie, zrobiłaby Tinker, gdybyś ją zbił pasem po takiej wyprawie?

- Założę się, że następnym razem już by nie wróciła. Nie wróciłaby po następne lanie. Poszłaby tam, gdzie by ją kochali.

- Rozumiem - powiedział znacząco Rahl.

Łzy płynęły po policzkach Carla. Odwrócił oczy od władcy i płakał. W końcu Rahl pogłaskał go po głowie.

- Przepraszam, Carlu. Nie chciałem cię denerwować. Wiedz jednak, że kiedy to wszystko się skończy i wrócisz do domu, to zawsze będziesz tu mile widziany. W razie potrzeby będziesz tu mógł wrócić i zostać. Jesteś wspaniałym chłopcem, wspaniałym młodzieńcem i cieszyłbym się, gdybyś tu ze mną został. Ty i Tinker. Ufałbym ci, wierzył, że potrafisz o siebie zadbać i pozwoliłbym ci wychodzić i wracać według twojej woli.

- Dziękuję, Ojczulku Rahlu. - Mały spojrzał nań wilgotnymi oczami.

- Może byś coś zjadł? - Rahl uśmiechnął się ciepło. Carl przytaknął.

- Co byś chciał? Dostaniemy, czego tylko sobie zażyczysz. Chłopiec namyślał się przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Chciałbym placek z borówkami. Przepadam za tym. - Opuścił oczy, uśmiech zniknął. - Ale nie dają mi go na śniadanie.

- A więc placek z borówkami. - Rahl uśmiechnął się szeroko i wstał. - Zaraz przyniosę.

Władca podszedł do niewielkich, przysłoniętych pnączami drzwi. Otworzyły się przed nim, przytrzymywane krzepkim ramieniem Demmina Nassa, i Rahl wszedł do ciemnego pomieszczenia. Nad małym paleniskiem wisiał żelazny kociołek, w którym bulgotała smrodliwa papka. Błyszczący od potu gwardziści stali pod przeciwległą ścianą.

- Mniemam, Władco Rahlu, iż chłopiec spełnia twoje oczekiwania. - Demmin skłonił głowę.

- O, tak. Jest dokładnie taki, jak trzeba. - Rahl oblizał czubki palców i przygładził brwi. - Odlej trochę tej brei do miseczki, niech ostygnie.

Nass wziął cynową miseczkę i drewnianą łyżką zaczął przelewać papkę z kociołka.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - paskudny uśmieszek zagościł na ospowatej twarzy dowódcy - to się wybiorę do królowej Mileny, złożyć jej wyrazy uszanowania.

- Znakomicie. I daj po drodze znać smoczycy, że jest mi potrzebna.

- Ona mnie nie lubi. - Demmin przestał przelewać papkę.

- Ona nikogo nie lubi - oznajmił Rahl. - Na pewno cię nie zje, Demminie, nie martw się. Wie, co ją czeka, jeżeli nadużyje mej cierpliwości.

- Zapyta, kiedy ci będzie potrzebna. - Nass znów przelewał breję.

- Przekaż jej, iż powiedziałem, że to nie jej sprawa. - Rahl spojrzał z ukosa na dowódcę. - Ma przybyć, kiedy ją zawezwę. Niech czeka na mój znak. - Odwrócił się i popatrzył przez wąskie okienko, poprzez liście, w stronę głowy małego.

- Chciałbym, żebyś wrócił za dwa tygodnie.

- Tak jest, za dwa tygodnie. - Demmin odstawił miseczkę papki - Naprawdę aż tyle czasu potrzeba na chłopca?

- Tak, jeżeli chcę powrócić z zaświatów. - Rahl dalej patrzył przez szczelinę. - Może nawet potrwa to jeszcze dłużej. Zabierze tyle czasu, ile się okaże potrzebne. Muszę pozyskać jego całkowite zaufanie, dobrowolnie złożone zapewnienie o bezwarunkowej lojalności.

- Mamy kolejny problem. - Demmin zatknął kciuk za pas.

- Tylko tym się zajmujesz? - Rahl zerknął nań przez ramię. - Wyszukiwaniem problemów?

- Dzięki temu jeszcze nie straciłem głowy.

- Racja, przyjacielu. - Władca uśmiechnął się i westchnął: - No, mów, co ci leży na wątrobie.

Demmin przestąpił z nogi na nogę i rzekł:

- Ostatniej nocy dostałem wiadomość, że zniknął nasz tropiący obłok.

- Zniknął?

- No, może nie tyle zniknął, ile został zakryty. - Nass podrapał się po policzku. - Napłynęło wiele chmur i otoczyło go.

Rahl zaczął się śmiać. Demmin się zmieszał.

- To sprawka naszego przyjaciela, starego czarodzieja. Zobaczył obłok i uciekł się do swoich sztuczek, żeby mi popsuć szyki. Można się było tego spodziewać. To żaden problem, mój przyjacielu. To nie ma znaczenia.

- Przecież dzięki niemu miałeś odnaleźć księgę, Władco Rahlu. Cóż może być ważniejszego niż ostatnia szkatuła i odnalezienie księgi?

- Wcale nie mówiłem, że księga nie ma znaczenia. Powiedziałem, że obłok nie jest ważny. Księga natomiast jest bardzo ważna i dlatego nie poprzestałem tylko na owym obłoku. Jak, według ciebie, „przyczepiłem” chmurkę do chłopaka Cyphera?

- Moje talenty ujawniają się w innych dziedzinach niż magia, Władco Rahlu.

- Słusznie, przyjacielu. - Rahl oblizał koniuszki palców. - Ojciec opowiedział mi niegdyś, zanim go zamordował ów diabelski czarodziej, o szkatułach Ordena i o Księdze Opisania Mroków. Próbował ją odszukać, lecz miał zbyt małą wiedzę. Mój ojciec był raczej człowiekiem czynu, walki. - Władca spojrzał Demminowi w oczy. - Podobnie jak i ty, mój rosły przyjacielu. Nie miał wy starczającej wiedzy. W swej mądrości wpoił mi jednak przeświadczenie o wyższości głowy, umysłu nad mieczem. Nauczył mnie, że wystarczy umiejętnie się posłużyć umysłem, żeby pokonać dowolną liczbę przeciwników. Dał mi najlepszych nauczycieli. Potem go zamordowano. - Rahl uderzył pięścią w stół, poczerwieniał. Po chwili uspokoił się. - Przez wiele lat uczyłem się intensywnie, by móc odnieść sukces tam, gdzie się nie powiodło ojcu, i przywrócić dynastii Rahlów należne jej miejsce, tak by znów władała wszystkimi krainami.

- Prześcignąłeś najtajniejsze marzenia i nadzieje swego ojca, panie.

Rahl uśmiechnął się po swojemu i wyjrzał przez szczelinowate okienko. Potem podjął:

- Dzięki moim studiom odkryłem, gdzie ukryto Księgę Opisania Mroków. Była w Midlandach, po drugiej strome granicy, lecz nie potrafiłem jeszcze podróżować poprzez zaświaty, więc nie mogłem się udać do Midlandów, aby ją odzyskać. Wysłałem więc bestię, by strzegła księgi aż do dnia, w którym po nią przybędę. - Wyprostował się, obrócił ku Demminowi i ponuro na niego spojrzał. - Człowiek zwany George’em Cypherem zabił bestię i ukradł księgę, zanim mogłem po nią przyjść. Ukradł moją księgę i zabrał ząb bestii jako trofeum. Głupi postępek, bo potwór znalazł się tam dzięki magii, mojej magii. - Rahl uniósł brew. - A ja potrafię odszukać i rozpoznać moje czary. - Władca oblizał koniuszek palców i potarł nimi wargi, patrząc przed siebie nieobecnym wzrokiem. - Udałem się po księgę, kiedy zacząłem grę o szkatuły Ordena. I stwierdziłem, że ją ukradziono. Znalazłem winowajcę, choć zajęło mi to trochę czasu. Niestety, nie miał już księgi i nie chciał mi powiedzieć, gdzie ona jest. - Rahl uśmiechnął się do Demmina. - Pocierpiał za to, że mi nie pomógł. - Nass odwzajemnił uśmiech. - Lecz się dowiedziałem, że dał ząb synowi.

- I w ten sposób się dowiedziałeś, że chłopak Cyphera ma księgę

- Tak, Richard Cypher ma Księgę Opisania Mroków. I nosi na szyi ząb. Dzięki temu mogłem do niego „przyczepić” tropiący obłok. Związałem ową chmurkę z zębem przesyconym moja magią, z zębem, który dostał od ojca. Odzyskałbym już księgę, lecz musiałem się wpierw zająć mnóstwem innych spraw. Wysłałem więc tylko ów obłoczek, by pokazywał, gdzie chłopak się znajduje. Po prostu dla wygody. Wszystko jest pod kontrolą i mogę mieć księgę w dowolnie przez siebie wybranym momencie. Obłoczek nie ma znaczenia. Znajdę chłopaka dzięki zębowi.

Rahl podał Demminowi miseczkę papki i polecił:

- Spróbuj i powiedz, czy wystarczająco podstygła. - Uniósł brew - Nie chciałbym poparzyć małego.

Nass powąchał zawartość naczynia i ze wstrętem zmarszczył nos. Podał miseczkę jednemu z gwardzistów, a ten potulnie nabrał łyżkę papki i spróbował. Dał znak, że wystarczająco chłodna.

- Cypher może zgubić ząb lub wyrzucić. I wtedy mogą być trudności z odszukaniem jego lub księgi. - Demmin, mówiąc te słowa, pochylił kornie głowę. - Wybacz, władco, że to powiedziałem, wydaje mi się jednak, że za bardzo zdajesz się na los szczęścia, na przypadek.

- Niekiedy zdaję się na los, Demminie, lecz nigdy na przypadek. Mam inne sposoby na odszukanie Richarda Cyphera.

Nass zaczerpnął głęboko powietrza, przemyślał słowa Rahla i odprężył się.

- Teraz pojmuję, dlaczego cię to nie zmartwiło. Nic o tym wszystkim nie wiedziałem.

- Ledwo musnęliśmy powierzchnię spraw, o których nie wiesz, Demminie. - Rahl gniewnie spojrzał na wiernego dowódcę. - To dlatego ty służysz mnie, a nie ja tobie. - Znów złagodniał. - Zawsze byłeś mi przyjacielem, Demminie, od naszych chłopięcych czasów, więc rozwieję twoje obawy w tym względzie. Jest mnóstwo niecierpiących zwłoki spraw, którymi się muszę zająć, spraw związanych z magią, które nie mogą czekać. Jak ta. - Wskazał chłopca. - Wiem, gdzie jest księga, i znam swoje umiejętności. Odzyskam księgę, kiedy tylko zechcę. W tej chwili wygląda to tak, jakby Richard Cypher chronił ją dla mnie. - Nachylił się bliżej ku Nassowi. - Zadowolony?

Demmin popatrzył w ziemię.

- Tak, panie - odparł i znów podniósł wzrok. - Wiedz, że powiedziałem ci o

moich wątpliwościach tylko dlatego, że pragnę twego zwycięstwa. Jesteś prawowitym władcą wszystkich krain. My wszyscy chcemy, byś nami kierował i nam przewodził. Ja zaś pragnę jedynie być trybikiem w machinie pracującej dla twej wiktorii. I obawiam się tylko jednego: że mógłbym cię zawieść.

Rahl Posępny objął ramieniem potężne bary Demmina, spojrzał w ospowatą twarz, popatrzył na czarne pasmo w jasnych włosach.

- Tak lepiej, przyjacielu, wolę cię takiego. - Rahl cofnął ramię i wziął miseczkę. - Udaj się teraz do królowej Mileny i powiadom ją o naszym przymierzu. Nie zapomnij przywołać smoczycy - Uśmiechnął się leciutko. - I nie pozwól, by ulubione rozrywki zbytnio opóźniły twój powrót.

Demmin skłonił głowę.

- Dzięki, władco, że obdarzasz mnie zaszczytem służenia ci.

Wielkolud wyszedł tylnymi drzwiami, a Rahl wrócił do ogrodu. Obaj gwardziści zostali w niewielkim, nagrzanym pomieszczeniu z paleniskiem.

Rahl podszedł ku chłopcu, zabierając po drodze róg do karmienia. Była to długa, wygięta mosiężna rura, wąska przy ustniku i szeroka u góry. Górny, szerszy koniec podtrzymywały dwie podpórki, żeby papka swobodnie się zsuwała w dół. Rahl postawił róg i ustnik znalazł się przed Carlem.

- Co to takiego? - zapytał mały. - Róg?

- Tak, oczywiście. Znakomicie, Carlu. To róg do karmienia. To część ceremonii, w której weźmiesz udział. Inni młodzieńcy, ci którzy przed tobą wspomagali lud, uważali, że to ogromnie zabawny sposób jedzenia. Weź do ust tę końcówkę, a ja ci podam pokarm górą.

- Naprawdę? - Chłopiec nie był przekonany.

- Tak. - Rahl uśmiechnął się do niego uspokajająco. - Przyniosłem ci świeżutki placek borówkowy, jeszcze ciepły, prosto z pieca.

- Bosko! - Carl owi zalśniły oczy i ochoczo wziął w usta końcówkę rogu. Rahl zatoczył dłonią trzy koła nad miseczką, żeby zmienić smak papki, i spojrzał na Carla.

- Musiałem go rozdrobnić, żeby przeszedł przez róg. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

- Zawsze go rozdrabniam widelcem. - Carl uśmiechnął się i znów wziął w usta końcówkę rogu.

Rahl wlał w naczynie trochę papki. Ściekała do ust malca, który zjadł ją ze smakiem.

- Pyszny! Najlepszy, jaki jadłem!

- Bardzo mnie to cieszy - rzekł ze skromnym uśmieszkiem Rahl. - To mój własny przepis. Bałem się, że placek nie będzie tak smaczny, jak twojej matki.

- Jest jeszcze lepszy. Mogę dostać więcej?

- Oczywiście, synku. Z Ojczulkiem Rahlem zawsze jest coś ekstra, coś więcej.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Richard uważnie badał grunt w miejscu, gdzie trakt się znów zaczynał, u podnóża stoku, lecz miał coraz mniej nadziei. Ciemne chmury płynęły nisko, pojedyncze krople zimnego deszczu spadały na pochyloną głowę chłopaka. Łudził się, że może Kahlan pierwsza przebyła Przesmyk, że tylko ją z nim rozdzielono, lecz dalej szła naprzód. Miała przecież kość, którą jej dała Adie, i ta kość powinna była ocalić dziewczynę, zapewnić jej bezpieczeństwo. Powinna bez trudu przebyć Przesmyk. Lecz on sam miał na szyi ząb i powinien być niewidzialny dla stworów, a przecież cienie i tak ruszyły na nich. To było zastanawiające, dziwne; cienie zaatakowały dopiero o zmierzchu, a właściwie w ciemnościach, przy pękniętej skale. Dlaczego nie wcześniej?

Nie było żadnych śladów. Od bardzo dawna nikt nie przebył Przesmyku. Richard poczuł zmęczenie i rozpacz. Lodowaty wiatr szarpał płaszcz, jakby go poganiał - dalej, w drogę, jak najszybciej stąd odejdź. Chłopak stracił nadzieję odnalezienia śladów, ruszył traktem ku Midlandom.

Uszedł kilka kroków i zatrzymał się nagle.

Czy Kahlan - rozdzielona z nim, przekonana, że porwały go zaświaty, przekonana, że go na zawsze utraciła - poszłaby do Midlandów? Czy poszłaby sama?

Nie.

Richard odwrócił się ku Przesmykowi. Nie. Poszłaby z powrotem. Z powrotem do czarodzieja.

Samotny powrót do Midlandów nic by jej nie dał. Potrzebowała pomocy i dlatego przybyła do Westlandu. Teraz, po stracie Poszukiwacza, pomóc mógł jedynie czarodziej.

Chłopak starał się nie zawierzać zbytnio tym nadziejom, lecz był dość blisko miejsca, w którym walczył z cieniami i w którym ją zgubił. Nie mógł odejść bez sprawdzenia, bez upewnienia się. Zapomniał o zmęczeniu i wszedł w Przesmyk.

Powitała go zielona poświata. Szedł po swoich śladach i wkrótce znalazł miejsce walki z cieniami. Odciśnięte w błocie ślady jego butów opowiadały o tym, co się tu działo. Zdziwił się, że pole walki było tak rozległe. Nie pamiętał kołowania, cofania się i parcia w przód. W ogóle nie pamiętał zbyt wiele z całej walki dopiero końcówkę.

W końcu Richard dostrzegł to, czego szukał. Ślady ich obydwojga, a potem jej

- samotne. Ruszył tym tropem. Serce mu waliło, boleśnie pragnął, aby ślady dziewczyny nie wiodły w graniczną ścianę. Przykucnął i badał je uważnie. Dotknął ich. Wyglądało na to, że najpierw krążyła tu i tam, zdezorientowana potem się zatrzymała i zawróciła. Ślady dwóch osób wiodły w Przesmyk, ślady jednej osoby - z powrotem.

Ślady Kahlan.

Richard poderwał się gwałtownie, z bijącym sercem. Zielona poświata irytująco jaśniała dokoła. Zastanawiał się, jak daleko mogła dziewczyna zajść. Większość nocy pracowicie przedzierali się przez Przesmyk. Nie mieli pojęcia, którędy wiedzie trakt. Popatrzył w dół na odciśnięte w błocie ślady. Teraz już to wiedział. Musi się spieszyć, nie może się ociągać. Przypomniał sobie słowa Zedda, wypowiedziane, kiedy starzec dawał mu miecz. Moc gniewu, rzekł wtedy czarodziej, natchnie cię nieodpartą chęcią zwycięstwa.

W mglistym porannym powietrzu rozległ się metaliczny dźwięk - to Poszukiwacz dobył miecza. Ogarnęła go fala gniewu i nie zastanawiając się dłużej, runął po śladach w dół traktu. Biegł miarowo wśród zimnej mgły, czując napór granicznych ścian. Nie zwalniał nawet tam, gdzie ślady zawracały, zmieniały kierunek. Po prostu przerzucał ciężar ciała to na jedną, to na drugą nogę, zgodnie ze skrętami ścieżki, i parł przed siebie. Utrzymywał stałe, dobre tempo i w połowie poranka był po drugiej stronie Przesmyku. W drodze dwa razy napotkał cienie. Nie poruszyły się, nie wiadomo, czy czuły jego obecność. Chłopak przeszedł przez nie, wyciągając przed siebie miecz. Rozwiały się z jękiem, pełne zdziwienia. Nie zwolnił nawet w skalnej szczelinie, kopnięciem odrzucił z drogi szponiaka. Zatrzymał się dopiero po drugiej stronie pękniętej skały i odetchnął nieco. Z ogromną ulgą stwierdził, że i tu widzi ślady Kahlan. Na leśnym trakcie będzie je trudniej wypatrzyć, ale to nic. Wiedział, którędy szła, i wiedział, że bezpiecznie przebyła Przesmyk. Niemal płakał z radości, że Kahlan jest żywa i cała.

Richard wiedział, że jest coraz bliżej dziewczyny, poranna mgła nie zdążyła jeszcze zmiękczyć ostrych konturów śladów. Kiedy tylko zrobiło się jasno, Kahlan ruszyła po ich śladach, inaczej już dawno by ją dogonił. Mądra dziewczyna, myślał, potrafi ruszyć głową. Jeszcze z niej zrobi traperkę.

Richard biegł ścieżką, nie chowając miecza i nie tłumiąc gniewu. Nie zatrzymywał się, by szukać śladów Kahlan, lecz zwalniał, widząc błotniste czy bardziej miękkie podłoże, i patrzył, czy są na nim odciski jej butów. Minął odcinek

porośnięty mchem i dotarł do spłachetka ze śladami. Rzucił na nie przelotnie okiem. Dostrzegł coś i zatrzymał się tak gwałtownie, że się wywrócił. Podparł się na łokciach i kolanach i wpatrywał w ślady. Szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Na ślady Kahlan nakładał się odcisk męskiego buta, niemal trzykrotnie większego niż jego własny. Nie miał wątpliwości, do kogo należy ów ślad: do ostatniego członka bojówki.

Poderwał się na nogi i pognał dalej. Gałęzie i skałki zlewały się w jedną smugę. Chłopak dbał tylko o jedno: żeby nie zboczyć ze szlaku i nie wbiec w granicę. Nie bał się o siebie, lecz gdyby zginął, kto pomógłby Kahlan? Z trudem łapał powietrze. Magiczny gniew oddalał od niego zmęczenie, wyczerpanie wysiłkiem i brakiem snu.

Richard wspiął się na niewielki skalny występ i zobaczył dziewczynę po przeciwległej stronie zagłębienia. Zamarł na moment. Kahlan stała po lewej stronie na ugiętych kolanach, za plecami miała skalną ścianę. Przed nią, po prawej ręce Richarda, stał ostatni z bojówki. Chłopak poczuł strach. Skórzany uniform tamtego lśnił od wilgoci. Kaptur kolczugi zakrywał jasne włosy mężczyzny. Napastnik oburącz unosił miecz, prężył potężne mięśnie ramion. Richard słyszał jego bojowy wrzask.

Tamten zamierzał zabić Kahlan.

W umyśle Richarda eksplodowała furia. Krzyknął: „Nie!” i skoczył ze skały, ogarnięty morderczym zapamiętaniem. Nim dotknął ziemi, uniósł oburącz Miecz Prawdy. Wylądował, cofnął się nieco, zatoczył łuk mieczem. Ostrze śmignęło, ze świstem rozcinając powietrze. Mężczyzna obrócił się ku Richardowi. Zobaczył nadlatujący miecz i błyskawicznie osłonił się swoim, aż zatrzeszczały mu mięśnie i ścięgna ramion.

Richard jak we śnie patrzył na spadający na wroga Miecz Prawdy.

Włożył w pchnięcie całą swoją siłę, cały gniew - żeby miecz śmignął szybciej i trafił celniej. Żeby zabił wroga. Magiczna furia ostrza i pragnienie zemsty Poszukiwacza zlały się w jedno, wzmacniając się nawzajem. Richard oderwał spojrzenie od miecza przeciwnika i twardo popatrzył w stalowe, niebieskie oczy tamtego. Miecz Poszukiwacza podążył śladem jego oczu. Chłopak słyszał swój krzyk. Mężczyzna uniósł oręż, aby odbić cios.

Richard widział tylko jego, wszystko inne rozmyło się i zniknęło. Puściły wszelkie bariery. Kierowała nim niepohamowana furia, stapiająca się w jedność z

magią miecza. Żadna ziemska potęga nie odbierze mu prawa do życia tego człowieka. Richard wiedział tylko jedno. Pragnął tylko jednego. Nic innego nie miało dlań znaczenia. Był wcieloną śmiercią.

Jego ramieniem kierowała śmiertelna nienawiść.

Richard z uniesieniem patrzył - ze wzrokiem wbitym w błękitne oczy tamtego, czując uderzenia własnego serca - jak Miecz Prawdy wchodzi w jego pole widzenia, jak dociera wreszcie do wzniesionego oręża wroga i uderza weń. Widział, jak tamto ostrze pęka, jak odcięty fragment unosi się w powietrze i lśni w słońcu, wirując; jak Miecz Poszukiwacza - silny jego gniewem i własną magią - dotyka kaptura z metalowej plecionki, przecina go, tnie głowę wroga na wysokości oczu.

Poranna mgiełka zabarwiła się na czerwono. Chłopak z dziwnym ożywieniem patrzył, jak opadają metal owe ogniwa, jak sunące w purpurowym powietrzu ostrze oddziela kość, jasne włosy, fragment mózgu, a ciało wroga - kończące się nieco powyżej szczęki, giętkie niczym szmaciana kukiełka - zaczyna opadać i wreszcie uderza o ziemię. Smugi krwi wzbiły się wysoko, zatoczyły łuk i spadły, także na Richarda, w jego otwarte we wściekłym krzyku usta. Zwycięzca poczuł smak krwi pokonanego wroga. Struga krwi lała się z martwego ciała i wsiąkała w ziemię, spadały odłamki kolczugowego kaptura i odcięty fragment miecza. Część metalowych ogniw i kawałków kości, ciśnięta impetem cięcia za Richarda, uderzyła o skałę. Z góry wciąż leciały odłamki kości, fragmenty mózgu i krew, barwiąc wszystko dokoła na czerwono.

Dawca śmierci stał nad powalonym obiektem swego gniewu i nienawiści. Stał zwycięski, zbryzgany krwią i upojony radością, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Znów uniósł miecz, szukał kolejnego przeciwnika. Nie znalazł.

A potem świat implodował.

Richard znów widział to, co go otaczało. Zobaczył zdumioną, przerażoną twarz Kahlan i powalił go ból. Upadł na kolana.

Miecz Prawdy wysunął się z dłoni chłopaka.

Richard uświadomił sobie nagle, co uczynił. Zabił człowieka. Gorzej - zabił człowieka, którego pragnął uśmiercić. To nieważne, iż chronił czyjeś życie - chciał zabić. Upajał się swoim czynem. Nie dopuściłby, żeby cokolwiek mu przeszkodziło w popełnieniu go.

Bez przerwy widział, jak jego miecz rozłupuje czaszkę tamtego mężczyzny. Nie mógł się uwolnić od owej wizji.

Skulił się i przycisnął ręce do brzucha. Targał nim straszliwy, przeszywający ból. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk, żaden krzyk. Chciał stracić przytomność i w ten sposób powstrzymać ból, ale nie mógł. Istniał wyłącznie ów ból, tak jak przedtem - w niepohamowanym pragnieniu zadania śmierci - istniał tylko tamten mężczyzna.

Ból pozbawił go wzroku. Richard oślepł. Czuł, jak spala go ogień - każdą kość, każdy mięsień, każdy narząd jego ciała. Nie mógł złapać powietrza, dusił się w męce. Upadł na bok, podciągnął kolana do piersi. Krzyczał z bólu, jak przedtem z wściekłości, czuł, jak wycieka zeń życie. Zdawał sobie sprawę - pomimo przeżywanych katuszy - że jeśli to potrwa dłużej, to straci rozum lub, co gorsza, życie. Miażdżyła go potęga magii. Nawet sobie nie wyobrażał, że istnieje aż takie natężenie bólu, nie potrafił sobie wyobrazić, że to kiedykolwiek przeminie. Czuł, jak męka odbiera mu rozum. Bezgłośnie błagał o śmierć. I dozna jej, tak czy inaczej, jeżeli to się szybko nie zakończy, nie zmieni.

Targany cierpieniem nagle zrozumiał, rozpoznał ów ból. Był taki sam jak gniew. Szalał w nim tak samo, jak przedtem gniew miecza. Całkiem dobrze to znał: to była magia, to były czary. Pojął to i natychmiast spróbował uzyskać kontrolę nad bólem, tak jak przedtem nauczył się kontrolować gniew. Wiedział, że musi zapanować nad męką, wyciszyć ją, bo inaczej umrze. Próbował sam sobie przemówić do rozsądku, wytłumaczyć konieczność owego potwornego czynu. Tamten człowiek, chcąc zabić, sam się skazał na śmierć.

W końcu chłopak zdołał odsunąć od siebie ból, tak jak się nauczył odpędzać i hamować gniew. Doznał ulgi. Ból zniknął.

Richard leżał na plecach, oddychał z trudem. Znów widział i wiedział, co się dokoła dzieje. Kahlan klęczała przy nim i ocierała mu twarz kawałkiem wilgotnego płótna. Zmywała krew. Płakała. Na jej twarzy widniała zakrzepła krew, krew tamtego człowieka.

Richard ukląkł i wyjął płótno z rąk dziewczyny; chciał obmyć jej twarz, chciałby usunąć z jej umysłu wspomnienie tego, co uczynił. Lecz Kahlan objęła go mocno i przytuliła z siłą, o jaką jej nawet nie posądzał. Odwzajemnił uścisk. Płakała, tuląc go do siebie, przyciskając jego głowę. Jak dobrze było ją mieć z powrotem przy sobie. Już nigdy, przenigdy nie pozwoli jej odejść.

- Tak mi przykro, Richardzie - łkała.

- Dlaczego?

- Że musiałeś go przeze mnie zabić.

- Już dobrze, już wszystko w porządku. - Kołysał ją łagodnie i gładził jej włosy.

- Dobrze wiem, jak magia cię udręczyła - chlipnęła, potrząsając głową wtuloną w ramię chłopaka. - To dlatego nie chciałam, żebyś walczył z tamtymi w gospodzie.

- Zedd mówił, że gniew uchroni mnie przed bólem. Nie rozumiem, Kahlan. Już nie mogłem być ani odrobinę bardziej wściekły.

Odsunęła się od niego, zacisnęła palce na ramieniu chłopak jakby badając, czy nie jest złudą.

- Zedd nakazał mi, żebym czuwała nad tobą, gdy zabijesz mieczem człowieka. Mówił, że gniew istotnie cię ochroni, lecz że pierwszy raz jest zupełnie odmienny. Wówczas magia doświadcza, szacuje Poszukiwacza, a przed tym nic go nie ochroni. Powiedział mi, że nie mógł ci tego zdradzić, bo gdybyś to wiedział, to byłbyś bardziej ostrożny, mógłbyś się zawahać przed użyciem miecza i sam zginąć. Mówił, że przy pierwszym posłużeniu się mieczem magia musi się zespolić z Poszukiwaczem, utwierdzić go w zamiarze zadania śmierci. - Kahlan ścisnęła ramię chłopaka. - Zedd mnie ostrzegł, że magia może cię straszliwie doświadczyć, że zsyła ból i bada, kto będzie panem, a kto podwładnym.

Richard, zaskoczony i wstrząśnięty, przysiadł na piętach. Adie powiedziała mu, że czarodziej nie zdradził mu pewnej tajemnicy. To musiało być właśnie to. Zedd na pewno ogromnie się o niego bał i martwił. Chłopak współczuł staremu przyjacielowi.

Po raz pierwszy dokładnie pojął, co to znaczy być Poszukiwaczem. Zrozumiał to tak, jak zrozumieć mógł wyłącznie Poszukiwacz. Dawca śmierci. Teraz to pojmował. Zrozumiał magię, to, jak się nią posługiwać i jak ona się nim posłużyła, pojął, że teraz stanowią jedno. Już nigdy nie będzie taki jak przedtem. Posmakował spełnienia swego najmroczniejszego pragnienia. Dokonało się. Nie mógł tego odwrócić, cofnąć się do tego, co było przedtem, do swego dawnego „Ja". Richard uniósł wilgotne płótno i zmył krew z twarzy Kahlan.

- Rozumiem. Teraz już wiem, o czym mówił Zedd. Dobrze zrobiłaś, tając to przede mną. - Dotknął policzka dziewczyny, a głos miał łagodny. - Tak się bałem, że cię zabije.

- Myślałam, że nie żyjesz. - Położyła dłoń na jego ręce. - Trzymałam cię za rękę i nagle się zorientowałam, że zniknąłeś. - Oczy Kahlan wypełniły się łzami. - Nie

mogłam cię odnaleźć. Nie wiedziałam, co robić. Myślałam tylko o jednym: wrócić do Zedda, poczekać, aż się ocknie i poprosić go o pomoc. Sądziłam, że zginąłeś w zaświatach.

- A ja myślałem, że to się tobie przytrafiło. O mało co nie poszedłem dalej sam. - Uśmiechnął się. - Wygląda na to, że wciąż do ciebie wracam.

Kahlan uśmiechnęła się, po raz pierwszy od kiedy ją odnalazł, i znów go objęła. Odsunęła się pospiesznie.

- Musimy stąd odejść, Richardzie. Pełno tu rozmaitych stworów. Przyjdą do jego ciała. Nie możemy tu zostać, musimy odejść, zanim się zjawią.

Chłopak kiwnął głową, odwrócił się po miecz i wstał. Wyciągnął do Kahlan rękę, by pomóc jej się podnieść. Przyjęła ją.

Zapłonął magiczny gniew, ostrzegając swego pana.

Zdumiony Richard popatrzył na dziewczynę. Magia zbudziła się i poprzednio, kiedy Kahlan dotknęła jego dłoni, lecz tym razem odczuł to mocniej, wyraźniej. Dziewczyna uśmiechała się, najwyraźniej nic nie poczuła. Chłopak odpędził gniew, który się cofnął z wielką niechęcią.

Kahlan jeszcze raz objęła chłopaka.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że żyjesz. Byłam pewna, że cię utraciłam.

- Jak uciekłaś cieniom?

- Sama nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Szły za nami, a kiedy się rozdzieliliśmy i zawróciłam, to już ich nie było. Widziałeś jakieś?

- Tak, widziałem je - przytaknął poważnie Richard. - I ponownie mojego ojca. Przyszły po mnie, chciały mnie wepchnąć w granicę.

- Dlaczego akurat ciebie? - spytała zaintrygowana dziewczyna. - Czemu nie nas obydwoje?

- Nie mam pojęcia. Nocą, w pękniętej skale i potem, kiedy ruszyły za nami, chodziło im o mnie, a nie o ciebie. Kość cię chroniła.

- Kiedy poprzednio byliśmy w granicy, atakowały wszystkich oprócz ciebie - powiedziała Kahlan z namysłem. - Co się zmieniło tym razem?

- Nie wiem - odparł Richard po chwili namysłu - ale musimy przebyć to przejście. Jesteśmy za bardzo zmęczeni, żeby nocą znów walczyć z cieniami.

Musimy dotrzeć do Midlandów przed zmrokiem. I tym razem już nie puszczę twojej dłoni, obiecuję.

- Ja też nie puszczę twojej. - Dziewczyna uśmiechnęła się i ścisnęła rękę

Richarda.

- Przebiegłem przez Przesmyk. W ten sposób trwało to o wiele krócej. Pobiegniemy?

Kahlan skinęła głową i ruszyli. Richard nie narzucał zbyt ostrego tempa. Nie leciały ich tropem żadne cienie, choć kilka z nich unosiło się nad ścieżką. Chłopak przebił je mieczem, nie czekając na to, co uczynią. Dziewczyna drżała, słysząc skowyt rozwiewających się cieni. Richard uważnie obserwował ślady na ścieżce, kierował Kahlan na zakrętach, bacząc, by nie zboczyła z traktu.

W końcu przebyli zbocze z osuwiskiem i znaleźli się na leśnej ścieżce, po drugiej stronie Przesmyku. Dopiero wtedy zwolnili do szybkiego marszu, żeby trochę odpocząć. Mżawka zwilżała im twarze i włosy. Radość z odnalezienia Kahlan, całej i żywej, sprawiła, że Richard mniej się trapił tym, co ich czekało. Nie zatrzymując się ani na chwilę, zjedli trochę chleba i owoc. Żołądek Richarda skręcał się z głodu, lecz chłopak nie miał zamiaru zatrzymywać się na jakiś obfitszy posiłek.

Richard wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego magia się budziła i ostrzegała go, kiedy dziewczyna dotykała jego dłoni. Czy magia coś w niej wyczuwała, czy też reagowała na coś w jego własnym umyśle? Czy obawiał się tajemnicy Kahlan? A może chodziło o coś więcej, coś, co magia w niej wyczuwała? Richard żałował, że nie ma z nimi Zedda; mógłby zapytać starca, co o tym sądzi. Hmm, w końcu poprzednim razem Zedd był przy nim, a on wcale go o nic nie zapytał. Czyżby się bał tego, co starzec mógł mu powiedzieć?

Trochę się posilili, popołudnie zbliżało się ku końcowi i z lasu dały się słyszeć warczenia i ryki. Kahlan powiedziała, że to znowu bestie. Postanowili, że pobiegną, żeby jak najszybciej przebyć resztę szlaku. Richard przekroczył granicę zmęczenia. Jak odrętwiały biegł przez gęsty las. Szmer deszczu zagłuszał odgłos ich kroków.

Przed zmierzchem dotarli na skraj grani. Trakt schodził w dół zakosami. Przystanęli w lesie jak u wylotu jaskini i patrzyli na trawiastą, smaganą deszczem przestrzeń.

- Znam to miejsce - szepnęła sztywno wyprostowana Kahlan.

- Więc?

- Nazywają je Dziczą. Jesteśmy w Midlandach. - Spojrzała na Richarda. - Wróciłam do domu.

- Nie widzę w tym krajobrazie nic dzikiego. - Chłopak uniósł brew.

- Nazwa wcale się nie wywodzi od wyglądu tego miejsca, a od ludzi, którzy tu

żyją.

Zeszli stromym stokiem. Richard znalazł niewielkie zagłębienie, częściowo osłonięte przed deszczem kamienną płytą; niestety, było zbyt płytkie, nie dawało dobrej osłony, więc chłopak naciął sosnowych gałęzi, oparł je o skalny występ i zbudował w miarę suche schronienie na noc. Kahlan wpełzła do środka, Richard za nią; zaciągnął za sobą gałęzie, osłaniając wnętrze przed deszczem, na ile zdołał. Osunęli się na ziemię, zmoczeni i wyczerpani. Dziewczyna zdjęła płaszcz i otrząsnęła z wody.

- Nie przypominam sobie tak uporczywego zachmurzenia i długotrwałego deszczu. Powoli zapominam, jak wygląda słonce. Zaczynam mieć tego dość.

- A ja nie - odparł spokojnie Richard. - Pamiętasz tę wężowatą chmurkę, która mnie śledziła? Tę, którą wysłał Rahl? - Potaknęła. - Zedd rzucił zaklęcie i przywołał inne chmury, które ją zakryły. Dopóki jest pochmurno, to ani my, ani Rahl nie widzi tamtego obłoczka. Wolę deszcz od Rahla Posępnego.

- W takim razie i ja spojrzę na chmury łaskawszym okiem - oznajmiła po krótkim namyśle Kahlan. - Ale jakby znów były potrzebne, to poproś Zedda, żeby nie ściągał takich kapiących, dobrze? - Richard się uśmiechnął i kiwnął głową, a Kahlan spytała: - Zjesz coś?

- Nie, za bardzo się zmęczyłem. Chcę spać, spać i spać. Bezpiecznie tu?

- Tak. Nikt nie mieszka tak blisko granicy, w Dziczy. Adie powiedziała, że mamy ochronę przed bestiami, więc sercowe psy nie powinny nas niepokoić.

Monotonny szum deszczu sprawiał, że Richardowi coraz bardziej się chciało spać. Owinęli się kocami, bo noc była chłodna. Chłopak ledwo dostrzegał w mroku twarz opartej o skalną ścianę Kahlan. W tak małym schronieniu nie mogli zapalić ognia, zresztą i tak wszystko było zbyt wilgotne. Richard sięgnął do kieszeni i dotknął woreczka z nocnym kamieniem. Zastanawiał się, czy go wyjąć, by mieli choć trochę światła, lecz w końcu zrezygnował z tego.

- Witaj w Midlandach. - Kahlan uśmiechnęła się do niego. - Spełniłeś obietnicę, doprowadziłeś nas aż tutaj. Teraz się zacznie ciężka robota. Co na początek?

Richardowi pulsowało i łupało w głowie. Oparł się o skałę obok dziewczyny.

- Potrzebujemy kogoś, kto zna czary i mógłby nam powiedzieć, gdzie jest ostatnia szkatuła, gdzie ją znajdziemy. A przynajmniej gdzie jej szukać. Nie możemy się miotać na oślep. Potrzebny nam ktoś, kto nas ukierunkuje. Znasz kogoś takiego?

- W pobliżu nie ma nikogo, kto by nam chciał pomóc. - Kahlan zerknęła nań z ukosa. Znów nie chciała mu czegoś powiedzieć. Chłopak się zirytował.

- Wcale nie powiedziałem, że taki ktoś musi chcieć nam pomóc. Mówiłem, że powinien potrafić nam udzielić informacji. Zaprowadź mnie do takich ludzi, a ja już się zajmę resztą! - Natychmiast pożałował, że był taki ostry. Oparł głowę o skałę i odpędził gniew. - Przepraszam, Kahlan. - Odsunął od niej głowę. - Miałem ciężki dzień. Nie tylko zabiłem tamtego mężczyznę, ale znów przeszyłem mieczem własnego ojca. A najgorsza ze wszystkiego była myśl, że moja najlepsza przyjaciółka zginęła w zaświatach. Chcę powstrzymać Rahla i zakończyć ten koszmar.

Odwrócił ku niej twarz, a Kahlan obdarzyła go jednym ze swoich specjalnych uśmiechów. Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Nie jest łatwo być Poszukiwaczem - powiedziała miękko.

- O tak, niełatwo - zgodził się chłopak i odwzajemnił uśmiech.

- Błotni Ludzie - zdradziła wreszcie. - Chyba mogą nam powiedzieć, gdzie szukać, ale nie ma żadnej gwarancji, że zechcą nam pomóc. Dzicz to odosobniona część Midlandów, a Błotni Ludzie nie nawykli do kontaktów z obcymi. Mają osobliwe obyczaje. Nic ich nie obchodzą sprawy innych. Chcą, by ich pozostawiono w spokoju.

- Jeśli Rahl zwycięży, to na pewno nie uszanuje ich życzeń - przypomniał jej Richard.

Kahlan głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuściła je powoli.

- Oni mogą być niebezpieczni, Richardzie.

- Miałaś już z nimi do czynienia?

- Kilka razy. Nie mówią naszym językiem, ale ja mówię ich mową.

- Ufają ci?

Dziewczyna odwróciła oczy i szczelnie otuliła się kocem.

- Tak mi się zdaje. - Spojrzała nań spod brwi. - Ale się mnie boją, a w przypadku Błotnych Ludzi strach może się okazać ważniejszy niż zaufanie.

Richard zagryzł wargi, żeby się powstrzymać od zapytania, czemu się jej boją. Zamiast tego rzucił:

- Daleko są?

- Nie wiem dokładnie, w jakiej okolicy Dziczy mieszkają. Wydaje mi się, że będą o jakiś tydzień na północny wschód.

- Dobre i to. Rankiem ruszymy na północny wschód.

- Ale kiedy już tam dotrzemy, musisz robić to, co powiem. I musisz ich przekonać, żeby ci pomogli, bo inaczej tego nie zrobią i żaden miecz tu nie pomoże. - Kiwnął głową. Kahlan wysunęła rękę spod koca i położyła na ramieniu chłopaka. - Dziękuję, Richardzie, że po mnie wróciłeś na szlaku - szepnęła - Przykro mi, że tak drogo za to zapłaciłeś.

- Musiałem wrócić. Cóż bym robił w Midlandach bez przewodniczki?

- Postaram się nie zawieść twoich oczekiwań. - Dziewczyna uśmiechnęła się.

Richard uścisnął jej dłoń. Potem ułożyli się na ziemi. Zasypiał, dziękując dobrym duchom, że ocaliły Kahlan.

Rozdział dwudziesty drugi

Zedd otworzył oczy. W powietrzu unosił się aromat korzennej polewki. Czarodziej nie poruszył się, ostrożnie spojrzał dokoła. Chase leżał obok, na ścianach wisiały kości, za oknem było ciemno. Popatrzył na siebie - piętrzyły się na nim kości. Sprawił, że się wolniutko uniosły w powietrzu, odleciały na bok i cicho osiadły na podłodze. Podniósł się, nie czyniąc hałasu. Był w domku pełnym kości, kości bestii. Odwrócił się.

I - ku swemu zdziwieniu - znalazł się twarzą w twarz z kobietą, która również się odwróciła.

Obydwoje wrzasnęli z przerażenia i wyrzucili w górę kościste ramiona.

- Ktoś ty? - zapytał Zedd, patrząc w jej białe oczy.

Złapała kulę, zanim ta zdążyła się przewrócić, i wsunęła ją sobie pod pachę.

- Ja Adie - odparła ochrypłym głosem. - Aleś mnie wystraszył! Obudziłeś się szybciej, niż się spodziewałam.

- Ile posiłków opuściłem? - spytał Zedd, wygładzając szaty.

- Zbyt wiele, sądząc po tym, jak wyglądasz - burknęła Adie, mierząc go gniewnym spojrzeniem.

Czarodziej uśmiechnął się i również obejrzał Adie od stóp do głów.

- Przystojna z ciebie niewiasta - oznajmił. Skłonił się, ujął dłoń Adie i delikatnieją ucałował, potem wyprostował się sztywno i uniósł kościsty palec ku niebu. - Zeddicus Zu’l Zorander, korny twój sługa, nadobna pani. - Nachylił się nieco. - Co z twoją nogą?

- Nic. Jest jak trzeba.

- Nie, nie. - Zmarszczył brwi i pokazał palcem. - O, z tą, a nie z tamtą. Adie spojrzała na puste miejsce po brakującej stopie, potem znów na Zed - da. - Po prostu nie sięga do ziemi. Oczy ci nie służą czy co?

- Została ci tylko jedna stopa - oznajmił Zedd i znów się uśmiechnął. - A co do moich oczu - dodał swoim piskliwym głosem - to były bardzo wygłodzone, a teraz mają ucztę.

- Co powiesz na miseczkę polewki, czarodzieju? - uśmiechnęła się Adie.

- Już się bałem, że nigdy o to nie zapytasz, czarodziejko.

Poszedł w ślad za kobietą ku palenisku, nad którym wisiał kociołek z polewką. Adie nalała zupy do dwóch miseczek, a Zedd zaniósł je na stół. Potem gospodyni oparła swoją kulę o ścianę i usiadła naprzeciw gościa. Ukroiła po grubej pajdzie

chleba i sera i podała mu. Zedd zabrał się raźno do jedzenia, lecz przerwał po pierwszej łyżce i spojrzał w białe oczy Adie.

- Richard przyrządzał taką polewkę - powiedział, a druga łyżka utkwiła pomiędzy miseczką a jego ustami.

Kobieta odłamała kawałek chleba i umoczyła w polewce, patrząc na czarodzieja.

- To prawda. Miałeś szczęście, moja chyba nie będzie taka smaczna. Zedd się rozejrzał, zanurzył łyżkę w miseczce i zapytał:

- Gdzie on jest?

Adie ugryzła kęs chleba i żuła, obserwując starego. W końcu przełknęła i odparła:

- On i Matka Spowiedniczka poszli przejściem do Midlandów. Ona wciąż tai przed nim, kim jest, więc chłopak zna ją jako Kahlan.

Potem opowiedziała, jak młodzi zjawili się u niej, poszukując pomocy dla nieprzytomnych przyjaciół. Zedd słuchał, pogryzając na przemian chleb i ser; skrzywił się na wieść, że go karmiono kleikiem.

- Kazał, bym ci powiedziała, że nie mógł na ciebie czekać, lecz że wie, iż to zrozumiesz. Poszukiwacz dał mi też polecenia dla Chase’a. Ma wrócić i poczynić przygotowania na czas, kiedy granica zamknie i pojawią się siły Rahla. Chłopak żałował, że nie zna twojego planu, ale bał się czekać.

Zedd znów się zabrał do jedzenia. Skończył polewkę i podszedł do kociołka po nową porcję. Chciał też dolać Adie, ale ona jeszcze nie zjadła pierwszej porcji, bo więcej czasu niż polewce poświęcała na wpatrywanie się w czarodzieja. Usiadł więc, a kobieta podsunęła mu chleb i ser.

- Richard ukrywa przed tobą jakiś sekret - powiedziała cicho Adie. - Nie zdradziłabym tego, gdyby nie ta sprawa z Rahlem. Lepiej, żebyś to wiedział.

Światło lampy padało na twarz i białe włosy Zedda, jeszcze bardziej wyostrzając jego rysy. Starzec zaczerpnął łyżkę polewki, patrzył przez chwilę w miseczkę, potem znów spojrzał na twarz Adie.

- Wszyscy mamy sekrety, sama o tym dobrze wiesz, a czarodzieje mają ich więcej niż inni. Dziwne by było, gdybyśmy znali nawzajem wszystkie swoje sekrety. Nawiasem mówiąc, znikłaby cała przyjemność z ich odkrywania i powtarzania. - Uśmiechnął się, oczy mu zalśniły. - Nie boję się tajemnic osoby, której ufam, a i ona nie musi się obawiać moich. To jeden z aspektów przyjaźni.

Adie odchyliła się do tyłu; białe oczy patrzyły na czarodzieja, na ustach pojawił się uśmieszek.

- Mam nadzieję, dla jego własnego dobra, że nie zawiedzie twojego zaufania. Nie chciałabym dać czarodziejowi powodu do gniewu.

- Jestem zupełnie nieszkodliwy. - Zedd wzruszył ramionami. Przez chwilę uważnie obserwowała jego oczy.

- Kłamstwo - szepnęła ochryple czarodziejka. Starzec odchrząknął i spróbował zmienić temat.

- Coś mi się wydaje, o pani, że jestem ci winien podziękowanie za opiekę.

- To prawda.

- I za wspomożenie Richarda i Kahlan. - Popatrzył na Chase'a i wskazał go łyżką. - Strażnika granicy również. Jestem twoim dłużnikiem.

- Może odpłacisz mi za to pewnego dnia - uśmiechnęła się szerzej Adie.

Zedd podciągnął rękawy szaty i zabrał się do polewki, lecz już nie tak żarłocznie jak poprzednio. Obserwowali się wzajemnie, on i czarodziejka. Ogień w palenisku potrzaskiwał, zza okna dochodziły odgłosy nocy. Chase spał.

- Kiedy odeszli? - spytał w końcu Zedd.

Dziś mija siódmy dzień, jak powierzył ciebie i strażnika mojej pieczy. Starzec dokończył polewkę, odsunął miseczkę. Splótł na stole kościste dłonie, stukał kciukiem o kciuk, lekko pochylił głowę. Blask lampy migotał i lśnił na jego siwej czuprynie.

- Czy Richard powiedział, jak go mam odszukać?

Adie milczała przez chwilę. Czarodziej czekał, stukając kciukami. W końcu odparła:

- Dałam mu nocny kamień.

- Co takiego! - Zedd skoczył na równe nogi.

- Wolałbyś, żebym go wysłała nocą przez przejście zupełnie na ślepo? - spytała spokojnie kobieta. - To by oznaczało pewną śmierć. Chciałam, żeby przeszedł na drugą stronę, i tylko tak mogłam mu pomóc.

Czarodziej oparł kłykcie o stół i pochylił się w przód, a białe włosy okoliły jego twarz.

- Ostrzegłaś go przynajmniej?

- Oczywiście.

- Jak? - Zmrużył oczy. - Zagadką czarodziejki?

Adie wzięła dwa jabłka i rzuciła jedno Zeddowi. Rzucił bezgłośnie czar i owoc wolno wirował, a starzec patrzył na nią gniewnie.

- Siadaj, czarodzieju, i przestań się popisywać. - Odgryzła kawałek swojego jabłka i żuła powoli; rozeźlony Zedd usiadł. - Nie chciałam go przestraszyć. I tak już był wystraszony. Gdybym mu powiedziała, co może zdziałać nocny kamień, to by się bał nim posłużyć i zaświaty ani chybi dopadłyby chłopaka. Tak ostrzegłam go zagadką. Odgadnie ją potem, jak już minie przejście.

Patykowate palce starca pochwyciły jabłko.

- Nic nie rozumiesz, Adie. Richard nie cierpi zagadek, nigdy ich nie lubił. Uważa, że uchybiają szczerości. Nie cierpi ich. Ignoruje je dla zasady. - Odgryzł kęs jabłka.

- Jest Poszukiwaczem. A Poszukiwacz rozwiązuje zagadki.

- Zagadki życia, a nie słowne. W tym cała różnica. - Zedd uniósł znacząco kościsty palec.

Adie odłożyła jabłko, wsparła ręce o stół i pochyliła się. Troska złagodziła jej rysy.

- Próbowałam pomóc chłopcu, Zeddzie. Chcę, żeby mu się powiodło. W przejściu straciłam stopę, a on mógł stracić życie. Jeżeli zginie Poszukiwacz, to i my wszyscy zginiemy. Nie chciałam mu zaszkodzić.

Zedd też odłożył jabłko, machnięciem dłoni odpędził gniew.

- Wiem, Adie, wiem, że nie chciałaś go skrzywdzić. Wcale nie sugeruję, że chciałaś. - Ujął dłoń kobiety. - Wszystko będzie dobrze.

- Ależ byłam głupia - powiedziała gorzko. - Mówił mi, że nie lubi zagadek, ale lekko to potraktowałam. Poszukaj go poprzez nocny kamień, Zeddzie. Sprawdź, czy przeszedł.

Starzec skinął głową. Zamknął oczy, oparł podbródek o pierś i wziął trzy głębokie oddechy. Potem długo nie oddychał. Dał się słyszeć niski, łagodny szum odległego wiatru, wiatru wiejącego nad rozległą, otwartą przestrzenią, samotny, przejmujący dźwięk. Po jakimś czasie wiatr ucichł i czarodziej znów zaczął oddychać. Podniósł głowę i otworzył oczy.

- Jest w Midlandach. Przebył przejście. Adie odetchnęła z ulgą.

- Dam ci kość, żebyś i ty bezpiecznie przebył przejście. Ruszysz teraz za nimi?

Zedd odwrócił wzrok od jej białych oczu.

- Nie - rzekł spokojnie. - Sam sobie musi poradzić i z tym, i z innymi

sprawami. Jest, tak jak powiedziałaś, Poszukiwaczem. Skoro mamy powstrzymać Rahla Posępnego, to muszę się zająć pewną ważną kwestią. Mam nadzieję, że w tym czasie Richard nie wpadnie w tarapaty.

- Tajemnice? - Czarodziejka uśmiechnęła się lekko.

- Tajemnice - przytaknął czarodziej. - Muszę natychmiast wyruszyć. Wyjęła dłoń spod jego rąk i pogładziła je.

- Na zewnątrz jest ciemno.

- Ciemno - przyznał.

- Może byś został na noc? Wyruszył o świcie?

- Zostać na noc? - Zedd spojrzał na nią spod oka.

- Czasem bardzo tu samotnie. - Adie wzruszyła ramionami, gładząc jego dłonie.

- Cóż - uśmiechnął się szelmowsko Zedd - sama powiedziałaś, że na zewnątrz jest ciemno. Też uważam, że lepiej będzie wyruszyć rankiem. - Nagle zmarszczył brwi: - To jedna z twoich zagadek, prawda?

Potrząsnęła przecząco głową, a on znów się uśmiechnął.

- Mam ze sobą czarodziejską skałkę. Co ty na to?

- Bardzo by mi się to spodobało. - Adie uśmiechnęła się nieśmiało. Odgryzła kęs jabłka i obserwowała Zedda.

- Nago? - spytał, unosząc brew.

Szli przez otwartą, płaską równinę; padało, a wiatr kłonił długą trawę powolnymi falami. Nieliczne drzewa rosły w odległych od siebie grupkach. Były to przeważnie brzozy i olchy, tworzące kępy w pobliżu strumieni. Kahlan uważnie obserwowała trawy - zbliżali się do terytorium Błotnych Ludzi. Richard szedł za nią w milczeniu, jak zwykle, czuwając nad dziewczyną. Kahlan niechętnie prowadziła go do Błotnych Ludzi. Miał jednak rację, mówiąc, że powinni wiedzieć, gdzie szukać ostatniej szkatuły, a w pobliżu nie było nikogo innego, kto mógłby ich jakoś ukierunkować. Jesień mijała, czasu ubywało. Jeżeli Błotni Ludzie im nie pomogą, to cała ta wędrówka pójdzie na marne. I jeszcze jedno: prawdopodobnie się nie ośmielą zabić Spowiedniczki, nawet jeśli podróżuje bez opieki czarodzieja, lecz zupełnie nie wiadomo, czy nie podniosą ręki na Poszukiwacza. Dziewczyna jeszcze nigdy nie podróżowała po Midlandach bez czarodzieja. Żadna Spowiedniczka tego nie czyniła, było to bowiem zbyt niebezpieczne. Richard stanowił lepszą ochronę niż Giller, ostatni czarodziej Kahlan, ale to ona miała go chronić, a nie on ją. Nie może dopuścić,

by znów ryzykował dla niej życie. Bo to on, Richard, ma ważniejsze niż ona zadanie w walce przeciwko Rahlowi. I to się przede wszystkim liczyło - powstrzymanie Rahla Posępnego. Przysięgała, że odda życie w obronie Poszukiwacza... W obronie Richarda. Była to najszczersza, najżarliwsza z przysiąg. I to ona umrze, jeśli nadejdzie czas wyboru.

Dotarli do dwóch pali wbitych w ziemię po obu stronach ścieżki. Pale były owinięte w skórę pomalowaną w czerwone pasy. Richard zatrzymał się i spojrzał na przymocowane na górze czaszki.

- To ma nas odstraszyć? - zapytał, dotykając jednej ze skór.

- Nie. To czaszki czcigodnych przodków, strzegące ich krain. Taki zaszczyt spotyka wyłącznie najbardziej szanowanych.

- Nie słyszę w tym żadnej groźby. Może nasza wizyta nie sprawi im aż takiej przykrości.

- Zabijanie obcych to jeden ze sposobów zdobycia uznania i szacunku - pouczyła go Kahlan i spojrzała na czaszki. - Jednak te tutaj nie są groźbą i ostrzeżeniem dla innych. Po prostu Błotni Ludzie w ten sposób czczą pamięć zasłużonych.

Richard zaczerpnął głęboko powietrza i cofnął dłoń z pala.

- Przekonajmy się więc, czy nam pomogą. Czy ich przekonamy, iż dzięki temu będą mogli dalej czcić pamięć swoich przodków i odpędzać obcych.

- Pamiętaj, co ci mówiłam - ostrzegła go dziewczyna. - Mogą odmówić pomocy. Powinieneś uszanować i taka., odmowną decyzję. Ich również pragnę ocalić. Nie chcę, żebyś ich skrzywdził.

- Nie mam zamiaru ani ochoty ich krzywdzić, Kahlan. Pomogą nam, nie martw się. W swoim własnym interesie.

- Oni mogą zupełnie inaczej na to patrzeć - upierała się. Przestało padać, pojawiła się leciutka, chłodna mgiełka. Dziewczyna odrzuciła kaptur. - Obiecaj mi, Richardzie, że nie wyrządzisz im nic złego.

On także odrzucił kaptur, podparł się pod boki i, ku zdziwieniu Kahlan, uśmiechnął się.

- Teraz już wiem, jak to jest - oznajmił.

- Co? - spytała nieco podejrzliwie.

Richard popatrzył na nią i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pamiętasz, jak chorowałem od ukąszenia wężowej liany i prosiłem cię, żebyś

nie skrzywdziła Zedda? Teraz wiem, co czułaś, nie mogąc mi tego obiecać.

Kahlan patrzyła w szare oczy chłopaka i myślała o tym, jak bardzo chce powstrzymać Rahla, i o znanych jej ludziach, których Rahl zabił.

- A ja wiem teraz, co czułeś, kiedy nie mogłam ci tego obiecać. - Uśmiechnęła się wbrew sobie. - Też uznałeś, że to głupia prośba?

- Kiedy sobie uświadomiłem, jaka jest stawka. I kiedy zrozumiałem że nie skrzywdzisz nikogo, chyba że nie będzie wyboru. Wtedy poczułem się głupio. Ponieważ ci nie wierzyłem.

Kahlan zaś wyrzucała sobie, że nie zaufała jemu, lecz wiedziała że Richard za bardzo jej wierzy.

- Przepraszam - powiedziała z uśmiechem. - Powinnam mieć o tobie lepsze zdanie.

- Czy wiesz, jak ich namówić, żeby nam pomogli?

Dziewczyna była kilka razy w osadzie Błotnych Ludzi, choć jej nie zapraszali; nigdy by nie przywołali Spowiedniczki. Do obowiązków Spowiedniczek należały odwiedziny u poszczególnych ludów Midlandów. Błotni Ludzie byli w miarę uprzejmi, nie bali się, ale jasno dali do zrozumienia, że sami załatwią własne sprawy i nie życzą sobie żadnych interwencji z zewnątrz. Groźby na nich nie podziałają.

- Błotni Ludzie zwołują narady widzących. Nigdy nie pozwolili, bym to obserwowała, może dlatego, że jestem obca, a może - bo jestem kobietą. Widzący zajmują się rozwiązaniem najważniejszych dla osady spraw. Na pewno nie zwołają takiej narady pod groźbą miecza; jeśli mają nam pomóc, muszą to zrobić z własnej woli. Musisz ich przekonać, pozyskać dla naszej sprawy.

- Zdołamy tego dokonać, przy twoim współudziale. Nie mamy wyjścia. - Richard twardo spojrzał w oczy dziewczyny.

Kahlan przytaknęła i poszła dalej. Nad równiną wisiały niskie, gęste chmury; płynęły i płynęły bez końca, faliście.

Bezmiar nieba przytłaczał, pomniejszał monotonną płaszczyznę ziemi. Wydawało się, że niebo jest tu większe, rozleglejsze niż gdzie indziej.

Potoki wezbrały po deszczach i spieniona, mętna woda sięgała pni tworzących kładki. Kahlan czuła, jak pnie wstrząsane nurtem wody drżą pod butami. Szła ostrożnie - drewno było śliskie i brakowało liny ułatwiającej przejście. Richard podał jej pomocną dłoń i chętnie ją przyjęła. Stwierdziła, że wyczekuje następnych strumieni, by znów mieć pretekst do trzymania go za rękę. Wiedziała jednak, czuła to

aż do bólu, że nie może go zachęcać, rozbudzać jego uczuć do niej. Jakże pragnęła być zwykłą kobietą, taką jak inne. Lecz nie była jak inne. Była Spowiedniczką. Czasem udawało jej się o tym zapomnieć (na krótko, niestety) i być tylko dziewczyną.

Pragnęła, żeby Richard szedł obok niej, ale on trzymał się z tyłu, obserwował okolicę, czuwając nad swoją przewodniczką. Był w obcym, nieznanym kraju, we wszystkim się dopatrywał zagrożenia. Kahlan to rozumiała, bo w Westlandzie czuła się tak jak on tutaj. Miał prawo być ostrożny; ryzykował życie w wyprawie przeciwko Rahlowi, dla spraw, z jakimi nigdy przedtem nie miał do czynienia. I tak w Midlandach ostrożni umierali prędko, a nieostrożni - jeszcze szybciej.

Wędrowcy przeprawili się ponad kolejnym strumieniem i weszli w wilgotne trawy. Znienacka wyrosło przed nimi ośmiu mężczyzn. Kahlan i Richard zatrzymali się jak wryci. Mężczyźni byli odziani w skóry zwierząt, ciała i twarze mieli umazane błotem, częściowo zmytym przez deszcz, także czupryny wysmarowali błotem. Do ramion, skór i opasek na głowach przyczepili pęki traw - dzięki temu byli niewidoczni, dopóki nie wstali. Stali w milczeniu przed dwojgiem podróżnych. Miny mieli srogie i ponure. Kahlan rozpoznała kilku z nich - to byli myśliwi Błotnych Ludzi.

Najstarszy z nich, krzepki, żylasty mężczyzna, podszedł do Kahlan. Pamiętała, że miał na imię Savidlin. Reszta czekała, trzymając w pogotowiu dzidy i łuki. Dziewczyna wiedziała, że Richard jest tuż za nią. Szepnęła do niego, nie odwracając głowy, żeby zachował spokój i robił to co ona. Savidlin stanął przed dziewczyną.

- Pozdrowienia i moc dla Spowiedniczki Kahlan - powiedział.

- Pozdrowienia i moc dla Savidlina i Błotnych Ludzi - odpowiedziała w jego języku.

Savidlin mocno uderzył ją w twarz. Kahlan równie mocno oddała uderzenie. I natychmiast usłyszała brzęk Miecza Prawdy. Okręciła się ku Richardowi.

- Nie, Richardzie! - Chłopak trzymał miecz gotowy do ciosu. Złapała go za rękę. - Nie! Przecież mówiłam, żebyś zachował spokój i robił to samo co ja.

Richard odwrócił wzrok od Savidlina i popatrzył na nią. W jego oczach płonął gniew, magia gotowa zabić. Mocno zaciskał zęby.

- A jeśli ci podetną gardło, to mam pozwolić, by to samo i mnie zrobili?

- Oni się w ten sposób witają. Okazują uznanie dla czyjejś siły. Chłopak zmarszczył brwi, wciąż się wahał.

- Żałuję, że cię nie uprzedziłam. Schowaj miecz, Richardzie.

Popatrzył na Savidlina, potem znów na Kahlan i w końcu gniewnie wsunął miecz do pochwy. Uspokojona dziewczyna odwróciła się ku Błotnym Ludziom, a Richard opiekuńczo stanął tuż za nią. Savidlin i jego grupa spokojnie obserwowali całe wydarzenie. Nie rozumieli słów, lecz pojmowali znaczenie tego, co się działo. Savidlin przeniósł spojrzenie z Richarda na Kahlan i zapytał w swoim języku:

- Kim jest ów popędliwy człowiek?

- Nazywa się Richard Cypher. Jest Poszukiwaczem prawdy.

Myśliwi zaczęli szeptać między sobą. Savidlin spojrzał Richardowi w oczy.

- Pozdrowienia i moc dla Poszukiwacza Richarda.

Kahlan przetłumaczyła słowa Błotnego Człowieka. Chłopak wciąż miał gniewną minę.

Savidlin podszedł i uderzył Richarda - nie otwartą dłonią, jak Spowiedniczkę, lecz pięścią. Poszukiwacz natychmiast odpowiedział ciosem, który zwalił tamtego z nóg. Błotny Człowiek upadł na plecy. Leżał na ziemi, ogłuszony, z rozrzuconymi rękami i nogami. Myśliwi mocniej zacisnęli oręż w dłoniach. Richard się wyprostował sztywno i popatrzył na nich tak groźnie, że stali w miejscu jak wrośnięci.

Savidlin podparł się ręką, drugą dłonią pomasował szczękę. Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Jeszcze nikt nie okazał takiego uznania mojej sile! To mądry człowiek. Pozostali zaczęli się śmiać. Kahlan zasłoniła usta dłonią, kryjąc uśmiech. Napięcie zostało rozładowane.

- Co on powiedział? - dopytywał się Richard.

- Że masz dla niego wielki szacunek i że jesteś mądry. Coś mi się zdaje, że zdobyłeś przyjaciela.

Błotny Człowiek wyciągnął do chłopaka rękę - chciał, by mu pomógł wstać. Richard ostrożnie to uczynił. Potem Savidlin klepnął Richarda w plecy i otoczył ramieniem jego szerokie bary.

- Doceniam to, że okazałeś taki respekt mojej sile, lecz mam nadzieję, że ten jeden raz zupełnie wystarczy. - Łowcy roześmiali się. - Wśród Błotnych Ludzi będziesz znany jako Richard Popędliwy.

Kahlan tłumaczyła, usiłując powstrzymać śmiech. Myśliwi wciąż radośnie parskali.

- Może i wy powitacie mego krzepkiego przyjaciela i dacie mu okazję okazania szacunku waszej sile - zachęcał ich Savidlin.

Wszyscy natychmiast wysunęli przed siebie otwarte dłonie i energicznie potrząsnęli przecząco głowami.

- O, nie - powiedział ze śmiechem jeden z nich. - Już tobie okazał tyle szacunku, że starczy dla nas wszystkich!

- Spowiedniczka Kahlan jest, jak zawsze, mile witana wśród Błotnych Ludzi - powiedział Savidlin. Skinął głową ku Richardowi i spytał: - To twój partner?

- Nie!

- A więc przybyłaś tu, by wybrać jednego z moich ludzi? - spytał sztywno tamten.

- Nie - odparła, już spokojnym tonem.

- Spowiedniczka wybrała niebezpiecznego towarzysza podróży - rzekł Savidlin. Zaprzeczenie Kahlan wyraźnie sprawiło mu ulgę.

- On jest niebezpieczny nie dla mnie, a jedynie dla tych, którzy chcieliby mnie skrzywdzić.

Savidlin uśmiechnął się i potaknął. Potem przyjrzał się dziewczynie.

- Dziwnie się ubrałaś. Inaczej niż przedtem.

- Ale w środku jestem taka sama jak przedtem - oznajmiła i nachyliła się lekko ku niemu. - Powinieneś to wiedzieć. Savidlin cofnął się nieco i kiwnął głową. Oczy mu się zwęziły.

- Po co tu przybyłaś?

- Żebyśmy sobie nawzajem pomogli. Jest ktoś, kto chce władać twoim ludem. Poszukiwacz i ja wolelibyśmy, żebyście rządzili się sami. Przybyliśmy tu prosić, by siła i mądrość Błotnych Ludzi pomogły nam w naszej walce.

- Ojczulek Rahl - rzekł domyślnie Savidlin.

- Słyszałeś o nim?

- Przybył jakiś człowiek. Mówił, że jest misjonarzem i że chce nas nauczać o dobroci i łaskawości tego, którego zwą Ojczulkiem Rahlem. Nauczał przez trzy dni, potem mieliśmy go dość.

Tym razem zesztywniała Kahlan. Zerknęła na pozostałych, których wzmianka o misjonarzu najwyraźniej rozbawiła. Potem znów spojrzała na pokrytą pasmami błota twarz starszego:

- I co się z nim stało po owych trzech dniach?

- Był dobrym człowiekiem. - Savidlin uśmiechnął się znacząco. Kahlan wyprostowała się sztywno. Richard przysunął się bliżej.

- Co oni mówią?

- Chcą wiedzieć, po co tu przyszliśmy. Słyszeli o Rahlu Posępnym.

- Powiedz im, że chciałbym porozmawiać z ich starszyzną. Że potrzebna mi rada widzących.

- Właśnie do tego zmierzam. - Kahlan spojrzała nań spod oka. - Adie miała rację, nie masz za grosz cierpliwości.

- A właśnie, że się myliła. - Richard uśmiechnął się. - Jestem bardzo cierpliwy, za to niezbyt wyrozumiały. I w tym cała różnica.

- Bardzo cię proszę, Richardzie, nie strać wyrozumiałości akurat teraz i przypadkiem nie zacznij okazywać respektu dla ich siły - powiedziała Kahlan, uśmiechając się jednocześnie do Savidlina. - Wiem, co robię, i wszystko idzie jak trzeba. Pozwól, że zrobię to po swojemu, dobrze?

Chłopak ustąpił, choć z irytacją. Dziewczyna znów zwróciła się ku starszemu. Ten zaś spojrzał na nią ostro i, ku jej zdumieniu, zapytał:

- Czy Richard Popędliwy przyniósł nam deszcz?

- Cóż, sądzę, że tak - odparła, marszcząc brwi. Zaskoczona i zmieszana pytaniem nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc powiedziała prawdę. - Chmury idą za nim.

Savidlin bacznie się jej przyjrzał i skinął głową. Owo spojrzenie zmieszało Kahlan, spróbowała znów skierować rozmowę na przyczyny ich odwiedzin.

- To ja doradziłam Poszukiwaczowi, by przybył do twego ludu, Savidlin. Nie skrzywdzi was i nie będzie się mieszał w wasze sprawy. Znasz mnie. Odwiedziłam was już wcześniej. Wiesz, że szanuję i poważam Błotnych Ludzi. Nie przyprowadziłabym go do was, gdyby to nie miało tak wielkiego znaczenia. W tej chwili naszym wrogiem jest czas.

Savidlin rozmyślał przez chwilę nad jej słowami, a potem rzekł:

- Jak już mówiłem, jesteś mile widzianym gościem. - Zerknął z uśmiechem na Poszukiwacza, później na dziewczynę. - Richard Popędliwy też będzie mile widziany w naszej osadzie.

Myśliwym spodobało się postanowienie starszego; najwyraźniej polubili Richarda. Pozbierali swoje rzeczy, w tym przywiązane za nogi do drążków dwa jelenie i dzika. Do tej pory leżały w wysokiej trawie i Kahlan nie widziała upolowanych zwierząt. Ruszyli w dalszą drogę. Błotni Ludzie skupili się wokół Richarda, dotykając go ostrożnie i zadając mnóstwo pytań, których nie rozumiał.

Savidlin co chwilę poklepywał chłopaka po ramieniu, niecierpliwie oczekując chwili, kiedy to przedstawi w osadzie swojego nowego, rosłego przyjaciela. Kahlan szła obok Richarda, współwędrowcy raczej nie zwracali na nią uwagi. Cieszyła się, że polubili chłopaka. Świetnie ich rozumiała - bo trudno go było nie lubić - ale istniał jakiś powód, dla którego tak łatwo go zaakceptowali. Zastanawiała się, zatroskana, o co też im idzie.

- A nie mówiłem, że ich sobie pozyskam. - Richard spojrzał na nią z uśmiechem ponad głowami myśliwych. - Za to nawet nie podejrzewałem, że pomoże mi znokautowanie jednego z nich.

Rozdział dwudziesty trzeci

Richard i Kahlan, otoczeni przez myśliwych, weszli do osady Błotnych Ludzi, płosząc swobodnie biegające kury. Osada rozsiadła się na niewielkim wzniesieniu, które na trawiastej płaszczyźnie Dziczy uchodziło za wzgórze. Tworzyły ją chaty zbudowane z glinianych cegieł, pokrytych brązowawą zaprawą. Dachy były z trawy, więc przeciekały, gdy za bardzo wyschła, i stale musieli je zmieniać na nowe, żeby w środku było sucho. Chaty miały drewniane drzwi, za to w oknach nie było szyb, zaledwie tu i tam wisiał kawałek płótna pełniący rolę zasłony.

Domostwa stały kręgiem wokół centralnego placu. Od strony południowej tłoczyły się jednoizbowe domki mieszkalne, najczęściej mające choć jedną ścianę wspólną. Tu i tam biegły wśród nich wąskie przejścia. Wspólne chaty zbudowano po stronie północnej. Oba skupiska rozdzielały rozmaite konstrukcje, usytuowane od wschodu i zachodu. Czasem były to po prostu dachy z trawy, podtrzymywane czterema słupkami; mieszkańcy jedli pod nimi, wyrabiali broń i gliniane naczynia, przygotowywali posiłki. W porze suchej wszędzie unosiły się tumany kurzu, wciskającego się do oczu, nosa i ust, teraz jednak deszcz wymył chaty, a setki odcisków stóp zamieniło się w kałuże, w których odbijały się budynki osady.

Pod dachami z trawy siedziały kobiety, odziane w proste stroje z jaskrawo barwionego płótna, robiąc mączkę z korzenia tava i piekąc z niej płaskie chlebowe placki, podstawę pożywienia Błotnych Ludzi. Z paleniska unosił się słodko pachnący dym. Kobietom pomagały kilkunastoletnie dziewczyny z krótko przyciętymi, przylizanymi błotem włosami.

Dziewczyny zerkały nieśmiało na Kahlan. Wiedziała, ze swoich wcześniejszych odwiedzin, że bardzo się nią interesują: podróżniczka, która była w różnych miejscach i widziała mnóstwo ciekawych rzeczy. Kobieta, którą mężczyźni szanowali i której się bali. Starsze niewiasty pobłażliwie i wyrozumiale patrzyły na to chwilowe roztargnienie młodszych.

Z każdego zakątka osady nadbiegały dzieci - chciały zobaczyć, jakich to obcych sprowadzili myśliwi Savidlina. Tłoczyły się wokół łowców, piszcząc z podniecenia i tupiąc w błocie bosymi stopami (przy okazji ochlapywały błotem siebie i dorosłych). Zazwyczaj dzieciaki z zainteresowaniem patrzyły na upolowaną zdobycz, na jelenie i dziki. Tym razem patrzyły wyłącznie na obcych. Mężczyźni uśmiechali się do malców. Błotni Ludzie nigdy nie krzyczeli na małe dzieci. Kiedy podrosną., przyjdzie czas na dyscyplinę i naukę polowania, zbierania i

przygotowywania żywności oraz wiedzę o obyczajach duchów - na razie mogły być po prostu dziećmi, mogły się swobodnie bawić i śmiać.

Dzieciaki proponowały myśliwym smaczne kąski w zamian za zdradzenie, kim są cudzoziemcy. Mężczyźni odmawiali ze śmiechem, tłumacząc, że całą opowieść zachowują dla starszyzny. Malcy, niezbyt tym rozczarowani, tańczyli wokół grupy. To było najbardziej ekscytujące wydarzenie w ich krótkim życiu - coś, co wykraczało poza codzienność, coś z posmakiem niebezpieczeństwa.

Sześciu starszych stało pod wspartym na palikach daszkiem i czekało, by Savidlin przywiódł do nich obcych. Odziani byli w spodnie z jeleniej skóry, każdy miał na ramionach skórę kojota. Kahlan wiedziała, że są bardziej życzliwi, niż na to wskazywały ich ponure miny. Błotni Ludzie nigdy się nie uśmiechali do obcych przed wymianą pozdrowień. W przeciwnym razie goście mogli im skraść dusze.

Dzieci zostały z tyłu i rozsiadły się w błocku, chcąc zobaczyć, jak myśliwi postawią obcych przed starszymi. Kobiety przerwały gotowanie, młodzi mężczyźni - wytwarzanie broni. Wszyscy, nawet dzieci, umilkli. Błotni Ludzie załatwiali takie sprawy publicznie, na oczach wszystkich.

Kahlan podeszła do sześciu starszych. Richard trzymał się o krok za nią, po prawej ręce dziewczyny, a Savidlin stanął przy prawym boku chłopaka. Starsi obserwowali dwoje obcych.

- Pozdrowienia i moc Spowiedniczce Kahlan - rzekł najstarszy.

- Pozdrowienia i moc Toffalarowi - odparła.

Toffalar wymierzył jej lekki policzek. Takie mieli obyczaje - na terenie osady witali lekkim klepnięciem. Te „od serca”, jak Savidlina, były zarezerwowane dla przypadkowych spotkań na równinie, z dala od wioski. Łagodniejsze powitania ułatwiały zachowanie porządku i... Zębów. Surin, Cal duś, Arbrin, Breginderin i Hajanlet wypowiedzieli słowa powitania i klapnęli leciutko dziewczynę. Kahlan odwzajemniła się tym samym. Teraz starsi zwrócili się ku Richardowi. Savidlin wysunął się naprzód i pociągnął ze sobą swego nowego przyjaciela. Dumnie zaprezentował starszym spuchniętą wargę.

Kahlan szepnęła ostrzegawczo:

- To są ważne osobistości, Richardzie. Nie uszkodź im zębów, proszę. Chłopak zerknął na nią spod oka i uśmiechnął się łobuzersko.

- Oto Poszukiwacz, Richard Popędliwy - przedstawił go Savidlin, dumny ze swej roli. Nachylił się ku starszym i dodał znacząco: - Przyprowadziła go do nas

Spowiedniczka Kahlan. To on jest tym, o którym mówiliście, tym, który sprowadził deszcze Wiem to od niej.

Kahlan zaczęła się czuć nieswojo; nie wiedziała, o czym mówi Savidlin. Starsi zachowali kamienne miny, tylko Toffalar uniósł brew.

- Pozdrowienia i moc Richardowi Popędliwemu - powiedział i lekko klepnął chłopaka.

- Pozdrowienia i moc Toffalarowi - odparł Richard w swoim języku, rozpoznawszy swoje imię, i natychmiast oddał klepnięcie. Kahlan odetchnęła z ulgą, bo było ono leciutkie. Savidlin się rozpromienił i znów wskazał na swoją wargę. Toffalar w końcu się uśmiechnął. Pozostali wymienili z Richardem słowa powitania i klepnięcia, i też się uśmiechnęli. I uczynili coś bardzo osobliwego.

Sześciu starszych i Savidlin przyklękli na jedno kolano i schylili głowy przed Richardem. Kahlan natychmiast zesztywniała z napięcia.

- Co się dzieje? - spytał Richard, zaniepokojony miną dziewczyny.

- Nie mam pojęcia - odszepnęła. - Może w ten sposób witają Poszukiwacza. Nigdy przedtem nie widziałam, by to czynili.

Mężczyźni powstali, uśmiechali się od ucha do ucha. Toffalar uniósł rękę i skinął na kobiety.

- Usiądźcie z nami, proszę - powiedział do dwojga młodych. - Czujemy się zaszczyceni waszą wizytą.

Kahlan usiadła na wilgotnej drewnianej podłodze, ciągnąc za sobą Richarda. Starsi zaczekali, aż goście się usadowią, i dopiero wtedy usiedli. Nie zwracali uwagi na to, że chłopak trzyma dłoń w pobliżu gardy miecza. Nadeszły kobiety z plecionymi tacami, pełnymi okrągłych placków tava i innych potraw. Najpierw podsunęły tace Toffalarowi, potem pozostałym starszym; lecz oczy i uśmiechy miały tylko dla Richarda. Paplały pomiędzy sobą, jaki wielki jest ów Richard Popędliwy i jakie ma dziwaczne szaty. Na Kahlan nie zwracały uwagi, ignorowały ją.

Midlandzkie kobiety nie lubiły Spowiedniczek. Widziały w nich zagrożenie swego stylu życia i zapowiedź ewentualnego odebrania mężczyzn. Kobiety nie powinny być niezależne, ot co. Kahlan nie zważała na ich lodowate spojrzenia; była do tego przyzwyczajona.

Toffalar wziął chleb i podzielił na trzy części, jedną z nich podał Richardowi, drugą - Kahlan. Kolejna z kobiet z uśmiechem podsunęła każdemu tacę z miseczkami z opiekanymi strąkami papryki. Goście wzięli po miseczce i za przykładem starszych

zawinęli strąki w chleb. Kahlan w ostatniej chwili zauważyła, że chłopak trzyma prawą dłoń tuż przy rękojeści miecza i zamierza jeść lewą ręką.

- Nie jedz lewą ręką, Richardzie! - ostrzegła go ochrypłym szeptem.

- Bo co?

- Bo oni wierzą, że lewą ręką jedzą złe duchy.

- To idiotyzm - burknął, zniecierpliwiony.

- Błagam, Richardzie. Sam widzisz, ilu ich jest. A ich broń ma zatrute ostrza. To nie czas na teologiczne dysputy.

Kahlan uśmiechała się do starszych, czując spojrzenie chłopaka. Kątem oka zauważyła, że przełożył chleb do prawej ręki.

- Wybaczcie, proszę, ów skromny poczęstunek - odezwał się Toffalar. - Wieczorem urządzimy ucztę.

- Nie! - wyrwało się Kahlan. - Miałam na myśli, o czcigodny, że nie chcemy być ciężarem dla twych ludzi - poprawiła się.

- Jak sobie życzycie. - Wzruszył ramionami Toffalar, nieco rozczarowany.

- Zjawiliśmy się tutaj, bo Błotnym Ludziom, tak jak i innym, grozi wielkie niebezpieczeństwo. Starsi, jak jeden mąż, potaknęli i uśmiechnęli się.

- Tak, wiemy - odezwał się Surin. - Lecz teraz, kiedy przywiodłaś do nas Richarda Popędliwego, wszystko jest jak należy. Dzięki ci, Spowiedniczko Kahlan, nigdy nie zapomnimy tego, coś uczyniła.

Kahlan spojrzała na ich szczęśliwe, uśmiechnięte twarze. Nie miała pojęcia, jak na to zareagować, więc, aby zyskać na czasie, ugryzła kęs chleba tava z opiekaną papryką.

- Co mówią? - zapytał Richard i też odgryzł kęs ze swojej porcji.

- Z jakiegoś powodu są zadowoleni, że cię tu przyprowadziłam.

- Zapytaj o to.

Dziewczyna kiwnęła głową i rzekła do Toffalara:

- Przyznaję, o czcigodny, że nie wiedziałam, iż słyszeliście o Richardzie Popędliwym.

- Przepraszam, dziecino. - Zagadnięty uśmiechnął się szelmowsko. - Zapomniałem, że cię tu nie było, kiedy zwołaliśmy radę widzących. Panowała susza, nasze uprawy wysychały, groził nam głód. Zwołaliśmy więc naradę, żeby poprosić duchy o pomoc. Powiedziały nam, że ktoś nadejdzie i przyniesie ze sobą deszcz. Przyszły deszcze i pojawił się Richard Popędliwy, tak jak obiecały.

- I dlatego się cieszycie z jego obecności, bo jest dobrym znakiem?

- Nie - odparł Toffalar, a oczy mu błyszczały z ekscytacji. - Cieszymy się, jesteśmy szczęśliwi, że zechciał nas odwiedzić duch jednego z naszych przodków. - Wskazał na Richarda - On jest wcieleniem owego ducha.

Kahlan o mało nie wypuściła z dłoni chleba. Odchyliła się w tył.

- Co jest? - zainteresował się Richard.

- Zwołali naradę, żeby sprowadzić deszcz - odparła patrząc mu w oczy. - Duchy im powiedziały, że ktoś nadejdzie i przyniesie ze sobą deszcz. Oni myślą, Richardzie, że jesteś duchem ich przodka. Wcieleniem ducha.

- Nie jestem - powiedział po chwili.

- Oni sądzą, że jesteś. Dla ducha zrobią wszystko, Richardzie. Jeżeli zechcesz, zwołają naradę widzących.

Dziwnie się czuła, namawiając go do takiego podstępu Nie należało zwodzić Błotnych Ludzi. Lecz musieli się przecież dowiedzieć, gdzie jest szkatuła. Richard rozważał jej słowa

- Nie - oznajmił spokojnie, patrząc Kahlan w oczy

- Powierzono nam ważną misję, Richardzie. Przecież to chyba nic złego jeżeli ich wiara w to, że jesteś duchem, pozwoli nam dotrzeć do szkatuły?

- Owszem, to coś złego, bo to kłamstwo. Nie zrobię czegoś takiego.

- Wolisz pozwolić, żeby Rahl wygrał?

- Nie zrobię tego - spojrzał na nią z ukosa - bo po pierwsze me należy zwodzić owych ludzi w sprawie tak dla nich ważnej. Po drugie mają oni pewną moc, z powodu której znaleźliśmy się tutaj. Dowiedli mi tego, mówiąc, że ktoś nadejdzie wraz z deszczem. Ta część przepowiedni jest prawdziwa. W swojej ekscytacji wyciągnęli z tego całkiem błędny wniosek. Czy powiedzieli że ten, kto nadejdzie, będzie duchem? - Dziewczyna potrząsnęła głową - Ludzie czasami wierzą w coś tylko dlatego, że chcą w to wierzyć

- I co w tym złego, jeśli to korzystne i dla nas, i dla nich?

- Cała rzecz w tej ich mocy. Co będzie, jeżeli zwołają naradę i poznają prawdę, dowiedzą się, że nie jestem duchem? Myślisz, że im się spodoba, że ich okłamaliśmy, oszukaliśmy? Zginiemy, a Rahl zwycięży.

Kahlan odchyliła się w tył i głęboko zaczerpnęła powietrza. Czarodziej dobrze wyznaczył Poszukiwacza, pomyślała.

- Czy obudziliśmy gniew ducha? - zatroskał się Toffalar.

- Chce wiedzieć, czemu się złościsz. Co mu powiedzieć? Richard spojrzał na starszyznę, potem na Kahlan.

- Ja im opowiem. Tłumacz. Potulnie skinęła głową.

- Błotni Ludzie są mądrzy i silni - zaczął chłopak. - To dlatego tutaj przybyłem. Duchy waszych przodków słusznie twierdziły że przyniosę deszcze. - Kahlan przetłumaczyła i wszyscy z zadowoleniem przyjęli te słowa, nikt się nie poruszył, słuchali w milczeniu. - Lecz duchy nie powiedziały wam wszystkiego. Sami wiecie, że takie już mają obyczaje. - Starsi ze zrozumieniem skinęli głowami. - Ufają, że w swojej mądrości odgadniecie resztę. Dzięki temu pozostaniecie silni. Wasze dzieci nabierają sił dlatego, że nimi kierujecie, a nie dlatego, że dajecie im, co tylko zechcą. Wszyscy rodzice chcą, by ich dzieci stały się silne i mądre, aby potrafiły się o siebie troszczyć.

Znów niektórzy, choć nie tak liczni jak przedtem, skinęli potakująco głowami.

- Co mówisz, wielki duchu? - zapytał Arbrin, jeden z siedzących z tyłu starszych.

Kahlan przetłumaczyła pytanie, a Richard przeczesał palcami czuprynę.

- Mówię, że owszem, sprowadziłem deszcz, lecz że jest coś jeszcze. Może duchy zobaczyły, że waszemu ludowi zagraża większe niebezpieczeństwo niż susza i że to jest ów ważniejszy powód, dla którego tu jestem. Istnieje bardzo groźny, niebezpieczny człowiek, który chce zawładnąć waszym ludem, uczynić z was niewolników. To Rahl Posępny.

Starszyzna parsknęła pogardliwie.

- A przysyła głupców, by nami kierowali - odezwał się Toffalar. Richard łypnął na nich gniewnie. Śmiechy ucichły.

- To jego metoda; uśpić podejrzenie, wzbudzić nadmierną pewność siebie. Nie pozwólcie się oszukać. Wykorzystał swoją moc i magię, żeby podbić ludy o wiele liczniejsze niż wasz. Zmiażdży was, kiedy zechce. Deszcze przyszły, bo wysłał chmury moim tropem, żeby wiedzieć, gdzie akurat jestem, żeby mógł spróbować mnie zabić w wybranej przez siebie chwili. Nie jestem duchem, Jestem Poszukiwaczem. Po prostu człowiekiem. Chcę powstrzymać Rahla Posępnego, byście - i wasz lud, i inni - mogli żyć po swojemu, swobodnie.

- Jeśli mówisz prawdę, to ów Rahl zesłał deszcze i ocalił nasz lud. - Toffalar zmrużył oczy. - To jest to, czego próbował nas nauczyć jego wysłannik, że Rahl nas zbawi.

- Nie. Rahl wysłał chmury, żeby mnie śledziły, a nie po to, żeby was ocalić. Zdecydowałem się przyjść do was, co przepowiedziały duchy waszych przodków. Powiedziały, że zaczną padać deszcze i wraz z nimi zjawi się pewien człowiek. Wcale nie twierdziły, że będę duchem.

Miny starszyzny wyrażały wielkie rozczarowanie, Kahlan tłumaczyła słowa Richarda i miała nadzieję, że rozczarowanie Błotnych Ludzi nie zmieni się w gniew.

- No to może słowa duchów ostrzegały przed człowiekiem, który nadejdzie - wtrącił Surin.

- A może było to ostrzeżenie przed Rahlem - odparł natychmiast Richard. - Przedstawiłem wam prawdę. Niech wasza mądrość pomoże wam ją uznać albo zginiecie. Daję wam możliwość ocalenia waszego ludu.

Starszyzna rozmyślała nad słowami chłopaka.

- Twoje słowa wydają się prawdziwe, Richardzie Popędliwy, lecz musimy je rozważyć i zdecydować - rzekł w końcu Toffalar. - Czego oczekujesz od nas?

Starszyzna siedziała, milcząc; radość zniknęła z ich twarzy. Reszta osady czekała z obawą. Richard kolejno popatrzył w oczy starszym mężczyznom, a potem powiedział:

- Rahl Posępny szuka czarów, które mu dadzą władzę nad wszystkim i wszystkimi, także nad Błotnymi Ludźmi. I ja też szukam owych czarów, żeby mu odebrać moc. Chciałbym, byście zwołali naradę widzących i żeby oni mi zdradzili, gdzie mógłbym znaleźć ową magię, zanim będzie za późno, zanim Rahl pierwszy jej dopadnie.

Twarz Toffalara skamieniała.

- Dla obcych nie zwołujemy narad.

Kahlan wyczuwała, że Richard zaczyna się wściekać i że z coraz większym trudem panuje nad sobą. Nie drgnęła, lecz powiodła wokoło oczami, wypatrując, gdzie kto stoi (a zwłaszcza uzbrojeni mężczyźni) na wypadek, gdyby musieli sobie wyciąć drogę odwrotu. Uważała, że w razie czego będą mieć niewielkie szansę ocalenia głów. Pożałowała nagle, że w ogóle przyprowadziła tu Richarda.

Oczy chłopaka płonęły. Rozejrzał się po osadzie, potem znów spojrzał na starszyznę.

- Przyniosłem wam deszcz i w zamian proszę jedynie o to, żebyście nie podejmowali pochopnych decyzji. Rozważcie, jakim, według was, jestem człowiekiem. - Richard mówił spokojnie, lecz to nie umniejszało wagi jego słów. -

Zastanówcie się spokojnie, rozważnie. Życie wielu istot zależy od waszej decyzji. Moje. Kahlan. Wasze też.

Dziewczyna tłumaczyła. Znienacka ogarnęło ją przekonanie, że Richard wcale nie mówi do starszyzny. Przemówił do kogoś innego. Nagle poczuła spojrzenie tego kogoś. Popatrzyła na tłum. Wszystkie oczy były wlepione w nią i w chłopaka, więc kto jeszcze na nią patrzył?

- Uczciwe słowa - oznajmił na koniec Toffalar. - Rozważymy je, a wy bądźcie przez ten czas naszymi gośćmi. Korzystajcie, proszę, ze wszystkiego, co mamy; podzielimy się z wami żywnością i dachem nad głową.

W siąpiącej mżawce starsi odeszli ku urzędowym budowlom. Reszta mieszkańców powróciła do swoich zajęć, co chwila przepłaszając myszkujące dzieci. Ostatni odszedł Savidlin. Ale przedtem uśmiechnął się i zaoferował swoją pomoc. Kahlan podziękowała mu i wyszedł w deszcz. Dziewczyna siedziała obok Richarda na wilgotnej drewnianej podłodze. Uchylali się przed strumykami deszczówki, przeciekającej przez dach. Zostały tam plecione z trawy tace z chlebem tava i miseczkami opiekanej papryki. Kahlan nachyliła się i owinęła strąk w chlebowy placek. Podała tę porcję Richardowi, a sobie przyszykowała następną.

- Jesteś na mnie zła?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Jestem z ciebie dumna.

Chłopięcy uśmiech rozjaśnił mu twarz. Zaczął jeść - prawą ręką - i prędko pochłonął kanapkę. Odezwał się dopiero wtedy, gdy przełknął ostatni kęs.

- Spójrz ponad moim prawym ramieniem. O ścianę opiera się jakiś mężczyzna o siwych włosach, ręce skrzyżował na piersi. Wiesz, kto to?

Kahlan odgryzła kęs i zerknęła w tamtą stronę.

- To Człowiek Ptak. Wiem o nim tylko to, że potrafi przywoływać do siebie ptaki.

Richard przygotował sobie następną porcję chleba z papryką i ugryzł kawałek.

- Czas, żebyśmy podeszli i porozmawiali z nim.

- Dlaczego?

Chłopak spojrzał na nią spod oka.

- Bo on tu rządzi.

- Starsi rządzą. - Kahlan zmarszczyła brwi.

- Mój brat zawsze powtarza, że prawdziwej władzy nie obnosi się publicznie. - Richard uśmiechnął się kącikiem ust, jego szare oczy bacznie ją obserwowały. -

Starszyzna jest na pokaz. Są szanowani i służą do mydlenia oczu innym, do parady. Jak te czaszki przy ścieżce, tyle że nadal mają skórę i mięśnie. Ceni się ich i szanuje, mają posłuch i autorytet, ale nie rządzą. - Zerknął znacząco na Człowieka Ptaka, opartego o ścianę. - Władza należy do niego.

- To dlaczego się nam nie ujawnił?

- Bo chce sprawdzić, czy jesteśmy dość bystrzy.

Richard wstał i wyciągnął rękę do Kahlan. Wepchnęła resztki chleba do ust, wytarła dłonie o spodnie i ujęła podaną rękę. Chłopak pomógł jej się podnieść, a ona w tym czasie myślała, jak bardzo lubi to wyciąganie pomocnej dłoni. Był pierwszą osobą, która to czyniła. Między innymi dlatego tak dobrze się przy nim czuła.

Poprzez błoto i deszcz ruszyli w stronę Człowieka Ptaka. Wciąż opierał się o ścianę i obserwował ich bystrymi piwnymi oczami Długie, srebrzystosiwe włosy spływały mu na ramiona i bluzę z jeleniej skóry; spodnie miał również skórzane. Jego strój był pozbawiony wszelkich ozdób, poza jedną - rzeźbioną kością zawieszoną na skórzanym rzemyku, na szyi. Nie stary, lecz już nie młody, wciąż przystojny, był niemal tak wysoki jak Kahlan. Skóra na jego twarzy wydawała się równie twarda i wygarbowana jak ta, z której uszyto mu odzienie.

Podeszli i zatrzymali się przed nim. Dalej opierał się o ścianę barkami i stopą ugiętej prawej nogi. Skrzyżował ręce na piersi i badał twarze obcych. Richard również skrzyżował ramiona na piersi i rzekł:

- Chciałbym z tobą porozmawiać, o ile się nie boisz, że jestem duchem.
Kahlan tłumaczyła. Człowiek Ptak popatrzył wówczas na nią, potem znów na chłopaka.

- Już kiedyś widziałem duchy - odparł spokojnie. - Nie noszą mieczy.
Dziewczyna przetłumaczyła. Richard się zaśmiał. Lubiła jego śmiech.

- I ja widziałem duchy. Masz słuszność, nie noszą mieczy.

Kąciki ust Człowieka Ptaka uniosły się w leciutkim uśmiechu. Opuścił ręce i wyprostował się.

- Pozdrowienia i moc Poszukiwaczowi. - Lekko klepnął Richarda.

- Pozdrowienia i moc dla Człowieka Ptaka - odparł chłopak i odwzajemnił klepnięcie.

Człowiek Ptak ujął zawieszoną na szyi rzeźbioną kość i uniósł ją do warg. Kahlan się zorientowała, że to gwizdek. Policzki mężczyzny wydęły się nieco, ale nie usłyszeli żadnego dźwięku. Puścił gwizdek i wyciągnął rękę; wciąż patrzył

Richardowi w oczy, Po chwili z szarego nieba spłynął sokół i wylądował na wyciągniętej ręce Człowieka Ptaka. Nastroszył pióra, potem je wygładził, mrugał czarnymi oczami i krótkimi, urywanymi ruchami obracał głową.

- Chodźcie, porozmawiamy - zaprosił ich Człowiek Ptak.

Ruszyli za nim. Poprowadził ich ku mniejszej chacie, stojącej na uboczu, za obszernymi budowlami plemiennymi. Kahlan znała te pozbawioną okien chatę, choć nigdy nie była w środku. To był dom duchów, w którym się odbywały zgromadzenia widzących.

Człowiek Ptak otworzył drzwi i dał gościom znak, by weszli do środka, sokół cały czas siedział na jego ramieniu. W głębi pomieszczenia palił się niewielki ogień i to on właśnie rozjaśniał nieco mroczne wnętrze. Dym uchodził przez otwór w dachu, umieszczony nad paleniskiem. Ów dymnik niezbyt dobrze spełniał swoją rolę i w izbie unosił się ostry swąd spalenizny. Na podłodze leżały gliniane misy, pozostawione tu po posiłkach, a wzdłuż jednej ze ścian zamocowano drewnianą półkę, na której stały ze dwa tuziny czaszek przodków. Poza tym w chacie nie było nic. Człowiek Ptak znalazł sobie miejsce w pobliżu środka izby, nad którym dach nie przeciekał, i usiadł na brudnej podłodze. Kahlan i Richard usiedli obok siebie, naprzeciwko Błotnego Człowieka. Sokół bacznie śledził ich ruchy.

Człowiek Ptak spojrzał w oczy Kahlan. Dziewczyna wyczuła, że przywykł wzbudzać w ludziach strach, choćby i nie mieli powodu się bać, samym spojrzeniem. Podobnie jak i ona. Tym razem nie znalazł strachu w patrzących nań oczach.

- Nie wybrałaś jeszcze partnera, Matko Spowiedniczko - odezwał się i patrząc na nią, pogładził łepek sokoła.

Kahlan nie spodobał się ton głosu Człowieka Ptaka. Sprawdzał ją.

- Nie. Czy zgłaszasz swoją kandydaturę?

- Nie. - Uśmiechnął się leciutko. - Przepraszam. Nie zamierzałem cię urazić. Dlaczego nie ma z tobą czarodzieja?

- Zostało tylko dwóch czarodziei, reszta nie żyje. Jeden z nich sprzedał swe usługi królowej. A drugi leży uśpiony, bo powaliła go bestia z zaświatów. Nie ma mnie więc kto chronić. Zabito wszystkie pozostałe Spowiedniczki. Nastały mroczne czasy.

W oczach Błotnego Człowieka pojawiło się niekłamane współczucie, lecz ton głosu się nie zmienił.

- Samotność nie jest bezpieczna dla Spowiedniczki.

- O, tak. Ale nie jest bezpieczny i ten, kto się znajdzie w pojedynkę w towarzystwie będącej w wielkiej potrzebie Spowiedniczki. Powiedziałabym nawet, że grozi ci większe niebezpieczeństwo niż mnie.

- Być może. - Znów się uśmiechnął i pogłaskał sokoła. - Być może. On jest prawdziwym Poszukiwaczem? Obwołanym przez czarodzieja?

- Tak.

- Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy widziałem prawdziwego Poszukiwacza. Kiedyś przybył tu taki Poszukiwacz, który nie był prawdziwy. Zabił kilku moich ludzi, bo nie chcieliśmy mu dać tego, czego pragnął.

- Żal mi tych ludzi.

- Niepotrzebnie. Mieli szybką śmierć. On nie, więc jego żałuję.

Sokół popatrzył na Kahlan i zamrugał powiekami.

- Nigdy nie widziałam fałszywego Poszukiwacza, za to widziałam tego w słusznym gniewie. Uwierz mi, lepiej nie dawajcie mu powodu, by w furii dobył miecza. Potrafi wykorzystać magię. Widziałam, jak raził mieczem złe duchy.

Człowiek Ptak przez chwilę obserwował wyraz oczu dziewczyny, jakby ważąc prawdziwość jej słów.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Zapamiętam to.

- Prędko skończycie te pogróżki? - zniecierpliwił się w końcu Richard.

- Sądziłam, że nie znasz ich języka. - Kahlan zdumiała się.

- Bo nie znam. Ale rozumiem wyraz oczu. I gdyby mogły rzucać iskry, to chata już by się paliła.

- Poszukiwacz chce wiedzieć, czy skończyliśmy się już straszyć. Człowiek Ptak zerknął na chłopaka, potem znów patrzył na Kahlan.

- Jest bardzo niecierpliwy, prawda?

- Sama mu to powiedziałam. Ale zaprzeczył.

- Pewnie jest trudnym towarzyszem podróży.

- Wcale nie. - Dziewczyna uśmiechnęła się.

Człowiek Ptak odwzajemnił jej uśmiech i przeniósł spojrzenie na Richarda.

- Ilu z nas zabijesz, jeżeli odmówimy ci pomocy? Kahlan tłumaczyła słowa obu mężczyzn.

- Nikogo.

Tamten wpatrywał się przez chwilę w sokoła, potem zapytał:

- A ilu zabije Rahl Posępny, jeśli mu nie pomożemy?

- Prędzej czy później zabije bardzo wielu z was.

Człowiek Ptak przestał głaskać sokoła i ostro spojrzał na Richarda.

- Wygląda, jakbyś nas przekonywał, żebyśmy pomogli Rahl owi Posępnemu. Na twarzy chłopaka pojawił się uśmiech.

- Jeżeli odmówicie mi pomocy i postanowicie zachować neutralność, to nie skrzywdzę żadnego z was. Macie prawo do takiej decyzji, choć byłby to szaleńczy i niemądry postępek. Za to Rahl by się na was mścił. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będę z nim walczył do ostatniego tchu. - Twarz chłopaka przybrała groźny wyraz. Pochylił się w przód. - I wiedz, że jeśli wspomożecie Rahla, a ja go pokonam, to wrócę tutaj i... - Przeciągnął palcem po gardle. To już nie wymagało tłumaczenia. Człowiek Ptak siedział z kamienną miną. W końcu rzekł:

- Chcemy jedynie, by nas zostawiono w spokoju. Richard wzruszył ramionami i popatrzył w podłogę.

- Dobrze to rozumiem. I ja chciałem, żeby mnie zostawiono w spokoju. - Podniósł oczy. - Rahl Posępny zabił mojego ojca i nasyła na mnie złe duchy mające postać taty. Wysyła ludzi, żeby zabili Kahlan. Niszczy granicę, bo chce najechać mój rodzinny kraj. Jego słudzy zaatakowali i powalili dwóch moich najdawniejszych przyjaciół, którzy są teraz pogrążeni w głębokim śnie, bliscy śmierci.

Ale przynajmniej będą żyć... Chyba że następnym razem mu się powiedzie. Kahlan mi opowiedziała, ilu już zabił. Dzieci też. Te opowieści zraniłyby ci serce. - Skinął głową i szepnął ledwo dosłyszalnie: - O tak, przyjacielu, i ja chciałem, żeby mnie zostawiono w spokoju. Jeżeli Rahl Posępny zdobędzie magię, której pragnie, to pierwszego dnia zimy zyska potęgę, której nikt się nie zdoła przeciwstawić. A wtedy będzie za późno. - Ręka Richarda powędrowała ku mieczowi. Kahlan szeroko otworzyła oczy. - Gdyby to on tu siedział, to dobyłby owego miecza i wymusił twą pomoc lub pozbawiłby cię głowy. - Cofnął dłoń. - I właśnie dlatego nic wam nie uczynię, jeżeli odmówicie mi pomocy. Człowiek Ptak przez chwilę siedział nieruchomo i w milczeniu.

- Wiem już, że nie chcę mieć wroga ani w Rahlu Posępnym, ani w tobie. - Wstał, podszedł do drzwi i wypuścił sokoła w niebo. Potem znów usiadł i rozmyślał, ciężko przy tym wzdychając. - Twe słowa wydają się prawdziwe, lecz nie mam jeszcze co do tego całkowitej pewności. Wydaje mi się również, że nie tylko chcesz naszej pomocy, ale że i sam pragniesz nam pomóc. Wierze, że to szczere pragnienie. Mądry człowiek poszukuje pomocy pomagając, a nie grożąc, czy oszukując.

- Gdybym chciał wyłudzić pomoc podstępem, to pozwoliłbym wam wierzyć, że jestem duchem.

Kąciki ust Człowieka Ptaka uniosły się w łagodnym uśmiechu.

- Gdybyśmy zwołali zgromadzenie, to i tak byśmy się dowiedzieli, że nim nie jesteś. Mądry człowiek też by na to wpadł. Cóż więc cię skłoniło do powiedzenia prawdy? Nie chciałeś nas oszukać, czy bałeś się to uczynić?

- Chcesz poznać prawdę? - Richard uśmiechnął się. - Jedno i drugie.

- Dzięki za słowa prawdy. - Człowiek Ptak skłonił głowę. Chłopak głęboko zaczerpnął powietrza, potem je powoli wypuścił.

- Tak więc opowiedziałem ci, Człowieku Ptaku, moją historię. Sam musisz osądzić, czy jest prawdziwa, czy nie. Czas pracuje przeciwko mnie. Pomożesz?

- To nie takie proste. Mój lud słucha moich poleceń. Gdybyś prosił o żywność, to bym powiedział „Dajcie mu jeść" i posłuchaliby. Lecz prosiłeś o zwołanie zgromadzenia. To całkiem odmienna sprawa. Rada widzących to ja i tamtych sześciu starszych, z którymi rozmawiałeś. To starzy ludzie, zapatrzeni w przeszłość Nigdy przedtem nie zwoływano dla obcego zgromadzenia, nigdy przedtem nie pozwolono, by jakiś obcy zakłócił spokój duchów przodków. Tych sześciu wkrótce dołączy do owych duchów i wcale im się nie podoba, że mogliby zostać przywołani ze świata duchów, bo tak sobie zażyczył jakiś obcoplemieniec. Jeśli złamią tradycję, to zaciąży na nich już na zawsze. Nie mogę im rozkazać, by przystali na zwołanie rady widzących.

- To nie tylko potrzeby czy zachcianki obcoplemieńców - odezwała się Kahlan w obu językach. - Wspomagając nas, pomożecie zarazem sobie samym.

- Może tak będzie przy końcu - rzekł Człowiek Ptak - lecz nie na początku całej sprawy.

- A gdybym był jednym z Błotnych Ludzi? - spytał Richard, mrużąc oczy.

- Wtedy mogliby zwołać dla ciebie zgromadzenie, nie łamiąc przy tym tradycji.

- Czy mógłbyś mnie uczynić jednym z was?

Człowiek Ptak rozważał słowa chłopaka, blask ognia lśnił na jego srebrzystosiwych włosach.

- Tak, mógłbym to uczynić, gdybyś najpierw dokonał czegoś, co by przyniosło korzyść memu ludowi, lecz nie dało tobie żadnej przewagi, i udowodnił swe dobre intencje względem nas. Gdybyś dokonał tych czynów bezinteresownie, a nie w

zamian za obietnicę naszej pomocy, i gdyby starsi sobie tego zażyczyli.

- A gdy już uznasz mnie za jednego z Błotnych Ludzi, to będę mógł poprosić o zgromadzenie i oni je zwołają?

- Gdy się staniesz jednym z nas, to starsi będą wiedzieć, że i chodzi ci o nasze wspólne dobro. Zwołają radę widzących, by ci dopomóc.

- A czy rada widzących powie mi, gdzie jest to, czego szukam?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Czasem duchy nie odpowiadają na nasze zapytanie, czasem nie znają na nie odpowiedzi. Nie ma żadnej pewności, że zdołamy ci dopomóc, nawet jeżeli zwołamy zgromadzenie. Mogę ci tylko obiecać, że zrobimy, co w naszej mocy.

Richard patrzył w podłogę i rozmyślał. Palcem wepchnął trochę kurzu w jedną z deszczowych kałuż.

- Czy wiesz o kimś jeszcze, Kahlan, kto by mógł nam powiedzieć, gdzie szukać szkatuły? - spytał spokojnie.

Dziewczyna rozmyślała nad tym cały dzień. Odrzekła:

- Owszem. Lecz tamci wcale nie będą bardziej skorzy do pomocy niż Błotni Ludzie. A niektórzy zabiją nas już tylko za to, że spytamy o szkatułę.

- Hmm, a jak daleko są ci, którzy by nas za to nie zabili?

- Co najmniej o trzy tygodnie drogi na północ, drogi przez niebezpieczny, kontrolowany przez Rahla kraj.

- Trzy tygodnie - powtórzył głośno Richard, nie kryjąc rozczarowania.

- Człowiek Ptak nie może nam zbyt wiele obiecać, Richardzie. Jeśli zdołasz im się przysłużyć, jeśli to się spodoba starszym, jeśli poproszą go, żeby cię przyjął do plemienia Błotnych Ludzi, jeśli rada widzących pozna odpowiedź, jeśli duchy znają odpowiedź... Jeśli i jeśli, same „jeśli”. Spore zagrożenie niepowodzeniem.

- Przecież sama mnie przekonywałaś, że powinienem ich przeciągnąć na naszą stronę. - Richard uśmiechnął się.

- Nooo, taaak.

- Więc jak? Powinniśmy zostać i przekonać ich, żeby nam pomogli, czy też lepiej szukać odpowiedzi gdzie indziej?

- Jesteś Poszukiwaczem i decyzja należy do ciebie. - Kahlan lekko potrząsnęła głową.

- Jesteś moją przyjaciółką - uśmiechnął się ponownie Richard - i mogę skorzystać z twojej rady.

- Nie mam pojęcia, co ci poradzić, Richardzie - odparła, odgarniając za ucho nieposłuszny kosmyk włosów. - I moje życie zależy od tego, czy dokonasz właściwego wyboru. Głęboko wierzę, jako twoja przyjaciółka, że mądrze zadecydujesz.

- A znienawidzisz mnie, jeśli się pomylę? - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Kahlan spojrzała w szare oczy, oczy, które potrafiły w niej czytać i które sprawiały, że dławiły ją tęsknota i pożądanie.

- Nigdy, przenigdy cię nie znienawidzę - szepnęła. - Nawet jeśli stracę życie przez twoją pomyłkę.

Richard znów opuścił oczy na zakurzoną podłogę, potem popatrzył na Człowieka Ptaka.

- Czy twój lud lubi przeciekające dachy?

- A czy ty byś lubił deszcz kapiący ci na nos, kiedy śpisz? - Odwzajemnił się pytaniem tamten, unosząc brew.

Chłopak z uśmiechem potrząsnął głową i dodał:

- Dlaczego więc nie robicie dachów, które nie przeciekają?

- Bo to niemożliwe. - Człowiek Ptak wzruszył ramionami - Nie mamy odpowiednich materiałów. Gliniane cegły są za ciężkie i spadłyby. Drewna jest o wiele za mało, musimy je ściągać z daleka. Zostaje nam tylko trawa, a ona przecieka.

Richard wziął jedną z glinianych mis i ustawił ją do góry - dnem pod jednym z przeciekających miejsc.

- Przecież macie glinę, z której robicie ceramikę?

- Ale nasze paleniska są za małe, żeby w nich wypalić taka wielką misę. Poza tym i tak by popękała i przeciekała. Nie da się zrobić szczelnego dachu.

- Nie wolno mówić, że czegoś się nie da zrobić tylko dlatego, że się nie umie tego zrobić. Gdybym tak mówił, to bym tu nie dotarł - powiedział łagodnie, bez żadnej złośliwości, Richard. - Twoi ludzie są silni i mądrzy. Będę zaszczycony, jeżeli Człowiek Ptak pozwoli mi nauczyć swój lud, jak robić dachy, które nie przeciekają i jednocześnie wypuszczają dym.

Błotny Człowiek rozważał propozycję, nie zdradzając żadnych uczuć.

- Jeżeli to uczynisz, mój lud odniesie wielką korzyść i będzie ci ogromnie wdzięczny. Nic więcej nie mogę obiecać.

- Przecież o nic nie prosiłem. - Richard wzruszył ramionami.

- Mogą odmówić. Powinieneś zaakceptować odmowę i nie mścić się.

- Uczynię dla twego ludu, co tylko zdołam, i w zamian oczekuję tylko tego, że mnie sprawiedliwie oceni.

- A więc możecie spróbować, choć nie wiem, jak wam się uda zrobić gliniany dach, który nie popęka i nie zacznie przeciekać.

- Zrobię dla domu duchów dach z tysiącem pęknięć, a mimo to nie przepuszczający deszczu. Potem was nauczę, jak zrobić takie dachy dla reszty domów.

Człowiek Ptak uśmiechnął się i skinął głową.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nienawidzę mojej mamy.

Siedzący na trawie władca popatrzył na pełną goryczy minę chłopca i dopiero po chwili powiedział cicho:

- To twarde słowa, Carlu. Nie chciałbym, żebyś mówił coś, czego potem będziesz żałował.

Dobrze to sobie przemyślałem - warknął Carl. - Wystarczająco długo o tym gadaliśmy. Teraz już wiem, jak mnie zwodzili i oszukiwali. Jacy są samolubni. - Przymrużył oczy. - I że są wrogami ludu.

Rahl rzucił okiem na okna w stropie - ostatnie błyski zachodzącego słońca barwiły obłoczki na wspaniały, ciemnopurpurowy kolor, tu i tam nakrapiany złotymi cętkami. Tej nocy. Tej nocy nareszcie powróci do zaświatów.

Przez długie dni karmił malca specjalną papką, odpędzającą sen. Usypiał go na krótko zaklęciami i znów budził, żeby mówić doń, mówić bez końca. Musiał spustoszyć, wyczyścić umysł Carla i potem ukształtować na nowo. Przekonywał, że inni go wykorzystywali, okłamywali i zwodzili. Czasami zostawiał chłopca samego, dawał mu okazję do przemyślenia tego, co usłyszał, a sam w takich chwilach odpoczywał lub odwiedzał grób ojca i ponownie odczytywał uświęcone inskrypcje.

Aż w końcu, poprzedniej nocy, wziął do łoża ową dziewczynę. Miała to być krótka chwila odprężenia i zapomnienia. Słodkie i łagodne interludium, mające ukoić nieustanne napięcie, w jakim trwał ostatnio. Powinna docenić zaszczyt, który ją spotkał, myślał Rahl, zwłaszcza że byłem dla niej taki czuły i czarujący, i że sama chciała lec ze mną.

Lecz cóż uczyniła? Śmiała się. Roześmiała się, kiedy zobaczyła blizny.

Władca wspomniał to wszystko i ze wszystkich sił starał się powściągnąć pasję, dbał o to, żeby ukazywać chłopcu uśmiechniętą twarz, żeby głęboko skryć niecierpliwość, z jaką czekał na efekty swoich starań. Pomyślał o tym, co zrobił tamtej dziewczynie, ojej rozdzierających krzykach, o radosnym uniesieniu nieposkromionej gwałtowności. Uśmiechnął się. Dziewczyna już nigdy nie będzie się zeń śmiała.

- Dlaczego się tak szeroko uśmiechasz? - zaciekawił się Carl.

- Właśnie rozmyślałem, jaki jestem z ciebie dumny. - Rahl spojrzał w piwne oczy malca i uśmiechnął się jeszcze szerzej, przypomniawszy sobie, jak gorąca, lepka krew tryskała i bluzgała z ran wrzeszczącej dziewczyny. Czemuż to wówczas nie

śmiała się tak wyniośle?

- Ze mnie? - Chłopiec uśmiechnął się wstydliwie.

- Tak, Carlu, z ciebie. - Władca skinął złotowłosą głową. - Niewielu twoich rówieśników miałoby na tyle rozumu, by dostrzec prawdziwe oblicze świata. Żeby się wznieść ponad własny los i ogarnąć otaczające nas wszystkich cuda i zagrożenia. Żeby pojąć, jak ciężko pracuję nad osiągnięciem spokoju i bezpieczeństwa ludu. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - Czasem serce mi się ściska, kiedy widzę, jak ci, dla których tak zabiegam, odwracają się do mnie plecami, odrzucają moje niestrudzone wysiłki lub, co gorsza, przyłączają się do wrogów ludu. Starałem się oszczędzić ci takich wieści, nie chciałem, żebyś się martwił. Lecz wiedz, że są źli ludzie, którzy - właśnie teraz, kiedy to mówię - zmawiają się, żeby nas podbić i zniszczyć. Udało się usunąć granicę, która chroniła D’Hare, i drugą granicę też. Obawiam się, że szykują najazd. Próbowałem ostrzegać ludzi, że Westland nam zagraża, namawiałem ich, by uczynili coś w swojej obronie. Ale to biedni i prości ludzie, którzy oczekują, że to ja ich obronię.

- Czy grozi ci niebezpieczeństwo, Ojczulku Rahlu? - Carl szeroko otworzył oczy.

- To nie o siebie się obawiam - odparł Rahl i niedbale machnął ręką, jakby odpędzał ów temat - lecz o mój lud. Kto ich obroni, jeżeli zginę?

- Umrzesz? - Oczy malca wypełniły się Izami. - Ojczulku Rahlu! Potrzebujemy cię! Nie pozwól, żeby tamci cię dopadli! Zgódź się, proszę, żebym walczył u twego boku! Chcę cię bronić! Nie mogę znieść nawet myśli o tym, że mogliby cię zranić!

Rahl oddychał szybko, serce mu waliło. Już wkrótce. Już niedługo. Uśmiechnął się ciepło do Carla, wspominając ochrypłe wrzaski dziewczyny.

- A ja, Carlu, nie mogę znieść myśli, że miałbyś się dla mnie narażać. Dobrze cię poznałem przez te dni. Stałeś się dla mnie kimś więcej niż młodzieńcem wybranym na pomocnika w obrzędzie, stałeś się moim przyjacielem. Podzieliłem się z tobą najskrytszymi troskami, pragnieniami i nadziejami. Niewielu dopuściłem do takiej poufałości. Wystarcza mi świadomość, że się o mnie troszczysz.

- Zrobię dla ciebie wszystko. Ojczulku Rahlu - szepnął Carl ze łzami w oczach. - Pozwól mi zostać, proszę. Czy po tej ceremonii będę mógł z tobą zostać? Jeśli mi pozwolisz, to zrobię dla ciebie, co zechcesz, obiecuję.

- To właśnie cały ty. Carlu: dobroć i troska. Lecz przecież masz swoje własne

życie, rodziców i przyjaciół. No i Tinker, nie zapominaj o swojej suczce. Wkrótce zapragniesz wrócić do tego wszystkiego.

Carl, wpatrzony w Rahla, potrząsnął z wolna głową.

- Nie, nie zechcę. Pragnę być przy tobie. Kocham cię, Ojczulku Rahlu. Zrobię dla ciebie wszystko.

Władca z poważną miną rozważał słowa chłopca.

- Jeśli przy mnie zostaniesz, to może ci grozić niebezpieczeństwo - oznajmił w końcu, a serce mu waliło jak młotem.

- No to co. Chcę ci służyć, nic mnie nie obchodzi, że mogą mnie zabić. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc w walce z tymi wrogami. Chętnie zginę w tej walce, Ojczulku Rahlu. Pozwól mi zostać, proszę, a uczynię, co tylko zechcesz.

Rahl głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił; musiał przecież zapanować nad przyspieszonym oddechem. Twarz miał poważną.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, Carlu? Naprawdę byś to zrobił? Oddałbyś za mnie swoje życie?

- Przysięgam. Umarłbym dla ciebie. Moje życie należy do ciebie, bierz je, jeśli chcesz.

Władca odchylił się lekko w tył, oparł dłonie o kolana i z wolna skinął głową, nie odrywając od chłopca błękitnych oczu.

- Dobrze, Carlu. Wezmę je.

Mały nie uśmiechnął się, ale drżał z emocji i przyzwolenia, a na jego buzi malowała się determinacja.

- Kiedy odbędzie się ceremonia? Chcę dopomóc tobie i ludowi.

- Wkrótce - odparł Rahl. Oczy robiły mu się coraz większe, głos powolniał. - Wieczorem, zaraz po tym, jak cię nakarmię. Jesteś gotów?

- Tak.

Rahl wstał, czując, jak krew szumi mu w żyłach. Usiłował powstrzymać rumieniec podniecenia. Na zewnątrz już było ciemno. - Migotliwe światło pochodni tańczyło w błękitnych oczach, lśniło na złocistych włosach, jarzyło się na białej szacie. Ustawił róg do karmienia przy ustach Carla i poszedł do pokoju z paleniskiem.

W ciemnym pomieszczeniu czekali gwardziści; skrzyżowali na piersi krzepkie ramiona. Płynące im po skórze strumyczki potu żłobiły rowki w cienkiej warstwie sadzy. Ze stojącego na palenisku tygla unosił się cierpki, drażniący zapach.

- Czy Demmin już wrócił? - zapytał Rahl.

- Przed paroma dniami, panie.

- Przekażcie mu, żeby przyszedł tu i czekał - zdołał wyszeptać Rahl. - Potem wy dwaj zostawicie mnie samego.

Gwardziści skłonili się i wyszli tylnymi drzwiami. Rahl przesunął dłoń nad tyglem i niemiły zapaszek zmienił się w smakowity aromat. Potem zamknął oczy i pomodlił się w myślach do ducha swego ojca. Rozgorączkowany i podekscytowany, nie był w stanie kontrolować oddechu - łapał powietrze płytkimi, pospiesznymi haustami. Oblizał koniuszki drżących palców i potarł wargi. Zamocował do tygla drewniane uchwyty, żeby się nie poparzyć, i zaklęciami ujął naczyniu ciężaru, po czym wyniósł je do ogrodu. Pochodnie oświetlały bezpośrednie otoczenie Carla - biały piasek, na którym wyrysowano symbole, pierścień trawy, ołtarz umieszczony na trójkątnym białym kamieniu. Ich światło odbijało się w gładkim kamiennym bloku, podpierającym żelazną misę z figurą Shingi na pokrywie.

Rahl, idąc ku chłopcu, miał przed oczami ów obrazek. Zatrzymał się przed Carlem, przy rogu do karmienia. Płonącymi oczami spojrzał w uniesioną ku niemu buzię malca.

- Podtrzymujesz to, co powiedziałeś, Carlu? - zapytał ochryple. - Czy mogę ci zawierzyć moje życie?

- Ślubuję ci wierność i lojalność, Ojczulku Rahlu. Na zawsze.

Rahl zamknął oczy i gwałtownie wciągnął powietrze. Krople potu perliły się na twarzy władcy, szaty lepiły do spoconej skóry. Czuł bijące od tygla fale ciepła. Dodał do tego zaklęcia podtrzymujące wrzenie. Zaczął cicho śpiewać święte inkantacje, napisane w starożytnym języku. Zaklęcia i uroki szemrały i szeptały w cichym wieczornym powietrzu ogrodu. Rahl poczuł narastającą moc, pełną palących obietnic. Drżał, śpiewając, zanosząc modły do ducha chłopca. Na wpół otworzył płonące osobliwym, nieczystym ogniem oczy, oddech miał płytki, urywany, ręce mu nieco drżały. Popatrzył na chłopca.

- Kocham się, Carlu - wychrypiał.

- I ja cię kocham, Ojczulku Rahlu.

- Weź w usta końcówkę rogu, chłopcze, i mocno trzymaj. Rahl znów zamknął oczy.

Mały wypełnił polecenie, a władca z mocno bijącym sercem wyśpiewał ostatnie zaklęcie. Pochodnie syczały i pryskały, a owe dźwięki zmieszały się z zaśpiewem.

Rahl wlał w róg zawartość tygla.

Oczy Carla rozwarły się szeroko, a mały odruchowo połknął płynny ołów i zachłysnął się jego zapachem.

Rahl Posępny drżał z podniecenia. Pusty tygiel wyślizgnął się z jego rąk i upadł na ziemię.

Władca rozpoczął drugą część inkantacji, wysyłając ducha chłopca do zaświatów. Wymawiał słowa w przepisanym porządku, otwierając drogę do zaświatów, otwierał pustkę, otwierał czarną nicość. Uniósł w górę ręce; kłębiły się wokół niego jakieś ciemne kształty. Noc wypełniła się mrożącymi krew w żyłach odgłosami. Rahl Posępny podszedł do chłodnego kamiennego ołtarza i ukląkł, objął go ramionami i przytulił doń twarz. Wymówił w starożytnym języku słowa, które miały go związać z duchem chłopca. Rzucił wymagane uroki. Potem wstał. Twarz miał zaczerwienioną, a dłonie zaciśnięte w pięści. Nadszedł Demmin Nass.

- Demminie - wychrypiał Rahl, dojrzawszy przyjaciela.

- Panie. - Dowódca skłonił głowę.

Rahl podszedł do niego, twarz miał ściągniętą, spływały po niej strużki potu.

- Wydobądź ciało z ziemi i połóż na ołtarzu. Opłucz je wodą do czysta. - Spojrzał na krótki miecz Nassa. - Rozłup mu czaszkę, nic więcej nie rób, potem się odsuń i zaczekaj. - Przesunął dłonie nad głową Demmina, a powietrze wokół nich zadrżało. - Ten czar cię ochroni. Czekaj na mnie, wrócę tuż przed świtem. Będziesz mi potrzebny - odwrócił spojrzenie od Nassa i zatonął w myślach.

Dowódca zrobił, co mu nakazano, a Rahl śpiewał dziwne słowa, kołysząc się przy tym w przód i w tył, z zamkniętymi oczami, jak w transie. Demmin wytarł zakrwawiony miecz o muskularne przedramię i wsunął go do pochwy. Rzucił okiem na pogrążonego w transie władcę.

- Nie cierpię tej części obrzędu - mruknął sam do siebie Nass. Odwrócił się i odszedł w mrok, zostawiając resztę władcy.

Rahl Posępny stanął za ołtarzem, głęboko zaczerpnął powietrza. Nagłym gestem uniósł dłonie nad palenisko - strzeliły z rykiem płomienie. Poruszył palcami, a żelazna misa uniosła się w powietrzu i osiadła nad ogniem. Rahl wyjął swój zakrzywiony nóż i położył go na mokrym brzuchu Carla. Zsunął szatę z ramion, pozwolił jej opaść na ziemię, po czym odkopnął na bok. Pot rosił chude ciało władcy, spływał strumieniami po jego karku. Gładka, sprężysta skóra okrywała harmonijne mięśnie, ale góra lewego uda, biodro i część brzucha, lewa strona sterczącego penisa...

To tu były blizny; tu dosięgły go płomienie wysłane przez starego czarodzieja, płomienie, które spopieliły jego ojca, gdy on, Rahl, stał po jego prawicy, płomienie, które i jego liznęły, dając mu zakosztować bólu zsyłanego przez magiczny ogień.

To był ogień odmienny od innych, wżerający się w skórę, palący, świadomy celu i zadania. Rahl krzyczał i krzyczał, aż całkiem stracił głos.

Rahl Posępny oblizał czubki palców i dotknął wypukłych blizn. Jakże chciał to uczynić wtedy, kiedy paliły świeże oparzenia, kiedy tak pragnął powstrzymać przeraźliwy, ciągły ból i nieustanne pieczenie i swędzenie.

Ale uzdrawiacze nie pozwolili. Mówili, że nie powinien dotykać ran, i przywiązali mu ręce, żeby go przed tym powstrzymać. Więc oblizywał koniuszki palców i pocierał nimi wargi, żeby powstrzymać płacz i krzyk, i oczy - żeby zetrzeć obraz palącego się żywcem ojca. Całymi miesiącami płakał i krzyczał, błagał, żeby mu pozwolili dotknąć ran i ukoić ból, ale nie pozwolili.

Jakże nienawidził starego czarodzieja, jakże pragnął go zabić! Jakże chciał wepchnąć dłoń w jego żywe ciało i - patrząc mu w oczy - wyrywać serce.

Rahl Posępny cofnął palce z blizny i ujął nóż, wyrzucając z myśli obrazy tamtych chwil. Teraz był mężczyzną. Teraz był władcą, mistrzem. Znów skupił uwagę na tym, co się właśnie działo. Rzucił odpowiedni czar i zatopił nóż w piersi chłopca.

Ostrożnie wyjął serce i wrzucił do żelaznej misy z wrzącą wodą. Potem usunął mózg i również wrzucił do żelaznej misy. Następnie odciął jądra i zrobił z nimi to samo. Odłożył nóż. Krew zmieszała się z potem Rahla, ściekała z łokci władcy. Położył ręce na martwym ciele i zaniósł modły do duchów. Zamknął oczy, uniósł twarz ku oknom w stropie i śpiewał inkantacje. Znał je tak dobrze, że płynęły same. Trwało to godzinę; w odpowiednich momentach smarował swoją pierś krwią Carla.

Skończył rany wypisane na grobie ojca i poszedł do koliska piasku czarodziei, gdzie chłopiec był zakopany na czas próby. Rahl wygładził piasek rękami; ziarenka przykleiły się do krwi, tworząc białą powłokę. Przykucnął i uważnie zaczął rysować symbole rozchodzące się od środka, rozgałęziające się i tworzące zawiłe układy; nauczył się tego w ciągu długich lat. Pracował w skupieniu, złote włosy spływały falą ku ziemi, marszczył z namysłem brwi. Nie mógł zapomnieć o żadnej linii bądź krzywiźnie - to mogłoby mieć fatalne skutki.

W końcu ornament był gotowy. Władca wstał i podszedł do świętej misy. Woda niemal się wygotowała i tak miało być. Zaklęciem przeniósł misę na gładki, kamienny blok i pozwolił, by nieco ostygła - wtedy wziął kamienny tłuczek i zaczął

ugniatać, ucierać zawartość misy. Ucierał i ucierał w pocie czoła, aż z serca, mózgu i jąder powstała jednolita papka. Dodał do innej magicznych proszków, które przyniósł w kieszeniach zrzuconej teraz szaty

Rahl stanął przed ołtarzem, uniósł misę z miksturą i rzucił czar przywołania. Skończył zaklęcie, postawił misę i rozejrzał się po Ogrodzie Życia. Zawsze lubił nacieszyć oczy pięknem, zanim zstąpił do świata zmarłych.

Zjadł palcami zawartość misy. Nienawidził smaku mięsa i jadał wyłącznie warzywa i owoce. Lecz teraz nie miał wyboru. Jeżeli chciał się udać w zaświaty, musiał zjeść mięso, musiał zjeść fragmenty ciała Carla. Zjadł wszystko, nie zwracając uwagi na smak i wmawiając sobie, że to roślinna papka.

Potem oblizał do czysta palce i usiadł na trawie, przed piaszczystym koliskiem. Jasne włosy tu i tam plamiła skrzepła krew. Położył ręce na kolanach, wnętrzem dłoni ku górze, zamknął oczy i głęboko oddychał, przygotowując się na spotkanie z duchem chłopca.

Wreszcie był gotów. Rytuał został wypełniony, zaklęcia rzucone, inkantacje wyśpiewane. Władca uniósł głowę i otworzył oczy.

- Chodź do mnie, Carlu - szepnął w tajemnej starożytnej mowie.

Przez moment panowała martwa cisza, potem dał się słyszeć zawodzący ryk. Ziemia zadrżała.

Ze środka piaskowego koliska, z czarnoksięskiego centrum, wyłaniał się duch Carla pod postacią Shingi, monstrum z zaświatów.

Shinga wyłaniał się, z początku przejrzysty, unosił się z piasku jak dym. Kręcił się, przyciągany rzuconym zaklęciem, wyrysowanym ornamentem. Przepychał się przez wyrysowane symbole, a z jego nozdrzy buchały dwie strugi gorącej pary. Rahl patrzył spokojnie na straszliwą bestię, stopniowo coraz bardziej materialną, rozrywającą ziemię, podnoszącą piasek. W końcu wyłoniły się mocarne tylne łapy i Shinga z jękiem wydostał się na powierzchnię. Pojawił się otwór, czarny jak smoła. Piasek z obrzeża osuwał się w bezdenną czerń. Nad ziejącą czernią unosił się Shinga. Patrzył na Rahla przenikliwymi piwnymi oczami.

- Dzięki, Carlu, że się zjawiłeś.

Bestia nachyliła się, wtulając pysk w nagą pierś mistrza. Rahl wstał, głaskał trącający go łeb, uspokajał monstrum, które niecierpliwie pragnęło powrócić w zaświaty. W końcu Shinga się uspokoił - wtedy Rahl wspiął się na jego grzbiet i mocno przytrzymał szyi stwora.

W jednym rozbłysku światła Shinga, z Rahlem na grzbiecie, wkręcił się z powrotem w głąb, znikając w czarnej pustce. Ziemia zadrżała i zamknęła się z trzaskiem. W Ogrodzie Życia nic nie mąciło ciszy nocy.

Z cienia drzew wynurzył się Demmin Nass ze zroszonym potem czołem.

- Bezpiecznej drogi, przyjacielu - szepnął. - Bezpiecznej drogi.

Rozdział dwudziesty piąty

Deszcz przestał na razie padać, lecz gruba warstwa chmur dalej skrywała niebo. Kahlan siedziała na ławeczce przy jednej ze wspólnych chat i patrzyła, jak Richard budował dach nad domem duchów. Pot spływał po nagich plecach chłopaka, po napiętych mięśniach, po bliznach pozostawionych przez pazury chimery. Richard pracował z Savidlinem i paroma innymi mężczyznami i uczył ich. Powiedział Kahlan, że sobie poradzi bez jej tłumaczenia, bo praca rąk jest uniwersalna, i że jeśli tamci będą się musieli częściowo domyślać, o co chodzi, to lepiej wszystko pojmą i będą bardziej dumni z efektów swojej pracy.

Savidlin wciąż o coś pytał, Richard nie rozumiał z tego ani słowa, więc po prostu się uśmiechał i tłumaczył w swoim języku, którego oni z kolei nie rozumieli lub posługiwał się mową gestów. Czasami ów migowy język ogromnie bawił Błotnych Ludzi i wszyscy radośnie się śmiali. Świetnie im szło jak na ludzi mówiących odmiennymi językami.

Richard na początku nie powiedział Kahlan, co ma zamiar zrobić, uśmiechnął się tylko i stwierdził, że jeśli poczeka, to sama zobaczy. Najpierw przygotował gliniane bryły wielkości około jednej do dwóch stóp i zrobił w nich „fale”. Jedna część powierzchni takiej bryły była wklęsła jak rynna, druga - wypukła. Wydrążył je i poprosił kobiety robiące misy, żeby wypaliły te jego dzieła. Potem przymocował dwie jednakowe drewniane listwy do dłuższych boków deski, położył na niej kęs miękkiej gliny, rozwałkował (listwy wyznaczały grubość glinianej płytki) i odciął nadmiar tworzywa. Powtarzał całą tę operację, aż zrobił pewną liczbę glinianych płytek o jednakowych wymiarach. Nałożył owe płytki na wypalone przez kobiety formy i wygładził. Patykiem zrobił otwór w obu górnych rogach.

Kobiety uważnie obserwowały pracę Richarda, więc namówił je do pomocy. I wkrótce, roześmiane i paplające ze sobą, robiły gliniane płytki i nakładały je na formy, pokazując chłopakowi, jak to usprawnić. Kiedy płytki wyschną, trzeba je będzie wyciągnąć z form. Kobiety, niezmiernie podekscytowane i zaciekawione, zaczęły przygotowywać następną partię form. Zapytały chłopaka, ile ich mają zrobić.

- Im więcej, tym lepiej - odparł.

Zostawił je przy tej robocie i poszedł do domu duchów. Zabrał się do budowy paleniska z glinianych cegieł, z których Błotni Ludzie budowali chaty. Savidlin uważnie go obserwował, starając się wszystkiego nauczyć.

- Robisz gliniane dachówki, prawda? - spytała Kahlan.

- Tak - odparł z uśmiechem.

- Widziałam strzechy, które nie przeciekały, Richardzie.

- Ja też.

- No to czemu ich nie nauczysz, jak zrobić z trawy szczelny dach?

- A czy wiesz, jak zrobić z trawy taką nieprzemakalną strzechę?

- Nie wiem.

Ja również tego nie wiem. Za to wiem, jak zrobić dachówki, i tego ich uczę. Richard i Savidlin budowali palenisko, a inni mężczyźni zdejmowali poszycie dachu, pozostawiając drewniany szkielet. Przedtem były do niego przywiązane wiązki trawy, teraz posłużyły za podporę glinianym dachówkom. Dachówki sięgały od jednego rzędu żerdek do drugiego. Dolny brzeg każdej leżał na pierwszej żerdce, górny - na drugiej, dzięki otworom zaś można je było mocno przywiązać. Następną warstwę dachówek położono tak, że ich dolny brzeg zachodził na górny skraj pierwszej warstwy, zakrywając otwory służące do przywiązywania. Falisty kształt sprawiał, że kolejne warstwy odpowiednio się ze sobą sczepiały. Dachówki były cięższe niż trawa, najpierw więc Richard wzmocnił od spodu drewnianą więźbę dachu.

Niemal połowa mieszkańców wioski brała udział w budowie. Człowiek Ptak zjawiał się od czasu do czasu i obserwował postępy. Podobało mu się to, co widział. Niekiedy siedział w milczeniu obok Kahlan, czasem z nią rozmawiał, lecz najczęściej po prostu obserwował. Z rzadka rzucał pytanie o charakter Richarda.

Kiedy chłopak pracował, Kahlan przeważnie była pozostawiona sama sobie. Kobiety nie chciały, żeby im pomagała, mężczyźni trzymali się z dala i obserwowali ją spod oka, a młode dziewczyny były zbyt nieśmiałe, żeby się przysiąść i porozmawiać. Czasem stawały w pobliżu i przyglądały się jej, lecz kiedy pytała, jak mają na imię, tylko się uśmiechały wstydliwie i uciekały. Małe dzieci chętnie by do niej podeszły, ale matki dbały, żeby się trzymały z dala. Kahlan nie mogła pomagać ani w gotowaniu, ani w robieniu dachówek. Grzecznie ucinano wszelkie próby przyłączenia się do pracy, tłumacząc, że jest honorowym, znamienitym gościem.

Lecz Kahlan wiedziała, w czym rzecz. Była Spowiedniczką. Bali się jej.

Dziewczyna była przyzwyczajona do tego wszystkiego, do spojrzeń i szeptów. Przejmowała się tym, kiedy była młodsza, teraz już nie. Pamiętała, jak matka tłumaczyła jej z uśmiechem, że ludzie już tacy są i nie da się tego zmienić, żeby nie pozwoliła, by ich zachowanie napełniło ją goryczą, i że pewnego dnia przestanie jej to przeszkadzać. Rzeczywiście tak się stało, sądziła, że jest już obojętna na ludzkie

spojrzenia i gadanie, że to już nie jest dla niej ważne, że się pogodziła z tym, że jej życie jest odmienne od losów zwykłych ludzi, że zaakceptowała swój status Spowiedniczki. Tak było, zanim spotkała Richarda, zanim się zaprzyjaźnili, zanim zaczął z nią rozmawiać, jakby była najzwyklejszą w świecie dziewczyną. Zanim zaczęło mu na niej zależeć.

Ale Richard nie miał pojęcia, kim ona jest.

Jeden Savidlin zachowywał się wobec niej przyjaźnie. Zabrał Kahlan i Richarda do swojej chaty. Mieszkał tam z żoną o dźwięcznym imieniu Weselan i synem Siddinem. Młodzi przybysze mieli u nich spać. Mimo że Savidlin nie nalegał na przyjęcie Spowiedniczki pod dach, Weselan przywitała ją ciepło i gościnnie i nie okazywała niezadowolenia, kiedy mąż akurat nie dotrzymywał im towarzystwa. Wieczorami, gdy było już za ciemno, by pracować, Siddin siadywał obok Kahlan i z szeroko otwartymi oczami słuchał opowieści o królach i pałacach, o dalekich krajach, o groźnych bestiach. Wdrapywał się dziewczynie na kolana, tulił do niej i prosił o kolejną opowieść. Teraz ze łzami w oczach rozmyślała, że Weselan pozwalała na to synkowi, nie odciągała go od niej i nie okazywała strachu. Kiedy Siddin zasypiał, ona i Richard opowiadali Savidlinowi i Weselan o swojej podróży z Westlandu. Savidlin doceniał zwycięstwo w walce i słuchał niemal tek samo zachłannie jak jego synek.

Nowy dach najwyraźniej się spodobał Człowiekowi Ptakowi. Kiedy już zobaczył tyle, że się domyślił, jak to będzie wyglądało, uśmiechnął się do siebie i z wolna potrząsnął głową. Za to sześciu starszych nie wyglądało na zbytnio zachwyconych, dach nie wywarł na nich specjalnego wrażenia. Uważali, że nie ma się co zbytnio przejmować przeciekającymi dachami, skoro deszcz kapał im na głowy przez całe ich dotychczasowe życie i dobrze było, a teraz zjawił się jakiś obcy i wykazał, jacy byli głupi - dotknęło ich to. Pewnego dnia jeden z nich umrze i wtedy Savidlin zostanie starszym. Kahlan ogromnie żałowała, że teraz nie należy on do starszyzny, gdyż mieliby wówczas sprzymierzeńca.

Dziewczyna zamartwiała się, co będzie, gdy ukończą dach się stanie, jeżeli starsi nie poproszą Człowieka Ptaka, by przyjął Richarda do plemienia Błotnych Ludzi. Richard nie obiecywał jej przecież, że nic im wówczas nie zrobi. Nie należał co prawda do osób mściwych, lecz był Poszukiwaczem. A stawka była większa niż życie paru Błotnych Ludzi. O wiele większa. Poszukiwacz powinien to wziąć pod uwagę. Ona również.

Kahlan nie wiedziała, czy zabicie owego mężczyzny z bojówki zmieniło

Richarda, czy się stał twardszy. Taka lekcja sprawia że się wszystko inaczej ocenia, że łatwiej zabić drugi raz. Świetnie to wiedziała. Żałowała, że przyszedł jej wówczas z pomocą, że zabił owego człowieka. Nie miała serca mu powiedzieć, że to wcale nie było konieczne. Że sama by sobie poradziła. W końcu jeden człowiek nie stanowił dla niej śmiertelnego zagrożenia, w ogóle żadnego zagrożenia. To dlatego Rahl wysłał do Spowiedniczek czterech mężczyzn, żeby jeden doznał dotknięcia jej mocą, a pozostali trzej mieli zabić jego i Spowiedniczkę. Czasami przeżywał tylko jeden, ale to zupełnie wystarczało, bo Spowiedniczka wyczerpywała swoją moc na tamtych trzech. Lecz jeden jedyny przeciwnik nie miał najmniejszych szans. Nawet jeśli był wielki i potężny, to ona była szybsza. Zdążyłaby uskoczyć przed mieczem przeciwnika. I dotknęłaby go, zanim złożyłby się do następnego ciosu, a wtedy byłby jej. I nic by go nie uratowało. Zdawała sobie sprawę, iż nigdy nie powie Richardowi, że nie miał powodu zabijać. Dodatkowo ciążyło jej to, że zabił dla niej, że myślał, iż ratuje jej życie.

Dziewczyna podejrzewała, że kolejna bojówka już wyruszyła. Byli bezlitośni i nieustępliwi. Ten, którego zabił Richard, świetnie wiedział, że zginie, że nie ma najmniejszej szansy w samotnym starciu ze Spowiedniczka, a mimo to zaatakował. Nie zaniechają ataków, pewnie w ogóle nie pojmują, co to rezygnacja, na oślep dążą do założonego celu.

I sprawia im przyjemność to, co czynią Spowiedniczkom. Kahlan znów sobie przypomniała o Dennee, choć starała się odegnać owe myśli. Ilekroć pomyślała o bojówkach, pamięć podsuwała jej obrazy tego, co uczynili Dennee.

Kahlan była dorastającą dziewczyną, kiedy jej matka zapadła na tajemniczą chorobę, której nie potrafił uleczyć żaden uzdrawiacz. I wkrótce zmarła. Spowiedniczki to bardzo bliska wspólnota; kiedy jedną z nich spotyka coś złego, reagują wszystkie. Matka Dennee zabrała Kahlan do siebie i zajęła się nią. Obie dziewczynki bardzo się ze sobą przyjaźniły, a teraz stały się siostrami i tak też o sobie od tej pory mówiły. Pomogło to Kahlan, złagodziło ból po stracie matki.

Dennee, podobnie jak jej matka, była krucha i wątła. Nie miała ani takiej mocy, ani takiej siły jak Kahlan, i Kahlan wkrótce stała się jej opiekunką, chroniąc ją przed tym, co wymagało więcej siły, niż mogła w sobie znaleźć Dennee. Moc Kahlan powracała po godzinie lub dwóch, a Dennee - niekiedy nawet dopiero po paru dniach.

Tamtego strasznego dnia Kahlan na krótko zostawiła przyjaciółkę samą. Poszła przyjąć spowiedź mordercy skazanego na powieszenie. Ową spowiedź miała

przyjąć Dennee, lecz Kahlan ją zastąpiła, ponieważ chciała jej oszczędzić związanej z tym udręki. Dennee nienawidziła przyjmowania spowiedzi, nienawidziła wyrazu oczu tych ludzi. Czasem płakała później przez wiele dni. Nigdy nie prosiła, żeby Kahlan ją zastąpiła, nigdy by o to nie poprosiła, lecz wyraz jej twarzy, kiedy przyjaciółka powiedziała, że pójdzie zamiast niej, znaczył więcej niż słowa. Kahlan również nie lubiła przyjmowania spowiedzi, lecz była silniejsza, mądrzejsza, rozważniejsza. Rozumiała i akceptowała swoją moc; to, że jest Spowiedniczka, nie sprawiało jej takiej przykrości jak Dennee. Zawsze potrafiła postawić na pierwszym miejscu rozsądek, a nie serce. I wykonałaby za Dennee każdą brudną robotę.

Dziewczyna wracała już do domu, kiedy usłyszała, jak w przydrożnych krzakach ktoś jęczy i płacze z bólu, straszliwego bólu. Z przerażeniem stwierdziła, że to Dennee.

- Wyszłam... Ci... Naprzeciw... Chciałam z... Tobą... Wrócić do domu - powiedziała, kiedy Kahlan usiadła przy niej i położyła sobie jej głowę na kolanach. - Bojówka... Mnie... Dopadła. Tak mi przykro. Jednego... Dostałam, Kahlan. Dotknęłam go. Jednego dostałam. Byłabyś ze mnie dumna, Kahlan.

Przerażona, zszokowana dziewczyna pocieszała przyjaciółkę, przekonywała, że wszystko będzie dobrze, podtrzymywała jej głowę.

- Obciągnij moją... Sukienkę... Kahlan, proszę - powiedziała Dennee głosem, który zdawał się dochodzić z bardzo daleka. - Ręce mnie nie słuchają.

Kahlan zobaczyła dlaczego. Połamane ręce Dennee leżały bezużytecznie u boków przyjaciółki, powyginane w miejscach, w których nie powinny się zginać. Krew sączyła się z ucha leżącej. Kahlan obciągnęła to, co zostało z przesiąkniętej krwią sukni Dennee, okrywając przyjaciółkę najlepiej, jak mogła. Poraziła ją groza na widok tego, co uczyniono Dennee, jej przyjaciółce, jej siostrze. Gardło miała ściśnięte. Z trudem powstrzymywała krzyk, nie chcąc jeszcze bardziej przerazić Dennee. Wiedziała, że teraz, w tych ostatnich chwilach, musi być silna i opanowana.

Dennee szepnęła imię przyjaciółki, skinęła, by się ku niej nachyliła.

- To Rahl Posępny... To on mi to zrobił. Nie było go tu, ale to jego dzieło...

- Wiem - odparła Kahlan z całą czułością i łagodnością, jaką zdołała okazać. - Leż spokojnie, wszystko będzie dobrze. Zabiorę cię do domu.

Wiedziała, że to kłamstwo, że Dennee nie wydobrzeje.

- Zabij go, Kahlan, proszę - szepnęła umęczona Spowiedniczka. - Powstrzymaj to szaleństwo. Żałuję, że nie stało mi sił. Zabij go dla mnie.

Kahlan zapłonęła gniewem. Po raz pierwszy chciała użyć swej mocy po to, żeby kogoś skrzywdzić, zabić. Jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś takiego. Płonął w niej straszliwy gniew, w głębi niej budziła się straszliwa moc - przerażające doznanie. Pogładziła drżącymi palcami sklejone krwią włosy Dennee.

- Uczynię to - przyrzekła.

Dennee uspokoiła się, rozluźniła. Kahlan zdjęła swój kościany naszyjnik i otoczyła nim szyję siostry.

- Chcę, żebyś go wzięła. Ochroni cię.

- Dziękuję, Kahlan. - Dennee uśmiechnęła się, a po jej bladych policzkach płynęły łzy. - Choć już nic mnie nie ochroni. Siebie ocal. Nie pozwól, żeby cię dopadli. Im to sprawia przyjemność. Taki ból mi zadali... I radowali się tym. Śmiali się.

Kahlan zamknęła oczy, nie mogąc znieść bolesnej twarzy siostry. Kołysała ją w ramionach, cało wała jej czoło.

- Pamiętaj o mnie, Kahlan. Pamiętaj, jak się śmiałyśmy.

- Przykre wspomnienia?

Wyrwana z zadumy dziewczyna gwałtownie podniosła głowę. Obok niej stał Człowiek Ptak. Podszedł cicho, nie zauważony Kiwnęła potakująco głową i odwróciła oczy.

- Wybacz, proszę, że okazałam słabość - powiedziała z trudem, ocierając łzy.

Popatrzył na nią łagodnymi piwnymi oczami i usiadł obok dziewczyny na ławce.

- Okazywanie żalu przez skrzywdzonego wcale nie jest oznaką słabości, dziecino.

Kahlan otarła nos wierzchem dłoni i powstrzymała żałosny jęk. Była tak przeraźliwie osamotniona. Tak bardzo tęskniła za Dennee. Człowiek Ptak otoczył dziewczynę ramieniem i uściskał po ojcowsku.

- Wspominałam Dennee, moją siostrę. Zamordowano ją na rozkaz Rahla Posępnego. Znalazłam ją... Umarła w moich ramionach... Tak okrutnie ją poranili. Rahlowi nie wystarcza samo zabijanie. Chce, żeby ludzie cierpieli, zanim umrą.

Błotny Człowiek ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Pochodzimy z różnych ludów, lecz to samo nas boli. - Otarł palcem łzę z policzka Kahlan i sięgnął do kieszeni. - Wyciągnij dłoń - polecił.

Uczyniła to, a on nasypał na jej rękę kilka małych ziarenek. Spojrzał w niebo i

dmuchnął w gwizdek, który nosił na rzemyku na szyi, gwizdek niewydający żadnego dźwięku. Wkrótce nadleciał niewielki złocisty ptaszek i usiadł na palcu Błotnego Człowieka. Starzec przysunął dłoń do ręki dziewczyny, żeby ptaszek przeniósł się tam i zjadł ziarenka. Delikatne łapki mocno się trzymały palca Kahlan, a dziobek skrzętnie wybierał ziarenka. Ptaszek był tak jasny i śliczny, że dziewczyna się uśmiechnęła. Człowiek Ptak uśmiechnął się wraz z nią. Ptaszek wydziobał wszystkie ziarenka, otrzepał piórka i siedział spokojnie; nic a nic się nie bał.

- Pomyślałem, że chętnie popatrzysz na coś pięknego, że sprawi ci przyjemność błysk piękna wśród szpetoty.

- Dziękuję. - Kahlan uśmiechnęła się do niego.

- Chciałabyś go zatrzymać?

Popatrzyła na ptaszka, na jego lśniące złociste piórka, na to, jak przechyla główkę - i podrzuciła go w powietrze.

- Nie mam do tego prawa - odparła, patrząc, jak odlatuje. - Powinien być wolny.

Człowiek Ptak skinął głową, a uśmiech rozjaśnił mu twarz. Pochylił się, wsparł ręce o kolana i popatrzył na dom duchów. Robota była niemal ukończona, może jeszcze zajmie z jeden dzień. Długie, srebrnosiwe włosy zsunęły się z ramion mężczyzny, ukrywając przed Kahlan wyraz jego twarzy. Dziewczyna posiedziała jeszcze trochę, obserwując pracującego na dachu Richarda. Boleśnie pragnęła, by właśnie teraz ją objął, wiedziała jednak, że nie powinna na to pozwolić - to raniło bardziej.

- Chcesz zabić tego mężczyznę, tego Rahla Posępnego? - spytał Człowiek Ptak, nie patrząc na dziewczynę.

- O, tak.

- Czy masz na to dość mocy?

- Nie - przyznała.

- Czy moc miecza Poszukiwacza wystarczy, by zabić Rahla?

- Nie. Dlaczego pytasz?

Chmury ciemniały, dzień się zbliżał ku końcowi. Znów padał niewielki deszczyk, wśród chat gęstniał mrok.

- Sama powiedziałaś, że nie jest bezpiecznie przebywać w towarzystwie będącej w wielkiej potrzebie Spowiedniczki. Myślę, że dotyczy to również Poszukiwacza. Może nawet bardziej. Kahlan milczała przez chwilę, potem szepnęła:

- Nie chcę mówić o tym, co Rahl własnoręcznie uczynił ojcu Richarda, bo pewno jeszcze bardziej byś się obawiał Poszukiwacza. Lecz wiedz, że i Richard puściłby ptaka wolno.

Człowiek Ptak roześmiał się bezgłośnie.

- Ty i ja jesteśmy za sprytni na takie słowne potyczki. Dajmy sobie z tym spokój. - Usiadł prosto i skrzyżował ramiona na piersi. - Próbowałem uświadomić pozostałym starszym, jaką wspaniałą rzecz czyni Poszukiwacz dla naszego ludu, jak to dobrze, że uczy nas tego wszystkiego. Wcale nie są tego pewni; są przywiązani do tego, co było, do starych metod i potrafią być tak uparci że ledwo to wytrzymuję. Obawiam się tego, co ty i Poszukiwacz uczynicie mojemu ludowi, jeżeli starsi odmówią pomocy.

- Richard dał słowo, że nie skrzywdzi twoich ludzi.

- Słowa nie mają tej mocy, co krew ojca. Lub krew siostry.

Kahlan oparła się o ścianę i otuliła płaszczem, chroniąc się przed wilgotnym wiatrem.

- Jestem Spowiedniczką, urodziłam się z tą mocą. Nie pragnę władzy. Gdybym mogła, wybrałabym inaczej, byłabym jak inni ludzie. Lecz muszę żyć z moim darem i uczynić zeń jak najlepszy użytek. Wbrew temu, co o nas myślisz, co myśli o nas większość ludzi, jesteśmy tu, żeby służyć im, żeby służyć prawdzie. Kocham wszystkich Midlandczyków i oddałabym życie, żeby ich ochronić, żeby ocalić ich wolność. To moje największe pragnienie. A mimo to jestem sama.

- Richard czuwa nad tobą, troszczy się o ciebie. Kahlan zerknęła nań spod oka:

- Richard jest z Westlandu. Nie wie, kim jestem. Gdyby wiedział... Człowiek Ptak ze zdumieniem uniósł brew.

- Jak na kogoś, kto służy prawdzie...

- Nie przypominaj mi tego, proszę. To wynikło z mojej winy. Ja będę musiała ponieść konsekwencje i bardzo się ich boje. Poza tym to tylko potwierdza moje słowa. Błotni Ludzie żyją z dala od innych ludów. Dzięki temu w przeszłości unikali kłopotów. Tym razem to się nie uda - zło ma długie ręce, dosięgnie i was. Starsi mogą się, ile chcą, sprzeciwiać udzieleniu nam pomocy, lecz nie zdołają zmienić prawdy. Jeżeli przedłożą dumę nad rozsądek, zapłaci cały lud.

Człowiek Ptak słuchał uważnie, z szacunkiem. Kahlan spojrzała nań.

- Nie mogę w tej chwili powiedzieć, co uczynię, jeżeli starsi odmówią. Nie chcę skrzywdzić twoich ludzi, lecz chcę im oszczędzić bólu, który widziałam.

Widziałam, co Rahl Posępny robi ludziom. Wiem, co zrobi. Gdybym wiedziała, że śmierć synka Savidlina powstrzyma Rahla, to zabiłabym malca bez wahania, własnymi rękami, bo choć jego śmierć zraniłaby moje serce, to jednocześnie ocaliłaby życie innych małych dzieci. Dźwigam straszliwe brzemię, brzemię wojownika. Zabiłeś jednych ludzi, żeby ocalić innych i wiem, że nie dało ci to radości, Rahl natomiast czerpie radość z zabijania, uwierz mi. Pomóż mi ocalić swój lud, proszę, żeby nikt nie ucierpiał. - Łzy płynęły po policzkach dziewczyny. - Nie chcę krzywdzić nikogo z was.

Błotny Człowiek przytulił ją czule i pozwolił jej się wypłakać na swoim ramieniu.

- To szczęście dla Midlandczyków, że walczysz po ich stronie.

- Jeśli znajdziemy to, czego szukamy, i ukryjemy to przed Rahlem aż do pierwszego dnia zimy, to on umrze. I nikt inny nie ucierpi. Lecz ktoś musi nam pomóc w poszukiwaniach.

- Pierwszy dzień zimy. Niewiele czasu, dziecino. Jedna pora roku przemija, wkrótce nastąpi kolejna.

- To nie ja stanowię prawa życia, czcigodny starszy. Jeżeli wiesz, jak powstrzymać czas, to zdradź mi, proszę, ów sekret, żebym mogła opóźnić nadejście zimy.

Człowiek Ptak siedział spokojnie, milczał. Potem rzekł:

- Widziałem cię już wśród naszego ludu. Zawsze szanowałaś nasze życzenia, unikałaś krzywdzenia nas. Poszukiwacz postępuje tak samo. Jestem po waszej stronie, dziecko. Uczynię, co w mojej mocy, żeby przekonać pozostałych. Mam nadzieję, że znajdę odpowiednie słowa. Nie chcę, by cierpienie dotknęło mój lud.

- Jeżeli odmówią, nie musisz się obawiać ani mnie, ani Poszukiwacza - odezwała się Kahlan. Wspierała głowę o ramię Człowieka Ptaka i patrzyła w przestrzeń. - Lecz bójcie się tego z D’Hary. Nadleci jak burza i zniszczy was. Nie będziecie mieć najmniejszej szansy. Wymorduje was.

Wieczorem, w ciepłym i przyjaznym domu Savidlina, Kahlan opowiedziała małemu historię o rybaku, który zamienił się w rybę i żył w jeziorze, sprytnie ściągając przynętę z haczyków, i nigdy nie dawał się złapać. Tę historię opowiedziała jej kiedyś matka, w czasach, kiedy była równie mała jak teraz Siddin. Patrzyła na zachwyconą buzię chłopczyka i przypomniała sobie, jak była podekscytowana, słysząc tę opowieść po raz pierwszy. Potem Weselan gotowała słodkie korzenie,

których przyjemny zapach mieszał się z dymem, a Savidlin uczył Richarda, jak robić odpowiednie czubki strzał (w zależności od zwierzęcia, na które były przeznaczone), jak utwardzać je w węglach ogniska i nasączać trucizną. Kahlan leżała na rozciągniętej na podłodze skórze, obok niej spał zwinięty w kłębek Siddin. Gładziła ciemne włosy chłopczyka. Dziewczyna ze ściśniętym gardłem rozmyślała jak to oznajmiła Człowiekowi Ptakowi, że w razie potrzeby zabiłaby małego bez wahania. Pragnęłaby cofnąć te słowa. Wyrażały nienawistną prawdę, lecz żałowała, że je wypowiedziała. Richard nie wiedział, że rozmawiała z Człowiekiem Ptakiem, a ona mu o tym nie powiedziała. Nie chciała go martwić; i tak będzie, co ma być. Mogła tylko mieć nadzieję, że starszyzna pójdzie za głosem rozsądku.

Kolejny dzień był wietrzny i wyjątkowo ciepły. Od czasu do czasu padał deszcz. Tłum zebrał się wczesnym popołudniem przed domem duchów. Dach był ukończony, a w nowym palenisku rozpalono ogień. Kiedy pierwsze kłęby dymu uniosły się z komina, ludzie zakrzyknęli z podziwu i ekscytacji. Zaglądali przez otwarte drzwi, patrząc, jak ogień płonie i wcale nie zadymia wnętrza. Byli zachwyceni perspektywą życia bez deszczu kapiącego na głowy i bez dymu gryzącego w oczy. Najgorsze były deszcze niesione wichrem, wiatrem - jak tego dnia. Raz dwa przesiąkały przez trawiaste dachy.

Błotni Ludzie z zadziwieniem patrzyli, jak deszcz spływa po dachówkach i ani kropla nie przedostaje się do środka. Richard zszedł z dachu; był w dobrym nastroju. Dach był gotowy, nie przeciekał, komin dobrze ciągnął, wszyscy w wiosce się cieszyli tym, co dla nich uczynił. Mężczyźni, którzy mu pomagali, pęcznieli z dumy, czego się nauczyli, i z tego, co wykonali. Tłumaczyli pozostałym zasady konstrukcji.

Richard wyminął patrzących, przypasał miecz i poszedł ku centrum wioski. Tam, pod jednym ze wspartych na palach dachów, czekała starszyzna. Kahlan szła przy lewym boku chłopaka, Savidlin przy prawym, gotowi wziąć jego stronę. Tłum patrzył, jak odchodzą, a potem ruszył za nimi, klucząc wśród chat, śmiejąc się i pokrzykując. Richard miał zdecydowaną minę.

- Uznałeś, że powinieneś wziąć miecz? - spytała Kahlan.

Zerknął na nią, nie zwalniając kroku. Uśmiechnął się krzywo. Krople deszczu spływały z mokrych, splątanych włosów chłopaka.

- Jestem Poszukiwaczem.

- Nie drażnij się ze mną, Richardzie - skarciła go. - Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Ma im przypomnieć, dlaczego powinni właściwie postąpić - odparł z szerokim uśmiechem.

Kahlan czuła ssanie w dołku, miała uczucie, że sprawy się wymykają spod jej kontroli, że Richard uczyni coś strasznego, jeżeli starszyzna mu odmówi. Tak ciężko pracował, od świtu do nocy w nadziei, że ich przekona. Przeciągnął na swoją stronę większość mieszkańców wioski - lecz to nie ich głos się liczył. Bała się, że chłopak w ogóle się nie zastanowi nad tym, co zrobi, jeżeli starszyzna odmówi im pomocy.

W centrum przewiewnej konstrukcji, pod przeciekającym dachem, stał dumnie wyprostowany Toffalar. Krople deszczu leciały z góry i z pluskiem wpadały do małych kałuż na podłodze. U jego boku stali Surin, Caldus, Arbrin, Breginderin i Hajanlet. Każdy z nich nosił skórę kojota; Kahlan wiedziała już, że działo się to tylko przy oficjalnych okazjach. Wydawało się, że wokół zebrali się wszyscy mieszkańcy osady. Otaczali wiatę, siedząc pod innymi daszkami, wyglądali z okien - stanęła robota, gdyż wszyscy obserwowali i czekali, co zadecyduje starszyzna o wspólnej przyszłości.

Kahlan dostrzegła Człowieka Ptaka stojącego z kilkoma uzbrojonymi mężczyznami przy jednym z palików podtrzymujących dach nad starszyzną. Ich oczy się spotkały i serce dziewczyny zamarło. Złapała Richarda za rękaw, nachyliła się ku niemu.

- Pamiętaj, że bez względu na to, co powiedzą, musimy stąd odejść, jeżeli mamy powstrzymać Rahla. Ich jest wielu, a nas tylko dwoje i twój miecz nie wystarczy.

Chłopak nie zwrócił uwagi na jej ostrzeżenia.

- Czcigodni starsi - zaczął donośnym, czystym głosem, a Kahlan tłumaczyła. - Mam zaszczyt powiadomić was, że dom duchów ma nowy dach, który nie przecieka. Miałem honor i przyjemność uczyć wasz lud, jak konstruować takie dachy, żeby mieszkańcy wioski mogli poprawić pokrycie innych chat. Uczyniłem to z szacunku dla waszego ludu, niczego w zamian nie oczekując. Mam jedynie nadzieję, że jesteście zadowoleni.

Sześciu mężczyzn wysłuchało z ponurymi minami tłumaczenia Kahlan. Potem zapadło długotrwałe milczenie. W końcu Toffalar powiedział zdecydowanym tonem:

- Nie jesteśmy zadowoleni.

Dziewczyna przetłumaczyła i twarz Richarda zmroczniała.

- Dlaczego?

- Trochę deszczu nie osłabi Błotnych Ludzi. Twój dach może i nie przecieka, ale tylko dlatego, że jest pomysłowo zrobiony. To pomysłowość obcych. To nie są nasze metody. I od tego obcy mogą nam zacząć dyktować, co mamy robić. Wiemy, czego chcesz. Chcesz, żebyśmy cię uznali za jednego z nas i zwołali dla ciebie naradę widzących. Jeszcze jedna sprytna sztuczka obcego, żeby nas skłonić do zrobienia czegoś, co jest mu potrzebne. Chcesz nas wciągnąć w waszą walkę. Nie zgadzamy się! - Toffalar zwrócił się teraz do Savidlina. - Dach na domu duchów ma być taki jak przedtem. Zbudowany sposobem naszych czcigodnych przodków Savidlin pobladł, lecz stał bez ruchu. Starszy, z leciutkim uśmieszkiem na zaciśniętych wargach, powiedział do Richarda:

- Twoje sztuczki zawiodły. Czy zemścisz się za naszą odmowę, Richardzie Popędliwy? - ton był lekceważący, pogardliwy, szyderstwo miało zdyskredytować chłopaka.

Kahlan jeszcze nigdy nie widziała Richarda wyglądającego tak groźnie. Spojrzał na Człowieka Ptaka, potem przeniósł wzrok na sześciu starszych. Dziewczyna wstrzymała oddech. Tłum milczał. Chłopak powoli odwrócił się ku mieszkańcom wioski.

- Nie wyrządzę krzywdy waszemu ludowi - powiedział spokojnie Kahlan przetłumaczyła i tłum westchnął z ulgą. Po chwili zapanowała cisza i Richard podjął: - Lecz będę płakać nad tym, co czeka Błotnych Ludzi. - Nie odwrócił się ku starszym, po prostu wskazał na nich. - Nad wami sześcioma nie będę płakać. Nie będę żałował śmierci głupców - padły okrutne, raniące słowa. Tłum aż sapnął.

Twarz Toffalara wyrażała niepohamowany gniew. Ludzie szeptali, ogarniał ich strach. Kahlan popatrzyła na Człowieka Ptaka - wyglądał, jakby przybyło mu lat. Piwne oczy powiedziały jej, jak żałuje tego, co się stało. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, wspólnie bolejąc nad tym, co teraz wszystkim zagrażało. Potem Człowiek Ptak odwrócił wzrok, popatrzył w ziemię.

Richard gwałtownie odwrócił się ku starszym, wyciągnął Miecz Prawdy. Uczynił to tak nagle, że wszyscy - nie wyłączając starszyzny - cofnęli się o krok i zamarli. Na sześciu twarzach malował się paraliżujący lęk. Tłum zaczął się cofać; Człowiek Ptak nawet nie drgnął. Kahlan bała się gniewu chłopaka, lecz rozumiała go. Postanowiła, że nie będzie się wtrącać, za to - bez względu na to, co Richard zrobi - ona uczyni wszystko, by chronić życie Poszukiwacza. Panowała śmiertelna cisza, słychać było jeden jedyny dźwięk - szczęk stali. Chłopak mocno zacisnął zęby,

wyciągnął lśniące ostrze ku starszym, czubek miecza był tuż przed ich twarzami.

- Przynajmniej miejcie odwagę uczynić ostatnią przysługę ludowi. - Ton jego głosu sprawił, że Kahlan zadrżała. Odruchowo tłumaczyła, kamieniejąc z przerażenia. Wtem, o dziwo, Richard ujął czubek miecza, zwrócił jego gardę ku starszym. - Weźcie mój miecz - rozkazał. - Zabijcie kobiety i dzieci. Oszczędźcie im tego, co szykuje dla nich Rahl Posępny. Ocalcie je przed męką, która im grozi. Ofiarujcie im litościwą, szybką śmierć.

Słowa chłopaka głęboko poruszyły mieszkańców wioski. Kahlan słyszała cichy płacz kobiet tulących swoje dzieci. Starsi stali bez ruchu, przerażeni tym, czego nie oczekiwali. W końcu odwrócili wzrok od płonących oczu Richarda.

Nie mieli odwagi wziąć miecza. Chłopak powoli wsunął klingę do pochwy, dając do zrozumienia, że tak oto znika ostatnia szansa ratunku, że starsi nieodwołalnie odrzucili pomoc Poszukiwacza. Wstrząsający, ostateczny gest.

Potem Richard odwrócił wzrok od starszych i popatrzył na Kahlan. Twarz mu się zmieniła. Dziewczynę aż coś ścisnęło w gardle, kiedy zobaczyła jego oczy. Był w nich bolesny żal nad ludźmi, których pokochał i którym nie mógł pomóc. Podszedł do niej i ujął jej dłoń - mieszkańcy wioski nie spuszczali zeń oczu.

- Spakujmy nasze rzeczy i chodźmy stąd - powiedział cicho Richard. - Zmarnowaliśmy mnóstwo czasu. Mam nadzieję, że nie za dużo. - W szarych oczach błyszczały łzy. - Tak mi przykro, Kahlan... Że źle wybrałem.

- To nie ty wybrałeś źle, Richardzie, lecz oni. - Była zła na starszych za to, że odebrali nadzieję swojemu ludowi. Odwróciła od nich myśli: już byli martwi. Dano im wybór i sami sobie zgotowali ten los.

Kiedy przechodzili obok Savidlina, obaj mężczyźni, nie patrząc na siebie, wymienili uścisk dłoni. Nikt się nie poruszył; mieszkańcy wioski stali i patrzyli na idących wśród nich obcych. Niektórzy dotykali Richarda, a on lekkim uściskiem ręki odwzajemniał ów milczący wyraz sympatii i współczucia, nie będąc w stanie spojrzeć im w oczy.

Zabrali swoje rzeczy z domu Savidlina, zapakowali płaszcze. Milczeli. Kahlan czuła się wyczerpana, spustoszona. W końcu spojrzeli sobie w oczy i objęli się w milczeniu. Dręczył ich smutek i żal, współczuli nowym przyjaciołom, bo wiedzieli, co ich czeka. Obydwoje zaryzykowali to, co im jeszcze zostało - czas. I przegrali. Stali tak przez chwilę, a potem Kahlans spakowała resztę rzeczy. Richard wyciągnął z powrotem swój płaszcz. Dziewczyna Patrzyła, jak szuka czegoś w kieszeniach.

Podszedł ku drzwiom, żeby mieć więcej światła, i grzebał w plecaku. Na koniec odwrócił się do Kahlan, minę miał zaniepokojoną.

- Zniknął nocny kamień.

- Może go gdzieś zostawiłeś... - powiedziała niepewnie, gdyż przeraził ją ton głosu Richarda.

- Nie. Nigdy go nie wyjmowałem z plecaka. Nigdy. - Już nie jest nam potrzebny, Richardzie, szczęśliwie minęliśmy przejście. Adie na pewno wybaczy tę zgubę. Teraz mamy poważniejsze zmartwienie - łagodziła, nie pojmując, dlaczego chłopak się tak niepokoi.

- Nic nie rozumiesz - rzucił, podchodząc ku niej. - Musimy odnaleźć nocny kamień.

- Czemu? - zniecierpliwiła się Kahlan.

- Bo, jak sądzę, może obudzić zmarłych. - Dziewczyna aż otworzyła usta ze zdumienia. - Dużo o tym rozmyślałem, Kahlan. Pamiętasz, jak Adie była nerwowa, jak się rozglądała wokół, dopóki nie schowałem kamienia? I kiedy cienie w przejściu ruszyły na nas? Dopiero wtedy, gdy wyjąłem kamień. Przypominasz sobie?

- Przecież Adie mówiła, że on będzie działać tylko dla ciebie - odparła, oczy jej się rozszerzyły. - Więc nawet jeżeli ktoś inny się nim posłuży...

- Powiedziała, że kamień wypromieniuje pochłonięte światło Nie wspominała o budzeniu umarłych. Chyba ostrzegłaby nas prawda?

Kahlan patrzyła przed siebie, zadumana. Nagle zrozumiała i aż zamknęła oczy.

- Tak, Richardzie, ostrzegała nas. Ostrzegła cię zagadką czarodziejki. W ogóle o tym nie myślałam, tak mi przykro. Postąpiła w typowy dla czarodziejek sposób. One nie zawsze mówią wprost to, co wiedzą, nie zawsze wyraźnie ostrzegają. Niekiedy czynią to w formie zagadki.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Richard wściekle odwrócił się ku drzwiom, uderzył pięścią o framugę. - Światu grozi zagląda, a ta stara kobieta daje nam zagadki! Powinna była nam powiedzieć!

- Może miała po temu jakiś powód, Richardzie. Może to był jedyny sposób?

- Jeżeli będziesz w potrzebie - odezwał się po chwili namysłu. - Tak powiedziała. Jak woda. Jest cenna tylko w określonych warunkach: dla tonącego jest szkodliwym nadmiarem. Oto, jak próbowała nas ostrzec. Szkodliwy nadmiar, wielki kłopot. - Znów wziął plecak i zajrzał do środka. - Był tu w nocy, widziałem. Co się z

nim mogło stać?

Unieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy.

- Siddin - powiedzieli chórem.

Rozdział dwudziesty szósty

Rzucili plecaki i wybiegli z chaty, kierując się tam, gdzie ostatnio widzieli Savidlina. Obydwoje nawoływali Siddina. Biegli, rozbryzgując błoto, ludzie usuwali im się z drogi. Zanim Kahlan i Richard dobiegli do placu, wystraszony tłum zaczął się wycofywać ku chatom. Ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Starszyzna wróciła na podwyższenie. Człowiek Ptak wyciągał szyję, starając się dostrzec, o co chodzi. Stojący przy nim łowcy nasadzili strzały na cięciwy.

Kahlan dostrzegła Savidlina, przestraszonego tym, że tak wykrzykiwali imię jego synka.

- Odszukaj Siddina, Savidlinie! - wrzasnęła dziewczyna. - Nie pozwól mu otworzyć mieszka!

Savidlin zbladł, odwrócił się na pięcie i pognał szukać synka. Kahlan nigdzie nie widziała Weselan. Rozdzieliła się z Richardem, rozszerzając pole poszukiwań. Na placu panowało zamieszanie i dziewczyna musiała odpychać ludzi z drogi. Gardło miała ściśnięte. Jeżeli Siddin otworzył mieszek...

Wtem zobaczyła malca.

Siedział sobie w błocie na placu, w ogóle nie zwracając uwagi na spłoszonych ludzi. W zaciśniętej piąstce trzymał skórzany mieszek i potrząsał nim, żeby kamień wyleciał.

- Siddin! Nie! - krzyczała z całych sił Kahlan i biegła ku chłopczykowi. Nie słyszał jej wrzasków. Może nie uda mu się wytrząsnąć kamienia. Był tylko małym bezbronnym chłopczykiem. Niech los będzie dlań łaskawy, błagała w myślach Kahlan.

Kamień wypadł z mieszka, pacnął w błoto. Siddin uśmiechnął się i podniósł go. Kahlan zlodowaciała.

Wszędzie wokół zaczęły się materializować cienie. Kręciły się w wilgotnym powietrzu niczym strzępy mgły, zupełnie jakby się rozglądały. Potem poleciały ku Siddinowi. Richard gnał ku malcowi i wołał do Kahlan:

- Odbierz mu kamień! Schowaj z powrotem do mieszka!

Miecz Prawdy zalśnił i przeszywał cienie, a chłopak pędził po prostej ku Siddinowi. Cienie, które ciął mieczem, skowyczały i rozpływały się. Malec usłyszał przeraźliwe zawodzenie, uniósł główkę i zdrętwiał z szeroko otwartymi oczami.

Kahlan wołała do niego, żeby schował kamień, ale chłopczyk był zbyt przerażony i ani drgnął. Słyszał inne głosy. Dziewczyna biegła najszybciej, jak mogła,

omijając grupy lecących ku Siddinowi cieni. Śmignęło koło niej coś małego i ciemnego, wstrzymała oddech. Znowu. Strzały. W powietrzu zaroiło się od strzał - to Człowiek Ptak rozkazał łowcom, żeby zestrzelili cienie. Celnie szyli z łuków lecz strzały przechodziły przez cienie jak przez dym, Wszędzie fruwały zatrute strzały. Kahlan wiedziała, że jeżeli trafiają lub Richarda, będzie po nich. Teraz musiała się uchylać nie tylko przed cieniami, ale i przed strzałami. Usłyszała świst i pochyliła się w ostatniej chwili. Kolejna strzała odbiła się od błota, śmignęła obok nogi dziewczyny.

Richard dopadł Siddina, ale nie mógł złapać kamienia. Mógł jedynie kosić mieczem nadlatujące cienie. Nie miał czasu schylić się po kamień.

Kahlan była jeszcze daleko. Musiała się uchylać przed cieniami, nie mogła się przez nie przebić jak Richard. Wiedziała, że umrze, jeżeli dotknie jakiegoś cienia. A przybywało ich coraz więcej i więcej, powietrze szarzało i gęstniało od nich. Krąg, w którym walczył Richard, wciąż się zacieśniał. Chłopak trzymał miecz oburącz i ciął raz za razem. Nie mógł zwolnić tempa, cienie zalałyby go. Napływały wciąż nowe i nowe, bez końca.

Kahlan niemal tkwiła w miejscu. Musiała uważać i na lecące zewsząd cienie, i na świszczące wokół strzały. Wiedziała, że Richard już długo nie wytrzyma. Walczył ile sił, a mimo to cofał się coraz bardziej, coraz bliżej Siddina. W niej, w Kahlan, cała nadzieja, a była tak daleko od nich!

Przemknęła kolejna strzała, piórko musnęło włosy dziewczyny-

- Każ im przestać! - krzyknęła wściekle do Człowieka Ptaka. - Niech nie strzelają! Pozabijacie nas!

Zrozumiał i - choć niechętnie - powstrzymał łuczników. Lecz wtedy wyciągnęli noże i ruszyli na cienie. Nie mieli pojęcia, na co się porywają. Zginą, do ostatniego człowieka.

- Nie!!! - wrzasnęła Kahlan, potrząsając pięściami. - Zginiecie, jeżeli dotkniecie cienia! Cofnijcie się!

Człowiek Ptak uniósł rękę, wstrzymując swoich ludzi. Kahlan wiedziała, co czuł, patrząc, jak ona lawiruje pomiędzy cieniami, jak wolniutko zbliża się do Siddina i Richarda. Wtem rozległ się inny głos. To krzyczał Toffalar.

- Powstrzymać ich! Zabijają duchy naszych przodków! Szyjcie do nich z łuków! Zastrzelcie obcych!

Łucznicy popatrzyli po sobie i z ociąganiem nasadzili strzały na cięciwy. Nie

mogli nie usłuchać jednego ze starszych.

- Zastrzelcie ich! - krzyczał spurpurowiały Toffalar i potrząsał pięścią. - Słyszycie?! Zastrzelcie ich!

Unieśli łuki. Kahlan przykucnęła, gotowa uskoczyć z drogi strzałom. Człowiek Ptak wysunął się przed swoich ludzi, rozłożył szeroko ręce, odwołując rozkaz Toffalara. Wymienił z nim słowa, których Kahlan nie słyszała. Dziewczyna nie marnowała czasu. Skorzystała z okazji i posuwała się naprzód, nurkując pod wyciągniętymi ramionami lecących cieni. Kątem oka dostrzegła Toffalara, który biegł ku niej z nożem w dłoni. Prędzej czy później wpadnie na jakiś cień i zginie. Starszy przystawał co jakiś czas i przemawiał do cieni. Dziewczyna nie słyszała jego słów, zagłuszały je lamenty. Popatrzyła znów - Toffalar był o wiele bliżej. O dziwo, nie zderzył się z żadnym cieniem! Usuwały mu się z drogi i biegł ku niej na oślep, z twarzą wykrzywioną gniewem. Kahlan wciąż sądziła, że do niej nie dotrze. Prędzej czy później zetknie się z którymś z cieni i umrze.

Dziewczyna pokonała resztę placu, lecz okazało się, że cienie utworzyły wokół Richarda i Siddina zwarty szary mur. Nie było w nim najmniejszej szczeliny. Bezskutecznie wypatrywała przejścia. Była tak blisko, a zarazem tak daleko! I wokół niej zaczynała się zamykać pułapka. Parę razy umknęła cieniom w ostatniej chwili. Richard wypatrywał, gdzie stoi Kahlan, i próbował się do niej przebić, ale musiał zrezygnować i osłaniać Siddina.

W powietrzu błysnął nóż. Toffalar dotarł do dziewczyny. Oszalały z nienawiści, wykrzykiwał słowa, których w ogóle nie rozumiała. Lecz nóż zdradzał zamiary starszego: Toffalar zamierzał zabić Kahlan. Uchyliła się przed ciosem. Kolejny ruch należał do niej.

I Kahlan popełniła błąd.

Zamierzała dotknąć Toffalara swoją mocą, lecz spostrzegła, że patrzy na nią Richard. Zawahała się, powstrzymała ją myśl, że chłopak zobaczy, jak się posługuje swoim darem. Toffalar wykorzystał jej niezdecydowanie. Richard krzyknął ostrzegawczo i odwrócił się ku zachodzącym go z tyłu cieniom.

Nóż Toffalara wbił się w prawe ramię Kahlan i ciął aż do kości.

Ból i szok spowodowały, że dziewczyna zapłonęła gniewem. Gniewem na swą własną głupotę. Drugi raz nie popełni błędu. Wyciągnęła lewą rękę i złapała Toffalara za gardło. Poczuła, jak na chwilę stracił oddech. Nie musiała tak mocno zaciskać dłoni, wystarczyło dotknięcie - to gniew kierował jej ręką, a nie moc.

Mieszkańcy wioski krzyczeli z przerażenia, cienie niszczone przez Richarda zawodziły straszliwie, lecz w umyśle Kahlan zapanowały nagle cisza i spokój. W jej głowie nie rozbrzmiewał żaden dźwięk. Panowała tam cisza. Cisza tego, co zamierzała uczynić.

W owej sekundzie, która dla niej rozciągnęła się w wieczność, Kahlan dostrzegła w oczach Toffalara strach, świadomość tego, co go czeka. Zobaczyła w oczach starszego sprzeciw wobec takiego losu, poczuła, jak napinają się jego mięśnie, dostrzegła, jak jego dłonie wolno, wolniutko przesuwają się ku jej ręce.

Lecz tym razem Toffalar nie miał nawet najmniejszej szansy. Kahlan była górą. Czas był jej. Starszy był jej. Nie czuła litości ani wyrzutów sumienia. Tylko śmiertelny spokój.

I Matka Spowiedniczka, jak wiele, wiele razy przedtem, uwolniła swój dar. Jej moc runęła w ciało Toffalara.

Powietrze zadrżało; bezdźwięczny grom. Woda w kałużach wzburzyła się, bryznęły błotniste krople.

Oczy Toffalara rozwarły się szeroko. Mięśnie jego twarzy straciły napięcie. Otworzył usta.

- O, pani! - szepnął z czcią.

Spokojna dotąd twarz Kahlan wykrzywiła się gniewnie. Dziewczyna z całej siły pchnęła Toffalara w tył, na okalający Richarda i Siddina pierścień cieni. Starszy wyrzucił ramiona w powietrze i runął na cienie, zetknął się z nimi, wrzasnął i upadł w błoto. W pierścieniu na mgnienie oka powstała przerwa. Kahlan zanurkowała w nią bez wahania i zdążyła. Przejście zamknęło się tuż za jej plecami.

Dziewczyna rzuciła się ku Siddinowi.

- Szybko!- ryknął gromko Richard.

Siddin nawet nie spojrzał na Kahlan. Z otwartą buzią wpatrywał się w cienie, sparaliżowany ze strachu. Próbowała wyrwać małemu nocny kamień, lecz tak mocno zaciskał piąstkę, że nie dała rady. Jedną ręką trzymała sakiewkę i nadgarstek chłopczyka, drugą dłonią odginała jego paluszki z kamieniem, cały czas błagając Siddina, żeby zwolnił chwyt. Lecz malec jej nie słyszał. Z rany na prawym ramieniu Kahlan płynęła krew i mieszała się z deszczem, a palce stawały się lepkie i śliskie.

Mglista dłoń sięgnęła ku twarzy Kahlan. Dziewczyna odchyliła się. Świsnął miecz i uderzył w cień. Cień rozwiał się z jękiem. Zesztywniały ze strachu Siddin nie odrywał oczu od mglistych postaci. Richard stał tuż przy Kahlan, rysując mieczem

zawity wzór. Już nie było się dokąd cofnąć. Tylko oni i cienie, Paluszki Siddina nie chciały się otworzyć.

Kahlan zacisnęła z bólu zęby i nie zaprzestawała wysiłków. W końcu udało się jej wyrwać kamień z piąstki malca. Nocny kamień, pokryty krwią i błotem, wyślizgnął się z dłoni dziewczyny i pacnął w błocko u jej kolan. Niemal natychmiast zamknęła go w ręce razem z garścią błota. Wepchnęła to wszystko do skórzanego mieszka i z całej siły zaciągnęła rzemyki. Podniosła oczy, z trudem łapała powietrze.

Cienie się zatrzymały. Kahlan słyszała ciężki oddech Richarda, który wciąż dźgał je mieczem. Po chwili cienie zaczęły się cofać, najpierw powoli, jakby straciły orientację i szukały czegoś. Potem rozpłynęły się w powietrzu, wróciwszy do zaświatów, skąd przybyły. Zniknęły. Na pustym błotnistym placu zostało ciało Toffalara i ich troje.

Krople deszczu spływały po twarzy Kahlan. Dziewczyna mocno przytuliła małego i rozpłakała się. Richard, zupełnie wyczerpany, zamknął oczy i osunął się na kolana, usiadł na piętach. Zwiesił głowę i ciężko dyszał.

- One mnie wołały, Kahlan - wychlipał Siddin.

- Wiem - szepnęła mu do ucha i pocałowała je. - Już wszystko dobrze. Byłeś bardzo dzielny. Tak dzielny jak myśliwy.

Chłopczyk objął ją za szyję, a ona tuliła go i pocieszała. Drżała. Niemal stracili życie, żeby ocalić małego. Tłumaczyła Richardowi, że Poszukiwacz nie może sobie pozwolić na coś takiego, a przecież uczynili to bez chwili zastanowienia. Czyż mogli postąpić inaczej? Uścisk Siddina wynagradzał wszystko. Richard ciągle trzymał w dłoniach gardę miecza, podczas gdy czubek klingi tkwił w błocie. Kahlan dotknęła ramienia chłopaka.

Owo dotknięcie sprawiło, że natychmiast poderwał głowę i skierował miecz ku dziewczynie; ostrze zatrzymało się tuż przed jej twarzą. Kahlan aż podskoczyła ze zdumienia. W oczach Richarda płonęła furia.

- To tylko ja, Richardzie - uspokajała go, przestraszona. - Już po wszystkim. Nie chciałam cię wystraszyć.

Chłopak rozluźnił mięśnie, osunął się w błocko.

- Przepraszam - powiedział z trudem. - Kiedy mnie dotknęłaś... Chyba mi się wydało, że to cień.

Znienacka otoczyły ich nogi. Kahlan podniosła wzrok. Byli tu Człowiek Ptak, Savidlin i Weselan. Kobieta głośno płakała. Dziewczyna wstała i podała jej synka.

Tamta oddała Siddina mężowi, objęła Kahlan i zaczęła całować twarz dziewczyny.

- Dzięki ci, Matko Spowiedniczko! Dziękuję, że ocaliłaś mojego synka! - wołała Weselan. - Dziękuję!

- Już dobrze. Już wszystko w porządku. - Kahlan odwzajemniła uścisk. Zapłakana Weselan znów wzięła synka w ramiona. Kahlan zobaczyła leżące w pobliżu ciało Toffalara. Klapnęła w błoto, otoczyła kolana ramionami. Była zupełnie wyczerpana. Oparła czoło o kolana i rozpłakała się. Płakała nie dlatego, że zabiła Toffalara, lecz dlatego, że się zawahała. I że owa chwila słabości niemal kosztowała ją życie. O mało nie stracili przez to życia ona, Richard, Siddin i wszyscy pozostali. Zwycięstwo przypadłoby Rahlowi, bo nie chciała, żeby Richard zobaczył, co zrobi, i dlatego się zawahała. Głupi i beznadziejny postępek, najgłupszy w jej życiu, jak i zatajenie przed chłopakiem, że jest Matką Spowiedniczką. Szlochała ze złości na siebie i z żalu.

Czyjaś ręka ujęła Kahlan za zdrowe ramię i pomogła jej wstać. Człowiek Ptak. Dziewczyna zagryzła drżące wargi, stłumiła łzy. Nie mogła okazać słabości w obecności tych ludzi. Przecież była Spowiedniczką.

- Moje gratulacje, Matko Spowiedniczko - powiedział Człowiek Ptak, po czym wziął od jednego ze swoich ludzi pasek płótna i zaczął owijać skaleczone ramię dziewczyny.

- Dziękuję, czcigodny starszy - odparła Kahlan, unosząc głowę.

- To trzeba zeszyć. Zadbam, by zajął się tobą nasz najzręczniejszy uzdrawiacz.

Kahlan stała sztywno, gdy Błotny Człowiek bandażował ramię, wywołując przy tym fale bólu. Człowiek Ptak popatrzył na Richarda, który leżał w błocie jak w najwygodniejszym na świecie łożu, z zadowoleniem odpoczywając. Starszy uniósł brew i skinieniem głowy wskazał Richarda.

- Twoje słowa, że nie powinienem dawać Poszukiwaczowi powodu do dobycia miecza, były równie celne, jak strzały moich najlepszych łuczników. - W bystrych oczach zatańczyły iskierki, kąciki ust uniosły się w uśmiechu. Człowiek Ptak spojrzał na Poszukiwacza. - I ty wspaniale się spisałeś, Richardzie Popędliwy. Na szczęście złe duchy wciąż jeszcze nie potrafią walczyć mieczem.

- Co on powiedział? - zaciekawił się Richard.

Kahlan przetłumaczyła. Chłopak uśmiechnął się ponuro, wstał i schował miecz. Potem wyjął dziewczynie z dłoni sakiewkę z nocnym kamieniem - nawet nie wiedziała, że wciąż jeszcze ją trzyma. Richard wsunął mieszek do kieszeni.

- Obyśmy nigdy nie spotkali duchów zbrojnych w miecze! - westchnął. Człowiek Ptak przytaknął i dodał:

- Teraz musimy załatwić pewne sprawy.

Złapał za skórę kojota owiniętą wokół Toffalara i pociągnął. Ciało tamtego przetoczyło się w błocie. Człowiek Ptak odwrócił się ku łowcom.

- Pogrzebcie ciało - polecił. - Całe. Mężczyźni niepewnie popatrzyli na siebie.

- To znaczy całe oprócz czaszki, czcigodny starszy?

- Przecież powiedziałem wyraźnie. Całe! Zachowujemy jedynie czaszki poważnych starszych, żeby nam przypominały o ich mądrości. Nie przechowujemy czaszek głupców.

Tłum zadrżał. To najgorsza zniewaga, jaką można było wyrządzić starszemu, najgorsza rzecz, jaka go mogła spotkać. To oznaczało, że jego życie nie było nic warte. Mężczyźni skinęli głowami Nikt nie powiedział słowa w obronie zmarłego starszego. Milczało i pozostałych pięciu starszych.

- Brakuje nam jednego starszego - oznajmił Człowiek Ptak. Odwrócił się, patrząc w oczy otaczającym go ludziom, a potem rzucił kojocią skórę Savidlinowi. - Wybieram ciebie.

Savidlin ujął ubłoconą skórę z taką czcią, jakby to była złota korona. Uśmiechnął się z dumą i pochylił głowę przed Człowiekiem Ptakiem.

- Czy chcesz, jako nowo wybrany starszy, powiedzieć coś naszemu ludowi? - to był rozkaz, a nie pytanie.

Savidlin podszedł, stanął pomiędzy Kahlan a Richardem. Zarzucił skórę kojota na ramiona, uśmiechnął się promiennie i dumnie do Weselan, a potem przemówił do mieszkańców wioski. Kahlan zorientowała się, że wszyscy się zgromadzili wokół nich.

- O najczcigodniejszy spośród nas - powiedział Savidlin do Człowieka Ptaka. - Tych dwoje ludzi stanęło w naszej obronie bezinteresownie, nie dbając o własne życie. Nigdy, jak długo żyję, nie byłem świadkiem podobnego czynu. A przecież mogli zostawić nas naszemu losowi, bo się od nich odwróciliśmy. Lecz nie - walczyli za nas i ów czyn pokazał, jacy są. Są równie dobrzy, jak najlepsi z nas. - Niemal wszyscy skinęli potakująco głowami. - Wnoszę, byś ich przyjął do naszego ludu i ogłosił Błotnymi Ludźmi.

Człowiek Ptak uśmiechnął się leciutko. Potem z poważną miną zwrócił się do pięciu starszych. Dobrze się maskował, lecz Kahlan dostrzegła w jego oczach cień

gniewu.

- Wystąpcie - polecił. Tamci zerknęli jeden na drugiego i zrobili, co kazał. - Savidlin wystąpił z niezwykłą prośbą. W tej sprawie musi być jednomyślność. Czy również tego chcecie?

Savidlin podszedł do łuczników i wziął łuk z rąk jednego z nich. Patrząc zmrużonymi oczami na starszych, gładko nasadził strzałę na cięciwę. Naciągnął cięciwę i stanął przed starszymi:

- Zgódźcie się ze mną lub będziecie mieć nowych starszych, którzy to uczynią.

Tamci patrzyli nań z ponurymi minami. Człowiek Ptak nie zamierzał się wtrącać. Tłum milczał jak zaczarowany, czekał.

W końcu Caldus wysunął się przed starszych, położył dłoń na łuku Savidlina i łagodnie nachylił broń ku ziemi.

- Pozwól nam mówić z serca, Savidlinie, a nie pod presją wycelowanej strzały.

- Mów więc.

Caldus podszedł do Richarda, spojrzał chłopakowi w oczy.

- Każdemu człowiekowi, a zwłaszcza starcowi, ciężko jest przyznać, że postąpił głupio i samolubnie - mówił powoli, dając Kahlan czas na tłumaczenie. - Wy zaś nie zachowaliście się ani głupio, ani samolubnie. I to was dwoje, nie mnie, Błotni Ludzie powinni stawiać za wzór dzieciom. Proszę Człowieka Ptaka, żeby was ogłosił Błotnymi Ludźmi. Nasz lud was potrzebuje, Richardzie Popędliwy i Matko Spowiedniczko. - Wyciągnął ku nim otwarte dłonie. - Zabijcie mnie, jeżeli uważacie, że nie jestem godzien o to prosić, a wystąpi z tym ktoś godniejszy ode mnie.

Pochylił głowę i uklęknął przed Kahlan i Richardem. Dziewczyna przetłumaczyła słowa Caldusa, pominęła tylko swój tytuł. Pozostali czterej starsi uklękli obok Caldusa, przyłączając się do jego prośby. Kahlan westchnęła z ulgą. Nareszcie uzyskali to, czego chcieli, to, czego potrzebowali.

Richard stał nad pięcioma mężczyznami. Skrzyżował ramiona, patrzył na głowy klęczących i milczał. Kahlan nie pojmowała, dlaczego im nie mówi, że wszystko dobrze się skończyło, że wszystko jest jak należy, że mogą powstać. Nikt się nie poruszał. O co mu chodzi? Na co czeka? Już po wszystkim. Dlaczego nie uznaje ich skruchy? Zobaczyła, jak zaciska zęby. Zlodowaciała. Rozpoznała ów błysk w oku. Gniew. Ci ludzie wystąpili przeciwko niemu. Przeciwko niej. Przypomniała sobie, że już raz tego dnia wyciągnął ku nim miecz i potem go cofnął. Ostateczny, nieodwołalny gest. Teraz się zastanawiał, czy ich zabić.

Richard opuścił ramiona, dłoń położył na rękojeści miecza. Ostrze wysunęło się z pochwy równie powoli i gładko jak wcześniej tego dnia. W ciszy zabrzmiał wysoki dźwięk, brzęk stali i dziewczyna zadrżała. Dostrzegła, że chłopak zaczyna szybciej oddychać. Zerknęła na Człowieka Ptaka. Nie drgnął, nie mając zamiaru się poruszyć. Richard tego nie wiedział, lecz według prawa Błotnych Ludzi mógł zabić starszych, gdyby zechciał to uczynić. Naprawdę ofiarowali mu swe życie. Savidlin również nie blefował - mógł ich zabić. Natychmiast. Dla Błotnych Ludzi moc, siła, to zdolność zgładzenia przeciwnika. W oczach mieszkańców wioski ci ludzie już byli martwi i tylko Richard mógł im przywrócić życie.

Zresztą ich prawa i tak nie miały znaczenia. Poszukiwacz sam stanowił prawa, sam decydował, odpowiadając sam przed sobą. Nikt z obecnych nie mógł mu się przeciwstawić.

Richard trzymał Miecz Prawdy nad głowami klęczących i tak mocno zaciskał dłonie na gardzie, że aż zbielały mu kłykcie. Kahlan widziała, jak rośnie w nim gniew, jak narasta pasja, chęć zabicia ich. Wszystko działo się jak we śnie - mogła tylko patrzeć, patrzeć bezsilnie, lecz nie miała wpływu na to, co się dzieje. Przypomniała sobie tych, których znała, a którzy już nie żyli: i tych niewinnych, i tych, którzy oddali życie, żeby powstrzymać Rahla Posępnego. Dennee, wszystkie pozostałe Spowiedniczki, czarodziej, nocny ognik Shar, a może też Zedd i Chase.

I zrozumiała.

Richard nie zastanawiał się na tym, czy powinien ich zabić, lecz nad tym, czy może im darować życie.

Czy może zaufać tym mężczyznom, uwierzyć w ich szczerość, w to, że właściwie doradzą w sprawie powstrzymania Rahla? Czy może im zawierzyć swoje życie? A może powinien mieć nową radę starszych, której bardziej będzie zależeć na jego zwycięstwie?

Jeżeli wątpi, że owi mężczyźni doradzą właściwie w sprawie przeciwko Rahlowi, to powinien ich zabić i mieć nową radę, będącą po jego stronie. Najważniejsze to powstrzymać Rahla. Jeśli istnieje choćby cień możliwości, że ci ludzie; w tym przeszkodzą, to należy ich wyeliminować. Kahlan wiedziała, że Richard postępuje właściwie. I ona nie mogłaby zrobić nic innego, więc i Poszukiwacz musiał to uczynić.

Dziewczyna patrzyła, jak Richard stał nad klęczącymi starszymi. Deszcz przestał padać. Twarz chłopaka spływała potem. Przypomniała sobie, jak cierpiał,

kiedy zabił ostatniego ze ścigających ją wysłańców Rahla. Widziała, jak rozpłomienia się w nim gniew, i miała nadzieję, że ów gniew ochroni go przed skutkami tego, co zamierzał uczynić.

Kahlan wiedziała i rozumiała, dlaczego Poszukiwacz czuł strach. To nie była zabawa - to się działo naprawdę. Richard pogrążył się w sobie, zatracił w magii. Gdyby ktoś go próbował teraz powstrzymać - zginąłby. O ile taki ktoś prze szedłby bez szwanku obok niej.

Ostrze uniesionego miecza znalazło się przed twarzą Richarda. Chłopak odchylił w tył głowę. Zamknął oczy. Drżał z gniewu. Pięciu starszych klęczało bez ruchu przed Poszukiwaczem.

Kahlan przypomniała sobie mężczyznę, którego Richard zabił, pamiętała, jak ostrze spadło na głowę tamtego. Krew, całe mnóstwo krwi. Richard go zabił w bezpośrednim starciu. Zabij lub sam zginiesz, nieważne, że ów człowiek zagrażał jej, a nie chłopakowi. Bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Tym razem było inaczej, chodziło o domniemane zagrożenie i odmienny sposób zadania śmierci. Zupełnie odmienny. To miała być egzekucja. A Richard był zarazem sędzią i katem.

Chłopak opuścił miecz. Spojrzał groźnie na starszych, zacisnął pięść i powoli przeciągnął ostrzem po lewym przedramieniu. Obrócił klingę, zanurzył obie strony we krwi, aż zaczęła spływać i skapywać z czubka miecza. Kahlan pospiesznie rozejrzała się wokół. Błotni Ludzie stali jak sparaliżowani, porażeni rozgrywającym się przed ich oczami dramatem. Nie chcieli na to patrzeć, a mimo to nie mogli odwrócić oczu. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Nikt nawet nie mrugnął.

Wszyscy patrzyli, jak Richard znów uniósł miecz i dotknął nim czoła.

- Nie zawiedź mnie, Mieczu - szepnął chłopak.

Lewa ręka Richarda lepiła się od krwi. Kahlan widziała, jak chłopak drży. Stal klingi przebłyskiwała miejscami spod plam krwi. Poszukiwacz spojrzał na klęczących mężczyzn.

- Patrz na mnie - powiedział do Caldusa, lecz starszy ani drgnął. - Patrz na mnie, kiedy będę to czynił! - ryknął chłopak. - Spójrz mi w oczy!

Cal duś trwał nieruchomo.

- Richardzie - odezwała się Kahlan.

Spojrzały na nią płonące gniewem oczy, oczy patrzące z innego świata. Tańczyła w nich magia.

Dziewczyna zachowała spokój i dodała:

- On cię nie rozumie.

- No, to przetłumacz!

- Caldusie. - Starszy spojrzał na pozbawioną wyrazu twarz. - Poszukiwacz żąda, byś patrzył mu w oczy, kiedy będzie to czynił.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, po prostu wbił wzrok w gniewne oczy Poszukiwacza.

Richard gwałtownie wciągnął powietrze, miecz śmignął w gorę. Kahlan patrzyła, jak czubek ostrza zatrzymał się na moment. Niektórzy mieszkańcy wioski odwrócili oczy, inni - zasłonili oczy dzieciom. Dziewczyna wstrzymała oddech i odwróciła się nieco, żeby uniknąć odłamków kości.

Poszukiwacz z krzykiem opuścił miecz. Ostrze ze świstem przecięło powietrze. Tłum wstrzymał oddech.

Czubek miecza zatrzymał się tuż przed twarzą Caldusa, dokładnie tak samo, jak się zatrzymał przed drzewkiem w ów dzień, kiedy Zedd kazał je chłopakowi ściąć.

Richard stał nieruchomo - wydawało się, że trwa to całą wieczność - z ramieniem twardym jak ze stali. Wreszcie poluźnił mięśnie i cofnął miecz sprzed twarzy Caldusa, odwrócił od starca gniewny wzrok.

- Jak będzie w ich języku: „Przywracam wam życie i godność”? - spytał dziewczynę.

Powiedziała mu.

- Caldusie, Surinie, Arbrinie, Breginderinie i Hajanlecie - oznajmił Richard na tyle głośno, żeby wszyscy słyszeli - przywracam wam życie i godność.

Przez chwile panowała cisza, a potem buchnęły głośne okrzyki radości. Richard wsunął miecz do pochwy i pomógł starszym wstać. Uśmiechnęli się do niego, jeszcze bladzi, lecz uradowani jego postępkiem i pełni ulgi.

- Jednym głosem zanosimy do ciebie prośbę, o najczcigodniejszy ze starszych. Co nam odpowiesz? - zwrócili się do Człowieka Ptaka.

Człowiek Ptak stał ze skrzyżowanymi ramionami. Patrzył na tamtych pięciu, potem przeniósł wzrok na Richarda i Kahlan. W jego oczach wciąż jeszcze widniało napięcie wywołane tym, co się przed chwilą rozegrało. Opuścił ramiona i podszedł do Richarda. Poszukiwacz był zmęczony, wyczerpany. Człowiek Ptak otoczył ramieniem chłopaka i Kahlan, jakby im gratulował odwagi, potem dotknął dłonią ramion każdego ze starszych - na znak, że wszystko zostało wyjaśnione. Na koniec odwrócił

się i odszedł, dając znak, by poszli za nim. Kahlan i Richard szli tuż za nim, dalej Savidlin i reszta starszych, królewski orszak.

- Spodziewałeś się, że miecz się zatrzyma, Richardzie? - szepnęła Kahlan.

- Nie - odparł, patrząc przed siebie, głęboko zaczerpnąwszy powietrza.

I jej się tak zdawało. Spróbowała sobie wyobrazić, co teraz czuje Richard. Co prawda nie ściął starszych, lecz zamierzał to zrobić, przygotował się na to. Został mu oszczędzony czyn, lecz nie zamiar i musiał to odpokutować. Kahlan się zastanawiała, czy dobrze uczynił, darując życie starszym. Wiedziała, co ona by zrobiła na miejscu chłopaka: na pewno nie okazałaby łaski. Stawka była zbyt duża. Lecz ona przeżyła i wiedziała więcej niż on. Być może zbyt wiele i dlatego zbyt była skora do zabijania. Nie możesz zabijać za każdym razem, gdy grozi niebezpieczeństwo, a ono groziło stale. Trzeba to powstrzymać.

- Jak ręka? - spytał Richard, wyrywając jaz zadumy.

- Boli jak licho - przyznała dziewczyna. - Człowiek Ptak powiedział, że ranę trzeba zeszyć.

- Potrzebna mi przewodniczka - powiedział spokojnie chłopak i dodał: - Przestraszyłaś mnie.

To miała być wymówka. Kahlan się zaczerwieniła. Rada była, że na nią nie patrzy i nie widzi rumieńców. Nie wiedział, co ona może uczynić, lecz widział, że się wahała. Była o włos od popełnienia błędu, naraziła wszystkich, bo nie chciała, żeby zobaczył jej czyn. A on nie zmuszał jej do wyjaśnień, choć miał do tego prawo, uszanował jej uczucia. Kahlan miała wrażenie, że serce jej pęknie.

Weszli na podwyższenie pod wspartym na palach dachem. Starsi stanęli z tyłu, Człowiek Ptak - pomiędzy Richardem i Kahlan. Patrzyli na tłum.

- Jesteś gotowa to uczynić? - Człowiek Ptak patrzył na nią z napięciem.

- Co masz na myśli? - spytała podejrzliwie dziewczyna.

- A to, że jeśli obydwoje macie zostać Błotnymi Ludźmi, powinnaś respektować nasze prawa i nasze obyczaje.

- Tylko ja wiem, na co się porwaliśmy. Sądzę, że zginę. - Celowo mówiła twardym tonem. - I tak już zbyt wiele razy umknęłam śmierci. Chcemy ocalić twój lud. Oboje przysięgaliśmy, że w razie potrzeby poświęcimy nasze życie, żeby was ocalić. Czyż można ofiarować więcej niż życie?

Człowiek Ptak wiedział, że Kahlan stara się uniknąć odpowiedzi na pytanie, i nie pozwolił się zbyć dziewczynie.

- Nie godzę się na to z lekkim sercem. Czynię to, bo wiem, że walczycie z przekonaniem, że naprawdę chcecie ochronić mój lud przed nadciągającą burzą. Lecz musicie mi pomóc. Musicie przyjąć nasze obyczaje. Nie po to, żeby mi sprawić przyjemność, lecz z szacunku dla mojego ludu. Oni tego oczekują.

- Nie jem mięsa - skłamała Kahlan. W gardle tak jej zaschło, że z trudem mówiła. - Wiesz to od mojej poprzedniej wizyty u was.

- Wybaczą ci to. Jesteś co prawda wojownikiem, ale i kobietą, więc wybaczą. To mogę ci zapewnić. Status Spowiedniczki zwalnia cię z tego drugiego. - Dziewczyna wyczytała w jego oczach, że na tym kończą się ustępstwa. - Ale to nie dotyczy Poszukiwacza. On musi to uczynić.

- Ale...

- Przecież sama powiedziałaś, że go nie wybierzesz na partnera. Jeśli chce zwołać zgromadzenie, musi się stać jednym z nas.

Kahlan nie miała wyjścia. Richard by się wściekł, i miałby po temu powód, gdyby teraz odmówiła. Przegraliby z Rahlem. Richard pochodził z Westlandu, nie znał zwyczajów ludów żyjących w Midlandach. Może będzie protestować? Nie mogła ryzykować. Stawka była zbyt wielka. Człowiek Ptak czekał na odpowiedź.

- Uczynimy to, czego wymagają wasze prawa - powiedziała Kahlan, starając się ukryć swoje myśli.

- Czy chcesz zapytać Poszukiwacza, co o tym myśli?

- Nie - Odwróciła głowę, popatrzyła nad głowami czekającego tłumu.

Człowiek Ptak ujął w dłoń brodę Kahlan i odwrócił ku sobie twarz dziewczyny.

- Wiec dopilnujesz, by uczynił to, co należy. Odpowiadasz za to słowem. W Kahlan obudził się gniew. Richard wychylił się zza Człowieka Ptaka.

- O co chodzi, Kahlan? Coś nie tak?

Przeniosła wzrok z chłopaka na tamtego i skinęła głową.

- Nic, nic. Wszystko w porządku.

Człowiek Ptak puścił Kahlan, odwrócił się ku mieszkańcom wioski i dmuchnął w gwizdek, który nosił na szyi. Zaczął opowieść o ich dziejach, obyczajach, o tym, dlaczego unikali obcych wpływów i że mają prawo być dumnym ludem. Mówił, a z przestworzy spływały gołębie i siadały wśród słuchaczy.

Kahlan stała nieruchomo na podwyższeniu, słuchała, nie słysząc ani słowa; czuła się jak schwytane w pułapkę zwierzątko. Owszem, miała nadzieję, że

przekonają Błotnych Ludzi i zostaną przyjęci do ich plemienia, ale nie przyszło jej do głowy, że się będą musieli zgodzić na to wszystko! Sądziła, że inicjacja będzie czysto formalna, a zaraz potem Richard poprosi o zwołanie zgromadzenia. Nie przyszło jej do głowy, że to się tak potoczy... Może po prostu nie wszystko mu powie? Nawet by się nie zorientował, w końcu nie rozumie ich języka. Przemilczy i już. Tak będzie najlepiej. Ale cała reszta będzie aż nazbyt oczywista, dumała przygnębiona dziewczyna. Uszy jej się zarumieniły, ścisnęło jaw dołku.

Richard wyczuł, że słowa Człowieka Ptaka nie były przeznaczone dla niego, i nie poprosił o przetłumaczenie. Człowiek Ptak zakończył wprowadzenie i przeszedł do sedna sprawy.

- Kiedy ci dwoje do nas przybyli, byli obcymi. Swoimi czynami dowiedli, że leży im na sercu dobro naszego ludu, dowiedli, ile są warci. Wiedzcie, że od tej chwili Richard Popędliwy i Spowiedniczka Kahlan są Błotnymi Ludźmi.

Kahlan przetłumaczyła, opuszczając swój tytuł; tłum radośnie krzyczał. Richard uśmiechnął się i uniósł dłoń, a ludzie wiwatowali jeszcze głośniej. Savidlin przyjacielsko klepnął chłopaka w plecy. Człowiek Ptak położył dłonie na ramionach Kahlan i Richarda, przyjaźnie ścisnąwszy ramię dziewczyny, jakby przepraszając za wymuszoną zgodę. Odetchnęła głęboko, pogodziła się z tym. Już wkrótce będzie po wszystkim i odejdą stąd, wyruszą znów przeciwko Rahlowi. Tylko to się liczyło. Poza tym to właśnie ona jedna nie miała prawa się sprzeciwiać.

- I jeszcze jedno - podjął Człowiek Ptak. - Tych dwoje nie urodziło się Błotnymi Ludźmi. Kahlan urodziła się Spowiedniczka: to wrodzony dar, nie wybór. Richard Popędliwy jest z Westlandu, spoza granicy; tamtejsze zwyczaje są nam zupełnie nie znane. Obydwoje się zgodzili zostać Błotnymi Ludźmi i przestrzegać od dziś naszych praw i obyczajów, jednakże powinniśmy pamiętać, że są one dla nich obojga tajemnicą. Musimy być dla nich wyrozumiali i cierpliwi, bo po raz pierwszy starają się być Błotnymi Ludźmi. My jesteśmy nimi przez całe nasze życie, oni - pierwszy dzień. Są jak nasze nowe dzieci. Okażmy im, jak dzieciom, wyrozumiałość, a oni się postarają zrobić wszystko jak należy.

Tłum szeptał, głowy kiwały potakująco, wszyscy uznali, że Człowiek Ptak mądrze powiedział. Kahlan odetchnęła: Człowiek Ptak zostawił i sobie, i im furtkę na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Naprawdę był mądry. Znów ścisnął ramię dziewczyny, a ona nakryła jego dłoń swoją i odwzajemniła uścisk.

Richard nie zmarnował ani chwili. Zwrócił się do starszych;

- To zaszczyt dla mnie, że stałem się jednym z Błotnych Ludzi. Wszędzie, gdzie się znajdę, będę stał na straży honoru naszego ludu i postaram się, żebyście byli ze mnie dumni. Teraz naszemu ludowi zagraża niebezpieczeństwo. Potrzebuję pomocy, by móc was chronić. Proszę o zwołanie rady widzących. Proszę o zwołanie narady.

Kahlan przetłumaczyła i każdy ze starszych potakująco skinął głową.

- Zgoda - oznajmił Człowiek Ptak. - Przygotowania do narady potrwają trzy dni.

- O czcigodny starszy - powiedział Richard, hamując się. - Wielkie jest owo niebezpieczeństwo. Szanuję wasze obyczaje, lecz czy nie dałoby się tego przyspieszyć? Życie Błotnych Ludzi od tego zależy.

Człowiek Ptak głęboko zaczerpnął powietrza. Jego srebrnosiwe włosy zalśniły w przytłumionym świetle dnia.

- W tych szczególnych okolicznościach zrobimy, co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Dzisiejszego wieczoru odbędzie się uczta, jutrzejszego - narada. Szybciej się nie da. Musimy poczynić przygotowania umożliwiające starszym porozumienie się z duchami.

- A więc tego wieczoru - rzekł chłopak. I on głęboko odetchnął. Człowiek Ptak znów dmuchnął w gwizdek i gołębie odleciały. Kahlan miała takie uczucie, jakby i ich wszelkie nadzieje - szaleńcze i nieziszczalne - odleciały wraz z ptakami.

Ruszyły przygotowania, a Savidlin zabrał Richarda do swego domu, żeby opatrzyć rany chłopaka i pozwolić mu się umyć. Człowiek Ptak zaprowadził Kahlan do uzdrawiacza, który miał się zająć rozciętym ramieniem dziewczyny. Bandaż nasiąkł krwią i rana bolała przeraźliwie. Prowadził Kahlan wąziutkimi uliczkami opiekuńczo obejmując jej ramiona. Dziewczyna była mu wdzięczna, ze me wspomniał o uczcie.

Człowiek Ptak zostawił Kahlan pod opieką przygarbionej kobiety o imieniu Nissel, którą pouczył, że ma dbać o dziewczynę, jak o jego rodzoną córkę. Nissel rzadko się uśmiechała, przeważnie zupełnie nieoczekiwanie, i odzywała się tylko po to, żeby wydać jakieś polecenie. Stań tu, wyciągnij rękę, podnieś ją do góry, opuść, oddychaj, nie oddychaj, wypij to, połóż się, recytuj Canrę. Kahlan nie miała pojęcia, co to Candra. Nissel wzruszyła ramionami i w zamian kazała jej utrzymywać w równowadze dwa płaskie kamienie, ułożone jeden na drugim na brzuchu dziewczyny, a sama zbadała ranę. Kiedy bolało i kamienie zaczynały się zsuwać, Nissel pouczyła

ją, że powinna się bardziej przykładać do utrzymania ich w równowadze. Dała Kahlan do żucia liście o gorzkawym smaku, zdjęła jej odzież i obmyła ją.

Kąpiel bardziej pomogła Kahlan niż liście. Dawno się tak dobrze nie czuła w kąpieli. Chciała, żeby smutne myśli spływały wraz z błotem. Bardzo, bardzo się o to starała. Nissel zostawiła dziewczynę w wodzie, a sama wyprała jej ubranie i rozwiesiła je przy ogniu, na którym, w małym garnku, bulgotała brązowa papka, pachnąca smołą sosnową. Potem wytarła Kahlan, owinęła w ciepłe skóry i usadowiła na ławce wbudowanej w ścianę w pobliżu podwyższonego paleniska. Im dłużej dziewczyna żuła liście, tym bardziej jej smakowały, ale zaczęło się jej kręcić w głowie.

- Po co te liście, Nissel?

Nissel oderwała się od oglądania koszuli Kahlan, choć bardzo ją intrygował ów strój.

- Uspokoją cię i odprężą, nie poczujesz, co będę robić. Nie przestawaj żuć. Nie bój się, dziecko. Nawet nie poczujesz, kiedy będę szyć.

Kahlan natychmiast wypluła liście. Stara kobieta popatrzyła na leżące na podłodze liście i pytająco uniosła brew.

- Jestem Spowiedniczką, Nissel. Jeśli te liście tak działają, to mogę stracić kontrolę nad moją mocą. I kiedy mnie dotkniesz, mogę ją niechcący uwolnić.

- Przecież sypiasz, dziecino. Wtedy też się odprężasz i rozluźniasz - zdumiał się Nissel.

- To zupełnie co innego. Sypiam od urodzenia, zanim obudziła się moja moc. Jeśli coś mnie rozproszy lub otumani, tak jak twoje liście, w nieznany mi sposób, to mogę uwolnić moc, wcale tego nie chcąc.

Nissel ze zrozumieniem kiwnęła głową. Wtem uniosła brwi nachyliła się ku dziewczynie.

- No, to jak ty...

Pozbawiona wyrazu twarz Kahlan nie powiedziała nic, a zarazem wszystko. Tamta nagle pojęła. Wyprostowała się.

- Och! Teraz rozumiem.

Ze współczuciem pogładziła włosy dziewczyny, po czym podreptała w najdalszy kąt izby i wróciła z kawałkiem skóry.

- Weź to w zęby. - Poklepała Kahlan po zdrowym ramieniu. - A jakby cię znów zraniono, to dopilnuj, żeby cię przynieśli do Nissel. Zapamiętam, czego nie

należy robić. Czasami, kiedy jest się uzdrowicielem, ważniejsza jest pamięć o tym, czego nie wolno robić. Może to się odnosi i do Spowiedniczek, hmm?

Kahlan się uśmiechnęła i przytaknęła.

- A teraz, dziecinko, mocno zaciśnij zęby na tej skórze.

W końcu Nissel skończyła i wilgotnym, zimnym płótnem obmyła z potu twarz Kahlan. Dziewczynie tak się kręciło w głowie i tak ją mdliło, że nie mogła usiedzieć. Nissel położyła ją, nałożyła na ranę brązową papkę i obandażowała ramię.

- Prześpij się trochę. Obudzę cię przed ucztą.

Kahlan położyła dłoń na ramieniu kobiety i zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję, Nissel.

Obudziła się, czując, że ktoś szczotkuje jej włosy. Wyschły, kiedy spała. Nissel uśmiechnęła się do niej.

- Trudno ci będzie szczotkować te piękne włosy, dopóki ramię się nie wygoi. Mało kto ma takie wspaniałe włosy jak ty. Pomyślałam sobie, że chciałabyś je mieć wyszczotkowane na ucztę. Już wkrótce się zacznie. Na zewnątrz czeka na ciebie przystojny młodzian.

Kahlan usiadła.

- Dawno tam jest?

- Prawie cały czas. Próbowałam go przepędzić miotłą, ale nie chciał odejść. Jest uparty, prawda?

- O, tak. - Dziewczyna uśmiechnęła się.

Nissel pomogła jej włożyć czyste i suche ubranie. Ramię nie bolało już tak bardzo jak przedtem. Richard czekał niecierpliwie, oparty o ścianę domu. Wyprostował się, kiedy dziewczyna wyszła. Był czysty i odświeżony, zmył błoto. Ubrany w skórzane spodnie i bluzę, oczywiście miał swój miecz. Nissel miała racje - był przystojny.

- Jak się czujesz? Jak twoje ramię? Już w porządku?

- Wspaniale. - Kahlan uśmiechnęła się. - Nissel mnie pozszywała.

- Dziękuję, Nissel. Wybaczam ci tę miotłę... - Richard cmoknął kobietę w czubek głowy.

Nissel uśmiechnęła się, gdy Kahlan przetłumaczyła. Nachyliła się i spojrzała mu głęboko w oczy, aż się zmieszał.

- Przyrządzić jakąś miksturę, która by mu dodała wigoru? - spytała dziewczynę.

- Nie, poradzę sobie bez tego - zjeżyła się Kahlan.

Rozdział dwudziesty siódmy

Richard i Kahlan szli pomiędzy stłoczonymi, ciemnymi chatami. Z centrum osady dolatywały śmiechy i dudnienie bębnów. Czarne chmury nie kropiły deszczem, a w wilgotnym, parnym powietrzu unosiła się woń mokrych traw, bujnie rosnących wokół wioski. Podwyższenie pod wiatami rozjaśniło światło pochodni, a wokół centralnego placu rozpalono ogniska. Ogień trzeszczał i syczał, rzucając roztańczone cienie Kahlan wiedziała, jak wiele wysiłku wymagało zgromadzenie drewna do gotowania i wypalania i jak niewielkie były tamte ogniska Błotni Ludzie rzadko sobie pozwalali na rozpalane takich ognisk jak dziś.

Dziewczyna czuła rozchodzące się od kuchennych palenisk wspaniałe aromaty, ale nie pobudzały jej apetytu Wszędzie kręciły się odświętnie przystrojone kobiety i młode dziewczyny, miały na wszystko oko i o wszystko dbały. Mężczyźni przywdziali najlepiej wyprawione skóry, przytroczyli do pasów obrzędowe noże, a włosy tradycyjnie pokryli błotem.

Trwało wielkie gotowanie. Mieszkańcy osady kręcili się tu i tam, próbując potraw, rozmawiając, słuchając opowieści.

Zdawało się, że większość z nich albo gotowała, albo coś jadła. Wszędzie było mnóstwo dzieci: bawiły się, biegały i śmiały podekscytowane tym, że pozwolono im nie spać, i ogniskami, i zgromadzeniem.

Pod dachami z trawy siedzieli muzykanci. Uderzali w bębny i skrobali płasko zakończonymi „smyczkami" po falistej powierzchni boldów, wydrążonych rur o dzwonowatym kształcie. Owa dziwaczna muzyka, która miała przywołać na ucztę duchy przodków niosła się daleko nad trawiastą okolicą. Druga grupa muzykantów siedziała po przeciwległej strome placu. Osobliwe melodie czasem się splatały, czasem rozdzielały i nawoływały frenetycznymi, szaleńczymi tonami. Mężczyźni przebrani za zwierzęta lub pomalowani jak myśliwi skakali i tańczyli odgrywając legendy Błotnych Ludzi. Wokół tancerzy stały zachwycone dzieciaki i naśladowały ich, przytupując w rytm wybijany przez bębny. Pary młodych wolały ustronniejsze zakątki; przytuleni, obserwowali to, co się działo dokoła. Kahlan jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

Nadszedł Savidlin, na ramionach miał świeżo wyczyszczoną skórę kojota. Zaprowadził Kahlan i Richarda do starszych; całą drogę poklepywał chłopaka po o plecach. Człowiek Ptak był, jak zwykle, w skórzanych spodniach i bluzie; nie musiał się stroić, zajmował odpowiednio wysoką pozycję. Zobaczyli Weselan i żony

pozostałych starszych. Weselan usiadła przy Kahlan, ujęła jej dłoń i troskliwie wypytywała o zranione ramię. Dziewczyna nie była przyzwyczajona, że inni się nią troszczą, sprawiało jej to przyjemność. Dobrze było być jednym z Błotnych Ludzi, choćby i pozornie. Pozornie - bo urodziła się Spowiedniczką i nic nie mogło tego zmienić, choćby nie wiem jak chciała. Zrobiła więc to, czego się już dawno nauczyła - odsunęła na bok swoje uczucia i zaczęła rozmyślać o czekających ją zadaniach, o Rahlu Posępnym, o tym, że zostało tak niewiele czasu, i o Dennee.

Richard, który się już pogodził z tym, że musieli jeszcze jeden dzień czekać na naradę, robił, co mógł, żeby się dostroić do ogólnego tonu: uśmiechał się i kiwał głową, choć nie rozumiał, co do niego mówiono. Obok przesuwał się nieustający korowód, wszyscy chcieli powitać najnowszych Błotnych Ludzi. Kahlan musiała przyznać, iż darzą ją takimi samymi względami jak Richarda.

Siedzieli na podłodze, witając się z podchodzącymi mieszkańcami wioski. Niektórzy z nich przysiadali się na chwilę. Ustawiono przed nimi plecione tace i gliniane misy, pełne różności.

Richard spróbował większości potraw, pamiętając, żeby jeść prawą ręką. Kahlan pogryzała chleb tava; nie mogła nic nie jeść, sprawiłaby im przykrość.

- Smaczne - powiedział chłopak, biorąc kolejne żeberko. - To chyba wieprzowina.

- To z dzika - odparła Kahlan, obserwując tancerzy.

- Sarnina też jest dobra. Weź kawałek.

- Nie, dziękuję.

- Nic ci nie jest? Od kiedy jesteśmy u Błotnych Ludzi, nie zjadłaś ani kawałka mięsa.

- Po prostu nie jestem głodna i tyle. Wzruszył ramionami i zjadł sarninę.

Strumień witających przerzedził się i w końcu zupełnie ustał. Wszyscy wrócili do swoich spraw. Kahlan dostrzegła kątem oka, że Człowiek Ptak unosi rękę, dając komuś znak. Dziewczyna opanowała swoje odczucia i - jak ją tego nauczyła matka - przybrała „twarz Spowiedniczki”, obojętną i niezdradzającą żadnych uczuć.

Nieśmiało zbliżały się cztery wstydliwie uśmiechnięte młode dziewczyny. Włosy miały krótkie, przylizane błotem. Richard powitał je jak innych - uśmiechem, skinieniami głowy, lekkimi klepnięciami. Stały przed nim, trącając się łokciami, chichocząc, szepcąc, jakiż to on przystojny. Kahlan zerknęła na Człowieka Ptaka - kiwnął głową.

- Czemu sobie nie idą? - spytał półgębkiem Richard. - Czego chcą?

- Są dla ciebie - odparła z dobrze udaną obojętnością.

- Dla mnie. I co mam z nimi zrobić? - Popatrzył na nie bez wyrazu, a tańczące płomienie oświetliły mu twarz.

Kahlan odetchnęła głęboko i przez chwilę patrzyła w ogień.

- Jestem tylko twoją przewodni czka., Richardzie. Jeśli potrzebujesz tego typu rad, to musisz ich poszukać u kogoś innego.

Milczeli przez chwilę.

- Wszystkie cztery? Dla mnie?

Dziewczyna odwróciła się ku niemu. Uśmiechał się figlarnie. Bardzo ją to zirytowało.

- Nie, nie wszystkie. Musisz wybrać jedną.

- Wybrać jedną? - powtórzył, wciąż głupkowato uśmiechnięty. Dziewczyna pocieszała się myślą, że przynajmniej tym razem Richard nie narobi kłopotów. A on patrzył to na jedną, to na drugą, to na pozostałe dziewczyny.

- Wybrać jedną. Trudno będzie. Jak długo mogę się namyślać?

Kahlan odwróciła wzrok ku ognisku i na moment zamknęła oczy, a potem powiedziała do Człowieka Ptaka:

- Poszukiwacz pyta, kiedy musi zdecydować, którą wybiera.

- Zanim pójdzie się położyć - odparł tamten, nieco zdumiony pytaniem. - Wtedy musi jedną wybrać i dać naszemu ludowi potomka. W ten sposób połączy się z nami poprzez krew.

Przetłumaczyła Richardowi te słowa. Rozważał je z uwagą.

- Bardzo mądrze. - Popatrzył na Człowieka Ptaka, uśmiechnął się do niego i skinął głową. - Człowiek Ptak jest bardzo mądry.

- Poszukiwacz mówi, że jesteś bardzo mądry - przetłumaczyła Kahlan, uważnie kontrolując ton głosu.

Przyjął to z zadowoleniem, pozostali starsi również. Wszystko szło po ich myśli.

- Hmm, to będzie trudna decyzja. Muszę to przemyśleć. Nie mogę działać pochopnie.

Kahlan odgarnęła nieposłuszne pasmo włosów i rzekła dziewczętom:

- Poszukiwaczowi trudno się zdecydować.

Richard uśmiechnął się promiennie do wszystkich czterech i energicznymi

gestami zaprosił je na podwyższenie. Dwie usiadły z dala od niego, a dwie wcisnęły się pomiędzy niego a Kahlan, tak że się musiała odsunąć. Opierały się o niego, chichotały i kładły dłonie na jego ramionach, podziwiając mięśnie. Mówiły Kahlan, jakiż on jest wielki i że na pewno spłodzi duże dzieci. Chciały wiedzieć, czy mu się podobają. Odparła, że nie wie. Błagały, żeby go o to spytała. Więc znów głęboko nabrała powietrza i spełniła ich prośby.

- Chcą wiedzieć, czy ci się podobają, czy są według ciebie ładne.

- Jasne! Są piękne! Wszystkie cztery. To dlatego nie mogę się zdecydować. A według ciebie nie są śliczne?

Zignorowała to pytanie i zapewniła dziewczęta, że bardzo się poszukiwaczowi podobają. Zaśmiały się wstydliwie. Człowiek Ptak i starsi mieli zadowolone miny. Rozpływali się w uśmiechach; nic dziwnego - wszystko było pod ich kontrolą. Kahlan siedziała jak odrętwiała, patrzyła na tancerzy, wcale ich nie widząc.

Dziewczęta karmiły Richarda palcami i chichotały przy tym. Chłopak powiedział Kahlan, że to najwspanialsza uczta w jego życiu, i spytał, czy i ona jest tego zdania. Przełknęła ślinę, zdławiła ucisk w gardle i zgodziła się, że istotnie jest wspaniale. Uparcie patrzyła przed siebie, na tańczące w mrokach iskry.

Po pewnym czasie - upłynęły godziny? - zbliżyła się stara kobieta, niosąca dużą, okrągłą, plecioną tacę. Głowę miała pochyloną. Na tacy leżały paski suszonego mięsa.

Kahlan gwałtownie ocknęła się z zadumy.

Tamta, nie podnosząc głowy, podeszła z szacunkiem do starszych i w milczeniu podsunęła każdemu tacę. Pierwszy wziął pasek mięsa Człowiek Ptak, potem pozostali. Niektóre z żon poszły w ich ślady. Weselan, siedząca obok męża, odmówiła. Kobieta podsunęła tacę Kahlan, lecz i ona uprzejmie odmówiła. Tamta przysunęła tacę Richardowi - wziął kawałek mięsa. Cztery dziewczyny potrząsnęły pochylonymi głowami, odmawiając poczęstunku, i popatrzyły na Richarda. Kahlan poczekała, aż odgryzie kęs, spojrzała w oczy Człowieka Ptaka i znów się zapatrzyła w płomienie.

- Ciężko mi wybrać którąś z tych ślicznych dziewczyn - odezwał się Richard, przełknąwszy kęs mięsa. - Mogłabyś mi w tym pomóc, Kahlan? Którą wybrać? Jak uważasz?

Spojrzała w jego uśmiechniętą twarz, z trudem panując nad oddechem.

- Racja, to trudny wybór. Ale pozostawiam go tobie.

Zjadł jeszcze trochę mięsa, a ona zaciskała zęby i z trudem dławiła łzy.

- Dziwny smak, nigdy czegoś takiego nie jadłem - przerwał, a głos mu się zmienił: - Co to takiego?

Ton głosu Richarda sprawił, że niemal podskoczyła. Popatrzył na nią twardo, groźnie. Kahlan obiecywała sobie, że mu nie powie, ale owo spojrzenie skłoniło ją do zmiany zdania. Spytała Człowieka Ptaka i powiedziała chłopakowi:

- On twierdzi, że to strażak.

- Strażak. - Richard pochylił się w przód. - A cóż to za zwierzę? Kahlan spojrzała w przeszywające szare oczy i odparła cicho.

- To jeden z ludzi Rahla Posępnego.

- Rozumiem. - Chłopak odchylił się w tył.

Wiedział. Dziewczyna uświadomiła sobie, że znał odpowiedź zanim zadał pytanie. Chciał sprawdzić, czy go nie okłamie.

- A kim są ci strażacy?

Kahlan zapytała starszych, skąd się dowiedzieli o strażakach. Savidlin chętnie opowiedział całą historię. Kiedy skończył, ona z kolei przekazała ją Richardowi.

- Strażacy to zbrojni, którzy jeżdżą po kraju i ogłaszają dekret Rahla, że nie wolno rozpalać ognia. Potrafią być brutalni i okrutni. Savidlin mówił, że dwaj z nich przybyli tu parę tygodni temu i powiedzieli, że ogień jest zakazany, i grozili Błotnym Ludziom, kiedy ci nie chcieli się podporządkować nowemu prawu. Mieszkańcy wioski bali się, że tamci mogą pojechać po posiłki. Więc zabili tych dwóch. Błotni Ludzie wierzą, że zjadając wroga, pozyskują jego wiedzę. Musisz zjeść mięso wroga i pozyskać jego wiedzę, żeby się stać jednym z Błotnych Ludzi. To najważniejszy cel dzisiejszej uczty. To oraz przywołanie duchów przodków.

- Czy zjadłem już dość, by zadowolić starszych? - spytał.

- Tak. - Nie mogła znieść wyrazu jego oczu. Żałowała, że nie może uciec. Richard niespiesznie odłożył pasek suszonego mięsa. Znów się uśmiechał.

Otoczył ramionami dwie najbliżej siedzące dziewczyny i patrząc na nie, rzekł do Kahlan:

- Wyświadcz mi przysługę. Przynieś mi jabłko z mojego plecaka. Potrzebne mi coś znanego, żebym się mógł pozbyć z ust tego smaku.

- Przecież ci nie odjęło nóg - odburknęła.

- Pewnie, że nie. Ale potrzebuję trochę czasu na zdecydowanie, z którąż tych ślicznotek dziś legnę.

Dziewczyna poderwała się, łypnęła wściekle na Człowieka Ptaka i energicznie ruszyła ku domowi Savidlina. Cieszyła się, że nie musi patrzeć, jak tamte dziewczyny wdzięczą się i tulą do Richarda. Mijała rozradowanych, szczęśliwych ludzi i sama o tym nie wiedząc, mocno wbijała paznokcie w dłonie. Tancerze tańczyli, bębniści wybijali rytm, dzieci się śmiały. Ludzie, których mijała, mówili jej miłe słowa. Chciała, żeby ktoś powiedział coś paskudnego, żeby miała pretekst do uderzenia go. Dotarła wreszcie do chaty Savidlina i osunęła się na rozłożone na podłodze skóry, nie mogąc powstrzymać łez. Tylko parę minut, pocieszała sama siebie, a znów odzyska panowanie nad sobą. Richard robił to, czego chcieli Błotni Ludzie, co ona obiecała za niego Człowiekowi Ptakowi. Nie miała prawa się złościć, najmniejszego prawa; Richard nie należał do niej. Nie miała prawa być zazdrosna. A mimo to się złościła, była wściekła. Przypomniała sobie, co powiedziała Człowiekowi Ptakowi - że sama doprowadziła do tych kłopotów, sama musi ponieść konsekwencje i bardzo się ich obawia. Richard robił, co trzeba, żeby uzyskać naradę, dowiedzieć się, gdzie jest szkatuła, i powstrzymać Rahla. Kahlan otarła łzy. Ale wcale nie musiał być taki zachwycony... Nie musiał się zachowywać jak...

Dziewczyna wyjęła z plecaka jabłko. A cóż ją to w końcu obchodzi. Jest jak jest, a ona nie może tego zmienić. Trudno jednak oczekiwać, żeby się z tego cieszyła. Zagryzła wargi i wypadła z chaty, próbując przybrać „twarz Spowiedniczki". Na szczęście było ciemno.

Kahlan minęła świętujących ludzi i dotarła do podwyższenia starszych. Richard siedział bez bluzy, a dziewczęta malowały go w znaki łowcy Błotnych Ludzi. Palcami unurzanymi w białej i czarnej glinie rysowały zygzakowate linie na piersi chłopaka, obręcze wokół jego ramion. Przestały, kiedy wyrosła nad nimi i łypnęła ze złością.

- Masz. - Wcisnęła mu jabłko w dłoń i energicznie usiadła. - Jeszcze się nie zdecydowałem - poinformował ją Richard, wycierając jabłko o nogawkę i patrząc kolejno na dziewczęta. - Na pewno żadnej mi nie polecasz? Skorzystałbym z twojej rady. - Zniżył głos, znów znacząco zabrzmiała w nim ostra nuta. - Dziwię się, że od razu którejś nie wybrałaś.

Spojrzała w oczy Richarda, zaskoczona jego słowami. Wiedział. Wiedział, że i na to się zgodziła w jego imieniu.

- Nie. Możesz wybrać, którą chcesz, zadowoli ich każdy twój wybór. - Znów odwróciła oczy.

- Kahlan. - Poczekał, aż nań spojrzała. - Czy któraś z nich jest spokrewniona ze starszymi?

- Ta przy twoim prawym boku - odparła, przyjrzawszy się dziewczętom. - Człowiek Ptak jest jej wujkiem.

Wujkiem! - Chłopak uśmiechnął się szeroko; wciąż polerował jabłko o nogawkę. - Hmm, no to chyba ją wybiorę. Na znak szacunku dla starszych wybiorę bratanicę Człowieka Ptaka.

Ujął dłońmi głowę dziewczyny i ucałował jej czoło. Rozpromieniła się. Promieniał Człowiek Ptak. Promienieli pozostali starsi. Pozostałe trzy dziewczyny odeszły.

Kahlan spojrzała na Człowieka Ptaka; jego oczy mówiły, że jej współczuje i że mu przykro. Odwróciła wzrok i zapatrzyła się w noc. A więc Richard wybrał. I starsi odprawią ceremonię, po której szczęśliwe stadło usunie się w jakiś zakątek i powoła do życia dzidziusia. Patrzyła na spacerujące, trzymające się za ręce pary, szczęśliwe, że są razem. Z trudem powstrzymała łzy. Usłyszała, jak Richard energicznie wbił zęby w to idiotyczne jabłko.

A zaraz potem usłyszała zbiorowe westchnienie starszych i ich żon, i krzyk.

Jabłko! Przecież w Midlandach każdy czerwony owoc to trucizna! Nie mieli pojęcia, co to takiego jabłko! Sądzili, że Richard zjada truciznę! Odwróciła się gwałtownie.

Richard gestem nakazywał starszym, by milczeli i pozostali na miejscach. Spojrzał Kahlan prosto w oczy.

- Powiedz im, żeby usiedli - rzekł spokojnie.

Popatrzyła na starszych szeroko rozwartymi oczami i powtórzyła im słowa chłopaka. Usiedli niepewnie. On zaś odchylił się w tył i powiedział z niewinną miną:

- W Westlandzie, skąd pochodzę, wciąż je zajadamy. - Odgryzł parę kęsów, gdy oni patrzyli nań wytrzeszczonymi oczami. - Jemy je od niepamiętnych czasów. Mężczyźni i kobiety. I mamy zdrowe dzieci! - Znów odgryzł kawałek, patrząc na Kahlan, kiedy tłumaczyła, i powoli żuł jabłko, przeciągając napięcie. Zerknął przez ramię na Człowieka Ptaka. - Nie można jednak wykluczyć, że mężczyzna zasiewa truciznę w każdej kobiecie, która nie jest z jego ludu. O ile wiem, nigdy tego nie sprawdzano.

Znów patrzył na Kahlan. Odgryzł kolejny kęs, pozwolił, żeby przetłumaczone słowa zapadły w ich umysły. Bratanica Człowieka Ptaka zaczynała się denerwować.

Starsi zaczynali się niepokoić. Człowiek Ptak nie okazywał żadnych uczuć. Richard wsparł łokieć o drugą dłoń i trzymał jabłko w pobliżu ust, tak żeby każdy mógł to zobaczyć. Znów chciał odgryźć kęs, ale się powstrzymał i postanowił poczęstować swą wybrankę. Odwróciła głowę. Spojrzał na starszych.

- Mnie tam smakują. Naprawdę. - Wzruszył ramionami. - Ale może faktycznie zatruwają moje nasienie. Nie myślcie jednak, że się wymiguję. Po prostu uważałem, że powinniście o tym wiedzieć. Nie chcę, żeby mówiono, że się wymiguję od obowiązków ciążących na kimś, kto ma się stać jednym z Błotnych Ludzi. Bo jestem chętny. I to bardzo. - Musnął palcami policzek swej wybranki. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Ta piękna dziewczyna byłaby wspaniałą matką mojego dziecka, jestem tego pewny - westchnął. - Jeśli, oczywiście, ona przeżyje. - Znów odgryzł kęs.

Starsi patrzyli na siebie lękliwie. Żaden się nie odezwał. Nastrój na podwyższeniu diametralnie się zmienił. Już nie oni panowali nad sytuacją, lecz Richard. Wystarczyło mgnienie oka. Bali się poruszyć.

- Decyzja, rzecz jasna, należy do was - podjął chłopak, nie patrząc na nich. - Chętnie dopełnię ceremonii, lecz sądziłem, że powinniście wiedzieć, jak to jest w moich rodzinnych stronach. Nieuczciwie byłoby to przed wami zataić. - Obrócił się ku nim, gniewnie zmarszczył brwi, w głosie pojawił się cień groźby. - Jeśli więc starsi, w swojej mądrości, poproszą, bym zrezygnował z owego miłego obowiązku, to zrozumiem i z żalem postąpię wedle ich woli.

Patrzył na nich twardo. Savidlin się uśmiechnął. Pozostałych pięciu nie miało ochoty prowokować Richarda i zdali się na Człowieka Ptaka. On zaś siedział nieruchomo, a krople potu spływały mu po szyi. Srebrnosiwe włosy spływały mu na ramiona. Przelotnie spojrzał Richardowi w oczy i z uśmiechem, który rozjaśnił mu oczy, lekko pokiwał głową.

- Ponieważ pochodzisz z innego kraju, Richardzie Popędliwy - powiedział spokojnie Człowiek Ptak, głosem na tyle donośnym, by słyszał go również tłum wokół podwyższenia - i ponieważ możesz zasiać truciznę w tej młodej kobiecie... - uniósł brew i pochylił się lekko w przód - mojej bratanicy... - popatrzył na nią i znów na Richarda - błagamy, byś odstąpił od tego obyczaju i nie brał owej dziewczyny za żonę. Proszę cię o to z wielką przykrością. Wiem, że chciałeś nam dać swoje dziecko.

- Tak, to prawda, chciałem tego. - Chłopak poważnie kiwnął głową. - Lecz muszę przełknąć moją porażkę i postarać się, żeby inaczej zasłużyć na szacunek Błotnych Ludzi, mojego ludu.

Zamykał całą sprawę zgodnie ze swoim życzeniem. Tamci nie mogli się już wycofać. Był Błotnym Człowiekiem i nie zmieni tego fakt, iż nie spłodzi dziecka. Starsi westchnęli z ulgą. Potakująco kiwali głowami, ciesząc się, że załatwił sprawę ku swemu zadowoleniu. Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą do swojego wuja i odeszła. Richard popatrzył na Kahlan, twarz miał bez wyrazu.

- Czy jeszcze o czymś mi nie powiedziano?

- Nie - odparła, zmieszana. Sama nie wiedziała, czy się cieszyć, bo mu się udało nie ożenić, czy smucić, bo on uważa, że go zdradziła.

- Czy muszę nadal uczestniczyć w uczcie? - spytał starszych.

Pięciu z nich z radością pozwoliło mu odejść. Savidlin był nieco zawiedzony. Człowiek Ptak oznajmił, że Poszukiwacz ocalił swój lud, że zaszczytnie dopełnił obowiązków i że wybaczą mu odejście, bo na pewno zmęczyły go przejścia minionego dnia.

Richard wstał powoli, stanął nad Kahlan. Dokładnie przed nią. Wiedziała, że na nią patrzy, ale nie podniosła oczu.

- Ponieważ nigdy wcześniej nie miałaś przyjaciela, więc przyjmij jedną radę - powiedział i zdumiała ją łagodność jego głosu. - Przyjaciele nie szafują prawami swych przyjaciół. Ani ich sercem.

Dziewczyna nie miała siły nań spojrzeć.

Richard rzucił jej na podołek ogryzek jabłka i odszedł, znikając w tłumie.

Kahlan siedziała na podwyższeniu dla starszyzny; samotna i opuszczona, obserwowała swoje trzęsące się palce. Inni patrzyli na tancerzy. Zmusiła się do liczenia uderzeń bębnów - dzięki temu zdołała się powstrzymać od płaczu i uspokoić oddech. Człowiek Ptak usiadł koło niej. Dodało to dziewczynie otuchy.

- Chciałbym spotkać czarodzieja, który go obwołał Poszukiwaczem - powiedział, unosząc nieco brew. - Ciekawy jestem, skąd go wytrzasnął.

Kahlan ze zdziwieniem stwierdziła, że wciąż potrafi się śmiać.

- Przyrzekam, że przyprowadzę do ciebie owego czarodzieja - odparła z uśmiechem - jeżeli zwyciężymy i jeśli przeżyję, oczywiście. Na swój sposób jest równie godny uwagi jak Richard.

- Będę musiał porządnie wytężyć umysł i wyostrzyć język, żeby nie przepaść z kretesem - oznajmił z udaną obawą Człowiek Ptak.

Dziewczyna przytuliła głowę do jego ramienia i śmiała się, śmiała, aż zaczęła płakać. Błotny Człowiek objął ją opiekuńczo.

- Powinnam cię była posłuchać - chlipała. - Powinnam go była zapytać. Nie miałam prawa tak postąpić.

- Pragniesz powstrzymać Rahla Posępnego, więc uczyniłaś, co uznałaś za konieczne. Czasem zły wybór jest lepszy niż brak decyzji. Masz odwagę dokonywania wyboru, co się rzadko trafia. Osoba, która stoi u rozwidlenia dróg i nie potrafi wybrać żadnej z nich, nie osiągnie niczego.

- Ale tak mi przykro, że on się na mnie złości - łkała.

- Więc coś ci zdradzę, bo może sama to zrozumiesz, jak już będziesz za stara, żeby z tego skorzystać. - Załzawione oczy spojrzały w uśmiechniętą twarz Człowieka Ptaka. - On tak samo jak ty cierpi, że się na ciebie złości.

- Naprawdę?

Zaśmiał się cicho i potaknął.

- Uwierz mi na słowo, dziecinko.

- Nie miałam prawa, powinnam była to wiedzieć. Tak mi przykro, że to zrobiłam.

- Więc powiedz to jemu, a nie mnie.

Odsunęła się, spojrzała na ogorzałą twarz Człowieka Ptaka.

- Zrobię tak. Dziękuję, czcigodny starszy.

- A jak go będziesz przepraszać, to przeproś i ode mnie.

- Za co? - zdziwiła się Kahlan.

- To, że jesteś wiekowy i że jesteś starszym, nie chroni cię przed głupimi pomysłami - westchnął. - Dzisiaj i ja popełniłem błąd co do Richarda i mojej bratanicy. I ja nie miałem prawa oczekiwać, że to się spełni. Podziękuj mu w moim imieniu, że mnie powstrzymał przed narzuceniem czynu, nad którym powinienem był się wcześniej zastanowić, lecz nie uczyniłem tego. - Zdjął z szyi rzemyk z gwizdkiem. - Daj mu ów podarek w podzięce za to, że mi otworzył oczy. Niech mu dobrze służy. Jutro go nauczę, jak się tym posługiwać.

- Przecież potrzebny ci ten gwizdek do przywoływania ptaków.

- Mam inne. - Uśmiechnął się. - Idź już.

Kahlan wzięła gwizdek, mocno zacisnęła w dłoni. Otarła z twarzy łzy.

- Dotąd prawie nigdy nie płakałam. Ale chyba nie robię nic innego, od kiedy zanikła granica z D’Hara.

- Jak my wszyscy, dziecinko. Idź do niego.

Cmoknęła go w policzek i odeszła. Nie znalazła Richarda na placu. Pytała, ale

nikt go nie widział. Krążyła, szukając go. Gdzie się podziewał? Dzieci chciały ją wciągnąć do swoich tańców, dorośli częstowali lub próbowali zagadnąć. Uprzejmie się od tego wykręcała. W końcu ruszyła ku chacie Savidlina, uznając, że to właśnie tam się chowa Richard. Lecz i tam go nie było. Usiadła na skórach rozłożonych na podłodze i zamyśliła się. Odszedł bez niej? Przeraziła się. Rozejrzała wokół. Nie. Jego plecak wciąż leżał tam, gdzie go zostawiła, szukając jabłka. No i przecież nie odszedłby przed naradą. Nagle pojęła. Już wiedziała, gdzie jest Richard. Uśmiechnęła się do siebie, wyjęła następne jabłko z jego plecaka i ruszyła ciemnymi uliczkami wśród chat Błotnych Ludzi. Szła ku domowi duchów.

W ciemnościach nagle zabłysło światło, rozjaśniło ściany chat wokół Kahlan. Najpierw nie wiedziała, co się dzieje, potem wyjrzała spomiędzy chat i zobaczyła błyskawice. Wszędzie wokół. Wyciągały gniewne palce ku niebu, ku mrocznym chmurom, rozpalały w nich feerię barw. Grzmotów nie było. I już po wszystkim, znów zapanował mrok. Czy ta pogoda nigdy się nie zmieni? - dumała dziewczyna.

Czy Zobaczę kiedyś gwiazdy i słońce? Czarodzieje i te ich chmury - potrząsnęła głową. Ciekawa była, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze Zedda. Przynajmniej te chmury chroniły Richarda przed Rahlem Posępnym.

Dom duchów stał na uboczu, w ciemności, z dala od ucztujących. Kahlan ostrożnie pchnęła drzwi. Richard siedział na podłodze, przed paleniskiem, a miecz leżał obok, w pochwie. Chłopak się nie odwrócił.

- Twoja przewodniczka chce z tobą porozmawiać - powiedziała potulnie Kahlan.

Skrzypnęły zamykane drzwi i dziewczyna usiadła na piętach obok Richarda. Serce jej waliło.

- I cóż mi chce powiedzieć moja przewodniczka? - Uśmiechnął się. Pomyślała, że z przymusem.

- Że popełniła błąd - szepnęła, skubiąc pasek. - I że przeprasza. Bardzo, bardzo przeprasza. Nie tylko za to, co zrobiła, lecz głównie za to, że ci nie zaufała.

Richard siedział, otaczając kolana ramionami, dłonie miał splecione. Obrócił ku Kahlan twarz. Ciepły, czerwony blask ognia odbijał się w łagodnych oczach chłopaka.

- Powtarzam sobie w myślach całą przemowę. A teraz nie pamiętam z tego ani słówka. To ty tak na mnie podziałałaś. - Znów się uśmiechnął. - Przeprosiny przyjęte.

Dziewczynę ogarnęła ulga. Kamień spadł jej z serca. Zerknęła spod oka na

Richarda.

- Dobra była ta mowa?

- Tak mi się wtedy zdawało. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale zmieniłem zdanie.

- Jesteś w tym dobry. Wystraszyłeś śmiertelnie starszych, Człowieka Ptaka też.

Zawiesiła mu na szyi rzemyk z gwizdkiem. Rozplótł dłonie i dotknął gwizdka.

- A to co?

- To prezent od Człowieka Ptaka z przeprosinami, że próbował cię skłonić do tamtego. Powiedział, że nie miał do tego prawa i że tym darem ci dziękuje za to, że mu otworzyłeś oczy. Jutro cię nauczy, jak się posługiwać tym gwizdkiem. - Kahlan usiadła tyłem do ognia, twarzą do Richarda, blisko niego. Noc była ciepła, ogień buzował i chłopak błyszczał od potu. Wymalowane na skórze symbole nadawały mu dziki wygląd. - Potrafisz przemawiać ludziom do rozumu - szepnęła. - Chyba korzystasz z magii.

- Może i tak. Zedd mówi, że czasem sztuczka to najlepsze czary. Głos Richarda poruszał w dziewczynie jakąś strunę, dziwnie działał.

- Adie mówiła, że posiadasz magię języka - szepnęła.

Szare oczy uporczywie patrzyły na Kahlan, więziły ją w swej mocy, oddychała coraz szybciej. Niesamowite dźwięki dalekich instrumentów mieszały się z potrzaskiwaniem ognia, szmerem oddechu Richarda. Dziewczyna jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpieczna i spokojna, a jednocześnie spięta. Osobliwe odczucie. Oderwała oczy od oczu chłopaka, wpatrywała się w jego twarz, podziwiała kształt nosa, zarys policzków i podbródka. Zatrzymała wzrok na jego wargach. Poczuła nagle, jak gorąco jest w chacie duchów. Zawirowało jej w głowie.

Znów spojrzała mu w oczy, wyjęła z kieszeni jabłko i wolniutko ugryzła soczysty kęs. Szare oczy patrzyły wciąż twardo, nieustępliwie. Impulsywnie przytknęła owoc do ust chłopaka, a on odgryzł kęs. Gdybyż tylko mógł mnie dotknąć wargami jak to jabłko, pomyślała Kahlan.

A czemuż by nie? Czyż ma zginąć na tej wyprawie i nigdy się nie stać kobietą? Czyż musi być wyłącznie wojowniczką? Walczyć o szczęście innych i zrezygnować z własnego? I w najlepszych czasach Poszukiwacze szybko umierali, a to wcale nie były najlepsze czasy.

To był kres czasów.

Kahlan cierpiała, myśląc o śmierci Richarda.

Nie odrywając wzroku od oczu chłopaka, mocniej przytknęła jabłko do jego zębów. Nawet gdybym go wzięła, i tak by walczył u mego boku, myślała, może i z większą stanowczością niż teraz. Kierowałyby nim inne powody, lecz byłby równie groźny, a może i groźniejszy. Ale stałby się kimś innym, już nie byłby taki jak teraz. Teraźniejsze „ja" zamknęłoby na zawsze.

Lecz przynajmniej należałby do niej, byłby jej. Pragnęła go desperacko, boleśnie, jak jeszcze nigdy niczego. Czyż obydwoje są skazani na śmierć? Traciła głowę.

Przekornie odsunęła owoc od warg Richarda. Sok ciekł mu po brodzie. Kahlan pochyliła się powoli, niespiesznie, i zlizała mu z brody słodki sok. Chłopak ani drgnął. Ich twarze niemal się stykały, czuła jego ciepły oddech. Była tak blisko, że ledwie mogła zogniskować wzrok na jego oczach.

Kahlan traciła rozsądek, coraz słabiej opierając się narastającemu pożądaniu.

Upuściła jabłko, przesunęła lepkie od soku palce do warg Richarda, wsuwała jeden po drugim do jego ust i patrzyła, wysuwając koniuszek języka, jak on wolniutko zlizuje sok. Drżała, dotykając wilgotnego, ciepłego wnętrza ust chłopaka.

Jęknęła cicho. Krew jej szumiała w uszach. Oddychała ciężko, Przesunęła wilgotnymi palcami po policzku Richarda, po szyi, gładziła symbole wymalowane na piersi chłopaka, wodza po nich palcami, czuła zagłębienia i wypukłości mięśni.

Uklękła, obwiodła czubkiem palca twardą brodawkę pieściła jego pierś, na moment zamknęła oczy i mocno zacisnęła zęby. Łagodnie, lecz zdecydowanie pchnęła go w tył, na plecy Nie sprzeciwił się. Pochyliła się nad nim, wciąż wsparta dłonią o jego pierś. Zaskoczyła ją twardość mięśni pod gładką skórą, wilgoć potu, szorstkość włoków, żar. Pierś chłopaka unosiła się i opadała w ciężkim oddechu, pulsowało w niej życie.

Wsparła jedno kolano przy biodrze chłopaka, drugie wsunęła mu pomiędzy nogi. Wspaniałe włosy Kahlan spływały w dół okalając twarz Richarda; cały czas patrzyła mu w oczy i nie odrywała ręki od jego piersi - nie chciała oderwać dłoni od ciała chłopaka. Ów dotyk budził w niej żar.

Poczuła, jak napina udo pomiędzy jej kolanami, i serce zabiło jej jeszcze szybciej. Rozchyliła usta, by móc chwytać oddech Zatraciła się w oczach Richarda, oczach, które ją badały, sondowały, które rozpalały w niej płomień.

Drugą ręką rozpięła swoją koszulę i wyciągnęła poły spod paska

Wciąż wsparta o pierś chłopaka, włożyła drugą dłoń pod jego krzepką szyję.

Jej palce wślizgnęły się we włosy Richarda, zaciągnęły, przytrzymały mu głowę na ziemi.

Duża, silna dłoń wsunęła się pod koszulę Kahlan, dotknęła pleców dziewczyny, pogładziła je, powoli, powoli przesunęła się w górę i zatrzymała. Kahlan zamknęła oczy, przycisnęła plecy na dłoni chłopaka, pragnąc, by jaku sobie przyciągnął. Niemal dyszała.

Przesunęła kolano wzdłuż nogi Richarda, aż do końca, aż napotkało opór. Pierś chłopaka unosiła się ciężko pod jej dłonią. Jeszcze nigdy nie wydawał się Kahlan taki wielki.

- Pragnę cię - szepnęła bez tchu. Pochyliła głowę. Musnęła wargami jego usta. W oczach chłopaka mignął ból.

- Jeśli mi najpierw powiesz, kim jesteś.

Ugodziły ją te słowa i otworzyła oczy. Cofnęła nieco głowę. Dotknęła go - już nie zdoła jej powstrzymać; nie chcę, żeby mnie powstrzymywał, pomyślała. Ledwo panowała nad swoją mocą, czując, że traci nad nią kontrolę. Znów przysunęła wargi do ust Richarda, jęknęła cicho.

Dłoń na plecach Kahlan przesunęła się w górę, chwyciła dziewczynę za włosy i łagodnie odchyliła jej głowę w tył.

- Mówię serio, Kahlan. Tylko jeśli mi powiesz.

Znienacka wrócił jej rozsądek, jego chłodna fala stłumiła namiętność. Nigdy przedtem na nikim jej tak nie zależało, jak teraz na nim, na Richardzie. Jakżeby mogła go dotknąć swoją mocą? Jakżeby mogła to uczynić? Cofnęła się. Cóż wyprawiała? Gdzie miała rozum?

Kahlan przysiadła na piętach, cofnęła dłoń z piersi Richarda, zasłoniła usta ręką. Wszystko się waliło. Jak mu to powiedzieć? Znienawidzi ją i utraci go. Boleśnie pulsowało jej w głowie.

Richard usiadł i łagodnie położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz - szepnął, patrząc na jej przerażone oczy. - Decyzja należy do ciebie.

- Czy mógłbyś mnie przytulić? - Ledwo mogła mówić, z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Objął ją czule i przytulił. Kahlan znów była boleśnie świadoma tego, kim jest, swojej wrodzonej mocy. Richard tulił ją opiekuńczo i kołysał jak dziecko.

- Właśnie po to są przyjaciele - szepnął jej do ucha. Kahlan była tak

wyczerpana, że nawet nie mogła się rozpłakać.

- Powiem ci, Richardzie, obiecuję. Ale nie dzisiaj, dobrze? Teraz mnie przytul, dobrze?

Richard powoli opadł na plecy, przytulił mocno Kahlan silnymi ramionami. Dziewczyna zacisnęła zęby na jednej dłoni, drugą mocno wczepiła się w chłopaka.

- Kiedy sama zechcesz. Tylko wtedy - obiecał.

Kahlan drżała. Wrodzona moc odróżniała ją od innych, oddzielała, skazywała na cierpienia. Dziewczyna długo leżała z otwartymi oczami, aż wreszcie zasnęła, myśląc o Richardzie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Spróbuj jeszcze raz - doradził Człowiek Ptak. - I przestań tym myśleć o ptaku, którego chcesz przywołać. - Stuknął kłykciami o głowę Richarda. - Tym myśl! - Dźgnął chłopaka palcem w brzuch.

Richard wysłuchał przekładu Kahlan, kiwnął twierdząco głową i przyłożył gwizdek do warg. Wydął policzki i dmuchnął. Jak zwykle nie rozległ się żaden dźwięk. Człowiek Ptak, Richard i Kahlan patrzyli na otaczającą ich trawiastą równinę. Myśliwi, którzy im tu towarzyszyli, wsparli się o wbite w ziemię włócznie i nerwowo rozglądali się wokół.

Nagle, jakby znikąd, pojawiły się wróble, szpaki i małe polne ptaki. Zlatywały się zewsząd, kołowały i nurkowały nad nimi. Zasłoniły, zaciemniły calutkie niebo. Myśliwi padli na ziemię, osłaniali głowy i śmiali się niepohamowanie. Richard przewracał oczami. Kahlan starała się nań nie patrzeć i też się śmiała. Człowiek Ptak przyłożył do warg swój gwizdek i dmuchał weń rozpaczliwie, starając się odesłać ptaki. Srebrzystosiwe włosy rozwiewały się wokół jego głowy. Ptaki w końcu usłuchały go i zniknęły. Na trawiastej równinie znów zapanował spokój. Myśliwi wciąż się tarzali ze śmiechu.

- Poddaję się - oznajmił Człowiek Ptak, odetchnąwszy głęboko.- Próbowaliśmy cały dzień i stale to samo. Jesteś najgorszym przywoływaczem ptaków, jakiego kiedykolwiek widziałem. Nawet dziecko by się tego nauczyło po trzech próbach, a tobie, Richardzie Popędliwy, i całego życia byłoby za mało. Kompletne fiasko. Twój gwizd mówi jedynie: „Przylećcie, tu jest dla was pokarm”.

- Ależ ja myślałem Jastrząb”. Naprawdę! Myślałem o każdym ptaku, którego nazwę wymieniałeś! Myślałem tak intensywnie, jak tylko mogłem, naprawdę!

Kiedy Kahlan to przetłumaczyła, myśliwi roześmiali się jeszcze serdeczniej. Richard łypnął na nich wściekle, lecz to ich nie uciszyło. Człowiek Ptak westchnął i skrzyżował ramiona.

- Dalsza nauka nie ma sensu. Dzień się kończy, wkrótce zbierze się starszyzna. Ale zatrzymaj gwizdek. - Objął zgnębionego Poszukiwacza. - Niech ci przypomina, że choć pod pewnymi względami przerastasz większość ludzi, to w tym wyprzedza cię nawet dziecko.

Myśliwi zawyli radośnie. Richard westchnął i kiwnął głową. Zebrali swoje rzeczy i ruszyli ku wiosce.

- Starałem się z całych sił, naprawdę. - Richard nachylił się ku Kahlan. - Nie

rozumiem, dlaczego mi się nie udało.

- Wierzę, że się starałeś. - Uśmiechnęła się i wzięła dłoń chłopaka w swoje ręce.

Szarzało, lecz ów dzień był najjaśniejszy ze wszystkich, jakie Kahlan pamiętała, i podniósł ją na duchu. Jednak przede wszystkim dodało jej otuchy postępowanie Richarda wobec niej. Pozwolił jej wrócić do równowagi po wydarzeniach ostatniej nocy i nie wypytywał o nic. Po prostu był przy niej i tulił ją. Nic więcej się nie wydarzyło, a mimo to Kahlan czuła się bardziej z nim związana, był jej bliższy niż przedtem. Wiedziała jednak, że to źle. To tylko pogłębiało jej rozterkę. Mało brakowało, by popełniła olbrzymi błąd. Największy błąd w swoim życiu. To Richard ją powściągnął w ostatniej chwili. Była mu za to wdzięczna i jednocześnie żałowała, że to zrobił.

Kiedy Kahlan się zbudziła tego ranka, nie miała pojęcia, co Richard myśli i czuje, czy jest dotknięty, zły, czyją znienawidził. Chociaż przespała całą noc w rozpiętej koszuli, przytulona do chłopaka, to teraz odwróciła się, zawstydzona, i zapięła guziki. Powiedziała mu, że nikt nigdy, przenigdy nie miał tak cierpliwego i wyrozumiałego przyjaciela jak ona. I że ma nadzieję, iż pewnego dnia udowodni mu, że jest równie dobrym przyjacielem jak on.

- Już to zrobiłaś. Powierzyłaś mi swoje życie i swoje nadzieje, zaufałaś mi. Ślubowałaś, że poświęcisz życie w mojej obronie. Czyż potrzeba jeszcze innych dowodów?

Odwróciła się, z trudem hamując chęć pocałowania chłopaka i podziękowania mu, że jest taki cierpliwy i że to mu wystarcza. - Ale jabłko nie będzie już dla mnie takie jak przedtem. - Uśmiechnął się.

Roześmiała się z zakłopotaniem, Richard jej zawtórował i razem długo się śmiali. Dodało to Kahlan otuchy, usunęło cierń.

Chłopak nagle przystanął, Kahlan też. Reszta poszła dalej.

- Co się stało, Richardzie?

- Słońce - odparł i zbladł. - Przez chwilę czułem na twarzy Promień słońca.

- Widzę tylko chmury. - Kahlan spojrzała ku zachodowi.

- Było wśród nich niewielkie okienko, ale już zniknęło.

- Sądzisz, że to coś oznacza?

- Nie wiem. - Potrząsnął głową. - Ale chmury rozstąpiły się pierwszy raz od czasu, kiedy Zedd je ściągnął. Może to nic takiego.

Ruszyli ku wiosce. Ponad trawiastą, kołysaną wiatrem równiną niosły się niesamowite dźwięki boldów. Do osady dotarli o zmroku. Uczta wciąż trwała - zaczęła się poprzedniego wieczoru, a skończy po zebraniu starszyzny. Dorośli byli w dobrej kondycji, dzieci albo spały w ustronnych kątach, albo snuły się nieprzytomne z niewyspania.

Sześciu starszych trwało na posterunku, ich żony zniknęły. Jedli posiłek przyrządzony przez wybrane kobiety (tylko one mogły przygotować rytualną ucztę). Kahlan patrzyła, jak podają napitek każdemu ze starszych - czerwony płyn, zupełnie inny niż poprzednie. Oczy sześciu mężczyzn były szkliste, dalekie, jakby widzieli rzeczy zakryte dla innych. Dziewczynę przeszył dreszcz.

Były z nimi duchy przodków.

Człowiek Ptak powiedział coś do starszych. Usatysfakcjonowała go ich odpowiedź, skinął głową. Mężczyźni wstali i, jeden za drugim, ruszyli ku domowi duchów. Bębny i bolda poddawały inny rytm, rytm, który przyprawiał Kahlan o gęsią skórkę. Człowiek Ptak wrócił do niej i do Richarda; oczy miał równie bystre i uważne jak zawsze.

- Już czas. Musimy już iść, Richard i ja.

- Czemu „Richard i ja”? Idę z wami.

- Nie możesz.

- Dlaczego?

- Bo tylko mężczyźni biorą w tym udział.

- Jestem przewodniczką Poszukiwacza i muszę tam być, żeby tłumaczyć.

- Ale to tylko dla mężczyzn - powtórzył Człowiek Ptak, najwyraźniej nie mógł wymyślić nic lepszego.

- Tym razem będzie tam i kobieta.

Richard patrzył to na Kahlan, to na Człowieka Ptaka, a ton ich głosów mówił mu, że coś jest nie tak, ale postanowił się nie wtrącać. Człowiek Ptak nachylił się ku dziewczynie i zniżył głos:

- Na spotkaniu z duchami musimy być tacy jak one.

- Próbujesz mi dać do zrozumienia, że jesteście nadzy? Głęboko zaczerpnął powietrza i potaknął.

- I pomalowani błotem - dorzucił.

- Zgoda - odparła, dumnie prostując głowę. - Niech będzie.

- A co na to Poszukiwacz? - Człowiek Ptak odchylił się nie co. - Może byś go

tak spytała, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, że tak wystąpisz?

Kahlan długo patrzyła mu w oczy, a potem powiedziała Richardowi:

- Muszę ci coś wytłumaczyć. Duchy czasem, za pośrednictwem starszych, przepytują tego, który zwołał naradę, gdyż chcą się upewnić, że działają w słusznej sprawie. Mogą cię zabić, jeśli uznają twoją odpowiedź za nieuczciwą lub kłamliwą. Nie starszyzna, lecz duchy.

- Mam miecz - przypomniał jej.

- Nie będziesz go miał. Skoro domagasz się narady, to musisz uczynić to samo co starszyzna i stanąć przed duchami bez niczego. Bez miecza, bez ubrania, pomazany błotem. - Odetchnęła, odgarnęła pukiel włosów. - Jeśli mnie tam nie będzie, to możesz zginąć tylko za to, że nie odpowiesz na pytania, których nie zrozumiesz. I Rahl zwycięży. Muszę tam być i tłumaczyć. Ale wtedy i ja będę naga. Człowiek Ptak denerwuje się i chce wiedzieć, co ty o tym myślisz. Ma nadzieję, że mi tego zabronisz.

Richard skrzyżował ramiona i spojrzał w oczy Kahlan.

- Wygląda na to, że jesteś skazana, z tego czy innego powodu, na przebywanie nago w domu duchów.

Uśmiech uniósł kąciki ust chłopaka, diabliki zatańczyły mu w oczach. Kahlan musiała zagryźć wargę, żeby się nie roześmiać. Człowiek Ptak, zaintrygowany i zmieszany, patrzył to na jedno z nich, to na drugie.

- Richardzie! - przywołała go do porządku. - To poważna sprawa. I nie obiecuj sobie zbyt wiele. Tam będzie ciemno.

Z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Chłopak przybrał poważną minę i rzekł do Człowieka Ptaka:

- To ja zwołałem naradę. Kahlan będzie mi potrzebna. Dziewczyna przetłumaczyła i starszy aż się żachnął.

- Obydwoje nadużywacie mojej cierpliwości, od kiedy się tu zjawiliście. - Westchnął ciężko. - Więc czemu byście się mieli tym razem powściągnąć? No, to chodźcie.

Ruszyli za Człowiekiem Ptakiem ciemnymi uliczkami osady, skręcili kilka razy w prawo, potem w lewo. Richard ujął dłoń dziewczyny. Kahlan bardziej się denerwowała perspektywą siedzenia nago w towarzystwie ośmiu mężczyzn, niż to okazywała. Ale nie puści tam Richarda samopas. Nie czas, żeby ryzykować - zbyt ciężko na to pracowali, a czasu było za mało.

Przybrała „twarz Spowiedniczki”.

Zanim doszli do domu duchów, Człowiek Ptak wprowadził ich przez wąskie drzwi do pobliskiej chaty. Byli tam starsi: siedzieli na podłodze i patrzyli przed siebie niewidzącymi oczami. Dziewczyna się uśmiechnęła do Savidlina, ale nie zareagował. Człowiek Ptak wziął małą ławeczkę i dwa garnuszki z gliny.

- Czekajcie tu, dopóki was nie wywołam.

Wyszedł, a Kahlan przetłumaczyła jego słowa Richardowi. Po chwili zawołał Caldusa, a potem kolejno pozostałych starszych; Savidlin poszedł ostatni. Savidlin nie odzywał się do nich ani słowem. Nie okazywał, iż wie, że są w chacie. W jego oczach mieszkały duchy.

Kahlan i Richard czekali w pustej, mrocznej izbie. Dziewczyna zacisnęła dłoń na napiętku buta, starając się nie myśleć o tym, na co się sama skazała, ale jej się to nie udawało.

Richard nie będzie miał swojego miecza, swojej ochrony. Lecz ona zachowa przecież swoją moc. I będzie go chronić. Miała swoje powody, których nie zdradziła, żeby uczestniczyć w naradzie. Jeżeli coś pójdzie źle, to właśnie ona umrze, a nie Richard - tak postanowiła. I dopilnuje tego. Utwierdzała się w postanowieniu, krzepiła odwagę. Usłyszała, jak Człowiek Ptak wywołuje Richarda. Chłopak wstał.

- Miejmy nadzieję, że to się uda. Jeśli nie, to wpadniemy w porządne tarapaty. Cieszę się, że tam będziesz. - Ostrzeżenie, żeby była czujna.

Kahlan kiwnęła głową.

- Pamiętaj, Richardzie, że to teraz nasz lud. Chcą nam pomóc i dołożą wszelkich starań.

Dziewczyna siedziała, obejmując kolana ramionami, czekała, aż ją zawołają. Potem wyszła w chłodną ciemną noc. Człowiek Ptak siedział na małej ławeczce, ustawionej przy ścianie domu duchów. Dostrzegła, że był nagi, pomalowany gliną w koła, pasy i zygzakowate linie, a srebrzystosiwe włosy spływały na nagie ramiona. Obok niego stał myśliwy. Leżały przed nim skóry kój oto w, ubrania, miecz Richarda.

- Rozbierz się - polecił Człowiek Ptak.

- A on po co? - wskazała na myśliwego.

- Po ubrania. Zaniesie je na podwyższenie starszyzny, żeby wszyscy zobaczyli, że jesteśmy na spotkaniu z duchami. A odniesie je nam przed świtem, dając tym znak, że owo spotkanie się kończy.

- Każ mu się odwrócić.

Człowiek Ptak wydał polecenie. Myśliwy się odwrócił, a Kahlan rozpięła klamerkę paska. Zawahała się, patrząc na Człowieka Ptaka.

- Tej nocy, dziecino - szepnął łagodnie - nie jesteś ani mężczyzną, ani kobietą. Jesteś Błotnym Człowiekiem. Tej nocy i ja nie jestem ani mężczyzną, ani kobietą. Jestem przewodnikiem duchów.

Dziewczyna kiwnęła głową, zdjęła ubranie i stanęła przed nim naga, czując na skórze chłodne nocne powietrze. Człowiek Ptak nabrał garść gliny z jednego z garnuszków. Kahlan czekała. Najwyraźniej miał opory, pomimo tego, co przed chwilą powiedział. Patrzenie to jedno, a dotknięcie - zupełnie co innego.

Kahlan ujęła dłoń Człowieka Ptaka i przyłożyła do swojego brzucha, czując maźnięcie zimną gliną.

- Pomaluj mnie - nakazała.

Kiedy skończył, weszli do domu duchów. Człowiek Ptak usiadł w kręgu pomalowanych starszych. Kahlan zajęła miejsce na wprost niego, obok Richarda. Na twarzy chłopaka widniały czarne i białe zygzakowate linie - maska, którą wszyscy nosili dla duchów. W środku kręgu ułożono czaszki, leżące przedtem w kącie. W kominku, za plecami dziewczyny, płonął niewielki ogienek, wydzielający osobliwą cierpką woń. Starsi patrzyli prosto przed siebie i wyśpiewywali słowa, których Kahlan nie rozumiała. Oczy Człowieka Ptaka straciły nieprzytomny wyraz. Drzwi zamknęły się same.

- Nikt stąd nie może wyjść ani nie może tu wejść, od teraz aż do świtu. Duchy strzegą drzwi.

Kahlan potoczyła wzrokiem po izbie, ale niczego nie dostrzegła. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Człowiek Ptak wziął stojący przy nim pleciony koszyk i sięgnął do środka. Wyjął małą żabkę i podał koszyk jednemu ze starszych, a ten dalej. Każdy wyjmował żabkę i pocierał jej grzbietem skórę na swojej piersi. W końcu koszyk dotarł do Kahlan. Dziewczyna przyjęła go i spojrzała na Człowieka Ptaka.

- Po co to robimy?

- To są żabki duchów, bardzo trudno je znaleźć. Mają na grzbiecie substancję, która sprawia, że zapominamy o tym świecie i widzimy duchy.

- Może i jestem Błotnym Człowiekiem, o czcigodny starszy, ale jestem i Spowiedniczką. Muszę stale panować nad swoją mocą. Jeśli zapomnę o tym świecie, mogę stracić nad nią kontrolę.

- Już się nie możesz wycofać. Duchy są z nami. Widziały na twoim ciele

symbole, które im otwierają oczy. Nie możesz odejść. Zabiją tego, który ich nie zobaczy, i ukradną mu duszę. Rozumiem twój dylemat, lecz nie mogę ci pomóc. Po prostu staraj się z całych sił panować nad swoją mocą. Jeśli nie zdołasz, stracimy jednego z nas. Zapłacimy tę cenę. Jeżeli chcesz umrzeć, to zostaw swoją żabkę w koszyku. Jeśli chcesz powstrzymać Rahla Posępnego - weź ją.

Dziewczyna patrzyła przez chwilę w surową twarz Człowieka Ptaka, a potem sięgnęła do koszyka. Żabka wiła się w jej dłoni i kopała. Podała koszyk Richardowi i powiedziała mu, co ma zrobić. Zacisnęła zęby i przycisnęła zimny oślizgły grzbiet żabki do skóry pomiędzy piersiami - jedyne miejsce, na którym nie namalowano żadnych symboli - i zaczęła się nacierać kolistymi ruchami, jak tamci. Śluz był lepki i szczypiący. Ogarnęło ją osobliwe uczucie. Dźwięki bębnów i boldów stawały się coraz głośniejsze, aż stały się całym światem. Wibrowała wraz z ich rytmem. Wytężyła wolę, „uchwyciła” swoją moc, skoncentrowała się na zapanowaniu nad nią. Potem odpłynęła, żywiąc nadzieję, że to wystarczy.

Wszyscy wzięli się za ręce. Ściany izby odpłynęły sprzed oczu dziewczyny. Świadomość Kahlan falowała jak powierzchnia wody, odpływając i powracając. Dziewczyna czuła, jak zaczyna koliście wirować wraz z innymi wokół czaszek leżących w środku kręgu. Czaszki jaśniały, oświetlając twarze ludzi. Zapadali się w pustkę. Błyski światła, bijącego ze środka kręgu, wirowały wraz z nimi.

Otoczyły ich jakieś kształty. Kahlan rozpoznała je z przerażeniem.

Cienie.

Nie mogła wydobyć głosu, więc tylko wstrzymała oddech i ścisnęła dłoń Richarda. Musi go chronić. Próbowała wstać i zasłonić go, żeby nie mogły go dotknąć. Nie mogła się poruszyć. Z przerażeniem stwierdziła, że trzymają ją ręce cieni. Ze wszystkich sił chciała wstać, bronić Richarda. Ogarniała ją panika. Zabijają? A może już jest martwa? Może już jest tylko duchem? Niemogącym się poruszyć?

Cienie patrzyły na dziewczynę. Przecież cienie nie mają twarzy. Te miały. Twarze Błotnych Ludzi.

To nie cienie, pomyślała z ulgą Kahlan, to duchy przodków. Odetchnęła i uspokoiła się. Odprężyła.

- Kto zwołał to zgromadzenie?

To przemówiły duchy. Wszystkie razem. Ów dziwny, monotonny, głuchy ton - Kahlan na moment przestała oddychać - wydobył się z ust Człowieka Ptaka.

- Kto zwołał naradę? - powtórzyły.

- Ten człowiek obok mnie - odparła dziewczyna. - Richard Popędliwy. Duchy przepłynęły pomiędzy starszymi, zebrały się w środku kręgu.

- Puśćcie jego dłonie.

Kahlan i Savidlin puścili dłonie chłopaka. Duchy zawirowały, a potem znienacka przeniknęły jeden za drugim przez ciało Richarda.

Zachłysnął się oddechem, odrzucił w tył głowę i krzyczał z bólu.

Kahlan się poderwała. Wszystkie duchy tkwiły za Richardem. Starsi zamknęli oczy.

- Richard!

- Nic mi nie jest. Nic mi nie jest - wychrypiał. Wciąż cierpiał.

Duchy ustawiły się za starszymi, wniknęły w nich: duch i człowiek w jednym miejscu i czasie. Ciała ludzi zatraciły ostre kontury. Starsi otworzyli oczy.

- Po co nas przywołałeś? - spytał Człowiek Ptak głuchym, monotonnym głosem duchów.

Kahlan nachyliła się ku Richardowi, nie spuszczając Człowieka Ptaka z oczu.

- Chcą, żebyś im powiedział, po co ich przywołałeś.

Chłopak odetchnął parę razy głęboko, pozbierał się po tym, co mu zrobiły.

- Przywołałem was, bo muszę odnaleźć pewien magiczny przedmiot, zanim go znajdzie Rahl Posępny. Zanim się nim posłuży.

Dziewczyna tłumaczyła, a duchy wypytywały Richarda ustami starszych.

- Ilu ludzi zabiłeś? - spytały ustami Savidlina.

- Dwóch - odparł bez wahania Richard.

- Dlaczego? - to Hajanlet.

- Żeby mnie nie zabili.

- Jeden i drugi?

- Pierwszego zabiłem w samoobronie - powiedział po namyśle chłopak. - Drugiego w obronie przyjaciółki.

- Uważasz, że miałeś prawo zabić w obronie przyjaciółki? - Tym razem był to Arbrin.

- Tak.

- A jeżeli on chciał zabić twoją przyjaciółkę, żeby ocalić życie swojego druha?

- O co wam chodzi? - Richard głęboko zaczerpnął powietrza.

- O to, że skoro uważasz, iż można zabić w obronie druha, to miał do tego prawo. A jeśli tak, to unieważniło to twoje racje, czyż nie?

- Nie każde pytanie ma odpowiedź.

- Może nie wszystkie pytania mają miłe ci odpowiedzi.

- Może.

Kahlan wyczuła, że Richard zaczyna się złościć. Patrzyli nań wszyscy starsi, wszystkie duchy.

- Czy zabicie go sprawiło ci radość?

- O którego wam chodzi?

- O pierwszego.

- Nie.

- A drugiego?

- Po co pytacie? - Richard zesztywniał.

- Każde pytanie zadajemy z innego powodu.

- A jeśli powody nie mają nic wspólnego z pytaniem?

- Odpowiedz.

- Jeśli mi wyjaśnicie powód tego pytania.

- Przyszedłeś tu, żeby nam zadawać pytania. Czy możemy spytać, czym się kierowałeś?

- Chyba już o to pytacie.

- Odpowiedz nam, a my odpowiemy tobie.

- Przyrzekacie?

- Nie jesteśmy tu po to, żeby się targować. Przyszliśmy, bo nas wezwałeś. Odpowiedz albo odejdziemy.

Richard wziął głęboki oddech, potem powoli wypuścił powietrze, zapatrzony w pustkę.

- Tak. Magia Miecza Prawdy sprawiła, że zabiłem go z przyjemnością. Tak właśnie działa owa magia. Gdybym go nie zabił tym mieczem, nie sprawiłoby mi to radości.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Co?

- Gdybanie. Liczy się, że to zrobiłeś. Podałeś dwie przyczyny zabicia drugiego mężczyzny: obrona przyjaciółki i twoja satysfakcja. Która z nich jest prawdziwa?

- Obie. Zabiłem go w obronie przyjaciółki, a Miecz sprawił, że uczyniłem to z przyjemnością.

- A gdybyś nie musiał zabijać w obronie przyjaciółki? Gdybyś źle ocenił

sytuację? Gdyby życie twojej przyjaciółki wcale nie było zagrożone?

Kahlan zdrętwiała, słysząc te pytania. Wahała się przez chwilę, zanim je przełożyła.

- W moim umyśle liczy się nie tyle czyn, ile zamiar. Szczerze wierzyłem, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, i dlatego czułem się usprawiedliwiony, zabijając w jej obronie. Musiałem działać natychmiast. Zginęłaby, gdybym się zawahał. Jeżeli duchy uważają, że popełniłem błąd, zabijając, lub że tamten działał słusznie, co tym samym anulowało moje prawo do czynu, który popełniłem, to panuje między nami niezgoda, różnica zdań. Niektóre sprawy nie mają jednoznacznego rozwiązania. Niekiedy brakuje czasu, żeby je dogłębnie rozważyć. Musiałem działać zgodnie z porywem serca. Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, iż każdy zabójca uważa, że jego czyn jest usprawiedliwiony. Zabiłbym, by ocalić życie przyjaciela lub niewinnego człowieka. Jeżeli uważacie, że to niesłuszne - powiedzcie mi to i zaprzestańcie bolesnych dociekań. A ja poszukam gdzie indziej potrzebnych mi odpowiedzi.

- Już mówiliśmy, że nie przyszliśmy tu po to, żeby się targować. Powiedziałeś, że dla twego umysłu czyn nie jest tak ważny jak zamiar. Czy jest ktoś, kogo zamierzałeś zabić, lecz nie zabiłeś?

W głosach duchów brzmiał ból. Kahlan się wydawało, że te dźwięki aż parzą.

- Źle zinterpretowaliście moje słowa. Powiedziałem, że zabiłem, bo byłem przekonany, iż muszę to uczynić; bo sądziłem, że on chce ją zabić i jeśli go oszczędzę, to ona zginie. Nie twierdziłem że zamiar jest równoważny uczynkowi. Sporo ludzi chciałem zabić, lecz darowałem im życie.

- Więc dlaczego ich nie zabiłeś, skoro chciałeś to zrobić?

- Z wielu powodów. Czasem brakowało istotnego usprawiedliwienia i była to tylko taka myślowa gra, fantazja stępiająca ostrze niesprawiedliwości. Innym razem był uzasadniony powód, lecz mogłem sobie poradzić bez zabijania. A znów niekiedy nie zabiłem, bo nie i już.

- Chodzi o pięciu starszych?

- Tak - westchnął Richard.

- Ale chciałeś. Chłopak zmilczał.

- Czy w tym wypadku zamiar był równoważny uczynkowi?

- Tak, w moim sercu tak - odparł z trudem Richard. - I ów zamiar rani mnie niemal tak mocno, jak raniłby popełniony czyn.

- A więc dobrze zrozumieliśmy twoje słowa. Kahlan dostrzegła łzy w oczach Richarda.

- Czemu mnie dręczycie tymi pytaniami!

- Dlaczego chcesz zdobyć ową magiczną rzecz?

- Żeby powstrzymać Rahla Posępnego!

- A co ci da zdobycie owej rzeczy?

Chłopak odchylił się. Oczy mu się rozszerzyły. Zrozumiał. Łza stoczyła mu się po policzku.

- Bo jeśli to zdobędę - szepnął - Rahl umrze. Zabiję go.

- Czyli w istocie prosisz nas o pomoc w zabiciu kogoś - głosy duchów odbiły się echem w mroku otaczającym Kahlan.

Richard kiwnął głową.

- I dlatego zadajemy ci te wszystkie pytania. Prosisz nas o pomoc w zadaniu śmierci. Nie uważasz, że powinniśmy wiedzieć, jaki jest człowiek, któremu mamy pomóc w popełnieniu takiego czynu?

- Chyba powinniście to wiedzieć. - Chłopak zamknął oczy; pot spływał mu po twarzy.

- Dlaczego chcesz go zabić?

- Z wielu powodów.

- Czemu chcesz go zabić?

- Bo torturował i zabił mojego ojca. Bo torturował i zabił wielu innych. Bo zabije i mnie, jeśli ja go nie uśmiercę. Bo jeżeli go nie zabiję, zamorduje mnóstwo ludzi, przedtem się nad nimi pastwiąc. To jedyny sposób powstrzymania go. Nie można mu przemówić do sumienia. Więc nie mam wyboru - muszę go zabić.

- Uważnie rozważ następne pytanie. Odpowiedz szczerze, inaczej odejdziemy.

Richard kiwnął głową.

- Jaka jest najważniejsza z przyczyn skłaniających cię do zabicia owego człowieka?

Chłopak popatrzył w ziemię i zamknął oczy.

- Bo jeśli ja go nie zabiję - szepnął z twarzą zalaną łzami - to on zabije Kahlan.

Dziewczyna poczuła się tak, jakby ją ktoś znokautował. Z trudem się zmusiła do przełożenia tych słów. Zapadło długie milczenie. Richard siedział zupełnie nagi, odsłonięty, i to w obu znaczeniach tego słowa. Kahlan była zła na duchy, że tak postąpiły z chłopakiem. I na siebie, za to, do czego go doprowadziła. Shar miała rację.

- A gdyby Kahlan była poza tą sprawą, to czy nadal byś chciał zabić owego człowieka?

- Oczywiście. Pytaliście o najważniejszą przyczynę, więc ją podałem.

- Takiegoż to magicznego przedmiotu szukasz? - spytały znienacka duchy.

- Czy to znaczy, że uznaliście powody, dla których go chcę zabić?

- Nie. To znaczy, że ze znanych nam powodów, postanowiliśmy odpowiedzieć na to pytanie. Jeżeli będziemy mogli to uczynić. Jakiego magicznego przedmiotu szukasz?

- Jednej z trzech szkatuł Ordena.

Kahlan przetłumaczyła, a duchy boleśnie jęknęły.

- Nie wolno nam odpowiedzieć na to pytanie. Szkatuły Ordena są w grze. Odchodzimy, spotkanie skończone.

Oczy starszych zaczęły się zamykać. Richard się poderwał.

- Pozwolicie Rahlowi zabić tych wszystkich ludzi, choć moglibyście mi pomóc?!

- Tak.

- Pozwolicie mu zabić waszych potomków?! Krew z waszej krwi i kość z waszej kości?! Więc nie jesteście duchami przodków, lecz duchami zdrajcami!

- To nieprawda.

- No, to odpowiedzcie mi!

- Nie wolno nam.

- Błagam! Nie odmawiajcie nam pomocy. Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

- Nie wolno nam zdradzić, gdzie są szkatuły Ordena. To zakazane. Zastanów się i zadaj inne pytanie.

Richard usiadł, podciągnął kolana. Potarł powieki czubkami palców. Malowidła na skórze sprawiły, że wyglądał jak jakaś dzika istota. Ukrył twarz w dłoniach i namyślał się. Nagle poderwał głowę.

- Nie możecie mi powiedzieć, gdzie są szkatuły. Istnieją jeszcze jakieś ograniczenia?

- Tak.

- Ile szkatuł ma już Rahl?

- Dwie.

- Właśnie mi zdradziliście, gdzie są dwie szkatuły - spojrzał na starszych niewinnym okiem. - A to podobno zakazane - przypomniał im. - A może to tylko

najlżejszy cień intencji?

Milczenie.

- Ta informacja nie jest zakazana. Zadaj pytanie. Richard pochylił się w przód, jak pies, który złapał trop.

- Możecie mi powiedzieć, kto wie, gdzie jest ostatnia szkatuła?

Kahlan zaczęła podejrzewać, że chłopak zna już odpowiedź na owo pytanie. Rozpoznała te jego metody dochodzenia do celu okrężną drogą.

- Znamy imię osoby, która ma szkatułę, i imiona kilku innych związanych z nią osób, lecz nie możemy ci ich zdradzić, bo to byłoby równoznaczne z powiedzeniem ci, gdzie jest szkatuła. A to jest zakazane.

- Czy w takim razie możecie mi zdradzić imię osoby, poza Rahlem, która nie ma ostatniej szkatuły ani nie znajduje się w jej pobliżu, lecz która wie, gdzie jest ów przedmiot?

- Tak, możemy ci podać imię tej osoby. Ona wie, gdzie jest szkatuła. Jej imię doprowadzi cię tylko do niej, a nie do szkatuły. To nam wolno. I od ciebie, nie od nas, będzie zależało zdobycie niezbędnych ci informacji.

- Oto moje pytanie: kto to jest? Podajcie mi jej imię.

Wymienili imię i Kahlan zdrętwiała. Nie przetłumaczyła. Starsi drgnęli, słysząc owo imię.

- Kto to? Jak się nazywa? - dopytywał się Richard. Dziewczyna spojrzała nań i szepnęła:

- Już po nas.

- Dlaczego? Kto to jest?

- To wiedźma Shota - odparła dziewczyna, kuląc się w sobie.

- Wiesz, gdzie ona jest?

Kahlan potaknęła, lecz była przerażona.

- W kotlinie Agaden - szepnęła, tak jakby owe słowa były niebezpieczne i przepojone trucizną. - Nawet czarodziej by się nie ośmielił tam pójść.

Chłopak patrzył na przerażoną twarz Kahlan, na drżących ze strachu starszych.

- No, to my pójdziemy do kotliny Agaden, do tej wiedźmy Shoty - Powiedział spokojnie. - I dowiemy się, gdzie jest szkatuła.

- Oby losy były dla was łaskawe - powiedziały duchy ustami człowieka Ptaka. - Życie naszych potomków jest w waszych rękach.

- Dziękuje wam za pomoc czcigodni przodkowie - rzekł Richard. - Zrobię, co

w mojej mocy, żeby powstrzymać Rahla. Żeby pomóc naszemu ludowi.

- Musisz się posługiwać głową, umysłem. To metody Rahla Posępnego. Przystań na jego warunki, a przegrasz. To nie będzie łatwy pojedynek. Będziesz cierpiał, nasz lud także, inne ludy również, zanim zdobędziesz choć cień szansy na zwycięstwo. Najprawdopodobniej przegrasz. Pamiętaj o naszych ostrzeżeniach, Richardzie Popędliwy.

- Zapamiętam wasze słowa. I przyrzekam, że uczynię wszystko, zęby zwyciężyć.

- Poddamy więc próbie prawdziwość twojej przysięgi. Powiemy ci cos jeszcze. - Duchy umilkły na chwilę. - Jest tu Rahl Posępny. Szuka cię.

Kahlan tłumaczyła pospiesznie. Zerwała się z miejsca, a Richard za nią.

- Co takiego! Jest tutaj? Gdzie? Co robi?

- Jest w centrum wioski. Zabija ludzi. Kahlan się przeraziła. Richard postąpił o krok.

- Muszę stąd wyjść. Muszę wziąć mój miecz i spróbować powstrzymać Rahla!

- Jeśli taka twoja wola. Lecz najpierw nas wysłuchaj. Usiądź - poleciły duchy.

Usiedli obydwoje, patrząc na siebie rozszerzonymi grozą oczami i Kurczowo trzymając się za ręce. Łzy wezbrały w ich oczach.

- Mówcie szybko - poprosił chłopak.

- Rahl Posępny chce cię schwytać. Twój miecz go nie zabije. Dziś szala przechyliła się na jego korzyść. Zginiesz, jeżeli cię tu złapie. Nie masz szansy. Nawet najmniejszej. Żeby zwyciężyć, musisz zmienić równowagę sił na swoją korzyść. Nie możesz tego uczynić tej nocy. Ci ludzie i tak zginą, czy wyjdziesz do niego, czy nie. A jeśli pójdziesz, to zginie wielu następnych. Wielu, bardzo wielu. Jeżeli chcesz zwyciężyć, to musisz pozwolić, by ci ludzie dzisiaj zginęli. Ocalić własne życie dla przyszłej walki. Doświadczyć tego cierpienia. Kierować się głową, a nie mieczem, jeśli chcesz zwyciężyć.

- I tak w końcu będę musiał się z nim zmierzyć!

- Rahl Posępny namotał wiele mrocznych intryg. Musi pilnować wielu spraw, dzielić między nie swój czas. Nie może tu czekać całą noc. Ufa - i ma po temu powody - że cię dopadnie, kiedy zechce. Nie musi tu na ciebie czekać. Wkrótce odejdzie, żeby się zająć innymi mrocznymi sprawami, a ciebie poszuka innym razem. Symbole wymalowane na twojej skórze otwierają nasze oczy i możemy cię widzieć. Te same symbole sprawiają, że Rahl nie może cię zobaczyć. Chyba że wzniesiesz

swój miecz. Zobaczy miecz i wtedy cię dopadnie. Nie znajdzie cię, dopóki owe symbole będą na twojej skórze i twój magiczny miecz pozostanie w pochwie, dopóki będziesz na ziemiach Błotnych Ludzi.

- Przecież nie mogę tu zostać!

- Istotnie; jeśli chcesz powstrzymać Rahla, to nie możesz. Kiedy opuścisz nasze ziemie, symbole stracą moc i on znów będzie cię mógł zobaczyć.

Richard ciężko oddychał, ręce mu drżały. Kahlan widziała, jak mało brakuje, by zlekceważył ostrzeżenie i ruszył do walki.

- Wybór należy do ciebie - powiedziały duchy. - Nie wychodź stąd, niech zabije jeszcze paru naszych ludzi, a kiedy odejdzie, udaj się na poszukiwanie szkatuły i uśmierć go. Albo wyjdź teraz i zaprzepaść wszystko.

Richard mocno zaciskał powieki. Jego pierś unosiła się i opadała w ciężkim oddechu.

- Zaczekam - szepnął ledwo dosłyszalnie.

Kahlan zarzuciła mu ramiona na szyję, przytuliła jego głowę do swojej i obydwoje płakali. Krąg starszych znów zaczął wirować. To ostatnie zapamiętała. Potem obudził ich Człowiek Ptak. Dziewczyna miała wrażenie, że budzi się z koszmaru. Przypomniała sobie słowa duchów - że giną Błotni Ludzie i że ona i Richard, jeśli chcą znaleźć szkatułę, powinni pójść do kotliny Agaden, do Shoty. Zadrżała, myśląc o wiedźmie. Starsi stali nad nimi, pomagali im wstać. Miny mieli ponure. Kahlan była bliska płaczu, lecz zdołała się opanować.

Człowiek Ptak otworzył drzwi, wpuścił chłodne nocne powietrze. Niebo było usiane gwiazdami.

Chmury zniknęły. Wężowaty obłok też.

Do świtu pozostała może godzina, niebo na wschodzie już zaczynało różowieć. Myśliwy podał im ubrania, a Richardowi jego miecz. Ubrali się w milczeniu i wyszli z domu duchów.

Dom duchów otaczał ochronny kordon myśliwych i łuczników.

Wielu z nich było rannych. Richard wysunął się przed Człowieka Ptaka.

- Powiedzcie mi, co się wydarzyło - polecił spokojnym głosem.

Na czoło wystąpił człowiek z włócznią. W jego oczach zapłonął gniew. Kahlan stała przy Richardzie, gotowa tłumaczyć.

- Z nieba spłynął czerwony demon niosący człowieka. Ten człowiek chciał ciebie. - Dźgnął Richarda włócznią w pierś, oczy mu płonęły gniewem. Człowiek

Ptak z kamienną twarzą położył dłoń na włóczni i odchylił ją od chłopaka. - Znalazł tylko twoje ubranie i zaczął zabijać. Dzieci! - Myśliwy ciężko dyszał. - Nasze strzały nie czyniły mu krzywdy. Nasze włócznie również. Nie mogliśmy go dotknąć rękami. Wielu z tych, którzy próbowali go dosięgnąć, zginęło od magicznego ognia. Potem zobaczył, że palimy ogień, i wściekł się jeszcze bardziej. Zagasił wszystkie ogniska. Potem znów dosiadł czerwonego demona i zagroził nam, że jeśli znów rozpalimy ogień, to wróci i pozabija wszystkie nasze dzieci! Czarami uniósł Siddina w powietrze i wziął go pod pachę. Powiedział, że to będzie prezent dla przyjaciela. A potem odleciał. Gdzie wówczas byłeś z tym swoim mieczem?!

Łzy wezbrały w oczach Savidlina. Kahlan przycisnęła dłoń do swego ściśniętego bólem serca. Wiedziała, dla kogo był ów podarek.

Mężczyzna splunął na Richarda. Savidlin rzucił się nań, lecz chłopak go powstrzymał.

- Słyszałem głosy naszych przodków! - krzyknął Savidlin. - Wiem, że on nie stchórzył!

Kahlan objęła Savidlina, pocieszała go.

- Nie upadaj na duchu. Już raz uratowaliśmy twojego synka choć się wydawało, że jest stracony. Wybawimy go i tym razem.

Savidlin dzielnie przytaknął dziewczynie i odsunęła się odeń. Richard spytał cicho, co powiedziała tamtemu.

- Skłamałam, żeby ulżyć jego cierpieniu - odparła.

Chłopak ze zrozumieniem skinął głową i odwrócił się ku mężczyźnie z włócznią.

- Pokaż mi tych, których zabił - rzucił beznamiętnym tonem.

- Po co? - spytał myśliwy.

- Żebym zawsze pamiętał, dlaczego chcę zabić tego, który to uczynił.

Mężczyzna łypnął gniewnie na starszych i poprowadził wszystkich ku centrum wioski. Kahlan przybrała „twarz Spowiedniczki”. Nie chciała zdradzać swoich uczuć, wiedziała, co zobaczy. Widziała to już wiele razy w innych wioskach, w innych okolicach. I było tak, jak przedtem, jak się spodziewała. Pod ścianą leżały poszarpane ciałka dzieci, popalone ciała mężczyzn i kobiet, niektórzy nie mieli ramion lub dolnej połowy twarzy. Była wśród nich bratanica Człowieka Ptaka. Richard chodził pomiędzy płaczącymi i jęczącymi Błotnymi Ludźmi, wzdłuż położonych rzędem pomordowanych i nie okazywał: żadnych uczuć, niczego nie dając po sobie poznać,

spokojny jak oko cyklonu. Albo, pomyślała Kahlan, jak piorun gotowy uderzyć.

- Oto, co nam przyniosłeś! - syknął człowiek z włócznią. - To przez ciebie!

Inni przytaknęli. Richard patrzył na to spokojnie, a potem łagodnie rzekł do myśliwego:

- Oskarżaj mnie, jeśli to ulży twojemu cierpieniu. Ja zaś winie tego, który ma na rękach ich krew. - Odwrócił się od niego i rzekł do starszyzny: - Nie palcie ognia, dopóki to się nie skończy. To by tylko spowodowało dalsze zabójstwa. Przysięgam, że powstrzymam tego człowieka lub sam zginę. Dzięki, przyjaciele, za pomoc. - Popatrzył na Kahlan. W oczach miał gniew wywołany tym, co zobaczył. Zacisnął zęby. - Chodźmy poszukać tej wiedźmy - rzucił.

Nie mieli wyboru. Lecz dziewczyna znała Shotę. Zginą.

Równie dobrze mogli pójść do Rahla i poprosić, żeby im powiedział, gdzie znajdą szkatułę.

Kahlan podeszła do Człowieka Ptaka i objęła go nagle.

- Pamiętaj o mnie - Szepnęła.

Człowiek Ptak spojrzał po swoich ludziach i rzekł:

- Potrzebni ochotnicy, żeby bezpiecznie doprowadzić tych dwoje do granic naszych ziem.

Natychmiast zgłosił się Savidlin. A przy nim stanęło bez wahania dziesięciu jego najlepszych myśliwych.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Księżniczka Violet odwróciła się nagle i spoliczkowała Rachel. Z całej siły. Rachel, rzecz jasna, nie zrobiła nic złego; po prostu księżniczka uwielbiała ją znienacka policzkować. Uważała, że to zabawne. Rachel nie ukrywała, że to bardzo boli, księżniczka uderzyłaby raz jeszcze, gdyby porządnie nie zabolało. Rachel zakryła dłonią bolące miejsce. Wargi jej drżały, w oczach pojawiły się łzy, lecz milczała.

Księżniczka Violet znów patrzyła na politurowane ścianki szufladek. Wsunęła serdelkowaty paluch w złoty uchwyt i wyciągnęła kolejną szufladkę. Wyjęła srebrny naszyjnik, wysadzany dużymi, błękitnymi kamieniami.

- Ładny. Unieś mi włosy.

Spojrzała w wysokie lustro w drewnianej ramie i zapinając zameczek naszyjnika, podziwiała swoją urodę. Rachel przytrzymywała jej długie, matowe, brązowawe włosy. Dziewczynka też zerknęła w lustro, na czerwoną plamę na swojej buzi. Nienawidziła swojego odbicia, sterczących, krótko ostrzyżonych przez księżniczkę włosów. Wiedziała, że musi mieć krótkie włosy, ponieważ nie zajmowała wysokiej pozycji, ale żeby je choć równo przycięli! Księżniczka ścinała je z upodobaniem w taki sposób, że sterczały na wszystkie strony. Księżniczkę Violet cieszyło, że ludzie uważają Rachel za brzydulę.

Dziewczynka przeniosła ciężar ciała na drugą stopę, żeby tamta odpoczęła. Całe popołudnie tkwiły w skarbczyku królowej, a księżniczka przymierzała jeden klejnot po drugim i puszyła się przed lustrem. To było jej ulubione zajęcie - przymierzanie klejnotów i przeglądanie się w lustrze. Rachel musiała jej towarzyszyć - służyła jako towarzyszka zabaw - i dbać, żeby Violet się nie nudziła. Księżniczka już wysunęła całe tuziny szufladek, niektóre tylko trochę, inne całkiem. Z tych i owych, jak migotliwe węże, zwieszały się naszyjniki i bransolety. Na podłodze walały się brosze, pierścienie.

- Daj mi go. - Księżniczka wskazała leżący na podłodze pierścień z błękitnym kamieniem.

Rachel wsunęła pierścień na podstawiony palec, a księżniczka podziwiała się w lustrze, coraz to inaczej ustawiając zdobną w biżuterię dłoń. Przesunęła rękę po bladoniebieskiej atłasowej sukni, zachwycając się pierścieniem. Westchnęła ze znudzeniem i ruszyła w przeciwległy kąt komnaty, ku fantazyjnej podstawce z białego marmuru. Patrzyła na ulubiony przedmiot matki, na którym przy każdej okazji starała

się położyć rękę. Pulchne paluchy księżniczki Violet złapały i ściągnęły z podstawki złotą, wysadzaną klejnotami szkatułę.

- Księżniczko Violet! - wyrwało się Rachel, zanim się zdołała ugryźć w język. - Przecież twoja matka ci zabroniła tego dotykać!

Księżniczka odwróciła się z niewinną minką i rzuciła jej szkatułkę. Rachel zachłysnęła się oddechem i złapała puzderko. Przecież mogło się rozbić o ścianę, pomyślała z przerażeniem. Natychmiast postawiła je na podłodze, jakby to był rozżarzony węgiel, bojąc się trzymać je w dłoniach. Cofnęła się, nie chciała, żeby ją ktoś przyłapał tak blisko bezcennej szkatuły królowej.

- No i o co tyle krzyku? - warknęła księżniczka. - Magia sprawia, że nie można jej stąd wynieść. Przecież nikt nie chce tego ukraść!

Rachel nie miała pojęcia o magii, za to doskonale wiedziała, że nie chce, żeby ją ktoś przyłapał ze szkatułą królowej w rękach.

- Schodzę do sali jadalnej - oznajmiła księżniczka, zadzierając dumnie nos - patrzeć na przybywających gości i czekać na wieczerzę. Posprzątaj ten okropny bałagan, a potem idź do kuchni i zapowiedz kucharzom, że jeśli znów moja pieczeń będzie twarda jak podeszwa, to się poskarżę matce i dostaną baty.

- Jak rozkażesz, księżniczko. - Rachel skłoniła się.

- I? - Violet zadana nochal.

- L.. Dziękuję ci, księżniczko Violet, że zabrałaś mnie tutaj ze sobą i pozwoliłaś patrzeć, jak ślicznie wyglądasz w klejnotach.

- Choć tyle mogę dla ciebie uczynić. Pewnie masz już dość oglądania w lustrze swojej paskudnej gęby. Moja matka mówi, że powinno się być dobrym dla mniej obdarowanych. - Księżniczka sięgnęła po coś do kieszeni. - Masz. Weź klucz i zamknij drzwi, gdy już wszystko odłożysz na miejsce.

- Tak, księżniczko Violet. - Rachel ponownie się skłoniła, Klucz spadał do wyciągniętej rączki dziewczynki, a wtedy nagle zjawiła się druga ręka Violet i spoliczkowała Rachel mocniej niż zwykle. Mała stała nieruchomo, a księżniczka wyszła z komnaty, zanosząc się piskliwym, skrzeczącym śmiechem.

Rachel chodziła na czworakach po podłodze, zbierając pierścienie, i płakała. Przysiadła na chwilę i ostrożnie przyłożyła palce do piekącego policzka. Bolało jak licho. Na razie nie ruszała szkatuły królowej, choć wiedziała, że będzie musiała ją odstawić na miejsce. Powoli, starannie chowała klejnoty, kolejno zamykała szufladki, łudząc się, że nigdy z tym nie skończy i nie będzie musiała dotknąć skrzyneczki -

ukochanego, najcenniejszego klejnotu władczyni.

Królowa na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że ktoś dotykał puzderka, ktoś tak mało ważny jak ona Królowa stale kazała ścinać komuś głowę. Czasami Violet zabierała Rachel ze sobą, ale dziewczynka zawsze zamykała oczy. Violet nigdy.

Wszystkie klejnoty były już na swoich miejscach, ostatnia szuflada zamknięta. Dziewczynka patrzyła spod oka na leżącą na podłodze szkatułę. Miała wrażenie, że kasetka odwzajemnia spojrzenie; może potrafi naskarżyć królowej? Wreszcie Rachel przykucnęła i z szeroko rozwartymi ze strachu oczami podniosła cacko. Ostrożnie stawiała stopy, uważając, żeby nie zaczepić o brzeg dywanu, przerażona, że mogłaby upuścić szkatułę. Jak najostrożniej odstawiła ją na miejsce. Okropnie się bała, że coś by się mogło stać. Wszystko dobrze poszło, poczuła ulgę i szybciutko cofnęła palce.

Odwróciła się i dostrzegła skraj srebrzystej szaty. Dech jej zaparło. Nie słyszała kroków. Wolno, wolniutko unosiła głowę - oto ręce wsunięte w rękawy, szpiczasta biała broda, koścista twarz, haczykowaty nos, łysa czaszka, ciemne oczy patrzące na jej wystraszoną buzię.

Czarodziej.

- Ja ją tylko odkładam na miejsce, czarodzieju Gillerze - jęknęła Rachel, święcie przekonana, że on ją natychmiast uśmierci. - Przysięgam! Nie zabijaj mnie, błagam, nie zabijaj! - Aż się skrzywiła z wysiłku, lecz nie zdołała się cofnąć, jakby wrosła w podłogę. - Błagam! - Przycisnęła do ust rąbek szaty czarodzieja i zagryzła, łkając.

Dziewczynka mocno zacisnęła powieki i trzęsła się ze strachu, a czarodziej zniżał się ku ni ej.

- Ależ, dziecinko - powiedział łagodnie. Rachel ostrożnie otwarła jedno oko: Giller siedział na podłodze, z twarzą na wysokości jej buzi. - Nie zamierzam cię skrzywdzić.

- Na pewno? - Równie ostrożnie otwarła drugie oko. Nie dowierzała mu. Z przerażeniem ujrzała, że ciężkie, wielkie drzwi, jej jedyna droga ucieczki, są zamknięte.

Na pewno. - Uśmiechnął się i potrząsnął łysą głową. - Kto zdjął szkatuł??

- Bawiłyśmy się. Naprawdę. Tylko się bawiłyśmy. Odstawiałam ją za księżniczkę. Ona jest dla mnie taka dobra. Jest cudowna, kocham ją, jest dla mnie taka miła...

Czarodziej położył długi palec na wargach małej i uciszył ją. - Rozumiem, dziecko, rozumiem. A więc to ty jesteś towarzyszką zabaw księżniczki?

- Tak. Mam na imię Rachel - odparła skwapliwie.

- Bardzo ładne imię. - Giller się uśmiechnął jeszcze szerzej. - Cieszę się, Rachel, że cię poznałem. I przepraszam za to, że cię tak wystraszyłem. Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku ze szkatułą królowej.

Nikt nigdy nie powiedział Rachel, że ma ładne imię. Ale czarodziej zamknął drzwi.

- Nie uśmiercisz mnie? Ani nie zamienisz w nic okropnego?

- Oczywiście, że nie, skarbie. - Giller się roześmiał. Przekrzywił głowę i łypał na Rachel jednym okiem. - Skąd te czerwone ślady na policzkach?

Nie odpowiedziała, wystraszona. Czarodziej ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął palcami najpierw jednego policzka dziewczynki, potem drugiego. Szeroko otworzyła oczy. Ból zniknął.

- Lepiej?

Przytaknęła. Jego oczy zdawały się takie wielkie, kiedy patrzyły z bliska. Rachel miała wrażenie, że ją namawiają, by powiedziała, co się stało.

- Księżniczka mnie uderzyła - przyznała, zawstydzona.

- Ach, tak? Więc jednak nie jest dla ciebie zbyt miła?

Dziewczynka potrząsnęła głową i spuściła oczy. A czarodziej uczynił coś, co ją kompletnie zamurowało. Przytulił ją. Przez chwilę trwała bez ruchu, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego. Długie białe wąsiska łaskotały ją w policzek i w szyję, lecz Rachel to nie przeszkadzało.

- Tak mi przykro, dziecinko. Księżniczka i królowa potrafią być okrutne. Ma taki miły głos, myślała Rachel, zupełnie jak Brophy. Wargi pod haczykowatym nosem uśmiechały się szeroko.

- A wiesz, mam coś, co ci pomoże. - Chuda ręka zanurzyła się szaty i czegoś tam szukała, oczy patrzyły przed siebie. Wreszcie znalazł i wyciągnął lalkę: miała krótkie, złociste włoski, jak Rachel. Mała patrzyła z zachwytem, a Giller poklepał lalkę po brzuszku. - To pocieszanka.

- Pocieszanka?

- Tak - potwierdził. Twarz marszczyła mu się w uśmiechu. - Kiedy masz jakieś troski czy kłopoty, zwierzasz się z nich lalce, a ona cię pociesza. Jest zaczarowana. Weź ją. Spróbuj.

Dziewczynka wstrzymała oddech i ostrożnie, oburącz, wzięła lalkę. Lękliwie ją przytuliła. Potem odsunęła ją od siebie i popatrzyła na twarzyczkę zabawki. Oczy miała pełne łez.

- Księżniczka Violet mówi, że jestem brzydka - poskarżyła się lalce.
Twarzyczkę pocieszanki rozjaśnił uśmiech. Rachel aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Kocham cię, Rachel - powiedział cieniutki, cichy głosik. Dziewczynka sapnęła ze zdziwienia, zachichotała z zachwytu i z całych sił przytuliła lalkę. Kołysała się w przód i w tył, tuliła ją i śmiała się, śmiała, śmiała. A potem sobie przypomniała. Wyciągnęła lalkę ku czarodziejowi i odwróciła główkę.

- Nie wolno mi mieć lalki. Księżniczka mi zabroniła. Rzuci jaw ogień, tak powiedziała. Jeżeli będę mieć lalkę, to rzuci ją w ogień - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Hmm, niech no pomyślę... - Giller podrapał się w brodę. - Gdzie sypiasz?

- Przeważnie w sypialni księżniczki. Zamyka mnie na noc w skrzyni. Myślę, że to nieładnie z jej strony. A czasem, kiedy mówi, że byłam wyjątkowo paskudna, każe mi wychodzić z zamku i spać na zewnątrz. Ona uważa, że to gorsze niż skrzynia, ale ja to wolę: mam swoje tajemne schowanko pod sosną-strażniczką i tam śpię. Sosny-strażniczki nie mają zamknięć, wiesz. Zawsze mogę wyjść za potrzebą, kiedy muszę. Czasem jest zimno, ale mam tam wiązkę słomy i zagrzebuję się w nią i wtedy mi cieplej. Tylko muszę wracać rankiem, zanim ona wyśle strażników, żeby mnie poszukali. Nie chcę, żeby znaleźli mój tajemny schowek. Powiedzieliby o nim księżniczce i już nigdy by mnie nie wyrzuciła z zamku.

Czarodziej czule ujął w dłonie twarz Rachel. Mała poczuła się ważna i lubiana.

- Że też musiałem się do tego przyczynić, drogie dziecko - szepnął Giller. Oczy miał wilgotne i dziewczynka bardzo się zdziwiła: nie wiedziała, że i czarodzieje ronią łzy. Potem znów się szeroko uśmiechnął i uniósł palec. - Mam pomysł. Znasz paradne ogrody?

Rachel potwierdziła.

- Przechodzę tamtędy w drodze do mojego schowka, kiedy ona mnie wyrzuca na noc. Księżniczka każe mi wychodzić przez tylną, ogrodową bramę. Nie chce, żebym wychodziła przednią bramą, koło sklepów i ludzi. Boi się, że ktoś mógłby mnie zabrać do siebie na noc. Zakazała mi chodzić do miasta i do wioski. Mam za karę iść do lasu.

- Po obu stronach głównej alei stoją wazy z żółtymi kwiatami. - Mała kiwnęła głową, wiedziała o tym. - Schowam twoją lalkę w trzeciej wazie po prawej stronie. I rzucę zaklęcie, żebyś tylko ty ją mogła znaleźć. - Wziął lalkę i starannie ukrył ją w szatach. Pójdziesz tam, gdy cię kolejny raz wyrzuci na noc, i znajdziesz swoją lalę. Zabierzesz ją do schowanka pod sosną-strażniczką, a tam nikt jej nie odnajdzie i nie zabierze. Dam ci również magiczna ogni ową pałeczkę. Ułożysz stosik patyków, niezbyt duży, otoczony kamieniami, przytkniesz do patyków ogniową pałeczkę i powiesz: „Zapal to dla mnie". Zapłonie ogień i będzie ci ciepło.

Rachel objęła Gillera rączkami i mocno, mocno tuliła się do niego, a czarodziej poklepywał ją po pleckach.

- Dziękuję ci, czarodzieju Gillerze.

- Mów mi po prostu Giller, dziecinko, kiedy jesteśmy sami. Tak mnie nazywają dobrzy przyjaciele.

- Strasznie ci dziękuję za lalkę, Gillerze. Jeszcze nikt mi nie dał takiego wspaniałego prezentu. Będę o nią dbała, na pewno. Muszę już iść. Muszę zbesztać kucharzy w imieniu księżniczki. A potem mam siedzieć i patrzeć, jak ona je. - Uśmiechnęła się. - A jeszcze potem zrobię coś paskudnego, żeby mnie wyrzuciła na noc z zamku.

Czarodziej śmiał się serdecznie, oczy mu błyszczały. Wielką dłonią zmierzwił włosy Rachel. Potem pomógł jej otworzyć ciężkie drzwi, zamknął je na klucz i oddał go dziewczynce.

- Tak bym chciała czasem z tobą porozmawiać - powiedziała, unosząc głowę i patrząc na czarodzieja.

- Na pewno porozmawiamy, Rachel. - Uśmiechnął się do niej. - Na pewno.

Pomachała mu na pożegnanie i pobiegła długim, pustym holem. Jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa, od kiedy zamieszkała w zamku. Do kuchni było daleko: w dół po kamiennych schodach, korytarzami wyłożonymi dywanami i ze ścianami ozdobionymi malowidłami, potem przez wielkie komnaty o wysokich oknach z czerwonymi i złocistymi zasłonami, ze stojącymi na złoconych nóżkach fotelami obitymi czerwonym aksamitem i z długimi kobiercami, na których widać było walczących jeźdźców, Obok strażników, którzy stali nieruchomo przed niektórymi ozdobnymi drzwiami lub chodzili dwójkami, obok służby kręcącej się wszędzie z naręczami obrusów i prześcieradeł, noszącej tace lub szczotki, szmaty i wiadra z mydlinami.

Żaden gwardzista i nikt ze służby nie poświęcił Rachel uwagi, choć biegła. Wiedzieli, że mała jest towarzyszką zabaw księżniczki Violet, i mnóstwo razy widzieli, jak biega po zamku, wypełniając polecenia księżniczki.

Wreszcie zasapana dziewczynka dotarła do kuchni - parnej, zadymionej, hałaśliwej. Pomocnicy dźwigali ciężkie worki, wielkie gary albo rozgrzane tace, uważając, żeby nie wpadać na siebie. Wciąż coś siekano na wysokich stołach, rąbano na pniakach rzeźniczych. Szczękały rondle, kucharze wykrzykiwali polecenia, pomocnicy zdejmowali jedne rondle i metalowe misy i stawiali inne. Stukały mieszające i ubijające łyżki, w gorących rondlach skwierczały olej, czosnek, masło i cebula, wydawało się, że wszyscy wrzeszczą jednocześnie. Nad owym rozgardiaszem unosiły się tak smakowite zapachy, że Rachel zakręciło się w głowie.

Dziewczynka pociągnęła za rękaw jednego z dwóch głównych kucharzy, chcąc mu przekazać polecenie księżniczki, ale on akurat awanturował się z drugim kucharzem, kazał jej więc usiąść i poczekać, aż skończą dyskusję. Rachel usiadła na stołeczku przy piecu, oparła plecy o nagrzane cegły. W kuchni tak znakomicie pachniało, a ona była taka głodna! Ale wiedziała, że nic dobrego z tego nie wymknie, jeśli poprosi o jedzenie.

Obaj główni kucharze stali nad wielkim garem, wymachiwali rękami i krzyczeli na siebie. Gar runął nagle na podłogę, rozpadł się z hukiem na połowę i zalał wszystko dokoła jasnobrązową cieczą. Rachel wskoczyła na stołeczek, żeby wrzący płyn nie poparzył jej bosych stóp. Kucharze zamarli i twarze mieli równie białe jak fartuchy.

- I co teraz zrobimy? - spytał niższy - Już nie mamy ingrediencji przysyłanych przez Ojczulka Rahla.

- Chwileczkę. - Wyższy przycisnął dłoń do czoła. - Niech no pomyślę. - Ukrył twarz w dłoniach. Po chwili pacnął dłonią w czoło. - Mam! Mam pomysł. Daj mi drugi garnek i siedź cicho. Może ocalimy głowy. Przynieś inne składniki.

- Jakie!!! - ryknął poczerwieniały niższy.

- Brunatne!!! - odwrzasnął wyższy, pochyliwszy się nad tamtym. Rachel patrzyła, jak się miotają, łapiąc różne produkty, wlewając do gara całe butle jakichś płynów, dodając przypraw, mieszając i próbując. W końcu obaj się uśmiechnęli.

- Nieźle, nieźle, powinno się udać. Aleja będę mówić - oznajmił wyższy. Rachel podeszła na paluszkach i znów go pociągnęła za rękaw.

- Jeszcze tu jesteś! Czego chcesz? - warknął.

- Księżniczka Violet ostrzega, że jak jej znów przesuszycie pieczeń, to powie królowej, żeby was kazała wychłostać. - Spuściła oczy. - To jej własne słowa, ja tylko powtarzam, co mi nakazano.

Wyższy przez chwilę patrzył na Rachel, a potem przeniósł wzrok na niższego i pogroził mu palcem.

- Mówiłem ci! Przecież ci mówiłem! Tym razem odkrój jej ze środka i nie pomyl talerzy, bo utną nam głowy! - Popatrzył na dziewczynkę. - A ty tego w ogóle nie widziałaś. - Zatoczył palcem krąg nad garem.

- Gotowania? Chcesz, żebym nikomu nie powiedziała, że widziałam, jak gotujecie? Jasne - obiecała, trochę zmieszana, i dorzuciła, odchodząc: - Nikomu nie powiem, na pewno. Nie lubię, jak ranią ludzi biczami. Nic nie powiem.

- Zaczekaj no - zawołał za nią kucharz. - Masz na imię Rachel, prawda? Odwróciła się i potaknęła.

- Wracaj.

Niechętnie przydreptała z powrotem. Kucharz wziął wielki nóż - trochę się wystraszyła - i odciął duży, soczysty kawał pieczeni. Od bardzo, bardzo dawna nie dostała takiego plastra mięsa, bez tłuszczu i chrząstek. Jak dla królowej lub księżniczki. Kucharz wcisnął mięso w rączkę Rachel.

- Przepraszam, Rachel, że na ciebie wrzasnąłem. Usiądź na tamtym stołeczku i zajadaj. Potem się powycierasz i nikt się nie domyśli, że cię nakarmiliśmy. Zgoda?

Dziewczynka kiwnęła głową i pognała ze swą zdobyczą do wskazanego stołeczka. Zupełnie zapomniała, że zwykle chodzi tutaj na paluszkach. W życiu nie jadła takiej pyszności! Starała się jeść jak najwolniej i przyglądać się krzątającym się wokół ludziom, stukającym rondlami i przenoszącym jakieś różności, ale jej się nie udawało. Sos spływał po rękach Rachel, skapywał jej do łokci.

Kiedy zjadła mięso, przyszedł niższy kucharz i otarł jej rączki i buzię ręcznikiem, a potem dał kawałek cytrynowego placka. Wetknął ów kawałek w rękę małej, jak tamten wyższy pieczeń. Powiedział, że sam upiekł placek i że chce wiedzieć, czy mu się udał. Powiedziała mu szczerze, że to jedna z najsmaczniejszych rzeczy, jakie w życiu jadła. Kucharz uśmiechnął się do niej.

Rachel nie pamiętała równie szczęśliwego dnia. Dostała pocieszankę i nakarmiono ją. Czuła się jak królowa.

Później siedziała w wielkiej sali jadalnej, za księżniczką, i po raz pierwszy nie burczało jej w brzuchu z głodu, kiedy patrzyła, jak jedzą. Główny stół, przy którym

siedziały, stał trzy stopnie powyżej pozostałych i kiedy Rachel mocno się wyprostowała, widziała całą salę. Wszędzie krzątali się służący, wnosząc potrawy, zbierając półmiski, choć jeszcze nie były puste, nalewając wina i zamieniając na wpół opróżnione tace na pełne, przyniesione z kuchni.

Rachel obserwowała piękne panie i panów odzianych w barwne, strojne szaty. Siedzieli za długimi stołami, jedli z ozdobnych talerzy, a ona po raz pierwszy wiedziała, jak smakuje to, czym się raczyli. Nie mogła jednak zrozumieć, po co im tyle rozmaitych łyżek i widelców. Kiedyś spytała o to księżniczkę, lecz ta odparła, że komuś takiemu jak Rachel owe wiadomości na nic się nigdy nie przydadzą.

Rachel zwykle ignorowano podczas uczt. Księżniczka tylko zerkała na nią od czasu do czasu. Jestem tu na pokaz, jako osobista dworka Violet, domyślała się dziewczynka. Wokół królowej, kiedy jadła, stali lub siedzieli różni ludzie. Królowa mówiła że Rachel jest po to, żeby księżniczka mogła się wprawiać w rządzeniu.

- Czy pieczeń jest wystarczająco soczysta, księżniczko Violet? - szepnęła dziewczynka, nachylając się ku tamtej. - Powiedziałam kucharzom, że to brzydko dawać ci niesmaczne mięso i że ostrzegałaś, żeby tego więcej nie robili.

Violet obejrzała się przez ramię, tłuszcz ściekał jej z brody.

- Na tyle dobra, żeby ich uchronić przed chłostą. Masz racje, nie powinni być dla mnie tacy wredni. Czas, żeby się tego nauczyli.

Królowa Milena, jak zawsze, siedziała przy stole ze swoim pieskiem. Przytrzymywała go pulchnym ramieniem, a on udeptywał je drżącymi patykowatymi łapkami. Królowa karmiła pieska kawałkami mięsa o wiele lepszymi niż te, które dostawała Rachel. Pomijając dzisiejszy kawałek pieczeni, pomyślała z uśmiechem dziewczynka.

Rachel nie lubiła pieska. Wciąż warczał, a kiedy królowa stawiała go na podłodze, to czasem przybiegał i gryzł dziewczynkę ostrymi ząbkami, ona zaś nie śmiała protestować. Królowa zawsze pouczała gryzącego pieska, żeby był ostrożny i nie zrobił sobie krzywdy. Zawsze mówiła do niego takim zabawnym, wysokim głosem.

Królowa rozmawiała ze swoimi ministrami o jakimś sojuszu, a Rachel siedziała i machała nogami, stukając jednym kolanem o drugie, i rozmyślała o swojej pocieszance. Czarodziej stał za królową, po jej prawej ręce i doradzał, kiedy go o to poprosiła. Jakiż był dostojny w tych srebrzystych szatach. Dziewczynka nigdy przedtem nie zwracała nań uwagi - był po prostu jednym z ważniaków królowej,

zawsze u jej boku, jak jej mały piesek. I ludzie się go bali, tak jak ona bała się pieska. Teraz wydawał się dziewczynce najmilszy ze znanych jej ludzi.

Giller nie spojrzał na Rachel ani razu. Dziewczynka uznała, że to dlatego, by nie ściągać na nią uwagi innych i nie rozzłościć księżniczki. Dobry pomysł. Księżniczka Violet na pewno rozgniewałaby się, gdyby wiedziała, iż Giller powiedział, że Rachel to ładne imię. - Długie włosy królowej spływały za oparcie jej rzeźbionego krzesła i falowały, kiedy potrząsała głową, słuchając, co mówią jej ważniacy.

Wieczerza dobiegła końca i służba wciągnęła wózek z wielkim garem, w którym, co Rachel widziała na własne oczy, mieszali kucharze. Napełniono pucharki i podano je wszystkim gościom. Każdy uznał, że szykuje się coś ważnego.

Królowa Milena wstała i uniosła pucharek w górę, na drugim ramieniu trzymając pieska.

- Szlachetni panowie i panie, oto napój oświecenia, który nam pomoże dojrzeć prawdę. To bardzo cenny napój i niewielu dane go kosztować. Ja sarna, rzecz jasna, uciekałam się do niego wiele razy, by móc zobaczyć prawdę, drogę Ojczulka Rahla, i poprowadzić mój lud ku ogólnemu dobru. Wypijmy.

Niektórzy mieli takie miny, jakby nie chcieli pić, ale tylko przez chwilę. Królowa odczekała, aż wszyscy wypiją, potem wychyliła swój pucharek i usiadła. Miała bardzo dziwną minę. Nachyliła się ku służącemu i coś szepnęła. Rachel zaczęła się niepokoić - królowa była niezadowolona. A kiedy królowa była niezadowolona, ludziom ścinano głowy.

Nadszedł wysoki kucharz, cały w uśmiechach. Królowa kiwnęła zakrzywionym palcem, żeby się ku niej nachylił. Na czole kucharza perlił się pot. Pewnie dlatego, że w kuchni tak gorąco, pomyślała Rachel. Siedziała tuż za księżniczką, zajmującą miejsce po lewej stronie królowej, więc wszystko słyszała.

- To ma inny smak - stwierdziła królowa Milena jadowicie. Rzadko mówiła tym tonem, ale gdy już to czyniła, ludzie zaczynali się bać.

- Ach, Wasza wysokość, jak by to powiedzieć, hmm, no cóż, istotnie inny. Nie taki sam. - Królowa uniosła brwi, a kucharz zaczął paplać szybciej. - Hmm, no cóż, Wasza wysokość, hmm, wiedziałem, że to bardzo ważna wieczerza. Tak, tak, wiedziałem, że Wasza wysokość sobie nie życzy, hmm, prawda, żeby coś się nie udało. Tak, o właśnie. Żeby ktoś, hmm, nie doznał oświecenia, prawda, objawienia, nie dostrzegł twojej, o pani, świetności, hmm, prawda, twoich starań w tej, hmm,

sprawie, więc... - Nachylił się jeszcze bardziej i szeptał konfidencjonalnie: - Więc ośmieliłem się przygotować mocniejszy napój, miłościwa pani, cóż, właśnie tak. O wiele mocniejszy, prawdę mówiąc, królowo. Żeby każdy zobaczył doniosłość tego, co im oznajmisz, o pani. Zapewniam cię, Wasza wysokość, że napój jest tak mocny, iż wszyscy dostąpią oświecenia. A nawet, Wasza miłość - szepnął jeszcze ciszej - tak mocny, że ten, kto ci się sprzeciwi po wypiciu go, hmm, cóż, na pewno będzie zdrajcą.

- Ach, tak - wyszeptała zaskoczona królowa. - Istotnie, od razu poznałam, że jest mocniejszy.

- Wasza dostojność jest spostrzegawcza i domyślna, jak zawsze. Wyrafinowane podniebienie, ośmielam się powiedzieć. Wiedziałem, o pani, że cię nie zwiodę.

- Istotnie, istotnie. Nie obawiasz się jednak, że podziała za mocno? Już czuję, jak spływa na mnie oświecenie.

- Ależ, pani. - Kucharz przesunął wzrokiem po obecnych - Bałem się przyrządzić słabszy napój, skoro rzecz idzie o twoje uprawnienia! Oby żaden zdrajca nie zdołał się zamaskować.

Królowa Milena uśmiechnęła się w końcu i skinęła głową.

- Jesteś mądrym i lojalnym kucharzem. Od tej chwili tylko ty będziesz miał pieczę nad napojem oświecenia.

- Uniżenie dziękuję, Wasza wysokość.

Kucharz skłonił się mnóstwo razy i wyszedł. Jak to dobrze, że nie wpadł w tarapaty, ucieszyła się Rachel.

- Szlachetni panowie i panie, niespodziewana nowina. Kazałam dziś kucharzowi przyrządzić szczególnie mocny napój oświecenia, żeby wszyscy, którzy są wierni i lojalni wobec swojej królowej, dostrzegli i pojęli mądrość planów i działań Ojczulka Rahla.

Wszyscy uśmiechnęli się promiennie i potakująco skinęli głowami, dając do zrozumienia, jak ich to ucieszyło. Niektórzy nawet powiedzieli, że już czują skutki działania napoju.

- Kolejna niespodzianka, szlachetni panowie i panie, dla waszej rozrywki. - Królowa strzeliła palcami i rozkazała: - Wprowadzić pomylonego.

Strażnicy wprowadzili jakiegoś mężczyznę i ustawili go pośrodku sali, dokładnie naprzeciw królowej, w kolisku stołów. Był wysoki i krzepki, skuty

łańcuchami. Królowa wychyliła się w przód.

- My wszyscy, zebrani tutaj, jesteśmy zgodni, że alians z naszym sojusznikiem, Rahlem Posępnym, przyniesie wielkie korzyści naszemu ludowi i że wszyscy na tym zyskamy. A największe pożytki odniosą prości ludzie, robotnicy i rolnicy, już nikt ich nie będzie wyzyskiwał dla własnej korzyści, dla złota czy z żądzy władzy. Od tej pory wszyscy będą pracować dla wspólnego dobra, a nie dla osiągnięcia indywidualnych celów. - Królowa przybrała gniewną minę. - Opowiedz tym ciemnym lordom i damom - wskazała ich szerokim gestem - jaki to jesteś bystry, mądrzejszy od nich i dlaczego powinno ci się pozwolić pracować wyłącznie na własny rachunek, a nie dla dobra bliźniego.

Na twarzy mężczyzny widniał gniew. Rachel pragnęła, by przybrał łagodniejszą minę, zanim wpadnie w tarapaty.

- Powszechne dobro - parsknął mężczyzna, powtarzając szeroki gest królowej, lecz jego ręce były w łańcuchach. - To nazywacie powszechnym dobrem? Wy, pięknisie, cieszycie się dobrym jadłem i dającym ciepło ogniem. Moje dzieci są dziś głodne, bo zabrano nam większość naszych plonów. Zabrano dla wspólnego dobra, dla tych, którzy postanowili nie pracować, a tuczyć się owocami mojej ciężkiej pracy.

Goście zaczęli się śmiać.

- I odmówiłbyś im strawy, bo osiągasz lepsze plony? - zapytała królowa. - Jesteś samolubnym człowiekiem.

- Oni też mieliby dobre plony, gdyby najpierw zasiali ziarno - odburknął.

- A więc tak mało dbasz o bliźnich, że pozwoliłbyś im głodować?

- Moja rodzina głoduje! Żeby wykarmić innych, żeby wykarmić wojska Rahla. Żeby żywić twoich pięknych lordów i damy, zajmujących się wyłącznie tym, co zrobić z moimi plonami, jak podzielić wśród innych owoce mojej ciężkiej pracy.

Uspokój się, błagała go w myślach Rachel. Bo ci utną głowę. Ale królowa i goście śmiali się z jego słów, bawiły ich.

- Moja rodzina marznie - dodał z jeszcze gniewniejszą miną - bo nam nie wolno rozpalać ognia! - Wskazał na kilka kominków. - A tu płonie ogień i ogrzewa tych, którzy mi mówią, że teraz wszyscy jesteśmy równi, że już nikt się nie będzie wynosił nad innych i że dlatego nie wolno mi zatrzymywać dla siebie tego, co moje. Czy to nie dziwne, że ci, którzy mi tłumaczą, jak to będziemy równi po zawarciu paktu z Rahlem, którzy sami nie pracują, a tylko dzielą owoce mojej pracy - że ci ludzie są dobrze odkarmieni, ogrzani i pięknie ubrani? A moja rodzina marznie i

głoduje.

Wszyscy się śmiali. Jedna Rachel się nie śmiała. Świetnie wiedziała, jak to jest być głodnym i zmarzniętym.

- Czyż nie obiecałam wam, lordowie i damy, królewskiej zabawy? - Królowa Milena zachichotała. - Dzięki napojowi oświecenia możemy w pełni ocenić, jakim samolubnym głupcem jest ów człowiek. Pomyślcie tylko: on naprawdę sądzi, że ma prawo odnosić korzyści, choć inni głodują! Przedłożyłby własne pożytki nad życie swoich bliźnich! Dla zaspokojenia własnej chciwości zamordowałby głodnego.

Zaśmiała się, a wszyscy goście śmiali się wraz z nią.

Wtem królowa uderzyła dłonią w stół. Talerze i półmiski podskoczyły, kilka pucharów się przewróciło i czerwone wino splamiło białe obrusy. Wszyscy zamilkli, a mały piesek warknął na mężczyznę w łańcuchach.

- Skończmy z taką zachłannością! Nadejdzie Ludowa Armia Pokoju i pomoże nam się pozbyć takich oto pijawek, które wysysają z nas wszystkie soki! - Okrągła twarz królowej była równie czerwona jak plamy na obrusie.

Goście długo wiwatowali i klaskali. Królowa siedziała wyprostowana, znów się uśmiechała.

Oblicze mężczyzny było równie czerwone jak twarz królowej Mileny

- Wszyscy okoliczni rolnicy, wszyscy rzemieślnicy w mieście pracują dla wspólnego dobra, a mimo to nie ma tyle żywności i innych produktów, ile było kiedyś. Dziwne, nieprawdaż?

- Oczywiście, że nie! - krzyknęła królowa, zrywając się z krzesła. - To wina takich chciwców jak ty! - Odetchnęła kilka razy głęboko, aż jej twarz nie była zbytnio purpurowa, i powiedziała do księżniczki: - Kiedyś musisz się nauczyć rządzić, Violet, kochanie. Musisz się nauczyć służyć ogólnemu dobru i ludowi. Toteż składam tę sprawę w twoje ręce, żebyś nabyła doświadczenia. Jak byś postąpiła z tym zdrajcą ludu? Powiedz kochanie, a dokona się.

Księżniczka Violet wstała. Uśmiechnęła się i powiodła wzrokiem po obecnych.

- Powiedziałabym... - zaczęła i nachyliła się nieco nad stołem, patrząc na skutego łańcuchami mężczyznę. - Kazałabym go ściąć!

Goście znów zaczęli wiwatować i klaskać. Strażnicy wywlekli mężczyznę, a on wykrzykiwał słowa, których Rachel nie rozumiała. Dziewczynka współczuła i jemu, i jego rodzime.

Wszyscy paplali przez chwilę i postanowili pójść popatrzeć na egzekucję. Królowa Milena i księżniczka Violet spojrzały na Rachel i powiedziały, że już czas iść popatrzeć, a dziewczynka stała przed nimi z zaciśniętymi piąstkami.

- Obie jesteście paskudne! Jak mogłyście go kazać ściąć!

- Ach, tak? - Violet wsparła się pod boki. - No, to dziś się prześpisz w lesie!

- Ale dziś jest tak zimno, księżniczko Violet!

- Wiec nie będziesz spać z zimna, tylko się zastanawiać, jak się ośmieliłaś przemawiać do mnie takim tonem! I zapamiętaj sobie, że następnym razem spędzisz poza zamkiem noc, dzień po niej i kolejną noc! - Minę miała równie wredną jak czasem królowa. - To cię nauczy szacunku.

Rachel zaczęła coś mówić, wtem przypomniała sobie o pocieszance i o tym, że chce wyjść z zamku. Księżniczka wskazała jej drzwi.

- Odejdź natychmiast. Teraz. I bez kolacji. - Violet tupnęła nogą. Dziewczynka patrzyła w podłogę, udając smutek.

- Jak każesz, księżniczko Violet. - Skłoniła się.

Odeszła ze spuszczoną głową przez sklepione przejście i wielki hol ze ścianami obwieszonymi kobiercami. Rachel lubiła patrzeć na utkane sceny, ale tym razem nie podniosła głowy - to na wypadek, gdyby księżniczka za nią patrzyła. Nie chciała zdradzić że się cieszy z nocy poza zamkiem. Strażnicy w lśniących napierśnikach, zbrojni w miecze i piki, bez słowa otworzyli przed Rachel wielkie, ciężkie, żelazne drzwi. Nigdy się do niej nie odzywali, ani gdy wychodziła, ani gdy ją wpuszczali z powrotem. Wiedzieli, że jest służką księżniczki, nikim, zerem.

Dziewczynka znalazła się na zewnątrz. Starała się nie iść za szybko, bo gdyby ktoś patrzył! Bose stopy stąpały po lodowato zimnym kamieniu. Powolutku, wsunąwszy dłonie pod pachy, zeszła po szerokich stopniach i tarasach, uważając, żeby nie spaść. W końcu dotarła do brukowanej alejki. Dzisiaj było więcej patroli, ale żołnierze nie zwracali na Rachel uwagi. Często ją przecież tu widywali. Im bliżej miała do ogrodów, tym szybciej szła.

Dziewczynka zwolniła w głównej alei, zaczekała, aż straże ją wyminą. Pocieszanka była dokładnie tam, gdzie Giller miał ją schować. Rachel wsunęła ogniową pałeczkę do kieszeni i mocno przytuliła lalkę. Ostrzegła ją szeptem, by się nie odzywała, i ukryła pocieszankę za plecami. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie dotrze do swojej sosny-strażniczki i opowie lalce, jak paskudnie postąpiła księżniczka Violet, każąc ściąć tego człowieka. Rozejrzała się wokół.

Nikt nie patrzył, nikt nie widział, jak brała lalkę. Żołnierze patrolowali przejścia na zewnętrznym murze, a gwardziści królowej, zakuci w zbroje, strzegli bramy. Na zbrojach mieli czerwone tuniki bez rękawów, z herbem królowej - głową czarnego wilka - na piersi. Unieśli ciężką żelazną sztabę i otworzyli przed Rachel wrota. Nawet nie spojrzeli, co mała chowa za plecami. Usłyszała szczęk opadającej sztaby, zerknęła na plecy straży stojącej na murach - wtedy dopiero się uśmiechnęła i zaczęła biec. Czekała ją długa droga.

Z wysokiej wieży obserwowały dziewczynkę ciemne oczy. Patrzyły, jak przeszła wśród straży, nie budząc żadnych podejrzeń, niczym tchnienie przez zęby, jak wyszła przez masywną bramę, która zatrzymywała wojska na zewnątrz, a zdrajców w środku, jak przeszła przez most - tylu tu zginęło, lecz i tak przegrali; jak wreszcie biegła przez pola - bosonoga, bezbronna i niewinna - do lasu. Ku swemu sekretnemu schowkowi.

Rozeźlony Zedd uderzył dłonią w chłodną metalową płytkę. Masywne kamienne drzwi zamknęły się z wolna. Przekroczył ciała d'haranskich żołnierzy i podszedł do niskiego murku. Wsparł dłonie na znajomym gładkim kamieniu, wychylił się i popatrzył na śpiące w dole miasto. Z tej wysokości wydawało się spokojne. Lecz dopiero co przemykał się mrocznymi ulicami i wszędzie widział żołnierzy. Żołnierzy, którzy znaleźli się tu kosztem życia wielu swoich towarzyszy i wielu przeciwników.

Ale to nie było najgorsze ze wszystkiego.

Musiał tu zawitać Rahl Posępny. Zedd uderzył pięścią w kamień. To na pewno wziął Rahl, nikt inny.

Zmyślne osłony powinny były wytrzymać, ale nie wytrzymały Zedd nie był tutaj od wielu lat. Cóż za szaleństwo.

- Nic nigdy nie jest łatwe - szepnął czarodziej.

Rozdział trzydziesty

Pamiętasz, Kahlan Jak ten Błotny Człowiek powiedział, że Rahl Posępny przyleciał na czerwonym demonie? - spytał Richard. - Wiesz, o czym mówił?

Trzy dni podróżowali przez równinę z Savidlinem i jego myśliwymi, a potem się z nimi pożegnali i przyobiecali ojcu, że uczynią wszystko, co w ich mocy, żeby odnaleźć i ocalić Siddina. A przez ostatni tydzień wspinali się coraz wyżej na stoki Rang Shada - wielki łańcuch górski biegnący północno-wschodnim skrajem Midlandów, chroniący w swym wnętrzu kotlinę Agaden. Kotlinę - opowiadała dziewczyna - otaczały poszarpane szczyty, broniące dostępu do niej.

- A ty nie wiesz? - zdziwiła się Kahlan.

Chłopak przecząco potrząsnął głową, a w tym czasie ona przysiadła na skalnym wybrzuszeniu, żeby trochę odpocząć. Richard zsunął z ramion plecak i padł na ziemię, jęknąwszy ze zmęczenia. Oparł się o niską skałkę i wyciągnął ręce w tył, splatając je za głazem, żeby się naciągały w innej pozycji. Białe i czarne malunki zniknęły z twarzy Kahlan, a już się do nich przyzwyczaił przez owe trzy dni. Teraz wyglądała inaczej.

- No i co to było? - spytał ponownie.

- Smok.

- Smok? To w Midlandach są smoki? Nie sądziłem, że one naprawdę istnieją!

- Naprawdę tu są! - zirytowała się. - Myślałam, że wiesz. - Potrząsnął przecząco głową. - Hmm, właściwie to skąd miałeś wiedzieć, przecież w Westlandzie nie ma magii. A w smokach jest magia. Uważam, że dzięki temu latają, dzięki czarom.

- Sądziłem, że smoki to tylko legendy, starożytne opowieści. - Richard prztyknął kciukiem kamyczek i patrzył, jak się stacza ze skałki.

- Starożytne opowieści o tym, co było. Tak czy siak, są całkiem realne. - Uniosła włosy, chłodząc kark, i przymknęła oczy. - Są rozmaite gatunki smoków: szare, zielone, czerwone i kilka innych, rzadszych. Szare są najmniejsze i dość płochliwe. Zielone są dużo większe. Największe i najbystrzejsze są czerwone. Niektórzy Midlandczycy trzymają szare smoki jako zwierzęta domowe i do polowań. Zielonych nikt nie trzyma przy domu: są tępawe, krnąbrne i złośliwe i mogą być niebezpieczne. - Uchyliła powieki i pochyliła głowę, patrząc na Richarda spod uniesionych brwi. - Czerwone są zupełnie inne. Mogą cię w mgnieniu oka usmażyć i schrupać. Są bystre i sprytne.

- Zjadają ludzi! - jęknął chłopak i zasłonił oczy rękami.

- Tylko wtedy, kiedy są bardzo głodne albo bardzo złe. Nie najedzą się człowiekiem. - Richard odsłonił oczy; patrzyła nań. - Nie mogę pojąć, co Rahl robił na grzbiecie jednego z nich.

Chłopak przypomniał sobie czerwonego stwora, który szybował wysoko ponad górną partią lasu Ven. Znów pstryknął kamykiem w głaz.

- Prawdopodobnie w ten sposób przebywa duże odległości.

- Nie to miałam na myśli. - Potrząsnęła głową. - Po prostu nie rozumiem, dlaczego czerwony smok godzi się na coś takiego. Są dumne i niezależne, nie mieszają się w sprawy ludzi, w ogóle ich one nie obchodzą. Raczej zginą, niż się dadzą ujarzmić, i drogo każą zapłacić za swoją śmierć, wierz mi. Mówiłam, że znają magię. Dzięki temu, przynajmniej przez jakiś czas, są dla D’Haranczyka niemal równorzędnymi przeciwnikami. Nie poddałyby się nawet wówczas, gdyby im zagroził zsyłającym śmierć zaklęciem, wolałyby umrzeć, niż dać sobą władać. Walczyłyby do ostatniego smoka lub ostatniego przeciwnika. - Nachyliła się ku Richardowi i zniżyła głos. - Dlatego tak mnie dziwi wieść o Rahlu na grzbiecie czerwonego smoka. Nie mogę sobie wyobrazić, że ten dał się komuś ujarzmić. - Patrzyła przez chwilę na chłopaka, potem wyprostowała się i skubała porosty na skałce.

- Czy te smoki są dla nas groźne? - Głupio się czuł, zadając to pytanie.

- Nie, raczej nie. Czerwonego widziałam z bliska ledwo parę razy. Kiedyś szłam sobie drogą, a on zanurkował nad polem po prawej i porwał dwie krowy; złapał po jednej w łapę i odleciał. Gdybyśmy natrafili na rozeźlonego czerwonego, to mogłyby być kłopoty, ale takie spotkanie jest mało prawdopodobne.

- Już natrafiliśmy na czerwonego - przypomniał spokojnie Richard. - I były kłopoty.

Kahlan zmilczała. Chłopak wyczytał z jej twarzy, że owe wspomnienia są dla niej tak samo bolesne jak dla niego.

- A, tu jesteście! - zawołał obcy głos.

Obydwoje podskoczyli. Richard zerwał się na nogi i położył dłoń na gardzie miecza, a Kahlan na wpół przykucnęła, gotowa na wszystko

- Siadajcie, siadajcie. - Starzec zamachał rękami, idąc ku nim ścieżką. - Nie chciałem was wystraszyć! - Biała broda trzęsła mu się od śmiechu. - To tylko Stary John was szuka. Usiądźcie.

Śmiał się, aż mu podskakiwało krągłe brzuszysko. Odziany był w

ciemnobrązowe szaty. Białe włosy rozdzielał równiutki, biegnący przez środek głowy przedziałek; krzaczaste brwi i opadające powieki skrywały oczy. Wesoła, krągła twarz marszczyła się w uśmiechu. Kahlan ostrożnie usiadła. Richard przycupnął na skałce, o którą się przedtem opierał, nie cofnął jednak dłoni z gardy miecza.

- Jak to, szukałeś nas? - spytał chłopak niezbyt przyjaźnie.

- Wysłał mnie po was mój stary przyjaciel, czarodziej...

- Zedd! - Richard aż podskoczył. - Zedd cię wysłał?! Stary John trzymał się za brzuch ze śmiechu.

- A iluż to znasz starych czarodziei, mój chłopcze? Pewnie, że Zedd. - Pociągnął się lekko za brodę, zerkając na nich jednym okiem. - Ma teraz ważne sprawy na głowie, lecz potrzebuje was, chce was mieć przy sobie. Przyszedł zatem i poprosił mnie, żebym was poszukał. Nie miałem akurat nic lepszego do roboty, więc się zgodziłem. Powiedział mi, gdzie was znajdę. I wychodzi na to, że miał rację, jak zwykle.

Richard się uśmiechnął, słuchając starego.

- I co u Zedda? - spytał. - Gdzie jest? Do czego mu jesteśmy potrzebni? Stary John mocniej szarpał brodę, uśmiechając się i kiwając głową.

- Ostrzegał mnie. Mówił, że zadajesz mnóstwo pytań. U niego wszystko dobrze. Ale nie wiem, dlaczego was potrzebuje. Kiedy stary Zedd się zirytuje, to nie zadajesz mu pytań, tylko robisz, o co prosi. Więc zrobiłem, co chciał. I oto jestem.

- Gdzie on jest? Daleko stąd? - dopytywał się niecierpliwie chłopak, uradowany, że zobaczy przyjaciela.

Stary John poskrobał się po brodzie i nieco ku nim pochylił.

- To zależy. Długo masz zamiar tu tkwić i strzępić język?

Richard uśmiechnął się i złapał plecak - zmęczenie uleciało, Kahlan obdarzyła go jednym z ich sekretnych uśmiechów. Ruszyli skalistym traktem, w ślad za Starym Johnem. Chłopak szedł za Kahlan i obserwował okoliczne lasy. Dziewczyna powiedziała przecież, że już nie mają daleko do wiedźmy.

Richard się cieszył, że znów zobaczy Zedda. Nawet sobie nie zdawał sprawy, że aż tak go dręczy troska o starego przyjaciela. Wiedział, że Adie dobrze się Zeddem zaopiekuje, ale wcale mu nie obiecywała, że czarodziej wyzdrowieje. Miał nadzieję, że i Chase odzyskał siły i zdrowie. Roznosiła go radość z rychłego spotkania z Zeddem. Tyle ma mu do opowiedzenia, o takie mnóstwo spraw chciał spytać. Myśli kłębiły mu się w głowie.

- Więc Zedd wyzdrowiał? - zawołał Richard do Starego Johna

- Całkiem wyzdrowiał? Ale chyba nie schudł? Nie mógł sobie pozwolić na stratę choćby grama!

- Nie. - Stary roześmiał się, lecz nie odwrócił się ku nim. - Wygląda tak samo jak zwykle.

- Mam nadzieję, że nie wyjadł ci wszystkich zapasów!

- Nie martw się, chłopcze. Ileż może zjeść jeden stary, kościsty czarodziej? Richard uśmiechnął się do siebie. Może i Zedd lepiej się czuje, ale na pewno jeszcze całkiem nie przyszedł do siebie, bo wówczas nie zostawiłby Staremu Johnowi ani okruszka. Już od paru godzin pospieszali za Starym Johnem. Lasy stały się mroczniejsze i bardziej gęste, drzewa były większe. Trakt był kamienisty, trudno się nim szło, zwłaszcza w tym tempie. Z mroków dobiegały głosy nieznanych ptaków. Doszli do rozgałęzienia traktu. Stary John bez wahania skręcił w prawo i utrzymywał tempo. Kahlan poszła za nim. Richard przystanął - coś go niepokoiło, choć nie umiał powiedzieć co. Jakaś myśl krążyła na granicy świadomości. Ilekroć próbował ją pochwycić - stwierdzał, że znów myśli o Zeddzie. Kahlan usłyszała, że się zatrzymał, zawróciła i podeszła do niego.

- Która dróżka wiedzie do wiedźmy? - spytał Richard.

- Na lewo - odparła z nutką ulgi, bo stary wybrał prawą. Wsunęła kciuk pod rzemień plecaka i wskazała brodą nagie skały, widoczne poprzez górne konary drzew. - Oto część szczytów okalających kotlinę Agaden.

Czapy śniegu jarzyły się w rozrzedzonym powietrzu. Chłopak jeszcze nigdy nie widział takich niebotycznych gór. Rzeczywiście, cierniowa zapora.

Richard popatrzył na ścieżkę; wyglądała na rzadko używaną, prędko się kryła w gęstym lesie. Stary John zatrzymał się i obrócił ku nim, wsparłszy się pod boki.

- Idziecie?

Chłopak znów spojrzał na lewą ścieżkę. Muszą odnaleźć ostatnią szkatułę, zanim Rahl to uczyni. Powinni się dowiedzieć, gdzie ona jest, choć Zedd ich potrzebuje. To ich najważniejszy obowiązek.

- Czy Zedd nie mógłby zaczekać?

- Nie wiem. - Stary John wzruszył ramionami i szarpnął brodę. - Ale nie wysłałby mnie, jeśliby to nie było ważne. Decyzja należy do ciebie, chłopcze. Do Zedda idzie się tędy.

Richard wolałby, żeby mu oszczędzono podejmowania tej decyzji. Tak by

chciał wiedzieć, czy Zedd nie mógłby na nich zaczekać. I czego Zedd od nich chciał. Przestań gdybać i zacznij myśleć napomniał się. Spojrzał gniewnie na starego.

- Daleko jeszcze?

Stary John popatrzył na późno popołudniowe słońce, widoczne spoza drzew i znów szarpnął brodę.

- Jeśli nie zatrzymamy się zbyt wcześnie i nie będziemy długo spać, dotrzemy tam jutro koło południa. - Znów patrzył na Richarda, czekając.

Kahlan milczała, lecz chłopak świetnie wiedział, co jej chodzi po głowie. Wolałaby się nie znaleźć w pobliżu Shoty. Jeśli pójdą najpierw do Zedda, to nie jest znowu tak daleko i zawsze mogą wrócić tu, jeżeli będą musieli. A może Zedd wie, gdzie jest szkatuła, może nawet już jama, i nie musieliby iść do kotliny Agaden. Lepiej iść najpierw do Zedda. Oto, co pomyślała dziewczyna.

- Masz rację - przytaknął jej.

- Przecież nic nie mówiłam - zmieszała się.

- Słyszałem twoje myśli. - Richard uśmiechnął się szeroko. - Masz rację. Pójdziemy za Starym Johnem.

- Nie miałam pojęcia, że tak głośno myślę - mruknęła.

- Jeżeli pójdziemy przez całą noc - zawołał Richard do Starego Johna - to będziemy tam przed rankiem!

- Jestem już stary - poskarżył się John i ciężko westchnął. - Ale wiem, jak się palisz do tego spotkania. I jak bardzo jesteś Zeddowi potrzebny. - Pogroził chłopakowi palcem. - Powinienem słuchać, jak Zedd mnie przed tobą ostrzegał.

Richard zaśmiał się krótko i puścił Kahlan przodem. Ruszyła dobrym tempem, chcąc dogonić starca, który już maszerował dalej. Patrzył, jak idzie, jak omiata twarz z pajęczyn, jak wypluwa pajęcze sieci. Coś mu nie dawało spokoju, coś było nie tak. Próbował dociec co. Próbował, ale mógł myśleć tylko o Zeddzie: że bardzo go chce znów zobaczyć, że się nie może doczekać rozmowy z nim. Odegnał uczucie, że obserwują go czyjeś oczy.

- Najbardziej tęsknię za bratem - zwierzyła się lalce Rachel i odwróciła oczy. - Powiedzieli, że on umarł - szepnęła.

Dziewczynka prawie cały dzień opowiadała pocieszance o swoich troskach. O wszystkich, które sobie przypomniała. Kiedy zaczynała płakać, lalka mówiła Rachel, że ją kocha, i małej od razu poprawiał się humor. Czasami nawet się śmiała.

Rachel dorzuciła do ognia kolejny patyk. Dobrze było mieć coś co grzeje i

daje światło. Dbała, żeby ogienek był niewielki, jak przykazał Giller. Dzięki ognisku już się tak nie bała w lesie, zwłaszcza nocą. Wkrótce znów zapadnie noc. Czasami nocą w lesie słychać było jakieś dziwne hałasy - bała się wtedy i płakała. Ale o wiele lepiej siedzieć samotnie w lesie, niż tkwić w zamkniętej skrzyni.

- To było wtedy, gdy mieszkałam tam, gdzie ci mówiłam. Z innymi dziećmi. Zanim się zjawiła królowa i mnie zabrała. Bardziej mi się tam podobało niż przy księżniczce. Wszyscy byli tam dla mnie mili. - Sprawdziła, czy lalka słucha. - Czasem przychodził tam Brophy. Ludzie mówili o nim brzydkie rzeczy, ale dla nas dla dzieci, był dobry. Jak Giller. Brophy też mi dał lalkę, ale królowa nie pozwoliła mi jej zabrać do zamku. Nie przejęłam się tym za bardzo, bo rozpaczałam po śmierci brata. Słyszałam, jak niektórzy mówili, że go zamordowano. Wiem, że to znaczy, że go zabito. Czemu ludzie zabijają dzieci?

Lalka uśmiechnęła się do małej. Rachel odwzajemniła uśmiech. Rozmyślała przez chwilę o tym nowym chłopczyku, którego królowa trzyma pod kluczem. Dziwnie wyglądał i dziwnie mówił, ale i tak przypominał jej braciszka. Może dlatego, że był taki wystraszony Jej braciszek też się wciąż bał. Rachel zawsze wiedziała kiedy się bał, bo kręcił się wtedy i wiercił. Współczuła nowemu chłopczykowi; gdyby była kimś ważnym, toby mu pomogła.

Rachel ogrzała dłonie nad ogniem, potem wsunęła jedną do kieszeni. Jeść jej się chciało. Znalazła tylko trochę jagód. Wzięła największą i podsunęła lalce. Pocieszanka nie chciała jeść, więc dziewczynka sama zjadła jagodę, potem garść, i jeszcze, aż się skończyły Lecz wciąż była głodna. Bała się iść po więcej - jagody rosły daleko, a już się ściemniało. Wolała nie chodzić po lesie w ciemności. Chciała być pod swoją sosną-strażniczką, z pocieszanką, przy ciepłym, rozjaśniającym mroki ogieńku.

- Może królowa będzie milsza, kiedy już dostanie ten jakiś sojusz. Mówi tylko o tym: jak bardzo pragnie tego sojuszu. Może wtedy będzie szczęśliwsza i nie każe ścinać ludziom głów. Księżniczka ciągnie mnie tam ze sobą, wiesz, ale nie lubię na to patrzeć i zamykam oczy. Teraz i księżniczka Violet każe ścinać ludziom głowy Co dnia staje się gorsza. Boję się, że każe i mi obciąć głowę. Tak bym chciała uciec. - Dziewczynka spojrzała na lalkę. - Chciałabym uciec i nigdy tu nie wrócić. Zabrałabym cię ze sobą.

- Kocham cię, Rachel. - Lalka uśmiechnęła się.

Mała przytuliła ją mocno, a potem cmoknęła w czubek głowy.

- Ale jak ucieknę, to księżniczka Violet pośle za mną straże, a potem wrzuci cię do ognia. Nie chcę, żeby cię wrzuciła do ognia.

Kocham cię.

- Kocham cię, Rachel.

Dziewczynka z całych sił utuliła lalkę. Potem wpełzła w siano i ułożyła się. Pocieszankę położyła tuż przy sobie. Jutro musi wrócić do zamku, a księżniczka będzie dla niej jeszcze gorsza. I musi tu zostawić lalkę, bo inaczej wrzucą pocieszankę w płomienie.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Ty i Giller.

- Kocham cię, Rachel.

Mała zaczęła się martwić, co też się stanie z lalką, samiutką pod sosną-strażniczką. Pewnie będzie jej smutno. A co, jeśli księżniczka już nigdy nie wyrzuci Rachel na noc? Co, jeśli jakoś się dowie, dlaczego chcę, żeby mnie wyrzucała, i na złość zatrzyma mnie w zamku? - dumała dziewczynka.

- Czy wiesz, co powinnam zrobić? - spytała lalkę, patrząc na blask ognia migocący w ciemnych konarach.

- Pomóż Gillerowi - odparła pocieszanką. Rachel przeturlała się na bok i spojrzała na nią.

- Mam pomóc Gillerowi?

- Pomóż Gillerowi - przytaknęła lalka.

Szli na zachód. Promienie zachodzącego słońca padały na warstwę opadłych liści, sprawiając, że ścieżka jaśniała i lśniła pomiędzy dwiema ścianami ciemnych drzew. Richard słyszał, jak buty idącej przodem Kahlan szurają po kamieniach przykrytych wielobarwnym dywanem z liści. W powietrzu unosił się zapaszek zgnilizny - zaczynały się rozkładać liście leżące na niżej położonym wilgotnym gruncie i te, z których wiatr usypał stosy w skalnych mszach.

Robiło się coraz chłodniej, lecz rozgrzani wysiłkiem wędrowcy - Stary John narzucał dobre tempo! - nie założyli płaszczy. Richard usiłował myśleć o Zeddzie, ale nie mógł się skupić, bo wciąż musiał podbiegać, żeby nie zostać w tyle. Coraz bardziej zasapany, odsunął od siebie rozmyślania o starym przyjacielu. Jedna myśl za to nie dawała chłopakowi spokoju: coś było nie w porządku. Richard pozwolił, by to spostrzeżenie zajęło jego uwagę. Jak to możliwe, żeby ów starzec z taką łatwością go wyprzedzał, a przy tym wyglądał świeżo i rześko? Chłopak dotknął czoła. Może jestem chory, mam gorączkę, pomyślał. Było gorąco. Może rzeczywiście był

niezdrów, przemęczony. Od wielu dni utrzymywali ostre tempo marszu, ale nie tak forsowne jak to! Nie, czuł się świetnie, po prostu był zmęczony i zasapany.

Richard przez chwilę obserwował idącą przed nim dziewczynę. I ona miała kłopoty z dotrzymywaniem kroku Staremu Johnowi. Otarła z twarzy którąś z kolei pajęczynę i podbiegła parę metrów. Chłopak widział, że i Kahlan ciężko oddycha. Niemal nieświadome ostrzeżenie zmieniło się w złe przeczucie.

Z lewej, pomiędzy drzewami mignęło coś, co dotrzymywało kroku. Pewnie jakieś niewielkie zwierzątko, pomyślał Richard. Ale owo „coś” miało długie, wlokące się do ziemi ramiona, a potem zniknęło. Chłopakowi zaschło w ustach. To tylko moja wyobraźnia, przekonywał sam siebie.

Przyjrzał się bacznie Staremu Johnowi. Trakt miejscami był szeroki, miejscami zwężony przez sterczące gałęzie. Tak on sam, jak i Kahlan albo się ocierali o owe gałęzie, albo musieli je odsuwać na bok. Ale starzec nie. Biegł środkiem ścieżki, oburącz kurczowo przytrzymując płaszcz, a jakoś unikał sterczących gałęzi.

Richard dostrzegł jeszcze coś: pajęczyny. Lśniły złociście w zachodzącym słońcu, przegradzały ścieżkę przed Kahlan. Dziewczyna właśnie rozerwała jedną z nich.

Pot na twarzy chłopaka stał się lodowato zimny.

Stary John nie porozrywał pajęczyn! Jak to możliwe?!

Spojrzał ku starcowi. Ten zbliżał się do wystającej na ścieżkę gałęzi. Otarł się o nią. Czubek gałęzi przeniknął przez jego ramię jak przez dym.

Chłopak popatrzył na ścieżkę - tam, gdzie podłoże było miękkie, Kahlan zostawiła ślady. Ale Stary John - nie.

Richard złapał dziewczynę i szarpnął w tył, za siebie. Krzyknęła ze zdumienia. Jednocześnie wyciągnął miecz.

Brzęk stali sprawił, że Stary John się zatrzymał i obejrzał na nich.

- Co jest, chłopcze? Coś zobaczyłeś? - zasyczał jak wąż.

- Owszem. - Richard stał w obronnej pozycji, oburącz trzymał gardę miecza, ciężko oddychał. Czuł, jak gniew zaczyna przeważać nad strachem. - Jak to się dzieje, że nie rozrywasz pajęczyn i nie zostawiasz śladów?

Stary John uśmiechnął się przebiegle, łypiąc na chłopaka jednym okiem.

- A nie sądzisz, że stary przyjaciel czarodzieja może mieć jakieś specjalne talenty?

- Może i tak - odparł Richard, bacznie obserwując las po obu stronach ścieżki.

- Powiedz no mi, Stary Johnie, jak się nazywa twój przyjaciel?

- Jak to: jak? Zedd, oczywiście. - Starzec uniósł brew. - Skąd bym to wiedział, gdybym nie był jego przyjacielem? - Ciasno otulił się płaszczem, a głowę schował w ramiona.

- Sam ci głupio zdradziłem, że ma na imię Zedd. Powiedz, jak brzmi jego nazwisko.

Stary John patrzył nań gniewnie, jego oczy poruszały się wolno, taksujące. Oczy zwierzęcia.

Starzec odwrócił się znienacka z rykiem, który wstrząsnął Richardem, a jego płaszcz rozwiał się szeroko. Urósł dwukrotnie.

Miejsce starego człowieka zajęła straszliwa poczwara: sierść, szpony i kły tam, gdzie przed sekundą stał Stary John.

Bestia, warcząca i kłapiąca zębiskami bestia.

Chłopakowi aż dech zaparło na widok rozdziawionej paszczy stwora. Potwór znów ryknął i nagle zrobił wielki krok w stronę Richarda, on zaś cofnął się o trzy kroki. Tak mocno zaciskał dłonie na gardzie miecza, że bolały. Wrzask bestii - rozdzierający uszy, basowy, dziki, pełen wściekłości i nienawiści - niósł się echem po lesie. Paszcza rozwierała się szeroko przy każdym ryku. Stwór nachylił się nad Richardem, głęboko osadzone czerwone ślepia płonęły gniewem, kłapał zębiskami. Chłopak pośpiesznie cofnął się i zerknął przez ramię, ale Kahlan za nim nie było.

Potwór rzucił się nań znienacka. Richard nie zdążył ciąć mieczem. Potknął się o korzeń i upadł na plecy. Nie mógł złapać oddechu. Instynktownie uniósł miecz - jeśli potwór zaatakuje, to sam się na niego nabije.

Wielka paszcza, pełna ostrych, ociekających śliną zębisk nachyliła się ponad mieczem ku chłopakowi; kłapnęły kły. Richard uniósł ostrze, ale bestia się cofnęła. Wściekłe czerwone ślepia łypały na miecz. Potwór odstąpił nieco i spojrzał na las po swojej prawej. Położył uszy i warknął na coś. Potem podniósł kamień dwukrotnie większy od głowy Richarda, zadań łeb, głęboko nabrał powietrza, ryknął i zgniótł kamień w łapie. Mięśnie napięły się jak postronki. Głośny trzask pękającego kamienia odbił się echem po lesie. W powietrze poleciały odłamki i pył. Stwór rozejrzał się, odwrócił i pospiesznie zniknął wśród drzew.

Richard leżał na plecach, ciężko oddychał i uważnie obserwował las, myśląc, że bestia znów się pojawi. Zawołał Kahlan. Nie odpowiedziała.

Zanim chłopak zdążył się podnieść, skoczył nań jakiś popielaty stwór o

długich ramionach i znów go powalił na plecy. Stworzenie wrzeszczało wściekle. Krzepkie, sękate dłonie próbowały wyrwać miecz. Potężny cios w szczękę niemal pozbawił Richarda przytomności. Wywinięte bezkrwiste wargi odsłaniały ostre zęby. Wyłupiaste żółte ślepia łypały gniewnie na chłopaka. Stwór desperacko usiłował kopnąć leżącego w twarz. Richard z całej siły trzymał miecz, próbując się wyrwać z bolesnego chwytu długich palców stwora.

- Mój miecz - warczało stworzenie. - Dawaj. Dawaj mój miecz. Richard i stwór - rozpaczliwie wczepieni w miecz - tarzali się po ziemi; fruwały liście i patyczki. Jedna z krzepkich łap chwyciła chłopaka za włosy i zaczęła walić jego głową o ziemię, celując przy tym w kamień. Stwór mruknął, puścił włosy Richarda i znów sięgnął do gardy miecza. Udało mu się oderwać spoconą dłoń chłopaka i jedną łapą uchwycić miecz. Przeraźliwe wrzaski stworzenia rozdzierały leśną ciszę. Mocne palce starały się oderwać od gardy lewą dłoń Richarda, a ostre pazury wbijały mu się w ciało.

Chłopak czuł, że przegrywa. Żylasty stwór był wbrew pozorom silniejszy. Straci miecz, jeżeli jakoś sobie z nim nie poradzi.

- Oddawaj - syknął stwór, zwracając ku Richardowi bladą twarz i próbując ugryźć. Zęby miał oblepione szarawą, gąbczastą papką, oddech cuchnący zgnilizną, na łysej czaszce widniały ciemne plamy.

Znów się tarzali po ziemi, a chłopak rozpaczliwie sięgnął do pasa i wyszarpnął nóż. Błyskawicznie przytknął ostrze do obwisłej szyi stwora.

- Nie zabijać! Nie zabijać! - zawył stwór. - Błagam!

- To puść miecz! I to już!

Stworzenie powoli, niechętnie puściło gardę. Richard leżał na plecach, ono siedziało mu na piersi. Osunęło się bezwładnie.

- Nie zabijaj mnie - skamlało.

Chłopak zdjął z siebie paskudę, położył ją na plecach. Przytknął czubek miecza do piersi stworzenia. Żółte ślepia rozwarły się szeroko. Gniew miecza - dotąd jakby niepewny i zagubiony - wtargnął w umysł Richarda.

- Pchnę, jak tylko spróbujesz czegoś, co mi się nie spodoba. Rozumiesz? - Stwór energicznie potaknął. Richard nachylił się niżej. - Gdzie się podział twój przyjaciel?

- Przyjaciel?

- Ten olbrzym, który o mało mnie nie dopadł przed tobą!

- Calthrop. Nie przyjaciel, nie - pisnęło płaczliwie stworzenie. - Szczęściarz. Calthrop zabija nocą. Czekał na noc. Żeby zabić was. W nocy ma moc. Ty szczęściarz.

- Nie wierzę ci! Przecież z nim byłeś!

- Nie, nie - skrzywiło się. - Ja tylko szedł i czekał. Aż zabije.

- Dlaczego?

- Miecz mój. Dawaj. Dasz? - Wyłupiaste ślepia wpatrywały się w Miecz Prawdy.

- Nie!

Richard rozejrzał się za Kahlan. Jej plecak leżał na ziemi, w pobliżu, ale samej dziewczyny nigdzie nie było. Chłopak zlodowaciał z przerażenia. Pospiesznie omiótł wzrokiem okolicę, i jeszcze raz. Wiedział, że Calthrop jej nie złapał - zniknął w lesie sam, bez Kahlan. Nie cofnął miecza z piersi stwora, raz po raz wołał dziewczynę ile tchu w piersiach, łudząc się, że usłyszy i się odezwie - Żadnego odzewu.

- Pani zabrała śliczną panienkę.

- Coś powiedział?! - Richard spojrzał w żółte ślepia.

- Pani. Ona zabrała śliczną panienkę. - Chłopak mocniej naparł mieczem, na znak, że chce usłyszeć więcej i to natychmiast. - My iść za wami. Patrzeć, jak Calthrop was zwodzi. Czekać, co będzie. - Żółte ślepia znów spojrzały na miecz.

- Żeby ukraść miecz - rzucił gniewnie chłopak.

- Nie ukraść! Mój! Dawaj! - Wyciągnął łapy ku gardzie, lecz Richard dźgnął go mocniej i stwór zdrętwiał.

- Kto jest twoją panią?!

- Pani! - Stwór się trząsł, błagając o ratunek. - Shota jest pani.

- Twoją panią jest wiedźma Shota? Stworzenie energicznie potaknęło.

- Po co zabrała śliczną panienkę? - Chłopak mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Nie wiedzieć. Może się nią bawić. Może zabić. - Stwór łypnął na Richarda. - A może ciebie zwabić.

- Odwróć się. - Stworzenie skuliło się ze strachu. - Odwróć się albo przebiję cię mieczem!

Przewróciło się na brzuch, drżąc ze strachu. Chłopak przytrzymał je stopą, wyjął z plecaka kawałek liny. Zrobił zaciskającą się pętlę i założył stworzeniu na szyję.

- Masz jakieś imię?

- Kompanion. Ja pani kompanion. Samuel.

Richard postawił go na nogi. Liście poprzyklejały się do popielatej skóry stwora.

- No to, Samuelu, ruszamy za twoją panią. Pokażesz drogę. Jeden podejrzany ruch i zacisnę pętlę. Jasne?

Samuel pospiesznie kiwnął głową, zerknąwszy na linę, i drugi raz kiwnął już wolniej.

- Kotlina Agaden. Kompanion cię tam zabrać. Nie zabijesz?

- Jeśli mnie zaprowadzisz do swojej pani i jeśli śliczna panienka będzie cała i zdrowa, to nie zabiję.

Chłopak lekko pociągnął linę, sygnalizując Samuelowi, kto tu rządzi i kto ma słuchać, a potem schował miecz.

- Poniesiesz plecak panienki.

- Moje! Dawaj! - Stwór wyrwał Richardowi plecak, wpakował do środka wielkie łapy i zaczął grzebać.

- To nie twoje! - Chłopak szarpnął linę. - Precz z łapami!

- Jak pani cię zabije, to Samuel cię zje. - Żółte wyłupiaste ślepia zionęły nienawiścią.

- O ile ja pierwszy cię nie zjem - odburknął Richard - A jestem porządnie głodny. Może schrupię po drodze małego Samuelka?

- Błagam! Nie zabijaj! - Żółte ślepia już nie były nienawistnie, lecz przerażone. - Samuel cię zabrać do pani i do ślicznej panienki! Obiecuję! - Zarzucił plecak na ramię i zrobił kilka kroków; lina się napięła. - Idź za Samuelem. Szybko - dorzucił chcąc wykazać swoją przydatność. - Nie upiec, nie upiec Samuela, błagam - mruczał potem co jakiś czas.

Richard nie mógł się zorientować, do jakiego gatunku stworzeń należy Samuel. Miał w sobie coś niepokojąco swojskiego. Nie był zbyt wysoki, ale bardzo krzepki. Chłopaka wciąż jeszcze bolała szczęka, w którą oberwał oraz kark i głowa od uderzania mą o ziemię. Stwór kołysał się kaczkowato, długie ramiona niemal sięgały ziemi; cały czas mruczał, że nie chce być ugotowany i zjedzony. Ubrany był w krótkie, ciemne portki, podtrzymywani szelkami. Stopy miał równie nieproporcjonalnie duże jak ramiona i dłonie, brzuch zaokrąglony (co on jada? - zastanawiał się Richard). Bezwłosa skora wyglądała tak, jakby od lat nie wystawiano

jej na słońce. Od czasu do czasu Samuel łapał patyk albo kamień, mówiąc przy tym: „Moje! Dawaj!”, a za chwilę tracił zainteresowanie swoją zdobyczą i wyrzucał ją.

Chłopak bacznie obserwował las i Samuela, skłaniając stwora do szybszego marszu. Bał się o Kahlan, jednocześnie był na siebie wściekły. Stary John, czy też Calthrop, oszukał go bez wysiłku. Jak mogłem być taki głupi, dumał Richard. Dał się nabrać, bo chciał uwierzyć w tę historyjkę, bo z całej duszy pragnął ujrzeć Zedda. Zrobił cos, przed czym zawsze ostrzegał innych. I proszę - podał potworowi informację, imię Zedda a stwór mu to powtórzył jako dowód. Wściekał się teraz na swoją głupotę. I wstydził się, ogromnie się wstydził.

Tłumaczył Kahlan, że ludzie wierzą w różne rzeczy bo chcą w nie wierzyć; on też uwierzył, bo chciał uwierzyć i wiedźma porwała dziewczynę. A Kahlan tak się tego bała! I stało się, przez jego głupotę, bo uwierzył i przestał się mieć na baczności Ilekroć przestaje być czujny, tyle razy Kahlan płaci za jego nieuwagę. Jeśli wiedźma ośmieli się skrzywdzić Kahlan, to pozna, co to gniew Poszukiwacza, przysiągł sobie chłopak.

I znów zbeształ sam siebie. Znów puszczał wodze fantazji. Gdyby Shota chciała zabić Kahlan, to zrobiłaby to na trakcie. Nie zabierałaby dziewczyny do kotliny Agaden. Po co ją tam zabrała? Może, jak twierdził Samuel, chciała się zabawić. Richard starał się odpędzić tę myśl. To o niego chodziło wiedźmie, na pewno o niego, a nie o Kahlan. Pewno dlatego Calthrop tak szybko odstąpił - wiedźma go odstraszyła.

Dotarli do rozgałęzienia i Samuel poprowadził lewą dróżką. Ściemniało się, lecz kompanion nie zwolnił tempa. Ścieżka wznosiła się stromymi zakosami. Wkrótce znaleźli się powyżej linii drzew, na skałach i wspinali się ku poszarpanym, ośnieżonym szczytom.

W księżycowej poświacie Richard widział na śniegu dwa szeregi śladów, w tym odciski butów Kahlan. Dobry znak, pomyślał chłopak, przynajmniej żyje. Chyba Shota nie ma zamiaru jej zabić. W każdym razie nie zaraz.

Trakt wiódł skrajem śniegowych płacht, źle się szło po wilgotnym, nierównym gruncie. Richard zdał sobie sprawę, że gdyby nie Samuel, który wiedział, jak przebiega ścieżka, to przebycie owej trasy zajęłoby całe dnie. W skalnych szczelinach świstał zimny wiatr, a oddechy Richarda i Samuela zamieniały się w lodowatym powietrzu w obłoczki pary. Stwór trząsł się z zimna, chłopak włożył płaszcz, potem wyjął z plecaka Kahlan jej okrycie.

- To należy do ślicznej panienki. Teraz możesz się tym okryć, żebyś nie marzł.

- Moje! Dawaj! - Samuel wyrwał płaszcz z rąk Richarda.

- Skoro tak, nie pozwolę ci go założyć! - Chłopak ściągnął linę i wyszarpnął płaszcz stworowi.

- Błagam! Samuelowi zimno! - zaskomlał tamten. - Pozwolisz? Dasz ubrać płaszcz ślicznej panienki?

Richard podał stworowi okrycie. Tym razem kompanion wziął je powoli i ostrożnie, i otulił się w nie. Chłopakowi cierpła skóra, kiedy patrzył na Samuela. Wyjął kawałek chleba tava i jadł, idąc. Stwór zerkał na to przez ramię. W końcu chłopak nie mógł znieść tych spojrzeń i podał mu kawałek chleba.

- Moje! Dawaj! - Wyciągnęła się wielka łapa i Richard cofnął chleb. Żółte ślepia zalśniły błagalnie w księżycowej poświacie. - Daj trochę, proszę. - Chłopak włożył chleb w chciwe dłonie.

W milczeniu brnęli przez śnieg. Samuel pochłonął chleb w okamgnieniu. Richard wiedział, że stwór przy pierwszej okazji podciąłby mu gardło. Nie mógł się w nim dopatrzyć niczego, co choć trochę rekompensowałoby wady.

- Czemu Shota cię trzyma przy sobie. Samuelu?

Tamten obejrzał się przez ramię, żółte ślepia łypnęły z gniewnym zdumieniem.

- Samuel kompanion.

- A twoja pani nie będzie zła, że mnie do niej prowadzisz?

- Pani się nie bać Poszukiwacza. - Samuel zabulgotał, co Richard uznał za śmiech.

Tuż przed świtem znaleźli się na skraju zejścia w mroczny las. Samuel wskazał długim ramieniem w dół.

- Kotlina Agaden - wybełkotał. Zerknął przez ramię, uśmiechając się urągliwie. - Pani.

W lesie było duszno i gorąco. Richard zdjął płaszcz i schował do plecaka, potem włożył okrycie Kahlan do jej plecaka. Samuel się nie sprzeciwiał. Powrót do kotliny napawał stwora szczęściem i dodawał mu pewności siebie. Chłopak udawał, że widzi, dokąd idą, nie chcąc, żeby Samuel się domyślił, iż mało co dostrzega w gęstym mroku. Pozwalał się prowadzić na linie niczym ślepiec, Za to Samuel sadził susami, jakby to był jasny dzień. Ilekroć odwracał ku Richardowi łysą głową, jego żółte ślepia jaśniały jak dwie latarnie.

Światło poranka powoli rozjaśniało leśne mroki i otaczające ich wielkie drzewa, obwieszone girlandami mchów, błotniste bajorka (z ciemnej mulistej wody unosiły się opary) i oczy, obserwujące wędrowców z cienia. Poprzez mgłę i bagniste wyziewy niosły się jakieś głuche odgłosy. Richard stąpał ostrożnie wśród plątaniny korzeni. Cała ta okolica bardzo mu przypominała Skow Swamp. I tak samo cuchnęła.

- Jeszcze daleko?

- Blisko. - Samuel uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pamiętaj, że ty pierwszy umrzesz, jeśli coś będzie nie tak. - Richard napiął linę.

Bezkrwiste usta przestały się uśmiechać.

Tu i tam widać było w błocie takie same odciski stóp jak na śniegu. Kahlan szła tędy. Snuły się za nimi jakieś ciemne, kryjące się w mroczniej szych miejscach lub chaszczach stwory i od czasu do czasu wydawały dziwne odgłosy. Richard się zastanawiał z obawą, czy przypominają one Samuela. A może są jeszcze gorsze. Coś szło ich tropem w gałęziach drzew, wysoko, poza zasięgiem wzroku. Chłopaka przeszył dreszcz, choć z całych sił starał się zachować spokój.

Samuel zboczył ze ścieżki, ominął splątane korzenie przysadzistego, pękatego drzewa.

- Co ty wyprawiasz? - Richard szarpnął liną, zatrzymując kompaniona.

- Patrz - wyszczerzył się tamten.

Podniósł solidny patyk i rzucił w korzenie: świsnęły, owinęły się wokół patyka i wciągnęły go pod plątaninę. Chłopak usłyszał, jak pęka z trzaskiem. Samuel zarechotał. Słońce wznosiło się coraz wyżej, lecz lasy kotliny Agaden stawały się jeszcze mroczniejsze. Suche gałęzie splatały się ponad głowami wędrowców, przez trakt przepływały pasma mgły. Richard czasem nawet nie mógł dojrzeć Samuela u drugiego końca mokrej liny. Lecz stale słyszał jakieś stwory, które syczały, mlaskały, drapały i szurały pazurami... I wciąż się trzymały poza zasięgiem wzroku. Niekiedy pasma mgły wirowały i falowały, kiedy gnała poprzez nie jakaś istota - tuż obok nich, a jednak niewidoczna.

Chłopak przypomniał sobie słowa Kahlan: „Idziemy na pewną śmierć". Usiłował je wyrzucić z myśli. Dziewczyna powiedziała również, że nigdy nie widziała wiedźmy, że tylko o niej słyszała. I owe wieści budziły przerażenie. Ludzie, którzy tu przychodzili, już nigdy nie wracali. Nawet czarodziej by nie poszedł do kotliny Agaden, mówiła Kahlan. Ale to wszystko były wiadomości z drugiej ręki. Ona sama

nigdy nie spotkała Shoty. Może te opowieści były przesadzone? Chłopak uważnie obserwował groźne, ponure lasy. A może nie.

Przed nimi, wśród gęsto rosnących drzew, pojawiło się światło, słoneczny blask; usłyszeli szum spadającej wody. Im bardziej się tam zbliżali, tym jaśniej się stawało. Wkrótce wyszli na skraj mrocznych lasów. Tu kończyła się dróżka. Samuel zabulgotał z zachwytem.

Rozciągała się przed nimi długa dolina - jasna, zielona, zalana słońcem. Okalały ją olbrzymie, niemal pionowe skalne szczyty. Lekki wietrzyk kołysał łagodnie złocistymi łąkami, dębami, brzozami i klonami, stojącymi w bogatej jesiennej szacie. Richard, stojąc na skraju mrocznego lasu, miał wrażenie, że wygląda z nocy na wspaniały dzień. Tuż obok nich woda spadała z pionowych skał, znikała bezdźwięcznie w powietrzu i z dolatującym aż tu grzmotem wpadała na dole w przejrzyste jeziora i strumienie. Wiatr niósł rozproszone kropelki, zwilżając nimi twarze obu wędrowców.

- Pani. - Samuel wskazał dolinę.

Richard kiwnął głową i dał mu znak, by szedł dalej. Samuel prowadził labiryntem zarośli, gęstwy drzew i porosłych paprociami głazów do szlaku ukrytego za skałkami i pnączami, biegnącego skrajem przepaści, wiodącego do doliny. Richard nigdy nie znalazłby owego szlaku bez pomocy swego małego przewodnika. Schodzili do kotliny. Rozpościerał się przed nimi wspaniały pejzaż: kępy drzew, jakże małych z tej odległości, na łagodnych pagórkach, strumienie wijące się wśród pól i łąk, a nad tym wszystkim jaśniejące, błękitne niebo.

Pośrodku kotliny, wśród wspaniałych, wielkich drzew stał prześliczny, pełen urody pałac. W powietrze wznosiły się delikatne, strzeliste iglice, koronkowe mosty spinały wieże, schody wiły się spiralą wokół wieżyczek. Chorągwie i proporce lekko łopotały lub falowały leniwie na wietrze. Wspaniały pałac radośnie się wznosił, wzbijał się ku niebu.

Richard patrzył na to wszystko w milczeniu, ledwo wierząc w to, co widział. Bardzo kochał swój ojczysty Hartland, lecz żaden z tamtejszych krajobrazów nie mógł się równać z tym tutaj. Nawet sobie nie wyobrażał, że może istnieć coś tak doskonale pięknego.

I znów ruszyli w dół. Miejscami w skale wykuto stopnie, całe tysiące stopni, które wiły się, biegły w tunelach, czasem zawracały i przeplatały się. Samuel gnał nimi, jakby to robił już mnóstwo razy. Najwyraźniej się cieszył, że wraca do domu,

pod opiekę pani.

Dotarli do zalanej słońcem drogi, wiodącej przez zalesione pagórki i nagrzane, trawiaste łąki. Samuel biegł rączo tym swoim kołyszącym, kaczym chodem i gulgotał coś do siebie. Richard co chwila napinał linę, przypominając mu, że wciąż jeszcze trzyma w garści jej drugi koniec.

Szli dnem kotliny, przez pewien czas z biegiem strumienia, zbliżali się do pałacu. Drzewa rosły tu gęściej, chroniąc drogę i jej otoczenie przed palącym słońcem. Weszli na łagodne wzgórze. Tu drzewa jakby się skupiały, okalając i ochraniając pałac. Richard dostrzegł wyzierające spoza gałęzi iglice.

Weszli pod cieniste, ciche sklepienie drzew.

Chłopak słyszał szmer wody płynącej wśród omszałych kamieni. Tu i tam przez gałęzie przebijały się snopy słonecznych promieni. Słodko pachniała trawa i liście.

Samuel wskazał na coś. Richard spojrzał w tamtą stronę, ku otwartej, chronionej kręgiem drzew polanie. Ze stojącej tani skałki biło źródło, a woda spływała do małego strumyczka, usianego kamieniami porośniętymi zielonym mchem. Na skałce, w snopach przesączających się przez liście słonecznych promieni, siedziała kasztanowłosa kobieta w długiej białej szacie; siedziała tyłem do nich i zanurzała palce w przejrzystej wodzie. Było w niej coś znajomego.

- Pani - oznajmił Samuel, patrząc na nią szklistymi oczami. Wskazał w bok od drogi, bliżej nich. - Śliczna panienka.

Richard dostrzegł stojącą nieruchomo Kahlan. Wyglądała jakoś dziwnie. Coś się na niej poruszało. Samuel obrócił ku chłopakowi swoją plamiastą głowę i długim szarawym palcem pokazał na linę. Łypnął na Richarda żółtym ślepiem.

- Poszukiwaczowe obiecanki - warknął gardłowo.

Richard zdjął tamtemu pętlę z szyi, zsunął mu z ramion plecak Kahlan, położył na ziemi. Samuel wydął bezkrwiste wargi, zasyczał i umknął w cień. Usiadł tam i patrzył.

Chłopak ruszył ku Kahlan, gardło miał ściśnięte. Wtem zobaczył co się na niej poruszało.

Węże.

Mnóstwo wijących się węży. Niektóre rozpoznał - były jadowite. Wielkie, tłuste gady oplatały nogi dziewczyny, duży wąż owinął ją w pasie i ściskał coraz mocniej, kolejne oplatały ramiona Kahlan. Niewielkie wężyki pełzały w jej gęstych

włosach, wystawiały głowy i wysuwały języki, inne owijały się wokół jej szyi, jeszcze inne pełzały po koszuli i wciskały głowy pomiędzy guziki. Richard starał się spokojnie oddychać, lecz serce mu waliło. Po twarzy Kahlan płynęły łzy i dziewczyna leciutko drżała.

- Nie ruszaj się - szepnął chłopak. - Zdejmę je.

- Nie! - odszepnęła. Spojrzała nań przerażonymi oczami. - Ugryzą mnie, jeżeli dotkniesz któregoś lub jeśli się poruszę.

- Nie martw się - próbował ją pocieszyć. - Wyciągnę cię z tego.

- Już po mnie, Richardzie - szepnęła błagalnie Kahlan. - Zostaw mnie. Odejdź stąd. Uciekaj.

Chłopak poczuł, że jakaś niewidzialna dłoń zaciska mu się na gardle. Wyraz oczu Kahlan zdradzał, z jakim wysiłkiem panowała nad ogarniającą ją paniką. Ze wszystkich sił starał się zachować spokój i w ten sposób dodać dziewczynie otuchy.

- Nie zostawię cię.

- Błagam cię, Richardzie. Zrób to dla mnie, dopóki nie jest za późno. Uciekaj.

Smukła, pręgowana żmijka owinęła ogon wokół kosmyka włosów Kahlan i opuściła głowę przed twarz dziewczyny. Wysuwała ku niej czerwony, rozdwojony język. Kahian zamknęła oczy, kolejna łza spłynęła po policzku. Żmijka zsunęła się bokiem twarzy dziewczyny, popełzła wzdłuż obojczyka i zniknęła za koszulą, Kahlan załkała cichutko.

- Umrę. Nie uratujesz mnie. Ocal choć siebie, Richardzie, błagam. Uciekaj, dopóki jeszcze możesz.

Chłopak się przestraszył, że Kahlan może się specjalnie poruszyć, żeby węże ją ukąsiły i żeby on już nie miał powodu tkwić tutaj. Żeby go ocalić. Musiał ją przekonać, że to się na nic nie zda. Spojrzał na nią twardo i oznajmił:

- Nie. Przyszedłem tu, żeby się dowiedzieć, gdzie jest szkatuła. I nie odejdę, dopóki się nie dowiem. Nie ruszaj się.

Wyczyny skrytego za koszulą węża sprawiły, że Kahlan przeraziła się jeszcze bardziej. Mocno zagryzła dolną wargę, zmarszczyła boleśnie brwi. Richardowi zaschło w ustach.

- Trzymaj się, Kahlan. Staraj się myśleć o czymś innym.

Ruszył gniewnie ku kobiecie na skałce; wciąż siedziała tyłem Coś ostrzegało go, żeby nie dobywał miecza, lecz nie mógł i nie chciał powstrzymywać gniewu wywołanego tym, co uczyniła dziewczynie. Mocno zaciskał zęby.

Był tuż obok - wtedy wstała i powoli odwróciła się ku niemu Znajomy głos wymówił jego imię.

Richard zobaczył jej twarz i serce w nim zamarło.

Rozdział trzydziesty pierwszy

To była jego matka.

Richard miał wrażenie, że uderzył weń piorun. Zesztywniał. Wściekłość i gniew ustąpiły - jakżeby mógł pchnąć mieczem własną matkę!

- Richardzie - uśmiechnęła się do niego, dając mu poznać, jak go kochała i tęskniła za nim.

Myśli kłębiły się w głowie chłopaka, usiłował pojąć, co się dzieje, nie potrafił pogodzić tego, co widział, z tym, co wiedział. To się nie mogło przydarzyć. To po prostu niemożliwe.

- Mama? - szepnął.

Ramiona, które znał i pamiętał, objęły go i pocieszyły. Łzy napłynęły Richardowi do oczu, gardło mu się ścisnęło.

- Jakżeż za tobą tęskniłam, Richardzie - szepnęła łagodnym, kojącym głosem i pogłaskała go po głowie. - Jakżeż za tobą tęskniłam.

Chłopakowi wirowało w głowie, ledwo stał na nogach, z całych sił starając się zapanować nad uczuciami. Próbował skupić myśli na Kahlan. Nie może jej znowu zawieść, nie pozwoli, by go znów oszukano. Kahlan wpadła w tarapaty, bo on, Richard, dał się oszukać. To wcale nie była jego matka, a Shota, wiedźma Shota.

- Dlaczego do mnie przyszedłeś, Richardzie?

Chłopak położył dłonie na drobnych ramionach kobiety, łagodnie ją od siebie odsunął. Objęła go w pasie. To nie moja mama, przekonywał sam siebie, to wiedźma; wiedźma, która wie, gdzie jest ostatnia szkatuła Ordena, a on musi to od niej wyciągnąć.

Ale czemu go tak doświadcza? A może to on się myli? Gdyby to jednak była prawda?

Dotknął palcem blizny nad lewą brwią. To jego dzieło. Bawili się z Michaelem drewnianymi mieczami i on akurat zeskakiwał z łóżka, zamierzając się na starszego brata, gdy weszła matka. Uderzył ją mieczem w czoło. Przeraził go jej krzyk.

Nawet lanie, jakie dostał od ojca, nie bolało Richarda tak, jak świadomość tego, co uczynił mamie. Ojciec odesłał go spać bez kolacji. W nocy przyszła do niego mama, usiadła na skraju łóżka i głaskała włosy płaczącego synka. Usiadł i zapytał, czy bardzo ją boli. Uśmiechnęła się i odpowiedziała...

- Nie tak bardzo jak ciebie - szepnęła stojąca przed nim kobieta. Richard

szeroko otworzył oczy, zadrżał.

- Skąd...

- Richardzie - ostrzegł go jakiś głos. Chłopak aż podskoczył: to był głos Zedda. - Odsuń się od niej, Richardzie.

Matczyna dłoń dotknęła policzka chłopaka. Nie zważał na to, odwrócił głowę i spojrzał na drogę, na szczyt wzniesienia. Tak, to był Zedd, przynajmniej wyglądał jak Zedd. A ta kobieta wyglądała jak jego matka, myślał Richard. Zedd stał tam z dobrze znaną chłopakowi miną, groził i ostrzegał.

- Richardzie - odezwał się znowu Zedd. - Rób, co mówię. Odsuń się od niej. Natychmiast.

- Nie zostawiaj mnie, Richardzie, proszę - szepnęła matka. Przecież mnie znasz?

- Tak. - Richard spojrzał na jej łagodną twarz. - Ty jesteś Shota. Złapał ją za nadgarstki i odsunął od siebie jej ręce, cofnął się. Była bliska płaczu.

Nagle okręciła się ku czarodziejowi. Wyrzuciła przed siebie ręce. Z jej palców strzeliły błękitne błyskawice i pomknęły ku Zeddowi. Dłonie czarodzieja natychmiast wzniosły szklaną, odbijającą płomienie tarczę. Błyskawice Shoty uderzyły z grzmotem o ową tarczę, odbiły się i trafiły w potężny dąb, rozbijając pień w drzazgi. Drzewo runęło na ziemię. Ziemia aż się zatrzęsła.

Zedd już wzniósł ręce. Z jego palców strzeliły czarodziejskie płomienie. Z wściekłym rykiem pomknęły ku Shocie.

- Nie! - krzyknął Richard.

Kula płynnego ognia rozjaśniła cienistą polankę błyskami żółtego i jaskrawo-niebieskiego światła.

Nie dopuści do tego! Tylko Shota wie, jak znaleźć szkatułę! A to jedyny sposób powstrzymania Rahla!

Kula ognia zwiększała objętość, z rykiem mknąc ku Shocie. Wiedźma nawet nie drgnęła.

- Nie! - Richard wyszarpnął miecz i skoczył przed kobietę. Jedną dłonią złapał gardę, drugą czubek miecza i uniósł go przed sobą jak tarczę.

Wtargnęła weń magia. Ogarnął go gniew. Ogień był tuz, tuż. Grzmiący ryk wypełnił uszy chłopaka. Richard odwrócił głowę, zamknął oczy, wstrzymał oddech i zacisnął zęby. Zdawał sobie sprawę, że może zginąć. Ale nie miał wyboru. Wiedźma była ich jedyną szansą! Nie dopuści, żeby Zedd ją zabił!

Impet uderzenia odrzucił Richarda o krok. Chłopak poczuł żar ognia. Jaskrawy blask przebijał się nawet przez zamknięte powieki. Czarodziejski ogień z wściekłym wrzaskiem uderzył w miecz i wybuchł.

Zapanowała cisza. Richard otworzył oczy. Czarodziejski ogień zniknął. Zedd nie marnował czasu. Rzucił garść magicznego pyłu. Drobinki migotały w locie. Coś zbliżało się ku nim zza chłopaka - magiczny pył wiedźmy. Lśnił jak kryształki lodu, odbierał blask pyłowi Zedda, opadł na czarodzieja.

Zedd zamarzł. Stał bez ruchu, jedną rękę wznosił w górę.

- Zedd!

Cisza. Richard okręcił się ku wiedźmie. Już nie przypominała jego matki. Lekki wiaterek kołysał fałdami powiewnej szaty we wszystkich odcieniach szarości. Wspaniałe, gęste kasztanowate włosy spływały miękkimi falami. Cerę miała bez skazy. Błysnęły ku Richardowi migdałowe oczy. Shota była równie piękna jak stojący za nią pałac, jak otaczająca ją kotlina. Była tak pociągająca, że chłopak o mało nie stracił dla niej głowy - ocalił go gniew.

- Mój bohater - głos też nie przypominał już głosu matki Richarda: był czysty, łagodny, miękki. Pełne wargi uśmiechnęły się szelmowsko. - Wyczyn absolutnie zbędny, ale liczy się intencja. Jestem pod wrażeniem.

- A któż to ma być tym razem? Kolejna wizja z mojego umysłu? Czy też prawdziwa Shota? - Richard był wściekły. Aż za dobrze rozpoznawał gniew miecza, lecz postanowił nie chować ostrza.

- A czy te szaty to naprawdę ty? - zakpiła, uśmiechając się szeroko. - Czy też coś, co wkładasz na pewien czas, w określonym celu?

- Więc w jakim celu jesteś teraz właśnie taka?

- Żeby ci się spodobać, oczywiście - odparła z udanym zdumieniem.

- Za pomocą iluzji!

- Nie - odparła łagodniejszym tonem. - To nie iluzja, tak się widzę, najczęściej właśnie tak. To rzeczywistość.

Richard pominął milczeniem te słowa, wskazując mieczem czarodzieja.

- Co zrobiłaś Zeddowi?

Shota wzruszyła ramionami, odwróciła oczy i uśmiechnęła się skromnie.

- Powstrzymałam go przed wyrządzeniem mi krzywdy. Nic mu nie jest. Przynajmniej na razie. - W migdałowych oczach zamigotały iskierki. - Potem go zabiję, gdy sobie pogadamy, ty i ja.

- A Kahlan? - Chłopak mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Wiedźma spojrzała na Kahlan. Dziewczyna stała nieruchomo, była blada, wargi jej drżały, śledziła każdy ruch Shoty. Richard wiedział, że biedaczka bardziej się jej bała niż węży. Shota zmarszczyła gniewnie brwi, a potem skierowała wzrok na chłopaka i znów się skromnie uśmiechnęła.

- To bardzo niebezpieczna kobieta. - W jej oczach była wiedza o wiele starsza niż lata, na które wiedźma wyglądała. - Bardziej niebezpieczna, niż jej się wydaje. Muszę się przed nią chronić. - Znów wzruszyła ramionami i zręcznie schwyciła rozwianą połę szaty; suknia natychmiast ją otuliła, jakby ustał wiatr. - Więc zadbałam o to, żeby stała spokojnie. Jeśli się poruszy, węże ją ukąszą, jeżeli nie, to jej nie tkną. - Namyślała się przez chwilę. - Ją też później zabiję. - Ton jej głosu, miły i spokojny, nie pasował do wypowiedzianych słów.

Richard się zastanawiał, czy nie powinien odciąć głowy tej kobiecie. Gniew popychał go do tego czynu. Ukształtował w myślach wyraźny obraz całej tej sceny, mając nadzieję, że Shota ujrzy i to. Potem troszeczkę powściągnął furię, ale nie za bardzo.

- A ja? Mnie się nie boisz?

Shota zaśmiała się leciutko, potem uśmiechnęła.

- Poszukiwacza? - Przyłożyła palce do ust, jakby chciała ukryć wyraz rozbawienia. - Nie, raczej nie.

- A może powinnaś. - Chłopak ledwo nad sobą panował.

- Może. W normalnych czasach. Lecz to nie są normalne czasy. Bo wówczas po co byś się tu zjawił? Żeby mnie zabić? Tylko co ocaliłeś mi życie. - Wzrokiem dała mu do zrozumienia, że powinien się wstydzić bzdur, jakie wygaduje, i obeszła Richarda dokoła. On zaś odwracał się razem z nią, nie spuszczając jej z oka i cały czas trzymając miecz pomiędzy sobą a Shota, która najwyraźniej lekceważyła groźny oręż. - W tych czasach potrzebne są najdziwaczniejsze sojusze, Richardzie. Tylko silni ludzie mają dość rozumu, żeby to uznać. - Zatrzymała się, skrzyżowała ramiona, obdarzyła chłopaka szacującym spojrzeniem i lekki uśmiechem. - Mój bohater. Już nie pamiętam, kiedy ktoś pomyślał o tym, żeby mi ocalić życie. - Pochyliła się ku niemu. - Ogromnie szarmanckie, naprawdę. - Objęła Richarda. Chciał ją powstrzymać, ale tego nie zrobił; sam nie wiedział dlaczego.

- Nie pochlebiaj sobie. Miałem swoje powody. - Jej swoboda irytowała chłopaka i jednocześnie pociągała go.

Richard dobrze wiedział, że nie powinien ulegać gierkom Shoty. Przecież dopiero co oznajmiła, że zamierza zabić dwoje jego najlepszych przyjaciół, a mina Kahlan powiedziała mu, że to nie są czcze pogróżki. Co gorsza, dobył miecza i uwolnił gniew. Ale Shota oplatała, oczarowała i tę magię. Chłopak miał wrażenie, że tonie, lecz - ku swemu zdumieniu - stwierdził, że mu to sprawia przyjemność.

Wiedźma uśmiechnęła się szerzej, oczy jej zabłysły.

- Jak już mówiłam, tylko silni mają dość rozumu, żeby zawrzeć potrzebne w tych czasach sojusze. Czarodziej głupio postąpił próbując mnie zabić. Ona też spróbowała, nawet nie chciała tu przyjść. Ty jeden masz olej w głowie i zrozumiałeś, że w tych czasach jest potrzebny taki sojusz, jak nasz.

- Nie zawieram sojuszy z tymi, którzy chcą zabić moich przyjaciół. - Richard podsycał w sobie słuszny gniew.

- Nawet jeśli to oni pierwsi próbowali mnie zabić? Czyż nie mam prawa się bronić? Mam umrzeć, bo twoi przyjaciele chcą mnie zabić? Zastanów się, co mówisz, Richardzie. - Potrząsnęła głową, marszcząc brwi i uśmiechając się. - Spójrz na to moimi oczami.

Chłopak przemyślał to, lecz nic nie powiedział. Shota przyjacielsko zacisnęła obejmujące Richarda ramię.

- Jednak naprawdę byłeś szarmancki. Dokonałeś niecodziennego wyczynu, mój bohaterze. Naraziłeś dla mnie, dla wiedźmy, swoje życie. Należy ci się za to nagroda. Spełnię jedno twoje życzenie. Powiedz, czego pragniesz, a stanie się. - Wolną dłonią wykonała jakieś płynne ruchy. - Co tylko zechcesz, przyrzekam.

Richard już chciał coś powiedzieć, ale Shota łagodnie położyła palce na ustach chłopaka, uciszając go. Przylgnęła do niego ciepłym, jędrnym ciałem, okrytym jedynie powiewną, cienką szatką.

- Nie spiesz się z odpowiedzią, nie podważaj dobrego zdania, jakie mam o tobie. Dostaniesz, co tylko zechcesz. Nie zmarnuj życzenia. Dobrze je przemyśl, zanim głośno wypowiesz. To ważne życzenie, ofiarowane ci z konkretnego powodu - być może najważniejsze w twoim życiu. Pośpiech może oznaczać śmierć.

W Richardzie aż się zagotowało, choć Shota dziwnie go pociągała.

- Wcale się nie muszę zastanawiać. Oto moje życzenie: Nie zabijaj moich przyjaciół. Nie czyń im krzywdy i puść ich wolno.

- Obawiam się, że to wszystko skomplikuje - westchnęła wiedźma.

- Ach, tak? Więc twoje słowo nic nie znaczy? Spojrzała nań z gniewnym

wyrzutem.

- Moje słowo jest wszystkim - w jej głosie zabrzmiał szorstki ton. - Po prostu chciałam, żebyś wiedział, iż to wszystko skomplikuje. Przyszedłeś tu po odpowiedź na bardzo ważne pytanie. Masz jedno życzenie. Zadaj więc owo pytanie, a ja odpowiem. Czyż nie tego właśnie chcesz? Zapytaj sam siebie, co jest w ważniejsze, ilu ludzi zginie, jeżeli nie wypełnisz misji. - Znów przyjacielsko ścisnęła i uśmiechnęła się. - Miecz cię bałamuci, Richardzie. Jego magia wpływa na twój osąd. Schowaj go i pomyśl jeszcze raz. Może posłuchasz mojego ostrzeżenia. Nie udzieliłam go bez powodu.

Richard gniewnie wsunął miecz do pochwy. Niech wie, że on i tak nie zmieni zdania. Obejrzał się na zamrożonego Zedda. Rzucił okiem na Kahlan, pokrytą kłębiącymi się wężami. Ich oczy się spotkały i serce chłopaka o mało nie pękło z bólu. Wiedział czego dziewczyna oczekuje, czytał to w jej oczach: chciała, żeby wykorzystał życzenie na odszukanie szkatuły. Richard odwrócił wzrok, nie mogąc znieść jej męki. Z determinacją popatrzył na Shotę.

- Schowałem miecz. I niczego to nie zmieniło. Na tamto pytanie odpowiesz i tak. Bo i twoje życie zależy od tego, czy poznam odpowiedź. Sama to przyznałaś. Nie marnuję swojego życzenia. Gdybym je wykorzystał na uzyskanie odpowiedzi, której i tak mi udzielisz, zmarnowałbym życie moich przyjaciół. A teraz wypełnij moje życzenie!

Shota popatrzyła nań oczami starymi jak świat.

- Drogi Richardzie - rzekła miękko. - Poszukiwacz potrzebuje gniewu, lecz nie pozwól, żeby gniew zabił w tobie mądrość. Nie osądzaj pochopnie działań, które nie w pełni rozumiesz. Nie wszystkie są takie, jak to wygląda na pierwszy rzut oka. Niektóre z nich podjęto w twojej obronie.

Położyła mu dłoń na policzku i ten gest ponownie przypomniał Richardowi matkę. Jej łagodność i uspokoiła go, i zasmuciła zarazem. Już się jej nie bał.

- Błagam cię, Shoto - wyszeptał. - Wyraziłem życzenie. Spełnij je.

- Twoje życzenie, drogi Richardzie, jest dla mnie rozkazem - odszepnęła smutnie.

Chłopak spojrzał na Kahlan. Węże nie zniknęły.

- Obiecałaś, Shoto.

- Obiecałam, że jej nie zabiję i że odejdzie wolno. Kiedy ty stąd odejdziesz, będzie mogła pójść z tobą, nie zabiję jej. Lecz ona mi zagraża. Jeśli się nie poruszy,

węże nic jej nie zrobią.

- Powiedziałaś, że Kahlan spróbowałaby cię zabić. To nieprawda. Przyszliśmy tu, ona i ja, prosić cię o pomoc. Nie chciała ci nic złego uczynić, a ty ją usiłowałaś zabić. A teraz jeszcze to!

- Przyszedłeś tutaj, Richardzie, uważając, że jestem wcielonym złem? - Dotknęła palcem brody, namyślała się. - Nic o mnie nie wiedziałeś, a mimo to byłeś gotów mnie skrzywdzić na podstawie własnych wymysłów. Uwierzyłeś w to, co usłyszałeś od innych. - W głosie Shoty nie było urazy ani złośliwości. - Te historie opowiadają ludzie zazdrośni lub wystraszeni. Niektórzy twierdzą, że złem jest korzystanie z ognia i że posługują się nim tylko źli. A czyż to jest prawdą? Ludzie mówią również, że stary czarodziej był zły i że wielu przezeń zginęło. Czy to prawda? Część Błotnych Ludzi twierdzi, że sprowadziłeś śmierć do ich wioski. Czy coś staje się prawdą tylko dlatego, iż głupcy przy tym obstają?

- A jak nazwać osobę, która udawała moją matkę? - spytał gorzko Richard.

- Czyżbyś nie kochał swojej matki? - Shota była dotknięta do żywego.

- Jasne, że kochałem. I kocham.

- Czyż może być większy dar niż przywrócenie ukochanej, zmarłej osoby? Czyż widok matki nie sprawił ci radości? Czy chciałam czegoś w zamian? Żądałam zapłaty? Ofiarowałam ci coś pięknego i czystego, ożywione wspomnienie waszej wzajemnej miłości. Nawet nie wiesz, jakim kosztem to uczyniłam. A ty uważasz, że to był zły uczynek? I w nagrodę za to chciałbyś mi ściąć głowę swoim mieczem?

Richard nic nie powiedział. Odwrócił oczy; nagle, niespodziewanie poczuł wstyd.

- Czyżby słowa innych zatruły twój umysł, Richardzie? Ich obawy? Proszę tylko, byś mnie osądzał według moich czynów, a nie zdawał się na słowa i oceny innych. Byś mnie zobaczył taką, jaka jestem. Nie daj się wtłoczyć w szeregi głupców, Richardzie.

Chłopak w milczeniu słuchał Shoty - ubrała w słowa jego myśli.

- Rozejrzyj się wokół. - Wiedźma wykonała zamaszysty gest. - Czy to siedlisko brzydoty i zła?

- To najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem - przyznał miękko Richard. - Ale to niczego nie dowodzi. A co z tamtym? - Wskazał brodą mroczne lasy ponad kotliną.

- Potraktuj je jako rodzaj fosy - odparła, zerknąwszy we wskazanym kierunku.

Uśmiechnęła się dumnie. - Odstraszają głupców, którzy by mnie chcieli skrzywdzić.

Najtrudniejsze pytanie Richard zostawił na koniec.

- A on? - Spojrzał na siedzącego w cieniu Samuela, obserwującego ich płonącymi żółtymi ślepiami.

- Chodź tutaj, Samuelu - powiedziała głosem pełnym żalu patrząc Richardowi w oczy.

Odrażający stwór przytoczył się poprzez trawę, stanął u boku swojej pani; ocierał się o nią, gulgocząc gardłowo. Cały czas patrzył na miecz. Shota czule głaskała go po szarej głowie. Uśmiechnęła się do Richarda: ciepło, dzielnie, wyzywająco.

- Widzę, że potrzebna jest formalna prezentacja. Przedstawiam ci twego poprzednika, Richardzie. Oto Samuel, poprzedni Poszukiwacz.

Chłopaka zatkało, ze zdumieniem popatrzył na kompaniona

- Mój miecz! Dawaj! - Samuel już sięgał po miecz, lecz Shota nie spuszczając Richarda z oka, ostrzegawczo wypowiedziała imię kompaniona. Natychmiast cofnął ręce i przylgnął do pani. - Mój miecz - poskarżył się cicho sam sobie.

- Czemu tak wygląda? - spytał ostrożnie Richard, bojąc się odpowiedzi.

- Naprawdę nie wiesz? - Shota uniosła brew, badała twarz chłopca i uśmiechała się smutno. - Magia. Czyżby czarodziej cię nie ostrzegł?

Richard z wolna potrząsnął głową, nie mógł powiedzieć ani słowa. Język przysechł mu do podniebienia.

- Cóż, radzę, byś z nim porozmawiał.

- Uważasz, że magia i ze mnie to uczyni? - z trudem wykrztusił chłopak.

- Niestety, nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. - Shota ciężko westchnęła. - Potrafię widzieć przepływ czasu, to, jak wydarzenia wpływają na przyszłość. Ale to jest inny rodzaj magii - to magia czarodzieja - i na to jestem ślepa, nie widzę, co będzie. Nie widzę, jak wpływa w przyszłość. Samuel był poprzednim Poszukiwaczem. Przybył tutaj wiele lat temu, szukając pomocy. Lecz nie mogłam nic dla niego uczynić, nic. Mogłam mu tylko współczuć, litować się nad nim. A potem, pewnego dnia, zjawił się nagle stary czarodziej i zabrał miecz. - Znacząco uniosła brew.

- Bardzo nieprzyjemne wydarzenie, dla nas obydwojga. Muszę przyznać, że nie żywię przyjaznych uczuć wobec tego czarodzieja. - Twarz Shoty znowu złagodniała. - Samuel jeszcze dziś uważa, że Miecz Prawdy jest jego. Ale ja wiem

swoje. To czarodzieje - od zawsze - są strażnikami miecza i jego magii, i tylko na pewien czas użyczają go kolejnym Poszukiwaczom.

Richard przypomniał sobie, jak Zedd opowiadał, że kiedy fałszywy Poszukiwacz zaplątał się w miłostkę z wiedźmą, to on, Zedd, poszedł tam i odebrał miecz. To był ów Poszukiwacz, była owa wiedźma. Kahlan się myliła. Istniał przynajmniej jeden czarodziej, który się ośmielił wejść do kotliny Agaden.

- Może to się stało, bo on nie był prawdziwym Poszukiwaczem - próbował się pocieszyć chłopak. Dalej zasychało mu w ustach.

- Może. Po prostu nie wiem - odparła z zatroskaną miną.

- To pewnie to - wyszeptał. - To musi być to. Inaczej Zedd by mnie ostrzegł. Jest moim przyjacielem.

- Teraz w grę wchodzą o wiele ważniejsze sprawy niż przyjaźń, Richardzie. - Spojrzała nań z powagą. - Zedd dobrze to wie, ty także. Przecież, kiedy musiałeś, przedłożyłeś te sprawy ponad jego życie.

Chłopak spojrzał na Zedda. Tak by chciał z nim pogadać. Strasznie mu go brakowało, zwłaszcza teraz. Czy to prawda? Czy naprawdę, bez chwili zastanowienia, przedłożył odnalezienie szkatuły ponad życie Zedda?

- Obiecałaś mi, Shoto, że go puścisz wolno. Przez chwilę wpatrywała się w twarz chłopaka.

- Przepraszam cię, Richardzie. - Wykonała płynny gest dłonią ku Zeddowi, czarodziej zafalował i zniknął. - To była tylko ułuda. Fantom. To nie był stary czarodziej.

Richard pomyślał, że powinien być wściekły, ale nie był. Trochę go to dotknęło, no i żałował, że nie ma tu Zedda. Potem poczuł falę lodowatego przerażenia.

- Czy to naprawdę Kahlan? A może ją zabiłaś i zwodzisz mnie podobizną? Jeszcze jedna sztuczka? Kolejny fantom?

Pierś Shoty uniosła się w głębokim oddechu.

- Obawiam się - westchnęła Shota - że ona jest wystarczająco realna. I w tym cały problem.

Ujęła Richarda pod ramię, zawiodła przed Kahlan. Samuel poszedł za nimi, stanął obok. Ramiona miał tak długie, że nawet kiedy stał zupełnie wyprostowany, wodząc żółtymi ślepiami od jednego do drugiego, bezwiednie rysował w pyle drogi linie i koła.

Shota, zatopiona w myślach, patrzyła przez chwilę na Kahlan. Wydawało się, że rozwiązuje jakiś dylemat. Richard chciał, żeby węże już zniknęły. Kahlan wciąż była przerażona, pomimo słówek wiedźmy o przyjaźni i pomocy, i to nie węży się bała. Wodziła oczami za Shota, jak schwytane w pułapkę zwierzątko wodzi oczami za tym, kto je schwytał, ignorując pułapkę.

- Czy potrafiłbyś ją zabić, Richardzie, gdybyś musiał? - spytała Shota, patrząc Kahlan w oczy. - Czy miałbyś odwagę ją zabić, gdyby się okazała zagrożeniem dla powodzenia twojej misji? Gdyby od tego zależało życie innych? Mów prawdę.

Głos wadźmy brzmiał łagodnie, a jednak jej słowa przeszyły chłopaka jak lodowaty sztylet. Spojrzał w szeroko rozwarte oczy Kahlan, przeniósł wzrok na stojącą przed nim kobietę.

- Jest moją przewodniczką. Potrzebuję jej - odparł wymijająco.

- Nie o to pytałam, Poszukiwaczu. - Wielkie, migdałowe oczy patrzyły twardo.

Chłopak milczał, starał się, by nie zdradził go wyraz twarzy.

- Tak myślałam. - Shota uśmiechnęła się smutno. - I dlatego źle wykorzystałeś swoje życzenie.

- Wcale nie - zaprotestował Richard. - Zabiłabyś ją, gdybym je inaczej spożytkował!

- Tak. - Wiedźma ponuro kiwnęła głową. - Zabiłabym, Postać Zedda była próbą. Przebyłeś ją pomyślnie i w nagrodę ofiarowałam ci jedno życzenie - nie po to, żebyś dostał, co chcesz, lecz żebym mogła wykonać za ciebie trudne zadanie, trudny czyn, na który brak ci odwagi. To była druga próba. I tu zawiodłeś, drogi chłopcze. Muszę spełnić twoje życzenie. Tu właśnie popełniłeś błąd. Powinieneś pozwolić, żebym ją za ciebie zabiła.

- Chyba oszalałaś! Najpierw wmawiasz mi, że wcale nie jesteś zła, że powinienem cię osądzać po twoich czynach, a teraz ukazujesz mi swoje prawdziwe ja, pouczając, że popełniłem błąd, nie pozwalając ci zabić Kahlan! I to niby za co? Za jakieś urojone groźby? W niczym ci ona nie zagraża ani nie zagrozi. Pragnie, tak jak i ja, powstrzymać Rahla Posępnego. Tak samo jak ty!

Shota spokojnie słuchała tej przemowy. Jej oczy znów były stare jak świat.

- Czyżbyś nie słuchał, kiedy mówiłam, że nie wszystkie czyny są tym, czym się wydają? Że niektóre popełnia się po to, by cię ocalić? I znów osądzasz zbyt pochopnie, nie znając wszystkich faktów.

- Kahlan jest moją przyjaciółką. I tylko to się liczy.

Wiedźma głęboko zaczerpnęła powietrza, jakby chciała zachować spokój, jakby próbowała nauczyć czegoś uparte dziecko. Wyraz jej twarzy sprawił, że Richard poczuł się jak dureń.

- Słuchaj uważnie, Richardzie. Rahl Posępny włączył do gry szkatuły Ordena. Jeżeli mu się powiedzie, nie będzie siły zdolnej go powstrzymać. Już nigdy. Umrze mnóstwo ludzi. Ty. Ja. Ty jeden masz szansę, żeby go powstrzymać, i dlatego w moim interesie leży pomaganie ci. Nie wiem, dlaczego tak jest ani jak to zrobisz - po prostu widzę strumień mocy. Tylko ty jeden masz ową szansę. I wcale nie oznacza to, że zwyciężysz: po prostu masz szansę. Wiedz jednak, że istnieją siły zdolne cię pokonać, zanim ją wykorzystasz. Stary czarodziej nie ma tyle mocy, by powstrzymać Rahla. Lecz ja mogłabym ci być pomocna. I naprawdę tego chcę. Bo czyniąc to, pomagam sama sobie. Nie chcę umierać. A umrę, jeśli zwycięży Rahl.

- Wiem o tym. To dlatego powiedziałem, że i tak odpowiesz na moje pytanie, że nie muszę na to poświęcać życzenia.

- Ale są jeszcze sprawy, o których ja wiem, Richardzie, ty zaś nie.

Na jej pięknej twarzy malował się bolesny smutek. Patrzyła nań badawczo. Oczy Shoty płonęły tym samym płomieniem co oczy Kahlan - płomieniem inteligencji. Richard czuł, że wiedźma naprawdę pragnie mu pomóc. Nagle przestraszył się tego, o czym ona wiedziała, a on nie. Zdał sobie sprawę, że nie chciała go zranić, że tak po prostu jest. Zobaczył wpatrzonego w miecz Samuela i uświadomił sobie, że zaciska na gardzie lewą dłoń, zaciskają tak mocno, że wypukłe litery słowa PRAWDA boleśnie pijają mu się w rękę.

- O czym wiesz, Shoto?

- Najpierw o tym, co łatwiejsze do zniesienia - westchnęła. - Pamiętasz, jak zatrzymałeś mieczem ogień czarodzieja? Ćwicz to. Poddałam cię tej próbie nie bez powodu. Zedd użyje przeciwko tobie owego ognia. Więc następnym razem to już nie będzie próba, lecz rzeczywistość. Strumień czasu nie mówi, kto wygra, ale zdradza, że masz szansę go pokonać.

- To nie może być prawda... - Richard szeroko otworzył oczy.

- To równie prawdziwe - wpadła mu w słowo - jak ząb, który ojciec dał synowi, by udowodnił strażnikowi księgi, skąd jama.

To nim wstrząsnęło i przeraziło go.

- Nie, nie wiem, kim jest ów strażnik. - Migdałowe oczy płonęły. - Sam go musisz odnaleźć, dowiedzieć się kto to.

Richard z trudem oddychał, ledwo zdołał wykrztusić kolejne pytanie.

- Jeśli to było łatwiejsze, to co przyjdzie teraz?

Kasztanowe włosy zafalowały, Shota odwróciła głowę i popatrzyła na Kahlan; dziewczyna stała nieruchomo, pokryta kłębiącymi się wężami.

- Wiem, kim ona jest i dlaczego mi zagraża... - umilkła. Znów patrzyła na chłopaka. - Najwyraźniej nie masz pojęcia, kim ona jest, inaczej byś z nianie szedł. Kahlan ma moc. Magiczną moc.

- Tyle to wiem - wtrącił ostrożnie Richard.

- Jestem wiedźmą, Richardzie - podjęła Shota, próbując ubrać w słowa jakąś bolesną prawdę. - Jak już mówiłam, mogę zobaczyć, jak sprawy się potoczą. To jeden z moich talentów. I między innymi dlatego głupcy się mnie boją. - Przysunęła twarz do twarzy chłopaka, aż za blisko. Jej oddech pachniał różami. - Nie bądź jednym z nich, Richardzie, proszę. Nie obawiaj się mnie z powodu czegoś, nad czym nie mam żadnej kontroli. Potrafię zobaczyć, jak sprawy się potoczą, lecz nie mam wpływu na ich bieg, nie mogę go zmienić. I wcale mnie nie cieszy ów dar ani to, co widzę. Tylko nasze bieżące działania mają wpływ na to, co się wydarzy. Miej odwagę i rozum, by wykorzystać tę prawdę ku swemu pożytkowi, a nie tylko na nią pomstować.

- A jaką prawdę widzisz, Shoto? - wyszeptał.

Wyraz jej oczu sprawił, że chłopak wstrzymał oddech. Głos miała ostry jak miecz.

- Kahlan ma moc i użyje jej przeciwko tobie, jeśli jej nie zabiję. - Patrzyła Richardowi w oczy. - Co do tego nie ma wątpliwości. Twój miecz osłoni cię przed ogniem czarodzieja, lecz nie ocali cię przed jej dotknięciem.

Chłopak miał wrażenie, że każde z tych słów rani mu serce.

- Nie! - szepnęła Kahlan. Spojrzeli na nią. Słowa Shoty sprawiły, ze twarz dziewczyny ściągnęła się z bólu. - Nie mogłabym! Przysięgam, Shoto! Przysięgam, że nie zrobię mu tego!

Łzy płynęły po policzkach Kahlan. Wiedźma podeszła bliżej i poprzez węże dotknęła twarzy dziewczyny, łagodnie starając się ją pocieszyć.

- Obawiam się, że to zrobisz, dziecko, jeśli przeżyjesz - Otarła spływającą łzę. - Przecież już raz mało brakowało - dodała z zaskakującym współczuciem. - Byłaś o włos. - Leciutko skinęła głową, sama do siebie. - To prawda, czyż nie? Powiedz mu. Powiedz, czy mówię prawdę.

Oczy Kahlan przeskoczyły na Richarda. Zajrzał w zielone głębie i wspomniał

owe trzy razy, kiedy go dotknęła, gdy trzymał miecz i jak magia go wtedy ostrzegała. Ostatnim razem - u Błotnych Ludzi, kiedy się zjawiły cienie - reakcja magii była tak potężna, ze niemal przeszył dziewczynę mieczem, zanim zdał sobie sprawę, ze to ona. Kahlan ściągnęła brwi, odwróciła oczy. Zagryzła wargi, tłumiąc jęk.

- Czy to prawda? - szepnął Richard ze ściśniętym sercem. - Czy byłaś o włos od użycia swej mocy przeciwko mnie, jak twierdzi Shota?

Dziewczyna zbladła. Jęknęła głucho, boleśnie. Zamknęła oczy i załkała rozpaczliwie.

- Błagam cię, Shoto. Zabij mnie. Musisz. Przysięgłam bronić Richarda, przysięgłam powstrzymać Rahla. Błagam cię - łkała. - To jedyne wyjście. Musisz mnie zabić.

- Nie mogę - szepnęła wiedźma. - Obiecałam spełnić życzenie. Niemądre, szalone życzenie.

Richard z trudem znosił widok tak zrozpaczonej błagającej o śmierć Kahlan. Gardło miał tak ściśnięte, że ledwo oddychał. Dziewczyna krzyknęła nagle i wyrzuciła w górę ręce - chcąc, żeby węże ją ukąsiły. Chłopak rzucił się gwałtownie, ale zniknęły Kahlan oglądała ramiona, szukała gadów których już nie było.

- Przepraszam, Kahlan. Gdybym pozwoliła im cię ukąsić, złamałabym słowo, nie spełniłabym życzenia.

Dziewczyna osunęła się na kolana. Płakała, opierając czoło o ziemię, wbijając palce w grunt.

- Tak mi przykro, Richardzie - szlochała. - Proszę. Przyrzekłam cię bronić. Tak wielu już umarło. Dobądź miecza i zabij mnie. Zrób to. Zabij mnie, Richardzie, błagam.

- Nigdy bym nie mógł... Kahlan... - zdołał wykrztusić chłopak.

- Richardzie - odezwała się Shota, sama bliska łez. - Jeżeli ona przeżyje, to użyje swej mocy przeciwko tobie, zanim Rahl otworzy szkatuły. Nie ma co do tego wątpliwości. Najmniejszej. Tak się stanie, jeśli ona będzie żyć. Obiecałam spełnić twoje życzenie, więc nie mogę jej zabić. Ty musisz to uczynić.

- Nie! - wrzasnął chłopak.

Kahlan jęknęła boleśnie i wyciągnęła nóż. Chciała się pchnąć, ale Richard unieruchomił jej rękę.

- Błagam, Richardzie - łkała. - Nic nie rozumiesz. Muszę umrzeć. Inaczej będę odpowiedzialna za to, co zrobi Rahl. Za wszystko, co się wydarzy.

Chłopak podniósł ją i przytulił, cały czas unieruchamiając rękę z nożem, żeby się nie mogła zranić. Płakała. Łypnął wściekle na Shotę. Stała obok ze zwieszonymi luźno ramionami, obserwowała ich. Czy to możliwe? Czy to prawda? Szkoda, że nie posłuchał Kahlan i przyszedł tutaj. Poluzował chwyt na ręce dziewczyny, kiedy zdał sobie sprawę, że sprawia jej ból. Zastanawiał się, czy powinien pozwolić Kahlan popełnić samobójstwo. Ręce mu drżały.

- Proszę cię, Richardzie - odezwała się Shota ze łzami w oczach. - Jeśli chcesz, to nienawidź mnie za to, kim jestem, lecz nie za to, że powiedziałam ci prawdę.

- To znaczy to, co uważasz za prawdę, Shoto! Ale może to wcale nie jest prawda. Nie zabiję Kahlan, opierając się na twoich słowach.

Wiedźma smutno pokiwała głową, spojrzała nań wilgotnymi oczami.

- Królowa Milena ma ostatnią szkatułę Ordena - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Lecz wiedz, że już niedługo będzie ją mieć. Jeśli, oczywiście, uwierzysz w taką prawdę, jaką ja widzę. - Odwróciła się ku kompanionowi. - Wyprowadź ich z kotliny, Samuelu - powiedziała łagodnie. - Nie zabieraj niczego, co do nich należy. Będę bardzo niezadowolona, jeśli to zrobisz. Dotyczy to także Miecza Prawdy.

Richard spostrzegł łzę, spływającą po jej policzku. Wiedźma odwróciła się i ruszyła drogą. Zatrzymała się na chwilę. Wspaniałe kasztanowe włosy spływały na ramiona i plecy okryte powiewną szatą. Uniosła głowę, ale nie obróciła się ku chłopakowi.

- Kiedy to wszystko już się skończy... - powiedziała łamiącym się głosem - nie wracaj tu już nigdy... Jeśli zwyciężysz i przeżyjesz... Nigdy. Bo jeżeli wrócisz... To cię zabiję.

Odeszła ku swemu pałacowi.

- Przepraszam cię, Shoto - wyszeptał ochryple Kichard. - Tak mi przykro. Nie zatrzymała się ani nie odwróciła.

Rozdział trzydziesty drugi

Wyszła zza rogu i niemal potknęła się o jego nogi, tak cicho nadszedł. Dziewczynka uniosła głowę i spojrzała na twarz ponad srebrzystą szata., wysoko ponad podłogą.

- Giller! Ależ mnie wystraszyłeś!

Dłonie czarodzieja były ukryte w rękawach, każda w przeciwległym.

- Przepraszam, Rachel. Nie chciałem cię przestraszyć. - Spojrzał w jedną i drugą stronę holu, potem usiadł na podłodze. - Dokąd idziesz?

- Polecenia i rozkazy - odparła, westchnąwszy głęboko. - Księżniczka Violet kazała, żebym nakrzyczała w jej imieniu na kucharzy. Potem mam iść do praczek i powiedzieć, że znalazła plamę od sosu na jednej ze swoich sukien i że ona nigdy nie plami sukien sosem, więc one musiały to zrobić, i że jeżeli jeszcze raz znajdzie taką plamę, to każe ściąć im głowy. Nie mam ochoty im tego mówić, są takie miłe. - Dotknęła srebrnego galonu na rękawie szaty Gillera. - Ale zagroziła mi, że sama się nabawię kłopotów, jeżeli im tego nie powiem.

- Cóż, zrób, jak kazała. - Czarodziej kiwnął głową. - Jestem pewien, że praczki się domyśla, iż to nie twoje słowa.

Rachel spojrzała w duże, ciemne oczy Gillera.

- Każdy wie, że ona paprze sosem swoje suknie.

- Masz rację. - Zaśmiał się cicho. - Sam to widziałem. Ale nie należy następować na ogon śpiącemu psu, bo to się złe kończy. - Nie zrozumiała i skrzywiła się. - To znaczy, że ściągniesz na siebie kłopoty, jeśli jej to wypomnisz, więc lepiej zachowaj to dla siebie.

Rachel potaknęła, wiedziała, że to prawda. Giller znów się rozejrzał po holu, ale nikogo nie było. Nachylił się ku dziewczynce i szepnął:

- Nie miałem okazji cię zapytać ani sprawdzić. Znalazłaś swoją pocieszankę? Przytaknęła z uśmiechem.

- Ogromnie ci dziękuję, Gillerze. Jest wspaniała. Już dwa razy spałam poza zamkiem, od kiedy mija dałeś. Powiedziała mi, żebym się do ciebie nie odzywała, dopóki nie powiesz, że jest bezpiecznie, więc czekałam. Tak jak powiedziała. Rozmawiałyśmy i rozmawiałyśmy i dzięki niej czuję się o wiele lepiej.

- Rad jestem, dziecko. - Giller uśmiechnął się.

- Nazwałam ją Sara. Lalka musi mieć imię, wiesz.

Taaak? - zdziwił się. - Nie wiedziałem. Hmm, Sara to ładne imię. Rachel się

rozpromieniła; cieszyło ją, że czarodziejowi spodobało się imię lalki. Objęła go ramionami za szyję i przysunęła buzię do jego ucha.

- Sara też mi opowiadała o swoich kłopotach - szepnęła. - Obiecałam jej, że ci pomogę. Nigdy bym się nie spodziewała, że i ty chcesz uciec. Kiedy odejdziemy, Gillerze? Coraz bardziej się boję księżniczki Violet.

Tuliła się do czarodzieja, a on przyjacielsko poklepywał ją po plecach.

- Już wkrótce, dziecinko. Ale najpierw musimy wszystko przygotować, żeby nas nie złapali. Przecież nie chcemy, żeby ktoś za nami poszedł, odnalazł nas i przyprowadził z powrotem, prawda?

Rachel przecząco potrząsnęła główką, wtulona w ramię czarodzieja. Wtem usłyszała kroki. Gili er wstał, spojrzał w głąb holu.

- Nie powinni widzieć, że rozmawiamy, Rachel. Ktoś by mógł... Dowiedzieć się o lalce. O Sarze.

- Lepiej już pójdę - rzekła pospiesznie dziewczynka.

- Za późno. Stań przy ścianie i pokaż mi, jaka potrafisz być dzielna i cichutka.

Uczyniła to, a Giller stanął przed nią i zasłonił ją szatą. Rachel dosłyszała szczęk zbroi. Tylko jacyś strażnicy, pomyślała. Potem doleciały ją piskliwe warknięcia. Piesek królowej! To królowa i jej gwardziści! Ale im się dostanie, gdy królowa ją znajdzie ukrytą za szatami czarodzieja! Domyśli się wszystkiego o lalce! Schowała się głębiej w fałdy szaty. Giller się skłonił i szata lekko zafalowała.

- Wasza wysokość - powiedział, prostując się.

- O, Giller! - odezwała się łaskawie królowa. - Czemu się tu czaisz?

- Czaję się, Wasza miłość? Sądziłem, że jestem na twej służbie, o pani, właśnie po to, żeby się nikt nie czaił. Sprawdzałem magiczną pieczęć na skarbczyku, żeby się upewnić, że nikt przy niej nie majstrował. - Rachel usłyszała, jak piesek węszy przy skraju szaty Gillera. - Jeśli taka jest twoja wola, królowo, zdam się na los i nie będę sprawdzał, jeśli coś mnie zaniepokoi. - piesek zaszedł z boku, bliżej dziewczynki. Wyraźnie słyszała, jak węszy Oby już sobie poszedł, zanim ją znajdą. - Przed snem zaniesiemy modły do dobrych duchów, żeby wszystko było w porządku, kiedy się zjawi Ojczulek Rahl. A jeśli coś będzie nie tak, to powiemy mu po prostu, że sobie nie życzyliśmy, aby ktoś się tu kręcił i czaił, więc niczego nie sprawdzaliśmy. Być może zrozumie to.

Piesek zaczął warczeć. Rachel była bliska płaczu.

- Nie stroszsię tak, Gillerze, tylko pytałam. - Dziewczynka dostrzegła czarny

nosek, wpychający się pod szatę czarodzieja. - Co tam znalazłeś, Skarbie? Co tam, maleńki Skarbie?

Piesek zawarczał i szczeknął. Gili er cofnął się trochę, przysuwając Rachel bardziej do ściany. Dziewczynka usiłowała myśleć o Sarze, żałując, że nie ma przy sobie pocieszanki.

- O co chodzi, Skarbie? Co zwęszyłeś?

- Obawiam się, Wasza wysokość, kręciłem się również w stajniach. Piesek musiał wywęszyć te zapachy. - Giller wsunął rękę w szatę, tuż koło głowy Rachel.

- Stajnie? - Ton głosu Mileny wciąż był dość łaskawy. - A czegóż to tam szukałeś? - Głos królowej głośniej zabrzmiał w uszach małej, gdy pochyliła się, żeby podnieść pieska. - Co tam wyczyniasz, Skarbie?

Rachel zagryzła rąbek sukienki, żeby nie było słychać, jak szczęka zębami. Z szaty wynurzyła się ręka Gillera; trzymał coś pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Piesek wepchnął łepek pod szatę czarodzieja i zaczął poszczekiwać. Giller rozwarł palce i na psi łepek posypał się migotliwy pył. Skarb zaczął kichać. Potem zjawiła się dłoń królowej i wyciągnęła pieska.

- No już, już, malutki Skarbie. Już wszystko dobrze, moje biedactwo. - Rachel usłyszała, jak Milena całuje psi nosek; zawsze to robiła; potem kichnęła i królowa. - Co to mówiłeś, Gillerze? Czego może szukać w stajniach czarodziej?

- Jak już mówiłem, o pani - głos Gillera też brzmiał łaskawie; Rachel bawiło, że mówi tym tonem do królowej - gdybyś była mordercą i chciała się dostać do zamku, i przeszyć królową strzałą, to czy weszłabyś główną bramą, śmiało i odważnie? Czy też raczej schowałabyś się na wozie, w sianie lub pod workami? I wyszła nocą ze stajni.

- Cóż... Ja... Ale czy... Jak myślisz... Odkryłeś coś?

- Skoro jednak sobie nie życzysz, żebym się kręcił po stajniach, więc i je skreślę z mojej listy! Od teraz jednak będę się trzymał z dala od ciebie, królowo, podczas wszystkich oficjalnych wystąpień. Kiedy którymś z twoich poddanych zdecyduje się okazać, jak kocha swoją panią, nie chciałbym mu podejść pod rękę.

- Wybacz mi, czarodzieju Gillerze - rzekła słodziutko Milena; takim tonem mówiła głównie do pieska. - Bardzo jestem ostatnio rozstrojona. To przez tę zbliżającą się wizytę Ojczulka Rahla. Chce żeby wszystko dobrze poszło, wtedy wszyscy dostaniemy to, czego pragniemy. Wiem, jak leżą ci na sercu moje sprawy. Działaj dalej, proszę, i wybacz swojej pani to chwilowe rozdrażnienie.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Wasza wysokość - Giller znów się skłonił.

Królowa pośpiesznie odeszła, kichając raz po raz. Potem Rachel usłyszała, jak znienacka umilkły kroki Mileny i szczęk gwardzistów.

- I jeszcze coś, czarodzieju Gillerze! - zawołała królowa. - Chyba ci tego nie powiedziałam? Przybył posłaniec. Powiadomił nas, że Ojczulek Rahl będzie tu szybciej, niż oczekiwaliśmy. O wiele szybciej. Już jutro, prawdę mówiąc. Na pewno się spodziewa, że dostanie szkatułę na przypieczętowanie sojuszu. Zadbaj, proszę, by tak się stało.

Noga Gillera podskoczyła tak energicznie, że Rachel niemal upadła.

- Oczywiście, najjaśniejsza pani. - Czarodziej ponownie się skłonił.

Odczekał, aż królowa odejdzie, potem objął wielkimi dłońmi talię dziewczynki, podniósł Rachel i podtrzymał jednym ramieniem na wysokości swojego biodra. Jego policzki już nie były takie czerwone jak zazwyczaj. Był przeraźliwie blady. Położył palec na ustach małej; domyśliła się, że ma siedzieć cicho. Czarodziej wyciągnął szyję i kolejny raz rozejrzał się po holu.

- Jutro! - mruknął do siebie. - Niech to licho, nie jestem gotów.

- Coś nie tak, Gillerze?

- Czy księżniczka jest teraz w swojej komnacie, Rachel? - szepnął, przysuwając swój haczykowaty nos do noska dziewczynki.

- Nie - odszepnęła. - Poszła wybierać materiał na nową szatę, na przyjazd Ojczulka Rahla.

- A wiesz, gdzie księżniczka trzyma swój klucz do skarbczyka?

- Tak. Jeśli go nie nosi przy sobie, to chowa w biurku - W szufladzie od strony okna.

Giller ruszył w kierunku komnaty księżniczki Violet. Tak cicho stąpał po kobiercach, że Rachel (a przecież ją niósł) w ogóle nie słyszała jego kroków.

- Zmiana planów, dziecinko. Odważysz się na coś dla mnie? I dla Sary?

Skinęła głową i objęła go za szyję, żeby nie spaść, bo czarodziej ruszył szybkim krokiem. Minął wszystkie drzwi z ciemnego drewna i zatrzymał się przed największymi, dwuskrzydłowymi drzwiami u końca holu, drzwiami okolonymi rzeźbionym kamiennym portalem. Za nimi znajdowała się komnata księżniczki. Giller mocno ścisnął Rachel.

- No dobrze - szepnął. - Wejdź tam i weź klucz. Ja tu zostanę i popilnuję. -

Postawił małą na podłodze, nakazał pośpiech i zamknął za nią drzwi.

Zasłony były rozsunięte, słoneczny blask rozjaśniał komnatę, więc Rachel od razu zobaczyła, że nikogo tu nie było. Nie sprzątały żadne służące. Ogień w kominku zgasł i jeszcze nikt nie rozpalił nowego na wieczór i noc. Wielkie łoże pod baldachimem, łoże księżniczki Violet, już było posłane. Kapa w śliczne kwiaty bardzo się Rachel podobała. Dopasowano ją do materii baldachimu i zasłon. Dziewczynka zawsze się zastanawiała, po co księżniczce takie wielkie łoże. Z dziesięciu ludzi by się w nim zmieściło. Tam, skąd ją zabrano, w łóżku o połowę mniejszym spało sześć dziewcząt, a kapa była gładka. Ciekawa była, czy łoże Violet jest wygodne. Nigdy nawet na nim nie usiadła.

Rachel wiedziała, że Giller oczekuje od niej pośpiechu, więc ruszyła przez komnatę, po skórzanym dywanie, ku biureczku z lśniącego drewna o ładnych słojach. Ujęła złoty uchwyt i wysunęła szufladę. Denerwowała się, choć czyniła to już wiele razy, kiedy księżniczka wysyłała ją po klucz, lecz jeszcze nigdy nie brała klucza bez wiedzy Violet. Wielki klucz do skarbczyka leżał w czerwonej atłasowej sakiewce obok małego kluczyka od skrzynki, w której sypiała Rachel. Włożyła klucz do kieszeni i wsunęła szufladę, sprawdziwszy, czy dobrze ją zamknęła. Ruszyła ku drzwiom, lecz zerknęła w kąt, gdzie stała jej skrzynka do spania. Giller chciał, żeby się spieszyła, lecz mimo to podbiegła do skrzynki, musiała coś sprawdzić. Wpełzła do mrocznego wnętrza, do najdalszego kąta, gdzie leżał koc. Ostrożnie go odsunęła. Spojrzała na nią Sara. Była dokładnie tam, gdzie ją Rachel zostawiła.

- Muszę się spieszyć - szepnęła dziewczynka. - Ale potem wrócę. Pocałowała główkę lalki i znów schowała Sarę pod kocem, żeby jej nikt nie znalazł. Wiedziała, że nie powinna była przynosić Sary do zamku, ale nie mogła jej zostawić, samiuteńkiej, pod sosną-strażniczką. Dobrze wiedziała, jak tam potrafi być samotnie i strasznie. Potem podbiegła do drzwi, uchyliła je i spojrzała w twarz Gillera. Kiwnął głową na znak, że nikogo nie ma i że może wyjść.

- Klucz?

Rachel wyjęła go z kieszeni, w której trzymała ogniową pałeczkę i pokazała czarodziejowi. Giller uśmiechnął się i powiedział, że dzielna z niej dziewczynka. Jeszcze nikt nigdy jej tak nie nazwał, przynajmniej od dłuższego czasu. Czarodziej znów wziął Rachel na ręce i ruszył szybko holem, a potem w dół wąskimi, ciemnymi schodami dla służby. Jego stopy stąpały bezszelestnie nawet po kamieniu. Baki Gillera łaskotały policzek dziewczynki. Zeszli ze schodów i postawił małą na

podłodze. Przykucnął.

- Słuchaj uważnie, Rachel, bo to bardzo ważne. To nie zabawa. Musimy obydwoje uciec z zamku albo zetną nam głowy, jak ci mówiła Sara. Musimy to uczynić sprytnie, inaczej nas złapią. Jeśli uciekniemy zbyt pośpiesznie, zaniedbując to, co ważne, to nas odnajdą. A jeżeli będziemy się grzebać... Cóż, lepiej się zbytnio nie grzebmy.

Łzy się zakręciły w oczach Rachel.

- Nie chcę, żeby mi ścięli głowę, Gillerze! Boję się tego, ludzie mówią, że to okropnie boli.

Czarodziej przytulił ją mocno.

- Wiem, dziecinko. I ja się boję. - Położył dłonie na ramionach dziewczynki i spojrzał jej prosto w oczy. - Lecz jeśli mi zaufasz i zrobisz dokładnie to, co ci powiem, i będziesz dzielna, to uciekniemy stąd. I pójdziemy tam, gdzie nikt nie obcina ludziom głów, nie zamyka nikogo w skrzyniach i gdzie będziesz mogła mieć swoją lalkę. Tam, gdzie nikt ci jej nigdy nie odbierze i nie wrzuci w ogień. Zgoda?

- To byłoby wspaniałe, Gillerze. - Łzy zaczęły wysychać.

- Ale musisz być dzielna i zrobić dokładnie to, co powiem. Część tego może być bardzo trudna i ciężka.

- Zrobię, co każesz. Obiecuję.

- A ja obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię chronić. To nasza sprawa, moja i twoja, lecz od nas zależy los mnóstwa ludzi. Jeśli dobrze wykonamy naszą robotę, to dzięki nam wielu ludzi, wielu niewinnych ludzi, ocali swoje głowy.

- Tak bym tego chciała, Gillerze. Nienawidzę, jak się obcina ludziom głowy. Okropnie się tego boję.

- No, to do dzieła. Najpierw idź i nakrzycz na kucharzy, jak ci polecono, a gdy już będziesz w kuchniach, weź wielki bochen chleba, największy, jaki znajdziesz. Nie obchodzi mnie, jak go zdobędziesz - ukradnij, jeśli inaczej się nie da. I przynieś do skarbczyka. Posłuż się kluczem i zaczekaj tam na mnie. Muszę się teraz zająć innymi sprawami. Potem ci powiem, co dalej. Dasz rade?

- No pewnie. Z łatwością.

- Więc się bierz do roboty.

Rachel weszła do dużego holu na pierwszym piętrze, a Giller bezszelestnie wbiegł do góry. Zejście do kuchni znajdowało się w końcu holu, za paradnymi

schodami, z których korzystała królowa. Dziewczynka lubiła chodzić za księżniczką Violet po paradnych stopniach - pokryte były dywanem i nie takie zimne, jak te kamienie, po których biegała z poleceniami. Owe schody znajdowały się w połowie holu. Prowadziły do wielkiej komnaty z posadzką z białych i czarnych marmurowych płyt, bardzo ziębiących stopy Rachel. Próbowała wymyślić, jak zdobyć bochen chleba, nie kradnąc go, kiedy ujrzała księżniczkę Violet zmierzającą do paradnych schodów. Za księżniczką szła królewska szwaczka i jej dwie pomocnice, niosąc sztuki ładnej różowej tkaniny. Dziewczynka rozejrzała się za jakimś schowkiem, ale Violet już ją zobaczyła.

- O, Rachel. Chodź do mnie. Zawołana podeszła i skłoniła się.

- Tak, księżniczko Violet?

- Co robisz?

- Wypełniam polecenia. Właśnie szłam do kuchni.

- Hmm... Daj sobie z tym spokój.

- Ależ muszę tam pójść, księżniczko Violet!

- Po co? Przecież mówię, że nie musisz. - Księżniczka zmarszczyła się gniewnie.

Rachel zagryzła wargi. Mina Violet ją wystraszyła. Spróbowała sobie wyobrazić, co by powiedział Giller.

- Cóż, jeśli nie chcesz, to nie pójdę. Ale twój lunch był po prostu ohydny i nie chciałabym, żebyś zjadła jeszcze jeden równie paskudny posiłek. Pewnie tęsknisz za czymś smacznym. Ale skoro nie chcesz, żebym poszła do kuchni, to nie pójdę.

Księżniczka Violet namyślała się przez chwilę.

- Albo idź. Lunch był rzeczywiście okropny. I nie zapomnij im powiedzieć, jak mnie to zdenerwowało!

- Wedle rozkazu, księżniczko Violet! - Rachel się skłoniła, odwróciła i chciała odejść.

- Idę do przymiarki - dodała Violet i dziewczynka się zatrzymała. - Potem chcę pójść do skarbczyka i wybrać klejnoty pasujące do mojej nowej szaty. Kiedy już skończysz z kucharzami, to weź klucz i poczekaj na mnie w skarbczyku.

- A nie lepiej poczekać do jutra, księżniczko - udało się wydusić z siebie Rachel - gdy szata będzie gotowa? I zobaczyć, jak klejnoty będą ślicznie do niej pasować?

- Hmm, no cóż - odparła lekko zdumiona Violet. - Rzeczywiście lepiej

dobierać klejnoty do gotowej szaty. - Zamyśliła się i zaczęła wchodzić po schodach. - Cieszę się, że o tym pomyślałaś.

Rachel odetchnęła i ruszyła ku schodom dla służby. Usłyszała głos księżniczki.

- Ale i tak muszę coś wybrać na dzisiejszą ucztę, więc pójdę do skarbczyka. Czekaj tam na mnie.

- Księżniczko...

- Ani słowa. Przekaż moje polecenia kucharzom, potem weź klucz i czekaj na mnie w skarbczyku. Przyjdę tam zaraz po przymiarce.

Violet weszła po paradnych schodach i zniknęła.

I co teraz? Giller też ma przyjść do skarbczyka. Rachel zbierało się na płacz. Co ma zrobić? To, co polecił Giller, i już. Ma być dzielna. Żeby tamtym ludziom nie obcięli głów. Powstrzymała łzy i poszła do kuchni. Zastanawiała się, po co Gillerowi taki wielki bochen chleba.

- No i co o tym myślisz? - szepnął Richard.

Kahlan leżała obok niego na ziemi i ze zdumieniem patrzyła na to, co się działo poniżej.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - odszepnęła. - Jeszcze nigdy me widziałam tylu krótkoogoniastych chimer naraz.

- Co one palą?

- Nic nie palą. Dym się wydobywa z ziemi. To miejsce nazywają Ognistym Źródłem. Niektórymi otworami wydobywa się para, innymi wypływa wrząca woda, a w jeszcze innych bulgoce jakiś cuchnący żółty płyn i gęste błocko. Opary odstraszają stąd ludzi. Nie mam pojęcia, co robią tutaj chimery.

- O, popatrz tam, gdzie zaczyna się stok wzgórza, na największy otwór. Coś leży w jego wylocie, wygląda jak jajko, a para owiewa to ze wszystkich stron. Gapią się i dotykają tego.

- Masz lepszy wzrok niż ja. - Dziewczyna potrząsnęła głową. - Nie wiem, co to, nawet nie widzę, że jest okrągłe.

Richard słuchał i czuł drżenie ziemi. Niekiedy dudnieniu towarzyszył gwałtowny rzut pary, z rykiem wylatującej z otworów. Cuchnący, duszący odór siarki dolatywał aż tutaj, na wysoką grań, na której się kryli wśród karłowatych drzewek.

- Może powinniśmy się bliżej temu przyjrzeć - szepnął chłopak, patrząc na kręcące się przy jaju chimery.

- To już by nawet nie było szaleństwo - odszepnęła ochryple Kahlan - ale zwyczajna głupota. Chyba jeszcze nie zapomniałeś, jak niebezpieczna jest jedna chimera. A tam jest ich całe mnóstwo.

- Pewnie tak. A co tam jest za nimi, z boku wzgórza? Jaskinia? Dziewczyna spojrzała w ciemną jamę.

- Tak. To jaskinia Shadrina. Niektórzy twierdzą, że ciągnie się pod górą i otwiera na dolinę po tamtej stronie. Ale nie znam nikogo, kto by był tego pewny lub chciał to sprawdzić. Richard obserwował, jak chimery rozrywają jakieś zwierzę, biją się o nie.

- A kto to jest ten Shadrin?

- To bestia, która ponoć mieszka w jaskiniach. Jedni mówią, że to bajki, inni - że prawda, ale nikt nie chce tam iść i sprawdzić. Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - W Midlandach jest wiele okolic, w których ponoć żyją różne bestie. Sporo tych miejsc odwiedziłam, lecz nigdzie nie widziałam żadnej bestii. Większość z tych opowieści to po prostu bajki. Ale nie wszystkie.

Richard się cieszył, że się wreszcie rozgadała. Od wielu dni nie powiedziała tylu słów naraz. Dziwaczne zachowanie chimer zaintrygowało Kahlan i na chwilę wyrwało ją z odrętwienia. Ale nie mogli tak leżeć i rozmawiać, to marnowanie czasu. I jeśli zostaną zbyt długo, odnajdą ich gończe muchy chimer. Odczołgali się od krawędzi, popełzli dalej, ostrożnie i cicho. Kahlan znów zamilkła.

Ruszyli drogą do Tamarang, granicznych ziem Dziczy rządzonych przez królową Milenę. Wkrótce dotarli do miejsca, z którego rozbiegały się dwie drogi. Richard uznał, że powinni pójść w prawo, skoro Kahlan twierdziła, że Tamarang leży na wschodzie. Chimery i Ogniste Źródło zostały po lewej. Dziewczyna ruszyła lewym traktem.

- Co robisz? - Od wyjścia z kotliny Agaden obserwował ją czujnie. Już jej nie ufał: pragnęła umrzeć i wiedział, że do tego doprowadzi, jeśli nie będzie jej bacznie obserwował.

Kahlan obejrzała się, lecz twarz miała kamienną, bez wyrazu, jak zwykle ostatnio.

- To się nazywa przemienne rozwidlenie. Stąd tego nie widać, bo zasłania gęsty las i rzeźba terenu, ale przed nami drogi się przecinają i zmieniają kierunek. Drzewa zasłaniają słońce, trudno je dostrzec i zorientować się, w którą stronę się idzie. Gdybyśmy poszli w prawo, trafilibyśmy prosto do chimer. Ta droga, lewa,

prowadzi do Tamarang.

- Po co utworzono takie dziwaczne rozgałęzienie? - Richard się zmarszczył.

- To tylko jeden ze sposobów, których używali dawni władcy Tamarang, żeby pomieszać szyki najeźdźcom z Dziczy. Tracili tempo, a obrońcy zyskiwali czas na wycofanie się i przegrupowanie i mogli spaść z nowymi siłami na napastników.

Chłopak uważnie obserwował twarz Kahlan, starając się zorientować, czy dziewczyna mówi prawdę. Wściekało go, że musi się nad tym zastanawiać.

- Ty jesteś przewodniczką - powiedział na koniec. - Prowadź. Odwróciła się bez słowa i poszła dalej. Richard nie miał pojęcia, jak długo to jeszcze potrwa, jak długo jeszcze będzie musiał to znosić. Kahlan odzywała się tylko wtedy, kiedy ją o coś pytał, nie reagowała na próby nawiązania rozmowy i odsuwała się, ilekroć się do niej zbliżał. Zachowywała się tak, jakby jego dotknięcia były śmiertelnie groźne, lecz chłopak wiedział, że tak naprawdę obawia się swojego dotknięcia. Tam, na górze, kiedy dostrzegli chimery, odezwała się z własnej woli i Richard łudził się, że znów będzie jak dawniej. Ale, niestety, pomylił się. Kahlan znów się pogrążyła w apatii, wrócił ponury nastrój.

Dziewczyna zrobiła z siebie więźnia przymuszonego do marszu, zaś Richarda skazała na rolę strażnika. Nie oddał jej noża. Dobrze wiedział, co by się stało, gdyby to zrobił. Coraz bardziej się od niego oddalała. Czuł, że ją traci i nie miał pojęcia, jak temu zapobiec.

Nocą, kiedy przychodziła pora warty Kahlan, chłopak musiał jej wiązać ręce i nogi, żeby się nie zabiła, kiedy on będzie spał. Dziewczyna znosiła to obojętnie, bez słowa protestu. Za to Richard ogromnie cierpiał. Lecz i tak musiał spać czujnie. Układał się u stóp Kahlan, żeby go mogła obudzić, jeżeli coś dostrzeże lub usłyszy. Ciągłe napięcie sprawiało, że chłopak był straszliwie wyczerpany.

Richard żałował, że poszli do Shoty. Nie do pomyślenia było, że Zedd mógłby zwrócić się przeciwko niemu, a już zupełnie nie mógł znieść myśli, że Kahlan byłaby do tego zdolna.

Chłopak wyjął porcję żywności. Starał się mówić radosnym tonem, nie tracąc nadziei, że Kahlan się ożywi.

- Zjesz trochę suszonej ryby? - Uśmiechnął się. - Jest naprawdę paskudna. Lecz ten żart nie rozbawił Kahlan.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

Richard z trudem zachował uśmiech i spokojny głos, z trudem powściągnął

gniew. W głowie mu łupało.

- Przecież ostatnio prawie nie jesz, Kahlan. Musisz coś zjeść.

- Już powiedziałam, że nie chcę.

- Jeden kęs dla mnie? - przymilał się.

I co potem? Zwiążesz mnie i wepchniesz jedzenie do gardła? Spokojny głos Kahlan doprowadzał Richarda do szału, ale ze wszystkich sił starał się tego nie okazywać.

- Jeśli będę musiał.

Dziewczyna odwróciła się ku niemu, ciężko oddychała.

- Pozwolisz mi odejść, Richardzie? Błagam! Pozwól mi Nie chcę być przy tobie!

Pierwszy taki wybuch, od kiedy opuścili kotlinę Agaden. Teraz Richard musiał zachować spokój.

- Nie.

- Nie dasz rady stale mnie mieć na oku. Wcześniej czy później... - Zielone oczy płonęły gniewnie.

- Dam radę, jeśli będę musiał.

Przez chwilę mierzyli się gniewnym wzrokiem. Potem twarz Kahlan zobojętniała. Dziewczyna odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Zatrzymali się tylko na kilka minut, ale to wystarczyło, żeby śledzące „coś” przestało się na moment mieć na baczności i popełniło omyłkę. Podeszło zbyt blisko i Richard ponownie dostrzegł błyszczące żółte ślepia. Chłopak wiedział, że coś idzie za nimi od drugiego dnia po opuszczeniu kotliny. Ostrzegł go zmysł nabyty podczas lat spędzonych w lasach. Hartlandzcy przewodnicy czasami się tak zabawiali, sprawdzając, jak długo mogą śledzić kolegę, zanim ten się zorientuje. Ale tym razem to nie była gra i ów szpieg znakomicie się wywiązywał z zadania. Lecz Richard i tak był lepszy - już trzy razy dostrzegł jarzące się żółte ślepia. Wiedział, że to nie Samuel idzie za nim i za Kahlan. Ślepia miały inną, ciemniejszą barwę, były bliżej siebie osadzone, no i stwór był o wiele sprytniejszy od kompaniona. Nie był to również jeden z sercowych psów, bo już dawno by ich zaatakował. A ten tylko obserwował. Richard był pewien, że Kahlan o niczym nie wie: za bardzo się pogrążyła w ponurych myślach. Stwór wcześniej czy później się ujawni, a wtedy on będzie już na to przygotowany. Wcale mu się jednak nie uśmiechały nowe kłopoty - obecnie Kahlan dostarczała ich aż za dużo. Tak więc chłopak się nie obejrzał i nie zdradził, że

dostrzegł owe żółte ślepia. Jak zwykle obserwował otoczenie, ale nie wpatrywał się zbyt usilnie w żaden punkt. Był przekonany, że stwór nie wie, że się zorientował, iż są śledzeni. I niech tak zostanie. To mu dawało przewagę nad owym tajemniczym stworem.

Chłopak patrzył na przygarbioną Kahlan i rozmyślał, co będzie za kilka dni, gdy dotrą do Tamarang. Czy mu się to podobało, czy nie, to właśnie Kahlan zwyciężała w ich cichej walce, a to nie mogło tak trwać bez końca. Dziewczynie wystarczyłaby jedna chwila, by mogła urzeczywistnić swoje zamiary. Musiał być czujny przez cały czas. Moment nieuwagi - i Kahlan się zabije. Chłopak wiedział, że ona go prędzej czy później zmyli i dopnie swego, i zamartwiał się, jak ją od tego odwieść.

Rachel siedziała na podnóżku ustawionym przed wysokim, rzeźbionym siedziskiem, pokrytym czerwonym aksamitem. Czekała. Pospiesz się, Gillerze, popędzała go w myślach, zdąż przed księżniczką Violet. Zerknęła na szkatułę królowej. Miała nadzieję, że tym razem księżniczka zostawi szkatułę w spokoju. Dziewczynka nie znosiła, kiedy Violet brała skrzyneczkę, przerażało ją to.

Drzwi się uchyliły ostrożnie. Giller zajrzał do komnaty.

- Pospiesz się, Gillerze - szepnęła Rachel. Czarodziej wszedł do skarbczyka. Wyjrzał do holu i zamknął drzwi. Popatrzył na dziewczynkę.

- Przyniosłaś chleb?

- Tak. - Wyciągnęła zawiniątko spod fotela i położyła na podnóżku. - Owinęłam bochenek w ręcznik, żeby nie widzieli, co niosę.

- Mądra dziewczynka. - Czarodziej się uśmiechnął i omiótł wzrokiem komnatę.

Odwzajemniła uśmiech, a potem zmarszczyła się gniewnie.

- Musiałam go ukraść. Nigdy przedtem niczego nie ukradłam.

- Zapewniam cię, Rachel, że to była kradzież w słusznej sprawie - pocieszył ją, patrząc na szkatułę.

- Księżniczka Violet tu przyjdzie, Gillerze.

- Kiedy?

- Jak skończy z przymiarkami nowej szaty, tak powiedziała. Kapryśnica z niej, więc to może trochę potrwać albo i nie. Chce wybrać klejnoty i poprzeglądać się w lustrze.

- Niech to szlag - mruknął Giller. - Że też wszystko musi się zawsze

komplikować. - Odwrócił się i chwycił szkatułę.

- Nie ruszaj tego, Gillerze! To królowej!

Czarodziej położył szkatułę obok chleba. Sięgnął w fałdy szaty i wydobył inną skrzyneczkę.

- Co o niej powiesz? - pokazał Rachel nową szkatułkę i uśmiechnął się lekko.

- Taka sama!

- I o to idzie. - Giller postawił ową szkatułkę na marmurowej podstawce i usiadł na podłodze obok dziewczynki. - Słuchaj uważnie, Rachel. Mamy mało czasu, a powinnaś wszystko dokładnie zrozumieć.

Mina czarodzieja powiedziała dziewczynce, że to poważna sprawa.

- Postaram się, Gillerze.

- To magiczna skrzyneczka i wcale nie należy do królowej.

- Nie? - zdziwiła się Rachel. - Czyja zatem jest?

- Teraz nie mam czasu, żeby ci to dokładnie wytłumaczyć. Może zrobię to potem, kiedy już stąd odejdziemy. Liczy się to, że królowa jest złą osobą. - Rachel przytaknęła, też tak uważała. - Każe ludziom obcinać głowy według swego widzimisię. Dba wyłącznie o siebie. Ma władzę. A to oznacza, że może robić, co zechce. Ta szkatuła ma w sobie magię i ta magia wspiera królową.

- Rozumiem. To tak jak z księżniczką Violet: ma władzę i dlatego może mnie bić, wyśmiewać się ze mnie i obcinać mi włosy.

- O, właśnie - przytaknął Giller. - Świetnie, Rachel. Lecz istnieje człowiek jeszcze gorszy od królowej. Mówię o Rahlu Posępnym.

- Chodzi ci o Ojczulka Rahla? - zdziwiła się dziewczynka. - Wszyscy mówią, że on jest taki miły i dobry. Księżniczka Violet uważa, że to najmilszy człowiek na świecie.

- Księżniczka Violet uważa również, że nie plami sosami swoich szatek. - Czarodziej znacząco uniósł brew.

- Kłamie.

Czarodziej łagodnie położył dłonie na ramionach Rachel.

- Słuchaj uważnie. Rahl Posępny, Ojczulek Rahl, to najgorszy człowiek na świecie i jeszcze nigdy nie było kogoś tak złego. Królowa nawet nie marzy o tym, by skrzywdzić tylu ludzi co on. Jest tak zły, że zabija nawet dzieci. Czy rozumiesz, Rachel, co to znaczy: zabić kogoś?

- To kiedy im się obcina głowy - odparła zasmucona i wystraszona. - Wtedy

umierają.

- Tak. Księżniczka Violet się śmieje, kiedy cię bije, a Rahl Posępny się śmieje, kiedy zabija ludzi. Sama wiesz, jaka jest Violet na ucztach, przy lordach i damach - grzeczna i uprzejma, prawda? A kiedy zostajecie same, to cię bije.

Rachel przytaknęła, gardło miała ściśnięte.

- Nie chce, żeby wiedzieli, jaka jest paskudna - dodała.

- O, właśnie! - Giller znacząco uniósł palec. - Bystra z ciebie dziewczynka! Rahlowi też o to chodzi. Nie chce, żeby ludzie wiedzieli, jaki jest zły, więc udaje, że jest najmilszym człowiekiem na świecie. Trzymaj się z dala od niego, Rachel, jeśli zdołasz.

- Postaram się.

- Jeśli się do ciebie odezwie, to bądź wobec niego grzeczna, nie daj mu poznać, że wiesz, jaki jest. Nie ujawniaj ludziom tego, co wiesz. Będziesz bezpieczniejsza.

- Jak Sara. - Dziewczynka uśmiechnęła się. - Nic o niej nikomu nie mówię, żeby mi jej nie zabrali. I jest bezpieczna.

- Dzięki niech będą dobrym duchom, że jesteś taka bystra - westchnął Giller i mocno przytulił Rachel. Ucieszyły ją te słowa, bo jeszcze nikt jej nie powiedział, że jest bystra. - A teraz słuchaj jeszcze uważniej. To najważniejsze ze wszystkiego.

- Dobrze, Gillerze.

- To magiczna skrzyneczka. - Czarodziej położył dłoń na szkatułce. - Jeśli królowa dają Ojczulkowi Rahlowi, to on wykorzysta magię do krzywdzenia jeszcze większej liczby ludzi. Zetnie jeszcze więcej głów. Królowa da mu szkatułę, bo sama jest zła i chce, żeby Rahl zrealizował swoje plany.

- Och, Gillerze! Nie możemy pozwolić, żeby mu dała szkatułkę! Bo poobcinają głowy tym biednym ludziom!

Usta pod haczykowatym nosem uśmiechnęły się szeroko. Giller dotknął policzka Rachel.

- Jesteś najbystrzejsza ze znanych mi dziewczynek! Naprawdę.

- Musimy schować tę szkatułkę, tak jak schowałam Sarę.

- I to właśnie zrobimy. Tamta - wskazał na skrzyneczkę na marmurowej podstawce - to podróbka. Wygląda jak prawdziwa i to ich na chwilę zmyli. A my uciekniemy, zanim się zorientują, że prawdziwa zniknęła.

Rachel popatrzyła na fałszywą skrzyneczkę: rzeczywiście, wyglądała zupełnie

tak samo, jak prawdziwa.

- Jesteś najsprytniejszy ze wszystkich znanych mi ludzi, Gillerze. Uśmiech czarodzieja zgasł.

- Obawiam się, dziecko, że jestem zbyt sprytny, żeby wyszło mi to na dobre. - Znów się uśmiechał. - A oto, co zrobimy.

Rozłamał na połowę ukradziony przez Rachel chleb. Wydrążył trochę miąższu w obu połówkach. Włożył część ośrodki do ust, policzki mu się wydęły. Resztę dał dziewczynce. Zajadała najszybciej, jak mogła - ośrodka była smaczna, jeszcze ciepła. Skończyli jeść i Giller włożył skrzyneczkę w wydrążenie, złożył razem obie połówki bochna. Pokazał Rachel.

- I co ty na to?

- Cały popękany - skrzywiła się. - Od razu się domyśla, że był przełamany.

- Bystra jesteś. Naprawdę bystra. - Czarodziej potrząsnął głową. - Może coś na to poradzę, skoro umiem czarować. Jak myślisz?

- Może.

Giller położył chleb na kolanach i przesunął nad nim dłońmi. Uniósł bochenek i znów pokazał Rachel. Pęknięcia zniknęły! Chleb wyglądał jak nowy!

- Teraz na pewno nikt się nie domyśli! - zachichotała dziewczynka.

- Miejmy nadzieję, dziecko, miejmy nadzieję, że się nie domyśla. Rzuciłem też specjalne zaklęcie, żeby nikt nie dostrzegł magii ukrytej w chlebie szkatułki.

Czarodziej rozłożył na podnóżku kawałek płótna, położył na nim chleb i zawiązał cztery rogi tkaniny w jeden węzeł. Położył zawiniątko na dłoni i podsunął Rachel. Patrzył małej w oczy. Tym razem się nie uśmiechał, raczej był smutny.

- A teraz to, co najtrudniejsze, Rachel. Musimy stąd wynieść szkatułkę. Nie możemy jej schować w zamku, boby ją znaleźli. Pamiętasz, gdzie ukryłem lalkę? W ogrodzie?

- Trzecia waza po prawej. - Uśmiechnęła się dumnie dziewczynka. Pamiętała.

- Dobrze! Teraz schowam tam chleb ze szkatułką, jak przedtem Sarę. A ty, jak przedtem, pójdziesz tam, wyjmiesz chleb i wyniesiesz z zamku. - Nachylił się ku Rachel. - Musisz to zrobić dziś wieczór.

Dziewczynka mięła w dłoniach skraj sukienki. Była bliska płaczu.

- Boję się dotykać szkatułki królowej, Gillerze.

- Wiem, dziecko, wiem. Ale to przecież nie jest własność królowej, pamiętasz? I chyba nie chcesz, żeby dalej obcinano ludziom głowy?

- Pewnie, że nie - chlipnęła. - A czy ty byś nie mógł wynieść szkatułki poza zamek?

Zrobiłbym to, gdybym mógł. Przysięgam, że bym zrobił. Ale nie mogę. Są tacy, którzy mnie obserwują, i wcale by się im nie podobało, gdybym wyszedł z zamku. No i gdyby mnie złapali ze szkatułką, to dostałby ją Ojczulek Rahl. A nie o to nam przecież chodzi, prawda?

- Nie... - Rachel naprawdę się wystraszyła. - Ale przecież powiedziałeś, że uciekniesz razem ze mną. Obiecałeś mi to, Gillerze.

I zamierzam dotrzymać obietnicy, możesz mi wierzyć. Ale będę potrzebował paru dni, żeby się wymknąć z Tamarang. Zaś szkatułka nie może tu zostać ani dnia dłużej, to zbyt niebezpieczne. Ja sam nie mogę jej wynieść, więc ty to musisz zrobić, Rachel. Zanieś ją do swojego tajemnego schowka pod sosną-strażniczką, i czekaj tam na mnie. Przyjdę do ciebie, gdy tylko ukryję jakoś naszą ucieczkę.

- Zrobię to, Gillerze. Skoro mówisz, że to takie ważne, to wyniosę szkatułkę i poczekam na ciebie.

Czarodziej podniósł się z podłogi, usiadł na podnóżku i posadził sobie Rachel na kolanach.

- Słuchaj uważnie, dziecko. Choćbyś żyła potem i sto lat, to już nigdy nie zrobisz nic równie ważnego. Musisz więc być dzielna, o wiele dzielniejsza niż dotychczas. Nie wolno ci nikomu zaufać. Nie możesz nikomu oddać szkatułki. Postaram się przyjść do ciebie za parę dni, ale gdyby mi się to nie udało, to schowaj szkatułkę tak, żeby jej nikt nie znalazł przed zimą. Wtedy wszystko będzie dobrze. Gdybym miał kogoś innego niż ty, to bym mu to zlecił, Rachel. Lecz mam tylko ciebie. Tylko ciebie.

Dziewczynka patrzyła nań wielkimi oczami.

- A ja jestem taka mała.

- I dlatego będziesz bezpieczna. Każdy sądzi, że jesteś mało ważna. A to nieprawda. Jesteś najważniejsza ze wszystkich, możesz ich zmylić, bo oni o tym nie wiedzą. Musisz to zrobić, Rachel. I ja, i inni ludzie potrzebujemy twojej pomocy. Wiem, że masz dosyć sprytu i odwagi, żeby sobie poradzić.

Dziewczynka spostrzegła, że oczy czarodzieja zwilgotniały.

- Spróbuję, Gillerze. Postaram się być dzielna i zrobić, co trzeba. Jesteś najlepszy na calutkim świecie i skoro mówisz, że trzeba to zrobić, to zrobię.

- Wcale nie jestem najlepszy, Rachel. - Czarodziej potrząsnął głową. - A

byłem okropnie głupi. Gdybym był mądrzejszy, gdybym pamiętał, czego mnie uczono, pamiętał o swoich obowiązkach, o tym, dlaczego zostałem czarodziejem, to pewnie bym nie musiał cię prosić o chowanie szkatułki. A tak jest to najważniejszy czyn nie tylko w twoim, ale i w moim życiu. Musi się nam udać, Rachel. Tobie się musi udać. Nie pozwól, aby ktoś ci przeszkodził, bez względu na to, co się stanie. Nie pozwól.

Gili er przyłożył palce do skroni dziewczynki i na Rachel spłynął spokój. Wiedziała, że zrobi to, o co prosił czarodziej, i że już nigdy nie będzie spełniać kaprysów księżniczki. Będzie wolna. Czarodziej nagle cofnął palce.

- Ktoś idzie - szepnął, pospiesznie ucałował głowę Rachel. - Niech cię chronią dobre duchy, dziecko.

Wstał i przywarł do ściany obok drzwi. Ukrył w fałdach szaty zawiniątko z chlebem i znacząco położył palec na wargach. Drzwi się otwarły i Rachel się poderwała z podnóżka. Weszła księżniczka Violet. Dziewczynka dygnęła. Kiedy się wyprostowała, Violet uderzyła ją i roześmiała się. Rachel patrzyła w podłogę i rozcierała policzek, powstrzymując łzy. Dostrzegła kawałek chleba, tuz przy stopach Violet. Zerknęła na osłoniętego drzwiami Gillera Popatrzył na chleb. Pochylił się i porwał ośródkę, zręczniej i ciszej niż kot. Wsunął chleb do ust i wyśliznął się z komnaty. Księżniczka Violet w ogóle go nie zauważyła.

Kahlan złożyła razem dłonie zaciśnięte w pięści i wyciągnęła ręce ku Richardowi. Czekała, żeby je związał sznurem. Patrzyła prosto przed siebie. Powiedziała, że nie jest zmęczona, ale Richard na pewno tak - i faktycznie był; głowa go tak bolała, że aż miał mdłości - więc ona weźmie pierwszą wartę. Chłopak nie miał pojęcia, czy to by coś dało, gdyż miała zupełnie błędne, niczego niedostrzegające oczy.

Richard trzymał sznur w trzęsących się dłoniach. Stracił resztki nadziei. Nic się nie zmieni, nic się nie naprawi, niepotrzebnie się łudził. Ciągle to samo - Kahlan chciała umrzeć, a on usiłował temu zapobiec.

- Już więcej tego nie zrobię - szepnął, patrząc na ręce dziewczyny, oświetlone blaskiem ogniska. - Chcesz umrzeć, Kahlan, ale to mnie zabijasz.

Popatrzyły nań zielone oczy, zamigotał w nich blask ognia.

- Pozwól mi więc odejść, Richardzie. Jeśli ci na mnie zależy, to okaż to i pozwól mi odejść.

Chłopak upuścił sznur. Wyciągnął nóż Kahlan zza swojego pasa i trzymał

przez chwilę w drżącej dłoni. Ledwo widział ostrze. Zacisnął mocno palce na rękojeści i wsunął nóż do pochwy wiszącej u pasa dziewczyny.

- Wygrałaś. Odejdź. Zejdź mi z oczu.

- Richardzie...

- Wynoś się! - Wskazał na drogę, którą przy szli. - Wracaj i niech chimery zrobią resztę! Nożem mogłabyś wszystko spartaczyć! Aż mnie mdli na myśl, że ostrze by się ześlizgnęło! Chory jestem na myśl, że mogłabyś przeżyć po tym wszystkim, co mi zrobiłaś!

Odwrócił się i usiadł na powalonym świerku, leżącym przed ogniskiem. Kahlan patrzyła nań przez chwilę, odeszła kilka kroków.

- Richardzie... Tyle razem przeszliśmy... Nie chcę, żeby to się tak skończyło...

- Nic mnie nie obchodzi, czego chcesz. Sama do tego doprowadziłaś - wykrztusił z trudem. - Zejdź mi z oczu.

Kahlan skinęła głową i zapatrzyła się w ziemię. Richard wsparł łokcie o kolana i ukrył twarz w dłoniach. Bał się, że wybuchnie.

- Richardzie - szepnęła łagodnie. - Mam nadzieję, że lepiej o mnie pomyślisz, jak to wszystko się wreszcie skończy. Że przyjaźniej o mnie pomyślisz niż teraz.

Chłopak nie wytrzymał. Poderwał się jak ukłuty nożem i chwycił Kahlan za wyłogi bluzy.

- Na pewno zapamiętam, jaka jesteś! Zdrajczyni! Zdradziłaś tych, którzy już umarli, i tych, którzy dopiero umrą! - Patrzyła nań wielkimi oczami, próbowała się cofnąć, ale jej nie puszczał. - Zdradziłaś wszystkich czarodziejów, którzy ofiarowali życie! I Shar! I Siddin! I wszystkich Błotnych Ludzi, którzy zginęli!

Zdradziłaś swoją własną siostrę!

- To nieprawda...

- Zdradziłaś ich wszystkich i jeszcze wielu innych! Jeśli ja przegram, a Rahl zwycięży, to dzięki tobie! Będzie ci mógł za to podziękować! Bo ty mu pomagasz!!!

- Tobie pomagam! Sam słyszałeś, co mówiła Shota! - Kahlan też zaczynała się złościć.

- Nie wysilaj się. To nic nie da. Owszem, słyszałem, co powiedziała Shota. Że ty i Zedd zwrócicie się przeciw mnie. Nie powiedziała, że nie będziecie mieli racji!

- O co ci chodzi...

- To nie o mnie chodzi, a o powstrzymanie Rahla! Skąd wiesz, że to nie ja mu oddam szkatułę, jeśli ją odnajdziemy?! Jeżeli to ja zdradzę, a ty i Zedd będziecie

musieli mnie zabić, żeby Rahl nie dostał szkatuły?!

- To nie ma sensu.

- A czy więcej sensu ma to, że ty i Zedd będziecie mnie próbowali zabić? Wtedy obydwoje popełnilibyście błąd, a tak tylko ja. Idiotyczna zagadka wiedźmy! Nie wiemy, jak spełni się przyszłość. Nie znamy znaczenia jej słów i nie mamy pojęcia, czy to prawda! W jaki sposób się to wypełni i czy w ogóle się wypełni! Dowiemy się dopiero, gdy to już się stanie. Dopiero wtedy wszystko pojmiemy i będziemy musieli się z tym uporać.

- Wiem jedno: nie powinnam zachować życia i dopuścić, by spełniły się słowa Shoty. To ty jesteś nicią, która łączy całą tę sprawę.

- Przecież nić nie może się obejść bez igły! I to ty jesteś moją igłą! Bez ciebie przecież nie dotarłbym aż tutaj! Stale cię potrzebowałem. Nawet i dziś, na tym przemiennym rozwidleniu, poszedłbym w złą stronę! To ty mi wskazałaś właściwy kierunek. Znasz królową, ja nie. A gdybym i zdobył tę szkatułę bez twojej pomocy, to co wtedy? Dokąd bym poszedł? Nie znam Midlandów. Skąd wiedziałbym, gdzie jest bezpiecznie? Mógłbym wejść prosto w łapy Rahla, zanieść mu szkatułę.

- Shota powiedziała, że ty jeden masz szansę. Bez ciebie wszystko przepadnie. To nie o mnie chodzi. O ciebie. Mówiła też, że jeżeli będę żyć... Nie mogę do tego dopuścić, Richardzie. Nie chce.

- Zdradziłaś nas - szepnął jadowicie. Kahlan z wolna potrząsnęła głową.

- Robię to dla ciebie, Richardzie, choć ty uważasz inaczej.

Chłopak wrzasnął i odepchnął jaz całej siły. Upadła na plecy. Stanął przy niej i patrzył wściekle na leżącą Kahlan; wokół butów Richarda unosił się kurz.

- Nie waż się tak mówić! - ryknął, zaciskając pięści. - Robisz to dla siebie! Bo nie masz odwagi, żeby znieść to wszystko, co może doprowadzić do zwycięstwa! Nie waż się mówić, że robisz to dla mnie!!!

Kahlan wstała, me spuszczała zeń oczu.

- Wiele bym dała, Richardzie, żebyś mnie inaczej zapamiętał. Robię to dlatego, że muszę. Dla ciebie. Żebyś miał szansę. Przyrzekłam, że poświęcę życie w obronie Poszukiwacza. I oto nadeszła pora. - Łzy spływały po ubrudzonych ziemią policzkach dziewczyny.

Richard patrzył, jak Kahlan odwraca się, odchodzi i znika w ciemnościach. Miał wrażenie, że otwarła się w nim jakaś śluza i że wypływa zeń cała energia, cała jego wewnętrzna istota, wszystko. Podszedł do ogniska, oparł się plecami o pień i

zsuwał w dół, dopóki nie usiadł na ziemi. Podciągnął w górę kolana, ukrył na nich twarz i płakał tak, jak jeszcze nigdy dotąd.

Rozdział trzydziesty trzeci

Rachel siedziała na małym krzesełku za księżniczką i rozmyślała, jak skłonić Violet, żeby ją wyrzuciła z zamku. Wzięłaby wtedy szkatułkę i już nigdy tu nie wróciła. Bez przerwy myślała o czekającym na nią w ogrodzie bochenku chleba ze szkatułką w środku. Bała się, ale i była podekscytowana. Miała przecież pomóc tym wszystkim ludziom, sprawić, żeby im nie obcięto głów. Pierwszy raz w życiu czuła się taka ważna. Międła w palcach skraj sukienki. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy stąd odejdzie.

Wszyscy lordowie i damy pili specjalny napój. Wyglądali, jakby ich to uszczęśliwiało. Gili er stał za królową, razem z innymi doradcami. Rozmawiał spokojnie z dworskim malarzem. Rachel nie lubiła malarza, bała się go - tak dziwnie się do niej uśmiechał. I miał tylko jedną rękę. Słyszała, jak służący mówili, że się boją, iż zechce ich namalować.

Nagle wszyscy mieli przestraszone miny. Patrzyli na królową. Zaczęli wstawać. Rachel zerknęła na królową - to nie na nią patrzyli, a na coś za Mileną. Dziewczynka dostrzegła dwóch wielkoludów i szeroko otwarła oczy.

Jeszcze nigdy nie widziała takich wysokich mężczyzn. Ich koszule nie miały rękawów, na ramionach nosili metalowe obręcze, nabijane kolcami. Byli jasnowłosi, potężnie umięśnieni. Wyglądali na najwredniejszych ludzi, jakich Rachel w życiu widziała - jeszcze paskudniejszych niż strażnicy z lochów. Olbrzymi potoczyli wzrokiem po komnacie, potem stanęli po obu stronach łukowatego przejścia za królową i skrzyżowali ramiona na piersiach. Królowa się zirytowała i obejrzała, żeby sprawdzić, co się dzieje.

W przejściu ukazał się błękitnooki mężczyzna z długimi złocistymi włosami. Odziany był w białą szatę, u pasa miał nóż ze złotą rękojeścią. Rachel jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak przystojnego! Przybysz uśmiechnął się do królowej. Mileną zerwała się z krzesła.

- Cóż za niespodzianka! - rzekła tak miło, jak odzywała się tylko do swego pieska. - Czujemy się zaszczyceni. Lecz oczekiwaliśmy cię dopiero jutro.

Przybysz znów mile się uśmiechnął do królowej.

- Nie mogłem się już doczekać przybycia tutaj, tęskniłem za widokiem twej pięknej twarzy, o pani. Wybacz, że się zjawiłem wcześniej.

Królowa zachichotała i podała mu dłoń do pocałowania. Zawsze dawała ludziom dłoń do ucałowania. Rachel zdziwiły słowa owego przystojniaka. Jeszcze

nigdy nie słyszała, żeby ktoś uważał że królowa jest śliczna! Królowa Milena ujęła dłoń przybysza i wprowadziła go do komnaty.

- Oto Ojczulek Rahl, lordowie i damy.

Ojczulek Rahl! Rachel rozejrzała się, czy aby ktoś nie zauważył, jak podskoczyła, ale nie, wszyscy się wpatrywali w Ojczulka Rahla. Dziewczynka była pewna, że jak tylko Rahl na nią spojrzy, to od razu się domyśli, że ona zamierza uciec ze szkatułką. Zerknęła na Gillera, lecz nie odwzajemnił spojrzenia. Miał zupełnie białą twarz. Ojczulek Rahl się zjawił, zanim Rachel uciekła ze szkatułką! Co ona ma teraz zrobić? Zrobi to, co kazał Giller i już. Będzie dzielna i ocali tych wszystkich ludzi. Musi tylko obmyślić, jak się stąd wydostać. Ojczulek Rahl powiódł wzrokiem po stojących biesiadnikach. Piesek warknął. Rahl nań spojrzał i zwierzątko zaczęło cicho skomleć. Panowała martwa cisza.

- Kolacja się skończyła. Zostawcie nas samych, proszę - powiedział łagodnie i cicho Ojczulek.

Goście zaczęli szeptać. Patrzyły na nich błękitne oczy. Szepty umilkły i biesiadnicy zaczęli się rozchodzić - z początku powoli, Potem coraz szybciej. Ojczulek Rahl spojrzał na kilku doradców królowej; oni też wyszli i wydawali się bardzo z tego zadowoleni. Zostali ci (w tym Giller), na których Rahl nie spojrzał. Pozostała i księżniczka Violet, a za nią Rachel, która nie starała się rzucać w oczy. Królowa się uśmiechnęła i wdzięcznym gestem wskazała stół.

- Zechciej usiąść, Ojczulku Rahlu. Na pewno miałeś męczącą podróż. Zaraz podamy ci coś do jedzenia. Mamy dziś wspaniałą pieczeń.

Rahl popatrzył na Milenę błękitnymi oczami.

- Nie pochwalam mordowania bezbronnych zwierząt i zjadania ich ciał. Rachel przez chwilę sądziła, że królowa się udusi.

- Hmm, cóż... Hmm... Mamy również pyszną polewkę z rzepy i parę innych potraw... Na pewno coś jest... A jeśli nie, to kucharze przyrządzą, co tylko...

- Może innym razem. Nie przybyłem tu, żeby się najeść. Przybyłem po to, by podpisać pakt.

- Ależ... Zjawiłeś się szybciej, niż oczekiwaliśmy. Nie skończyliśmy jeszcze spisywać wszystkich umów. Jest całe mnóstwo dokumentów do podpisania. Pewnie zechcesz je najpierw przejrzeć.

- Chętnie podpiszę te, które już są gotowe, i dam słowo, że potem podpiszę wszystkie dodatkowe dokumenty, które przygotujesz, królowo. Wierzę w twoją

uczciwość, pani; wierzę, że dokumenty są rzetelne. - Uśmiechnął się. - Nie próbowałaś żadnych sztuczek, prawda?

- Oczywiście, że nie, Ojczulku Rahlu. Na pewno nie.

- No właśnie. Po cóż więc miałbym je przeglądać lub zlecać to komuś? Skoro byłaś uczciwa? Bo byłaś, nieprawdaż?

- Oczywiście, oczywiście, Ojczulku Rahlu. Sądzę, że nie ma potrzeby... Ale to takie niecodzienne.

- Jak i nasz sojusz. Załatwmy to więc.

- Tak, tak, oczywiście... - Królowa spojrzała na swoich doradców. - Przynieście wszystkie traktaty, które już są gotowe. Atrament i pióra. I moją pieczęć. - Jeden z doradców skłonił się i wyszedł. Milena rzekła do Gillera: - Przynieś szkatułę ze skrytki.

- Jak rozkażesz, Wasza wysokość - skłonił się Giller.

Rachel patrzyła, jak wychodzi z szumem srebrzystej szaty. Poczuła się samotna i opuszczona.

Czekali. Królowa Milena przedstawiła Ojczulkowi Rahlowi księżniczkę Violet. Rachel stała za krzesłem księżniczki, kiedy ta podeszła do Rahla. Ojczulek Rahl skłonił się dwornie, ucałował dłoń Violet i powiedział jej, że jest równie piękna jak matka. Księżniczka uśmiechała się i uśmiechała, tuląc do piersi ucałowaną dłoń.

Wrócił doradca w towarzystwie pomocników. Przynieśli pełne naręcza dokumentów. Odsunęli na bok talerze i rozłożyli papiery na głównym stole. Wskazali, gdzie Rahl i królowa mają się podpisać. Jeden z pomocników nakapał czerwonego wosku i królowa odcisnęła w nim swoją pieczęć. Ojczulek Rahl oznajmił, że nie ma pieczęci, że wystarczy sam jego podpis i że na pewno rozpozna ów podpis w przyszłości i uzna go. Powrócił Giller, staną z boku i czekał, aż skończą z dokumentami. Pomocnicy zaczęli zbierać traktaty i sprzeczać się, w jakim porządku je ułożyć. Królowa skinęła na Gillera.

- Oto, Ojczulku Rahlu, szkatuła Ordena - powiedział Giller z dwornym uśmiechem. Trzymał fałszywą szkatułę w obu dłoniach, tak ostrożnie, jakby była prawdziwa. Klejnoty migotały jak prawdziwe.

Rahl z uśmieszkiem wziął skrzyneczkę z rąk czarodzieja. Obracał jaw dłoniach, przypatrywał się klejnotom. Potem skinął na jednego z wielkoludów. Ów podszedł, a Rahl spojrzał mu w oczy i podał skrzyneczkę.

Olbrzym zgniótł szkatułkę w dłoni. Zgruchotał ją. Królowa Milena

wytrzeszczała oczy ze zdumienia.

- A cóż to znaczy! - wykrzyknęła.

- Właśnie miałem o to zapytać, Wasza wysokość. - Twarz Ojczulka tak się zmieniła, że straszno było nań patrzeć. - To fałszywa szkatułka.

- To zupełnie niemożliwe... Nie można było... Jestem tego pewna... - Królowa spojrzała na czarodzieja. - Gillerze! Co ci o tym wiadomo?!

Giller krył ręce w rękawach szaty, prawą w lewym, lewą w prawym.

- Nie pojmuję, Wasza wysokość... Nikt nie dłubał przy magicznej pieczęci... Sam to sprawdzałem. Zapewniam cię, że to ta sama szkatuła, którą mi powierzyłaś i którą od tamtej pory strzegłem. Musiała być fałszywa od samego początku. Oszukano nas. To jedyne możliwe wytłumaczenie.

Błękitne oczy Ojczulka Rahla cały czas się wpatrywały w mówiącego czarodzieja. Potem przesunęły się na jednego z olbrzymów. Ten podszedł i złapał Gillera za szatę na karku, jedną ręką podniósł czarodzieja.

- Co ty wyprawiasz! Postaw mnie, tępy wielkoludzie! Uszanuj czarodzieja, bo pożałujesz! Ostrzegam cię! - pieklił się Giller, wymachując w powietrzu nogami.

Rachel miała ściśnięte gardło, oczy pełne łez. Starała się być dzielna i nie płakać. Wiedziała, że jeśli się rozpłacze, to przyciągnie uwagę wszystkich. Ojczulek Rahl oblizał koniuszki palców.

- To wcale nie jest jedyne możliwe wyjaśnienie, czarodzieju. Prawdziwa szkatuła ma magię, szczególną magię. Ta tu skrzyneczka ma niewłaściwą magię. Królowa mogłaby tego nie dostrzec, nie poznać, czy to prawdziwa szkatuła, czy nie. Lecz czarodziej powinien to zauważyć. - Uśmiechnął się do królowej Mileny. - Czarodziej i ja opuścimy cię teraz, pani, i porozmawiamy na osobności.

Rahl odwrócił się i wyszedł z komnaty. Olbrzym trzymający Gillera w powietrzu poszedł za władcą. Drugi wielkolud stanął w drzwiach. Stopy Gillera nie dotknęły podłogi.

Rachel bardzo by chciała pobiec za czarodziejem, tak się o niego bała! Widziała, jak odwrócił głowę i popatrzył na zgromadzonych. Oczy miał szeroko otwarte. Przez sekundę patrzył wprost na nią - wtedy usłyszała jego głos, tak wyraźnie, jakby krzyknął. Głos Gillera wykrzyknął jedno słowo: uciekaj.

I czarodziej zniknął. Dziewczynka o mało się nie rozpłakała. Opanowała się jednak i tylko zagryzła rąbek sukienki. Ludzie otaczający królową zaczęli mówić wszyscy naraz. James, królewski malarz, zbierał kawałki fałszywej skrzyneczki,

obracając je w swojej jedynej dłoni, przyglądał się im, przyciskał do kikuta drugiej ręki. Księżniczka Violet wzięła od niego jeden z większych fragmentów i przypatrywała się klejnotom, przesuwając po nich palce.

Rachel wciąż słyszała głos Gillera nakazujący jej, żeby uciekała. Rozejrzała się: nikt nie zwracał na nią uwagi. Ruszyła wokół stołów, pochylona, żeby jej nie zauważyli. Dotarła w drugi koniec komnaty i wyjrzała, sprawdzając, czy ktoś na nią patrzy. Nikt Zabrała z półmisków trochę zapasów: kawałek mięsa, trzy bułki, spory kawałek twardego sera, upchnęła to w kieszeniach i znów zerknęła na zebranych. Potem pobiegła do holu. Powstrzymywała łzy, starała się być dzielna dla Gillera. Bose stopy dziewczynki biegły po dywanach, obok ścian obwieszonych arrasami. Zwolniła, zanim dotarła do gwardzistów przy drzwiach; nie chciała, żeby zauważyli, że biegnie. Zobaczyli ją, odsunęli wielki rygiel i w milczeniu patrzyli, jak Rachel wychodzi. Strażnicy na zewnątrz tylko na nią zerknęli i dalej obserwowali otoczenie. Otarła parę łez i zeszła po zimnych kamiennych stopniach. Próbowała nie płakać, ale nie całkiem jej się to udawało. Patrol w ogóle na nianie zwrócił uwagi, kiedy szła ku ogrodom.

Im dalej od zamku, tym było ciemniej - nie docierało tu światło przymocowanych do murów pochodni. Lecz Rachel dobrze znała drogę. Czuła pod bosymi stopami wilgotną trawę. Uklękła przy trzeciej wazie i sprawdziła, czy ktoś nie patrzy. Sięgnęła pod kwiaty. Wyczuła płótno owinięte wokół bochenka i wyciągnęła zawiniątko. Rozwiązała supeł, rozprostowała płótno i położyła na chlebie mięso, bułki i ser, po czym znów związała cztery rogi zawiniątka.

Już, już miała pobiec ku bramie w zewnętrznym murze, kiedy sobie przypomniała. Zamarła. Zapomniała o Sarze! Lalka została w skrzyni do spania! Księżniczka Violet ją znajdzie i wrzuci w ogień! Rachel nie mogła tak porzucić swojej pocieszanki - Przecież ucieka i nigdy już tu nie wróci. Sara będzie się bać, jeśli zostanie sama. I spalają.

Dziewczynka z powrotem wepchnęła tobołek pod kwiaty, rozejrzała się i pobiegła ku zamkowi. Kiedy już była blisko, zwolniła i spokojnym krokiem weszła w blask pochodni. Jeden ze strażników przy drzwiach spojrzał na Rachel.

- Dopiero co cię wypuściłem.

- Wiem, ale muszę na chwilkę wrócić.

- Zapomniałaś czegoś?

- Tak - udało się wykrztusić dziewczynce. Strażnik potrząsnął głową i otworzył małe okienko.

- Otwórzcie drzwi - powiedział do tych w środku i Rachel usłyszała jak odsuwają ciężki rygiel. Weszła do zamku i zatrzymała się w holu. Żeby dojść do wielkiej komnaty z biało-czarną posadzką i paradnymi schodami, musiałaby minąć kilka długich korytarzy i kilka sporych komnat. Jedną z nich była jadalnia. To najkrótsza droga. Ale mogła tam jeszcze być królowa i księżniczka Violet, a może i Ojczulek Rahl. Zobaczyliby ją, a do tego nie mogła dopuścić. Księżniczka Violet zabrałaby ją do swojej komnatki i zamknęła w skrzyni do spania. Było już późno.

Rachel skręciła i weszła w małe drzwi po prawej. Przejście dla służby. Dłuższe, ale nikt ważny nie chodzi korytarzami i schodami dla służby. A służący jej nie zatrzymują, wiedzieli przecież, że Rachel należy do księżniczki Violet, i nie chcieli, żeby księżniczka się na nich rozzłościła. Przejdzie więc obok kwater dla służby, pod wielkimi komnatami i pod kuchnią.

Schody były z gładzonego kamienia. Jedno z okienek na szczycie stale było otwarte i wpadał tamtędy deszcz - woda wciąż ściekała po ścianach i po stopniach. Miejscami odrobinę, miejscami bardziej, a na niektórych stopniach leżał zielony muł. Rachel zawsze uważała, żeby nie wpaść w ów muł. W żelaznych uchwytach tkwiły płonące pochodnie, nadając schodom czerwoną i złotą barwę.

W korytarzach na dolnym poziomie kręciło się trochę ludzi: służące z kocami i prześcieradłami, pomywaczki z kubłami wody i zmywakami, posługacze niosący naręcza drewna do kominków na górze. Niektórzy się zatrzymywali i rozmawiali szeptem. Wyglądali na podekscytowanych. Rachel pochwyciła imię Gillera i serce się jej ścisnęło.

Dziewczynka dotarła do kwater służących. Paliły się wszystkie lampy naftowe, zawieszone u niskich sufitów, wszędzie było pełno ludzi - zbierali się w grupy i opowiadali sobie, co widzieli. Rachel zobaczyła mężczyznę mówiącego coś głośno do kobiet, towarzyszyło mu kilku innych mężczyzn. To był pan Sanders; przystrojony w zabawny płaszcz, witał przybywające na ucztę damy i lordów i głośno wykrzykiwał ich nazwiska.

- Sam słyszałem od dwóch, którzy stali na straży przy jadalni. Wiecie, o kim mówię: ten młody, Frank, i ten drugi, trochę kulawy, Jenkins. Powiedzieli, że D’Haranczycy im oznajmili, że odbędzie się przeszukanie zamku od szczytu po piwnice.

- A czegóż tam szukają? - spytała jakaś kobieta.

- Nie mam pojęcia. Tego nie powiedzieli Frankowi i Jenkinsowi. Ale nie

chciałbym być tym, kogo szukają! Ci D'Haranczycy mogą zesłać koszmary na jawie!

- Żeby tak znaleźli to coś pod łożem Violet - wtrącił ktoś. - Nareszcie i ona miałaby koszmary, zamiast je zsyłać na innych!

Wszyscy zaczęli się śmiać.

Rachel poszła dalej, przez wielki magazyn, którego strop wsparty był na filarach. Po jednej stronie ustawiono beczułki: zrębami jedne na drugich. Po drugiej umieszczono skrzynie, worki i paki. Pachniało wilgocią i stęchlizną, słychać było chrobotanie myszy. Dziewczynka szła środkiem, pod lampami zamocowanymi do filarów, ku ciężkim drzwiom na drugim końcu hali. Rachel z całych sił pociągnęła za żelazny pierścień, zawiasy zaskrzypiały i drzwi się otwarły. Poplamiła dłonie rdzą, więc otarła je o kamienną ścianę. Wielkie drzwi po prawej wiodły do lochów. Ruszyła w górę schodami. Było ciemno, paliła się tylko jedna pochodnia u szczytu schodów. Dziewczynka słyszała plusk ściekającej wody. Drzwi na górze były uchylone i Rachel wśliznęła się do wietrznych kamiennych korytarzy. Tak się bała, że nawet nie mogła płakać. Chciała, żeby Sara już była z nią, bezpieczna, i żeby obie stąd uciekły.

Dotarła wreszcie na właściwe piętro i wyjrzała przez drzwi, rozejrzała się po korytarzu biegnącym obok komnaty księżniczki Violet. Pusto. Przebiegła na palcach po dywanie ozdobionym wizerunkami łodzi, dotarła do drzwi w głębi korytarza. Znów się rozejrzała. Ostrożnie uchyliła drzwi i wśliznęła się do komnaty, zamykając je za sobą.

Wewnątrz było ciemno. W kominku płonął ogień, lecz nie zapalono lamp. Rachel szła ostrożnie, czując pod stopami futrzany dywan. Opadła na czworaki, wpełzła do skrzynki i uniosła koc. Wstrzymała oddech. Sary nie było. Dziewczynka poczuła zimny dreszcz.

- Szukasz czegoś? - spytał głos księżniczki Violet.

Rachel zdrętwiała. Oddychała ciężko, ale zdołała powstrzymać łzy. Nie pozwoli, żeby Violet doprowadziła ją do płaczu. Wydostała się ze skrzyni i zobaczyła ciemną postać przed kominkiem. Księżniczka. Odsunęła się od ognia. Coś trzymała za plecami. Dziewczynka nie wiedziała, co to jest.

- Akurat wchodziłam do skrzyni. Spać.

- Ach, tak. - Oczy Rachel już się przyzwyczaiły do zmroku, dostrzegła więc na twarzy Violet uśmieszek. - A nie szukałaś przypadkiem tego?

Księżniczka wolniutko wysunęła ręce zza pleców. Trzymała Sarę. Rachel szeroko rozwarła oczy, w głowie jej zawirowało.

- Błagam, księżniczko Violet... - pisnęła cichutko, wyciągnęła błagalnie ręce.

- Podejdź no tu. Pogadamy o tym.

Dziewczynka podeszła i stanęła przed księżniczką, zaciskając w palcach materiał sukienki. Violet uderzyła ją nagle, mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Tak mocno, że Rachel odruchowo zacisnęła w kieszeni prawą piąstkę. Twardo postanowiła, że się nie rozpłacze.

Księżniczka przyskoczyła do małej i uderzyła ją grzbietem dłoni w prawy policzek. Zabolało bardziej niż za pierwszym razem. Rachel zacisnęła zęby i ścisnęła coś w dłoni, żeby powstrzymać łzy. Violet cofnęła się ku kominkowi.

- Czyż ci nie mówiłam, co zrobię z lalką?

- Księżniczko Violet, nie... - Dziewczynka drżała; bała się i piekła ją buzia. - Pozwól mi ją zatrzymać, proszę. Przecież cię nie skrzywdzi...

Violet zaśmiała się paskudnie.

- Nie. Wrzucę ją w płomienie, tak jak powiedziałam. Żebyś miała nauczkę. Jak jej na imię?

- Nie ma imienia.

- Nie szkodzi, i tak ją spalę.

Violet odwróciła się do kominka. Rachel wciąż zaciskała coś w dłoni. Ogniowa pałeczka od Gillera. Dziewczynka wyjęła ją z kieszeni i przyjrzała się jej.

- Nie wrzucaj w ogień mojej lalki, bo pożałujesz! Księżniczka odwróciła się gwałtownie.

- Co powiedziałaś?! Jak śmiesz do mnie mówić takim tonem! Jesteś nikim, zerem. A ja jestem księżniczką.

Rachel przyłożyła pałeczkę do ozdobnej serwety na stojącym w pobliżu niewielkim, okrągłym marmurowym stoliku.

- Zapal to dla mnie - szepnęła.

Serweta stanęła w płomieniach. Księżniczka osłupiała. Rachel dotknęła pałęczka książki, leżącej na małym marmurowym stoliku. Zerknęła na Violet, upewniając się, że na nią patrzy, i szepnęła prośbę. Buchnęły płomienie. Oczy księżniczki rozwarły się szeroko. Dziewczynka złapała róg książki i wrzuciła ją do kominka, a Violet gapiła się na to. Rachel obróciła się ku niej i dotknęła ją pałeczką.

- Oddaj moją lalkę, bo i ciebie spalę!

- Nie ośmieliłabyś się...

- Oddawaj! Bo cię podpalę i poparzę ci skórę!

- Masz. - Violet podała jej Sarę. - Nie podpalaj mnie, Rachel, proszę. Boję się ognia.

Dziewczynka wzięła lalkę lewą ręką i przytuliła do siebie. Wciąż dotykała Violet ogniową pałeczką. Zaczęło jej być żal księżniczki. Wtem poczuła, jak bardzo boli ją buzia po ciosach Violet. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Zapomnijmy o tym zdarzeniu, Rachel. Możesz zatrzymać lalkę. Zgoda? - głos Violet brzmiał miło, nie tak wrednie jak przedtem.

Lecz dziewczynka wiedziała, że to pozory. Jak tylko zjawią się strażnicy, to księżniczka odzyska zwykłą butę i każe Rachel obciąć głowę. Wtedy dopiero zacznie się z niej wyśmiewać i spali Sarę.

- Właź do skrzyni - rozkazała Rachel. - Przekonasz się, jakie to miłe.

- Co takiego?!

Właź albo cię podpalę! - Dziewczynka dźgnęła Violet ogniową pałeczką. Księżniczka Violet, z pałeczką przytkniętą do pleców, wolniutko podeszła do skrzyni.

- Zastanów się, co robisz, Rachel... Czyś ty...

- Uspokój się i właź do środka. Jeżeli nie, to cię podpalę.

Violet uklękła i wpełzła do wnętrza skrzyni. Rachel popatrzyła na nią.

- Do samego końca - poleciła.

Księżniczka posłuchała. Dziewczynka zatrzasnęła drzwiczki, podeszła do biurka i wzięła klucz. Zamknęła żelazne drzwiczki żelaznej skrzyni, schowała klucz do kieszeni. Uklękła i zajrzała do środka przez małe okienko. Ledwo dostrzegała w ciemności oczy księżniczki Violet.

- Dobranoc, Violet. Spij. Ja się dziś prześpię w twoim łożu, Mdli mnie od twojego głosu. Przyjdę i poparzę ci skórę, jeśli się ośmielisz choć pisnąć. Zrozumiano?

- Ttttak - odparł słaby głosik.

Rachel posadziła Sarę, przyciągnęła futrzany dywan i owinęła nim skrzynię. Potem z impetem wskoczyła na łoże, żeby zatrzeszczało i żeby Violet uwierzyła, że i dziewczynka się położyła. W końcu z uśmiechem, na paluszkach, tuląc Sarę, ruszyła ku drzwiom.

Dziewczynka wróciła tą samą trasą, którą tu przyszła. Wyjrzała do holu i poszła prosto do wielkich drzwi wejściowych, strzeżonych przez gwardzistów. Nic nie powiedziała, bo nic nie zdołała wymyślić. Po prostu stała i czekała, żeby jej otworzyli.

- A więc to lalki zapomniałaś - odezwał się jeden z wartowników.

Rachel skinęła potakująco główką.

Drzwi z trzaskiem zamknęły się za nią i poszła w ciemnościach ku ogrodowi. Było więcej strażników niż zwykle. Ci nowi byli inaczej ubrani. I przyglądali się dziewczynce. Słyszała, jak ci dawni mówią nowym, kim ona jest. Starała się nie biec; tuliła mocno lalkę i usiłowała się nie oglądać na tych nowych.

Zawiniątko z chlebem było tam, gdzie je zostawiła, pod kwiatami, w trzeciej wazie. Rachel wyciągnęła je. Jedną ręką tuliła Sarę w drugiej trzymała tobołek. Szła przez ogród i zastanawiała się, czy Violet dalej wierzy, że Rachel śpi w jej łożu, czy też się domyśliła, że to blaga, i teraz rozgłośnym wrzaskiem wzywa pomocy. Jeśli faktycznie się darła, a strażnicy ją usłyszeli i wypuścili ze skrzyni, to może już mnie szukają, myślała dziewczynka. Miała przed sobą długą drogę: wiele czasu zajęło jej dwukrotne przejście tej samej trasy. Rachel uważnie nasłuchiwała, czy nie rozlegną się krzyki świadczące, iż jej szukają. Miała nadzieję, że zdąży stąd odejść, zanim się rozpocznie pościg. Przypomniała sobie, że pan Sanders mówił, iż mają przeszukiwać zamek. Rachel dobrze wiedziała, czego szukają. Szkatułki. Obiecała Gillerowi, że wyniesie stąd skrzyneczkę, żeby jej nie dostali i nie mogli skrzywdzić tych wszystkich ludzi.

Szczyt muru patrolowało wielu żołnierzy. Dziewczynka miała już blisko do bramy, zwolniła kroku. Przedtem zawsze tu stali tylko dwaj gwardziści królowej. Teraz widziała trzech żołnierzy. Dwóch rozpoznała - mieli czerwone bluzy z wizerunkiem głowy czarnego wilka, to gwardziści królowej, lecz ten trzeci był inaczej ubrany: w ciemne skóry, no i był o wiele wyższy od tamtych. To jeden z tych nowych żołnierzy. Rachel nie wiedziała, czy ma iść dalej, czy też odwrócić się i uciec. Ale dokąd niby miała uciekać? Najpierw musi wyjść poza mury, dopiero potem będzie mogła uciec.

Żołnierze dostrzegli dziewczynkę, więc musiała iść dalej. Jeden z pałacowych strażników chciał odsunąć rygiel. Ten nowy go powstrzymał.

- To służka księżniczki. Księżniczka czasem ją wypędza poza mury.

- Nikt nie wyjdzie - upierał się nowy. Gwardzista zostawił rygiel w spokoju.

- Przykro mi, mała. Sama słyszałaś, co on powiedział.

Rachel stała przed nimi, mocno zaciskała wargi. Patrzyła prosto na nowego, a on na nią. Przełknęła ślinę. Giller powierzył jej wyniesienie skrzyneczki. Tylko tędy mogła wyjść poza mury. Starała się domyślić, co by zrobił Giller.

- No cóż, trudno - powiedziała w końcu dziewczynka. - I tak jest dziś zimno, więc lepiej tu zostanę.

- Otóż to. Dziś tu zostaniesz - potwierdził pałacowy gwardzista.

- Jak się nazywasz? - spytała Rachel.

- Lansjer królowej, Reid - przedstawił się, nieco zdumiony.

- A ty? - Dziewczynka wskazała drugiego rączką, w której trzymała Sarę.

- Lansjer królowej, Walcott.

- Lansjerzy królowej Reid i Walcott - powtórzyła. - Powinnam zapamiętać. A ty? - Wskazała nowego lalką, kołysząc nią przy tym.

- A po co ci moje imię? - spytał, zatykając kciuki za pas.

- Księżniczka darła się na mnie - odparła Rachel, tuląc Sarę - i kazała mi się wynosić poza mury. Jeśli tego nie zrobię, to się okropnie wścieknie i każe mi obciąć głowę za to, że jej nie usłuchałam. Więc będę jej musiała powiedzieć, kto mnie nie wypuścił. Podam jej wasze imiona, żeby mogła wszystko sprawdzić i żeby nie myślała, że to wymyśliłam. Boję się jej. Już zaczęła skazywać ludzi na obcięcie głów.

Wszyscy trzej wyprostowali się i popatrzyli po sobie.

- To prawda - powiedział lansjer królowej Reid do nowego. - Księżniczka coraz bardziej upodabnia się do mamusi. Kłopotliwe dziecko, a królowa pozwala jej ostrzyć ząbki, zaprawiać się na przyszłość.

- Nikt nie może wyjść. Takie są rozkazy - powtórzył nowy.

- My dwaj spełniamy rozkazy księżniczki - lansjer królowej Reid odwrócił się nieco i splunął. - Zatrzymaj małą, jeśli chcesz, ale to ty nadstawisz karku, a nie my. Jak nie, to ją wypuśćmy, jak kazała księżniczka. Nie pójdziemy z tobą na szafot. - Walcott energicznym skinieniem głowy poparł słowa Reida. - Taka mała dziewuszka nie jest groźna. Przecież im nie powiem, że takie krzepkie, wielkie drągale jak my uznały tę małą za niebezpieczną osobę. Jeśli się sprzeciwisz księżniczce, to ty stracisz głowę, a nie my. Ty pójdziesz pod topór królewskiego kata, nie my.

Nowy popatrzył na Rachel; był trochę wściekły. Skierował wzrok na obu lansjerów, poprzyglądał się im przez chwilę i znów spojrzał na dziewczynkę.

- Hmm, pewnie, że nie jest groźna. Rozkazy mówią, żeby chronić przed zagrożeniem, więc...

Lansjer królowej Walcott zaczął odsuwać rygiel.

- Ale muszę zobaczyć, co ona niesie - dorzucił nowy.

- Tylko lalkę i kolację - rzekła Rachel najobojętniej, jak mogła.

- No, to zobaczmy.

Dziewczynka położyła tobołek, rozwiązała supeł, rozprostowała płótno. Podała mu Sarę. Nowy wziął lalkę w wielką łapę, oglądał. Odwrócił ją do góry nogami i wielkim paluchem uniósł sukienkę Sary. Rachel kopnęła go tak mocno, jak tylko zdołała.

- Nie rób tego! Nie masz dla niej żadnego szacunku?! - Wrzasnęła. Lansjerzy królowej zaczęli się śmiać.

- Znalazłeś tam coś niebezpiecznego? - zaciekawił się Reid. Nowy łypnął na tamtych dwóch i oddał lalkę Rachel.

- Co jeszcze masz?

- Już ci mówiłam. Moją kolację. Pochylił się nad rozwiązanym tobołkiem.

- Takiej odrobinie jak ty chyba nie trzeba całego bochenka chleba.

- To moje! - wrzasnęła. - Nie zabieraj!

- Zostaw jej - wtrącił się lansjer królowej Walcott. - I tak żałują jej jedzenia. Zdaje ci się, że księżniczka ją przekarmia?

Nowy się wyprostował.

- Myślę, że raczej nie - odetchnął głęboko. - Idź. Zmykaj stąd.

Rachel zawinęła tobołek i z całej siły zawiązała supeł. Przytuliła Sarę jedną ręką, drugą ujęła zawiniątko, minęła żołnierzy i wyszła poza mury.

Brama się zatrzasnęła i dziewczynka zaczęła biec. Biegła najszybciej, jak mogła. Nie odwracała się za siebie: tak się bała, że nie chciała wiedzieć, czy ktoś ją ściga. W końcu uznała, że jednak musi się przekonać. Zatrzymała się i odwróciła. Nikogo. Zadyszana, przysiadła na przecinającym ścieżkę grubym korzeniu, żeby odpocząć.

Widziała zarys sylwety zamku na tle gwiaździstego nieba, zębate szczyty murów, wieże, w których płonęły światła. Już nigdy, przenigdy tu nie wróci. Z trudem łapała oddech; nagle usłyszała czyjś głos.

- Rachel? - Uświadomiła sobie, że to głosik Sary. Położyła lalkę na wierzchołku tłumoczka.

- Już jesteśmy bezpieczne, Saro. Wydostałyśmy się stamtąd.

- Tak się cieszę. - Pocieszanka się uśmiechnęła.

- Już nigdy nie wrócimy do tego paskudnego miejsca.

- Giller chce, żebyś o czymś wiedziała, Rachel.

- O czym? - Musiała się nachylić, ledwo słyszała głosik Sary.

- Że nie może z tobą iść. Musisz pójść sama.

- Ale ja chcę, żeby ze mną poszedł. - Łzy się zakręciły w oczach dziewczynki.

- I on by tego chciał, dziecinko, ogromnie by chciał. Ale musi tam zostać i pilnować, żeby cię nie znaleźli, żebyś mogła uciec. Tylko w ten sposób będziesz bezpieczna.

- Ale sama będę się bała.

- Nie będziesz sama, Rachel. Ja będę z tobą. Zawsze.

- Co mam robić? Dokąd pójść? - Powinnaś stąd uciekać. Giller mówi, żebyś nie szła do swojej sosny-strażniczki, bo cię tam znajdą. - Dziewczynka szeroko rozwarła oczy, słysząc to. - Idź do innej sosny-strażniczki. Następnego dnia do jeszcze innej. I tak uciekaj i chowaj się, aż nadejdzie zima. Potem poszukaj jakichś miłych ludzi, żeby się zaopiekowali.

- Dobrze. Zrobię to, skoro Giller tak chce.

- Giller chce, żebyś wiedziała, że cię kocha.

- Ja też go kocham. Najbardziej ze wszystkich. Lalka uśmiechnęła się.

Lasy zapłonęły nagle błękitem i złotem. Rachel podniosła głowę. Podskoczyła, słysząc głośny huk. Otworzyła buzię i otwarła oczy ze zdumienia.

Z zamku, spoza murów, uniosła się wielka kula ognia.

Wznosiła się coraz wyżej. Spadały z niej iskry, wypełzał czarny dym. Uniosła się jeszcze wyżej i zmieniła w smolisty dym. Znów było ciemno.

- Widziałaś to? - Rachel spytała Sarę. Lalka nie odpowiedziała.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało Gillerowi.

Dziewczynka spojrzała na lalkę, lecz ta milczała, nawet się nie uśmiechnęła. Rachel przytuliła Sarę i podniosła tobołek.

- Lepiej chodźmy stąd, jak kazał Gili er.

Rachel dotarła do jeziora, zamachnęła się i wrzuciła do niego kluczyk od żelaznej skrzyni do spania. Uśmiechnęła się, słysząc plusk wody.

Coraz bardziej oddalały się od zamku. Sara wciąż się nie odzywała. Rachel pamiętała polecenie Gili era, żeby nie szła do swojej sosny-strażniczki. Skręciła więc i ruszyła w innym kierunku, przez jeżyny, ścieżką wydeptaną przez jelenia.

Na zachód.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jakiś dźwięk. Ciche skwierczenie.

Na wpół śpiący Richard nie mógł się zorientować, co to takiego. Zaczął się budzić, najpierw powoli, potem coraz szybciej, poczuł aromat smażonego mięsa. Natychmiast pożałował, że się obudził - powróciła pamięć tego, co się wydarzyło, powróciła tęsknota za Kahlan. Kolana miał przyciągnięte do piersi, wspierał o nie głowę. Pień drzewa boleśnie wbijał mu się w plecy, mięśnie miał zupełnie sztywne, bo całą noc przespał w tej samej pozycji. Z czołem opartym o kolana Richard mógł dostrzec tylko jedno - że już wstawał świt.

Ktoś lub coś było obok niego.

Chłopak udawał, że dalej śpi, i sprawdził, czy ma broń w zasięgu dłoni. Miecz był tuż, ale za długo by trwało wyciąganie go z pochwy. Nóż będzie poręczniejszy. Dotknął palcami rękojeści z orzechowego drewna. Zamknął rękojeść w dłoni. To coś było po lewej. Skoczę i pchnę nożem, pomyślał Richard.

Zerknął ostrożnie. To była Kahlan! Siedziała oparta o kłodę i obserwowała go. Nad ogniem piekł się królik. Richard usiadł prosto.

- Co tu robisz? - spytał ostrożnie.

- Możemy pogadać?

Richard wsunął nóż do pochwy, rozprostował i rozmasował nogi.

- Ostatniej nocy już się nagadaliśmy za wszystkie czasy - rzucił i natychmiast się skrzywił, słysząc własne słowa. Kahlan posłała mu nieodgadnione spojrzenie. - Przepraszam - dodał już łagodniej. - Pewnie, że możemy porozmawiać. O czym chcesz pogadać?

Wzruszyła ramionami.

- Dużo rozmyślałam. - Trzymała kawałek gałęzi brzozy, przygotowany na ognisko, i oddzierała pasy białej kory. - Ostatniej nocy, gdy odeszłam... Wiedziałam, że cię okropnie boli głowa...

- Skąd wiedziałaś? Znów wzruszyła ramionami.

- Zawsze to wiem, po wyrazie twoich oczu. - Głos miała cichy, łagodny. - Mało ostatnio spałeś, i to przeze mnie, więc postanowiłam, że zanim... Że zanim odejdę, to wrócę i popilnuję, żebyś się mógł przespać. I byłam tam - wskazała gałęzią - w tamtych drzewach. Stamtąd mogłam cię pilnować. - Spojrzała na gałąź i oderwała płat kory. - Chciałam, żebyś się spokojnie przespał.

- Byłaś tam całą noc? - Myśl o tym napełniła chłopaka trwożliwą nadzieją.

Kahlan skinęła głową, lecz nie podniosła oczu.

- I kiedy tak czuwałam, to spróbowałam zrobić sidła tak, jak mnie uczyłeś, żeby ci złapać coś na śniadanie. I myślałam, myślałam. Przepłakałam mnóstwo czasu. Nie mogłam ścierpieć, że tak o mnie myślisz. To mi sprawia ból. I złości mnie.

Richard uznał, że lepiej się nie odzywać, słowa przychodziły dziewczynie z wielkim trudem. I tak nie wiedział, co powiedzieć poza tym się bał, że wyrwie mu się coś, co skłoni Kahlan do odejścia. Dziewczyna oderwała płat kory i wrzuciła w ogień - zaskwierczał i buchnął płomieniem.

- Potem rozmyślałam o tym, co powiedziałeś, i uznałam, że muszę ci powiedzieć parę rzeczy. Na przykład, jak się powinieneś zachowywać wobec królowej. I jakich dróg masz unikać, a którędy możesz iść. Myślałam i myślałam o tym, co mam ci powiedzieć, o tym, co powinieneś wiedzieć. Uświadomiłam sobie, że miałeś rację. We wszystkim.

Chłopak pomyślał, że jest bliska łez, ale się nie rozpłakała. Drapała gałąź paznokciem i unikała spojrzenia mu w oczy. On zaś dalej milczał. Wtem Kahlan zadała pytanie, którego się zupełnie nie spodziewał.

- Uważasz, że Shota jest ładna?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Ale nie taka ładna jak ty. Kahlan też się uśmiechnęła i odgarnęła w tył parę pukli.

- Niewielu by się ośmieliło to powiedzieć... - Ugryzła się w język. Jej tajemnica wciąż stała pomiędzy nimi. Podjęła: - Jest takie powiedzonko starych kobiet, może już je słyszałeś: „Nie wybieraj pięknej kobiety na przewodniczkę, jeśli w pobliżu jest jakiś mężczyzna”.

Richard zaśmiał się krótko i wstał, żeby rozprostować nogi.

- Nie, nie słyszałem tego. - Przysiadł na kłodzie, skrzyżował ramiona. Nawet mu przedtem nie przyszło do głowy, że Kahlan mogła się martwić, iż Shota skradnie mu serce. Wiedźma ostrzegła, że go zabije, jeśli wróci do kotliny Agaden - ale i bez tej groźby Kahlan nie musiała się bać.

Dziewczyna odłożyła gałązkę brzozy, stanęła przy Richardzie i również wsparła się o kłodę. Zmarszczyła brwi i wreszcie spojrzała mu w oczy.

- Richardzie... - zaczęła cichutko - ostatniej nocy doszłam do wniosku, że byłam okropnie głupia. Bałam się, że wiedźma mnie zabije i nagle zdałam sobie sprawę, że prawie jej się to udało, Tyle że to ja wykonywałam za nią robotę, pozwalając, żeby za mnie decydowała. Miałeś rację, we wszystkim. Powinnam mieć

więcej rozumu i nie lekceważyć słów Poszukiwacza. Jeśli... - Opuściła wzrok, potem znów spojrzała w oczy Richarda. - Jeśli nie jest za późno, to znów chciałabym być twoją przewodni czka.

Chłopak nie mógł uwierzyć, że złe chwile już minęły. Jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy, nie czuł takiej ulgi. Nie odpowiedział, po prostu mocno przytulił Kahlan. Na krótko odwzajemniła uścisk, oparła mu głowę na piersi. Potem się odsunęła.

- Jeszcze jedno, Richardzie. Musisz usłyszeć resztę, zanim się zgodzisz przyjąć mnie z powrotem. Zdecydowałam, że opowiem ci o sobie. O tym, kim jestem. Dręczy mnie to, bo jestem twoją przyjaciółką. Powinnam była od razu wszystko ci powiedzieć. Ale nigdy przedtem nie miałam takiego przyjaciela jak ty. I nie chciałam, żeby nasza przyjaźń się skończyła. - Znów odwróciła oczy. - Jednak w końcu muszę to powiedzieć - dodała słabym głosem.

- Przecież już ci mówiłem, Kahlan, że jesteś moją przyjaciółką i że nic tego nie zmieni.

- Ten sekret może wszystko zmienić. - Przygarbiła się. - Dotyczy magii.

Richard wcale nie był pewny, czy nadal chce poznać tajemnicę Kahlan. Dopiero co odzyskał dziewczynę i nie chciał jej znów utracić. Przykucnął przed ogniskiem, zdjął rożen z królikiem. Strzeliły iskry, uniosły się w jaśniejące mroki nocy. Był dumny z Kahlan - sama złapała królika, tak jak ją nauczył.

- Nie obchodzi mnie twój sekret, Kahlan. Ty mnie obchodzisz i tylko to się liczy. Nie musisz mi nic mówić. Chodź, królik jest już gotowy, zjedz trochę.

Usiadła obok niego, odgarnęła włosy z twarzy. Chłopak odciął kawałek króliczego mięsa i podał Kahlan. Było gorące, więc trzymała je ostrożnie w palcach i dmuchała, żeby je ostudzić. Richard odkroił kawałek dla siebie.

- Gdy pierwszy raz zobaczyłeś Shotę, Richardzie, to naprawdę Wyglądała jak twoja matka?

Spojrzał na oświetloną blaskiem ognia twarz Kahlan, przytaknął i ugryzł kęs mięsa.

- Twoja matka była bardzo ładna. Masz jej oczy i usta. Chłopak uśmiechnął się na wspomnienie matki.

- Ale to nie była ona - powiedział.

- Więc się rozgniewałeś, że Shota udaje kogoś, kim nie jest? Że cię zwodzi? - Kahlan też ugryzła kęs mięsa i trzymała je w ustach, dmuchając, bo wciąż było

gorące. Bacznie obserwowała Richarda.

Wzruszył ramionami, czując ukłucie żalu.

- Chyba tak. To nie było w porządku. Dziewczyna dokładnie pogryzła i połknęła mięso.

- I dlatego właśnie muszę ci powiedzieć, kim jestem, choćbyś mnie za to znienawidził, bo się ze mną zaprzyjaźniłeś. Chociaż nie zasługuję na twoją przyjaźń. To jeden z powodów, dla których wróciłam: nie chciałam, żebyś się tego dowiedział od kogoś innego. Chcę, żebyś to usłyszał ode mnie. Wysłuchaj mnie, a potem odejdę, jeśli tak zechcesz.

Richard spojrzał w niebo, coraz jaśniejsze, bardziej błękitne. Zapragnął nagle, żeby Kahlan mu nie mówiła, kim jest, żeby wszystko zostało po staremu.

- Nie martw się, nie odpędzę cię. Mamy robotę do wykonania. Pamiętasz, co powiedziała Shota? Królowa niedługo będzie się cieszyć szkatułką, czyli ktoś jej odbierze skrzyneczkę. Lepiej, żebyśmy to byli my niż Rahl Posępny.

- Nie chcę, żebyś decydował, zanim usłyszysz, co mam do powiedzenia. - Dziewczyna położyła dłoń na ramieniu Richarda. - Zanim się dowiesz, kim jestem. Zrozumiem, jeżeli wtedy każesz mi odejść. - Spojrzała mu bacznie w oczy. - Chcę tylko, Richardzie, żebyś wiedział, że nigdy mi na nikim tak nie zależało jak na tobie; i nigdy już nie będzie zależało. Ale dalej nie mogę się posunąć. Nigdy nic z tego nie będzie. Przynajmniej nic dobrego.

Richard absolutnie nie chciał w to uwierzyć. Musi być jakiś sposób, żeby się spełniły jego marzenia. Odetchnął głęboko.

- No to mów, skoro musisz.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że niektórzy Midlandczycy mają magiczną moc? I że nie mogą się jej pozbyć, bo stanowi ich nieodłączną część? - Potaknął. - Ja jestem jedną z nich, jedną z tych istot. Jestem nie tylko kobietą.

- Kim więc jesteś?

- Jestem Spowiedniczką. Spowiedniczka. Richard już znał to słowo.

Chłopak zesztywniał. Wstrzymał oddech. Nagle przypomniał sobie fragment Księgi Opisania Mroków: Jedynie Spowiedniczka może zweryfikować prawdziwość stów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiadane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy szkatuły... Richard gorączkowo przerzucał w myślach stronice księgi, jedną po drugiej, usiłując sobie przypomnieć, czy ponownie była mowa o Spowiedniczce. Nie, już nie. Znał każde słowo księgi -

Spowiedniczka pojawiała się tylko raz, na samym początku. Pamiętał, jak się głowił, kto to taki, owa Spowiedniczka. Nawet nie był wówczas pewny, czy to osoba. Ząb zaciążył chłopakowi na szyi.

Kahlan zmarszczyła brwi, widząc minę Richarda.

- Wiesz, kim jest Spowiedniczka?

- Nie... - wydusił. - Ale już wcześniej słyszałem to słowo... Od mojego ojca. Tyle że nie wiem, co ono oznacza. - Opanował się. - Więc kim jest Spowiedniczka?

Dziewczyna podciągnęła kolana, otoczyła ramionami.

- To ktoś, kto ma moc, magiczną moc, przechodzącą z matki na córkę. Dzieje się tak od bardzo, bardzo dawna, od wieków poprzedzających mroczne czasy... - Chłopak nie miał pojęcia, co to te „mroczne czasy", ale nie przerywał. - Rodzimy się z tą mocą, jest częścią nas i nie można nas jej pozbawić, tak jak tobie nie można usunąć serca. Każda kobieta będąca Spowiedniczka urodzi córkę, również Spowiedniczkę. Zawsze. Ale nie wszystkie mamy taką samą moc. U jednych z nas jest ona słabsza, u innych silniejsza.

- Czyli nie możesz się jej pozbyć, choćbyś chciała. A jaki to rodzaj magii?

- To magia wyzwalana dotykiem. - Kahlan spojrzała w płomienie. - Zawsze jest w nas. My jej nie przywołujemy. Dbamy oto, żeby pozostawała w nas, zatrzymujemy ją w sobie, uwalniamy zaś, opuszczając wewnętrzne bariery.

- Coś jakbyś hamowała mdłości?

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się, słysząc to porównanie.

- A co czyni ta moc?

- Trudno to ująć w słowa. - Dziewczyna zwijała w palcach róg płaszcza. - Nawet nie podejrzewałam, że trudno mi będzie to wyjaśnić, ale trudno to wytłumaczyć komuś spoza Midlandów. Nigdy tego nie robiłam i nie wiem, czy potrafię. To jakbyś próbował opisać mgłę niewidomemu.

- Spróbuj.

Kiwnęła głową i zerknęła Richardowi w oczy.

- To potęga miłości.

- I ja miałbym się bać potęgi miłości? - Richard ledwo pohamował śmiech.

Kahlan wyprostowała się sztywno. W zielonych oczach zapłonęło oburzenie, oburzenie i odwieczna wiedza: takim spojrzeniem obdarzyły Richarda Adie i Shota, mówiło ono, że w jego słowach brak należytego szacunku, że nawet jego uśmieszek był zuchwały i bezczelny. Nigdy przedtem nie patrzyła nań z taką miną. Chłopak

pojął, że Kahlan nie jest przyzwyczajona, by ktoś śmiał się z jej mocy, z tego, kim jest. Jej mina więcej mu powiedziała o mocy dziewczyny niż jakiekolwiek słowa. Na pewno nie należało się naśmiewać z owej magicznej potęgi. Uśmieszek Richarda zgasł. Kahlan się upewniła, że chłopak nie palnie już nic lekceważącego, i podjęła wyjaśnienia.

- Nie rozumiesz. Nie traktuj tego tak lekko. - Zmrużyła oczy - Ktoś, kogo dotknie owa moc, już nie jest dawnym sobą. Zmienia się, i to na zawsze. Oddaje się we władanie tej, która go dotknęła. Przestaje być ważne to, kim się było, czego się pragnęło - to wszystko już nic nie znaczy. Taki ktoś zrobi dla niej wszystko Jego dusza również należy do niej. Jego dawne „ja" przestaje istnieć.

Richard dostał gęsiej skórki.

- A jak długo trwa działanie tej... Tej magicznej siły?

- Dopóki żyje ten, którego nią dotknęłam - brzmiała spokojna odpowiedź. Do gęsiej skórki dołączyły się zimne dreszcze.

- To jakbyś takiego kogoś zaczarowała?

- Nie całkiem - westchnęła dziewczyna - ale możesz tak to nazwać, jeśli ci to pomoże zrozumieć. Dotknięcie Spowiedniczki to więcej niż czary. O wiele potężniejsze i nieodwołalne. Czary można zniweczyć, odczynić; dotknięcie mojej mocy nie. Shota rzucała na ciebie czary, choć może i nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Czarownice, wiedźmy po prostu nie potrafią inaczej. To ich wrodzona właściwość. Przed czarami Shoty chronił cię twój gniew i gniew miecza. Działanie mojej mocy jest natychmiastowe i nieodwołalne. Nic by cię przed tym nie ochroniło. Taki ktoś już nigdy nie będzie dawnym sobą, staje się kimś zupełnie innym. Tego nie da się cofnąć. Taki ktoś nie ma już swojej woli. Bałam się Shoty także dlatego, że wiedźmy nienawidzą Spowiedniczek. Są straszliwie zazdrosne o naszą moc, o to że dotknięte przez nas osoby są nam całkowicie i bezwarunkowo oddane. Ten, kogo dotknie Spowiedniczka, zrobi wszystko, czego ona zażąda. - Kahlan spojrzała twardo na chłopaka. - Wszystko.

Richardowi zaschło w ustach. W jego umyśle zapanował chaos; rozpaczliwie czepiał się swoich pragnień i nadziei. Pytał więc, żeby zyskać na czasie i jakoś się pozbierać:

- Czy to działa na wszystkich?

- Na wszystkich ludzi. Z wyjątkiem Rahla Posępnego. Czarodzieje ostrzegli mnie, że magia Ordena chroni Rahla przed naszym dotknięciem. On nie musi się mnie

bać. Nasza moc nie działa na większość istot nie będących ludźmi, bo one nie są zdolne do współczucia, a owa zdolność jest potrzebna, żeby magia zadziałała. Chimera nie zmieni się pod moim dotknięciem. Na niektóre istoty nasza moc działa, lecz inaczej niż na ludzi.

- Shar? - Richard spojrzał spod oka na dziewczynę. - Dotknęłaś jej, prawda?

Kahlan przytaknęła i cofnęła się nieco; znów się przygarbiła.

- Tak. Umierała i była samotna. Cierpiała, umierając samotnie, z dala od swoich siostrzyc. Poprosiła, żebym jej dotknęła. Mój do tyk zniósł jej ból, zastąpił go miłością do mnie, miłością tak wielką, że już nie było w niej miejsca na żadne inne uczucie. Tylko na ową miłość do mnie.

- A wtedy, kiedy cię pierwszy raz spotkałem? Kiedy ścigała nas bojówka? Jednego z nich też dotknęłaś, prawda?

Dziewczyna skinęła głową, oparła się o kłodę. Otuliła się płaszczem i zapatrzyła w płomienie.

- Przysięgli, że mnie zabiją, lecz wystarczy, że dotknę jednego z nich, a są moi - powiedziała. - Dotknięty poświęci życie, żeby mnie ocalić. Dlatego Rahl wysyła czterech, żeby zabili Spowiedniczkę; jednego ona dotknie, ale zostanie jeszcze trzech, żeby uśmiercić i ją, i tamtego. Musi być jeszcze trzech, bo jednego, a nawet dwóch zabije tamten. A tak zostaje jeden i morduje Spowiedniczkę. Niekiedy ów dotknięty uśmierca tamtych trzech. Jak wtedy, kiedy posłali za mną bojówkę, zanim czarodzieje umożliwili mi przejście poprzez granicę. Te czwórki niemal zawsze osiągają cel, a jeśli nie, to Rahl wysyła następną bojówkę. Wtedy na Wierchu uszliśmy z życiem, bo ich rozdzieliłeś. Jednego dotknęłam i zabił tego, który był przy nim. A powstrzymałeś tamtych dwóch. Potem rzucił się na nich, lecz ty zepchnąłeś jednego w przepaść. Więc on skoczył na przywódcę i stoczył się razem z nim ze skały. Zrobił to, bo w walce mieczem nie miał szans. Poświęcił życie, bo nie miało dlań żadnego znaczenia, kiedy go dotknęłam. Poświęcił je, gdyż tylko w ten sposób mógł mnie ocalić.

- A nie mogłaś dotknąć wszystkich czterech?

- Nie. Każde dotknięcie wyczerpuje całą moc. Trzeba czasu, żeby się odrodziła.

Chłopak dotknął łokciem rękojeści Miecza Prawdy i coś mu się przypomniało.

- Kiedy szliśmy przez granicę i atakował cię ten ostatni z kolejnej bojówki... I zabiłem go... To wcale ci nie ocaliłem życia, co?

- Jeden człowiek, choćby nie wiem jak wielki i silny - odparła Kahlan po

chwili milczenia - nie jest żadnym zagrożeniem dla Spowiedniczki, nawet obdarzonej mniej szamocą niż ja. Gdybyś się trochę spóźnił... Tobym się z nim rozprawiła. Przykro mi, Richardzie - szepnęła. - Wcale nie musiałeś go zabijać. Poradziłabym sobie.

- No cóż - odrzekł sucho - przynajmniej ci tego oszczędziłem. Dziewczyna nic nie powiedziała, spojrzała tylko ze smutkiem. Najwidoczniej brakło jej słów, żeby pocieszyć Richarda.

- Ile trzeba czasu? Po jakim czasie Spowiedniczka odzyskuje moc?

- Każda Spowiedniczka ma inną moc. Czasem niewielką i wtedy potrzebuje kilku dni i nocy, żeby ją odzyskać. Innym wystarczy dzień i noc.

- A tobie?

Kahlan popatrzyła mu w oczy, jakby żałowała, że o to spytał.

- Około dwóch godzin.

Richard odwrócił się ku ognisku. Nie spodobała mu się ta odpowiedź.

- Czy to się rzadko trafia?

- Tak mi powiedziano - westchnęła. - Im krótszy czas odzyskania mocy, tym jest ona mocniejsza i silniej oddziałuje na tego, kogo nią dotknę. To dlatego ten z bojówki mógł zabić pozostałych trzech. Nie stałoby się tak, gdybym była Spowiedniczka obdarzoną słabszą mocą. Pozycja, status Spowiedniczek zależy od ich mocy, bo te o większej urodzą córki, które prawie na pewno ją odziedziczą. Spowiedniczki nie zazdroszczą tym, które mają większą moc - cenią je za to i ochraniają w trudnych czasach, jak wtedy, gdy Rahl przeszedł przez granicę. Niższe rangą poświęcą w razie potrzeby i swoje życie, żeby chronić tamte.

- A jaką ty masz rangę? - spytał Richard, bo wiedział, że sama tego nie powie.

Kahlan zapatrzyła się w ogień.

- Idą za mną wszystkie Spowiedniczki. Wiele z nich oddało życie, żeby mnie ocalić... - Zamilkła na chwilę. - ... żebym przeżyła i mogła wykorzystać swoją moc do powstrzymania Rahla. Teraz nie ma już żadnej. Zostałam tylko ja. Rahl Posępny zabił wszystkie pozostałe.

- Tak mi przykro, Kahlan - powiedział miękko chłopak. Dopiero teraz docierało do niego, jak ważną jest osobą. - Masz jakiś tytuł? Jak ludzie do ciebie mówią?

- Jestem Matką Spowiedniczka.

Richard zesztywniał. „Matka Spowiedniczka” - ów tytuł miał w sobie

ogromną powagę i znaczenie. Chłopak był nieco oszołomiony. Zawsze wiedział, że Kahlan jest kimś ważnym, ale jako przewodnik miał do czynienia z wieloma ważnymi ludźmi i nauczył się ich nie lękać. Lecz nie miał pojęcia, że dziewczyna jest kimś aż tak znamienitym. Matka Spowiedniczka. On jest co prawda tylko przewodnikiem, ale jakoś to przeżyje. Ona pewnie też. Nie ma zamiaru jej stracić czy odpędzić, dlatego że jest tym, kim jest.

- Nie mam pojęcia, co to takiego. To ktoś jak księżniczka lub królowa?

- Królowe nisko się kłaniają Matce Spowiedniczce - poinformowała go Kahlan.

To zrobiło na chłopaku wrażenie.

- Jesteś kimś więcej niż królowa? - zaniepokoił się.

- Pamiętasz tę szatę, którą nosiłam, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy? To szata Spowiedniczki. Wszystkie takie nosimy, żeby nikt nie miał wątpliwości, kim jesteśmy, choć większość Midlandczyków i tak by nas rozpoznała, bez względu na strój. Wszystkie Spowiedniczki, niezależnie od swego wieku, noszą tę szatę, czarną szatę, tylko Matka Spowiedniczka chodzi w białej szacie. - Kahlan zdawała się nieco strapiona tymi wyjaśnieniami. - Dziwnie się czuję, Richardzie, tłumacząc to wszystko. Każdy w Midlandach to wie, więc nigdy się nie musiałam zastanawiać, jak to ubrać w słowa. To brzmi tak... Sama nie wiem, jak to określić... Tak wyniośle, kiedy o tym mówię.

- Cóż, ja nie jestem z Midlandów. Próbuj dalej. Muszę zrozumieć. Kiwnęła głową i znów nań spojrzała.

- Królowie i królowa są władcami swoich ziem; każde z nich ma swoją własną domenę. W Midlandach jest ich sporo. W innych krainach są inne rządy, na przykład kierują nimi Rady. Jeszcze inne ziemie należą do magicznych istot; nocne ogniki mają swój kraik. Spowiedniczki mieszkają w Aydindril - to moja ojczyzna, mój dom. Mieszkają tam również czarodzieje i członkowie Naczelnej Rady Midlandów. Aydindril to przepiękne miejsce. Tak dawno tam nie byłam - powiedziała tęsknie Kahlan. - Spowiedniczki i czarodziei łączą mocne więzy, tak jak Zedda i Poszukiwacza. Nikt nie rości sobie praw do Aydindril. Żaden władca się na to nie odważy. Boją się Spowiedniczek i czarodziei. Wszystkie krainy Midlandów płacą Aydindril daninę. Spowiedniczki stoją ponad prawem wszystkich krain i tak jak Poszukiwacz, kierują się swoimi własnymi prawami. A jednocześnie, za pośrednictwem Naczelnej Rady Midlandów, służymy wszystkim ludom tych ziem.

Dawno temu butni władcy chcieli sobie podporządkować Spowiedniczki. Żyły wówczas dalekowzroczne, przewidujące Spowiedniczki, które teraz czcimy w legendach. Wiedziały, że muszą położyć podwaliny pod naszą niezależność albo na zawsze poddać się woli innych. Więc Matka Spowiedniczka dotknęła władców swoją mocą - strącono ich z tronów i zastąpiono nowymi, którzy rozumieli, że Spowiedniczki należy zostawić w spokoju. Poprzedni władcy żyli w Aydindril niemal jak niewolnicy. Spowiedniczki zabierały ich ze sobą, kiedy podróżowały do innych krain. Nieśli zapasy i rzeczy uprzyjemniające podróż. W owych czasach otaczał nas większy ceremoniał niż obecnie. Tak czy inaczej, owi władcy w orszaku czynili zamierzone wrażenie.

- Nie rozumiem - przerwał jej Richard. - Królowie i królowe to potężni władcy. Nie mają żadnej ochrony? Strażników i wojska? Jak Spowiedniczka mogła do nich podejść i dotknąć ich?

- O tak, mają ochronę i to niemałą, ale my całkiem łatwo możemy się do nich dostać. Spowiedniczka dotyka jednej osoby, na przykład strażnika, i już ma sprzymierzeńca, który ją prowadzi do kogoś innego, a ona dotyka mocą i tego kogoś. Wkrótce dostaje się do środka. Każda pozyskana osoba może ją doprowadzić w pobliże kogoś wyższej rangi, zdobywa jej nowych sprzymierzeńców. I tak dostaje się w pobliże króla lub królowej. Trwa to o wiele krócej, niż myślisz, Richardzie. Nie ma czasu na podniesienie alarmu. Każda Spowiedniczka może tego dokonać. A zwłaszcza Matka Spowiedniczka.

Matka Spowiedniczka z grupką swoich sióstr potrafi przejść przez zamek jak plaga. Oczywiście, nie jest to całkiem bezpieczne, zmarło wiele Spowiedniczek, lecz cel był tego wart. Spowiedniczka może się udać do każdej krainy, choćby inni nie mieli tam wstępu. Zamknięcie krainy przed nią równa się przyznaniu do winy i wystarcza, żeby pozbawić władcę urzędu. To dlatego Błotni Ludzie mnie przyjmują, choć nie wpuszczają na swe ziemie nikogo innego, a jeśli tak, to rzadko. Zakaz wstępu dla Spowiedniczki wywołałby zaraz podejrzenia i dociekania. Władca uwikłany w jakiś spisek tym chętniej wpuściłby Spowiedniczkę, żeby zataić swoje sprawki.

W tamtych czasach niektóre Spowiedniczki chciały się posługiwać mocą według swej woli, wykorzeniać to, co uważały za zło. Czarodzieje usiłowali zdobyć nad nimi kontrolę, ale pokazały, do czego są zdolne. Ale to były inne czasy.

Pozbawić władcę urzędu. Hmm. Inne czasy, hmm. Trudno to było Richardowi

zrozumieć i usprawiedliwić.

- Co dawało tamtym Spowiedniczkom prawo do takich czynów?

- A czy to, co my, ty i ja, robimy teraz, różni się aż tak bardzo od czynów z przeszłości? - Kahlan z wolna potrząsnęła głową. - Usunięcie władcy z urzędu? Wszyscy robimy to, co uważamy za słuszne i konieczne.

Rozumiem - przyznał Richard. - Zrobiłaś to już kiedyś? Usunęłaś władcę?

Kahlan potrząsnęła głową.

- Ale i tak władcy krain starają się nie przyciągać mojej uwagi. To samo dotyczy i Poszukiwacza. A raczej dotyczyło, w czasach przed naszym narodzeniem. Wtedy Poszukiwaczy bardziej się obawiano i darzono ich większym respektem niż Spowiedniczki. - Spojrzała znacząco na chłopaka. - I oni zrzucali królów z tronów. Teraz stary czarodziej poszedł w zapomnienie, miecz stał się polityczną igraszką, a Poszukiwacze ogromnie stracili na znaczeniu, są zwykłymi pionkami.

- O, to akurat chyba się nie zmieniło - rzekł Richard, bardziej do siebie niż do dziewczyny. - Większość czasu czuję się jak pionek przesuwany cudzą ręką. Choćby ręką Zedda czy...

Umilkł. Kahlan dokończyła za niego.

- Lub moją.

Nie to miałem na myśli. Po prostu czasem wolałbym nigdy nie słyszeć o Mieczu Prawdy. A jednocześnie czuję, że nie mogę pozwolić Rahlowi wygrać. No i nie mogę zrezygnować. Nie mam wyboru i tego właśnie nienawidzę.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno, podkuliła nogi.

- Skoro zrozumiałeś, kim jestem, Richardzie, to pamiętaj, że tak samo jest i ze mną. Ja też nie mam wyboru. W moim wypadku to jeszcze gorsze, bo się urodziłam z moją mocą. Ty zaś możesz oddać miecz, jeżeli tak postanowisz. Ja będę Spowiedniczką przez całe życie. - Przerwała, potem dorzuciła: - Od kiedy cię poznałam, wiem, że dałabym wszystko, żeby się pozbyć tego daru i stać się zwykłą kobietą.

Richard nie miał pojęcia, co zrobić z rękami, więc złapał jakiś patyczek i zaczął rysować po ziemi.

- Dalej nie wiem, czemu was nazywają Spowiedniczkami. Co to znaczy: Spowiedniczką? - Z trudem się zmusił, żeby spojrzeć na Kahlan.

Na twarzy dziewczyny odmalował się taki ból, że Richardowi zrobiło się jej żal.

- Bo to właśnie robimy. Jesteśmy najwyższymi arbitrami prawdy. To dlatego czarodzieje dali nam tę władzę w dawno zapomnianych czasach. Tak służymy ludowi.

- Najwyższy, ostateczny sędzia prawdy - powtórzył chłopak, marszcząc brwi. - Coś jak Poszukiwacz.

Skinęła głową.

- Spowiedniczki i Poszukiwaczy łączy wspólny cel. Można powiedzieć, że stanowimy dwie strony tej samej magii. Dawni czarodzieje byli niemal jak władcy; gniewało ich i smuciło panujące wokół zepsucie. Nienawidzili kłamstwa i podstępu. Chcieli znaleźć jakiś sposób powstrzymania złych władców od zwodzenia i niszczenia ludzi. Tacy pozbawieni skrupułów władcy potrafili oskarżyć swoich politycznych przeciwników o jakąś zbrodnię i skazać ich za to; za jednym zamachem pozbywali się ich i odbierali im honor. Czarodzieje chcieli z tym skończyć.

Potrzebowali czegoś, co by eliminowało wszelkie wątpliwości. Stworzyli magiczną moc i nadali jej odrębne, samoistne trwanie. Z wybranej grupy kobiet stworzyli Spowiedniczki. Wybierali owe kobiety bardzo starannie, bo raz dana im moc zaczynała żyć własnym życiem i była przekazywana potomstwu. - Kahlan popatrzyła na patyk, którym chłopak wciąż zawzięcie rysował. - Korzystamy z naszej siły, żeby odnaleźć prawdę, znaczącą prawdę. W obecnych czasach posługujemy się mocą przede wszystkim po to, żeby ustalić, czy osoba skazana na śmierć jest rzeczywiście winna. Dotykamy takiego skazańca, staje się nasz i wtedy przyjmujemy spowiedź.

Richard skamieniał, patyk utknął w miejscu. Kahlan podjęła opowieść, a on się zmusił, żeby dalej rysować.

- Nawet najokrutniejsi mordercy, dotknięci naszą mocą, robią, co im każemy. Wyznają swoje winy. Czasem sędziowie nie są pewni, czy w ich ręce wpadł właściwy człowiek, i wtedy wzywają Spowiedniczkę, żeby stwierdziła prawdę. Prawa większości krain stanowią, że nikogo nie można skazać na śmierć bez uprzedniej spowiedzi, żeby wszyscy byli przekonani, iż skazuje się prawdziwego złoczyńcę, że winny nie ujdzie kary i że nie jest to polityczna zemsta.

Niektóre ludy Midlandów, na przykład Błotni Ludzie, nie korzystają z usług Spowiedniczek. Nie życzą sobie „zewnętrznej interwencji”, jak to nazywają. Lecz boją się nas, bo wiedzą, co możemy uczynić. Szanujemy życzenie owych ludów, żadne prawo nie narzuca im naszych usług. Ale możemy im się narzucić, jeżeli uznamy, że knuje się jakiś spisek. Jednak większość krain korzysta z naszej mocy. Ich

mieszkańcy uważają, że to praktyczne.

To właśnie Spowiedniczki pierwsze odkryły spiski i intrygi na rzecz Rahla Posępnego. Po to przecież - żeby wykrywać tak ważne prawdy - czarodzieje stworzyli magię Spowiedniczek i Poszukiwaczy. Rahl Posępny wcale nie był zadowolony, że wykryłyśmy jego zamiary.

W całych Midlandach obowiązuje jeszcze jedno prawo. Każdy, kogo skażą bez Spowiedniczki, może zażądać jej przywołania i poddać się jej mocy, żeby dać świadectwo prawdzie i udowodnić swoją niewinność. - Głos dziewczyny ścichł. - I tego właśnie najbardziej nienawidzę. Nie przywoła Spowiedniczki nikt, kto jest naprawdę winny: to by jedynie potwierdziło jego winę. Jeszcze zanim dotknę tych ludzi moją mocą, wiem, że są niewinni, ale muszę dopełnić obowiązku. Gdybyś widział wyraz ich oczu, kiedy ich dotykam... Tobyś zrozumiał. Więc kiedy nas przywołują, to chociaż ci ludzie są niewinni, to i tak...

- Ile spowiedzi... przyjęłaś? - wykrztusił Richard.

- Zbyt wiele, żeby je zliczyć - odparła wolno. - Pół życia spędziłam w lochach i w więzieniach, z najobrzydliwszymi, najwystępniejszymi bydlakami. Na pierwszy rzut oka wydawało się, iż to uprzejmi kupcy, czyiś bracia, ojcowie, sąsiedzi. Dotykałam ich i opowiadali mi, co zrobili. Długo, długo miałam po tym takie koszmary, że bałam się zasnąć. Nawet sobie nie wyobrażasz, do czego byli zdolni...

Richard odłożył patyk, ujął dłoń dziewczyny i mocno ścisnął.

Kahlan zaczęła płakać.

- Kahlan, przecież nie musisz...

- Pamiętam pierwszego człowieka, którego zabiłam. - Usta dziewczyny drżały. - Wciąż mi się śni. Opowiedział mi, co zrobił trzem córkom sąsiada... Najstarsza miała tylko pięć latek... Patrzył na mnie wielkimi oczami, opowiadając najokropniejsze rzeczy... Na koniec spytał: „Czego sobie życzysz, pani?”... A ja bez zastanowienia odparłam: „Żebyś umarł”. - Kahlan tarła łzy trzęsącymi się palcami. - A on natychmiast padł martwy.

- Co na to inni?

- A cóż mogli powiedzieć Spowiedniczce, na której rozkaz ktoś właśnie umarł? Cofnęli się i zeszli mi z drogi, kiedy odchodziłam. Nie każda Spowiedniczka ma taką moc. To przeraziło nawet mojego czarodzieja, i to tak, że zapomniał języka w gębie.

- Twojego czarodzieja? - Richard zmarszczył brwi. Potaknęła i otarła łzy.

- Wszyscy się nas boją i nienawidzą nas, więc czarodzieje uważają, że mają obowiązek nas ochraniać. Spowiedniczki niemal zawsze podróżują pod opieką czarodzieja. Każdej z nas przydziela się... Przydzielano jednego, kiedy wzywano ją, żeby przyjęła spowiedź. Rahlowi się udało rozdzielić nas z naszymi czarodziejami i teraz oni także nie żyją. Zostali wyłącznie Zedd i Giller.

Richard dotknął królika. Mięso prawie wystygło. Odciął kawałek i podał Kahlan, potem oddarł porcję dla siebie.

- Dlaczego nienawidzą i boją się Spowiedniczek?

- Rodziny i przyjaciele skazańca nienawidzą nas, bo często nie mogą uwierzyć, że był zdolny do czynów, z których się wyspowiadał. Wolą wierzyć, że ktoś go nakłonił do tych opowieści. - Dziewczyna odrywała kawałeczki mięsa i gryzła powoli. - Przekonałam się, że ludzie często nie chcą uwierzyć w prawdę. Niewiele dla nich znaczy. Niektórzy próbowali mnie zabić. To jeden z powodów, dla których zawsze towarzyszą nam czarodzieje: żeby nas bronić, zanim odzyskamy moc.

- To mnie nie przekonuje.

- Nie robimy niczego skomplikowanego. To musi dziwnie brzmieć dla kogoś, kto się z tym nie zżył. Obyczaje Midlandów, magia - to wszystko musi być dla ciebie czymś osobliwym.

„Osobliwe” to nieodpowiednie słowo, pomyślał Richard. Bardziej pasuje: „przerażające”.

- Spowiedniczki są niezawisłe. Ludzi to złości. Mężczyźni mają nam za złe, że żaden z nich nie może nad nami panować, że nie mogą nam niczego nakazać.

Kobiety drażni to, że nie prowadzimy takiego życia jak one, nie pełnimy tradycyjnych kobiecych ról: nie troszczymy się o mężczyznę, nie podporządkowujemy się jednemu z nich. Uważają, że jesteśmy uprzywilejowane. Mamy długie włosy, to symbol naszego statusu, gdy one muszą nosić krótkie - oznakę podporządkowania się mężowi i każdej osobie wyższej niż one rangą. Tobie może się to wydawać mało ważne, lecz dla naszych ludzi bardzo się liczy wszystko, co ma związek ze statusem. Status kobiety, która zapuści włosy dłuższe, niż pozwala jej ranga, za karę obniża się. W Midlandach długie włosy kobiet są oznaką wysokiego statusu, czymś w rodzaju wyzwania. Świadczą, że możemy czynić, co chcemy, że nikt nam nie może rozkazywać, że jesteśmy niebezpieczne. Twój miecz mówi ludziom to samo. Żadna Spowiedniczka nie obetnie włosów, a ludzi złości, że nikt się nie ośmieli nas do tego zmusić. Jak na ironię mamy mniej swobody niż oni, lecz oni tego nie dostrzegają.

Wykonujemy za nich różne przykre obowiązki, a nie możemy swobodnie decydować o naszym własnym życiu. Jesteśmy więźniarkami naszej mocy.

Kahlan zjadła resztę króliczego mięsa, które jej podał Richard. A chłopak dumał, jakie to dziwne, jaka to ironia losu, że Spowiedniczki porażają miłością najokropniejszych zbrodniarzy, a nie mogą jej ofiarować tym, przy których chciałyby być. Czuł, że dziewczyna stara się mu jeszcze coś wyjaśnić.

- Uważam, że masz śliczne włosy - oznajmił. - Podoba mi się, że są takie długie.

- Dziękuję. - Kahlan się uśmiechnęła; wrzuciła królicze kostki w ognisko i przyglądała im się przez chwilę, potem spojrzała na swoje dłonie. - Jest jeszcze sprawa wyboru partnera.

Richard dokończył swoją porcję królika i też wrzucił kość w płomienie. Oparł się o kłodę. Nie spodobały mu się słowa Kahlan.

- Wyboru partnera? Co masz na myśli?

Dziewczyna wpatrywała się w swoje ręce, jakby tam szukała ucieczki.

- Spowiedniczka musi wybrać partnera, kiedy osiąga wiek, w którym może zostać matką. Może sobie wziąć każdego mężczyznę, którego zechce, nawet już żonatego. Może podróżować po Midlandach, szukając odpowiedniego ojca dla swoich córek: silnego i przystojnego. Takiego, który się jej spodoba. Mężczyźni ogromnie się boją Spowiedniczek szukających partnera. Nie chcą zostać wybrani, porażeni mocą. Kobiety są przerażone, bo nie chcą, żeby wybrała ich męża, brata lub syna. Wszyscy wiedzą, że nie mają nic do powiedzenia w tej sprawie i że Spowiedniczka porazi swą mocą każdego, kto jej stanie na drodze. Ludzie się mnie boją z dwóch powodów: bo jestem Matką Spowiedniczka i już dawno osiągnęłam wiek, aby wybrać partnera.

Richard wciąż trzymał się kurczowo swoich pragnień i nadziei.

- A jeśli ci na kimś zależy i temu komuś zależy na tobie?

- Przyjaciółkami Spowiedniczek są wyłącznie inne Spowiedniczki. - Dziewczyna smutno potrząsnęła głową. - Tak już jest - nikt nigdy nie żywił do nas życzliwych uczuć. Wszyscy się nas boją. - Nie powiedziała, że teraz sprawia jej to przykrość, lecz głos jej znów zadrżał. - Od dzieciństwa nas uczą, że powinnyśmy wybierać silnych partnerów, żeby nasze dzieci też były silne. Lecz nie może to być ktoś, na kim nam zależy, bo go zniszczymy. Dlatego nic... Nic między nami nie może być.

- Ale... Dlaczego?! - Cała dusza chłopaka sprzeciwiała się temu wyrokowi,

mocy Kahlan.

- Bo... - Kahlan odwróciła wzrok. Nie zdołała ukryć cierpienia, zielone oczy były pełne łez. - Bo akt miłosny sprawia, że Spowiedniczka traci kontrolę nad swoją mocą i poraża nią swego partnera, choćby tego nie chciała uczynić, a potem on już nie jest tym, kogo wybrała, na kim jej zależało. Spowiedniczka nie może temu zapobiec. W żaden sposób. On oczywiście będzie należał do niej, ale to już nie to samo. Jej wybranek zostanie z nią nie z własnego wyboru, nie dlatego że tego pragnie, lecz dlatego że go poraziła magiczną mocą. Stanie się tylko naczyniem, w które przelała własną moc. Żadna z nas nie chciałaby takiej doli dla mężczyzny, na którym by nam naprawdę zależało. To dlatego od niepamiętnych czasów trzymamy się z dala od mężczyzn: ze strachu, że któregoś pokochamy. Wcale nie jesteśmy bez serca, choć tak o nas myślą. Wszystkie się obawiamy tego, co nasze dotknięcie uczyniłoby naszemu ukochanemu. Niektóre Spowiedniczki wybierają na partnerów mężczyzn nielubianych czy nawet znienawidzonych, byle tylko nie niszczyć dobrych i szlachetnych. Tylko niektóre tak czynią; mają do tego pełne prawo. Wszystkie to rozumiemy i nie ganimy ich. - Spojrzała nań błagalnie oczami pełnymi łez, prosząc, żeby zrozumiał.

- Ale... Mógłbym... - upierał się chłopak, bo serce omal mu nie pękło.

- Ja bym nie mogła. Dla mnie to tak, jakbyś chciał być ze swoją matką, a zamiast tego był z Shotą, która przybrała jej wygląd. Ale przecież nie byłaby twoją mamą. To byłaby iluzja miłości. Rozumiesz? - Kahlan się rozpłakała. - Czy to by ci przyniosło prawdziwą radość?

Richard zrozumiał i świat mu się zawalił. Wszystko się rozpadło w pył i proch.

- Dom duchów - powiedział bez tchu. - Czy to o tym mówiła Shota? Czy to wtedy omal nie poraziłaś mnie swoją mocą? - pytał głosem o wiele chłodniejszy, niż zamierzał.

- Tak - odparła Kahlan, z trudem powstrzymując płacz. - Tak mi przykro, Richardzie, przepraszam. - Splotła palce. - Jeszcze nigdy na nikim mi tak nie zależało jak na tobie. Tak rozpaczliwie cię pragnęłam. Prawie zapomniałam, kim jestem. Niemal przestało mnie to obchodzić. - Znów się rozpłakała. - Rozumiesz teraz, jaka niebezpieczna jest moja moc? Widzisz, jak łatwo mogę cię zniszczyć? Gdybyś mnie wtedy nie powstrzymał... Już by cię nie było...

Chłopaka ogarnęło przejmujące współczucie dla Kahlan. Litował się nad nią, bo nic nie mogła poradzić na to, kim jest. Jednocześnie cierpiał, że ją traci, choć

zdawał sobie sprawę, że nie miał czego tracić; nigdy nie mogłaby do niego należeć, a właściwie on do niej. To były wyłącznie jego marzenia. Zedd się starał go ostrzec, oszczędzić mu tego cierpienia. Czemu nie posłuchał? Dlaczego był taki głupi i sądził, że ma dość sprytu, żeby wymyślić jakieś rozwiązanie? Wiedział dlaczego. Wstał powoli i podszedł do ogniska, żeby Kahlan nie zobaczyła jego łez. Opanował się z trudem i zmusił do mówienia.

- Czemu zawsze mówisz „ona", „jej" „córka"? Dlaczego zawsze kobiety? Czy Spowiedniczki nie rodzą chłopców? - spytał ochrypłym głosem.

Kahlan nie odpowiadała i Richard długo słuchał potrzaskiwania ogniska. Usłyszał, że dziewczyna płacze, więc odwrócił się ku niej. Wyciągnęła do niego rękę, żeby jej pomógł wstać. Potem oparła się o pień, odgarnęła włosy z twarzy i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- O tak, Spowiedniczki rodzą chłopców. Nie tak często, jak w przeszłości, ale rodzą - odchrząknęła. - Ale chłopcy mają największą moc, która odradza się natychmiast. Niekiedy staje się ona dla nich wszystkim, sprowadza ich na złą drogę. Tu właśnie czarodzieje popełnili błąd. Wybrali kobiety do tej roli, ale nie przemyśleli zbyt dokładnie, jak się zachowa moc. Nie przewidzieli, jak ma być przekazywana potomstwu i że będzie odmienna u mężczyzn. Dawno temu kilku Spowiedników połączyło swe siły i zaprowadziło okrutne rządy. To właśnie nazywamy mrocznymi czasami. Oni je sprowadzili. Przypominały trochę nasze czasy z Rahlem Posępnym. W końcu czarodzieje dopadli ich wszystkich i zabili. Zginęło wtedy wielu czarodziejów. Od tamtej pory czarodzieje nie próbują władać krainami. Zresztą i tak zbyt wielu ich zginęło. Zamiast tego starają się służyć ludziom, pomagać im, kiedy trzeba. Ale się nie wtrącają do władców, o ile mogą tego uniknąć. Dostali gorzką nauczkę. - Kahlan znów odwróciła wzrok. Po chwili podjęła: - Z jakiegoś powodu tylko kobiety, dzięki wrodzonej zdolności współczucia, mogą panować nad ową mocą i nie ulegać jej niszczycielskiej sile. Czarodzieje nie wiedzą, dlaczego tak jest. Tak jest i z Poszukiwaczem: musi być właściwą, znalezioną przez czarodzieja osobą albo wykorzysta moc do złych czynów. To dlatego Zedd się tak wściekał na Radę Midlandów, że odebrała mu przywilej powoływania Poszukiwaczy. Większość Spowiedników nie potrafiła kontrolować mocy. Nie mogli jej powstrzymać, kiedy było trzeba to uczynić. - Zerknęła na Richarda. - Kiedy pragnęli jakiejś kobiety, to wykorzystywali moc i brali ją sobie. Wiele kobiet. Nie znali hamulców, nie czuli się odpowiedzialni za swoje czyny. Opowiadano mi, że mroczne czasy były długą nocą

straszliwego terroru. Panowanie Spowiedników trwało wiele lat. Czarodzieje musieli wszystkich uśmiercić. Zabili też wszystkie owoce ich rozpusty, żeby moc się nie rozprzestrzeniała bez kontroli. Powiedzieć, że czarodzieje byli niezadowoleni, to mało.

- A co się teraz dzieje? - spytał niespokojnie chłopak. - Co się dzieje, jeśli Spowiedniczka urodzi syna?

Kahlan powstrzymała płacz, odchrząknęła.

- Kiedy się urodzi chłopiec, to jego matka zanosi go w specjalne miejsce w centrum Aydindril i układa na Kamieniu. - Przestąpiła z nogi na nogę; najwyraźniej ciężko jej było o tym powiedzieć. Richard ujął dłoń Kahlan i gładził palcami, choć po raz pierwszy czuł, że nie ma prawa do takich poufałych gestów. - Już ci mówiłam, że mężczyzna dotknięty mocą Spowiedniczki uczyni dla niej wszystko. - Czuł, jak drży dłoń dziewczyny. - Matka rozkazuje ojcu, co ma zrobić... A on... On kładzie na gardle dziecka pręt i... L.. Staje na obu końcach.

Richard puścił dłoń Kahlan. Przesunął obiema dłońmi we włosach i obrócił się ku ognisku.

- Robią tak z każdym chłopcem?

- Tak - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Nie można ryzykować, bo to może być ktoś, kto nie zapanuje nad mocą, a pozwoli jej nad sobą zapanować i znów ściągnie mroczne czasy. Czarodzieje i pozostałe Spowiedniczki bacznie obserwują każdą, która jest w ciąży, i starają się ją pocieszyć, jeżeli to chłopiec i musi być... - umilkła.

Chłopak uświadomił sobie nagle, jak bardzo nienawidzi Midlandów - tylko trochę mniej niż Rahla Posępnego. Po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego ludzie z Westlandu chcieli mieszkać w krainie pozbawionej magii. Pragnął tam wrócić, uciec od magii. Łzy napłynęły mu do oczu z tęsknoty za Lasami Hartlandzkimi. Richard przyrzekł sobie, że jeżeli zwycięży Rahla, to na pewno się postara, żeby znów była granica. Zedd mu w tym pomoże, nie wątpił w to. Chłopak zrozumiał teraz, dlaczego i stary czarodziej trzymał się z dala od Midlandów. A kiedy granica znów się pojawi, to on znajdzie się po drugiej stronie. Na całe swoje życie.

A, jeszcze sprawa miecza. Nie oddam Miecza Prawdy, postanowił chłopak. Zniszczę go.

- Dzięki, Kahlan, że mi powiedziałaś - wykrztusił z trudem. - Wolałbym tego nie usłyszeć od kogoś obcego.

Cały świat chłopaka rozpadł się. Richard przez cały czas uważał, że

zwycięstwo nad Rahlem zapoczątkuje nowe życie, że wówczas wszystko będzie możliwe. Teraz stwierdził, że to będzie oznaczało koniec. Nie tylko dla Rahla, ale i dla niego, i że potem nie będzie już nic, zupełnie nic. Kiedy już powstrzyma Rahla i Kahlan będzie bezpieczna, wróci samotnie do Lasów Hartlandzkich i jego życie się zakończy. Słyszał, jak Kahlan płacze.

- Jeżeli chcesz, żebym odeszła, Richardzie, to mi to powiedz. Nie bój się. Zrozumiem. Spowiedniczki są przyzwyczaj one do czegoś takiego.

Richard patrzył przez chwilę na dogasające ognisko, potem mocno zacisnął powieki, powstrzymał łzy. Oddychał z trudem, boleśnie.

- Kahlan, powiedz... Czy jakoś... Czy moglibyśmy... Czy mamy szansę...

- Nnnnie - chlipnęła.

Chłopak rozmasował trzęsące się dłonie. Wszystko stracone.

- A czy jest jakieś prawo, Kahlan, które by nam zabraniało się przyjaźnić?

- Nnnnie - załkała. Podszedł do niej i przytulił ją.

- Bardzo potrzebuję teraz przyjaciela - szepnął.

- Ja też - wychlipała, odwzajemniając uścisk. - Ale nie mogę być nikim więcej.

- Wiem - odparł. Czuł, jak łzy spływają mu po policzkach. - Kahlan, kocham...

- Nie mów tego. - Położyła mu palce na ustach. - Nigdy tego nie mów, Richardzie.

Mogła mu zabronić powiedzenia tego głośno, ale nie w myślach.

Dziewczyna tuliła się do niego mocno i płakała rozpaczliwie. Richard przypomniał sobie ów wieczór pod sosną-strażniczką, kiedy to zaświaty omal nie wciągnęły Kahlan z powrotem. Wtedy też tak do niego przywarła, a on sobie pomyślał, że dziewczyna na pewno nie przywykła do tego, żeby ją ktoś tulił. Teraz już wiedział dlaczego. Przytulił policzek do czubka głowy Kahlan. W popiołach marzeń Richarda zapełgał ogienek gniewu.

- Wybrałaś już partnera? Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- Były ważniejsze sprawy do załatwienia. Ale jeżeli zwyciężymy i przeżyję... To będę musiała to zrobić.

- Obiecaj mi coś.

- Jeśli to w mojej mocy.

Gardło tak paliło chłopaka, że musiał dwa razy przełknąć ślinę, zanim mógł się odezwać.

- Obiecaj mi, że go nie wybierzesz, dopóki nie wrócę do Westlandu. Nie chcę

wiedzieć kto to.

Kahlan chlipała przez chwilę, zaciskając mocniej palce na koszuli Richarda.

- Obiecuję.

Stali tak jeszcze jakiś czas, tuląc się do siebie. Richard starał się odpędzić mroki, zapanować nad sobą i w końcu zdołał się uśmiechnąć.

- W jednym się mylisz.

- W czym?

- Powiedziałaś, że żaden mężczyzna nie ma władzy nad Spowiedniczką. Pomyliłaś się. Ja mam władzę nad samą Matką Spowiedniczką. Przyrzekłaś mnie ochraniać. I nakazuję ci być moją przewodniczką, nie zwolnię cię z tego obowiązku.

Kahlan roześmiała się wśród łez.

- Wygląda na to, że masz rację. Gratuluję, jesteś pierwszym mężczyzną, któremu się to udało. A co mój pan rozkaże swojej przewodniczce?

- Żeby mnie już nie straszyła, że odbierze sobie życie, bo jest mi potrzebna. I że doprowadzi nas do królowej i do szkatuły przed Rahlem, a potem bezpiecznie nas stamtąd wyprowadzi. - Jak rozkażesz, mój panie. - Kahlan skinęła głową opartą o pierś chłopaka. Cofnęła się, położyła mu dłonie na ramionach i uśmiechnęła się przez łzy. - Jak to jest, że zawsze potrafisz mnie pocieszyć? Nawet w najgorszych chwilach?

Richard wzruszył ramionami i odwzajemnił uśmiech, choć wszystko w nim umierało.

- Jestem Poszukiwaczem. Wszystko mogę. - Chciał jeszcze coś dodać, ale głos go zawiódł.

Kahlan uśmiechnęła się radośniej i potrząsnęła głową.

- Jesteś niezwykłą osobą, Richardzie Cypher - szepnęła. A on tak bardzo chciał zostać sam, żeby się wypłakać.

Rozdział trzydziesty piąty

Richard nasunął czubkiem buta trochę ziemi na gasnące popioły ogniska, dławiąc jedyne ciepło w świcie chłodnego dnia. Niebo stawało się lodowato błękitne, od zachodu wiał ostry wiatr. Przynajmniej będzie nam wiał w plecy, pomyślał chłopak. Koło drugiego buta Richarda leżał patyk, na którym Kahlan upiekła królika - złapała zwierzątko w sidła, tak jak ją nauczył Richard. Chłopak się zaczerwienił - on, leśny przewodnik, nauczył ją tego. Ją, Matkę Spowiedniczkę. Ważniejszą niż królowa. Królowe nisko się kłaniają Matce Spowiedniczce, powiedziała. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak głupio. Matka Spowiedniczka. Za kogo się uważał? Zedd próbował go ostrzec; że też nie posłuchał.

Chłopakowi znów zagrażała pustka. Pomyślał o swoim bracie, o przyjaciołach Zeddzie i Chasie. Miał przynajmniej ich, chociaż nie wypełniali całej pustki. Richard patrzył, jak Kahlan zarzuca plecak. Ona nie ma nikogo, pomyślał. Jej jedyne przyjaciółki, inne Spowiedniczki, nie żyją. Była sama na świecie, sama w Midlandach - otaczali ją ludzie, których starała się ocalić i którzy się jej bali, oraz wrogowie, dybiący na jej życie. Nawet nie miała swojego czarodzieja, żeby ją chronił.

Richard zrozumiał teraz, dlaczego dziewczyna bała się mu powiedzieć, kim jest. Był jej jedynym przyjacielem. Poczuł się jeszcze gorzej; myślał tylko o sobie. Skoro mógł być jedynie przyjacielem Kahlan, to nim będzie. Choćby go to miało zabić.

- Ciężko ci było powiedzieć to wszystko - odezwał się, przypasując miecz. Dziewczyna otuliła się płaszczem, chroniąc się przed podmuchami zimnego wiatru. Twarz znów miała spokojną, zamkniętą, lecz teraz Richard potrafił dostrzec ślady bólu pod obojętną maską.

- Łatwiej by mi było się zabić.

Patrzył, jak się odwraca i odchodzi, potem ruszył za nią. Czy byłbym z nią teraz, gdyby mi to od razu powiedziała? - zastanawiał się chłopak. Czy gdyby mi to powiedziała, zanim ją dobrze poznałem, tobym się jej bał tak jak wszyscy? Może miała rację, skrywając to aż dotąd. Ale wówczas oszczędziłaby mu tego, co czuł obecnie.

Koło południa dotarli do skrzyżowania dróg. Stał tam kamienny słup o połowę wyższy od Richarda. Chłopak przystanął, oglądał znaki wyryte na wygładzonych bokach.

- Co one oznaczają?

- Podają, w jakim kierunku i w jakiej odległości znajdują się różne miasta i wioski - odparła Kahlan, grzejąc dłonie pod pachami. Skinęła ku jednemu z traktów. - Jeśli chcemy uniknąć ludzi, to chodźmy tędy.

- Czy to dużo dalej?

Dziewczyna znów popatrzyła na kamienny słup.

- Zwykle podróżowałam między miastami, a nie tymi mniej uczęszczanymi szlakami. Tu są podane tylko odległości głównymi drogami. Ale chyba parę dni dłużej.

Richard stukał palcami w rękojeść miecza.

- Są w pobliżu jakieś miasta?

- Jesteśmy godzinę lub dwie od Homers Mill. A co?

- Zyskalibyśmy na czasie, gdybyśmy mieli konie. Kahlan spojrzała w stronę miasta, jakby je stąd widziała.

- Homers Mill to miasteczko drwali, jest tam tartak. Powinni mieć sporo koni, ale lepiej tam nie idźmy. Słyszałam, że sympatyzują z D’Hara.

- Chodźmy. Jeśli będziemy mieć konie, to zyskamy co najmniej jeden dzień. Mam trochę srebra i sztukę lub dwie złota. Może uda się nam kupić parę koni.

- Chyba możemy tam pójść, jeśli będziemy ostrożni. Ale nie waż się wyciągać swojego srebra lub złota! Ma znaki Westlandu, a dla tych ludzi groźne jest wszystko, co pochodzi z zagranicy. Przesądy i zabobony.

- To jak zdobędziemy konie? Ukradniemy je?

- Tak szybko zapomniałeś? - Uniosła brew w udanym zdumieniu. - Jesteś z Matką Spowiedniczką. Wystarczy, że powiem.

- No, to chodźmy - rzucił, starając się ukryć irytację.

Horners Mili rozłożyło się na brzegu Callisidrinu. Muhste, brunatne wody rzeki dostarczały energii poruszającej tartaki, transportowano też nimi kłody i dłużyce. Wiły się boczne kanały. Nad wszystkim górowały rozwalające się budynki tartaczne. Pod wiatami i brezentowymi płachtami leżały stosy kłód, czekające na barki lub wozy. Domki przycupnęły blisko siebie, na wzgórzach ponad tartakiem. Wyglądały, jakby początkowo miały służyć jako tymczasowe schronienie i dopiero z upływem lat nabrały trwałości.

Nawet z tej odległości Richard i Kahlan spostrzegli, że coś jest nie tak. Ulice były puste, tartak milczał. A przecież powinna tam trwać krzątanina. Wszędzie powinni być ludzie: na ulicach, w sklepach, na nabrzeżach, w tartaku. Nie było śladu

ni człowieka, ni zwierzęcia Panowała cisza - tylko jakiś poluzowany brezent łopotał na wietrze i postukiwały deski w walących się ścianach tartaku.

Podeszli bliżej i wiatr przyniósł jeszcze coś - woń zgnilizny, woń śmierci. Richard sprawdził, czy miecz luźno tkwi w pochwie.

Rozdęte nabrzmiałe ciała, niektóre bliskie pęknięcia, sączył się z nich płyn przyciągający chmary much. Zmarli leżeli na rogach ulic i pod ścianami budynków, jak stosy jesiennych liści. Większość miała straszliwe rany, z niektórych sterczały ułamane dzidy. Zdawało się, że cisza żyje. Wyłamane drzwi zwisały na jednym zawiasie albo leżały na ulicy, obok połamanych mebli i dobytku Wszystkie okna były potrzaskane. Z niektórych budynków zostały tylko sterty okopconych belek i gruzu. Kahlan i Richard zasłonili nosy i usta połami płaszcza, chroniąc się przed smrodem, i wpatrywali się w zmarłych.

- Rahl?- spytał chłopak.

Dziewczyna uważnie przypatrywała się ciałom.

- Nie. Rahl tak nie zabija. Tu była bitwa.

- Bardziej mi to przypomina rzeź.

- Pamiętasz martwych Błotnych Ludzi? Tak wyglądają zabici przez Rahla. Zawsze tak samo. Tu jest inaczej.

Poszli przez miasto. Trzymali się blisko ścian, unikali środka ulic Czasem musieli przekraczać kałuże zakrzepłej krwi. Każdy sklep splądrowano i zniszczono to, czego me zabrano. Z jednego sklepiku wypływała wstęga jasnoniebieskiej tkaniny w równomiernie rozmieszczone ciemne plamy - jakby ją wyrzucono, bo właściciel splamił ją własną krwią. Kahlan pociągnęła chłopaka za rękaw wskazała na coś. Na ścianie domu wypisano krwią:

ŚMIERĆ TYM, KTÓRZY SIĘ PRZECIWSTAWIAJĄ WESTLANDOWI.

- Jak myślisz, co to znaczy? - szepnęła cicho, jakby się bała, że martwi ją usłyszą.

Richard wpatrywał się w krwawe litery.

- Pojęcia nie mam.

Poszedł dalej, ale ze dwa razy się obejrzał na ów napis.

Nagle chłopak dostrzegł wóz przed składem zbożowym. Wóz do połowy załadowany meblami i ubraniami. Wiatr trzepotał rękawami sukienek. Wymienił z Kahlan spojrzenie. Ktoś najwyraźniej przeżył i szykował się do wyjazdu.

Richard ostrożnie wszedł do składu zboża, Kahlan tuż za nim. Kurz wirował

w snopach światła wpadających przez wyłamane drzwi i okno. Poszarpane worki z ziarnem, połamane beczułki. Chłopak stanął po jednej strome drzwi, Kahlan po drugiej; poczekali, aż oczy przyzwyczają im się do mroku. Świeże ślady stóp, przeważnie małych, prowadziły do lady. Chłopak zacisnął dłoń na rękojeści miecza, lecz go nie dobył. Podszedł do lady. Chowali się za nią drżący ze strachu ludzie.

- Nie zrobię wam krzywdy - powiedział łagodnie. - Wyjdźcie.

- Czy jesteś żołnierzem Ludowej Armii Pokoju i przybyłeś nam pomóc? - zapytał zza lady kobiecy głos.

Kahlan i Richard spojrzeli na siebie.

- Nie - odparła dziewczyna. - Jesteśmy... Podróżnymi.

Zza lady wyjrzała kobieca głowa: umazana, nosząca ślady łez twarz, krótkie, splątane ciemne włosy. Poszarpana brązowa suknia. Richard cofnął dłoń z gardy miecza; nie chciał wystraszyć owej kobiety. Spojrzała na nich pustymi oczami, usta jej drżały. Dała pozostałym znak, żeby wstali. Sześcioro dzieci (pięć dziewczynek i jeden chłopiec), starzec i jeszcze jedna kobieta. Dzieci przywarły do obu kobiet, a dorośli spojrzeli najpierw na Richarda, a potem na Kahlan. Oczy im się rozszerzyły, oparli się z wrażenia o ścianę. Chłopak zmarszczył się ze zdumienia, potem zrozumiał - patrzyli na jej włosy.

Dorośli padli na kolana, pochylili nisko głowy, patrzyli w podłogę. Dzieci w milczeniu schowały twarze w spódnicach kobiet. Kahlan zerknęła z ukosa na Richarda i dała im znak, żeby wstali. Wpatrywali się w podłogę, więc nie widzieli energicznych gestów dziewczyny.

- Wstańcie - powiedziała. - To zbyteczne. Wstańcie.

Unieśli głowy, zakłopotani. Patrzyli na dłonie Kahlan, nakazujące im, żeby się podnieśli. Bardzo niechętnie usłuchali.

- Wedle rozkazu, Matko Spowiedniczko - odezwała się jedna z kobiet drżącym głosem. - Wybacz nam, Matko Spowiedniczko, my... Nie rozpoznaliśmy cię od razu... Bo twój strój... Wybacz nam, jesteśmy tylko prostymi ludźmi. Przebacz nam, że...

- Jak się nazywasz? - przerwała jej łagodnie Kahlan. Kobieta zgięła się w pasie i tak pozostała.

- Regina Clark, Matko Spowiedniczko. Kahlan złapała ją za ramiona i wyprostowała.

- Co tu się działo, Regino?

Oczy kobiety wypełniły się łzami, usta zaczęły drżeć. Zerknęła na Richarda. Kahlan też nań spojrzała.

- Może byś zabrał dzieci i starca na zewnątrz, Richardzie?

Chłopak zrozumiał, że kobiety są tak wystraszone, iż boją się przy nim mówić. Podtrzymał przygarbionego starca i wyprowadził czworo dzieci. Dwie najmłodsze dziewczynki nie chciały puścić spódnic matek, ale Kahlan dała mu znak, ze mogą zostać.

Dzieci zbiły się w grupkę i przysiadły na schodku; oczy miały puste i dalekie Nie odpowiedziały, kiedy Richard pytał o imiona, nie patrzyły wprost na niego, zerkały tylko z przerażeniem czy nie podejdzie zbyt blisko. Starzec patrzył prosto przed siebie i nie odezwał się, gdy chłopak spytał go, jak się nazywa.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, co się tu stało? - dopytywał się Richard.

- Westlandczycy... - odparł zapatrzony w ulicę starzec. I zamilkł Oczy miał pełne łez. Chłopak bał się zmuszać go do mówienia. Podał starcowi kawałek suszonego mięsa ze swoich zapasów, lecz ten me przyjął poczęstunku. Dzieci cofnęły się przed wyciągniętą ku nim ręką Richarda. Schował mięso. Najstarsza dziewczynka, niemal już kobieta, patrzyła nań tak, jakby chciał ich zjeść lub zamordować. Chłopak jeszcze nigdy me widział kogoś tak przerażonego. Nie chciał nikogo z nich wystraszyć jeszcze bardziej, więc trzymał się z dala, uśmiechając pokrzepiająco, i powtarzał, że nic złego im me zrobi. Że nawet ich nie dotknie czubkiem palca. Nie wyglądało na to, ze mu uwierzyli. Richard często popatrywał na drzwi. Czuł się nieswojo i chciał, żeby Kahlan już przyszła.

Dziewczyna zjawiła się w końcu, twarz miała niesamowicie spokojną. Richard wstał, a dzieci wbiegły z powrotem do składu. Starzec pozostał na miejscu. Kahlan ujęła ramię chłopaka, zabrała go stamtąd.

- Nie ma tu żadnych koni - powiedziała, patrząc wprost przed siebie, kiedy wracali po swoich śladach. - Lepiej unikajmy dróg, trzymajmy się mało uczęszczanych szlaków.

- Co tu się dzieje Kahlan? Co tu się stało?

Mijali ponownie krwawy napis ŚMIERĆ TYM, KTÓRZY SIĘ PRZECIWSTAWIAJĄ WESTLANDOWI. Dziewczyna gniewnie spojrzała na rozmazane litery.

- Przyszli misjonarze, aby głosić ludowi chwałę Rahla Posępnego. Często się zjawiali i opowiadali radzie miasta co nastanie, kiedy D’Hara zapanuje nad

wszystkimi kramami. Nauczali, że Rahl kocha wszystkie ludy.

- To szaleństwo!- szepnął ochryple Richard.

- Ale przekonali mieszkańców Homers Mill. Zgodzili się ogłosić, że miasto należy do D'Hary. Wkroczyła Ludowa Armia Pokoju; żołnierze każdego traktowali z najwyższym szacunkiem, wydawali mnóstwo srebra i złota. - Wskazała na stosy kłód. - Wysłannicy dotrzymali słowa. Przyszły zamówienia na drewno. Mnóstwo drewna. Na budowę nowych miast, w których żyliby dostatnio pod świetlanym panowaniem Rahla.

- I co się potem stało?

- Rozeszły się wieści, że jest tyle roboty, że miejscowi nie nadążają. Roboty dla Ojczulka Rahla. Nadciągali ludzie do pracy przy pozyskiwaniu drewna. Wtedy misjonarze, wysłannicy, opowiedzieli o zagrożeniu ze strony Westlandu. O tym, że Westland zagraża i mieszkańcom Homers Mill, i Ojczulkowi Rahlowi.

- Westland! - Richard się zdumiał.

- Tak. Ludowa Armia Pokoju odeszła, aby walczyć z siłami Westlandu i bronić innych miast, które zawarły sojusz z D'Hara Ludzie błagali, by choć paru żołnierzy zostało, dla ochrony Homers Mill. W nagrodę za ich oddanie i lojalność pozostawiono mały oddziałek.

Weszli z powrotem na trakt, którym przyszli do miasteczka. Richard ostatni raz obejrzał się za siebie.

- Więc to nie dzieło wojsk Rahla?

Kahlan poczekała, aż się z nią zrówna, i podjęła:

- Nie. Kobiety mówiły, że jakiś czas wszystko było w porządku. Potem, o świcie, jakiś tydzień temu, do miasta wpadł oddział Westlandczyków i wybił do nogi garstkę D'Haranczykow. Potem zaczęli szaleć: zabijali mieszkańców, plądrowali miasto. Wrzeszczeli, że to spotka każdego, kto idzie za Rahlem, kto się przeciwstawia Westlandowi. Odeszli przed zachodem słońca.

Richard złapał dziewczynę za ramię, gwałtownie obrócił ku sobie.

- To nieprawda! Westlandczycy tego nie zrobili! To nie byli oni! To nie mogli być oni!

- Wcale nie powiedziałam, że to prawda, Richardzie. Po prostu powtórzyłam, co mi opowiedziano, w co wierzą ci ludzie.

Chłopak puścił ją, miał jeszcze jeden powód do zaczerwienienia się.

- Nie westlandzkie wojska to zrobiły - powtórzył, bo się nie mógł pohamować.

Chciał iść dalej, lecz Kahlan go zatrzymała.

- To jeszcze nie koniec.

Chłopak spojrzał jej w oczy i pomyślał, że wcale nie chciałby usłyszeć reszty. Dał jednak znak, że słucha.

- Ci, którzy przeżyli, zaczęli natychmiast opuszczać Homers Mill, zabierając tylko to, co mogli udźwignąć. Część odeszła następnego dnia, inni - kiedy tylko pochowali pomordowanych bliskich. Pewnej nocy Westlandczycy wrócili, może z pięćdziesięciu ich było. Została już tylko garstka mieszkańców. Żołnierze powiedzieli, że nie wolno im chować przeciwników Westlandu, że mają pozostać jako żer dla zwierząt, ku przestrodze dla innych, żeby dobrze zapamiętali, co spotyka tych, którzy się opierają panowaniu Westlandu. Dla podkreślenia swoich słów zebrali resztę mężczyzn, nawet chłopców, i zabili ich. - Słowo „zabili" wypowiedziała w taki sposób, że Richard wolał nie wiedzieć, jak to zrobili. - Tego małego chłopczyka i starca po prostu przegapili, bo inaczej też by ich zamordowali. Kazali kobietom na to patrzeć. - Umilkła.

- Ile kobiet zostało?

- Nie wiem, chyba niewiele. - Obejrzała się ku miastu, a potem zwróciła gniewnie oczy na Richarda. - Żołnierze zgwałcili kobiety. I dziewczęta. - Oczy Kahlan płonęły. - Każdą z dziewczyn, które widziałeś w miasteczku, zgwałcono przynajmniej...

- Westlandczycy tego nie zrobili!

Wiem. - Wpatrywała się bacznie w twarz chłopaka. - Ale kto to zrobił? i dlaczego? - Znów przybrała maskę spokoju.

- Czy możemy im jakoś pomóc? - dopytywał się z rozpaczą.

- Ochrona paru ludzi i chowanie zmarłych to nie nasza sprawa. Naszym zadaniem jest ocalenie wszystkich żyjących, ocalenie ich dzięki zwycięstwu nad Rahlem. Mamy za mało czasu, żeby go tu poświęcać, musimy się dostać do Tamarang. I lepiej unikajmy głównych dróg, bez względu na to, co się tu dzieje.

- Masz rację - przyznał niechętnie Richard. - Ale wcale mi się to nie podoba.

- Mnie też nie. - Twarz Kahlan złagodniała. - Myślę, Richardzie, że już będą bezpieczni. Skądkolwiek są ci żołnierze, nie wrócą tu dla garstki dzieciaków i dwóch kobiet. Zajmą się ważniejszymi rozgrywkami.

Ładna mi pociecha: będą polować na większe grupy ludzi i mordować ich w imię mojej ojczyzny, dumał Richard. Jak ja tego nienawidzę! I przypomniał sobie, że

w hartlandzkich czasach, najbardziej go złościło, iż Michael zawsze go pouczał, co ma robić.

- Taki duży oddział żołnierzy na pewno nie będzie korzystał z traktów wiodących przez gęsty las; będą się trzymać dróg. Lepiej zacznijmy już szukać na noc sosny-strażniczki. Może ktoś ma na to wszystko oko?

Kahlan przytaknęła, potem dodała:

- Wielu Midlandczyków przyłączyło się do Rahla, Richardzie, i popełniło straszliwe zbrodnie. Czy przez to gorzej o mnie myślisz?

- Jasne, że nie. - Chłopak się zmarszczył.

- I ja też zachowam o tobie dobre zdanie, choćby ów czyn popełnili westlandzcy żołnierze. Jeśli twoi ziomkowie popełniają czyny budzące w tobie odrazę, to owe czyny godzą w nich, nie w ciebie. Prowadzimy wojnę. Próbujemy zrobić to, co nasi przodkowie - Spowiedniczki i Poszukiwacze - zrobili w przeszłości: próbujemy strącić z tronu złego władcę. W owej walce możemy liczyć tylko na dwoje ludzi. Na nas. - Kahlan patrzyła nań bacznymi, starymi jak czas oczami. Richard zdał sobie sprawę, że z całej siły zaciska dłoń na gardzie miecza. - Może się zdarzyć, że zostaniesz tylko ty. Wszyscy czynimy to, co musimy. - To nie Kahlan mówiła, to Matka Spowiedniczka.

Jeszcze przez chwilę patrzyła w oczy chłopaka - z trudem znosił to spojrzenie - potem odwróciła wzrok i zapatrzyła się przed siebie. Richard, dosłownie i w przenośni, zmarznięty na kość, mocniej się otulił płaszczem.

- To nie byli Westlandczycy - mruczał do siebie, idąc za Kahlan.

- Zapal to dla mnie - powiedziała Rachel.

Mała kupka patyczków, otoczona kamieniami, buchnęła płomieniem. Czerwony blask rozjaśnił przestrzeń osłoniętą gałęziami sosny-strażniczki. Dziewczynka schowała ogniową pałeczkę do kieszeni, wtrząsnęła się i ogrzewała dłonie nad ogniem. Od czasu do czasu zerkała na leżącą na jej kolanach Sarę.

- Tej nocy będziemy bezpieczne - powiedziała lalce.

Sara nie odpowiedziała - nie mówiła od tego wieczoru, kiedy uciekły z zamku - więc Rachel udała, że pocieszanka jej powiedziała, że ją bardzo kocha. Uściskała lalkę w odpowiedzi na owe milczące słowa.

Dziewczynka wyjęła z kieszeni trochę jagód i zjadała po jednej, po każdej ogrzewając rączki. Sara nie chciała jagód. Potem Rachel odgryzła odrobinę twardego sera. Tylko to zostało z żywności wyniesionej z zamku. No i oczywiście bochenek

chleba. W środku była ukryta szkatułka, więc dziewczynka nie mogła go zjeść.

Ogromnie tęskniła za Gili erem. Ale przecież musiała zrobić, co jej przykazał - uciekać i uciekać, na każdą noc szukając nowej sosny-strażniczki. Rachel nie miała pojęcia, jak daleko odeszła od zamku. Szła cały dzień - rankiem słońce świeciło jej w plecy, wieczorem w twarz, a noc spędzała pod sosną-strażniczką. Brophy ją tego nauczył. Nazywał to wędrowaniem ze słońcem. Rachel zgadywała, że właśnie to robi. Wędruje.

Sosna poruszyła się i dziewczynka drgnęła ze strachu. Wielka dłoń odsunęła gałęzie. Zalśniło ostrze miecza. Rachel patrzyła rozszerzonymi oczami, zupełnie nieruchoma.

Ukazała się męska głowa.

- A kogóż tu mamy?

Dziewczynka usłyszała jęk, uświadomiła sobie, że to ona jęknęła. Tuż obok męskiej ukazała się kobieca głowa. Kobieta odciągnęła swego towarzysza. Rachel przycisnęła Sarę do piersi.

- Schowaj miecz - beształa tamtego kobieta. - Straszysz ją. Dziewczynka przysunęła do siebie na wpół rozwinięty bochenek. Chciałaby uciec, lecz nóżki odmówiły jej posłuszeństwa. Kobieta weszła pod sosnę-strażniczkę, podeszła do małej i przysiadła na piętach. Rachel spojrzała na twarz kobiety, wtem zobaczyła jej długie, połyskujące w blasku ognia włosy. Jeszcze szerzej otwarła oczy i jęknęła rozpaczliwie. Nóżki posłuchały jej w końcu - cofnęła się i oparła o pień sosny, przysuwając piętą chleb do siebie. Długowłose kobiety zawsze oznaczały kłopoty. Zacisnęła w ząbkach stopę Sary; dyszała, każdemu oddechowi towarzyszył jęk. Oderwała oczy od długich włosów kobiety i rozglądała się na boki, szukając drogi ucieczki.

- Nie skrzywdzę cię - powiedziała kobieta. Miała miły głos, ale księżniczka Violet czasem mówiła tak samo, zanim uderzyła Rachel.

Kobieta wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia dziewczynki. Mała wrzasnęła i podskoczyła, szarpnęła się w tył.

- Nie spal Sary, proszę - powiedziała ze łzami w oczach.

- Kto to taki, Sara? - spytał mężczyzna.

Kobieta odwróciła się i uciszyła go. Znów patrzyła na Rachel, a ta nie odrywała oczu od długich, spływających na plecy włosów.

- Nie spalę Sary - powiedziała łagodnie kobieta.

Dziewczynka wiedziała z doświadczenia, że kiedy długowłosa kobieta przemawia takim tonem, to prawdopodobnie kłamie. A głos tej pani był naprawdę miły.

- Zostaw nas w spokoju, proszę - pisnęła płaczliwie.

- Nas? - Kobieta rozejrzała się wokół, spojrzała prosto na Sarę. - A, rozumiem. Więc to jest Sara? - Rachel kiwnęła główką i mocniej zagryzła stopkę lalki. Wiedziała, że dostanie mocnego klapsa, jeśli nie odpowie długowłosej pani. - Bardzo ładna lala. - Kobieta się uśmiechnęła. Dziewczynka wolałaby, żeby tamta się nie uśmiechała; uśmiechy długowłosych kobiet oznaczały zazwyczaj jakieś tarapaty.

Mężczyzna wyjrzał zza długowłosej pani.

- Mam na imię Richard. A ty?

- Rachel - odparła. Spodobały się jej jego oczy.

- Rachel. Ładne imię. Ale muszę ci powiedzieć, Rachel, że tak paskudnych włosków jak twoje to w życiu nie widziałem.

- Richardzie! - Kobieta się oburzyła. - Jak mogłeś powiedzieć coś takiego!

- Przecież to prawda. Kto je tak poszarpał, Rachel, jakaś stara wiedźma? Dziewczynka zachichotała.

- Richardzie! - zbeształa go znów kobieta. - Przestraszysz ją.

- Och, co za bzdury. Mam nożyczki w plecaku, Rachel, i całkiem niezły ze mnie fryzjer. Chcesz, żebym poprawił ci fryzurkę? Przynajmniej je wyrównam. Bo jak je tak zostawimy, to jeszcze wystraszysz smoka albo i inną maszkarę.

Rachel znów zachichotała.

- O tak, proszę. Bardzo bym chciała mieć gładkie, równe włosy.

- No, to siadaj mi na kolanach i zrobimy z nimi porządek. Dziewczynka obeszła kobietę, nie spuszczając oka z jej rąk i trzymając się najdalej, jak mogła. Richard ujął małą w pasie wielkimi rękami i posadził sobie na kolanach. Rozprostował kilka kosmyków.

- Przyjrzyjmy się temu dobrze.

Rachel wciąż patrzyła na kobietę. Bała się, że ta ją spoliczkuje. Richard też się na nią obejrzał.

- To Kahlan - oznajmił, wskazując ją nożyczkami. - Mnie też z początku przerażała. Jest okropnie brzydka, prawda?

- Richardzie! Gdzieś się tak nauczył rozmawiać z dziećmi?!

- Od pewnego granicznego strażnika. - Uśmiechnął się. Rachel zaśmiała się do

niego, nie mogła się powstrzymać.

- Wcale nie jest brzydka. To najładniejsza pani, jaką w życiu widziałam. To była prawda, ale dalej przerażały ją długie włosy Kahlan.

Dziękuję, Rachel. I ty jesteś bardzo ładna. Zjadłabyś coś? Dziewczynka nigdy nie śmiałaby powiedzieć komuś długowłosemu - jakiejś damie czy lordowi - że jest głodna. Księżniczka twierdziła, że to niestosowne, i ukarała Rachel, kiedy ta, zapytana, przyznała, że jest głodna. Zerknęła na Richarda. Uśmiechnął się, ale wciąż za bardzo się bała, żeby powiedzieć Kahlan, iż chętnie by coś zjadła.

- Założę się, że tak. - Kahlan poklepała ramię małej. - Złowiliśmy kilka ryb i jeśli nam pozwolisz skorzystać z ognia, to się nimi podzielimy. Co ty na to? - Uśmiechnęła się naprawdę sympatycznie.

Rachel znów spojrzała na Richarda. Mrugnął do niej, a potem westchnął.

- Boję się, że złowiliśmy więcej, niż damy radę zjeść. Jeśli nam nie pomożesz, to będziemy musieli część wyrzucić.

- No dobrze. Skoro macie je wyrzucić, to lepiej pomogę je zjeść.

- Gdzie twoi rodzice? - spytała Kahlan, zsuwając z ramion plecak. Rachel powiedziała prawdę, bo nic innego nie przyszło jej do głowy w tym momencie.

- Nie żyją.

Ręce Richarda znieruchomiały i znów podjęły strzyżenie. Kahlan miała smutną minę, lecz Rachel nie wiedziała, czy to udawane, czy nie. Uścisnęła łagodnie ramię dziewczynki. - Tak mi przykro, Rachel.

Małej nie było zbyt smutno. Nie pamiętała swoich rodziców. Pamiętała jedynie ów dom, w którym mieszkała z innymi dziećmi.

Richard strzygł Rachel, a Kahlan wyjęła patelnię i zaczęła smażyć ryby. Richard nie kłamał - było ich naprawdę mnóstwo. Kahlan dodawała jakichś przypraw. Rachel widziała, jak kucharze robili to samo. Unosiły się smakowite aromaty i dziewczynce zaczęło burczeć w brzuszku. Spadały ścinane kosmyki włosków. Ależby się księżniczka Violet wściekała, pomyślała Rachel, gdyby wiedziała, że mi równają włosy! Richard przyciął najdłuższy pukiel, związał odcięte włosy cienkim kawałkiem pnącza. Podał dziewczynce. Popatrzyła nań ze zdumieniem.

- Schowaj to. Pewnego dnia spodoba ci się jakiś chłopak i wtedy dasz mu ten pukiel swoich włosów, żeby je nosił na sercu. - Mrugnął do niej. - Żeby mu zawsze ciebie przypominały.

Rachel zachichotała.

- Jesteś największym głuptasem, jakiego znam!

Roześmiał się głośno. Kahlan uśmiechnęła się, patrząc nań. Dziewczynka schowała pukiel do kieszeni.

- Jesteś lordem?

- Niestety, Rachel, jestem tylko leśnym przewodnikiem. - Posmutniał trochę.

No i dobrze, że nie jest lordem, ucieszyła się mała. Richard wyjął z plecaka małe lusterko i podał jej.

- Przyjrzyj się sobie i powiedz, co myślisz o mojej robocie.

Wzięła lusterko i spróbowała się przejrzeć. Jeszcze nigdy nie widziała takiego małego lustereczka, więc trochę potrwało, zanim się sobie przyjrzała w blasku ogniska. Otwarła szeroko załzawione oczy. Przytuliła się do Richarda.

- Dziękuję ci, Richardzie, dziękuję! Jeszcze nigdy nie miałam takiej ładnej fryzurki!

Chłopak odwzajemnił uścisk; był równie przyjacielski i krzepiący jak uścisk Gillera. Duża, ciepła dłoń gładziła ramionka dziewczynki. Jeszcze nikt tak długo jej nie tulił. Rachel chciała, żeby to się nigdy nie skończyło. Ale skończyło się.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Jesteś niezwykłą osobą, Richardzie Cypher - szepnęła.

Nadziała na patyk duży kawał ryby i podała Rachel. Poradziła małej, żeby dmuchała na rybę, aż wystygnie, aby nie poparzyła sobie ust. Dziewczynka trochę podmuchała, ale była zbyt głodna, żeby czekać, aż ryba dostatecznie się wystudzi. I tak była to najsmaczniejsza ryba w jej życiu. Równie dobra jak ów kawałek pieczeni, który dostała od kucharza.

- Jeszcze jeden kawałek? - spytała Kahlan, a Rachel potaknęła. Dziewczyna wyjęła zza pasa nóż. - Czy moglibyśmy dostać do ryby twojego chleba? - Sięgała już po bochenek.

Rachel porwała chleb, zanim Kahlan zdążyła go dosięgnąć. Przytuliła oburącz bochenek.

- Nie! - Odpychała się piętami od ziemi, odsuwając od Kahlan Richard przestał jeść, dziewczyna zmarszczyła brwi. Rachel wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła na ogniowej pałeczce od Gillera.

- O co chodzi, Rachel? - spytała Kahlan.

Giller przykazał, żeby nikomu nie wierzyć. Trzeba coś wymyślić. Co by Giller powiedział?

- To dla mojej babci! - Łza spłynęła po policzku małej.

- Skoro to dla twojej babci, to nie dotkniemy chleba - powiedział Richard. - Prawda, Kahlan?

- Oczywiście. Przepraszam cię, Rachel, przecież nie wiedzieliśmy. Obiecuję, że go nie dotkniemy. Wybaczysz mi?

Dziewczynka wyjęła rączkę z kieszeni i kiwnęła główką. Gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła wykrztusić słowa.

- Gdzie jest twoja babcia, Rachel? - spytał Richard.

Mała zamarła; tak naprawdę to nie miała żadnej babci. Próbowała sobie przypomnieć nazwę jakiegoś miasteczka. Nazwy wymieniane przez doradców królowej.

- Homers Mill - to pierwsze jej się przypomniało.

Jeszcze nie skończyła mówić, a już wiedziała, że popełniła błąd. Richard i Kahlan mieli przerażone miny i zerkali na siebie. Przez chwilę panowała zupełna cisza, Rachel nie miała pojęcia, co teraz będzie. Wpatrywała się w szpary pomiędzy gałęziami sosny-strażniczki.

- Nie dotkniemy chleba twojej babci, Rachel - powiedział łagodnie Richard. - Obiecuję.

- Weź jeszcze kawałek ryby - dodała Kahlan. - Możesz tam położyć bochenek, na pewno go nie ruszymy.

Dziewczynka nie drgnęła. Myślała, żeby stąd uciec, ale wiedziała, że oni biegają szybciej i na pewno ją złapią. Musiała zrobić to, co nakazał Giller - chować szkatułkę aż do zimy, bo inaczej wszystkim tym ludziom obetną głowy.

Richard podniósł Sarę i położył sobie na kolanach. Udawał, że karmi lalkę.

- Sara zje wszystkie ryby. Jeśli chcesz jeszcze trochę, to się pośpiesz. Chodź, usiądź mi na kolanach i zajadaj. Zgoda?

Rachel wpatrywała się w ich twarze, próbowała ocenić, czy mówią prawdę. Długowłose kobiety tak łatwo kłamią. Popatrzyła na Richarda - hmm, wygląda, że nie kłamie. Wstała i podbiegła do niego. Posadził ją sobie na kolanach, a Sarę położył na kolanach małej. Rachel przytuliła się do chłopaka i zajadali rybę. Dziewczynka w ogóle nie spojrzała na Kahlan. Księżniczka Violet zawsze mówiła, że nie należy wciąż się gapić na długowłosą damę, że to niewłaściwe. A Rachel nie miała ochoty dostać po buzi. Ani żeby ją ściągnięto z kolan Richarda. Tu jej było dobrze i bezpiecznie.

- Nie możemy cię puścić do Homers Mill, Rachel - odezwał się chłopak. - Przykro mi, nie możemy. Nikt tam już nie został. I nie jest tam bezpiecznie.

- No cóż. To pójdę gdzie indziej.

- Obawiam się, Rachel, że nigdzie nie jest bezpiecznie - wtrąciła się Kahlan. - Zabierzemy cię ze sobą, wtedy nic ci się nie stanie.

- A dokąd?

- Idziemy do Tamarang, do królowej. - Kahlan się uśmiechnęła. Dziewczynka przestała żuć rybę, dech jej zaparło. - Zabierzemy cię ze sobą. Jestem pewna, że jeśli poproszę, to królowa znajdzie kogoś, kto się tobą zaopiekuj e.

- Jesteś pewna, Kahlan? - szepnął Richard. - A co z czarodziejem? Dziewczyna kiwnęła głową i odparła cicho:

- Zajmiemy się tym, zanim obedrę Gillera ze skóry.

Rachel z trudem przełknęła rybę, teraz mogła oddychać. Wiedziała! Wiedziała, że nie należy ufać długowłosej kobiecie. Omal się nie rozpłakała - a już zaczynała lubić Kahlan! Richard był taki miły. Dlaczego on jest taki miły i grzeczny dla Kahlan? Jak może być taki dla kobiety, która chce skrzywdzić Gillera. Ja też taka byłam dla księżniczki Violet, żeby mi nic złego nie zrobiła. Pewno i on się boi, że mu się dostanie. Współczuła Richardowi. Chciała, żeby uciekł od Kahlan, tak jak ona uciekła od księżniczki Violet. Może powinna powiedzieć Richardowi o szkatułce i potem razem uciekliby od Kahlan? Nie. Giller mówił, żeby nikomu nie ufała. Richard pewnie się zbyt boi Kahlan i jeszcze jej powie. Rachel będzie dzielna dla Gillera. Dla tych wszystkich ludzi. Musi stąd odejść.

- Rankiem się zastanowimy - powiedziała Kahlan. - Teraz śpijmy, żeby wstać o pierwszym brzasku.

Richard kiwnął głową. Cały czas tulił Rachel.

- Ja obejmę pierwszą wartę. Ty się prześpij.

Podniósł małą i podał Kahlan. Rachel przygryzła język, żeby nie krzyknąć. Dziewczyna mocno ją przytuliła. Rachel zerknęła na jej nóż. Pisnęła i wyciągnęła ręce do Richarda. Uśmiechnął się i podał jej Sarę. Nie tego chciała, ale wzięła lalkę, przycisnęła do siebie i zagryzła jej stopkę, żeby nie płakać.

- Do rana, malutka. - Richard zwichrzył włoski Rachel

I zniknął, a ona została sama z Kahlan. Mocno zacisnęła powieki. Musi być dzielna, nie rozpłacze się. Ale się rozpłakała.

Kahlan mocno tuliła dziewczynkę. Rachel drżała. Palce dziewczyny gładziły

włoski małej. Kołysała ją, a Rachel zerkała na szparę w gałęziach po przeciwległej stronie. Pierś dziewczyny poruszała się jakoś dziwnie i Rachel uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że Kahlan także płacze. Przytuliła policzek do czubka głowy małej.

Rachel już, już miała jej uwierzyć... Ale przypomniała sobie, co czasem mawiała księżniczka Violet, że wymierzanie kary boli bardziej niż bycie ukaranym. Oczy dziewczynki rozszerzyły się ze strachu, co też Kahlan planuje jej zrobić, że aż nad tym płacze! Nawet księżniczka Violet nigdy nie płakała, wymyślając dla niej karę! Dziewczynka załkała jeszcze rozpaczliwiej.

Kahlan odsunęła rączki Rachel, otarła jej łzy. Nóżki małej zbyt się trzęsły, żeby mogła uciec.

- Zimno ci? - szepnęła Kahlan. W jej głosie wciąż słychać było łzy.

Rachel się bała, że i tak dostanie po buzi, bez względu na to, co powie. Kiwnęła główką i przygotowała się na cios. Ale Kahlan wyjęła koc z plecaka i otuliła je obie. Żeby mi trudniej było uciec, pomyślała dziewczynka.

- Przytul się, coś ci opowiem. Ogrzejemy się wzajemnie. Zgoda?

Rachel położyła się na boku, plecami do Kahlan, a dziewczyna przytuliła ją. Było cieplutko i przytulnie, lecz Rachel wiedziała, że to tylko dla zmyłki. Kahlan przysunęła twarz do ucha małej i opowiedziała historyjkę o rybaku zamienionym w rybę. W myślach dziewczynki pojawiły się barwne obrazy i na chwilę zapomniała o swoich kłopotach. W pewnej chwili nawet się zaśmiały razem, ona i Kahlan. W końcu Kahlan skończyła opowiadać, cmoknęła Rachel i pogłaskała jej czółko.

Dziewczynka wyobraziła sobie, że Kahlan wcale nie jest taka zła. To nic niewłaściwego, takie wyobrażanie sobie. Tak przyjemnie było czuć palce Kahlan na włosach i słuchać cichutko nuconej piosenki. Chyba tak jest, jak się ma mamę, pomyślała Rachel.

Dziewczynka zasnęła wbrew swej woli i miała wspaniałe sny. Ocknęła się w środku nocy, kiedy Richard budził Kahlan, ale udawała, że dalej śpi.

- Może wolisz dalej przy niej spać? - szepnął najciszej. Rachel wstrzymała oddech.

- Nie - odszepnęła Kahlan. - Wezmę wartę.

Dziewczynka słyszała, jak tamta wkłada płaszcz i odchodzi. Nasłuchiwała uważnie, w którą stronę pójdą stopy Kahlan. Richard dorzucił drew do ognia i położył się w pobliżu małej. Pod Sosną-strażniczką pojaśniało. Rachel wiedziała, że Richard na nią patrzy, czuła jego wzrok na plecach. Tak by chciała mu powiedzieć, jaka ta

Kahlan jest w gruncie rzeczy zła i poprosić, żeby razem uciekli. Był taki dobry, najlepszy na świecie. Richard wyciągnął rękę, poprawił Rachel koc. Cicho zapłakała.

Słyszała, jak kładzie się na plecach, otula kocem. Wyczekała, aż zaczął równo, spokojnie oddychać - spał. Wtedy się wyśliznęła spod koca.

Rozdział trzydziesty szósty

Richard wszedł pod gałęzie sosny-strażniczki i ciężko usiadł przed ogniskiem. Kahlan spojrzała nań wyczekująco. Przyciągnął swój plecak i zaczął się pakować.

- No i?

- Znalazłem jej ślady. - Łypnął gniewnie na dziewczynę. - Wiodą na zachód, tam skąd przyszliśmy. Kilkaset jardów dalej weszła na trakt. Zostawiła je całe godziny temu. - Wskazał miejsce po przeciwległej stronie namiotu z gałęzi. - Tamtędy wyszła. Okrążyła cię lasem, daleko się trzymała. Łatwiej mi było znaleźć ślady ludzi, którzy chcieli się ukryć, niż tej małej. Ona staje na samym czubku kamieni czy korzeni i jest taka lekka, że prawie nie zostawia śladów. Widziałaś jej ramionka?

- Zauważyłam długie siniaki. Po rózgach.

- Nie to, chodzi mi o zadrapania.

- Nie widziałam żadnych zadrapań.

- Otóż to. A sukienkę miała pozaciąganą, przedzierała się przez jeżyny i mimo to nie podrapała sobie rąk. Jest bardzo delikatna, ostrożna, unika zaczepienia się o cokolwiek. Dorosły po prostu by sobie szedł, zostawiając za sobą połamane lub pogięte gałązki. Rachel prawie niczego nie dotyka. Powinnaś zobaczyć, jakie ja zostawiłem ślady, szukając jej po zaroślach - ślepy by zauważył. Ona się przemyka leciutko jak wietrzyk. Przez chwilę nie byłem nawet pewien, czy faktycznie wróciła na trakt. Jest boso, nie lubi wchodzić w kałuże lub muł, bo to bardziej oziębia jej stopy, więc staje tam, gdzie sucho, i nie zostawia śladów.

- Powinnam była zobaczyć, jak się wymyka.

Richard pojął, iż Kahlan sądzi, że on ją za to wini. Westchnął z irytacji.

- To nie twoja wina, Kahlan. Też bym jej nie zauważył. Nie chciała, żebyśmy ją dostrzegli. To sprytna dziewczynka.

Jego słowa wcale dziewczyny nie pocieszyły.

- Ale potrafisz ją wytropić, tak? Zerknął na Kahlan z ukosa.

- Tak. - Sięgnął do kieszonki na piersi. - Znalazłem tu coś. - Uniósł znacząco brew. - Na sercu. - Wyjął pukiel włosów Rachel, związany kawałkiem łodygi pnącza. - Żebym o niej pamiętał.

Kahlan wstała, twarz miała zupełnie szarą.

- To moja wina.

Wyszła poza gałęzie. Richard próbował ją złapać za rękę, ale się wyrwała. Odłożył plecak i poszedł za nią. Stała w pewnej odległości, tyłem do niego.

Skrzyżowała ramiona i patrzyła na las.

- To nie twoja wina, Kahlan.

- To przez moje włosy. Nie widziałeś strachu w jej oczach, kiedy patrzyła na moje włosy? Widziałam to już tysiące razy. Czy wiesz, jak to jest, kiedy ludzie, nawet i dzieci, stale się ciebie boją? - Nie odpowiedział. - Obetniesz mi włosy, Richardzie?

- Co takiego?!

Obróciła się ku niemu i popatrzyła błagalnie.

- Obetniesz mi włosy? Richard patrzył w oczy pełne bólu.

- A sama nie możesz ich obciąć?

- Nie mogę. - Odwróciła się. - Magia nie pozwala Spowiedniczkom obcinać sobie samodzielnie włosów. Jeśli próbujemy to zrobić, czujemy tak ogromny ból...

- Jak to?

- Pamiętasz, jakie cierpienie zesłała na ciebie magia miecza, kiedy zabiłeś tamtego mężczyznę? To ten sam ból. Odebrałby Spowiedniczce przytomność, zanimby skończyła obcinać sobie włosy. Tylko raz spróbowałam. Każda Spowiedniczka próbuje raz. Jeden jedyny raz. Inni podcinają nam włosy w razie potrzeby, ale nikt by się nie ośmielił ściąć ich zupełnie. - Znów spojrzała na Richarda. - Zrobisz to dla mnie? Obetniesz mi włosy?

Chłopak odwrócił oczy, popatrzył na błękitniejące niebo. Starał się pojąć, co sam czuje i co musi odczuwać Kahlan. Wciąż tak niewiele o niej wiedział. Jej życie, jej świat dalej stanowiły dlań tajemnicę. Kiedyś chciał je dokładnie poznać. Teraz wiedział, że to nigdy nie nastąpi. Rozdzielała ich przepaść po brzegi wypełniona magią. Magia wyraźnie dawała do zrozumienia, że się mają trzymać osobno. Spojrzał na Kahlan.

- Nie.

- Ale dlaczego?

- Bo szanuję cię za to, jaka jesteś. A Kahlan, którą znam, nie oszukiwałaby ludzi, nie udawałaby, że ma niższą pozycję. To by niczego nie zmieniło, choćby ci się udało kogoś zmylić. Jesteś Matką Spowiedniczka. Możemy być tylko tym, kim jesteśmy; ani nikim mniej, ani nikim więcej. - Richard się uśmiechnął. - Powiedziała mi to kiedyś pewna mądra kobieta, moja przyjaciółka.

- Żaden mężczyzna nie przepuściłby okazji obcięcia włosów Spowiedniczce.

- Ale nie ten mężczyzna. Ten jest twoim przyjacielem. Kiwnęła głową, ręce dalej miała splecione.

- Pewnie jej zimno. Nie wzięła koca.

- Jedzenia też nie zabrała, tylko ten bochenek, nad którym tak się trzęsie z jakiegoś powodu. A przecież jest okropnie głodna.

- Zjadła więcej niż ty czyja. - Kahlan uśmiechnęła się w końcu. - Przynajmniej ma pełny brzuszek. Kiedy dotrze do Homers Mill, Richardzie...

- Ona wcale nie idzie do Homers Mill.

- Przecież tam jest jej babcia.

- Nie ma babci. - Chłopak potrząsnął głową. - Nawet nie drgnęła, kiedy powiedziałem, że nie może tam iść, choć przed chwilą twierdziła, że tam mieszka jej babcia. Oznajmiła, że w takim razie pójdzie gdzie indziej. Nie sprzeciwiała się, nie spytała o babcię. Ona przed czymś ucieka.

- Ucieka? Może przed tą osobą, która jej tak posiniaczyła ramionka.

- I plecki. Wzdrygała się, ile razy dotknąłem jakiegoś siniaka, ale nawet nie pisnęła. Tak bardzo chciała, żeby ją ktoś utulił. - Na twarzy Kahlan odmalowało się współczucie. - Powiedziałbym, że ucieka od tego, kto jej tak paskudnie pościnał włosy.

- Włosy?

- A tak. To ją miało naznaczyć, może jako czyjąś własność? Nikt by nikomu tak nie poszarpał włosów, chyba że to miało coś znaczyć. Zwłaszcza w Midlandach, gdzie wszyscy tyle uwagi poświęcają włosom. To było celowe: zaznaczało czyjąś władzę nad Rachel. Dlatego wyrównałem jej włoski, żeby usunąć piętno.

- I dlatego tak się cieszyła, że są równo przycięte - szepnęła zapatrzona w przestrzeń Kahlan.

- To coś więcej niż zwykła ucieczka. Ta mała kłamie lepiej niż karciarz. Kłamie jak ktoś, kogo zmusza przemożna konieczność.

- Na przykład co? - Dziewczyna popatrzyła nań bacznie.

- Nie mam pojęcia - westchnął Richard. - Ale to ma coś wspólnego z owym bochenkiem chleba.

- Z chlebem? Naprawdę tak uważasz?

- Nie miała ani butków, ani płaszczyka, tylko lalkę. To jej największy skarb, a przecież pozwoliła nam jej dotknąć. Ale nie dała nam się ani o milimetr zbliżyć do chleba. Nie znam się na midlandzkiej magii, lecz tam, skąd pochodzę, małe dziewczynki na pewno nie przedkładają chleba nad lalkę, i nie sądzę, żeby tu było inaczej. Czy widziałaś jej oczy, kiedy sięgnęłaś po chleb, a ona go od ciebie odsunęła?

Gdyby miała nóż, to by cię pchnęła.

- Chyba sam w to nie wierzysz, Richardzie - napomniała go dziewczyna. - Ten bochenek chleba nie mógł być dla Rachel aż tak ważny.

- Nie? Sama powiedziałaś, że więcej zjadła niż my obydwoje razem wzięci. Zaczynałem podejrzewać, że jest spokrewniona z Zeddem. Wytłumacz mi, dlaczego ani nie uskubnęła chleba, skoro była aż taka głodna? - Potrząsnął głową. - Coś tu się dzieje, a ów bochenek odgrywa w tym znaczącą rolę.

- To idziemy za nią? - Kahlan postąpiła krok ku chłopakowi.

Ząb zaciążył chłopakowi na szyi. Głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

- Nie. Jak to z lubością powtarza Zedd, nic nigdy nie jest proste i łatwe. Rahl szuka szkatuły, a my byśmy mieli ścigać małą dziewczynkę i sprawdzać, co z bochenkiem chleba?

Kahlan ujęła jego dłoń.

- Nienawidzę tego, co z nami robi Rahl Posępny. - Ścisnęła rękę chłopaka. - Jak szybko ta mała się wkradła do naszych serc.

- O, tak. - Richard przytulił ją wolnym ramieniem. - To wspaniała dziewczynka. Mam nadzieję, że znajdzie to, czego szuka, i że będzie bezpieczna. - Puścił Kahlan i ruszył ku sośnie-strażniczce po rzeczy. - Zbierajmy się.

Żadne z nich nie chciało rozmawiać o tym, co czuje, porzucając Rachel, wydając ją na łup nieznanych jej niebezpieczeństw. Postanowili, że pójdą tak daleko i szybko, jak tylko zdołają.

Dzień zbliżał się ku końcowi, dziki las zdawał się nie mieć końca.

Wysiłek sprawiał, że nie czuli chłodu. Richard cieszył się z każdej przegradzającej trakt pajęczyny, zaczynał uważać pająki za swoich opiekunów. Przedtem, kiedy był przewodnikiem, zawsze go złościły muskające twarz pajęczyny. Teraz zaś, przy każdej zrywanej sieci, powtarzał w myślach: dzięki, siostro pajęczyco.

Tuż koło południa zatrzymali się na nagrzanych słońcem skałkach, nad lodowatym strumieniem. Richard zwilżył twarz zimną wodą, chcąc sobie dodać energii. Już był zmęczony. Posiłek też był zimny i trwał tyle tylko, ile zajęło przełknięcie go. Obydwoje wsunęli do ust ostatnie kęsy, otarli dłonie o spodnie i zeskoczyli z płaskiej różowej skałki. Chłopak starał się nie myśleć o Rachel, lecz oto zdał sobie sprawę, że znów martwi się o dziewczynkę. Widział, jak Kahlan ściąga czasem brwi i rozgląda się dokoła. Raz spytał dziewczynę, czy uważa, że podjął

właściwą decyzję. Nie musiała pytać, o jaką decyzję mu idzie. Zamiast tego spytała, ile czasu zajęłoby dopędzenie Rachel. Richard odparł, że ze dwa dni; gdyby wszystko dobrze poszło, przynajmniej jeden na dotarcie tutaj.

- Dwa dni to za dużo - powiedziała Kahlan. - Nie mogę tyle poświęcić. Trochę to chłopaka uspokoiło.

Późnym popołudniem słońce schowało się za jeden z odległych szczytów gór Rang Shada; barwy lasu zmieniły się nieco, wiatr ucichł, zapanował spokój i cisza. Richard zdołał odpędzić myśli o Rachel i zastanawiał się, co zrobią, kiedy wreszcie dotrą do Tamarang.

- Zedd nam mówił, Kahlan, żebyśmy się obydwoje trzymali z dala od Rahla Posępnego, że jesteśmy wobec niego bezbronni że nic mu nie możemy zrobić.

- Rzeczywiście, tak powiedział. - Zerknęła przez ramię na chłopaka.

- A Shota powiedziała - Richard zmarszczył brwi - że królowa wkrótce nie będzie miała szkatułki.

- Może chodziło jej o to, że to my dostaniemy szkatułkę.

- Nie, ostrzegała nas, że królowa wkrótce ją utraci, więc powinniśmy się spieszyć. A co, jeśli Rahl tam już jest?

Kahlan obejrzała się, zwolniła i zrównała się z Richardem.

- Cóż z tego, gdyby był? Nie ma rady. Idę do Tamarang. Wolisz tu na mnie zaczekać?

- Jasne, że nie! Po prostu uważam, że powinniśmy stale pamiętać, dokąd idziemy, i że Rahl może już tam być.

- Już od dawna o tym rozmyślam.

Richard przez chwilę maszerował w milczeniu. W końcu spytał:

- I co wymyśliłaś? Co zrobimy, jeśli tam jest?

- Jeżeli Rahl Posępny jest w Tamarang - odparła Kahlan, patrząc przed siebie - i my też się tam znajdziemy, to najprawdopodobniej umrzemy.

Chłopak zmylił krok. Nie zaczekała nań, poszła dalej.

W lesie było coraz mroczniej. Małe obłoczki zapłonęły czerwienią - gasnącym żarem odchodzącego dnia. Trakt biegł teraz brzegiem rzeki Callisidrin - czasem tak blisko, że widzieli płynące wody, a jeśli nie, to i tak słyszeli ich szum. Przez całe popołudnie Richard nie wypatrzył ani jednej sosny-strażniczki. Teraz też żadna nie wystawała ponad inne drzewa. Ściemniało się coraz bardziej i chłopak stracił nadzieję, że znajdzie sosnę przed nocą. Zaczął wypatrywać innego schronienia.

Wreszcie znalazł popękaną skałę u podnóża wzniesienia, dobrze osłoniętą drzewami Uznał, że to niezłe miejsce na obóz, choć pod gołym niebem.

Księżyc stał już całkiem wysoko. Kahlan gotowała cos na ognisku. Richard nieoczekiwanie złapał w sidła dwa króliki i dołożył do garnka.

- Mamy tyle jedzenia, że moglibyśmy nakarmić i Zedda - odezwała się dziewczyna.

I jak przywołany jej słowami pojawił się Zedd. Rozczochrane siwe włosy, trochę poszarpane szaty. Wszedł w krąg blasku i zatrzymał się po drugiej strome ogniska, wsparłszy się pod boki.

- Umieram z głodu! - oznajmił. - Jedzmy!

Richard i Kahlan zamrugali ze zdumienia i poderwali się na równe nogi. Chłopak dobył miecza i starzec też zamrugał ze zdumienia. Richard w mgnieniu oka przeskoczył ognisko i wycelował miecz w żebra Zedda.

- A to co znowu?! - spytał starzec.

- Cofnij się - rozkazał Richard.

Rozdzieleni mieczem, przesunęli się ku drzewom. Chłopak bacznie czegoś wypatrywał.

- Czy mogę spytać, co wyprawiasz, drogi chłopcze?

- Już raz mnie przywołałeś i raz cię spotkałem, ale w obu wypadkach to nie byłeś ty. Trzecia pomyłka zdarza się tylko głupcom - stwierdził Richard.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. - Trzeci raz nie dam się oszukać, nie będę głupkiem. Tam. - Wskazał brodą. - Przejdź pomiędzy tamtymi drzewami.

- Ani mi się śni! - zaprotestował starzec. - Schowaj miecz, chłopcze!

- Schowam go między twoje żebra - zagroził przez ściśnięte zęby chłopak - jeśli tego nie zrobisz!

Starzec wykonał gest pełen zdumienia, uniósł trochę szatę, przekroczył jakiś niski krzaczek, pomrukując coś pod nosem, a Richard popędzał go mieczem. Zedd zerknął przez ramię i wszedł pomiędzy drzewa. Rozerwał pajęczą sieć. Richard szeroko się uśmiechnął.

- Zedd! To naprawdę ty!

- Pewnie, że ja. To najprawdziwsza prawda - rzekł godnie Zedd. Wsparł się pod boki i zerkał na chłopaka jednym okiem.

Richard wsunął miecz do pochwy i tak serdecznie uściskał starego przyjaciela, że niemal go zadusił. - Tak się cieszę, Zeddzie, że znów jesteś! Starzec machał

rękami, próbując złapać powietrze. Chłopak puścił go, przyjrzał mu się cały rozpromieniony i ponownie wyściskał.

- A co by to się działo, gdybyś się jeszcze bardziej ucieszył z mojego widoku! Aż się boję o tym pomyśleć!

Richard objął Zedda ramieniem i przyprowadził do ogniska.

- Przepraszam za to, ale musiałem się upewnić. Nie mogę uwierzyć, że jesteś z nami! Tak się cieszę, że cię widzę! I jestem szczęśliwy, że wydobrzałeś. Mamy tyle do obgadania.

- Dobrze, dobrze. Możemy się już zająć jedzeniem? Podeszła Kahlan i też uścisnęła starca.

- Tak się o ciebie martwiliśmy - powiedziała.

Zedd odwzajemnił uścisk i tęsknie spoglądał na kociołek ponad ramieniem dziewczyny.

- Wiem, wiem. Ale lepiej nam się będzie rozmawiało z pełnym żołądkiem.

- Jeszcze niegotowe. - Uśmiechnęła się.

- Niegotowe? - Zedd spojrzał na nią z wyrzutem. - Na pewno? Może lepiej sprawdźmy?

- Jestem pewna. Dopiero co nastawione.

- Niegotowe - mruknął do siebie Zedd. Podparł ręką łokieć drugą dłonią pocierał brodę. - Cóż, zajmiemy się tym. A wy obydwoje się cofnijcie.

Czarodziej zakasał rękawy szaty, patrząc przy tym na ognisko jak na niegrzeczne dziecko. Wyciągnął kościste ramiona, rozcapierzył palce. Wokół kościstych dłoni zaszumiał błękitny ogień, narastał, szykował się do skoku. Zasyczał i strzelił błękitnym zygzakiem, mierząc w kociołek, który aż podskoczył. Płomień otoczył kociołek, ocierał się o niego jak kot, a zawartość naczynia bulgotała pod błękitnymi płomykami, wrzała i kipiała. Czarodziej cofnął dłonie i błękitny ogień zniknął.

- No, teraz gotowe - oznajmił z satysfakcją. - Jedzmy!

Kahlan przyklękła, nabrała potrawy na drewnianą łyżkę i pokosztowała.

- Ma rację. Gotowe.

- Co tak stoisz i się gapisz, chłopcze! Rusz się i podaj talerze.

Richard potrząsnął głową i zrobił, co mu kazano. Kahlan nałożyła pełny talerz, położyła na brzegu parę sucharków i chłopak podał to Zeddowi. Starzec nie usiadł. Stał obok nich przy ognisku i zajadał z apetytem. Dziewczyna nałożyła potrawki sobie

i Richardowi, a Zedd już podsuwał pusty talerz po dokładkę. Dopiero teraz czarodziej usiadł. Richard przysiadł naprzeciwko niego, na sterczącej skałce, Kahlan obok chłopaka.

Richard odczekał, aż Zedd zje połowę nowej porcji, i wówczas spytał:

- Jak ci poszło z Adie? Dobrze się tobą opiekowała?

Zedd rzucił nań okiem, zamrugał Chłopak mógłby przysiąc, że twarz czarodzieja poczerwieniała, i to nie był odblask ognia.

- Cóż, my... Adie... - Spojrzał na zdumioną twarz Kahlan. - My... Hmm... Dobrze nam poszło. - Łypnął wściekle na Richarda. - A cóż to za pytanie?!

Kahlan i Richard popatrzyli na siebie.

- Nie miałem nic zdrożnego na myśli - sumitował się chłopak. - Ale nie mogłem nie zauważyć, że Adie to ładna kobieta. I interesująca. Sądziłem, że i ty to zauważysz. - Richard się uśmiechnął sam do siebie.

- Wspaniała kobieta. - Zedd pochylił twarz nad talerzem, przesuwał coś widelcem. - Co to? Zjadłem już trzy, a dalej nie wiem co.

- Korzeń tava - wyjaśniła Kahlan. - Nie smakuje ci?

- Tego nie powiedziałem. - Czarodziej się uśmiechnął. - Po prostu chciałem wiedzieć, co to. - Uniósł głowę. - Adie mi powiedziała, że dostałeś od niej nocny kamień. To dzięki niemu cię odnalazłem. - Pogroził Richardowi widelcem. - Mam nadzieję, że się ostrożnie obchodziłeś z tym kamieniem. Nie wyjmowałeś go bez potrzeby. Szczególnie naglącej potrzeby. Nocne kamienie są ogromnie niebezpieczne. Adie powinna była cię ostrzec. Powiedziałem jej to! - Dźgnął widelcem korzeń tava. - Najlepiej byłoby się go pozbyć.

- Wiemy - mruknął chłopak i nakłuł kawałek mięsa.

W głowie Richarda kłębiły się pytania, które chciał zadać Zeddowi. Nie wiedział, od czego zacząć. Starzec go ubiegł i spytał pierwszy:

- Stosowaliście się do moich poleceń? Unikaliście kłopotów? Co porabialiście?

- Spędziliśmy sporo czasu u Błotnych Ludzi - odparł Richard.

- Z Błotnymi Ludźmi? - zadumał się Zedd. - Dobrze - oznajmił w końcu, unosząc widelec z kawałkiem mięsa. - Tam przynajmniej nie groziło wam nic szczególnego. - Wsunął mięso do ust i zanurzył widelec w zawartości talerza po kawałek sucharka i sos. Zajadał i mówił jednocześnie. - A więc mile spędziliście czas u Błotnych Ludzi. - Spostrzegł, że nic nie mówią, i patrzył to na jedno, to na drugie. -

Tam przynajmniej nie wpadliście w żadne tarapaty. - To brzmiało jak rozkaz.

Richard popatrzył na Kahlan. Dziewczyna zanurzyła sucharek w potrawce.

- Zabiłam jednego ze starszych - powiedziała, nie podnosząc oczu, i włożyła sucharek do ust.

Zedd upuścił widelec, ale zdążył go złapać tuż nad ziemią.

- Co takiego!?

- To była samoobrona - ujął się za nią Richard. - Przecież próbował cię zabić, Kahlan.

- Coo? - Zedd wstał i ponownie usiadł. - O kurczę! Czemu starszy miałby się ośmielić podnieść rękę na... - Gwałtownie zacisnął wargi i zerknął na Richarda.

- Na Spowiedniczkę - dokończył chłopak i spochmurniał. Starzec popatrzył na dwie pochylone głowy.

- Aha. Więc mu powiedziałaś.

- Parę dni temu - potwierdziła dziewczyna.

- Ledwo parę dni temu - mruknął Zedd. Jadł przez chwilę w milczeniu, popatrując podejrzliwie to na jedno, to na drugie. - A dlaczego starszy ośmielił się podnieść rękę na Spowiedniczkę?

- To było wtedy, kiedy się przekonaliśmy, co potrafi nocny kamień - wyjaśnił Richard. - Zaraz potem ogłosili nas Błotnymi Ludźmi.

- Przyjęli was do Błotnych Ludzi? Dlaczego? - Zedd wytrzeszczał zdumione oczy. - Wziąłeś sobie żonę!

- Hmm... Nie. - Chłopak wyciągnął zza koszuli rzemyk i pokazał czarodziejowi gwizdek Człowieka Ptaka. - Tylko to mi dali.

Zedd przelotnie zerknął na gwizdek.

- Czemu się zgodzili, żebyś nie... I dlaczego przyjęli was do swego szczepu?

- Bo ich o to poprosiliśmy. Musieliśmy. Tylko tak mogliśmy ich skłonić, żeby zwołali dla nas radę widzących.

- Co takiego! Zwołali dla was radę?

- Tak. Tuż przed pojawieniem się Rahla Posępnego.

- Co takiego!!! - zaryczał Zedd i zerwał się na równe nogi. - Rahl Posępny tam był! Przecież wam mówiłem, żebyście się trzymali z dala od niego!!!

- Przecież go tam nie zapraszaliśmy. - Richard podniósł głowę.

- Zabił wielu Błotnych Ludzi - odezwała się Kahlan; patrzyła w swój talerz i powoli jadła.

Zedd zapatrzył się w czubek głowy dziewczyny i wolniutko usiadł.

- Tak mi przykro - powiedział miękko. - A co wam powiedziały duchy przodków?

- Że musimy iść do wiedźmy - wyjaśnił Richard.

- Do wiedźmy! - Zedd przymrużył oczy. - Której wiedźmy? Dokąd?

- Do Shoty. W kotlinie Agaden.

Czarodziej się skrzywił i mało nie puścił talerza. Ze świstem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Do Shoty! - Rozejrzał się, jakby ktoś mógł usłyszeć, ściszył głos, pochylił się ku Kahlan. - Do licha! Co cię napadło, żeś go zaprowadziła do kotliny Agaden? Przecież przysięgłaś, ze go będziesz chronić!

- Wcale tego nie chciałam - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Możesz mi wierzyć.

- Musieliśmy tam iść. - Richard wystąpił w obronie dziewczyny.

- Dlaczego? - Zedd łypnął na chłopaka.

- Żeby się dowiedzieć, gdzie jest szkatuła. I dowiedzieliśmy się, Shota nam powiedziała.

- Shota wam powiedziała - przedrzeźniał starzec, patrząc nań gniewnie. - Co jeszcze powiedziała? Shota zawsze łączy to, co chciałbyś usłyszeć, z tym, o czym byś wolał nie wiedzieć.

Kahlan zerknęła z ukosa na Richarda, lecz nie odwzajemnił spojrzenia.

- Nic. Nic innego nie powiedziała. - Bez mrugnięcia wytrzymał spojrzenie Zedda. - Tylko, że królowa Milena ma w Tamarang ostatnią szkatułę Ordena. Zdradziła nam to, bo jej życie od tego zależy.

Richard nie odwrócił wzroku od gniewnych oczu Zedda. Wątpił, czy stary przyjaciel mu uwierzył, lecz nie miał zamiaru zdradzać, co jeszcze powiedziała Shota. Jakże mógłby powiedzieć Zeddowi, że on lub Kahlan (albo i obydwoje) skończy jako zdrajca? Że Zedd zaatakuje go czarodziejskim ogniem, a Kahlan dotknie go swoją mocą? W końcu tylko on wiedział o księdze. Oni nie mieli o tym pojęcia.

- Mówiłeś, Zeddzie - odezwał się cicho chłopak - że chcesz, żebym nas troje przeprowadził do Midlandów, i że masz jakiś plan na czas, kiedy się tu znajdziemy. Potem powaliła cię ta bestia z zaświatów, straciłeś przytomność i nie wiedzieliśmy, czy i kiedy się ockniesz. Nie miałem pojęcia, co robić, nie znałem twojego planu. Nadchodzi zima. Musimy powstrzymać Rahla Posępnego. - Dalej mówił już

twardszym tonem. - Radziłem sobie bez ciebie najlepiej, jak potrafiłem. Wiele razy, już sam nie wiem ile, byliśmy o krok od śmierci. Wiedziałem tylko, że musimy odnaleźć szkatułę. Kahlan mi pomogła i dowiedzieliśmy się, gdzie jest skrzyneczka. Strasznie dużo nas to kosztowało. Jeżeli ci nie odpowiada to, co uczyniłem, to zabieraj z powrotem ten przeklęty Miecz Prawdy, mam go powyżej uszu! Mam dość tej całej sprawy!

Richard rzucił talerz na ziemię i odszedł w mrok. Stanął tyłem do ogniska, do Zedda i Kahlan. Gardło miał ściśnięte, kontury drzew rozmazywały się. Nie spodziewał się, że aż tak się rozzłości. Tak bardzo chciał zobaczyć Zedda, a teraz się nań rozgniewał. Pozwolił gniewowi szaleć, czekał, aż się sam wypali.

Zedd i Kahlan wymienili spojrzenia.

- Taak, widzę, że mu naprawdę powiedziałaś - rzekł łagodnie czarodziej. Postawił talerz na ziemi, wstał i poklepał ramię dziewczyny. - Tak mi przykro, skarbie.

Richard nawet się nie poruszył, kiedy poczuł dłoń Zedda na swoim ramieniu.

- Przepraszam, chłopcze. Pewnie było ci ciężko. Zapatrzony w ciemność chłopak potaknął.

- Zabiłem mieczem człowieka. Magią. Starzec odczekał chwilę, a potem rzekł:

- Dobrze cię znam. Jestem pewien, że musiałeś to zrobić.

- Nie - szepnął boleśnie Richard. - Wcale nie musiałem. Myślałem, że bronię Kahlan, że ratuję jej życie. Nie wiedziałem, że jest Spowiedniczką, że nie potrzebuje obrony. Ale na pewno chciałem go zabić. I na pewno mi się spodobało.

- Tylko tak ci się zdawało. To było działanie magii.

- Nie jestem tego pewny. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Przepraszam, Richardzie, że wyglądało na to, że się na ciebie złoszczę. Sam na siebie się wściekam. Dobrze postępowałeś To ja zawiodłem.

- Co masz na myśli?

- Chodź i usiądź przy nas. - Zedd poklepał go po ramieniu. - Opowiem wam, co się działo.

Ruszyli ku ognisku. Kahlan patrzyła na nich, czuła się ogromnie samotna. Richard znów usiadł obok niej i uśmiechnął się leciutko. Odwzajemniła uśmiech. Zedd podniósł swój talerz, popatrzył nań twardo i ponownie odstawił.

- Boję się, że mamy sporo kłopotów - powiedział cicho.

Richard miał już gotową sarkastyczną uwagę, ale ugryzł się w język i zapytał:

- Dlaczego? Co się stało? Co z twoim planem?

- Mój plan. - Zedd się skrzywił, podciągnął kolana i owinął nogi szatą. - Miałem zamiar powstrzymać Rahla na odległość, że tak powiem, nie mierząc się z nim bezpośrednio i nie narażając was obydwojga na niebezpieczeństwo spotkania z nim. Wy mieliście pozostać na uboczu, a ja bym się z nim rozprawił. Ale teraz nic z tego, tylko wasz plan ma szansę powodzenia. Nie powiedziałem wam wszystkiego o szkatułach Ordena, bo to wiedza nie dla was. To nie wasza sprawa, tylko moja. - Popatrzył na nich. Gniew zamigotał w jego oczach i zgasł. - Ale to chyba już nie ma znaczenia.

- A czegóż to nie powinniśmy wiedzieć? - spytała Kahlan, trochę zirytowana. I jej, tak jak Richardowi, wcale się nie spodobało, że byli w niebezpieczeństwie, nic o tym nie wiedząc.

- Trzy szkatuły działają, jak mówiłem - powiedział Zedd - każda ma swoją magię, ale trzeba wiedzieć, którą otworzyć. Tyle wiem. Wszystko jest zawarte w Księdze Opisania Mroków. Owa księga mówi, jak się posłużyć szkatułami. A ja jestem jej opiekunem.

Richard skamieniał. Miał wrażenie, że ząb zeskoczy z rzemyka. Nie mógł się poruszyć, z trudem oddychał.

- Wiesz, co jest w której szkatule? - spytała Kahlan. - Wiesz, którą powinien otworzyć Rahl?

- Nie. Jestem opiekunem, strażnikiem księgi. Wszystko jest w niej napisane. Lecz nie czytałem jej. Nie mam pojęcia, co jest w której szkatule ani jak się tego domyślić. Gdybym przeczytał księgę, to owa wiedza mogłaby się rozprzestrzenić. Otwieranie księgi groziło zbyt wielkim ryzykiem. Więc nigdy do niej nie zajrzałem. Jestem opiekunem wielu ksiąg; to tylko jedna z nich, ale za to bardzo ważna.

Chłopak zdał sobie sprawę, jak szeroko otwiera oczy, i mrugnął parę razy żeby im przywrócić normalny wyraz. Niemal całe życie wyczekiwał dnia, kiedy odnajdzie strażnika księgi, a to był Zedd! Nie mógł się otrząsnąć z szoku.

- Gdzie była księga? - dopytywała się Kahlan. - Co się z nią stało?

- Była w mojej wieży. W Wieży Czarodzieja w Aydindril.

- Byłeś aż w Aydindril? - spytała niespokojnie Kahlan. - Jak tam teraz jest? Bezpiecznie?

- Aydindril padło. - Zedd odwrócił oczy.

- O, nie... - Dziewczyna zasłoniła usta, łzy napłynęły jej do oczu.

- Niestety, tak - potwierdził starzec. Skubał szatę. - Nie za dobrze z nimi. Przynajmniej dałem najeźdźcom do myślenia - mruknął pod nosem.

- Kapitam Riffkin, porucznik Delis i Miller? Nasze wojska?

Zedd patrzył w ziemię i przy każdym nazwisku potrząsał głową. Kahlan przycisnęła ręce do piersi, westchnęła i zagryzła wargi. Ogromnie ją poruszyły te wieści.

Richard uznał, że musi coś powiedzieć, ukryć szok, który nim wstrząsnął.

- Co to jest Wieża Czarodzieja?

- To schronienie, bezpieczne miejsce, w którym czarodzieje przechowują ważne, magiczne przedmioty: księgi przepowiedni oraz jeszcze ważniejsze od tamtych, księgi zaklęć i instrukcji, jak Księga Opisania Mroków. Jedne z tych ksiąg służą do szkolenia nowych czarodziejów, inne - jako skarbnice informacji, a jeszcze inne jako oręż. Przechowuje się tam również i inne magiczne przedmioty, jak na przykład Miecz Prawdy, mówiąc między nami Poszukiwaczami. Wieżę chroni magiczne zaklęcie; może tam wejść jedynie czarodziej. A przynajmniej tak sądzono. Jednak ktoś tam wszedł. Nie rozumiem, jak zdołał ujść z życiem. To musiał być Rahl Posępny. Teraz ma księgę. - Może to nie był Rahl - wykrztusił Richard, wyprostowany

- Jeśli to nie był Rahl Posępny - Zedd przymrużył oczy - to jakiś złodziej. Bardzo sprytny, lecz mimo wszystko złodziej.

- Zedd... Ja... - Chłopakowi tak zaschło w ustach, że ledwo mówił. - Sądzisz, że ta Księga Opisania Mroków powie nam, jak powstrzymać Rahla? Żeby się nie posłużył szkatułami?

- Już mówiłem - Zedd wzruszył kościstymi ramionami nigdy nie otwierałem tej księgi. Ale z innych ksiąg wiem, że ona pomocna tylko dla tej osoby, która ma szkatuły. Ma dopomóc w korzystaniu z magii, a nie w powstrzymaniu kogoś przed tym. Najprawdopodobniej więc nic by nam nie dała. Chciałem zabrać tę księgę i zniszczyć ją, żeby Rahl nie mógł z niej skorzystać. Księga zaginęła i nie mamy wyboru, musimy odnaleźć ostatnia szkatułę.

- A czy Rahl może otworzyć szkatuły, choć nie ma księgi? - spytała Kahlan.

- Pewnie, że może, wie wystarczająco dużo. Ale dalej nie będzie miał pojęcia, którą wybrać.

- A więc otworzy szkatułę, z księgą czy bez niej - odezwał się Richard. - Musi. Umrze, jeśli tego nie zrobi. Nie ma nic do stracenia. Otworzyłby szkatułę i tak, nawet

gdybyś odzyskał księgę, Zeddzie. Ma szansę trafić na właściwą skrzyneczkę.

- Jeśli ma księgę, to będzie wiedział, którą otworzyć. Myślałem, że chociaż ją zniszczę, jeśli nie uda się nam odnaleźć ostatniej szkatuły. Wtedy mielibyśmy szansę, że wybierze dobrze dla nas - rzekł z goryczą Zedd. - Dałbym wszystko, żeby zniszczyć tę księgę.

Kahlan położyła dłoń na ramieniu Richarda; chłopak omal nie podskoczył.

- Więc Richard zrobił to, co powinien zrobić Poszukiwacz: dowiedział się, gdzie jest szkatuła. Ma ją królowa Milena. Uśmiechnęła się pokrzepiająco do chłopaka. - Poszukiwacz znakomicie wypełnił swe zadanie.

Myśli Richarda tak wirowały, że nie zdołał odwzajemnić uśmiechu.

- A jak ją wydostaniemy od królowej? - zapytał Zedd, ujmując brodę w palce. - Wiedzieć, gdzie jest, to jedno, a zdobyć ją, to drugie.

- To właśnie królowej Milenie ów wąż w srebrzystych szatach sprzedał swoje usługi - wyjaśniła słodziutko Kahlan. - I teraz czeka go niemiłe spotkanie z Matką Spowiedniczką.

- Giller? To Giller poszedł do królowej Mileny? - Zedd zmarszczył się jeszcze gniewniej. - Sądzę, że niezbyt, chętnie spojrzy mi w oczy.

- Zostaw to mnie. Jest moim czarodziejem. Ja się nim zajmę.

Richard patrzył to na jedno, to na drugie. Poczuł się nagle zbyteczny. Wielki czarodziej i Matka Spowiedniczką zastanawiali się, co począć z wyrodnym czarodziejem, jakby rozmawiali o wypieleniu chwastów w ogrodzie. Chłopak pomyślał o swoim ojcu, który mu powiedział, że zabrał księgę, żeby nie wpadła w chciwe łapy. Łapy Rahla Posępnego.

- Może miał do tego dobry powód - wyrwało się Richardowi. Tamci drgnęli i spojrzeli nań, jakby zapomnieli, że jest przy nich.

Dobry powód? - parsknęła Kahlan Chciwość nim kierowała. Uciekł i zostawił mnie bojówkom.

- Czasem ludzie kierują się innymi powodami, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. - Chłopak spojrzał na nią spokojnie. - Może uważał, że szkatuła jest ważniejsza.

Dziewczyna tak się zdumiała, że nie zdołała nic odpowiedzieć. Zedd zmarszczył brwi; siwe, oświetlone blaskiem ognia włosy nadawały mu niesamowity wygląd.

- Może masz rację. Być może Giller wiedział, że królowa ma szkatułę, i chciał

jej strzec. Na pewno wiedział, gdzie są szkatuły. - Czarodziej uśmiechnął się ironicznie do chłopaka. - Być może Poszukiwacz otwiera przed nami nowe perspektywy. Pewno mamy w Tamarang sprzymierzeńca.

- A może nie - odezwała się Kahlan.

- Wkrótce się przekonamy - westchnął czarodziej.

- Wczoraj byliśmy w Homers Mill, Zeddzie - powiedział Richard.

- Widziałem. I inne takie miasteczka też.

- To nie robota Westlandczyków, prawda? To nie mogli być Westlandczycy! Mówiłem Michaelowi, żeby zebrał armię i bronił Westlandu. Nie kazałem mu na nikogo napadać. A już na pewno nie na bezbronnych ludzi. To nie mogli być Westlandczycy. Oni by tego nie zrobili.

- Nie, to nie był nikt z Westlandu. Ani nie widziałem Michaela, ani o nim nie słyszałem.

- Więc kto to zrobił?

- To ludzie Rahla. Na jego rozkaz.

- To nie ma sensu - odezwała się Kahlan. - Miasto było lojalne wobec D'Hary. Stacjonował tam mały oddział Ludowej Armii Pokoju i został wybity do nogi.

- Właśnie dlatego rozkazał to zrobić. Młodzi popatrzyli nań ze zdumieniem.

- To bezsensowne - powtórzyła dziewczyna.

- Pierwsze prawo magii.

- Coo? - spytał Richard.

- Pierwsze prawo magii: ludzie są głupi. - Richard i Kahlan zmarszczyli się jeszcze bardziej. - Ludzie są głupi: podaj im odpowiednie wytłumaczenie, a niemal we wszystko uwierzą. Są głupi, więc uwierzą w kłamstwo, bo chcą, żeby to była prawda, lub dlatego, że się obawiają, iż to może być prawda. Mają w głowach mnóstwo wiadomości, faktów, przekonań - przeważnie fałszywych, ale uważają, że to wszystko prawda. Ludzie są głupi. Rzadko widzą różnicę między kłamstwem a prawdą, lecz wierzą, że zawsze odróżniają jedno od drugiego, więc tym łatwiej ich oszukać. To ze względu na owo pierwsze prawo magii dawni czarodzieje stworzyli Spowiedniczki i Poszukiwaczy, żeby pomagali odnaleźć prawdę wtedy, kiedy jest ona naprawdę ważna. Rahl zna prawa magii. Teraz stosuje pierwsze z nich. Ludzie potrzebują wroga, żeby się zjednoczyć we wspólnym celu. A wtedy łatwiej nimi kierować. Poczucie wspólnego celu jest o wiele ważniejsze niż prawda. W gruncie rzeczy prawda nie ma z tyra nic wspólnego. Rahl ukazuje ludziom wroga, przy okazji

wybiela siebie, daje im cel. Ludzie zaś są głupi: chcą w to wierzyć, więc wierzą.

- Ależ oni byli po jego stronie - zaprotestowała Kahlan. - Zabił swoich stronników.

- Sama wiesz, że nie wszystkich zabito. Niektórych zgwałcono i torturowano, ale zostawiono przy życiu, żeby roznieśli tę wieść. Zauważ, że nie ocalał ani jeden żołnierz, który mógłby zaprzeczyć tej opowieści. Nieważne, że to nieprawda - ten, kto usłyszy ich opowieść, uwierzy w nią; wszyscy uwierzą, bo ukazuje im wroga, przeciwko któremu mogą się jednoczyć. Ocaleni rozniosą tę wieść, rozprzestrzeni się jak ogień. Rahl co prawda zniszczył kilka własnych miast i stracił trochę żołnierzy, ale setki innych miast staną po jego strome. Poprze go mnóstwo ludzi, bo im obieca, że będzie ich chronił przed tym wrogiem. Do prawdy trudno przekonać, to tylko prawda i nic więcej, wiara w nianie nie daje.

- Ale to przecież nieprawda - upierał się lekko osłupiały Richard. - Jak Rahl sobie z tym poradzi? Czemu by mieli mu wierzyć?

- Ty wiedziałeś swoje. - Zedd spojrzał surowo na chłopaka. - Wiedziałeś, że to nie jest robota Westlandczyków, a przecież i ty zwątpiłeś. Bałeś się, że to może być prawda. Jeśli się boisz, że coś może się okazać prawdą, to znaczy, że dopuszczasz taką możliwość. A dopuszczenie możliwości czegoś to pierwszy krok do uwierzenia w to. Na szczęście jesteś bystry i zacząłeś się zastanawiać. Pomyśl, Richardzie, jak łatwo jest uwierzyć w cos ludziom, którzy nie zadają sobie pytań, nie zastanawiają się; którzy nawet by tego nie potrafili. To nie prawda ma znaczenie dla większości ludzi, lecz motywacja. Rahl jest inteligentny, dał im motywację. - Oczy Zedda błysnęły znacząco. - To pierwsze prawo magii, bo jest najważniejsze. Zapamiętaj.

- Ale przecież wiedzą ci, którzy mordowali. To było morderstwo. Jak mogli to zrobić?

- Poczucie celu. - Starzec wzruszył ramionami. - Zrobili to dla sprawy.

- Przecież to wbrew naturze. Morderstwo jest wbrew naturze.

- Ależ, chłopcze - uśmiechnął się czarodziej - morderstwo jest nierozłącznie splecione z naturą, właściwe wszystkim żywym istotom.

Richard wiedział, że Zedd go podpuszcza, to była jego stara metoda: obrazoburcze, obraźliwe niekiedy stwierdzenia. Lecz chłopak był poirytowany i nie mógł się powstrzymać.

- Tylko czasem. U drapieżców. I tylko po to, żeby przeżyć. Spójrz na te drzewa, one nawet nie myślą o zabijaniu.

- Morderstwo jest nierozłącznie splecione z naturą, właściwe wszystkim żywym istotom - powtórzył Zedd. - Każda żywa istota jest mordercą.

Richard szukał wsparcia u Kahlan.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała. - Już dawno się nauczyłam, że nie należy dyskutować z czarodziejami.

Chłopak spojrzał na wspaniałą sosnę, oświetloną blaskiem ognia. W jego umyśle pojawiła się iskierka zrozumienia. Zobaczył rozczapierzone w morderczych zamiarach gałęzie, broń w wieloletniej walce o światło słońca: słoneczny blask dla mnie, cień dla innych. Jeśli sosna zwycięży, zdobędzie przestrzeń dla swoich siewek, a i tak wiele z nich zmarnieje w cieniu rodzicielki. Najbliżsi sąsiedzi wielkiej sosny byli słabi i pokręceni - ofiary jej siły. Zedd miał rację: w przyrodzie odnosi się sukces poprzez zabójstwo.

Starzec obserwował oczy Richarda. Dał mu nową lekcję; to w ten sposób go uczył, od dzieciństwa.

- Nauczyłeś się czegoś, chłopcze?

- Tak. Życie dla najsilniejszych. Nie ma litości dla pokonanych, jest tylko podziw dla siły zwycięzcy.

- Ludzie nie myślą w ten sposób - wyrwało się Kahlan.

- Nie? - Zedd uśmiechnął się chytrze. Wskazał małe, pokrzywione drzewko i wielką sosnę. - Spójrz na jedno i na drugie, kochanie. I powiedz mi, które ci się najbardziej podoba.

- To. - Wskazała wielką sosnę. - To piękne drzewo.

- A widzisz? Ludzie myślą w ten sposób. Jest piękna, powiedziałaś. Wybrałaś drzewo, które zabija, a nie to, które jest zabijane. - Zedd uśmiechnął się triumfalnie. - Prawo przyrody.

- Wiedziałam, że się nie powinnam odzywać.

- Możesz zamknąć usta, jeśli chcesz, lecz nie zamykaj umysłu. Jeśli chcemy pokonać Rahla Posępnego, to musimy go najpierw zrozumieć. Tylko wtedy zdołamy go zniszczyć.

- To w ten sposób zdobywa nowe ziemie - odezwał się Richard, stukając palcem w gardę Miecza Prawdy. - Daje innym motywację i pozwala, żeby je dla niego zdobywali. A sam może się uganiać za szkatułami. Nikt mu nie przeszkadza.

- Racja - przytaknął Zedd. - Pierwsze prawo magii wykonuje większość roboty za Rahla. Dlatego nasza misja jest taka trudna. Ludzie stoją po stronie Rahla, bo nie

dbają o prawdę. Słuchają jego rozkazów, bo wierzą w to, w co chcą wierzyć, i oddają życie za to, w co wierzą, choćby to był największy fałsz.

Richard podniósł się powoli, zapatrzył w noc.

- Cały czas sądziłem, że walczymy ze złem. Z szalejącym na swobodzie złem. A to wcale nie tak. Bo walczymy z plagą. Plagą głupców.

- Dobrze to ująłeś, chłopcze. Plaga głupców.

- Kierowanych przez Rahla Posępnego - dorzuciła Kahlan. Zedd zerknął na dziewczynę.

- Jeśli ktoś wykopie dziurę, a deszcz ją wypełni wodą, to po czyjej stronie leży wina? Deszcz jest winny? Czy ten, kto wykopał dziurę? To wina Rahla Posępnego, czy też tego, kto kopie dziury i pozwala Rahlowi je wypełniać?

- Może obu stron - powiedziała Kahlan. - Ale to nam przysparza mnóstwa wrogów.

- I to ogromnie niebezpiecznych. - Zedd uniósł znacząco palec. - Głupcy, którzy nie dostrzegają prawdy, są śmiertelnie groźni. Ale to chyba już wiesz, Spowiedniczko? - Przytaknęła. - Nigdy nie robią tego, czego się spodziewasz, ani tego, co powinni robić, i mogą cię zaskoczyć. Możesz zginąć przez ludzi, po których nigdy byś się tego nie spodziewała.

- To niczego nie zmienia - stwierdziła Kahlan. -. Jeżeli Rahl zdobędzie szkatuły i otworzy właściwą, to zabije nas wszystkich. To on jest głową węża, głową, którą musimy zniszczyć.

- Racja. - Zedd poruszył ramieniem. - Ale musimy pozostać przy życiu, jeśli chcemy zabić owego węża. A jest całe mnóstwo małych wężyków, które będą chciały nas uśmiercić.

- To już wiemy - wtrącił Richard. - Lecz, jak powiedziała Kahlan, to niczego nie zmienia. Jeśli chcemy zabić Rahla, to musimy znaleźć szkatułę. - Usiadł obok dziewczyny.

- Nie zapominaj o jednym - powiedział Zedd ze śmiertelną powagą. - Rahl Posępny z łatwością może zabić ciebie - pokazał kościstym palcem na Richarda, potem Kahlan - i ciebie - Na koniec wskazał na siebie. - I mnie również.

- To dlaczego tego nie czyni? - spytał chłopak, prostując się nieco.

- A czy ty biegasz po pokoju i zabijasz muchy? - spytał czarodziej, unosząc brew. - Nie. Po prostu nie zwracasz na nie uwagi. Nie są warte zainteresowania. Chyba że zaczną ciąć. Wtedy dopiero je tępisz. - Nachylił się ku młodym. - Lada

moment go ukłujemy.

Richard i Kahlan zerknęli na siebie z ukosa.

- Pierwsze prawo magii - powiedział chłopak, czując spływającą po plecach strużkę potu. - Nie zapomnę.

- I nie rozpowiadaj tego - napomniał go czarodziej. - Tylko czarodzieje powinni znać prawa magii. Prawa magii mogą ci się wydać cyniczne i trywialne, ale jeżeli się potrafisz nimi posługiwać, są potężnym orężem, bo są prawdziwe. Prawda to potęga. Mówię wam to, bo jestem naczelnym czarodziejem i uznałem, że powinniście wiedzieć i rozumieć. To my troje mamy powstrzymać Rahla, więc i wy obydwoje musicie wiedzieć, co on robi, jakimi metodami się posługuje.

Kahlan i Richard kiwnęli potakująco głowami.

- Już późno - ziewnął Zedd. - Dużo podróżowałem, żeby was dogonić. Potem pogadamy.

- Ja wezmę pierwszą wartę. - Chłopak się poderwał. Miał coś do zrobienia i chciał to zrobić, zanim coś jeszcze się wydarzy. - Weź moje koce, Zeddzie.

- Zgoda. Ja wezmę drugą wartę. - Druga warta z trzech była najgorsza, bo rozdzielała czas snu. Kahlan zaczęła protestować. - To ja się pierwszy zgodziłem, skarbie.

Richard pokazał im wystającą skałkę - to tam będzie, gdy już obejdzie teren. Zostawił ich. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli, lecz jedna wybijała się ponad wszystkie inne. Noc była cicha i chłodna, lecz nie zimna. Chłopak nie zapiął płaszcza; uważnie szedł pomiędzy drzewami. Ledwo zwracał uwagę na nawoływania nocnych stworzeń. W pewnym momencie zatrzymał się i wdrapał na szczyt głazu, po czym popatrzył za siebie, ku ognisku. Zaczekał, aż Zedd i Kahlan się owiną kocami. Wtedy zsunął się z głazu i ruszył tam, skąd dobiegał szum płynącej wody.

Dotarł na brzeg rzeki. Wypatrywał kawałka drewna, który mu odpowiadał. Richard pamiętał słowa Zedda: że musi mieć odwagę uczynić to, co niezbędne dla powodzenia ich misji, nawet zabić któreś z nich, jeśli się to okaże konieczne. Chłopak znał Zedd i wiedział, że starzec nie rzuca słów na wiatr, że mówi jak najbardziej serio. Świetnie wiedział, że Zedd byłby zdolny zabić i jego, i - co najważniejsze - Kahlan.

Chłopak wyjął ząb zza koszuli, zdjął z szyi rzemyk Trzymał go w dłoni i czuł jego ciężar. Przyglądał się zębowi w księżycowej poświacie i rozmyślał o ojcu. Ząb był jedynym dowodem, że ojciec Richarda nie ukradł księgi, że zabrał ją dlatego, żeby nie wpadła w łapy Rahla Posępnego. Chłopak ogromnie chciał opowiedzieć Zeddowi

o wszystkim, powiedzieć mu, że jego ojciec był bohaterem, że oddał życie, by powstrzymać Rahla i ocalić wszystkich. Pragnął, żeby zapamiętano bohaterski czyn ojca. Chciał o wszystkim powiedzieć Zeddowi.

Lecz nie mógł.

Czarodziej chciał zniszczyć Księgę Opisania Mroków. A teraz to on, Richard, nią był. Shota ostrzegała, że Zedd może użyć przeciwko niemu czarodziejskiego ognia, lecz powiedziała też, że chłopak ma szansę pokonać starca. Może właśnie w ten sposób? Zedd musiałby go zabić, żeby zniszczyć księgę. Richard nie dbał o własne życie, nie miał już po co żyć.

Ale nie chciał, żeby Kahlan umarła. Gdyby Zedd się dowiedział, że noszę tę księgę we własnej głowie, rozmyślał Richard, toby mnie zmusił do zdradzenia jej treści i dowiedziałby się, że Rahl potrzebuje Spowiedniczki, aby się upewnić, że to prawdziwy tekst, a została tylko jedna jedyna Spowiedniczka. Kahlan. Gdyby Zedd się dowiedział, to zabiłby ją, żeby przeszkodzić Rahlowi w poznaniu księgi.

Richard nie mógł dopuścić, żeby starzec się dowiedział o tym wszystkim, żeby zabił Kahlan.

Chłopak owinął rzemyk wokół kawałka drewna i mocno wepchnął ząb w szparę. Wbił go w drewno, żeby nie wyleciał. Chciał się pozbyć owego zęba, odrzucić go jak najdalej od siebie.

- Wybacz mi, ojcze - szepnął.

Zamachnął się i cisnął ów kawałek drewna z zębem. Patrzył, jak zatacza łuk w powietrzu i z pluskiem wpada w ciemną wodę. W blasku księżyca dostrzegł, jak drewno wypływa na powierzchnię. Stał ze ściśniętym gardłem i obserwował, jak spływa z prądem. Czuł się nagi bez owego zęba.

W końcu drewno zniknęło. Richard okrążył obóz. Chłopakowi szumiało w głowie, czuł się pusty. Usiadł na skałce, którą im przedtem wskazał, i patrzył na obóz.

Jakże tego nienawidził. Że musiał skłamać Zeddowi, że nie mógł mu zaufać. I co z nim będzie, jeśli nie może już ufać najdawniejszemu przyjacielowi? Sięgała ku Richardowi ręka Rahla i zmuszała do czynów, których wcale nie chciał popełniać.

Gdy to wszystko się skończy i Kahlan będzie bezpieczna, to wrócę do domu, postanowił chłopak.

W połowie swojej warty Richard znów wyczuł obecność stwora, który ich śledził. Nie widział co prawda jego oczu, lecz czuł ich spojrzenie. Stworzenie stało na wzgórzu po drugiej stronie obozowiska i patrzyło. Chłopaka przeszył dreszcz.

Odległy dźwięk sprawił, że Richard gwałtownie się wyprostował. Warknięcie, pomruk, skowyt. I znów cisza. Coś umarło. Chłopak wpatrywał się w ciemność, usiłował zobaczyć, lecz widział tylko mrok. Stwór, który za nim szedł, zabił coś. Albo sam zginął. Richard poczuł litość i żal. Stwór tak długo za nimi szedł, a nigdy nie wyrządził im nic złego. Pewnie, że to nic nie znaczyło. Może po prostu czekał na odpowiednią okazję? A jednak Richard z jakiegoś powodu uważał, że ów stwór wcale im nie chciał wyrządzić krzywdy.

Chłopak znów wyczuł owo spojrzenie. Uśmiechnął się - stwór wciąż żył. Powinienem sprawdzić, co to jest, pomyślał Richard, ale się powstrzymał. Nie czas na to. To stworzenie mroków. Lepiej zaczekać, aż samo zechce się ujawnić.

Richard jeszcze raz usłyszał skowyt ginącego stworzenia. Tym razem rozległ się bliżej niego.

Zjawił się Zedd, wypoczęty i świeży, zajadający kawałek suszonego mięsa. Usiadł obok chłopaka, chciał się podzielić mięsem. Richard odmówił.

- Co z Chase’em, Zeddzie? Wyzdrowiał?

- Tak. O ile wiem, wypełnia twoje polecenia.

- To dobrze. Cieszę się, że wydobrzał. - Richard zeskoczył ze skałki, chciał się przespać.

- Co ci powiedziała Shota, Richardzie?

Chłopak przyjrzał się twarzy przyjaciela, widocznej w księżycowej poświacie.

- To moja tajemnica. Nikt inny nie powinien tego usłyszeć. - Zdziwił go ostry ton jego własnego głosu.- I niech tak zostanie.

Zedd ugryzł kęs mięsa, uważnie obserwował chłopaka.

- Miecz ma w sobie wiele gniewu. Widzę, że trudno ci nad nim panować.

- Dobrze, w porządku. Jedno ci zdradzę. Shota mi powiedziała, że powinienem z tobą pogadać o Samuelu.

- O Samuelu?

Richard zgrzytnął zębami i nachylił się ku Zeddowi.

- O moim poprzedniku!

- A o tym Samuelu.

- Tak, o tym Samuelu. Może byś zechciał to wyjaśnić? Może byś mi powiedział, czy i ja tak skończę? Czy też zamierzasz to przede mną zataić, dopóki nie skończę tej roboty, i wtedy dać miecz jakiemuś innemu głupcowi! - Starzec spokojnie patrzył, jak chłopak coraz bardziej się denerwuje. Richard oburącz złapał fałdy szaty

Zedda i przyciągnął ku sobie jego twarz. - pierwsze prawo magii! To tak czarodzieje wynajdują tego, komu dają miecz?! Znajdź jakiegoś głupka i sprawa załatwiona! Nowy Poszukiwacz! O czym jeszcze zapomniałeś mi powiedzieć?! Co przede mną zataiłeś?!

Chłopak gwałtownie puścił fałdy szaty starca. Z trudem się powstrzymał, żeby nie dobyć miecza. Ciężko dyszał z gniewu Zedd patrzył nań spokojnie.

- Tak mi przykro, mój chłopcze - szepnął - że aż tak cię zraniła. Richard zapatrzył się w mrok. Wróciło wszystko, co przeżył, stłumiło gniew.

Nie miał żadnej nadziei. Rozpłakał się i przytulił do Zedda. Łkał rozpaczliwie, nie potrafił nad sobą zapanować.

- Chcę do domu, Zeddzie.

Starzec tulił go i łagodnie poklepywał po plecach.

- Wiem, Richardzie, wiem - powiedział miękko.

- Powinienem był cię usłuchać. Ale nie mogłem nic poradzić. Nie mogłem stłamsić tych uczuć, choć próbowałem. Mam wrażenie, że tonę i nie mogę złapać oddechu. Chcę, żeby ten koszmar już się skończył. Nienawidzę Midlandów. Nienawidzę magii. I już nigdy, przenigdy nie chcę słyszeć o żadnych czarach!

Zedd obejmował chłopaka i pozwalał mu się wypłakać.

- Nic nigdy nie jest łatwe i proste, chłopcze.

- Może i by nie było aż tak źle, gdyby Kahlan mnie nie cierpiała. Ale wiem, że jej na mnie zależy. To magia. To magia nas rozdziela.

- Wiem, co czujesz, Richardzie, uwierz mi.

Chłopak osunął się na ziemię, oparł o skałkę i łkał. Zedd usiadł przy nim.

- I co się ze mną stanie?

- Zrobisz, co trzeba. Nie masz wyjścia.

- Nnnie chcę. A co z Samuelem? Czyja też tak skończę?

- Przykro mi, Richardzie. - Zedd potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia. Dałem ci miecz wbrew sobie, bo musiałem to uczynić, dla dobra nas wszystkich. Magia miecza w końcu i tak zmienia Poszukiwacza. Przepowiednie mówią, że uniknie takiego losu ten, kto naprawdę zapanuje nad mieczem, kto sprawi, że jego klinga zbieleje. Nie wiem, jak to osiągnąć. Nawet nie wiem, co to znaczy. Przykro mi. Jeśli chcesz, możesz mnie zabić za to, co ci zrobiłem. Tylko obiecaj mi najpierw, że nie zrezygnujesz i ze powstrzymasz Rahla.

- Zabić cię. - Richard gorzko się zaśmiał przez łzy. - To chyba żart. Jesteś

wszystkim, co mam i co mi wolno kochać. Jakże mógłbym cię zabić? To siebie bym zabił.

- Nie mów tak - szepnął Zedd. - Wiem, co myślisz o magii. I ja od niej odszedłem. Ale pewne wydarzenia sprawiły, że musisz mieć do czynienia z magią. Tylko ty mi zostałeś. Poszedłem po księgę, bo nie chciałem cię narażać na niebezpieczeństwo, Richardzie. Zrobiłbym wszystko, żeby ci oszczędzić bólu. Ale przed tym nie mogę cię uchronić. Musimy powstrzymać Rahla Posępnego - nie dla nas samych, lecz dla innych, którzy nie mają tej możliwości.

- Wiem.- Chłopak potarł oczy. - Nie zrezygnuję, dopóki się to nie skończy. Może wtedy oddam miecz, jeśli nie będzie dla mnie za późno.

- Idź, prześpij się trochę. Każdego dnia będzie ci trochę lżej. I żeby cię trochę pocieszyć: chociaż nie wiem, czemu Poszukiwacze kończą tak jak Samuel, to jestem szczerze przekonany, że ciebie to nie spotka. A jeśli nawet, to nie od razu, a dopiero wówczas kiedy pokonasz Rahla i kiedy ludzie z wszystkich krain będą bezpieczni. I wiedz, że jeśli mimo wszystko cos takiego spotka i ciebie, Richardzie, to zawsze będę się tobą opiekował. A jeśli uda się nam powstrzymać Rahla, to może uda się nam odkryć, jak sprawić, żeby ostrze miecza zbielało.

Richard kiwnął głową, wstał i opatulił się płaszczem.

- Dziękuję, przyjacielu. Przepraszam, ze byłem dziś taki paskudny dla ciebie. Nie wiem, co mnie napadło. Pewnie opuściły mnie dobre duchy. Przykro mi, ale nie mogę powtórzyć, co mi powiedziała Shota. Aha, bądź ostrożny, Zeddzie. Coś się czai, o tam. Idzie naszym tropem już od wielu dni. Nie wiem, co to. Nie miałem czasu sprawdzić. Ale chyba nie chce nas skrzywdzić. Przynajmniej dotąd nie wyrządziło nam nic złego, Choć w Midlandach niczego nie można być pewnym.

- Dobrze, będę ostrożny.

Richard ruszył ku ognisku. Zedd go zawołał. Chłopak zatrzymał się i odwrócił.

- Ciesz się, że jej na tobie zależy. Inaczej mogłaby cię dotknąć swoją mocą. Chłopak patrzył nań w milczeniu dłuższą chwilę.

- Obawiam się, Zeddzie, że już to w pewien sposób zrobiła.

Kahlan szła w ciemnościach wśród drzew i głazów. Znalazła w końcu Zedda siedzącego na skałce i patrzącego, jak się ku niemu zbliża.

- Przecież bym cię obudził, jakby nadeszła twoja kolej. Dziewczyna usiadła obok czarodzieja, mocniej się otuliła płaszczem.

- Wiem, ale nie mogłam spać i pomyślałam, że posiedzę tu z tobą.

- Przyniosłaś coś do zjedzenia?

- Proszę. - Wyciągnęła spod płaszcza mały węzełek i uśmiechnęła się. - Trochę królika i sucharki.

Zedd zatarł ręce i radośnie rzucił się najedzenie. Kahlan patrzyła w noc i zastanawiała się, jak by mu zadać pytanie z którym tu przyszła. Czarodziej prędko uporał się z przekąską.

- Pyszne, kochanie, pyszne. Tylko tyle przyniosłaś?

- Przyniosłam też trochę jagód. - Dziewczyna się roześmiała i wydobyła drugie zawiniątko. - Pomyślałam, że będziesz miał apetyt na coś słodkiego. Podzielisz się nimi ze mną?

- Jesteś dość mała - oznajmił Zedd, zmierzywszy ją okiem - więc chyba nie zjesz ich zbyt wiele.

Kahlan znów się roześmiała i wzięła garstkę jagód z zawiniątka, które trzymał czarodziej.

- Chyba już wiem, dlaczego Richard tak sprawnie wyszukuje pożywienie! Musi być w tym dobry, skoro rósł przy tobie, inaczej by umarł z głodu.

- Nigdy bym do tego nie dopuścił - oburzył się Zedd. - Bardzo mi na nim zależy.

- Wiem. Mnie również. Starzec zjadł kilka jagód.

- Chciałbym ci podziękować za to, że dotrzymałaś słowa.

- Słowa?

Zedd popatrzył na dziewczynę i zajadał jagody.

- Że go nie dotkniesz swoją mocą, nie wykorzystasz swej mocy przeciwko niemu.

- Ach. - Kahlan odwróciła wzrok, zebrała się na odwagę. - Jesteś jedynym czarodziejem, Zeddzie, jedynym oprócz Gillera. A ja jestem ostatnią Spowiedniczką. Mieszkałeś w Midlandach, mieszkałeś w Aydindril. Ty jeden wiesz, co to znaczy być Spowiedniczką. Próbowałam to wytłumaczyć Richardowi, ale trzeba by całego życia, żeby to naprawdę zrozumieć. Poza tym sądzę, ze i tak mógłby to zrozumieć tylko czarodziej lub inna Spowiedniczką.

- Może i masz rację. - Zedd poklepał japo ręce.

- Nie mam nikogo. Nikogo nie mogę mieć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest. Proszę, Zeddzie... - Ściągnęła boleśnie brwi. - Nie mógłbyś użyć swojej magii i

pozbawić mnie tej mocy? Nie mógłbyś sprawić, żebym przestała być Spowiedniczką i stała się zwyczajną kobietą?

Kahlan miała wrażenie, że wisi na cieniutkiej nitce nad czarną, bezdenną otchłanią. Obserwowała oczy Zedda. Czarodziej pochylił głowę. Nie podniósł wzroku.

- Jest tylko jeden sposób uwolnienia cię od twojej mocy, Matko Spowiedniczko.

- Jaki? - szepnęła z bijącym sercem Kahlan. Popatrzył na nią. Oczy miał pełne bólu.

- Musiałbym cię zabić.

Dziewczyna straciła ostatnią nadziej ę. Ze wszystkich sił starała się zachować kamienną twarz, niezdradzającą uczuć „twarz Spowiedniczki". Spadała w czarną czeluść.

- Dziękuję, czarodzieju Zoranderze, że odpowiedziałeś na moje pytanie. Nie sądziłam, że to możliwe, ale wolałam się upewnić. Doceniam twoją uczciwość. Idź, prześpij się trochę.

- Ale najpierw mi powiedz, co powiedziała Shota.

- Zapytaj Poszukiwacza. - Kahlan zachowała maskę bez wyrazu. - To do niego mówiła. Po mnie pełzały wówczas węże.

- Węże. - Zedd znacząco uniósł brew. - Musiała cię polubić. Widziałem, jak wyczyniała gorsze rzeczy.

- I mnie uczyniła coś gorszego. - Kahlan wytrzymała spojrzenie czarodzieja.

- Pytałem Richarda. Nie chciał mi powiedzieć. Więc ty musisz.

- Chcesz, żebym stanęła pomiędzy dwoma przyjaciółmi? Żebym zawiodła jego zaufanie? O nie; co to, to nie.

- Richard jest bystry; to chyba najbystrzejszy Poszukiwacz, jakiego w życiu widziałem, ale zbyt mało wie o Midlandach. Zobaczył ledwie maleńką część. Co prawda, daje mu to siłę i odwagę. Poszedł do Shoty i dowiedział się, gdzie jest ostatnia szkatuła. Żaden midlandzki Poszukiwacz by do niej nie poszedł. Spędziłaś tu całe życie, Kahlan, znasz wiele z tych niebezpieczeństw. Istnieją tu stworzenia, które mogłyby zwrócić przeciwko Richardowi magię Miecza Prawdy. Wyssałyby tę magię i zabiły nią chłopaka. A są i inne niebezpieczeństwa. Nie mamy czasu, żeby go nauczyć wszystkiego, co powinien wiedzieć, więc musimy go bronić, żeby mógł wypełnić swoje zadanie. Muszę wiedzieć, co powiedziała Shota, żebym mógł ocenić, jaką to

ma wagę; czy musimy chronić Richarda.

- Nie proś mnie o to, Zeddzie. On jest moim jedynym przyjacielem. Nie mogę zawieść jego zaufania.

- Nie tylko on jest twoim przyjacielem, skarbie. Ja też. Pomóż mi go bronić. Nie zdradzę mu, że mi powiedziałaś.

- On ma niesamowite zdolności dowiadywania się tego, co się chce przed nim zataić. - Kahlan posłała Zeddowi gniewne spojrzenie.

Starzec się uśmiechnął, ale wnet spoważniał.

- To nie prośba, Matko Spowiedniczko, lecz rozkaz. Oczekuję, że tak to potraktujesz.

Kahlan się zjeżyła, splotła ramiona i na wpół odwróciła się do Zedda. Nie mogła uwierzyć, że tak ją potraktował. Nie mogła się sprzeciwić.

- Shota powiedziała Richardowi, że tylko on ma szansę powstrzymać Rahla Posępnego. Nie wiedziała, dlaczego tak jest ani jak tego dokona, lecz była pewna, że tylko on jeden ma na to szansę.

- Mów dalej, mów dalej - rzucił Zedd po chwili milczącego oczekiwania.

- Powiedziała, że pewnie spróbujesz go zabić - dodała przez zaciśnięte zęby. - Że zaatakujesz go czarodziejskim ogniem, ale że to on zwycięży. A ty przegrasz.

Znów zapanowała cisza

- Matko Spowiedniczko...

- Powiedziała, że i ja go dotknę swoją mocą. I że na to nie ma ratunku. Zrobię to, jeżeli przeżyję.

- Teraz rozumiem, dlaczego mi nie chciał nic powiedzieć - Zedd westchnął głęboko. Przez chwilę dumał w milczeniu. - Czemu Shota cię nie zabiła?

Kahlan bardzo by chciała, żeby wreszcie przestał się dopytywać. Spojrzała nań.

- Owszem, miała taki zamiar. Ty też tam byłeś. Cóż, właściwie nie ty, twoja zjawa, ale sądziliśmy, że to ty. Chciałeś... Twoja podobizna chciała zabić Shotę. Richard wiedział, że tylko ona wie, gdzie jest szkatuła, więc... Więc ją obronił. On... Sparował uderzenie czarodziejskiego ognia i... I umożliwił Shocie posłużenie się mocą przeciwko tobie.

- No proszę... - Zedd w zdumieniu uniósł brew. Dziewczyna potaknęła.

- W nagrodę za ocalenie Shota obiecała mu, że spełni jego jedno życzenie. Wykorzystał to, żeby nas ocalić. Skłonił ją, żeby nam darowała życie. Nie pozwolił

się od tego odwieść. Shota wcale nie była zadowolona. Powiedziała, że jeśli Richard kiedykolwiek wróci do kotliny Agaden, to ona go zabije.

- Ten chłopak chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Naprawdę przedłożył uzyskanie informacji nad moje życie?

Kahlan trochę zdziwił uśmiech czarodzieja.

- Tak. Skoczył przed czarodziejski ogień i odbił go Mieczem Prawdy.

- Zdumiewające. - Zedd potarł brodę. - Dokładnie to powinien był uczynić! Zawsze się bałem, czy będzie w stanie zrobić co trzeba, gdyby do tego przyszło. Wygląda na to, że już się nie muszę o to trapić. I co dalej?

- Chciałam, żeby Shota mnie zabiła - Kahlan wpatrywała się w swoje dłonie - ale ona nie chciała tego zrobić, bo obiecała spełnić życzenie Richarda. Nie mogłam... Nie mogłam znieść myśli, że go dotknę moją mocą, Zeddzie. Błagałam, żeby mnie zabił. Wolałam umrzeć, niż pozwolić, żeby się spełniła przepowiednia. - Przełknęła ślinę i splotła palce. - Ale on nie chciał. Więc sama się próbowałam zabić. Dzień po dniu. Zabrał mi nóż, wiązał mnie na noc i nie spuszczał z oka ani na sekundę. Zdawało mi się, że tracę rozum. Może i straciłam na pewien czas. W końcu przekonał mnie, że wcale nie wiemy, co właściwie znaczy ta przepowiednia; że może to on zwróci się przeciwko nam i będziemy go musieli zabić, żeby powstrzymać Rahla Posępnego. Wytłumaczył mi, że nie powinnam działać, opierając się na przepowiedni, której nie rozumiemy.

- Tak mi przykro, kochanie, że cię zmusiłem do opowiedzenia tego wszystkiego i że musieliście przez to przejść. Ale Richard ma słuszność. Przepowiednie są zbyt niebezpieczne, żeby je traktować nazbyt serio.

- Ale przepowiednie wiedźmy zawsze się sprawdzają, czyż nie?

- Tak. - Wzruszył ramionami i dodał łagodnie: - Ale nie zawsze tak, jak myślisz. Czasami mogą to być samospełniające się przepowiednie.

- Jak to? - Kahlan się zdziwiła.

- A tak. Załóżmy, na przykład, że chciałem cię zabić, aby uchronić Richarda przed sprawdzeniem się owej przepowiedni. On cię broni, walczymy i powiedzmy, że to on zwycięża. Jedna część przepowiedni już się więc spełniła i teraz Richard się boi, że i reszta się wypełni, i uważa, że powinien cię zabić. Ty chcesz ocalić życie, więc - w samoobronie - porażasz chłopaka swoją mocą. I proszę - przepowiednia się samospełniła. Na tym to polega. Gdyby nie owa przepowiednia, to nic by się nie wydarzyło. Nie działała żadna siła zewnętrzna, lecz tylko i wyłącznie owa

przepowiednia. Przepowiednie zawsze się spełniają, ale my rzadko wiemy, jak do tego dochodzi. - Zerknął na Kahlan, jakby badając, czy zrozumiała.

- Zawsze sądziłam, że przepowiednie należy poważnie traktować.

- Pewnie, ale dotyczy to wyłącznie tych ludzi, którzy się na nich znają. Przepowiednie są ogromnie niebezpieczne. Jak wiesz, czarodzieje strzegą ksiąg z przepowiedniami. Przejrzałem niektóre z nich, kiedy zaszedłem do mojej wieży. Ale nie rozumiem większości z nich. Istnieli czarodzieje, którzy się zajmowali wyłącznie studiowaniem przepowiedni. Są w owych księgach proroctwa, które by cię śmiertelnie przeraziły, gdybyś je przeczytała. Czasem i ja się budzę zlany potem z przerażenia. Są tam proroctwa, które mogą dotyczyć Richarda i przerażają mnie, oraz inne, które go na pewno dotyczą, lecz nie wiem, jak się mają obrócić na złe, więc się nie ośmielam działać według tego, co wyczytałem. Nie zawsze wiemy, co oznacza proroctwo, i dlatego musimy je trzymać w tajemnicy. Gdyby ludzie poznali niektóre z nich, mogłoby dojść do wielkich kłopotów.

- Richard jest w księgach proroctw? - zdumiała się Kahlan. - Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, o kim mówią księgi.

- Ty też tam jesteś - poinformował ją spokojnie Zedd.

- Ja?! Moje nazwisko jest w księgach przepowiedni?!

- Hmm, i tak, i nie. To nie na tym polega. Rzadko jest się czegoś pewnym. Ale tym razem na pewno mam rację. Kilkakrotnie czytałem o ostatniej Matce Spowiedniczce. Nie ma wątpliwości, kim jest ostatnia Matka Spowiedniczka - to ty, Kahlan. Nie mam też wątpliwości, kim jest Poszukiwacz, który obróci wicher przeciwko dziedzicowi D’Hary: to Richard. A Rahl jest dziedzicem D’Hary.

- Rozkazuje wichrowi! A cóż to znaczy?!

- Nie mam bladego pojęcia.

Kahlan zmarszczyła brwi; patrzyła w dół i skubała skałkę.

- A co księgi proroctw mówią o mnie, Zeddzie? - Podniosła oczy i stwierdziła, że czarodziej się jej przygląda.

- Przykro mi, skarbie, ale nie mogę ci tego powiedzieć. Tak byś się tego wystraszyła, że nie mogłabyś zasnąć.

- No cóż... Głupio mi teraz, że się chciałam zabić z powodu przepowiedni Shoty. Żeby się nie spełniła. Pewnie uważasz, że jestem okropnie głupia.

- Nie możemy wiedzieć, czy to prawda, Kahlan, dopóki się nie wypełni. Wcale nie mam cię za głuptasa. Może istotnie tak jest; tylko Richard ma szansę

powstrzymania Rahla, a ty nas zdradzisz i porazisz chłopaka swoją mocą, dzięki czemu Rahl zwycięży. A może porazisz go, żeby nas wszystkich ocalić.

- Ani trochę mnie nie pocieszyłeś.

- A może to Richard okaże się zdrajcą i zrobisz to, żeby nas ocalić.

- I tak mi się to nie podoba. - Kahlan spojrzała ponuro na czarodzieja.

- Proroctwa trzeba skrywać przed ludźmi. Mogą spowodować więcej szkód, niż ci się zdaje. Nawet wojny przez nie wybuchały. Nawet ja nie rozumiem większości z nich. Gdybyśmy mieli dawnych czarodziejów, ekspertów od przepowiedni, to może by nam pomogli. Ale tak, to lepiej zostawić w spokoju przepowiednię Shoty. Pierwsza stronica jednej z ksiąg przepowiedni powiada: Bierzcie sobie proroctwa do rozumu, nie zaś do serca. To jedyne zdanie na całej stronicy, a księga jest niemal tak wielka jak spory stół. Każda litera jest pozłacana. Takie to ważne.

- Ale przepowiednia Shoty różni się od tych w księgach, prawda?

- Tak. Przepowiednia czyniona komuś „w oczy", że tak powiem, ma dopomóc owej osobie. Shota próbowała pomóc Richardowi. Nawet mogła nie wiedzieć, że to miało mu pomóc. Była jedynie przekaźnikiem. Pewnego dnia to się przyda Richardowi, pomoże mu. Ale nie wiadomo, czy na pewno tak się stanie. Łudziłem się, że zrozumiem i pomogę mu. On nie lubi zagadek. Niestety, to tak zwana rozgałęziona przepowiednia i nic tu nie pomogę.

- Rozgałęziona, czyli może się spełnić na wiele sposobów?

- Tak. Może znaczyć dokładnie to, co mówi, albo też cokolwiek innego. Takie przepowiednie są prawie zawsze bezużyteczne. Niewiele lepsze od zgadywanki. Richard dobrze zrobił, odrzucając je. Bardzo bym chciał, żeby to wynikało z moich nauk, ale równie dobrze mógł nim kierować instynkt. Bo on ma instynkt Poszukiwacza.

- Czemu po prostu nie powiesz mu tego wszystkiego, co powiedziałeś mnie, Zeddzie? Czy on nie ma prawa tego wiedzieć?

Czarodziej długo patrzył w noc, milczał.

- To trudno wyjaśnić. Widzisz, Richard ma wyczucie rzeczy, wyczucie celu. - Zrobił dziwną minę. - Czy kiedykolwiek strzelałaś z łuku?

Kahlan się uśmiechnęła. Podciągnęła kolana, przykryła je dłońmi, oparła brodę na dłoniach.

- To podobno nie przystoi dziewczynkom. Więc się tym bawiłam, kiedy byłam

młoda. Zanim zaczęłam przyjmować spowiedzi.

Zedd zachichotał.

- A czy potrafiłaś wyczuć cel? Czy potrafiłaś wyciszyć w sobie wszystkie dźwięki, usłyszeć ciszę i uświadomić sobie, dokąd ma polecieć strzała?

Dziewczyna kiwnęła głową, wciąż wspierając brodę na dłoniach.

- Tylko parę razy. Ale wiem, o co ci chodzi.

- Otóż Richard wyczuwa cel stale. Czasem myślę, że trafiłby nawet z zamkniętymi oczami. Kiedy go pytam, jak to robi, to tylko wzrusza ramionami i nie umie tego wyjaśnić. Mówi, że po prostu czuje, w które miejsce ma trafić strzała. Stale wyczuwa cel, nawet i cały dzień. Lecz kiedy zaczynam mu opowiadać o sile wiatru, o odległości do celu, że łuk zawilgł nocą i trudno go będzie naciągnąć - to spudłuje. Myślenie tłumi wyczuwanie. On jest taki i wobec ludzi. Nieustannie poszukuje prawdy, odpowiedzi na pytanie. Leciał do szkatuły jak strzała do celu. Nigdy przedtem nie był w Midlandach, a znalazł przejście przez granicę, znalazł odpowiedzi na pytania umożliwiające dotarcie do celu. Tak postępuje prawdziwy Poszukiwacz. Problem polega na tym, że jeśli mu za dużo powiem, to zacznie się kierować nie swoim wyczuciem, a tym, co ja - według niego, oczywiście - chciałbym, żeby zrobił. Toteż muszę go tylko nakierować na cel i zostawić. Pozwolić, żeby sam ów cel znalazł.

- To strasznie cyniczne. Richard jest człowiekiem, a nie strzałą. Robi to, bo wiele o tobie myśli i zrobiłby wszystko, żeby cię zadowolić. Jesteś jego bożyszczem. Ogromnie cię kocha.

- Jestem z niego tak dumny, że już bardziej nie można. - Zedd posłał Kahlan mroczne spojrzenie. - I kocham go najbardziej na świecie, ale jeśli nie powstrzyma Rahla, to będę martwym bożyszczem. Czarodzieje muszą się niekiedy wysługiwać ludźmi, żeby dokonać tego, co niezbędne.

- Podejrzewam, że wiem, co czujesz, nie mogąc Richardowi powiedzieć tego, co byś mu chciał powiedzieć.

Zedd wstał.

- Przykro mi, że było wam tak ciężko. Może ze mną będzie choć trochę łatwiej. Dobranoc, kochanie. - Ruszył w noc.

- Zeddzie?

Czarodziej zatrzymał się i obejrzał na Kahlan, ciemna sylwetka na osrebrzonym księżycem lesie.

- Miałeś żonę. - Dziewczyna odkaszlnęła. - Jak to było? Jak to jest, kiedy się kocha kogoś bardziej niż swoje życie i można być z tym kimś i ten ktoś odwzajemnia miłość?

Zedd długo stał nieruchomo, milczał i wpatrywał się w Kahlan. Czekała, żałując, że nie widzi twarzy czarodzieja. Uznała, że jej nic nie odpowie. Dumnie uniosła brodę.

- To nie prośba, czarodzieju Zoranderze. To polecenie. Odpowiedz na pytanie.

Czekała. Zedd odparł cicho:

- To jak znaleźć drugą połowę swojego „ja”. Po raz pierwszy w życiu byłem całością.

- Dziękuję, Zeddzie. - Cieszyła się, że nie widzi łez w jej oczach. Zdołała zachować spokojny ton głosu. - Po prostu byłam ciekawa.

-

Rozdział trzydziesty siódmy

Richard się przebudził, słysząc kroki Kahlan, i dorzucił drew do ogniska. Niebo zaczynało jaśnieć za szczytami odległych gór. Ośnieżone czuby, obrysowane różowym poblaskiem odcinały się od ciemnych chmur. Zedd leżał na plecach, oczy miał szeroko otwarte, chrapał. Chłopak przetarł zaspane oczy i ziewnął.

- Może trochę kleiku z korzeni tava? - szepnął cichutko, nie chcąc zbudzić Zedda.

- Brzmi zachęcająco - odszepnęła dziewczyna.

Richard wyjął z plecaka korzenie tava i zaczął je siekać, a Kahlan zajęła się kociołkiem. Chłopak posiekał korzenie i wrzucił je do kociołka napełnionego wodą z bukłaka.

- To już reszta. Musimy nakopać jakichś korzeni, ale wątpię, czy znajdziemy tavę. Zbyt skalisty tu grunt.

- Nazbierałam trochę jagód.

Ogrzewali dłonie nad ogniskiem. Ważniejsza niż królowa, pomyślał Richard. Spróbował sobie wyobrazić królową, w koronie i pięknych szatach, zbierającą jagody.

- Zauważyłaś coś podczas swojej warty?

Potrząsnęła przecząco głową. Potem coś sobie przypomniała.

- Ale raz słyszałam coś dziwnego. O tam, w pobliżu obozowiska. Najpierw jakby ryk, potem skowyt. O mało nie przybiegłam cię budzić, ale to natychmiast umilkło i już się nie powtórzyło.

- Ach tak. - Obejrzał się przez ramię. - Tam. Ciekawe, co też to mogło być. Byłem taki zmęczony, że mnie to nie przebudziło.

Richard utłukł na papkę ugotowane korzenie, dodał trochę cukru. Kahlan nałożyła kleiku na talerze, na czubku każdej porcji ułożyła garstkę jagód.

- Czemu go nie zbudzisz?

- Patrz. - Richard się uśmiechnął.

Kilka razy stuknął łyżeczką o brzeg miseczki. Zedd chrapnął i usiadł; zamrugał oczami.

- Śniadanie?

Zachichotali, obróceni do niego plecami.

- Jesteś dziś w dobrym nastroju - stwierdziła Kahlan, patrząc nań.

- Bo Zedd do nas wrócił - odparł Richard i się uśmiechnął.

Zaniósł czarodziejowi jego porcję i przysiadł ze swoją na niskiej skałce.

Kahlan usadowiła się wygodnie na ziemi, owinęła nogi kocem. Zedd zajadał ze smakiem, nie wydostał się z koca. Richard jadł powoli i nie spieszył się.

- Pyszne! - oznajmił czarodziej. Podniósł się i ruszył po nową porcję. Chłopak odczekał, aż Zedd zacznie czerpać kleik z kociołka.

- Kahlan mi powiedziała, co się stało. To znaczy, jak z niej wyciągnąłeś wszystko o Shocie.

Dziewczyna zdrętwiała jak rażona piorunem. Zedd drgnął i gwałtownie się ku niej obrócił.

- Czemu mu powiedziałaś! Myślałem, że nie chcesz, żeby wiedział, że ty...

- Ależ, Zeddzie... Ja nigdy...

Czarodziej aż się skrzywił. Wolniutko obrócił się ku Richardowi - chłopak pochylał się nad swoją miseczką i metodycznie zajadał kleik. Nie podniósł oczu.

- Ona mi nic nie powiedziała. Ty to teraz zrobiłeś.

Richard zjadł ostatek kleiku, oblizał do czysta łyżkę i z brzękiem wrzucił ją do miseczki. Uniósł spokojną, triumfującą twarz i spojrzał w przymrużone oczy Zedda.

- Pierwsze prawo magii - rzekł z uśmieszkiem. - Pierwszy krok do uwierzenia w coś to chcieć wierzyć, że to prawda... Albo się obawiać, że to prawda.

- Mówiłam ci! - wściekała się Kahlan. - Mówiłam ci, że się dowie! Zedd nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w chłopaka.

- Rozmyślałem o tym ostatniej nocy - wyjaśnił Richard, odstawiając miseczkę. - Uznałem, że miałeś rację i powinieneś wiedzieć, co mówiła Shota. W końcu jesteś czarodziejem i dopatrzyłbyś się w tym czegoś, co by nam pomogło powstrzymać Rahla Posępnego. Wiedziałem, że nie spoczniesz, dopóki się wszystkiego nie dowiesz. Postanowiłem, że dziś ci powiem, ale potem uznałem, że wyciągniesz to od Kahlan w taki czy inny sposób.

Kahlan padła na plecy, zaśmiewając się.

Zedd wyprostował się jak struna, wsparł pod boki.

- Do licha! Czy ty masz pojęcie, Richardzie, co zrobiłeś?

- Magia. - Chłopak się uśmiechnął. - Właściwie wykonana sztuczka to magia. - Wzruszył ramionami. - A przynajmniej tak mi mówiono.

- Istotnie. - Zedd powoli skinął głowa. Uniósł ku niebu kościsty palec, w orzechowych oczach zatańczyły iskierki. - Skołowałeś czarodzieja dzięki jego prawu! Żaden z moich czarodziejów tego nie potrafił. - Podszedł ku chłopakowi, uśmiechał się szeroko. - Niech to licho, Richardzie! Masz to! Masz dar, mój chłopcze! Możesz

być czarodziejem pierwszego stopnia, jak ja.

- Nie chcę być czarodziejem - zmarszczył się Richard. Zedd nie zwrócił uwagi na te słowa.

- Pomyślnie przeszedłeś pierwszą próbę.

- Powiedziałeś, że żaden z czarodziejów tego nie potrafił, więc jak mogli być czarodziejami, skoro nie przeszli próby?

- Byli czarodziejami trzeciego stopnia. - Starzec uśmiechnął się krzywo. - Tylko jeden Giller jest czarodziejem drugiego stopnia. Nikt nie przeszedł prób i nie został czarodziejem pierwszego stopnia. Nie mieli daru. Tylko powołanie.

- To była tylko sztuczka. - Richard się skrzywił. - Nie rób z niej tego, czym nie była.

- Bardzo specjalna sztuczka. - Zedd znów przymrużył oczy. - Jestem pod wrażeniem. I jestem z ciebie bardzo dumny.

- Skoro to pierwsza próba, to ile ich jeszcze jest?

- Sam dobrze nie wiem. - Starzec wzruszył ramionami. - Pewno ze sto lub coś koło tego. Lecz ty masz dar, Richardzie. - W oczach czarodzieja mignął cień smutku, jakby się tego nie spodziewał. - Musisz się nauczyć nad tym panować albo... - Znów mu pojaśniały oczy. - Nauczę cię. Naprawdę możesz zostać czarodziejem pierwszego stopnia.

Richard uświadomił sobie, że zbyt uważnie tego słucha, więc potrząsnął głową, uwalniając się.

- Przecież ci powiedziałem, że nie chcę zostać czarodziejem. - I szeptem dorzucił: - A jak się to wszystko wreszcie skończy, to już więcej nie chcę mieć do czynienia z magią. - Zdał sobie sprawę, że Kahlan się w niego wpatruje, spojrzał na obie zdumione twarze. - To była tylko głupia sztuczka. Nic więcej.

- Głupiutka sztuczka, gdyby dotyczyła kogoś innego. Ale nabiera innej wagi, gdy się ją wykona wobec czarodzieja.

- Obydwoje jesteście... - Richard przewrócił oczami. Zedd pochylił się ku niemu i wpadł chłopakowi w słowo.

- Umiesz rozkazywać wiatrowi? Richard lekko się cofnął.

- Pewno, że mogę - zażartował; wyciągnął ramiona ku niebu. - Do mnie, bracie wietrze! Przybywaj! Szalej na mój rozkaz! - Rozłożył ręce w dramatycznym geście.

Kahlan na wszelki wypadek otuliła się płaszczem. Zedd rozglądał się dokoła.

Nic się nie stało. Obydwoje wyglądali na rozczarowanych.

- Co z wami? - rozzłościł się Richard. - Zjedliście trującą jagodę czy co?

- Tego się jeszcze musi nauczyć - powiedział starzec do Kahlan. Rozważała przez chwilę jego słowa, potem spojrzała na Richarda.

- Richardzie... Nie każdemu proponują, żeby został czarodziejem.

- Kurczę! - Zedd zatarł dłonie. - Szkoda, że nie mam przy sobie ksiąg. Założę się o ząb smoka, że coś bym w nich znalazł na ten temat. - Twarz mu zmroczniała. - Ale w grę wchodzi ból... I...

Richard poruszył się niespokojnie.

- A w ogóle to co z ciebie za czarodziej? Nawet brody nie masz.

- Co takiego? - Zedd zmarszczył się, wyrwany z zadumy.

- Broda. Gdzie twoja broda? Zastanawiam się nad tym, od kiedy odkryłem, że jesteś czarodziejem. Czarodzieje powinni być brodaci.

- Kto ci to powiedział?

- No... Nie wiem. Każdy to wie. Czarodziej musi mieć brodę. To powszechnie wiadomo. Dziwię się, że ty tego nie wiesz.

Zedd miał taką minę, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

- Nienawidzę brody. Skóra od niej swędzi.

- Wygląda na to - wzruszył ramionami Richard - że wcale nie wiesz tak dużo, jak ci się wydaje, o byciu czarodziejem. Nie miałeś pojęcia, że czarodzieje powinni być brodaci.

Zedd skrzyżował ramiona.

- A to może nie broda? - Uniósł ręce i zaczął przesuwać palcami po obu stronach podbródka. Pojawiły się baki i rosły, rosły za każdym powtórzonym gestem. Richard patrzył wielkimi oczami - wkrótce śnieżnobiała broda sięgała Zeddowi do połowy piersi. Starzec przechylił głowę, spojrzał znacząco na chłopaka. - Wystarczy?

Richard zdał sobie sprawę, że gapi się nań z otwartymi ustami. Zamknął je więc, ale zdołał tylko kiwnąć głową. Zedd podrapał się po podbródku i szyi.

- To dobrze. Daj mi nóż, żebym to zgolił. Swędzi, jakby mrówki po mnie łaziły.

- Mój nóż? Po co ci mój nóż? A nie możesz sprawić, żeby po prostu zniknęła, tak jak się pojawiła?

Kahlan zachichotała, ale natychmiast spoważniała pod spojrzeniem Zedda.

- To nie tak działa. Wszyscy wiedzą, że to nie tak działa - przedrzeźniał

czarodziej i popatrzył na Kahlan. - Czyż nie? Powiedz mu.

- Magia wykorzystuje to, co już istnieje. Nie może cofnąć co już się wydarzyło.

- Nie rozumiem.

- Oto pierwsza lekcja. - Zedd spojrzał ostro na Richarda. - Na wypadek, gdybyś się jednak zdecydował zostać czarodziejem. Wszyscy troje mamy magiczne zdolności. To magia addytywna. Taka magia wykorzystuje to, co już istnieje, rozbudowuje to jakby, nasila, zmienia w coś innego. Moc Kahlan wykorzystuje tlącą się w każdym iskierkę miłości - rozdmuchuje ją w płomień, choćby była nie wiem jak maleńka, i przemienia w coś innego. Magia miecza posługuje się twoim gniewem, zlewa się z nim, dodaje mu mocy, sama czerpie zeń moc, aż się przemieni. Ja czynię tak samo. Mogę przemienić wszystko, co istnieje w przyrodzie. Pąk w kwiat, strach w potwora. Mogę sprawić, że się zrośnie złamana kość. Potrafię „zebrać" ciepło z otaczającego nas powietrza, wzmóc je, przemienić w czarodziejski ogień. Mogę sprawić, że mi urośnie broda, ale nie umiem sprawić, żeby zniknęła. - Kamień wielkości pięści uniósł się w powietrze. - Mogę coś unieść. Mogę to przemienić. - Kamień rozpadł się w pył.

- Więc wszystko możesz - wyszeptał Richard.

- O, nie. Mogę unieść, przesunąć lub skruszyć głaz, ale nie sprawię, żeby zniknął. Usuwanie w niebyt to magia subtraktywna. Nasza moc - moja, Kahlan i miecza - jest z tego świata. Cała magia tego świata jest magią addytywna. Rahl potrafi to samo co ja. - Twarz Zedda spochmurniała. - Magia subtraktywna to magia zaświatów. Rahl Posępny potrafi i z niej korzystać. Ja nie.

- Czy tamta moc jest równie potężna jak magia addytywna?

- Magia subtraktywna to przeciwieństwo magii addytywnej. Mają się tak do siebie, jak noc i dzień. Dwie strony jednej mocy. Magia Ordena łączy je obie, addytywna i subtraktywna. Może pomnożyć to, co jest, ale i strącić świat w niebyt. Musisz być panem obu magii, jeśli chcesz otworzyć szkatuły. Ludzie nigdy się nie bali, że ktoś je otworzy, bo nie sądzili, że ktoś kiedykolwiek potrafi wykorzystać magię subtraktywna. Lecz Rahl Posępny posługuje się nią równie swobodnie jak ja magią addytywna.

- Jak myślisz, gdzie się tego nauczył? - spytał Richard.

- Nie mam pojęcia. Wielce mnie to niepokoi. Chłopak głęboko odetchnął i dodał:

- Dalej uważam, że robicie z igły widły. Po prostu posłużyłem się sztuczką.

- I tak by było, gdybyś się nią posłużył wobec zwykłego człowieka. - Zedd łypnął nań gniewnie. - Ale ja jestem czarodziejem. I znam prawa magii. Nie podszedłbyś mnie, gdybyś sam nie miał mocy. Wielu wyuczyłem na czarodziejów. Musiałem ich uczyć tego, co ty zrobiłeś sam z siebie. Oni by na to nie wpadli; najpierw musieli się nauczyć. Niekiedy, bardzo rzadko, rodzi się ktoś posiadający dar. Jak ja. A teraz ty, Richardzie. Wcześniej czy później nauczysz się nad nim panować. - Wyciągnął rękę. - Daj mi nóż, zgolę tę śmieszną brodę.

Richard włożył nóż w wyciągniętą dłoń Zedda.

- Jest tępy. Wykopywałem nim korzenie. Pewnie zbyt tępy, żeby się nim ogolić.

- Czyżby? - Zedd przesunął ostrze pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, odwrócił nóż, trzymając go ostrożnie w palcach.

Richard aż się skrzywił, patrząc jak czarodziej goli się na sucho. Miękko opadały kosmyki brody.

- Przecież posłużyłeś się magią subtraktywna! Usunąłeś cząstki ostrza, żeby je naostrzyć!

- Nie - Zedd znacząco uniósł brew. - Wykorzystałem to, co już było, i odbudowałem brzeg noża, na nowo go wyostrzyłem.

Chłopak potrząsnął głową i zabrał się do pakowania, a starzec golił resztę brody. Kahlan pomagała Richardowi.

- Wiesz co, Zeddzie - odezwał się chłopak, zbierając miseczki - robisz się za bardzo uparty i skostniały. Myślę, że ktoś by ci się przydał, gdy to wszystko już się skończy. Ktoś, kto by o ciebie dbał, zapewnił ci ład i porządek. Rozjaśnił mroki twojej wyobraźni. Jednym słowem, trzeba ci żony.

- Żony?

- Oczywiście. Uważam, że potrzebujesz żony. Może powinieneś wrócić i jeszcze raz rzucić okiem na Adie?

- Adie?

- Tak, Adie - zirytował się Richard. - Chyba pamiętasz Adie. Kobietę z jedną stopą.

- O, całkiem dobrze pamiętam Adie. Całkiem dobrze. - Zedd spojrzał na chłopaka z najniewinniejszą na świecie miną. - Ale ona ma dwie stopy, niejedną.

Kahlan i Richard zerwali się na nogi.

- Jak to?

Starzec odwrócił się od nich z uśmiechem.

- Chyba ta druga odrosła. - Pochylił się i wyjął jabłko z plecaka Richarda. - Tak jakoś znienacka odrosła.

Chłopak złapał starca za rękaw i obrócił ku sobie.

- Zeddzie, ty...

- Na pewno nie chciałbyś zostać czarodziejem? - Zedd się uśmiechnął. Odgryzł kawałek jabłka, uradowany zdumioną miną chłopaka, i podał mu ostry jak nigdy nóż.

Richard potrząsnął głową i wrócił do pakowania.

- Chcę wrócić do domu i znów będę przewodnikiem. Nikim więcej. - Namyślał się przez chwilę, potem spytał: - Rosłem przy tobie, Zeddzie, i nie miałem pojęcia, że jesteś czarodziejem. Nie korzystałeś z magii. Dlaczego? Jak ci się udawało bez tego obchodzić?

- Hmm, korzystanie z magii wcale nie jest takie bezpieczne. I wiąże się z tym ból.

- Niebezpieczne? Jak to? Zedd popatrzył nań przez chwilę w milczeniu.

- I ty posłużyłeś się magią, poprzez miecz. To ty mi powiedz.

- Ale miecz to zupełnie co innego. Jakie niebezpieczeństwa grożą posługującemu się magią czarodziejowi? Jaki ból?

- Ledwo skończyła się pierwsza lekcja, a on już się niecierpliwie domaga następnej. - Zedd uśmiechnął się chytrze.

Chłopak zesztywniał.

- Mniejsza o to! - Zarzucił plecak na ramię. - Chcę być dobrym leśnym przewodnikiem, nikim więcej.

Zedd ruszył ku ścieżce, w garści trzymał jabłko.

- Już to mówiłeś. - Odgryzł duży kęs. - Chcę, żebyście mi opowiedzieli o wszystkim, co się wydarzyło od chwili, kiedy straciłem przytomność. Nie pomijajcie nawet najdrobniejszego szczegółu.

Kahlan i Richard spąsowieli, wymienili spojrzenie.

- Nic mu nie powiem, jeśli i ty nie powiesz - szepnął chłopak. Położyła dłoń na jego ramieniu, zatrzymała go na chwilę.

- Ani słowa o tym, co było w domu duchów, przysięgam. Wyraz oczu dziewczyny upewnił Richarda, że nie złamie słowa.

Przez resztę dnia wędrowali bocznymi szlakami, omijając główne drogi. Młodzi opowiedzieli Zeddowi o wszystkim, co się wydarzyło od owego dnia, kiedy to zaatakowano ich przy granicy. W najdziwniejszych miejscach opowieści czarodziej kazał im wracać do tego, co było wcześniej. Udało im się opowiedzieć o pobycie u Błotnych Ludzi i nie napomknąć ani słowem o tym, co zaszło pomiędzy nimi w domu duchów.

W miarę jak się zbliżali do Tamarang i przecinali główne drogi, coraz częściej widzieli uciekinierów dźwigających dobytek na plecach lub ciągnących małe wózki. Richard dbał o to, żeby schodzić ludziom z oczu, i zasłaniał sobą Kahlan, jeśli tylko mógł. Nie chciał, żeby ktoś rozpoznał Matkę Spowiedniczkę. Z ulgą wracał pomiędzy drzewa. W lesie czuł się najbezpieczniej, choć i tu czyhały niebezpieczeństwa.

U schyłku dnia musieli wejść na główną drogę i przedostać się na drugi brzeg Callisidrinu. Rzeka była zbyt szeroka i bystra, żeby ją przebyć w bród, skorzystali więc z drewnianego mostu. Wmieszali się w tłum, Zedd i Richard szli po bokach Kahlan, osłaniając ją. Dziewczyna zarzuciła kaptur na głowę, żeby nikt nie dostrzegł jej długich włosów. Większość ludzi kierowała się ku Tamarang, szukając schronienia przed grasującymi żołnierzami, rzekomo pochodzącymi z Westlandu. Kahlan twierdziła, że dotrą do Tamarang w południe następnego dnia. I że teraz będą musieli podróżować głównie drogami, a nie bocznymi szlakami. Richard wiedział, że przed nocą powinni wejść głęboko w las, oddalić się od ludzi. Bacznie obserwował słońce, żeby wiedzieć, kiedy się weń zagłębić, zanim się stanie zbyt ciemno.

- Wygodnie?

Rachel udała, że Sara przytaknęła, i jeszcze trochę otuliła lalkę trawą, żeby na pewno nie zamarzła. Zawiniątko z chlebem położyła obok pocieszanki.

- Teraz będzie ci ciepło. Pójdę po drewno, zanim się za bardzo ściemni, i rozpalę ognisko. Wtedy obie nie zmarzniemy.

Dziewczynka zostawiła Sarę i chleb pod namiotem z gałęzi sosny-strażniczki. Słońce stało już nisko, ale wciąż było dość jasno. Chmurki były różowiutkie. Rachel zerkała na nie cc chwila, zbierając patyki. Podtrzymywała susz drugą ręką. Sprawdziła, czy ogniowa pałeczka nie wypadła z kieszeni. O mało jej nie zapomniała poprzedniej nocy i teraz wolała sprawdzić, czy jest na miejscu.

Rachel znów spojrzała na ładne obłoczki. Akurat wtedy jakiś wielki stwór zakołował nisko nad drzewami na wzgórzu. To pewnie jakiś wielki ptak, pomyślała dziewczynka. Kruki były duże i czarne. Pewnie jeden z tych wrzaskliwych kruków.

Podniosła jeszcze parę patyczków. Wtem zobaczyła krzaczki czarnej borówki, rosnące na małej polance; ich listki już zaczynały płonąć czerwienią. Rachel rzuciła zebrane patyki.

Była okropnie głodna. Usiadła przy krzaczkach i zajadała borówki tak szybko, jak mogła. O tym czasie jagody już wysychały i marszczyły się, ale i tak były smaczne. Prawdę mówiąc, były przepyszne. Rachel już nie tylko jadła borówki, ale i chowała je do kieszeni. Posuwała się na czworakach, zrywając jagody. Jedne zjadała, inne wsypywała do kieszeni. Od czasu do czasu zerkała na ładne obłoczki. Ciemniały. Stawały się purpurowe.

W końcu Rachel napełniła i żołądek, i kieszenie. Zebrała rzucone patyki i wróciła pod sosnę-strażniczkę. Odwinęła bochenek, rozprostowała płótno i wysypała nań przyniesione w kieszeni borówki. Usiadła wygodnie, zajadała jagody, paplając do Sary i częstując ją. Lalka wcale nie jadła. Rachel żałowała, że nie ma lusterka. Chętnie by popatrzyła na swoje włosy. Wcześniej przejrzała się w ciemnym stawku. Bardzo jej się podobały równo przycięte. Jak to miło ze strony Richarda, że je wyrównał.

Rachel ogromnie tęskniła za Richardem. Chciałaby, żeby teraz był Przy niej, uciekał razem z nią, tulił ją. W niczyich objęciach nie czuła się tak bezpiecznie. Gdyby Kahlan nie była taka paskudna, to Richard i ją mógłby utulić. Wtedy i ona by wiedziała, jak dobrze i bezpiecznie jest w jego ramionach. Rachel, o dziwo, tęskniła również za Kahlan. Za jej opowieściami, piosenkami, dotykiem jej palców na czole. Czemu okazała się taka okropna i powiedziała, że chce skrzywdzić Gillera? Przecież Giller to jeden z najmilszych ludzi na calutkim świecie. Dał Rachel Sarę.

Dziewczynka łamała patyki, żeby się zmieściły w kręgu z kamieni. Ułożyła je starannie i dotknęła ogniową pałeczką.

- Zapal je dla mnie.

Odłożyła pałeczkę na płótno z borówkami. Ogrzała ręce, zjadła trochę jagód i opowiedziała Sarze o swoich troskach - że chce, by Richard ją utulił i żeby Kahlan nie była taka paskudna, i żeby nie zrobiła nic Gillerowi, i żeby ona, Rachel, miała do jedzenia jeszcze coś oprócz borówek.

Jakiś owad ukłuł dziewczynkę w szyję. Jęknęła i pacnęła go. Cofnęła dłoń. Zobaczyła kroplę krwi i muchę.

- Spójrz, Saro. Ucięła mnie jakaś głupia mucha. Krew cieknie. Wyglądało, że lalka jej współczuje. Rachel znów zjadła kilka borówek.

Kolejna mucha ukłuła ją w szyję. Dziewczynka tym razem nie pisnęła, pacnęła muchę. Znów miała na dłoni ślad krwi.

- To boli! - poskarżyła się Sarze; zmarszczyła brwi i wrzuciła martwe muchy w ognisko.

Poczuła ukłucie w ramię i podskoczyła. Rozpłaszczyła muchę. Kolejne ukłucie w szyję. Dziewczynka zaczęła machać rączkami, odpędzając muchy kłębiące się przed jej buzią. Jeszcze dwie ucięły ją w szyję. Pociekło trochę krwi, zanim je zdusiła. Bolało; łzy wypełniły oczy Rachel.

- Precz! - wrzasnęła, wymachując rączkami.

Muchy wpełzły pod sukienkę, kłuły w pierś i w plecy. Inne cięły w szyję.

Rachel krzyczała, tłukła muchy, usiłując się ich pozbyć. Łzy plunęły po buzi dziewczynki. Wrzasnęła jeszcze głośniej, bo jakaś mucha ukłuła ją we wnętrze ucha. Brzęczenie w uchu doprowadzało małą do obłędu; płakała i krzyczała, próbując wydłubać muchę palcami. Młóciła ramionkami i darła się, ile tchu.

Wciąż krzycząc, wytoczyła się spod gałęzi sosny-strażniczki, odpędzała muchy od oczu. Popędziła przed siebie, chciała uciec od tych okropnych owadów. Biegła i krzyczała, a muchy leciały za nią.

Coś przed Rachel sprawiło, że się zatrzymała jak wryta.

Przesuwała wzrok w górę olbrzymiej, porośniętej sierścią istoty. Stwór miał różowy, pokryty muchami brzuch.

Rozpostarł szeroko wielkie skrzydła, wyraźnie widoczne na tle gasnących barw nieba. Nagie, nieporośnięte sierścią skrzydła. Rachel widziała w nich grube, pulsujące żyły.

Dziewczynka zebrała całą odwagę i wsunęła rączkę do kieszeni. Nie było tam ogniowej pałeczki. Nogi odmówiły Rachel posłuszeństwa. Nawet nie czuła ukłuć much. Usłyszała dźwięk przypominający mruczenie kota, lecz trochę głośniejszy. Podniosła wyżej oczy.

Patrzyły na nią płonące gniewnie zielone ślepia. Mruczenie zmieniło się w głuchy ryk.

Paszcza otwarła się, ukazując długie, zakrzywione kły. Ryk stał się głośniejszy.

Rachel stała jak wryta. Nie mogła uciekać. Nie mogła nawet krzyczeć. Trzęsła się i patrzyła rozszerzonymi przerażeniem oczami w błyszczące, złe zielone ślepia. Zapomniała, jak się chodzi.

Wielka szponiasta łapa sięgnęła po dziewczynkę.

Rachel poczuła, jak coś ciepłego spływa jej po nogach.

Rozdział trzydziesty ósmy

Richard skrzyżował ramiona i oparł się o skałę.

- Wystarczy!

Zedd i Kahlan odwrócili ku niemu głowy, zdawało się, że w ogóle zapomnieli o obecności chłopaka. Przez co najmniej pół godziny siedzieli przy ognisku i sprzeczali się. Richard miał już tego dosyć. No i był przeraźliwie zmęczony. Już dawno zjedli kolację i powinni spać, a tymczasem tamtych dwoje się sprzecza, co zrobią jutro, gdy dotrą do Tamarang. Teraz przestali się kłócić i każde przedkładało chłopakowi swoje racje.

- Rozprawię się z Gillerem, jak tylko się znajdziemy w Tamarang. To mój uczeń. Nakażę, żeby mi powiedział, co się dzieje. Wciąż jestem czarodziejem pierwszego stopnia. Zrobi, co mu każę. Odda mi szkatułę.

Kahlan wyjęła z plecaka szatę Spowiedniczki, machnęła nią ku Richardowi.

- Tak się rozprawimy z Gillerem. Jest moim czarodziejem i zrobi, co każę, bo wie, co go czeka, gdyby się sprzeciwiał.

Chłopak głęboko wciągnął powietrze, potarł oczy czubkami palców.

- Obydwoje dzielicie skórę na niedźwiedziu. A nawet nie wiecie czyj to niedźwiedź.

- Co masz na myśli? - spytała Kahlan.

Richard pochylił się nieco. Wreszcie uważnie go słuchali.

- Tamarang co najmniej życzliwie skłania się ku podszeptom D’Hary. W najgorszym wypadku Rahl już tam jest. Najprawdopodobniej wszystko się jeszcze nie rozstrzygnęło. Jeśli wejdziemy do Tamarang i prosto z mostu powiemy, o co nam chodzi, to możemy im się narazić. Tamarang ma mnóstwo wojska, żeby nam okazać swoje niezadowolenie. I co wtedy? Czy my troje będziemy walczyć z, całą armią? Czy w ten sposób zdobędziemy szkatułę? Dotrzemy do Gillera? Jeśli mamy walczyć w ten sposób, to jestem przeciw.

Chłopak odczekał chwilę; spodziewał się protestów. Ale tamci siedzieli cicho, jak zbesztani, więc podjął:

- Może Giller z nadzieją czeka, że ktoś się zjawi i odda temu komuś szkatułę, pomoże ją wynieść z Tamarang. A może nie będzie się chciał w to mieszać.

Lecz nigdy się tego nie dowiemy, jeżeli nam się nie uda dotrzeć do Gillera, prawda? - Teraz chłopak zwrócił się do Zedda: - Mówiłeś mi, że szkatuła zawiera magię i że czarodziej, a także Rahl, potrafi to wyczuć; lecz że czarodziej mógłby

rzucić zaklęcie i uchronić szkatułę przed wykryciem. Być może właśnie po to był królowej Milenie potrzebny czarodziej, żeby ukryć skrzyneczkę przed Rahlem, uczynić z niej przedmiot przetargu. Jeśli narobimy dużo szumu i wystraszymy Gillera, to - bez względu na to, co by o nas myślał - pewnie spróbuje uciec. Może się też okazać, że Rahl tylko czeka na pretekst, żeby odrzucić pozory i jawnie uderzyć.

- Sądzę, że Poszukiwacz ma wiele racji - powiedział Zedd do Kahlan. - Chyba powinniśmy go wysłuchać do końca.

- Myślę, że masz rację, mój zacny czarodzieju. - Dziewczyna uśmiechnęła się i rzekła do Richarda: - Co proponujesz?

- Miałaś już do czynienia z królową Mileną, prawda? Jaka ona jest?

- Tamarang to pomniejsze, dość mało znaczące państewko - odparła natychmiast Kahlan. - Mimo to Mileną jest równie zarozumiała i napuszona jak każda inna królowa.

- Żmijka, ale może każdego z nas śmiertelnie ukąsić - zawyrokował Richard.

- Tak. Ale żmijka z wielkim łbem - dodała dziewczyna.

- Małe żmijki muszą być ostrożne, zwłaszcza jeśli nie wiedzą, z czym mają do czynienia. Po pierwsze, musimy jej dać do myślenia. Trochę ją zaniepokoić, żeby zrezygnowała z ukąszenia nas.

- Co masz na myśli? - spytała Kahlan.

- Mówiłaś, że już miałaś z nią do czynienia. Spowiedniczka wędruje po krainach, wysłuchuje wyznań, wizytuje więzienia, żeby się dowiedzieć tego, na czym jej zależy. Chyba Mileną nie zamknie Tamarang przed Spowiedniczka?

- Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, to na pewno nie. - Zedd zachichotał.

- Więc oto, co zrobimy. Założysz znów swoją szatę i pójdziesz wykonywać obowiązki. Spowiedniczka czyniąca to, czego wszyscy po niej oczekują. Milenie pewnie się to nie spodoba, ale dobrze cię potraktuje, nie zechce z tobą zadzierać. Będzie wolała, żebyś sprawdziła, co tam chcesz, i wyniosła się. Ostatnie, czego jej trzeba, to jakiekolwiek niesnaski. Skontrolujesz jej lochy, uśmiechniesz się albo gniewnie zmarszczysz, jednym słowem, zachowasz się jak zwykle. A potem, tuż przed odejściem, oznajmisz że chcesz porozmawiać ze swoim byłym czarodziejem.

- Chcesz, żeby Kahlan poszła tam sama?! - zaprotestował Zedd.

- Nie. Przecież nie ma ze sobą czarodzieja. Królowa Mileną mogłaby to uznać za kuszącą okazję. A nie chcemy, żeby Milenie pociekła ślinka na taką myśl.

- Ja będę czarodziejem Kahlan - oświadczył Zedd.

- O nie, nie będziesz jej czarodziejem! My tu sobie gadamy, a Rahl Posępny zabija ludzi, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś! Jeśli cofniesz zaklęcie ochronne i się ujawnisz, to będziemy po uszy w kłopotach, jeszcze zanim dopadniemy szkatułę! Któż to wie, jaka nagroda czeka tego, który na ciebie doniesie? Jaką cenę wyznaczono za twoją starą skórę?! Będziesz chronił Kahlan, ale anonimowo. Będziesz jej... - Chłopak stukał palcami w rękojeść miecza, namyślając się. - Będziesz wróżbitą z chmur. Zaufanym doradcą Matki Spowiedniczki, zastępującym jej czarodzieja. - Zedd burknął coś i Richard gniewnie zmarszczył brwi. - Na pewno dobrze odegrasz swoją rolę.

- Ty również schowasz miecz, nie ujawnisz się przed Mileną, Richardzie? - spytała Kahlan.

- Nie. Obecność Poszukiwacza pohamuje ją trochę, da jej domyślenia. Sprawi, że nie pokaże ząbków, dopóki nie odejdziemy. Cała rzecz w tym, żeby podsunąć Milenie coś, co już zna - Spowiedniczkę - żeby jej zbytnio nie przerazić. A jednocześnie zaniepokoić ją trochę: wróżbita z chmur, Poszukiwacz. Niech raczej ma nas dość i nie docieka, jakie kłopoty możemy na nią sprowadzić. Wasze metody wciągnęłyby nas w walkę i jedno z nas mogłoby zostać zranione, a może i wszyscy troje. Mój sposób niesie ze sobą minimalne ryzyko walki, a jeśliby i do niej doszło, to bylibyśmy już w drodze powrotnej, ze szkatułą w garści. - Chłopak spojrzał surowo na tamtych dwoje. - Pamiętacie o szkatule, mam nadzieję? Jeśli nie, to przypominam, że to o nią nam chodzi, a nie o głowę Gillera na złotej tacy. Nieważne, po czyjej stronie jest Giller. Musimy zdobyć szkatułę i już.

Kahlan zmarszczyła brwi, skrzyżowała ramiona, a Zedd pocierał brodę i patrzył w ognisko. Richard dał im wiele do przemyślenia. Wiedział, że ich sposób załatwienia sprawy na pewno by ich wpędził w tarapaty, że prędko by do tego doprowadzili. Czarodziej spojrzał na chłopaka.

- Masz rację, oczywiście. Zgadzam się na to. - Obrócił szczupłą twarz ku Kahlan: - Matko Spowiedniczko?

Dziewczyna patrzyła nań przez chwilę, przeniosła wzrok na Richarda.

- Zgoda. Lecz pamiętaj, Richardzie, że wy obaj macie grać role dworzan Matki Spowiedniczki. Zedd zna etykietę, ty nie.

- Mam nadzieję, że długo tam nie zabawimy. Naucz mnie tego, co wystarczy na tak krótki czas.

- Cóż, najważniejsze, żebyś sprawiał wrażenie kogoś z mojej eskorty. - Kahlan

głęboko zaczerpnęła powietrza. - Był... Pełen szacunku... - odkaszlnęła, odwróciła oczy. - Zachowuj się, jakbym była najważniejszą osobą, a nikt nie będzie zadawał zbędnych pytań. Każda Spowiedniczka pozwala swoim ludziom na pewną swobodę, więc - dopóki będziesz uległy i pełen szacunku - nikt się nie zdziwi, jeśli zrobisz coś nie całkiem właściwego. Dostosuj się, nawet gdybyś uważał, że... Że się dziwacznie zachowuję. Zgoda?

Patrzyła w ziemię, a Richard przyglądał się jej przez chwilę. Wstał.

- To będzie dla mnie zaszczyt, Matko Spowiedniczko. - Skłonił się głęboko.

Zedd odchrząknął.

- Jeszcze trochę głębszy ukłon, chłopcze. Nie podróżujesz z jakąś prostą Spowiedniczka. Należysz do eskorty samej Matki Spowiedniczki.

- W porządku - westchnął Richard. - Postaram się. Prześpijcie się teraz. Wezmę pierwszą wartę. - Ruszył ku drzewom.

- Richardzie! - zawołał czarodziej, a chłopak przystanął i odwrócił się. - W Midlandach wiele osób jest obdarzonych różnorodną magią, czasem niebezpieczną. Nie wiemy, jakimi pochlebcami otoczyła się królowa Milena. Uważaj na to, co ja i Kahlan ci powiemy, i zrób wszystko, żeby nikogo nie urazić. Możesz nie rozpoznać, kim lub czym są jej dworzanie.

Richard owinął się płaszczem.

- Jak najmniej zamieszania i kłopotów. I mnie na tym zależy. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to jutro o tej porze będziemy mieli szkatułę i będziemy się już martwić tylko o to, gdzie się schować do nadejścia zimy.

- Dobrze powiedziane, chłopcze. Dobranoc.

Richard znalazł porośniętą mchem kłodę, usiadł i obserwował obóz i lasy dokoła. Najpierw sprawdził, czy mech jest suchy. Nie miał ochoty zawilgocić spodni i marznąć. Ułożył wygodniej miecz, ciaśniej owinął się płaszczem. Chmury zasłaniały księżyc. Gdyby nie łagodny blask ognia, byłoby zupełnie ciemno, wręcz czarno.

Chłopak siedział i rozmyślał. Wcale mu się nie podobało, że Kahlan przywdzieje swoją szatę i wystawi się na ryzyko. A jeszcze mniej był zadowolony, że to jego własny pomysł. Niepokoił się, co też dziewczyna miała na myśli, mówiąc o „dziwnym” zachowaniu i że on ma się dostosować oraz udawać, że ona jest najważniejszą z osób, którym w życiu towarzyszył. Wcale a wcale mu się to nie podobało. Zawsze myślał o Kahlan jako o swojej przyjaciółce, co najmniej przyjaciółce. Nie lubił myśleć o niej jako o Matce Spowiedniczce. To moc

Spowiedniczki sprawiała, że mogli być tylko przyjaciółmi, niczym więcej. Bał się zobaczyć dziewczynę tak, jak widzieli ją inni - jako Matkę Spowiedniczkę. Najdrobniejsze przypomnienie o tym, kim jest, o jej mocy, jeszcze bardziej raniło Richarda.

Ledwo słyszalny dźwięk sprawił, że chłopak wyprostował się gwałtownie.

Wpatrywały się weń oczy. Były blisko. Nie widział ich, lecz czuł. Poczuł zimny dreszcz - coś było tak blisko i obserwowało go. Czuł się nagi, bezbronny.

Richard patrzył wprost przed siebie, tam gdzie wyczuwał ową istotę, a serce mu waliło. Dławiąca cisza, tylko szum krwi w uszach. Chłopak wstrzymał oddech, usiłując coś dosłyszeć.

I znów tamten dźwięk - ostrożne kroki po leśnej ściółce. Zbliżały się. Richard wpatrywał się w ciemność, starając się dostrzec jakiś ruch.

Mniej niż dziesięć kroków przed nim, tuż przy ziemi, pojawiły się żółte ślepia. Wlepione w Richarda. Stwór się zatrzymał, a chłopak zamarł.

Stwór zawył i skoczył. Richard się poderwał, sięgnął po miecz. Stworzenie było tuż. Wilk! Największy wilk, jakiego chłopak kiedykolwiek widział. Spadł na Richarda, zanim ten zdążył dobyć miecza. Przednie łapy uderzyły chłopaka w pierś. Impet uderzenia odrzucił go w tył, na kłodę, z której się poderwał.

Padając, zobaczył coś o wiele gorszego od wilka - sercowego psa.

Wielkie szczęki sięgały piersi chłopaka, lecz w tym momencie wilk dopadł sercowego psa i złapał go za gardło.

Głowa Richarda uderzyła w coś twardego. Usłyszał skowyt i trzask przegryzanych ścięgien. Otoczyła go ciemność.

Otworzył oczy. Patrzył nań Zedd; dotykał środkowymi palcami skroni chłopaka. Kahlan trzymała pochodnię. Richard był otumaniony, kręciło mu się w głowie, ale stanął chwiejnie na nogach, a dziewczyna pomogła mu usiąść na kłodzie. Niespokojnie dotknęła jego policzka.

- Nic ci nie jest?

- Ch-chyba n-nie - wykrztusił Richard. - Tylko głowa... Okropnie boli... - Przeraźliwie go mdliło.

Zedd wziął od Kahlan pochodnię i oświetlił leżące za kłodą ciało sercowego psa; stwór miał rozszarpane gardło. Czarodziej popatrzył na tkwiący w pochwie miecz.

- Jak to się stało, że pies cię nie dopadł?

Głowa tak bolała chłopaka, jakby go ktoś dźgnął sztyletem.

- N-nie wiem. To się tak szybko stało... - Wtem przypomniał sobie i znów się poderwał. - Wilk! To wilk za nami szedł!

Kahlan go objęła ramieniem, podtrzymała.

- Wilk? - Dziwny ton głosu sprawił, że Richard spojrzał w jej przymrużone oczy. - Na pewno?

- Tak. Siedziałem tu sobie i nagle poczułem, że na mnie patrzy. Podszedł bliżej, zobaczyłem żółte ślepia. Wtem skoczył. Sądziłem, że mnie zaatakował. Zbił mnie z nóg, prosto na kłodę. Nie zdążyłem dobyć miecza. Ale to nie o mnie mu chodziło. Rzucił się na stojącego za mną sercowego psa. Bronił mnie. Psa zobaczyłem dopiero wtedy, gdy padałem. To wilk zabił psa. Ocalił mi życie.

Kahlan wyprostowała się i wsparła pod boki.

- Brophy! - zawołała w noc. - Brophy! Wiem, że tam jesteś! Chodź tutaj natychmiast!

Wilk przydreptał w krąg światła pochodni - opuszczony łeb, ogon między tylnymi nogami. Był smoliście czarny. Wśród owej czerni jarzyły się groźne żółte ślepia. Opadł na brzuch i podczołgał się do stóp Kahlan. Przewrócił się na grzbiet, uniósł łapy i zaskomlał.

- Dlaczego szedłeś za nami, Brophy?

- Żeby cię chronić, o pani.

Richard otworzył usta. Chyba się za mocno uderzyłem w głowę, pomyślał.

- On mówi! Słyszałem! Ten wilk mówi!

Zedd i Kahlan spojrzeli w wytrzeszczone ze zdumienia oczy chłopaka. Czarodziej zerknął na dziewczynę.

- Podobno mu powiedziałaś.

- Cóż... - skrzywiła się leciutko Kahlan - chyba zapomniałam mu powiedzieć o wszystkim. Tak ciężko spamiętać, o czym on nie wie. - Łypnęła gniewnie na starca. - My dwoje spędziliśmy tu całe życie. Pamiętaj, że on nie.

- Wracamy do obozu - burknął Zedd. - Wszyscy.

Czarodziej z pochodnią w garści prowadził, Kahlan szła nim, a wilk u jej boku - uszy położone, ogon wlokący się po ziemi.

Usiedli wokół ogniska i Richard odezwał się do przycupniętego przy Kahlan zwierza:

- Wilku, chyba...

- Brophy. Imię brzmi Brophy.

- Brophy. - Chłopak cofnął się trochę. - Przepraszam. Ja mam na imię Richard, a to jest Zedd. Chciałbym ci, Brophy, podziękować za uratowanie mi życia.

- Drrrobiazg - warknęło wilczysko.

- Skąd się tu wziąłeś, Brophy? - spytała z dezaprobatą Kahlan. Wilk jeszcze bardziej położył uszy.

- Grozi ci niebezpieczeństwo. Chroniłem cię.

- Przecież cię uwolniłam - beształa zwierza.

- Ostatniej nocy to byłeś ty? - zapytał Richard.

- Tak. - Brophy spojrzał nań żółtymi ślepiami. - Zawsze oczyszczałem teren wokół waszego obozu z sercowych psów. I z innych wstrętnych stworów. Ostatniej nocy, tuż przed świtem, jeden podszedł blisko waszego obozu. Zająłem się nim. Ten dzisiejszy pies polował na ciebie. Słyszał bicie twojego serca. Wiedziałem, że pani by się zmartwiła, gdyby cię pożarł, więc go powstrzymałem.

Chłopakowi zrobiło się dziwnie.

- Dzięki - rzekł słabym głosem.

- Richardzie - odezwał się Zedd, pocierając brodę - sercowe psy to bestie z zaświatów. Nigdy dotąd cię nie atakowały. Co się zmieniło?

Zapytany omal się nie zadławił.

- Hmm, Adie dała Kahlan kość, żeby ją chroniła przed bestiami z zaświatów i żebyśmy bezpiecznie przesili przejściem przez granicę. Ja miałem jakąś starą kość od ojca i Adie powiedziała, że to mi wystarczy. Ale zgubiłem tę kość ze dwa dni temu.

Czarodziej się zamyślił. Richard spojrzał na wilka, chcąc zmienić temat.

- Jak to możliwe, że mówisz?

Brophy oblizał się długim jęzorem.

- To tak jak w twoim wypadku. Mówię, bo.. - Łypnął na Kahlan. - On nie wie, kim jestem?

Dziewczyna spojrzała nań tylko i wilk opadł na ziemię, położył łeb na łapach. Kahlan otoczyła kolano dłońmi, stukała jednym kciukiem o drugi.

- Pamiętasz, Richardzie, jak ci mówiłam, że czasami przyjmujemy spowiedź osoby, która się okazuje niewinna? I że czasem, ogromnie rzadko, skazany prosi o Spowiedniczkę, żeby dowieść swojej niewinności? - Chłopak przytaknął i zerknął na wilka. - Brophy miał zostać stracony za zabójstwo małego chłopca...

- Nie zabijam dzieci - warknął wilk i poderwał się.

- Chcesz sam wszystko opowiedzieć?

- Nie, o pani. - Brophy znów się położył.

- Brophy wolał zostać dotknięty mocą Spowiedniczki, niż skończyć jako zabójca dziecka. Pomińmy milczeniem, co jeszcze uczyniono owemu chłopczykowi. Toteż zażądał Spowiedniczki - to się bardzo rzadko zdarza, prawie wszyscy wolą kata - bo się chciał oczyścić z zarzutów. Mówiłam ci również, Richardzie, że kiedy przyjmujemy spowiedź, mamy przy sobie czarodzieja. Po to, żeby nas chronił, ale nie tylko. W takim wypadku jak ten kiedy ktoś jest niesłusznie oskarżony i wyznaniem dowiedzie swojej niewinności, to i tak pozostanie w naszej mocy, nie stanie się z powrotem tym, kim był przedtem. Wówczas czarodziej zmienia taką osobę w inne stworzenie. Taka przemiana przytłumia trochę moc Spowiedniczki i ów ktoś na tyle dba o siebie, że może zacząć nowe życie.

- Byłeś niewinny? - spytał z osłupieniem Richard. - I mimo to tak cię zostawili? Na całe życie?

- Absolutnie niewinny - potwierdził Brophy.

- Brophy - powiedziała Kahlan tonem, który Richard dobrze znał. Wilk przypadł do ziemi.

- Tylko w tej sprawie - łypnął spode łba na patrzącą nań dziewczynę. - To właśnie miałem na myśli. Że nie zabiłem owego chłopca.

- Co to znaczy? - Richard zmarszczył brwi.

- A to, że przy okazji wyznał sprawy, o które nie był oskarżony. Widzisz, Brophy był zamieszany w interesy wątpliwej natury. - Spojrzała na wilka. - Na granicy prawa.

- Byłem uczciwym przedsiębiorcą - zaprotestował wilk. Kahlan rzuciła nań okiem i poinformowała Richarda:

- Brophy był kupcem.

- Mój ojciec też - zirytował się chłopak.

- Nie wiem, czym handlują kupcy w Westlandzie. Za to w Midlandach niektórzy z nich zajmują się magicznymi przedmiotami.

- No i co? - Richard pomyślał o Księdze Opisania Mroków.

- Czasem to żywe istoty. - Kahlan znacząco uniosła brew.

- Skąd mogłem wiedzieć! - Brophy podniósł się na przednich łapach. - Nie zawsze wiadomo! Czasem sądzisz, że to po prostu jakaś rzecz, na przykład książka, za którą kolekcjoner zapłaci okrągłą sumkę. A innym razem chodzi o kamień, o posąg

lub o laskę albo... Skąd niby mam wiedzieć, czy są żywe?

Kahlan wciąż patrzyła na wilka.

- Handlowałeś czymś innym niż księgi i posągi - wypomniała mu. - A poza tym w tym swoim niewinnym interesie miewał niesnaski z ludźmi dotyczące choćby praw własności. Brophy był równie potężnym mężczyzną, jak teraz wilkiem. Czasem korzystał ze swojej krzepy, żeby „przekonać” ludzi do swoich życzeń. Może to nieprawda, Brophy?

- Prawda, o pani. - Wilk położył uszy. - Byłem porywczy. Porywczy i krzepki. Ale złościłem się tylko wtedy, kiedy mnie chcieli oszukać Mnóstwo ludzi sądzi, że wolno im oszukiwać kupców; uważają że jesteśmy trochę lepsi od złodziei i że nie mamy prawa się bronić. Ale jak już się uniosłem i wyjaśniłem nieporozumienie to się nie sprzeciwiali.

Kahlan obdarzyła wilka leciutkim uśmieszkiem.

- Brophy miał odpowiednią reputację: zasłużoną, choć nieco przesadzoną. - Popatrzyła na chłopaka. - Zajmował się niebezpiecznymi, a przez to bardzo dochodowymi interesami. Miał dość pieniędzy na swoje hobby. Nikt o tym nie wiedział, dopóki go nie dotknęłam moją mocą.

- Błagam, o pani! - Wilk zakrył łeb łapami. - Czy musimy o tym mówić?

- Co to za konik? - zaciekawił się Richard.

- Brophy miał słabostkę. - Kahlan uśmiechnęła się szeroko. - Dzieci. Podróżował w poszukiwaniu przedmiotów handlu i zatrzymywał się przy sierocińcach, sprawdzając, czy dzieci mają wszystko, czego im trzeba. Całe zarobione złoto pakował w sierocińce, żeby dzieci nie były głodne i miały właściwą opiekę. Wykręcał ręce ludziom prowadzącym sierocińce i wymuszał przyrzeczenie, że go nie zdradzą. Nie chciał, żeby ktoś się o tym dowiedział Nie musiał, rzecz jasna, zbytnio ich przymuszać.

Brophy wciąż osłaniał łeb łapami. Oczy miał szczelnie zamknięte.

- Błagam, o pani - zaskomlał. - Mam swoją reputację! - Otworzył ślepia i uniósł się na przednich łapach. - I to dobrze zasłużoną! Złamałem sporo kości i rozbiłem sporo nosów! Mam na sumieniu sporo podłych sprawek!

- O tak, masz. - Kahlan spojrzała nań znacząco. - Za niektóre powinieneś był trafić do więzienia. Ale nie zasłużyłeś na ścięcie. Przeniosła wzrok na Richarda. - Ponieważ Brophy’ego widywano w pobliżu sierocińców, to nikt się nie zdziwił, kiedy go oskarżono o zabicie chłopczyka.

- Demmin Nass - warknął Brophy. - Oskarżył mnie Demmm Nass. - Podciągnął wargi, ukazując długie kły, i zawył.

- Czemu cię nie bronili ludzie z sierocińców?

- Demmin Nass popodcinałby im gardła - warknął wilk.

- Kto to taki, ten Demmin Nass? Kahlan i wilk wymienili spojrzenia.

- Pamiętasz, jak Rahl Posępny zjawił się u Błotnych Ludzi i zabrał Siddina? I powiedział, że to dar dla przyjaciela? Demmin Nass jest owym przyjacielem. - Popatrzyła znacząco na chłopaka. - Demmin Nass chorobliwie się interesuje małymi chłopcami.

Richard poczuł strach i ból - o Siddina, Savidlina, Weselan. Przypomniał sobie, że im obiecał, iż odnajdzie ich synka Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezsilny.

- Gdy go kiedyś dopadnę - warknął Brophy - to wyrównam parę rachunków. Nie zasłużył na śmierć. Najpierw musi zapłacić za to, co zrobił.

- Trzymaj się z dala od Demmina - ostrzegła Kahlan. - To niebezpieczny człowiek. Nie chcę, żeby cię jeszcze bardziej skrzywdził.

Żółte ślepia patrzyły gniewnie w oczy dziewczyny, potem złagodniały.

- Tak, o pani. - Wilk położył się na ziemi. - Duchy wiedzą, że gdybym na to zasłużył, godnie bym poszedł na spotkanie z katem. Ale nie za to. Nie mogłem pozwolić, żeby myśleli, że to ja robię dzieciom takie rzeczy. Więc poprosiłem o Spowiedniczkę.

- Nie chciałam przyjąć jego spowiedzi. - Kahlan podniosła patyk i dłubała nim w ziemi. - Wiedziałam, że nie prosiłby o Spowiedniczkę, gdyby nie był niewinny. Rozmawiałam z sędzią; powiedział, że przy takim oskarżeniu nie może złagodzić wyroku. Spowiedź lub śmierć. Brophy uparł się przy spowiedzi. - Richard spostrzegł, jak zwilgotniały zielone oczy. - Potem go spytałam, jakim stworzeniem chciałby zostać, gdyby mógł wybierać. Wybrał wilka. Nie wiem czemu. - Uśmiechnęła się leciutko. - Chyba to odpowiadało jego naturze.

- Bo wilki są prawymi stworzeniami. - Richard uśmiechnął się. - Żyłaś wśród ludzi, nie w lesie. Wilki są stadnymi zwierzętami, łączą je skomplikowane więzy. Są ogromnie opiekuńcze wobec swoich małych. Cała wataha walczy w ich obronie, jeśli zajdzie taka potrzeba. I wszystkie dorosłe wilki się nimi opiekują.

- Rozumiesz - szepnął Brophy.

- Naprawdę, Brophy? - spytała Kahlan.

- Tak, o pani. Teraz pędzę dobry żywot. - Machnął ogonem. - Mam partnerkę!

Wspaniała wilczyca. Cudownie pachnie, jej paczuszki budzą we mnie dreszcz rozkoszy i ma milutką małą... No, nieważne. - Popatrzył na Kahlan. - Jest przewodnikiem naszej watahy. Ze mną u boku, rzecz jasna. Podobam się jej. Mówi, że jestem najsilniejszym wilkiem, jakiego widziała. Tej wiosny mieliśmy małe. Sześcioro. Świetne szczenięta; teraz już prawie wyrosły. To wspaniałe życie; trudne, lecz wspaniałe. Dziękuję ci, pani, że mnie uwolniłaś.

- Tak się cieszę, Brophy. Ale dlaczego jesteś tutaj, a nie ze swoją rodziną?

- Hmm, kiedy schodziliście z Rang Shada, to przeszliście w pobliżu mojej kryjówki. Wyczułem twój zapach. I potrzeba chronienia cię była tak potężna, że nie zdołałem jej zwalczyć. Wiem, że grozi ci niebezpieczeństwo, i nie zaznam spokoju wśród mojej watahy, dopóki nie będziesz bezpieczna. Muszę cię chronić.

- Ależ, Brophy - sprzeciwiła się Kahlan. - Chcemy powstrzymać Rahla Posępnego. Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, jeśli z nami zostaniesz. Nie chcę, żebyś zginął. I tak już wiele straciłeś przez Rahla, z winy Demmina Nassa.

- Kiedy się stałem wilkiem, o pani, to bardzo osłabła we mnie chęć pozostania przy tobie, ale nadal oddałbym za ciebie życie. I niezwykle mi trudno sprzeciwiać się twoim pragnieniom. Lecz temu życzeniu muszę się sprzeciwić. Nie opuszczę cię w potrzebie. Muszę cię bronić, bo inaczej nigdy nie zaznam spokoju. Rozkaż mi odejść, jeśli chcesz, lecz nie usłucham. Będę szedł za tobą jak cień, dopóki Rahl ci będzie zagrażał, dopóki nie będziesz bezpieczna.

- Brophy - odezwał się Richard, a wilk spojrzał na chłopaka. - Ja też chcę, żeby Kahlan była bezpieczna i mogła powstrzymać Rahla Posępnego. Będę zaszczycony, mając cię do pomocy. Już okazałeś odwagę i wielkie serce. Jeśli mi pomożesz w chronieniu Kahlan, to po prostu nie zwracaj uwagi na jej słowa i rób swoje.

Wilk łypnął na dziewczynę. Uśmiechnęła się do niego.

- On jest Poszukiwaczem. I ja, i Zedd przysięgliśmy, że oddamy życie w jego obronie. Muszę się zgodzić, skoro taka jego wola.

Brophy rozdziawił pysk ze zdumienia.

- On ci rozkazuje? Rozkazuje Matce Spowiedniczce?

- Tak.

Wilk ujrzał chłopaka w nowym świetle; potrząsnął łbem.

- Dziw nad dziwami. - Oblizał się. - Aha, chciałbym ci podziękować za jedzonko, które mi zostawiałeś.

- O czym ty mówisz? - Kahlan zmarszczyła brwi.

- Ile razy coś złowił, tyle razy zostawiał trochę dla mnie.

- Robiłeś tak, Richardzie? - spytała.

- Wiedziałem, że tam jest. - Chłopak wzruszył ramionami. - Co prawda nie miałem pojęcia, co to za stwór, lecz uważałem, że nie chce nas skrzywdzić. Zostawiałem mu więc trochę jedzenia, żeby wiedział, że i my nie mamy złych zamiarów. - Uśmiechnął się do wilka. - Lecz kiedy się na mnie rzuciłeś ostatniej nocy, to już myślałem, że się myliłem. Jeszcze raz dziękuję.

Wdzięczność speszyła Brophy'ego. Podniósł się.

- Już wystarczająco długo tu tkwię. Muszę się przejść po lesie. Coś się tam może czaić. Nie musicie wystawiać warty, kiedy Brophy czuwa.

Richard rzucił patyk do ogniska, obserwował strzelające iskry.

- Jak to było, Brophy, kiedy Kahlan cię dotknęła? Kiedy poraziła cię swoją mocą?

Nikt się nie odezwał. Chłopak spojrzał w żółte wilcze ślepia. Brophy odwrócił łeb ku Kahlan.

- Powiedz mu - szepnęła łamiącym się głosem.

Wilk położył się, skrzyżował przednie łapy, wysoko uniósł łeb. Długo milczał, a potem rzekł:

- Trudno mi sobie przypomnieć tamte czasy, ale postaram się wytłumaczyć najlepiej, jak potrafię. - Lekko przechylił łeb na bok. - Ból. Pamiętam ból. Ostry, przeszywający, ponad wszelkie wyobrażenie. Potem strach. Przepotężny strach, że mógłbym coś zrobić nie tak i urazić ją. Niemal umarłem ze strachu, że mógłbym wywołać jej niezadowolenie. A potem powiedziała mi, czego chce, i poczułem radość, olbrzymią radość. Cieszyłem się że wiem, jak się jej przypodobać. Nie posiadałem się z radości, że mnie o coś poprosiła, że mogę zrobić coś, co ją zadowoli. To pamiętam najlepiej: desperacką, szaleńczą potrzebę spełniania jej życzeń, usatysfakcjonowania i uszczęśliwienia jej. To było moje jedyne pragnienie, jedyna myśl - zadowolić ją. Jej obecność napełniała mnie niewysłowionym szczęściem. Tak wielkim, że płakałem z uniesienia. Kazała mi powiedzieć prawdę, więc byłem szczęśliwy, bo wiedziałem, że to uczynię. Drżałem z radości, że dostałem zadanie, które mogę wykonać. Zacząłem mówić tak szybko, jak zdołałem, żeby wyjawić całą znaną mi prawdę. Musiała poprosić, bym mówił wolniej, bo nic nie mogła zrozumieć. Gdybym miał nóż, tobym się zabił za to, że wywołałem jej niezadowolenie.

Pocieszyła mnie, że wszystko w porządku, i płakałem z zachwytu, że nie jest na mnie zła. Powiedziałem jej, co się stało. - Pochylił nieco uszy. - Powiedziałem, że nie zabiłem chłopca, a ona, pamiętam, położyła mi dłoń na ramieniu - omal nie zemdlałem z rozkoszy - i rzekła, że jej przykro. Źle zrozumiałem. Sądziłem, że jej przykro, że nie zabiłem malca. Błagałem, żeby mi pozwoliła zabić dla niej jakiegoś innego chłopaczka. - Z wilczych ślepiów płynęły łzy. - Wtedy wyjaśniła, że było jej przykro, że mnie oskarżyli o morderstwo, którego nie popełniłem. Płakałem i płakałem, bo okazała mi łaskawość, żałowała mnie, troszczyła się o mnie. Pamiętam, co czułem, będąc przy niej. Pewno to była miłość, ale słowa nie potrafią wyrazić owego uczucia, pragnienia, pożądania jej.

Richard wstał. Pozwolił sobie tylko na jedno spojrzenie na Kahlan, na jej łzy.

- Dzięki, Brophy. - Umilkł, upewnił się, że głos go nie zawiedzie. - Już późno. Lepiej śpijcie; jutro ważny dzień. Podejmę swoją wartę. Dobranoc.

- Wy troje śpijcie. - Brophy się podniósł. - Ja będę pilnował.

- Doceniam twoją propozycję - rzekł z trudem Richard - ale podejmę wartę. Jeśli chcesz, to możesz strzec moich pleców. - Odwrócił się i ruszył ku lasowi.

- Richardzie - zawołał Zedd. Chłopak się zatrzymał, lecz nie spojrzał nań. - Jaką kość dał ci ojciec?

Myśli Richarda zawirowały. Błagam, Zeddzie, jeśli już kiedyś uwierzyłeś w moje kłamstwo, to uwierz i w to, pomyślał. - Musisz ją pamiętać. Taka mała, okrągła. Na pewno ją widziałeś.

- Aha. Chyba faktycznie widziałem. Dobranoc.

Pierwsze prawo magii. Dzięki, stary przyjacielu, mówił do siebie Richard, że mnie nauczyłeś, jak chronić życie Kahlan.

Odszedł w noc. Głowa pulsowała mu z bólu - tego po uderzeniu i tego serdecznego.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Miasto Tamarang nie mogło pomieścić wszystkich nadciągających ludzi. Było ich zbyt wielu. Nadchodzili ze wszystkich stron, szukając ochrony i bezpieczeństwa. Lokowali się wokół miasta. Namioty i chatynki pokryły całą przestrzeń pomiędzy murami Tamarang a wzgórzami. Rankiem ludzie ze wzgórz zjawiali się na zaimprowizowanych targowiskach poza murami. Ci, którzy przybyli z innych miast i miasteczek, pobudowali prowizoryczne stragany i sprzedawali, co tylko mogli. Sprzedawali wszystko - od starych ubrań po wspaniałe klejnoty. W innych kramach proponowano owoce i jarzyny. Spotykało się tam uzdrawiaczy, golibrodów, wróżbitów, ludzi, którzy chcieli szkicować podobizny, i takich, którzy mieli słoje z pijawkami i oferowali upuszczanie krwi. Wszędzie sprzedawano wina i wódki. Wszyscy - pomimo okoliczności, które ich tu przygnały - byli w wesołym nastroju. Efekt obfitości napitków i domniemanej opieki, osądził Richard.

Opowiadano o dokonaniach Ojczulka Rahla. O jego wspaniałości. Małe grupki ludzi otaczały heroldów głoszących najnowsze wieści, opowiadających o ostatnich okropieństwach. Słuchacze jęczeli i zawodzili, biadając nad złem sprawionym przez Westlandczyków. Rozlegały się okrzyki nawołujące do zemsty.

Richard nie dostrzegł ani jednej kobiety z włosami sięgającymi ramion.

Zamek stał na wysokim wzgórzu - w obrębie własnych murów, w obrębie murów miasta. Na potężnych murach zamku powiewały - równomiernie rozmieszczone - czerwone chorągwie z wizerunkiem głowy czarnego wilka. Wielkie drewniane bramy w zewnętrznych murach miasta zamknięto, żeby nie wpuszczać czerni.

Ulice patrolowali konni żołnierze, zbroje lśniły w blasku stojącego w zenicie słońca - krople światła nad morzem gwarnego tłumu. Richard spostrzegł jakiś oddziałek, nad którym powiewały czerwone proporce z głową czarnego wilka, spieszący dokądś nowymi ulicami. Jedni wznosili okrzyki, inni pochylali głowy, lecz wszyscy cofali się przed końmi. Żołnierze nie zwracali uwagi na ludzi, jakby ich nie widzieli. A tych, którzy się nie zdążyli na czas usunąć z drogi, przepędzali ciosem w głowę.

Lecz nikt nie odsuwał się z drogi żołnierzom tak szybko, jak uchodzono z drogi Kahlan. Ludzie odsuwali się od Matki Spowiedniczki tak rączo, jak sfora psów od jeżozwierza. Biała szata Kahlan jaśniała w blasku słońca. Wyprostowana jak struna, głowa wysoko uniesiona - dziewczyna kroczyła tak dumnie, jakby całe miasto

do niej należało. Patrzyła prosto przed siebie, nikogo nie dostrzegając. Nie chciała założyć płaszcza. Twierdziła, że to by było niewłaściwe, wolała, żeby nie było żadnych wątpliwości, kim jest. I nie było.

Ludzie wpadali na siebie, usuwając się Kahlan z drogi. Pochylali się w głębokim ukłonie i trwali tak, dopóki się nie oddaliła. Ciche szepty niosły tytuł dziewczyny daleko w tłum. Nie odpowiadała na ukłony.

Zedd niósł plecak Kahlan. Szedł wraz z Richardem dwa kroki za dziewczyną. Obydwaj bacznie obserwowali tłum. Chłopak tak długo znał starca, a jeszcze nie widział, żeby czarodziej kiedykolwiek niósł jakiś tobołek. Wyglądało to co najmniej dziwnie. Richard odsunął połę płaszcza w tył, odsłonił Miecz Prawdy. Wywołał tym trochę poruszenia, ale nie tyle, ile Matka Spowiedniczka.

- Czy tak jest wszędzie, dokąd Kahlan idzie? - szepnął chłopak do Zedda.

- Obawiam się, że tak, chłopcze.

Dziewczyna bez wahania przeszła kamiennym mostem do bram miasta. Strażnicy u początku mostu umknęli jej z drogi. Zignorowała ich. Richard miał oko na wszystko, na wypadek gdyby się trzeba było szybko wycofać.

Dwa tuziny strażników przy bramie otrzymało rozkazy, żeby nikogo nie wpuszczać. Popatrywali nerwowo na siebie - nie spodziewali się odwiedzin Matki Spowiedniczki. Szczękały zbroje - jedni strażnicy cofali się, wpadając na innych, niektórzy stali w miejscu, nie wiedząc, co mają zrobić. Kahlan się zatrzymała. Patrzyła na bramę, jakby oczekiwała, że się rozwieje i zniknie. Żołnierze przed bramą oparli się o wierzeje i zerkali na kapitana.

Zedd wysunął się zza pleców Kahlan, stanął przed nią i nisko się skłonił, jakby przepraszał, że się ośmielił przed nią ustawić, a potem zwrócił się do kapitana:

- Co z tobą? Ślepy jesteś, człowieku?! Otwórz bramę! Czarne oczy kapitana patrzyły to na Kahlan, to na Zedda.

- Nikt nie może wejść, przykro mi. A ty się nazywasz...

Twarz Zedda spurpurowiała. Richard miał kłopoty z utrzymaniem poważnej miny.

- Czyżbyś usiłował mi powiedzieć, kapitanie - zasyczał czarodziej - że nakazano ci nie wpuszczać Matki Spowiedniczki?!

- Cóż... Rozkazano mi... - Kapitan spokorniał. - Ja nie...

- Natychmiast otwórz bramę! - ryknął wsparty pod boki Zedd. - I daj odpowiednią eskortę! W tej chwili!!!

Kapitan omal nie wyskoczył ze zbroi. Wy wrzaski wał rozkazy. Żołnierze gnali ku niemu. Brama się otwarła. Zjawili się konni i ustawili szeregiem przed Kahlan; powiewały proporce. Kolejni jeźdźcy utworzyli rząd za wędrowcami. Piesi żołnierze ustawili się po bokach, w bezpiecznej odległości.

Richard po raz pierwszy zobaczył jej świat, jej samotność. W co też go wciągnęło jego serce? Zrozumiał, dlaczego aż tak potrzebowała przyjaciela.

- I to jest według ciebie eskorta! - rozdarł się Zedd. - Cóż niech będzie. - Odwrócił się ku Kahlan, skłoniwszy głęboko. - Przepraszam, Matko Spowiedniczko, za zuchwalstwo tego człowieka i za marną eskortę, którą zebrał.

Dziewczyna spojrzała na czarodzieja, lekko skłoniła głowę.

W swojej białej szacie wyglądała tak ponętnie, że Richarda oblał żar, choć wiedział, że nie ma do niej żadnych praw.

Żołnierze eskorty zerkali na Kahlan, czekali. Dziewczyna ruszyła przed siebie, oni wraz z nią. Kopyta koni wzbiły kurz.

Zedd znów szedł obok Richarda. Kiedy mijali kapitana, nachylił się do niego i warknął:

- Ciesz się, kapitanie, że Matka Spowiedniczka nie zna twojego nazwiska!

Chłopak spostrzegł, że kapitan aż oklapł z ulgi, kiedy już kawałek odeń odeszli; uśmiechnął się do siebie. Chciał ich trochę zaniepokoić, ale się nie spodziewał, że to będzie aż tak.

Porządek wewnątrz miejskich murów był równie uderzający jak bezład na zewnątrz. Od wzgórza z warownym zamkiem rozchodziły się brukowane ulice, w witrynach mieszczących się przy nich sklepów kupcy prezentowali sprzedawane przez siebie towary. Nie było tu pyłu ani zapaszków. Tak wspaniałych zajazdów, jak te w Tamarang, Richard jeszcze nigdy nie widział. Przed wejściem do niektórych stali odźwierni w czerwonych uniformach i w białych rękawiczkach. Nad drzwiami wisiały ozdobne szyldy: gospoda Pod Srebrzystym Ogrodem, gospoda Collinsa, gospoda Pod Białym Rumakiem, zajazd Pod Karetą.

Panowie i damy, odziani w barwne, wytworne szaty, z wdziękiem załatwiali jakieś swoje sprawy. Jedno ich łączyło z ludźmi spoza murów: i oni kłaniali się głęboko, widząc nadchodzącą Matkę Spowiedniczkę. Tupot końskich kopyt i szczęk zbroi przyciągał ich uwagę - spostrzegali Kahlan, cofali się, choć wolniej niż tamci, i kłaniali. W niczym nie uchybiali etykiecie, choć nie było w tym za grosz szczerości. W ich oczach migał cień lekceważenia. Kahlan ignorowała ich. Mieszkańcy

Tamarang bardziej zwracali uwagę na miecz Richarda niż ci poza murami. Oczy mężczyzn prześlizgiwały się po orężu, twarze kobiet przybierały wyraz pogardy.

Włosy kobiet i w mieście były krótkie, choć niekiedy sięgały do ramion. Żadna jednak nie miała dłuższych. I to też wyróżniało Kahlan - pukle sięgające połowy pleców. Ani jedna kobieta nie nosiła włosów zbliżonej długości. Jak to dobrze, że ich nie obciąłem, choć tego chciała, cieszył się Richard.

Jeden z jeźdźców runął galopem ku zamkowi, aby oznajmić nadejście Matki Spowiedniczki. Kahlan kroczyła dostojnie, ze spokojną, niczego nie zdradzającą twarzą. Chłopak dobrze znał ową minę. Teraz zdał sobie sprawę, co to takiego. To była twarz Spowiedniczki.

Jeszcze nie dotarli do bram zamku, a już trąbki ogłosiły nadejście Matki Spowiedniczki. Na szczytach murów roiło się od żołnierzy: łuczników, pikinierów, zbrojnych w miecze. Stali szeregiem, skłonili się jak jeden, gdy Kahlan się zbliżała, i pozostali tak, dopóki nie przeszła przez stalową bramę. Przy drodze w obrębie zamkowych murów stał szpaler żołnierzy. I oni się skłonili przed Matką Spowiedniczka.

Skraj niektórych tarasów zdobiły kamienne wazy wypełnione kwiatami, pewnie przynoszone co dzień z cieplarni, lub zielonymi krzewinkami. Na obszernych gazonach rosły wymyślnie wystrzyżone żywopłoty, czasami tworzące labirynty. W pobliżu zamku przycięto je w kształty zwierząt i postaci. Rosły po obu stronach drogi, daleko jak okiem sięgnąć.

Wyrosły przed nim mury zamku. Richard osłupiał. Jeszcze nigdy się nie znalazł w pobliżu tak olbrzymiej budowli. Pałac Shoty był wielki, lecz nie aż tak, poza tym chłopak był odeń dość daleko. Wieże i wieżyczki, mury i balustrady, balkony i nisze wznosiły się wysoko w górę. A Kahlan mówiła, że to tylko mało znaczące królestwo, zdumiewał się Richard. Jakże więc muszą wyglądać zamki w tych ważniejszych!

Jeźdźcy zostali przy wałach; weszli do wnętrza przez olbrzymie miedziane wrota - piesi żołnierze stanęli szeregiem po obu stronach wierzei, dalej poszli już tylko we troje, Kahlan na czele, Zedd i Richard za nią.

Komnata była olbrzymia. Rozciągała się przed nimi lśniąca płaszczyzna z czarnych i białych płyt. Kamienne kolumny, zdobione spiralnymi żłobieniami - tak grube, że dopiero dziesięciu ludzi mogłoby je opasać - podpierały żebrowany, sklepiony strop. Richard poczuł się mały jak mrówka.

Na bocznych ścianach wisiały wielkie gobeliny ze scenami bohaterskich bitew. Chłopak już przedtem widział gobeliny; jego brat miał dwa. Richardowi dość się podobały, choć uważał je zawsze za ekstrawagancki zbytek. Lecz Michaelowe kilimy wyglądały przy tych gobelinach jak bazgranina przy wspaniałym obrazie. Chłopak nawet się nie spodziewał, że istnieją takie wspaniałości. Zedd nachylił się ku Richardowi i szepnął:

- Przestań tak wytrzeszczać oczy i zamknij usta.

Zawstydzony chłopak zamknął usta i przestał się gapić na boki. Pochylił się ku czarodziejowi i spytał szeptem:

- Czy ona jest przyzwyczajona do czegoś takiego?

- Nie. Matka Spowiedniczka jest przyzwyczajona do o wiele wspanialszych siedzib.

Przytłoczony Richard zamilkł.

Przed nimi znajdowały się wspaniałe schody. Chłopak ocenił że na środkowym podeście spokojnie zmieściłby się jego domek i jeszcze zostałoby miejsce. Balustrady były rzeźbione, marmurowe. U stóp schodów czekał tłumek ludzi.

Na czele stała królowa Milena, pulchna kobieta w pasiastych, pstrokatych jedwabiach. Okrywała ją pelerynka przyozdobiona filtrem z cętkowanych lisów. Włosy królowej były równie długie jak włosy Kahlan. Trzymała coś na rękach. Richard początkowo nie mógł się domyślić, co to takiego - wtem usłyszał poszczekiwanie i pojął, że to mały piesek.

Zbliżyli się ku zgromadzonym. Wszyscy oprócz królowej opadli na kolano i zgięli się w głębokim ukłonie. Richard gapił się całkiem otwarcie - jeszcze nigdy nie widział królowej. Zedd kopnął chłopaka w kostkę. Dopiero wtedy Richard, za przykładem czarodzieja, opadł na kolano i pochylił głowę. Tylko Kahlan i królowa się nie skłoniły. Ledwo Richard się skłonił, a już wszyscy powstali; on na samym końcu. Przypuszczał, że królowa i Spowiedniczka nie muszą się przed sobą skłaniać.

Królowa Milena wpatrywała się w Kahlan. Dziewczyna trzymała głowę wysoko. Nie zmieniła spokojnej i wyniosłej miny, nawet nie spojrzała na Milenę. Wszyscy milczeli.

Kahlan wysunęła przed siebie wyprostowane ramię, dłoń miękko opadła. Królowa spochmurniała. Kahlan nie zmieniła wyrazu twarzy. Panowała taka cisza, że Richardowi się zdawało, iż usłyszałby nawet mrugnięcie powieką. Królowa podała pieska mężczyźnie w jaskrawozielonym kubraku z rękawami i w obcisłych, czarnych

w czerwone i złote paski, nogawicach. Piesek warknął złośliwie i ugryzł mężczyznę w rękę; ten udał, że nic się nie stało.

Królowa uklękła przed Kahlan na oba kolana.

Natychmiast zbliżył się młodzian w czarnych szatach i z tacą w dłoniach. Skłonił się, niemal dotykając brodą piersi, podsunął tacę królowej. Wzięła mały ręcznik, zmoczyła w srebrnej miseczce z wodą i otarła nim wargi. Odłożyła ręczni czek na tacę. Królowa ujęła dłoń Matki Spowiedniczki i ucałowała świeżo obmytymi wargami.

- Na swoje życie, koronę i ziemie przysięgam wierność Spowiedniczkom. Richard rzadko słyszał, by ktoś tak gładko kłamał.

Kahlan wreszcie przesunęła wzrok. Spojrzała na pochyloną głowę królowej.

- Powstań, dziecko.

Rzeczywiście ważniejsza od królowej, pomyślał Richard. Przypomniał sobie, jak uczył Kahlan sporządzać wnyki, czytać tropy, wykopywać korzenie, i spurpurowiał.

Królowa Milena podniosła się z trudem. Jej wargi się uśmiechały. Lecz oczy nie.

- Nie prosiliśmy o Spowiedniczkę.

- Niemniej jednak się zjawiłam - głos Kahlan mógłby zamrozić wodę.

- Tak. To... To wspaniale. Po prostu... Cudownie. - Twarz królowej pojaśniała. - Wydamy ucztę. Tak, ucztę. Natychmiast roześlę posłańców z zaproszeniami. Wszyscy się zjawią. Jestem pewna, że będą zachwyceni, ucztując wraz z Matką Spowiedniczką. To wielki zaszczyt. - Odwróciła się, wskazała mężczyzn w czerwono-żółtych noga wicach. - Oto moi doradcy. - Wymienieni skłonili się głęboko. - Nie pamiętam wszystkich nazwisk - pokazała dwóch odzianych w złociste szaty: - Silas Tannic i Brandin Gadding, naczelni doradcy królowej. - Obaj się skłonili. - Lord Rondel, minister finansów, oraz lady Kyley, moja gwiaździarka. - Richard nie widział wśród dworzan czarodzieja w srebrzystej szacie. Królowa skinęła na skromnie odzianego człowieka, trzymającego się z tyłu. - A oto mój nadworny malarz, James.

Richard kątem oka dostrzegł, że Zedd zesztywniał. James skłonił się lekko, nie spuszczając z Kahlan lubieżnego spojrzenia. Brakowało mu prawej dłoni, obciętej w nadgarstku. Lepki uśmieszek, jakim James obdarzył dziewczynę, sprawił, że Richard odruchowo sięgnął do miecza. Zedd natychmiast złapał go za rękę i powstrzymał. Chłopak rozejrzał się wokół - nikt inny tego nie zauważył. Wszyscy się wpatrywali w

Matkę Spowiedniczkę. Kahlan przedstawiła swoją eskortę.

- Zeddicus Zorander, wróżbita z chmur, zaufany doradca Matki Spowiedniczki - Zedd skłonił się teatralnie - oraz Richard Cypher, Poszukiwacz, opiekun Matki Spowiedniczki. - Chłopak naśladował ukłon starca.

- Dość żałosna obrona Matki Spowiedniczki. - Królowa Milena spojrzała kwaśno na Richarda.

Chłopak ani drgnął, Kahlan pozostała niewzruszona.

- Liczy się miecz, a nie człowiek - stwierdziła zimno Matka Spowiedniczką. - Może i ma słaby umysł, lecz na pewno nie ramiona. Przyznam, że trochę za często macha mieczem.

Mina królowej świadczyła, że nie bardzo wierzy dziewczynie. Ze schodów zeszła dziewczynka. Ubrana była w różową atłasową sukienkę i obwieszona za dużymi dla niej klejnotami. Stanęła u boku królowej, odrzuciwszy w tył długie włosy. Nie skłoniła się.

- Moja córka, księżniczka Violet. Violet, kochanie, oto Matka Spowiedniczką.

Księżniczka Violet łypnęła gniewnie na Kahlan.

- Masz za długie włosy. Chyba ktoś powinien ci je obciąć.

Richard dostrzegł na twarzy królowej uśmieszek zadowolenia. Uznał, że nadszedł czas, by wzmóc jej niepokój.

W olbrzymiej komnacie zadźwięczał dobyty z pochwy Miecz Prawdy, a kamienne ściany i strop wzmocniły dźwięk. Czubek miecza zatrzymał się tuż przed nosem księżniczki. Richard pozwolił, by wniknął weń gniew oręża; dodało to mocy jego słowom.

- Skłoń się przed Matką Spowiedniczką - syknął - lub zginiesz.

Zedd przybrał znudzoną minę. Kahlan spokojnie czekała. Księżniczka Violet patrzyła wielkimi oczami na czubek miecza. Opadła na kolana i pochyliła głowę. Zerknęła na Richarda, jakby pytała, czyjej ukłon go zadowala.

- Uważaj, co mówisz - parsknął szyderczo - bo następnym razem obetnę ci język.

Księżniczka kiwnęła głową, wstała i stanęła po drugiej stronie matki. Richard schował miecz, odwrócił się, głęboko pokłonił Kahlan, która w ogóle nań nie spojrzała, i wrócił na swoje miejsce za jej plecami.

Owa demonstracja wywołała pożądany efekt: głos królowej Mileny stał się słodki jak miód.

- Jak już mówiłam, to wspaniale, że jesteście tutaj. Jesteśmy zachwyceni. Wprost zachwyceni. Pozwól, że cię zaprowadzimy do naszej najwspanialszej komnaty. Pewno się zmęczyłaś podróżą. Może chciałabyś wypocząć przed ucztą, a po uczcie czeka nas wszystkich długa, miła...

- Nie przybyłam tutaj, żeby się posilić - przerwała jej Kahlan - lecz żeby wizytować lochy.

- Lochy? - Królowa Milena skrzywiła się. - Tam jest tak paskudnie. Jesteś pewna, że nie wolałabyś raczej...

- Znam drogę. - Kahlan ruszyła przed siebie, Zedd i Richard za nią. Zatrzymała się, obróciła ku królowej. - Zaczekaj tu - poleciła lodowatym tonem - dopóki nie skończę. - Królowa pokornie kiwnęła głową, a Kahlan okręciła się z szumem szaty i poszła ku lochom.

Gdyby Richard nie znał jej tak dobrze, całe to spotkanie śmiertelnie by go wystraszyło. I wcale nie był pewny, czy się tak nie stało.

Kahlan poprowadziła ich w dół schodami i przez komnaty, które stawały się coraz skromniejsze, w miarę jak schodzili na niższe poziomy zamku. Richard był oszołomiony rozmiarami budowli.

- Miałam nadzieję, że i Giller tam będzie - odezwała się Kahlan. - Wtedy moglibyśmy oszczędzić sobie tej wizytacji.

- Ja też - mruknął Zedd. - Ogranicz się do krótkiej inspekcji, spytaj, czy ktoś chce złożyć spowiedź, i gdy odmówią, zaraz wracamy na górę i zażądamy spotkania z Gillerem. - Uśmiechnął się do dziewczyny. - Znakomicie to rozegrałaś. - Ona zaś uśmiechnęła się do nich obu. - Trzymaj się z daleka od tego malarza Jamesa, Richardzie - ostrzegł czarodziej.

- Czemu? Bo mógłby źle namalować mój portret?

- Przestań szczerzyć zęby. Bo mógłby rzucić na ciebie czary. Rysunkiem.

- Czary? Dlaczego malarz miałby rzucać na mnie czary? I to rysunkiem?

- Bo w Midlandach jest wiele języków, choć główny jest taki sam jak w Westlandzie. Słowne zaklęcia trzeba rozumieć, inaczej nie podziałają. Jeśli nie mówisz czyimś językiem, to nie możesz rzucić zaklęcia na tego kogoś. Ale rysunek każdy zrozumie. James może zakląć rysunkiem niemal każdego - oczywiście nie Kahlan czy mnie, lecz ciebie na pewno. Trzymaj się odeń z daleka, chłopcze.

Pospiesznie schodzili kamiennymi schodami, odgłos kroków odbijał się echem. Byli już w podziemnej części zamczyska. Ściany ociekały tu wilgocią,

miejscami były oślizłe. Kahlan wskazała ciężkie drzwi.

- Tędy.

Richard pociągnął żelazny pierścień, zawiasy zaskrzypiały i drzwi się otworzyły. Pochodnie oświetlały wąski korytarz; sufit był tak nisko, że chłopak musiał się pochylić, żeby nie uderzyć weń głową. Wilgotną podłogę zaścielała nadgniła słoma. Przy końcu korytarza Kahlan zwolniła, podeszła do żelaznych drzwi z zakratowanym wizjerem. Patrzyły na nich czyjeś oczy. Zedd wychylił się spoza dziewczyny.

- Matka Spowiedniczka chce zobaczyć więźniów - warknął. - Otwieraj. Richard usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Przysadzisty człowiek w brudnym mundurze otworzył drzwi. U jego pasa obok kluczy wisiał toporek. Mężczyzna pokłonił się Kahlan, ale wyglądał na zirytowanego. W milczeniu poprowadził ich przez niewielki pokój, w którym przed chwilą zajadał przy stole. Potem następnym ciemnym korytarzem ku drugim żelaznym drzwiom. Walnął w nie pięścią. Dwaj strażnicy za drzwiami skłonili się, zaskoczeni. Wszyscy trzej wyjęli pochodnie z metalowych uchwytów i poprowadzili gości krótkim przejściem przez trzecie żelazne drzwi, w których wszyscy musieli się mocno pochylić.

Migotliwe światło pochodni rozjaśniło mroki. W celach, za żelaznymi kratami więźniowie osłaniali oczy przed nagłym blaskiem i cofali się w głąb. Kahlan spokojnie wymówiła imię Zedda, dając znak, że czegoś oczekuje. Starzec pojął, o co chodzi. Wziął pochodnię od jednego ze strażników i oświetlił dziewczynę, żeby wszyscy uwięzieni dowiedzieli się, kim ona jest.

Rozpoznali ją.

- Ilu z tych ludzi jest skazanych na śmierć? - spytała Kahlan jednego ze strażników.

- Wszyscy - odparł, pocierając nieogolony policzek.

- Wszyscy - powtórzyła.

- Tak. Za zbrodnie przeciwko Koronie.

Patrzyła nań przez chwilę, potem zwróciła się do więźniów:

- Czy każdy z was popełnił główną zbrodnię?

Przez chwilę panowała cisza. Potem jakiś człowiek o zapadłych policzkach podszedł do krat i zacisnął dłonie na metalowych sztabach. Plunął na dziewczynę. Kahlan wyciągnęła rękę w tył, powstrzymując Richarda, zanim się zdążył poruszyć.

- Przyszłaś wykonać brudną robotę królowej, Spowiedniczko? Pluję na ciebie i

na twoją nędzną królową.

- Nie jestem tutaj z ramienia królowej. Przyszłam, żeby dać wyraz prawdzie.

- Prawda! Prawdą jest to, że żaden z nas nic nie zrobił! Może tylko szemrał na nowe prawa. A kiedyż to protestowanie przeciwko głodowaniu i zamarzaniu na śmierć własnej rodziny jest zdradą stanu?! Zjawili się poborcy królowej i zabrali większość moich zbiorów, mało co nam zostawili. A kiedy sprzedałem odrobinkę, którą udało mi się zaoszczędzić, powiedzieli, że oszukuję i łupię lud. Wszystkie ceny rosną niebotycznie. Starałem się przeżyć, to cała moja wina. I mam stracić głowę za paskarskie podbijanie ceny. Ci wszyscy więźniowie to niewinni rolnicy, kupcy, rzemieślnicy. Wszyscy mamy umrzeć za to, że się staraliśmy wyżyć z naszej pracy.

- Czy któryś z was chce złożyć spowiedź, żeby dowieść swojej niewinności? - spytała Kahlan.

Rozległy się ciche szepty. Podniósł się jakiś wymizerowany człowiek i podszedł do krat. Popatrzył na nich wystraszonymi oczyma.

- Ja chcę. Nic nie zrobiłem, a mają mi ściąć głowę. Moja żona i dzieci zostaną bez żywiciela. Ja chcę się wyspowiadać. - Wysunął ramię poza kraty. - Przyjmij moją spowiedź, Matko Spowiedniczko.

Do krat podchodzili coraz to nowi mężczyźni, a każdy z nich prosił o wysłuchanie jego spowiedzi. Wkrótce wszyscy stanęli przy kratach, błagając Kahlan, żeby przyjęła ich wyznania. Dziewczyna i Zedd wymienili ponure spojrzenie.

- Do tej pory tylko trzech skazańców prosiło o spowiedź - szepnęła Kahlan czarodziejowi. - W całej mojej spowiedniczej działalności.

- Kahlan? - Z ciemnej celi po drugiej strome korytarza rozległ się znajomy głosik.

Dziewczyna mocno zacisnęła dłonie na kratach.

- Siddin? Siddin! - Gwałtownie okręciła się ku strażnikom. - Wszyscy ci ludzie wyspowiadali się Matce Spowiedniczce. Uznaję, że są niewinni. Otwórz kraty!

- No, no, wolnego. Nie mogę ich wypuścić.

Richard obrócił się ku niemu, wyszarpując miecz. Ostrze przesunęło się po sztabach; w powietrzu zatańczyły iskry, poleciały drobiny stali. Chłopak kopniakiem zatrzasnął drzwi za plecami osłupiałych strażników. Czubek miecza zawisnął przed ich twarzami, zanim któryś zdążył odczepić toporek od pasa.

- Otwieraj kratę albo cię przetnę na pół i zdejmę klucze z twojego pasa!

Roztrzęsiony strażnik skoczył wykonać rozkaz. Krata gwałtownie się otwarła.

Kahlan wbiegła do celi, w mrok. Wróciła, niosąc w ramionach wystraszonego Siddina. Tuliła do ramienia główkę malca, coś mu szeptała, uspokajała go. Siddin odpowiedział coś w mowie Błotnych Ludzi. Uśmiechnęła się, coś powiedziała i chłopczyk odwzajemnił uśmiech. Strażnik akurat otwierał drzwi drugiej celi. Dziewczyna podtrzymała Siddina jednym ramieniem, a wolną ręką złapała strażnika za kołnierz.

- Matka Spowiedniczka stwierdziła, że wszyscy ci ludzie są niewinni - głos miała twardy jak stal. - Na mój rozkaz mają zostać uwolnieni. Wy trzej macie ich bezpiecznie wyprowadzić poza miasto. - Strażnik był od niej niższy o głowę. Przyciągnęła jego twarz do swojej. - Jeżeli nie wykonacie rozkazu, odpowiecie mi za to.

- Tak, Matko Spowiedniczko - energicznie potakiwał przerażony strażnik. - Rozumiem. Będzie, jak rozkazałaś. Ręczę za to słowem.

- Życiem - poprawiła go Kahlan.

Puściła go. Więźniowie wysypywali się z cel, padali przed dziewczyną na kolana, płakali, całowali skraj jej szaty. Przegoniła ich.

- Wystarczy. Odejdźcie swoją drogą. I pamiętajcie, że Spowiedniczki nie służą nikomu i niczemu, a wyłącznie prawdzie.

Przysięgli, że to zapamiętają, i odeszli za strażnikami. Richard zobaczył, że koszule wielu z nich były poszarpane lub poplamione zakrzepłą krwią; plecy mieli poprzecinane pręgami po uderzeniach.

Kahlan się zatrzymała, zanim weszli do komnaty, w której czekała królowa, i podała Siddina Zeddowi. Przygładziła włosy, rozprostowała fałdy szaty. Głęboko odetchnęła i przybrała nieprzeniknioną minę.

- Nie zapominaj, po co tu przyszliśmy, Matko Spowiedniczko - napomniał ją czarodziej.

Przytaknęła, dumnie podniosła głowę i weszła do komnaty. Królowa Milena wraz ze swym dworem czekała tam, gdzie ją zostawili. Oczy królowej spoczęły na Siddinie.

- Tuszę, Matko Spowiedniczko, iż znalazłaś wszystko w jak największym porządku?

Twarz Kahlan pozostała spokojna, lecz jej głos był lodowaty i ostry.

- Dlaczego wtrącono do lochów to dziecko?

- Hmm, nie jestem pewna. - Milena wytrzeszczała oczy. - Chyba... Chyba go

przyłapano na kradzieży i zamknięto w lochu, zanim się odszuka jego rodziców. Tak, na pewno. Zapewniam cię, że nic więcej.

- Stwierdziłam, że wszyscy więźniowie są niewinni - Kahlan spojrzała zimno na królową - i rozkazałam ich wypuścić. Wierzę, iż jesteś zadowolona, że zaoszczędziłam ci popełnienia straszliwej pomyłki, że zapobiegłam ścięciu niewinnych ludzi. Sądzę, że dopilnujesz, by ich rodzinom wynagrodzono krzywdy spowodowane owym błędem. Jeżeli to się znów powtórzy, to przy następnej wizycie opróżnię nie tylko lochy, ale i tron.

Richard zdawał sobie sprawę, że to nie przedstawienie mające ułatwić zdobycie szkatuły; widział, jak Kahlan wykonuje swoje obowiązki. To właśnie po to czarodzieje stworzyli Spowiedniczki. Takie były zadania Matki Spowiedniczki.

- Ooo... - Królowa Milena wytrzeszczała oczy. - Taak... Tak. Oczywiście. Niektórzy moi dowódcy odznaczają się wygórowaną ambicją, to na pewno ich sprawka. Nie miałam o tym pojęcia. Dziękuję... Że nas uratowałaś przed popełnieniem tak poważnej pomyłki. Osobiście dopilnuję, żeby wypełniono twoje polecenia. Sama, oczywiście, też bym tak postąpiła, gdybym...

- Opuścimy cię teraz - przerwała jej Kahlan.

- Opuścicie?- Twarz królowej pojaśniała. - Och, jaka szkoda! Z radością oczekiwaliśmy, że zaszczycisz nas swoją obecnością na uczcie. Ogromnie mi przykro, że odchodzisz.

- Mam inne, niecierpiące zwłoki, sprawy. Lecz zanim odejdę, chciałabym porozmawiać z moim czarodziejem.

- Twoim czarodziejem?

- Z Gillerem - syknęła Kahlan. Królowa przelotnie zerknęła na sufit.

- Cóż... To... To się może okazać niemożliwe.

- Więc umożliw to. - Dziewczyna nachyliła się ku niej. - I to zaraz.

- Uwierz, błagam, uwierz mi, Matko Spowiedniczko. - Twarz Mileny zbielała. - Na pewno wolałabyś nie oglądać Gillera w... W jego obecnym stanie.

- Natychmiast - powtórzyła Kahlan.

Richard poluzował miecz w pochwie, akurat na tyle, żeby to zwróciło uwagę królowej.

- Dobrze więc. On jest... Na górze.

- Poczekasz tutaj, aż skończę. Królowa popatrzyła na podłogę.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko. - Spojrzała na jednego z odzianych w

obcisłe nogawice dworaków i poleciła: - Wskaż drogę.

Mężczyzna poprowadził ich schodami na wyższe piętro, potem kilkoma korytarzami i w końcu spiralnymi kamiennymi schodkami na szczyt wieży. Zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami, minę miał niepewną. Kahlan odprawiła go. Skłonił się, zadowolony, że może odejść. Richard otworzył drzwi. Weszli do komnaty i zamknął je za nimi.

Kahlan spazmatycznie zachłysnęła się oddechem i ukryła twarz na ramieniu chłopaka. Zedd przycisnął buzię Siddina do swojej szaty.

Komnata była zniszczona. Całkowicie. Dach zniknął, jak odrzucony wybuchem, widać było słoneczne niebo. Ocalało ledwie parę belek. Z jednej z nich zwisał sznur.

Nagie ciało Gillera kołysało się lekko, zawieszone na wbitym pod żebro rzeźniczym haku. Gdyby dach pozostał na miejscu, to smród wypędziłby ich z komnaty.

Zedd podał Siddina Kahlan i - nie patrząc na ciało - zaczął z wolna krążyć po okrągłej komnacie; marszczył w zadumie twarz. Przystanął i dotknął wbitych w ściany szczątków mebli. Utkwiły w kamiennych ścianach jak w miękkim maśle.

Richard stał jak sparaliżowany i wpatrywał się w ciało Gilllera.

- Chodź no tu, chłopcze - przywołał go Zedd.

Czarodziej przesunął palec po czarnym, jakby pokrytym sadzą fragmencie ściany. Były dwa takie miejsca. Blisko siebie. Dwie poczerniałe plamy, cienie wyprężonych ludzi - jakby owi ludzie zniknęli, pozostawiając tylko swoje cienie. Na wysokości łokci obu ludzi, właściwie tuż powyżej łokci, nie było czerni - w kamienną ścianę wtopiły się złote obręcze.

- Ogień czarodzieja - powiedział Zedd.

- Uważasz, że to byli ludzie? - spytał z niedowierzaniem Richard. Zedd potaknął.

- Wtopił ich w ścianę. - Posmakował czarną smugę na swoim palcu, uśmiechnął się do siebie. - Ale to było coś więcej niż zwykły ogień czarodzieja. - Richard zmarszczył brwi, Zedd wskazał na czarną plamę i polecił: - Posmakuj.

- Po co?

- Żeby się czegoś nauczyć. - Czarodziej popukał chłopaka po głowie. Richard się skrzywił i poszedł za przykładem starca.

- To słodkie!

Zedd się uśmiechnął z zadowoleniem.

- Bo to coś więcej niż zwykły ogień czarodzieja. Giller dodał do niego całą swoją życiową siłę. Przelał w ten ogień swoje życie. To był ogień życia czarodzieja.

- Umarł, tworząc ów ogień?

- Tak. To ma słodki smak. A więc oddał swoje życie, żeby ratować inne. Gdyby to uczynił dla siebie, na przykład żeby uciec przed torturami, to ów czarny proszek miałby gorzki smak. Giller umarł dla kogoś.

Zedd stanął przed skręconym ciałem Gillera, odpędził muchy. Przekrzywił głowę, próbując spojrzeć od dołu. Odsunął palcem węzłowaty sznur, przyjrzał się twarzy Gillera. Wyprostował się.

- Zostawił wiadomość.

- Wiadomość? - spytała Kahlan. - Jaką wiadomość?

- Na jego ustach zastygł uśmiech. Z takiego uśmiechu każdy, kto umie czytać owe znaki, wyczyta, że nie zdradził tego, co chciano zeń wyciągnąć. - Richard podszedł bliżej, starzec wskazywał na rozcięty brzuch. - Widzicie, jak przebiega to cięcie? Uczynił je ktoś, kto praktykuje magię zwaną antropomancją, odczytywanie odpowiedzi z wnętrzności żywego człowieka. Rahl Posępny wykonuje owo cięcie bardzo podobnie, jak czynił to jego ojciec.

Richard przypomniał sobie własnego ojca - i jemu Rahl to uczynił.

- Jesteś pewny, że zrobił to Rahl Posępny? - spytała Kahlan.

- A któż by inny? - Zedd wzruszył ramionami. - Tylko on mógł ujść cało przed ogniem życia czarodzieja. Nawiasem mówiąc, owo cięcie to jego podpis. Spójrz tutaj. Widzisz koniec rozcięcia? Jak się zaczyna zakrzywiać?

- No i co z tego? - Kahlan odwróciła oczy.

- To sierp. A przynajmniej powinien być. To miało być sierpowe cięcie. Wycina się ów sierp podczas inkantacji, wiążąc pytanego z pytającym. Sierp zmusza pytanego do odpowiedzenia na zadane mu pytanie. Lecz tu... Widzisz? Sierp jest zaczęty, ale niedokończony. - Czarodziej uśmiechnął się ponuro. - To wtedy Giller przelał swoje życie w płomień. Wyczekał, aż Rahl prawie skończył, i w ostatniej chwili pozbawił go upragnionej wiadomości. Pewnie chodziło o imię osoby, która ma szkatułkę. Wnętrzności martwego człowieka nic Rahl owi nie zdradziły.

- Nigdy nie podejrzewałam, że Giller jest zdolny do tak bezinteresownego czynu - szepnęła Kahlan.

- Jak Giller tego dokonał, Zeddzie? - spytał strwożony Richard.- Jak zdołał

zachować uśmiech w chwili śmierci, skoro zadano mu taki ból?

- Czarodzieje powinni być przyzwyczajeni do bólu. - Starzec posłał chłopakowi takie spojrzenie, ze Richard poczuł zimny dreszcz - O tak:, powinni być nań wytrzymali. I chętnie przyjąłbym twoją decyzję, że nie zostaniesz czarodziejem, żeby ci oszczędzić tej straszliwej próby. Niewielu wychodzi z mej z życiem.

Ileż tajemniczych rzeczy Zedd musi wiedzieć, zadumał się Richard, rzeczy, o których mu nigdy nie mówił.

Starzec dotknął czule policzka martwego Gillera.

- Dobrze postąpiłeś, mój uczniu. Ten czyn przywrócił ci honor.

- Rahl pewno posiniał z wściekłości - odezwał się chłopak - Zniknijmy stąd jak najszybciej, Zeddzie. Za bardzo mi to wygląda na przynętę.

Czarodziej przytaknął.

- Szkatuły i tak tu nie ma.

- Przynajmniej Rahl jej jeszcze nie dopadł. Oddaj mi chłopca. - Starzec wyciągnął ręce po Siddina. - Musimy stąd wyjść dokładkę tak samo, jak weszliśmy do komnaty. Lepiej niech nie wiedzą, po co tu naprawdę przyszliśmy.

Zedd szepnął coś do uszka chłopczyka, ten zachichotał i objął czarodzieja za szyję.

Twarz królowej Mileny nie odzyskała rumieńców. Milena skubała skraj swojej paradnej pelerynki. Kahlan podeszła do niej zdecydowanym, lecz spokojnym krokiem.

- Dzięki ci za okazaną mi gościnność - powiedziała dziewczyna. - Opuścimy cię już.

- Wizyta Matki Spowiedniczki jest zawsze mile widziana. - Królowa skłoniła głowę. Ciekawość przeważyła nad strachem i Milena spytała: - A co z... Gillerem?

- Żałuję, że mnie uprzedziłaś - odparła zimno Kahlan. - Chętnie sama bym mu to zrobiła lub przynajmniej asystowała przy tym. Lecz cóż, liczy się tylko efekt. Jakieś nieporozumienie?

- Ukradł coś, co należało do mnie. - Twarz królowej odzyskała kolory.

- Ach tak. Mam nadzieję, że to odzyskałaś. Żegnaj. - Dziewczyna zrobiła parę kroków, zatrzymała się. - Pamiętaj, królowo Mileno, że wrócę tutaj, żeby sprawdzić, czy przywołałaś do porządku swoich nadgorliwych dowódców, czy też znów skazują na śmierć niewinnych ludzi.

Kahlan odwróciła się i ruszyła ku wyjściu. Richard i Zedd z Siddinem na

rękach poszli za nią.

Chłopak szedł jak marionetka obok starca, za Kahlan, wśród nisko się kłaniających ludzi, poprzez miasto i za jego mury. Myśli kłębiły mu się w głowie. I co teraz? Shota go ostrzegała, że szkatułka długo nie pozostanie u królowej. Miała rację. Gdzie jest teraz? Na pewno nie wróci do wiedźmy, żeby ją o to zapytać. Komu Gilier mógł oddać szkatułę? Jak się mają tego dowiedzieć? Richard był ogromnie przygnębiony. Miał tego dość. Przygarbione ramiona Kahlan mówiły mu, że i ona ma podobne odczucia. Cała trójka milczała. Tylko Siddin paplał, lecz chłopak go nie rozumiał.

- Co on mówi? - zapytał Zedda.

- Że był dzielny, jak mu przykazała Kahlan, ale że się cieszy, że zjawił się Richard Popędliwy i że zabierze go do domu.

- Chyba wiem, co on czuje. Co teraz zrobimy, Zeddzie?

- Skąd mam wiedzieć? - Czarodziej spojrzał nań ze zdumieniem. - To ty jesteś Poszukiwaczem.

No i pięknie. Już zrobiłem, co w mojej mocy, a mimo to nie mamy szkatuły, pomyślał Richard. A oni wciąż oczekują, że ją odnajdę. Miał uczucie, że uderzył w ścianę, której w ogóle nie zauważył. Szli przed siebie, a on nie miał pojęcia, dokąd teraz pójść.

Zachodzące słońce złociło chmury. Richard dostrzegł coś daleko przed nimi. Wysunął się w przód, szedł obok Kahlan. I ona na to patrzyła. Droga była pusta, wszyscy podróżujący zatrzymali się gdzieś na nocleg.

Chłopak już wkrótce zobaczył, co się zbliża. Galopowały ku nim cztery konie. Tylko jeden niósł jeźdźca.

Rozdział czterdziesty

Richard dotknął rękojeści miecza. Patrzył na lśniący złociście w promieniach zachodzącego słońca pył, wzbijany kopytami pędzących koni. Wkrótce usłyszał grzmiący tętent. Samotny jeździec pochylił się w siodle, przynaglając wierzchowca. Chłopak wysunął nieco miecz z pochwy, sprawdził, czy luźno chodzi. Czarno odziany jeździec był coraz bliżej; wyglądał znajomo.

- Chase!

Strażnik granicy wstrzymał konie tuż przed wędrowcami. Odczekał, aż opadnie kurz, spojrzał na nich.

- Wygląda na to, że z wami wszystko w porządku.

- Jak dobrze znów cię widzieć, Chase! - Richard się uśmiechnął. - Jak nas znalazłeś?

- Przecież jestem strażnikiem granicy - obruszył się zapytany; uznał, że to wystarczające wyjaśnienie. - Znaleźliście to, czegoście szukali?

- Nie - westchnął chłopak; dostrzegł małe rączki wczepione w boki Chase'a. Zza pleców strażnika wyjrzała znajoma buzia. - To ty, Rachel?

Wychyliła się bardziej, uśmiechając się promiennie.

- Richard! Tak się cieszę, że znowu jesteś! Czy Chase nie jest wspaniały? Stoczył walkę z chimerą i ocalił mnie przed zjedzeniem.

- Wcale nie stoczyłem walki - burknął Chase. - Przestrzeliłem łeb i tyle.

- Alebyś walczył. Jesteś najdzielniejszy ze wszystkich. Chase skrzywił się boleśnie i przewrócił oczami.

- No i czyż to nie najbrzydsza dziewuszka na świecie? - Odwrócił się i łypnął na nią. - Nie mogę uwierzyć, że chimera naprawdę chciała cię zjeść.

Rachel zachichotała i przytuliła się do niego.

- Patrz tylko, Richardzie. - Wysunęła ku chłopakowi obutą stopkę. - Chase ustrzelił jelenia. Powiedział, że to pomyłka, że jest za wielki, więc go przehandlował jakiemuś człowiekowi który miał tylko butki i ten płaszcz na wymianę. Czyż nie są śliczne? Chase powiedział, że mogę je zatrzymać.

- Tak, to wspaniale. - Chłopak uśmiechnął się do niej. Zauważył lalkę i węzełek z chlebem, wciśnięte pomiędzy małą a strażnika, spostrzegł również, że Rachel zerka na Siddina, jakby go już kiedyś widziała.

- Czemu uciekłaś? - Kahlan dotknęła nóżki dziewczynki. - Ogromnie się o ciebie baliśmy.

Rachel wzdrygnęła się pod dotykiem dziewczyny. Jednym ramionkiem mocno przywarła do Chase'a, drugą rączkę wsunęła do kieszeni. Nie odpowiedziała Kahlan, popatrzyła na Siddina.

- Czemu jest z wami?

- Kahlan go uwolniła - odparł Richard. - Królowa go zamknęła w lochu. To nie jest miejsce dla dziecka, więc Kahlan go stamtąd zabrała.

- Czy królowa się nie rozzłościła? - Dziewczynka spojrzała na Kahlan.

- Nie pozwolę nikomu krzywdzić dzieci - powiedziała dziewczyna. - Nawet królowej.

- Nie stójcie tak. Przyprowadziłem wam konie. Wsiadajcie. Spodziewałem się, że się z wami dzisiaj spotkam. W waszym obozowisku, tym ostatnim, po tej stronie Callisidrinu, piecze się dzik.

Zedd przytrzymał siodło jedną ręką, drugą podtrzymał Siddina i wskoczył na konia.

- Dzik! Czyś ty zwariował?! Zostawić dzika na rożnie bez dozoru! Jeszcze go ktoś ukradnie!

- A niby dlaczego was popędzam?! Pełno tam wilczych śladów, ale chyba nie podejdą do ogniska.

- Zostaw tego wilka w spokoju - ostrzegł czarodziej. - To przyjaciel Matki Spowiedniczki.

Chase rzucił okiem na Kahlan, potem na Richarda. Zawrócił konia i poprowadził ich ku zachodzącemu słońcu. Powrót strażnika dodał chłopakowi ducha. Richard znów czuł, że wszystko jest możliwe do wykonania. Kahlan dosiadła konia i wzięła Siddina; śmiali się i rozmawiali podczas jazdy.

Dotarli do obozowiska. Zedd nie marnował czasu na sprawdzanie, czy dzik się dopiekł; oznajmił, że jest już w sam raz. Podkasał szatę, usiadł wygodnie i - z radosnym uśmiechem na pomarszczonej twarzy - czekał, aż mu ktoś odkroi porcyjkę. Siddin, z uśmiechem zastygłym na buzi, usadowił się tuż przy Kahlan. Richard i Chase zaczęli dzielić dzika. Rachel trzymała się w pobliżu strażnika; obserwowała go, zerkając tez na Kahlan. Sarę położyła na kolanach, węzełek z chlebem tuż przy sobie.

Richard odciął spory kawałek mięsa i podał Zeddowi.

- I jak poszło? Znaczy, z moim bratem.

- Kiedy mu przekazałem to, co kazałeś - uśmiechnął się Chase - to powiedział, że pomoże, skoro wpadłeś w tarapaty. Zebrał wojsko i większość rozstawiliśmy na

obronnych pozycjach wzdłuż granicy pod dowództwem strażników. Kiedy granica zniknęła, Michael nie chciał czekać. Poprowadził tysiąc najlepszych ludzi do Midlandów. Obozują teraz w górach Rang Shada, gotowi cię wspomóc.

Osłupiały ze zdziwienia Richard przestał krajać dzika.

- Naprawdę? Mój brat tak powiedział? Przybył na pomoc? Z wojskiem? Chase potaknął.

- Powiedział, że cię nie zostawi.

Chłopak poczuł ukłucie żalu, że wątpił w Michaela, i radość, że brat rzucił wszystko i pospieszył na pomoc.

- Nie złościł się?

- Spodziewałem się i martwiłem, że będzie zły, ale on tylko wypytywał o ciebie: gdzie jesteś, co ci grozi. Powiedział, że cię dobrze zna i że skoro twierdzisz, że to takie ważne, to i on tak sądzi. Chciał jechać ze mną, ale się nie zgodziłem. Jest ze swoimi ludźmi. Pewno czeka w swoim namiocie, miotając się niecierpliwie. Też mnie zadziwił.

- Mój brat z tysiącem ludzi w Midlandach, przybył na pomoc. - Nie mógł się nadziwić Richard, spojrzał na Kahlan: - Czyż to nie wspaniałe? - Uśmiechnęła się do niego tylko.

Krojący dzika Chase popatrzył surowo na chłopaka.

- Kiedy zobaczyłem, że twój trop wiedzie do kotliny Agaden, myślałem, że już po tobie.

- Poszedłeś do kotliny?

- Czy wyglądam na takiego głupka? Jakbym był idiotą, to nie zostałbym dowódcą strażników granicy. Zacząłem się zastanawiać, jak tu powiedzieć Michaelowi, że nie żyjesz. Potem znalazłem ślady wychodzące z kotliny. - Chase zmarszczył brwi. - Jak ci się udało ujść stamtąd z życiem?

- Myślę, że dobre duchy... - zaczął z uśmiechem Richard. Rachel wrzasnęła.

Chase i Richard okręcili się z nożami gotowymi do ciosu. Chłopak powstrzymał strażnika. To był Brophy.

- Rachel? Czy to ty, Rachel?

Dziewczynka wyjęła z buzi nóżkę lalki. Otworzyła oczy ze zdumienia.

- Przecież to głos Brophy’ego.

- Bo jestem Brophy! - przytruchtał do Rachel.

- Dlaczego jesteś wilkiem? Zwierz przysiadł przed małą.

- Bo mnie w wilka zamienił dobry czarodziej. Chciałem być wilkiem, więc mnie przemienił.

- Giller cię zmienił w wilka? Richardowi zaparło dech.

- Tak, Giller. I mam teraz wspaniałe nowe życie.

Dziewczynka objęła wilczysko za szyję i chichotała, bo Brophy lizał ją po buzi.

- Znasz Gillera, Rachel? - zapytał chłopak.

- Giller jest dobry - powiedziała dziewczynka, przytulona do wilczej szyi. - Dał mi Sarę. - Zerknęła wystraszona na Kahlan - A ty chcesz go skrzywdzić. Jesteś przyjaciółką królowej. Wstrętna jesteś. - Przylgnęła do Brophy'ego, szukając ochrony.

Wilk lizał policzek Rachel.

- Mylisz się. Kahlan jest moją przyjaciółką. Jest najmilsza na świecie. Kahlan się uśmiechnęła i wyciągnęła ręce do małej.

- Chodź do mnie.

Rachel zerknęła na Brophy'ego. Dał jej znak, że wszystko w porządku. Podeszła, nadąsana. Kahlan ujęła dłonie dziewczynki.

- Słyszałaś, jak mówię coś przykrego o Gillerze, prawda? - Rachel potaknęła. - Królowa jest złą kobietą, Rachel. Do dziś nie wiedziałam, że aż tak złą. Giller był kiedyś moim przyjacielem. Potem odszedł do królowej i myślałam, że to dlatego, że i on jest zły i że jest po jej stronie. Myliłam się. Teraz już wiem, że nadal jest moim przyjacielem, i nigdy bym go nie skrzywdziła.

Rachel spojrzała na Richarda.

- Kahlan powiedziała prawdę. Jesteśmy po stronie Gillera. Dziewczynka przeniosła wzrok na wilka. Kiwnął łbem, potwierdzając, że to prawda.

- To ty i Richard nie jesteście po stronie królowej?

- Nie. - Kahlan krótko się zaśmiała. - Gdybym mogła postąpić według mej woli, to już wkrótce przestałaby być królową. A co do Richarda... Dobył miecza i zagroził, że zabije księżniczkę Violet. To chyba nie usposobiło królowej przyjaźnie do niego.

- Księżniczkę Violet? - Rachel szeroko otwarła oczy. - Groziłeś jej? Chłopak potwierdził.

- Nagadała Kahlan niemiłych rzeczy, więc ją ostrzegłem, że jej obetnę język, jeżeli się to powtórzy.

Dziewczynka rozdziawiła buzię ze zdumienia.

- I nie kazała obciąć ci głowy?

- Nie pozwolimy, żeby dalej obcinały ludziom głowy - powiedziała Kahlan. Łzy wypełniły oczy Rachel, popatrzyła na dziewczynę.

- A ja myślałam, że jesteś paskudna, że chcesz skrzywdzić Gillera. Tak się cieszę, że nie jesteś paskudna. - Zarzuciła Kahlan rączki na szyję i mocno się do niej przytuliła; dziewczyna odwzajemniła uścisk.

- Podniosłeś miecz na księżniczkę? - Chase się pochylił ku chłopakowi. - Wiesz, że to główna zbrodnia?

- Gdybym miał na to czas - Richard spojrzał nań zimno - tobym ją przerzucił przez kolano i sprał. - Rachel zachichotała radośnie. Chłopak uśmiechnął się do niej. - Znasz księżniczkę, prawda?

- Jestem jej służką, towarzyszką zabaw. - Dziewczynka przestała chichotać. - Mieszkałam w domu z innymi dziećmi, ale kiedy umarł mój braciszek, to królowa mnie zabrała, księżniczce Violet do towarzystwa.

- To on był tamtym chłopcem? - spytał Richard Brophy’ego, a wilk potakująco skinął łbem. - A więc mieszkałaś z księżniczką. To ona ci tak pokiereszowała fryzurkę? Biła cię.

Rachel przytaknęła z nadąsana buzią.

- Jest niedobra dla ludzi. Już każe obcinać im głowy. Bałam się, że i mnie każe obciąć głowę, więc uciekłam.

Dziewczynka zerknęła na tobołek z chlebem. Richard przykucnął przy niej.

- Giller pomógł ci uciec, prawda?

- Giller dał mi Sarę. - Rachel była bliska płaczu. - On też chciał ze mną uciec. Ale przybył ten wstrętny człowiek. Ojczulek Rahl. Okropnie się wściekł na Gillera. Giller kazał mi uciekać i kryć się aż do zimy, a potem znaleźć sobie rodzinę. - Łza spłynęła po policzku dziewczynki. - Sara powiedziała, że on już do mnie nie przyjdzie.

Richard znów spojrzał na bochenek chleba - miał odpowiednie rozmiary. Położył dłonie na ramionkach Rachel.

- I Zedd, i Kahlan, i Chase, i ja walczymy z Ojczulkiem Rahlem. Żeby już więcej nie mógł krzywdzić ludzi.

Dziewczynka zerknęła na strażnika. Potakująco kiwnął głową.

- On mówi prawdę, dziecinko. I ty mu powiedz prawdę. Richard mocniej zacisnął dłonie na ramionkach Rachel.

- Czy Giller dał ci ów bochenek chleba? - Mała potaknęła. - Szliśmy do Gillera po szkatułę, Rachel. Szkatułę, która by nam umożliwiła pokonanie Rahla. Wtedy już by nie mógł nikogo skrzywdzić. Czy dasz nam tę szkatułkę? Czy pomożesz powstrzymać Rahla?

Patrzyła nań załzawionymi oczami, potem uśmiechnęła się mężnie, podniosła chleb i podała Richardowi.

- Jest w bochenku. Giller ją tam ukrył czarami.

Chłopak o mało nie zdusił Rachel w uścisku. Wstał, tuląc małą i kręcił się w koło, a ona się śmiała radośnie.

- Jesteś najbystrzejszą, najdzielniejszą i najładniejszą ze wszystkich dziewczynek, Rachel!

Wreszcie postawił ją na ziemi. Podbiegła do Chase’a i wdrapała mu się na kolana. Strażnik zmierzwił jej włoski i otoczył krzepkimi ramionami. Uśmiechnęła się i przytuliła do niego.

Richard oburącz podniósł chleb. Wyciągnął ku Kahlan. Uśmiechnęła się, przecząco potrząsnęła głową. Podał chleb Zeddowi.

- Poszukiwacz znalazł. - Czarodziej się uśmiechnął. - Niech Poszukiwacz rozłamie bochenek.

Chłopak rozłamał chleb. W środku była ozdobiona klejnotami szkatuła Ordena. Otarł dłonie o spodnie, wyjął szkatułę i zbliżył się do ogniska. Z Księgi Opisania Mroków wiedział, że ta lśniąca szkatuła, którą widzieli, jest tylko okrywą tej prawdziwej. Wiedział również, jak ją otworzyć.

Położył skrzyneczkę na kolanach Kahlan. Podniosła ją i obdarzyła chłopaka wspaniałym uśmiechem. Richard pocałował ją, zanim zdał sobie sprawę z tego, co czyni. Szeroko otworzyła oczy i nie odwzajemniła pocałunku. Dotknięcie ust Kahlan otrzeźwiło Richarda.

- Wybacz.

- Darowane. - Roześmiała się.

Chłopak objął Zedda i obydwaj się śmiali. Chase im wtórował, patrząc na Richarda. Chłopak nie mógł się nadziwić, że tak niedawno chciał zrezygnować, że nie miał pojęcia, co robić, dokąd iść, jak powstrzymać Rahla. A teraz mieli szkatułę.

Postawił skrzyneczkę na skałce, w blasku ogniska, żeby się mogli napatrzeć, i zjedli najwspanialszą kolację w życiu Richarda. On i Kahlan opowiedzieli strażnikowi, co im się przydarzyło, kiedy on leżał nieprzytomny. Chase, ku

zachwytowi Richarda, był okropnie zakłopotany, że zawdzięcza życie Billowi, że to Bill go ocalił w Southaven. Strażnik z kolei opowiedział o przeprowadzeniu tysiąca ludzi przez Rang Shada. Z upodobaniem rozprawiał o głupocie biurokracji w polowych warunkach.

Rachel cały czas siedziała na kolanach strażnika. Richard pomyślał, że to ciekawe, iż wybrała sobie właśnie jego, najgroźniej wyglądającego z nich wszystkich. Chase zakończył opowieść. Wtedy podniosła nań oczy i spytała:

- Gdzie się mam schować aż do zimy, Chase? Strażnik łypnął na nią groźnie.

- Jesteś zbyt brzydka, żebyś się mogła pętać samopas. Na pewno byś wpadła w paszczę chimery. - Rachel zaśmiała się radośnie. - Mam inne dzieci, równie paskudne. Będziesz do nich pasować. Chyba cię zabiorę do swojego domu.

- Naprawdę, Chase? - zapytał Richard.

- Moja żona już tyle razy witała mnie z nowym dzieckiem, gdy wracałem że najwyższy czas, abym jej odpłacił tym samym - Popatrzył na wczepioną weń Rachel. - Ale mam pewne zasady. Musisz się do nich zastosować.

- Zrobię wszystko, co każesz, Chase.

- Hmm. Oto pierwsza zasada. Nie pozwalam, żeby którekolwiek z dzieci mówiło do mnie Chase. Jeżeli chcesz należeć do naszej rodziny, to musisz mnie nazywać ojcem, mówić do mnie: tato. A co do twoich włosków... Są stanowczo za krótkie. Moje dzieci mają długie włosy, bo takie włosy mi się podobają. Twoje też mają być dłuższe! Będziesz miała matkę. Masz jej słuchać. I masz się bawić ze swoimi nowymi siostrami i braćmi. Myślisz, że temu podołasz?

Rachel potakująco skinęła główką, z całej siły tuliła się do strażnika. Oczy miała pełne łez, nie mogła wykrztusić ani słowa.

Najedli się do syta. Nawet Zedd nie mógł już przełknąć ani kęsa. Richard był wyczerpany, a jednocześnie czuł przypływ energii - nareszcie mieli szkatułę. Najtrudniejsze już za mmi - znaleźli szkatułę przed Rahlem. Teraz tylko muszą ją przed mm ukryć aż do zimy.

- Poszukiwania zajęły nam całe tygodnie - powiedziała Kahlan. - Pierwszy dzień zimy już za miesiąc. Jeszcze rankiem wydawało się, że może nam zabraknąć czasu na odnalezienie skrzyneczki, a teraz wygląda, jakbyśmy mieli przed sobą całą wieczność. Co dalej?

Pierwszy odezwał się Chase.

- Musimy chronić szkatułę i mamy tysiąc ludzi, żeby nas bronili. A gdy

wrócimy przez granicę, to będzie ich kilka razy więcej.

- Co ty na to? - Kahlan spojrzała na Zedda. - Myślisz, ze to dobry pomysł? Łatwo nas będzie wypatrzeć, to znaczy ten tysiąc ludzi. Nie lepiej, żebyśmy się sami gdzieś ukryli?

Czarodziej odchylił się w tył, pomasował pełny brzuch.

- Sami się lepiej ukryjemy, ale będziemy bardziej wystawieni na ciosy, jeśli nas znajdą. Może i Chase ma rację. Tylu ludzi na pewno nas osłoni, a w razie czego zawsze możemy odejść i ukryć się.

- Lepiej wyruszyć wcześnie rano - stwierdził Richard.

Wyruszyli, ledwo zaczęło dnieć - konie drogą, Brophy lasem, za nimi, a czasem przodem. Prowadził Chase, obwieszony połyskującą bronią. Rachel trzymała się go mocno. Kahlan, znów w podróżnym stroju, z Siddinem przed sobą, jechała obok Zedda. Richard nalegał, żeby to czarodziej miał szkatułę; owinięto ją w płótno, w które był zawinięty chleb, i przywiązano do łęku siodła. Richard zamykał kawalkadę i miał na wszystko oko Jechali w chłodzie poranka. Teraz, kiedy już wreszcie mieli szkatułę, chłopak czuł się naznaczony, wystawiony na cel - jakby wszyscy wiedzieli, co wiozą.

Richard słyszał szum Callisidrinu na długo przedtem, nim wyjechali z zakrętu przed mostem. Cieszył się, że droga była pusta. Zbliżali się do drewnianego mostu i Chase puścił swego konia galopem, pozostali popędzali swoje wierzchowce, żeby nie zostawać w tyle. Chłopak wiedział, czemu Chase tak postąpił. Strażnik zawsze mu powtarzał, że mosty to zguba nieostrożnych. Richard, galopujący za innymi, rozejrzał się dokoła. Nic nie zobaczył.

Na samym środku mostu chłopak uderzył w coś, czego tam nie było.

Oszołomiony Richard usiadł - oto spadł na ziemię, a jego koń galopował wraz z innymi i zatrzymał się wraz z nimi. Tamci patrzyli zdziwieni, jak zaskoczony chłopak wstaje powoli. Otrzepał się i kulejąc, ruszył ku koniowi. Zanim dotarł do środka mostu, znowu uderzył w coś niewidzialnego. Miał wrażenie, że się zderzył z kamienną ścianą - ale nic nie było widać. Znów siedział na ziemi. Pozostali otoczyli go, zanim zdążył wstać. Zedd zsiadł z konia i - trzymając wodze w jednej dłoni - pomagał chłopakowi się podnieść.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - wykrztusił Richard. - Mam wrażenie, że wpadam na ścianę na środku mostu. Pewno po prostu zrobiło mi się słabo. Ale już chyba wszystko w

porządku.

Starzec rozejrzał się i poprowadził chłopaka, trzymając go za łokieć. Przeszli kawałek i Richard znów w coś uderzył, ale tym razem szedł powoli, więc go nie zbiło z nóg, trochę tylko odrzuciło w tył. Czarodziej się zamyślił. Chłopak wysunął ręce w przód - wyczuł twardą gładką ścianę, która przepuszczała wszystkich innych, lecz nie jego. Zakręciło mu się w głowie, poczuł mdłości. Zedd przeszedł tam i z powrotem przez niewidzialną zaporę. Stanął dokładnie tam, gdzie się znajdowała.

- Wróć na początek mostu, a potem podejdź do mnie. Richard ruszył przed siebie; czuł, jak mu rośnie guz na czole. Kahlan zeskoczyła z konia, stanęła przy czarodzieju, również Brophy podszedł bliżej, żeby sprawdzić, co się dzieje. Tym razem chłopak szedł z wysuniętymi przed siebie rękami.

Zanim przebył połowę drogi, znów dotknął twardego muru - nie mógł iść dalej i szybko cofnął dłonie, unikając budzącego niemiłe sensacje dotyku.

- Do licha! - Zedd potarł brodę.

Podeszli do Richarda, skoro on nie mógł podejść do nich. Starzec znów go poprowadził. Chłopak dotknął ściany i cofnął się nieco. Czarodziej ujął lewą dłoń Richarda i polecił:

- Dotknij muru drugą dłonią.

Chłopak spełnił polecenie, lecz niemiłe sensacje wkrótce go skłoniły do cofnięcia ręki. Zedd zdawał się je wyczuwać poprzez niego. Teraz już wszyscy stali na moście. Każde dotknięcie owej ściany przesuwało ją trochę w stronę, z której przyszli.

- Do licha! I jeszcze raz do licha!

- Co to takiego? - spytał Richard.

Zedd łypnął na Kahlan i Chase’a, a potem powiedział:

- Urok na Poszukiwacza.

- Co to za urok na Poszukiwacza?

- To urok narysowany przez tego przeklętego malarza, Jamesa. Narysował go wokół ciebie i twoje pierwsze dotknięcie uaktywniło ów urok. Zamyka się wokół ciebie jak pułapka. Jeżeli cię stąd nie wyciągniemy, to wkrótce cię oblepi i nie będziesz się mógł ruszyć.

- I co wtedy?

- Jego dotknięcie jest toksyczne. Jeżeli cię oplecie jak kokon, to albo cię zmiażdży, albo zatruje.

- Musimy zawrócić. - Kahlan złapała Zedda za rękaw, w oczach miała przerażenie. - Musimy go odczarować!

- Pewno, że musimy. - Starzec uwolnił rękę. - Znajdziemy rysunek i wymażemy go.

- Wiem, gdzie są święte groty. - Dziewczyna włożyła nogę w strzemię, uchwyciła się brzegu siodła.

- Nie mamy czasu do stracenia. - Czarodziej rozejrzał się za swoim koniem. - W drogę.

- Nie - powiedział Richard.

Tamci, zdziwieni, odwrócili się jak na komendę.

- Musimy, Richardzie - przekonywała Kahlan.

- Ma rację, chłopcze. Nie mamy innego wyjścia.

- Nie. - Chłopak popatrzył na ich zaskoczone i wystraszone twarze. - Właśnie tego się spodziewają. Tego chcą. Sam powiedziałeś, że ów malarz nie może rzucić uroku na ciebie ani na Kahlan. No to rzucił urok na mnie, sądząc, że to nas wszystkich ściągnie z powrotem. Szkatuła jest zbyt ważna. Nie możemy ryzykować. - Richard spojrzał na Kahlan. - Powiedz mi, gdzie są te groty, a Zedd mi powie, jak wymazać urok.

Dziewczyna złapała wodze swojego konia i konia Richarda i poprowadziła wierzchowce.

- Jadę z tobą. Zedd i Chase wystarczą do ochrony szkatuły.

- Nie, nie jedziesz! Sam pojadę. Mam miecz do obrony. Najważniejsza jest szkatuła. To ją musimy przede wszystkim ochraniać. Powiedzcie mi tylko, gdzie są te groty i jak sobie poradzić z urokiem. Dogonię was, gdy to załatwię.

- Wydaje mi się, Richardzie...

- Nie! Tu chodzi o powstrzymanie Rahla Posępnego, a nie o któregoś z nas! To nie prośba, to rozkaz.

Musieli usłuchać.

- Powiedz mu, gdzie są groty - przykazał dziewczynie Zedd.

Kahlan gniewnie podała starcowi wodze swojego konia i złapała patyk. Narysowała na ziemi mapkę, objaśniając:

- Tu jest Callisidrin, tu most. Tu droga, a tam Tamarang i zamek. - Przeciągnęła linię drogi na pomoc, za miasto. - Na północny wschód od miasta, wśród wzgórz, płynie strumień. Przepływa pomiędzy dwoma bliźniaczymi pagórkami.

Wznoszą się one jakąś milę na południe od niewielkiego mostka. Mają urwiste strome ściany od strony strumienia. W urwisku po północno-wschodniej stronie znajdują się święte groty. To tam malarz maluje swoje uroki.

Zedd wziął od niej patyk, odłamał dwa kawałki długości palca. Jeden z nich poturlał w dłoniach.

- Masz. To wymaże urok. Nie mogę ci tak na ślepo powiedzieć, którą część rysunku trzeba wymazać, ale powinieneś się sam domyślić. Na tym polega rysowany czar; musisz się domyślić znaczenia, malunku, inaczej nie zadziała. - Ów kawałek patyczka już nie wyglądał jak drewno, był miękki i lepki. Richard włożył go do kieszeni. Zedd poturlał w dłoniach drugi kawałek drewienka. Podał chłopakowi. I to już nie był patyczek. Stał się czarny, niemal jak węgiel drzewny, i twardy. - A tym możesz rysować na uroku i zmienić go, jeśli będziesz musiał.

- Jak zmienić?

- Nie mogę powiedzieć bez zobaczenia malunku. Sam musisz osądzić. Spiesz się. Ale dalej myślę, że moglibyśmy...

- Nie, Zeddzie. Wszyscy wiemy, do czego jest zdolny Rahl Posępny. To nie któreś z nas jest ważne, a szkatułka. - Spojrzał staremu przyjacielowi głęboko w oczy. - Dbaj o siebie. I o Kahlan. - Popatrzył na Chase'a. - Zabierz ich do Michaela. On lepiej ochroni szkatułę niż my. I nie czekajcie na mnie, nie ociągajcie się. Dogonię was. - Richard spojrzał twardo na strażnika. - I żeby żadne z was po mnie nie wracało, jeśli się nie zjawię. Po prostu zabierzcie stąd szkatułę. Jasne?

Chase spojrzał nań poważnie.

- Jasne.

Powiedział chłopakowi, jak znaleźć wojska westlandzkie w górach Rang Shada.

Richard popatrzył na Kahlan.

- Dbaj o Siddina. I nie martw się, szybko do was wrócę. Ruszajcie już. Zedd dosiadł konia. Kahlan podała czarodziejowi Siddina.

- Jedźcie - powiedziała starcowi i strażnikowi. - Dopędzę was za chwilę.

Czarodziej zaczął protestować, ale mu przerwała i znów kazała jechać przodem. Patrzyła, jak dwa konie i wilk galopują przez most i drogą za nim, potem odwróciła się ku Richardowi. Twarz miała ściągniętą niepokojem.

- Richardzie, pozwól mi, proszę...

- Nie.

Skinęła głową i podała mu wodze. W zielonych oczach błyszczały łzy.

- W Midlandach jest pełno niebezpieczeństw, o których nie masz pojęcia. Uważaj na siebie.

Łza spłynęła po policzku dziewczyny.

- Zdążę wrócić, zanim za mną zatęsknisz.

- Boję się o ciebie.

- Wiem. Ale wszystko będzie w porządku. Spojrzała nań oczami, w których by chętnie się zatracił.

- Nie powinnam tego robić - szepnęła.

Objęła chłopaka i pocałowała. Mocno, pospiesznie, rozpaczliwie. Richard przytulił ją mocno. Dotyk warg dziewczyny, jej westchnienie, jej palce gładzące mu włosy - i chłopak zapomniał o Wszystkim.

Zakręciło mu się w głowie. Patrzył, oszołomiony, jak Kahlan wsuwa stopę w strzemię i wskakuje na siodło. Ściągnęła wodze, poprowadziła konia do chłopaka.

- Tylko nie waż się popełnić jakiegoś głupstwa, Richardzie Cypher. Obiecaj mi to.

- Obiecuję. - Nie przyznał się, że według niego najgłupiej byłoby pozwolić, by Kahlan stała się jakaś krzywda. - Nie martw się, wrócę, gdy tylko wymażę ten urok. Chroń szkatułę. Rahl nie może jej dostać. Jedź już.

Chłopak trzymał wodze swojego konia i patrzył, jak Kahlan galopuje przez most i znika w oddali.

- Kocham cię, Kahlan Amnell - szepnął.

Richard zachęcająco klepnął szyję deresza. Zjechał z mostu i poprowadził konia brzegiem strumienia. Koń biegł swobodnie, rozchlapując kopytami płytką wodę, kiedy krzaki blokowały brzeg. Po obu stronach strumienia wznosiły się zalane słońcem wzgórza, przeważnie bezdrzewne. Brzegi stawały się coraz bardziej strome, chłopak więc skierował deresza na górę, żeby mu było łatwiej biec. Bacznie się rozglądał, ale nikt za nim nie podążał ani go nie obserwował. Wzgórza wydawały się zupełnie puste.

Po obu stronach strumienia wyrosły białe kredowe urwiska, zupełnie identyczne. Chłopak zeskoczył z konia, zanim ten się zatrzymał. Rozejrzał się i przywiązał deresza do sumaka obwieszonego czerwonymi, podsuszonymi już i pomarszczonymi owocami. Ślizgając się, schodził stromym brzegiem. Natrafił na wydeptaną ścieżkę, która go doprowadziła do wysoko sklepionego wejścia do groty.

Richard położył dłoń na gardzie miecza, zajrzał do wnętrza - nie było tam ani malarza, ani nikogo innego. Tuż przy wejściu zaczynały się malowidła. Pokrywały całe płaszczyzny ścian, ciągnęły się dalej w mrok.

Chłopak był oszołomiony. Setki, a może tysiące malowideł!

Niektóre małe, nie większe niż dłoń. Inne większe, wysokie jak on. Na każdym inna scena. Większość przedstawiała tylko jedną osobę, ale były i takie z kilkoma. Malowidła nie wyszły spod jednej ręki. Jedne były starannie wykonane, bogate w szczegóły, wy cieniowane: przedstawiały ludzi z połamanymi kończynami lub pijących z czar ozdobionych czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, lub też stojących przy polach ze zniszczonymi zbiorami. Inne za to wykonał ktoś pozbawiony talentu malarskiego - ludzi naszkicowano paroma kreskami. Ale i te rysunki przedstawiały podobnie makabryczne sceny jak tamte, staranne. Richard zgadywał, że talent malarski nie ma tu znaczenia - liczy się sama treść.

Chłopak znalazł rysunki dotyczące tego samego tematu, lecz wykonane przez różnych malarzy. Sylwetki ludzi niekiedy namalowano na tle wycinka mapy, za to każdą z nich obwiedzione linią zamkniętą w okrąg, naznaczoną czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

Uroki na Poszukiwaczy.

Jak mam odszukać urok rzucony na mnie? - zastanawiał się Richard. Rysunków było całe mnóstwo. Jak rozpoznać ten właściwy? Chłopak szukał i szukał, zagłębiając się coraz dalej w ciemność. Zaczynała go ogarniać panika. Przesuwał dłoni po rysunkach, starał się żadnego nie przeoczyć, nie przegapić swojego. Uważnie patrzył, przytłoczony liczbą uroków, szukał czegoś znajomego, choć nie wiedział, czego i gdzie ma wypatrywać.

Przypuszczał, że malunki muszą się gdzieś kończyć i że te najnowsze będą na końcu. Było tak ciemno, że nic nie widział. Zawrócił więc ku wylotowi jaskini po pochodnie z łodyg trzciny, które tam widział.

Nie uszedł zbyt daleko, a już uderzył w niewidzialną ścianę. Przerażony Richard zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę, zamknięto go w jaskini. Kończył mu się czas. Pochodnie były za daleko.

Chłopak pobiegł w ciemność, szukając gorączkowo. Ledwo widział uroki, nie było im końca. Coś mu się przypomniało, coś niezbyt przyjemnego, ale...

W razie niezbędnej potrzeby. Nocny kamień.

Richard nie tracił czasu. Wyciągnął z plecaka skórzany mieszek. Trzymał go

w dłoni i zastanawiał się, czy kamień mu pomoże, czy też tylko ściągnie nań jeszcze więcej kłopotów. I to takich, z którymi by sobie nie poradził. Chłopak przypominał sobie chwile, kiedy wyciągał kamień z mieszka. Za każdym razem mijało trochę czasu, zanim się zjawiały cienie. Może gdyby wyjął nocny kamień tylko na chwilę, rozejrzał się i schował go do mieszka... Może wówczas znalazłby to, czego szukał, zanim cienie by go dopadły. Richard nie miał pojęcia, czy to dobry pomysł.

W razie niezbędnej potrzeby.

Wyrzucił kamień na dłoń. Grotę wypełniło światło. Richard nie marnował czasu na przyglądanie się poszczególnym rysunkom. Szybko poszedł w głąb groty, wypatrując, gdzie malunki się kończą. Kątem oka dostrzegł, jak materializują się pierwsze cienie. Wciąż były daleko. Nie zatrzymywał się, szedł coraz głębiej.

W końcu dotarł do ostatnich rysunków. Cienie były tuż, tuż. Richard schował nocny kamień do skórzanego mieszka. Stał w ciemnościach, wstrzymał oddech i czekał na bolesne dotknięcie śmierci. Nie nadeszło. W oddali widział jasną plamę wejścia do groty, ale koło chłopaka było zbyt ciemno, żeby mógł się przyjrzeć rysunkom. Wiedział, że znów musi wyjąć nocny kamień.

Najpierw wymacał w kieszeni miękki, lepki kawałek patyczka, który mu dał Zedd. Uchwycił go mocno, żeby się nie wysunął z Palców, i dopiero wtedy znów wyjął nocny kamień. Światło na sekundę oślepiło Richarda. Rozejrzał się wokół.

Wreszcie dostrzegł to, czego szukał. Postać na rysunku była równie wysoka jak on, cały malunek zajmował sporo miejsca. Był to niewygładzony szkic, ale chłopak był pewien, że przedstawia właśnie jego. Postać trzymała w prawej dłoni miecz, na którym widniało słowo PRAWDA. Była tam też mapa, podobna do tej, którą Kahlan narysowała na ziemi. Kolista linia biegła nurtem Callisidrinu i przecinała most w połowie. To właśnie tam Richard się na nią natknął.

Cienie wołały imię chłopaka. Sięgały po niego. Richard pospiesznie wrzucił kamień do mieszka i przywarł plecami do ściany, do „swego" rysunku. Krew mu szumiała w uszach. Z przerażeniem pojął, że malowidło jest tak duże, że nie da rady wymazać całej kolistej linii. Tylko część, a wtedy nie będzie wiedział, gdzie się pojawi luka w niewidzialnej ścianie. Nie miał pojęcia, jak uczynić ową lukę właśnie tu, w grocie. Cofnął się trochę, żeby się dokładnie przyjrzeć malowidłu, kiedy znów wyciągnie nocny kamień. Uderzył w niewidzialną ścianę. Serce Richarda ustało na moment. Ściana była tuż. Nie miał czasu. Wyciągnął kamień i zaczął wymazywać miecz - łudził się, że to zatrze jego tożsamość, odwróci odeń urok. Ciężko mu szło.

Zrobił krok w tył i uderzył w ścianę. Cienie sięgały po chłopaka, kusząco go nawoływały. Schował kamień do mieszka i stał w ciemnościach. Oddychał z trudem, bliski paniki, że już po nim. Wiedział, że nie da rady i wymazywać linii, i jednocześnie mieczem odpierać ataki cieni. Już raz z nimi walczył, więc wiedział, jak to jest. Myśli kłębiły się jak szalone. Co robić? Wymazał miecz i nie pomogło. Urok wciąż go rozpoznawał. Nie miał czasu, żeby wymazać całą kolistą linię. Zaczęło mu brakować tchu.

Jakieś migotliwe światło. Richard okręcił się w tamtą stronę. Mężczyzna z jedną z trzcinowych pochodni w dłoni, z lepkim uśmieszkiem na wargach. James, nadworny malarz.

- Tak sobie myślałem, że cię tu znajdę. Pomóc w czymś?

Richard dobrze wiedział, że to kpiny, że James mu nie pomoże. A malarz wiedział, że chłopak nie dosięgnie go mieczem, że niewidzialna ściana temu przeszkodzi. Śmiał się z jego bezsilności.

Chłopak zerknął na boki. Pochodnia dawała dość światła, by mógł wyraźnie widzieć rysunek. Niewidzialna ściana napierała na Richarda, spychając na ścianę groty. Dotyk niewidocznej przeszkody powodował mdłości i oszołomienie. Tylko krok dzielił chłopaka od ściany groty. Jeszcze chwila i zginie - otoczony, zmiażdżony, otruty.

Richard okręcił się gwałtownie ku malowidłu. Wymazywał jedną ręką, drugą grzebał w kieszeni. Wyciągnął patyczek, którym, według słów Zedda, mógł narysować coś innego, zmienić już istniejący szkic.

James zarechotał, pochylił się ku chłopakowi i patrzył, co ten robi. Rechot ucichł.

- Co tam wyczyniasz?

Richard milczał, wymazywał prawą dłoń postaci.

- Przestań! - ryknął James.

Chłopak nie zwrócił na to uwagi, dalej ścierał prawą dłoń. Malarz rzucił pochodnię i wyjął z kieszeni własny węgiel. Zaczął szkicować zamaszyście; tłustawe kosmyki powiewały przy gwałtownych ruchach głowy. Rysował jakąś postać.

Rysował drugi urok. Richard wiedział, że zginie, jeśli James pierwszy skończy malunek.

- Przestań, durniu! - wrzeszczał James, szkicując tak szybko, jak tylko zdołał.

Niewidzialna ściana wpychała Richarda na malowidło. Ledwo mógł poruszać

rękami. James naszkicował miecz, zaczął pisać słowo PRAWDA.

Chłopak jedną linią połączył kreski przedstawiające nadgarstek postaci - narysował kikut. Taki, jak u Jamesa.

Skończył i ustał nacisk wpychający go na ścianę jaskini, zniknęły mdłości i zawroty głowy.

James wrzasnął przeraźliwie.

Richard obrócił się ku niemu. Malarz wił się na spągu groty i wymiotował. Chłopak się wzdrygnął, podniósł pochodnię. James spojrzał nań błagalnie.

- Ja... Ja wcale nie chciałem cię zabić... Tylko złapać w pułapkę...

- Kto ci kazał rzucić na mnie urok? Malarz uśmiechnął się jadowicie.

- Mord-Sith - szepnął. - Umrzesz...

- Co to takiego Mord-Sith?

Trzasnęły kości, ustał oddech. James był martwy. Richard wcale go nie żałował.

Chłopak nie wiedział, co takiego to Mord-Sith, lecz wcale nie miał zamiaru sprawdzać. Poczuł się nagle samotny i bezbronny. Zedd i Kahlan go ostrzegali, że w Midlandach jest mnóstwo magicznych istot, niebezpiecznych istot, o których on nie miał pojęcia. Nienawidził Midlandów, nienawidził magii. Chciał wrócić do Kahlan.

Richard pobiegł ku wylotowi groty, po drodze rzucił pochodnię. Wybiegł w blask słońca, osłonił oczy, zatrzymał się. Otaczał go krąg ludzi. Żołnierze odziani w czarne skóry i kolczugi: garda miecza wystająca sponad ramienia, topór bojowy przymocowany do szerokiego pasa.

Na przedzie - przed wejściem do groty, naprzeciwko chłopaka - kobieta o długich kasztanowych włosach splecionych w luźny warkocz. Obcisły skórzany strój o barwie krwistej czerwieni. Na wysokości brzucha - żółty półksiężyc i gwiazda. Na piersiach mężczyzn widniały te same symbole, lecz były czerwone. Kobieta patrzyła obojętnie na Richarda; dostrzegł jedynie leciutki cień uśmiechu na jej wargach.

Chłopak stanął w rozkroku, położył rękę na gardzie miecza, nie wiedząc, co robić, jakie mają wobec niego zamiary, Kobieta spojrzała w górę, za plecy Richarda. Dwaj ludzie zeskoczyli z urwiska i wylądowali za chłopakiem. Czuł, jak gniew miecza przepływa weń poprzez dłoń na gardzie, jak go ponagla. Jak osiąga maksimum. Richard zacisnął zęby.

Kobieta pstryknęła palcami na ludzi za chłopakiem, wskazała nań.

- Brać go.

Usłyszał szczęk dobywanych mieczy.

To mu wystarczyło. Dokonało się.

Dawca śmierci.

Richard okręcił się ku nim. Miecz Prawdy zatoczył w powietrzu łuk. Chłopak pozwolił, żeby go opanowało pragnienie pomsty. Zapłonęło. Spojrzał w oczy tamtych ludzi. I oni płonęli gniewem, mocno zaciskali szczęki. Dobywali mieczy wystających sponad ramion.

Chłopak nisko trzymał Miecz Prawdy. Na wysokości pasa. Z całych sił ściskał jego gardę. Tamci pochylili swoje miecze, żeby sparować cios. Richard wydał przeraźliwy okrzyk. Była w tym śmiertelna nienawiść. Śmiertelny gniew. Niepohamowane pragnienie zadania śmierci. Całkowicie oddał się we władanie owemu pragnieniu. Wiedział, że nie ma wyjścia - musi to zrobić lub zginie. Miecz Prawdy ze świstem przeciął powietrze.

Dawca śmierci.

W czyste powietrze poranka poleciały drzazgi rozżarzonej stali.

Dwa urwane jęki. Dwa miękkie pacnięcia o ziemię. Wylały się okrwawione wnętrzności.

Miecz zataczał łuk, znacząc swą drogę smugami krwi. Chłopak na nowo zogniskował gniew, nienawiść, żądzę zadania śmierci. Ona nimi dowodziła. Zabić ją. Wytoczyć z niej krew. Magiczny gniew szalał w Richardzie bez przeszkód. Chłopak wciąż krzyczał. Kobieta stała z ręką wspartą na biodrze.

Richard spojrzał jej w oczy. Zmienił drogę miecza, żeby i on się z nimi spotkał. Uśmiechała się coraz szerzej, co tylko wzmagało furię chłopaka. Zwarli się oczami. Czubek miecza ze świstem mknął ku głowie kobiety. Niepohamowane pragnienie zadania śmierci.

Dawca śmierci.

Magiczny ból spadł na Richarda jak strumień lodowatej wody na nagie ciało. Ostrze nie dosięgło kobiety. Miecz upadł na ziemię. Ból powalił chłopaka na kolana, przygiął do podłoża.

Stała nad nim - uśmiech na wargach, ręka na biodrze. Patrzyła, jak ściska brzuch ramionami, jak wymiotuje krwią, jak się dusi. Ogień palił każdą cząstkę ciała Richarda. Magiczny ogień płonął w chłopaku, dławiąc go. Richard rozpaczliwie próbował zapanować nad magią, odsunąć od siebie ból, tak jak się tego nauczył. Magiczny ból nie poddawał się woli chłopaka. Przerażony Richard pojął, że stracił

kontrolę nad magią miecza.

Teraz ona nad nim panowała.

Upadł twarzą na ziemię. Próbował krzyknąć, swobodniej oddychać, lecz nie mógł. Przez chwilę myślał o Kahlan, potem ból i tego go pozbawił.

Żaden z żołnierzy nie wyłamał się z łuku. Kobieta postawiła obutą stopę na karku chłopaka, wsparła łokieć na kolanie i nachyliła się nad leżącym. Drugą ręką złapała za włosy, uniosła mu głowę. Pochyliła się niżej; skrzypnął skórzany strój.

- No, no, no. A ja myślałam, że będę cię musiała torturować przez wiele dni, zanim skierujesz swój magiczny gniew przeciwko mnie. Nic nie szkodzi, mam inne powody, żeby cię torturować.

Wijąc się z bólu, pojął, że popełnił straszliwy błąd. Jakimś sposobem oddał kobiecie władzę nad magią miecza. Wiedział, że jeszcze nigdy w życiu nie znalazł się w takim niebezpieczeństwie. Kahlan jest bezpieczna, powiedział sobie chłopak. I tylko to się liczy.

- Chcesz, kochasiu, żeby ból ustał?

Owo pytanie tylko wzmogło gniew Richarda. Silniejszy gniew, silniejsza chęć zabicia kobiety - straszliwszy ból.

- Nie - wykrztusił z największym trudem chłopak. Kobieta wzruszyła ramionami, puściła głowę Richarda.

- Jak sobie życzysz. Kiedy zechcesz, żeby magiczny ból ustał, to po prostu przegoń te paskudne myśli o mnie. Od tej chwili ja kontroluję magię twojego miecza. Ból cię powali, jeżeli zechcesz mnie tknąć choćby czubkiem palca. - Uśmiechnęła się. - Tylko nad tym bólem możesz sam zapanować. Wystarczy jedna miła myśl o mnie i ból minie. Rozumie się, że i ja mam władzę nad magicznym cierpieniem i mogę je na ciebie zesłać, kiedy tylko zechcę. Wkrótce się przekonasz, że mogę na ciebie zesłać i inny rodzaj bólu. - Zmarszczyła brwi. - Powiedz mi, kochasiu, czy to z głupoty chciałeś mnie porazić magią miecza, czy też wyobraziłeś sobie, że jesteś taki dzielny, że możesz się na mnie porwać?

Ból ociupinkę zelżał. Chłopak spazmatycznie chwytał powietrze. Kobieta złagodziła jego mękę na tyle, żeby mógł odpowiedzieć

- Kim... Jesteś...?

Znów złapała go za włosy, uniosła głowę i okręciła w bok, żeby mu spojrzeć w oczy. Pochyliła się, mocniej przycisnęła stopą kark Richarda; nowe ukłucie bólu. Nie mógł poruszyć rękami. Kobieta miała zdziwioną minę.

- Nie wiesz, kim jestem? Każdy Midlandczyk to wie.

- Ja... Jestem... Z Westlandu...

- Westland! - Przybrała zachwyconą minę. - No, no. Cudownie! To ci będzie uciecha. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Jestem Denna. A dla ciebie, kochasiu, pani Denna. Jestem Mord-Sith.

- Nnnie... Powiem ci... Gdzie jest Kahlan. Możesz... Mnie... Od razu zabić.

- Jaka Kahlan?

- Matka... Spowiedniczka.

- Matka Spowiedniczka - powtórzyła z niesmakiem Denna. - A po cóż mi do, licha, Spowiedniczka? To po ciebie, Richardzie Cypher, wysłał mnie mistrz Rahl. Po ciebie, po nikogo innego. Jeden z twoich przyjaciół wydał cię Rahlowi. - Mocniej wcisnęła stopę w kark chłopaka, bardziej zadarła jego głowę. - I mam cię. Spodziewałam się, że to będzie trudniejsze, ale pozbawiłeś mnie całej zabawy. Mam cię wytresować. Ale skoro jesteś z Westlandu, to pewno nic nie wiesz na ten temat. Mord-Sith zawsze ubiera się na czerwono, jeżeli ma kogoś tresować. Po to, żeby plamy krwi aż tak się nie odznaczały. Mam rozkoszne przeczucie, że ochłapie mnie mnóstwo twojej krwi, zanim cię wytresuję. - Puściła głowę Richarda, całym ciężarem wsparła się na stopie gniotącej mu kark, podsunęła rękę przed twarz chłopaka. Cały grzbiet rękawicy był opancerzony, nawet palce. Nadgarstek otaczał elegancki złoty łańcuch, na którym wisiał krwistoczerwony skórzany bicz, długi na stopę. Ów bicz kołysał się przed oczami Richarda. - To jest Agiel. Jedna z pomocy w tresurze. - Denna uśmiechnęła się do chłopaka, unosząc brew. - Ciekawy? Chcesz zobaczyć, jak działa?

Przycisnęła bicz do boku Richarda. Chłopak nie zdążył powstrzymać okrzyku bólu, choć nie chciał jej okazywać, jak ogromnie cierpi. Straszliwy ból sparaliżował wszystkie mięśnie Richarda. Chłopak chciał tylko jednego - żeby cofnęła bicz. Denna przycisnęła bicz mocniej, Richard krzyczał głośniej. Usłyszał trzask i poczuł, jak pęka mu żebro.

Denna cofnęła Agiel. Ciepła krew sączyła się z boku chłopaka. Richard leżał na ziemi, oblany potem, boleśnie dyszący, łzy płynęły mu do oczu. Zdawało mu się, że cierpienie rozdziera mu mięśnie. W ustach miał pełno ziemi i krwi.

Kobieta uśmiechnęła się do niego z okrutnym szyderstwem.

- A teraz, kochasiu, powiedz: „Dziękuję za lekcję, pani Denno.” - Przysunęła twarz. - No, mów.

Richard wytężył wszystkie psychiczne siły, zogniskował pragnienie zabicia jej i wyobraził sobie miecz rozpłątujący głowę Denny.

- Gin, suko.

Denna zadrżała, przymknęła oczy, pożądliwie przesunęła czubkiem języka po wargach.

- Och, cóż za rozkosznie nieprzyzwoita wizja, kochasiu. Pożałujesz, rzecz jasna, że to sobie wyobraziłeś. Twoja tresura dostarczy mi cudownej rozrywki. Szkoda, że nie wiesz, kim jest Mord-Sith. Bałbyś się przeraźliwie, gdybyś to wiedział. Ależby mi się to podobało. - Ukazała w uśmiechu wspaniałe zęby. - Lecz chyba zabawniejsze będzie zadziwianie cię.

Richard wyobrażał sobie scenę śmierci Denny, dopóki nie stracił przytomności.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Richard podniósł powieki. W głowie mu się kręciło, nie mógł zebrać myśli. Leżał twarzą w dół na zimnej kamiennej posadzce, oświetlonej migotliwym blaskiem pochodni. W kamiennych ścianach nie było okien, chłopak więc nie wiedział, czy to noc, czy dzień. W ustach miał dziwny posmak. Krew. Próbował się zastanawiać, gdzie jest i dlaczego się tu znalazł. Zbyt głęboko wciągnął powietrze i poczuł ostry ból w boku. Bolało go całe ciało. Rwało i pulsowało. Jakby ktoś obił Richarda kijem.

Powróciła pamięć koszmaru. Wspomnienie Denny pobudziło gniew chłopaka. Natychmiast wzmógł się ból; młodzieniec z trudem łapał powietrze. Gwałtowne cierpienie sprawiło, że chłopak podciągnął kolana do piersi i rozdzierająco jęczał. Ochłonął z gniewu, wyrzucił z myśli obraz Denny. Myślał o Kahlan, o tym, jak go pocałowała. Ból odpłynął. Richard uczepił się desperacko myśli o swojej towarzyszce; nie zniósłby ponownego ataku bólu. Nie zniósłby - i tak był straszliwie obolały.

Musi się zastanowić, jak się stąd wydostać. Nie uda mu się to, jeżeli nie odzyska kontroli nad gniewem. Richard przypomniał sobie nauki ojca, że gniew jest złym uczuciem. Wspominał, jak to przez większość swego życia potrafił tłumić to uczucie, odsuwać je od siebie. Zedd mówił, że ujawnienie gniewu bywa niekiedy bardziej niebezpieczne niż powstrzymanie go. Teraz nastał taki czas. Richard miał przecież wieloletnie doświadczenie w kontrolowaniu gniewu, musi więc z tego skorzystać. Pojawił się promyczek nadziei.

Chłopak ostrożnie, bez gwałtownych ruchów, ocenił swój stan. Miecz znów był w pochwie, nóż wciąż wisiał u pasa, nocny kamień tkwił w kieszeni. Plecak leżał pod przeciwległą ścianą. Lewa strona koszuli była sztywna od zakrzepłej krwi. Głowa pulsowała bólem, lecz nie była w gorszym stanie niż reszta ciała chłopaka.

Odwrócił lekko głowę i zobaczył Denne. Siedziała na drewnianym krześle, wyprostowane nogi skrzyżowała w kostkach, prawy łokieć wsparła na prostym drewnianym stole. Zajadała coś z miseczki, którą trzymała w lewej dłoni. Patrzyła na Richarda. Uznał, że powinien się odezwać.

- Gdzie twoi ludzie?

Denna jadła jeszcze przez chwilę i patrzyła na chłopaka. W końcu odstawiła miseczkę i wskazała na podłogę w pobliżu siebie.

- Podejdź i stań tutaj - głos miała spokojny, niemal uprzejmy.

Richard podniósł się z wielkim trudem i stanął we wskazanym miejscu. Stał i

patrzył na Denne, która mu się przyglądała bez emocji, całkiem obojętnie. Chłopak czekał w milczeniu. Denna podniosła się z krzesła, odepchnęła je nogą. Była niemal równie wysoka jak Richard. Obróciła się do niego tyłem, wzięła rękawicę ze stolika i wciągnęła na prawą dłoń. Potem nagle się okręciła ku chłopakowi i trzasnęła go w usta. Opancerzona rękawica rozcięła mu wargę.

Richard natychmiast, zanim zdążył go opanować gniew, pomyślał o przepięknym fragmencie Lasów Hartlandzkich. Ból rozdętej wargi sprawił, że łzy napłynęły mu do oczu.

- Zapomniałeś, jak się masz do mnie zwracać, kochasiu. - Denna uśmiechnęła się do niego ciepło. - Przecież ci już mówiłam, że masz do mnie mówić „pani” lub „pani Dermo”. Masz szczęście, że to ja cię tresuję, inne Mord-Sith nie są tak wyrozumiałe jak ja. Od razu by się posłużyły Agielem. Ale ja mam miękkie serce dla przystojnych chłopaków, a poza tym wolę rękawicę, choć to zbyt łagodna kara. Lubię bezpośredni kontakt. Agiel jest zabawny, ale nie ma to jak własne dłonie, tylko wtedy naprawdę czujesz, co robisz. - Zmarszczyła lekko brwi, głos jej stwardniał. - Cofnij rękę.

Richard odsunął dłoń od skaleczonych ust, opuścił luźno obie ręce. Czuł, jak krew mu kapie z brody. Denna patrzyła na to z zadowoleniem. Pochyliła się znienacka i zlizała trochę krwi z brody chłopaka, uśmiechnąwszy się łakomie. Najwyraźniej podniecało ją to. Przywarła do Richarda, wzięła w usta jego skaleczoną wargę i mocno ugryzła. Chłopak zamknął oczy, zacisnął pięści i wstrzymał oddech. Denna cofnęła się w końcu, z uśmiechem zlizywała krew ze swoich warg. Richard drżał z bólu, lecz udało mu się utrzymać w myślach wizję Lasów Hartlandzkich.

- Raz, dwa się przekonasz, że to było jedynie łagodne ostrzeżenie. A teraz powtórz pytanie we właściwej formie.

Richard natychmiast postanowił, że będzie się do niej zwracał „Pani Denno”, że będzie to oznaka lekceważenia i że nigdy, przenigdy nie powie do niej „pani”. Zaznaczy swój sprzeciw i ocali poczucie własnej godności. Przynajmniej w głębi swego „ja”. Chłopak głęboko zaczerpnął powietrza, postarał się, żeby głos mu nie zadrżał.

- Gdzie są twoi ludzie, pani Denno?

- O wiele lepiej - zaszczebiotała. - Większość Mord-Sith nie pozwala tresowanym mówić czy pytać o cokolwiek, ale ja uważam, że wtedy jest okropnie nudno. Wolę rozmawiać z moim podopiecznym. Masz szczęście, że na mnie trafiłeś. -

Uśmiechnęła się do niego zimno. - Odesłałam moich ludzi. Nie sami już potrzebni. Wykorzystuję ich tylko do schwytania więźnia i pilnowania go, do - póki nie zwróci swego gniewu przeciwko mnie. Wówczas już nie sami potrzebni. Teraz już nic ci nie pomoże. Nic

- A dlaczego wciąż mam miecz i nóż?

Richard za późno sobie przypomniał. Zablokował rękę Denny przed swoją twarzą. I natychmiast zaatakował go magiczny ból Agiel dotknął brzucha chłopaka. Richard padł na podłogę, krzycząc z bólu.

- Wstań.

Chłopak odpędził gniew i magiczny ból ustał. Lecz ból wywołany przez Agiela nie ustał tak szybko. Podniósł się ciężko.

- Uklęknij i błagaj o wybaczenie.

Nie dość szybko wypełnił polecenie, więc Denna przyłożyła Agiela do ramienia Richarda i pchnęła chłopaka w dół. Prawe ramię zupełnie mu zdrętwiało.

- Błagam o wybaczenie, pani Denno.

- Całkiem nieźle - uśmiechnęła się w końcu. - Wstań. - Patrzyła, jak się z trudem podnosi. - Masz miecz i nóż, bo nie stanowią one dla mnie żadnego zagrożenia, za to pewnego dnia mogą ci się przydać do obrony twojej pani. Wolę, żeby moi podopieczni mieli nadal swoją broń. To im stale przypomina, że są wobec mnie zupełnie bezradni.

Odwróciła się od chłopaka, zdejmowała rękawicę. Richard wiedział, że Denna ma rację co do miecza - był magiczny, a ona tę magię kontrolowała. Był ciekaw, czy nie ma innego sposobu. Musiał się przekonać. Sięgnął do gardła Denny.

Kończyła zdejmować rękawicę, a Richard padł na kolana, krzycząc z bólu, magicznego bólu. Rozpaczliwie wyobraził sobie Lasy Hartlandzkie. Ból zelżał i chłopak mógł wstać, kiedy Denna mu to nakazała.

- Więc chcesz to jak najbardziej utrudnić? - Zniecierpliwiła się. Potem twarz jej złagodniała, powrócił słodziutki uśmieszek. - Choć muszę przyznać, że wolę, jak mężczyzna stawia opór. A, źle to robisz. Przecież ci mówiłam, że jeśli się chcesz pozbyć bólu, to powinieneś pomyśleć o mnie coś miłego. A ty co? Myślisz o jakichś nudnych drzewach. Myśl o mnie coś miłego, żeby się pozbyć magicznego bólu, albo się będziesz zwijał z męki przez całą noc. Rozumiesz?

- Tak pani Denno.

- Znakomicie. - Uśmiechnęła się szerzej. - Widzisz? Można cię czegoś

nauczyć. Zapamiętaj: coś miłego o mnie. - Wzięła ręce Richarda i patrząc mu w oczy, przycisnęła je do swoich piersi. - To na tym większość mężczyzn koncentruje swoje miłe myśli. - Przysunęła się bliżej, nie puszczając rąk chłopaka, i zaszczebiotała: - Lecz jeśli wolisz jakąś inną część mojej osoby, to myśl o niej bez skrępowania.

Richard uznał, że Denna ma ładne włosy i że będzie myślał wyłącznie o jej włosach. Ból powalił go na kolana, uniemożliwił oddychanie. Chłopak otwierał usta, lecz nie mógł zaczerpnąć powietrza. Oczy wyszły mu na wierzch.

- Pokaż, że potrafisz zrobić, co ci polecono. Odpędź ból, kiedy tylko zechcesz, ale tak, jak kazałam.

Richard popatrzył na Denne, na jej włosy. Ledwo widział. Skupił się na myśleniu o tym, jak uroczy jest jej warkocz. Ból ustał. Chłopak wstał, chciwie chwytając powietrze.

- Wstań. - Usłuchał; wciąż trudno mu było oddychać. - O to właśnie szło. Na przyszłość tylko w ten sposób odpędź magiczny ból albo tak go przemienię, że się go już nigdy nie dasz rady pozbyć. Zrozumiałeś?

- Tak, pani Denno. - Richard wciąż nie mógł uspokoić oddechu. - Powiedziałaś, pani Denno, że ktoś mnie zdradził. Kto?

- Jeden z twoich.

- Żaden z moich przyjaciół by tego nie zrobił, pani Denno.

- Wtedy by nie byli twoimi prawdziwymi przyjaciółmi. - Spojrzała nań pogardliwie. - Czyż nie?

- Nie, pani Denno. - Richard patrzył w podłogę, dusiło go w gardle. - Kto to był?

- Mistrz Rahl mi tego nie powiedział. - Wzruszyła ramionami. - Nie uważał, że to takie ważne. Jedno powinieneś wiedzieć: nikt cię nie ocali. Już nigdy nie odzyskasz wolności. Im szybciej to pojmiesz, tym szybciej się z tym pogodzisz i tym łatwiejsze będzie szkolenie.

- Jaki jest cel mojej tresury, pani Denno?

- Żebyś pojął sens bólu. - Znów się uśmiechała. - Żebyś pojął, że twoje życie należy do mnie i tylko do mnie i że mogę z nim uczynić, co tylko zechcę. Co tylko zechcę. Mogę ci zadawać ból w dowolny sposób, jak długo zechcę i nikt ci nie pomoże, nikt cię przed tym nie ocali, tylko ja. Nauczę cię, że wyłącznie mnie możesz zawdzięczać chwile pozbawione cierpienia. Nauczysz się wypełniać moje polecenia bez pytania, bez wahania, bez względu na to, co ci rozkażę uczynić. Nauczysz się

błagać o wszystko. Po kilku dniach spędzonych tutaj - a już uczyniłeś postępy zabiorę cię tam, gdzie przebywają pozostałe Mord-Sith. I tam będę cię dalej szkolić, dopóki cię wszystkiego nie nauczę. Nieważne, jak długo to potrwa. Pozwolę, żeby inne Mord-Sith się tobą pobawiły, abyś pojął, jakie masz szczęście, że się dostałeś właśnie mnie. Dość lubię mężczyzn. Niektóre z tamtych ich nienawidzą. Oddam cię na pewien czas, żebyś docenił, jaka jestem łagodna.

- O co chodzi w tym szkoleniu, pani Denno? Co to da? Co chcesz osiągnąć? Wydawało się, że ogromnie ją bawi wyjaśnianie Richardowi tego wszystkiego.

- Jesteś kimś wyjątkowym. Sam mistrz Rahl chce, żebyś został wyszkolony. I żebym to ja cię wytresowała - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - Przypuszczam, że chce cię o coś zapytać. Nie dopuszczę, żebyś mi przyniósł wstyd. Kiedy z tobą skończę, będziesz go błagał, żeby ci pozwolił powiedzieć to wszystko, co chciałby wiedzieć. A kiedy już mu nie będziesz potrzebny, to będziesz mój, już do końca swojego życia, jakkolwiek będzie długie.

Richard musiał z uporem myśleć o włosach Denny, walczyć z narastającym gniewem. Wiedział, o co chciał spytać Rahl Posępny: o Księgę Opisania Mroków. Księga była bezpieczna. Kahlan była bezpieczna. Tylko to się liczyło. Denna może mnie nawet zabić, pomyślał chłopak. W gruncie rzeczy oddałaby mi przysługę.

Denna obeszła chłopaka wokół, obejrzała od stóp do głów.

- Jeśli się okażesz pojętnym uczniem, to może cię wybiorę na partnera. - Stanęła przed nim, przysunęła twarz do twarzy Richarda i obdarzyła go słodkim uśmiechem. - Stałego partnera Mord-Sith. - Uśmiech odsłonił zęby. - Miałam sporo partnerów. Ale nie podniecaj się zbytnio tą możliwością, skarbeńku - szepnęła. - Wątpię, czy ci się spodoba to doświadczenie, o ile je przeżyjesz parę razy. Nikt tego nie wytrzymał. Wszyscy moi partnerzy prędko umarli.

Richard nie sądził, żeby musiał się o to martwić. Rahl Posępny chciał mieć księgę. Jeśli nie zdołam uciec, dumał chłopak, to Rahl mnie zabije, tak jak zabił mojego ojca i Gillera. A z moich wnętrzności dowie się co najwyżej tego, gdzie jest Księga Opinia Mroków - w mojej głowie. Zaś czytanie z wnętrzności na pewno nie wyciągnie ze mnie księgi. Chłopak miał jedną nadziej e: że pożyje wystarczająco długo, żeby zobaczyć zdumioną minę Rahla, kiedy ten się zorientuje, jaki fatalny błąd popełnił.

Ani księgi, ani szkatuły. Rahl już był martwy. I tylko to się liczyło.

Co do zdrady zaś - chłopak postanowił w to nie wierzyć. Radl Posępny zna

prawa magii. Po prostu korzysta z pierwszego prawa i chce, żebym się wystraszył, że zdrada jest możliwa, uznał Richard. A to pierwszy krok do uwierzenia w nią. Nie dam się wystrychnąć na dudka pierwszym prawem magii, postanowił chłopak. Znał Zedda, Chase'a i Kahlan. Nie uwierzy, że któreś nich go wydało Rahl owi.

- A skąd masz Miecz Prawdy? Richard spojrzał Dennie prosto w oczy.

- Kupiłem go od tego, do kogo ostatnio należał, pani Denno.

- Ach tak? A co za niego dałeś? Chłopak nie odwrócił oczu.

- Wszystko, co miałem. Chyba nawet wolność i życie.

- Nie brak ci odwagi i dowcipu. - Denna się roześmiała. - Uwielbiam łamać takich ludzi. Wiesz, dlaczego mistrz Rahl mnie wybrał?

- Nie, pani Denno.

- Bo jestem nieustępliwa. Może nie jestem tak okrutna, jak niektóre z tamtych, ale za to właśnie ja najbardziej lubię łamać mężczyzn. Uwielbiam zadawać ból moim podopiecznym. To największa radość mojego życia. - Uniosła brew i uśmiechnęła się. - Nigdy nie rezygnuję, nigdy mnie to nie męczy, nigdy nie łagodnieję. Nigdy.

- To zaszczyt dla mnie, pani Denno, że dostałem się w ręce najlepszej.

Przyłożyła Agiel do rany na wardze Richarda i trzymała, dopóki płaczący z bólu chłopak nie opadł na kolana.

- Nigdy nie pozwalaj sobie na taką bezczelność. - Wepchnęła mu Agiela w usta i Richard padł na plecy; przytknęła bicz do brzucha chłopaka i cofnęła, zanim zemdlał. - Co powinieneś teraz powiedzieć?

- Wybacz mi, błagam, pani Denno - z największym wysiłkiem wykrztusił Richard.

- Dobrze. Wstań. Czas zacząć szkolenie. Podeszła do stołu, coś z niego wzięła.

- Stań tutaj. Natychmiast! - rozkazała, pokazując owo miejsce.

Richard podszedł najszybciej, jak zdołał. Nie mógł się wyprostować, ból mu nie pozwalał. Stanął we wskazanym miejscu, pocił się i ciężko dyszał. Denna podała mu coś, do czego był przyczepiony cienki łańcuch. Skórzana obroża barwy jej stroju. Głos Denny zatracił uprzejme tony.

- Załóż to.

Chłopak nie miał siły do zadawania pytań. Zdał sobie sprawę, że uczyniłby wszystko, byle umknąć dotknięcia Agielem. Zapiął obrożę na szyi. Denna ujęła łańcuch. Ów łańcuch kończył się kółkiem, które wsunęła na hak sterczący z tyłu drewnianego krzesła.

- Magia cię ukarze, jeśli nie wypełnisz moich życzeń. Jeśli zaczepię o coś ten łańcuch, to znak, że chcę, żeby tam tkwił dopóki go nie odczepię. Chcę, żebyś się nauczył, iż sam go nie zdołasz odczepić. - Wskazała na otwarte drzwi. - Przez najbliższą godzinę masz uczynić, co w twojej mocy, żeby dotrzeć do drzwi. Jeżeli nie dołożysz odpowiednich starań, oto, co zrobię przez resztę tego czasu. - Przytknęła Agiela do szyi Richarda i trzymała, dopóki krzyczący z bólu chłopak nie padł na kolana i nie zaczął błagać, żeby przestała. Cofnęła narzędzie i kazała Richardowi zaczynać, a sama odeszła, oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona.

Chłopak najpierw spróbował po prostu podejść do drzwi. Ból spętał mu nogi, zanim zdążył choć odrobinę napiąć łańcuch Ustał dopiero wtedy, kiedy Richard cofnął się tyłem ku krzesłu. Potem usiłował dosięgnąć pierścienia. Mięśnie ramion napięły się straszliwie, chłopak zaczął drżeć z bólu. Pot spływał mu po twarzy. Ból powalił go na ziemię, zanim Richard zdołał dotknąć łańcucha. Starał się walczyć, dosięgnąć krzesła, ale nie zdołał pokonać bólu. Padł na podłogę, wymiotując krwią. Potem podparł się jedną ręką, drugą trzymał się za brzuch; trząsł się i płakał. Kątem oka spostrzegł, że Denna wyprostowała ramiona i cofnęła się od ściany. Znów podjął próby.

Nie powiodły się żadne starania chłopaka. Musiał wymyślić coś innego. Dobył miecza - może tym podniesie łańcuch, zsunie pierścień. Z największym wysiłkiem dotknął ostrzem łańcucha. Ból zmusił Richarda do wypuszczenia broni z rąk, ustał dopiero wtedy, gdy chłopak wsunął oręż do pochwy.

Wpadł na nowy pomysł. Położył się na podłodze i szybkim kopniakiem zwalił krzesło, zanim ból go zdążył porazić. Przeleciało kawałek, uderzyło w stół, przewróciło się. Pierścień się zsunął z zaczepu.

Zwycięstwo trwało jedno mgnienie. Kiedy łańcuch spadł z zaczepu, ból osiągnął jeszcze wyższe natężenie. Richard dusił się i krztusił. Z najwyższym wysiłkiem usiłował się czołgać po kamiennej podłodze. Ból rósł z każdym przebytym calem, wkrótce oślepił chłopaka. Richard miał uczucie, że rozsadzi mu oczy. Zdołał się przeczołgać jedynie o dwie stopy. Nie wiedział, co począć. Ból nie pozwalał mu myśleć, nie pozwalał pełzać dalej.

- Błagam, pomóż mi, pani Denno - szepnął Richard ostatkiem sił. - Błagam, pomóż. - Wiedział, że płacze, lecz nie dbał o to; chciał jednego: żeby pierścień znów był na zaczepie i żeby ból ustał.

Usłyszał zbliżające się kroki Denny. Pochyliła się, podniosła łańcuch i

zaczepiła pierścień. Ból minął, lecz Richard nie mógł pohamować łez. Denna stała nad nim, wsparła się pod boki. - To trwało tylko piętnaście minut, ale godzina zaczyna się od nowa, bo ci pomogłam. Jeśli znów poprosisz o pomoc, to próba potrwa dwie godziny. - Pochyliła się, dotknęła Agielem brzucha chłopaka i ból znów zakwitł. - Zrozumiałeś?

- Tak, pani Denno - załkał Richard. Bał się, że istnieje jakiś sposób ucieczki, bał się, co go spotka, jeżeli odnajdzie ów sposób i bał się zrezygnować z poszukiwań. Może i był jakiś sposób uwolnienia się, ale minęła godzina i chłopak go nie odkrył.

Denna podeszła i stanęła nad Richardem, podpartym na dłoniach i kolanach.

- Czy już zrozumiałeś? Czy rozumiesz, co cię spotka, jeśli spróbujesz uciec?

- Tak, pani Denno.

I naprawdę to pojął. Nigdy się stąd nie wydostanie. Czuł się całkowicie bezsilny. Chciał umrzeć. Pomyślał o nożu wiszącym mu u pasa.

- Wstań - poleciła i dodała, jakby czytając w myślach Richarda: - Nie łudź się, że zdołasz skrócić okres tresury, uciec przed tym. Magia cię powstrzyma, tak jak cię powstrzymała przed odczepieniem łańcucha. - Chłopak spojrzał tępo na Denne. - Nie uciekniesz przede mną, nawet w śmierć. Będziesz należał do mnie dopóty, dopóki pozwolę ci żyć.

- To nie potrwa długo, pani Denno. Rahl Posępny mnie zabije.

- Być może. Nawet jeśli to zrobi, to dopiero wtedy, kiedy mu powiesz to, co chce wiedzieć. Ja zaś chcę, żebyś odpowiedział na jego pytania; bez wahania wypełnisz moje życzenie. - Piwne oczy Denny były twarde jak stal. - Może masz jeszcze jakieś złudzenia, ale nie wiesz, jak wspaniale tresuję ludzi. Ziarnie każdego. Zawsze. Pewno się łudzisz, że ty pierwszy oprzesz się tresurze, lecz wkrótce będziesz błagał o łaskę spełnienia moich życzeń.

Pierwszy dzień tresury jeszcze nie minął, a Richard już wiedział, że zrobi wszystko, co Denna nakaże. A miała całe tygodnie na szkolenie go. Gdyby chłopakowi pozostawiono możliwość popełnienia samobójstwa, to natychmiast by się zabił. Najgorsza była świadomość, że Denna ma rację - nie mógł jej powstrzymać. Był całkowicie zdany na jej łaskę, a Richard nie podejrzewał, by jego „nauczycielka” miała w sobie choć cień litości.

- Rozumiem, pani Denno. Wierzę ci.

Uśmiechnęła się figlarnie i chłopak musiał się zachwycić w myślach pięknem jej warkocza.

- To świetnie. Zdejmij koszulę. - Rozbawił ją widok zdumienia na twarzy Richarda i to, że od razu zaczął rozpinać guziki, gdy podsunęła mu pod oczy Agiel. - Czas, byś poznał, co może Agiel. Cała koszula nasiąknęłaby krwią i nie mogłabym wypatrzyć nietkniętej skóry. Zrozumiesz, dlaczego mój strój ma czerwoną barwę.

Chłopak wyciągnął zza paska poły koszuli. Ciężko oddychał był przerażony.

- Co zrobiłem źle, pani Denno?

Z udawaną troską przytknęła dłoń do policzka Richarda.

- Nie wiesz? - Potrząsnął głową, gardło miał ściśnięte. - Dałeś się schwytać Mord-Sith. Powinieneś był zabić mieczem wszystkich moich ludzi. Myślałam, że to uczynisz. Tak znakomicie zacząłeś. Potem, dopóki mogłeś to uczynić, powinieneś był mnie zabić nożem lub gołymi rękami, zanim przejęłam kontrolę nad twoją magią. Popełniłeś błąd, kierując ją przeciwko mnie.

- Ale czemu chcesz teraz doświadczyć mnie Agielem?

- Bo chcę, żebyś pojął. - Denna roześmiała się. - Pojął, że mogę zrobić, co tylko zechcę, i że nie możesz mnie przed niczym powstrzymać. Musisz zrozumieć, że jesteś zupełnie bezbronny i że chwile pozbawione bólu zależą tylko ode mnie. Nie od ciebie. - Uśmiech zniknął. Denna podeszła do stołu, wróciła z kajdankami zawieszonymi na kawałku łańcucha. - Wciąż się przewracasz. Mam tego dość. Zaradzimy temu. Załóż je.

Rzuciła chłopakowi kajdanki. Zakładał metalowe obręcze na trzęsące się nadgarstki, starając się zapanować nad oddechem. Denna przyciągnęła krzesło pod belkę, kazała Richardowi tam stanąć. Weszła na krzesło, by zaczepić łańcuch o żelazny hak.

- Naciągnij się, bo nie sięga. - Chłopak stanął na palcach i wyciągnął się w górę, a Denna w końcu zaczepiła łańcuch. - O, już. - Uśmiechnęła się. - Teraz przestaniesz się przewracać.

Richard wisiał na łańcuchu, kajdanki wrzynały mu się w nadgarstki; usiłował opanować przerażenie. I przedtem wiedział, że nie może przeszkodzić Dennie, lecz to było coś zupełnie odmiennego. Takie uwiązanie jeszcze bardziej potęgowało poczucie bezsilności i świadomość, że nie może się bronić. Denna założyła rękawice i parę razy obeszła chłopaka dokoła, uderzając Agielem o dłoń i potęgując niepokój Richarda.

Gdybyż tak był zginął w walce przeciwko Rahlowi - taką cenę Richard mógł zapłacić. To było coś innego. Umieranie bez końca. Nieustanna agonia. Odebrano mu nawet możliwość oporu. Wiedział już, co potrafi Agiel - Denna wcale nie musiała

tego demonstrować. Czyniła to wyłącznie po to, żeby odebrać chłopakowi dumę i szacunek do samego siebie. Żeby go złamać.

Denna chodziła wokół Richarda i uderzała Agielem w jego pierś i plecy. Każde dotknięcie było jak cios sztyletem. Za każdym razem chłopak krzyczał z bólu i skręcał się na łańcuchu, a wiedział, że to dopiero przedsmak. Pierwszy dzień jeszcze się nie skończył, a będzie jeszcze wiele, bardzo wiele takich dni. Richard płakał nad swoją bezradnością.

Chłopak wyobraził sobie swoją godność, swoją dumę jako żywą istotę; wyobraził sobie izdebkę. Izdebkę, do której absolutnie nic nie miało dostępu. Umieścił tam swoją dumę i poczucie godności, zamknął drzwi na klucz. Nikt nie dostanie klucza do tych drzwi. Ani Denna, ani Rahl Posępny. Tylko on, Richard. A teraz bez godności przyjmie to, co go spotka, podda się temu tak długo, jak będzie trzeba. Zrobi to, co musi zrobić. A pewnego dnia otworzy owe drzwi i znów stanie się dawnym sobą, choćby tylko w śmierci. Teraz będzie niewolnikiem Denny. Teraz. Lecz nie zawsze. Kiedyś to się skończy.

Denna wzięła w dłonie twarz chłopaka i pocałowała go mocno. Na tyle mocno, żeby zabolała go zraniona warga. Pocałunek sprawiał Dennie wyraźnie większą przyjemność wtedy, kiedy była pewna, iż sprawia Richardowi ból. Cofnęła nieco twarz, oczy miała zamglone rozkoszą.

- Możemy zaczynać, pieszczoszku? - szepnęła.

- Nie czyń tego, pani Denno - odszepnął. - Błagam.

- To właśnie chciałam usłyszeć. - Uśmiechnęła się.

I zaczęła demonstrować możliwości Agiela. Jeśli przeciągnęła nim lekko po skórze chłopaka, to powstawały podbiegnięte płynem pęcherze; jeżeli nacisnęła trochę mocniej, pęcherze wypełniały się krwią. Kiedy wierciła narzędziem, Richard czuł ciepłą wilgoć na swej spoconej skórze. Mogła również zesłać nań ten sam rodzaj bólu i nie pozostawić żadnego znaku na ciele chłopaka. Richard tak mocno zagryzał zęby, że aż go bolały. Czasem Denna stawała za nim, wyczekiwała momentu nieuwagi chłopaka i dopiero wtedy dotykała go Agielem. Znudziło ją to, więc kazała Richardowi zamknąć oczy i chodziła wokół niego, to dotykając, go Arielem, to przeciągając biczem przez pierś chłopaka.

Śmiała się, kiedy Richard zbierał siły, czekając na cios, który nie spadał. Szczególnie dotkliwe dźgnięcie sprawiło, że chłopak szeroko otworzył oczy. Denna uznała to za pretekst do użycia rękawicy. Kazała mu błagać o przebaczenie za

samowolne otwarcie oczu. Z pokaleczonych kajdankami nadgarstków Richarda sączyła się krew. Nie mógł ani trochę odciążyć rąk.

Tylko raz gniew wymknął się spod kontroli chłopaka - kiedy Denna wcisnęła Agiela w pachę Richarda. Obserwowała z uśmieszkiem, jak biedak wije się z bólu i zmusza do myślenia o jej włosach. Zorientowała się, że ta tortura pozbawia Richarda kontroli nad gniewem, więc powtarzała ją raz po raz, ale on już nie ponowił owego błędu. Ponieważ sam się już nie wydał na łup magicznego bólu, treserka obudziła go w nim sama; i tym razem chłopak nie zdołał się go pozbyć, choć starał się z całych sił. Musiał błagać, żeby Denna go uwolniła od magicznego bólu. Niekiedy stawała przed Richardem i patrzyła, jak spazmatycznie chwyta powietrze. Parę razy przytuliła się do niego, objęła go mocno - twardy skórzany strój rozpalił ból we wszystkich ranach.

Richard nie miał pojęcia, jak długo trwały te wszystkie tortury. Przez większość czasu ból skupiał na sobie całą uwagę chłopaka, tkwiąc w nim jak żywa istota. Richard wiedział, że spełniłby każde polecenie Denny, byle tylko przestała go dręczyć. Odwrócił wzrok od Agiela. Na widok bicza łzy mu napływały do oczu. Denna mówiła prawdę - nie męczyła się i nie nudziła torturowaniem. Fascynowało ją to, bawiło, dawało zadowolenie. A jeszcze bardziej niż zadawanie mąk cieszyło ją błaganie o litość. Richard błagałby o to o wiele częściej, byle ją tylko zadowolić, lecz przeważnie w ogóle nie mógł mówić. Nawet oddychanie sprawiało mu trudność.

Chłopak już nie próbował odciążyć nadgarstków, wisiał bezwładnie, majaczył. W pewnej chwili wydało mu się, że Denna przerwała tortury, lecz był już tak obolały, że nie wiedział, czy to prawda. Pot zalewał mu oczy, oślepiał go, ściekał na rany i powodował dodatkowy ból.

Denna podeszła i stanęła za nim, kiedy się Richardowi trochę rozjaśniło w głowie. Przygotował się na nowe męki. Złapała go za włosy i szarpnęła mu głowę w tył.

- Teraz zademonstruję ci coś nowego, pieszczoszku. Pokażę ci, jaką masz łagodną panią. - Bardziej odchyliła mu głowę w tył, aż napiął mięśnie szyi, broniąc się. Położyła mu na gardle Agiela. - Przestań się sprzeciwiać, bo nie cofnę bicza.

Chłopak miał usta pełne krwi. Rozluźnił mięśnie szyi, pozwoliwszy, żeby Denna odchyliła mu głowę tak daleko, jak chciała.

- Słuchaj uważnie, pieseczku. Włożę Agiela do twojego prawego ucha. - Richard aż się zadławił ze strachu; szarpnęła mu głową, przywołała do porządku. - To coś zupełnie innego niż poprzednie dotknięcia. O wiele bardziej boli. I musisz zrobić

dokładnie to, co ci powiem. - Usta Denny były tuż przy uchu chłopaka, szeptała w nie czule jak kochanka. - Kiedyś miałam przy sobie siostrę Mord-Sith i obie jednocześnie wpychałyśmy nasze Agiele w uszy ucznia. Wydawał wówczas wrzask niepodobny do innych. Upajający dźwięk. Cała drżę na to wspomnienie. Ale to go zabijało. Nigdy nam się nie udało tak użyć Agieli i nie zabić przy tym ucznia. Zawsze umierali. Próbowałyśmy i próbowałyśmy, ale bez skutku. Ciesz się, że to ja jestem twoją panią - inne dalej próbują. - Dziękuję, pani Denno. - Chłopak nie wiedział, za co właściwie dziękuje, ale tak bardzo nie chciał, żeby zrobiła to, co zamierzała.

- Słuchaj uważnie - szepnęła ochryple, lecz potem jej głos znów złagodniał. - Nie możesz się poruszyć, kiedy to zrobię. Jeśli drgniesz, to Agiel zniszczy, uszkodzi ci mózg. To cię nie zabije, lecz spowoduje nieodwracalne kalectwo. Jedni wtedy ślepną, inni tracą władzę w jednej połowie ciała, jeszcze inni nie mogą mówić lub chodzić. Każdy, kto się poruszył, poniósł jakąś szkodę. Chcę, żebyś był w pełni sprawny. Okrutniejsze ode mnie Mord-Sith nie ostrzegają swoich pieszczoszków, że się nie powinni poruszyć. Po prostu znienacka wpychają im Agiela w ucho. Widzisz? Wcale nie jestem taka okrutna, jak myślałeś. Ale niewielu się udało nie drgnąć. Ostrzegałam ich, a mimo to przeważnie się szarpali i coś sobie uszkadzali.

- Proszę cię, pani Denno. - Richard nie mógł powstrzymać płaczu. - Nie rób tego, proszę.

Wyczuł, że się uśmiechnęła. Przesunęła wilgotnym językiem po uchu chłopaka, pocałowała je.

- Aleja chcę to zrobić, pieszczoszku. Pamiętaj, nie porusz się.

Richard z całej siły zacisnął zęby, ale na coś takiego zupełnie nie był przygotowany. Miał uczucie, że jego głowa zamieniła się w szkło i rozprysnęła się na tysiące okruchów. Wbił sobie paznokcie w dłonie. Zatracił poczucie czasu, zatracił wszystko. Tkwił w bezmiarze śmiertelnego bólu, bólu bez końca ni początku. Ostry, szarpiący ból palił każdy nerw w ciele Richarda. Nie wiedział, jak długo Denna trzymała Agiela w jego uchu, lecz kiedy wreszcie wyjęła stamtąd bicz, wrzaski chłopaka odbijały się echem od kamiennych ścian.

Richard w końcu się uspokoił i zawisł bezwładnie. Wtedy Denna ucałowała obolałe ucho i szepnęła w nie bez tchu:

- Rozkoszny wrzask, pieseczku. Jeszcze nigdy nie słyszałam lepszego. Poza wrzaskiem śmierci, rzecz jasna. Wspaniale się zachowałeś, nawet nie drgnąłeś. - Czule pocałowała go w szyję, potem znów w ucho. - Spróbujemy z drugiej strony?

Chłopak jeszcze bezwładniej zwisł na łańcuchu. Nawet nie mógł płakać. Denna mocniej szarpnęła mu głowę w tył i przeszła do drugiego ucha.

Wreszcie skończyła lekcję i odczepiła łańcuch z haka. Richard zwalił się bezwładnie na podłogę. Sądził, że nie zdoła się poruszyć, ale kiedy dała mu Agielem znak, że ma się podnieść, to od razu to uczynił.

- To na dziś wszystko, pieseczku. - Chłopak o mało nie umarł z radości. - Idę się trochę przespać. To była krótka lekcja Jutro będzie tresura w pełnym wymiarze. Bardziej bolesna.

Richard był tak wyczerpany, że nie miał siły się martwić o jutro. Chciał tylko leżeć. Kamienna podłoga kusiła jak najwygodniejsze łóżko, zerkał na nią tęsknie. Denna przyniosła krzesło, wzięła łańcuch zwisający z obroży na szyi chłopaka i zaczepiła o metalowy hak w belce. Richard obserwował jej poczynania, zbyt znużony, żeby się domyślać, co ona zamierza. Skończyła i ruszyła ku drzwiom. Chłopak zdał sobie sprawę, że łańcuch jest za krótki, że się nie zdoła położyć na podłodze.

- Jak mam spać, pani Denno?

Odwróciła się, posłała mu protekcjonalny uśmieszek.

- Spać? Nie przypominam sobie, żebym ci pozwoliła spać. Musisz sobie zasłużyć na taki przywilej. Jeszcze sobie nie zasłużyłeś na sen. Czyżbyś zapomniał, że nie dalej jak tego ranka snułeś wstrętne wizje, jak to mnie zabijasz mieczem? Nie pamiętasz, iż powiedziałam, że tego pożałujesz? Dobranoc, pieseczku. - Po kilku krokach Denna się zatrzymała i odwróciła ku Richardowi. - Na twoim miejscu nie zdejmowałabym łańcucha z haka, żeby zemdleć czy umrzeć z bólu. Zmieniłam magię. Już cię nie zabije. Jeżeli zdejmiesz łańcuch albo upadniesz i sam się ześlizgnie z haka, to przez całą noc zostaniesz sam z bólem. Mnie tu nie będzie, nie pomogę ci. Pamiętaj o tym. Myśl o tym, gdy ci się zachce spać.

Odwróciła się na pięcie i wyszła, zabierając ze sobą pochodnie. Richard stał w ciemnościach i płakał. Po jakimś czasie zmusił się do powstrzymania łez i zaczął myśleć o Kahlan. Tej przyjemności Denna mu nie odbierze. A przynajmniej nie tej nocy. Rozmyślał, że Kahlan jest bezpieczna, że ma wokół siebie ludzi, którzy ją będą chronić - Zedda, Chase’a, a wkrótce i wojsko Michaela, i od razu poczuł się lepiej. Wyobraził sobie, że pewno teraz rozbili obóz na noc, że dziewczyna troszczy się o Siddina i Rachel, że opowiada dzieciakom różne historie, z których się śmieją. Widział w myślach Kahlan i uśmiechał się do niej. Wspominał jej pocałunek, to, jak się do niego tuliła. Choć dziewczyny tu nie było, to samo wspomnienie o niej

napawało Richarda szczęściem, sprawiało, że się uśmiechał. Nieważne, co z nim. Grunt, że ona była bezpieczna. Tylko to się liczyło. Kahlan, Zedd i Chase byli bezpieczni i mieli ostatnią szkatułę. Rahl Posępny umrze, a Kahlan będzie żyć.

I czyż ważny jest los Richarda, gdy się to wszystko wreszcie skończy? Może już wtedy nie żyć. Postara się o to Denna lub Rahl Posępny. On musi tylko wytrzymać ból, dopóki jeszcze żyje.

I wytrzyma. Bo i cóż to takiego? Denna nie zdoła mu i tak zadać bólu, który by dorównywał mękom wywoływanym przez świadomość, że nie może być z Kahlan. Z kobietą, którą kochał. Z kobieta którą kochał, a która wybierze innego.

Cieszył się, że umrze, zanim to się stanie. Może jakoś zdoła przyspieszyć swoją śmierć? Na pewno niewiele potrzeba, żeby porządnie rozzłościć Denne. Gdyby się tak poruszył, kiedy znów włoży mu Agiela w ucho, to byłby trwale upośledzony i wtedy by się już jej na nic nie przydał. Pewno by go wówczas zabiła. Chłopak jeszcze nigdy w życiu nie był taki samotny.

- Kocham cię, Kahlan - szepnął w mroki.

Następny dzień był gorszy, jak to obiecała Denna. Wypoczęła i zamierzała zużyć trochę swojej energii na złamanie Richarda. On zaś wiedział, że jest coś, co zależy od niego, że ma możliwość wyboru. Czekał, żeby znów wsunęła mu do ucha Agiela, żeby mógł z całych sił szarpnąć głową i spowodować nieodwracalne szkody, lecz Denna nie zrobiła tego, zupełnie jakby wyczuła intencje chłopaka. Dało mu to odrobinę nadziei: udało mu się skłonić Denne do czegoś. Sprawił, że już nie stosowała tej okropnej tortury. Wcale nie kontrolowała wszystkiego, choć tak sądziła. Wciąż potrafił ją zmusić, żeby zrobiła coś według jego woli. Dodało to Richardowi otuchy. Pomogła mu również myśl o tym, że zamknął w niedostępnym miejscu swoją dumę i godność - dzięki temu mógł zrobić to, co konieczne. Zrobi wszystko, co Denna rozkaże.

Denna przerywała tresurę tylko wtedy, kiedy siadała przy stoliku, żeby coś zjeść. Zajadała powoli jakiś owoc, obserwowała Richarda i uśmiechała się, kiedy jęczał. Chłopak nie dostawał nic do jedzenia, poiła go tylko wodą, kiedy kończyła swój posiłek.

Wieczorem znów zaczepiła łańcuch o hak w belce i kazała Richardowi stać przez noc. Nie zapytał dlaczego; to nie miało znaczenia. Denna i tak zrobi, co zechce, a on nie ma na to żadnego wpływu.

Ledwo się trzymał na nogach, kiedy wróciła rankiem z pochodnią. Była w

dobrym nastroju.

- Chcę całusa na dzień dobry. - Uśmiechnęła się. - I masz go odwzajemnić. Okaż, jaki jesteś szczęśliwy, widząc znów swoją panią.

Richard zrobił, co w jego mocy, aby uporczywie myśleć o pięknych włosach Denny. Uścisk pobudził fale bólu; bolały wszystkie rany, do których Mord-Sith się przyciskała. Puściła wreszcie drżącego z męki chłopaka, odczepiła łańcuch i rzuciła na pod-

- Uczysz się być dobrym pieseczkiem. Zasłużyłeś na dwugodzinny sen.

Richard opadł na podłogę i zasnął, zanim ucichł odgłos kroków Denny.

Odkrył, jak straszliwe jest budzenie Agielem. Krótki sen nie przywrócił chłopakowi sił. Potrzebował o wiele więcej wypoczynku i snu, niż mu łaskawie przyznano. Richard przysiągł sobie zrobi wszystko, żeby przez cały dzień nie popełnić żadnego błędu, że zrobi dokładnie to, co Denna zechce, a może wówczas pozwoli mu spać przez całą noc.

Dołożył wszelkich starań, żeby bezbłędnie wypełniać jej życzenia; miał nadzieję, że zadowoli nauczycielkę. Miał również nadzieję, że dostanie coś do jedzenia. Nic nie jadł od chwili, kiedy go schwytano. Zastanawiał się, czego bardziej pragnął - snu czy jedzenia. Doszedł do wniosku, że najbardziej pragnie, żeby ustał ból. Lub żeby pozwolili mu umrzeć.

Richard był u kresu sił, czuł, jak życie powoli zeń uchodzi, i tęsknie wyczekiwał końca. Denna jakby wyczuła, że kończy się wytrzymałość chłopaka, bo przyhamowała, dawała mu więcej czasu na wypoczynek, robiła dłuższe przerwy. Nie dbał o to. Wiedział, że już po nim, że to się nigdy nie skończy. Wyrzekł się woli życia, chęci przetrwania, przetrzymania. Kiedy wisiał w kajdankach i odpoczywał, Denna szczebiotała do niego czule, gładziła po policzkach. Dodawała mu odwagi, namawiała, żeby się nie poddawał, i obiecywała, że będzie o wiele lżej, kiedy go już złamie. Richard po prostu tego słuchał, nawet nie miał siły płakać.

Odczepiła łańcuch i chłopak myślał, że to już noc; zupełnie zatracił poczucie czasu. Czekał, żeby Denna rzuciła łańcuch na podłogę lub zaczepiła o coś. Ale nie. Tym razem zaczepiła hak w oparciu krzesła, kazała Richardowi stać i wyszła. Wróciła z wiadrem.

- Na kolana, pieseczku. - Usiadła na krześle, wzięła z gorących mydlin szczotkę i zaczęła myć chłopaka. Twarda szczecina drażniła rany, powodowała ból. - Mamy zaproszenie na ucztę. Muszę cię wyszorować. Wolę zapach twojego potu i

strachu, lecz mogłoby to urazić innych gości.

Myła go troskliwie. Jak ktoś zajmujący się swoim psem. Richard oparł się o nią bezwładnie, zupełnie nie miał sił. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby mu zostało ich choć odrobinę. Denna pozwoliła mu na to i dalej go troskliwie myła. Chłopak był ciekaw, kto ich zaprosił, lecz nie zapytał. I tak mu powiedziała.

- Królowa Milena osobiście poprosiła, żebyśmy się przyłączyli do niej i do jej gości. Cóż za zaszczyt dla kogoś tak podłego stanu jak ty, nieprawdaż?

Richard tylko kiwnął głową, nie będąc w stanie mówić.

Królowa Milena. A więc byli w jej zamku. Raczej go to nie zdziwiło - No bo dokąd Denna zdążyłaby go zabrać? Skończyła szorowanie i ofiarowała godzinę snu, żeby wypoczął przed ucztą.

Spał u jej stóp.

Tym razem obudziła chłopaka kopniakiem, nie Agielem. Nieomal się rozpłakał ze szczęścia, że okazała mu tyle litości i wylewnie jej dziękował za to, że jest dlań taka dobra. Denna pouczyła go, jak się ma zachować. Łańcuch będzie przyczepiony do jej pasa, a Richard ma nie spuszczać z niej oka. Nie wolno mu się odzywać, chyba że ktoś do niego przemówi, a i wtedy najpierw powinien pozyskać jej zgodę. Nie będzie siedział za stołem, lecz na podłodze. Jeśli odpowiednio się zachowa, to dostanie coś do jedzenia.

Chłopak przyrzekł, że wypełni wszystkie polecenia. Perspektywa siedzenia na podłodze ogromnie mu się spodobała - nie będzie musiał stać, odpocznie, nikt go nie będzie ranił. I może jeszcze dostanie coś do jedzenia. Na pewno uczyni wszystko, żeby zadowolić Denne, żeby nie zrezygnowała z nakarmienia go.

Richard szedł za Denną jak we śnie. Łańcuch biegnący od jego obroży był przymocowany do pasa Mord-Sith, chłopak uważał, żeby go nie napiąć ponad przepisaną miarę. Zdjęła mu kajdanki; rany po nich były czerwone i obrzmiałe, boleśnie pulsowały. Chłopak mgliście sobie przypominał niektóre z mijanych teraz komnat.

Znaleźli się w sali pełnej ludzi. Denna obeszła ją wkoło, przystając tu i tam i rozmawiając z pięknie odzianymi gośćmi. Chłopak nie odrywał oczu od jej warkocza. Z pewnością splotła włosy na nowo; energiczne korzystanie z Agiela rozluźniło sploty. Musiała zapleść warkocz, kiedy Richard spał.

Chłopak spostrzegł, że myśli, iż jej włosy są naprawdę piękne i że ona sama jest o wiele ładniejsza niż którakolwiek z obecnych tu kobiet. Czuł, że ludzie gapią się

na niego i na jego miecz, kiedy Denna prowadza go po komnacie na smyczy. Przypomniał sam sobie, że na pewien czas zamknął dumę w niedostępnym miejscu i że uczyni to wszystko, by mu pozwolono odpocząć, zjeść i żeby Denna go choć przez chwilę nie dręczyła.

Richard pochylił się i trwał w ukłonie, dopóki Denna rozmawiała z królową. Mord-Sith i królowa tylko lekko skinęły sobie głowami. U boku Mileny stała księżniczka Violet. Chłopak przypomniał sobie, jak Violet pastwiła się nad Rachel, i musiał pospiesznie wrócić do myśli o warkoczu Denny. Mord-Sith usiadła za stołem, pstryknęła palcami i wskazała na podłogę za swoim krzesłem. Richard wiedział, o co jej chodzi; usiadł na wskazanym miejscu. Denna siedziała po lewej ręce królowej Mileny, po prawej księżniczki Violet, która lodowato popatrywała na Richarda. Chłopak rozpoznał kilku doradców królowej. Uśmiechnął się do siebie - nie było wśród nich nadwornego malarza Główny stół był wyżej niż pozostałe, lecz siedzący na podłodze Richard nie widział pozostałych gości.

- Ponieważ nie jesz mięsa - odezwała się królowa do Denny - to kazałam kucharzom przygotować specjalne potrawy, które ci na pewno zasmakują. Pyszne zupy i jarzyny, rzadko spotykane owoce.

Denna podziękowała jej z uśmiechem. W pewnej chwili lokaj podał jej na tacy miseczkę.

- To dla mojego pieseczka. - Poinformowała go Denna, na krótko przerywając rozmowę.

Lokaj podał miseczkę Richardowi. Zawierała jakiś kleik, lecz chłopakowi wydało się, że to najpyszniejsza strawa, jaką w życiu jadł. Trzymał miseczkę w drżących dłoniach i szykował się do wypicia owego kleiku.

- Dlaczego mu pozwalasz tak jeść - odezwała się księżniczka Violet - skoro jest twoim pieseczkiem?

- Co masz na myśli?

- Jeśli jest twoim pieseczkiem - uśmiechnęła się księżniczka - to powinien jeść z podłogi, bez użycia rąk.

- Zrób, co każe - poleciła Denna z błyskiem w oku.

- Postaw miseczkę na podłodze - nakazała Violet - i jedz jak pies. Niech wszyscy zobaczą, że Poszukiwacz nie jest lepszy od psa.

Richard był zbyt głodny, żeby ryzykować utratę jedzenia. Skupił się na wyobrażeniu warkocza Denny i ostrożnie postawił miseczkę na podłodze. Spojrzał w

oczy księżniczki Violet, na jej szyderczy uśmieszek i zjadł kleik przy wtórze śmiechów. Wylizał miseczkę do czysta. Potrzebuję sił, na wypadek gdybym mógł z nich skorzystać, mówił sobie chłopak.

Królowa i zaproszeni goście skończyli się posilać. Wprowadzono jakiegoś zakutego w łańcuchy mężczyznę i postawiono na środku komnaty. Richard go rozpoznał. Był jednym z więźniów, których Kahlan uwolniła z lochów. Wymienili krótkie spojrzenia, pełne zrozumienia i rozpaczy.

Wyliczono zbrodnie i niecne uczynki owego człowieka. Richard starał się tego nie słuchać; wiedział, że to tylko pretekst. Królowa skończyła wyliczankę zbrodni i spojrzała na córkę.

- Może księżniczka Violet zechciałaby wydać wyrok na tego człowieka? Rozpromieniona Violet podniosła się z krzesła.

- Sto batów za zbrodnie przeciwko Koronie. Głowa za zbrodnie przeciwko współobywatelom.

Rozległy się pełne uznania szepty. Richardowi zrobiło się żal skazańca, a jednocześnie chętnie by się z nim zamienił.

Sto batów to drobnostka, a po nich topór kata. Księżniczka usiadła i powiedziała do Denny:

- Bardzo bym chciała czasami móc popatrzeć, jak go karzesz.

- Zejdź na dół, kiedy zechcesz. - Denna zerknęła na nią przez ramię. - Pozwolę ci popatrzeć.

Wrócili do kamiennej komnaty i Mord-Sith nie traciła czasu na zdejmowanie koszuli chłopaka. Znów wisiał na belce. Zimno poinformowała go, że zbyt chciwie się wpatrywał w potrawy. Serce Richarda zamarło. Kajdanki ponownie raniły chłopakowi nadgarstki. Chwila - i znów ociekał potem, spazmatycznie chwytając powietrze, płacząc i krzycząc w straszliwych mękach. Powiedziała mu, że jest jeszcze wcześnie i że solidnie go poćwiczy do końca wieczoru.

Denna wwiercała Agiela w plecy chłopaka, a mięśnie Richarda sztywniały i kurczyły się, tak że nie dotykał stopami podłogi. Błagał, żeby przestała, ale nie uczyniła mu tej łaski. Wreszcie znów zwisł bezwładnie i wtedy zobaczył w drzwiach jakąś postać.

- Podoba mi się sposób, w jaki go zmuszasz do błagania - powiedziała księżniczka Violet.

- Podejdź bliżej, skarbie - uśmiechnęła się do niej Mord-Sith - a pokażę ci coś

jeszcze.

Objęła Richarda, mocno przycisnęła się do jego ran. Pocałowała go w ucho i szepnęła:

- Pokażemy księżniczce, jak pięknie błagasz, prawda?

Richard obiecał sobie, że tego nie zrobi, lecz wkrótce złamał tę obietnicę. Denna zademonstrowała Violet rozliczne sposoby ranienia chłopaka. Wydawała się dumna ze swoich talentów.

- Mogę i ja spróbować? - spytała księżniczka. Denna patrzyła na nią przez chwilę.

- Oczywiście, skarbie. Jestem pewna, że mój pieseczek nie będzie miał nic przeciwko temu. - Uśmiechnęła się do Richarda. - Prawda?

- Nie pozwalaj jej, pani Denno, proszę. Jest jeszcze małą dziewczynką. Zrobię wszystko, co każesz, ale nie pozwalaj jej na to. Proszę.

- Widzisz, kochanie, że on się nie sprzeciwia. Denna wręczyła Violet Agiela.

Księżniczka Violet szczerzyła zęby w uśmiechu i przesuwała bicz w palcach. Dotknęła na próbę uda Richarda i z zadowoleniem patrzyła, jak chłopak się skręca z bólu. Chodziła wokół Poszukiwacza i dźgała go.

- Jakie to proste! - powiedziała. - Nigdy bym nie przypuszczała, że tak łatwo można upuścić komuś krwi!

Denna stała ze skrzyżowanymi ramionami i obserwowała chłopaka z uśmiechem, gdy księżniczka poczynała sobie coraz śmielej.

Raz dwa ujawniła całe swoje wrodzone okrucieństwo. Była zachwycona nową zabawą.

- Pamiętasz, co mi powiedziałeś? - spytała i dźgnęła chłopaka w bok. - Pamiętasz, jak mnie poniżyłeś? Nareszcie masz to, na co zasłużyłeś, no nie? - Richard z całej siły zaciskał zęby. - Odpowiadaj! Zasłużyłeś na to, prawda?

Chłopak nie otwierał oczu i usiłował zapanować nad bólem

- Odpowiadaj! I błagaj, żebym przestała. Chcę się bawić Agielem, gdy będziesz błagał.

- Lepiej jej odpowiedz - wtrąciła się Denna. - Szybko się uczy.

- Nie ucz jej tego, pani Dermo, proszę. To, co jej robisz, jest jeszcze gorsze niż to, co robisz mnie. Ona jest tylko małą dziewczynką. Nie czyń jej tego, proszę. Nie pozwól jej się uczyć takich rzeczy.

- Uczę się tego, co mi się podoba. Lepiej zacznij błagać. Natychmiast! Richard

wiedział, że naraża się na wielkie cierpienia, mimo to czekał do kresu swej wytrzymałości. Dopiero wtedy się odezwał.

- Przepraszam, księżniczko Violet - wydyszał. - Wybacz mi, proszę, że źle postąpiłem.

Okazało się, że odezwanie się do Violet było błędem. Jeszcze bardziej się zapaliła do tortur. Prędko pojęła, jak zmusić chłopaka do błagań i płaczu, choć ze wszystkich sił starał się opanować. Richard nie mógł uwierzyć - mała dziewczynka zadawała tortury i upajała się tym. Kompletny obłęd.

Violet łypnęła złośliwie na chłopaka i szturchnęła go Agielem w brzuch.

- Spowiedniczka zasłużyła sobie na o wiele gorsze traktowanie. I pewnego dnia dostanie za swoje. To ja jej za to odpłacę. Matka mi to obiecała; powiedziała, że kiedy tu wróci, to ja się nią zajmę. Chcę, żebyś mnie błagał, żebym ją skrzywdziła. Błagaj, żebym obcięła głowę Matce Spowiedniczce.

Coś się zbudziło w Richardzie. Nie miał pojęcia, co to takiego. Księżniczka Violet zacisnęła zęby, z całych sił wbiła Agiela w brzuch chłopaka i świdrowała.

- Błagaj mnie! Błagaj, żebym zabiła tę wstrętną Kahlan! Straszliwy ból sprawił, że chłopak krzyczał wniebogłosy. Denna stanęła pomiędzy Richardem a Violet, wyrwała jej Agiela.

- Dosyć! Zabijesz go, jeśli tak go potraktujesz Agielem. - Dziękuję, pani Denno - wyrzęził chłopak. Poczuł szczególną wdzięczność za to, że stanęła w jego obronie. Księżniczka Violet cofnęła się o krok, rozeźlona. - Nie dbam oto, czy go zabiję!

- Ale ja dbam - głos Denny był chłodny i władczy. - Jest zbyt cenny, żeby go tak zmarnować.

Najwyraźniej Denna tu rządziła, nie księżniczka; nawet me królowa. Denna była przedstawicielką Rahla Posępnego.

- Matka mówi, że Spowiedniczka Kahlan na pewno tu wróci. Violet patrzyła wściekle na Richarda. - I że wtedy zgotujemy jej niespodziankę. Chcę, żebyś to wiedział już teraz, bo matka mówi, że nie dożyjesz tej chwili. Obiecała mi, że to ja zadecyduję, co zrobić ze Spowiedniczka. Po pierwsze obetnę jej włosy. - Nacisnęła dłonie w pięści, spurpurowiała. - Potem każę, żeby ją zgwałcili strażnicy. Wszyscy po kolei! A potem zapakuję na parę lat do lochów, żebym się miała kim bawić! A kiedy już im się znudzi dręczenie jej, każę jej obciąć głowę, zatknąć na pal i będę patrzeć, jak gnije!

Richard poczuł litość i współczucie dla małej księżniczki. Oba te uczucia ogarnęły go jak fala. Ze zdumieniem poczuł, jak nabiera mocy owo coś, co się w nim przed chwilą zbudziło.

Księżniczka Violet mocno zamknęła oczy i wysunęła język tak daleko, jak tylko mogła.

Wisiał jak czerwony proporzec.

Nowo przebudzona moc Richarda osiągnęła szczyt.

Trafił księżniczkę od spodu w podbródek i poczuł, ze żuchwa Violet pęka jak kryształ uderzający w kamienną posadzkę. Siła uderzenia uniosła ją w powietrze. Violet odgryzła sobie język, a potem połamały się jej zęby. Upadła na plecy, w sporej odległości od chłopaka, usiłując jeszcze krzyczeć poprzez tryskającą krew.

Denna wpatrywała się w Richarda. W jej oczach mignął strach. Richard nie miał pojęcia, jak zdołał tamto uczynić, dlaczego nie powstrzymał go magiczny ból. Z miny Denny wyczytał, ze nie powinien być zdolny do takich wyczynów.

- Ostrzegałem ją - powiedział chłopak, wytrzymując gniewne spojrzenie Mord-Sith. - Obiecane, wykonane. - Uśmiechnął się. Dziękuję ci, pani Denno, za to, że mi uratowałaś życie.

Denna wpatrywała się weń przez chwilę, potem spochmurniała. Wyszła z pokoju. Richard, wciąż zawieszony w kajdankach, patrzył na wijącą się na podłodze Violet.

- Przekręć się na brzuch, Violet, bo się zadławisz krwią! Przekręć się! Księżniczce udało się przeturlać na brzuch; na kamiennej podłodze rozrastała się krwawa kałuża. Wbiegli jacyś ludzie i zajęli się Violet. Denna wszystkiego doglądała. Podnieśli ostrożnie księżniczkę i wynieśli jaz kamiennej komnaty. Ich zaaferowane głosy ucichły w oddali.

Chłopak został sam z Denną.

Pchnęła palcem drzwi, zamknęły się ze skrzypieniem zawiasów. Richard wiedział już, że Denna istotnie się odznacza perwersyjną dobrocią. Nauczył się rozpoznawać jej nastrój po sposobach stosowania Agiela. Czasami był pewien, że Denna się hamuje i że wynika to z przewrotnej troski o niego. Innym zaś razem wiedział, że dręcząc go najstraszliwiej, daje upust swoim uczuciom, daje mu poznać, co do niego czuje; pewnie, że było to zupełnie obłąkańcze, niezdrowe. Pojął, iż tego wieczoru Denna przejdzie sama siebie.

Stała przy drzwiach i obserwowała Richarda.

- Jesteś bardzo szczególną osobą, Richardzie Cypher - powiedziała miękko. - Mistrz Rahl mnie ostrzegał. Ostrzegał, żebym uważała, że mówią o tobie przepowiednie. - Podeszła powoli do chłopaka, jej kroki rozbrzmiewały echem po kamiennej posadzce. Stanęła tuż przed Richardem, spojrzała mu w oczy, leciutko zmarszczyła brwi; oddychała szybciej niż zwykle. - To było zupełnie niezwykłe - szepnęła. - Niesamowicie ekscytujące. - Patrzyła nań pożądliwie. - Postanowiłam, że będziesz moim partnerem - szepnęła bez tchu.

Richard wisiał w kajdankach, zupełnie bezbronny wobec tego ataku szaleństwa. Nie miał pojęcia, co to za moc się w nim przebudziła ani jak ją przywołać. Spróbował. Bez rezultatu.

Denna zmagała się z czymś, czego chłopak nie pojmował, jakby zbierała całą odwagę, żeby zrobić coś, czego się obawiała, a czego jednocześnie pragnęła. Patrzyła Richardowi w oczy, oddychała coraz szybciej, jej pierś unosiła się i opadała. Chłopak dostrzegł coś, czego przedtem nie zauważał, co kryło przed nim okrucieństwo Denny - była pociągająca. Niesamowicie, oszałamiająco pociągająca. Richard uznał, że chyba zaczął tracić rozum.

Patrzył - wstrząśnięty i dziwnie zaniepokojony - jak Denna powoli wkłada Agiela w usta. Jej źrenice nagle się rozszerzyły - zadawała sobie ból. Zbladła. Gwałtownie wciągnęła powietrze, leciutko zadrżała. Wsunęła palce we włosy Richarda i przytrzymała mu głowę. Wolno zbliżyła wargi do jego ust. Pocałowała go mocno, namiętnie, dzieląc z chłopakiem dojmujący ból wywoływany przez Agiela. Łączył ich usta. Przywarła do chłopaka i całowała go dziko.

Każde włókienko ciała Richarda płonęło bólem. Rozpaczliwie chwytał powietrze, wysysając je z płuc Denny. Ona odpłacała mu tym samym. On chwytał tylko jej oddech, ona zaś - tylko jego. Ból sprawił, że Richard zapomniał o wszystkim oprócz Denny. Ból trawił jego ciało i umysł. Wiedział, że ona przeżywa to samo. Dłonie w jego włosach zacisnęły się w pięści. Jęczała z bólu. Jej mięśnie dygotały i sztywniały z bólu. Ból szalał w obydwojgu.

Richard - nie pojmując, dlaczego tak się dzieje - odwzajemniał pocałunek Denny. Całował ją równie dziko i namiętnie. Ból zmieniał wszystkie odczucia. Chłopak jeszcze nigdy nikogo nie całował z taką pasją i namiętnością. Rozpaczliwie pragnął, żeby wreszcie przestała, i zarazem, żeby nigdy nie przestawała.

W Richardzie znów przebudziła się owa dziwna moc. Usiłował do niej sięgnąć, zapanować nad nią, utrzymać. Lecz wyśliznęła mu się i zniknęła.

Ból przytłaczał, druzgotał chłopaka. Denna miażdżyła mu usta wargami, z których nie wypuszczała Agiela. Mord-Sith przywarła do Richarda, oplotła go nogami, wczepiła się weń. Jęczała z udręki. Chłopak rozpaczliwie pragnął ją objąć.

Odsunęła się, kiedy był bliski utraty przytomności, wciąż zaciskając w pięściach jego włosy. Patrzyła mu w oczy, płakała. Obróciła językiem trzymanego w ustach Agiela, zagryzła pręt w zębach, drżąc z bólu, jakby chciała zademonstrować chłopakowi, że jest silniejsza od niego. Powoli przesunęła rękę i wyjęła Agiela z ust. Z trudem chwytała powietrze. Ściągnęła brwi. Z jej oczu płynęły łzy spowodowane bólem i jeszcze czymś innym. Pocałowała Richarda. Tak czule i łagodnie, że był wstrząśnięty.

- Jesteśmy związani - szepnęła. - Złączeni bólem Agiela. Przepraszam, Richardzie. - Głaskała go po policzku, jej oczy wciąż szkliły się bólem. Przepraszam za to, co ci uczynię. Jesteś moim partnerem do końca swojego życia.

Chłopak był zaskoczony współczuciem brzmiącym w jej głosie.

- Błagam, pani Denno. Pozwól mi odejść. Proszę, pozwól mi odejść. Albo chociaż pomóż mi powstrzymać Rahla Posępnego. Obiecuję, że jeśli mi pomożesz, to z własnej woli już na zawsze zostanę twoim partnerem. Przysięgam na moje życie, że jeżeli mi pomożesz, to zostanę z własnej woli, a nie dlatego, że trzyma mnie magia.

Wsparła się dłonią o pierś chłopaka, powoli przytomniała.

- Myślisz, że nie rozumiem, co ci czynię? - Oczy miała puste, szkliste. - Twoja tresura i służba potrwają ledwo parę tygodni, potem umrzesz. Szkolenie Mord-Sith trwa całe lata. Mnie uczyniono to samo, co ja czynię tobie, a nawet uczyniono mi o wiele więcej. Mord-Sith musi znać swojego Agiela lepiej, niż zna samą siebie. Kiedy miałam piętnaście lat, mój pierwszy nauczyciel wziął mnie na swoją partnerkę, a zaczął mnie szkolić, kiedy miałam dwanaście lat. Nigdy mu nie dorównam w okrucieństwie, w umiejętności utrzymywania kogoś w zawieszeniu pomiędzy życiem a śmiercią. Szkolił mnie, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat. Wtedy go zabiłam. I za to karano mnie Agielem przez dwa lata, dzień w dzień. Tym Agielem, którym ja szkolę ciebie. Dano mi go, kiedy zostałam Mord-Sith. Żyję tylko po to, żeby się nim posługiwać.

- Tak mi przykro, pani Denno - szepnął chłopak.

- I będzie ci przykro. - Znów miała oczy twarde jak stal. - Nikt ci nie pomoże. Ja też nie. Przekonasz się, że partner Mord-Sith nie ma żadnych przywilejów, a jedynie dodatkowe porcje bólu.

Richard bezwładnie zwisał w kajdankach; przytłaczała go potworność tego wszystkiego. Zrozumiał, dlaczego Denna taka jest, ale to jedynie nasiliło poczucie beznadziejności. Nie zostawiono mu żadnej drogi ucieczki. Został partnerem obłąkanej kobiety.

Znów marszczyła brwi i uśmiechała się.

- Dlaczego tak wariacko postąpiłeś? Przecież wiedziałeś, że cię za to ukarzę. Chłopak przyglądał się zaintrygowanej Dennie.

- A co to za różnica, pani Denno? I tak sprawiłabyś mi ból. Cóż jeszcze mogłabyś mi zrobić, cóż więcej ponad to, co już zrobiłaś?

- Masz bardzo ograniczoną wyobraźnię, mój ukochany. - Wydęła wargi w szyderczym uśmieszku.

Rozpięła mu pas. Zgrzytnęła zębami.

- Już czas, żebyśmy znaleźli na tobie nowe miejsce do zadawania bólu. Czas, żeby się przekonać, z jakiej gliny jesteś ulepiony. - Wyraz oczu Denny sprawił, że chłopak zlodowaciał z przerażenia. - Dzięki, mój ukochany, że dałeś mi do tego pretekst. Jeszcze nigdy nikomu tego nie uczyniłam, choć mnie to czyniono wiele razy. To właśnie mnie złamało, kiedy miałam czternaście lat. Żadne z nas nie zaśnie tej nocy - szepnęła.

Rozdział czterdziesty drugi

Zimna woda nie zdołała całkowicie ocucić Richarda. Leżał nagi, twarzą do kamiennej podłogi, mgliście widział spływające zeń zabarwione na czerwono strumyczki, wlewające się w pęknięcia kamiennych płyt. Każdy oddech wymagał straszliwego wysiłku. Ciekawe, ile mi złamała żeber, pomyślał mętnie.

- Ubierz się. Wyjeżdżamy.

- Tak, pani Denno - szepnął. Tak ochrypł od krzyku, że na pewno nie usłyszy jego głosu i ukarze go za brak odpowiedzi. Wiedział o tym, lecz nie zdołał głośniej przemówić.

Agiel nie uderzył. Richard nieco się poruszył i zobaczył swój but - sięgnął po niego, przyciągnął do siebie. Usiadł, lecz nie zdołał unieść głowy. Zwisała bezwładnie. Z wysiłkiem zaczął wciągać but. Urażał poranione stopy, łzy napływały mu do oczu.

Dostał kolanem w szczękę i padł na plecy. Denna usiadła mu na piersiach, tłukła go pięściami po twarzy.

- Co z tobą? Oszalałeś? Najpierw spodnie, potem buty! Czy muszę ci wszystko po kolei mówić?!

- Tak, pani Denno, nie, pani Denno, dziękuję, pani Denno za nauki, przepraszam, pani Denno, dziękuję, pani Denno, za ból, jaki mi sprawiłaś - wybełkotał chłopak.

Siedziała mu na piersi i dyszała z wściekłości. Po chwili zaczęła spokojniej oddychać.

- Pomogę ci. - Nachyliła się i pocałowała Richarda. - Pomogę ci, mój ukochany. Odpoczniesz w podróży.

- Tak, pani Denno - szepnął ledwo dosłyszalnie.

- Teraz, kiedy cię już złamałam, będzie o wiele łatwiej. - Znów go pocałowała. - Przekonasz się, ukochany.

W ciemnościach czekał na nich powóz. Oddechy koni zamieniały się w obłoczki pary, wolno dryfujące w zimnym, nieruchomym powietrzu. Richard szedł za Denną. Potknął się kilka razy, usiłując zachować przepisowy luz łańcucha. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy go postanowiła wziąć na partnera, i nic go to nie obchodziło. Strażnik otworzył drzwiczki powozu. Denna rzuciła na podłogę swój koniec łańcucha.

- Wsiadaj.

Richard przytrzymał się obrzeża drzwiczek. Usłyszał, jak ktoś się zbliża z szumem i szelestem. Denna lekko szarpnęła łańcuch, dając chłopakowi znak, żeby pozostał tam, gdzie stoi.

- Ależ, Denno! - To była królowa ze swymi doradcami.

- Pani Denno - poprawiła chłodno Mord-Sith.

- A dokądże to się z nim wybierasz? - Królowa najwyraźniej była w wyjątkowo podłym nastroju.

- To nie twoja sprawa. Czas, żebyśmy ruszyli w drogę. Jak zdrowie księżniczki?

- Nie wiemy, czy przeżyje - odparła rozeźlona Milena. - Zabieram Poszukiwacza. Musi zapłacić za swój uczynek.

- Poszukiwacz należy do mnie i do mistrza Rahla. Już został ukarany i będzie karany nadal, dopóki mistrz Rahl lub ja go nie zabijemy. Nie zdołasz mu zadać większych cierpień niż te, których już zaznał.

- Musi zostać ścięty. Natychmiast.

- Wracaj do zamku, królowo Mileno, póki wciąż masz zamek - głos Denny był lodowaty jak powietrze tej nocy.

Richard zobaczył w dłoni królowej nóż. Stojący przy chłopaku strażnik odczepił od pasa bojowy topór i mocno zacisnął dłoń na stylisku. Przez chwilę panowała absolutna cisza.

Królowa Milena uderzyła na odlew Denne i rzuciła się z nożem na Richarda. Mord-Sith łatwo ją powstrzymała Agielem.

Strażnik zamachnął się na Denne toporem i w Richardzie obudziła się owa dziwna moc. Chłopak zebrał wszystkie siły, zespolił z mocą. Zablokował w zagięciu lewego ramienia głowę mężczyzny i ciął nożem. Denna rzuciła okiem w ich stronę, słysząc śmiertelny wrzask strażnika. Uśmiechnęła się i znów patrzyła na królową. Milena stała jak wryta, trzęsła się, Agiel tkwił pomiędzy jej piersiami. Mord-Sith poruszyła Agielem. Królowa padła jak podcięta. Denna przeniosła gniewne spojrzenie na królewskich doradców.

- Serce królowej nie wytrzymało. - Uniosła brew. - Niespodziewanie przestało bić. Wyraźcie, proszę, w moim imieniu wyrazy współczucia obywatelom Tamarang z powodu śmierci ich władczyni. Radzę, żebyście znaleźli nowego władcę, który będzie bardziej powolny życzeniom mistrza Rahla.

Doradcy pospiesznie się skłonili. Dziwna moc Richarda znów zniknęła. Ów

wysiłek - zabicie strażnika - kosztował chłopaka resztkę sił, jakie mu jeszcze zostały. Nie mógł się utrzymać na drżących nogach. Upadł. Denna złapała łańcuch tuż przy obroży, uniosła głowę Richarda.

- Nie kazałam ci się położyć! Nie pozwoliłam na to! Wstawaj! Chłopak nie miał siły się poruszyć. Mord-Sith dźgnęła go Agielem w żołądek, przeciągnęła prętem przez pierś Richarda, aż do szyi. Chłopak zwijał się z bólu, lecz nie był w stanie wykonać polecenia.

- Przepraszam... - wydyszał.

Denna zrozumiała, że zupełnie opadł z sił. Puściła głowę Richarda i poleciła strażnikom:

- Wsadźcie go do powozu.

Wsiadła za nim, wrzasnąwszy do woźnicy, żeby ruszał, i zatrzasnęła drzwiczki. Powóz szarpnął i Richard poleciał bezwładnie w tył.

- Wybacz mi, pani Denno - powiedział niewyraźnie. - Wybacz, że cię nie usłuchałem, że nie mogłem wstać, kiedy mi kazałaś. Przepraszam. Na przyszłość lepiej się postaram. Ukarz mnie, proszę, żebym się nauczył lepiej starać.

Denna złapała łańcuch tuż przy obroży, kłykcie jej zbielały, podniosła chłopaka z ławeczki. Wygięte szyderczo wargi odsłoniły zaciśnięte zęby.

- Tylko mi się nie waż umrzeć. Jeszcze nie teraz. Masz zadanie do wypełnienia.

- Jak każesz... Pani Denno... - szepnął. Oczy miał zamknięte.

Puściła łańcuch, chwyciła Richarda za ramiona i ułożyła na ławeczce. Pocałowała go w czoło.

- Pozwalam ci teraz wypocząć, mój ukochany. Czeka nas długa droga. Masz sporo czasu na wypoczynek, zanim znowu zaczniemy.

Richard poczuł, jak odgarnia mu włosy z czoła, czuł, jak się kołysze i podskakuje rozpędzony powóz. Zasnął.

Chłopak na wpół się budził od czasu do czasu, ale nigdy całkiem. Niekiedy Denna siedziała przy nim, podtrzymywała go i karmiła. Przełykanie sprawiało mu ból, wymagało ogromnego, niemal ponad siły, wysiłku. Krzywił się po każdej wlanej do ust łyżce - ból był silniejszy niż głód. Richard odwracał głowę, nie chciał jeść. Denna szeptała zachęcająco, prosiła, żeby jadł dla niej. Tylko ten argument działał na chłopaka.

Czasem Richard budził się gwałtownie, bo powóz podskoczył na jakimś

wyboju. Czepiał się wówczas Denny, szukając u niej bezpieczeństwa i ochrony, i uspokajał dopiero wtedy, kiedy mu tłumaczyła, że nic się nie stało, że może dalej spać. Wiedział, że czasem spał w powozie, a czasem na powietrzu. Nie widział ziem, przez które jechali. W ogóle go nie interesowały. Ona była przy nim - tylko to się liczyło, nic innego nie miało znaczenia. Ważne było jedno - gotowość do spełnienia życzeń Denny. Parę razy budził się i stwierdzał, że ona się kuli w kątku, a on sam leży wygodnie, opatulony płaszczem, z głową wspartą na piersi Denny, Denny gładzącej jego włosy. Udawał wtedy, że dalej śpi, żeby jej nie spłoszyć i nie przerwać tego.

W takich chwilach budziła się owa tajemnicza moc. Richard nie starał się nad nią zapanować po prostu zauważał jej obecność. W końcu rozpoznał ja., wiedział, co to za moc. To była magia miecza.

Kiedy tak leżał, wsparty o Denne, spragniony jej obecności, magia żyła w nim. Richard dotykał jej, bawił się nią, czuł jej moc. Była podobna do tej, którą przywoływał, kiedy miał zabić mieczem, i jednocześnie niezrozumiale odmienna. Tamtej mocy już nie miał. Należała teraz do Denny, lecz ta nowa moc nie. Nowa magia rozwiewała się i znikała, kiedy chłopak usiłował ją pochwycić. Jakaś część jego umysłu pragnęła wsparcia tej nowej mocy, ale nie potrafił jej kontrolować, przywołać na pomoc, więc stracił dla niej całe zainteresowanie.

Czas mijał, rany Richarda zaczęły się goić. Budził się coraz silniejszy, żwawszy. Mógł się już utrzymać na nogach, kiedy Denna oznajmiła, że dotarli na miejsce, lecz wciąż jeszcze mąciło mu się w głowie.

Mord-Sith wyprowadziła go w ciemnościach z powozu. Chłopak szedł za nią, patrząc na jej stopy i starając się utrzymać przepisowy luz łańcucha przypiętego do pasa Denny. Richard nie spuszczał z niej oka, a jednocześnie obserwował budowlę, do której przybyli. Była przeogromna, zamek w Tamarang wydawał się przy niej maleńki. Mury rozbiegały się w obie strony aż po horyzont, dachy i wieże wznosiły się na zawrotną wysokość. A mimo ogromu całość była elegancka i pełna wdzięku. Imponująca i wspaniała, lecz nie ponura i nieodpychająca.

Denna poprowadziła Richarda korytarzami z marmuru i granitu. Majestatyczne łuki wspierały się na kolumnach. Szli i szli. Chłopak przekonał się, jak bardzo się wzmocnił. Jeszcze parę dni temu nie mógł się utrzymać na nogach.

Nikogo nie spotkali. Richard spojrzał na warkocz Denny i rozmyślał, jak piękne są włosy Mord-Sith i jaki jest szczęśliwy, mając tak wspaniałą partnerkę. Jaki jest do niej przy wiązany... I obudziła się w nim nowa moc. Na wpół uśpiona, ukryta

część umysłu zdążyła pochwycić ową moc, zanim ta zdążyła zniknąć. Pozostała część umysłu rozmyślała o przywiązaniu do Denny. Richard uświadomił sobie, że zyskał kontrolę nad ową siłą i przestał myśleć o Mord-Sith - zrodziła się nadzieja ucieczki. Moc natychmiast zniknęła.

Serce w chłopaku zamarło. Zniknęła to zniknęła, pomyślał. I tak nigdy nie ucieknę, no bo i dokąd? Był przecież partnerem Denny. Dokąd miałby odejść? Jak by sobie poradził bez jej poleceń?

Denna przeprowadziła chłopaka przez jakieś drzwi i zamknęła je za nim. Ostrołukowe okno, ozdobione skromnymi zasłonami, za nim mrok. Łóżko z grubym kocem i pulchnymi poduszkami. Lśniąca drewniana podłoga. Na stoliku przy łóżku i na stole w dalszej części komnaty stały zapalone lampy. W ścianę przy drugich drzwiach wbudowano szafy z ciemnego drewna. Na umywalce stały miednica i dzbanek. Denna odczepiła od pasa łańcuch Richarda.

- To moja kwatera. Jesteś moim partnerem, więc pozwolę ci tu czasem spać. - Zaczepiła łańcuch o hak zamocowany w nogach łóżka, pstryknęła palcami i wskazała na podłogę. - Możesz tu dzisiaj spać. Na podłodze.

Chłopak patrzył na podłogę. Ukląkł, czując na ramieniu dotyk Agiela.

- Powiedziałam: na podłogę. Ale już.

- Tak, pani Denno. Przepraszam, pani Denno.

- Jestem zmęczona. Żebym cię już nie słyszała tej nocy. Zrozumiano? Richard kiwnął głową, bał się odezwać.

- To dobrze.

Denna padła na łóżko i natychmiast zasnęła.

Chłopak rozmasował obolałe ramię. Już dawno nie potraktowała go Agielem. Przynajmniej tym razem nie zraniła do krwi. Może nie lubi zakrwawiać swojej komnaty. Nie, to nie to; Denna lubi jego krew. Położył się na podłodze. Wiedział, że jutro Mord-Sith znów go będzie dręczyć. Próbował o tym nie myśleć, przecież dopiero co zaleczył rany.

Richard zbudził się pierwszy. Wolał uniknąć budzenia Agielem. Zabrzmiał donośny dźwięk dzwonu. Denna się obudziła, przez chwilę leżała na plecach, potem usiadła i sprawdziła, czy chłopak już nie śpi.

- Poranne modły - oznajmiła. - Ten dzwon na nie zwołuje. Po modłach tresura.

- Tak, pani Denno.

Znów przypięła łańcuch do pasa i poprowadziła Richarda korytarzami na

otwarty plac, z czterech stron otoczony kolumnadą. Środek placu był wysypany białym piaskiem, poznaczonym kręgami otaczającymi czarny, dziobaty głaz. Na owym głazie stał dzwon - Richard już słyszał jego dźwięk. Wśród kolumn klęczeli mocno pochyleni ludzie i dotykali czołami płyt posadzki. Jednym głosem śpiewali:

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Wciąż powtarzali to samo. Denna pstryknęła palcami, wskazała na podłogę. Richard ukląkł jak inni, Mord-Sith obok niego, dotknęła czołem płyt i przyłączyła się do chóru. Zamilkła, nie słysząc głosu chłopaka.

- Zarobiłeś dwie godziny. - Łypnęła nań groźnie. - Jeśli znów cię będę musiała zganić - sześć godzin.

- Tak, pani Denno.

I on przyłączył się do chóru. Musiał się skupić na rozmyślaniu o warkoczu Denny, bo tylko wówczas mógł wymawiać owe słowa, nie budząc magicznego bólu. Nie wiedział, ile trwały te modły, uznał, że ze dwie godziny. Bolały go wy - gięte w kabłąk plecy. Słowa wciąż były te same. Wkrótce się zlały w niewyraźne mamrotanie.

Dzwon zabrzmiał dwa razy. Ludzie powstali i rozeszli się w różne strony. Denna też wstała. Richard, nie wiedząc, co robić, pozostał w tej samej pozie. Wiedział, że może sobie tym napytać biedy, ale kara czekała go również wtedy, gdyby się podniósł bez zezwolenia. I to o wiele gorsza kara. Usłyszał zbliżające się kroki, lecz nie podniósł oczu.

- Jak dobrze cię widzieć, siostro Denno - powiedział ochrypły kobiecy głos. - D’Hara była pusta bez ciebie.

D’Hara! Słowo przebiło się przez ogłupienie tresurą, pobudziło umysł Richarda. Chłopak natychmiast wyobraził sobie warkocz Denny; bronił się.

- Dobrze być znów w domu i widzieć twoją twarz, siostro Konstancjo.

W głosie Denny brzmiała szczerość. Agiel dotknął karku chłopaka. Richard miał wrażenie, że sznur zaciska mu się wokół gardła. Wiedział, że to nie Denna.

- A cóż my tu mamy? - spytała Konstancja.

Cofnęła Agiela. Richard spazmatycznie chwytał powietrze. Wstał, kiedy Denna mu to poleciła; jakżeż chciałby się za mą schować! Konstancja była o głowę niższa od Denny, przysadzista, odziana w brązowy skórzany strój. Matowe brązowe

włosy też miała splecione w warkocz, ale nie były tak piękne, jak włosy Denny. Minę miała taką, jakby przed sekundą zjadła coś paskudnego.

- Mój nowy partner. - Denna klepnęła Richarda w wierzchem dłoni.

- Partner. - Konstancja wypluła to słowo, jakby miało gorzki smak. - Nie mogę pojąć, Denno, po co bierzesz sobie partnerów. Sam myśl o czymś takim budzi we mnie wstręt. Aaaa, to Poszukiwacz, jak wskazuje miecz. Ładny łup. Pewno nie było łatwo.

- Zanim skierował na mnie swoją magię, zabił tylko dwóch moich ludzi. - Denna uśmiechnęła się z zadowoleniem, a potem roześmiała się głośno, widząc minę Konstancji. - Jest z Westlandu.

- Coś podobnego! - zdumiała się Konstancja. Spojrzała w oczy Richarda. - Złamany?

- Taaak - westchnęła Denna. - Ale wciąż dostarcza mi powodów do zabawy. Dopiero po porannych modłach, a on już zarobił dwie godziny.

- Mogę się przyłączyć? - Konstancja uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Przecież wiesz, że co moje, to i twoje. - Denna uśmiechnęła się do niej ciepło. - Zastąpisz mnie.

Konstancja była dumna i zadowolona. Richard z pasją myślał o warkoczu Denny, bo gniew zaczął mu się wymykać spod kontroli.

- I tylko tobie - Denna nachyliła się ku przyjaciółce - odstąpię go na noc, jeśli zechcesz. - Konstancja skrzywiła się z niesmakiem. - Co nie spróbowane, to nieznane. - Denna się roześmiała.

- Jego ciało da mi zadowolenie na inne sposoby. - Konstancja gniewnie łypnęła na Denne. - Przebiorę się na czerwono i dołączę do ciebie.

- Nie trzeba... Brąz na dziś wystarczy.

- To do ciebie niepodobne. - Konstancja przyjrzała się jej bacznie.

- Mam swoje powody. Poza tym to mistrz Rahl mnie po niego wysłał.

- Sam mistrz Rahl. Niech będzie brąz, skoro tak. W końcu jest twój i możesz z nim robić, co ci się tylko spodoba.

Sala „szkoleniowa” miała ściany i podłogę z szarego granitu, belkowany sufit. Konstancja podstawiła Richardowi nogę, kiedy tam wchodzili. Upadł na twarz. Gniew zapłonął, zanim chłopak zdążył go powstrzymać. Konstancja stała nad nim i z zadowoleniem patrzyła, jak się stara opanować.

Denna przypięła chłopaka do urządzenia, które mocno ścisnęło mu za plecami

łokcie i nadgarstki. Było ono zamocowane do liny przeciągniętej przez krążek w suficie i zamocowanej do ściany. Podciągnęła Richarda w górę, aż musiał stanąć na palcach, dopiero wtedy znów zamocowała linę. Wygięte ramiona straszliwie go bolały, utrudniając oddychanie, a przecież nie dotknęła go jeszcze Agielem. Richard był bezsilny, wytrącony z równowagi, umierał z bólu i strachu, zanim na dobre zaczęła. Upadł na duchu.

Denna usiadła na krześle stojącym pod ścianą i powiedziała Konstancji, że może się zabawić. Denna często się uśmiechała kiedy szkoliła chłopaka. Konstancja nie uśmiechnęła się ani razu. Zabrała się do dzieła jak chłop do młócki. Włosy jaj się rozczochrały, twarz pokryła warstwą potu. Nigdy ani na jotę nie zmieniła dotknięcia Agielem. Zawsze było takie samo: brutalne, przykre, gniewne. Richard nie musiał czekać w trwodze na kolejne - nie było żadnej przerwy. Pracowała rytmicznie, nie dając mu ani chwili wytchnienia. Lecz nie rozkrwawiła go. Denna odchyliła krzesło w tył, wsparła je o ścianę i cały czas się uśmiechała. Konstancja w końcu przestała. Richard ciężko dyszał i jęczał.

- Dobrze to znosi. Dawno nie miałam takiego seansu. Moje ostatnie pieseczki poddawały się przy pierwszym dotknięciu.

Przednie nogi krzesła stuknęły o podłogę.

- Pomogę ci, siostro Konstancjo. Pokażę, czego nie lubi.

Denna stanęła za Richardem, a on zadrżał przed czymś, co nie nadeszło. Właśnie oddychał z ulgą, gdy Agiel trafił go w czułe miejsce na prawym boku. Krzyknął. Nie mógł się podpierać palcami stóp, miał wrażenie, że ramiona wyskoczą mu ze stawów. Denna, szyderczo uśmiechnięta, nie cofnęła Agiela, dopóki Richard nie zaczął płakać.

- Proszę, pani Denno. - Łkał. - Błagam. Cofnęła Agiela.

- Widzisz?

Konstancja potrząsnęła głową.

- Chciałabym być taka zdolna jak ty, Denno.

- I jeszcze tu. - Denna zmusiła chłopaka do wrzasku. - I tu, i jeszcze tu. - Stanęła przed nim i uśmiechnęła się. - Chyba ci nie przeszkadza, że pokażę Konstancji wszystkie twoje czułe punkty?

- Nie czyń tego, pani Denno, błagani. To za bardzo boli.

- Widzisz? Wcale mu to nie przeszkadza.

Wróciła na krzesło, podczas gdy łzy spływały po policzkach chłopaka.

Konstancja się nie uśmiechnęła. Znów się zabrała do roboty i wkrótce zmusiła Richarda do rozpaczliwych błagań. Była gorsza niż Denna, ponieważ nigdy nie zmieniała nacisku Agiela, nie przerywała ani na chwilę. Nie pozwalała chłopakowi odpocząć choćby przez sekundę. Richard bał się dotknięcia Agiela Konstancji bardziej niż Agiela Denny. Denna niekiedy okazywała osobliwe współczucie, Konstancja - nigdy. Kiedy przekraczała pewne granice, Denna ją powstrzymywała, kazała jej na chwilę przestać, dbała, żeby nie okaleczyła chłopaka. Konstancja poddawała się poleceniom Denny, raniła go tak, jak tamta chciała.

- Nie musisz tu siedzieć, Denno, jeśli masz coś do załatwienia. Nie pogniewam się.

Richarda ogarnęły strach i panika. Nie chciał zostać sam z Konstancją. Wiedział, że planuje to, na co Denna by jej nie pozwoliła. Nie wiedział co, ale panicznie się tego bał.

- Innym razem zostawię cię z nim sam na sam... Żebyś się zabawiła po swojemu. Ale dziś zostanę.

Chłopak ze wszystkich sił postarał się nie okazać ulgi. Konstancja znów zabrała się do dzieła.

Po chwili znalazła się za plecami chłopaka, złapała go za włosy i szarpnęła mu głowę w tył. Richard dobrze wiedział, co to oznacza. Pamiętał ból tego, co go czekało. Mękę powodowaną wetknięciem Agiela w ucho. Trząsł się i niemal dusił z przerażenia.

- Nie rób tego, Konstancjo. - Denna podniosła się z krzesła. Konstancja zacisnęła zęby, spojrzała na chłopaka i jeszcze bardziej odchyliła mu głowę.

- A czemuż to? Pewnie już to robiłaś?

- Owszem, ale tobie nie pozwalam. Mistrz Rahl jeszcze z nim nie rozmawiał. Nie mogę ryzykować.

- Zróbmy to razem, Denno. - Konstancja uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Ty i ja, jednocześnie. Jak kiedyś.

- Przecież ci powiedziałam, że mistrz Rahl jeszcze z nim nie rozmawiał.

- A potem?

- Od dawna nie słyszałam tamtego wrzasku. - Denna się uśmiechnęła i spojrzała w oczy Richardowi. - Jeśli mistrz Rahl go nie zabije i jeśli nie umrze z... Innych powodów, to wtedy mu to zrobimy. Zgoda? Ale nie teraz. Będziesz posłuszna, Konstancjo, i nie wepchniesz mu Agiela w ucho?

Zapytana kiwnęła głową i puściła włosy chłopaka.

- Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho. - Łypnęła nań wściekle. - Wcześniej czy później zostaniemy sami i zabawię się tobą na swój sposób.

Skończyły wreszcie tresurę i poszły na lunch. Richard szedł za nimi, znów uwiązany do pasa Denny. Jadalnia była bardzo stylowa - biała marmurowa posadzka, dębowe boazerie. Przy stołach jedzono i rozmawiano. Denna usiadła, pstryknęła palcami i wskazała na podłogę za swoim krzesłem. Służący przynieśli posiłek dla obu Mord-Sith, Richard nie dostał nic. Lunch składał się z obfitej porcji zupy, sera, ciemnego chleba i owocu. Apetyczne zapachy doprowadzały chłopaka do szaleństwa. Mięsa w ogóle nie podawano. W pewnej chwili Denna się odwróciła i powiedziała Richardowi, że nie dostanie nic do jedzenia, bo rankiem zarobił dwie godziny tresury. Jeść dostanie dopiero wtedy kiedy się będzie odpowiednio zachowywał.

Popołudnie spędziły na modłach i kilku godzinach tresury. Denna i Konstancja zmieniały się przy robocie. Richard zrobił, co mógł, żeby nie popełnić żadnego błędu, i w nagrodę dostał na kolację miseczkę ryżu z jarzynami. Po kolacji kolejny seans modłów i dalsza tresura, a potem powrót do kwatery Denny. Chłopak był śmiertelnie zmęczony, idąc, kulił się z bólu.

- Chcę się wykąpać - oznajmiła Denna.

Zaprowadziła Richarda do przyległego pokoiku. Z sufitu zwieszała się lina z urządzeniem do przywiązywania, a w kącie stała wanna. Mord-Sith wyjaśniła chłopakowi, że ów pokoik był przeznaczony do tresury, jeśli on na to zarobi, a ona nie będzie chciała zapaskudzić komnaty krwią, i że tu właśnie zawiesi go na całą noc. Obiecała solennie, że Richard będzie spędzał w tym pokoiku mnóstwo czasu.

Denna kazała Richardowi zawlec wannę do komnaty i ustawić w nogach łóżka. Pouczyła go też, dokąd ma iść po ciepłą wodę. Nie powinien się do nikogo odzywać i ma biec tam i z powrotem, żeby kąpiel nie zdążyła ostygnąć. Zagroziła, że jeśli chłopak zlekceważy owe instrukcje, kiedy jej zniknie z oczu, to powali go magiczny ból i że gorzko pożałuje, jeżeli go będzie zmuszona szukać. Richard uroczyście przyrzekł, że dokładnie wypełni jej polecenia. Woda znajdowała się dość daleko; brało się jaz ciepłego źródła otoczonego marmurowymi ławami. Richard dobrze się napocił, zanim napełnił wannę. Denna wypoczywała w ciepłej kąpieli, a chłopak wyszorował jej plecy i pomógł umyć włosy.

Potem oparła ramiona o brzeg wanny, odchyliła głowę w tył, zamknęła oczy i rozluźniła się. Richard klęczał obok wanny, na wypadek gdyby Mord-Sith czegoś

potrzebowała.

- Nie lubisz Konstancji, prawda?

Chłopak nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał się źle wypowiedzieć o jej przyjaciółce, lecz zdawał sobie sprawę, że kłamstwo też ściągnie nań karę.

- Ja... Ja się jej boję, pani Denno.

- Zręczna odpowiedź, mój ukochany. - Uśmiechnęła się, oczy dalej miała zamknięte. - Nie usiłujesz się wyłgać?

- Nie, pani Denno. Powiedziałem prawdę.

- To dobrze. Powinieneś się jej bać. Ona nienawidzi mężczyzn. Za każdym razem, kiedy któregoś zabija, wykrzykuje imię tego, który ją pierwszy złamał: Rastin. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o mężczyźnie, który mnie złamał i wziął na partnerkę, a którego potem zabiłam? Przedtem był nauczycielem Konstancji. Nazywał się Rastin. To ona mi powiedziała, jak go mogę zabić. Zrobię dla niej wszystko. A ona dla mnie, bo zabiłam człowieka, którego nienawidziła z całej duszy.

- Tak, pani Denno. Ale nie zostawiaj mnie z nią sam na sam, pani Denno, błagam.

- Musisz więc bardzo starannie wypełniać swoje obowiązki. Jeśli się będziesz starał i nie zarobisz zbyt wiele kar, to zostanę, gdy Konstancja cię będzie tresować. Rozumiesz teraz? Rozumiesz, jakie to szczęście, że masz taką dobrą panią?

- Tak, pani Denno, dziękuję, że to ty mnie szkolisz. Jesteś utalentowaną nauczycielką.

Otwarła jedno oko, jakby szukając kpiącego uśmieszku na twarzy Richarda. Nie znalazła.

- Daj mi ręcznik i połóż nocny strój na stoliku obok łóżka.

Chłopak pomógł jej wytrzeć włosy. Denna nie założyła nocnego stroju. Położyła się na wznak, wilgotne włosy rozsypały się na poduszce.

- Zdmuchnij lampę na stoliku. - Richard natychmiast podszedł i zdmuchnął płomień. - Podaj mi Agiela, mój ukochany.

Chłopak drgnął. Nienawidził spełniania tego polecenia, bowiem dotykanie go sprawiało ból. Nie ociągał się jednak zbyt długo, bo wiedział, czym to grozi. Zacisnął zęby, podniósł Agiela i podał go Dennie na otwartych dłoniach. Łokcie i ramiona Richarda wibrowały bólem. Nie mógł się doczekać, kiedy Mord-Sith weźmie bicz. Ona zaś wsparła poduszki o wezgłowie łóżka, uniosła się nieco i obserwowała chłopaka. Wreszcie wzięła Agiela, a Richard odetchnął.

- Dlaczego nie czujesz bólu, pani Denno, kiedy go dotykasz?

- Czuję, tak samo jak ty. Dotykanie go sprawia mi ból, bo to ten sam Agiel, którym mnie tresowano.

- Boli cię cały czas, kiedy go trzymasz w dłoni? - zdumiał się chłopak. - Cały czas, kiedy mnie tresujesz?

Kiwnęła potakująco głową, przesuwała Agiela w palcach, na moment odwróciła wzrok od oczu Richarda. Potem uśmiechnęła się i leciutko zmarszczyła brwi.

- Mało jest chwil, kiedy jestem wolna od takiego czy innego rodzaju bólu. To dlatego tresura Mord-Sith trwa całe lata - uczy się umiejętności opanowania bólu. Wydaje mi się również, że to dlatego Mord-Sith zostają wyłącznie kobiety; mężczyźni są zbyt słabi. Mogę zawiesić Agiela na łańcuszku na nadgarstku, a wówczas nie sprawia bólu. Lecz kiedy kogoś tresuję, to bezustannie czuję ból.

- Nie wiedziałem. - Serce Richarda ścisnęło się z udręki. - Tak mi przykro, pani Denno. Tak mi przykro, że i ciebie rani, że musisz cierpieć, kiedy mnie szkolisz.

- I ból może dać rozkosz, mój ukochany. Tego między innymi cię uczę. Czas na kolejną lekcję. - Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. - Dość gadania.

Richard rozpoznał wyraz oczu, przyspieszony oddech.

- Ale dopiero co się kąpałaś, pani Denno, a ja jestem cały spocony.

- Lubię twój pot. - Uśmiechnęła się kącikiem ust. Spojrzała Richardowi w oczy i włożyła Agiela do ust.

Mijały dni, otępiające podobne do siebie. Richard z ulgą witał czas modłów - ustawała tresura i ból. Buntował się jednak przeciwko wypowiadanym wówczas słowom i przez cały czas musiał myśleć o pięknie warkocza Denny. Poza tym takie monotonne wyśpiewywanie, na kolanach, z czołem opartym na posadzce, było tylko trochę mniej męczące niż tresura. Richard przyłapał się na tym, że się budzi nocą lub rano i wyśpiewuje słowa modlitwy do Rahla. „Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie".

Denna już nie stroiła się w czerwień. Chodziła w białym skórzanym stroju. Oznajmiła Richardowi, że biel oznacza, iż został złamany, wybrany na partnera oraz że ona ma nad nim taką władzę, iż nie musi go ranić do krwi. Konstancji wcale się to nie spodobało. Chłopakowi nie sprawiło to wielkiej różnicy, ponieważ Agiel zadawał

taki sam ból bez względu na to, czy wytaczał krew, czy nie. Konstancja spędzała dużo czasu z Denną, czasem tylko znikała, żeby potresować jakiegoś nowego „pieszczoszka”. Coraz natarczywiej nalegała, żeby ją Denna zostawiła samą z Richardem, ale bez skutku. Z całej duszy zaangażowała się w tresowanie chłopaka. Im lepiej ją poznawał, tym bardziej się jej bał. Ilekroć Denna ustępowała miejsca Konstancji, uśmiechała się do biedaka.

Pewnego dnia, po popołudniowych modłach, Konstancja poszła tresować kogoś innego, a Denna zabrała Richarda do pokoiku przy swojej komnacie. Podciągnęła go na linie tak, że ledwo dotykał podłogi.

- Czy zechciałabyś pozwolić, pani Denno, żeby odtąd tresowała mnie tylko pani Konstancja?

Owo pytanie rozwścieczyło Denne - Richard w ogóle się nie spodziewał, że Mord-Sith tak zareaguje. Gapiła się uporczywie na chłopaka, twarz jej spurpurowiała. Potem zaczęła go tłuc Agielem, wwiercać bicz w ciało Richarda. Wrzeszczała na chłopaka, wytykała mu, że jest niczym, bezwartościowym śmieciem, że ona ma już powyżej uszu jego gadaniny. Denna była krzepka i tłukła Richarda z całych sił. Nie przestawała.

Jeszcze nigdy nie była tak wściekła, tak surowa, tak okrutna. Wkrótce Richard zapomniał nawet to, gdzie się znajduje. Nie miał siły, żeby ją błagać o litość, żeby oddychać, Denna nie zwalniała tempa uderzeń, nie przestawała ani na chwilę. Wydawało się, że cierpienia chłopaka wprawiają ją w jeszcze większą złość. Richard zobaczył na podłodze krew, całe mnóstwo krwi. Plamy krwi znaczyły czerwienią biały strój Denny. Dyszała z wysiłku i gniewu. Włosy jej się rozplotły.

Mord-Sith złapała chłopaka za włosy i szarpnęła w tył. Nie ostrzegła go. Wepchnęła mu Agiela do ucha, brutalniej niż kiedykolwiek przedtem. Powtarzała to i powtarzała Czas rozciągnął się w nieskończoność. Richard nie wiedział już, kim jest, co się z nim dzieje. Nie mógł ani błagać, ani płakać, ani wytrzymać tej męki.

Denna skończyła tresurę, stała przy chłopaku, dysząc z wściekłości.

- Idę na kolację.

Na Richarda spadł magiczny ból o straszliwym natężeniu. Chłopak zachłysnął się powietrzem, oczy mu wyszły z orbit.

- Zostawiam ci ten magiczny ból na czas mojej nieobecności, a nie będę się spieszyć z powrotem. Nie zdołasz powstrzymać, nie zdołasz zemdleć. Jeśli uda ci się odpędzić gniew, to ból przybierze na sile. A gniew i tak cię opuści, przyrzekam ci to.

Podeszła do ściany i tak podciągnęła linę, że stopy Richarda znalazły się nad podłogą. Chłopak wrzasnął; miał uczucie, że ramiona wyskakują mu ze stawów.

- Baw się dobrze. - Denna odwróciła się na pięcie i wyszła.

Richard balansował na skraju szaleństwa. Przeokropny ból uniemożliwiał kontrolę nad gniewem, jak to przyrzekła Denna. Cierpienie paliło go żywym ogniem. Nieobecność Denny jeszcze bardziej je wzmagała. Chłopak nigdy nie czuł się tak samotny, tak bezradny. Ból nie pozwalał mu płakać. Spazmatycznie chwytał powietrze udręczony do ostatka.

Nie wiedział, jak długo był sam. Nagle znalazł się na podłodze; buty Denny po obu stronach jego głowy. Odpędziła magiczny ból. Ramiona dalej miał unieruchomione za plecami, wciąż straszliwie go bolały. Mord-Sith stała nad chłopakiem, a on płakał, leżąc twarzą do zakrwawionej podłogi.

- Przecież ci powiedziałam - syknęła Denna przez; zaciśnięte zęby - że jesteś moim partnerem do końca swojego życia. - Słyszał, jak ciężko dyszy, wyczuwał jej wściekłość. - A teraz, zanim się tobą dalej zajmę i pozbawię zdolności mówienia, gadaj, dlaczego prosiłeś, żeby to Konstancja cię tresowała, a nie ja.

Richard odkaszlnął krew, spróbował się odezwać.

- To nie w takiej pozie masz do mnie przemawiać! Na kolana! Ale już!

Usiłował uklęknąć, lecz nie dał rady. Ramiona wciąż miał skrępowane za plecami. Denna złapała go za włosy i uniosła. Półprzytomny chłopak wsparł się o nią bezwładnie, trafił twarzą na krew na brzuchu Mord-Sith. Swoją krew. Denna dotknęła Agielem czoła, odsunęła go tym od siebie. Ból sprawił, że szeroko otworzył oczy. Spojrzał na nią i chciał odpowiedzieć. Trzasnęła go wierzchem dłoni w usta.

- Patrz w podłogę, kiedy do mnie mówisz! Nikt ci nie pozwolił na mnie spojrzeć! - Richard opuścił wzrok na jej buty. - Czas ci się kończy! Odpowiadaj!

Chłopak znów odkaszlnął krew; ściekała mu po brodzie, musiał siłą powstrzymać mdłości.

- To dlatego, pani Denno - wychrypiał - że wiem, iż Agiel sprawia tobie ból. Wiem, że i ty cierpisz przy mojej tresurze. Chciałem, żeby się mną zajęła pani Konstancja, by ci oszczędzić bólu. Nie chcę, żebyś cierpiała. Nauczyłaś mnie, co to cierpienie i ból. Już dość się nacierpiałaś. Nie chcę, żeby to dalej trwało. To już niech karze mnie pani Konstancja, bylebyś ty nie cierpiała bólu.

Chłopak z trudem klęczał, ze wszystkich sił starając się nie upaść. Zapanowała długa cisza. Richard patrzył na buty Denny, pokaszliwał, straszliwy ból ramion niemal

uniemożliwiał oddychanie. Zdawało się, że cisza nigdy się nie skończy. Nie miał pojęcia, co Mord-Sith mu teraz zrobi.

- Nie rozumiem cię, Richardzie Cypher - odezwała się w końcu łagodnie, a w jej głosie nie było już gniewu. - Niech mnie duchy porwą, nie rozumiem cię.

Przeszła za chłopaka, uwolniła mu ramiona i bez słowa wyszła z pokoju. Richard nie zdołał rozprostować rąk, upadł na twarz. Nie próbował się podnieść. Płakał na zakrwawioną podłogę.

Po jakimś czasie Richard usłyszał dzwon wzywający na wieczorne modły. Denna wróciła, przykucnęła przy chłopaku, objęła go ramieniem i pomogła się podnieść.

- Nie wolno nam opuścić żadnych modłów - wyjaśniła spokojnie, mocując łańcuch do swojego pasa.

Jej biały skórzany strój był pokryty plamami krwi; okropnie to wyglądało. Smugi krwi znaczyły również twarz Denny i jej włosy. Szli na modły, a osoby które rozmawiały, teraz odwracały oczy i usuwały się z drogi. Richard musiał uklęknąć i dotknąć czołem posadzki - żebra go tak bolały, ze z trudem oddychał, ledwo mógł śpiewać. Nie wiedział, czy prawidłowo wymawia słowa, lecz Denna go nie poprawiała, więc nie przerywał śpiewu. Sam nie wiedział, jak mu się udało nie upaść.

Dzwon zabrzmiał dwa razy. Denna wstała, ale nie pomogła Richardowi. Pojawiła się Konstancja, o dziwo, uśmiechnięta.

- No, no, ależ się zabawiłaś, Denno. - Trzasnęła chłopaka wierzchem dłoni, lecz zdołał się utrzymać na nogach. - Byłeś niegrzecznym chłopczykiem, co?

- Tak, pani Konstancjo.

- Wygląda na to, że bardzo niegrzecznym. Cudownie. - Przeniosła płonący wzrok na Denne. - Jestem wolna. Pokażmy mu, co potrafią dwie Mord-Sith.

- Nie. Nie tego wieczoru, Konstancjo.

- Nie? A dlaczegóż to nie?

- Nie i już - wybuchnęła Denna. - Jest moim partnerem i zamierzam go teraz tresować w tej roli! Chcesz przyjść i patrzeć, jak leżę z moim partnerem?! Chcesz zobaczyć, co robię, kiedy trzymam w zębach Agiela?

Richard aż się skurczył. A więc takie miała plany. Jeśli mu to zrobi tej nocy, kiedy jest tak strasznie poraniony...

Przyglądali się im ludzie w białych szatach - Denna mówiła, że to misjonarze. Konstancja łypnęła na nich wściekle, więc pospiesznie odeszli. Twarze obu kobiet

były czerwone - Denny z gniewu, Konstancji z zakłopotania.

- Jasne, że nie, Denno - powiedziała cicho. - Przepraszam. Nie wiedziałam. Nie będę ci w tym przeszkadzać. - Posłała Richardowi paskudny uśmieszek. - Dostaniesz za swoje, chłopaczku. Mam nadzieję, że sprostasz zadaniu.

Dźgnęła go Agielem w brzuch i odeszła. Półprzytomny Richard przycisnął brzuch ramionami i jęknął. Denna go podtrzymała. Mord-Sith spojrzała gniewnie za Konstancją, a potem ruszyła ku swojej kwaterze, oczekując, iż chłopak pójdzie za nią. Poszedł.

W końcu dotarli na miejsce. Denna podała wiadro. Richard omal się nie załamał na myśl, że ma jej przygotować kąpiel.

- Przynieś wiadro gorącej wody - poleciła spokojnie.

Świadomość, że nie będzie musiał napełniać wanny, sprawiła Richardowi niewysłowiona ulgę. Przyniósł wodę, był trochę skołowany. Czuł, że Denna jest zła, lecz nie kierowała gniewu przeciwko niemu. Postawił wiadro na podłodze i czekał, patrząc w podłogę. Mord-Sith przyniosła krzesło. Chłopak był zaskoczony, że nie kazała mu tego zrobić.

- Usiądź. - Podeszła do stolika przy łóżku i wróciła z gruszką. Trzymała ją przez chwilę w dłoni, pocierała kciukiem, wreszcie podała Richardowi. - Przyniosłam jaz kolacji. Już nie jestem głodna. Ty nie dostałeś kolacji. Zjedz gruszkę.

Chłopak patrzył na wyciągnięty ku niemu owoc.

- Nie, pani Denno. Jest twoja, nie moja.

- Wiem, czyja jest, Richardzie. - Jej głos wciąż był spokojny. - Zrób, co kazałam.

Wziął gruszkę i zjadł calutką, nawet i ziarenka. Denna uklękła i zaczęła go myć. Nie miał pojęcia, co zamierza dalej. Obmywane rany bolały, ale to było nic w porównaniu z Agielem. Richard się zastanawiał, czemu go myje, skoro jest pora tresury, Denna wyczuła jego lęk.

- Krzyż mnie boli.

- Tak mi przykro, pani Denno. To przez moje złe zachowanie.

- Cicho bądź - poleciła łagodnie. - Przez te plecy muszę spać na czymś twardym. Prześpię się na podłodze. A skoro ja będę spać na podłodze, to ty się prześpisz w moim łóżku. Nie chcę, żebyś je zakrwawił.

Richard osłupiał. Na podłodze z całą pewnością wystarczyłoby miejsca dla nich obydwojga, no i niejeden raz zakrwawił Dennie łóżko. I jakoś jej to wówczas nie

przeszkadzało. Uznał jednak, że to nie pora na pytania, i zmilczał.

- No, już w porządku - oznajmiła Mord-Sith, skończywszy mycie. - Połóż się.

Patrzyła, jak się układa na łóżku. Richard z rezygnacją wziął Agiela ze stolika i podał jej; ramię pulsowało mu bólem. Pragnął, żeby go zostawiła w spokoju tej nocy. Denna zabrała mu Agiela i odłożyła na stolik.

- Nie dziś. Mówiłam ci, że krzyż mnie boli. - Zdmuchnęła lampę. - Spij. Chłopak słyszał, jak się układa na podłodze, klnąc pod nosem. Był tak wyczerpany, że nie miał siły myśleć. Wkrótce zasnął.

Zbudził go dzwon wzywający na modły. Denna już była na nogach. Zmyła krew ze swego białego stroju i na nowo zaplotła warkocz. Nie powiedziała ani słowa. Klęczenie sprawiało Richardowi ból, z zadowoleniem przyjął koniec modłów. Nigdzie nie widział Konstancji. Szedł za Denną, zaczął skręcać ku sali ćwiczeń, ale zatrzymało go szarpnięcie łańcucha. Ból.

- Nie idziemy tam.

- Tak, pani Denno.

Jakiś czas szła niekończącymi się korytarzami, w pewnej chwili spojrzała ze zniecierpliwieniem na Richarda.

- Masz iść u mego boku. Wybieramy się na przechadzkę. Czasem spaceruję, kiedy mnie boli krzyż. To mi pomaga.

- Przykro mi, pani Denno. Miałem nadzieję, że do rana ból minie. Zerknęła nań spod oka i znów patrzyła prosto przed siebie.

- No cóż, nie minął. Więc pójdziemy na spacer.

Richard jeszcze nigdy się nie znalazł tak daleko od kwatery Denny. Ciekawie, lecz ostrożnie, przyglądał się wszystkiemu. Co pewien czas widział miejsca podobne do tego, do którego chodzili na modły: place pod otwartym niebem i słońcem, z ustawioną pośrodku czarną skałką i dzwonem na niej. Niekiedy trawa zastępowała piasek, a czasem skałka tkwiła w sadzawce i w przejrzystej wodzie pływały ryby. Niektóre hole były obszerne jak komnaty, z posadzkami z wzorzystych płyt, kolumnami i wysoko sklepionym sufitem. Przez wielkie okna wpadały strumienie światła i powietrza.

Wszędzie było pełno ludzi; większość nosiła białe lub pastelowe szaty. Nikt się nie spieszył, choć sporo z nich szło w jakimś określonym kierunku. Niektórzy siedzieli na marmurowych ławach. Richard dostrzegł kilku żołnierzy. Większość ludzi mijała jego i Denne jakby byli niewidzialni, lecz paru się uśmiechnęło i wymieniło z

Mord-Sith słowa powitania.

Cała ta budowla była zdumiewająco wielka, hole i korytarze ciągnęły się w nieskończoność. Szerokie schody wiodły w górę lub w dół, prowadziły do nieznanych części olbrzymiego gmachu. W jednym z korytarzy stały posągi nagich ludzi w dumnych pozach. Wyrzeźbiono je w lśniącym, przeważnie białym kamieniu, niekiedy złociście żyłkowanym. Były dwukrotnie większe niż Richard. W żadnym zakątku nie było mroku, brudu, brzydoty - sama jasność i piękno. Kroki ludzi rozbrzmiewały w obszernych holach jak szepty pełne czci. Że też zdołano zaplanować i wybudować tak olbrzymią budowlę, dziwił się chłopak. To musiało trwać całe pokolenia.

Denna zaprowadziła Richarda na rozległą przestrzeń pod otwartym niebem. Z omszonej ziemi wyrastały wielkie drzewa, a środkiem tego wewnętrznego lasu wiła się ścieżka wyłożona brązowymi, glinianymi płytkami. Poszli niespiesznie ową ścieżką, a chłopak przyglądał się drzewom. Były piękne, choć pozbawione liści. Denna obserwowała go spod oka.

- Lubisz drzewa, prawda?

Richard kiwnął głową, rozejrzał się wokół.

- O tak, bardzo, pani Denno - szepnął.

- Dlaczego je lubisz?

- Są częścią mojej przeszłości - odparł po chwili namysłu. - Mgliście sobie przypominam, że byłem przewodnikiem. Leśnym przewodnikiem. Lecz niewiele z tego pamiętam, pani Denno. Głównie to, że lubię lasy.

- Złamałam cię, więc zapominasz, co było przedtem - powiedziała spokojnie. - Im dłużej będę cię tresować, tym więcej przeszłości zapomnisz, z wyjątkiem tego, o co cię będę pytać.. Wkrótce zapomnisz wszystko.

- Tak, pani Dermo. Co to za miejsce, pani Denno?

- To Pałac Ludu. Siedziba władcy D’Hary. Dom mistrza Rahla. Lunch zjedli w innej jadalnej komnacie, nie tam gdzie zwykle Kazała Richardowi usiąść na krześle - nie wiedział dlaczego Odprawili modły tam, gdzie woda zastępowała biały piasek. Potem pospacerowali jeszcze trochę po rozległych holach i ma kolację wrócili do znajomej części pałacu. Przechadzka dobrze zrobiła Richardowi; nareszcie rozruszał mięśnie.

Po wieczornych modłach znaleźli się w małym pokoiku w kwaterze Denny. Mord-Sith znów skrępowała Richardowi ramiona na plecach i podciągnęła go w górę, lecz tym razem nie oderwała mu stóp od podłogi. Ramiona bolały, ale nie tak jak

przedtem.

- Plecy przestały boleć, pani Denno? Spacer pomógł?

- Tyle mogę wytrzymać.

Chodziła powoli wokół chłopaka, patrząc w podłogę. Na koniec stanęła przed Richardem. Kręciła w palcach Agiela, wpatrując się weń uważnie. Nie spojrzała na chłopaka.

- Powiedz, że jestem brzydka - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Richard patrzył na nią, dopóki nie podniosła oczu.

- Nie. To by było kłamstwo.

- Błąd, mój ukochany. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie usłuchałeś polecenia i pominąłeś tytuł.

- Wiem, pani Denno.

Zamknęła oczy, lecz jej głos zyskał nieco na sile.

- Same z tobą utrapienia. Nie rozumiem, dlaczego mistrz Rahl mnie obarczył twoją tresurą. Zarobiłeś dwie godziny - nie tak ciężkie jak zwykle, lecz i tak zapłaczesz z bólu.

Potem Denna oznajmiła, że plecy ciągle ją bolą i znów spała na podłodze, a Richard w łóżku.

Następne dni wróciły w utarte koleiny, choć tresura nie była ani tak bolesna, ani tak długotrwała jak przedtem, chyba że towarzyszyła im Konstancja. Denna obserwowała ją baczniej niż poprzednio i częściej powstrzymywała. Konstancji wcale się to nie podobało i czasami patrzyła gniewnie na przyjaciółkę. Kiedy była zbyt brutalna, Denna nie zapraszała jej na kolejny seans tresury.

Łagodniejsza tresura miała dobroczynny wpływ na Richarda. Myślał coraz jaśniej i zaczynał sobie przypominać przeszłość.

Parę razy Denne znów bolały plecy, więc chodzili na długie spacery i oglądali rozmaite wspaniałości.

Pewnego dnia, po popołudniowych modłach, Konstancja spytała, czy może iść z nimi. Deinna zgodziła się z uśmiechem. Tamta chciała poprowadzić tresurę i przyjaciółka jej pozwoliła. Konstancja była o wiele brutalniejsza niż zwykle; nie dawała Richardowi ani chwili wytchnienia. Chłopak płakał ze straszliwego bólu. Był u kresu wytrzymałości i miał nadzieję, że Denna wreszcie powstrzyma tamtą. Akurat wstawała z krzesła, kiedy do sali wszedł jakiś człowiek.

- Mistrz Rahl cię wzywa, Panni Denno.

- Kiedy?

- Natychmiast. Denna westchnęła.

- Dokończysz ten seans, Konstancjo?

Konstancja spojrzała Richardowi w oczy i uśmiechnęła się.

- Ależ oczywiście, Denno.

Chłopak skamieniał z przerażenia, lecz nie ośmielił się nic powiedzieć.

- Już prawie koniec. Zaprowadź go potem do mojej kwatery i zostaw tam. Na pewno wkrótce wrócę.

- Jasne, Denno. Możesz na mnie polegać.

Denna ruszyła ku drzwiom. Konstancja przysunęła twarz do twarzy Richarda i uśmiechnęła się do niego złośliwie. Energicznym ruchem rozpięła mu pas. Chłopak nie mógł oddychać ze strachu.

- Konstancjo. - Denna wróciła ku nim. - Nie życzę sobie, żebyś to robiła. Konstancja dała się zaskoczyć.

- Ja się nim zajmuję pod twoją nieobecność i zrobię, co zechcę. Denna podeszła bliżej i przysunęła twarz do twarzy tamtej.

- On jest moim partnerem i nie życzę sobie, żebyś mu to zrobiła. I żebyś mu wkładała Agiela w ucho.

- Zrobię...

- O nie. - Denna zgrzytnęła zębami, patrząc na niższą kobietę. - To mnie ukarano, kiedy zabiłyśmy Rastina. Mnie. Nie nas obie. Tylko mnie. Nigdy o tym nie wspominałam, lecz teraz to przypominam. Dobrze wiesz, co mi zrobili, a mimo to nie zdradziłam im, że i ty miałeś w tym swój udział. Jest moim partnerem, a ja jestem jego Mord-Sith. Nie ty. Ja. Uszanujesz moje życzenia albo koniec z naszą przyjaźnią.

- W porządku, Denno - burknęła ze złością Konstancja. - W porządku. Zrobię, jak chcesz.

Denna wciąż patrzyła na nią z gniewem.

- Żądam tego, siostro Konstancjo.

Konstancja dokończyła tresurę, wkładając w to całą duszę i siły. Należy przyznać, że najczęściej kierowała Agiela w miejsca dozwolone przez Denne. Richard wiedział, że „lekcja” trwała o wiele dłużej, niż powinna. Konstancja zaprowadziła chłopaka do kwatery Denny i tam tłukła jeszcze z godzinę. Potem zaczepiła łańcuch w nogach łóżka i kazała Richardowi stać aż do powrotu jego Mord-Sith.

Konstancja przysunęła twarz do twarzy chłopaka najbliżej jak mogła,

zważywszy jej wzrost, wsunęła mu rękę między nogi i mocno zacisnęła dłoń.

- Zachowaj to dla mnie w dobrym stanie - zakpiła szyderczo. - Już się tym długo nie nacieszysz. Mam powody, by sądzić, że mistrz Rahl już wkrótce odda cię mnie, a wtedy troszkę zmienię twoją anatomię. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - I na pewno to ci się nie spodoba.

Pojawił się gniew, a za nim magiczny ból. Richard padł na kolana. Konstancja ze śmiechem wyszła z komnaty. Chłopakowi udało się opanować gniew, lecz ból ustąpił dopiero wtedy, kiedy wstał.

Z okna lał się ciepły słoneczny blask. Richard miał nadzieję, że Denna wkrótce wróci. Słońce zaszło. Nadszedł i minął czas kolacji. Denna wciąż się nie zjawiała. Chłopak zaczynał się niepokoić. Czuł, że wydarzyło się coś złego. Usłyszał dzwon wzywający na wieczorne modły, lecz był przywiązany do łóżka i nie mógł pójść. Zastanawiał się, czy ma uklęknąć i odśpiewać znane mu słowa. Zdał sobie sprawę, że tego też nie może zrobić, bo nakazano mu stać. Może powinienem choć odśpiewać modły, dumał chłopak. Lecz i tak nikt by go nie słyszał, więc uznał, że nie musi.

Za oknem już od dawna było ciemno. Na szczęście lampy były zapalone, więc chłopak nie musiał stać w mroku. Dwa uderzenia w dzwon oznajmiły koniec wieczornych modłów. Denny wciąż nie było. Nadeszła i minęła pora wieczornej tresury, a Mord-Sith wciąż nie wracała. Richard coraz bardziej się niepokoił.

Wreszcie usłyszał, jak otwierają się drzwi. Denna miała pochyloną głowę, poruszała się sztywno. Jej warkocz był rozpleciony, włosy rozczochrane. Z trudem zamknęła za sobą drzwi. Richard spostrzegł, że była zupełnie szara, oczy miała wilgotne. Nie spojrzała nań.

- Przygotuj mi kąpiel, Richardzie - szepnęła cichutko. - Proszę. Muszę się wykąpać, czuję się taka brudna.

- Oczywiście, pani Denno.

Przy wlókł wannę i biegał po wodę najszybciej, jak potrafił. Chyba jeszcze nigdy tak szybko nie przygotował kąpieli. Denna stała i patrzyła, jak przynosi wiadro za wiadrem. Wreszcie skończył i czekał, dysząc z wysiłku. Zaczęła rozpinać skórzany strój; palce jej drżały.

- Zrób to za mnie, dobrze? Sama nie dam rady.

Trzęsła się cała. Richard rozpiął guziki. Musiał odrywać odzienie od pleców Denny razem z jej skórą. Serce mu waliło jak szalone. Pręgi po uderzeniach znaczyły

całe plecy i nogi Denny; była poraniona od karku po kostki stóp. Chłopak był przerażony, a serce mu się krajało ze współczucia dla niej. Łzy napłynęły mu do oczu. Ocknęła się w nim potężna moc. Nie zwrócił na to uwagi.

- Kto ci to uczynił, pani Denno?

- Mistrz Rahl. Zasłużyłam na to.

Podtrzymał ją i pomógł jej wejść do wanny. Z jękiem zanurzyła się w gorącej wodzie, usiadła sztywno.

- Dlaczego ci to uczynił, pani Denno?

- Konstancja mu powiedziała, że jestem dla ciebie zbyt łagodna. Zasłużyłam na to, co mnie spotkało.

- Wcale na to nie zasłużyłaś, pani Denno. To ja powinienem był ponieść karę, nie ty.

Richard mył ją ostrożnie, a ona zaciskała drżące dłonie na brzegach wanny. Troskliwie zmył pot z bladej twarzy Denny. Cały czas patrzyła prosto przed siebie, po policzkach stoczyło się parę łez.

- Mistrz Rahl chce cię jutro zobaczyć. - Usta Denny zadrżały, a ręka Richarda na moment przerwała mycie. - Przykro mi, Richardzie. Odpowiesz na jego pytania.

Spojrzał w jej twarz. Nie odwzajemniła spojrzenia.

- Tak, pani Denno.

Opłukał ją wodą nabieraną w złożone dłonie.

- Pozwól, że cię wytrę. - Uczynił to tak delikatnie, jak tylko mógł. - Czy chcesz teraz usiąść, pani Denno?

- Nie wydaje mi się. - Uśmiechnęła się do niego z zakłopotaniem. - Położę się na łóżku. - Wsparła się na podsuniętym ramieniu chłopaka. - Nie mogę przestać się trząść. Dlaczego?

- Bo rany bolą, pani Denno.

- Doświadczyłam o wiele gorszych rzeczy niż to. To było jedynie łagodne przypomnienie, kim jestem. Nie mogę się przestać trząść.

Położyła się na brzuchu, nie spuszczała oka z chłopaka. Troska przywróciła mu zdolność myślenia.

- Czy jest tu mój plecak, pani Denno?

- W szafce. Po co ci on?

- Leż spokojnie, pani Denno i pozwól mi coś zrobić, jeśli jeszcze pamiętam jak.

Zdjął plecak z górnej półki, położył na stole i zaczął w nim grzebać. Denna wsparła policzek na dłoniach i patrzyła na chłopaka. Znalazł to, czego szukał pod rzeźbionym kościanym gwizdkiem, zawieszonym na rzemyku. Wyciągnął paczuszkę z plecaka i otworzył. Wyjął małą miseczkę, odpiął od pasa swój nóż i też położył na stole. Przyniósł z szafy słoik kremu; widział, jak Denna się tym smarowała.

- Mogę go wziąć, pani Denno?

- Po co?

- Mogę?

- No dobrze.

Richard wziął z paczuszki stosik suszonych liści aumu i włożył je do miseczki. Dorzucił jeszcze parę ziół, które rozpoznał po zapachu, lecz nie pamiętał ich nazwy. Roztarł wszystko nożem na proszek, dodał cały krem ze słoika i wymieszał palcami. Wziął miseczkę i usiadł na łóżku obok Denny.

- Leż spokojnie.

- Tytuł, Richardzie, tytuł. Nigdy się nie nauczysz?

- Przepraszam, pani Denno. - Uśmiechnął się. - Potem mnie za to ukarzesz. Teraz leż spokojnie. Kiedy skończę, poczujesz się tak dobrze, że będziesz mnie mogła karać przez całą noc. Obiecuję.

Nałożył krem na rany i wtarł. Denna jęknęła. Po chwili zamknęła oczy. Niemal spała, kiedy Richard dotarł do kostek jej nóg. Aumowy balsam wsiąkał w poranioną skórę. Richard pogładził włosy Denny.

- I jak teraz, pani Denno? - szepnął.

Przeturlała się na bok, otwarła szeroko oczy ze zdumienia.

- Ból zniknął! Jak to zrobiłeś? Jak przepędziłeś ból? Chłopak się uśmiechnął.

- Nauczyłem się tego od starego przyjaciela, od... - Zmarszczył brwi. - Nie pamiętam, jak się nazywa. Ale to stary przyjaciel i to on mnie tego nauczył. Tak się cieszę, pani Denno. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Łagodnie dotknęła policzka Richarda.

- Jesteś bardzo szczególną osobą, Richardzie Cypher. Nigdy przedtem nie miałam takiego partnera. Niech mnie licho, nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Ja zabiłam tego, który mi uczynił to, co ja tobie, a ty mi pomogłeś.

- Możemy być tylko tym, kim jesteśmy, pani Denno, nikim mniej i nikim więcej. - Chłopak spojrzał na swoje dłonie. - Nie podoba mi się to, co ci uczynił mistrz Rahl.

- Nic nie wiesz o Mord-Sith, mój ukochany, i nic nie rozumiesz. Wybiera się nas bardzo starannie, kiedy jesteśmy jeszcze małymi dziewczynkami. Na Mord-Sith wybiera się te najłagodniejsze, o najlepszym sercu. Mówi się, że największe okrucieństwo płynie z najgłębszej troski. Przeczesuje się całą D'Hare. Każdego roku wybiera się może ze sześć dziewczynek. Łamią Mord-Sith trzy razy.

- Trzy razy? - szepnął chłopak. Denna potaknęła.

- Pierwszy raz tak, jak ja ciebie, żeby złamać ducha. Potem łamią naszą empatię. Musimy patrzeć, jak nasz nauczyciel łamie naszą matkę, robi z niej swoje zwierzątko i dręczy, dopóki ta nie umrze. Za trzecim razem przełamują w nas strach przed zadawaniem bólu innym, uczą nas czerpać radość z zadawania bólu. Musimy, pod kierunkiem nauczyciela, złamać własnego ojca, uczynić zeń nasze zwierzątko i zadręczyć na śmierć.

Z oczu Richarda trysnęły łzy.

- To wszystko wam czynią?

- Metody, którymi cię złamałam, są niczym w porównaniu z tymi, którymi nas łamią za drugim i trzecim razem. Im lepsze serce ma dziewczynka, tym lepsza będzie z niej Mord-Sith; ale tym trudniej ją złamać drugi i trzeci raz. Mistrz Rahl uważa, że jestem wyjątkowa, bo szczególnie trudno było mnie drugi raz złamać. Moja matka długo się trzymała przy życiu, nie chcąc, żebym straciła nadzieję, ale to tylko wszystko utrudniło. Dla nas obu. Trzeci raz im się nie udało - zrezygnowali i chcieli mnie zabić. Lecz mistrz Rahl uznał, że będę świetną Mord-Sith, gdy mnie wreszcie złamią, i sam się mną zajął. To właśnie on złamał mnie trzeci raz. I wziął mnie do łoża tego dnia, kiedy zabiłam ojca - w nagrodę. Ta nagroda zupełnie mnie wypaliła.

Richard miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł mówić. Drżącymi palcami odgarnął włosy z twarzy Denny.

- Nie chcę, żeby ktoś cię krzywdził, pani Denno. Już nigdy więcej.

- To wielki zaszczyt - szepnęła przez łzy - że mistrz Rani poświęcił swój czas i ukarał kogoś tak mało znaczącego jak ja, i to moim własnym Agielem.

Richard siedział jak odrętwiały.

- Mam nadzieję, że on mnie jutro zabije i już się nie będę musiał uczyć niczego, co mnie aż tak rani, pani Denno. Blask lampki lśnił w wilgotnych oczach Denny.

- Jeszcze nikomu nie uczyniłam tego, co tobie, a to właśnie ty, jeden jedyny od chwili, kiedy mnie wybrano na Mord-Sith, odpędziłeś ode mnie ból. - Usiadła,

podniosła miseczkę. - Zostało trochę. Nałożę maść na miejsca, które Konstancja dotknęła Agielem, choć jej na to nie pozwoliłam.

Nasmarowała maścią ramiona chłopaka, potem brzuch i pierś, aż po szyję. Ich oczy się spotkały. Dłoń Denny znieruchomiała. W komnacie zapanowała zupełna cisza. Denna nachyliła się i łagodnie pocałowała chłopaka. Podłożyła dłoń z maścią pod jego kark i znów go pocałowała. Położyła się na łóżku, oburącz przycisnęła dłoń Richarda do swojego brzucha.

- Pójdź, moja miłości. Tak ogromnie cię pragnę.

Skinął głową i wyciągnął rękę po Agiela. Powstrzymała go.

- Dzisiejszej nocy pragnę cię bez bicza. Dobrze? Naucz mnie, jak to jest bez bólu.

Przyciągnęła go do siebie.

Rozdział czterdziesty trzeci

Następnego ranka Denna nie szkoliła Richarda, lecz zabrała go na przechadzkę. Mistrz Rahl oczekiwał chłopaka dopiero po drugich modłach. Właśnie mieli do niego wyruszyć, kiedy się zjawiła Konstancja.

- Zadziwiająco dobrze dziś wyglądasz, siostro Denno.

Denna patrzyła na nią, nie okazując żadnych uczuć. Richard był wściekły na Konstancję za to, że doniosła mistrzowi Rahlowi na Denne, przez co jego pani tak ucierpiała. Musiał uporczywie myśleć o warkoczu Denny.

- Słyszałam, że dostąpisz dziś zaszczytu audiencji u mistrza Rahla. Jeśli to przeżyjesz, to się będziemy częściej spotykać. Sam na sam. Kiedy on już z tobą skończy, wezmę sobie kawałeczek twojego ciała.

- Musiano cię wybrać, siostro Konstancjo - palnął Richard, zanim zdążył pomyśleć, co czyni - w roku rozpaczliwej posuchy. Inaczej nigdy by nie wybrano na Mord-Sith kogoś o tak ograniczonej inteligencji. Jedynie największy ciemniak mógłby przedłożyć zaspokojenie swoich głupich ambicyjek ponad przyjaźń. A zwłaszcza ponad dobro przyjaciółki, która tak wiele dla ciebie poświęciła. Nie jesteś godna całować Agiela pani Denny. - Chłopak uśmiechnął się słodko do zaskoczonej Konstancji. - Lepiej się módl, żeby mistrz Rahl mnie zabił, bo jeśli nie, to ja cię zabiję przy następnym spotkaniu. Zabiję cię za to, co uczyniłaś pani Dennie.

Konstancja gapiła się nań tępo, potem nagle zamierzyła się Agielem. Denna uniosła ramię, dłuższe niż ramię tamtej. Przycisnęła swój Agiel do gardła Konstancji i powstrzymała ją. Tamta wytrzeszczała oczy ze zdumienia, odkaszlnęła krwią i padła na kolana, przycisnąwszy dłonie do szyi.

Denna przez chwilę patrzyła na nią, potem odeszła bez słowa. Richard za nią, uwiązany na łańcuchu. Przyspieszył kroku i szedł obok Denny. Patrzyła prosto przed siebie, nie zdradzała, co myśli.

- Zgadnij, na ile godzin sobie tym zasłużyłeś.

- Ty będziesz pierwszą Mord-Sith, pani Denno - uśmiechnął się chłopak - która zmusi do krzyku martwego człowieka.

- A jeśli mistrz Rahl cię nie zabije, to ile godzin cię czeka?

- Całe moje życie byłoby za krótkie, żeby tresura przyćmiła radość z tego, co zrobiłem.

Uśmiechnęła się leciutko, lecz nie spojrzała nań.

- Cieszę się, że aż tyle to dla ciebie znaczy. - Zerknęła spod oka na chłopaka. -

Dalej cię nie rozumiem. Jak sam powiedziałeś, możemy być tylko sobą, nikim mniej i nikim więcej. Żałuję że nie mogę być kimś więcej, i obawiam się, że ty nie możesz być kimś mniej. Gdybyśmy w tej wojnie nie walczyli po przeciwnych stronach, to zrobiłabym z ciebie mojego stałego partnera i zadbałabym, żebyś żył jak najdłużej.

Jej słowa sprawiły Richardowi radość.

- I ja bym się postarał żyć jak najdłużej dla ciebie, pani Denno.

Szli wielkimi holami, mijali miejsca odprawiania modłów, posągi, spieszących się dokądś ludzi. Denna zabrała Richarda na wyższe piętro, poprowadziła poprzez pięknie przystrojone komnaty. Zatrzymała się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, ozdobionymi płaskorzeźbami przedstawiającymi wzgórza i lasy, pokrytymi złotem.

- Czy jesteś gotów dziś umrzeć, mój kochany?

- Dzień się jeszcze nie skończył, pani Denno. Zarzuciła mu ramiona na szyję i czule go pocałowała. Cofnęła nieco głowę, pogładziła Richarda po włosach.

- Przykro mi, Richardzie, że ci to wszystko uczyniłam, ale właśnie tego mnie nauczono i inaczej nie potrafię. Żyję tylko po to, żeby cię ranić. Wiedz, że to nie z własnego wyboru, a dlatego że tak mnie wyszkolono. Nie mogę być nikim innym, niż jestem; mogę być tylko Mord-Sith. Jeśli masz dziś umrzeć, moja miłości, to umrzyj godnie, żebym mogła być z ciebie dumna.

Jestem partnerem obłąkanej kobiety, pomyślał chłopak ze smutkiem. I to inni doprowadzili ją do obłędu.

Denna popchnęła drzwi i weszli do wielkiego ogrodu. Gdyby Richard nie był zajęty innymi sprawami, to ów ogród wywarłby na nim olbrzymie wrażenie. Szli ścieżką biegnącą wśród kwiatów i krzewów, obok niskich, porośniętych pnączami murków, mijali niskie drzewka. Dotarli do rozległej łąki. Szklany dach przepuszczał do wnętrza słoneczny blask, dzięki czemu rośliny zdrowo się rozwijały i kwitły.

W oddali widać było dwóch wielkoludów. Na skrzyżowanych ramionach mieli żelazne obręcze, nabijane kolcami; owe obręcze tkwiły tuż powyżej łokci mężczyzn. Jacyś strażnicy, pomyślał Richard. Obok nich stał jeszcze jeden człowiek, wspaniale umięśniony, z bezwłosą piersią. Krótko obcięte jasne włosy sterczały sztywno; biegło wśród nich jedno czarne pasmo.

Kolejny mężczyzna stał niemal na środku łąki, obok kręgu białego piasku, w snopie promieni popołudniowego słońca. Jaśniała biała szata i długie do ramion złociste włosy. Iskrzył się złoty pas i wiszący u niego złoty zakrzywiony sztylet.

Richard i Denna podeszli do owego mężczyzny. Denna padła na kolana, uderzyła czołem o ziemię. Richard wiedział, że ma uczynić to samo, i uczynił, przesuwając miecz. Zaintonowali razem: „Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie”.

Wyśpiewali to tylko raz. Potem zamilkli i czekali. Richard drżał lekko. Pamiętał, że miał się nigdy nie zbliżać do władcy Rahla, że się powinien trzymać z dala od niego. Nie mógł sobie przypomnieć, kto mu to nakazał, wiedział tylko, że to bardzo ważne. Musiał myśleć o warkoczu Denny, tłumić gniew za to, co mistrz Rahl jej uczynił.

- Powstańcie, moje dzieci.

Mistrz Rahl stał tuż obok Denny. Błękitne oczy bacznie mu się przyglądały. Twarz mistrza była łagodna, inteligentna, miła, lecz to nie rozwiało strachu chłopaka, nie odpędziło myśli kłębiących się tuż na granicy świadomości. Błękitne oczy spojrzały na Denne.

- Zadziwiająco ładnie dziś wyglądasz, pieszczoszko.

- Pani Denna równie dobrze znosi ból, mistrzu Rahlu, jak go zadaje - Richard usłyszał swój własny głos.

Błękitne oczy znów nań patrzyły. Spokojna twarz Rahla budziła w chłopaku dreszcze.

- Pieszczoszka powiedziała mi, że jesteś wcieleniem kłopotów. Z przyjemnością widzę, że nie kłamała. Lecz nie jestem zadowolony, że to prawda. - Niedbale klasnął w dłonie. - No cóż, to i tak nie ma znaczenia. Cieszę się, że cię w końcu poznałem, Richardzie Cypher.

Denna szturchnęła chłopaka Agielem, przypominając, co ma powiedzieć.

- To zaszczyt dla mnie, że tu jestem, władco Rahlu. Żyję tylko po to, żeby ci służyć. Przy tobie jestem nikim.

- O tak, na pewno. - Wargi Rahla skrzywiły się w uśmieszku; przez długą, nieprzyjemną chwilę wpatrywał się w twarz Richarda. - Mam kilka pytań. Odpowiesz mi na nie.

- Tak, mistrzu Rahlu. - Chłopak znów zadrżał.

- Uklęknij - polecił łagodnie władca.

Richard ukląkł, wspomagany Agielem. Denna stanęła za nim, okraczyła go i

mocno ścisnęła udami ramiona chłopaka. Złapała go za włosy i lekko odchyliła mu głowę - patrzył teraz prosto w oczy mistrza Rahla. Richard trząsł się z przerażenia. Rahl Posępny patrzył nań obojętnie.

- Widziałeś Księgę Opisania Mroków?

Jakaś siła, ukryta na dnie umysłu chłopaka, zabraniała mu odpowiedzieć na to pytanie. Milczał. Denna mocniej złapała go za włosy i przyłożyła mu Agiela do podstawy czaszki.

Ból rozszalał się w głowie Richarda. Chłopak nie upadł tylko dlatego, że Denna trzymała go za włosy. Miał wrażenie, że w tym jednym dotknięciu zawarła ból całego szkoleniowego seansu. Nie mógł się poruszyć, odetchnąć czy zapłakać. Cały był bólem, wstrząs pozbawił go wszystkiego, zostawił w śmiertelnej udręce z ognia i lodu. Denna cofnęła Agiela. Chłopak nie wiedział, kim jest, gdzie jest, kto go trzyma. Wiedział tylko jedno - że nigdy przedtem nie zaznał takiego bólu i że stoi przed nim mężczyzna w białej szacie. Spojrzały nań błękitne oczy.

- Widziałeś Księgę Opisania Mroków?

- Tak. - Usłyszał własny głos.

- Gdzie teraz jest?

Richard się zawahał. Nie wiedział, co powiedzieć, co ów głos chce od niego. Ból znów eksplodował w głowie chłopaka. Męka się skończyła i Richard poczuł łzy płynące mu po policzkach.

- Gdzie teraz jest? - powtórzył głos.

- Nie dręczcie mnie, błagam - krzyknął chłopak. - Nie rozumiem pytania.

- A co tu jest do rozumienia? Po prostu odpowiedz, gdzie jest teraz księga.

- Księga czy zawarta w niej wiedza? - spytał trwożliwie Richard. W błękitnych oczach mignął gniew.

- Księga.

- Spaliłem ją w ogniu. Wiele lat temu. Błękitne oczy omal go nie rozdarły na strzępy.

- A gdzie jest wiedza z księgi?

Chłopak zbyt długo się wahał. Kiedy znów odzyskał świadomość, Denna szarpnęła mu głowę w tył i znów patrzył w błękitne oczy. Richard jeszcze nigdy nie był taki samotny, tak bezsilny i tak przerażony.

- Gdzie jest wiedza z księgi?

- W mojej głowie. Nauczyłem się całego tekstu, a potem spaliłem księgę.

Mężczyzna stał nieruchomo i patrzył na chłopaka. Richard cicho płakał.

- Wyrecytuj fragment tekstu.

Richard absolutnie nie chciał, żeby mu znów przyłożono Agiela z tyłu głowy. Trząsł się ze strachu na samą myśl o tym.

Jedynie Spowiedniczka może zweryfikować prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiadane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy księgę...

Spowiedniczka.

Kahlan.

Imię Kahlan przeszyło gwałtownie umysł Richarda jak błyskawica. Nowa moc zbudziła się gwałtownie, biały żar wspomnień stopił mgłę osnuwającą myśli chłopaka. Trzasnęły drzwi broniące wstępu do zamkniętego pokoiku w jego umyśle. Nowa moc rosła, potężniała, a wraz z nią wracała przeszłość. Rahl Posępny pojmie Kahlan, zada jej ból - ta myśl sprawiła, że Richard stanowił jedno z nowo zbudzoną mocą.

Rahl Posępny spojrzał na tamtych trzech mężczyzn. Zbliżył się ten z czarnym pasmem we włosach.

- Widzisz, przyjacielu? Los działa na moją korzyść. Ona akurat tu idzie, razem ze starcem. Odszukaj ją. Zadbaj, żeby ją do mnie przywiedziono. Weź dwie bojówki, ale dostarcz ją żywą. Rozumiesz? - Tamten kiwnął głową. - Rzucę urok, chroniący ciebie i twoich ludzi. Starzec jest z nią, ale nic nie poradzi na zaklęcie z zaświatów, jeśli w ogóle będzie jeszcze żył. - W głosie Rahla zabrzmiały twardsze tony. - Nie obchodzi mnie, co twoi ludzie jej zrobią, Demminie, lecz ma tu dotrzeć żywa i zdolna do posłużenia się mocą.

- Rozumiem. - Demmin nieco pobladł. - Będzie, jak sobie życzysz, mistrzu Rahlu.

Skłonił się nisko, a potem odszedł, ale najpierw spojrzał Richardowi w oczy i uśmiechnął się do niego znacząco.

- Mów dalej. - Błękitne oczy Rahla Posępnego znów patrzyły na chłopaka. Richard dotarł tam, dokąd miał dotrzeć. Wszystko sobie przypomniał.

Czas umrzeć.

- Nie. I nie zmusisz mnie do tego. Mile powitam ból, mile powitam śmierć.

Agiel nie zdążył spaść. Rahl wbił wzrok w Denne. Richard poczuł, że rozluźniła pięść zaciśniętą na jego włosach. Zbliżył się jeden ze strażników i wielką

łapą złapał Denne za gardło. Zaczęła się dusić.

Rahl patrzył na nią gniewnie.

- Powiedziałaś, że jest złamany.

- Bo był, mistrzu Rahlu - wykrztusiła z wielkim trudem. - Przysięgam.

- Bardzo mnie zawiodłaś, Denno.

Strażnik uniósł Mord-Sith w powietrze, Richard usłyszał, jak jęczy z bólu. Znów zapłonęła moc. Dręczono Denne. Zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, chłopak się poderwał i rzucił na strażnika. Otoczył ramieniem grubą szyję tamtego, zacisnął dłoń na jego ramieniu. Wolną ręką złapał go za głowę i potężnie szarpnął. Skręcił mu kark. Strażnik osunął się na ziemię.

Richard natychmiast obrócił się ku drugiemu. Mężczyzna był tuż, tuż, wyciągnął ramię. Chłopak złapał go za nadgarstek i tamten z rozpędu, całym ciężarem, nadział się na nóż. Richard wbił nóż aż po rękojeść i rozorał przeciwnikowi cały brzuch, sięgnąwszy serca. Strażnik wytrzeszczył ze zdumienia niebieskie oczy i runął na ziemię. Wypłynęły wnętrzności.

Chłopak stał bez ruchu; płonęła w nim moc. Brzegi pola widzenia były zupełnie białe. Przepalał je magiczny żar. Denna trzymała dłonie na obolałej szyi.

Rahl stał spokojnie, oblizując koniuszki palców, i przyglądał się Richardowi.

Denna zebrała siły i poraziła Richarda magicznym bólem, który go powalił na kolana. Chłopak klęczał i trzymał się za brzuch.

- Daj mi go na całą noc, mistrzu Rahlu - wy dyszała Denna. - Przysięgam, że rankiem odpowie ci na wszystkie pytania. Pozwól, bym zmazała swoje winy.

- Nie. - Odparł zatopiony w myślach Rahl, poruszył lekko dłonią. - Przepraszam, pieszczoszko. To nie twoja wina. Nie wiedziałem, z czym mamy do czynienia. Oddal od niego ból.

Richard oprzytomniał i wstał. Znów miał jasny umysł. Czuł się tak, jakby się zbudził z długiego snu - zbudził się i znalazł w samym środku koszmaru. Owa cząstka Ja” wydostała się z zamknięcia, lecz chłopak nie zamykał jej na nowo. Jeśli ma umrzeć, to właśnie tak - z godnością, w pełni władz umysłowych i psychicznych. Zdusił gniew, lecz oczy wciąż mu płonęły I serce.

- Czy to starzec cię tego nauczył? - spytał z ciekawością Rahl.

- Czego niby?

- Rozdzielenia umysłu. To w ten sposób umknąłeś złamania.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oddzieliłeś cząstkę, ochroniłeś to, co najważniejsze, a resztę wydałeś na łup tego, co nieuniknione. Mord-Sith nie złamie rozdzielonego umysłu. Może ukarać. Lecz nie może złamać. - Znów spojrzał na Denne. - Jeszcze raz przepraszam, pieszczoszko. Sądziłem, że mnie zawiodłaś. A ty dałaś z siebie wszystko. Tylko najlepsza z was mogła go doprowadzić tak daleko. Zrobiłaś, co w twojej mocy. Ale teraz sprawy mają się inaczej.

Rahl się uśmiechnął, oblizał czubki palców i przygładził brwi.

- Porozmawiamy sobie teraz z Richardem na osobności. Chcę, żebyś mu pozwoliła mówić bez magicznego bólu. Dopóki jest tu ze mną, uwolnij go od niego. Ból mógłby mi przeszkodzić w tym, co ewentualnie musiałbym uczynić. Dopóki chłopak jest tutaj, masz zrezygnować z kontroli nad nim. Możesz wrócić do swojej kwatery. Odeślę ci go, jak obiecałem, kiedy już z nim skończę i jeśli przeżyje.

- Żyję po to, by ci służyć, mistrzu Rahlu. - Denna skłoniła się głęboko. Odwróciła się ku Richardowi, twarz miała purpurową. Wsunęła chłopakowi palec pod brodę i lekko uniosła mu głowę.

- Nie zawiedź mnie, mój ukochany.

- Nigdy cię nie zawiodę, pani Denno. - Poszukiwacz się uśmiechnął. Richard uwolnił gniew, chciał go znowu poczuć. Patrzył, jak Denna odchodzi.

Był to gniew na nią, na to, co jej uczyniono. Nie myśl o problemie, skarcił się, myśl o rozwiązaniu. Spojrzał na Rahla Posępnego. Twarz tamtego była spokojna, nieprzenikniona. Chłopak postarał się, by i jego tak wyglądała.

- Zdajesz sobie sprawę, że chcę znać treść księgi.

- Zabij mnie.

- Tak ci spieszno do grobu? - Rahl się uśmiechnął.

- Tak. Zabij mnie. Tak samo, jak zabiłeś mojego ojca.

- Twojego ojca? - Rahl Posępny zmarszczył brwi, uśmiechnął się kpiąco. - Nie zabiłem twojego ojca, Richardzie.

- George Cypher! Zabiłeś go! Nie próbuj się wypierać! Zabiłeś go tym nożem, który nosisz u pasa!

- Oo, wcale nie zaprzeczam, że zabiłem George’a Cyphera. - Rahl rozłożył ręce w geście pozornej niewinności. - Lecz nie zabiłem twojego ojca.

- Jak to? Co ty mówisz? - Richarda aż zatkało.

Rahl obszedł chłopaka, patrząc mu w oczy, a Richard próbował kręcić głową, żeby go stale widzieć.

- Niezłe. O tak, naprawdę niezłe. Najlepsze, jakie widziałem. Sam Największy je rzucił.

- O czym mówisz?

Rahl znów oblizał czubki palców i zatrzymał się przed Richardem.

- O czarodziejskiej sieci wokół ciebie. Nigdy czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Otacza cię ciasno jak kokon. I to od dawna. Jest bardzo skomplikowana, tak że chyba nawet ja bym nie potrafił jej rozplatać.

- Jeśli usiłujesz mnie przekonać, iż George Cypher nie był moim ojcem, to się nie wysilaj, bo to ci się na pewno nie uda. Jeżeli zaś chcesz mi udowodnić, że jesteś szalony, to nie trać na to czasu, tyle to już wiem.

- Ależ drogi chłopcze. - Rahl się roześmiał. - Uważaj za ojca kogo tylko chcesz, nic mnie to nie obchodzi. Uwierz jednak że naprawdę otacza cię czarodziejska sieć i przesłania ci prawdę.

- Naprawdę? Niech ci będzie. Jeśli George Cypher nie był moim ojcem, to kto nim jest?

- Nie wiem. - Rahl wzruszył ramionami. - Tai to czarodziejska sieć. Mam jednak pewne podejrzenia co do tego. - Przestał się uśmiechać. - Co mówi Księga Opisania Mroków?

- O to pytasz? - Richard skrzywił się z niesmakiem. - Zawiodłem się na tobie.

- Jak to?

- Sądziłem, że zechcesz poznać imię starego czarodzieja, po tym, co uczynił temu bękartowi, twemu ojcu.

W oczach Rahla mignęła wściekłość; wolniutko oblizał koniuszki palców.

- Jak brzmi imię starego czarodzieja?

Tym razem to Richard się uśmiechnął. Szeroko rozłożył ramiona.

- Otwórz mi brzuch. Jest to wypisane w moich kiszkach. Musisz je z nich wyczytać.

Chłopak uśmiechnął się szyderczo. Wiedział, że jest bezbronny, i miał nadzieję, że Rahl go zabije. A wtedy księga umrze wraz z nim. Ani szkatuły, ani księgi. Rahl zginie. I Kahlan będzie wówczas bezpieczna. Tylko to się liczyło.

- Za tydzień pierwszy dzień zimy. Poznam imię czarodzieja, dosięgnę go, gdziekolwiek będzie, i zdobędę jego skórę.

- Za tydzień będziesz martwy. Masz tylko dwie szkatuły. Rahl oblizał czubki palców, przesunął nimi po wargach.

- Mam dwie, a trzecia podąża ku mnie.

Richard starał się nie wierzyć w te słowa i zachował kamienną twarz.

- Celna przechwałka. Ale kłamliwa. Za tydzień będziesz martwy.

- Powiedziałem prawdę. - Rahl uniósł brwi. - Zdradzono was. Ten, kto mi ciebie wydał, wydał mi i szkatułę. Dotrze tu za kilka dni.

- Nie wierzę ci - powiedział głucho Richard.

Rahl Posępny znów oblizał czubki palców i ruszył brzegiem piaszczystego kręgu.

- Nie? Więc coś ci pokażę.

Richard podszedł za nim do bloku białego kamienia, na którym dwóch żłobkowanych podpórkach leżała płaska granitowa płyta. Na samym jej środku stały dwie szkatuły Ordena. Jedna z nich była przebogato zdobiona klejnotami - zupełnie jak ta, którą chłopak już widział. Druga była czarna jak nocny kamień; ułamek mrocznej pustki w świetle ogrodu - prawdziwa szkatuła, bez ochronnej osłony.

- Dwie szkatuły Ordena - oznajmił Rahl, wskazując na nie. - Po cóż by mi była księga? Bez trzeciej szkatuły byłaby zupełnie bezużyteczna. Ty miałeś trzecią szkatułę. Powiedział mi to ten, kto cię zdradził. Po cóż bym pytał o księgę, gdybym nie czekał na szkatułę? Raczej bym ci otworzył brzuch, żeby się dowiedzieć, gdzie jest trzecia szkatuła.

- Kto wydał i mnie, i szkatułę? - Richard drżał z gniewu. - powiedz kto.

- Bo co? Bo rozetniesz mi brzuch i wyczytasz to imię z moich jelit? Nie zdradzę imienia tego, który mi pomógł. Nie tylko ty masz swój honor.

Chłopak nie wiedział, w co wierzyć. Rahl miał rację co do jednego. Nie potrzebowałby księgi, gdyby nie miał trzech szkatuł. Ktoś go faktycznie wydał Rahlowi. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

- Zabij mnie - powiedział słabym głosem Richard i odwrócił się. - I tak ci nie powiem. Równie dobrze możesz mi otworzyć brzuch.

- Najpierw musisz mnie przekonać, że mówisz prawdę. Może oszukujesz, że znasz całą treść księgi. A nuż przeczytałeś tylko pierwszą stronicę i spaliłeś resztę albo zmyśliłeś ów fragment.

Chłopak skrzyżował ramiona i obejrzał się nań przez ramię.

- A niby dlaczego miałbym to zrobić?

- Sądziłem, że jesteś przywiązany do Spowiedniczki Kahlan, że cię obchodzi jej los. Jeśli mnie nie przekonasz, że mówisz prawdę, to otworzę jej brzuch i obejrzę

wnętrzności, sprawdzę, czy tam się nie kryje odpowiedź.

- Popełniłbyś największą pomyłkę w swoim życiu. - Richard spojrzał nań groźnie. - Potrzebujesz Kahlan, żeby potwierdziła prawdziwość tekstu księgi. Nie będzie mogła tego uczynić, jeżeli ją zabijesz.

- To ty tak twierdzisz. - Rahl wzruszył ramionami. - A niby skąd mam wiedzieć, że naprawdę znasz tekst księgi? Może Kahlan powie, że to nieprawda?

Richard nic nie odpowiedział; myśli kłębiły mu się bezładnie. Myśl o rozwiązaniu, skarcił się, nie o problemie.

- Jak zdjąłeś osłonę tej szkatuły, skoro nie masz księgi?

- Księga Opisania Mroków nie stanowi jedynego źródła informacji o szkatułach. Są i inne, z których skorzystałem. - Rahl popatrzył na czarną skrzyneczkę. - Potrzebowałem całego dnia i wszystkich moich zdolności, żeby usunąć z niej okrywę. - Podniósł wzrok na Richarda, uniósł brew. - Scalała ją magia, ale sobie poradziłem i poradzę sobie z tamtymi dwiema.

To niedobrze, że Rahl potrafi zdjąć osłonę. Trzeba usunąć osłonę, żeby otworzyć szkatułę. Chłopak cały czas miał nadzieję, że Rahl, pozbawiony księgi, nie zdoła usunąć okrywy i nie będzie mógł otworzyć szkatuły. Teraz owa nadzieja się rozwiała. Richard spojrzał pustym wzrokiem na skrzącą się klejnotami szkatułę.

- Dwunasta stronica Księgi Opisania Mroków, nagłówek Odrzucanie osłon. Tekst brzmi: Osłony szkatuł może usunąć każdy, kto ma odpowiednią wiedzę, nie zaś tylko ten, kto ogłosił się ich panem. - Chłopak sięgnął po skrzącą się klejnotami szkatułę. - Siedemnasta stronica, trzeci akapit od dołu: Jednakowoż gdybyś chciał usunąć osłonę z drugiej szkatuły nie w mrokach nocy, a w godzinach panowania słońca, to musisz uczynić dokładnie tak, jak to tutaj napisano. Trzymaj szkatułę tak, aby padał na nią słoneczny blask, i zwróć się twarzą ku północy. Jeśliby zaś chmury skrywały niebiosa, to trzymaj szkatułę tam, gdzie słońce by na niej spoczęło, gdyby nie skrywały go obłoki, lecz zwróć się twarzą ku zachodowi. - Richard uniósł szkatułę tak, by oświetliły ją promienie chylącego się ku zachodowi słońca. - Obróć szkatułę tak, aby krótszy jej bok, ten z błękitnym kamieniem, kierował się ku słońcu. Żółty kamień ma się znaleźć na wierzchu. - Chłopak odpowiednio ustawił skrzyneczkę. - Teraz połóż serdeczny palec prawej dłoni na żółtym kamieniu, osadzonym pośrodku wierzchniej części szkatuły, zaś kciuk prawicy złóż na jasnym kamieniu w narożu spodniej części. - Richard uchwycił skrzyneczkę, jak należało. - Połóż wskazujący palec lewej dłoni na błękitnym kamieniu tkwiącym w przeciwległym do ciebie boku

szkatuły, zaś kciuk lewicy złóż na rubinowym kamieniu osadzonym w ściance najbliższej tobie. - Richard tak zrobił. - Oczyść swój umysł z wszelakich myśli i spojrzyj wewnętrznym okiem na białą gładź naznaczoną pośrodku czworokątem czerni. Odsuń dłoń prawą od lewej, zarazem zdejmując okrywy.

Rahl patrzył uważnie. Richard oczyścił umysł, wyobraził sobie biel z czernią pośrodku i pociągnął. Osłona brzęknęła i puściła. Chłopak ostrożnie zniżył dłonie tuż nad granitową płytę i zsunął na nią drugą szkatułę jak na patelnię. Leżały obok siebie dwie bliźniacze, czarne skrzyneczki; wydawało się, że mogłyby wchłonąć wypełniający komnatę blask.

- Nadzwyczajne - szepnął Rahl. - I całą treść księgi znasz równie dobrze?

- Każde słowo. - Richard spiorunował go wzrokiem. - Ten fragment wcale ci nie ułatwi usunięcia osłony z trzeciej szkatuły. Każdą osłonę zdejmuje się odmiennie.

- Nie szkodzi. - Rahl machnął ręką. - Poradzę sobie. - Oparł łokieć na dłoni, przytknął palec wolnej ręki do brody, rozmyślał nad czymś. - Możesz odejść wolno.

- Co masz na myśli? - Richard się zmarszczył. - Nie masz zamiaru wydusić ze mnie treści księgi? Nie zabijesz mnie?

- Nic by mi to nie dało. - Rahl wzruszył ramionami. - Moje sposoby zdobywania informacji uszkodziłyby twój mózg. I cała jego zawartość mogłaby się rozpaść na chaotyczne strzępy. W każdym innym wypadku poskładałbym tę łamigłówkę i domyślił się prawidłowej treści, lecz księga jest zbyt szczególna. Tylko zniszczyłbym zawarte w twoim mózgu informacje i nie miał z nich żadnego pożytku. Nie jesteś mi teraz potrzebny, więc możesz odejść.

Richard był zaniepokojony. Na pewno coś się za tym kryło.

- Mogę odejść? Ot, tak sobie? Chyba wiesz, że spróbuję cię powstrzymać.
Rahl oblizał koniuszki palców. Spojrzał na chłopaka.

- Nie martwi mnie nic, co mógłbyś zrobić. Musisz tu jednak wrócić za tydzień, kiedy będę otwierać szkatuły. Chyba że cię nie obchodzi, co się może wówczas zdarzyć.

Chłopak przymrużył oczy.

- Co to znaczy?

- Za tydzień, pierwszego dnia zimy, otworzę jedną ze szkatuł.

Ze źródeł innych niż Księga Opisania Mroków, to z nich wiedziałem, jak usunąć pierwszą osłonę, dowiedziałem się, jak poznać, która szkatuła mnie zabije. Resztę muszę zgadywać. Jeśli otworzę właściwą szkatułę, to zyskam absolutną

władzę, jeżeli nie - zginie świat.

- I gotów byłbyś zaryzykować zniszczenie świata? Rahl nachylił się ku chłopakowi, uniósł brwi.

- Świat lub zagląda świata. Tak się stanie.

- Nie wierzę ci. Nie wiesz, która szkatuła cię zniszczy. - Nawet jeśli kłamię, to i tak mam dwie możliwości z trzech. Ty zaś tylko jedną. Sam widzisz, że mam nad tobą przewagę. Lecz nie kłamię. Albo będę władać światem, albo świat zginie. Musisz zdecydować, którą ewentualność wolisz. Jeśli mi nie pomożesz i otworzę niewłaściwą szkatułę, to oddam Kahlan Konstancji. Na długą, staranną tresurę. A ty będziesz na to patrzył, dopóki cię nie zabiję. Potem Kahlan urodzi mi syna, syna, który będzie Spowiednikiem.

Straszliwy ból sparaliżował Richarda, ból o wiele gorszy od tego, który zsyłała nań Denna.

- Czyżbyś chciał ze mną zawrzeć jakiś układ? Rahl przytaknął.

- Jeżeli wrócisz na czas i pomożesz mi, to będziesz żył w spokoju. Nie tknę cię.

- A Kahlan?

- Zostanie tu, w Pałacu Ludu, i będzie traktowana jak królowa. Będzie miała wszystko, o czym można zamarzyć. Będzie żyła w warunkach, do których przywykła jako Spowiedniczka. Ty nigdy byś jej tego nie zapewnił. Otoczę ją spokojem i bezpieczeństwem i urodzi mi syna Spowiednika, którego pragnę. Tak czy tak urodzi mi syna. Tak postanowiłem. To mój wybór. Od ciebie zaś zależy, czy Kahlan będzie królową, czy zwierzątkiem Konstancji. Rozumiesz? Sądzę, że wrócisz. A jeślibym się mylił... - Wzruszył ramionami. - Świat lub zagłada świata.

Richard z trudem łapał oddech.

- Nie sądzę, że wiesz, która szkatuła cię zniszczy.

- Twoja sprawa, w co wierzysz. Nie mam ochoty cię przekonywać. - Rahl spochmurniał. - Mądrze wybierz, młody przyjacielu. Może ci się nie podoba wybór, który ci dałem. Lecz wiedz, że jeszcze mniej ci się spodoba to, co cię czeka, jeśli mi nie pomożesz. W życiu nie zawsze wybierasz spośród przyjemnych możliwości, lecz dokonujesz wyboru, bo nie masz innego wyjścia. Tak i teraz nic innego ci nie zaoferuję. Niekiedy trzeba wybrać to, co jest lepsze dla ludzi, których kochamy, niż dla nas.

- Wciąż nie wierzę, iż wiesz, która szkatuła cię zabije - szepnął Richard.

- Wierz sobie, w co chcesz, ale dobrze się zastanów, czy warto na tej podstawie ryzykować przyszłość Kahlan. Nawet jeślibym kłamał, to i tak miałbyś tylko jedną szansę na trzy.

- Czy mogę teraz odejść? - spytał chłopak; czuł się okropnie.

- Jest jeszcze parę spraw, które powinniśmy sobie wyjaśnić.

Richard nagle stracił możliwość ruchu, zupełnie jakby go unieruchomiły niewidzialne dłonie. Stał jak sparaliżowany. Rahl Posępny sięgnął chłopakowi do kieszeni i wyciągnął stamtąd skórzany mieszek z nocnym kamieniem. Richard starał się przezwyciężyć ów dziwny paraliż, ale mu się nie udało.

Zaczęły się materializować cienie. Zbierały się wokół Rahla, wciąż ich przybywało. Chłopak najchętniej by się odsunął, lecz wciąż nie mógł się poruszyć.

- Czas do domu, przyjaciele.

Cienie zaczęły wirować wokół Rahla, ich krąg wirował coraz szybciej i szybciej, aż ich sylwetki zlały się w jedną szarą plamę.

Z wyciem zniknęły w nocnym kamieniu. Cisza. Ani jednego cienia. Nocny kamień rozsypał się w popiół. Rahl chuchnął na dłoń - i po kamieniu nie został ślad.

- Starzec cię odnajdywał poprzez ten kamień. Następnym razem spotka go niemiła niespodzianka. Znajdzie się w zaświatach.

Richard był wściekły na Rahla Posępnego za ową niespodziankę dla Zedda i złościło go, że nadal nie może się poruszyć, a może tylko bezsilnie stać i patrzeć. Uspokoił swoje myśli, stał się miękki, niemal wiotki. Paraliżująca go moc zniknęła. Chłopak postąpił o krok, a nic go nie powstrzymało.

- Znakomicie, mój chłopcze. - Rahl uśmiechnął się ciepło. - Wiesz, jak przełamać zaklęcie; przynajmniej takie słabe. Ale to i tak dużo. Starzec wspaniale wybiera Poszukiwaczy. - Pokiwał głową. - Lecz ty jesteś kimś więcej. Masz dar. Z przyjemnością oczekuję dnia, kiedy się znajdziemy po tej samej stronie. Z radością cię powitam u siebie. Ci, z którymi mam do czynienia, są bardzo ograniczeni. Nauczę cię wielu rzeczy, jeśli tego zechcesz, kiedy świat się połączy w jedno.

- Nigdy się nie znajdziemy po tej samej stronie. Nigdy.

- To twoja decyzja, Richardzie. Nie życzę ci źle. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. - Rahl wpatrywał się w twarz chłopaka. - Jeszcze jedno. Możesz zostać w Pałacu Ludu lub odejść stąd, jeśli taka twoja wola. Straże ci w tym nie przeszkodzą. Wiedz jednak, że rzucę na ciebie zaklęcie. Nie podziała ono bezpośrednio na ciebie, jak to, które przed chwilą przełamałeś, lecz na tych, którzy na ciebie spojrzą, i dlatego

nie zdołasz go złamać. Będą w tobie widzieć wroga. Wszyscy. Nawet twoi sprzymierzeńcy zobaczą w tobie nieprzyjaciela. Natomiast dla tych, którzy są po mojej stronie, pozostaniesz sobą, bo jesteś w tej chwili nieprzyjacielem moim, a więc ich także. Przynajmniej na razie. Za to dla twoich przyjaciół będziesz uosabiał ich najgorszego wroga. Chcę, żebyś spojrzał na świat moimi oczami, poznał, co myślą o mnie ludzie, zrozumiał, jak niesprawiedliwie mnie oceniają.

Richard nie musiał powstrzymywać gniewu, bo w ogóle go nie poczuł. Jedynie osobliwy spokój.

- Czy teraz mogę odejść?

- Oczywiście, mój chłopcze.

- A co z panią Denną?

- Jak tylko opuścisz tę komnatę, znów znajdziesz się we władzy Denny. Ona wciąż kontroluje magię twego miecza. Kiedy Mord-Sith zapanuje nad czyjąś magią, to już na zawsze. Nie mogę jej tego odebrać. Sam musisz to zrobić.

- Jak więc mogę stąd odejść?

- Przecież to jasne. Musisz zabić Denne, jeżeli chcesz sta odejść.

- Zabić ją! - Richard osłupiał. - Myślisz, że bym tego dawno nie zrobił, gdybym mógł? Że znosiłbym te wszystkie cierpienia gdybym mógł ją zabić?

- Zawsze ją mogłeś zabić. - Rahl uśmiechnął się leciutko

- Jak to?

- Wszystko, co istnieje, ma dwie strony. Nawet cieniutka kartka papieru. Także i magia. Patrzyłeś na to tylko od jednej strony; większość ludzi tak robi. Spójrz na całość. - Rahl wskazał na ciała strażników zabitych przez Richarda. - Denna kontroluje twoją magię, a przecież ich zabiłeś.

- To co innego. Na nianie podziała.

- Musisz w pełni zapanować nad magią. Wszelkie półśrodki tylko ci przysporzą kłopotów. Denna kontroluje tylko jedną stronę, jeden wymiar twojej magii: tę stronę, którą sam jej wydałeś. Ty zaś musisz się posłużyć drugą stroną, drugim wymiarem swojej magii. Wszyscy Poszukiwacze mieli taką możliwość, lecz żaden z nich nie potrafił tego dokonać. Może tobie pierwszemu się to uda.

- A jeśli nie? Jeśli nie zapanuję nad drugą stroną mojej magii? - Chłopak czuł się nieswojo. Rahl za bardzo przypominał Zedda. To metoda Zedda: myśl samodzielnie, sam znajdź rozwiązanie.

- Wtedy czeka cię bardzo ciężki tydzień, mój młody przyjacielu. Dennie wcale

się nie spodobało, że ją tak wystawiłeś. Po tygodniu przyprowadzi cię do mnie i powiesz, na co się zdecydowałeś: czy mi pomożesz, czy też skażesz swoich przyjaciół na cierpienia i śmierć.

- Powiedz mi, jak zapanować nad magią miecza.

- Ależ oczywiście. Lecz najpierw przekaż mi wiedzę zawartą w Księdze Opisania Mroków. - Rahl się uśmiechnął. I pamiętaj: za tydzień.

Richard opuścił ogród Rahla Posępnego. Słońce zachodziło. Chłopak intensywnie rozmyślał o tym, czego się dowiedział. Niepokoiło go, że Rahl wiedział, która szkatuła przyniesie mu śmierć. A może tylko wypróbowuje na mnie pierwsze prawo magii, pocieszał się chłopak. Gorzej, że zdradził ktoś ze swoich. To się Richardowi ani trochę nie podobało. A jeszcze mniej mu się podobało to, co podejrzewał. Shota go ostrzegała, że Zedd i Kahlan użyją swej mocy przeciwko niemu. Więc to musiał być Zedd lub Kahlan. Rozmyślał nad tym i rozmyślał, bez skutku. To nie mogło być żadne z nich, a przecież musiało. Richard kochał obydwoje ponad życie. Zedd mu tłumaczył, że powinien ich zabić (jego i Kahlan lub tylko jedno z nich), gdyby mogli zaprzepaścić zwycięstwo. Zabić również wtedy, gdy tylko podejrzewał, że któreś z nich może zaprzepaścić zwycięstwo. Chłopak odepchnął od siebie owe myśli.

Teraz musi obmyślić, jak się wyzwolić od Denny. Jeśli to mi się nie uda, dumał chłopak, to cała reszta i tak nie ma znaczenia, w niczym im nie pomogę. Nie czas na zastanawianie się nad innymi problemami. Jeżeli raz dwa nie wymyślę, jak się od niej uwolnić, to znów się zacznie nade mną znęcać i wkrótce w ogóle nie będę mógł myśleć. Będę cierpieć i zapomnę o wielu sprawach, może nawet o wszystkim. Najpierw trzeba się uwolnić od Denny, potem przyjdzie kolej na inne sprawy.

Miecz, myślał Richard, Denna panuje nad magią miecza. Nie potrzebuję miecza, może mógłbym się go pozbyć i tym samym umknąć spod władzy tej magii. Sięgnął do gardy miecza, lecz magiczny ból nie pozwolił mu jej nawet dotknąć.

Richard szedł w kierunku kwatery Denny. Czekała go jeszcze długa droga. A może by tak skręcić w inną stronę, opuścić Pałac Ludu. Rahl Posępny powiedział, że żaden ze strażników mnie nie zatrzyma, pomyślał chłopak. Na kolejnym skrzyżowaniu korytarzy spróbował zmienić kierunek. Ból powalił go na kolana. Z największym trudem zdołał wrócić do właściwego korytarza. Musiał się zatrzymać i odpocząć, ledwo oddychał.

Gdzieś blisko zabrzmiał dzwon zwołujący na modły. Powinienem tam pójść,

uznał Richard, zyskam czas na zastanowienie się. Ukląkł, a tym razem magiczny ból się nie pojawił. Było to jedno z tych miejsc, w których czarna skałka tkwiła w wodzie. Richard lubił je najbardziej, bo były spokojne i ciche. Chłopak znalazł się tuż nad skrajem wody. Ukląkł wraz ze wszystkimi, dotknął czołem posadzki i zaczął śpiewać. Oczyścił swój umysł ze strachów, trosk, niepokojów. Odpędził wszelkie problemy. Pozwolił, by w jego umyśle zapanował spokój, by jego umysł wędrował swoimi drogami. Modły trwały mgnienie oka - tak się przynajmniej Richardowi zdawało. Wstał wypoczęty, pokrzepiony, silniejszy i ruszył ku kwaterze Denny.

Znów mijał przepiękne komnaty, korytarze i schody i przyglądał się im z podziwem i zachwytem. Zastanawiał się, jak to możliwe, że ktoś tak zły jak Rahl Posępny zadbał o to, żeby żyć w tak wspaniałym i pięknym otoczeniu.

Nic nie jest jednowymiarowe. Dwie strony magii.

Richard rozmyślał o owych chwilach, kiedy się w nim budziła dziwna moc. Kiedy współczuł księżniczce Violet, kiedy żołnierz królowej Mileny chciał zranić Denne, gdy pomyślał, że Rahl skrzywdzi Kahlan, i wreszcie kiedy strażnicy Rahla chcieli zabić Denne. Pamiętał, że za każdym razem część pola widzenia była biała. Wiedział, że za każdym razem była to magia miecza. Lecz w przeszłości z ową magią łączył się gniew. Odmienny rodzaj gniewu. Rozmyślał o tym, co czuł, kiedy w gniewie dobywał miecza. Oburzenie, furia, pasja, szał, żądza mordu.

Nienawiść.

Richard stanął jak wryty pośrodku cichego holu. Było już późno, ludzie zniknęli. Był sam. Oblała go fala chłodu, wywołując gęsią skórkę.

Dwie strony. Zrozumiał.

Brońcie mnie, dobre duchy, zrozumiałem.

Zbudził ową moc, pozwolił, by okryła wszystko bielą.

Okolony bielą magii Richard zamknął za sobą drzwi komnaty Denny. Spokojnie panował nad mocą, nad jej bielą, nad jej radością i smutkiem. W cichej komnacie paliła się tylko jedna lampa na stoliku przy łożu, a w słodko pachnącym powietrzu migotał ciepły blask. Denna, zupełnie naga, siedziała pośrodku łoża. Włosy miała rozplecione, nogi skrzyżowane. Agiela zawiesiła na szyi, na złotym łańcuszku. Dłonie wspierała na kolanach. Patrzyła na chłopaka wielkimi, smutnymi oczami.

- Przyszedłeś mnie zabić, mój ukochany? - szepnęła. Wolno skinął głową, patrząc na Mord-Sith.

- Tak, pani.

- Po raz pierwszy powiedziałeś do mnie po prostu „pani”. - Uśmiechnęła się leciutko. - Zawsze mnie nazywałeś „pani Denno”. Czy to coś oznacza?

- Tak. To oznacza wszystko, moja partnerko. Oznacza, że wszystko ci wybaczyłem.

- Przygotowałam się.

- Dlaczego jesteś naga?

Światło lśniło w wilgotnych oczach Denny.

- Bo mam tylko stroje Mord-Sith. Nie mam nic innego. Nie chcę umierać w stroju Mord-Sith. Chcę umrzeć taka, jaka się urodziłam. Denna. I nic więcej.

- Rozumiem - szepnął. - Skąd wiedziałaś, że przyszedłem cię zabić?

- Kiedy mistrz Rahl mnie wybrał, powiedział, że nie może mi rozkazać, żebym cię ścigała i ujęła, że muszę się sama na to zdecydować. Powiedział, że przepowiednie głoszą nadejście Poszukiwacza, który jako pierwszy opanuje magię miecza, białą magie. Poszukiwacza, który sprawi, że ostrze miecza stanie się białe. Uprzedził mnie, że jeżeli to ty się okażesz owym zapowiedzianym Poszukiwaczem, to zginę z twojej ręki, jeśli tak postanowisz. Poprosiłam, żeby mnie wysłał, chciałam zostać twoją Mord-Sith. Robiłam ci to, czego wcześniej nie zrobiłam nikomu, bo miałam nadzieję, że się okażesz tym przepowiedzianym i zabijesz mnie. Podejrzewałam, że nim jesteś, kiedy ukarałeś księżniczkę Violet. Kiedy dzisiaj zabiłeś obu strażników, byłam tego pewna. Nie powinieneś być do tego zdolny, bo trzymałam cię wtedy pod władzą magii miecza.

Dziecinnie piękna buzia Denny, a wokół czysta biel.

- Tak mi przykro, Denno - szepnął Richard.

- Będziesz o mnie pamiętać?

- Przez resztę życia będą mnie dręczyć koszmary. Uśmiechnęła się szeroko.

- Cieszę się. - Była naprawdę dumna. - Kochasz tę kobietę, tę Kahlan?

- Skąd wiesz? - Chłopak lekko się zachmurzył.

- Czasem, kiedy zadaję mężczyznom wielki ból i już nie wiedzą, co mówią, to wołają swoje matki lub żony. Ty wołałeś Kahlan. Wybrałbyś ją na swoją partnerkę?

- Nie mogę - odparł ze ściśniętym gardłem. - Jest Spowiedniczką. Jej moc by mnie zniszczyła.

- Tak mi przykro. Czy to ci sprawia ból?

- Większy niż to, co ty mi uczyniłaś.

- To dobrze. - Denna uśmiechnęła się smutno. - Cieszę się, że ta, którą

kochasz, potrafi ci zadać więcej bólu niż ja.

Richard wiedział, że chciała go w ten sposób pocieszyć i że ciesząc się z tego, iż ktoś może mu zadać więcej bólu niż ona, dawała wyraz swojej do niego miłości. Wiedział, że Denna zadawała mu czasem ból po to, by mu okazać, iż go kocha. Uważała więc, że i Kahlan okazuje mu swą miłość, zadając ból.

Łza stoczyła się po policzku Richarda. Cóż oni uczynili temu biednemu dziecku?

- To odmienny rodzaj bólu. Nikt ci nie dorówna w tym, co czyniłaś. Twarz Denny zwilżyły łzy dumy.

- Dziękuję, mój ukochany - szepnęła. Zdjęła z szyi Agiela i podała chłopakowi. - Czy zechcesz go nosić na pamiątkę po mnie? Nie będzie cię ranił, jeżeli go zawiesisz na szyi ani gdy będziesz trzymał za łańcuszek. Zaboli tylko wtedy, kiedy weźmiesz Agiela w dłoń.

Richard otoczył jej twarz jaśniejącą białą poświatą.

- To będzie dla mnie zaszczyt, moja partnerko. Pochylił się, pozwolił, żeby Denna sama zawiesiła mu bicz na szyi. Pozwolił się pocałować w policzek.

- Jak to zrobisz?

Wiedział, o co pyta. Gardło miał ściśnięte. Położył dłoń na rękojeści miecza.

Powoli dobył Miecza Prawdy. A miecz nie zadźwięczał, jak zawsze przedtem to czynił.

Zasyczał. Syk rozpalonego do białości żaru.

Richard nie spojrzał nań, lecz i tak wiedział, że ostrze jest teraz białe. Wpatrywał się w wilgotne oczy Denny. Wypełniała go moc. Napełniał go spokój. Zniknął gniew, zniknęła nienawiść, zniknęła uraza i niechęć. Miejsce owych uczuć zajęła miłość. Miłość do owego dziecka, które inni przepoili bólem i okrucieństwem, do owej niewinnej i udręczonej duszy, do tej istoty, którą nauczono czynić to, czego nienawidziła ponad wszystko: dręczyć, torturować innych. Cierpiał z żalu i smutku, z miłości do niej.

- Przecież mogłabyś mi pozwolić odejść, Denno - szepnął. - Nie muszę cię zabijać. Pozwól mi odejść, proszę. Nie zmuszaj mnie do tego.

Uniosła dumnie brodę.

- Jeśli spróbujesz odejść, to cię zatrzymam magicznym bólem i pożałujesz, ze miałam przez ciebie kłopoty. Jestem Mord-Sith. Jestem twoją panią. Nie mogę być nikim więcej, tylko tym, kim jestem. A ty, mój partnerze, nie możesz być nikim

mniej.

Przytaknął ze smutkiem. Oparł czubek miecza pomiędzy piersiami Denny, łzy i biały żar magii mąciły mu wzrok.

Mord-Sith ujęła ostrze i przesunęła parę cali w górę.

- Tu bije moje serce, ukochany.

Richard nachylił się i czule objął Denne lewym ramieniem. Pocałował ją w policzek Stanowił jedno z ową dziwną mocą.

- Nigdy nie miałam takiego partnera jak ty, Richardzie - szepnęła Denna. - I cieszę się, że już nie będzie innego. Jesteś bardzo szczególną osobą. Ty jeden, od czasu kiedy mnie wybrano na Mord-Sith trapiłeś się o to, ze cierpię, i chciałeś mi tego oszczędzić. Dzięki za ostatnią noc, za to że mi pokazałeś, jak by to mogło być.

Zapłakał. Mocniej ją przytulił.

- Przebacz mi, moja miłości.

- Wszystko ci wybaczam. - Uśmiechnęła się. - Dzięki że powiedziałeś „moja miłości". Jakie to szczęście, móc to usłyszeć przed śmiercią, i to mówione szczerze. Obróć mieczem żeby mieć pewność. I weź mój ostatni oddech, Richardzie, dobrze? Tak jak cię uczyłam. Tak bym chciała, żebyś wziął mój ostatni oddech.

Richard dotknął ust Denny i pocałował ją, nawet nie poczuł, kiedy jego prawa dłoń pchnęła miecz. Nie było żadnego oporu. Ostrze przesz o przez Denne jak przez mgłę. Chłopak obrócił miecz i przyjął ostatni oddech Mord-Sith.

Potem ostrożnie ułożył ją na łożu, położył się przy niej i łkał niepohamowanie, gładząc białą twarz dziewczyny

Gorąco pragnął cofnąć to, co uczynił.

Rozdział czterdziesty czwarty

Późną nocą Richard opuścił komnatę Denny. Wszędzie było pusto, snuły się tylko migotliwe cienie. Kroki chłopaka odbijały się echem od kamiennych posadzek i ścian. Szedł w ponurym oszołomieniu, patrząc, jak jego cień kręci się wokół niego, kiedy mijał pochodnie. Nieco otuchy dodawał chłopakowi plecak na ramionach i to, że opuszczał Pałac Ludu. Nie miał pojęcia, dokąd pójdzie, lecz ogromnie chciał stąd odejść.

Zatrzymało go dźgnięcie Agielem w plecy; ból zapierający oddech, pot ściekający po twarzy. Ogień palący biodra i nogi.

- Wybierasz się dokądś? - szepnął okrutny głos. Konstancja.

Spróbował sięgnąć miecza trzęsącą się ręką. Patrzyła nań i śmiała się. Ostrzegawcza myśl - zdobędzie władzę nad jego magią i cały koszmar zacznie się na nowo. Richard cofnął dłoń i zapanował nad magicznym gniewem. Konstancja stanęła przed nim, lecz nie cofnęła Agiela od pleców chłopaka. Tkwił tam i odbierał Richardowi władzę w nogach. Ubrana była w czerwony skórzany strój.

- Nie? Jeszcze nie skierujesz ku mnie swojej magii? Zrobisz to. Już niedługo, żeby się ocalić. - Uśmiechnęła się. - Posłuż się nią teraz, jeśli chcesz sobie oszczędzić dodatkowego bólu. Może się nad tobą ulituję, jeśli się nią teraz posłużysz.

Richard przypomniał sobie wszystkie sposoby, jakimi Denna zadawała mu ból i jak go uczyła znosić ów, żeby mogła mu zadawać jeszcze większe cierpienia. Przypomniał sobie wszystko, czego się nauczył. Zapanował nad bólem, zmniejszył go na tyle, że mógł głęboko zaczerpnąć powietrza.

Otoczył Konstancję lewym ramieniem i mocno przycisnął do siebie. Prawą dłonią złapał Agiela Denny. Ból przeszył mu rękę. Chłopak przyjął ów ból, zapanował nad nim, odpędził go. Podciągnął Konstancję w górę. Próbowała mocniej wcisnąć swój bicz w plecy Richarda, lecz nie dała rady, gdyż chłopak blokował jej ramię. Uniósł ją tak, że wykrzywiona twarz Konstancji znalazła się na wysokości jego twarzy, i przycisnął Agiela Denny do piersi Mord-Sith. Szeroko otworzyła oczy. Zwiotczała. Richard pamiętał, że Denna właśnie tak dotknęła Agielem królową Milenę. Konstancja zareagowała tak samo, jak wtedy Milena. Trzęsła się i coraz słabiej wciskała Agiela w plecy chłopaka. Lecz i tak sprawiał mu ból, podobnie jak Agiel w prawej dłoni. Richard zacisnął zęby i nie poddawał się cierpieniu.

- Nie mam zamiaru zabić cię mieczem. Wpierw musiałbym ci wszystko wybaczyć. Nigdy, przenigdy nie potrafiłbym ci wybaczyć, że zdradziłaś przyjaciółkę.

Mógłbym ci wybaczyć to, co mi uczyniłaś, lecz nie wybaczę tego, co zrobiłaś Dennie, swojej przyjaciółce Dennie. Tego nigdy, przenigdy nie wybaczę.

- Proszę... - szepnęła porażona bólem i strachem Konstancja.

- Obiecane... - zadrwił Richard.

- Nie... Czyń... Tego... Proszę...

Richard poruszył Agielem, jak wtedy Denna. Konstancja drgnęła i zwisła bezwładnie na jego ramieniu. Krew popłynęła jej z uszu. Chłopak pozwolił, by wiotkie ciało ześliznęło się na posadzkę.

- Dotrzymane.

Długo patrzył na zaciśniętego w pięści Agiela, zanim zdał sobie sprawę, że to stąd płynie ból. Puścił go w końcu i narzędzie znów zawisło na łańcuszku okalającym szyję chłopaka. Richard popatrzył na martwą Mord-Sith. Odpoczywał. Dzięki, Denno, że nauczyłaś mnie, jak znosić ból. Uratowałaś mi życie.

Niemal godzinę krążył po labiryncie korytarzy, zanim wyszedł w lodowatą noc na zewnątrz. Kiedy mijał strażników stojących przy otwartej bramie w zewnętrznych murach, położył dłoń na rękojeści miecza, ale oba wielkoludy uprzejmie skinęły głowami, jakby Richard był gościem, który opuszcza Pałac Ludu po wieczerzy z władcą.

Chłopak zatrzymał się i zapatrzył na ziemię pod migocącymi gwiazdami. Jakie to szczęście znów widzieć gwiazdy! Rozejrzał się wokół. Pałac Ludu, otoczony potężnymi murami, stał na rozległym płaskowyżu, górującym nad bezkresnymi równinami. Na owe równiny prowadziła droga, biegnąca zakosami, wycięta w wysokim na setki stóp urwisku.

- Konia, panie?

Richard okręcił się na pięcie. To pytał jeden z wartowników.

- Słucham?

- Pytałem, czy chciałbyś konia, panie. Odchodzisz stąd. A droga długa.

- Jaka droga?

- Równiny Azrith. - Strażnik skinął głową w stronę urwiska - Patrzysz na zachód, za równiny Azrith. To długa droga. Chcesz konia?

Richard się zirytował. Rahla tak niewiele obchodziło, co on zrobi, że chciał mu dać konia!

- Tak, chciałbym konia.

Żołnierz zagwizdał serię krótkich i długich sygnałów do drugiego strażnika na

murze. Chłopak usłyszał, jak kolejne gwizdki powtarzają krótsze sygnały. Strażnik wrócił na posterunek.

- Zaraz ci go przywiodą, panie.

- Daleko stąd do gór Rang Shada?

- Gdzie konkretnie? - Żołnierz się nieco skrzywił. - One się ciągną spory kawałek.

- Na północny zachód od Tamarang. Tam, gdzie się najbardziej zbliżają do miasta.

Strażnik z namysłem poskrobał się po brodzie.

- Jakieś cztery, może pięć dni. - Spojrzał na kolegę. - Jak ci się zdaje?

- Jeżeli będzie pospieszał, jechał dzień i noc, i często zmieniał konie, to może z pięć dni. - Wzruszył ramionami tamten. - Ale wątpię, żeby dojechał za cztery.

Richarda ogarnęło przygnębienie. Nic dziwnego, że Rahl pozwolił mu na konia. Niby dokąd miałby pojechać? Michael z wojskiem z Westlandu był w Rang Shada, cztery, pięć dni drogi stąd. Przez tydzień nie dotrze tam i z powrotem, nie zdąży wrócić na pierwszy dzień zimy.

Za to Kahlan powinna być bliżej. Rahl wysłał po nią dwie bojówki i tego człowieka z czarnym pasmem we włosach. Co ona robiła tak blisko stąd? Rozgniewał się na Chase’a: dlaczego nie słuchał jego poleceń? Dlaczego nie trzymał ich z dala od Pałacu Ludu? Gniew zniknął. Ja też bym nie potrafił usiedzieć spokojnie i nie sprawdzić, co się przydarzyło przyjacielowi, pomyślał chłopak. Może już nie byli w górach, lecz szli tutaj? Ale na co się tu przyda wojsko? Dziesięciu zuchów mogłoby się tu opierać całej armii przez dobry miesiąc.

Z bramy wyjechało dwóch żołnierzy w pełnym bojowym uzbrojeniu, wiodąc trzeciego konia.

- Czy życzysz sobie eskortę, panie? - spytał strażnik. - To dobrzy żołnierze.

- Nie. - Richard spojrzał nań surowo. - Pojadę sam. Strażnik dał tamtym znak, żeby odjechali.

- Pojedziesz na południowy zachód? - Chłopak nie odpowiedział, więc tamten mówił dalej. - Tamarang. Ten odcinek Rang Shada, o który pytałeś. To na południowy zachód. Mogę coś doradzić, panie?

- Mów - przyzwolił ostrożnie Richard.

- Jeśli pojedziesz przez równiny Azrith, to nad ranem dotrzesz do skalnego rumowiska wśród stromych wzgórz. W głębokim wąwozie droga się rozgałęzia. Skręć

w lewo.

- Dlaczego? - spytał chłopak, przymrużając oczy.

- Bo na prawo jest smok. Czerwony smok. Złośliwy czerwony smok. Smok władcy Rahla.

Richard dosiadł konia i spojrzał na strażnika.

- Dzięki za radę. Zapamiętam ją sobie.

Skierował konia na stromą drogę, biegnącą zakosami stromym brzegiem płaskowyżu. Za jednym z zakrętów zobaczył podniesiony zwodzony most. Opuszczono go, zanim dojechał, więc Richard nie zwolnił ani na chwilę. Wiedział już, że tylko tą drogą można się było dostać na płaskowyż, a owa przepaść, spięta zwodzonym mostem, stanowiłaby świetną zaporę dla każdej armii. Samo umiejscowienie wspaniale chroniło Pałac Ludu przed wszelkimi napastnikami, a była jeszcze magia Rahla Posępnego i ogromna liczba żołnierzy.

Richard odpiął z szyi znienawidzoną obrożę i rzucił ją w mrok nocy. Przyrzekł sobie, że już nigdy nie będzie nosił żadnej obroży. Dla nikogo. Z żadnego powodu.

Pędził przez równinę. Obejrzał się przez ramię na czarną sylwetę Pałacu Ludu, ogrom płaskowyżu przesłaniający cały kwadrant gwiazd. Lodowate powietrze nocy, owiewające twarz Richarda, sprawiło, że oczy mu zaszły Izami. A może to na wspomnienie Denny? Nie mógł o niej zapomnieć, choć usilnie próbował. Zabiłby się, gdyby nie jechał do Kahlan i do Zedda, zabiłby się, bo tak straszliwie cierpiał.

Zabijanie magicznym gniewem, we wściekłości i nienawiści, było wystarczająco okropne. Lecz zabijanie białą magią miecza, w miłości, przekraczało wszelkie okropieństwa. Ostrze znów połyskiwało srebrem, lecz Richard wiedział, jak sprawić, żeby ponownie zbielało. Miał nadzieję, że umrze, zanim się znów będzie musiał do tego uciec. Nie wiedział, czy się jeszcze kiedyś potrafi do tego zmusić.

I oto jechał przez noc, spiesząc do Zedda i Kahlan, żeby się przekonać, które z nich wydało szkatułę Rahlowi, które z nich wydało wszystkich Rahlowi.

To wszystko nie miało sensu. Po cóż by Rahl wykorzystywał nocny kamień jako pułapkę na Zedda, gdyby starzec istotnie był zdrajcą? I po cóż by wysłał zbirów po Kahlan, gdyby to ona zdradziła? Lecz przecież Shota ostrzegała, że obydwoje spróbują mnie zabić, dumał Richard. Więc to musiało być któreś z nich? I co mam teraz zrobić? Ponownie sprawić, żeby ostrze zbielało, i zabić obydwoje? Wiedział, że to nierozsądne. Raczej sam umrze, niż skrzywdzi któreś z nich. Lecz co, jeżeli to Zedd jest zdrajcą i tylko jego śmierć ocali Kahlan? Albo odwrotnie? Czy wtedy też

wolałbym najpierw umrzeć, niż zabić?

Najważniejsze to powstrzymać Rahla. Muszę odzyskać ostatnią szkatułę, rozmyślał Richard. Nie marnuj energii na bezpłodne rozmyślania, zganił się chłopak. Po pierwsze - powstrzymać Rahla, wtedy cała reszta sama się ułoży. Już raz znalazłem szkatułę, muszę ją ponownie odnaleźć.

Ale jak? Nie ma czasu. Jak odszukać Zedda i Kahlan? Musiałby przeszukać całą tę krainę. Jeśli jest z nimi Chase, to na pewno nie podróżują drogami. Strażnik będzie ich prowadził dobrze ukrytymi szlakami. Richard nie znał dróg, a co dopiero szlaków.

Cała kraina do przeszukania. Robota głupiego.

Rahl Posępny zasiał w Richardzie wiele zwątpienia. Myśli chłopaka wirowały, splatały się, stawały się coraz bardziej bezładne, pozbawione nadziei. Richard czuł, że jego własny umysł stał się jego najgorszym wrogiem. Oczyścił go więc z wszelkich myśli i odśpiewał modły. Rozbawiły go te modły do człowieka, którego chciał zabić, lecz odśpiewał je solennie, galopując przez noc. „Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie”.

Richard dwukrotnie puścił konia stępa, pozwolił mu odpocząć, lecz poza tym ostro go poganiał. Równiny Azrith wydawały się bezkresne. Jak okiem sięgnąć, po sam kres horyzontu rozciągała się płaska, niemal pozbawiona roślinności, kraina. Modły oczyściły umysł chłopaka ze wszystkich myśli, lecz nawet one nie zdołały odpędzić wspomnienia o zabiciu Denny. Nie zapomni o tym. Nie przestanie tego opłakiwać.

Nadszedł świt i chłopak ścigał swój własny cień. Pojawiły się potężne głazy, sterczące z płaskiej równiny, rzucające swoje własne cienie. Wciąż ich przybywało. Teren stawał się falisty, opadał wąwozami, wznosił się stokami wzgórz. Richard jechał wąskimi przejściami i rozpadlinami, jarami o ścianach z kruszących się skał. Droga skręcała w lewo, w prawo wiodło węższe odgałęzienie. Chłopak przypomniał sobie ostrzeżenie strażnika i skierował konia w lewo. Wtem coś wypłynęło z samego dna pamięci Richarda. Powstrzymał ostro konia. Spojrzał na prawą nitkę drogi. Namyślał się przez chwilę, potem ściągnął wodze w prawo i skierował konia w węższe odgałęzienie.

Rahl Posępny powiedział, że Richard może iść, dokąd tylko chce, i nawet dał

mu konia, żeby ułatwić wędrówkę. Może nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli sobie pożyczę jego smoka, pomyślał chłopak.

Pozwolił, żeby koń sam wybierał drogę, i bacznie się rozglądał wokół, nie cofając dłoni z gardy miecza. Trudno będzie nie zauważyć czerwonego smoka. Panującą wokół ciszę mącił jedynie odgłos kopyt uderzających o twardy grunt. Richard nie wiedział gdzie mieszka ów smok, i długo jechał wąwozem zaścielonym rumowiskiem. Zaczął się bać, że potwór zniknął, że może go dosiada sam Rahl. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, jadąc tutaj, lecz nie miał żadnego innego pomysłu.

Ogłuszający ryk i oślepiający płomień. Koń stanął dęba. Richard zeskoczył i schował się za najbliższym głazem. W powietrzu latały kamienie i strugi ognia. Odłamki skały odbiły się tuż obok głowy chłopaka. Usłyszał, jak koń wali się na ziemię, poczuł zapach osmalonej sierści. Biedne zwierzę rżało przeraźliwie, potem dał się słyszeć trzask pękających kości. Chłopak jeszcze bardziej skulił się za głazem, bał się wyjrzeć.

Od czasu do czasu z rykiem strzelały strumienie ognia, słychać było trzask kości, rozdzieranie końskiego ciała. Richard uznał, że skręcenie w prawo było okropnie głupim pomysłem. Okazało się, że smok schował się tak wspaniale, że w ogóle go nie można było dostrzec. Zastanawiał się, czy zwierzę widziało, jak on się chowa za głazem. Nic na to nie wskazywało, przynajmniej na razie. Chłopak rozejrzał się wokół, wypatrując drogi ucieczki, lecz teren był zbyt odkryty, żeby się udało niepostrzeżenie przebiec. Wciąż słyszał odgłosy pożerania konia i aż go mdliło. Wreszcie ustały. Richard był ciekaw, czy smoki ucinają sobie drzemkę po posiłku. Usłyszał kilka parsknięć. Powtórzyły się o wiele bliżej. Chłopak jeszcze bardziej się skulił.

Pojawiły się szpony, uchwyciły głaz, za którym się kulił Richard, uniosły bez wysiłku w górę i odstawiły na bok. Chłopak spojrzał prosto w przeszywające żółte ślepia. Niemal cała reszta była intensywnie czerwona. Z olbrzymiego cielska sterczała długa, gruba szyja, na której tkwiła głowa, przyozdobiona ruchomymi, czarnymi na końcach kolcami, osadzonymi wokół dolnej szczęki i za uszami. Podobne, czarno zakończone kolce tkwiły na końcu muskularnego ogona; były twarde i sztywne. Smok wymachiwał ogonem, odsuwając głazy na boki. Poruszył skrzydłami i pod szklistymi czerwonymi łuskami zagrały potężne mięśnie ramion. Skurczone wargi odsłaniały ostre zębiska, jeszcze czerwonawe po ostatnim posiłku. Parsknął. Z nozdrzy umieszczonych na końcu tępo ściętego pyska trysnęły dwie strugi dymu. - I cóż my tu

mamy? - rozległ się żeński głos. - Smakowity deser?

Richard się poderwał i dobył miecza. Ostrze zadźwięczało.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Chętnie ci pomogę, ludziku. Ale najpierw cię zjem.

- Nie zbliżaj się, ostrzegam. To magiczny miecz.

- Magiczny! - Smoczyca westchnęła z udanym przerażeniem i położyła łapę na piersiach. - Och, dzielny człowieku! Błagam, nie zabijaj mnie magicznym mieczem! - Wydała dudniący dźwięk, podkreślony strugami dymu, co chłopak uznał za śmiech.

Richard nie schował miecza, za to nagle poczuł się jak idiota.

- Więc chcesz mnie zjeść?

- Pewnie. Choć przyznam, że bardziej dla zabawy niż dla twojego smaku.

- Słyszałem, że smoki są swobodne i niezależne, lecz że ty jesteś salonowym pieskiem Rahla Posępnego. - Z pyska smoczycy strzeliła kula ognia i uniosła się w powietrze. - Pomyślałem sobie, że może byś chciała się wyzwolić i znów być swobodna i niezależna.

Łeb, większy niż Richard - co chłopak z przerażeniem zauważył - znalazł się raptem o kilka jardów. Wysunął się połyskujący, czerwony, rozdwojony na końcu jęzor. Richard odsunął na bok miecz, a jęzor liznął go od krocza po szyję. Było to bardzo, jak na smoka, delikatne liźnięcie, ale chłopak poleciał w tył o kilka kroków.

- A jak miałby tego dokonać taki mały ludzik jak ty?

- Próbuję powstrzymać Rahla Posępnego, zabić go. Pomóż mi, a będziesz wolna.

Smoczyca odrzuciła głowę w tył i ryknęła śmiechem; z jej nozdrzy buchał dym. Ziemia drżała. Zwierz spojrzał na Richarda, zamrugał i znów odrzucił w tył głowę, rycząc śmiechem.

Grzmiący śmiech umilkł, głowa powróciła w pobliże Richarda, brwi ściągnęły się gniewnie.

- Raczej nie. Nie zawierzę swojego losu takiemu małemu ludzikowi. Wolę dalej służyć mistrzowi Rahlowi - prychnęła, a małe obłoczki pyłu osiadły przy stopach chłopaka. - Zabawa skończona. Pora na posiłek.

- Dobrze. Jestem gotów na śmierć. - Postanowił ją trochę zagadać, żeby mieć czas na myślenie; czemuż, u licha, czerwony smok służy Rahlowi? - Mogę ci coś powiedzieć, zanim mnie zjesz?

- Mów - prychnęła smoczyca. - Byle krótko.

- Pochodzę z Westlandu. Nigdy wcześniej nie widziałem smoka. Zawsze myślałem, że to straszne i groźne stwory. Przyznaję, że jesteś groźna, ale jest jeszcze coś, czego się zupełnie nie spodziewałem.

- Cóż to takiego?

- Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem.

Była to szczera prawda. Smoczyca była nie tylko przerażająca, ale i uderzająco piękna. Cofnęła głowę, wyginając przy tym szyję na kształt litery S, i zamrugała ze zdziwieniem. Zmrużyła ślepia, powątpiewając w szczerość Richarda.

- To prawda - powiedział chłopak. - Masz mnie zjeść, więc nie mam powodu kłamać. Nie sądziłem, że kiedykolwiek ujrzę tak wspaniałe stworzenie jak ty. Masz jakieś imię?

- Scarlet.

- Scarlet. Cóż za urocze, dobrze dobrane imię. Czy wszystkie czerwone smoki są takie oszałamiające, czy też jesteś wyjątkiem?

- Nie mnie o tym sądzić. - Scarlet położyła łapę na piersi, szyja zafalowała i łeb znów się przysunął do Richarda. - Jeszcze nigdy nie słyszałam takich słów od człowieka, którego miałam zjeść.

Coś zaczynało chłopakowi świtać. Schował miecz.

- Dobrze wiem, Scarlet, że stworzenie takie dumne jak ty nie wysługiwałoby się nikomu, a zwłaszcza komuś takiemu jak Rahl Posępny, gdyby nie musiało. Jesteś zbyt piękna i zbyt szlachetna na takie usługi.

- Czemu mi to mówisz? - Łeb przysunął się jeszcze bliżej.

- Bo wierzę w prawdę. I uważam, że ty również.

- Jak się nazywasz?

- Richard Cypher. Jestem Poszukiwaczem.

- Poszukiwacz... - Scarlet przygryzła czarno zakończony szpon, zmarszczyła się w namyśle. - Chyba jeszcze nigdy nie jadłam Poszukiwacza. - Osobliwy, smoczy uśmieszek przemknął jej po wargach. - To ci będzie jedzonko. Rozmowa skończona, Richardzie Cypher. Dzięki za komplementy. - Przysunęła łeb, wydęła wargi w prychnięciu.

- Rahl Posępny ukradł ci jajo, prawda?

Scarlet się cofnęła. Spojrzała na Richarda, zamrugała, potem odrzuciła łeb w tył i szeroko rozwarła paszczę. Wydała rozdzierający uszy ryk, łuski na jej gardzieli aż się trzęsły. Oślepiający płomień strzelił ku niebu. Ryk odbił się grzmiącym echem od

ścian wąwozu, osunęły się odłamki skał. Smoczyca znów przysunęła łeb do chłopaka, dym buchał jej z nozdrzy.

- Co ty o tym wiesz!

- Wiem, że tak dumne stworzenie jak ty nie wypełniałoby takich upokarzających obowiązków, gdyby nie miało po temu ważkiego powodu. Gdyby nie chroniło czegoś dla siebie najważniejszego. Swojego dziecka.

- Więc rozumiesz. Ale to cię i tak nie ocali - prychnęła Scarlet.

- Wiem, gdzie Rahl Posępny ukrył twoje jajo.

- Gdzie?! - Richard przypadł do ziemi, uchylając się przed strugami ognia. - Gadaj, gdzie jest!!!

- Przecież miałaś mnie teraz zjeść. Przekręciła łeb, łypiąc na chłopaka jednym okiem.

- Ktoś cię powinien oduczyć bezczelności - huknęła.

- Przepraszam, Scarlet. Ten zły nawyk zawsze mnie wpędza w kłopoty. Jeśli ci pomogę odzyskać jajo, to Rahl straci władzę nad tobą. Wspomożesz mnie, jeśli tego dokonani?

- Jakiej chcesz pomocy?

- Nosisz Rahla. Właśnie tego mi trzeba. Chciałbym, żebyś polatała ze mną parę dni, pomogła mi odnaleźć przyjaciół, bym mógł ich ochronić przed Rahlem. Muszę przeszukać rozległą krainę. Wypatrzyłbym ich łatwiej z nieba, jak ptak, i jeszcze by mi zostało czasu na powstrzymanie Rahla.

- Nie lubię nosić ludzików. To takie upokarzające.

- Za sześć dni wszystko się tak czy inaczej skończy. Na te sześć dni potrzebna mi twoja pomoc. Potem już nic nie będzie miało znaczenia. Pomyśl sama, jak długo będziesz musiała służyć Rahlowi, jeżeli mi nie pomożesz?

- No dobrze. Powiedz mi, gdzie jest jajo, a ja pozwolę ci odejść. Daruję ci życie.

- A skąd będziesz wiedziała, czy mówię prawdę? A nuż rzucę jakąś nazwę, byle tylko siebie ocalić?

- Prawdziwy Poszukiwacz ma swój honor, podobnie jak smoki. Tyle to wiem. Więc mi powiedz, a ja cię puszczę wolno.

- Nie.

- Nie!!! - zaryczała Scarlet. - Co to znaczy „nie”?!!!

- Nie dbam o życie. I ja, tak jak ty, troszczę się o dużo ważniejsze sprawy.

Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł odzyskać jajo, to musisz mi pomóc ocalić tych, których kocham. Najpierw odzyskamy jajo, a potem mi pomożesz. Sądzę, że to uczciwa umowa. Życie twojego potomka za noszenie mnie przez parę dni.

Przenikliwe ślepia Scarlet znalazły się tuż przy twarzy Richarda, smoczyca pochyliła w przód uszy.

- A skąd wiesz, że dotrzymam umowy, jak już odzyskam jajo?

- Bo wiesz, co to strach o czyjeś bezpieczeństwo - szepnął chłopak. - No i masz swój honor. Nie mam wyboru. Nie znam innego sposobu, żeby ocalić przyjaciół przed twoim obecnym losem, przed życiem pod buciorem Rahla Posępnego. Zaryzykuję życie, żeby ocalić twoje jajo. Wierzę, że jesteś uczciwa i honorowa. Moje życie za twoje słowo.

Scarlet parsknęła, cofnęła się nieco i przyglądała się Richardowi. Przycisnęła do boków wielkie skrzydła. Machała ogonem, rozrzucając kamienie i pomniejsze głazy. Chłopak czekał. Wysunęła się jedna łapa i czarno zakończony szpon, gruby jak noga Richarda, ostry jak miecz, wsunął się za pendent i lekko szarpnął. Przysunęła łeb.

- Umowa stoi. Na twój honor, na mój honor - syknęła Scarlet. - Ale nie obiecuję, że cię nie zjem po tych sześciu dniach.

- Jeśli mi pomożesz ocalić przyjaciół i powstrzymać Rahla, to potem możesz robić ze mną, co tylko zechcesz. - Smoczyca prychnęła. - Czy krótkoogoniaste chimery są groźne dla smoków?

Smoczy pazur wysunął się zza pendentu miecza.

- Chimery - parsknęła pogardliwie Scarlet. - Sporo ich pożarłam. To żaden przeciwnik, chyba że się zbiorą w osiem lub dziesięć, ale one nie lubią atakować zespołowo, więc nie stanowią najmniejszego problemu.

- Tym razem stanowią. Całe ich mnóstwo otaczało twoje jajo. Smoczyca chrząknęła, czerwony jęzor zalśnił między zębiskami.

- Mnóstwo, mówisz. To mogą mnie strącić w dół, zwłaszcza gdy będę niosła jajo.

- Sama widzisz, że jestem ci potrzebny. - Uśmiechnął się Richard. - Na pewno coś wymyślę.

Zedd wrzasnął. Kahlan i Chase odskoczyli. Dziewczyna ściągnęła brwi. Czarodziej nigdy nie krzyczał, kontaktując się z nocnym kamieniem. Słońce już zaszło, lecz wciąż było na tyle jasno, że Kahlan spostrzegła, iż twarz Zedda była

równie biała jak jego włosy. Złapała czarodzieja za ramię.

- Co z tobą, Zeddzie?!

Nie odpowiedział. Głowa osunęła mu się na bok, oczy uciekły w tył. Nie oddychał, ale i przedtem nie oddychał, kontaktując się z nocnym kamieniem. Kahlan i Chase spojrzeli na siebie z niepokojem. Dziewczyna czuła, jak starzec drży pod jej dłonią. Znów nim potrząsnęła.

- Zedd! Przerwij kontakt! Wracaj!

Czarodziej westchnął i coś szepnął. Kahlan przyłożyła ucho do jego ust. Znów coś szepnął.

- Nie mogę ci tego zrobić, Zeddzie - odparła przerażona dziewczyna.

- Co powiedział? - zainteresował się Chase. Spojrzała na strażnika rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Chce, żebym go dotknęła swoją mocą.

- Zaświaty! - tchnął Zedd. - To jedyny sposób!

- Co się dzieje, Zeddzie?

- Wpadłem w pułapkę - szepnął. - Dotknij mnie albo zginę. Pospiesz się.

- Lepiej zrób, co chce - ostrzegł Chase. Kahlan wcale nie miała na to ochoty.

- Nie mogę ci tego zrobić, Zeddzie!

- Tylko w ten sposób zerwę więzy. Pospiesz się.

- Zrób!!! - ryknął Chase. - Nie pora na kłótnie!

- Niech mi przebaczą dobre duchy - szepnęła Kahlan i zamknęła oczy.

Czuła się jak w pułapce, nie miała wyboru. Bała się, lecz musiała to uczynić. Wyciszyła myśli, wypełniła umysł spokojem. Uwolniła moc. Czuła, jak moc narasta i potężnieje. Jak wlewa się w Zedda.

Powietrze zadrżało. Bezdźwięczny grom. Posypał się deszcz sosnowych igieł. Chase, pochylony nad Kahlan i Zeddem, jęknął z bólu; był bliżej, niż należało. Las stał cicho. Czarodziej dalej nie oddychał.

Zedd przestał się trząść, znów mu było widać tęczówki; zamrugał parę razy, wyciągnął ręce i złapał dłonie Kahlan. Z trudem łapał powietrze.

- Dzięki, skarbie - wysapał.

Dziewczyna była zdumiona, że jej moc nie poraziła starca. A powinna była. Cieszyła się, że to nie nastąpiło, lecz ogromnie ją to zdumiało.

- Nic ci nie jest, Zeddzie?

- Nic. Dzięki tobie. Lecz gdyby cię tu nie było lub gdybyś dłużej zwlekała,

tobym został w zaświatach. Twoja moc ściągnęła tomie z powrotem.

- Czemu cię nie odmieniła?

Zedd wygładził szatę, nieco zażenowany swoją przejściową bezradnością.

- Bo byłem tam, gdzie byłem. - Uniósł dumnie czoło. - I ponieważ jestem czarodziejem pierwszej kategorii. Posłużyłem się twoją mocą Spowiedniczki jak liną ratunkową i dzięki niej znalazłem drogę powrotu. Była jak światło przewodnie w ciemnościach. Kierowałem się według niej i nie pozwoliłem, by mnie dotknęła.

- A cóżeś ty porabiał w zaświatach? - Chase uprzedził Kahlan.

Zedd łypnął nań spod oka i nic nie odpowiedział. Dziewczyna od razu się zaniepokoiła.

- Odpowiedz, Zedd. To się nigdy przedtem nie zdarzyło. Czemu cię wciągnęło do zaświatów?

- Kiedy nawiązuję kontakt z nocnym kamieniem, to leci do niego część mojego umysłu. Dzięki temu go odnajduję i wiem, gdzie jest.

Kahlan usiłowała nie myśleć o tym, co powiedział.

- Przecież nocny kamień jest w D’Harze. Richard wciąż jest w D’Harze. - Złapała starca za szatę. - Zeddzie...

- Nie ma już w D’Harze nocnego kamienia. - Czarodziej popatrzył w ziemię. - Jest w zaświatach. - Podniósł gniewny wzrok na dziewczynę. - Lecz to wcale nie znaczy, że Richarda nie ma w D’Harze! Że coś złego mu się stało! Po prostu nie ma nocnego kamienia i już.

Chase zaczął przygotowywać nocleg; twarz miał ściągniętą. Skamieniała z przerażenia Kahlan zaciskała w dłoniach szatę Zedda.

- Proszę... Zeddzie... Może się mylisz? Czarodziej z wolna potrząsnął głową.

- Nocny kamień jest w zaświatach. Ale to wcale nie znaczy, kochanie, że i Richard tam jest. Nie pozwól, by strach cię opanował i pokonał.

Dziewczyna kiwnęła głową, lecz płakała.

- Nic mu się nie stało, Zeddzie. Nie mogło. Rahl nie po to go tak długo więzi, żeby teraz zabić.

- Nawet nie wiemy, czy Rahl go istotnie schwytał.

Wiedziała, że Zedd po prostu nie chce tego głośno przyznać. Skąd by się Richard wziął w Pałacu Ludu, gdyby nie był więźniem Rahla?

- Kiedy poprzednio dotarłeś do kamienia, Zeddzie, to powiedziałeś, że czujesz Richarda, że żyje... - z trudem się zmusiła do wykrztuszenia pytania; ogromnie się

bała tego, co Zedd mógł odpowiedzieć. - Czy... Czy wyczułeś go w zaświatach?

Czarodziej długo patrzył w oczy dziewczyny.

- Nie, nie wyczułem go. Lecz nie wiem, czybym wyczuł, gdyby tam był. Gdyby był martwy. - Kahlan zaczęła płakać, więc przyciągnął ją do siebie i przytulił. - Myślę jednak, że tylko nocny kamień się tam znalazł. Że Rahl zastawił nie mnie pułapkę. Musiał zabrać kamień Richardowi i wysłać do zaświatów, żeby mnie tam uwięzić.

- Dalej go szukamy - chlipnęła. - Nie zawrócę.

- Jasne, że tak, skarbie.

Ciepły jęzor polizał dłoń dziewczyny. Pogłaskała wilcze futro, uśmiechnęła się do Brophy'ego.

- Znajdziemy go, pani Kahlan. Nie martw się, na pewno znajdziemy.

- Brophy ma rację - zawołał przez ramię Chase. - I już wiem, jak się nam dostanie za to, żeśmy go szukali.

- Najważniejsze, że szkatuła jest bezpieczna - powiedział czarodziej. - Za pięć dni pierwszy dzień zimy i Rahl Posępny umrze. Wtedy, jeśli wcześniej Richard do nas nie dołączy.

- Postaram się, żeby wcześniej, bo pewno do tego pijesz - mruknął Chase.

-

Rozdział czterdziesty piąty

Smoczyca ostro skręciła w lewo i Richard z całej siły zacisnął dłonie na grubych wyrostkach na jej barkach. Nauczył się już, że kiedy Scarlet wchodzi w zakręt, to on się wcale nie ześlizguje z jej grzbietu, gdyż powietrze przyciska go wówczas do smoczycy. Latanie okazało się zarazem radosne i przerażające - jak stanie na samym skraju niebosiężnego urwiska, ruchomego urwiska. Chłopak uśmiechnął się radośnie, kiedy Scarlet odrywała się od ziemi. Czuł falowanie potężnych mięśni, a każde uderzenie wielkich skrzydeł unosiło ich wyżej i wyżej. Kiedy składała skrzydła i nurkowała ku ziemi, oczy Richarda łzawiły i pęd powietrza zapierał mu dech. Cudownie było latać na smoku.

- Widzisz je? - zawołał Richard, przekrzykując szum powietrza.

Scarlet mruknęła potakująco. W gasnącym świetle dnia chimery wyglądały jak czarne punkty, przesuwające się po skalistym gruncie. Z Ognistego Źródła unosiła się para i nawet na tej wysokości Richard czuł gryzące wyziewy. Smoczyca wzniosła się ostro w górę, napór powietrza znów przycisnął chłopaka do jej cielska. Potem gwałtownie skręciła w prawo.

- Za dużo ich! - zawołała. Odwróciła głowę, łypnęła na Richarda żółtym ślepiem.

- Wyląduj za tamtymi wzgórzami, tak żeby nas nie zobaczyły.

Scarlet wzniosła się jeszcze wyżej. Potężne zamachy skrzydeł wzniosły ich tak wysoko, jak nigdy przedtem. Oddaliła się od Ognistego Źródła. Spłynęła w dół, pomiędzy kamieniste stoki, i wróciła na miejsce wskazane przez Richarda. Cichuteńko wylądowała tuż u wejścia do jaskini i pochyliła szyję, żeby chłopak mógł się ześlizgnąć z jej grzbietu. Richard wiedział, że toleruje go na nim tylko wtedy, kiedy to niezbędne. Smoczyca obróciła ku niemu głowę. Oczy miała gniewne, niecierpliwe.

- Za dużo tam chimer. Rahl Posępny wie, że nie dam rady takiej gromadzie. Dlatego tyle ich tam się kłębi; to na wypadek, gdybym odnalazła swoje jajo. Mówiłeś, że coś wymyślisz. Więc?

Richard spojrzał na wylot jaskini. Kahlan mówiła, że to jaskinia Shadrina.

- Musimy jakoś odwrócić ich uwagę, kiedy będziemy zabierać jajo.

- Kiedy ty będziesz zabierał jajo - poprawiła Scarlet i podkreśliła swoje słowa obłoczkiem ognia.

Chłopak znów spojrzał na jaskinię.

- Jedno z moich przyjaciół powiedziało mi, że ta jaskinia ciągnie się aż do miejsca, w którym trzymają jajo. Spróbuję tam dotrzeć, porwę jajo i przyniosę je tutaj.

- Ruszaj więc.

- A nie powinniśmy się zastanowić, czy to dobry pomysł? Może wymyślimy coś lepszego. Słyszałem również, że w tej jaskini może coś być.

Scarlet przysunęła swoje gniewne ślepia do niego.

- Coś w jaskini? - Wsunęła głowę do środka i zionęła ogniem; cofnęła głowę. - Teraz już na pewno nic tam nie ma. Idź po moje jajo.

Jaskinia ciągnęła się całymi milami. Richard wiedział, że ogień nie spalił niczego, co było dostatecznie daleko. Wiedział również, że dał słowo. Zebrał trochę łodyg rosnącej w pobliżu trzciny i powiązał w pęczki giętkimi pnączami. Wyciągnął jeden taki pęczek ku przyglądającej się mu smoczycy.

- Mogłabyś mi to zapalić?

Wydęła wargi i dmuchnęła wąskim strumyczkiem ognia na czubek pęczka.

- Zaczekaj tu na mnie - polecił jej Richard. - Czasem lepiej być małym niż wielkim. Mnie tak łatwo nie dostrzegą. Wymyślę coś, zabiorę jajo i wrócę z nim przez jaskinię. To daleka droga. Mogę wrócić dopiero przed świtem. Pewno będą mnie ścigać chimery, więc może się okazać, że musimy gwałtownie startować. Bądź w pogotowiu, dobrze? - Zawiesił plecak na kościstym wyrostku na grzbiecie Scarlet. - Popilnuj mi go. Nie mogę się zbytnio obciążać.

Chłopak nie miał pojęcia, czy smoki potrafią się martwić, ale Scarlet na pewno wyglądała na zatroskaną.

- Obchodź się ostrożnie z jajem, dobrze? Małe wkrótce się wykluje, lecz jeśli skorupa pęknie za wcześnie...

- Nie martw się, Scarlet. - Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. - Odzyskamy je.

Przykołysała się za chłopakiem do wylotu jaskini, wsunęła łeb do środka i patrzyła, jak Richard znika w głębi.

- Jeśli spróbujesz uciec, Richardzie Cypher - zawołała za nim - to cię dopadnę. A jeśli wrócisz bez mojego jaja, to gorzko pożałujesz, że cię chimery nie zabiły, bo cię upiekę na wolnym ogniu, zaczynając ad stóp!

Richard obejrzał się na wielkie cielsko, tkwiące w wejściu do jaskini.

- Dałem słowo. Jeśli chimery mnie dopadną, to postaram się zabić ich jak najwięcej, żebyś mogła porwać jajo i uciec.

- Nie dopuść do tego - warknęła Scarlet. - Wciąż mam zamiar cię zjeść, gdy to się skończy.

Richard uśmiechnął się i odszedł w mrok. Blask pochodni niknął w czerni i chłopak miał wrażenie, że kroczy w nicości. Pochodnia oświetlała jedynie skraweczek gruntu. Dno jaskini opadało w dół, powietrze było zimne, nieruchome. Pojawił się strop i ściany - jaskinia zmieniła się w schodzący w dół tunel. Tunel doprowadził chłopaka do obszernej pieczary. Szlak wiódł skrajem nieruchomych, zielonych wód jeziora. Światło pochodni ukazywało poszczerbiony strop i gładkie ściany. Strop opadł w dół i Richard znalazł się w szerokim, niskim przejściu. Musiał się pochylić. Szedł tak dobrą godzinę, przygarbiony, z coraz bardziej obolałą szyją. Od czasu do czasu ocierał pochodnię o kamienny strop, zrzucając popiół, żeby jaśniej świeciła.

Chłopaka otaczała przygnębiająca czerń. Okrążała go, szła za nim, wsysała go głębiej i głębiej, bezgłośnie nawoływała. Delikatne, barwne twory skalne rosły jak rośliny, kwitły i pączkowały na twardych kamiennych ścianach. Kryształy lśniły w blasku pochodni. W mroku rozbrzmiewał tylko leciutki trzask palących się trzcin, wracał echem.

Richard mijał przepiękne pieczary. W ciemnościach wyrastały rowkowane kamienne kolumny. Niektóre się urywały, zanim dosięgły sklepienia, z góry zaś zwieszały się ku nim inne. Tu i tam całe połacie ścian połyskiwały krystalicznie, jak stopione klejnoty.

Niektóre korytarze były po prostu skalnymi pęknięciami i Richard z trudem się przez nie przeciskał, inne były rurowate i musiał je przebywać na czworaka. Powietrze w ogóle niczym nie pachniało. Panowała tutaj wieczna noc, nigdy nie dotarło tu światło czy jakaś żywa istota. Chłopak szedł i szedł, spocony z wysiłku, a pot unosił się obłoczkami w chłodnym powietrzu. Kiedy Richard przysuwał pochodnię do drugiej dłoni, widział smużki pary unoszącej się z każdego palca, jak umykająca energia życia. Nie panował tu co prawda lodowaty ziąb zimy, lecz i ten chłód mógł pochłonąć całe ciepło kogoś, kto by tutaj za długo przebywał. Powolna śmierć ze stopniowego wychłodzenia. Bez światła zgubiłbym się natychmiast, pomyślał chłopak. To miejsce mogło zabić nieostrożnego lub pechowca. Richard często sprawdzał płonącą pochodnię i zapasowe pęczki trzcin.

Bezkresna noc trwała i trwała. Chłopaka bolały nogi od ciągłego schodzenia i wspinania się. Prawdę mówiąc, był już zmęczony. Miał nadzieję, że wkrótce dotrze do końca jaskini. Zdawało mu się, że wędruje już calutką „prawdziwą” noc. Zatracił

poczucie czasu.

Skała zamknęła się wokół Richarda. Sklepienie zniżyło się tak, że znów wędrował przygarbiony, a potem na czworaka. Grunt był zimny i wilgotny, pokryty śliskim, cuchnącym zgnilizną szlamem. Po tak długim czasie nareszcie jakiś zapach. Zimny, cuchnący szlam oblepiał dłonie Richarda, ziębił je.

Przejście zwęziło się w czarną dziurę oświetloną blaskiem pochodni. Chłopakowi wcale się to nie podobało. Wiatr jęczał w przejściu, kołysząc płomieniem pochodni. Richard wetknął pochodnię w ową czarną dziurę, ale niczego, poza czernią, nie dostrzegł. Cofnął ją i zadumał się, co ma teraz zrobić. To było strasznie wąskie przejście, spłaszczone górą i dołem, a chłopak nie miał pojęcia, jak daleko się ono ciągnie i co jest po drugiej stronie. Napływało stamtąd powietrze, więc musiało prowadzić ku drugiemu wylotowi jaskini, ku chimerom i jaju, lecz było takie wąziutkie!

Richard się cofnął. Pewnie są i inne drogi na zewnątrz, odchodzące z pieczar, przez które wcześniej przechodził, lecz ile potrwa, zanim je znajdzie, i czy mu się to powiedzie? Wrócił do wąziutkiego przejścia i przyglądał mu się z narastającym lękiem.

Postarał się opanować strach. Zdjął miecz i wraz z pochodnią i zapasowymi pęczkami trzcin wepchnął w ową dziurę. Skała natychmiast natarła na chłopaka z przerażającą szybkością. Wyciągnął przed siebie ręce i wkręcił się w przejście. Jeszcze się zwęziło. Richard czołgał się i pełzał, cal po calu. Piersią i plecami szorował po zimnej skale. Ledwo mógł złapać oddech. Dym pochodni drażnił mu oczy.

Wpełzał głębiej i głębiej. Najpierw wyciągał przed siebie ramiona, najdalej jak mógł, potem przyciągał wolniutko nogi, po jednej. Czuł się jak wąż zrzucający starą skórę. Przed sobą miał tylko czerń. Zaczai się niepokoić. Po prostu się przedostań, powiedział sobie Richard, pełznij w przód i przedostań się na drugą stronę.

Chłopak oparł czubki butów o skałę i odepchnął się. Zaklinował się. Znów próbował się odepchnąć. Nawet nie drgnął. Zirytowany, odepchnął się jeszcze mocniej. Nic. Przeraził się. Utknął na dobre. Rozpłaszczony pomiędzy skałami tak, że nie mógł odetchnąć. Ujrzał w wyobraźni skałę napierającą mu na plecy. Wił się, wystraszony, próbując się cofnąć, ale nie mógł. Usiłował zaczepić o coś dłonie i przyciągnąć się. Nic z tego. Uwiązł na dobre.

Spazmatycznie chwytał powietrze. Dusił się, brakowało mu powietrza, jakby

się topił. Nie mógł oddychać.

Łzy napłynęły Richardowi do oczu, strach ścisnął mu gardło. Drapał skałę czubkami butów, starał się odepchnąć. Nic z tego. Wyciągnięte w górę ramiona przypomniały mu, jak bezsilny wisiał w kajdankach w komnatce Denny. Nie mógł poruszyć ramionami, co jeszcze pogarszało sprawę. Twarz chłopaka pokryła się zimnym potem. Panicznie przerażony, czuł, jak skała coraz bardziej się wokół niego zaciska. Pragnął, żeby ktoś mu pomógł. A nikogo nie było.

Jęcząc ze straszliwego wysiłku przesunął się o parę cali. Jeszcze ciaśniej. Usłyszał własny histeryczny szloch. Nie mógł złapać powietrza. Miażdżyła go skała.

„Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie".

Richard śpiewał to wciąż od nowa, skupiwszy na tych słowach wszystkie swoje myśli. Aż znów mógł normalnie oddychać, aż znów był spokojny. Wciąż tkwił w miejscu, lecz przynajmniej mógł myśleć.

Coś dotknęło nogi chłopaka. Szeroko otwarł oczy ze zdumienia i strachu.

Delikatne, sondujące dotknięcie. Kopnął nogą. Oczywiście tak, jak mu na to pozwoliła ciasnota. Właściwie szarpnął nogą. Dotyk ustał.

I powrócił. Richard zdrętwiał. Tym razem to coś wsunęło się do nogawki. Zimne, wilgotne, śliskie. Oślizgłe, z twardym czubkiem, pełzało po nodze chłopaka, muskało wewnętrzną stronę uda. Richard znów kopnął i szarpnął nogą. Tym razem dotyk nie zniknął. Twardawy czubek badał i sondował. Szczypnął skórkę chłopaka. Richarda znów zaczęła ogarniać panika, ale ją stłumił.

Teraz już nie miał wyboru. Wypuścił powietrze z płuc. Już wcześniej wpadł na ten pomysł, ale bał się spróbować. Spłaszczył się, jak tylko mógł, i odpychał się czubkami butów, przyciągał czubkami palców, pełzł. Posunął się do przodu o jakąś stopę.

Jeszcze ciaśniej. W ogóle nie mógł oddychać. Bolało. Tłumił wciąż zagrażającą mu panikę. Palce Richarda na coś natrafiły. Może na skraj jakiegoś otworu. Może na wyjście z tej ciasnoty. Wydusił z płuc resztki powietrza. Tamto wczepiło mu się w nogę. Usłyszał gniewny, brzękliwy pomruk. Z całej siły wyciągnął ramiona i uchwycił palcami ów skraj, odepchnął się czubkami butów. Przesunął się w przód. Już dotykał łokciami owego skraju. W nogę wpiło mu się coś ostrego jak

pazurki kota. Richard nawet nie mógł krzyknąć. Czołgał się naprzód. Noga płonęła bólem. Miecz, pochodnia i pęczki trzcin spadły w dół. Miecz ze stukiem ześliznął się po skale. Richard zaparł się łokciami i podciągnął, a zawisnąwszy połową ciała nad otworem, rozpaczliwie chwytał powietrze. Kleszcze szarpały mu nogę. Chłopak wyszarpnął się z ciasnego przejścia i zaczął się zsuwać po gładkiej skale.

Pochodnia płonęła na dnie jajowatej pieczary. Miecz leżał tuż obok niej. Richard zsuwał się głową w przód, z rękami w przód, chciał dosięgnąć miecza. Powstrzymały go szpony zatopione w nodze. Zawisł głową w dół. Krzyczał z bólu, a jego krzyki odbijały się echem od ścian pieczary. Nie mógł dosięgnąć oręża.

Wolno, wolniutko wciągany był z powrotem. Kleszcze rozdzierały chłopakowi nogę. Znów wrzasnął. Inna macka wśliznęła się do drugiej nogawki, a twardy jej czubek badawczo dotykał łydki Richarda.

Chłopak wyciągnął nóż i zgiął się wpół, sięgając do trzymających go macek. Ciął je raz za razem. Z ciasnej dziury doleciał piskliwy skowyt. Szczypce puściły i Richard zjechał ze skały, zatrzymując się obok pochodni. Złapał pochwę miecza i dobył go, gdy z otworu wysunęły się wężowate wyrostki, wiły się, szukały. Szukały drogi ku niemu. Chłopak zamachnął się mieczem, odciął parę macek. Ze świstem zniknęły w górze. Z czarnych głębi doleciał głuchy ryk.

Migotliwe światło leżącej na ziemi pochodni ukazywało przeciskające się przez otwór cielsko. Richard nie mógł sięgnąć do niego mieczem, a czuł, że to coś nie powinno się znaleźć w pieczarze razem z nim.

Jakaś macka oplotła go w pasie i uniosła. Nie bronił się. Łypnęło ślepie, zalśniło w blasku pochodni. Chłopak ujrzał wilgotne, śliskie kły. Macka ciągnęła go ku kłom, więc pchnął oko mieczem. Ryk, macka puściła i Richard znów zjechał w dół. Stwór wycofał się w mrok, wyciągnął za sobą macki. Ryki stawały się coraz dalsze, wreszcie ucichły.

Richard siedział na dnie pieczary i trząsł się, przeczesując włosy palcami. Wreszcie oddech mu się uspokoił, strach zniknął. Dotknął nogi. Spodnie były mokre od krwi. Uznał, że teraz i tak nic na to nie zaradzi; najpierw trzeba porwać jajo. Do pieczary docierało mgliste światło. Chłopak ruszył szerokim przejściem otwierającym się w przeciwległej ścianie i wreszcie dotarł do drugiego wylotu jaskini.

Powitało go blade światło poranka i świergot ptaków. W dole widział grasujące chimery. Schował się za skałą i odpoczywał. Dostrzegł owiewane gorącą parą jajo. Było zbyt duże, żeby mógł z nim wrócić przez jaskinię. Poza tym i tak nie

miał zamiaru wracać tą samą drogą. I co teraz, skoro nie może przenieść jaja przez jaskinię? Wkrótce będzie jasno. Musi znaleźć rozwiązanie.

Coś ucięło Richarda w nogę. Pacnął. To była gończa mucha.

Chłopak aż jęknął. Chimery go teraz znajdą. Krew je przywabiała. Musi coś wymyślić.

Ucięła go druga mucha i wtedy wpadł na pewien pomysł. Pośpiesznie wyciągnął nóż i odciął kawałki wilgotnej, nasiąkniętej krwią nogawki. Starł nimi krew z nogi i do każdego paska przywiązał kamień.

Potem Richard dmuchnął w gwizdek od Człowieka Ptaka; mocno, z całej siły. Wciąż na nowo. Wziął pasek nogawki uwiązany do kamienia, zakołował nim nad głową i wypuścił z dłoni.

Zaimprowizowany pocisk poszybował w powietrzu i spadł w dół.

Pomiędzy chimery. Kolejne krwawe paski chłopak rzucił w prawo, między drzewa. Wiedział, że gończe muchy są rozdrażnione, choć nie słyszał ich brzęczenia. Na pewno rzuciły się szaleńczo na taką świeżą krew.

Zjawiły się ptaki, głodne ptaki. Najpierw nieliczne, potem całe setki i tysiące. Kołowały i nurkowały nad Ognistym Źródłem, zjadając w locie muchy. Zapanowało straszliwe zamieszanie. Chimery wyły, ptaki zdziobywały im muchy z brzuchów i chwytały je w powietrzu. Bestie galopowały we wszystkie strony, niektóre wzbijały się w powietrze. Na miejsce każdego złapanego przez nie ptaka zjawiały się setki nowych.

Richard, kuląc się, zbiegał ze wzgórza od skałki do skałki. Nie bał się, że bestie go usłyszą, bo ptaki straszliwie hałasowały. Chimery szalały - rycząc i wyjąc, tłukły ptaki łapami. W powietrzu było aż gęsto od piór. Gdybyż tak Człowiek Ptak to widział, pomyślał z uśmiechem chłopak.

Wyskoczył zza głazu i pognał w stronę jaja. Bestie zderzały się ze sobą., szarpiąc się nawzajem pazurami. Jedna dostrzegła Richarda. Przeszył ją mieczem. Następnej podciął ścięgna kolan. Potwór z rykiem padł na ziemię. Kolejnej chimerze chłopak odciął skrzydła, jeszcze innej obie przednie łapy. Nie zabił ich - tarzały się po ziemi, a wyjąc i wrzeszcząc, powiększały ogólny rozgardiasz i panikę. Bestie widziały już Richarda, lecz go nie atakowały. Za to on je atakował.

Zabił dwie chimery stojące przy jaju. Oburącz pochwycił jajo Scarlet i podniósł - było gorące, ale nie parzyło. Nie spodziewał się, że będzie takie ciężkie. Musiał je nieść w obu rękach. Nie tracił czasu: ile sił w nogach pognał w lewo, ku

wąwozowi pomiędzy wzgórzami. Ptaki latały bezładnie, niektóre wpadały na Richarda. Panował kompletny chaos. Na chłopaka rzuciły się dwie chimery. Ostrożnie położył jajo na ziemi, zabił pierwszą bestię, a drugiej odciął nogi. Znów biegł z jajem, najszybciej jak mógł, uważając, żeby mu nie wypadło z rąk. Kolejna chimera. Richard chybił za pierwszym razem, lecz drugi sztych był celny.

Chłopak gnał teraz pomiędzy wzgórzami, ciężko dysząc z wysiłku. Ramiona go bolały od dźwigania ciężkiego smoczego jaja. Okrążyły go lądujące chimery, w ich zielonych ślepiach płonęła wściekłość. Richard położył jajo na ziemi i zamierzył się mieczem na pierwszego napastnika. Odciął skrzydło i głowę. Pozostałe bestie ryknęły i rzuciły się na chłopaka.

Drzewa i skały zapłonęły jaskrawym ogniem, który spalił kilka chimer. Richard spojrzał w górę i zobaczył Scarlet - wisiała nad nim, biła potężnymi skrzydłami i paliła wszystko wokół strugami ognia. Sięgnęła w dół jedną łapą i złapała jajo, sięgnęła drugą - pochwyciła chłopaka w pasie i uniosła się w powietrze. Poleciały za nimi dwie bestie. Jedną Richard ciął mieczem, druga zginęła w płomieniach.

Scarlet ryczała gniewnie na chimery, wznosiła się coraz wyżej, a Richard dyndał w jej łapie. Chłopak uznał, że co prawda nie jest to jego ulubiony sposób latania, lecz woli już to niż towarzystwo chimer. Zbliżyła się jeszcze jedna bestia, chcąc pochwycić jajo. Richard odciął jej skrzydło i z rykiem spadła na ziemię. Następne już się nie pojawiły.

Smoczyca leciała wysoko, coraz bardziej oddalała się od Ognistego Źródła. Chłopak czuł się jak pokarm dla młodego smoka. Szpony trochę za mocno ściskały mu żebra, ale się nie skarżył. Wolał nie ryzykować, że Scarlet go upuści, do ziemi było daleko.

Lecieli tak wiele godzin. Richard zdołał się trochę wygodniej ułożyć w łapie Scarlet. Obserwował przesuwające się w dole wzgórza i drzewa. Widział pola i strumienie, a nawet kilka małych miast. Wzgórza stawały się coraz wyższe, coraz bardziej skaliste, jakby głazy kiełkowały z ziemi. Wyrosły przed nimi poszarpane skalne urwiska i szczyty. Smoczyca gładko wzbiła się w górę, ponad skały, choć Richard przez chwilę myślał, że otrze się o nie stopami. Lecieli teraz nad odludna., całkowicie pozbawioną śladów życia krainą. Brązowe i szare skały leżały bezładnie, jak monety ciśnięte dłonią olbrzyma, niektóre ułożone w smukłe stosy sterczące pojedynczo lub w zbitych grupach, inne - przewrócone i rozsypane.

Górowały nad nimi potężne, niedostępne skalne urwiska, poznaczone pęknięciami i szczelinami, półkami i wybrzuszeniami. Przed skalistymi ścianami przesunęło się kilka obłoków. Scarlet skręciła ku jednej z tych skał. Richard miał wrażenie, że się o nią rozbiją, lecz smoczyca zawisła w powietrzu, postawiła go na skalnej półce i osiadła obok niego.

W skalnej ścianie ział otwór. Scarlet wcisnęła do niego swoje cielsko. W głębi, w chłodnym mroku, znajdowało się kamienne gniazdo. Smoczyca położyła tam jajo, ogrzała je ognistym oddechem. Chłopak patrzył, jak głaskała jajo pazurem, obracając je ostrożnie, oglądając, gruchając słodko. Chuchała ogniem, nasłuchiwała, obserwowała.

- Nic mu się nie stało? - spytał cicho Richard.

Scarlet odwróciła ku niemu głowę, oczy miała rozmarzone.

- Nic. Wszystko dobrze - odparła.

- Bardzo się cieszę, Scarlet. Naprawdę.

Chłopak ruszył ku leżącej obok jaj smoczycy. Uniosła ostrzegawczo głowę. Zatrzymał się.

- Ja tylko po plecak. Wisi na kościstym wyrostku na twoim ramieniu.

- Przepraszam. Weź go sobie.

Richard wziął plecak i usiadł pod ścianą pieczary, bliżej świata. Spojrzał poza skalną półkę. Całe tysiące stóp w dół. Gorąco pragnął, żeby Scarlet się okazała słowną smoczyca. Wyjął z plecaka nową parę spodni. Znalazł coś jeszcze - słoik z komnaty Denny. Zostało w nim trochę aumowego balsamu, przyrządzonego, kiedy Rahl ją skatował. To Denna musiała włożyć ów słoik z resztką balsamu do plecaka. Chłopak popatrzył na Agiela i uśmiechnął się smutno. Jakże mógłby troszczyć się o kogoś, kto go tak dręczył? A jednak przebaczył jej, przebaczył jej białą magią.

Aumowy balsam przyniósł Richardowi ulgę. Ochłodził rozpalone rany, ukoił ból. Chłopak podziękował w myślach Dennie za to, że włożyła ów słoik do plecaka. Zdjął poszarpane resztki spodni.

- Zabawnie wyglądasz bez spodni.

Chłopak okręcił się na pięcie. Scarlet mu się przyglądała.

- Niezbyt przyjemnie słyszeć to od istoty rodzaju żeńskiego, nawet jeśli jest smoczyca. - Odwrócił się do niej tyłem i wbił się w całe spodnie.

- Jesteś ranny. To chimery?

- To w jaskini - mówił cicho, przypomniał sobie tamten strach. Usiadł, oparł

się o ścianę i patrzył na swoje buty. - Musiałem się przecisnąć przez wąziutki tunel w skale. Innej drogi nie było. I uwiązłem. - Podniósł głowę i spojrzał w wielkie żółte ślepia. - Wiele razy się bałem, od kiedy opuściłem dom i wyruszyłem przeciwko Rahlowi. Lecz kiedy się tam zaklinowałem, w ciemnościach, tak ściśnięty skałami, że ledwo mogłem oddychać... to był jeden z najgorszych momentów w moim życiu. To właśnie wtedy coś mnie złapało za nogę, wbiło w mięśnie ostre pazurki. Chciało mnie przytrzymać, gdy się usiłowałem wydostać.

Scarlet patrzyła nań w milczeniu, trzymając jedną łapę na swoim jaju.

- Dzięki, Richardzie Cypher, że dotrzymałeś słowa. Że pomogłeś mi odzyskać jajo. Jesteś dzielny, chociaż nie jesteś smokiem. Nigdy bym nie uwierzyła, że człowiek tak się wystawi na niebezpieczeństwo dla smoka.

- Zrobiłem to nie tylko dla twojego jaja. Zrobiłem, bo musiałem, żebyś mi pomogła odszukać przyjaciół.

- I uczciwy jesteś. Myślę, że i tak byś to zrobił. Przykro mi, że masz pokaleczoną nogę i że tak się bałeś. Że przeszedłeś przez to, żeby mi pomóc. Ludzie starają się zabijać smoki. Ty pewno jesteś pierwszym człowiekiem, który dopomógł smokowi. Nieważne, z jakiego powodu. A ja miałam wątpliwości.

- Dobrze, że się wtedy zjawiłaś. Te chimery niemal mnie dostały. Nawiasem mówiąc, kazałem ci się schować. Cóż tam robiłaś?

- Wstydzę się do tego przyznać, ale podejrzewałam, że usiłujesz uciec. Więc poleciałam rzucić okiem i wówczas usłyszałam cały ten harmider. Wynagrodzę ci to. Pomogę ci odnaleźć przyjaciół, tak jak obiecałam.

- Dzięki, Scarlet. - Richard się uśmiechnął. - Ale co z jajem? Możesz je tak zostawić? A jeśli Rahl je znów ukradnie?

- O nie, nie stąd. Długo szukałam tego miejsca, kiedy mi Rahl ukradł jajo. Tu będzie bezpieczne, tu Rahl go nie dosięgnie. Spokojnie mogę je zostawić. Smoki opuszczają jaj a, kiedy polują; po prostu ogrzewają najpierw skały ogniem i już.

- Czas nagli, Scarlet. Kiedy możemy wyruszać?

- Natychmiast.

-

Rozdział czterdziesty szósty

Kolejny dzień daremnych poszukiwań. Scarlet latała nisko nad gęstymi lasami, wraz z Richardem przepatrywali drogi i ścieżki. Chłopak był zniechęcony - ani śladu przyjaciół. Był też tak zmęczony, że ledwo się utrzymywał na grzbiecie smoczycy, ale nie chciał odpocząć. Musiał odnaleźć Zedda i Kahlan. Tak wytężał wzrok, że w końcu straszliwie go rozbolała głowa. Czasem dostrzegali w dole jakichś ludzi i za każdym razem Richard zapominał o zmęczeniu. Niestety, za każdym razem musiał powiedzieć Scarlet, że to nie ci, których szukają.

Smoczyca leciała nisko, muskając czubki sosen rosnących na skraju trawiastej połaci gruntu. Znienacka wydała przeraźliwy wrzask - Richard aż podskoczył - i ostro skręciła. Z ukrycia wypadł jeleń, wypłoszony smoczym rykiem. Scarlet zanurkowała, bez wysiłku porwała rogacza z wysokich brązowych traw i skręciła mu kark. Chłopak był nieco wystraszony łatwością, z jaką upolowała zdobycz.

Scarlet wzniosła się w powietrze, w złocisty blask zachodzącego słońca, w puszyste obłoczki. Richard miał uczucie, że jego serce zachodzi wraz ze słońcem. Wiedział, że smoczyca wraca do jaja. Chciał, żeby jeszcze trochę poszukali, dopóki zostało trochę światła, lecz rozumiał, że Scarlet musi wrócić do gniazda, do jaja.

Już zaczynało się ściemniać, kiedy smoczyca wylądowała na skalnej półce i poczekała, aż Richard się ześliźnie po jej czerwonych łuskach; potem pospieszyła do gniazda. Chłopak też się wsunął do pieczary. Opatulił się płaszczem, bo drżał z zimna.

Scarlet obejrzała jajo, ogrzała je ogniem i pogruchała do niego czule. Potem zajęła się jeleniem.

- Wyglądasz, jakbyś dawno porządnie nie jadł. Chyba się z tobą podzielę.

- A mogłabyś je upiec? Nie jadam surowego mięsa.

Zgodziła się, więc chłopak odciął kawałek jeleniny i nadział na miecz. Odwrócił twarz od żaru, a Scarlet upiekła mięso w cienkim strumieniu ognia. Potem Richard usiadł z boku i jadł, usiłując nie patrzeć, jak smoczyca rozdziera jelenia kłami i szponami podrzuca w górę spore kawały mięsa i łyka je niemal bez gryzienia.

- Co zrobisz, jeżeli nie znajdziemy twoich przyjaciół?

- Lepiej ich odnajdźmy.

- Za cztery dni od jutra zacznie się zima.

- Wiem - mruknął, oddzierając kawałeczek mięsa.

- Dla smoka lepiej umrzeć, niż zostać niewolnikiem. Richard spojrzał na nią,

machnęła ogonem.

- Gdyby się decydowało tylko o sobie, to może i tak, lecz co z innymi? Ty wybrałaś służbę u Rahla, żeby ocalić swoje jajo, dać młodemu szansę wyklucia się.

Scarlet tylko mrugnęła i pogładziła jajo szponami.

Richard wiedział, że jeżeli nie odnajdzie ostatniej szkatuły i nie powstrzyma Rahla, to nie będzie miał wyboru: będzie musiał wrócić i pomóc Rahlowi otworzyć właściwą szkatułę - żeby ocalić życie innych ludzi, żeby oszczędzić Kahlan mąk zadawanych przez Mord-Sith. Potem Kahlan będzie wieść życie, do jakiego przywykła jako Spowiedniczka.

To straszliwie przygnębiająca perspektywa - pomóc Rahlowi w zdobyciu władzy. Lecz czy Richard miał inną możliwość? Może Shota mówiła prawdę. Może Zedd i Kahlan spróbują go zabić. Może powinien zostać zabity za samą myśl o dopomożeniu Rahlowi. Nie pozwolę, żeby Mord-Sith dręczyła Kahlan, postanowił Richard. Czyli trzeba pomóc Rahlowi.

Położył się. Te rozważania tak go umęczyły, że nie mógł skończyć posiłku. Podłożył plecak pod głowę, otulił się płaszczem i myślał o Kahlan. Po chwili zasnął.

Następnego dnia Scarlet zabrała Richarda do D’Hary, przeniosła ponad miejscem, gdzie niegdyś była granica. Znów przepatrywali drogi i ścieżki. Cienkie, wysoko płynące chmury tonowały słoneczny żar. Chłopak miał nadzieję, że przyjaciele nie są aż tak blisko Rahla, lecz jeżeli Zedd odnalazł nocny kamień, zanim Rahl go zniszczył, to wiedzieli, że chłopak jest w Pałacu Ludu i tam właśnie się kierowali. Smoczyca zniżała się nad ludźmi, budząc w nich przerażenie, ale to wciąż nie byli ci, których szukali.

Richard dostrzegł ich dopiero koło południa. Zedd, Chase i Kahlan jechali konno szlakiem w pobliżu głównej drogi. Wrzasnął do Scarlet, żeby lądowała. Skręciła ostro i zanurkowała ku ziemi jak czerwony błysk. Jeźdźcy zobaczyli ich, stanęli i zsiedli z koni.

Smoczyca rozłożyła czerwone skrzydła, wyhamowała i łagodnie usiadła na ziemi, na polanie koło traktu. Chłopak zeskoczył z jej grzbietu i natychmiast pognał ku przyjaciołom. Stali, trzymając cugle. Chase miał maczugę w drugiej dłoni. Widok Kahlan dodał Richardowi skrzydeł. Oto ucieleśnienie jego marzeń i wspomnień. Tamci stali i patrzyli, jak ku nim biegnie, jak zbiega z niewysokiego, stromego wzniesienia. Chłopak patrzył pod nogi, żeby się nie potknąć o korzenie.

Kiedy wreszcie uniósł głowę, ujrzał gnającą ku niemu kulę ognia

czarodziejów. Skamieniał ze zdumienia. Co ten Zedd wyczynia? Richard jeszcze nigdy nie widział tak wielkiej kuli ognia. Błękitny i złocisty blask rozpromieniał pobliskie drzewa. Kula nadlatywała z przeraźliwym gwizdem, wirując i rozdymając się. Richard patrzył na to ze zdumieniem i przerażeniem. Niemal w ostatniej chwili położył dłoń na gardzie miecza i poczuł, jak wbija mu się w ciało słowo PRAWDA. Wyszarpnął klingę, rozległ się charakterystyczny metaliczny brzęk. Uwolniona magia wtargnęła do umysłu chłopaka. Ogień był tuż. Richard postąpił jak w kotlinie Agaden, u Shoty: zacisnął jedną dłoń na rękojeści, drugą na czubku ostrza i uniósł miecz w górę, osłaniając się nim jak tarczą. Poczuł gniew - Zedd zdrajcą! Nie, to nie mógł być Zedd.

Uderzenie było tak silne, że chłopaka odrzuciło w tył o krok. Otoczył go żar i płomień. Kula czarodziejskiego ognia wybuchła, rozproszyła się w powietrzu, zniknęła.

- Zedd! Co ty wyprawiasz?! Zwariowałeś?! To ja, Richard! - wołał rozeźlony chłopak, zbliżając się do tamtych, wrzał w nim magiczny gniew miecza i złość na to, co uczynił starzec; krew tętniła mu w żyłach.

Czarodziej stał jak wmurowany, nie cofnął się ani o krok; odziany w skromne szaty, drobny i kruchy. Obok niego tkwił Chase, równie groźny i obwieszony bronią jak zawsze. Zedd położył chudą rękę na ramieniu Kahlan i przesunął dziewczynę za siebie, zasłonił ją. Chase ruszył ku chłopakowi, oczy miał ponure i groźne.

- Nie bądź głupi, Chase - ostrzegł go cicho Zedd. - Nie ruszaj się z miejsca.

- Co z wami? - Richard patrzył na ich zawzięte, ponure miny. - Skąd się tu wzięliście? Przecież wam mówiłem, żebyście za mną nie szli! Rahl Posępny wysłał ludzi, żeby was pojmali. Musicie zawrócić.

Zedd, jak zwykle rozczochrany, obrócił się nieco ku Kahlan, lecz nie spuścił Richarda z oka.

- Rozumiesz, co on mówi?

- Nie. - Dziewczyna potrząsnęła głową, odgarnęła w tył pasma długich włosów. - To pewnie górnodharański. Nie znam tego języka.

- Górnodharański? O czym ty mówisz? Czy wyście...?

Richard nagle sobie przypomniał: zaklęcie Rahla! Nie poznali go. Myśleli, że jest ich wrogiem. Że jest Rahlem Posępnym. I jeszcze coś - aż poczuł dreszcze. To Zedd uznał go za wroga i zesłał nań czarodziejski ogień. A. więc Zedd nie był zdrajcą. Kahlan... Czy widzi we mnie Rahla, czy Richarda? - dumał chłopak.

Szedł ku niej, wpatrzony w zielone oczy dziewczyny, pełen niepokoju. Kahlan zesztywniała, uniosła dumnie głowę, opuściła ramiona. Richard zrozumiał - to ostrzeżenie. Poważne ostrzeżenie. Wiedział, co mu zgotuje moc dziewczyny. Przypomniał sobie ostrzeżenie Shoty - możesz zwyciężyć Zedda, ale nie Kahlan.

Zedd usiłował stanąć pomiędzy nimi. Richard ledwo go zauważył, odepchnął na bok. Starzec stanął za nim i położył chude palce na karku chłopaka. Ból jak od dotknięcia Agielem, płonący ból w rękach i nogach. Przedtem - przed męczarniami zadawanymi przez Denne - ów ból by wystarczył, żeby sparaliżować Richarda. Lecz Denna długo tresowała chłopaka, ucząc go, jak znosić ból, coraz silniejszy, jak sobie z nim radzić. Zedd dorównywał Mord-Sith, lecz Richard znalazł w sobie potrzebną siłę, odegnał ból i wpuścił w to miejsce magiczny gniew miecza. Spojrzał ostrzegawczo na Zedda. Czarodziej się nie cofnął. Richard odepchnął go. Pchnął mocniej, niż zamierzał, i starzec upadł na ziemię. Kahlan stała nieruchomo przed chłopakiem.

- Kim dla ciebie jestem? - szepnął Poszukiwacz. - Rahlem czy Richardem?

Dziewczyna lekko drżała, najwyraźniej nie była w stanie się poruszyć. Richard dojrzał coś kątem oka i opuścił na chwilę wzrok: czubek miecza dotykał szyi Kahlan. Nie miał pojęcia, że to uczynił, zupełnie jakby magia samodzielnie powodowała ostrzem. Wiedział, że to niemożliwe. On sam przyłożył miecz do szyi dziewczyny. To dlatego drżała. Musiałby ją zabić, gdyby się okazała zdrajczynią.

Ostrze zajaśniało bielą. Twarz Kahlan również.

- Kogo widzisz? - szepnął ponownie.

- Co zrobiłeś Richardowi? - odszepnęła gniewnie. - Przysięgam, że cię zabiję, jeśli uczyniłeś mu coś złego.

Chłopak przypomniał sobie, jak go pocałowała. To nie był pocałunek zdrady, lecz miłości. Pojął, że nie byłby w stanie zabić Kahlan, nawet gdyby go zdradziła. Lecz już wiedział, że tego nie uczyniła. Wsunął miecz do pochwy, a łzy napłynęły mu do oczu.

- Wybacz, Kahlan. Niech dobre duchy przebaczą mi ów zamiar. Wiem, że nie rozumiesz, co mówię, ale jeszcze raz cię przepraszam. Rahl Posępny posłużył się pierwszym prawem magii, próbuje nas poróżnić. Chciał, żebym uwierzył w kłamstwo, i niemal tak się stało. Wiem, że ani Zedd, ani ty nigdy mnie nie zdradzicie. Wybacz, że miałem choć cień wątpliwości.

- Czego chcesz? - spytał Zedd. - Nie rozumiemy cię. - Zedd... - Chłopak przeczesał włosy palcami. - Jak sprawić, żebyś mnie zrozumiał? - Złapał czarodzieja

za szatę. - Gdzie szkatuła, Zeddzie? Muszę mieć szkatułę, zanim Rahl ją dopadnie! Nie może jej dostać!

Czarodziej groźnie zmarszczył brwi. Richard pojął, że tylko pogarsza sprawę, gdyż żadne z nich go nie rozumiało. Podszedł do koni i zaczął przeszukiwać juki.

- Szukaj sobie, ile chcesz, nigdy jej nie znajdziesz. - Uśmiechnął się starzec. - Nie mamy szkatuły. Umrzesz za cztery dni. Chłopak wyczuł za sobą jakiś ruch. Okręcił się na pięcie - to Chase zamierzał się nań maczugą. Rozdzielił ich strumień ognia. Scarlet ziała ogniem, dopóki Chase się nie cofnął.

- Ależ masz kochających przyjaciół - mruknęła.

- Rahl Posępny rzucił na mnie zaklęcie. Nie rozpoznali mnie.

- Zabiją cię, jeśli choć trochę dłużej tu zostaniesz.

Richard zrozumiał, że nie mają ze sobą szkatuły. Przecież ruszyli do D’Hary jemu na ratunek, więc nie mogli jej wziąć ze sobą. Znalazłaby się za blisko Rahla. Tamci troje w milczeniu obserwowali chłopaka i smoczycę. - Powiedz coś do nich, Scarlet. Sprawdzimy, czy ciebie zrozumieją.

Smoczyca przysunęła do nich głowę.

- To nie Rahl Posępny. To wasz przyjaciel, przesłonięty zaklęciem. Rozumiecie, co mówię?

Stali bez słowa. Zirytowany Richard przysunął się do Zedda.

- Spróbuj mnie zrozumieć, Zeddzie, proszę. Nie szukaj nocnego kamienia. Jeśli to zrobisz, to Rahl cię uwięzi w zaświatach. Postaraj się zrozumieć!

Żadne z nich nie zrozumiało ani słowa. Najpierw muszę znaleźć szkatułę, pomyślał chłopak, potem wrócę i ochronię ich przed ludźmi wysłanymi przez Rahla. Niechętnie wrócił na grzbiet Scarlet. Smoczyca bacznie obserwowała tamtych troje i ostrzegawczo ziała dymem i ogniem. Richard najchętniej zostałby z Kahlan, lecz nie mógł - najpierw musiał odzyskać szkatułę.

- Znikajmy stąd. Trzeba znaleźć mojego brata. Smoczyca plunęła ogniem, żeby tamci się nie zbliżyli, i uniosła się w powietrze. Chłopak mocno zaciskał dłonie na jej kolcach. Wyciągnęła czerwoną, łuskowatą szyję i wznosiła się coraz wyżej, pomiędzy białe obłoki, płynęła wśród nich. Richard wpatrywał się w obserwujących ich przyjaciół. Nie odrywał od nich oczu, dopóki mógł ich dostrzec. Czuł się rozpaczliwie bezradny. Ileż by dał za jeden uśmiech Kahlan.

- Co dalej? - spytała przez ramię Scarlet.

- Musimy odnaleźć mojego brata. Jest gdzieś pomiędzy nami a Rang Shada, z

tysiącem żołnierzy. Raczej trudno będzie ich przeoczyć.

- Tamci nie rozumieli, co mówię. Pewno zaklęcie objęło i mnie, bo jestem z tobą. To musi być zaklęcie dla ludzi, nie dla smoków, boja widzę prawdę. Skoro twoi przyjaciele chcieli cię zabić, to i inni też spróbują. Nie obronię cię przed tysiącem ludzi.

- Muszę zaryzykować. Coś wymyślę. Michael to mój brat. Postaram się, żeby dostrzegł prawdę. Prowadzi wojsko, żeby mi pomóc. Ogromnie potrzebuję pomocy.

Taka masa ludzi powinna być łatwa do wypatrzenia. Lecieli wysoko, żeby mieć szersze pole widzenia. Scarlet łagodnie krążyła wśród olbrzymich, puszystych chmur. Richard nigdy nie widział chmur z bliska i nie zdawał sobie sprawy, że są aż tak wielkie. Czasami zlewały się ze sobą, tworząc cudowną krainę białych gór i dolin. Smoczyca muskała ciemne podstawy chmur, niekiedy przelatywała przez nisko wiszące w dół wypustki obłoków - głowa i czubki skrzydeł Scarlet znikały w bieli. Olbrzymie rozmiary chmur sprawiały, że nawet smoczyca wydawała się mała i drobna.

Szukali tak wiele godzin, lecz nie dostrzegli ani śladu wojska. Richard zaczynał się przyzwyczajać do latania, już nie musiał bez przerwy trzymać kolców Scarlet. Opierał się o dwa z nich, rozluźniał mięśnie i obserwował przesuwające się w dole ziemie. Starał się wymyślić, jak ma przekonać Michaela, że jest sobą, Richardem, a nie Rahlem. To Michael powinien mieć szkatułę, to jemu musiał ją Zedd zostawić. Starzec pewno schował ją przed Rahlem mocą jakiegoś zaklęcia i zostawił wśród wojska. Koniecznie musi przekonać Michaela, że jest jego młodszym bratem. Odzyska szkatułę i dają Scarlet, a ona zaniesie ją do pieczary z jajem. Tam Rahl jej nie znajdzie. Zaś on, Richard, będzie mógł wrócić do Kahlan i chronić ją przed ludźmi Rahla. Może smoczyca zabierze do pieczary i Kahlan? Tam byłaby zupełnie bezpieczna.

Jeszcze trzy i pół dnia i Rahl umrze. Wtedy już nikt nie zagrozi Kahlan. Nigdy. Richard zaś wróci do Westlandu i na zawsze skończy z magią. I już nigdy nie zobaczy Kahlan. Na samą myśl o tym poczuł smutek i dojmujący żal.

Scarlet dostrzegła wojsko późnym popołudniem. Lepiej widziała z tej wysokości niż Richard. Wciąż byli daleko i chłopak dopiero po chwili ich dostrzegł. Najpierw zobaczył kłęby kurzu, a potem maszerujące drogą szeregi.

- Co zamierzasz? Co chcesz zrobić? - zawołała Scarlet.

- Mogłabyś wylądować przed nimi, ale tak, żeby nas nie dostrzegli? Łypnęła

nań gniewnie żółtym ślepiem.

- Jestem czerwoną smoczyca. Mogę wylądować wśród nich i nie obaczą mnie, jeżeli tego nie zechcę. Jak blisko chcesz się znaleźć?

- Nie chcę, żeby mnie żołnierze zobaczyli. Muszę się spotkać z Michaelem bez wiedzy jego ludzi. Żeby uniknąć kłopotów. - Richard namyślał się chwilę. - Usiądź o kilka godzin drogi przed nimi. Niech do nas dojdą. Wkrótce się ściemni, wtedy pójdę do Michaela.

Scarlet rozpostarła skrzydła i ześliznęła się spiralą ku wzgórzom wznoszącym się przed maszerującym wojskiem. Zniżyła się za nimi, poleciała wzdłuż doliny, uważając, żeby się zanadto nie zbliżyć do drogi, i wylądowała na niewielkim spłachetku długiej brązowej trawy. Czerwone łuski smoczycy, gładkie i lśniące, przepięknie wyglądały w słońcu późnego popołudnia. Richard zsunął się na ziemię. Obróciła ku niemu głowę.

- Co teraz?

- Zaczekam, aż się ściemni, aż rozbiją obóz na noc. Zjedzą kolację. Wtedy będę mógł się przemknąć do Michaela i porozmawiać z nim w cztery oczy. Na pewno wymyślę, jak go przekonać, kim naprawdę jestem.

Smoczyca mruknęła, spojrzała na niebo i ku drodze; znów nachyliła głowę ku chłopakowi, łypnęła nań żółtym okiem.

- Wkrótce będzie ciemno. Muszę wracać do jaja. Trzeba je ogrzać.

- Rozumiem, Scarlet. - Richard westchnął głęboko i namyślał się chwilę. - Wróć po mnie rano. Będę tu na ciebie czekać o świcie.

Znów spojrzała w niebo.

- Chmury się zbierają. - Opuściła głowę ku chłopakowi. - Nie mogę latać w chmurach.

- Dlaczego?

Prychnęła, z nozdrzy buchnął dym.

- Bo mają w sobie skały.

- Skały? - zdziwił się Richard.

Scarlet ze zniecierpliwieniem machnęła ogonem.

- Chmury przysłaniają różne rzeczy. Nic nie widzisz, jak we mgle. A jak nie widzisz, to możesz uderzyć w skałę albo we wzgórze. I wtedy, choć jestem silna, na pewno skręcę kark. Jeśli podstawa chmur jest wystarczająco wysoka, to mogę lecieć pod nimi. Jeżeli ich wierzchołki są odpowiednio nisko, to mogę lecieć nad nimi, lecz

wtedy nie zobaczę ziemi. I cię nie odnajdę. Co wtedy? Co, jeżeli będą chmury i cię nie znajdę lub jeśli coś pójdzie źle?

Richard położył dłoń na gardzie miecza, obejrzał się na drogę.

- Jeśli coś pójdzie źle, to będę musiał wrócić do moich trojga przyjaciół. Spróbuję się trzymać głównej drogi, żebyś mnie mogła wypatrzyć. A jeżeli... Jeżeli wszystko zawiedzie, to będę musiał wrócić do Pałacu Ludu. Jeśli nie uda mi się tu przeszkodzić Rahlowi, to za trzy dni od jutra muszę być w Pałacu Ludu. Pamiętaj o tym, Scarlet, proszę.

- Nie za dużo czasu.

- Wiem.

- Trzy dni od jutra i koniec z nami.

- Tak brzmiała umowa. - Richard się uśmiechnął. Znów spojrzała w górę.

- Nie podoba mi się wygląd nieba. Powodzenia, Richardzie Cypher. Wrócę rankiem.

Wzięła krótki rozbieg i uniosła się w górę. Chłopak patrzył, jak zatoczyła nad nim koło i odleciała. Coraz bardziej malała, aż zniknęła wśród wzgórz. Coś nagle sobie przypomniał: już ją przedtem widział. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkał Kahlan, a zaraz po tym, jak go ucięła wężowa liana. Widział, jak leciała w górze, tak jak teraz, i zniknęła za wzgórzami. Co też robiła w Westlandzie tamtego dnia?

Richard ruszył ku najbliższemu pagórkowi, szedł przez wysoką suchą trawę. Wdrapał się na słabo zadrzewiony stok, żeby lepiej widzieć drogę od zachodu. Znalazł bezpieczny, dobrze ukryty kącik w zaroślach, rozsiadł się wygodnie, wyjął trochę suszonego mięsa i owoców. Znalazł nawet kilka jabłek. Jadł bez przyjemności, wypatrując westlandzkiego wojska i brata i zastanawiając się, jak go przekona, kim naprawdę jest.

Może napisać, narysować jakiś obrazek albo mapkę, ale to pewno nie podziała. Skoro zaklęcie zmieniało słowo mówione, to najprawdopodobniej zmieni i pisane. Usiłował sobie przypomnieć ich dziecinne zabawy, ale mu się nie udawało. Michael wcale się z nim tak często nie bawił. Richard pamiętał, że brat tak naprawdę lubił tylko walkę drewnianymi mieczami. Ale dobycie miecza na brata może dać efekt przeciwny od zamierzonego.

Chłopak jeszcze coś sobie przypomniał. Michael bardzo lubił, kiedy Richard salutował mu mieczem, przyklęknąwszy na kolanie. Lecz czy Michael to pamięta? Kiedyś bardzo to lubił, uśmiechał się z zadowoleniem. Nazywał to salutem

pokonanego. Ale kiedy Richard wygrywał, to Michael nie oddawał mu salutu pokonanego. Chłopak był wtedy mniejszy i słabszy, nie mógł brata do tego zmusić. Za to sam często tak salutował Michaelowi. Uśmiechnął się do tych wspomnień, choć wówczas cierpiał z tego powodu. Może i Michael to pamięta? Warto spróbować.

Było jeszcze dosyć jasno, kiedy Richard usłyszał tętent koni, pobrzękiwanie uprzęży, trzeszczenie skór, szczęk metalu - odgłosy sporej grupy jeźdźców. Drogą przemknęło około pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych mężczyzn, podnosząc tumany kurzu. Chłopak dostrzegł wśród nich Michaela w białym stroju. Brat jechał na czele kawalkady. Richard rozpoznał mundury, hartlandzki krzyż na każdym ramieniu, pozłocisty sztandar z błękitną sosną i skrzyżowanymi mieczami. Każdy jeździec miał u szerokiego pasa topór bojowy, trzymał krótką włócznię, a znad ramienia sterczał mu krótki miecz. Kolczugi połyskiwały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. To nie byli zwyczajni westlandzcy żołnierze, lecz osobista gwardia Michaela.

Gdzie się podziało wojsko? Z powietrza chłopak widział ich wszystkich razem - jeźdźców i piechurów. Konni jechali zbyt szybko, żeby piechurzy mogli utrzymać ich tempo. Richard odczekał chwilę, patrząc w górę drogi. Już nikt się nie pokazał.

Chłopak najpierw się zmartwił, nie wiedział, co by to miało oznaczać; potem się uspokoił i uśmiechnął. Zedd, Chase i Kahlan zostawili szkatułę Michaelowi i powiedzieli mu, że idą do D’Hary, szukać Richarda. Brat pewno nie chciał czekać bezczynnie i też ruszył na pomoc. Piechurzy by nie dotarli na czas do Pałacu Ludu, więc Michael zabrał swoją osobistą gwardię i pojechał przodem, reszta dotrze później.

Pięćdziesięciu mężczyzn, nawet tak dobranych jak ci, nie da rady oddziałom Rahla. Richard uznał, że brat przedłoży jego życie nad własne. Ruszył za nimi. Dogonił ich dobrze po zmierzchu. Popędzali konie i zatrzymali się na noc dość późno. Wyprzedzili Richarda bardziej, niż się spodziewał; było już dawno po kolacji, kiedy dotarł do ich obozu. Konie były uwiązane na noc. Niektórzy żołnierze leżeli już w śpiworach. Wystawiono też warty, ale chłopak wiedział, gdzie się ich spodziewać, bo obserwował obóz z niewielkiego wzniesienia.

Noc była ciemna. Chmury kryły księżyc. Richard ostrożnie zszedł ze wzgórza, wymijając cichutko ledwo widocznych w mroku strażników. Nareszcie był w swoim żywiole. Nie sprawiło mu to trudności, wiedział, gdzie stoją, i wiedział, że się go w ogóle nie spodziewają. Patrzył, jak obserwowali otoczenie i pochylał się, kiedy spoglądali w jego stronę. Znalazł się wewnątrz kręgu wartowników i ruszył ku

obozowi. Michael ogromnie mu ułatwił zadanie - miał swój namiot na uboczu, z dala od żołnierzy. Gdyby kazał go rozbić wśród swoich ludzi, sprawa byłaby o wiele trudniejsza. A i tak koło namiotu Michaela stali strażnicy. Richard obserwował ich przez chwilę, wyszukiwał słabe punkty, aż znalazł miejsce, którędy mógł się wśród nich prześliznąć: w cieniu namiotu, w cieniach rzucanych przez ogniska. Żołnierze trzymali się jaśniejszych miejsc, bo nie mogliby niczego wypatrzyć w mroku.

Chłopak podkradł się do namiotu, przykucnął, przyczaił się cicho. Długo nasłuchiwał, sprawdzając, czy jeszcze ktoś jest w namiocie oprócz Michaela. Słyszał szelest papierów, widział blask lampy; żadnych głosów. Ostrożnie naciął namiot nożem zajrzał do środka. Na lewo od niego, przy małym składanym stoliku, siedział Michael i przeglądał jakieś papiery. Głowę wspierał na dłoni. Richard dostrzegł, że owe papiery są duże, bez linijki tekstu. Prawdopodobnie mapy.

Teraz tylko wejść do środka, opaść na kolano i zasalutować, zanim Michael narobi alarmu. Tuż przed Richardem stało polowe łóżko; wystarczy, żeby się niepostrzeżenie wśliznąć. Chłopak napiął linę, żeby płótno nie odskoczyło, i przeciął ją w połowie szerokości łóżka. Uniósł brzegi płótna i przeturlał się pod nim, za łóżko.

Michael się odwrócił i Richard wyrósł przed stolikiem, przed swoim bratem. Uśmiechnął się radośnie, uradowany, że znów widzi starszego brata. Michael szarpnął głową. Jego miękkie policzki zbielały. Zerwał się na nogi. Richard właśnie miał zasalutować, kiedy brat przemówił:

- Richard... Skąd... Co ty tu robisz? Dobrze cię znowu widzieć. Tak się wszyscy... Martwiliśmy.

Uśmiech zniknął z twarzy chłopaka.

Rahl powiedział, że ci, którzy są po jego stronie, zobaczą Richarda jako Richarda.

Michael go tak zobaczył.

To Michael go zdradził. Jego własny brat pozwolił, żeby Mord-Sith go złapała i torturowała. Michael wydałby Zedda, Chase'a i Kahlan Rahlowi Posępnemu. Michael wydałby wszystkich Rahlowi. Richard poczuł lodowaty chłód.

- Gdzie szkatuła? - wykrztusił z wielkim trudem.

- Ach... Wyglądasz na głodnego, Richardzie. Każę ci przynieść jakąś kolację. Pogadamy. Tak dawno nie rozmawialiśmy.

Chłopak starał się trzymać dłoń z dala od miecza, bał się, że mógłby zaatakować brata. Upomniał się surowo: jesteś Poszukiwaczem i tylko to się liczy.

Nie był Richardem - był Poszukiwaczem. Miał zadanie do wykonania. Nie mógł sobie pozwolić na bycie Richardem. Na bycie bratem Michaela. Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie. O wiele ważniejsze.

- Gdzie szkatuła?

- Szkatuła... - Oczy Michaela uciekły w bok. - Zedd mi o niej wspominał... Miał mi ją dać... Ale potem mówił, że cię odnalazł w D'Harze dzięki jakiemuś kamieniowi i wszyscy troje pojechali do ciebie. Mówiłem im, że też chcę jechać, ratować brata, lecz musiałem zebrać i przygotować ludzi, więc tamci wyruszyli przodem. Zedd zatrzymał szkatułę. On jama.

Richard zrozumiał; Rahl Posępny ma trzecią szkatułę. Rahl Posępny mówił prawdę.

Poszukiwacz stłumił swoje osobiste uczucia i szybko ocenił sytuację. Najważniejsze to dotrzeć do Kahlan. Jeśli on teraz straci głowę, to dziewczyna ucierpi przez to: pozna udrękę Agiela. Stwierdził, że się koncentruje na wyobrażeniu warkocza Denny. Pozwolił sobie na to. Byle tylko się opanować. Nie mógł zabić Michaela, nie mógł pozwolić, by go schwytali gwardziści brata. Nawet nie powinien zdradzić Michaelowi, że się domyślił prawdy. To by nic nie dało, a jedynie naraziło życie przyjaciół. Zaczerpnął głęboko powietrza i zmusił się do uśmiechu.

- Najważniejsze, że szkatuła jest bezpieczna. Tylko to się liczy. Policzki Michaela odzyskały normalną barwę; uśmiechnął się.

- Wszystko dobrze, Richardzie? Wyglądasz... Inaczej. Jakbyś dużo... Przeszedł.

- Więcej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić, Michaelu. - Chłopak przysiadł na łóżku, brat wrócił na krzesło. Ubrany w luźne białe spodnie i bluzę ściągniętą złotym pasem, wyglądał jak uczeń Rahla Posępnego. Richard dojrzał, co to za mapy przeglądał Michael: mapy Westlandu. Wiózł Rahlowi mapy Westlandu. - Rzeczywiście byłem w D'Harze, jak ci powiedział Zedd, ale uciekłem. Musimy wyjechać z D'Hary. Jak najdalej. Chcę dotrzeć do tamtych, zanim się tu zjawią, szukając mnie. Możesz już zabrać swoich ludzi i wojsko, możesz wrócić i chronić Westland. Dziękuję, Michaelu, że wyruszyłeś mi na pomoc.

- Jesteś moim bratem. - Michael uśmiechnął się szeroko. - Jakżebym mógł tego nie zrobić?

Richard zmusił się do serdecznego uśmiechu, choć cierpiał nad zdradą brata. To było - na swój sposób - o wiele gorsze, niż gdyby Kahlan okazała się zdrajczynią.

On i Michael razem dorastali, byli braćmi, sporą część życia spędzili wspólnie. Zawsze podziwiał Michaela, zawsze stawał po jego stronie, obdarzał zaufaniem i miłością. Pamiętał, jak się chełpił starszym bratem przed innymi chłopcami.

- Potrzebny mi koń, Michaelu. Muszę jechać. I to zaraz. - Wszyscy z tobą pojedziemy. Ja i moi ludzie. - Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Nie chcę cię znów stracić z oczu, skoro się wreszcie odnaleźliśmy.

Richard się poderwał.

- Nie! - Stonował głos. - Znasz mnie, wiesz, że jestem przyzwyczajony do samotnej wędrówki po lasach. W tym jestem najlepszy. Tylko byście mnie opóźniali. A mam mało czasu.

Michael wstał, zerknął na wejście do namiotu.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć. Jesteśmy...

- Nie. Jesteś Pierwszym Radcą Westlandu. To twój najważniejszy obowiązek, a nie pilnowanie małego braciszka. Zabierz wojsko do Westlandu, Michaelu, proszę. Dam sobie radę.

- Chyba masz rację. - Michael potarł brodę. - Jechaliśmy do D’Hary tylko po to, żeby ci pomóc, a skoro jesteś bezpieczny...

- Jeszcze raz dzięki, Michaelu, że ruszyłeś mi na pomoc. Wezmę konia. A ty wracaj do swoich obowiązków.

Richard miał wrażenie, że jest największym głupcem na świecie. Powinien się domyślić. Już dawno powinien to zrozumieć. Przypomniał sobie, jaką to Michael wygłosił mowę, ostrzegając, że ogień jest wrogiem ludzi. Już tylko to wystarczało, żeby zrozumieć. Kahlan próbowała go ostrzec tamtej pierwszej nocy. Sprawdziły się jej podejrzenia, że Michael przeszedł na stronę Rahla. Gdybyż tak Richard usłuchał swojego umysłu, a nie serca.

Pierwsze prawo magii: ludzie są głupcami wierzącymi w to, w co chcą wierzyć. Richard okazał się największym głupcem. Tak się wściekł na samego siebie, że już się nie mógł złościć na Michaela.

Teraz może wszystko stracić przez to, że wówczas nie chciał zobaczyć prawdy. Już nie miał wyboru. Zasłużył na śmierć.

Richard nie spuszczał z brata załzawionych oczu, z wolna opadł na jedno kolano i wykonał „salut przegranego”.

Michael wsparł się pod boki i uśmiechnął się do brata.

- Pamiętasz. Jak to było dawno, braciszku.

- Wcale nie tak dawno. - Richard wstał. - Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Zawsze cię kochałem. Zegnaj, Michaelu.

Chłopak przez sekundę zamierzał zabić brata. Wiedział, że musiałby go zabić gniewem miecza. Nigdy by się nie zdobył na to, żeby mu wybaczyć i zabić go białym ostrzem. Gdyby chodziło tylko o niego, Richarda, to może, ale nigdy mu nie wybaczy tego, co uczynił Kahlan i Zeddowi. Uśmiercenie brata było mniej ważne niż pomoc Kahlan. Nie będzie ryzykować tylko po to, żeby naprawić swoją głupotę. Wyszedł z namiotu. Michael za nim.

- Przynajmniej zjedz coś. Mamy jeszcze sporo do omówienia. Wciąż nie jestem pewny...

Richard się obrócił, popatrzył na stojącego przed namiotem brata. Zaczęła opadać lekka mgła. Mina Michaela świadczyła, że nie ma zamiaru pozwolić mu odejść; wyczekiwał, kiedy przywołać ludzi.

- Zgódź się, Michaelu, proszę. Muszę jechać.

- Hej, żołnierze - zawołał tamten do gwardzistów. - Chcę, żeby brat z nami został. Dla swego własnego dobra.

Trzej gwardziści ruszyli ku chłopakowi. Richard skoczył w zarośla, zniknął w mroku nocy. Niezdarnie poszli jego śladem. Byli żołnierzami, a nie ludźmi lasu. Byli Westlandczykami, więc chłopak nie chciał ich zabijać. Bezszelestnie się prześlizgiwał w mroku, gdy cały obóz podrywano na nogi, wywrzaskiwano rozkazy. Słyszał, jak Michael krzyczy, żeby go nie zabijali, lecz wzięli żywcem. Było oczywiste: chciał osobiście wydać Richarda Rahlowi Posępnemu. Chłopak okrążył obóz, dotarł do koni. Przemknął się pomiędzy wartownikami. Poprzecinał wszystkie liny i wskoczył na oklep na konia. Wrzeszczał, kopał i uderzał pozostałe. Rozbiegły się w panice. Zwierzęta i ludzie gnali na oślep we wszystkie strony. Richard uderzył piętami swojego rumaka. Wściekłe wrzaski ucichły w oddali. Richard popędzał konia w mrok nocy; twarz miał mokrą od mgły i łez.

Rozdział czterdziesty siódmy

Zedd obudził się bladym świtem, trapiony niespokojnymi myślami. Niebo się zachmurzyło nocą, zapowiadał się deszczowy dzień. Kahlan leżała na boku, twarzą do czarodzieja; oddychała spokojnie, pogrążona w głębokim śnie. Chase pewnie pilnował obozowiska.

Świat się rozpadał, a on był zupełnie bezradny. Jak liść na wietrze. Łudził się, że jako czarodziej, i to czarodziej od bardzo, bardzo dawna, będzie miał choć odrobinę kontroli nad wydarzeniami. Lecz był tylko bezsilnym widzem. Patrzył, jak inni cierpieli i ginęli wtedy, kiedy on usiłował prowadzić tych, którzy mogli mieć jakiś wpływ na wydarzenia, którzy mogli uczynić to, co musiało być zrobione.

Jako czarodziej pierwszej kategorii wiedział, że nie powinien iść do D'Hary, lecz cóż? Musiał się tam udać, jeżeli istniała choć najmniejsza możliwość ocalenia Richarda. Za trzy dni pierwszy dzień zimy. Rahl Posępny miał tylko dwie szkatuły, więc zginie. Lecz najpierw zabije Richarda, jeżeli nie uwolnią chłopaka.

Zedd ponownie myślał o wczorajszym spotkaniu z Rahlem Posępnym. Nie mógł tego pojąć, choć ogromnie się starał. Najdziwniejsze z dziwnych. Rahl najwyraźniej chciał za wszelką cenę odnaleźć szkatułę i tak go to zaślepiało, że nawet nie zabił Zedda, choć miał po temu okazję. Czarodzieja, który zabił mu ojca, którego szukał z takim zapamiętaniem, a gdy go wreszcie znalazł - nic kiwnął palcem. I w ogóle się zachowywał zupełnie bezsensownie.

Starzec aż się zatrząsł, widząc u boku tamtego Miecz Prawdy. Czemu Rahl Posępny, mistrz magii obu światów, nosił u boku miecz Richarda? I co też uczynił chłopakowi, że miał jego miecz?

Albo to podniesienie oręża na Kahlan. Zedd nigdy w swoim życiu nie czuł się taki bezsilny. Głupio postąpił, kierując na tamtego czarodziejski ból. Ci z darem, którzy przeżyli próbę bólu, przeżyją i dotknięcie czarodzieja. Ale cóż innego mógł zrobić? cierpiał straszliwie, widząc Rahla dotykającego gardła Kahlan Mieczem Prawdy. Przez chwilę był przekonany, że Rahl zabije dziewczynę, a sekundę później, zanim Zedd zdążył cokolwiek zrobić, tamten miał oczy pełne łez i cofnął miecz. Po co Rahl miałby zabijać Kahlan czy którekolwiek z nich Mieczem Prawdy? Przecież wystarczyłoby pstryknąć palcami. Po co mu był miecz? I dlaczego w końcu ich nie zabili

Jeszcze gorzej, że potrafił sprawić, iż klinga zbielała. Zedd o mało nie wyskoczył ze skóry, gdy to zobaczył. Przepowiednie wspominały o tym, który potrafi

sprawić, iż Miecz Prawdy stanie się biały. Wspominały niejasno i ostrzegawczo. Zedd był wstrząśnięty do głębi, kiedy się okazało, że to Rahl. Bał się, że to mogło chodzić o Richarda, ale że to Rahl...

Zasłona - tak nazywały to przepowiednie; zasłona pomiędzy swatem żywych a zaświatami. Proroctwa głosiły, że jeśli magia Ordena, działając przez pośrednika, rozedrze ową zasłonę, to będzie mógł ją spalić tylko ten, kto potrafi sprawić, iż klinga Miecza Prawdy zbieleje. Jeśliby zaś nie zdołał tego uczynić, to zaświaty się przedostaną do świata żywych.

Straszliwe konotacje słowa „pośrednik" ogromnie Zedda martwiły. Oznaczałoby to, że Rahl nie działa na własny rachunek, że jest przedstawicielem jakiejś potęgi. Przedstawicielem zaświatów. I pewno tak, skoro był mistrzem magii subtraktywnej, magii zaświatów. Znaczyło to również, że magia Ordena rozedrze ową zasłonę nawet wtedy, kiedy Rahl zginie. Zedd starał się nie myśleć o tych przepowiedniach. Przerażała go sama myśl o uwolnionych zaświatach. Wolałby umrzeć, zanim to się stanie.

Czarodziej obrócił na bok głowę, popatrzył na śpiącą Kahlan. Matka Spowiedniczka. Ostatnia z linii stworzonej przez dawnych czarodziejów. Bolał nad jej cierpieniem, nad tym, że nie mógł jej pomóc, kiedy Rahl dotykał jej czubkiem Miecza Prawdy, nad tym, co czuła do Richarda, i nad tym, że nie wszystko mógł jej powiedzieć.

Gdyby to nie chodziło o Richarda. Każdy byle nie Richard. Nic nigdy nie jest łatwe i proste.

Starzec usiadł gwałtownie. Coś było nie tak. Już tak jasno, a Chase nie wrócił. Dotknął palcem czoła dziewczyny i obudził ją. Dostrzegła zaniepokojenie Zedda.

- Co się dzieje? - szepnęła.

Czarodziej siedział nieruchomo, wyczuwając obecność żywych istot wokół nich.

- Chase nie wrócił, a powinien. Kahlan się rozejrzała.

- Może zasnął. - Zedd tylko uniósł brew, więc dodała: - Może jest jakiś poważny powód ku temu, a może nic się nie stało.

- Zniknęły nasze konie.

- Czujesz, gdzie Chase jest? - spytała dziewczyna, zrywając się na nogi i sięgając po nóż.

- Jacyś ludzie tu są. - Starzec drgnął nagle. - Ludzie dotknięci przez zaświaty.

Poderwał się na nogi. W tym samym momencie Chase - popchnięty - wtoczył się do obozowiska i padł twarzą na ziemię. Ręce miał skrępowane na plecach, cały był pokrwawiony. Jęknął. Zedd wyczuł obecność czterech mężczyzn. Aż się wzdrygnął, czując to, co ich otaczało.

Pokazał się wielkolud, który popchnął Chase'a. Krótkie, jasne, sterczące włosy z czarnym pasmem. Lodowate oczy i uśmiech. Zedd poczuł zimny dreszcz.

Kahlan stała na lekko ugiętych kolanach.

- Demmin Nass - syknęła. Tamten wsunął kciuki za pas.

- Aaaa, słyszałaś o mnie, Matko Spowiedniczko. - Wstrętny uśmieszek stał się jeszcze szerszy. - I ja o tobie słyszałem. Ten tu twój przyjaciel zabił pięciu moich najlepszych ludzi. Zabiję go później, po zabawie. Chcę, żeby się nacieszył tym, co ci zrobimy.

Kahlan się obejrzała, bo z lasu wyszli jeszcze trzej mężczyźni, nie tacy olbrzymi jak Nass, lecz więksi niż Chase. Okrążyli ich, ale to żaden problem dla czarodzieja. Tamci trzej byli jasnowłosi, potężnie umięśnieni i zlani potem, choć dzień był chłodny. Chase najwyraźniej dał się im we znaki. Teraz jednak odłożyli broń, uważając, że całkowicie kontrolują sytuację. To ich zadufanie zirytowało Zedda. Ich uśmieszki go rozwścieczyły. Światło wczesnego poranka sprawiało, że cztery pary niebieskich oczu wydawały się jeszcze bardziej ostre i przenikliwe.

Starzec świetnie wiedział, że to bojówka, i równie dobrze wiedział, co ci ludzie robią ze Spowiedniczkami. Aż za dobrze. Krew w nim zawrzała. O nie, nie pozwoli, żeby coś takiego przydarzyło się Kahlan. Przynajmniej dopóki on żyje.

Kahlan i Demmin Nass wpatrywali się w siebie.

- Gdzie Richard? Co Rahl mu zrobił?

- Kto?

- Poszukiwacz - zgrzytnęła zębami dziewczyna.

- To sprawa mistrza Rahla i moja. - Demmin uśmiechnął się. - Nic ci do tego.

- Powiedz - rzuciła ostro.

- Teraz masz poważniejsze zmartwienia, Spowiedniczko. - Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Moi ludzie dobrze się z tobą zabawią. Przyłóż się do tego i zadbaj, żeby mieli uciechę. Poszukiwacz to nie twoja sprawa.

Zedd uznał, że pora to przerwać, zanim zdarzy się coś jeszcze Uniósł ręce i rzucił najpotężniejszy czar paraliżujący, na jaki go było stać. Cztery zielone błyskawice strzeliły ku czterem niebieskookim mężczyznom. Uderzyły w nich z

głuchym hukiem. I stało się coś strasznego, zanim czarodziej zdążył zareagować. Zielone błyskawice uderzyły w mężczyzn i natychmiast się od nich odbiły. Zedd zbyt późno się zorientował, że tamtych chroni jakieś potężne zaklęcie - zaklęcie zaświatów, którego nie był w stanie dostrzec. Na starca spadły cztery zielone błyskawice. Unieruchomił go jego własny czar. Skamieniał. Był bezsilny. Nie mógł nawet drgnąć.

Demmin Nass wysunął kciuk zza pasa.

- Jakieś kłopoty, staruszku?

Kahlan wyciągnęła rękę i położyła dłoń na bezwłosej piersi tamtego. Zedd zebrał wszystkie siły, oczekując uwolnienia mocy dziewczyny, oczekując bezdźwięcznego gromu.

Nic.

Zdumiona twarz Kahlan świadczyła, że powinien był nastąpić ów bezdźwięczny grom.

Demmin Nass uderzeniem pięści złamał Kahlan ramię. Dziewczyna padła na kolana, krzyknęła z bólu. Poderwała się i zamierzyła na Nassa nożem trzymanym w zdrowej ręce. Złapał ją za włosy, odciągnął w tył. Uderzyła nożem w trzymającą ją rękę. Wyszarpnął jej go z dłoni i wbił w drzewo. Dalej trzymał Kahlan za włosy; kilka razy uderzył dziewczynę w twarz grzbietem dłoni. Kopała, drapała i krzyczała, a Nass rechotał złośliwie. Podeszli tamci trzej.

- Nie jesteś w moim typie, Matko Spowiedniczko, przykro mi. Ale się nie przejmuj, te chłopaki z przyjemnością się tobą zajmą. Kręć żwawo kuprem. - Zadrwił. - Niech się choć tym na cieszę.

Demmin przekazał dziewczynę swoim ludziom. Popychali ją od jednego do drugiego i trzeciego, bili, policzkowali, brutalnie okręcali w koło, aż Kahlan się zakręciło w głowie, nie mogła się utrzymać na nogach i padała bezwładnie z jednej pary ramion w następną. Była równie bezsilna jak mysz w pazurach trzech kotów. Włosy opadały jej na twarz. Próbowała bić napastników, ale była tak otumaniona, że nie trafiała w żadnego. Wyśmiewali się z niej. Jeden z nich uderzył Kahlan pięścią w żołądek. Dziewczyna zgięła się w pół, upadła na kolana, oszołomiona bólem. Drugi złapał ją za włosy i podniósł. Trzeci szarpnął za koszulę, oderwał wszystkie guziki. Znów rzucali sobie dziewczynę, po kawałku zdzierając z niej koszulę. Kahlan krzyczała z bólu, kiedy szarpali rękaw na złamanej ręce.

Zedd stał jak skamieniały. Nawet nie mógł drżeć z szalejącego w nim gniewu.

Nie mógł zamknąć oczu, żeby nie widzieć, ani zatkać uszu, żeby nie słyszeć. Wypłynęły bolesne wspomnienia - już kiedyś to widział! - i nałożyły się na to, co się działo. Owe wspomnienia i to, na co musiał patrzeć, sprawiało starcowi taki ból, że z trudem oddychał. Oddałby życie za swobodę ruchów. Gdybyż to Kahlan z nimi nie walczyła! To tylko pogarszało sprawę. Lecz Spowiedniczki zawsze walczą. Wszystkimi dostępnymi środkami. Tym razem to nie wystarczy.

Uwięziony, bezradny Zedd walczył o odzyskanie swobody ruchów. Próbował każdej sztuczki, każdego zaklęcia, każdej mocy. Wszystko na nic. Łzy płynęły z oczu starego czarodzieja.

Kahlan wrzasnęła - to jeden z mężczyzn złapał ją za złamane ramię i popchnął ku dwóm pozostałym. Przytrzymali dziewczynę za ramiona i włosy. Kopała i szarpała się, zaciskając zęby z bólu i wściekłości. Trzeci napastnik rozpiął jej pas, rozerwał górę spodni. Pluła nań i wykrzykiwała klątwy. Ze śmiechem zdarł z niej spodnie. Tamci dwaj z trudem trzymali Kahlan. Nie daliby jej rady, gdyby nie to złamane ramię. Jeden z nich brutalnie szarpnął połamaną ręką; dziewczyna wrzasnęła z bólu.

Tamci dwaj odchylili jej głowę w tył, a trzeci gryzł szyję Kahlan. Rozpiął pas i spodnie. Zgniótł wargami usta dziewczyny, tłumiąc jej krzyki, i położył grube paluchy na piersiach Spowiedniczki, przesunął łapę w dół, między jej uda. Opuścił spodnie, a kolanem rozepchnął nogi dziewczyny. Próbowała mu przeszkodzić, opierała się, ale był silniejszy. Wdarły się w nią grube paluchy. Oczy Kahlan otwarły się szeroko. Twarz poczerwieniała z gniewu. Dyszała z wściekłości.

- Połóżcie ją na ziemi i przytrzymajcie - warknął gwałciciel. Kolano Kahlan trafiło go w pachwinę. Jęknął i zgiął się w pół.

Tamci się śmiali. Wyprostował się, oczy mu pałały. Trzasnął dziewczynę pięścią w usta, rozciął jej wargę. Po brodzie Kahlan pociekła krew.

Chase - z rękami ciasno skrępowanymi na plecach - uderzył tamtego głową w plecy. Zwalili się obaj na ziemię. Spodnie, oplatane wokół kostek napastnika, krępowały mu ruchy. Zanim zdążył zareagować, Chase ścisnął udami szyję mężczyzny. Tamtemu oczy wyszły na wierzch. Strażnik przetoczył się na bok, szarpnął w głowę napastnika: trzask i ciało legło bezwładnie.

Demmin Nass kopał strażnika w żebra i głowę tak długo, dopóki ten nie przestał się poruszać.

Znienacka zaatakowały Nassa kły i pazury. Wilk dziko warczał i szarpał olbrzymiego mężczyznę. Zwalili się na ziemię, tarzali, przetoczyli przez ognisko. W

powietrzu błysnął nóż.

- Nie! - wrzasnęła Kahlan. - Brophy! Uciekaj! Nie!

Za późno. Nóż wbił się aż po rękojeść, trzymająca go pięść uderzyła w żebra. I jeszcze raz, i jeszcze. Nass otworzył wilkowi brzuch. Po chwili było po wszystkim. Brophy leżał rozciągnięty na ziemi. Nogi mu zadrgały, znieruchomiał.

Dwaj mężczyźni trzymali Kahlan za włosy i ramiona. Dziewczyna łkała, powtarzała imię wilka.

Nass się podniósł, dysząc z wysiłku po tej krótkiej, lecz zażartej walce. Krew mu płynęła z ran na piersi i ramionach. Oczy płonęły gniewem.

- Niech za to zapłaci - syknął do trzymających Kahlan mężczyzn. - Zróbcie jej dobrze.

Dziewczyna się szarpała i wyrywała.

- Co z tobą, Demmin? - krzyknęła. - Sam nie możesz tego zrobić? Nie jesteś mężczyzną? Prawdziwi faceci muszą cię wyręczać?!

Umilknij, dziewczyno, błagał ją w myślach Zedd. Nic już nie mów, nic nie mów, błagam.

Nass spurpurowiał. Ciężko oddychał. Patrzył gniewnie na Kahlan..

- Przynajmniej oni są prawdziwymi mężczyznami! Przynajmniej oni wiedzą, jak dogodzić kobiecie! I mają czym! Tobie tego brakuje! Albo wystarczy ledwo dla małych chłopaczków! O co chodzi, chłoptasiu? Będę się z ciebie wyśmiewać, kiedy prawdziwi mężczyźnie będą robić to, czego ty nie możesz!

Demmin Nass zgrzytnął zębami, przysunął się bliżej.

- Milcz, suko. Splunęła mu w twarz.

- Twój ojciec też by to zrobił, gdyby wiedział, że nie potrafisz dogodzić kobiecie. Hańbisz nazwisko swego ojca!

Czy Kahlan straciła rozum, zastanawiał się Zedd. Nie miał bladego pojęcia, czemu dziewczyna tak postępuje. Chyba że chciała sprowokować Nassa do jeszcze gorszych czynów.

Demmin wyglądał, jakby go lada moment miała rozsadzić wściekłość. Potem twarz mu się odprężyła, uśmiech powrócił na wargi. Rozejrzał się, wypatrzył to, czego szukał.

- O, tam - wskazał swoim ludziom. - Przytrzymajcie ją twarzą w dół na tej kłodzie - przysunął twarz do twarzy Kahlan. - Chcesz, żebym ja ci to zrobił? Niech ci będzie, suko. Zajmę się tobą po mojemu. Dopiero pokażesz, jak się potrafisz wić.

Kahlan była purpurowa z gniewu.

- Gadanie! Próżne przechwałki! Dobry to jesteś, ale w gębie! Zbłaźnisz się! Ale będziemy mieć zabawę, ja i twoi ludzie! Znów będą musieli zrobić za ciebie całą robotę. - Uśmiechnęła się wyzywająco. - Czekam, chłoptasiu. Zrób mi to samo, co twój ojciec robił tobie. Pośmiejemy się, wyobrażając sobie, jak pod nim klęczałeś. Pokaż mi, jak ci to robił.

Żyły na skroniach Nassa groziły pęknięciem, oczy wyszły mu na wierzch. Chwycił Kahlan za gardło, zacisnął dłoń, uniósł dziewczynę w powietrze. Drżała z gniewu. Jeszcze mocniej zacisnął dłoń, dusząc Kahlan.

- Ostrożnie, dowódco - ostrzegł szeptem jeden z jego ludzi - bo ją zabijesz.

Demmin łypnął na niego wściekle, ale poluzował chwyt. Spojrzał na Kahlan.

- Cóż może wiedzieć taka suka jak ty?

- Wiem, że jesteś kłamcą. Wiem, że twój pan nie dopuściłby, żeby się taki chłoptaś jak ty dowiedział, co uczyniono z Poszukiwaczem. Nie masz o niczym pojęcia. Nie chcesz mi powiedzieć, bo sam tego nie wiesz, a jesteś takim śmieciem, że nie potrafisz przyznać się do niewiedzy.

A więc o to chodziło Kahlan. Zedd zrozumiał. Wiedziała, że umrze, i chciała wytargować za tortury Nassa wiadomości o Richardzie. Nie chciała umrzeć, nie wiedząc, czy chłopak jest bezpieczny. Łzy znów płynęły po twarzy czarodzieja. Usłyszał, jak Chase się z wysiłkiem podnosi.

Nass cofnął dłoń z gardła dziewczyny, dał swoim ludziom znak, żeby ją puścili. Znienacka uderzył Kahlan pięścią. Upadła na plecy. Nachylił się, złapał ją za włosy i podniósł, jakby była lekka jak piórko.

- Nic nie wiesz! Twoja pięść mi to powiedziała! Twój pan mógłby powiedzieć twemu ojcu. - Szydziła Kahlan. - Ale na pewno zmilczy przed tatusiową dziewuszką!

- Dobrze, dobrze. Powiem ci. Lepiej się potem zabawię na tobie, jak już będziesz wiedzieć, co robimy z tymi łobuzami Poszukiwaczami. Zrozumiesz, że tylko marnujesz czas, walcząc z nami.

Kahlan stała przed Nassem naga, czerwona z gniewu. Nie była małą kobietką, lecz przy nim zdawała się malutka. Wsparła się pięścią pod bok, ciężko oddychała. Drugie ramię zwisało bezwładnie, cała była okrwawiona.

- Jakiś miesiąc temu malarz narysował urok, żeby można było pochwycić Poszukiwacza. Zabił tego malarza, ale i tak go złapano. Mord-Sith go pojmała.

Z twarzy dziewczyny uciekły wszystkie kolory. Zbielała jak lilia. Zedd miał

wrażenie, że ktoś mu wbił nóż w serce. Gdyby mógł, padłby na ziemię w śmiertelnej męce.

- Nie - szepnęła Kahlan z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

- O tak - szydził Nass. - I to szczególnie wredna i niebezpieczna Mord-Sith. Pojmała go Denna. Nawet ja omijam ją z daleka, Mistrz Rahl ją faworyzuje, ze względu na jej... - wyszczerzył zęby - na jej talenty. Słyszałem, że tym razem przeszła samą siebie. Nawet ją widziałem pewnego dnia, przy kolacji, zbryzganą od stóp do głów krwią Poszukiwacza.

Kahlan lekko drżała, oczy miała wilgotne. Zedd by przysiągł, że jeszcze zbladła.

- Ale wciąż jeszcze żyje - szepnęła głuchym głosem. Demmin uśmiechnął się z zadowoleniem; cieszyło go, że dziewczyna tak reaguje na jego słowa.

- Wiedz, Matko Spowiedniczko, że kiedy ostatnio widziałem Poszukiwacza, to klęczał przed mistrzem Rahlem, a Denna trzymała Agiela u podstawy jego głowy. Wątpię, czy choć pamiętał, jak się nazywa. Mistrz Rahl nie był wówczas najszczęśliwszy. A kiedy mistrz Rahl jest nieszczęśliwy, to ludzie umierają. Sądząc po tym, co mistrz Rahl mi powiedział na odchodnym, zapewniam, że Poszukiwacz już się nie podniósł z kolan. Pewno zgnił do tej pory.

Zedd płakał nad tym, że nie może pocieszyć Kahlan, że ona nie może jego pocieszyć.

Kahlan była śmiertelnie spokojna.

Wolno uniosła ramiona w górę, zaciśnięte pięści godziły w niebo.

Odchyliła w tył głowę.

Wydała niesamowity wrzask. Przeszył Zedda jak miriady lodowych igiełek, odbił się echem od wzgórz, potoczył po dolinie, wstrząsnął drzewami. Starcowi zaparło dech. Nass i tamci dwaj cofnęli się parę kroków.

Czarodziej skamieniałby teraz, gdyby to się już wcześniej nie stało, porażony strachem. Kahlan nie powinna być do tego zdolna, nie powinna tego potrafić.

Dziewczyna głęboko wciągnęła powietrze, mocniej zacisnęła pięści; twarz miała zalaną łzami.

Znów wrzasnęła. Przeszywająco, przeciągle, niesamowicie. Dźwięk runął jak lawina. Kamienie tańczyły na ziemi. Kołysała się woda okolicznych jeziorek. Powietrze drżało, zaczęło się poruszać. Mężczyźni zatkali uszy. Zedd też by to zrobił, gdyby się mógł poruszyć.

Kahlan ponownie zaczerpnęła powietrza. Wyciągnęła się ku niebu, wygięła plecy.

Trzeci wrzask był jeszcze gorszy. Zawarta w nim magia szarpała i darła samą istotę powietrza. Zedd miał wrażenie, że i on się rozpadnie na kawałki. Powietrze zaczęło wirować wokół dziewczyny, podnosiły się tumany kurzu.

Zapadała ciemność, gdyż magia krzyku odpędziła światło a przywołała mrok i wiatr. Mrok i blask wirowały wokół Matki Spowiedniczki, w której głosie wibrowała prastara magia.

Zedd niemal się dusił z przerażenia, jakie w nim budził czyn Kahlan. Starzec widział to jeden jedyny raz, dawno temu, i nie przyniosło to niczego dobrego. Dziewczyna łączyła magię Spowiedniczek, magię addytywną, miłość, z jej przeciwieństwem z zaświatów - z magią subtraktywną, z nienawiścią.

Kahlan stała w oku cyklonu i krzyczała. To na niej skupiło się światło. Wokół zapanowała ciemność. W pobliżu Zedda było czarno jak w najciemniejszą noc. Jedynie dziewczynę okalał blask. Noc wokół dnia. Czerń nieba zaczęły rozdzierać błyskawice - strzelały gwałtownie we wszystkie strony, rozgałęziały się, podwajały, aż całe niebo stanęło w ogniu. Zabrzmiał grom, przetoczył się echem, stopił się z wszechobecną furią, wmieszał w krzyk Kahlan i zlał się z nim w jedno.

Ziemia drżała. Krzyk wzniósł się poza granice słyszalności, przemienił w coś odmiennego niż głos. W ziemi rozwarły się zygzakowate szczeliny. Strzeliły z nich błyskawice fioletowego ognia. Wstęgi błękitnawopurpurowego światła wibrowały i tańczyły, wir wciągał je szybciej i szybciej, wsysał ku Kahlan. Dziewczyna jaśniała w ciemności. Tylko ona istniała - cała reszta była pozbawioną światła nicością. Zedd nie mógł oderwać oczu od Kahlan.

Straszliwe drgnięcie powietrza. Krótki, przeraźliwy błysk światła i starzec ujrzał, że igły wszystkich okolicznych sosen odleciały zieloną chmurą. Ściana kurzu i piachu uderzyła w twarz czarodzieja; miał wrażenie, że obedrze go z ciała aż do kości.

Dzikość wstrząsu rozdarła mrok. Powróciło światło.

Dokonało się połączenie.

Zedd zobaczył strażnika. Chase stał przy nim, ręce nadal miał związane, bacznie wszystko obserwował. Strażnicy graniczni są twardsi, niż powinni, pomyślał starzec.

Kahlan otoczyło jasnobłękitne światło; nabierało intensywności, mocy, a

nawet gwałtowności. Dziewczyna się odwróciła. Złamane ramię opadło w dół. Drugie, zdrowe, zatrzymało się w połowie drogi, pięść mierzyła w czarodzieja. Błękitne światło skupiło się w jednym punkcie, wokół tej pięści. Rozjarzyło się i nagle strzeliło ku Zeddowi. Uderzyło weń, zapłonęło wokół, jakby był połączony z Kahlan. Skąpało czarodzieja w bladobłękitnej poświacie. Poczuł znajome dotknięcie magii addytywnej i obce mrowienie magii subtraktywnej, magii zaświatów. Poleciał o krok w tył, pękło wiążące go zaklęcie. Zedd był wolny. Zgasł snop światła łączący go z Kahlan.

Starzec odwrócił się ku Chase’owi i zniszczył pospiesznie urokiem krępujące strażnika liny. Ten aż jęknął z bólu, ale miał wolne ręce.

- Co to się wyprawia, Zeddzie? - szepnął. - Co ona zrobiła?

Kahlan przeciągała palcami po otaczającym ją jasnobłękitnym blasku, głaskała go i pieściła, kąpała się w nim. Demmin Nass i jeden z jego ludzi nie spuszczali z niej oka, ale stali w bezruchu, czekali. Nie widziała ich, oglądała inne krajobrazy. Zedd wiedział, że wspomina Richarda.

- To się nazywa Con Dar. Krwawy Gniew. - Starzec powoli przesunął wzrok z Kahlan na strażnika. - Tylko nieliczne spośród najpotężniejszych Spowiedniczek potrafią tego dokonać. A. i tak może nie dać rady doprowadzić tego do końca.

- Dlaczego? - zmarszczył się Chase.

- Bo tego powinna ją była nauczyć matka, rodzona matka. Tylko matka może nauczyć, jak to wywołać, czy już została przywołana wystarczająca moc. To starożytna magia, równie stara jak moc Spowiedniczek; jej część, ale rzadko używana. Można tego nauczyć, kiedy dziewczyna osiągnie odpowiedni wiek. Matka Kahlan umarła, zanim ją zdążyła tego nauczyć. Adie mi powiedziała. Kahlan nie powinna tego potrafić. A jednak dokonała tego. Że mogła to zrobić sama, powodowana instynktem i wolą... To się wiąże z ogromnie groźnymi proroctwami.

- No to czemu nie uczyniła tego wcześniej? Dlaczego nie powstrzymała tamtych łobuzów?

- Spowiedniczka nie może przywołać tej mocy dla siebie, tylko dla kogoś innego. Kahlan ją przy wołała dla Richarda. W gniewie wywołanym wieścią o zamordowaniu chłopaka. Wpadliśmy po uszy w kłopoty.

- Dlaczego?

- Con Dar to magia zemsty. Spowiedniczka, która ją przywołuje, rzadko uchodzi z życiem. Poświęca swe życie zamierzonemu celowi, poświęca je zemście.

Kahlan zamierza porazić swą mocą Rahla Posępnego.

Chase zagapił się na Zedda, wstrząśnięty.

- Przecież mówiłeś, że jej moc nic mu nie zrobi, nie porazi go.

- To przedtem. Nie wiem, czy porazi teraz, lecz wątpię w to. Lecz i tak spróbuje. Jest we władzy Con Dar, Krwawego Gniewu. Nie dba, czy umrze, czy nie.

Spróbuje, dotknie Rahla Posępnego, choćby się to miało okazać daremne, choćby sama przez to zginęła. Zabije każdego, kto jej stanie na drodze. Bez najmniejszego wahania. - Przybliżył twarz do strażnika, zaakcentował te słowa: - Nas również.

Kahlan niemal się zwinęła w kulę; głowę miała pochyloną, skrzyżowała ramiona i oparła dłonie na barkach. Jasnobłękitne światło ciasno okalało dziewczynę. Podniosła się powoli, przebiła przez blask, jakby się wykluwała z jaja. Stała naga, broczyła krwią z ran. Wilgotna i świeża krew kapała z jej brody.

Lecz na twarzy Kahlan malował się inny ból, nie mający nic wspólnego z ranami, jakie zadano jej ciału. Potem i to zniknęło Twarz dziewczyny nie wyrażała żadnych uczuć, Kahlan przybrała „twarz Spowiedniczki”.

Dziewczyna obróciła się ku jednemu z mężczyzn, którzy ją trzymali. Drugiego nigdzie nie było widać. Spokojnie wyciągnęła ku niemu rękę. Dzieliło go od niej ze dwanaście stóp.

Powietrze zadrżało bezdźwięcznym gromem. Zedd poczuł przeszywający ból.

- Pani! - zawołał mężczyzna i padł na kolana. - Co mi rozkażesz? Czego ode mnie oczekujesz?

- Chcę, żebyś dla mnie umarł - odparła, patrząc nań zimno. - Natychmiast.

Tamten zwinął się i padł twarzą na ziemię, martwy. Kahlan odwróciła się od niego i podeszła do Demmina Nassa. Stał uśmiechnięty, ze skrzyżowanymi ramionami. Złamane ramię dziewczyny wisiało bezwładnie. Położyła drugą dłoń na piersi Nassa. Zwarli się oczami. Górował nad nią jak wieża.

- Wręcz porażające, suko. Lecz zużyłaś swoją moc, a mnie dodatkowo chroni zaklęcie mistrza Rahla. Nie możesz mnie porazić swoją mocą. Musisz dostać nauczkę i to ja osobiście się tobą zajmę, jak jeszcze nikim do tej pory. - Wyciągnął rękę i złapał w garść splątane włosy Kahlan. - Pochyl się.

Twarz dziewczyny nie zdradziła niczego. Kahlan nie powiedziała ani słowa. Bezdźwięczny grom znów wstrząsnął powietrzem. Zedd znów poczuł przeszywający ból. Demmin Nass szeroko otworzył oczy. I usta.

- Pani! - szepnął.

- Jak ona to zrobiła! - odezwał się Chase. - Tego pierwszego nawet nie dotknęła. Spowiedniczka tylko raz może się posłużyć swoją mocą, a potem musi znów ją w sobie odbudować.

- Już nie. Kahlan jest w Con Dar.

- Stój tu i czekaj - poleciła Nassowi.

Kahlan z gracją podeszła do Zedda. Zatrzymała się przed nim, uniosła ku memu złamane ramię. Oczy miała szkliste.

- Wylecz je, proszę. Jest mi potrzebne.

Starzec oderwał wzrok od oczu dziewczyny, spojrzał na jej ramię. Dotknął go łagodnie i ostrożnie, cały czas mówił coś do niej cicho, żeby odwrócić uwagę Kahlan od bólu. Złapał rękę powyżej poniżej złamania, nastawił kość. Dziewczyna nie krzyknęła, nawet nie zadrżała. Zedd się zastanawiał, czy w ogóle coś poczuła. Z czułością przesuwał palcami po złamaniu, wsączył w Kahlan ciepło magii, przejmował na siebie chłód bólu, czując go, znosił i przeżywał.

Czarodziej poczuł ostry, szarpiący ból dziewczyny i na moment stracił oddech. Odczuł całe cierpienie Kahlan - zmieszało się z jego własnym i niemal go poraziło. Wreszcie jednak sobie z tym poradził, zdołał stłumić. Wyczuł, jak zrasta się kość, i dodał nowe zaklęcia, chroniąc ją i wzmacniając; wyleczył resztę. Skończył, cofnął ręce. Spojrzały nań zielone oczy, pełne przerażającego gniewu.

- Dziękuję - powiedziała miękko Kahlan. - Czekaj tu na mnie. Wróciła do Demmina Nassa, który posłusznie stał tam, gdzie go zostawiła.

Oczy miał pełne łez.

- Rozkazuj mi, o pani, proszę.

Kahlan sięgnęła po nóż, wiszący u jego pasa. Zupełnie zignorowała prośbę Nassa. Drugą ręką odczepiła maczugę.

- Zdejmuj spodnie. - Odczekała, aż to zrobi i znów się wyprostuje. - Klęknij.

W głosie dziewczyny był taki chłód, że Zedd zadrżał; patrzył, jak wielkolud klęka przed Kahlan.

- Musimy ją zatrzymać, Zeddzie! - Chase załapał czarodzieja za szatę. - Zabije go! Potrzebne nam informacje. Najpierw powinniśmy go przesłuchać, wyciągnąć zeń to, co nam potrzebne, a potem niech Kahlan z nim robi, co zechce!

- Zgadzam się z tobą - starzec spojrzał surowo - ale nie możemy nic zrobić. Zabije nas, jeśli się wtrącimy. Zginiesz, jeżeli zrobisz choć dwa kroki w jej stronę.

Nie można dyskutować ze Spowiedniczka w szponach Krwawego Gniewu. To jakbyś chciał się sprzeciwić burzy - zarobisz błyskawicę i tyle.

Chase sapnął, zawiedziony, i puścił szatę Zedda. Skrzyżował ramiona, poddał się. Kahlan odwróciła maczugę, podała Nassowi uchwyt.

- Przytrzymaj to dla mnie.

Wziął maczugę. Dziewczyna uklękła tuż przed nim.

- Rozsuń nogi - rozkazała lodowatym tonem. Sięgnęła pomiędzy uda mężczyzny, mocno uchwyciła go dłonią. Nass drgnął i skrzywił się. - Nie ruszaj się - ostrzegła Kahlan i posłusznie znieruchomiał. - Ilu z molestowanych chłopców zabiłeś?

- Nie wiem, o pani. Nie liczyłem. Czyniłem to od wielu, wielu lat, od mojej młodości. Nie zawsze ich zabijałem. Większość z nich żyje.

- Oceń, ilu.

- Ponad osiemdziesięciu - odparł po namyśle Nass. - Mniej niż stu dwudziestu.

Zedd dostrzegł błysk noża, który Kahlan wsunęła pod Nassa. Chase opuścił ramiona i zesztywniał, mocno zacisnął zęby, wstrząsnęły nim zbrodnie tamtego.

- Obetnę ci przyrodzenie. Nie waż się nawet jęknąć - szepnęła dziewczyna. - Ani jęku. I nie waż się drgnąć.

- Tak, pani.

- Patrz mi w oczy. Chcę to zobaczyć w twoich oczach. Cięła nożem. Wysunęła zakrwawione ostrze. Zbielały kostki zaciśniętej na maczudze dłoni Nassa. Matka Spowiedniczka wstała.

- Wyciągnij rękę.

Demmin wyciągnął ku niej trzęsącą się dłoń. Położyła na niej okrwawiony strzęp.

- Zjedz to.

Chase się uśmiechnął.

- Brawo - szepnął. - Oto kobieta, która wie, co to sprawiedliwość. Kahlan stała przed Nassem i obserwowała go, dopóki nie skończył. Odłożyła nóż.

- Podaj mi maczugę. Podał.

- Bardzo krwawię, o pani. Nie wiem, czy zdołam się podnieść.

- Bardzo byłabym niezadowolona, gdybyś nie zdołał. Trzymaj się. To już niedługo.

- Tak, o pani.

- Czy powiedziałeś mi prawdę o Richardzie Poszukiwaczu?

- Tak, o pani.

- Całą prawdę? - zapytała ze śmiertelnym spokojem. Demmin zastanowił się przez chwilę, upewnił.

- Całą prawdę, o pani.

- Czy o czymś nam nie powiedziałeś?

- Tak, o pani. Nie powiedziałem, że Mord-Sith Denna wzięła go na swego partnera. Domyślam się, że po to, by go jeszcze bardziej ranić.

Dzwoniąca w uszach, bezkresna cisza. Kahlan stała nad Demminem. Zedd czuł dojmujący ból, gardło miał ściśnięte, kolana mu drżały.

- Jesteś pewny, że Richard nie żyje? - Głos Kahlan był tak cichy, że czarodziej ledwo go dosłyszał.

- Nie widziałem jego zwłok, o pani. Lecz jestem pewny, że nie żyje.

- Dlaczego?

- Zdawało mi się, że mistrz Rahl ma go zamiar zabić, a jeśli nawet tego nie zrobił, to zabiła go Denna. To właśnie robią Mord-Sith. Ich partnerzy nie żyją długo. Dziwiłem się, że wciąż żyje, kiedy odchodziłem. Kiepsko wyglądał. Jeszcze nie widziałem człowieka, który by żył tak długo, choć wiele razy przytykano mu Agiela do podstawy czaszki. Wołał twoje imię, o pani. Denna nie zabiła go wcześniej tylko dlatego, że mistrz Rahl chciał go najpierw przesłuchać. Nie widziałem jego śmierci, ale jestem pewny, że nie żyje. Denna panowała nad nim magią jego miecza, przed tym nie mógł uciec. Bawiła się nim dłużej niż zwykle, dręczyła go bardziej niż innych, dłużej go trzymała na granicy życia i śmierci. Nigdy wcześniej nie widziałem człowieka, który by przetrwał tak długo. Mistrz Rahl z jakiegoś powodu chciał, żeby Poszukiwacz długo cierpiał; to dlatego wybrał dlań Denne. Żadna inna nie raduje się tak cierpieniem, nie potrafi tak przedłużać bólu, nie umie tak długo utrzymywać przy życiu swojego pieszczoszka. I tak by umarł, bo był partnerem Mord-Sith. Nie mógł dożyć aż do dziś.

Zedd osunął się na kolana, serce mu pękało z bólu. Płakał. Jego świat się kończył. Nie chciał już dłużej żyć. Chciał umrzeć. Cóż uczynił? Jak mógł pozwolić, żeby to wszystko spadło na Richarda? Teraz już wiedział, czemu Rahl go nie zabił, kiedy się spotkali - chciał, żeby Zedd cierpiał. Stare metody Rahla. Chase przysiadł obok starca, objął go.

- Tak mi przykro, Zeddzie - szepnął. - Richard był i moim przyjacielem. Tak

mi przykro.

- Spójrz na mnie - rozkazała Kahlan. Oburącz trzymała maczugę.

Nass spojrzał dziewczynie w oczy. Z całej siły szarpnęła maczugą w dół. Maczuga z głuchym trzaskiem wbiła się w czoło Demmina, utkwiła tam. Osunął się na ziemię, wiotki i bezwładny, jakby pozbawiony kości.

Zedd siłą powstrzymywał łzy, wstał. Kahlan szła ku nim, po drodze wyjęła miseczkę z plecaka. Podała ją Chase'owi.

- Napełnij ją do połowy trującymi jagodami jadowitego sumaku. Chase niepewnie wziął miseczkę.

- Teraz?

- Tak.

Strażnik wyczytał w oczach Zedda ostrzeżenie, zesztywniał.

- Dobrze. - Odwrócił się, żeby odejść, ale się zatrzymał, zdjął swój ciężki czarny płaszcz i okrył nim nagość dziewczyny. - Kahlan... - zaczął, patrząc na nią, lecz nie zdołał powiedzieć nic więcej; odwrócił się i odszedł.

Kahlan patrzyła prosto przed siebie, w pustkę. Zedd otoczył dziewczynę ramieniem, posadził na śpiworze. Odnalazł strzępy koszuli Kahlan, zmoczył wodą z bukłaka. Dziewczyna siedziała nieruchomo. Czarodziej zmył z niej krew. Niektóre rany natarł maścią, inne potraktował zaklęciem. Poddawała się temu bez słowa. Skończył, uniósł dziewczynie głowę, spotkały się ich oczy.

- On nie umarł na próżno, skarbie - powiedział cicho starzec. - Znalazł szkatułę, ocalił wszystkich. Zapamiętaj go jako tego, który nas ocalił. Nikt inny nie mógł tego dokonać, tylko on.

Z grubych, gęstych chmur opadała leciutka mgiełka; osiadała na ziemi, na ich twarzach.

- Będę pamiętać tylko to, że go kochałam i nie mogłam mu o tym powiedzieć.

Zedd zamknął oczy; przygniatał go ból, ciężkie brzemię bycia czarodziejem.

Powrócił Chase, podał Kahlan miseczkę jagód jadowitego sumaka. Poprosiła o coś, czym by je mogła zmiażdżyć. Strażnik kilkoma pociągnięciami noża przyciął odpowiednio twardy patyk i podał jej. Kahlan zabrała się do roboty. Nagle znieruchomiała, jakby sobie o czymś przypominając, i spojrzała na czarodzieja. Zielone oczy pałały.

- Rahl Posępny jest mój.

To było ostrzeżenie. Pogróżka.

- Wiem, kochanie.

Wróciła do rozcierania jagód, a z jej oczu spłynęło kilka łez.

- Pochowam Brophy'ego - szepnął Chase Zeddowi. - Tamci niech sobie gniją.

Kahlan roztarła czerwone jagody na miazgę, dodała trochę popiołu z ogniska. Patrzyła w trzymane przez Zedda lusterko i malowała na twarzy znaki Con Dar: bliźniacze błyskawice. Magia kierowała dłonią dziewczyny. Każda z błyskawic zaczynała się na skroni, biegła zakosami ponad brwią, schodziła w dół przez powiekę, mijała kość policzkową i kończyła się w zagłębieniu policzka.

Efekt był przerażający - i oto chodziło. Przestroga dla niewinnego, groźba dla winowajcy.

Dziewczyna rozczesała włosy, wyjęła z plecaka szatę Spowiedniczki. Zdjęła płaszcz strażnika i narzuciła białą suknię. Wrócił Chase. Kahlan oddała mu płaszcz i podziękowała.

- Noś go dalej - powiedział. - Jest cieplejszy niż twój strój.

- Jestem Matką Spowiedniczką. Nie noszę płaszcza. Chase nie próbował się z nią spierać.

- Nasze konie zniknęły. Wszystkie. Kahlan spojrzała nań obojętnie.

- Ruszymy pieszo. Nie zatrzymamy się na noc, będziemy szli bez przerwy. Możesz też iść, o ile nie spowolnisz marszu. Chase bez słowa przełknął nie zamierzoną obelgę. Dziewczyna odwróciła się i odeszła, zostawiając wszystkie swoje rzeczy. Strażnik spojrzał na Zedda, ze świstem wypuścił z płuc powietrze. Pochylił się i zaczął zbierać swoje rzeczy.

- Nigdzie się nie ruszę bez broni.

- Ruszajmy za nią, dopóki nas zanadto nie wyprzedzi. Nie poczeka na nas. - Czarodziej podniósł plecak Kahlan, wrzucił do niego to i owo. - Przynajmniej zabierzmy trochę prowiantu. - Wygładził płótno. - Nie sądzę, żebyśmy stamtąd wrócili, Chase. Con Dar to samobójcza misja. Ty masz rodzinę. Nie musisz z nami iść.

- Kim jest ta Mord-Sith? - spytał strażnik, nie podnosząc oczu. Czarodziej odchrząknął i z całej siły zacisnął dłonie na plecaku.

- Mord-Sith to kobiety od najmłodszych lat szkolone w zadawaniu tortur, w posługiwaniu się bezlitosnym narzędziem bólu, Agielem. To ta czerwona rzecz, zwisająca z szyi Rahla Posępnego. Mord-Sith wykorzystuje się przeciwko ludziom obdarzonym magiczną mocą. Potrafią one przywłaszczać sobie taką magię i

wykorzystywać ją przeciwko danej osobie - głos się Zeddowi załamał. - Richard o tym nie wiedział. Nie miał najmniejszej szansy. Mord-Sith mają jeden cel: zadręczyć na śmierć tych, którzy mają magiczną moc.

- Idę - oznajmił Chase, wpychając koc do plecaka. Starzec ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Rad jestem z tego.

- Czy te Mord-Sith są dla nas niebezpieczne?

- Nie dla ciebie, bo nie masz magicznej mocy. I nie dla czarodziejów; mam przed nimi ochronę.

- A dla Kahlan? Znów potrząsnął głową.

- Magia Spowiedniczek jest odmienna od wszystkich innych rodzajów mocy. Jej dotknięcie oznacza dla Mord-Sith śmierć. Ciężką śmierć. Raz to już widziałem. I nie chcę znów zobaczyć. - Starzec powiódł wzrokiem po pobojowisku. Wspomniał, co uczynili Kahlan, i to, co niemal uczynili. - Sądzę, że widziałem wiele rzeczy - szepnął - których bym nie chciał zobaczyć ponownie.

Zedd właśnie zarzucał na ramię plecak Kahlan, kiedy powietrzem wstrząsnął bezdźwięczny grom. Obaj pognali traktem, pobiegli za Kahlan. Wkrótce natknęli się na ciało ostatniego człowieka Nassa - leżało tam, gdzie się czaił. Przebił się własnym mieczem. Jego dłonie wciąż jeszcze ściskały gardę.

Czarodziej i Chase nie zwolnili; biegli, dopóki nie dogonili Kahlan. Szła prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Szata Spowiedniczki łopotała za nią jak płomień na wietrze. Zedd zawsze uważał, że Spowiedniczki pięknie wyglądają w swoich szatach, szczególnie Matka Spowiedniczka w bieli.

Po raz pierwszy dostrzegł, czym są w istocie owe szaty. Bitewną zbroją.

Rozdział czterdziesty ósmy

Krople mżawki spadały na twarz Richarda, ściekały mu po nosie, skąpy wały z czubka. Otarł je gniewnie. Był tak zmęczony, że ledwo wiedział, co robi. Wiedział tylko jedno - nie mógł odnaleźć Kahlan, Zedda i Chase'a. Szukał ich bez końca, tropił na dróżkach i szlakach, zygzakując przez trasę do Pałacu Ludu. Ani śladu przyjaciół. Chłopak zdawał sobie sprawę, że przeszukał jedynie drobną część ścieżek. Nocą zatrzymał się tylko na parę godzin, żeby koń wypoczął; niekiedy tropił ich pieszo. Niskie, gęste chmury zakrywały niebo, ograniczały widoczność. Tak było od rozstania z Michaelem. Że też musiały nadpłynąć właśnie teraz, wściekał się Richard, kiedy najbardziej potrzebuję Scarlet.

Chłopak miał wrażenie, że wszystko się przeciwko niemu sprzysięgo, że los naprawdę działa na korzyść Rahla. Rahl już na pewno pojmał Kahlan. Za późno; dziewczyna już pewnie jest w Pałacu Ludu.

Richard poganiał konia górskim szlakiem, przez skupiska rosnących na stromym gruncie świerków. Gąbczasty mech tłumił stukot końskich kopyt. Ledwo było widać w mroku. Chłopak wjeżdżał coraz wyżej, poprzez mrok i mgłę; las się przerzedził, wystawiając Richarda na zimny wicher. Wichrzysko szarpało płaszczem i wyło w uszach chłopaka. Kłęby mgły i czarnych obłoków przepływały w poprzek szlaku. Richard nasunął kaptur. Nic nie widział, lecz wyczuł, że dotarł do szczytu górskiego przejścia i zaczyna zjeżdżać przeciwległym stokiem.

Panowała późna noc. Ranek przyniesie pierwszy dzień zimy. Ostatni dzień wolności.

Richard znalazł zagłębienie pod zwisającą skałą i uznał, że należy mu się kilka godzin snu - snu przed świtem, który się może okazać ostatnim. Zsunął się z mokrego grzbietu konia i przywiązał zwierzę do karłowatej sosenki, przycupniętej wśród wysokiej trawy. Nawet nie zdjął plecaka. Zawinął płaszcz, ułożył się w zagłębieniu pod skałą i próbował zasnąć. Rozmyślał o Kahlan, o tym, co powinien zrobić, żeby ją ocalić przed Mord-Sith. Kiedy już pomoże otworzyć Rahlowi właściwą szkatułę, tę dającą władzę nad światem, to Rahl go na pewno zabije. Rahl mu co prawda obiecywał, że go puści wolno, ale co to za życie, kiedy go porazi moc Kahlan? Poza tym Rahl kłamał. Zamierzał zabić Richarda. Chłopak chciał, żeby to była szybka śmierć. Wiedział, że Zedd umrze, jeżeli on pomoże Rahlowi, lecz wielu innych ocali życie. Będzie to życie pod srogim panowaniem Rahla Posępnego, ale jednak życie. Richard nie mógł ścierpieć myśli, że miałby się stać odpowiedzialny za śmierć

wszystkich i wszystkiego. Rahl nie kłaniał, mówiąc, że Richarda zdradzono, więc pewno naprawdę wiedział, która szkatuła go zabije. Nawet jeśli kłamał, to Richard i tak nie mógł ryzykować. Chłopak nie miał wyjścia - musiał pomóc Rahlowi Posępnemu.

Richarda wciąż bolały żebra po torturach Denny. Trudno mu było leżeć, oddychać. Sen przyniósł koszmary, wciąż te same od opuszczenia Pałacu Ludu. Dręczyły go sny o męczarniach zadawanych przez Denne, tak jak jej obiecał. Śnił, że wisi bezbronny, a Denna go rani, że nie może jej powstrzymać, że nigdy jej nie ucieknie. Śnił, że jest tam Michael i przygląda się jego mękom. Że on sam, Richard, patrzy na męki Kahlan, że brat też się temu przygląda.

Obudził się zlany potem, wstrząsany dreszczami gorączki, jęcząc i płacząc z przerażenia wzbudzonego koszmarnymi snami. Pod skalny nawis wkradały się promienie słońca. Na wschodzie wynurzała się spoza horyzontu pomarańczowa słoneczna kula.

Richard wstał i rozciągnął odrętwiałe mięśnie. Patrzył na świt pierwszego dnia zimy. Był wysoko w górach. Okoliczne szczyty wystawały nad płaszczyznę wiszących w dole chmur, kryjących wszystko w dole jak szare, podbarwione pomarańczowo morze.

Morze chmur przebijał tylko Pałac Ludu. Stał dumnie na swoim płaskowyżu, ponad chmurami, oświetlony wschodzącym słońcem, i czekał na Richarda. Chłopaka przeszył zimny dreszcz - ależ jeszcze daleko! O wiele dalej, niż myślał; źle ocenił odległość. Nie ma czasu do stracenia. Szkatuły należy otworzyć, kiedy słońce stanie w zenicie.

Odwrócił się i dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Koń zarżał z przerażenia. Ciszę poranka rozdarło wycie. Sercowe psy. Wdzierały się na skałę. Chłopak dobył miecza. Powaliły konia, zanim Richard zdołał się ruszyć. Gnały ku chłopakowi. Wskoczył na skałę, pod którą spał. Psy, kłapiąc zębiskami, za nim. Powalił pierwszą falę napastników; potem cofał się wyżej i wyżej, bo nacierały następne. Richard ciął mieczem raz za razem, a psy atakowały, warcząc i wyjąc.

Szło na chłopaka morze brązowych futer. Dzielnie stawił czoło psom, cofając się coraz wyżej. Część z nich zaatakowała od tyłu. Richard uskoczył w bok i obie grupy psów wpadły na siebie, zaczęły się szarpać w walce o to, który pierwszy dosięgnie jego serca.

Richard wspinał się coraz wyżej, odpędzał bestie, zabijał te, które się zbliżyły.

Daremny wysiłek: nie da rady takiej masie. Chłopak dał przystęp magicznemu gniewowi. Ruszył z furią na psy. Nie może zawieść Kahlan, nie teraz. Wszędzie było pełno wyszczerzonych żółtawych kłów, sięgających do serca Richarda. Krew. Mnóstwo krwi. Świat stał się czerwony.

I zapłonął.

Dokoła buchnęły płomienie. Psy wyły w śmiertelnym bólu. Smoczyca ryczała z gniewu. Richard stał w jej cieniu. Ciął podchodzące blisko psy. W powietrzu unosiła się woń krwi i płonących futer.

Łapa Scarlet złapała chłopaka i uniosła spośród skaczących, kłapiących zębiskami zwierząt. Richard dyszał z wyczerpania, a smoczyca niosła go na polanę na sąsiedniej górze. Postawiła go ostrożnie na ziemi i wylądowała. Chłopak był bliski łez, gładził czerwone łuski, przytulił głowę do cielska smoczycy.

- Dziękuję, przyjaciółko. Ocaliłaś mi życie. Jesteś honorową, słowną smoczyca. Ocaliłaś życie wielu ludzi.

- Dałam słowo i tyle - parsknęła dymem Scarlet. - Poza tym ktoś musi mieć na ciebie oko. Kiedy tylko zostaniesz sam, to zaraz się pakujesz w kłopoty.

Richard się uśmiechnął.

- Jesteś najśliczniejsza ze wszystkich stworzeń, jakie w życiu widziałem. - Wciąż jeszcze dyszał z wysiłku; wskazał daleki płaskowyż. - Muszę się dostać do Pałacu Ludu, Scarlet. Zaniesiesz mnie tam? Zanieś, proszę.

- Nie chcesz odnaleźć przyjaciół? Brata?

- Mój brat mnie wydał - wykrztusił przez zaciśnięte gardło Richard. - Wydał Rahlowi i mnie, i wszystkich ludzi. Żałuję, że ludzie nie mają honoru smoków.

Scarlet wydała gromki pomruk, zadrżały łuski na jej gardzieli.

- Przykro mi, Richardzie Cypher. Wdrapuj się. Zaniosę cię tam. Powolnymi, mocnymi uderzeniami skrzydeł wzniosła się ponad morze chmur kryjących równiny Azrith. Niosła Richarda tam, dokąd nigdy by się nie udał z własnej woli, gdyby miał wybór. Konna podróż zajęłaby sporą część dnia, gdy lot Scarlet trwał niecałą godzinę. Złożyła skrzydła, zanurkowała ku płaskowyżowi. Rozcinane przez nią powietrze szarpało odzieniem chłopaka. Dopiero z góry widać było cały ogrom Pałacu Ludu. Trudno było uwierzyć, że to dzieło człowieka; przekraczał najśmielsze marzenia. Był jak największe miasto, stopione w jedno.

Scarlet obleciała płaskowyż wkoło. Leciała ponad wieżycami, murami, dachami. Richardowi aż się zakręciło w głowie od ich różnorodności. Smoczyca

przeleciała ponad zewnętrznymi murami i osiadła na rozległym dziedzińcu. Nie było tu ani śladu ludzi. Chłopak zjechał po czerwonych łuskach, wylądował na ziemi. Scarlet rozejrzała się, potem nachyliła głowę i popatrzyła na Richarda. Nastawiła uszu.

- Naprawdę chcesz, żebym cię tu zostawiła? - Chłopak skinął głową, ale patrzył w ziemię. Scarlet parsknęła. - No, to sześć dni dobiegło końca. Nasza umowa wygasła. Kiedy się następnym razem spotkamy, to zapoluję na ciebie.

- Dobrze, przyjaciółko. - Uśmiechnął się do niej chłopak. - Ale nie będziesz miała po temu okazji. Umrę dzisiaj. Scarlet popatrzyła nań bacznie żółtym ślepiem.

- Nie dopuść do tego, Richardzie Cypher. Stanowczo zamierzam cię zjeść.

Richard uśmiechnął się jeszcze szerzej, pogładził błyszczącą łuskę.

- Dbaj o małego, gdy się w końcu wykluje. Bardzo bym chciał zobaczyć twojego potomka. Na pewno będzie równie piękny jak ty. Wiem, że nie cierpisz nosić ludzi, że czyniłaś to wbrew sobie. Tym serdeczniej dziękuję, że dałaś mi zaznać radości latania. Był to dla mnie wielki zaszczyt i honor.

- Też lubię latać - przytaknęła i parsknęła dymem. - Jesteś szczególnym człowiekiem, Richardzie Cypher. Nigdy nie spotkałam drugiego takiego jak ty.

- Jestem Poszukiwaczem. Ostatnim Poszukiwaczem. Scarlet znów skinęła wielkim łbem.

- Uważaj na siebie, Poszukiwaczu. Masz dar. Wykorzystaj go. Wykorzystaj wszystko, z czym musisz walczyć. Nie poddawaj się. Nie pozwól mu sobą kierować. Jeśli masz umrzeć, to umrzyj, walcząc, wykorzystując wszystkie swoje możliwości, całą wiedzę. Tak postępują smoki.

- Gdybyż to było takie proste - westchnął Richard i spojrzał na smoczycę. - Czy nosiłaś Rahla do Westlandu, zanim zniknęła granica?

- Wiele razy - przytaknęła.

- Dokąd go zabierałaś?

- Do domu większego niż inne. Z białego kamienia, o łupkowym dachu. Raz zaniosłam go do innego, skromnego domu. Zabił tam człowieka. Słyszałam krzyki. I jeszcze raz do drugiego skromnego domu.

Dom Michaela. Dom ojca. Jego własny domek.

Richard patrzył na własne stopy, cierpiąc przez to, co usłyszał. Skinął głową.

- Dzięki, Scarlet. - Przemógł się i spojrzał na nią. - Mam nadzieję, że twoje małe będzie bezpieczne i że jeśli Rahl znów zechce cię ujarzmić, to będziesz z nim

walczyć na śmierć i życie. Jesteś zbyt szlachetna, by ktoś tobą rządził.

Scarlet uśmiechnęła się po smoczemu i uniosła w powietrze. Richard patrzył, jak zatoczyła koło, obserwując go. Obróciła głowę ku zachodowi, poleciała tam. Patrzył, jak malała w oddali. Ruszył ku pałacowi.

Chłopak zmierzył wzrokiem stojących u wejścia strażników, sądząc, że będzie musiał z nimi walczyć, ale oni tylko się uprzejmie skłonili. Powracał gość. Richard zagłębił się w przepastne hole.

Mniej więcej wiedział, gdzie jest ogród, w którym Rahl trzymał szkatuły - i tam właśnie się kierował. Długo nie rozpoznawał korytarzy, aż wreszcie zaczęły wyglądać znajomo. Poznawał łuki i kolumny, miejsca modłów. Minął salę, przy której była kwatera Denny. Nie spojrzał w tamtą stronę.

Richard był oszołomiony, przytłoczony podjętą decyzją. Przerażała go myśl, że to właśnie on ofiaruje Rahlowi moc Ordena. Wiedział, że dzięki temu oszczędzi Kahlan strasznego losu i ocali innych od śmierci, a mimo to czuł się jak zdrajca. Wolałby, żeby to ktoś inny pomógł Rahlowi, a nie on. Lecz to nie mógł być ktoś inny. Tylko on znał potrzebne Rahlowi odpowiedzi.

Richard przystanął przy basenie na modlitewnym placu i patrzył na krążące w wodzie ryby, na drobne fale. Posłuż się w walce całą swoją wiedzą, powiedziała mu Scarlet. Co mu to da? Co da innym? Taki sam lub jeszcze gorszy koniec. Mógłby ryzykować własne życie, lecz nie życie innych ludzi. Przybył, żeby pomóc Rahlowi, i to właśnie musi uczynić. Powziął decyzję.

Zabrzmiał dzwon wzywający na modły. Richard patrzył, jak ludzie się zbierają, klękają, zaczynają śpiewać. Szły ku niemu dwie Mord-Sith w czerwonym skórzanym stroju. Nie pora na kłopoty. Ukląkł, dotknął czołem posadzki i przyłączył się do chóru. Już podjął decyzję, nie było się nad czym zastanawiać. Chłopak oczyścił umysł ze wszystkich myśli.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Powtarzał to wciąż od nowa, zatracał się, dawał upust swoim uczuciom, troskom. Wyciszał umysł, odnalazł w sobie spokój.

Nagła myśl zdławiła słowa modłów w gardle Richarda.

Skoro już ma zanosić modły, to niech one naprawdę coś dla niego znaczą.

Zmienił słowa:

- Prowadź mnie, Kahlan. Nauczaj mnie, Kahlan. Chroń mnie Kahlan. Rozkwitam w twojej chwale. Osłania mnie twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta moje zrozumienie. Żyję tylko po to, żeby cię kochać. Moje życie należy do ciebie.

Poraziło go nagłe zrozumienie; usiadł na piętach, wpatrzony w przestrzeń szeroko rozwartymi oczami.

Wiedział, co musi zrobić.

Zedd mu powiedział. Powiedział, że ludzie najczęściej wierzą w nieprawdę. Pierwsze prawo magii. Już zbyt długo słuchał innych, zbyt długo dawał z siebie robić głupca. Już się nie uchylał przed prawdą. Uśmiechnął się szeroko.

Richard wstał. Wierzył całym swoim sercem. Odwrócił się, ruszył wśród klęczących, zanoszących modły ludzi.

Podniosły się dwie Mord-Sith. Z ponurymi minami zagrodziły chłopakowi drogę. Zatrzymał się. Jasnowłosa i błękitnooka groźnym ruchem uniosła Agiela.

- Nikt nie może opuścić modłów. Nikt. Richard posłał jej równie gniewne spojrzenie.

- Jestem Poszukiwaczem. - Zacisnął pięść na Agielu Denny. - Partnerem Denny. To ja ją zabiłem. Zabiłem ją magią, którą mnie więziła. Zakończyłem modły do Rahla Posępnego. Od ciebie zależy, czy umrzesz, czy będziesz żyć. Wybieraj.

Brew nad zimnym błękitnym okiem uniosła się w zdumieniu. Dwie Mord-Sith spojrzały po sobie i odsunęły się. Richard poszedł ku Ogrodowi Życia, ku Rahlowi Posępnemu.

Zedd bacznie obserwował skraj urwiska. Wspinali się drogą na płaskowyż - im wyżej wchodzili, tym się stawało jaśniej. Na koniec wynurzyli się z mgły w blask porannego słońca. Przed nimi zaczęto opuszczać zwodzony most, umożliwiający przejazd ponad dzielącą drogę przepaścią. Czekała za nim grupa żołnierzy. Chase poluzował swój krótki miecz. Żaden z żołnierzy nie sięgnął po broń, nie zablokowali przejazdu - stali sobie spokojnie z boku, zupełnie nie interesując się trojgiem wędrowców.

Kahlan minęła strażników, nawet nie rzuciwszy na nich okiem. Chase się im przyjrzał. Wyglądał jak ktoś, kto ma zamiar przewodzić rzezi. Żołnierze pochylili głowy w ukłonie i uprzejmie się uśmiechnęli. Strażnik nachylił się ku Zeddowi, nie spuszczając z oka dobrze uzbrojonych wojaków.

- Nie podoba mi się to. Za łatwo nam poszło.

- Jeśli Rahl Posępny zamierza nas zabić - uśmiechnął się czarodziej - to wpierw musi nas wpuścić tam, gdzie nas z łatwością dopadnie.

- Ale żeś mnie pocieszył - skrzywił się Chase.

- Możesz się wycofać bez ujmy na honorze. - Zedd położył dłoń na ramieniu strażnika. - Wracaj do domu, przyjacielu, zanim te bramy na zawsze się za nami zamkną.

- Nie. Zostanę, dopóki się to nie skończy - odparł twardo Chase. Czarodziej kiwnął głową i przyspieszył kroku, żeby się znaleźć bliżej Kahlan.

Dotarli do szczytu płaskowyżu, znaleźli się u stóp potężnych murów. Blanki roiły się od żołnierzy. Kahlan nie zatrzymała się ani na chwilę, szła prosto ku bramie. Dwaj strażnicy otworzyli przed nią olbrzymie wierzeje. Przeszła.

- Każdego wpuszczasz? - spytał Chase kapitana straży. Ten spojrzał ze zdumieniem na strażnika.

- Mistrz Rahl jej oczekuje.

Chase burknął coś i poszedł za Kahlan.

- A my się tak skradaliśmy - mruknął pod nosem.

- Nikt się nie podkradnie do czarodzieja z talentami Rahla.

- Czarodziej! To Rahl jest czarodziejem?! - Chase złapał Zedda za ramię.

- Oczywiście. - Starzec spojrzał nań spod oka. - A niby jak mógłby się posługiwać magią, gdyby nie był czarodziejem? Jest potomkiem starego rodu czarodziejów.

- A ja myślałem, że czarodzieje mają pomagać ludziom, nie władać nimi - stropił się Chase.

- Czarodzieje sprawowali władzę - westchnął Zedd - dopóki niektórzy z nas nie uznali, że nie powinniśmy się mieszać w sprawy ludzi. Wybuchły wówczas tak zwane wojny czarodziejów. Ocalało kilku zwolenników starego i dalej dzierżyli władzę, rządzili ludźmi. Rahl jest potomkiem z tej linii, potomkiem rodu Rahlów. Urodził się z darem, a wiedz, że nie wszyscy się z nim rodzą. Lecz on wykorzystuje swoją moc wyłącznie dla osiągnięcia osobistych korzyści; to osoba bez zasad i sumienia.

Chase zamilkł. Wspięli się po schodach, weszli w cień rowkowanych kolumn, minęli przejście okolone płaskorzeźbami pnączy. Znaleźli się we wnętrzu pałacu. Strażnik rozglądał się dokoła, zdumiony ogromem i pięknem, rozległymi

płaszczyznami wypolerowanego kamienia. Kahlan szła środkiem rozległego holu, na nic nie zwracała uwagi; fałdy białej szaty płynęły miękko za dziewczyną, cichy odgłos jej kroków szemrał na kamiennej posadzce.

Przechadzali się tam ludzie w białych szatach, czasem siadali na marmurowych ławach, niektórzy klęczeli na placach z głazem i dzwonem, medytowali. Na wszystkich twarzach trwał ten sam uśmiech, uśmiech osoby omamionej złudzeniami, absolutnie przekonanej o słuszności swoich wierzeń i przekonań. Traktowali prawdę jak mglistą zasłonę, która się rozwieje w blasku ich zawiłego, pokrętnego rozumowania. Byli to uczniowie i zwolennicy Rahla Posępnego. Większość z nich nie zwracała uwagi na trójkę przyjaciół, witała ich obojętnym skinieniem głowy.

Zedd dostrzegł dwie Mord-Sith odziane w czerwone skóry. Szły w ich kierunku bokiem holu. Zobaczyły Kahlan, czerwone bliźniacze błyskawice Con Dar, wymalowane na twarzy dziewczyny. Zbladły, zawróciły i zniknęły im z oczu.

Dotarli do olbrzymiego, kolistego korytarza. Wysokie sklepienie z barwionego szkła wpuszczało do środka snopy słonecznych promieni. Kahlan się zatrzymała, zielone oczy spojrzały na czarodzieja.

- Którędy?

Zedd wskazał hol po prawej. Dziewczyna bez wahania ruszyła w tamtą stronę.

- Skąd wiesz, dokąd idziemy? - spytał Chase.

- Po pierwsze, Pałac Ludu jest zbudowany na znanym mi planie, wzorze magicznego zaklęcia. To olbrzymi magiczny wzór wyrysowany wprost na ziemi. Ma chronić Rahla, zapewniać mu bezpieczeństwo, wzmagać jego moc. Bronić go przed innymi czarodziejami. Niemal nie mam tu mocy. Jestem prawie bezradny. Centrum tego pałacu stanowi Ogród Życia. Rahl tam będzie.

- A po drugie? - spytał zaniepokojony strażnik.

- Szkatuły - odparł Zedd po chwili wahania. - Mają zdjęte osłony. Wyczuwam je. One też są w Ogrodzie Życia.

Coś było nie tak. Czarodziej wiedział, z jaką siłą dawałaby o sobie znać jedna szkatuła czy dwie. To było o wiele silniejsze - tam były trzy szkatuły.

Zedd wskazał drogę Matce Spowiedniczce. Mijali kolejne korytarze, weszli po paradnych schodach. Każdy hol, każdy poziom miał swoją odrębną barwę. Kolumny niekiedy wznosiły się w górę na kilka pięter, spinały je ozdobne balkony. Schody były marmurowe, każde w odmiennym kolorze. Minęli olbrzymie posągi, stojące pod

ścianami jak kamienni strażnicy. Szli wiele godzin, wchodzili coraz wyżej, zdążali do centrum Pałacu Ludu. Nie można było iść prostą drogą - po prostu takiej nie było.

Dotarli w końcu do zamkniętych drzwi, ozdobionych złoconymi scenami wiejskimi i krajobrazami. Kahlan się zatrzymała i spojrzała na czarodzieja.

- To tutaj, kochanie. Ogród Życia. Tu są szkatuły. I Rahl Posępny też tutaj będzie.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Dziękuję, Zeddzie. I tobie też, Chase.

Obróciła się ku drzwiom, lecz starzec łagodnie położył jej dłoń na ramieniu i na powrót odwrócił dziewczynę ku sobie.

- Rahl ma tylko dwie szkatuły. Wkrótce i tak umrze. Bez twego udziału. Oczy Kahlan pałały zimnym blaskiem w samym środku ostrych czerwonych zygzaków błyskawic, wymalowanych na zaciętej twarzy.

- Więc nie mam czasu do stracenia.

Dziewczyna popchnęła drzwi i weszła do Ogrodu Życia.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Troje przyjaciół znalazło się w Ogrodzie Życia. Woń kwiatów przepajała powietrze. Zedd natychmiast się zorientował, że coś jest nie w porządku. Już nie miał żadnych wątpliwości: w ogrodzie znajdowały się wszystkie trzy szkatuły. Pomylił się. Rahl miał wszystkie trzy szkatuły. Czarodziej wyczuwał jeszcze coś, czego nie powinno tu być, lecz osłabiona moc uniemożliwiała mu dokładny osąd. Chase i Zedd trzymali się tuż za Kahlan. Dziewczyna szła dróżką wiodącą wśród drzew, wzdłuż obrośniętych pnączami murków, pośród rabat z barwnymi kwiatami. Dotarli do trawiastej płaszczyzny i Kahlan się zatrzymała.

Na zielonym gazonie widniało kolisko z białego piasku. Piasku czarnoksiężników. Zedd nigdy w życiu nie widział takiej ilości owego piasku naraz, co najwyżej garść. Ten tu wart był z dziesięć królestw. Odbijały się na nim świetlne cętki. Zedd z drżeniem się zastanawiał, po co Rahl owi tyle czarodziejskiego piasku, co też Rahl tu wyczynia. Trudno mu było oderwać oczy od białego koliska.

Za piaszczystym kręgiem stał ofiarny ołtarz. Na nim, na kamiennej płycie, znajdowały się trzy szkatuły Ordena. W Zeddzie na moment zamarło serce - wszystkie trzy obok siebie! Bez osłon. Czarne jak noc.

Przed szkatułami, tyłem do trójki przyjaciół, stał Rahl Posępny. Ten, który skrzywdził Richarda. Starzec poczuł gniew. Białe szaty i jasne włosy jaśniały w blasku wpadającym przez szklane sklepienie słonecznych promieni. Rahl patrzył na szkatuły, na swój łup.

Zedd poczerwieniał. Skąd Rahl wziął trzecią szkatułę? Jak ją zdobył? Odpędził te pytania; nie miały znaczenia. Ważne było jedno - co teraz. Rahl mógł otworzyć tę właściwą. Starzec obserwował wpatrzoną w Rahla Kahlan. Jeżeli istotnie porazi Rahla swoją mocą, to będą ocaleni, lecz Zedd wątpił, że tak się stanie. Jego własna moc była tu - w tym pałacu, a zwłaszcza w tym pomieszczeniu - zupełnie bezużyteczna. To było jedno olbrzymie zaklęcie, chroniące Rahla przed wszystkimi czarodziejami. Jeśli ktoś mógł tu powstrzymać Rahla, to tylko Kahlan. Czarodziej czuł emanujący od dziewczyny Krwawy Gniew, kipiącą furię.

Kahlan ruszyła przez trawę, Chase i Zedd za nią. Zatrzymała się tuż przed koliskiem piasku, odwróciła i położyła dłoń na piersi czarodzieja.

- Zaczekajcie tu na mnie.

Zedd widział gniew w oczach dziewczyny, podzielał jej uczucia. I on cierpiał nad utratą Richarda.

Starzec uniósł głowę i spojrzał wprost w patrzące nań błękitne oczy Rahla Posępnego. Trwali tak przez chwilę, a potem Rahl przesunął wzrok na Kahlan - kamiennie spokojna dziewczyna okrążyła kolisko białego piasku.

- Co zrobimy, jeśli się jej nie uda? - spytał szeptem Chase.

- Umrzemy.

Na twarzy Rahla odmalowało się zaniepokojenie i Zedd nabrał otuchy. Zaniepokojenie i strach, wywołany widokiem dwóch bliźniaczych błyskawic Con Dar. Zedd się uśmiechnął. Rahl Posępny się tego nie spodziewał, przeraził się.

Kahlan była coraz bliżej Rahla. On zaś nagle dobył Miecza Prawdy. Ostrze zasyczało, ukazała się biała klinga. Rahl skierował miecz ku Kahlan.

Zaszli tak daleko, że nie mogli dać się powstrzymać. Zedd musiał pomóc Kahlan, żeby mogła wykorzystać swoją moc - tylko to ich mogło teraz ocalić. Czarodziej zebrał całą moc - a niewiele jej tutaj miał, niestety - i posłał błyskawicę przez kolisko białego piasku czarnoksiężników. Błękitny zygzak uderzył w miecz, wytrącił go z rąk Rahla. Miecz zatoczył w powietrzu łuk i upadł w sporej odległości od tamtego. Rahl krzyknął coś do Zedda, potem powiedział coś do Kahlan - żadne z nich nie zrozumiało ani słowa.

Dziewczyna była coraz bliżej, Rahl się przed nią cofał. Wpadł na ołtarz - już się nie mógł dalej cofnąć. Kahlan stanęła przed nim. Rahl przeczesał włosy palcami.

Uśmiech zniknął z ust Zedda. Coś się tu nie zgadzało. Gest Rahla obudził wspomnienia.

Matka Spowiedniczka wyciągnęła rękę i złapała Rahla za gardło:

- To za Richarda.

Starzec szeroko otworzył oczy ze zdumienia i nagłego zrozumienia. Zlodowaciał. Już wiedział.

To nie był Rahl Posępny.

- Nie! Kahlan! - wrzasnął Zedd. - Nie! To...

Bezdźwięczny grom wstrząsnął powietrzem. Zakołysały się liście na drzewach, zafalowała trawa.

- ... To Richard! - dokończył starzec. Za późno zrozumiał prawdę i poczuł dojmujący ból.

- Pani! - szepnął Rahl, padając przed nią na kolana.

Starzec stał jak skamieniały. Rozpacz brała górę nad radością, że Richard żyje. Otwarły się osłonięte pnączami drzwi. Pojawił się prawdziwy Rahl Posępny, za nim

dwaj wielcy gwardziści i Michael. Kahlan zamrugała ze zdumienia.

Zniknęło maskujące zaklęcie, sprawiające, że widzieli w nim wroga, i ten, który przed sekundą był Rahlem, stał się w ich oczach sobą, Richardem.

Kahlan cofnęła się z przerażeniem. Moc Con Dar osłabła i zniknęła. Dziewczyna płakała z żalu nad tym, co uczyniła.

Stanęli nad nią dwaj gwardziści. Chase sięgnął po miecz. Znieruchomiał, zanim go zdążył dotknąć. Zedd uniósł ręce, chciał podbiec do tamtych, lecz już po dwóch krokach uderzył w niewidzialną ścianę. Otoczyła go wokół - został uwięziony w niewidzialnej klatce. Wściekał się na własną głupotę.

Kahlan, zrozpaczona tym, co zrobiła, wyszarpnęła zza pasa gwardzisty nóż. Płakała i krzyczała w udręce. Chciała się zabić.

Przyskoczył Michael, wyrwał dziewczynie nóż i przyłożył jej ostrze do gardła. Richard rzucił się wściekle na brata, lecz uderzył w niewidoczną ścianę i upadł. Kahlan zużyła całą swoją energię na Con Dar, nie miała siły walczyć. Płakała rozpaczliwie. Jeden z gwardzistów zakneblował dziewczynę, żeby nie mogła nawet szepnąć imienia chłopaka.

Richard padł na kolana przed Rahlem Posępnym, czepiał się jego szat i błagał:

- Nie czyń jej nic złego! Błagam, nie skrzywdź jej!

- Cieszę się, że wróciłeś, Richardzie. - Rahl położył dłoń na ramieniu chłopaka. - Wierzyłem, że wrócisz. Rad jestem, że się zdecydowałeś mi pomóc. Podziwiam twoje przywiązanie do przyjaciół.

Zedd osłupiał. Jakiejż to pomocy oczekiwał Rahl od Richarda?

- Nie krzywdź jej - błagał chłopak ze łzami w oczach.

- To tylko od ciebie zależy, chłopcze. - Rahl uwolnił szatę z rąk Richarda.

- Zrobię, co zechcesz! Wszystko! Tylko jej nie krzywdź!

Rahl uśmiechnął się z zadowoleniem. Oblizał czubki palców. Drugą dłonią pogładził włosy chłopaka.

- Przykro mi, Richardzie, że to się musiało stać. Naprawdę przykro. Rad bym cię widział przy sobie takiego, jakim byłeś. Jesteśmy bardzo do siebie podobni, choć ty sobie z tego nie zdajesz sprawy. Obawiam się jednak, że padłeś ofiarą pierwszego prawa magii.

- Nie krzywdź pani Kahlan - łkał Richard. - Błagam cię.

- Jeśli zrobisz, co każę, to dotrzymam obietnicy i będzie dobrze traktowana. Mogę cię nawet zmienić w coś miłego, w coś, czym sam chciałbyś być; może w

pokojowego pieska? Pozwolę ci nawet sypiać w naszej sypialni, żebyś widział, że dotrzymuję słowa. A może i nazwę syna twoim imieniem, w nagrodę za to, że mi pomogłeś. Podobałoby ci się to? Richard Rahl. Ironia losu, nie sądzisz?

- Zrób ze mną, co chcesz, ale oszczędź panią Kahlan. Błagam, powiedz, co mam robić.

- Już wkrótce, synu, wkrótce. - Rahl poklepał chłopaka po głowie. - Czekaj tu.

Rahl zostawił klęczącego chłopaka i ruszył ku Zeddowi po obrzeżu koliska piasku. Nie odrywał od starca błękitnych oczu. Zedd czuł w sobie pustkę. Rahl zatrzymał się przed nim, oblizał czubki palców i przygładził brwi.

- Jak brzmi twoje imię, starcze?

Zedd odwzajemnił spojrzenie; stracił resztki nadziei.

- Zeddicus Zu’l Zorander. - Uniósł dumnie głowę. - To ja zabiłem twojego ojca.

Rahl skinął głową.

- A czy wiesz, że twój ogień osmalił i mnie? Że niemal mnie zabiłeś, choć byłem tylko dzieckiem? Że straszliwie cierpiałem przez całe miesiące? Że do dziś noszę te rany, tak na ciele, jak i na duszy?

- Żałuję, że zraniłem dziecko, bez względu na to, z jakiego było rodu. Lecz w twoim wypadku nazwałbym to przedwstępną karą.

Rahl nie zmienił uprzejmego wyrazu twarzy, wciąż się leciutko uśmiechał.

- Spędzimy razem wiele czasu, ty i ja. Poznasz ból, którego zaznałem, a nawet jeszcze gorszy. Zrozumiesz, jak to jest.

- Nic mi nie sprawi większego bólu niż to, co się tu stało - odparł gorzko Zedd.

- Zobaczymy. - Rahl oblizał czubki palców i odwrócił się.

Starzec patrzył bezsilnie, jak tamten znów stanął przed klęczącym chłopakiem.

- Nie pomagaj mu, Richardzie! - wrzasnął. - Kahlan wolałaby umrzeć, niż patrzeć, jak mu pomagasz!

Chłopak spojrzał tępo na czarodzieja i znów przeniósł wzrok na Rahla Posępnego.

- Zrobię, co zechcesz, ale jej nie krzywdź. Władca kazał mu wstać.

- Masz moje słowo, synu. Jeśli zrobisz, co zechcę. - Richard skinął głową. - Recytuj Księgę Opisania Mroków.

Zeddowi aż się zakręciło w głowie ze zdumienia. Richard spojrzał na Kahlan.

- Co mam zrobić, o pani?

Dziewczyna szarpała się z Michaelem, który wciąż trzymał nóż na jej gardle; knebel tłumił to, co usiłowała wykrzyczeć.

- Recytuj Księgę Opisania Mroków, Richardzie - powiedział łagodnym głosem Rahl - albo każę Michaelowi odcinać Kahlan palec po palcu. Im dłużej będziesz milczeć, tym więcej ich straci, Przerażony chłopak okręcił się ku Rahl owi.

- Jedynie Spowiedniczka może zweryfikować prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiadane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy szkatuły...

Zedd osunął się na ziemię. Nie wierzył własnym uszom. Słuchał słów wypowiadanych przez Richarda i wiedział, że to prawdziwy tekst księgi. Rozpoznał jedyną w swoim rodzaju składnię księgi. Chłopak nie mógł tego sam wymyślić.

To istotnie była Księga Opisania Mroków. Starzec nawet nie miał siły się zastanawiać, gdzie się chłopak tego nauczył.

Kończył się świat, który znali. Oto pierwszy dzień władania Rahla. Wszystko stracone. Rahl Posępny zwyciężył. Zdobył świat.

Zedd siedział otępiały i słuchał. Niektóre słowa same w sobie były magiczne, nikt, kto nie posiadał daru, nie zachowałby tekstu w pamięci - magiczne, kluczowe słowa wymazałyby cały tekst. Ochrona przed nieprzewidzianymi okolicznościami. Ochrona przed każdym, kto sięgnie po zawartą tu magię. Richard recytował tekst - ostateczny dowód, że miał wrodzony dar. Zrodzony z magii i do magii. Richard nienawidził magii, a jednak posiadał magiczny dar, dokładnie tak, jak zapowiedziały proroctwa.

Starzec rozpaczał nad tym, co uczynił. Żałował, że usiłował chronić Richarda przed siłami, które by chciały wykorzystać chłopaka, gdyby wiedział, że ma dar. Łatwo było zranić dzieci z wrodzonym darem. Rahl Posępny był tego dowodem. Zedd świadomie zrezygnował z uczenia Richarda i w ten sposób owe siły się nie dowiedziały o chłopcu. Czarodziej zawsze się bał i jednocześnie miał nadzieję, że Richard posiada ów dar. Lecz chciał, żeby chłopak dorósł, zanim on się ujawni, i łudził się, że będzie miał czas go wszystkiego nauczyć. Dopiero jednak wtedy, kiedy Richard osiągnie odpowiedni wiek, będzie na to dość silny. Kiedy to już go nie zabije. Daremne wysiłki. Nic dobrego nie dały. Zedd zawsze się domyślał, że Richard ma ów dar, że jest kimś szczególnym. Wszyscy, którzy znali Richarda, wiedzieli, że jest on kimś szczególnym. Wyjątkowym. Znamię magii.

Zedd płakał, wspominając czas spędzony z Richardem. To były wspaniałe lata. Najlepsze w życiu czarodzieja. Lata bez magii. Miał kogoś, kto go kochał dla niego samego, w kim nie budził lęku. Przyjaciela.

Richard płynnie i bez zająknięcia recytował Księgę Opisania Mroków. Zedd podziwiał chłopaka za to, że tak wspaniale zapamiętał tekst, przyłapał się na tym, że jest z niego dumny, potem znów żałował, że Richard jest aż tak uzdolniony. Większość tekstu dotyczyła spraw już zakończonych, na przykład usuwania osłon, lecz Rahl nie przerywał chłopakowi, nie kazał mu pomijać tych ustępów. Bał się, że Richard mógłby coś przeoczyć. Pozwolił, by chłopak recytował własnym tempem; stał cicho i bacznie słuchał. Od czasu do czasu prosił o powtórzenie jakiegoś fragmentu, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiał, i znów stał zatopiony w myślach, a Richard mówił o kątach padania słońca, o układach chmur i wiatrów.

Jedna za drugą mijały godziny popołudnia. Richard recytował tekst, Rahl stał przed nim i słuchał, Michael trzymał nóż na gardle Kahlan, Chase stał jak posąg z ręką wyciągniętą ku mieczowi, a Zedd siedział na ziemi, uwięziony w niewidzialnej klatce. Czarodziej pojął, że rytuał otwierania szkatuł potrwa o wiele dłużej, niż się spodziewał. Należało rysować odpowiednie magiczne wzory. Po to Rahl potrzebował tyle czarnoksięskiego piasku. Szkatuły należało odpowiednio ustawić, musiało na nich spocząć słońce pierwszego dnia i dopiero cienie szkatuł ustalą ich położenie.

Szkatuły wyglądały identycznie, lecz każda rzucała odmienny cień. Słońce stało coraz niżej, cienie szkatuł się wydłużały. Jedna skrzyneczka rzucała pojedynczy cień, druga - podwójny, trzecia - potrójny. Teraz Zedd już wiedział, skąd tytuł: Księga Opisania Mroków, Opisania Cieni.

Rahl Posępny uciszył Richarda, kiedy ten dotarł do odpowiedniego fragmentu tekstu, i wyrysował na piasku magiczne wzory. Niektóre zaklęcia nosiły nie znane Zeddowi nazwy. Ale Rahl je znał. Rysował bez wahania. Zapadł mrok i Rahl zapalił pochodnie okalające piaszczyste kolisko. W blasku pochodni rysował magiczne wzory, w miarę jak Richard wymawiał ich nazwy. Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak starannie Rahl kreśli skomplikowane wzory. Zedd podziwiał jego pewną rękę i talent. Runy zaświatów sprawiały, że czarodziej czuł się coraz bardziej nieswojo.

Geometryczne wzory były bardzo skomplikowane, a Zedd wiedział, że muszą być bezbłędnie wyrysowane, we właściwej kolejności, każda linia pociągnięta we właściwym czasie, w odpowiedniej sekwencji. Nie można ich było poprawić czy też wymazać i na nowo wyznaczyć w razie pomyłki. Pomyłka oznaczała śmierć.

Zedd znał czarodziejów, którzy spędzali całe lata na studiowaniu danego zaklęcia, zanim się je ośmielili nakreślić na czarnoksięskim piasku, tak się bali, że popełnią fatalną pomyłkę. Rahl kreślił skomplikowane wzory bez najmniejszego trudu. Pewną dłonią. Zedd jeszcze nigdy nie widział tak uzdolnionego czarodzieja. Przynajmniej zginiemy z ręki najlepszego, pomyślał gorzko starzec. Nie mógł się powstrzymać od podziwiania mistrzostwa tamtego. Nigdy przedtem nie był świadkiem tak ogromnej biegłości.

A to wszystko tylko po to, żeby wiedzieć, w której szkatule jest to, czego pragnął Rahl. Księga mówiła, że mógł otworzyć skrzyneczkę, kiedy zechce. Zedd wiedział z innych ksiąg, że to wszystko miało na celu zapobieżenie zbyt pochopnemu posłużeniu się magią, stawiało tamę zbyt łatwemu dostępowi do niej. Nie wystarczało postanowić, że się zostanie władcą świata, i wyuczyć się tego z magicznej księgi. Wiedza starca była zbyt mała, żeby mógł ściśle wypełnić instrukcje. Rahl uczył się przez całe życie dla tej jednej chwili. Musiał być bardzo młody, kiedy jego ojciec zaczął go uczyć. Zedd żałował, że jego ogień zabił tylko ojca Rahla, zaś jego samego oszczędził. Rozmyślał nad tym przez chwilę, odpędził tę myśl.

Rankiem wszystkie zaklęcia były wyrysowane, umieszczono na nich szkatuły. Każda skrzyneczka stanęła na właściwym dla niej wzorze, zgodnie z liczbą cieni, które rzucała. Rzucono odpowiednie uroki. Słońce drugiego dnia zimy oświetliło kamienny ołtarz i znów przeniesiono nań szkatuły. Zedd ze zdumieniem stwierdził, że każda szkatuła rzuca teraz odmienną liczbę cieni niż poprzedniego dnia - kolejny środek ostrożności. Zmieniono ustawienie szkatuł - ta z jednym cieniem znalazła się po lewej, ta z dwoma w środku, a ta z trzema po prawej.

Rahl Posępny zapatrzył się na czarne skrzyneczki.

- Dalej.

Richard podjął bez wahania:

- Kiedy szkatuły znajdą się we właściwym porządku, Orden jest w zasięgu twojej dłoni. Jeden cień to zbyt mało, żeby zdobyć moc chroniącą życie gracza, zaś trzech nie zniesie żadne życie; niech zatem twój wybór padnie na szkatułę o dwóch cieniach: jeden cień dla ciebie, drugi dla świata, świata, którym będziesz władał mocą Ordena. Jeden świat pod jednym berłem - oto co oznacza szkatuła o dwóch cieniach. Otwórz ją i odbierz swoją nagrodę.

- Dalej. - Rahl z wolna obrócił twarz ku Richardowi. Chłopak zamrugał oczami.

- Władaj, jak wybrałeś. To koniec, to ostatnie słowa.

- Wszystkiego się nauczyłeś? - Rahl złapał chłopaka za gardło. - Całego tekstu?

- Tak, mistrzu Rahlu.

- To niemożliwe! - Rahl poczerwieniał. - To nie może być właściwa szkatuła! Ta o dwóch cieniach mnie zabije! Przecież ci mówiłem, że tyle to się sam dowiedziałem! Wiem, która mnie zabije!

- Powiedziałem ci wszystko dokładnie. Słowo w słowo.

- Nie wierzę ci. - Rahl puścił gardło Richarda, spojrzał na Michaela. - Podetnij jej gardło.

Chłopak z wrzaskiem padł na kolana.

- Nie, błagam! Dałeś mi słowo! Obiecałeś, że jeśli ci powiem, to jej nie skrzywdzisz! Błagam! Powiedziałem ci prawdę!

Rahl wyciągnął rękę ku Michaelowi, ale nie spuszczał Richarda z oka.

- Nie wierzę ci. Albo natychmiast powiesz prawdę, albo ją otworzę. Zabiję twoją panią.

- Nie! - wrzasnął chłopak. - Powiedziałem prawdę! Nie mogę powiedzieć nic innego, bobym skłamał!

- Daję ci ostatnią szansę, Richardzie. Prawda albo ona zginie.

- Nie mogę zmienić ani słowa - łkał chłopak. - Wtedy bym cię okłamał. Każde słowo było prawdziwe! Powiedziałem prawdę!

Zedd wstał. Patrzył na ostrze dotykające szyi Kahlan; zielone oczy dziewczyny były szeroko otwarte. Starzec spojrzał na Rahla. Ów najwyraźniej zaczerpnął jakieś informacje z innych źródeł niż Księga Opisania Mroków, a właściwie Cieni, skarcił się czarodziej, i były one sprzeczne z tymi z księgi. Nic w tym niezwykłego, Rahl powinien o tym wiedzieć. W takich wypadkach przeważa tekst księgi właściwej dla konkretnej magii. Odmienne postępowanie zawsze ściągało na niedowiarka nieszczęście: jeszcze jedna ochrona magii. Zedd z całego serca pragnął, żeby butny Rahl postąpił wbrew słowom księgi.

Uśmiech powrócił na wargi Rahla Posępnego. Oblizał czubki palców, potarł nimi brwi.

- W porządku, Richardzie. Musiałem się upewnić, że mówisz prawdę.

- Mówię! Mówię, przysięgam na życie pani Kahlan. Każde słowo było prawdziwe!

Rahl skinął głową. Dał znak Michaelowi, ten opuścił nóż. Kahlan zamknęła oczy, po jej policzkach płynęły strumienie łez. Rahl odetchnął głęboko i spojrzał na szkatuły.

- Nareszcie - szepnął. - Magia Ordena jest nareszcie moja.

Zedd tego nie widział, lecz wiedział, że Rahl podniósł wieko środkowej szkatuły, tej z dwoma cieniami. Poznał to po wypływającym z niej blasku. Wypłynął złocisty, jakby ciężki blask i otoczył mistrza Rahla, oblał go złocistą poświatą. Rahl obrócił się z uśmiechem. Poświata poruszała się wraz z nim. Uniósł się nieco w powietrze, na tyle, by nie dotykać stopami ziemi, i poszybował ku centrum koliska białego piasku; rozłożył ramiona, blask zaczął wolno wirować wokół niego. Popatrzył na Richarda.

- Dzięki, synu, że wróciłeś i pomogłeś mistrzowi Rahlowi. Nagrodzę cię za to, jak obiecałem. Dałeś mi to, co mi się należało. Czuję to. To cudowne. Czuję moc.

Richard stał i patrzył nań obojętnie. Zedd znów się osunął na ziemię. Co ten Richard zrobił? Jak mógł? Jak mógł dać Rahlowi magię Ordena? Oddać mu władzę nad światem? To dlatego, że chłopaka poraziła moc Spowiedniczki, to nie była jego wina, nie miał na nic wpływu. Koniec. Zedd mu wybaczył.

Gdyby starzec miał swoją moc, to wywołałby ogień życia czarodzieja i przelał weń całą swoją życiową energię. Lecz tu, w obecności mistrza Rahla, nie miał ani odrobiny mocy. Czuł się ogromnie stary i zmęczony. Wiedział, że nie dane mu będzie jeszcze bardziej się zestarzeć. Już Rahl o to zadba. Ale to nie siebie żałował Zedd - bolał nad innymi.

Rahl Posępny, skąpany w złocistej poświacie, powoli wzniósł się parę stóp nad ziemię, nad piasek czarnoksiężnika. Uśmiechał się z zadowoleniem, błękitne oczy lśniły. Upojony, odchylił w tył głowę, z której spływały jasne włosy. Wirowały wokół niego iskierki blasku.

Biały piasek zmienił barwę na złotą, ciemniał dalej, aż stał się ciemnobrązowy. Blask wokół Rahla przybrał kolor bursztynu. Mistrz wyprostował głowę, otworzył oczy, przestał się uśmiechać.

Czarnoksięski piasek sczerniał. Ziemia zadrżała.

Uśmiech rozjaśnił twarz Richarda. Podszedł ku Mieczowi Prawdy i podniósł go, w szarych oczach zapłonął magiczny gniew. Zedd poderwał się na nogi. Poświata wokół Rahla przybrała paskudnie brązową barwę. Błękitne oczy rozszerzało przerażenie.

Z głębin ziemi rozległ się zawodzący ryk. Zapadł się czarny piach pod stopami Rahla. Z rozpadliny strzeliło fioletowe światło i pochłonęło mistrza. Zwijał się w nim i krzyczał.

Richard stał nieruchomo i patrzył; ciężki oddech unosił mu pierś.

Zniknęła niewidzialna klatka wokół Zedda. Ręka Chase'a złapała za miecz i wyszarpnęła oręż z pochwy. Strażnik gnał ku Kahlan. Gwardziści puścili dziewczynę i ruszyli ku niemu.

Michael zbladł. Patrzył z przerażeniem, jak Chase ciął mieczem i powalił jednego z nich. Kahlan łupnęła Michaela łokciem w dołek i wyrwała mu nóż. Rozbrojony biedak rozejrzał się dokoła dzikim wzrokiem i uciekł ścieżką pomiędzy drzewa.

Chase i drugi gwardzista tarzali się po ziemi w śmiertelnej walce. Żołnierz wrzasnął. Strażnik wstał. Tamten nie. Chase zerknął na Rahla Posępnego i pogonił za Michaelem. Zedd dostrzegł, że Kahlan pobiegła w przeciwnym kierunku.

Czarodziej i Richard jak zaczarowani wpatrywali się w Rahla Posępnego, Rahla, który wpadł w pułapkę magii Ordena. Fioletowe światło i czarne cienie więziły go ponad mroczną dziurą w ziemi.

- Cóżeś uczynił, Richardzie! - wrzeszczał przeraźliwie Rahl. Poszukiwacz podszedł do koliska czarnego piachu.

- Ależ tylko to, o co prosiłeś, mistrzu Rahlu - powiedział niewinnie. - Powiedziałem ci to, co chciałeś usłyszeć.

- Przecież to była prawda! Recytowałeś prawdziwy tekst!

- Tak - potwierdził Richard. - Tyle że nie wszystko ci przekazałem. Opuściłem prawie cały końcowy akapit: Lecz się strzeż. Bowiem wpływ szkatuł jest zmienny. Zależy od intencji. Chceszli być władcą wszystkiego i pomagać innym - bierz tę po prawej. Atoli jeśli chcesz być władcą absolutnym i zaspokajać kaprysy i pragnienia - przeskocz o szkatule w lewo. Władaj, jak wybrałeś. Miałeś dobre informacje: szkatuła o dwóch cieniach cię zabije.

- Przecież musiałeś wypełnić moją wolę! Poraziła cię moc Spowiedniczki!

- Czyżby? - Chłopak się uśmiechnął. - Pierwsze prawo magii. Najważniejsze i dlatego pierwsze. Powinieneś był bardziej uważać. Płacisz cenę buty i zarozumialstwa. Ja akceptuję moje słabości, ty swoich nie. Nie spodobał mi się wybór, przed którym mnie postawiłeś. Nie mogłem wygrać według twoich zasad, więc ustanowiłem kilka nowych. Księga mówi, że musisz się posłużyć mocą

Spowiedniczki, żeby potwierdzić prawdziwość tekstu. Tylko ci się wydawało, że z tego skorzystałeś. Pierwsze prawo magii. Uwierzyłeś, bo chciałeś w to uwierzyć. Zwyciężyłem cię.

- Nie! To niemożliwe! Skąd wiedziałeś, jak to zrobić?!

- Sam mnie nauczyłeś. Nic, nawet magia, nie jest jednowymiarowe. Patrz na całość, mówiłeś mi, wszystko ma dwie strony. Patrz na całość. - Richard z wolna potrząsnął głową. - Nie powinieneś był mi tego mówić, skoro nie chciałeś, żebym o tym wiedział. Jak się raz czegoś nauczę, to mogę z tego korzystać, kiedy zechcę. Dzięki, Ojczulku Rahlu, że mnie nauczyłeś tego, co dla mnie najważniejsze: jak kochać Kahlan.

Twarz Rahla Posępnego krzywiła się w grymasie bólu. Śmiał się i krzyczał.

Richard rozejrzał się wokół.

- Gdzie Kahlan?

Widziałem, że tam pobiegła. - Zedd wskazał kierunek kościstym palcem. Chłopak wsunął miecz do pochwy i spojrzał na wiszącą w powietrzu postać, otoczoną blaskiem i cieniem.

- Żegnaj, Ojczulku Rahlu. Sądzę, że i tak umrzesz, choć nie będę na to patrzeć.

- Richardzie! - wrzasnął Rahl za odchodzącym Poszukiwaczem. - Richardzie!

Zedd został sam na sam z Rahlem Posępnym. Patrzył, jak przejrzyste pasma dymu owijają się wokół białych szat, krępują tam temu ramiona. Starzec podszedł bliżej i spojrzały nań błękitne oczy.

- Dużo wygrałeś, Zeddicusie Zu'l Zoranderze, ale może nie wszystko.

- Do końca arogancki? Rahl się uśmiechnął.

- Powiedz mi, kim on jest.

- Poszukiwaczem. - Zedd wzruszył ramionami.

Tamten się zaśmiał, walcząc z bólem. Błękitne oczy znów spojrzały na starca.

- Jest twoim synem, prawda? Przynajmniej mnie pokonał potomek czarodzieja. Jesteś jego ojcem.

Zedd z wolna potrząsnął głową, uśmiechnął się smutno.

- Jest moim wnukiem.

- Kłamiesz! Po co rzuciłeś zaklęcie, kryjące tożsamość jego ojca, skoro sam nim nie jesteś?!

- Bo nie chciałem, żeby się dowiedział, kim był ten błękitnooki dureń, który

zgwałcił jego matkę i go spłodził.

Rahl wytrzeszczał oczy ze zdumienia.

- Zabili twoją córkę. Tak mi powiedział ojciec.

- Mała sztuczka zapewniająca jej bezpieczeństwo. - Zedd spochmurniał. - Skrzywdziłeś ją, choć nie wiedziałeś, kim jest. I wbrew swej woli dałeś jej szczęście. Dałeś jej Richarda.

- Jestem jego ojcem? - szepnął Rahl.

- Wiedziałem, że nic ci nie mogę zrobić, kiedy zgwałciłeś moją córkę. Chciałem ją pocieszyć i ochronić, więc ją zabrałem do Westlandu. Spotkała młodego mężczyznę, wdowca z maleńkim synkiem. George Cypher był dobrym, szlachetnym człowiekiem; byłem dumny z takiego zięcia. George kochał Richarda jak własne dziecko, lecz znał prawdę, choć nie o mnie; nie miał pojęcia, kim jestem - to kryło zaklęcie. Mogłem nienawidzić Richarda za zbrodnie jego ojca, lecz wolałem go kochać dla niego samego. Niezły chłopak z niego, prawda? Pokonał cię dziedzic, którego tak pragnąłeś. Dziedzic posiadający wrodzony dar. To rzadka cecha. Richard jest prawdziwym Poszukiwaczem. Krew Rahlów dała mu gniewną pasję, zdolność do gwałtu i przemocy. Zrównoważyła to krew Zoranderów, obdarowując go zdolnością miłości, przebaczenia i rozumienia.

Rahl Posępny lśnił wśród cieni magii Ordena. Wił się z bólu, stawał się coraz bardziej przejrzysty.

- Pomyśleć tylko: potomek z krwi Zoranderów i Rahlów. I tak jest moim dziedzicem. Na pewien sposób wygrałem - wykrztusił.

- Przegrałeś i to na wiele sposobów. - Zedd potrząsnął głową.

Mgła, dym, cienie i blask zakołowały z rykiem. Ziemia gwałtownie zadrżała. Wir poorał czarnoksięski piasek, teraz czarny jak smoła. Wszystko to wirowało nad otchłanią, a dźwięki świata żywych zmieszały się z dźwiękami zaświatów w jedno straszliwe wycie.

- Przeczytaj proroctwa, starcze - powiedział pusty, głuchy, martwy głos Rahla. - Może się jeszcze wszystko ostatecznie nie rozstrzygnęło, choć ci się tak wydaje. Jestem tylko pośrednikiem.

W centrum wiru rozżarzył się punkt oślepiającego światła. Zedd zakrył oczy. Strzeliły snopy białego żaru - w górę, ku niebu, poprzez szklane sklepienie i w dół, w czerń otchłani. Rozległ się przeszywający wrzask. Powietrze lśniło i migotało od żaru, blasku i wibrującego dźwięku. Potężny błysk zalał wszystko białym światłem i

zapanowała cisza.

Starzec ostrożnie odsłonił oczy. Zniknęło. Wszystko to zniknęło. Zimowe słońce ogrzewało ziemię w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą otwierała się czarna otchłań. Nie było już czarnoksięskiego piasku. Jego miejsce zajął krąg gołej, jałowej ziemi. Zrosło się pęknięcie między światami. A przynajmniej Zedd miał taką nadziej ę.

Czarodziej poczuł, jak powraca moc. Zniknęli ci, którzy rzucili przeciwko niemu zaklęcie. Działanie zaklęcia ustało.

Zedd stanął przed ołtarzem, wyciągnął ramiona ku słońcu, zamknął oczy.

- Anuluję ochronne zaklęcie, jestem tym, kim byłem przedtem. Jestem Zeddicus Zu'l Zorander, czarodziej pierwszego stopnia. Niech wszyscy o tym wiedzą. I o tym, co się wydarzyło.

Mieszkańcy byli zespoleni z domem Rahlów; magiczna więź, ustanowiona dawno temu przez tych, którzy mieli nimi władać, więź spajająca ich z domem Rahlów i dom Rahlów z nimi. Teraz zaklęcia zniknęły i wielu D'Haranczykow odczuje ową więź z magicznym darem. Pojmą, że teraz Richard jest mistrzem Rahlem.

Zedd chciałby powiedzieć chłopakowi, że Rahl Posępny był jego ojcem, ale to już nie dziś. Najpierw musi znaleźć odpowiednie słowa. Tyle jeszcze musi Richardowi powiedzieć, lecz nie dziś, nie teraz.

Richard odszukał Kahlan. Dziewczyna klęczała przed jednym z modlitewnych basenów. Wypchnęła z ust knebel, lecz dalej wisiał jej na szyi. Płakała. Długie włosy spływały jej z ramion. Oburącz trzymała nóż, celowała sobie w serce. Wstrząsały nią łkania. Chłopak stanął tuż koło fałdów białej szaty.

- Nie rób tego - szepnął.

- Muszę. Kocham cię - jęknęła Kahlan. - Poraziłam cię moją mocą. Wolę umrzeć, niż być twoją panią. Tylko tak mogę cię uwolnić. - Znów wstrząsnął nią szloch. - Chcę, żebyś mnie pocałował i odszedł. Nie chcę, żebyś na to patrzył.

- Nie.

Poderwała głowę i spojrzała na Richarda.

- Coś ty powiedział? - szepnęła.

- Powiedziałem: nie. - Chłopak wsparł się pięściami pod boki. - Nie mam zamiaru cię całować, dopóki masz te głupie malunki na twarzy. Śmiertelnie mnie wystraszyły.

Zielone oczy patrzyły nań niedowierzająco.

- Przecież cię dotknęłam moją mocą, nie możesz mi niczego odmówić. Richard przykucnął przy niej, zdjął jej z szyi knebel.

- No to w porządku, kazałaś mi się pocałować. - Zamoczył płótno w wodzie. - A ja powiedziałem, że tego nie zrobię, dopóki masz te malunki. - Zaczął zmywać bliźniacze błyskawice. - Tylko to pozwoli załatwić sprawę.

Kahlan klęczała nieruchomo, a chłopak zmywał z jej twarzy czerwone zygzaki. Skończył, spojrzał w wielkie oczy dziewczyny. Odłożył płótno, ukląkł przed Kahlan i objął ją.

- Przecież cię dotknęłam moją magią, Richardzie. Czułam to. Słyszałam. Widziałam. Jak to się stało, że moc cię nie poraziła?

- Bo miałem osłonę.

- Osłonę? Co cię chroniło?

- Miłość do ciebie. Zrozumiałem, że kocham cię ponad życie i że wolę się poddać twojej mocy, niż żyć bez ciebie. Życie bez ciebie byłoby o wiele gorsze niż to, co mogła mi uczynić magia. Chciałem ci wszystko ofiarować. Dałem twojej mocy wszystko. Całą miłość do ciebie. Kiedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo cię kocham i że chcę do ciebie należeć na każdych warunkach, to zrozumiałem, że magia nic mi nie zrobi. Już jestem z tobą związany nieodwołalnie, zatem magia nie musiała mnie zmieniać. Nie mogła mi nic zrobić, bo już mnie poraziła miłość do ciebie. Byłem absolutnie przekonany, że i ty mnie kochasz, więc się nie bałem tego, co miało nastąpić. Gdybym miał choć cień wątpliwości, to magia by się wśliznęła przez tę rysę i poraziła mnie; lecz nie wątpiłem. Kocham cię całym sercem, bez wahań i zastrzeżeń. Ta miłość ochroniła mnie przed magią.

Uśmiechnęła się do niego ich prywatnym, specjalnym uśmiechem.

- Naprawdę tak mnie kochasz? Nie zwątpiłeś ani trochę? Richard odwzajemnił uśmiech.

- Hmm, muszę przyznać, że kiedy zobaczyłem te czerwone błyskawice na twojej twarzy i nie wiedziałem, co to takiego... Trochę się wystraszyłem. Dobyłem miecza, żeby zyskać trochę czasu na zastanowienie. Potem uznałem, że to nie ma znaczenia. Wciąż byłaś Kahlan i wciąż cię kochałem. Ponad wszystko pragnąłem, żebyś mnie dotknęła swoją mocą, chciałem dowieść swej miłości i oddania, ale musiałem odegrać tę komedię dla Rahla.

- Te malowidła świadczyły, że i ja ci wszystko poświęciłam - szepnęła

dziewczyna.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i go pocałowała. Klęczeli przytuleni przed migotliwym basenem. Richard całował miękkie usta Kahlan, tak jak o tym śnił nieprzeliczoną ilość razy. Całował ją tak długo, aż mu się zakręciło w głowie, a potem jeszcze trochę. Nie dbał o to, że przechodzący ludzie patrzą na nich ze zdumieniem.

Nie miał pojęcia, jak długo tak klęczeli, obejmując się i całując, lecz w końcu uznał, że powinni odnaleźć Zedda. Poszli ku Ogrodowi Życia; ramię Kahlan obejmowało chłopaka, jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Pocałowali się jeszcze raz i weszli do Ogrodu. Zedd stał z ręką wspartą na kościstym biodrze, drugą dłonią głaskał brodę. Oglądał ołtarz i to, co było poza nim. Kahlan padła na kolana przed czarodziejem, ucałowała mu dłonie.

- On mnie kocha, Zeddzie! Wiedział, jak sobie poradzić z magią. Był na to sposób i Richard go znalazł.

- Trochę długo to trwało - burknął Zedd.

- Wiedziałeś, jak to zrobić? - spytała Kahlan, wstając.

- Przecież jestem czarodziejem pierwszego stopnia - obruszył się starzec. - Pewnie, że wiedziałem.

- I nic nam nie powiedziałeś?

- Gdybym ci powiedział, kochanie - uśmiechnął się Zedd - to by się nie udało. Przedwczesna wiedza mogłaby zasiać ziarnko wątpliwości. A owo ziarenko stałoby się przyczyną niepowodzenia. Żeby zostać wybrankiem Spowiedniczki, pokonać magię, trzeba całkiem się jej poddać i zawierzyć. Gdyby Richard nie chciał - całkowicie i bezwarunkowo - oddać się pod twoją władzę, nie dbając o ewentualne konsekwencje, to nic by z tego nie wyszło.

- Sporo o tym wiesz. - Kahlan się zmarszczyła. - Nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałam. Często się to zdarzało?

Zedd tarł w zamyśleniu brodę, zapatrzył się na szklane sklepienie.

- Tylko raz, o ile wiem. - Spojrzał na dwoje młodych. - Nie możecie nikomu o tym powiedzieć; musicie milczeć, jak ja. Milczeć, bez względu na konsekwencje, bez względu na ból, jaki to by wam sprawiło. Gdyby się o tym do - wiedział choć jeden człowiek, toby się to rozniosło i już nikt inny by nie miał tej szansy, co wy. To właśnie ironia magii: zanim odniesiesz sukces, musisz zaakceptować możliwość porażki. I brzemię magii: żeby chronić nadzieję przyszłości, trzeba zaakceptować efekty koniecznych działań, nawet śmierć. Egoizm to śmierć nie narodzonych.

- Obiecuję milczeć - powiedziała Kahlan.

- Ja też - przyłączył się Richard. - To już koniec, Zeddzie? Chodzi mi oczywiście o Rahla. Nie żyje?

Starzec spojrzał nań tak, że chłopakowi zrobiło się znienacka nieswojo.

- Rahl Posępny nie żyje. - Zedd położył chudą dłoń na ramieniu Richarda, kościste palce mocno się zacisnęły. - Dobrze to rozegrałeś, Richardzie. Potężnie mnie wystraszyłeś. Nigdy przedtem nie widziałem tak wspaniałego występu.

- Po prostu taka mała sztuczka. - Chłopak uśmiechnął się dumnie. Zedd pokiwał głową, siwe włosy sterczały jak strzecha.

- Nie mała i nie sztuczka, chłopcze.

Odwrócili się, słysząc, że ktoś nadchodzi. To Chase wlókł Michaela za kark. Brudne białe spodnie i bluza świadczyły, że Pierwszy Radca nie szedł tu z własnej woli. Strażnik popchnął go, ustawił przed Richardem.

Chłopak na widok brata spochmurniał. Tamten spojrzał mu wyzywająco w oczy.

- Nie powinienem być traktowany w ten sposób, braciszku - głos Michaela był równie protekcjonalny jak zawsze. - Nie wiesz, w co się wmieszałeś, co próbowałem zrobić, co chciałem osiągnąć, łącząc Westland z D’Hara. Skazałeś współobywateli na zbędne cierpienia, których by im oszczędził Rahl Posępny. Jesteś głupcem.

Richard pomyślał o tym, przez co przeszedł, o tym, czego doświadczyli Zedd, Chase i Kahlan. O ludziach, których znał i którzy zginęli z rąk Rahla, i o nieprzeliczonych zmarłych, których nie znał i już nigdy nie pozna. Cierpienia, okrucieństwo, brutalność. Rozmyślał o tych wszystkich tyranach, którzy świetnie się mieli pod skrzydłami Rahla Posępnego, o wszystkich: od samego Rahla po księżniczkę Violet. Wspomniał tych, których zabił. Wspomnienia własnych uczynków wywołały ból i smutek.

Zabrzęczał Miecz Prawdy. Czubek ostrza dotknął gardła Michaela, a biedak wytrzeszczał oczy z przerażenia.

Richard pochylił się ku bratu.

- Wykonaj salut pokonanego, Michaelu. Tamten spurpurowiał.

- Prędzej umrę.

Richard się wyprostował, kiwnął głową. Cofnął miecz, głęboko spojrzał bratu w oczy. Odsunął na bok gniew, chciał, żeby klinga zbielała. Nie udało się. Wsunął miecz do pochwy.

- Cieszę się, Michaelu, że choć to nas łączy. Obaj gotowi jesteśmy umrzeć za to, w co wierzymy. - Odwrócił wzrok od brata, spojrzał na wielki, księżycowato wygięty topór bojowy u pasa Chase'a i podniósł oczy na ponurą twarz strażnika. - Zetnij go - szepnął. - Zanieś głowę jego przybocznej gwardii. Powiedz im, że został ścięty na mój rozkaz, za zdradę Westlandu. Westland musi sobie wybrać nowego Pierwszego Radcę.

Chase złapał Michaela za włosy. Ten wrzasnął, padł na kolana, wykonał salut pokonanego.

- Richardzie! Błagam! Jestem twoim bratem! Nie rób tego! Nie pozwól, żeby mnie zabił! Przepraszam! Wybacz mi! Źle postąpiłem, myliłem się. Wybacz mi, Richardzie, błagam.

Chłopak patrzył na klęczącego przed nim brata, na złożone błagalnie ręce Michaela. Zacisnął pięść na Agielu, poczuł ból, wytrzymał go, wspominał; błyskawiczne wizje przeszłości.

- Rahl Posępny powiedział ci, co mnie czeka. Wiedziałeś. Wiedziałeś, co mi zrobią, i nie dbałeś o to, byle odnieść osobiste korzyści. Wybaczam ci wszystko, co mi uczyniłeś, Michaelu.

Michael odetchnął z ulgą. Poszukiwacz wyprostował się sztywno.

- Ale nie mogę ci wybaczyć tego, co uczyniłeś innym. Przez ciebie stracili życie. Będziesz ścięty za te zbrodnie, a nie za to, co mnie uczyniłeś.

Chase odciągnął Michaela, a ten wrzeszczał i płakał. Richard z bólem patrzył, jak brata prowadzono na egzekucję.

- Puść to, Richardzie. - Zedd położył dłoń na zaciśniętej na Agielu pięści chłopaka.

Dręczące myśli zneutralizowały ból bicza. Chłopak popatrzył na Zedda, na jego kościstą dłoń, dostrzegł w oczach przyjaciela to, czego nigdy przedtem nie widział - zrozumienie i współprzeżywanie bólu. Puścił Agiela. Kahlan powiodła wzrokiem za prętem.

- Musisz to nosić, Richardzie?

- Na razie tak. Obiecałem to tej, którą zabiłem. Tej, która mi pomogła zrozumieć, jak bardzo cię kocham. Rahl Posępny sądził, że to mnie złamie, pokona. A tymczasem nauczyłem się, jak go pokonać. Gdybym to teraz zdjął, to wyparłbym się tego, co jest we mnie, tego, kim jestem.

Kahlan położyła dłoń na ramieniu chłopaka.

- Na razie tego nie rozumiem, lecz pewnego dnia na pewno pojmę.

Richard rozejrzał się po Ogrodzie Życia. Rozmyślał o śmierci Rahla Posępnego i o śmierci ojca. Dokonała się sprawiedliwość. Zasmucił się, wspominając ojca. Lecz uświadomił sobie, że wykonał zadanie, które ojciec nań nałożył - i ból zniknął. Chłopak znakomicie pamiętał cały tekst tajemnej księgi. Spełnił swój obowiązek. Ojciec może spoczywać w spokoju.

Zedd z irytacją wygładził szaty.

- Do licha! Chyba mają coś jeszcze do jedzenia w takim wielkim gmaszysku, jak myślisz?

Richard się uśmiechnął, otoczył ramionami tamtych dwoje i wyprowadził z Ogrodu Życia. Zabrał ich do znanej sobie komnaty jadalnej. Ludzie siedzieli za stołami, jakby się nic nie zmieniło. Troje przyjaciół znalazło sobie stolik w rogu. Służba przyniosła półmiski z ryżem, jarzynami, ciemnym chlebem, serem oraz misy parującej korzennej polewki. Zedd zdecydowanie opróżniał talerze i zdumieni, lecz uśmiechnięci służący przynosili kolejne porcje.

Chłopak spróbował sera - ku swemu zdziwieniu stwierdził, że paskudnie pachnie. Skrzywił się i odłożył ser.

- Co jest? - zaciekawił się Zedd.

- To najpaskudniejszy ser, jaki w życiu jadłem! Zedd powąchał i odgryzł kawałek.

- Całkiem niezły serek, chłopcze.

- Świetnie. Więc go zjedz.

Zedd przystał na to radośnie. Richard i Kahlan jedli korzenną polewkę z ciemnym chlebem i z uśmiechem patrzyli, jak ich stary przyjaciel zajada z apetytem. W końcu napełnili żołądki i ruszyli ku wyjściu z Pałacu Ludu.

Mijali kolejne hole. Rozległ się wysoki ton dzwonów zwołujących na modły. Kahlan patrzyła, jak ludzie się zbierają na placach, klękają i śpiewają. Richard zmienił słowa swojej modlitwy i już nie czuł wewnętrznego, nieodpartego nakazu przyłączenia się do tłumu. Minęli wiele takich placów, wypełnionych rozmodlonymi ludźmi. Chłopak się zastanawiał, czy powinien na to jakoś zareagować, powstrzymać ich, lecz w końcu uznał, że i tak wykonał to, co najważniejsze.

Nareszcie wynurzyli się z przepastnych korytarzy na zewnątrz, w blask zimowego słońca. Stanęli u szczytu wysokich schodów, prowadzących na olbrzymi dziedziniec. Richard wstrzymał oddech, widząc zebrane tam mrowie ludzi.

Tysiące wysokich mężczyzn stało w karnych, równych szeregach. Na przedzie, u stóp schodów, osobista gwardia Michaela, przedtem, zanim im odebrał tę nazwę, zwana Gwardią Obywatelską. Ich kolczugi, tarcze i złociste proporce jaśniały w słońcu. Za gwardią - tysiące westlandzkich żołnierzy. Za nimi - wojska D'Hary. Na czele, przed wszystkimi zebranymi, stał Chase. Skrzyżował ramiona i patrzył na stojących u szczytu schodów przyjaciół. Obok niego tkwiła tyka z nabitą głową Michaela. Richarda zdumiała panująca na dziedzińcu cisza. Gdyby zakaszlał ktoś na tyłach, dobre pół mili dalej, na pewno bym go usłyszał, pomyślał.

Zedd położył dłoń na plecach chłopaka, popchnął go, zmuszając do ruszenia się z miejsca. Kahlan ujęła Richarda za ramię, ścisnęła je lekko, wyprostowała się dumnie i zeszli w dół. Chase wpatrywał się w oczy chłopaka. Richard dostrzegł obok strażnika Rachel. Dziewczynka w jednej ręce trzymała Sarę, drugą wczepiła się w nogę Chase'a. Sara trzymała również rączkę Siddina. Chłopczyk zobaczył Kahlan, puścił lalkę i pobiegł ku dziewczynie. Roześmiała się i wzięła go na ręce. Siddin uśmiechnął się do Richarda i powiedział coś w swoim języku, potem zarzucił rączki na szyję Kahlan. Przytuliła go, coś do niego poszeptała, potem postawiła chłopczyka na ziemi i mocno trzymała za rączkę. Wystąpił kapitan Gwardii Obywatelskiej.

- Gwardia Obywatelska gotowa do złożenia ci przysięgi wierności, Richardzie.

Obok kapitana stanął dowódca armii Westlandu.

- Westlandzka armia gotowa do przysięgi. Podszedł d'haranski oficer.

- Armia D'Hary również.

Richard patrzył na nich ze zdumieniem, mrugał oczami. Obudził się w nim gniew.

- Nikt nie będzie nikomu przysięgał wierności! A już na pewno nie mnie! Jestem leśnym przewodnikiem. Nikim więcej. Wbijcie to sobie do głów! Leśnym przewodnikiem!

Chłopak spojrzał na morze głów. Wpatrywały się weń wszystkie oczy. Popatrzył na głowę Michaela, zatkniętą na tyce. Na chwilę zaniknął oczy, potem rzekł go gwardzistów:

- Pochowajcie to razem z ciałem. - Żaden się nie poruszył. - Natychmiast! Podskoczyli i ruszyli wykonać polecenie. Richard spojrzał na stojącego przed nim d'haranskiego oficera. Wszyscy czekali.

- Roześlij wieść, że skończyły się wszelkie wrogie działania. Skończyła się wojna. Dopilnuj, żeby wszystkie wojska zostały odesłane do domu, żeby ściągnięto

wszystkie siły okupacyjne. Życzę sobie, żeby każdy, obojętnie czy prosty żołnierz, czy generał, kto popełnił zbrodnie wobec bezbronnych obywateli, stanął przed sądem i został ukarany zgodnie z literą prawa. Wojska D'Hary mają pomóc obywatelom w zdobyciu żywności, żeby nie głodowali zimą. Ogień już nie jest zakazany. Gdybyś natrafił na oddziały, które się nie podporządkują tym rozkazom, to rozpraw się z nimi. Ty zaś zbierz swoich ludzi i pomóż mu. - Nakazał chłopak dowódcy armii Westlandu. - Razem będziecie tak silni, że nikt się wam nie sprzeciwi. - Oficerowie gapili się nań ze zdziwieniem, więc Richard pochylił się ku nim. - To się samo nie zrobi. Do dzieła!

Obaj dowódcy położyli pięść na sercu, skłonili głowy. D'Haranczyk, nie cofając dłoni z serca, spojrzał chłopakowi w oczy:

- Wedle rozkazu, mistrzu Rahlu.

Richard wytrzeszczał oczy ze zdumienia, lecz pominął to milczeniem. Uznał, że tamten za bardzo się przyzwyczaił do słów „mistrz Rahl".

Chłopak dostrzegł stojącego z boku pałacowego strażnika. Rozpoznał go. Był to dowódca straży przy bramie, przez którą Richard opuszczał wówczas Pałac Ludu. Ten, który dał mu konia i ostrzegł przed smokiem. Chłopak przywołał go gestem. Strażnik podszedł i stanął na baczność; był trochę zaniepokojony.

- Mam dla ciebie zadanie - oznajmił Richard; tamten czekał w milczeniu. - Sądzę, że je dobrze wykonasz. Chcę, żebyś zebrał wszystkie Mord-Sith. Co do jednej.

- Tak, panie. - Żołnierz przybladł. - Zostaną ścięte przed zachodem.

- Nie! Nie chcę, żeby je ścięto! Tamten zamrugał ze zdziwienia.

- Więc cóż mam z nimi uczynić?

- Masz zniszczyć ich Agiele. Wszystkie, co do jednego. Żebym już nigdy żadnego nie zobaczył. - Richard uniósł Agiela wiszącego mu na szyi. - Z wyjątkiem tego. Potem znajdź tym kobietom nowe szaty. Spal wszystkie ubiory Mord-Sith. Traktuj je uprzejmie i z szacunkiem.

- Uprzejmie? - zdumiał się żołnierz. - Iz szacunkiem?

- Tak, właśnie tak. Będą pomagać ludziom, więc należy je traktować uprzejmie, z szacunkiem i respektem. Nie wiem, jak masz to zrobić, sam musisz coś wymyślić. Wyglądasz na bystrego chłopaka. Co ty na to?

- A jeśli one nie zechcą się zmienić? - zaniepokoił się żołnierz.

- To im powiesz - odparł gniewnie Richard - że jeśli zostaną na starej ścieżce, zamiast wstąpić na nową, spotkają u jej kresu Poszukiwacza z białym mieczem.

Żołnierz uśmiechnął się, położył pięść na sercu i skłonił głowę.

- Agiele są magiczne, Richardzie - wtrącił Zedd. - Nie można ich zniszczyć ot, tak sobie.

- To pomóż mu, Zeddzie. Pomóż mu je zniszczyć albo je gdzieś ukryj. Zgoda? Nie chcę, żeby ktokolwiek był torturowany tym narzędziem.

Starzec z uśmiechem kiwnął głową.

- Chętnie w tym pomogę, chłopcze. - Czarodziej zamilkł na chwilę, potarł brodę długim palcem i szepnął: - Naprawdę myślisz, Richardzie, że to się uda? Ściągnąć wojska? Żeby armia Westlandu im pomogła?

- Chyba nie. Ale nigdy nie wiesz, jak podziała pierwsze prawo, no i zyskamy na czasie: każdy dotrze do domu, a ty przywrócisz granicę. I znów będziemy bezpieczni. Bez magii.

Z nieba doleciał gromki ryk. Richard spojrzał w górę i zobaczył zataczającą koła Scarlet. Czerwona smoczyca spłynęła w dół. Żołnierze rozbiegli się w panice, krzycząc ze strachu - Scarlet zamierzała wylądować u stóp schodów. Osiadła przed Richardem, Kahlan, Zeddem, Chase'em i dwojgiem dzieci.

- Richardzie! Richardzie! - zawołała smoczyca, przeskakując z łapy na łapę, rozłożone skrzydła drżały z podniecenia, pochyliła ku chłopakowi wielką głowę. - Moje jajko pękło! Wykluł się śliczny malutki smoczek! Taki śliczny, jak mówiłeś, że będzie! Chcę, żebyś go zobaczył! Założę się, że już za miesiąc będzie latać. - Nagle zauważyła mrowie żołnierzy, przyjrzała się im, żółte ślepia zapłonęły, znów zniżyła głowę ku Richardowi: - Mamy jakieś kłopoty? Może by się przydało trochę smoczego ognia?

- Nie. - Chłopak się uśmiechnął. - Wszystko w porządku.

- No, to wskakuj mi na grzbiet i zabieram cię do małego. Richard otoczył ramieniem talię Kahlan.

- Polecę z przyjemnością, ale tylko wtedy, kiedy i ją zabierzesz. Scarlet obejrzała dziewczynę od stóp do głów.

- Skoro jest z tobą, to mile ją powitam.

- A co z Siddinem, Richardzie? - spytała Kahlan. - Weselan i Savidlin pewno się na śmierć zamartwiają. - Zielone oczy spojrzały głęboko w oczy chłopaka, pochyliła się bliżej i dodała szeptem: - A my wciąż mamy coś do załatwienia w domu duchów. Jakieś jabłko do schrupania. - Jej ramię mocniej przylgnęło do chłopaka, uśmiechnęła się kusząco i Richard na chwilę stracił oddech.

Z trudem oderwał wzrok od Kahlan i spojrzał na Scarlet.

- Tego malca ukradziono Błotnym Ludziom, kiedy zaniosłaś do nich Rahla Posępnego. Jego matka pragnie go odzyskać i niepokoi się o niego, tak jak ty przedtem o swoje małe. Czy nas tam zaniesiesz, gdy już obejrzymy twojego smoczka?

Wielkie ślepia smoczycy łypnęły na Siddina:

- Hmm, rozumiem niepokój jego matki. Zgoda. Wsiadajcie. Podszedł Zedd, wsparł się pod boki i zapytał z niedowierzaniem:

- Chcesz nieść człowieka? Ty, czerwona smoczyca? Zaniesiesz go tam, dokąd chce się udać?

Smoczyca dmuchnęła nań dymem i cofnęła się o krok.

- Żadnego tam człowieka. Poszukiwacza. On mi rozkazuje. Zaniosłabym go do zaświatów i z powrotem, gdyby sobie tego zażyczył.

Pochyliła się i wdrapał się na jej barki. Kahlan podała mu Siddina. Chłopak posadził malca przed sobą, potem chwycił rękę dziewczyny i podciągnął ją. Usiadła za nim, objęła go w pasie i położyła mu głowę na ramieniu.

Pochylił się ku Zeddowi.

- Uważaj na siebie, przyjacielu. - Uśmiechnął się do niego szeroko. - Człowiek Ptak będzie szczęśliwy, że się w końcu zdecydowałeś ożenić z Błotną Kobietą. Gdzie cię potem znajdę?

Czarodziej wyciągnął kościste ramię i poklepał chłopaka po stopie.

- Będę w Aydindril. Przyjdź do mnie, kiedy już będziesz gotowy. Richard przybrał swoją najsurowszą minę i jeszcze bardziej się pochylił.

- I wtedy sobie pogadamy. Odbędziemy długą rozmowę.

O, tak. Spodziewam się, że tak - potwierdził z uśmiechem czarodziej. Chłopak uśmiechnął się do Rachel, pomachał jej i Chase’owi. Potem poklepał łuskę Scarlet.

- W niebo, czerwona przyjaciółko!

Smoczyca zionęła ogniem i uniosła się w powietrze, a wraz z nią marzenia i radości Richarda.

Zedd patrzył, jak Scarlet maleje w oddali; troski i zmartwienia zachował dla siebie.

Chase pogładził główkę Rachel, potem skrzyżował ramiona i spojrzał znacząco na czarodzieja.

- Mnóstwo poleceń, jak na leśnego przewodnika.

- O, tak. - Zedd się roześmiał

Po schodach zbiegał mały, łysy człowieczek, dając znaki uniesioną dłonią.

- Czarodzieju Zoranderze! Czarodzieju Zoranderze! - wołał, aż wreszcie zatrzymał się przed Zeddem, sapiąc z wysiłku. - Czarodzieju Zoranderze.

- O co chodzi? - Zedd się zmarszczył. Tamten z trudem łapał oddech.

- Kłopoty, czarodzieju Zoranderze - wysapał z trudem.

- Jakie kłopoty? I kim ty jesteś?

Mężczyzna pochylił się ku Zeddowi, konspiracyjnie zniżył głos.

- Jestem zarządcą personelu krypty. To tam mamy kłopoty. - Oczy niemal wychodziły mu z głowy. - Kłopoty w krypcie.

- Jakiej krypcie?

- Jak to jakiej - zdumiał się zarządca. - Krypcie Panisa Rahla, dziadka władcy Rahla, rzecz jasna.

- Co się dzieje? - Zedd zmarszczył brwi.

Łysy człowieczek nerwowo położył palce na wargach.

- Sam tego nie widziałem, czarodzieju Zoranderze, ale moi ludzie nigdy nie kłamią. Nigdy. Opowiedzieli mi o tym i na pewno by nie kłamali.

- Gadaj wreszcie! - ryknął rozeźlony Zedd. - Co to za kłopoty?! Tamten strzelał na boki oczami, zniżył głos do szeptu.

- Ściany, czarodzieju Zoranderze. Ściany.

- Co z nimi? - Zedd aż zazgrzytał zębami. Przerażony człowieczek spojrzał mu prosto w oczy.

- Rozpuszczają się, czarodzieju Zoranderze. Ściany krypty się rozpuszczają. Zedd zesztywniał i łypnął gniewnie na zarządcę.

- Do licha! Masz pod ręką biały kamień z kamieniołomu proroków?

- Oczywiście - potwierdził z zapałem człowieczek. Czarodziej sięgnął w fałdy szat i wyciągnął mały mieszek.

- Zapieczętuj wejście do krypty białym kamieniem z kamieniołomu proroków.

- Zapieczętować na amen? - sapnął zarządca.

- Tak. Zapieczętuj na amen. Inaczej rozpłynie się cały pałac. - Podał zarządcy mieszek. - Wymieszaj ten magiczny proszek w moździerzu. Zapieczętuj, zanim zajdzie słońce, rozumiesz? Zapieczętuj na amen przed zachodem.

Człowieczek kiwnął głową, porwał mieszek i pognał z powrotem po schodach tak szybko, jak mu na to pozwalały krótkie nogi. Minął schodzącego w dół wyższego odeń mężczyznę w przybranej złotem białej szacie. Ów schodził po schodach, chowając założone ręce w rękawach szaty. Chase łypnął gniewnie na Zedda, stuknął

wielkim paluchem w pierś czarodzieja.

- Panis Rahl, dziadek mistrza Rahla? Hmm?! Zedd odchrząknął.

- Cóż, hmm, musimy o tym pogadać. Zbliżył się ów człowiek w białej szacie.

- Czy jest tu gdzieś mistrz Rahl, czarodzieju Zoranderze? Należy omówić pewne sprawy.

Zedd zerknął na znikającego w górze smoka.

- Mistrz Rahl powróci za jakiś czas.

- Ale wróci?

- Tak. - Czarodziej spojrzał na twarz tamtego. - Tak, na pewno wróci. Po prostu dbaj o wszystko do jego powrotu.

- My tu w Pałacu Ludu jesteśmy przyzwyczajeni do czekania na powrót mistrza. - Mężczyzna w białej szacie z rezygnacją wzruszył ramionami, odwrócił się i chciał wejść na schody, lecz Zedd go przywołał.

- Jeść mi się chce. Macie tu coś do jedzenia?

Mężczyzna się uśmiechnął i szerokim gestem wskazał wejście do pałacu.

- Ależ oczywiście, czarodzieju Zoranderze. Pozwól, że cię zaprowadzę do komnaty jadalnej.

- Co ty na to, Chase? Posiłek przed drogą? Strażnik popatrzył na Rachel.

- Zjesz coś?

Dziewczynka się uśmiechnęła od ucha do ucha i z zapałem przytaknęła.

- Zgoda, Zeddzie. A dokądże to się wybierasz? Czarodziej wygładził szaty.

- Zobaczyć się z Adie. Chase znacząco uniósł brew.

- Krótki odpoczynek i relaks? - Uśmiechnął się domyślnie. Czarodziej nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Też. Poza tym muszę jechać do Aydindril, do Wieży Czarodzieja. Czeka nas sporo czytania.

- Po co chcesz zabrać Adie do Aydindril, do Wieży Czarodzieja? I to na lekturę?

Zedd zerknął nań z ukosa.

- Bo ona wie o zaświatach więcej niż ktokolwiek z żyjących.